

WOJNY MAGÓW

WOJNY MAGÓW

Czarny gryf

Biały gryf

Srebrzysty gryf

MERCEDES LACKEY

LARRY DIXON

**WOJNY
MAGÓW**



**ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO**

Mercedes Lackey

Czarny gryf

Biały gryf

Srebrzysty gryf

Tytuły oryginału

The Black Gryphon

The White Gryphon

The Silver Gryphon

Copyright INTRIGUES © 1994, 1995, 1996 by Mercedes
Lackey

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka
Wydawnictwo s.j., Poznań 2023

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67

faks 61 852 63 26

dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90

sklep@zysk.com.pl

www.zysk.com.pl

CZARNY GRYF

**Tłumaczył
Grzegorz Jasiński**

*Książkę tę dedykuję
Mel. White, Coyote Women
na zawsze pozostanie legendą
w sercach tych, którzy ją znali*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cisza.

W nozdrza Skandranona uderzał zimny wiatr - tak zimny jak serca znajdujących się pod nim zabójców. Ich najważniejsze narządy wewnętrzne tłoczyły krew niepodobną do krwi jakichkolwiek innych stworzeń: czarną, gęstą krew; gorącą tylko wtedy, gdy tego pragną ich dowódcy - tylko wtedy gdy latają, tylko wtedy gdy polują, tylko wtedy gdy zabijają.

Krew tych niesamowitych istot była zimna, a mimo to cieplejsza od krwi ich panów. Dobrze o tym wiedział Skandranon Rashkae, który walczył z ich panami, odkąd się tylko opierzył. Makaary były okrutne i przebiegłe, a jednak nawet najgorsze cechy tych wymyślonych straszyleł bladły wobec okrucieństwa ich twórców.

Cisza. Nie ruszaj się. Bądź cicho.

Skandranon siedział bez ruchu, skulony, z piórami ciasno przyciśniętymi do ciała. Zachowywał się tak cicho, że zupełnie nie było go słychać; cisza była jedną z mocy jego pana i przyjaciela, była mocą tak potężną, że od niej właśnie wzięto imię jego władcy - Urtho, Mag Cisy. Mistrzowie Urtho byli nie wykrywalni nawet za pomocą magicznego wzroku swych przeciwników - byli odporni na badanie umysłu, na działanie czarów, na magiczne wróżenie z kuli. Wrogowie jego pana musieli zużywać większość swoich sił na pokonywanie tej bariery - jak się wydawało bez żadnego skutku - i teraz skupili się na bardziej bezpośrednich metodach odebrania Urtho władzy nad bogactwami zielonych ziem środkowych.

Skan złożył skrzydła, przyciskając je do miękkich, czarnych piór po bokach piersi. - Najważniejsze to być cicho, mieć spuszczoną głowę, nawet tu - z dala od obozowiska. Dotarcie do tego miejsca oznaczało długi, męczący lot i chociaż Skan był w swojej najlepszej kondycji, mięśnie jego skrzydeł odmawiały posłuszeństwa. Na razie lepiej odpocząć i obserwować. Ostry wiatr szarpał jego pióra. Dzień okazał się niezwykle zimny jak na tę porę roku, co wcale mu nie pomagało - no, może trochę; w taką pogodę makaary wykonywały tylko absolutnie konieczne loty.

Obserwował, jak śpią niespokojnie, wstrząsane drgawkami. Czy wiedzą, jak szybko przemija ich życie? W jaki sposób ich twórcy je konstruowali, rozmnażali, ulepszali, każąc ginąć słabym w służbie na

granicy? Czy wiedzą, że ich panowie wyznaczyli im krótki żywot, aby następujące szybko po sobie pokolenia ujawniały wady gatunku?

Bez względu na swą straszną powierzchowność i mordercze szpony, były godne politowania. Nigdy nie dane im było zaznać pieśczoły czułego kochanka - znały tylko gorączkę przymusowego parzenia się. Wiedziały, że jeśli zawiodą, ich przeznaczeniem są śmiertelne tortury. Nigdy nie leżały z przyjaciółką na słońcu ani nie szybowały z kolegami w powietrzu...

Nigdy nie narażały swego życia dla jakiejś sprawy tylko dlatego, że czuły, iż jest to słuszne. Najbardziej godne pożalowania było to, że nie można ich było załamać, ponieważ nie miały ani honoru, ani woli.

Mimo oczywistych wysiłków czarnych magów, by były imitacjami stworów Maga Ciszy, makaary i gryfy stanowiły absolutne przeciwieństwo. Gryfy były łagodną, pełną wdzięku burzą, makaary zaś gwałtowną nawałnicą. Gryfy były śmiałe, inteligentne, zręczne; makaary natomiast zaprogramowano do ślepego posłuszeństwa. I gdyby spytać Skandranona, kto jest bardziej atrakcyjny, z pewnością odpowiedziałby: "Ja".

Pyszny ptaku. Będiesz piękną ozdobą na ścianie pokoju komendanta.

Skandranon oddychał głęboko, odpoczywając za linią drzew na szczycie wzgórza; przed nim znajdowała się Przełęcz Stelvi. Nadchodząca armia zdobyła ją kosztem zaledwie kilkuset żołnierzy; garnizon Urtho stracił ich tysiąc. Za przełęczą leżała rozwidlająca się dolina. Po jednej jej stronie było niegdyś dobrze prosperujące miasto handlowe, Laisfaar. Obecnie znajdowała się w nim kwatera armii Ma'ara, a mieszkańcy, którzy przeżyli, zostali jego niewolnikami. W drugim rozwidleniu doliny dowódcy umieścili tabory z zaopatrzeniem i stworzenia wraz ze śpiącymi w tej chwili makaarami.

Mogły spać spokojnie; nie musiały obawiać się, że ktoś je obserwuje w magicznej kuli. Magowie armii dokładnie osłonili obszar przed czarami wroga i żadne wysiłki Urtho, aby przeszukać dolinę za pomocą magii, nie odniosłyby skutku. Pozostało tylko szpiegowanie z ukrycia - w najlepszym razie ryzykowne, w najgorszym - samobójcze.

Skandranon oczywiście zgłosił się na ochotnika.

Leć dumnie ku swemu przeznaczeniu, śmiejąc się, próżny ptaku, najlepszy z najlepszych; masz więcej chęci niż rozumu, więcej okazałości niż mądrości, ostre szpony gotowe wykopać swój własny grób...

Jego spotkanie z Urtho było krótkie. Padła propozycja, aby posłać strażników i magów; Skandranon się nie zgodził. Urtho zaproponował, że wzmocni jego obronne zaklęcia, jak robił to już wiele razy; Skan i na to nie przystał. Skandranon poprosił jedynie o wyostrenie jego magicznych zmysłów - jego wzrok magiczny, nie używany przez dłuższy czas, stracił swą ostrość. Urtho uśmiechnął się i spełnił jego prośbę, a Skandranon natychmiast wyleciał z Wieży, chwytając porywisty wiatr w szeroko rozpostarte skrzydła.

Było to trzy tuziny mil i cztery posiłki temu; wystarczający czas, aby pokonać taką odległość. Nieprzyjaciel był mistrzem strategii. Dla Urtho katastrofą był już sam fakt, że armia wroga zbliżyła się do jego Wieży, a teraz okazało się jeszcze, że wróg był gotów maszerować na samą Wieżę. Układ obozowiska wskazywał, że w skład armii wchodzi trzy korpusy wojska; makaary zostały przydzielone do dwóch. Między nimi znajdował się wóz zbrojmistrza, silnie zabezpieczony i osłonięty, otoczony dwoma innymi przykrytymi brezentem.

Chwileczkę. Będąc tak blisko miasta - gdzie jest palenisko i wygodne spanie - zbrojmistrz stacjonuje w namiocie?

Każda strona w tej wojnie miała swoich jasnowidzów i wróżbitów, których moc mogła wypaczyć sekretne plany bez względu na to, jak misternie zostały opracowane. Jasnowidz na przykład, przeczuwając morderstwo, potrafi udaremnić ten czyn. W noc poprzedzającą zajęcie Przełęczy Stelvi, jedna z wróżek miała wizję straszliwej nowej broni, która zniszczy stacjonujący w przełęczy garnizon Urtho. Kobieta powiedziała, że jest to coś magicznego, ale znajduje się w rękach zwykłych żołnierzy. Już samo to ostrzeżenie wystarczyło, aby Skan stał się podejrzliwy i zbadał tę dolinę.

W wojnie magów ograniczona liczba adeptów i mistrzów ułatwiała taktyczne posunięcia - można zbadać swoich przeciwników, określić ich siły, a nawet zidentyfikować dowódcę, tylko obserwując jego strategię. Skandranona zaalarmowała myśl, że moc magów mogła się znaleźć w rękach nie wyszkolonych ludzi - tych, którzy nie mieli wrodzonej mocy lub wyuczonych umiejętności posługiwania się magią. Wyposażone w taką broń oddziały stałyby się nieprzewidywalne i trudno byłoby się przed nimi zabezpieczyć. Mistrz mógł wjechać na pole bitwy i użyć swej mocy, wypuszczając ogniste strzały, błyskawice, huragany - ale nadal był to tylko jeden człowiek i można go było wyeliminować. Gdyby jednak taką moc zyskali zwykli żołnierze, staliby się prawdzi-

wym postrachem, nawet jeśli każdy z nich mógł tylko raz użyć swej broni. A gdyby adept odkrył sposób, w jaki można zasilać taką broń mocą magicznych węzłów...

Wolał o tym nie myśleć. Skandranon dwadzieścia miesięcy temu zmierzył się z adeptem, Kiyamvirem Ma'arem, dowódcą wszystkich znajdujących się poniżej oddziałów. Zgłosił się do tej misji na ochotnika i przywłókł się z niej do domu ze złamanym skrzydłem, nawiedzany przez zmory. Widział swoich towarzyszy obdzieranych ze skóry przez zaklęcia adepta, których Skandranon nie potrafił odeprzeć. Zmory już go opuściły, ale koszarne wspomnienie kazało mu bronić ludzi Urtho przed bezlitosną tyranią Kiyamvira.

Skandranon objął spojrzeniem miasto Laisfaar. Garnizon Urtho nie składał się z samych ludzi, byli tam także hertasi, kilku tervardi i trzy rodziny gryfów. Skan przebiegł wzrokiem po murach obronnych. Wstęgi dymu unosiły się nad zgłiszczami... Tylko tyle pozostało po przypuszczonym przez wroga ataku. Jeszcze niedawno były tam legowiska gryfów, rampy dla gości, słoneczne leża, gniazda gryfiątek...

...krwawe plamy, spalone pióra, połyskujące żebra...

Zwykle okrucieństwo wojny. Do diabła z tym.

Jeszcze tak niedawno była żywa; umarła z upływu krwi, uciekła przed najgorszym... Makaanry nie miały litości dla gryfów. W nagrodę od swych panów dostawały po bitwie jednego, jeszcze żywego. Często był to przerażony młodzik, podobny do szaropiórej, której zwłoki widział. Inne gryfy bez wątpienia pozbawiono skrzydeł, wsadzono do klatek i wysłano do Kiyamvira, aby się zabawił. Skandranon dobrze wiedział, że pod koniec dnia żadnego z nich nie będzie już można uratować, chyba że nie cierpiące zwłoki sprawy oderwą Ma'ara od ulubionego zajęcia.

Gdyby mógł, Skandranon upewniłby pojmanych, że męka nie potrwa długo. Nie był w stanie pomóc kalekom w ucieczce, ale mógł skrócić ich męczarnie.

Musieli poczekać; miał pilniejsze sprawy.

Skradał się, trąc brzuchem po ziemi niczym kot; stawiając powoli łapy, pełzł po podszyciu z tak daleko posuniętą ostrożnością, że nawet liść nie zaszeleścił. Wokół wozów zbrojmistrza stało wielu strażników, ale nawet sam mistrz nie mógł kontrolować całego terenu. W górach było wiele pokrytych zaroślami wąwozów, którymi mógł się czołgać Skandranon, oraz skarp, które go osłaniały. Makaanry strzegły obozu

przed niespodziewanym szturmem z powietrza, jednak nie zapuszczały się zbyt daleko; nikt nie podejrzewał, że gryf mógł wylądować kilkaset stóp od wartowników i ruszyć dalej na piechotę.

Tylko gryf mógł tego dokonać, gryf o imieniu Skandranon. Dowódcy nie wystawili wart, strzegących obozu przed jego atakiem. Skan nie potrzebował niczego więcej. Kiyamvir na pewno solidnie by ich zganiał za taki błąd - ale tylko on zdawał sobie sprawę z możliwości gryfów. Dowódcy zazwyczaj uważali gryfy za inny rodzaj makaarów i nie zwracali sobie głowy wystawianiem czujek.

Skandranon przyczał się w cieniu zarośli i bezszelestnie pełznął dalej; w niczym nie przypominał makaara.

Czas nie miał dla niego żadnego znaczenia; gryf był gotowy brnąć tak do celu choćby i całą noc. Nawet w najbardziej zdyscyplinowanej armii po zwycięstwie następuje rozprężenie: żołnierze są zmęczeni i potrzebują odpoczynku; zwycięstwo przytępia czujność. Właśnie taki czas wybrał dla swej misji Skan.

W granicach samego obozu nigdzie nie dostrzegł wartowników; jego doskonały słuch podpowiadał mu, że dowódcy nie patrolują terenu, jak to mieli w zwyczaju przed każdą bitwą. Bez wątpienia komendanci byli tak samo zmęczeni jak żołnierze i spali równie głęboko.

Czekając na dogodny moment, gryf próbował zapamiętać szczegóły. Gdyby zginał, a Urtho zdołał wydostać jego ciało z rąk wroga - mag będzie mógł poddać dokładnemu badaniu jego pamięć, by uzyskać potrzebne informacje. O ile umrze szybko: inaczej wspomnienia obozu zostaną zastąpione wspomnieniami tortur. Kilka razy odbijali już swych martwych towarzyszy, a ich pamięć przynosiła wiele informacji.

Na przykład dowiadywano się, gdzie znajduje się reszta gryfiej rodziny. Jednak tę zdolność do zapamiętywania szczegółów mógł też wykorzystać przeciwnik: często przełamywano opór jeńców i więźniowie udzielali informacji wrogowi. Dlatego właśnie Skandranon poznał straszliwe zaklęcie śmierci, przynoszące wybawienie schwytanym gryfom.

Całym sobą pragnął jednak, by nie musiał go nigdy więcej użyć.

W połowie drogi do swego celu znieruchomiał, usłyszawszy kroki kogoś zbliżającego się do kępy wysokich traw, gdzie leżał ukryty. Kryjówka, która chwilę wcześniej wydawała się tak wspaniała, teraz mogła okazać się pułapką...

Sprytny ptaku, ukryty w trawie, módl się lepiej, żeby nie powiał

wiatr...

Odgłos kroków stawał się coraz bardziej wyraźny, Skan wstrzymał oddech, aby jego pozycji nie zdradził strumień pary wydychanej w mroźne powietrze. Znieruchomiał w pół kroku; prawy szpon zawisł nad ziemią.

Nie był w stanie zobaczyć człowieka, który właśnie nadszedł, bez obracania głowy. A tego właśnie nie chciał zrobić. Mógł tylko czekać i nasłuchiwać.

Kroki ustały, usłyszał stłumione przekleństwo i odgłos szarpania się z ubraniem...

Potem wyraźny odgłos strumyka cieczy spadającej na trawę.

Człowiek chrząknął i ziewnął. Gryf usłyszał jeszcze, jak zapina spodnie, a potem oddalające się kroki.

Skandranon poruszył się, opuścił nogę na ziemię.

Dalszą drogę do obozowiska przebył już bez żadnych niespodzianek. Wślizgnął się pod kępę krzaków dzikiej śliwy, aby przeczekać do świtu. Mijały minuty i czuł, że oblażą go chrząszcze i pająki. Powstrzymał nieodpartą chęć strąśnięcia ich, i pozostawał nieporuszony. W cichości ducha błogosławił tysiące drobnych nózek, dzięki nim jego zmysły pozostawały czujne.

Skandranon postanowił czekać, aż nastanie zupełna ciemność, potem wyslizgnie się z ukrycia i zbada obóz. W armii uważano, że swą umiejętność ukrywania się zawdzięcza magii Urtho. Starzec jednak zaprzeczał, wyjaśniając to prawie obsesyjnym zainteresowaniem gryfa tańcem. Często obserwował, jak Skandranon naśladuje w ukryciu artystów - ludzi, tervadi czy hertasi. Skan ćwiczył z oddaniem, do jakiego nigdy by się nie przyznał, chyba że dotyczyłoby to latania, uprawiania miłości czy walki. Właśnie te ćwiczenia, a nie żadne czary czy sztuczki, czyniły go cichszym od poszumu wiatru. Wyćwiczona gracia.

*Sama cisza nie wystarcza. Urtho przekonał się o tym w najboleśniej-
szy sposób - straciliśmy graniczne miasta na połowę pokolenia i dopiero
teraz zaczynamy robić coś więcej niż tylko bronić naszych granic. No
dobrze, Urtho nigdy nie miał zamiaru być arcymagiem. Bardziej nadaje
się do spokojnej dłubaniny w srebrze i rzeźbienia figurek niż do musz-
trowania szeregów wojska.*

Szkoda, że człowiek o tak dobrym sercu musi być wojownikiem...
lepiej on, niż ktoś zupełnie pozbawiony serca.

Dużo bym dał, aby teraz robić małe gryfiątka.

To musi poczekać, aż świat stanie się bezpieczniejszym miejscem dla młodych. Na razie Skandranon czekał... aż od strony miasta dobiegł go straszny krzyk, który odbił się echem od ścian doliny.

Tylko wyćwiczona samokontrola powstrzymała go przed wyskoczeniem w powietrze. Szpony napięły się, gryf miał ochotę drzeć i targać...

Co najmniej jeden jeszcze żyje. Nadchodzę, przyjacielu, nadchodzę... wytrzymaj jeszcze trochę. Choć odrobinę.

Skandranon wstał i jeszcze raz przyjrzał się obozowisku. Podobne krzyki słyszał już wiele razy w życiu. Rozpostarł do połowy skrzydła i skoczył w kierunku wozów zbrojmistrza, licząc na swą szybkość. Przeszywający wiatr zaświszczał mu w nozdrzach, mroząc zatoki, szarpiąc mózg. Kiedy był w ruchu, wszystko, co widział i słyszał, intensywniało, w jego polu widzenia pojawiały się nawet szczegóły mijanych kształtów.

Poderwać się i polecieć, oto twój plan, prawda, ty cholerny, głupi ptaku? Masz zamiar zginąć jak bohater, którym cię potem obwołają. Dlaczego? Ponieważ nie możesz wytrzymać ani chwili dłużej, gdy drugi gryf skręca się z bólu? Nie możesz jeszcze trochę poczekać?

Wozy były coraz bliżej, a ich magiczne alarmy błyszczały w świetle, czekając, niczym kolczaste sidła, aby je ktoś ruszył. Czy oprócz tego, że są alarmami, są też pułapkami? Czy torturowany gryf jest tylko przynętą?

A jakie to ma znaczenie? Łatwo cię przewidzieć, Skan, jesteś zbyt wrażliwy, nie możesz trochę poczekać. Ona, zanim tam dotrzesz, i tak umrze, wiesz o tym. Po co to robisz?

Trójwymiarowe kolory i struktury mijaly go, kiedy coraz bliżej skradał się do wozów.

To dlatego, że nie jesteś dość sprytny, głupi gryfie. Głupi, głupi gryfie. Śmierci i tak nie da się uniknąć, a więc śmierć w imię słusznej sprawy jest...

...Również końcem.

Głupi gryfie.

Za późno na żal... Obszar wozów alarmowych majaczył coraz bliżej i Skan musiał zaryzykować jakieś zaklęcie, aby je rozbroić - najprościej było kazać im sprawdzić inne miejsce w pobliżu tego, które miały rzeczywiście ochraniać.

Skoncentrował się na nich, rzucił zaklęcie, skierował pole ich oddziaływania na otwartą część obozu... i alarmy nie zadziałały. Teraz pozo-

stali jeszcze żołnierze, którzy mogli go zobaczyć... i makaary, oczywiście. Potrafił sprawić, aby alarmy go nie wykryły, ale nadal był czarną plamą widoczną dla każdej pary oczu. Żołnierz z armii Ma'ara nie będzie się zastanawiał, co to za cień porusza się po niebie - natychmiast podniesie alarm.

Gryf czekał, aż go ktoś wykryje; dopadłby ofiarę, zanim zdołano by rzucić na niego jakiegokolwiek czary. Będąc już zdemaskowany, nie musiałby się dłużej ukrywać... mógłby posłużyć się zaklęciem wykrywania, aby odnaleźć gryfa, którego krzyk słyszał wcześniej. W przeciwnym razie był skazany na długie, ostrożnie prowadzone poszukiwania. Oczywiście zdemaskowanie łączyło się także z takimi kłopotami, jak strzały, ogniste pioruny, pułapki, zaklęcia...

Zwinął skrzydła i wylądował, rozpryskując grudki błota obok wozu. Kręcił głową z boku na bok, szukając zwiadowców. Nie dostrzegł żadnego, ale to z pewnością bardzo szybko się zmieni. Zrobił dwa kroki do przodu, wskoczył na tył wozu, a potem pod niego - *nikt nigdy nie strzeże rzeczy od spodu, tylko z boków lub przy drzwiach* - i zaczął napierać na podłogę, niedaleko osi kół, gdzie błoto, woda i tarcie podczas jazdy zawsze powodują butwienie drewna. Leżał skulony na plecach, z ogonem podwiniętym między łapami, ze skrzydłami złożonymi wzdłuż klatki piersiowej, tylnymi szponami przytrzymując ich końce. Bał się zahaczyć o płótno plandeki wozu; z doświadczenia wiedział, że pozornie słaba osłona bywała często naszpikowana zaklęciami alarmującymi. Jego szpony promieniowały delikatnie zaklęciem zniszczenia i tam gdzie drapały, drewno zaczynało się powoli zwęglać. Jego skrzydła tłumili wszelkie dźwięki.

Wozy wrogów tradycyjnie miały wejście z tyłu i tam właśnie próbował dostać się Skandranon... jeszcze czwarte cięcie, piąte, szóste i pod osłoną zaklęcia ciszy mógł wyciągnąć kilka desek. Zajrzał do środka, spojrzął na pożądany łup...

Zaczął w myślach recytować czar ciszy, przyzywając zgromadzoną w sobie energię i uwalniając ją wokół wozu. Dbał o to, aby ukształtować ją tuż przy samym wozie, poczynając od ziemi. Umocnienia wozu mogły być wrażliwe na tego rodzaju czary. Trudno było cokolwiek przewidzieć, wciąż wymyślano nowe pułapki...

Miał nadzieję, że magowie Ma'ara nie otoczyli obozu tarczami chroniącymi przed działaniem magii. Wszystko idzie dobrze, aż za dobrze. Skan zacisnął szpony i pociągnął za ośkę przy kole, wyłamując ją; całe

zawieszenie upadło na ziemię o kilka centymetrów od jego dzioba...

...i oto Skandranon znalazł się twarzą w twarz z wściekłym, wyrwanym ze snu zbrojmistrzem, który zaczął coś wyciągać - na pewno broń - spod swego posłania. Wycelowany w gryfa oręż bojowy zaczął się zmieniać...

Prawy szpon Skana wystrzelił, wbijając się w głowę człowieka, w jego oczodół. Wpił się w niego i Skan poczuł, jak ciało człowieka ustępuje, poddaje się. Bulgocący krzyk słabł pod osłoną czaru ciszy, aż w końcu słychać było jedynie odgłos wyciąganego z ofiary szponu.

Ręce człowieka przeszedł skurcz. Upuścił broń wycelowaną w Skana. Był to wypolerowany pręt ze skórzaną rękojeścią i z wysuwającym błyszczącym ostrym końcem. Wypadł on z martwych palców mężczyzny i potoczył się na ziemię. Ostrze schowało się z powrotem do pręta.

W pozycji na plecach, ukryty pod wozem, na dodatek w obozie wroga, zabiłeś jedną ręką zbrojmistrza? Nikt ci nie uwierzy. Nigdy. Poszło za łatwo, za łatwo, głupi gryfie.

Wkrótce na pewno ktoś nadejdzie, Skan. Ruszaj się. Bierz to świństwo i zmykaj. Tego właśnie ci trzeba. Zmykać.

Skan uwolnił końce skrzydeł i przeciągnął się nad ciałem zabitego człowieka, ocierając grzbietem o nierówne krawędzie wyłamanego drewna. Brzegi skrzydeł zaczepiły się, unieruchamiając go w otworze. Sapał z wysiłku, próbując precyzyjnie się przez małą dziurę. Wewnątrz wozu było ciemno, jedynie przez szpary w brezencie dochodziło słabe światło. W otwartych skrzyniach leżały błyszczące przedmioty, takie same jak ten, który jeszcze przed chwilą trzymał w dłoni zbrojistrz, każdy długi jak szpon Skana. I ostrzejszy od jego szponów, Skan był tego pewien. Nigdy przedtem nie widział podobnej broni i nie potrzebował zaklęć, żeby wiedzieć, że wykonał ją mag. Magia promieniowała z niej, a jej skumulowana moc powodowała, że skóra mu cierpła, jakby znalazł się w środku mającej właśnie się rozpętać burzy z piorunami. Teraz trzeba wziąć choć jedną sztukę i zmykać! Skan sięgnął do skrzyni, prawie dotykając już jednego z tych przedmiotów, gdy nagle jego wewnętrzny głos krzyknął: nie!

Taki sam oręż miał zbrojistrz... tych tutaj strzegł... mogą okazać się niebezpieczne...

Cienki niczym włos strumień czerwonej energii przepłynął między bronią a jego wyciągniętym szponem, upewniając gryfa co do słuszności obaw.

Jednak jest jedna sztuka, która z pewnością nie spowoduje nic złego...

Skan poruszył się wolno, złożył ciasno skrzydła, potem wycofał się na wszystkich czterech kończynach do tyłu wozu. Następnie sięgnął przez pogruchotane deski podłogi, szukając po omacku broni zabitego zbrojmistra. We własnej broni człowiek na pewno nie umieścił pułapki; zbrojmistrzowie z reguły byli pyszni i sądzili, że sami mogą sobie ze wszystkim poradzić.

Niedobrze. Pierwszy błąd będzie ostatnim. O co chodzi, głupi ptaku? Pysznisz się, bo jeszcze żyjesz? Przecież masz jeszcze coś do zrobienia, liczy się każda sekunda.

W końcu Skan poczuł pręt; był gorący w dotyku, choć szpony gryfa chroniła gruba, łuskowata skóra. Gryf wycofał się, mrużąc oczy i starając się nie dotknąć skrzynek z chronioną przez czar bronią. Wetknął swój łup do dzioba i przeszedł ostrożnie nad zrobionym przez siebie otworem, sięgając w kierunku nie związanej poły brezentu.

Pomyślmy, co może stać się najgorszego? Dotknę płótna i cały wóz wyleci w powietrze, bo uwolnię energię tych przedmiotów? To podobne do Ma 'ara; jeśli on nie może ich mieć, to nikt inny też nie... Powinienem się z tym liczyć.

Skandranon naprężył mięśnie nóg, przygotowując się do solidnego skoku przez wyjście, kiedy usłyszał kroki na zewnątrz. Chwilę później ktoś szarpnął klapę i w wejściu zamajaczył przeklinający cień.

Teraz. Teraz!

Gryf skoczył w tej samej chwili, gdy postać odchyliła płótno. Skan użył ramion mężczyzny jako podpórki, siłą rozpędu rozgniół twarz mężczyzny o bok wozu. Rozpostarł skrzydła, zahaczając nimi o brezent, i wzbił się w powietrze. Wtedy rozległ się ogłuszający huk: pułapka zastawiona w wozie zadziałała i po ziemi rozpełzł się purpurowy okrąg ognia, zagarniając ciało człowieka i dosięgając drugiego wagonu. Ludzkie zwłoki wygięły się w łuk i w jednej chwili zmieniły się w popiół.

Wtedy obudziły się makaary.

Koniec twojego pięknego żywota, gryfie. Zanim umrzesz, możesz wreszcie działać... znajdź ją, gdziekolwiek jest, uczyni przynajmniej to...

Skrzydła Skana uderzały powietrze, powiększając dystans dzielący go od obozu. Jednak sumienie nie pozwalało mu wrócić do domu, zanim

nie dokończy pewnej sprawy. Gdzieś - jego umysł przeszukiwał obóz i miasto, aby ją znaleźć - powoli umierała jedna z jego gatunku...

Szukał i gdy wzniósł się nad grzbietem skał, znalazł jej udreńczony umysł. Poczuł, jakby w jej ciało wbito tysiące szpilek, widział je pocięte przez setkę oszalałych chirurgów, potrzaskane drewnianym młotkiem. A jednak nadal żyła. Nastąpił bolesny moment, gdy umysł Skana nie mógł już dłużej znieść tej udreki. Gryf poczuł, jak jego skrzydła składają się odruchowo.

Zabij mnie - krzyczała - powstrzymaj ich, zrób coś, cokolwiek!

Postuchaj mnie - wysłał jej wiadomość Skan. - Postuchaj i zaufaj mi: najpierw będzie ból, a potem wszystko stanie się ciemnością. Znowu wzlecisz, jak pragnął tego Urtho...

Przestała krzyczeć, ponieważ rozpoznała słowa zaklęcia śmierci. Nie zdarzyło się, aby ktoś próbował je zatrzymać...

Odwrócił się od niej na chwilę, próbując wyrównać swój lot. Potem wypowiedział do końca zaklęcie, pochwyił jej umysł i uwolnił go z jej ciała w ciągu jednej skrecającej wnętrzości chwili. Zaklęcie zatrzymało pracę jej serca.

Przykro mi, tak mi przykro... wzlecisz znowu, gdy przeminą ciemności...

Potem uwolnił jej ducha, by mógł poszybować z wiatrem.

W odległym więzieniu związane ciało z poobcinanymi skrzydłami poruszyło się w konwulsjach i zastygło. Skandranon rzucił się w desperacki lot ponad doliną, nie mogąc nawet nad nią zapłakać, gdyż siedem makaarów pruło po niebie, aby go dopaść.

W końcu generał zasnął.

Bursztynowy Żuraw zaczął wstawać, ale szybko opadł na swe miejsce obok łóżka, bo Corani przebudził się, cicho wzdychając. Niepokój nadal wypełniał komnatę. Był wyczuwalny nawet dla najsłabszego empaty, a dla kogoś tak silnego jak Bursztynowy Żuraw ból Coraniego stawał się niemal nie do zniesienia.

Bursztynowy Żuraw czekał, aż generał zacznie mówić. Jednocześnie promieniował ciepłem i poczuciem pewności, a kojące zapachy, unoszące się nadal w powietrzu, ułatwiały mu zadanie. Wokół wyczuwalna była woń bursztynu, olejku rumiankowego, którego używał podczas masażu, oraz jaśminu neutralizującego smak ziół nasennych w herbatce, jaką podał Coranemu. Nie zwracał uwagi na pulsujący ból

w skroniach, ściśnięty żołądek i okropne przeczucie, które ogarnęło go, gdy został wezwany przez generała. Jego uczucia nie liczyły się, on był kestra'chern, a jego klient - bardziej pacjent niż klient, jak to często bywało - potrzebował go. On musiał być tą silniejszą stroną, tą opoką, na której można się oprzeć. Nie znał dobrze Coraniego - tym lepiej dla obydwu. Często ludzie sprawujący władzę łatwiej otwierali się przed obcym niż przed przyjacielem.

Kwatera generała mieściła się w twierdzy Urtho, a nie w namiocie na terenie obozu. Tutaj można było zaciągnąć ciężkie zasłony, aby odciąć się od świata, zapalić pachnące lampy dające delikatne światło, które pozwala zapomnieć o wojskowym obozie znajdującym się pod twierdzą. To nie generał wezwał Bursztynowego Żurawia. Kilkakrotnie pisał do obozu po kestra'chern, ale chciał, aby przybyła Riannon Sil-Kedre - jeśli chodzi o umiejętności, była trochę słabsza od Żurawia, ale równie utalentowana i ceniona. Nie, zrobił to jeden ze służących Urtho, który cicho wszedł do namiotu, a swą liberię okrył płaszczem. To powiedziało więcej o jego wizycie niż sam chłopak.

Gdy Bursztynowy Żuraw przybył, generał był u Urtho. Corani wrócił w końcu do swojej kwatery, ale nie zdziwił się, widząc tam kestra'chern. Był wyraźnie rozbity i Bursztynowy Żuraw potrzebował kilku godzin i wszystkich swych umiejętności, aby skłonić go do zrzucenia ciężaru ze swego serca.

Wiedział, dlaczego Urtho wybrał jego, a nie Riannon. Czasami łatwiej było mężczyźnie dogadać się z drugim mężczyzną niż z kobietą - a Bursztynowy Żuraw był całkowicie godny zaufania. Zawsze zatrzymywał dla siebie wszystko, co usłyszał. Potrafił zagrać różne role, na przykład dziś wieczór był uzdrowicielem, kapłanem i zwykłym, nie wpętanym w żadne układy "uchem".

- Musisz być rozczarowany - powiedział generał z rezygnacją w głosie, wpatrując się w przyciemnione światło lampy. - Pewnie myślisz, że jestem słabeuszem.

Takie słowa wypowiedział Corani, ale Bursztynowy Żuraw dzięki swym zdolnościom usłyszał to, co jego klient myślał.

W rzeczywistości mówił: "Budzę w tobie wstręt, kiedy tak się nad sobą rozczulam, i wydaję się taki nieopanowany" i "Pewnie mną gardzisz i myślisz, że nie jestem wart swej pozycji".

- Nie - odparł krótko Bursztynowy Żuraw na oba - to wypowiedziane i to nie wypowiedziane - przypuszczenia. Nie chciał myśleć o tym, co

załamanie generała oznacza dla niego samego; nie wolno mu o tym myśleć. Nie wolno mu pamiętać o posłańcach, którzy ostatniej nocy wyrwali ze snu cały obóz, o przeczuciach, które obudziły bardziej wrażliwych uzdrowicieli i kestra'chern z majaków pełnych koszmarów o krwi i ogniu za linią gór. Nie wolno myśleć o tym, że rodzina Coraniego pochodzi z Laisfaar, miasta leżącego za Przełęczą Stelvi, i że podczas gdy jego synowie dostali posady w wojsku, jego żona i wszyscy krewni byli właśnie tam. Tam, gdzie poleciał Skandranon. On i Gesten nie wiedzieli, dlaczego i z jakiego powodu; wiedzieli tylko, że odleciał bez pożegnania.

- Nie - powtórzył Bursztynowy Żuraw, ujmując zwisającą dłoń generała, zanim Corani zdołał ją cofnąć, i ostrożnie zaczął mu masować nadgarstek i palce. Mięśnie były napięte i skurczone, a ręka zimna. - Nie jestem głupcem. Jesteś człowiekiem i jesteś śmiertelny; na nasze życie składają się pomyślne i złe chwile. Każdego z nas dopadną te drugie. Trzeba je pokonać; tym razem padło na ciebie. To nie wstyd prosić o pomoc.

Gdzieś, głęboko w środku, zastanawiał się, czy złe chwile nie przyszły również na niego. Narastało w nim napięcie, które w każdej chwili groziło wybuchem. Nie był aż tak pyszny, aby myśleć, że sam potrafi sobie z tym poradzić, bez niczyjej pomocy. Pytanie tylko, czy jakiś ratunek dla niego był możliwy? Musiał pomóc zbyt wielu poranionym duszom, zbyt wiele posiniaczonych ciał pocieszyć, a możliwości uzdrowicieli, jak i kestra'chern, były wykorzystane do ostateczności. To że był blisko wyczerpania swych rezerw, nie miało większego znaczenia.

Zbyt wielu jego klientów wyruszyło na bitwę i nie powróciło. Oczekiwał Skana o wschodzie słońca; kiedy służący Urtho przyprowadzili Bursztynowego Żurawia do kwatery Coraniego, miało się już prawie ku zachodowi. Skan nigdy się nie spóźniał.

Jednak w tej chwili kestra'chern musi pozbyć się dręczącego go napięcia. Nie może niczego dać po sobie poznać - nie powinien pozwolić, aby cokolwiek osłabiło jego koncentrację i skupienie. Najpierw trzeba pocieszyć i wesprzeć Coraniego, to on jest walącą się ścianą. Musi wyzdrowieć i normalnie funkcjonować. W Przełęczu Stelvi stało się coś niedobrego, coś strasznego. Corani nie powiedział mu co, ale Bursztynowy Żuraw wiedział to z całą pewnością. Przełęcz Stelvi została zaatakowana. Laisfaar, a wraz z nim rodzina Coraniego, przestało istnieć. Lepiej byłoby dla nich, gdyby nie żyli, niż mieli znaleźć się w rękach

Ma'ara, chyba że zdołali ukryć swoją tożsamość i zniknęli wśród ludności. A to było mało prawdopodobne.

Corani przyjął to tak, jak mądrzy generałowie przyjmują wszystkie fakty. Podobnie zareagował na pocieszenia Bursztynowego Żurawia. W każdym razie w tej chwili. Była to jeszcze jedna z umiejętności tego kestra'chern - potrafił oszukać czas. Czas potrzebny, by nabrać dystansu, czas potrzebny do uzdrowienia.

- Moi synowie...

- Myślę, że Urtho już się z nimi widział - odparł szybko Bursztynowy Żuraw. Urtho wszystkiego dopatrzył, taki był.

Skan...

Szybko zdusił tę myśl i ból, jaki ona wywołała.

Środek nasenny dosypany do herbaty generała zaczął działać. W przytłumionym świetle Corani zmagał się z opadającymi powiekami. Oczy miał nadal zaczerwienione i opuchnięte od płaczu. Generał zwalczał te łzy, walczył, aby zatrzymać je w środku z determinacją, która uczyniła go przywódcą. Bursztynowy Żuraw zmagał się z tą jego determinacją za pomocą swej woli, która była nie mniej silna.

- Czas spać - powiedział cicho.

Corani zamrugął, ale zmierzył go jeszcze taksującym spojrzeniem.

- Nie jestem pewien, czego się spodziewałem, gdy ujrzałem cię tutaj - powiedział w końcu. - Zawsze liczyłem na Riannon...

- Riannon dawała ci wcześniej to, czego wtedy potrzebowałeś - odparł Bursztynowy Żuraw, lekko dotykając policzka generała. - Ja robię to, czego potrzebujesz teraz. Czasami jest to coś innego niż to, czego spodziewa się klient. - Położył dłoń na czole generała. - W końcu na tym polega zadanie kestra'chern, dawać każdemu to, czego mu trzeba.

- A niekoniecznie to, czego on sam chce - dopowiedział szybko Corani.

Bursztynowy Żuraw pokiwał głową.

- Tak, generale. Niekoniecznie to, o czym myśli, że chce. Serce wie, czego trzeba, ale głowa ma często inne pomysły. Na tym polega zadanie kestra'chern, aby zapytać twoje serce, a nie twoją głowę, czego ci trzeba, i odpowiedzieć na tę potrzebę.

Corani skinął głową, jego powieki opadły.

- Jesteś silnym człowiekiem i dobrym dowódcą, generale Corani - ciągnął Bursztynowy Żuraw - ale żaden człowiek nie może być w dwóch miejscach naraz. Nie mogłeś być jednocześnie tam i tutaj. Nie

możesz przewidzieć wszystkich posunięć wroga. Wojna rządzi się własnymi regułami. Nie jesteś odpowiedzialny za całą armię. Zrobiłeś, co mogłeś, dobrze wypełniłeś swe obowiązki.

Mięśnie na szyi Coraniego napięły się, jakby usiłował nad sobą zaplanować. Bursztynowy Żuraw wyczuł, że generał połyka łyżę. Corani zmagali się jednak z czymś więcej niż tylko ze łyżami; był bliski załamania. A to by niczego nie dało, absolutnie niczego. Ten człowiek potrzebował odpoczynku. Bursztynowy Żuraw trzymał rękę na jego czole, próbując nagiąć go do swej woli.

- Musisz zasnąć - powiedział kestra'chern Bursztynowy Żuraw, przekazując rozkaz do mózgu. Corani zamknął oczy i tym razem nie przebudził się, gdy Bursztynowy Żuraw wstał, aby odejść.

Gesten najprawdopodobniej znajdował się tam, gdzie był od świtu, na lądowisku, czekał na powrót Skandranona. Bursztynowy Żuraw dyskretnie opuścił twierdzę w szkarłacie zachodzącego słońca. Lądowisko było niedaleko i kestra'chern postanowił skierować się tam, zamiast wracać do swojego namiotu.

Przygnębienie, które czuł w sercu, nie zniknęło na widok Gestena, cierpliwie przygotowującego się do nocnego czuwania.

Bursztynowy Żuraw milczał przez chwilę, po czym odezwał się.

- Nie wraca - powiedział cicho.

Jego towarzysz, hertasi Gesten, spojrział na niego swymi Wyrazistymi oczami i prychnął. Trzymał swój łuskowaty pysk zamknięty przez długą chwilę.

- Wróci. Zawsze wraca - powiedział w końcu Gesten. - Jakoś.

Bursztynowy Żuraw z całego serca pragnął, aby mały hertasi miał rację i tym razem. Skandranon opuścił Wieżę dwa dni temu, a Przełęcz Stelvi była od niej oddalona o mniej niż dzień lotu. Nigdy przedtem się tak nie spóźniał. Gesten miał zamiar rozpalic ognisko dla wspólnego przyjaciela, a pośród drewna na podpałkę poutykał naczynia z wydostającym się z nich kolorowym dymem. Być może był to bezużyteczny gest, ale w tej chwili mógł tylko wzniecić biało-niebieskie wstęgi dymu, aby powitać lotnika w domu, aby Skan już z daleka wiedział, że za chwilę będzie bezpieczny...

Bursztynowy Żuraw próbował mu pomóc, ale nie miał serca do tej roboty.

- Urtho zwołał naradę - rzekł. Wiedzieli o tym wszyscy i nic się nie

stanie, jeśli powie o tym teraz hertasi. - Dwa gryfy przybyły z Laisfaar prosto do Wieży, a dwie godziny później Urtho przysłał mi wiadomość, abym udał się do generała Corani.

Gesten skinął głową, najwyraźniej rozumiejąc, co Bursztynowy Żuraw miał na myśli; Corani potrzebował szczególnych umiejętności kestra'chern. Dopóki Urtho nie zaczął go bardziej potrzebować tutaj niż w jego rodzinnym mieście, generał był na stałe przydzielony do przełęczy. Przez ostatni tydzień przebywał w Wieży, prosząc Urtho o szczególną opiekę nad przełęczą i miastem. O tym również wszyscy wiedzieli.

- Co możesz mi powiedzieć? - Gesten wiedział dobrze, że Bursztynowy Żuraw niewiele mógł mu wyjawiać. - Czego Corani potrzebował?

Zapytany zastanowił się, szukając właściwego słowa.

- Potrzebował współczucia, Gestenie - odparł, układając stos z olejnych klocków opałowych. - W Wieży wydarzyło się coś, o czym nie chciał rozmawiać; a ze sposobu, w jaki się zachowuje, mogę przypuszczać, że wieści były złe. Mówiąc między nami, jest bliski załamania. To do niego niepodobne. A teraz... Skandranon się spóźnia.

Bursztynowy Żuraw wygładził swój jedwabny kaftan, strzepując drewniane wióry. Wiedział, że bruzdy zmartwienia przeorały jego przystojną twarz, ale był zbyt przygnębiony, żeby się tym martwić. Bezwiednie odgarniał czarne włosy, które niesfornie opadały mu na twarz.

- Sądzę, że tym razem on nie wróci - rzekł. - Czuję to w swoim brzuchu...

Gesten podniósł jedną kłodę i wycelował nią w Bursztynowego Żurawia.

- A ja czuję w swoim brzuchu, że on wróci, i nie mam zamiaru słuchać twojego jęczenia o "biednym Skanie". On zawsze wraca. Zawsze. Rozumiesz? A ja będę tutaj siedział, przy tym ognisku, dopóki on nie powróci albo wojsko nie strati tego ogniska.

Bursztynowy Żuraw cofnął się, zdziwiony gwałtownością mowy zwykle spokojnej jaszczurki. Gesten jeszcze przez chwilę stał, wskazując na niego kłodą, potem splunął w powietrze i dorzucił ją do rosnącego stosu ogniska.

- Przepraszam, Gesten. - Chociaż Bursztynowy Żuraw chciał przeprosić hertasi tylko za to, że go zdenerwował, ten prawdopodobnie zrozumiał to w inny sposób. - To dlatego, że... no wiesz, co do niego czuję.

- Phi. Wiem. Wszyscy o tym wiedzą. Wydajesz się jedynym, który tego nie wie. - Hertasi otworzył drzwiczki piecyka i wyciągnął poczerńiałymi szczypcami węgiel. Gdy mówił, cały czas machał ogonem. - Wszystkimi się przejmujesz, Żuraw, i nie słuchasz, co się do ciebie mówi. Nie ma w służbie Uitho nikogo lepszego od Skana. Nikt inny prawdopodobnie by nie wrócił. - Gesten wrzucił węgiel między drewniane kłody a naczynia dymne. - Nawet jeśli nie wróci, to umrze tak, jak tego pragnął.

Bursztynowy Żuraw przygryzł wargi. Gesten uważał, że jak zwykle ma rację. Bez względu na to, co powiedziałby kestra'chern, nic go nie przekona, że sytuacja jest beznadziejna, jedynie informacje, których jednak nie wolno mu było zdradzić. Musiał przyznać Gestenowi rację; nawet gdyby stało się najgorsze, Skan umarłby tak, jak tego pragnął.

- Będę cicho, dopóki się czegoś nie dowiemy.

- Dobrze. A teraz wracaj do swego namiotu. Dziś w nocy będziesz musiał sobie radzić z klientami beze mnie. - Gesten skupił się na zapalaniu najpierw środka ogniska, a w chwilę potem zapłonęły białe i niebieskie naczynia dymne. Bursztynowy Żuraw szedł w tę coraz chłodniejszą noc w kierunku Wieży i ruchomego miasta, które wokół niej wyrosło. Tylko raz jeszcze się zatrzymał, aby spojrzeć do tyłu na samotną postać. Gdyby była taka potrzeba, Gesten będzie czekał na Czarnego Gryfa choćby i całą wieczność. Jego serce, już i tak ciężkie, zostało obarczone jeszcze większym ciężarem, prawie nie do zniesienia: łzami, które wstydził się wylać.

Nie, nie teraz, teraz tego mi nie trzeba...

Skandranon zmagał się z grawitacją i z ostrym powietrzem, zaciskając mocno szczęki na swoim łupie. Jego serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi, a pogoń ledwo co się zaczęła. Ścigające go makaary były coraz bliżej, a on dopiero przeleciał nad grzbietem gór. Jakby nie dość tego, że makaary były szybsze od gryfów, to jeszcze odznaczały się większą wytrzymałością. Wystarczyło tylko, aby odcięły mu drogę...

Najwyraźniej właśnie to miały zamiar zrobić. Jego przewaga polegała na zdolności szybszego nabierania i tracenia wysokości. Przy odrobini sprytu mógł zmusić je do reakcji zamiast ataku. Jedyna pociecha w tym, że nie są dobrze zorganizowane - chyba nie prowadzi ich Kili...

Skandranon odwrócił głowę, aby otaksować spojrzeniem swych prze-

śladowców i dojrzał zbyt dobrze znane czarno-białe prażki Kili, starego dowódcy makaarów, któremu ubliżał niezliczoną ilość razy. Kili, który ostatnim razem prawie go złapał, choć dowodził o wiele mniejszym oddziałem, leciał teraz na wysokości tysiąca stóp, trochę powyżej pozostałej szóstki, wykrzykując rozkazy.

Trzy szaro nakrapiane makaary pochyliły skrzydła i przeszły w płytkie nurkowanie, doganiając go coraz bardziej, poświęcając wysokość na rzecz szybkości. Ich trajektoria wypadła poniżej jego i minęły go kilka sekund później, a po nich to samo zrobiły następne trzy. Próbował mieć je wszystkie na oku. Przerzucał wzrok z jednego na drugiego, gdy rozpraszały się i ponownie łączyły. Dlaczego zeszły pod niego, kiedy wysokość jest taka ważna w walce z gryfami?

Wysokość - cholera!

Instynkt wziął górę, zanim jeszcze przejrzał zagrywkę Kiliego. Złożył prawe skrzydło i zanurkował beczką w dół, podczas gdy najstarszy makaar przemknął obok niego prawie o długość pióra. Mijając Skana, Kili wydał okropny wrzask wściekłości. Gryf wyszedł z beczki, rozpóścierając znowu skrzydła i poruszając się po spirali głową w dół ku ziemi i sześciu pozostałym makaarom.

Drań! Miał czelność nauczyć się tego ode mnie!

Skan ponownie złożył skrzydła i pomknął w dół. Szpony i ostre dzioby przeciwników mignęły mu tylko przed oczami, gdy mijał je niczym strzała. Podążał ślepo za ogonem Kiliego. Nie miał wielu szans na wykonanie tego ruchu i ujście z życiem - liczył na swoją szybkość. Na szczęście makaar nie uczynił mu większej szkody, pozbawił go tylko kilku piórek.

Dystans na rzecz szybkości... zobaczymy, czy są w stanie i tego się nauczyć.

Kili leciał tuż przed nim i Skan czuł pokusę, by go zaatakować, ale jego głównym zadaniem było przeżyć i uciec. Obie eskadry makaarów już leciały za nim, wrzeszcząc z furją. Gryf minął ich dowódcę, który zamierzył się na niego zbyt wcześnie i stracił cenną szybkość. Jej odzyskanie utrudnił mu podmuch wywołany przelotem podwładnych. Cała szóstka przemknęła obok niego, goniąc Skandranona, który skierował się z powrotem ku Laisfaar.

Głupi gryfie, miałeś uciekać z tego miejsca!

Graniczne pasmo gór wyrosło przed nim niespodziewanie szybko. Skandranon skupił całą uwagę na skalnej płaszczyźnie znajdującej się

przed nim i badał szczeliny wyżłobione w kamieniu przez czas. Jego oddech stał się nierówny, gdy zmagał się ze zmęczeniem. Kątem oka ujrzał kolejne makaary szybujące przez przełęcz w jego kierunku.

Gdy tylko zobaczą, jak rozkładam skrzydła, będą myślały, że chcę przyhamować, aby zakręcić lub polecieć do góry...

Skan złożył skrzydła, prując prosto na urwisko. Czuł na karku oddech żądnych krwi makaarów. Kamienna ściana wypełniła mu całe pole widzenia, kiedy wykonywał swój desperacki ruch. Podwinął pod siebie skrzydła z głośnym klaśnięciem, a jego wyciągnięte ciało wykonało koziołka. Runął łukiem w dół, ale siła rozpędu i tak pchnęła go na nagą skałę.

Zderzywszy się z czarną ścianą, uderzył głową o swoją pierś. Odrętwiały, sparaliżowany uświadomił sobie, że pojawił się nowy, ostry ból w piersi, tam, gdzie wbił się czubek dzioba. Stracił orientację, a świat wokół pociemniał; mógł tylko zacisnąć szczęki i zastanawiać się, ile kości połamał tym razem.

Dalej, ptaku, zrób to, zrób to...

Napiał mięśnie tylnych nóg i rozłożył ogon. Wiatr targał jego piórami, gdy koziołkując, spadał.

Chwilę później znalazł się pośród zaskoczonych makaarów, trzy znajdowały się ponad nim, a trzy poniżej. Żaden z nich nie zauważył skalnej ściany, która miała za sekundę przed nimi wyrosnąć.

Chyba ci się uda, głupi szczęściarzu...

Gwałtowne zmiany szybkości oraz siła przyciągania ziemskiego zmieszły się w uszach Skana z tętnem jego serca i wrzaskiem makaarów. Usłyszał, jak ich kości zderzają się z kamieniem i pękają. Nogi Skan-dranona dotknęły nagiej skały znajdującej się tuż za nim - i mocno się odepchnął.

Ten dziwny manewr przerwał spадanie, dał mu okazję do rozpostarcia skrzydeł i zamiast koziołkować, zaczął nurkować.

Tylko że ziemia była już tak strasznie blisko...

Hamuj, głupi ptaku, hamuj!

Napinając skrzydła, z bijącym sercem musnął skałę na dnie urwiska. Dotknął ją końcami skrzydeł, wykorzystał siłę pędu, aby wystrzelić ponownie w niebo, minął rozbryźniętą plamę na skale, która była wszystkim, co pozostało po jego prześladowcach.

Teraz zmiataj stąd, idioto!

Ruszył z powrotem ku bezpiecznemu domowi - i spojrzał w dół.

Ujrzał setki kusz.

Dla nich był tylko przelatującym cieniem, jednak wiedzieli, że tam jest. To wystarczyło, by wypełnili niebo strzałami i kamiennymi pociskami: jeden lub nawet więcej z pewnością go trafi. Szybki rzut oka na obie strony uświadomił mu, że został otoczony przez dwie nowe eskadry makaarów, które znajdowały się o kilka długości ponad nim. Kili zniknął mu z oczu; prawdopodobnie czekał jeszcze wyżej.

Jego jedyną szansą była szybkość. Gdyby tylko mógł minąć łuczników, zanim oni wypuszczą strzały...

Za późno.

Usłyszał świst strzały; powietrze wokół niego wypełniło się śmiertelnym deszczem ognistych bełtów i pocisków z procy. Skan zwinął skrzydła w próżnym wysiłku, aby zawęzić obszar rażenia.

Najpierw poczuł uderzenie, a potem zobaczył krew, płynącą z prawego skrzydła przy każdym ruchu. Wtedy się złamało. I zabolowało.

Gryf znowu zanurkował w sposób, którego nie nazwałby kontrolowanym, wydając z dzioba, w którym mocno zaciskał skradzioną broń, bezładne piski.

Uderzyły go dwa kolejne bełty; tym razem o wiele szybciej poczuł ból, ale Skan zmusił się, aby go zlekceważyć. Rzucił się w dół, ale tym razem nie mógł się odbić od żadnego klifu.

Gryf zwinął również lewe skrzydło i leciał głową w dół; odzyskiwał równowagę, lecz ciągle spadał. Nie śmiał przyhamować, bo jego zranione skrzydło mogłoby tego nie wytrzymać. Zamiast tego rozciągnął nieco oba, aby przemienić upadek w ostre nurkowanie, i skierował się ku przyjaznemu terytorium. Gdy tylko rozwinął skrzydła, ujrzał, jak Kili śmignął tam, gdzie przed chwilą on sam się znajdował.

Jeszcze trochę dalej - trochę dalej...

Ziemia zbliżała się straszliwie szybko.

Był już teraz nad terytorium Urtho, po drugiej stronie linii frontu, ale nie mógł, nie śmiał całkowicie rozpostrzeć skrzydeł. Nadal nurkował ostro i szybko. Ziemia nigdy nie wyglądała tak zachęcająco ani nie wydawała się tak twarda.

O Sketi, to będzie bolało...

ROZDZIAŁ DRUGI

Bursztynowy Żuraw nie mógł ze zmęczenia spać. Nie było sensu leżeć i oglądać wnętrza swych powiek. Okrył ramiona kocem i udał się ciemnymi przejściami wśród namiotów ku lądowisku.

Kiedy wyszedł na otwartą przestrzeń, ujrzał na wschodzie srebrną poświatę zachodzącego księżyca. Do świtu było już niedaleko. Gesten czekał cierpliwie obok rozpalonego ogniska. Bursztynowy Żuraw pożegnał ostatniego ze swoich klientów, aby przyłączyć się do swej jaszczurki, ale Gesten najwyraźniej nie był w nastroju do rozmowy.

Kiedy przepelniały ich uczucia, których nie mogli wyrazić, i hertasi, i Bursztynowy Żuraw milczeli: ten ostatni nauczył się zachowywać ciszę dzięki żmudnym ćwiczeniom. Milczenie pozwalało zachować złudzenie wiecznej i niezmiennej równowagi.

Obowiązkiem Bursztynowego Żurawia było sprawiać wrażenie spokojnego opiekuna - ponieważ ostatnio każdy jego klient był w jakiś sposób poszkodowany, a współczucie działało lepiej niż empatia.

Klienci nie chcieli wiedzieć, że ich kestra'chern miewa własne problemy.

A ponieważ nie mógł się ich pozbyć, musiał się starać, aby ich nie uzewnętrznić. Była to nieodłączna część jego powołania i chociaż się z nią pogodził, nadal wywoływała głuchy ból podobny do bólu współczucia.

Ból współczucia. Tak, do tego właśnie było to podobne.

Przygnębienie pogłębiało się z każdą nową pogłoską i obozową plotką. Skan nigdy tak się nie spóźniał, wracając z misji. Nawet Gesten musi już teraz zdawać sobie sprawę z tego, że gryf nie wróci. Zawsze żartował, że Skan pędził do domu z misji, bo nie mógł się doczekać nagrody i podziwu.

Ostatnie wieści donosiły o odniesionej w Przełęczy Stelvi straszliwej klęsce, najgorszej ze wszystkich, jakie poniosły siły Urtho. I chociaż nie wybuchła panika, Bursztynowy Żuraw zastanawiał się, czy ktośkolwiek w ich szeregach zdawał sobie sprawę z tego, o czym on już wiedział: że garnizon został całkowicie starty z powierzchni ziemi. Chłód nocy wkradał się powoli do serca Bursztynowego Żurawia i ciasne owijanie kocem ciała odzianego w jedwab nic nie dawało.

Gesten nadal się nie odzywał. W końcu Bursztynowy Żuraw nie mógł już dłużej tego wytrzymać: wstał i bez słowa odszedł w ciemność, cza-

sami spoglądając w tył na małą plamkę światła i cierpliwie wyczekującą postać. Bolało go serce i miał ściśnięte gardło od powstrzymanego szlochu - powstrzymanego, ponieważ nie był pewien, czy gdy zacznie płakać, będzie w stanie przestać. Szlochu nad Gestenem - i nad Skanem. Gdziekolwiek ten drugi był.

Wyczekiwanie w ciemnościach na kogoś, kto nie wróci do domu, niczego nie rozwiąże. Wojna trwała nadal, rządząc się swoimi prawami, bez względu na żalobę. Bursztynowy Żuraw, tak jak wielu Kaled'a'in, od dawna myślał o wojnie jako o samoistnym bycie, który ma własne potrzeby, plany i żądze. Ci, którzy chcieli być posłuszni jej woli, i ci, którzy przypadkiem znaleźli się na jej ścieżkach, musieli nadal żyć i podążać za swymi marzeniami, nawet jeśli czuli się tak, jakby stale próbowali wylewać gołymi rękami wodę z dziurawej łodzi. Umiejętności, jakie posiadał Bursztynowy Żuraw, były potrzebne bez względu na to, czy wojna szalała czy słabła - ludzie zawsze będą odczuwać ból, samotność, chwiejność, wątpliwości, napięcie. Już dawno temu postanowił nie zaprzętać sobie głowy swoimi troskami, ale pomagać w kłopotach tym, którzy go potrzebowali. Nie, niekoniecznie jego: raczej jego umiejętności. Ta świadomość chłodziła jego serce i kazała mu odejść od ogniska.

Gesten służył tylko Bursztynowemu Żurawowi i Czarnemu Gryfowi. Kestra'chern mógł sobie poradzić bez niego przez jakiś czas. Hertasi najwyraźniej miał zamiar pilnować ogniska i nie przejmować się Bursztynowym Żurawem. Kestra'chern jednak miał swe obowiązki, a teraz czuł się straszliwie, wręcz przerażająco samotny. Jakże inaczej można się czuć, gdy się odda komuś kawałek siebie, a on nagle zniknie? Bursztynowy Żuraw nigdy nie był magicznie związany z Czarnym Gryfem, i nie mógł poznać z absolutną pewnością, czy ten żyje czy nie. Pozostała mu czysta dedukcja, a fakty jasno wskazywały, że właśnie stracił przyjaciela. Zaufanego przyjaciela.

Zbliżał się do obozowiska.

Wchodząc w oświetlony obszar, pokusił się o lekki uśmiech i teraz kroczył dostojnie, aby wyglądać na kogoś, kto zasługuje na pełne zaufanie. O tej porze niewielu ludzi czuwało, ale i ci potrzebowali uspokojenia, gdyby go ujrzeli. Nachmurzony uzdrowiciel to zły omen, a widok nieszczęśliwego kestra'chern oznaczał, że jeden z jego klientów powierzył mu coś tak przygnębiającego, co spowodowało silny wstrząs i zachwiało jego równowagę. Ponieważ Bursztynowy Żuraw był jednym i

drugim, wszystko, co nie było spokojem, mogło wywołać nowe plotki, które i tak już zalewały cały obóz. W miejscach publicznych nigdy nie zapominał, kim jest.

Starał się przybrać przyjemny wyraz twarzy, ale zmęczone i obolałe mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

Obóz Urtho był bardzo dobrze zorganizowany, namioty stały w równych rzędach, co piąty rząd był oświetlony latarnią wiszącą na żerdzi. Każdy, kogo by spotkał Bursztynowy Żuraw, ujrzałby jego twarz w pełnym świetle, musiał więc wyglądać tak, jak gdyby w ciągu ostatnich kilku godzin nic się nie stało.

Doskonale wiedział, że nim komukolwiek przyniesie ulgę, musi najpierw sam uporać się ze swymi smutkami, lękami i bólem.

Wkroczył do obozowiska uzdrowicieli, raz się potknąwszy. Była w nim jakaś cząstka, która wstydziała się za tę chwilową utratę równowagi. Przypisał to uczucie niespokojnemu stanowi umysłu - czyż nie opowiadał gładko innym, że nie wolno się wstydzić takich rzeczy? A jednak...

Gdyby chciał prosić o pomoc, miał ją na wyciągnięcie ręki. Był uprawniony do zasięgania porad i poddawania się uzdrawianiu, ilekroć tego potrzebował. Nieraz z tego przywileju korzystał. A jednak cichy wewnętrzny głosik wyszeptał "słabość" - *stłum ją, nic poddawaj się* - i Bursztynowy Żuraw przeklął swą dumę. Nie potrzebował jej teraz, kiedy był kłębkim nerwów i trząsał się, bliski załamania. Zbyt często widział oznaki depresji u innych, by nie wykryć jej u siebie.

Mijał namioty i szałas, w których małe latarnie oświetlały samotne postacie. Ludzie ostrzyli narzędzia chirurgiczne albo zszywali podartą odzież i bandaże. Stary uzdrowiciel ciął i składał temblaki, najwyraźniej niepomny świata za swym otwartym namiotem. Dźwięki rozchodzące się w chłodnym powietrzu nabierały ostrości i pogwizdywanie uzdrowiciela niosło się po całym obozowisku. Na grzędach przed namiotem, w którym odbywały się zabiegi chirurgiczne spały ptaki-pośłańce z głowami schowanymi pod miękko upierzonymi skrzydłami. Pod nimi głośno chrapały kyree. Słabe dzwonienie wiszących uprząży i sprzętu przypominało podmuchy wiatru w spokojnym ogrodzie. Dziwne, że pośród tego całego zamieszania nadal pojawiały się takie wzruszające chwile.

Uzdrowiciel Tamsin oraz jego kochanka i asystentka, lady Cinnabar, już od dziesięciu dni pełnili nocny dyżur. Powinien ich znaleźć w na-

miocie operacyjnym. Za obozowiskiem, na małym wzniesieniu zwanym Wzgórzem Uzdrowiciela, stały wspólne namioty służące jako sale szpitalne i przychodnie. Kilku z nich używano w szczęśliwszych dniach do odprawiania świąt Kaled'a'in, mogły one pomieścić stu lub więcej ludzi. Ich kolory spłowieły przez lata, ponieważ cele, którym teraz służyły, nie miały nic wspólnego ze świętowaniem.

Światła w centralnym namiocie oraz cienie rzucane na płótno powiedziały mu, że ktoś tam jest. Odsłonił klapę i wszedł cicho do wnętrza: zastał Tamsina i Cinnabar wśród stołów zastawionych zwałami przyrządów do łatania i bandażujących zwiadowcę w średnim wieku. Bursztynowy Żuraw rzucił okiem na bandaż na jego ramieniu i ujrzał plakietkę z głową wilka: najemnik. Wilki Pedrona... Urtho był bardzo ostrożny w zatrudnianiu najemników, ale Wilki cieszyły się świetną reputacją. Nawet gryfy miały o nich jak najlepsze zdanie.

Nawet Skan dobrze o nich mówił...

O Sketi. Żuraw, masz fioła. Wpadłeś w spiralę, musisz zwolnić, bo inaczej zwariujesz.

Ukrył twarz w cieniu, czując, że nie panuje nad jej wyrazem. Chciał, aby go zauważono, ale nie chciał być natrętny. Stłumił tyle smutku, ile potrafił, ale oni byli jego kolegami, na dodatek uzdrowicielami, empatami - i najbliższymi przyjaciółmi, jakich miał. Zaraz po Gestenie i Skanie... Tamsin nie spojrzał w jego stronę, ale Bursztynowy Żuraw wyczuł, że skupił na sobie jego uwagę. W następnej chwili uzdrowiciel powiedział do najemnika:

- Wyzdrowiejesz, pożeraczu ognia. Potrzeba ci teraz tylko trochę odpoczynku. Przez kilka dni ogranicz swą działalność do narzekania. Oto zielona karta na wolne dni.

Podpisał drewniany kwadrat srebrnym atramentem i wręczył go żołnierzowi.

- Trzy dni, a przez następne sześć tylko lżejsze obowiązki.

Teraz Tamsin spojrzał na Bursztynowego Żurawia, jakby go dopiero zauważył, i powiedział cicho:

- Chyba mam przyjaciela, który potrzebuje pomocy.

Najemnik spojrzał na ukrytą w cieniu postać i chrząknął.

- Dzięki, mistrzu Tamsin, spodziewam się, że przyślesz mi rachunek, co?

Tamsin zaśmiał się ze starego dowcipu, a najemnik powlókł się do wyjścia. Mijając Bursztynowego Żurawia, skinął głową, po czym od-

sunał klapę i wyszedł w ciemność. Bursztynowy Żuraw położył się na łóżku, które przed chwilą zwolnił zwiadowca, nie zważając, że gniecie swój jedwabny kaftan. Zasłonił oczy ramieniem, a dłoń zacisnął w pięść. Uzdrowiciele unikali przesadnie zaciskania ręki w kułak jako czegoś, co przynosiło pecha, ale w tej chwili zapomniał o wszystkich przesadach. Usłyszał, jak ktoś myje ręce i wyciera je w ręcznik, a potem odkłada narzędzia na swoje miejsce. Minuty mijały bez słowa, sprzątanie po uzdrawianiu przeciągało się. Bursztynowy Żuraw usłyszał, jak wokół łóżka zaciągnięto zasłony, aby nikt im nie przeszkadzał.

- Plotki na temat Przełęczu Stelvi są prawdą. Ta prawda jest przypuszczalnie gorsza niż to, co słyszeliście - powiedział w pełną oczekiwania ciszę. - A Skandranon jeszcze nie wrócił.

Poczuł, jak czyjaś dłoń dotyka delikatnie jego policzka, a ktoś drugi bierze jego dłoń w swe ręce. Oba dotknięcia wyzwoliły falę smutku, jaki w sobie dusił, i zatopiły go w ciemnych wodach cierpienia. W jego głowie falowało. Nie miało znaczenia, kto z tej dwójki gdzie go dotyka. Liczyło się tylko to, co robili. Cieszył się z bliskości ich obojga.

Po jego policzkach popłynęły łzy, napięcie w gardle nie pozwoliło mu mówić.

- Nie wolno oplakiwać kogoś, kto może nadal żyje - przemówił łagodnie Tamsin. - Poczekaj, aż się dowiesz...

Oboje jednak wiedzieli, że gdyby Skandranon mógł, to by wrócił lub w jakiś sposób przesłał wiadomość. Tamsin przełknął ślinę, jakby powstrzymywał się przed powiedzeniem czegoś głupiego.

- Faktem jest, że niczego nie wiemy - powiedziała lady Cinnabar, kiedy Bursztynowy Żuraw starał się nad sobą zapanować. - Żuraw, my także go kochamy, wiesz o tym, ale wiele razy widzieliśmy, jak ludzie, których uważaliśmy za straconych, powracali. Skandranon...

- Zawsze wracał cało z misji - Bursztynowy Żuraw krzyczał na wpół z rozpacz, na wpół z gniewu. - Gdyby mu się udało... Gdyby mógł...

Reszta słów utonęła w łzach, gdyż w końcu przestał się kontrolować i zaczął szlochać. Łóżko zaskrzypiało pod dwoma ciężarami "moszczącymi się" obok niego; jedno z nich pocałowało go w czoło, a drugie objęło, a on schował twarz w ramieniu, gdy zaczęły od nich promieniować na przemian fale współczucia i wsparcia.

- To za wiele! - łkał gorzko. Ktoś objął go i kołysał jak dziecko. - Czekać, aby zobaczyć, jak wraca w kawałkach... albo w ogóle nie wraca. A

nie przebywać tam, gdzie odnoszą rany i umierają.

- Wiemy o tym - wyszeptał smutno Tamsin. - Wiemy.

- Ale nie wiecie, jak trudno jest wspomagać tych, którzy przeżyli, podczas gdy oplakujesz tych, którym się nie udało...

Nie potrafili nic odpowiedzieć.

- Niedobrze mi się robi, gdy muszę być taki obojętny! - wybuchnął kolejnym potokiem łez. - Przychodzą do mnie, aby zapomnieć o swoim bólu. A kiedy mnie będzie wolno pograć się w smutku?

Nie odpowiedzieli: odpowiedzią była ich obecność. Po prostu obejmowali go, kiedy płakał, ściskali i próbowali choć trochę pocieszyć. W końcu, gdy wyplakał się w ich ramiona, był w stanie rozmawiać trochę spokojniej.

- Żuraw, słyszałeś już o tym - powiedziała Cinnabar, podczas gdy Tamsin wstał, aby przygotować Bursztynowemu Żurawowi zimny okład - ale powiem ci to jeszcze raz. Jesteśmy tutaj po to, aby ci pomóc, tak jak ty pomagasz innym. Radzisz sobie lepiej niż inni. Nigdy nie widziano, abyś stracił panowanie nad sobą, ale nie musisz być nadczłowiekiem.

- Wiem - odparł wyczerpany wybuchem emocji. - Bogowie, właśnie dziś wieczorem mówiłem komuś podobne słowa. Jednak nigdy przedtem tak się nie czułem. Tym razem chodzi o Skandranona. - On był dla mnie oparciem. Zawsze wiedziałem, że jemu nic się nie stanie. Bezpiecznie było go kochać, ponieważ nigdy nie sądziłem, że go utracę. Zawsze wracał cało, najgorsze, co mu się przytrafiło, to strata pióra w ogniu.

Cinnabar odgarnęła do tyłu mokre od łez włosy Bursztynowego Żurawia i położyła mu na czoło okład, zimny jak niebo w zimie. Ból w jego sercu znowu się wzmógł.

- Teraz gdy go tracę, nie mogę tego znieść. To za bardzo boli.

Odgłosy wczesnego poranka przytłumione przez mokre płótno na czole i brezent namiotu przerwały rozmowę. Czy nie jest jeszcze za wcześnie na to wszystko? Być może nadszedł czas, aby po prostu sobie pójść. Być może jest to kolejna lekcja dla nich wszystkich - że bez względu na to, jak on się czuje, wszyscy i tak sobie bez niego poradzą. A jednak...

Tamsin usiadł z drugiej strony, podczas gdy Cinnabar ujęła jego dłoń.

- Nie mogę ci powiedzieć niczego, czego byś już nie wiedział - rzekł ci-

cho Tamsin. - Twoje zadanie jest trudniejsze niż nasze: nosisz podwójne brzemie. My składamy ciała w całość, ty musisz uzdrawiać również serca i umysły. Jedynym pocieszeniem, jakie mogę ci ofiarować, to zapewnienie, że nie jesteś sam. My też cierpimy. Skan jest naszym przyjacielem i...

Hałas na zewnątrz nie był głuchym pomrukiem budzącego się dnia i ciągle narastał.

W istocie brzmiało to tak, jakby do ich namiotu zbliżał się tłum. Przez głowę Bursztynowego Żurawia przebiegła myśl: *Co ja takiego zrobiłem?*, ale opuściła go w sekundę później, kiedy odzyskał panowanie nad sobą.

Zrzucił mokrą szmatkę z oczu i uniósł się, gdy powietrze rozdarł przeszywający jęk, świdrujący uszy Bursztynowego Żurawia i przyciągający uwagę całej trójki uzdrowicieli.

- Co to... - Tamsin był już na nogach, a Cinnabar stanęła obok niego, gdy otwarto klapę namiotu i do środka wtoczyła się spora gromada.

Pośrodku niej znajdowało się coś na kształt gryfa oplecionego gałęziami i umazanego szczodrze błotem. Bursztynowy Żuraw nie byłby w stanie rozpoznać w nim Skandranona, gdyby nie czarne pióra i okropne słownictwo.

Bursztynowy Żuraw wstał z łóżka, podczas gdy Gesten dyrygował grupą niosącą nosze - tak, pod tą masą były nosze! - aby na jednym ze stołów operacyjnych złożyć to, co zostało z gryfa. Hertasi rozejrzał się w poszukiwaniu uzdrowicieli; dojrzał Tamsina, Cinnabar, a za nimi Bursztynowego Żurawia.

- Uda wam się! Do roboty! - wysapał Gesten.

Bogowie, jeśli on uciekł przed armią... Cała trójka uzdrowicieli zabrała się do pracy, zanim hertasi zdążył cokolwiek powiedzieć. Tamsin sięgnął po tacki z narzędziami chirurgicznymi, Cinnabar wezwała asystentów, a Bursztynowy Żuraw przepchnął się do rannego gryfa.

Dotknął go i poczuł jego ból, przeszywał jego własne nerwy, walił go niczym młot w czoło. Oto cena pracy przy bliskim przyjacielu. Odruchowo chciał się osłonić, ale przecież ten ból mówił mu o stanie Skana, więc bał się go całkowicie zablokować.

Asystenci Cinnabar zmywali błoto z poranionego ciała i wyciągali gałęzie z połamanymi kończynami. Bursztynowy Żuraw natomiast przyjmował ból Skandranona na siebie, ostrzegając pozostałych, aby niechcący czegoś nie naruszyli. "Widział" swe rozwarte usta, łapiące urywany

oddech, oczy rozszerzone w podwójnym widzeniu, umysł rozdzielony między widzeniem fizycznym i widzeniem wewnętrznym. Wydawało się, że minęła j wieczność, zanim uwolnili ciało Skandranona z resztek drzewa, na które spadł, i umyli go, by obejrzeć zewnętrzne rany.

Pozostała dwójka bez słów zostawiła Bursztynowemu Żurawiowi skrzydła, koncentrując się na ciele i nogach Skandranona. Bursztynowy Żuraw jako jeden z nielicznych w obozie znał na tyle dobrze anatomię gryfów, aby złożyć skrzydła tak, by znowu nadawały się do lotu. Mięśnie, ścięgna, kości, żyły, wszystko to; w żywym ciele zależne jest od siebie - a w ciele ptaka najwyraźniej tę zależność widać. Naruszyć ją - to zmienić równowagę, rozkład ciężaru ciała, powierzchnię przydatną do sterowania i tysiące innych rzeczy...

Strzała z kuszy przebiła lewe skrzydło, które nadal nieznacznie krwawiło; prawe było złamane w kilku miejscach. Bursztynowy Żuraw polecił Gestenowi, aby opatrzył krwawiącą ranę. Kości skrzydeł gryfów, tak jak ptaków, zrastały się prawie natychmiast po złamaniu. Im szybciej dostanie się do tego miejsca, gdzie owo złamanie nastąpiło, tym większa szansa, że nie będzie musiał niczego łamać na nowo i powtórnie składać.

Skandranon zajęczał i kaszlnął, gdy czwarty uzdrowiciel wyciągnięty z łóżka i jeszcze zaspany, stanął przy jego głowie i trzymając dłonie po obu stronach dzioba, wprowadził go w sen. Zabułgotało mu w gardle i jego dziób rozdziawił się.

Mięśnie skrzydeł rozluźniły się i Bursztynowy Żuraw przystąpił do pracy.

Gołymi rękami wyjął strzaskane fragmenty kości, po czym włożył je we właściwe miejsca. Jego umysł narzucił wszystkim kawałkom właściwy porządek i rozpoczął się proces zrastania. Jednocześnie kestra'chern przez cały czas odciągał płyny, które wytworzyły się wokół rany. Kiedy kość zaczęła zdrowieć, poprosił o szyny i bandaże, owinał ciasno fragment skrzydła i przeszedł do następnego, przerywając pracę tylko na chwilę, aby otrzeć krew z dłoni, nim zaschnie i zacznie przeszkadzać.

- Żuraw? - odezwał się Gesten, prawie wybijając go z rytmu.

- Co? - zapytał krótko, całą uwagę skupiając na właściwym złożeniu ostatniej kości.

- Lepiej się pospiesz. - To wystarczyło: Bursztynowy Żuraw zostawił bandażowanie i usztywnianie ostatniej kości jednemu z asystentów i

obszedł stół, aby znaleźć się obok Gestena.

Jeden rzut oka wystarczył, aby domyślił się, dlaczego Gesten go wezwał. Ciężar zranionego, bezwładnie zwisającego skrzydła był tak duży, że rana po strzale rozrywała się, zagrażając głównej tętnicy. Jeśli nie zmniejszą nacisku, tętnica pęknie.

Szybko nakazał Gestenowi przytrzymanie skrzydła, aby w ten sposób zmniejszyło się nieco jego napięcie, a sam zabrał się ostrożnie do zamykania rany. Przymknął oczy i skoncentrował się, widząc ranę swym wewnętrznym wzrokiem, składając na powrót przerwane włókna mięśni, łącząc krwawiące żyły, wprowadzając wszystko w proces zdrowienia tysiąckrotnie szybszy niż naturalny i dostarczając ciału Skana swej własnej energii. Na szczęście powstrzymał infekcję. Umocował resztę mięśni, odciążając nieco te poranione, a dotykiem palca złagodził skurcz. Zajął się mniejszymi złamaniami, ranami i skaleczeniami, których wcześniej nie zauważył. Uporał się z nimi wszystkimi, szukając niebezpiecznych skrzepów i odcedzając je z płynącej krwi, a w końcu osłonił skrzydła łańcuchami energii, które za jakiś czas pozwolą Skandranonowi znowu latać.

Skandranon jęknął i kaszlnął słabo, jakby coś uwięzło mu w gardle. Jego oddech ustabilizował się, gdy czwarty uzdrowiciel wprowadził go w sen, ale gryf znowu dostał napadu kaszlu i wszyscy, którzy stali blisko, musieli go mocno przytrzymać. Bursztynowy Żuraw ledwo poczuł, jak Tamsin wkłada swą rękę do gardzieli Skandranona, podczas gdy jeden z asystentów przytrzymuje otwarty dziób metalowym prętem. Potem Skan zacharczał, zadrżał i znowu zapadł w głęboki sen.

Asystenci zajęli się pokrzepianiem gryfa różnego rodzaju naparami z ziół i minerałów. Tymczasem Bursztynowy Żuraw umacniał złamane przedramiona Skandranona i unieruchamiał jego szpony.

W końcu było po wszystkim. Kestra'chern odsunął się od stołu, pozwalając, by asystenci obandażowali i spięli klamrami ciało Skana. Zobaczył, że Tamsin i Cinnabar też już skończyli: Cinnabar tłumaczyła niosącym nosze, gdzie mają położyć gryfa, tymczasem Tamsin gdzieś zniknął. Poranne słońce przeświecało przez ścianki namiotu, oświetlając go ciepłym, bursztynowym światłem.

Stoły i podłoga wyglądały jak po katastrofie. Krew - jak coś, co lata, może mieć tyle krwi? - pióra, kawałki kory i liście wały się na podłodze. Na stole pomiędzy sprzętami medycznymi, obok złamanej strzały leżało coś, co przypominało skórzaną rękojeść, być może złamany

miecz. *Pewnie to blokowało mu gardło* - pomyślał otępiały Bursztynowy Żuraw. - *Skąd się tutaj wzięto... ?*

Zamrugnął i zachwiał się.

- Uważaj! - Gesten opuścił bok Skandranona i podskoczywszy do Bursztynowego Żurawia, chwycił go pod ramię i podtrzymał. - *Źle z tobą, Żuraw. Skan wyzdrowieje, ale ty lepiej się połóż, zanim zemdlejesz!*

- Chyba masz rację - wymamrotał, a potem cicho się zaśmiał. *Skan wyzdrowieje. Udało mu się wrócić.* Tylko to tak naprawdę się liczyło. Zniknął chłód, który czuł w sercu; pustka na powrót się wypełniła. *Skonowi udało się wrócić.*

Z pomocą Gestena dowlókł się po niewielkiej pochyłości do części obozu przeznaczonej dla kestra'chern, znajdującej się zaraz za kwaterami uzdrowicieli. Był tak zmęczony, że prawie nie zauważył, jak wprowadzono go do namiotu. Dostrzegł jedynie jasno świecące słońce poranka. Chłodne, świeże powietrze pachniało mu kadzidłem i perfumami. Odesłał Gestena. Zachwiał się i padł w poprzek łóżka. Po chwili przekręcił się i położył prosto, a potem już nic nie pamiętał.

Bursztynowy Żuraw obudził się. Nadal czuł ból i cierpienie Skandranona. Nawet po tylu - ilu? - godzinach zapomnienia czuł ból tam, gdzie zeszłej nocy uzdrawiał rany Skandranona. Czuł ból nawet tam, gdzie nie mógł: w skrzydłach i ogonie. Działo się to na skutek pooperacyjnego szoku, który był znany uzdrowicielom; musieli z tym żyć. Ból skrzydeł skupił się w łopatkach i ramionach, jakby kontuzjowane mięśnie skurczyły się w stosunku do kości.

Bursztynowy Żuraw obudził się, czując, jakby biegał od wielu dni z ciężkim pakunkiem na plecach; jakby od dwóch dni pracował bez odpoczynku...

...krótko mówiąc, jakby obsłużył wszystkich swoich klientów, a nie tylko uzdrowił ciężko rannego gryfa.

Gesten - lojalny, kompetentny Gesten - zaciągnął kotary, aby jak najmniej światła docierało do wyczerpanego kestra'chern, i z dala od namiotu układał listę obowiązków swego towarzysza.

Zdjął z siebie koc i wstał, chwytając się oparcia łóżka. Szybko się umył i przełknął śniadanie składające się z kilku kawałków mięsa i kromek chleba. Potem włożył kaftan i pas, które Gesten zostawił przy łóżku. Obok ubrania leżał rozkład spotkań przewidzianych na dzisiaj-

szy dzień. Wszystkie wizyty oprócz jednej zostały wykreślone, a ta jedna miała się odbyć dopiero za dwie godziny.

Bursztynowy Żuraw wyszedł spod magicznie wyciszonego płótna namiotu na popołudniowe słońce obozowiska. Nad namiotami latali ptasi posłańcy, kolorowo upierzeni, ćwierkając radośnie w obłokach niebieskiego dymu znad palenisk. Obok przebiegła trójka roześmianych dzieci, oznaczona żółto-zielonymi naszywkami korpusu swoich rodziców. Ścigał ją rozbawiony kyree z jasnoczerwoną piłką w pysku. Tak właśnie powinno wyglądać życie.

Kestra'chern przeciągnął się, potem pogładził brodę i policzki, mrużąc oczy od słońca. Musi się ogolić, zanim spotka się z klientem, a gdy tylko upewni się, że Skandranon właściwie zdrowieje, weźmie gruntowną kąpiel. Zawsze czuł się lepiej, gdy był porządnie umyty i uczesany.

Przeszedł między chałupami, kuźniami i szałasami służby, kierując się do wielkiego namiotu, gdzie rano zostawił nieprzytomnego Czarnego Gryfa. W świetle dnia obóz wyglądał o wiele przyjemniej, pomimo napięcia, jakie wszędzie się wyczuwało.

Mijając namiot chirurgiczny, ujrzał asystentów uzdrowicieli i pielęgniarki, zajętych zwykłymi sprawami administracyjnymi i uzupełnianiem zapasów na półkach. W każdej chwili spodziewali się kolejnych rannych, a więc każdą wolną minutę trzeba było przeznaczyć na przygotowania. Wojna nie zostawiała uzdrowicielom wiele czasu na odpoczynek, podobnie jak grabarzom i tym, którzy dokonywali kremacji, oraz kapłanom. Taka była natura wojny. Pożerała ducha i ciało. Potrzebowała pożywienia jak każde inne stworzenie.

Zmuszała jednostki i gatunki do takich układów, jakie nigdy nie zdarzyłyby się w czasie pokoju. Czasami trzeba było zrezygnować ze starych przyjaźni, a nawet miłości. Uczucie Bursztynowego Żurawia do Gestena było naturalne, biorąc pod uwagę związki Kaled'a'in z hertasi. Tylko wojna i potrzeby wojowników nie pozwalały, by Bursztynowy Żuraw zatrudnił całą grupę przedstawicieli tego gatunku. A teraz był zmuszony dzielić usługi Gestena ze Skandranonem.

Natomiast więź między nim a Czarnym Gryfem nigdy by nie zaistniała w czasach pokoju. Gryfy były czymś całkowicie nienaturalnym - tworami Urtho, Maga Ciszy - i nigdy by się nie znalazły na falistych równinach, które nomadowie Kaled'a'in nazywali swym domem. Przynajmniej nie za życia Bursztynowego Żurawia. Kilka razy słyszał, jak

Urtho wspominał o niewyraźnych planach, jakie miał, aby osiedlić gryfy w niewielkich koloniach na bardziej dzikich obszarach gór, tworząc nową populację inteligencji nie-ludzkiej, tak jak poprzednicy Urtho stworzyli hertasi i kyree. Ten plan jednak spełził na niczym z powodu wybuchu wojny między Wielkimi Magami.

Urtho pragnął zażegnać konflikt, lecz osiągnął przeciwny rezultat: wojna przeniosła się na jego tereny. Bursztynowy Żuraw zastanawiał się, czy Urtho kiedykolwiek winił się za to, że zwlekał. Kiedy Ma'ar dopiero zaczynał, Urtho z łatwością mógł go pokonać. Kto jednak przypuszczał, że wojna tak silnie zagnieżdży się w głowie upartego Ma'ara? Nie można winić Urtho za to, że niegdyś nie pohamował Kiyamvira.

Pośród wszystkich okropności wojny były też i małe radości. Jedną z nich była miłość, która zakwitła nagle jak polne kwiaty na polu bitwy.

Bursztynowy Żuraw westchnął lekko. Kochał Skana tak mocno, jak gdyby wzrastali w tym samym gnieździe, w tym samym domu. Jednak często zastanawiał się, czy Skan odwzajemnia to uczucie. Trudno było cokolwiek wyczytać z twarzy gryfa: emocje odbijały się na niej w o wiele bardziej subtelny sposób niż na ruchliwym pysku kyree. A Skan to po prostu - Skan. Bardzo często najskrytsze uczucia zachowywał dla siebie, maskując je żartami, figlami, narzekaniem czy udawaną irytacją. Człowieka, którego lubił, równie często wyśmiewał, co chwalił.

Opiekowanie się gryfem z pewnością miało swe ujemne strony.

Bursztynowy Żuraw przemknął między rzędami mniejszych namiotów przeznaczonych dla rekonwalescentów. Była tam wydzielona część dla gryfów - szeregi namiotów ze specjalnie wzmocnionymi masztami albo wyciągami, które utrzymywały którąś z czterech kończyn gryfów lub jedno z dwóch skrzydeł.

Kestra'chern ujrzał Gestena w chwili, gdy tamten go zauważył, wychodząc z jednego z namiotów. Gesten był w niezwykle pogodnym nastroju: jego oczy błyszczały radością, a ogon sterczał uniesiony wysoko do góry.

- Jego Królewska Wysokość cierpi na ból głowy i twierdzi, że jest mu zbyt niedobrze, aby cokolwiek przełknąć - relacjonował hertasi. - Cinnabar mówi, że to z powodu tego wstrząsu mózgu. A poza tym podrażnił sobie gardło tym czymś, co w nie wepchnął. Ja nie mogłem go nakłonić, aby cokolwiek zjadł, więc Cinnabar chce, żebyś ty spróbował.

Bursztynowy Żuraw skinął głową.

- Cóż to za rzecz, której o mało nie połknął? - zapytał. - Nie dawało mi to spokoju w czasie snu.

Gesten pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Jakaś magiczna broń, po którą wysłał go Urtho - odparł obojętnie. - Zaraz potem jak zaprowadziłem cię do łóżka, zrobiło się wielkie zamieszanie. Połowa magów z Wieży przybiegła szukać tego przedmiotu, kiedy Skana przeniesiono już tutaj. Jeden z nich obudził Tamsina i próbował go zbesztać za to, że od razu nie przyniósł mu tej rzeczy.

Bursztynowy Żuraw zauważył ostrożne użycie słowa "próbował".

- Załóżę się, że Tamsin dał mu niezłą nauczkę.

Gesten zachichotał radośnie i pokiwał głową.

- Miło było słuchać - powiedział z satysfakcją. - Był prawie tak dobry jak ty, kiedy jesteś wściekły.

- Hmm... - Bursztynowy Żuraw pokręcił głową. - A więc to jakiś rodzaj magicznej broni... no cóż, przypuszczam, że i tak się nie dowiemy całej prawdy.

Domyślił się, że ta broń, bez względu na to, czym była, przyczyniła się do zdobycia Laisfaar. Dlatego Skan musiał ją znaleźć i dostarczyć tutaj, aby magowie Urtho mogli stworzyć skuteczną obronę.

Nawet jeśli Skan o tym wiedział i tak nic nie powie. Im mniej ludzi zaangażowanych w sprawę, tym lepiej. Niezwykle łatwo było szpiegowi poruszać się po obozie Urtho - właśnie dlatego, że jego ludzie byli o wiele mniej bezwzględni niż przeciwnicy znajdujący się po stronie Ma'ara. A obozowe plotki, jak to zauważył zeszłej nocy, rozchodziły się szybko niczym płomień z nasączonej oliwą hubki.

Bursztynowy Żuraw od dawna pogodził się z faktem, że musiał wysłuchiwać miliona męczących szczegółów, które nie miały dlań żadnego sensu. Jednakże taka była jego profesja...

- W każdym razie jeśli możesz, nakłoń Jego Zrzedliwość...

- Słyszałem - dobieł się niski pomruk zza kłapy namiotu.

- ...Jego Przekorność, aby coś zjadł, a ja przygotuję wszystko, co trzeba dla twojego następnego klienta - zakończył gładko Gesten.

Bursztynowy Żuraw chrząknął.

- Chyba dam sobie radę. Muszę coś zrobić z jego podrażnionym gardłem.

- Tylko się nie przeforsuj - ostrzegł Gesten, odsuwając kłapę namiotu, aby wejść do środka. - Nie on jeden jest pod twoją opieką. A w do-

datku on nie płaci!

Ostatnie słowa skierowane były do Skandranona. Gryf tylko uniósł na chwilę brodę ponad zabandażowanymi ramionami i odezwał się z godnością i odrobiną zniecierpliwienia:

- Wydawało mi sssię, że tego rrrodzaju opieka należy sssię komuśś, kto właśśśnie powrrrócił z dobrze wypełnionej misssji.

- Zgadzam się - odparł Bursztynowy Żuraw, zauważając, że Skandranon wyraźnie przedłuża niektóre głoski dla "podkreśślenia" treści. Dykcja Skandranona, kiedy tego chciał, nie różniła się niczym od dykcji człowieka. Bursztynowy Żuraw natężył swe precyzyjnie wyostrzone zmysły i nie znalazł nic niepokojącego, tylko zrastające się kości i gojące się rany oraz - tak - łagodniejący wstrząs mózgu.

- Jak głowa? - zapytał, pozwalając jednocześnie, aby jego świadomość wniknęła w obszar przelyku i gardzieli Skana, łagodząc podrażnienia spowodowane obcym przedmiotem, który Skan (niechcący?) połknął. Było oczywiste, że gryf nie mógł przechowywać w gardzieli niczego, czego nie potrafił bez wysiłku przełknąć, a przedmiot, o którym mowa, nie był rzeczą wygodną w przenoszeniu na duże odległości, szczególnie, że składał się z samych kantów, jak przypominał sobie Bursztynowy Żuraw.

- Głowa jessst bardzo biedna, dziękuję - odparł z irytacją gryf. - Ssspodziewam sssię, że cośś z tym zrobiszsz.

- Przepraszam, Skan - odparł Bursztynowy Żuraw. - Chciałbym, ale nie jestem specjalistą od tego rodzaju uszkodzeń. Mógłbym wyrządzić więcej szkody niż pożytku, grzebiąc w twojej głowie.

Wysłał odrobinę uzdrawiającej energii - dbając o to, by się nie nadwerężyć. Nie potrzebował przestróg Gestena: już raz zdarzyło mu się upaść na ziemię. Gdyby przydarzyło mu się to znowu, miałby niemałe kłopoty. Zazwyczaj potrzeba było dwóch albo trzech uzdrowicieli, aby naprawili to, co taki głupi uzdrowiciel sobie zrobił. W jednej chwili ból i podrażnienie osłabło i zniknęło z gardła Skana. Gryf ostrożnie przełknął ślinę.

- No cóż, mam wrażenie, że nie wyjdiesz stąd, dopóki czegoś nie zjem - powiedział Skan bez najmniejszej oznaki wdzięczności. - Lepiej więc coś przekaszę. Ty sobie pójdziesz, a ja będę mógł pospać.

Bursztynowy Żuraw nie odezwał się, wziął tylko miskę z kawałkami surowego mięsa: Skan połykał je w całości. Jak wszystkie gryfy wolał surowe mięso, im świeższe tym lepsze, chociaż mógł również jeść po-

żywienie smażone czy gotowane, lubił nawet pieczywo i makarony. Gesten zostawił ogromną miskę mięsnych kawałków. Bursztynowy Żuraw podawał je gryfowi jeden za drugim, aż opróżnił naczynie. Gryf chętnie zjadłby coś jeszcze - spoglądał łakomie na dłoń przyjaciela.

Bursztynowy Żuraw starał się nie urazić jego uczuć. Wiele razy widywał niezwykle aktywnych ludzi, którzy z powodu ran musieli polegać na innych. Skan był całkowicie unieruchomiony z powodu złamań i nie mógł używać nawet przednich łap. Mimo bólu głowy spowodowanego wstrząsem, nie zachowywał się aż tak źle.

Z drugiej jednak strony Bursztynowy Żuraw był jego przyjacielem, a Skan traktował go gorzej niż wynajętego służącego.

Coś z tych myśli musiało się uzewnętrznić na jego twarzy, gdy podawał Skanowi ostatni kawałek surowego mięsa. W tym momencie do namiotu wszedł Gesten, spojrzął na obu przyjaciół i zaczął wygłaszać drapieżnikowi wykład na temat wdzięczności.

- Można by oczekiwać, że najmądrzejszy gryf z armii Urtho będzie miał odrobinę rozsądku - zadrwił. - Można by oczekiwać, że tenże gryf przywoła Żurawia i będzie go tak ścisnął, że prawie go udusi! Można by oczekiwać, że ten sam gryf będzie pamiętać, że Żuraw odczuwa bóle fantomowe z powodu uzdrawiania. Jednakże nie... - prychnął hertasi. - Do tego potrzeba rozsądku i zwyczajnej grzeczności. Kiedy Żuraw nie siedzi przed namiotem, czekając, aż pewien gryf się obudzi, ten gryf myśli, że nikt go nie kocha, i postępuje jak rozpuszczony dzieciak. Choć Żuraw tu przychodzi, nawet się jeszcze nie ogoliwszy!

Skan nie mógł prawdopodobnie wyglądać gorzej, jednak pęki piór na uszach, które przylegały płasko do głowy, teraz prawie rozpląszczyły się o czaszkę. Gryf wyglądał na naprawdę smutnego.

I skruszonego.

Po wykładzie Gestena zaległa cisza. Hertasi zerknął na Skana z miną mówiącą: "wszystko zepsuleś", a Skan westchnął.

- Żuraw - odezwał się miękko gryf. - Przepraszszszam. Byłem bardzo niegrzeczny...

Bursztynowy Żuraw znał ten nastrój. Skan będzie go teraz przepraszał, aż minie jedna miarka świecy, z każdym słowem stając się coraz bardziej rozdrażniony i zły.

- Wszystko w porządku - przerwał mu. - Nie byłeś gorszy niż inni moi klienci. Jestem do tego przyzwyczajony. - Zaśmiał się słabo. - Sam jestem niezwykle paskudnym pacjentem. Zapytaj Gestena.

Hertasi wywrócił oczami, ale się nie odezwał.

- Nie martw się zatem. Jesteśmy po prostu szczęśliwi, że wróciłeś... chociaż w tak wielu kawałkach.

Wsadził dłoń między pióra na karku Skana i podrapał go tam, gdzie gryf sam nie był w stanie sięgnąć.

Skan westchnął i oparł głowę o zabandażowane i unieruchomione ramiona.

- Jesssteś zbyt cierpliwy, Żuraw.

- Właśnie, jeśli nie ruszę go stąd, spóźni się - wtrącił Gesten, najwyraźniej udobruchany przeprosinami. - Masz klienta, kestra'chern. I będziesz musiał znaleźć czas na odwołane poranne wizyty.

- Racja. - Bursztynowy Żuraw podrapał Skana po raz ostatni i wstał, wygładzając fałdy swej tuniki. - Lepiej się najpierw ogolę i umyję. Ile jeszcze mam czasu?

- Niewiele, zważywszy na fakt, jak porządnego mycia wymagasz - odparł Gesten. - Lepiej się pośpiesz...

Jakiś czas później Bursztynowy Żuraw zastanawiał się, dlaczego tak się kłopotuje. To nie był jeden z jego zwykłych klientów; nie wiedział, czego się po nim spodziewać, ale musiał być niczym drewniana kukła wobec każdego człowieka, który na niego patrzył.

Tamten był magiem, jednym z najemników, których Urtho przyjął, gdy jego pomocnicy i uczniowie okazali się niezdolni, by poradzić sobie z wszystkimi magami Ma'ara. Prawdopodobnie był przystojnym mężczyzną, ale trudno to było określić w tym momencie. Miał surowy i nieodgadniony wyraz twarzy i, szczerze mówiąc, bardzo proste potrzeby.

Gdyby rzeczywiście chodziło mu tylko o to, co ujawnił, nie potrzebowałby Bursztynowego Żurawia. Mógł pójść do każdego pierwszo- czy drugorzędnego kestra'chern znajdującego się w każdym korpusie i zaoszczędziłby sporą sumę pieniędzy. Iluzja ulgi, luksusu, odprężenia... i pieśczoły - ale wszak kestra'chern nie są najemnymi towarzyszami do łóżka, jak sądziło wielu ludzi, włączając do nich tego maga. Jeśli tylko o to chodziło temu magowi, mógł to znaleźć w wielu innych miejscach, łącznie - jeśli mu na tym zależało - z pozyskaniem czyjegoś szacunku.

Bursztynowy Żuraw miał ochotę odesłać go gdzie indziej; to, z czym przyszedł jego klient, było tak obraźliwe jak nakazanie kuchmistrzowi, by przyrzadził owsiankę.

Jednakże - tak jak powiedział generałowi - nauczył się przez lata, że prośba klienta może nie być tym, czego on naprawdę chce, pacjent może sobie nawet nie uświadamiać swoich prawdziwych potrzeb.

Umiejętność rozpoznawania ukrytych pragnień czyniła z Bursztynowego Żurawia eksperta.

Kiedy zadał kilka spokojnych pytań, usłyszał jedynie zduszony rozkaz: "Rób, co do ciebie należy", wstał i przyjrzał się mężczyźnie ze swej wysokości.

- Nie mogę wykonywać swej pracy tak, abyś był z niej zadowolony, gdy jesteś kłębkiem nerwów - odparł chłodno. - Co więcej, nie mogę być zadowolony z efektów mej pracy. Może zaczniemy od prostego masażu?

Skinął ręką w stronę leżanki znajdującej się po jaśniejszej stronie pokoju, a mag opornie podniósł się i jeszcze bardziej opornie na niej się położył.

Gesten pojawił się akurat we właściwym momencie, jakby na wezwanie. Zręcznie rozebrał mężczyznę i wystawił olejki. Bursztynowy Żuraw wybrał ten o zapachu rumiankowym, nasycony odprężającymi ziołami. Potem zaczął masować maga od ramion. Dłońmi wyszukiwał i usuwał skupiska napięcia - i jak zawsze, zlikwidowanie napięcia uwalniało informacje o jego źródle.

- To z powodu Zimowej Łani - powiedział z rozdrażnieniem mężczyzna. - Zaczęła się ode mnie oddalać i, niech to lichy, nie wiem dlaczego! Nie wiem, o co jej chodzi, ale powiedziałem, że jeśli nie chce mnie zadowolić, mogę równie dobrze poszukać satysfakcji gdzie indziej.

Bursztynowy Żuraw domyślił się na podstawie uczuć towarzyszących wymawianiu imienia "Zimowej Łani", że kobieta była kochanką tego człowieka - a przynajmniej on ją za taką uważał. Dziwne, ten rodzaj imion zazwyczaj nosiły kobiety ze szczepu Kaled'a'in, a rzadko zdarzało się, aby Kaled'a'in były blisko związane z innymi plemionami.

- Dlaczego przyszedłeś tutaj? - zapytał, badając lekko węzeł poplątanych emocji, a równocześnie masując napięte mięśnie. - Dlaczego nie poszedłeś do kogoś... tańszego?

Mężczyzna chrząknął.

- Ponieważ cała armia zna twoje nazwisko - odparł. - Każdy w naszej sekcji będzie wiedział, że tu dzisiaj byłem, i nikt nie będzie potrzebował pytać dlaczego.

Bardzo poplątane emocje - zadumał się Bursztynowy Żuraw. Chociaż

na pierwszy rzut oka dominowała chęć zranienia swej kochanki przez publiczne udanie się do świętego - lub sławnego, zależy od punktu widzenia - kestra'chern, prawdziwym powodem była szczególna chęć pochlebiania sobie. Jak gdyby chodząc tylko do najlepszych i najdroższych, próbował powiedzieć Zimowej Łani, że jedynie najlepszy może ostatecznie ją zastąpić.

I jeszcze coś - postępując tak, zrównywał ją z płatną towarzyszką, jeszcze raz w ten sposób ją obrażając i wyłączając ze swego głębszego intymnego i emocjonalnego życia. A jednak była to dwuznaczna próba schlebiania jej. Bursztynowy Żuraw nie był łóżkowym towarzyszem do wynajęcia, był kestra'chern, uprawiał zawód wysoko ceniony przez Urtho i większość z kręgu dowódców. Wśród Kaled'a'in poważany był nieomal tak, jak kapłani dotknięci przez Boginię. Samo słowo niesło w sobie konotacje boskiej intuicji i uzdrawiania duszy oraz przyjaźni. Zatem było to tylko pobożne życzenie czy raczej pragnienie wywarcia wrażenia na Zimowej Łani, kimkolwiek ona była.

Bez względu na problemy, z jakimi kestra'chern zetknął się w tych dniach, wszędzie było więcej tajemnic niż odpowiedzi.

- Wiesz zapewne, że to, co się dzieje w tym namiocie, zależy od tego, co ja uznam za najlepsze dla ciebie, prawda? - zapytał tylko po to, aby uporządkować swe myśli. Jeśli ten człowiek pragnie wyłącznie wyczerpujących ćwiczeń, trzeba go wysłać gdzie indziej.

Bursztynowy Żuraw masował stopy mężczyzny, posługując się uciskiem i ciepłem, aby usunąć bóle z całego ciała, nie używając żadnych uzdrawiających mocy. Niektórzy uważali, że nie musi się wysilać, ponieważ ma moc uzdrawiania ciała i uspokajania nerwów. Od pokoleń jego poprzednicy wykorzystywali tylko fizyczne, wyuczone umiejętności - jak masaż - kierowani wyostrzonymi zmysłami i jasnym umysłem. Jako kestra'chern Bursztynowy Żuraw wykorzystywał swój dar uzdrawiania tylko wtedy, gdy bardziej "konwencjonalne" metody zawodziły. Jednakże pierwsze umiejętności dopełniały drugie i mógł ich używać wszystkich, jeżeli wymagało tego dobro klienta. Nigdy jednak nie świadczył usług, jakie można mieć od perchi. Mimo to ciągle na ten temat żartowano i kpiono.

- No cóż, hm, słyszałem o tym - powiedział, jak gdyby do końca w to nie wierzył.

- Jeśli cię to nie zadowala, mogę ci podać jedno czy dwa nazwiska perchi, przyzwyczajonych od tego rodzaju bezczelności - zaryzykował

Bursztynowy Żuraw. Nie miał zamiaru rozzłościć mężczyzny, który płacił przecież za drogi zabieg; poza tym jeśli klient uzna, że nie było warto, może zacząć sprawiać kłopoty.

- To, co robisz... nieważne - odparł przebiegle mag. - Najważniejsze jest to, co Zimowa Łania myśli, że robisz. Ty musisz dotrzymać tajemnicy, o ile wiem, a więc pozwolę, aby popracowała trochę jej wyobraźnia. Zapewne nieco podkoloryzuje wydarzenia.

Bursztynowy Żuraw poczuł nagłą ochotę, gdy odesłać tego człowieka. Nie mylił się - to, co tamten planował, było paskudnym posunięciem w stosunku do jego kochanki.

Może na to zasługiwała, a może nie. Nie był w stanie się tego dowiedzieć.

Westchnął. Górę wzięła jego zawodowa duma. Postanowił, że postąpi tak, aby ten człowiek nie żałował wydanych pieniędzy - i da mu choć odrobinę tego, czego ten się spodziewał.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Mam nadzieję, że na dzisiaj to już koniec, Gestenie - powiedział Bursztynowy Żuraw, kiedy opadła za nim zasłona. Potarł nos kciukiem i westchnął. - Jestem wykończony. Ostatni klient zażyczył sobie masażu miękkimi młotkami i kłótni. Na grafiku była sesja nie wymagających specjalnego wysiłku porad...

- Ale to wszystko na dziś - odparł Gesten, zadowolony z siebie.

- Ostatnich dwóch wynagrodziło ci wszystkich klientów, których nie przyjąłeś rano, ponieważ płacili godziwie i gotówką, a nie jakimiś żetonami. Ostrzegłbym cię, gdybym coś wiedział o ostatnim. Nie wspominał o młotkach; przygotowałbym je dla ciebie, gdybym wiedział. Był naprawdę małomówny.

- Może to i lepiej. Prawdopodobnie odesłałbyś go gdzie indziej, gdyby cokolwiek powiedział, a on by się obraził. - Bursztynowy Żuraw nie wdawał się w szczegóły. Ostatni dwaj klienci byli, mówiąc łagodnie, niemili. A ponieważ Gesten zawsze dyskretnie obserwował gabinet, prawdopodobnie dobrze o tym wiedział. Hertasi położył czystą nocną koszulę, prostą i bez ozdób (w przeciwieństwie do szat, których Żuraw używał, gdy przyjmował klientów) i odkrył talerz z żołnierskim chlebem i serem. Ostatnio niewiele przysmaków było dostępnych dla ludzi Urtho, nawet dla tych, którzy mogli sobie na nie pozwolić. Te, które Bursztynowy Żuraw jeszcze posiadał, zachowywał dla swoich klientów, którzy często bardzo pozytywnie reagowali na takie smakowe rozpieszczanie. Krążyła plotka, że nawet sam Urtho zrezygnował ze swoich ulubionych uczt. Na szczęście nie brakowało wody. W narożniku czekała na niego gorąca kąpiel, znad drewnianej balii już unosiła się zapraszająco para.

- Dziękuję, Gestenie - powiedział z niekłamanym uznaniem. Bursztynowy Żuraw zdjął swoje przepecone jedwabie i wślizgnął się do balii, krzywiąc się z lekka od gorąca. Miał zamiar jednak wytrzymać w tym ukropie, choćby za kilka minut przyszło mu się ugotować. Tego mu było trzeba, aby rozluźnić mięśnie. Przypomniawszy sobie, niczym z odległej przeszłości, że zanim klan Kaled'a'in sprowadził tu swe rodziny i stada, zawsze tam, gdzie mieszkał, tworzył gorące źródła, jeśli nie było w pobliżu naturalnych. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Źródła tworzone przez magów pochłaniały ogromną ilość magicznej energii i obecnie stanowiły luksus, na który nie można było sobie pozwolić.

Wojna próbowała pożreć wszystko, co stało jej na drodze. Bursztynowy Żuraw i ci, którzy wspierali wojowników, to właśnie z wojną walczyli, a nie z wojskiem, czarami i makaarami. W podobny sposób myślało też wielu spośród wojowników - widzieli wojnę jako naturalnego wroga, z którym trzeba się stanowczo uporać i mieć ją za sobą. Jednakże ona miała moc, której tak długo pragnął unikać Urtho - i której unikał, aż sama przyszła pod jego próg. Lud z Północy odnosił się do ludu Południa jak do "cywilizowanego"; nie miało to wiele wspólnego z jego technologiami i mocami - i było w równej mierze pragmatyczne, jak idealistyczne. Kiedy armia Ma'ara stanęła na granicy, napotkała opór. Dlatego usługi Bursztynowego Żurawia, które w czasach pokoju służyłyby spełnianiu zachcianek najbogatszych cudzoziemców i zaspokajaniu potrzeb własnego ludu, teraz stały się darmową nagrodą dla bohaterów...

I bardzo kosztownym kaprysem ludzi, którzy byli snobami.

Wrócił myślą do najemnego maga, człowieka, którego zimnej duszy nie potrafił ogrzać. Większość magów wcielonych do sił Urtho znalazła się w nich dlatego, że byli przekonani, iż sprawa Maga Ciszy jest słuszna albo dlatego, że szanowali Urtho jako jednego z największych żyjących adeptów. Mieli oni nadzieję nauczyć się czegoś od niego w czasie służby pod jego dowództwem. Byli też tacy, którzy zaciągnęli się do jego armii, bo nienawidzili Ma'ara albo dlatego, że ich własne ziemie zostały zniszczone przez zachłannego napastnika. Niewielu walczyło wyłącznie dla pieniędzy.

Ten człowiek, Conn Levas, do nich należał. Nie miał przyjaciół i nic go nie obchodziło poza jego własną mocą i umiejętnościami. Był jednym z najbardziej ograniczonych ludzi, jakich Bursztynowy Żuraw kiedykolwiek spotkał. Narcyz najwyższego stopnia. Interesowało go tylko powiększanie swego bogactwa i sławy: wojna też służyła temu celowi. Służył u Urtho, ponieważ był to pan, który dawał swym magom o wiele większą autonomię i cenniejsze nagrody niż Ma'ar.

Niestety, sytuacja pozwalała takim bestiom odnosić sukcesy. Jednakże jak kobieta z plemienia Kaled'a'in została jego kochanką - tego Bursztynowy Żuraw nie potrafił zrozumieć.

Levas co prawda przyznał, że jego chłód był częściowo przyczyną tego, że Zimowa Łania rozczarowała się w stosunku do niego. Bursztynowy Żuraw miał wrażenie, że tego rodzaju przyznanie się do błędu było nie lada ustępstwem z jego strony.

Rozczarowana... to jest myśl. Czyżby ten mag rzucił urok na tę kobietę? Nie mógł użyć silniejszych czarów, ponieważ inni magowie by to zauważyli, ale małe zaklęcie we właściwym czasie sprawiłoby, że ujrzalaby go takim, jakim chciała go widzieć. Mogła trafić do jego łóżka dużo wcześniej, zanim zrozumiała swój błąd. Posiadanie kobiety Kaled'a'in jako kochanki było uważane przez niektórych najemników w siłach Urtho za sukces. Posiadanie uzdrowicielki jako kochanki było jeszcze większym wyczynem. Mogła dla niego być cenna właśnie jako kolejne jego osiągnięcie. I...

Dlaczego się o nią martwił? Przecież niewiele o niej wiedział, znał tylko jej imię, które brzmiało jak imię kobiet Kaled'a'in. Może ona w ogóle nie należy do tego plemienia, inne szczepy też przybierały barwne imiona albo nadawały je swym dzieciom przy narodzinach. W ogóle dlaczego myśli o Conn Levasie? Człowiek ten otrzymał wystarczającą usługę za swoje pieniądze. Nie wygląda na to, żeby miał wrócić, wzięwszy pod uwagę jego opór przed sondującym krzyżowym ogniem pytań Bursztynowego Żurawia. Kestra'chern wiedział, że najemnik będzie się martwił, że powiedział za dużo. No cóż. Usługa, którą mu zaoferował, nie była zbyt skomplikowana, nawet w standardzie kestra'chern. A jednak...

Jeśli będziesz się przejmował każdym mężczyzną i każdą kobietą w armii, uwikłasz, się w kłopotliwą sytuację i nawet nie będziesz wiedział, z jakiego powodu - powiedział do siebie. - Stwarzasz problemy z niczego, a potem się zamartwiasz. Nigdy nawet nie widziałeś tej uzdrowicielki Zimowej Łani. Dlaczego więc przyprawiasz się o ból głowy?

Dobrze wiedział, dlaczego się przejmuje najemnikiem i jego kochanką - powstrzymało go to przed zamartwianiem się o Skana.

Jakby i tak nie miał dość problemów...

Skandranon był wdzięczny za to, że żyje, a jeszcze bardziej dziękował za to, że wypełnił swoją misję do końca, a już bezbrzeżnie był wdzięczny za to, że znowu został złożony do kupy. Co jakiś czas zapewniano go, że będzie mógł latać. Dokuczał mu jednak bezustanny ból głowy. W dodatku wszechogarniające poczucie wdzięczności powodowało, że miał ochotę gryźć.

Było to nieładne z jego strony; wiedział o tym i tym bardziej chciało mu się gryźć. Chciał być zły na swój sposób. Gdyby tylko w jego na-

miocie pojawił się ktoś, kto zasłużył na porządne, zjadliwe zbesztanie. Na przykład głupiec, który zapewniał Urtho, że Przełęcz Stelvi jest bezpieczna, albo idiota, który wydał rozkaz obciążający gryfy misjami specjalnymi, nawet ten imbecyl, kucharz, który najpierw przysłał mu surową rybę na śniadanie zamiast dobrego, czerwonego mięsa, a potem uraczył go gulaszem. Jednakże jedynymi ludźmi, którzy się do niego zbliżali, byli ci, którym powinien być wdzięczny - jakie to irytujące! - Gesten i Żuraw, Tamsin i Cinnabar, członkowie jego dywizjonu, piesi i najemnicy, którzy narażali swe życie, aby przytaszczyć go do domu. Po wykładzie Gestena zdwoił swoje wysiłki, aby okazać im właściwą wdzięczność...

Ciągle jednak chciało mu się gryźć - co też robił. W końcu są jeszcze jakieś inne poduszki w obozie.

Gdyby tylko nie bolał go tak dziób. Czuł bezustannie wokół nozdrzy lekkie klucie od zadrapań i swędzenie u nasady, a jego zatoki rwały jakby...

Jakbyś uderzył w coś twardego po zbyt długim nurkowaniu, ptaku.

Sprawę pogarszała jeszcze zupełnie nienaturalna pozycja, w której leżał, z przednimi nogami wyciągniętymi przed siebie, a tylnymi kończynami unieruchomionymi w szynach, co powodowało, że nie mógł się wygodnie ułożyć. Wiedział, że uzdrowiciele mogli spowodować, aby jego kości się zrosły podczas jednej sesji wytężonego uzdrawiania. Wiedział jednak również, że na liniach frontu nie tylko on odniósł obrażenia i że wielu ludziom grozi śmierć, jeśli nie dostaną się do uzdrowiciela. Taka sesja zajmowała odległe miejsce na liście priorytetów.

Nie poprawiło mu to nastroju.

Zdziwił się, gdy późnym popołudniem Tamsin i Cinnabar pojawili się w jego namiocie - aż przyrządów, które niósł hertasi, gryf domyślił się, że nie było to towarzyskie zebranie. Tamsin był ubrany jak zwykle w zielone bryczesy i koszulę. W przeciwieństwie do innych uzdrowicieli krótko przycinał jasne włosy i nosił brodę: inni zazwyczaj nosili długie włosy i byli gładko ogoleni. Tamsin nie mógł stanowić lepszego tła dla wysokiej i pełnej wdzięku lady Cinnabar: był krępy i umięśniony jak zapaśnik. Cinnabar oczywiście była elegancka, jakby dopiero co wyszła z przyjęcia na dworze. Spod jej szkarłatnej sukni, długiej do pół łydki wylaniały się szkarłatne skórzane botki, podkreślające jej szczupłe kostki. Obcisłe rękawy sukni uwydatniały piękno jej ramion bez

odkrywania choćby kawałka ciała. Skandranon słyszał, że według ludzkich gustów nie była piękna ani nawet przystojna, ale jemu jej twarz o wydatnym nosie, podobna trochę do głowy dumnego sokoła, wydawała się dość atrakcyjna. Włosy po bokach głowy uzdrowicielki były krótko ścięte, zaś na czubku uniesione, a z tyłu spływały na plecy związane w ogon: przypominały Skanowi grzebień. Pięknie.

Oboje wyglądali na stosunkowo wypoczętych i pełnych energii. Czyżby się miały ziścić nadzieje Skana? Czy oni mają zamiar...

- No dobrze, stary ptaku - powiedział wesoło Tamsin, trzymając uchyloną klapę namiotu, aby obciążony hertasi mógł swobodnie wejść. - Musimy coś zrobić z twymi nogami, abys mógł normalnie odpoczywać. Jak myślisz, wytrzymasz?

- Czy mógłbym powiedzieć cośś innego? - odparł Skan. - Zniossę wszystko!

- Wszystko? - spytała Cinnabar z łobuzerskim błyskiem w oku. Kiedy Tamsin wymownie uniósł brew, dodała pośpiesznie: - Nie, nie odpowiadaj. Jesteś najbardziej nienasyconym stworzeniem, jakie znam!

Skan miał zamiar łypnąć pożądliwie okiem, ale to mu się nie udało.

- Proszę - zamiast tego prawie zakwilił.

Słońce już prawie zachodziło, kiedy dzięki wielkiemu wysiłkowi ze strony Tamsina i Cinnabar oraz bólu i współpracy ze strony Skana, połamane kości gryfich przednich kończyn się zrosły, a tylne ozdrowiały w takim stopniu, że pozbył się szyn. Pozwolono mu zrobić ostrożnie kilka kroków. Teraz mógł sam zaspokajać swe potrzeby, które były ogromne, gdyż jak dotąd, o ile mu było wiadomo, nikt nie wymyślił nocnika dla gryfów. Mógł też sam się nakarmić, a ponieważ Cinnabar uśmierzyła ból głowy, odczuwał głównie głód. Mógł leżeć w wygodniejszej pozycji i słuchać, jak burczy mu w brzuchu.

Cinnabar wyglądała równie pogodnie i spokojnie jak wtedy, gdy zaczęli. Tamsin był wyraźnie zmęczony, ale równie wesoły.

- Należało ci się, stary ptaku - powiedział, klepiąc Skana po boku. - Najpierw kolacja czy gość?

- To i to - odparł Skan. - Jeśli ten ktośś nie znossi widoku jedzącego gryfa, każ mu przyjść później. A jeśli jest to ktośś, kogo ja nie znoszę, to on będzie moją kolacją.

Z pewnością dziś wieczór Skan nie zechce jeść małych kawałków mięsa. Nie, Cinnabar i Tamsin znali gryfy i o ile ten idiota kucharz nie

przekreśli ich polecenia, będzie to spory tłusty udziec z jakiegoś świeżo zabitego i krwistego zwierzęcia, coś, co Skan mógłby rozedrzeć, aby dać upust swej frustracji. Być może nawet połowa sarny albo wołu - gryf był tak głodny, że z pewnością zjadłby jedno i drugie.

Srebrzyście nakrapiany hertasi odebrał sygnał dochodzący doń zza płóciennej kłapy namiotu i wraz z towarzyszem natychmiast zniknęli, jakby wyparowali. W chwilę później rozwarła się płachta przy wejściu i ukazała się czcigodna i wyjątkowa postać.

- Chyba jestem w stanie znieść widok jedzącego gryfa - powiedział Urtho, Mag Ciszy.

Wkroczył do namiotu i zamilkł, a jego uspokajająca obecność wypełniła wnętrze wilgotnego i ciepłego pomieszczenia. Trudno było określić prawdziwy wiek Urtho. Mógł mieć sześćdziesiąt lat albo sześćset. Odkąd Skan go znał, wyglądał zawsze tak samo. Wieczny wizerunek geniusza. Był wysoki i szczupły niczym bocian, fala siwych kręconych włosów spływała mu do pasa, miał ogromne szare oczy, nos tak samo wydatny jak u lady Cinnabar, podbródek gładko ogolony. Nie wyglądał jak najlepszy adept - w ogóle nie wyglądał jak mag. Był podobny raczej do skryby, złotnika czy akrobata na emeryturze.

Skan przypuszczał, że w żyłach Urtho mogła płynąć krew Kaled'a'in, szczególnie, jeśli wzięło się pod uwagę jego nos oraz związek, który łączył go z tym plemieniem od dawna. Jeśli jednak nawet tak było, nikt nigdy o tym nie wspominał przy Skanie.

Urtho przytrzymał kłapę namiotu dla dwóch hertasi wnoszących dwie ćwierci sarny, z obiema przednimi nogami, łopatkami, piersią i ze skórą, choć bez głowy, ale prośba o ten kawałek byłaby już przesadą. Ludziom robiło się słabo na samą myśl, że mają dostarczyć gryfom posiłek z całą głową: nie brali pod uwagę tego, że była naprawdę pyszna. No cóż, ludziom robiło się niedobrze z jeszcze wielu innych głupich powodów. Skan chwycił łup przednimi szponami, oderwał kawał mięsa ze skórą, zanim zdążył zauważyć dowódcę jednej z dwóch największych armii, jakie kiedykolwiek widziano w Yelgarth.

Potrząsając głową, połknął cały kawał. Podobnie jak wszystkie drapieżne ptaki, które hodowali ludzie Kaled'a'in, potrzebował sierści i twardej skóry do oczyszczania gardzieli.

- Przyłączysz się do kolacji? - zaproponował. Urtho zaśmiał się.

- Czy w ten sam sposób sokół proponuje kolację myszy?

Tamsin i Cinnabar ukłonili się z szacunkiem i pośpiesznie wyszli.

Moc Urtho onieśmielała tych, którzy go dobrze nie znali. Ten skinał im na pożegnanie i usiadł na jednym z dwóch krzeseł, które przed chwilą zajmowali.

Skandranon urwał następny kawał mięsa; smakowało wspaniale, było pożywne i słone od potu. Przełknął, czując, jak prążki śliskich od krwi mięśni spływają przez przełyk do gardzieli. Strzelił uchem i obrócił głowę ku swemu dowódcy. Ich spojrzenia spotkały się i z błysku oka wyczytali wszystko.

- No cóż, ssstaruszk, mimo wszyssstko przeżyłem. Mam nadzieję, że masz to.

Urtho skinał głową.

- Udało ci się. I miałeś rację, nalegając, aby lecieć samemu. Dobrze się spisałeś, Skan. Tak, mam to. Chociaż cudem wydobyto ów przedmiot z twego zachłannego gardła.

- Chcesz powiedzieć, że tylko ja byłem na tyle głupi, żeby tego ssspróbować - odparł Skan, starając się nie pysznić. Oderwał kolejny kawał swego posiłku.

- O ile sobie przypominam, nie byłeś jedynym chętnym, ale nalegałeś, by lecieć samemu - stwierdził Urtho z odrobiną wyzwania w głosie. Skan tylko chrząknął.

- Być może - zasugerował złośliwie po chwili - pamięć ci nie dopisuje.

Ku jego zdziwieniu Urtho westchnął.

- Rzeczywiście - powiedział zmęczonym głosem. - Ostatnio o wielu rzeczach zapominam. Kelethen jest coraz bardziej niecierpliwy...

- Musssisz pamiętać o tak wielu sssprawach - przerwał szybko Skan.

- Kelethen jessst ssstraszenie zrzedliwy jak wszyssscy hertasssi. Powinieneśś mu powiedzieć, że jeśśli jessst niessspokojny, niech zaprowadzi terminarz ssspotkań taki, jaki mają kessstra'chern.

- Czasami czuję się jak kestra'chern - wyznał smutno Urtho. - Od którego oczekuje się, że zadowoli wszystkich...

- Prawie wszyssstkich - przerwał Skan. - Poza tym ktośś musssi dowodzić, a ja jessstem za bardzo zajęty. Co ty tutaj w ogóle robiszsz? Czy nie powinieneś dowiedzieć sssię czegoś o broni, porozmawiać o odzyssskaniu przełęczu? W końcu jessstem tylko głupim gryfem.

- To prawda. - Urtho znowu westchnął. - Ale ty jesteś bardzo szczególnym głupim gryfem. Przyszedłem zobaczyć, czy miewasz się tak

dobrze, jak to twierdzą uzdrowiciele. Z bronią się uporałem, przeprowadzenie kontrataku w przełęczy leży w gestii dowódców. Niewiele mam do zrobienia tutaj, kiedy rozpocznie się atak.

Twarz Urtho była trochę szczuplejsza i Skan domyślił się, że mag niewiele ostatnio spał i jadł. Rozumiał, że pragnie wyrwać się z Wieży choć na trochę. A jednak...

- Mam nadzieję, że ktośś będzie wiedział, gdzie jesteśś.

- Kelethen. Chciałbym, aby było już po wszystkim, albo jeszcze lepiej, żeby to nigdy się nie zaczęło.

Skandranon wytarł swój dziób o pierze i utkwiał wzrok w Urtho.

- Urtho, to sssię zaczęło i trwa. Lecimy razem z tym samym wiatrem. To nie ty ssspowodowałeśś, że wiatr zmienił się w orkan.

- Chciałbym móc powiedzieć, że ja niczego nie wywołałem, ale już sam fakt naszego istnienia wystarczył, aby spowodować tę napaść Ma'ara. Zastanawiałem się nad nim. Nawet jako młody chłopak pragnął władzy nad ludźmi, bardziej niż czegokolwiek, i upajał się nią. - Urtho pokręcił głową, jakby nie mógł zrozumieć kogoś o tego rodzaju umysłowości. - Nic, co posiadał, mu nie wystarczało. Jest w nim głód, którego nic nie potrafi zaspokoić. Na świecie może być tylko jeden pan i tym panem musi być Ma'ar.

- To szaleństwo - odparł Skan.

- Niezupełnie - powiedział Urtho ku zdziwieniu gryfa. - To nie jest szaleństwo takie, o jakim myślimy. On nie znosi niczego, co nim nie jest, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

- Nie - odparł krótko Skan. Nie był w ogóle w stanie wyobrazić sobie kogoś z tego rodzaju umysłem, a to, co wiedział o Ma'arze i jego stworzeniach, przekonało go o tym, że Mag Czarnego Ognia jest samym złem i szaleństwem.

- Gdybym mógł, pomógłbym mu - odparł łagodnie Urtho.

- Co?! - zaskrzeczał Skan i nastroszył pióra w zdziwieniu. Czuł się prawie tak jak wtedy, gdy uderzył głową o ziemię: odebrało mu oddech i był zbyt otępiały, by myśleć.

- Pomógłbym mu - upierał się Urtho. - Gdyby przestał myśleć o tym wszystkim, co spowodował, i przyszedł do mnie, pomógłbym mu. Jednakże on tego nie robi. Nie może. Nie mógłby tego zrobić i być nadal Ma'arem. - Pokręcił głową. - Jego obsesje są podobne do moich, Skandranonie. Rozumiem go o wiele lepiej, niż on rozumie mnie. On myśli, że jestem zbyt miękki i że poddam się, ponieważ tak wielu zgi-

nęło i tak wielu jeszcze zginie. On myśli, że ja nie uświadamiam sobie, że zabijanie nie skończy się tylko dlatego, że się poddamy. Nie sędzę, aby miał jakiegokolwiek pojęcie o tym, co zrobimy, aby go powstrzymać.

- W głosie Urtho wyraźnie brzmiała nieubłagana determinacja.

Skan odprężył się. Przez chwilę pomyślał, że poniesiona; w przełęczy kłęska mogła zachwiać magiem.

- To wśśściekły piesss - odparł szorstko Skan. - Wśśściekłemu psssu sssię nie pomaga, tylko sssię go zabija.

- Ostre słowa, moje dziecko. - Urtho lekko zmarszczył i brwi, chociaż powinien w pełni zdawać sobie sprawę z gwałtownej i drapieżnej natury gryfa.

Skan pomyślał o torturowanych gryfach w Przełęczy Stelvi i wyszczał:

- Nie dośść ossstre. Nie powiedziałem ci jeszcze, co zrobili z dywizjonem Ssstelvi: wszyssstko, o czym kiedykolwiek sssłyszałeśś. Wszyssstkim. Także piessskłętom. Possstąpili nawet gorzej niż z moją essskadną.

Urtho pobladł i Skan nagle pożałował tego, co powiedział. Mag nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci, więc uważał za nie wszystkie swoje inteligentne stworzenia, a w szczególności gryfy.

Na chwilę zapadła między nimi cisza i Skan przeklął w duchu! swój zwyczaj mówienia, a potem myślenia nad swymi słowami. *Głupi ptaku, zanim cokolwiek powiesz, powinienes najpierw pomyśleć, chociaż przez chwilę. Byłby to wielki postęp.*

Gdy tak milczeli, usłyszeli dochodzące z obozu odgłosy. Ludzie krzyczeli do siebie, a gdzieś blisko metal stukał o metal. Skan zaczął znowu jeść, bo głód zwyciężył dobre maniere. Jednocześnie myślał, jak przeprosić Urtho.

- Urtho, przepraszam - powiedział w końcu. - Jesstem tylko głodnym, obolałym, nerwowym, głupim ptakiem. Traktuj mnie tak, jakbym sssię pierzył.

- Masz rację, Skan - odparł Urtho. - Masz rację. Biorąc pod uwagę to, co przed chwilą powiedziałem, czasami nie myślę o tym, do czego jest zdolny Ma'ar. Chcąc myśleć jak Ma'ar, muszę ruszyć swoją wyobraźnią i nagiąć siłę woli - a to nie jest przyjemne.

Skandranon nie znalazł na to żadnej odpowiedzi. Połknął tylko kolejny kęs mięsa.

- No cóż, dzięki tobie ta nowa broń już nam nie zagraża - ciągnął

mag, zmieniając temat. - Przyszedłem tu właściwie po to, mój przyjacielu, aby się dowiedzieć, jaką chcesz nagrodę. Zaslugujesz na nią. Może masz ochotę na potomstwo? Z pewnością jesteś obdarzony dużym potencjałem i każda samica w dywizjonie będzie szczęśliwa, wyświadczając ci tę przysługę. Chciałbym widzieć, jak linia Rashkae'ów się rozwija.

Nie oferta zdziwiła Skana, ale to, że Urtho nazwał go swoim przyjacielem, chociaż takie proste słowa nie powinny być żadną rewelacją. Urtho spędził wiele godzin, rozmawiając z nim, nie jak dowódca z podwładnym ani pan ze służącym, ani nawet jak twórca ze swym stworzeniem - ale jak równy z równym. Jedynie Skandranon wśród gryfów miał przywilej odwiedzać Wieżę i przeszkadzać magowi o każdej porze dnia czy nocy.

- Pomyśśś! o tym - odparł Skan. - W tej chwili powinienem sssię cieszyć, że zossstałem uzdrowiony i będę mógł znowu latać.

Urtho skinał głową.

- Jak chcesz. Jestem pewien, że coś wymyślisz. Proszę tylko, żebyś miał wzgląd na moje ograniczone zasoby! Nie mogę transportować biblioteki, wszędzie gdzie lecisz!

Skan uśmiechnął się, o ile można powiedzieć, że gryfy się uśmiechają. Urtho nie zapomniał o jego miłości do książek.

- Na pewno cośśś wymyśśś!

Urtho nie miał zamiaru odejść, toteż Skan po prostu kontynuował posiłek, a zwierzchnik sił zbrojnych opowiadał obozowe plotki. I właśnie na tym zastał ich komendant Loren.

I chociaż w namiocie nie było drzwi, aby zapukać, ostentacyjne kasznięcie na zewnątrz powiedziało Skanowi, że mają gościa, którego głosu nie rozpoznawał. Gryf instynktownie napiął się, ze wszystkich sił próbując zmusić swe ciało do gotowości, aby chronić Urtho, chociaż przychodziło mu to z trudem.

Urtho jednak poznał ten głos; była to jego wyjątkowa cecha, którą Skan mógł tylko podziwiać. Mag znał każdego komendanta swej wielkiej armii na tyle dobrze, by poznać go po głosie. Pamięć Urtho była niezwykła i niezawodna. Wpadał w przygnębienie, gdy zdarzyło mu się zapomnieć o czymś nieważnym.

- Możesz wejść, Loren - odezwał się natychmiast - skoro jest to coś na tyle ważnego, że wyszedłeś mnie nawet tutaj.

Kiedy komendant Loren odsłonił klapę namiotu, Skandranon rozpo-

znał jego kwadratową twarz i zwalistą figurę, chociaż nie mógł przypisać mu właściwego imienia. Loren nie był ani wybitnie dobry w dowodzeniu gryfami, które zostały mu przydzielone, ani też nie był wybitnie zły. Tylko jedno lub drugie mogło zmusić gryfa, aby go zauważył.

Toteż pierwsze słowa mężczyzny kazały Skanowi unieść ze zdziwieniem głowę znad resztek posiłku.

- Lordzie Urtho, chciałbym, aby nagroził pan pewnego gryfa - powiedział przepaszająco Loren. - Nigdy bym pana nie kłopotał, skoro pan tak wyraźnie starał się zmylić swoich adiutantów, ale nie chciałem, aby ta sprawa poszła w niepamięć.

- Najwyraźniej ten gryf dokonał czegoś niesamowitego... - Urtho przerwał znacząco.

- Absolutnie niesamowitego. - Loren zarumienił się z dumy. - Była na patrolu w sektorze, który uznaliśmy za bezpieczny. Tam odkryła i wyeliminowała trzy makaary.

Trzy makaary? - Skan był pod wrażeniem.

- Kto z nią leciał? - spytał. - Chciałbym wiedzieć, kto jej je wystawił.

Wystawienie trzech makaarów wymagało prawie takich samych umiejętności i jeszcze większej odwagi niż ich zabicie.

- O to właśnie chodzi, Czarny Gryfie - powiedział Loren, a jego twarz rozpromieniła się. - Zrobiła to zupełnie sama. Leciła w pojedynkę, bo miał to być bezpieczny obszar. Ponieważ moje patrole są nieliczne, pomyśleliśmy, że będzie rozsądnie, aby nad obszarami bezpiecznymi latać w pojedynkę zamiast parami. W ten sposób młodsze czy młodsze gryfy mogły nabierać doświadczenia bez zbytniego narażania się. Ma na imię Zhaneel.

Zabicie trzech makaarów było rzeczą niezwykłą, ale unicestwienie trzech naraz było czymś rzadko spotykanym nawet wśród bardzo doświadczonych frontowców. *Kim jest ta Zhaneel?* - pomyślał Skan, rozwarłszy dziób ze zdziwienia. - / *dlaczego nigdy wcześniej o niej nie słyszałem?*

Zdziwienie Urtho było równie wielkie jak Skana, co można było poznać po jego wytrzeszczonych oczach. To samo w sobie było dość zdumiewające. Gryfy były jego ulubionymi stworzeniami, znał każde obiecujące młode i śledził jego postępy. O tej jednak nawet nie słyszał.

- Przeprowadź ją tutaj - powiedział rozkazująco Skan, zanim Urtho zdążył odzyskać mowę.

Loren spojrział najpierw na Urtho, aby uzyskać jego pozwolenie. Kiedy mag skinął potakująco głową, odchylił klapę namiotu i wymaszerował w kierunku poczerwieniałego od zachodu słońca obozu.

Wrócił o wiele wcześniej, niż Skan się spodziewał, chociaż i tak nie dość szybko dla niecierplivej natury gryfa. Drapieżnik połknął resztę swojego posiłku i wezwał hertasi, aby zanim tamci przyjdą, zabrał resztki i zapalił lampy. Częściowo dlatego, aby całą swoją uwagę poświęcić gościom, a po części - aby sam był dobrze widoczny, chociaż w tej chwili to "dobrze" było trochę przesadzone. Poowijany w bandażę, wsparty na poduszkach i bez uczciwej kąpieli nadal nie prezentował sobą wspaniałego widoku. Jednakże Gesten umył go najlepiej, jak potrafił, gdyż nie wypadało przedstawiać się tej odważnej damie z resztkami tłustego posiłku na brzuchu.

Po prostu chcesz dobrze wypaść przed tą damą, próżny ptaku. Jak gdybyś chciał mieć pewność, że dołączy ona do twego haremu, gdyby ci przyszła na to ochota. Zachowujesz się jak kolekcjoner figurek pożądający jeszcze jednej malej statuetki.

A jednak nie chciał, by sobie pomyślała, że jest jakimś nie umyтым chuliganem. Bogowie tylko wiedzą, co ona o nim słyszała. Żuraw i Gesten nie chcieli powtórzyć połowy historyjek, które o nim krążyły. Ale tylko ich słowa były dowodem, że w ogóle coś słyszeli...

Dobrze, że ten namiot był stosunkowo duży: zazwyczaj służył dwóm pacjentom. Kiedy komendant Loren przyprowadził swojego młodego gryfa, zrobiło się tylko odrobinę tłoczno.

- Oto Zhaneel, moi panowie - rzekł urzędowo Loren. - Panie Urtho, Skandranonie, oto młoda Zhaneel, która dzisiaj rozprawiła się sama z trzema makaarami.

Kiedy Urtho wygłaszał swoją okolicznościową mowę pochwalną, Skandranon siedział bardzo cicho i badał wzrokiem Zhaneel. Była niewielka, drobna, z wystającą, ale wąską klatką piersiową. Pędzelki na uszach były gęste i zgrabne, pióra bardzo gładkie. I w ogóle nie miała krawatki. Upierzenie było jasnobrązowe, a końcówki piór złoto nakrapiane, jak u większości gryfów z wyjątkiem nie oznaczonych. Jej lotki były wybielone i pomalowane w kolorach dywizjonu - w tym wypadku na czerwono i złoto. Na głowie i twarzy miała prążki w trochę ciemniejszym brązie i plamki zbiegające od oczu ku policzkom niczym delikatne ślady łez.

Słuchając Lorena i Urtho, trzymała głowę opuszczoną i lekko prze-

chyloną na jedną stronę, jakby była nieśmiała albo zakłopotana - u gryfów był to odpowiednik ludzkiego rumieńca. Czy to tylko nieśmiałość, czy naprawdę czuła się niezbyt dobrze w ich towarzystwie? Większość gryfów, które Skan znał, mogła być przytłoczona obecnością swego pana i twórcy, ale nie zachowywałyby się w ten sposób.

Kiedy w końcu Loren zmusił ją do zabrania głosu, jej ton okazał się niski i łagodny. Mówiła prostymi zdaniami, przedłużając głoski syczące, jednak nie dlatego, że była głupia. Głupi gryf nie byłby zdolny zrobić tego, czego ona dokonała. Słuchając jej, miało się wrażenie, że z powodu swej nieśmiałości nie może znaleźć odpowiednich słów.

- To nie było nic wielkiego - upierała się. - Po prossstu leciałam wyssoko, bardzo wyssoko. Tak jessst bezpieczniej. Makaary nie potrafią latać wyssoko. Zobaczyłam je wszyssstkie trzy pode mną.

Skan z łatwością mógł to sobie wyobrazić, szczególnie jeśli rzeczywiście leciała tak wysoko, jak sądził. Bez trudu zobaczył w wyobraźni te spiczaste skrzydła - z pewnością z takimi skrzydłami moment przyspieszenia byłby niesamowity. Ich wąski brzeg był przedłużeniem długich pierwszorzędowych lotek. Jeśli makaary znajdowały się w połowie drogi między ziemią a nią, mogła być dla nich niewidoczna.

- Było zbyt daleko, żeby wracać i zdawać raport - ciągnęła. - Zanim wojownicy by przybyli, ich jużżż mogło nie być. One prawdopodobnie czegośś szukały. Znalazłyby to i zniknęły.

Teraz Skan pokiwał głową.

- Racja - zagrzmiął, a ona wzdrygnęła się na dźwięk jego głosu. - Całkowita racja. Twoim obowiązkiem było próbować je powstrzymać.

- Ale jak je zabiłaś? - zapytał Urtho. Przekrzywiła głowę.

- Byłam wyssoko. Nie mogły mnie widzieć. Zatrzymałam sssię nad nimi, uderzyłam w dowódcę. W ten sssposób...

Wyciągnęła jedną przednią łapę zaciśniętą w pięść i uderzyła w powietrze.

- Trafiłam go w głowę. Ssspadł na ziemię i zginął.

Bez wątpienia, z takiej wysokości Zhaneel siłą rozpędu złamała dowódcy kark, a ziemia dokonała reszty.

- Poleciałam za nim na dół. Tamci za mną, ale ja wzbiłam się znowu, zbyt szybko, by mogli mnie dogonić.

Gestykulowała przednimi szponami i Skan dostrzegł coś, na co przedtem nie zwrócił uwagi - powód, dla którego mogła uderzać, nie rozszarpując swej ofiary, tak jak on by to zrobił. Miała bardzo krótkie

szpony, a długie i ruchliwe “palce” podobne do ludzkich. Cięcie tylko by rozzłościło makaara, chyba że udałoby jej się przeciąć którąś z głównych arterii na jego szyi.

- Znowu wzniosłam się wyssoko, tamci dwaj za mną, ale nie potrafili wlecieć tak jak ja. Zawróciłam, zaczęłam nurkować, uderzyłam w pierwszego, który leciał naprzeciwko mnie.

Przysiadła na ogonie i pokazała całe “spotkanie” z makaarami za pomocą obu swych dziwnych przednich łap - jak makaar usiłował się wzniesć, jak spadła na niego od przodu, przedłużając swoje nurkowanie do ostatniej chwili, aby uderzyć go w czubek głowy zaciśniętymi “pięściami”.

- Został ogłuszony, zaczął ssspadać i w końcu złamał sssobie kark, gdy uderzył o ziemię. Poleciałam za nim, aby sssię upewnić, że nie żyje, wtedy znowu zmieniłam nurkowanie w lot wznoszący.

Nie patrzyła na żadnego ze znajdujących się w namiocie, utkwiała wzrok w jakimś niewidzialnym punkcie na ziemi.

- Trzeci sssię przesstraszył i próbował uciekać. Znowu wzniosłam sssię najwyżej jak mogłam i zanurkowałam. Był szybki, ale ja byłam jeszcze szybsza. Uderzyłam go i ssspadł - mówiąc to, przekrzywiła głowę - i ssskończyło sssię. To nic szczególnego.

Nic szczególnego - z wyjątkiem tego, że była to taktyka, którą niewiele gryfów, jeżeli w ogóle jakiś, wypróbowało. Wyjątkowo udana taktyka. Większość gryfów, kiedy walczyła z makaarami, pragnąc je zabić, wpijała się w grzbiet ofiary i ściągała ją na dół albo rozszarpywała szponami. Przypominały w walce jastrzębia i orła, a nie sokoła. Zhaneel walczyła niczym bardzo głodny - lub bardzo odważny - sokół. Kiedy ten ptak chwytały gęś albo dużą kaczkę, która była od niego cięższa, strącał ofiarę! na ziemię bez użycia szponów.

- Zhaneel, twoja odwaga prawdopodobnie ocaliła życie wielu naszym ludziom i z pewnością także kilku gryfom - powiedział Urtho, gdy te myśli przebiegały przez głowę Skana. - Jestem pełen podziwu i zadowolony, że komendant Loren postanowił przyprowadzić cię do mnie. Moje drogie dziecko zasłużyłaś sobie na nagrodę.

Mówiąc te słowa, sięgnął do kieszeni i wyciągnął jeden z żetonów, których używał zamiast medali czy odznak. Urtho uważał medale za całkowicie bezużyteczne; odwagę nagradzał konkretami. Ten żeton miał najwyższą możliwą wartość: był to złoty kwadrat z mieczem po jednej stronie i słońcem z promieniami po drugiej. Wsadził go do ma-

łego woreczka, który Zhaneel miała zawieszony na szyi. Było to akcesorium, bez którego gryfy nie mogły się obejść. Za tę szczególną nagrodę gryficy mogła otrzymać w obozie dosłownie wszystko, od pięknego namiotu po ekskluzywne całomiesięczne usługi osobistego her-tasi. Mogła też ją zachować i dołożyć do innych. Skan miał na przykład otwarty rachunek u Gestena, którego usługi dzielił z Bursztynowym Żurawiem. Zanim wyruszył na tę ostatnią wyprawę, był mu dłużny kilka miesięcy do przodu i Gesten byłby bardzo bogatym her-tasi, gdyby wojna się skończyła.

- Jednakże zdradź mi dziecko jedną rzecz - ciągnął Urtho, utkwivszy w niej wzrok, podczas gdy Loren promieniował zadowoleniem, a młoda gryficy wyjąkała podziękowania - kim są twoi rodzice? I kto oprócz nich cię szkolił?

- Nie mam już rodziców - odparła. - Zmarli, gdy byłem jeszcze pissekłem, nie mam też rodzeństwa.

Rozczarowanie Urtho było widoczne nawet dla Skana; nie będzie jej podobnych, chyba że się z kimś sparzy. Zanim zdążył ją wypytać o to, kto ją trenował, skoro nie byli to jej rodzice, do namiotu wpadł jeden z jego adiutantów z okrzykiem:

- Lordzie Urtho, kontratak w Przełęczy Stelvi...

Więcej nie musiał mówić; Urtho natychmiast się podniósł i ruszył biegiem za chłopakiem, burząc swoją misternie ułożoną z siwych włosów fryzurę, i zniknął w ciemnościach.

Nie po raz pierwszy Urtho opuszczał Skana w ten sposób i prawdopodobnie nie po raz ostatni. Skandranon wiedział, co robić. Próbując wyglądać godnie i pewnie mimo ran i bandaży, zapanował nad sytuacją.

- Panie komendancie, dziękuję panu za przyprowadzenie tutaj Zhaneel - powiedział, unosząc głowę, a potem lekko skłaniając ją ku Lorenowi. - Dopełnił pan, a nawet wyszedł poza zakres zwykłych obowiązków i gdyby Urtho nie był zmuszony nas opuścić, z pewnością by to panu powiedział.

Miał nadzieję, że Loren właściwie to zrozumie i tak też się stało.

- Dziękuję, Czarny Gryfie - odparł, a potem ciągnął ze szczerością, która niekoniecznie była powszechna wśród komendantów. - Trochę to trwało, zanim nauczyłem się jak najlepiej wykorzystywać zdolności ludzi, ale mam nadzieję, że sukces Zhaneel okaże się zwiastunem większej liczby takich zwycięstw. Teraz, jeśli pozwolicie, muszę was

opuścić, bo przecież wieści z Przełęczy Stelvi dotyczą nas wszystkich. Odwrócił się do Zhaneel.

- Szeregowy Zhaneel, przez następne dwa dni jesteście na oficjalnym urlopie. Zawiadomię waszego dowódcę i mam nadzieję, że dobrze wykorzystacie swój zasłużony odpoczynek.

Loren odwrócił się i odsunął klapę namiotu, podążając za Urtho w ciemną noc, chociaż zrobił to bardziej godnym krokiem niż jego zwierzchnik.

Skan miał nadzieję, że wyjście ludzi odpręży trochę Zhaneel, ale nadal była wyraźnie przerażona. Trochę go deprimowała: nigdy przedtem nikt się go nie bał, oczywiście ze sprzymierzeńców Urtho, a już z pewnością nikt z jego gatunku, szczególnie zaś atrakcyjna, młoda dama. Spodziewał się raczej, że będzie zalotna, a nie przerażona.

Otrzeptał pióra i lekko opuścił powieki, mając nadzieję, że jego swobodna postawa pozwoli jej się odprężyć. Niestety, teoria minęła się z praktyką.

- Ssskoro Urtho musssiał sssię oddalić, ja zadam resztę pytań, które on chciał ci possstawić - powiedział Skan wolno i przymilnie. - Wierz mi, nie mamy zamiaru cię niepokoić, ale musssimy sssię tego dowiedzieć, aby udossskonalić szkolenie następnego miotu pissskłat.

Pokiwała sztywno głową, ale nie odprężyła się.

- Nie był to żaden wielki wyczyn - upierała się. - Nie zbliżyłam sssię i nie walczyłam należycie. Nikt nie będzie miał z tego właściwej nauki.

Skan słyszał już wiele różnych "skromnych" protestów, sam kilka razy podobnie się zachował, ale ten nie wyglądał na udawany, nie miał ukryć czegoś całkiem innego. Przeciwnie, Zhaneel wyraźnie wierzyła w to, co mówiła. Była święcie przekonana, że zrobiła coś, o czym nie warto wspominać.

- Nie wszysstkie gryfy sssą wysstarczająco duże i sssilne, aby zmierzyć sssię z makaarem - przypomniał jej łagodnie. - A próbowanie tego nie byłoby nawet rozsądne, szczególnie wtedy, gdy wróg ma liczebną przewagę. Kto nauczył cię uderzać jak sokół?

- Nikt - wyjąkała. - Possstąpiłam tak, ponieważ nie mogłam walczyć jak prawdziwy gryf, gdyż jessstem za mała i za sssłaba.

Mała, być może, ale z pewnością nie była słaba, a Skan wolał, by gryf używał częściej mózgu niż mięśni. Zbyt często widywał dobrze zbudowane okazy zwierające się z makaarami. Były przekonane, że są nie-

zwyciężone, a potem musiały szybko uciekać. Kimkolwiek był jej nauczyciel, Skan był prawie gotów postawić go do raportu. Ta mała samica przeszła szkolenie, które powinno wyposażyć ją w zaufanie we własne siły, a zamiast tego wyszła z brzemieniem zwątpienia. Byłaby bezużyteczna, gdyby nie jej odwaga, determinacja i poczucie odpowiedzialności. Było też jasne, że ten brak pewności siebie wiązał się z tym, co myślała o swoim wyglądzie. Zachowywała się tak, jakby była pewna, że nie ma w niej niczego atrakcyjnego - jak gdyby uważała się za strasznego potwora.

Przypomniawszy sobie, że jakiś rok czy dwa lata temu pisklaki na ćwiczeniach znęcały się nad jednym mniejszym od siebie. Czyżby to była...?

Tak, teraz przypomniał to sobie dokładnie, podczas gdy Zhaneel nie przestawała twierdzić, że jej postępowanie nie było warte nagrody. Trzy albo cztery gryfiątka, wszystkie z jednego wylęgu, otoczyły pisklę mniejsze od siebie, przezywały je i obrażały. Tym obiektem prześladowań mogła być Zhaneel. Skan pamiętał tylko, że przerwał całe to zajście. Ich nauczyciel w ogóle się nie pojawił, żeby zainterweniować. Pisklak był mały, niezdarny i niedojrzały. Biorąc pod uwagę fakt, że teraz usiłowała wtopić się w płótno namiotu, nie byłoby dziwne - jeśli wtedy to była ona! - że jej nie pamiętał.

Było to jednak jakiś czas temu, jedynym powodem, dla którego zapamiętał to zajście, było zdziwienie, że właściwa osoba nie wkroczyła wtedy, by rozwiązać problem, a hałas działał mu na nerwy. Między młodymi rozwijało się pewne współzawodnictwo, gryfy ciągle nie były doskonałą rasą, i te, które nie wykazały się niczym szczególnym podczas szkolenia, Urtho przeznaczał do mniej odpowiedzialnych zadań; pracowały one w charakterze posłańców i pomocników obozowych. Im też nie pozwalano się rozmnażać.

Jeśli jednak tamto młode to Zhaneel, przeszła pozytywnie szkolenie i "wykazała się", gdyż należała do dywizjonu i była uprawniona do takiej samej opieki i troski jak sam Skandranon. Nie powinna ciągle odczuwać kompleksu niższości. W jej dywizjonie powinien być zatrudniony trondi'irn, którego praca polegała na leczeniu lżejszych ran i zajmowaniu się wszystkimi gryfami, jakie mu przydzielono. Dlaczego zatem trondi'irn nie zauważył dotąd problemu, z którym borykała się samotnie Zhaneel?

No cóż, jest ktoś, kto z pewnością rozpozna jej duchowy stan i coś z

nim zrobi, a potem dopilnuje, aby trondi'irn miał na nią oko.

- Jeśśli nie masz żadnych planów co do ssswojej nagrody, możesz ją zrealizować u Bursztynowego Żurawia - zaproponował ostrożnie. - On jessst tu najlepszy.

Żuraw w krótkim czasie zmieni jej mniemanie o sobie i kiedy on i Gesten będą ją masować, pielęgnować i adorować, stanie się tak elegancka, że będzie miała połowę dywizjonu u swych stóp. To z pewnością sprawi, że lepiej się poczuje. Była to jedna z wielu rzeczy, które potrafił prawdziwie utalentowany kestra'chern i jego pomocnik - poświęcić wiele godzin na przemianę zwykłego stworzenia w najbardziej oszałamiający okaz swego gatunku. Większość gryfów szła do kestra'chern przed swoim godowym lotem, chociaż naprawdę niewiele z nich mogło sobie pozwolić na usługi kogoś takiego jak Bursztynowy Żuraw.

- Oczywiście to tylko propozycja - dodał. - Być może masz już cośś innego namyśśli.

- Nie - odparła. Wydawała się trochę oszołomiona, chociaż trudno było powiedzieć, czy samą propozycją, czy tym, że to Skan ją złożył. - Jeśśli uważasz, że to dobry pomysś... Nigdy przedtem nie miałam takiego żetonu...

- No cóż, wygląda na to, że jessst to pierwszy żeton z wielu, które po nim nasstąpią. Możesz go ssspożytkować na cośś innego, co sssprawi ci przyjemność - powiedział Skan - ale obiecuje ci, że nie będziesz żałowała, że poszłaś do Żurawia.

Wzięta te słowa za odprawę, wyjąkała podziękowania i wycofała się z namiotu, zanim Skan zdążył ją zatrzymać. W pierwszej chwili chciał ją zawrócić, ale było już ciemno i prawdopodobnie miała jeszcze jakieś sprawy do załatwienia.

Zdziwiło go zainteresowanie, jakie okazał jej Urtho: potraktował ją inaczej niż zwycięskiego wojownika. Jak gdyby coś w samej gryficy oraz w sposobie jej walki przypomniało Urtho o czymś, o czym zapomniał z powodu pilniejszych trosk.

Teraz jednak, skoro goście wyszli i ciemność zapadła nad obozem, nawet światło lampy nie mogło zmusić Skana do czuwania. Ból był już do zniesienia. Mógł się położyć we względnie wygodnej pozycji i miał pełny brzuch. Urtho dostał swoją tajemniczą broń, a on sam nie miał nic do roboty, zanim całkiem nie wyzdrowieje. Zdaje się, że zalecano mu sen, i nie było takich naglających zagadek, które by nie mogły po-

czekać z rozwiązaniem do rana.

Pokręcił się trochę na poduszkach, aż znalazł najwygodniejszą pozycję. Położył głowę na przednich łapach, ziewnął - i to była ostatnia rzecz, którą zrobił, zanim uzdrowiciele obudzili go następnego dnia o świcie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gesten zmienił grafik Bursztynowego Żurawia, aby w ciągu następnych kilku dni włączyć Skana jako stałego „pacjenta”. Bursztynowy Żuraw odkrył zmianę, kiedy następnego ranka sprawdzał listę. Nie miał zamiaru tego komentować, bo wiedział, że odpowiedź Gestena będzie ironiczna. Drogi Gesten, którego najmował już od tak dawna, uważał, że wszyscy wierzą w jego wypieszczony obraz jako istoty bez serca, i ciągle kłuł złośliwymi komentarzami i dwuznacznikami. Choć do małego hertasi zupełnie nie pasowała poza apodyktycznego wilkołaka, Bursztynowy Żuraw nie miał zamiaru mu tego mówić ani nawet delikatnie dawać do zrozumienia. Zbyt często gburowatość, którą ktoś okazywał światu, w istocie była obroną mającą chronić tych, których kochano. Tak właśnie było z Gestenem. Tak również było ze Skandranonem. I kiedy Bursztynowy Żuraw nie pograżał się w rozczulaniu nad sobą, był świadom tej prawdy.

Na rozkładzie dnia Skan był pierwszy i wyznaczono mu hojnie dużo czasu. Bursztynowy Żuraw mógł pójść do niego, aby go uzdrawiać, a potem jeszcze cieszyć się po prostu jego towarzystwem, nim wróci do pracy w namiocie.

Interesujące, rozkład dnia zaczynał się od gryfa i na gryfie się kończył. Pierwszym pacjentem był Skan, a ostatnim gryf o imieniu Zhan-eel. Samica - zgodnie z tym, co wyczytał - z kwadratowym złotym żetonem. Musi się upewnić, czy Gesten przygotował wybielacze i farby. Być może ona zażąda malowania końcówek piór oprócz innego rodzaju dopieszczania i strojenia. Inne talenty Bursztynowego Żurawia często przysyłaniały właśnie ten i niewielu wiedziało, że ukończył specjalizację w zakresie malowania piór, i nadal lubił to robić. Skan oczywiście nigdy by; mu nie pozwolił ćwiczyć na swoich skrzydłach, bez względu na to, jak przekonywająco Bursztynowy Żuraw zapewniałby, że wykona tylko subtelny wzorek, delikatny i elegancki. Nie, Czarny Gryf był Czarnym Gryfem i takim chciał pozostać. Skan nieodmiennie wyjaśniał, że jedynym barwnikiem odpowiednim dla jego piór jest całkowita czerń, którą sam wybrał.

Jednakże samice gryfów, którym natura i Urtho nadali płowe ubarwienie, często lubiły farbować pióra. W czasie pokoju nosiły je malowane w barwne wzorki, tak jaskrawe jak tkaniny Kaled'a'in czy jasne pióra ptaków-posłańców - teraz jednak musiały się zadowolić czymś,

co nie wystawiało ich zbyt na cel. *Jeśli ma ubarwienie jastrzębia, być może zdołam ją namówić na coś w błękitach i szarości* - dumął. - *W ten sposób będzie w locie mniej widoczna na niebie, ale na ziemi będzie miała pióra w prążki i wstęgi.*

Byłoby to całkiem miłe zwieńczenie dnia.

Umył się i ogolił, związał włosy z tyłu, nałożył czystą, lnianą tunikę i bryczesy, po czym skierował się na śniadanie do namiotu, pełniącego funkcję mesy. Mógł jadać u siebie i często tak robił, gdy miał mało czasu lub był zmęczony, ale wolał choć jeden posiłek jadać razem z innymi kestra'chern. Doświadczenie i obserwacja nauczyły go, że gdyby najlepsi kestra'chern postępowali podobnie, byłoby mniej zjadliwości i zazdrości, które prowadziły do zadrażeń i wynikającego z nich sabotażu. Zawsze dbał o to, by na służbie być schludnie ubranym, dzielić się swoją wiedzą i doświadczeniem, a jeśli był zmuszony odwołać spotkania, starał się dopilnować, aby jego klienci zostali przydzieleni innym. Dzięki temu reszta kestra'chern uważała go za nieoficjalnego przywódcę i swego rzecznika. Miał w związku z tym mieszane uczucia, lepiej jednak, że to on, a nie ktoś inny pełnił tę rolę. Był jedynym Kaled'a'in wśród kestra'chern; inni z tego plemienia woleli pracować jako uzdrowiciele i służyć swymi umiejętnościami własnemu ludowi. Żaden kestra'chern w obozie nie miał tyle doświadczenia co Bursztynowy Żuraw. Kiedy wraz z klanem Kaled'a'in przeniósł się do Wieży Urtho i powstało pytanie, jaką podejmie pracę, nie wahał się ani chwili. W najlepszym razie mógłby być przeciętnym uzdrowicielem, a operowanie pod przymusem zawsze przypominało mu pracę bez połowy palców. Najlepiej robić to, w czym się jest naprawdę dobrym.

Podczas śniadania było zdumiewająco cicho, inaczej niż zwykle. Towarzysze Bursztynowego Żurawia byli zmęczeni i przybici, tak jak i reszta wojska. W końcu kestra'chern nie byli w żaden sposób uodpornieni na to, co się stało w Przełęczy Stelvi. Nawet jeśli żaden z nich nie miał tam przyjaciół czy znajomych, to i tak wojownicy z pewnością przyniosą swoje problemy do tych, których zawodem było niesienie wsparcia i dostarczanie przyjemności.

Nikt nie był w nastroju do rozmowy na tematy osobiste, nikt nie patrzył na Bursztynowego Żurawia zdesperowanym wzrokiem kogoś, kto przyjął więcej bólu niż mógł znieść; nikt też nie prosił go o radę w swych własnych sercowych problemach. Z początku jadł śniadanie w milczeniu, podtrzymując bląhą rozmowę. Zamierzał szybko wyjść, po-

zdrowszy wszystkich.

Jeden z młodszych kestra'chern zapytał o Coraniego i napotkał krótkie, ostre spojrzenie Bursztynowego Żurawia. To było impulsem dla kilku innych kestra'chern siedzących przy stole, aby rozpocząć rozmowę na temat wieści z Przełęczy Stelvi, Laisfaar i Wieży. Każdy dodawał nowe strzępki informacji. Najprawdopodobniej pochodziły one od ich klientów, a nie były obozowymi plotkami. Niektórzy z kestra'chern uważali, że dopóki nie zdradzają tożsamości swoich klientów, nie wyjawiają też zawodowej tajemnicy. Mając zaufanie do siebie wzajemnie, lubili zajmować się składaniem układanki. Uprawiali to przez cały czas. Bursztynowy Żuraw wiedział o tym i chociaż dawało to kestra'chern ukrytą siłę, nie pochwałał do końca tego beztroskiego dzielenia się wiedzą. Jednak wojna miała własne prawa, a oni walczyli właśnie z wojną, a nie z armią przeciwnika, więc być może to "przekroczenie" protokołu kestra'chern mogło dostarczyć wielu wartościowych rozwiązań. Tak uspokajał sumienie.

Bez względu na wewnętrzne opory Bursztynowego Żurawia wobec tej rozmowy, gorączka dyskusji narastała i co jakiś czas sam Żuraw wtrącał stwierdzenia w rodzaju: "Mogło tak być" albo „Z tego, co wiem, chyba nie”, które pomagały pewnym fragmentom układanki wskoczyć na właściwe miejsce. Kiedy poczuł, że już czas na niego, skierował dyskusję z powrotem na troskę o klienta i różne techniki uzdrawiania, a potem wyslizgnął się niezauważenie.

Kiedy dotarł do namiotu Czarnego Gryfa, Skan już nie spał. Tego ranka był wyraźnie w lepszym nastroju. Skan otaksował go spojrzeniem od góry do dołu i cmoknął z udawanym zdziwieniem.

- Oho, kestra'chern w normalnym stroju! Gdzie się podziały twoje pawie piórka, dumny ptaku?

- Hm, to ubranie odpowiednie do pracy.

- Czyżbyś przez pomyłkę przyszedł tutaj zamiast do stajni? - odparł gładko Skandranon. Tak, zdecydowanie czuł się lepiej. Wczoraj by tylko pomrukiwał.

- Czy ktoś oglądał twoje skrzydła? - spytał Bursztynowy! Żuraw.

- Nie, po tobie nikt ich nie oglądał - odparł Skan. Jego wymowa także znacznie się polepszyła: prawie niezauważalnie przeciągał głoski sycające. - Wszyscy, którzy tu byli, mówili, że lepiej zostawić to ekspertowi.

- Mieli prawdopodobnie rację, ale z braku eksperta ja muszę się tym

zając - powiedział Bursztynowy Żuraw w roztargnieniu. Przesunął dłonią nad zranioną i zabandażowaną powierzchnią prawego skrzydła. Zanurzył swoją świadomość we wnętrze uszkodzonego narządu, w mięśnie, ścięgna i kości. - A jednak lepiej z tobą. Wytrzymaj chwilę, muszę dokładniej to zbadać.

Przestawił się na prawdziwe uzdrawianie, jednak robił to ostrożnie, ponieważ gdyby za bardzo zagłębił się w kości, nie zrosłyby się właściwie i pozostały słabe, niczym kości staruszka. Przesłał energię do poszarpanych mięśni, uszkodzonych tętnic i żył, a dopiero potem delikatnie do kości.

W końcu wycofał swoją świadomość i powrócił do siebie, potrząsając lekko głową, aby usunąć z niej współodczuwany ból.

- Zostawię na razie te bandaże - ciągnął. - Potrzeba jeszcze kilku dni pracy, aby wyleczyć twoje skrzydła, i kilku tygodni, aby je wzmocnić na tyle, żebyś mógł ich użyć. W bandażach są mniej narażone na deformację. Mam nadzieję, że zachowałeś pióra z ostatniego pierzenia, będziemy musieli dodać ci ich trochę, by wzmocnić twoje połamane lotki. Nie potrafimy sprawić, aby wyrosły ci nowe pióra.

- Ty tu jesteś uzdrowicielem - odparł filozoficznie Skan, po czym spojrzał nieśmiało kątem oka na Bursztynowego Żurawia. - Muszę cię przeprosić, Żuraw. To znaczy jeszcze raz. Moje wczorajsze przeprosiny nie były do końca szczere. - Nabrał powietrza i wypuścił je wolno. - Źle cię potraktowałem, a nie powinienem, bo nie miałem racji. Mogę się jedynie tłumaczyć bólem. Gdy cierpię, nie jestem najmilszy.

- Najmilszy? Skan, mógłbyś dawać lekcje gburowatości makaarom - parsknął kestra'chern. Po chwili jednak się uśmiechnął i podrapał Skana za uchem, tłumiąc jego oburzenie. - Wszystko w porządku. Ja również nie jestem dobrym pacjentem, wiesz o tym. Całe szczęście, że nie jestem ranny ani nie choruję zbyt często, w przeciwnym razie chyba bym stracił Gestena.

- Gestena? Nie, on lubi cierpieć. Co więcej, uwielbia publicznie okazywać swe cierpienie - odparł złośliwie Skan, a potem dodał poważnie: - Co się tutaj dzieje? Nikt nie chce mi niczego powiedzieć. Boją się, że nie będę chciał wyzdrowieć, czy co?

- Siły Ma' ara odparły nasz kontratak - odparł Bursztynowy Żuraw, wiedząc, że jeśli on mu nie powie i tak zrobi to ktoś inny. - Straciliśmy Przełęcz Stelvi raz na zawsze, chyba że Urtho znajdzie jakiś sposób, aby wyprzeć nieprzyjaciela.

Skan pokręcił swą ogromną głową i westchnął.

- Nie bardzo wiem jak. Stelvi zostało dobrze zbudowane, jest niedostępne, ma zbiorniki wody w każdej części fortecy Dlatego właśnie nikt tutaj nie brał poważnie możliwości ataku. - Utkwił wzrok w płótnie namiotu, jak gdyby chciał poza nim dojrzeć przełęcz. - Zatem ma to być kolejny odwrót. Jeśli tak dalej pójdzie, przyjdzie nam opuścić Wieżę.

Bursztynowy Żuraw przytaknął:

- Obawiam się, że tak.

- Niech ich licho! - Skan tak się wpatrzył w ścianki namiotu, aż Bursztynowy Żuraw zaczął się obawiać, że wypali w niej dziurę. Potem pokręcił głową i w końcu zwrócił się do przyjaciela. Jego wzrok był jasny, chociaż zmarszczki zdradzały; głęboki i narastający gniew czający się gdzieś na dnie oczu. Czy Ma'ar szykuje dla nas jakieś nowe niespodzianki?

Teraz z kolei Bursztynowy Żuraw pokręcił głową, chociaż zrobił to z ulgą.

- Jak te magiczne pociski, którymi nas zasypał w zeszłym miesiącu? O niczym takim nie wiem, a słyszałem większość plotek po trzy razy.

- To dobrze.

Skan był napięty, a teraz trochę się rozluźnił. Bursztynowy Żuraw postawiłby całą miesięczną pensję, aby dowiedzieć się, co skłoniło go do zadania tego pytania. Bardzo dobrze wiedział, że Skan nigdy by mu tego nie zdradził. Mógł tylko przypuszczać, że w armii Ma'ara użyto nowej broni - i że Skan ją w jakiś sposób zneutralizował. Jednakże były to jedynie domysły, gdyż gryf nigdy nie wyjawia mu prawdy.

- A więc, niegodziwcze, czym się zajmowałeś, kiedy ja nurzałem się do woli w tym gnieździe pełnym poduszek? - zapytał Skan, szybko zmieniając temat, zanim Bursztynowy Żuraw zdąży go o cokolwiek zapytać.

- Masz jakichś nowych interesujących klientów?

- Miałem jednego wczoraj, ale mam nadzieję, że on nigdy do mnie nie wróci - odparł Bursztynowy Żuraw. - Najbardziej nieprzyjemny gość, jakiego kiedykolwiek spotkałem, a w dodatku najemny mag.

Zrelacjonował Skanowi wszystko, co wiedział o Connonie Levasie, nie wyjawiając jednak jego nazwiska ani czegokolwiek, co mogłoby go zidentyfikować - ukrył nawet fakt, że jego kochanką mogła być kobieta Kaled'a'in. Rzadko wyjawiał poufne dane klienta, nawet przełożone-

mu, Artisowi Camlodonowi, głównemu uzdrowicielowi, albo samemu Urtho, jeśli znalazł się w jego szacownej obecności. Niewielu ludzi onieśmiało Bursztynowego Żurawia - zbyt wielu wielkich i silnych widział obnażonych, fizycznie i duchowo, ale Urtho zawsze go fascynował i wzbudzał w nim podziw. Błyskotliwy intelekt, aura kontrolowanej i absolutnej władzy, i przytłaczająca kompetencja człowieka, do tego pewnego rodzaju charyzmat, kazały Bursztynowemu Żurawiowi padać na kolana. To, jak wyglądał, nie miało znaczenia; niezmiennie widział Maga Ciszy oczami kestra'chern - kogoś, kto zawsze dostrzega wszystko, co znajduje się pod powierzchnią.

A jednak przyłapał się na tym, że mówi Skanowi więcej, niż powiedziałby komuś innemu, a gryf słuchał tego z zainteresowaniem. To wspaniałe mieć przyjaciela, z którym można w ten sposób porozmawiać. Obaj cieszyli się z tego, pomimo że nie dawali tego po sobie poznać.

- Żał mi tej jego kochanki - powiedział w końcu Skan. - Właściwie bardzo żał. Wydaje mi się, że ma dla niego większe znaczenie jako własność niż osoba.

- Do podobnego wniosku i ja doszedłem - przyznał Bursztynowy Żuraw. - Co gorsza, miałem się uporać z problemami mojego klienta, a w końcu stwierdziłem, że pragnę odbyć długą rozmowę z jego kochanką. Było to mało profesjonalne z mojej strony, ale on nie chciał mi pozwolić sobie pomóc.

- Tym większy z niego głupiec - rzekł Skan pogardliwie. - Żeby zapłacić tyle pieniędzy i nie chcieć za nie nic nabyć!

Skan potrafił ująć wszystko w bardzo prosty sposób. Bursztynowy Żuraw musiał się uśmiechnąć.

- Dzięki ci, Skanie Rashkae, zrobisz jeszcze ze mnie perchi. Czyż nie powinienem zostać na przykład piekarzem i oszczędzić sobie kłopotu?

- Znalazłbyś inny sposób, aby wziąć na siebie brzemię armii jako piekarz. Każdy najmniejszy kawałek chleba byłby wypieczony z żołnierskiego żywota i ducha - parsknął Skan.

Bursztynowy Żuraw roześmiał się - było to w końcu dobre porównanie.

- Sądzę, że w porównaniu ze sprawami armii emocjonalne problemy jednego maga nie są najważniejszą z rzeczy, którymi muszę się przejmować.

Skan zachichotał.

- Oto rozsądne stwierdzenie. Rozsądniejsze niż zamartwianie się. Byłeś u mnie dłużej, niż powinieneś; twoi klienci będą nieszczęśliwi, jeśli się o tym dowiedzą.

- Zatem się nie dowiedzą. - Bursztynowy Żuraw podniósł się do wyjścia. - Będzie to bardzo interesujący dzień, rozpoczęty od gryfa i na gryfie zakończony. Pierwszy raz coś podobnego mi się przytrafia.

- Myślałem, że jestem jedynym gryfem wśród twoich klientów - zakpił Skan. - Mogę być zazdrosny!

- Nie martw się, stary ptaku - odparł Bursztynowy Żuraw. - To pojedyncza wizyta, nagroda. Nie wiem, dlaczego ten gryfa wybrał akurat mnie. Takie same usługi może przecież otrzymać od ucznia za o wiele mniejszą opłatą. Będzie to jednak miła odmiana po zniszczonych emocjonalnie wojownikach i zasłużenie odrzuconych magach.

Skan parsknął aprobująco na przytyk pod adresem Conna Levasa. Od dawna utrzymywał, że Bursztynowy Żuraw był zbyt i łaskawy.

- A jednak mogę być zazdrosny.

Kestra'chern wygładził swoją nieskazitelną tunikę w żartobliwym geście.

- To młoda samica, i jeśli będziesz bardzo grzeczny, mogę cię jej przedstawić, gdy już z Gestenem ją upiększymy. Co prawda nie jesteś w odpowiedniej kondycji, abyś mógł ją uwieść, ale być może zdołasz ją przekonać, aby poczekała, aż wyzdrowiejesz!

Skan zrobił dziwną minę, jak gdyby chciał coś powiedzieć. Dusił się rozbawiony, a Bursztynowy Żuraw nie miał pojęcia dlaczego. Młoda gryfica, jak wnosił z danych, nie służyła w dywizjonie, w którym Skan by kiedykolwiek latał, a poza tym była kilka dobrych lat od niego młodsza. Bez względu na to, jaka za tym kryła się tajemnica, Skan zatrzymał ją dla siebie. Bursztynowy Żuraw czekał, aż Skan się z czymś zdradzi, ale ten powiedział tylko:

- Bardzo bym chciał poznać tę młodą damę, kiedy już wyjdzie od ciebie.

- Zobaczę, co się da zrobić - odparł Bursztynowy Żuraw. A ponieważ Skan nie miał zamiaru mówić nic więcej, kiwnął mu w końcu na pożegnanie i wrócił do swojej pracy, zgodnie z rozkładem.

Wygląda na to, że już gdzieś ją widział... Próżny ptak, prawdopodobnie już planuje z nią gorącą kolację...

Bursztynowy Żuraw siedział i ocierał szmatką oliwę z rąk, kiedy Ge-

sten przypomniał mu o jego ostatniej klientce. Był to dzień naznaczony cierpieniem i bólem, począwszy od emocjonalnego szoku młodego uzdrowiciela, który widział zbyt wielu umierających, po ból strzelca konnego, kobiety, pod którą zastrzelono trzy zwierzęta, gdy brała udział w odbiciu Przełęcz Stelvi. Miała tyle zwichnięć i nadwerżonych kręgow z powodu upadków, że o mało co Bursztynowy Żuraw nie wysłał jej do uzdrowicieli, bez względu na to, czy sobie tego życzyła czy nie. Przysięgła mu jednak, że woli, by raczej "najlepszy kestra'chern na świecie" poskładał jej kręgosłup do kupy niż jakikolwiek uzdrowiciel, i wydawała się poruszona faktem przebywania z nim, jakby rozmawiała z jakimś sławnym tancerzem czy śpiewakiem. Przysięgała, że zniesie każdy ból, który będzie musiał jej zadać.

Powód? Jeden, ale ważny: uważała, że uzdrowiciele są przeciążeni i to, że będą zmuszeni zablokować jej ból, jeszcze bardziej ich obciąży. Tak, wiedziała, że wyleczą ją za darmo, a jego usługi kosztują niemało. Jednakże nie obchodziło ją to.

- Mam już cały pliczek tych żetonów. Oszczędzam je na lepsze czasy, kiedy skończy się ta wojna - powiedziała twardo. - Adiutanci Urtho dali mi nowego konia, w dodatku z hodowli Kaled'a'in. Mam już nowy namiot. Nie zbieram żadnych cacek. Sama wyglądam jak koń, więc fantazyjne ubranie wyglądałoby na mnie jak zbroja na mule. Zatem na co jeszcze mam wydawać te kwitki? Poza tym będzie mnie dotykał atrakcyjny mężczyzna, a więc mogę skorzystać.

Kiedy nastawiał jej kręgi, ona dyszała z bólu, aż w końcu jej dyszenie zmieniło się w oznaki ulgi. Był pod takim wrażeniem jej odwagi i rozsądku, że kazał przygotować Gestenowi gorącą kąpiel z aromatycznymi olejkami. Moczył ją, dopóki jej mięśnie nie rozluźniły się całkowicie, potem zrobił masaż, którego sobie zażyczyła, nacierając ją delikatnie, aż zrobiła się senna. Wtedy dał jej to, czego nigdy nie dałby Connowi Levasowi. To były dobrze spędzone godziny.

Opuszczała jego namiot uśmiechnięta i wyczerpana. Bursztynowy Żuraw usiadł na chwilę, a Gesten sprzątał i robił przygotowania do przyjęcia ostatniego klienta, uśmiechając się prawie tak szeroko jak ona. Rzadko Bursztynowy Żuraw miał klienta, który był wart wszystkich jego umiejętności - strzelec konny była właśnie takim klientem i służenie jej było przywilejem. Dziwne, oboje, ona i Conn Levas, byli najemnikami, a jednak tak bardzo się od siebie różnili. No cóż, doświadczenie uczyło, że jedyną rzeczą łączącą wszystkich żołnierzy był

mundur, który nosili.

- Wspaniała kobieta - zauważył Gesten, kiedy odkładał olejki i mył stół do masażu. - Myślę, że powinienem jej zasugerować, aby wydała jeden z tych swoich "bezużytecznych" kwitków na kilka "przeróbek" u nas. Nie widzę powodu, aby nadal upierała się przy wyglądzie dzikiej kłaczy. Jest dość szczupła, by być elegancka, i gdyby tylko pozwoliła mi zrobić coś z jej włosami...

- Wspaniały pomysł - przyznał Bursztynowy Żuraw. - Pasowałby do niej styl egzotyczny, no wiesz, wyglądałaby wspaniale w niektórych strojach Kaled'a'in. Być może wzory z kocimi pręgami na ramionach...

- Właśnie to u ciebie lubię, Żuraw - przerwał wesoło Gesten. - Zawsze dostrzegasz nowe możliwości. Potrafisz powtórzyć swój wyczyn? Ta gryfica Zhaneel niedługo tu będzie.

- Gryfica? - zapytał roztargniony Bursztynowy Żuraw. Potem stuknął się palcem w głowę. - Racja! Prawie zapomniałem! Mam jeszcze zamęt w głowie po dzisiejszym dniu. Jestem po prostu zmęczony. Czy przygotowałeś...

- Tu są olejki, a tu satynowe sznurki, paciorki i farby do piór - odparł Gesten, lekko parskając. - Zapomniałbym, słuchaj, chciałbym wyskoczyć i położyć Skana do łóżka, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jak myślisz, dasz sobie sam radę z tą młódką?

Tym razem parsknął Bursztynowy Żuraw.

- Zajmował się gryfami, zanim ty rozejrzałeś się za jakimś głupcem, aby cię wynajął! Oczywiście, że sobie poradzę.

- Dobrze zatem, głupcze-któryś-mnie-wynajął - odwzajemnił się Gesten. - Pójdę sprawdzić, czy pierzasta głowa na wzgórzu kładzie się do łóżka, a potem wpadnę do ciebie, aby sprawdzić, czy nie utopiłeś się w wannie. - Kiwnięciem głowy wskazał błyszcząca, choć poobijana skrzynię na kółkach. - Wszystko, czego ci trzeba, jest tam. To, co wyszło lub było przestarzałe, wymieniłem. Gdyby mnie zapytano o zdanie, powiedziałbym, że w tej armii nie ma drugiego kestra'chern lepiej wyposażonego w gryfowe "cacka". Kiedy skończysz, powinna być oszłomiona, zakładając, że zrobisz to, co do ciebie należy.

Wymknął się przez zasłonę, zanim Bursztynowy Żuraw zdołał cokolwiek odpowiedzieć. Kestra'chern tylko się zaśmiał i wstał z krzesła. Przebrał się w zwykłe lniane bryczesy, luźną koszulę i obwiązał się szarfą. Dla tej klientki nie potrzebował wkładać żadnych fantazyjnych sukni. Przeciwnie, jego ubranie musiało być na tyle wygodne, aby

mógł pracować, nie bojąc się, że poplamie je farbą czy się skaleczy. Na to nałożył tunikę w wymyślny wzorek, w której zawsze przyjmował klientów.

Wyszedł przed namiot, aby zanim przybędzie klientka, zaczerpnąć stosunkowo świeżego obozowego powietrza. "Niewielkie" pióra - wielkości dłoni - unoszone przez wiatr, zostały odrzucone prawdopodobnie przez jakiegoś krzepkiego strojącego się gryfa. Aktywność w obozie wyraźnie wzrosła i wyglądało na to, że plotki rozpętały szaleństwo pakowania się. Dzieci, które widział wcześniej, były zajęte związywaniem kocy i paczek przy pomocy dwóch kyree szarpiących sznurki zębami. Bursztynowy Żuraw widział dorosłych naprawiających brezent na wozach i sprawdzających koła furmanek. Nieco dalej, oddział żołnierzy wraz z uczniem magii - który wyglądał na Vikterena, jednego ze znajomych Bursztynowego Żurawia - mierzył i sprawdzał latające sanie. Wielkie sanie leciały nad ziemią na wysokości pasa człowieka - chociaż mogły unosić się wyżej - były używane głównie do zaopatrywania oddziałów. Kilku kestra'chern, włącznie z Bursztynowym Żurawiem, posiadało podobne, ale służyły im głównie do przenoszenia swoich narzędzi, a nie do utrzymywania kontaktu z armią.

Obok nich, strzelec konny, kobieta, którą przyjął wcześniej w swoim gabinecie - poruszająca się znacznie swobodniej, niż gdy do niego przyszła - skupiła wokół siebie kilku wojowników, najwyraźniej opowiadając im jakąś niezwykłą historię. No, jeśli nie niezwykłą, to w każdym razie wymagającą silnej gestykulacji.

Może opowiada o mnie... ? Jeśli tak, to dobrze. Niech wiedzą, że niższych rangą traktuję tak sarno dobrze jak ich dowódców.

Ukryty za gromadą ludzi, stał niepokazny gryf, pisklę albo młodzik, sądząc po wielkości. Tak, ona, zdecydowanie była to samica, podsłuchiwała wszystko, co mówiła kobieta. Dziwne, normalnie gryfy po prostu podchodziły i wtrącały się do rozmowy, bez względu na to, czy były o to proszone czy nie.

Uwagę Bursztynowego Żurawia przykuły ptaki-posłańcy, które przemknęły obok niego niczym kule żywej farby przelatujące przez niebo. Ich płynny lot niósł wiadomości do Wieży. Być może miały oznajmić, że wojna nasyciła na chwilę swój apetyt.

Bursztynowy Żuraw wrócił do namiotu i zaczął przygotowywać ozdoby dla swojej następnej klientki. Dla odmiany ten czas będzie czasem odprężenia.

Kiedy Zhaneel przybyła, okazało się, że to ona była małym gryfem, którego widział wcześniej przyczajonego za wojownikami. Była bardzo ładna, choć nie w krzykliwy sposób, smukła i zgrabna, z długimi skrzydłami i piórami przylegającymi do ciała. Bursztynowy Żuraw wyszedł właśnie z tylnej komory namiotu z pełną garścią ręcznie plecionych satynowych sznurków i znalazł ją w pokoju przyjęć, nieśmiało rozglądającą się wśród poduszek i pudełek.

Od razu widać, że ona nigdy wcześniej nie była u kestra'chern. Zde-nerwowana, wyczekująca, niepewna.

Zakasłał cicho, a ona wzdrygnęła się.

- Witaj, Zhaneel -- powiedział miękko, ale stanowczym głosem. - Nazywam się Bursztynowy Żuraw. Mam zaszczyt tobie służyć.

Wykonał zamaszysty, wdzięczny ukłon, który zwykle towarzyszył powitaniu, i zakończył go, przyklękawszy na jedno kolano tak, aby jej nie przestraszyć. Kiedy ukląkł, jego szata ułożyła się wokół niego w połyskujące fałdy, stanowiąc migoczący kontrast dla roboczego ubrania znajdującego się pod spodem.

Obrzuciła wzrokiem jego ciało, podczas gdy się pochylał, aby dotknąć jednej z jej przednich łap, co także należało do zwyczaju. Właśnie ten pierwszy dotyk pozwalał kestra'chern określić, jaka będzie sesja. Wrażliwy kestra'chern mógł odebrać wszystkie mimowolne reakcje, które w połączeniu z postawą i gestami, pełnymi nadziei bądź desperacji i oczekiwania, wiele mu mogły podpowiedzieć. Nie musiał być empatą, aby odczytać język ciała, była to umiejętność, której uczyli się wszyscy kestra'chern podczas terminowania.

W tym przypadku sygnały były bardzo dziwne. Zhaneel położyła po sobie pióra, przekręciła głowę, aż jej delikatny dziób dotknął górnego brzegu złożonego skrzydła. Z jej dzioba dobył się miękki, świszczący głos, tak bliski szeptu, na ile tylko mogło się to udać gryfowi.

- Przysssał mnie do ciebie Czarny Gryf. Jesssteś moim kessa'chern.

Potem jej głowa opadła, a skrzydła zatrzepotały przy ciele, rozkładając się nieco.

- Tak, jestem kestra'chern, który będzie tobie służył, Zhaneel, jeśli sobie tego *życzysz*. Taką sobie wybrałaś nagrodę za swoją odwagę. Mogę cię przystroić, pocieszyć i pomóc, poświęcić ci uwagę, na jaką zasługujesz, i poddać pomysły, których ci trzeba.

Uniósł rękę i dotknął jej drugiej łapy, odczytując wyraźnie jej reakcje fizyczne, podczas gdy inna część jego umysłu zastanawiała się, co z nimi zrobić.

W niej dosłownie wrze od napięcia seksualnego... najwyraźniej wpędziła się w jakieś szaleństwo w ciągu ostatniej miarki świecy. No cóż, wiem, co to zazwyczaj oznacza. Trochę pracy nad piórami olejków powinno dać jej niepowtarzalny urok, a kochanek będzie niezwykle zadowolony po takiej sesji. Chociaż...

Chociaż to gładkie małe stworzenie nie zachowywało się tak jak gryfy, które chciały być przygotowane na szczególną randkę. Było w niej oczekiwanie i jakaś dziwna żądza, ale brakowało jej poczucia pewności siebie, z którego słynęły gryfy. A żaden gryf nie udałby się na drogi zabieg, jeśli by nie był pewien, że czeka na niego partner!

Zhaneel nagle spojrzała wprost na niego i zrobiła krok naprzód, powodując, że Bursztynowy Żuraw aż się zachwiał - ale ona nie przestała napierać. Kestra'chern upadł do tyłu, a Zhaneel stanęła nad nim. Jej długie skrzydła otoczyły ich z obu stron, ogon podniósł się do góry, a pióra na karku nastroszyły się. Jej dziób prawie dotykał jego nosa.

- Czy dasz mi przyjemność, Bursztynowy Żurawiu?

O bogowie, to wyjaśnia, dlaczego...

Wpatrzył się w jej dziób - pamiętając o rozmiarach szponów gryfa - i poczuł, że blednie.

- Zhaneel, nie, poczekaj, zrobisz mi krzywdę - błagał. - Proszę, puść mnie!

Skandranon zaznaczył stronę zbędnym piórkiem i wyciągnął się, spoglądając do tyłu, gdzie Gesten metodycznie szcnotkował jego grzbiet tuż nad ogonem. Urtho przysłał mu książkę napisaną przez uczonego, który pracował dla niego, jeszcze zanim zaczęła się wojna. Ciężkie tomisko było zabazgrane na marginesach notatkami, obserwacjami i anegdotami pisanymi przez tych, którzy wcześniej je czytali. Urtho przesłał je przez swego posłańca - kyree, aby wynagrodzić mu swoje pośpieszne odejście; mały gest wiele mówił o poważaniu, jakie Czarny Gryf miał u Urtho. Gesten siedział u niego już ze dwie miarki świecy, milcząco wykonując swoją pracę: strzyżenie, czyszczenie piaskiem, zaokrąglanie częściowo połamanych piór, nacieranie łagodzącym żelem uszkodzonych trzonów lotek. Nie mówiąc wiele, obracał

Skandranonem - który ważył przynajmniej dwa razy tyle co przeciętny mężczyzna - układając go w wygodne dla siebie pozycje, aby zająć się mniejszymi ranami, których nie zauważyli uzdrowiciele. Wyczyścił piaskiem łuszczący się dziób Skana, wypełniając ledwie widzialne szczeliny spoiwem, i uporał się z przerośniętymi szponami. Potem przystąpił do dokładnego szczotkowania, usuwając z czarnego płaszcza Skana wszelkie drobne zawady, kawałki szwów i gałązek.

Skan był w dobrej formie - w o wiele lepszej niż rano - i nie odczuwał dolegliwości dzięki sztuczce z "przetaczaniem bólu", jednej z umiejętności lady Cinnabar. Znać tę kobietę, nawet niezbyt blisko, było prawdziwą przyjemnością. Odznaczała się osobowością, jaką chciałby, aby miała jego przyszła towarzyszka.

Gryf uważał, że ma szczęście, iż żyje tak długo. No cóż, ale wziąć sobie towarzyszkę? Poważne rozważenie możliwości ojcostwa zostało zastąpione przez te wszystkie lata służby nudną rozrywką. Czasami czuł, że jest to jedyny powód jego uporczywego trwania, a kiedy indziej, że jest to jedynie niemożliwa do zrealizowania fantazja z opowieści pieśniarzy. Nie chodziło tylko o zaspokojenie seksualne. Nie brakowało mu kochanek, było kilka gryfic, które nie posiadałyby się z radości, aby podnieść dla niego ogon, ale były to tylko przypadkowe przyjaciółki i żadna z nich nie była płodna. Były jednak takie słodkie, takie gorące...

Poruszył się, myślenie o kochankach spowodowało, że jego brzuch się napiął z tęsknoty. Nigdy wcześniej nie wstydził się swej męskości i teraz też nie czuł wyrzutów, ale stan rekonwalescencji uświadomił mu, jak naprawdę ograniczone są jego ruchy.

Gesten nie skomentował poruszenia Skana, chociaż myjąc jego boki i ogon, z pewnością zauważył zewnętrzne oznaki jego podniecenia. Prawdopodobnie bardzo niewiele mogło umknąć uwadze małego her-tasi, ale ponieważ codziennie było wiele nowych tematów do rozmowy, najlepszym komentarem Gestena był w ogóle brak komentarza.

Oho, teraz mała Zhaneel siedzi w cieple i wygodzie w Bursztynowym Żurawie. On już będzie wiedział, jak poukładać wszystko na właściwe miejsca. Jest takim dobrym kestra'chern - takim zdolnym, wdzięcznym, inteligentnym. Jestem dumny z tego, że go znam, i cieszę się, że mogłem ją do niego posiąć.

Zabiję za to Skandranona - wściekał się Bursztynowy Żuraw, odsu-

wając się od Zhaneel. Na pewno ta bezrozumna, kipiąca od seksu, dokuczliwa, arogancka kupa czarnych piór w jakiś sposób zasugerowała Zhaneel, że Bursztynowy Żuraw ma zamiar się z nią kochać. To był niewybaczalnie okrutny żart z jego strony! Kiedy już upora się z tą sytuacją, pójdzie i zmyje Skanowi głowę, nie bacząc na to, czy gryf śpi, jest ranny czy też cokolwiek innego z nim się dzieje.

Zhaneel chwilę wcześniej uwolniła go i teraz, kiwając głową do góry i na dół i zaciskając szpony, obserwowała każdy jego ruch, aby otrzymać jakąś wskazówkę.

Bursztynowy Żuraw potarł dłonią twarz i zwrócił się do niej bez ogródek:

- Zhaneel, nie mogę być twoim kochankiem. Jesteśmy fizycznie dla siebie nieodpowiedni. Po prostu nie mogę...

Minęła chwila.

Z jej spojrzenia wyczytał nie dające się niczym wyjaśnić przerażenie, a desperacka żądza w jednej chwili zmieniła się w całkowite załamanie. Wydała bulgoczący okrzyk i przez otwartą klapę namiotu wpadła do ciemniejszego i bardziej odizolowanego wewnętrznego pokoju.

Skandranon skończył rozdział z komentarzami na temat organizacji społecznej wśród południowo-wschodnich plemion i rozkoszował się staraniami Gestena, który chciał pomóc jego sponiewieranemu grzebieniowi.

Teraz, musi się już czuć jak najpiękniejszy i najzdolniejszy gryf na świecie! Bursztynowy Żuraw zawsze wie, co należy powiedzieć, aby ktoś dobrze się poczuł. Usłyszałem od niego tyle komplementów i prawie nigdy się nie mylił. Być może kiedy już wrócę do zdrowia, przygotuje mnie na randkę i będziemy mogli porozmawiać, ile dobrego zrobiły Zhaneel moje sugestie.

Czarny Gryf westchnął i ułożył się do drzemki, pewien, że wszystko na świecie układa się dobrze, przynajmniej jeśli chodzi o Zhaneel i Bursztynowego Żurawia.

Bursztynowy Żuraw znalazł Zhaneel zwiniętą w kłębek w najdalszym narożniku namiotu, drżącą, z głową schowaną pod skrzydło. Widok ten był dla niego bardzo smutny i przygnębiający: w ten sposób gryfy szłochały rozdzierająco. Uderzyły w niego napływające, namacalne fale wstydu, samoobwinianie się świszczało w jego "mentalnych" uszach,

im bliżej do niej podchodził. Napiął się, przygotowując się na jej gwałtowną reakcję, po czym wyciągnął dłoń, aby dotknąć drżącego ciała.

Zamiast jednak zadać cios, w ogóle nie zwróciła na niego uwagi. Żadnej reakcji. Jednak gdy ją dotknął, oszołamiający natłok ściskających za serce emocji prawie go oślepił.

Ona siebie nienawidzi. Na miłość bogów, ona autentycznie siebie nie znosi. Zwątpienie, uzalanie się nad sobą, przytłaczające poczucie bezwartościowości. U gryfa! Tego mógłbym spodziewać się u człowieka, ale u gryfa? Wszystkie są przekonane, że Urtho stworzył je jako ulepszenie wszelkich ras! Ten, kto doprowadził ją do takiego stanu, jeszcze długo musi się uczyć. Jeśli można to powstrzymać, to tylko teraz. Jeśli mogę ją zmienić, muszę zacząć od razu.

Odezwał się cichym, łagodnym głosem:

- Zhaneel?

Podskoczyła na dźwięk jego szeptu.

- Cśśś, malutka, jestem tutaj dla ciebie. Proszę, posłuchaj. Sprawię, że poczujesz się lepiej, obiecuję. Jestem tutaj dla ciebie.

Otoczył jej ciało swoją szatą, aby ją pocieszyć, tak jak to się robi ze strapionymi gryfami; materiał miał sprawiać wrażenie osłaniających skrzydeł. Czuł jej ciało pod sobą - wysoka temperatura, szybki oddech i mocno zaciśnięte powieki. Delikatne pęczki na uszach ciasno przylegały do głowy. Bursztynowy Żuraw przeczesał jej pióra na karku, nie przestając mówić uspokajających słów głębokim, pewnym głosem, prosto w jej ucho, i obejmować jej, aż w końcu przestała drżeć.

Jej wcześniejsze seksualne oczekiwania mogą trochę pomóc...

Przeniknął do nerwów Zhaneel ze swą uzdrawiającą mocą, znalazł jej ośrodki przyjemności i łagodnieje stymulował, jednocześnie uspokajając ją słowami. Ciała gryfów miały zapasy specjalnych płynów, składników znajdujących się w różnych gruczołach i przechowalniach; delikatny dotyk doświadczonego uzdrowiciela mógł je uwolnić we właściwym czasie. Lekkie muśnięcie tam i prawie niewyczuwalna stymulacja tu, i "wynagradzające" wrażenie, takie jakie występuje zazwyczaj po parzeniu się, przebiegło przez jej żyły. Niewielkie, nie mogło być tak duże jak euforia po prawdziwym parzeniu, ale jednak było. Uzyskał pożądaną efekt. Z wolna napięcie ustąpiło miejsca odprężeniu - przynajmniej fizycznemu - i po chwili, długiej jak wieczność, Zhaneel rozwinęła się. Przez jakiś czas Bursztynowy Żuraw pocieszał ją i mówił słowa dodające otuchy. To nie zlikwidowało żadnego z jej problemów,

ale jej stopniowe odprężenie przynajmniej otworzyło drzwi ku wyleczeniu.

Minęła chyba jedna miarka świecy, zanim znowu przemówiła. Jej kestra'chern obejmował ją, drapał za uszami, przez cały czas delikatnie dotykając jej umysłu i zanurzając się w uczuciach, które, choć o tym nie wiedziała, wysyłała ku niemu. Dobrze, że wybrała jego niż kestra'chern nie specjalizującego się w empatii czy uzdrawianiu. Ktoś inny musiałby posłać po jej trondi'irn - a terminatorka pewnie byłaby równie przerażona i przestraszona jak pacjentka.

- Zhaneel - odezwał się nagle. - Musisz mi powiedzieć, dlaczego sprawiłem ci taki ból. Nie miałem zamiaru cię zranić.

Zadrżała.

- Ty jesssteś kessstra'chern i myślisz, że jessstem wyrodkiem. Żadnej żądy, nigdy... - Zgarbiła ramiona i zwiesiła głowę, pogrążona w nieszczęściu. - Powinnam umrzeć - zapłakała cicho. - Niewarta wychowywania, powinnam umrzeć. Próbowałam.

Bursztynowy Żuraw nie wahał się ani chwili; dziwne, jak po tak długim milczeniu spóźniona odpowiedź może zniszczyć wszystko.

- Nie, dziecko, całkowicie mnie nie zrozumiałaś! Nie jesteś wyrodkiem, Zhaneel. Zostałaś stworzona przez Urtho jako najdumniejsze z jego stworzeń. Ty też jesteś mi bliska.

Wyprostowała się trochę i nerwowo spojrzała na niego jednym okiem.

- Ale powiedziałaśśś: żaden kochanek. Fizycznie. Nie chcesz mnie nawet...

Potał swymi policzkami jej policzki, jak robi to rodzeństwo gryfów i szybko odpowiedział:

- Zhaneel, nie, malutka! Powiedziałem, że nie mogę być twoim kochankiem, a nie że nie chcę. Jestem tylko człowiekiem. Mam cienką skórę i jestem mniejszy od ciebie. Nie pasowalibyśmy do siebie, ty i ja, nasze rozmiary i nasze ciała są tak inne. Rozszarpałabyś mnie, gdybyś chciała spróbować. - Pozwolił sobie na cichy śmiech. - Droga, wierz mi, gdybym był gryfem, ty i ja bylibyśmy razem na niebie chwilę po tym, gdy cię ujrzałem.

Otworzyła oczy i zamrugała; czyżby nigdy nie zauważyła, że ludzie są czasami trzy razy mniejsi od gryfów?

Niektórzy uważają, że kestra'chern może dokonać wszystkiego!

- Nigdy nie dowiedziałam się, jak dochodzi do parzenia. Rodzice zmarli. Zostawili mnie samą. - Zhaneel pochyliła się, dziobem dotyka-

jąc podłogi. - Wyrodek. Skrzydła spiczaste i zbyt długie w stosunku do ciała, głowa za duża, zbyt okrągła, bez pęków za uszami! - płakała, drżąc. - Dlatego mnie zostawili, dlatego odlecieli, a potem umarli. Byłam nieudana i wstydziłam się mnie.

Bursztynowy Żuraw drapał ją po głowie, zanurzając palce w jej głębokich, miękkich piórach, przesłał jej więcej spokoju, uśmierzając ból, inaczej znowu zwinęłaby się w kłębek i nigdy nie rozwinęła.

- Nie mogę w to uwierzyć, Zhaneel. Jesteś piękna i silna, twoi rodzice z pewnością musieli cię kochać i z radością wyczekiwać chwili, kiedy zaczniesz latać.

Pierwsze słowa przerwały tamę i Zhaneel wyrzucała z siebie potok swych uczuć.

- Szpony za krótkie, żeby zranić nawet owada...

Bursztynowy Żuraw spojrzał z powątpiewaniem na wyciągniętą przednią łapę. Szpony wydawały mu się dość długie.

- Dziwna, nieudana, powinnam umrzeć - szeptała chrapliwie. - Nikt nie chce Zhaneel w swoim dywizjonie. Nikt. Nikt nie chce Zhaneel jako towarzyszkę. Bezużyteczna.

Bursztynowy Żuraw uniósł jej głowę - było to trudniejsze zadanie, niż się wydawało - i gładził ją lekko wokół nozdrzy, a potem podniósł zapomniany żeton.

- Jeśli jesteś tak bezużyteczna, dlaczego zatem dostałaś to? Takich rzeczy nie dostaje się za kopanie latryn, podniebna damo. Tylko najodważniejsi dostają takie nagrody.

Lewe ramię zupełnie mu ścierpło od podtrzymywania jej ciężkiej głowy. W końcu uniosła ją i zamrugnęła. Potem spuściła wzrok.

- Nie jestem odważna - upierała się słabo. Bursztynowy Żuraw uśmiechnął się lekko.

- Może powiesz mi, w jaki sposób ten kwadracik dostał się w twoje ręce, a ja osądzę, czy na niego zasłużyłaś, dobrze? Naprawdę chciałbym to usłyszeć, Zhaneel. Przygotuję mocnej herbaty. Napij się ze mną?

Wstał z trudem i wskazał, by za nim poszła. Wstała, zrobiła trzy pełne wahania kroki w kierunku jego łóżka i przysiadła na nim.

- Nikt nie chciał przyjąć mnie do dywizjonu. Ja jednak chciałam latać dla Urtho. Dlatego... po prostu wprowadziłam się do dywizjonu Kelreeshy Trondara.

Interesujące, to ten sam dywizjon, w którym jest ten najemny mag,

Conn Levas. Bursztynowy Żuraw poruszył węgle w zawsze płonącym palenisku, a później ustawił na nim czajnik z wodą.

- A potem...

- Latam na patrole. Patrole na tyłach - te, na które wysyłają świeżo opierzone gryfy. - Głos jej się załamał. Obowiązki, które opisywała, były upokarzające dla dorosłego gryfa, zwykle traktowano je jako karę, ze względu na dalekie odległości i monotonię, i to, że były treningiem dla żółtodziobów.

- Przebywałam z dala od obozu. Miałam czas na latanie. Potrafię okrążyć rewir o wiele szybciej niż inni.

Bursztynowy Żuraw włożył torebki z herbatą do czajnika i przemówił łagodnie:

- Szybciej niż inne gryfy? To wspaniale. Ile razy szybciej, Zhaneel?

- Trzy razy. Oblatywałam rewir sama.

Uniósł brew pełen podziwu i uznania.

- Byłam na wysokości piątej chmury - ciągnęła.

O polowe wyżej niż latają inne gryfy na patrolach - coraz, bardziej interesujące...

- I zobaczyłam makaary opuszczające nasze terytorium. Trzeba było je jakoś zatrzymać, gdyż prawdopodobnie szpiegowały. Nie potrafię dobrze posługiwać się myślumą - nie mogłam więc wezwać pomocy. Toteż zanurkowałam i uderzyłam na nie. Nie obchodziło mnie, czy umrę.

Myśli Bursztynowego Żurawia biegły coraz szybciej, a wystudiowany, kamienny wyraz twarzy nie zmieniał się. *Ona mówi poważnie. Naprawdę było jej wszystko jedno, czy umrze. Teraz już jasne, dlaczego powiedziała, że nie była odważna. To był czyn samobójczy. Chciała, żeby jej śmierć coś znaczyła.* Wziął głęboki wdech i palcami zaczesał włosy do tyłu.

- Zhaneel, znam wielu wojowników, wielu szamanów, wielu kapłanów i wysokich magów. Wielu z nich czuło, że się do niczego nie nadaje. Rozmawiałem z nimi, tak jak teraz z tobą, droga podniebna damo. Kiedy wojownicy boją się, że im czegoś brakuje, to tylko dlatego, że są zapominalscy. Nie pamiętają, do czego naprawdę są zdolni.

Usiadł na łóżku obok niej i głaskał ją po czole, a ona szlochała.

- Gdybyś nie była Zhaneel - piękną, silną, smukłą Zhaneel - poleciałabyś po pomoc albo odfrunęła przerażona, albo zaatakowała makaary i przegrała. Udało ci się tylko dlatego, że jesteś tym, kim jesteś, dzięki

sile twego umysłu jak i ciała. To niemało, zwłaszcza że niektóre znane mi gryfy nie mają więcej rozumu od wołu.

Znowu chwycił żeton i łagodnie przysunął go do jej dzioba.

- A teraz masz to, wręczył ci to sam Urtho. Wiesz, jaki to rzadki przypadek?

Pokręciła przecząco głową, podobnie jak to robią ludzie.

- To bardzo rzadkie, Zhaneel, bardzo niezwykle. Dowodzi to, że jesteś wyjątkowo dobra, moja droga, i że w żadnym razie nie jesteś nieudacznikiem. Ani nie jesteś bezwartościowa.

- To nie ma znaczenia - zakrakała. - Wszyscy sądzą, że jestem.

- Ci "wszyscy" nie powstrzymali trzech makaarów. Mało kto dostał taką nagrodę. - Pokręcił głową, pewien, że przyciągnął już jej uwagę. - Czasami "wszyscy" również mogą się mylić. Czyż "wszyscy" nie mówili, że Przełęcz Stelvi jest nie do zdobycia?

Jej pęczki na uszach lekko się uniosły i ostrożnie kiwnęła raz dziobem na znak zgody.

Przyglądał się jej budowie i wyglądowi.

- Jesteś inna, Zhaneel. Ja też byłem odmieńcem wśród moich ludzi. Kiedy tu przyszedłem, czułem się trochę podobnie jak ty - nie, bardzo podobnie jak ty. Po prostu wyśmiewano się ze mnie, z powodu tego, co robię i kim jestem. Uzdrowiciele nie chcieli mnie przyjąć, ponieważ byłem kestra'chern. Kestra'chern byli ostrożni wobec mnie, ponieważ potrafiłem uzdrawiać. Jednak gdy dostrzegłem, jak odsuwają się ode mnie, zastanowiłem się, dlaczego to robią. - Bursztynowy Żuraw znowu się uśmiechnął. Zhaneel odprężyła się nieco i patrzyła wprost na niego, zachwycony drapieźnik słuchający bazarza. - Patrzyli na mnie, a ja byłem dla nich lustrem. Widzieli we mnie fragmenty siebie, warstwy i te części swego własnego życia, które chowali w rękawie. Kiedy mówiłem, uzdrowiciele wiedzieli, że w środku jestem kestra'chern i byli przerażeni. Inni kestra'chern nie ufali memu stanowisku i zdolnościom uzdrawiania. Ale w tym wszystkim byłem sobą. Ciągłe sobą, Zhaneel, tak jak ty jesteś ciągle sobą. Ci, którzy cię upokarzają, boją się ciebie. Zazdroszczą ci. A ty jesteś silniejsza, niż mylisz.

Zhaneel kręciła się niespokojnie pod jego troskliwym wzrokiem.

- Nie silna, panie.

Pokręcił przecząco głową i znowu zachichotał.

- Oho, podniebna damo. Proszę, nie nazywaj mnie "panem". Jestem po prostu Bursztynowym Żurawiem - przyjaciелеm.

Wstał i podszedł do czajnika, nalał dwie filiżanki, jedną dużą, drugą małą, mówiąc:

- Gdybyś nie była silna, nigdy bym ciebie nie spotkał, Zhaneel. Zginęłabyś i zapomniano by o tobie, a tak uhonorował cię sam Mag Ciszy i zostałaś zauważona przez Czarnego Gryfa.

Zhaneel obróciła głowę na bok, a jej nozdrza zarumieniły się z zakłopotania. *Oho, jest tak zachwycona Skandranonem, jak on: sam sobą. Ciągle mani ochotę obedrzeć go ze skóry, ale tymczasem wykorzystam go dla dobra Zhaneel.*

- Pozwól mi coś powiedzieć o Skandranonie, Zhaneel - poprosił. - Także on jest ofiarą prześmiewców: nazywają go psem goniącym za sławą, uważają, że jest drażliwy, arogancki, szalony, a niektórzy mówią, że ma maniery głodnego żółtodzioba. A jednak on ciągle tu jest, starając się najlepiej robić to, co do niego należy. Oni mu zazdroszczą - głównie tego, że robi to, o czym oni tylko mówią. Działanie określa siłę. A ty, podniebna damo, latasz szybciej i wyżej niż oni i sama możesz pokonać trzy makaary.

Znowu się zarumieniła, a on ponownie zastanawiał się. co takiego wydarzyło się w jej dzieciństwie. Gdzie byli jej nauczyciele i rodzice? Te proste rzeczy, które jej mówił, powinny być najbardziej podstawowymi pojęciami, wpajanymi normalnie młodym gryfiątkom. Normalnie - to słowo było kluczem do zagadki. Bursztynowy Żuraw widział tysiące obnażonych dusz i dobrze wiedział, że to, co większość nazywa "normalnością", nie zdarzało się w rzeczywistości. Czuł także ciepło w piersiach i brzuchu i wrzało mu w umyśle, co oznaczało, że tym razem polowanie się udało - i że ta młoda Zhaneel przeżyje.

- Ciągle słyszę, że oni powiedzieli to czy tamto, a jednak nigdy nie spotkałem ich twarzą w twarz. Kim są w ogóle ci oni? - zapytał retorycznie, gdyż nie spodziewał się od niej odpowiedzi. - Co daje im monopol na prawdę? Dlaczego są większymi ekspertami ode mnie czy od ciebie?

Zrobił kilka kolejnych kroków i podał jej większą filiżankę. Zachwyciła go zręczność, z jaką chwyciła czarke jedną tylko łapą - nie, jedną ręką. Podążyła za jego wzrokiem.

- Żadnych szponów. Muszę nosić szpony bojowe jak głupie kyree - wymamrotała i znowu spuściła wzrok.

- Och nie, to żaden defekt, podniebna damo. Widzisz moje ramiona i nogi, moje mięśnie? Pasują bardzo dobrze do mojego ciała, tak jak

twoje części ciała pasują do twojego. Popatrz na moje ręce, na ich proporcje w stosunku do ramion.

Utkwiła wzrok w jego dłoniach. Rozszerzyła oczy, kiedy uświadomiła sobie, na co patrzy.

- Twoje dłonie - podobne do moich.

- Tak! Bardzo podobne. Matka Natura stworzyła mnie w ten sposób. - Pokiwał głową z zadowoleniem. - A Urtho stworzył ciebie z dokładnie takim a nie innym kształtem szponów, ciała, skrzydeł. Sądysz, że Urtho byłby tak niekompetentny, aby stworzyć brzydactwo?

To było nie do przyjęcia, nawet dla gryfów. Również Zhaneel nie mogła w to wierzyć.

- Nie!

Uśmiechnął się, teraz ją miał.

- Oczywiście, że nie. Wszyscy o tym wiemy. Zawsze był dokładny i sumienny, miał wzrok niepodobny do żadnego adepta w historii. Nie, Zhaneel, sądzę, że jesteś czymś nowym. Gładka i niewielka, szybka jak sokół. Inni mają kształty ptaków o szerokich skrzydłach, jak jastrzębie czy orły - ty jednak jesteś zupełnie inna. Nie jesteś gryfem, ale czymś nowym - gryfem i sokołem. Gryfsokołem.

Jej oczy zalsniły ze zdziwienia i dech jej zaparło. Nadal trzymała filiżankę z parującą herbata. Wymówiła słowo, które Bursztynowy Żuraw dopiero co stworzył, smakując je na języku, jak gdyby próbowała słodkie jabłko lub schłodzone wino.

- Gryfsokół.

Wszystko szło o wiele lepiej niż miarkę świecy temu. Bursztynowy Żuraw pociągnął łyk herbaty ze swojej filiżanki i rozkoszował się grą smaków - orzeźwiający, cierpki, słodki i kwaśny, każdy po kolei. Mieszanka gatunków, która odpowiadała zestawieniu problemów.

Kiedy rozmawiali, na dworze zmierzch przemienił się w noc. Zhaneel opowiedziała mu niepewnym głosem o losie swoich rodziców. Oboje zostali zabici podczas misji, która miała być misją o małym ryzyku. Jednakże wojna łaknęła i musiała być nakarmiona, jak wszystkie stworzenia. Zhaneel została sama. Odtąd żółtodziobem opiekowali się zastępczy rodzice i trondi'irn, którzy nie czuli do niej szczególnej sympatii. Raz za razem zmieniali się albo znikali. Wspomnienie o jej rodzicach stało się tylko niejasnym wrażeniem przyjmowania pokarmu, tak odległym, że zaczęło wydawać się snem lub bajką nie mającą nic

wspólnego z rzeczywistością.

Kontrast między wspomnieniami o kochających i troskliwych rodzicach a obojętnością okazywaną dorosłej gryficy był tak wielki, że zamknął ją w zimnej klatce nienawiści do samej siebie.

Jednak te same wspomnienia powstrzymywały ją przed samobójstwem. Na wpół świadome wspomnienia, że gdy była jeszcze pokryta puchem, kochano ją, wzmocniły jej duszę. Pewnie nie pamiętała żadnych obrazów ani słów. Przypominała sobie jednak jak przez mgłę, że wyrażali swe uczucie, śpiewając, kiedy zasypiała, i ucząc ją, kiedy się budziła. Chociaż trwało to krótko, dało jej potrzebną siłę i rozum do przetrwania.

Minęła spora część nocy; filiżanki były puste, a oni pograżyli się w rozmowie, wzajemnie się obserwując. Zhaneel pytała o życie kestra'chern. Kiedy był już pewien, że temat jej nie przestraszy, zapytał, skąd wzięła pomysł, że Bursztynowy Żuraw mógłby być jej kochankiem.

Jej nozdrza poczerwieniały.

- Ta kobieta, strzelec konny, opowiadała wszystkim o tobie, a ja słuchałam. Niektórych rzeczy nie zrozumiałam, ale myślałam, że to dlatego, że ona jest człowiekiem. - Przechyliła trochę głowę, a jej nozdrza zrobiły się jeszcze bardziej czerwone. - Myślałam, że to właśnie robisz ze wszystkimi, którzy do ciebie przychodzą. Byłam przekonana, że dlatego wielki Skandranon powiedział, abym do ciebie przyszła, kiedy dostałam nagrodę.

Na moment zacisnął szczęki. *Powiniennem wiedzieć, że za tym wszystkim kryje się Skan! Nic dziwnego, że byt taki... taki zadowolony z siebie!* Ale konfrontacja ze Skanem musiała poczekać. Teraz, nieświadomie, Zhaneel dała mu kolejny powód do połechtania jej ambicji.

- To Skan przysłał cię tutaj, prawda? - zamrugął. - A więc czy zdajesz sobie sprawę z tego, jakie musiałaś na nim wyrzeć wrażenie, Zhaneel? Dopiero dwa dni temu go poskładaliśmy - jeszcze jest nie całkiem wyleczony - i dał mi do zrozumienia, swemu przyjacielowi, że nie życzy sobie, by zwracano mu głowę błahostkami. A jednak pomyślał o odpowiedniej nagrodzie i przysłał cię do mnie! Jak długo przebywaliście razem?

- Nie wiem... może pół miarki świecy? - odparła niepewnie.

- Pół miarki świecy? - Bursztynowy Żuraw zachichotał. - Nie przypominam sobie, żeby spędził tyle czasu z kimś, kto nie był uzdrowicielem. Musiałaś naprawdę go zafascynować!

- O - odparła słabo, a jej nozdrza znowu poczerwieniały.

- Może nudziło mu się? - zasugerowała równie słabo.

Bursztynowy Żuraw parsknął śmiechem.

- Gdyby mu się nudziło, szybko by się ciebie pozbył. Lekarstwem Skana na nudę jest w kolejności: czytanie, spanie i dokuczanie przyjaciółom. Nie, myślę, że uznał cię za kogoś interesującego.

Język jej ciała i głos wyraźnie mówiły, że Zhaneel była zafascynowana co najmniej ciałem Czarnego Gryfa.

- On nie interesuje się byle kim - ciągnął gładko. - Jeśli cię zauważył, to dlatego, że jesteś tego warta.

Ożywiła się na moment, potem jej pęczki na uszach znowu oklapły.

- Nawet jeśli mnie zauważył, to pewnie dlatego, że jessstem dziwaczna.

- Że jesteś inna a nie dziwaczna - upomniał ją. - Skandranon nie należy do osób, które boją się odmienności.

- Czy jessstem - zawahała się i poczuł, że chce teraz powiedzieć coś bardzo śmiałego - czy jessstem wysstarczająco odmienna, aby on sssobie o mnie przypomniał? Znowu mnie zauważył?

Bursztynowy Żuraw udawał, że się namyśla.

- Idę o zakład, że zależy ci na czymś więcej niż tylko na zwykłym zauważeniu.

Pokiwała nieśmiało głową.

- Tak. - Nabrała powietrza. - O tak...

- No cóż, Zhaneel, niełatwo jest wyrzeć wrażenie na Skanie. Musiałabyś być kimś bardzo szczególnym, aby podtrzymać jego zainteresowanie. Musiałabyś zrobić coś więcej niż strącenie paru makaarów. - To, co mówił, było bardzo odważne, ale na szczęście ona przyjęła to za dobrą monetę. Patrzyła na niego wyczekująco, jak gdyby miała nadzieję, że usłyszy oczekiwaną odpowiedź. - Znam go bardzo dobrze. Jeśli chcesz Skana, Zhaneel, musisz wyrzeć na nim takie wrażenie, aby i on ciebie zapragnął, aby poprosił cię, byś przyłączyła się do jego dywizjonu. - Nie zostawiając jej czasu na wahanie, pochylił się do przodu i rzekł, wkładając w swe słowa cały dar empatii: - Potrafisz tego dokonać, Zhaneel. Wiem, że potrafisz. Wierzę w ciebie.

Jej oczy rozbłyły, a pęczki na uszach powstały.

- Mogłabym zastawić pułapkę na makaary... - Przerwała, gdy przecząco pokręcił głową. - Gdybym zrobiła z siebie cel, prześcignęła je i zaczęła się?

Znowu pokręcił głową. Oba jej pomysły były zbyt impulsywne i samobójcze.

- Musiałoby to być coś, co tylko ty potrafisz, Zhaneel - zasugerował. - Nie musisz codziennie robić z siebie bohatera i nie chodzi też o jakiś natychmiastowy rezultat. Sposób, w jaki zabiłaś makaary, był charakterystyczny tylko dla ciebie. Być może Urtho lub Skan powiedzieli coś, co mogłoby ci pomóc...

Siedziała głęboko zamyślona, Bursztynowy Żuraw nalał sobie drugą filiżankę herbaty. W końcu przemówiła.

- Urtho pytał o moje szkolenie i był rozczarowany, że nikt nie poświęcił mi szczególnej uwagi. - Patrzyła na niego pytająco, a on zachęcił ją skinieniem głowy. - Skandranon także wydawał się zdziwiony, że nie przeszłam żadnego specjalistycznego szkolenia. Skoro nie mogę latać i walczyć jak inne, być może... być może powinnam sama się wyszkolić?

- Znowu spojrzała na niego, a on pokiwał entuzjastycznie głową. - Być może powinnam dodatkowo poprosić o trening, jaki przechodzą młodzi ludzie, ale włączając w to latanie...

- Świetny pomysł, podniebna damo - powiedział z przekonaniem. - To może się przydać nie tylko tobie, ale także innym, którzy są lżejsi i mniejsi. A kiedy już się wyszkolisz, z pewnością przyciągniesz uwagę Skana.

Teraz spojrzała na jego dłonie, a potem na swoje.

- Bursztynowy Żurawiu, mam dłonie podobne do ludzkich... mogłabym wykonywać niektóre czynności, które potrafi tylko człowiek, prawda? - Poruszyła swoimi dłońmi, najpierw jedną, potem drugą, jakby sprawdzała ich ruchliwość. - Być może mogłabym posługiwać się jakąś bronią albo... latać, aby pomagać rannym!

Jej dziób rozszerzył się z podniecenia. Bursztynowy Żuraw musiał stłumić swoje emocje. Wizja gryfa-uzdrowiciela, choćby polowego uzdrowiciela, który unieruchamiałby kończyny i bandażował rany, wystarczyła, aby miał ochotę skakać i natychmiast wcielić pomysł w życie. Iluż wojowników wykrwawiało się na polu tylko dlatego, że nie mógł się do nich dostać? Ruchliwość gryfa uratowałaby wielu, którzy nie mieliby szans na przeżycie...

- Na to jednak potrzeba czasu, Zhaneel - powiedział, napominając

jednocześnie ją i siebie. - Potrzeba wiele czasu, aby się tego nauczyć, a jeszcze więcej, aby to wcielić w życie. Ale jest to wspaniały pomysł. Pomogę ci, na ile tylko będę mógł, przyrzekam!

Zhaneel wysłuchiwała jego ostrzeżeń, potem pokiwała poważnie głową.

- Jedna broń - zadeklarowała. - Nauczę się posługiwać jedną bronią. Kuszą. Wydaje się łatwa do opanowania. I nauczę się prostego uzdrawiania, które znają zielone opaski.

Przez "zielone opaski" rozumiała giermków i sierżantów, którzy je nosili na ramieniu i służyli jako zwykli uzdrowiciele polowi, znający jedynie podstawy sztuki. Akurat tyle, aby załatać kogoś, nim dostanie się on do prawdziwego uzdrowiciela.

Aby uratować życie.

- Będzie dla mnie prawdziwym zaszczytem nauczenie cię tego uzdrawiania, moja podniebna damo - odparł miękko Bursztynowy Żuraw.

- I... - zniżyła swój głos prawie do szeptu. - I wtedy Skandranon mnie zauważy?

Zachichotał.

- O tak, moja damo. Nie będzie miał innego wyjścia. Będiesz jedną z niewielu, które zauważy.

Przechyliła głowę na jedną stronę.

- Niewielu? - spytała dziwnie.

Pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Och, czasami myślę, że ma obsesję na punkcie swej ostatniej wyprawy i niczego innego nie dostrzega. Także i przyjaciół.

Nie przestawała dziwnie na niego spoglądać i w końcu odezwała się:

- Dostrzega. Kocha cię. Cały obóz o tym wie.

Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć, dlatego zapytał zaskoczony.

- Co?

Przez chwilę sądził, że ją źle zrozumiał, ale powtórzyła swoje stwierdzenie:

- Kocha cię, jakbyście byli z jednego gniazda - upierała się. - Być może nie mówi tego, ale cały obóz wie, że Bursztynowy Żuraw i Skandranon mogliby równie dobrze pochodzić od jednej matki.

Kiedy otworzył usta w zdziwieniu, zachichotała w sposób charakterystyczny dla gryfów - był to pierwszy dźwięk szczęścia, jaki od niej usłyszał.

- Słyszałam to...słyszałam, jak mówił pewnemu kapitanowi, że jeste-

ście nierozłączni!

- Co słyszałaś? - spytał, próbując sobie wyobrazić Skana mówiącego podobne rzeczy.

- Słyszałam, jak to mówił - powiedziała stanowczo. Za namową opowiedziała całą historię. Jak dzisiaj, tak i wtedy podsłuchiwała pewną rozmowę. Jeden z najemnych kapitanów żartował sobie z nazwisk i reputacji kilku perchi i kestra'chern. Gdy mijał go Skan, pojawiło się nazwisko Bursztynowego Żurawia. Już samo to wystarczyło, aby przyciągnąć jego uwagę, ale jeden z kapitanów krzyknął do niego wyzywająco, prosząc, aby potwierdził to, co usłyszał, ponieważ "ty go dobrze znasz". A Skan oczywiście stanął w obronie honoru Bursztynowego Żurawia, wiedząc, że może się ośmieszyć, a tego nie cierpiał bardziej niż zimnej wody.

- Tak więc - zakończyła Zhaneel - sam widzisz.

- Widzę - odparł, ale był raczej przytłoczony tym dowodem sympatii. Co prawda pragnął przyjaźni, jednak tak naprawdę nigdy w nią nie wierzył. Kestra'chern nie miał wielu przyjaciół, podobnie jak i zwykłych znajomych.

Zamrugął. Poczuł, że oczy mu trochę powilgotniały.

- Bursztynowy Żurawiu - powiedziała, przerywając ciszę. - Jesteś uzdrowicielem.

Zamrugął jeszcze raz, przywracając oczom ich zwykły niewzruszony wyraz. Sądził, że powrócą do poprzedniego tematu dyskusji.

- Oczywiście, podniebna damo.

Jednak ona pobiła przeciwnika jego własną bronią.

- Kiedy dzieje ci się krzywda, kto leczy duszę uzdrowiciela?

Czyżby zmieniła się w Gestena lub Tamsina i wyczuwa moje uczucia, zanim ja sam je poznam? - pomyślał, ponownie zaskoczony. Zachichotał jednak, aby pokryć swoje zmieszanie i odparł:

- Moja damo, nie wydaje mi się, abym potrzebował usług uzdrowiciela. Nie działałam na polu bitwy.

Parsknęła, bardzo podobnie jak robił to Skan, ale nie odezwała się. W tym właśnie momencie strażę ogłosiły północ i oboje zamrugali zdziwieni.

Minęła połowa nocy - ale dlaczego tak się dziwię? Czuję się, jakby to było pół roku.

- Musisz trochę odpocząć, moja damo - powiedział, biorąc prawie zapomniany żeton i wkładając go z powrotem do jej woreczka. Zaczęła

się wzbraniać, ale położył dłoń na jej dziobie, aby ją powstrzymać.

- Ustalanie honorarium należy do mnie. Zatrzymaj żeton. Gdybyś miała jakieś kłopoty z przekonaniem swojego dowódcy, że potrzeba ci szczególnego szkolenia i ekwipunku, możesz wtedy go wykorzystać. A kiedy znajdziesz kogoś, kto będzie cię wart, przyjdź do mnie. Przemienie cię wtedy w najbardziej oszałamiające stworzenie, jakie kiedykolwiek latało.

Jej nozdrza jeszcze raz poczerwieniały, tym razem z radości. Ruszyła ku wyjściu, ale zatrzymała się na progu.

Wyrwawszy pióro wielkości dłoni, wręczyła mu je z powagą.

- Kiedy będziesz czegoś potrzebował - czegokolwiek - przyślij mi je, uzdrowicielu.

Potem wyszła, zostawiając go z płowym piórem w dłoni i z wielkim bagażem spraw do przemyślenia. Spuścił za nią klapę, chroniąc namiot przed chłodem nocy i wścibskimi obserwatorami. Przeciagnał piórem między palcami prawej ręki.

Kto uleczy duszę uzdrowiciela?...

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Co słyhać, bohaterze? - spytał Tamsin, odchylając klapę. - Widzę, że masz towarzysza w namiocie. Czyżby wydało się, że nie jesteś generałem i nie należy ci się prywatna kwatery?

Skan zachichotał. Zadziwiająco, jak nawet niewielkie polepszenie kondycji wyraźnie poprawiało mu nastrój. Nie był w wyśmienitym humorze, ale przynajmniej nie miał już ochoty nikomu urywać głowy.

- Nie, stwierdzili, że muszę czuć się samotny. Jednak zamiast przysłać mi zgrabną, młodą samiczkę, dali tę odrażającą kupę postrzępionych piór. Poznajcie się, to Aubri. Uważaj, żebyś się o niego nie potknął.

Drugi gryf w namiocie, owinięty w bandażę pokrywającą oparzenia, uniósł wolno jedną brew i prychnął:

- A ja myślałem, że umieścili mnie tu z tobą za karę, pierzasty łbie. - Uniósł głowę, którą miał położoną na przednich kończynach i posłał Tamsinowi i Cinnabar długie, pełne cierpienia spojrzenie. - Powinniście wiedzieć - ciągnął z udawanym oburzeniem - że on w nocy chrapie.

- Podobnie jak ty - odpalił Skan. - Śniło mi się, że zostałem zaatakowany przez ogromnego śpiewającego ptaka, który okropnie fałszował. Obudziłem się i stwierdziłem, że to ty wydajesz te straszne dźwięki. Może samego siebie usłyszałeś we śnie. Chrapałeś tak głośno, że nawet ciebie to obudziło!

- Nie sądzę - zaprzeczył Aubri, potem znowu położył głowę na przednich kończynach i zaczął udawać, że śpi.

Skan znowu zachichotał.

- Lubię go - zwierzył się Tamsinowi donośnym szeptem - ale mu nie mówcie. Zrobi się tak arogancki, że zaczną go mylić ze mną.

Od strony "śpiącego" Aubriego dobiegło ich tylko ironiczne parsknięcie.

- No cóż, wiesz, dlaczego tu jesteśmy - odezwała się Cinnabar, wychodząc zza pleców kochanka i witając się ze Skanem czule.

- Tak - odparł Skan. - Jesteście tutaj, aby udawać, że zajmujecie się moimi ranami, podczas gdy w rzeczywistości dotykacie siebie nawzajem. Och wy! Połączeni więzią życia! Muskacie zawsze tylko siebie nawzajem! Co gorsza, jako ludzie zawsze jesteście w porze godowej...

- A ty nie?... - zagrzemiał Aubri ze swojego miejsca.

- Co? - zdziwił się Skan. - Zdawało mi się, że coś słyszałem.

- To niemożliwe - odparł Aubri - bo ja śpię.

- I całe szczęście. - Skan skupił swoją uwagę na ludziach, którzy ze wszystkich sił starali się nie wybuchnąć śmiechem. - Jak powiedziałem, co gorsza, zawsze jesteście w porze godowej, zawsze się głaskacie. Wystarczy, aby przyzwoitemu gryfowi zrobiło się mdło od tych czułości.

- Zatem Skandranonowi nic nie grozi, bo on z pewnością nie jest przyzwoity - doszedł ich pomruk.

Skan z udawanym smutkiem pokiwał głową.

- A nie mówiłem? Ten gbur nie tylko chrapie w nocy, ale na dodatek w dzień plecie bzdury. Podejrzewam, że większość ran ma na zadzie, bo tam z pewnością mieści się jego mózg.

- Denerwuje go, że nie ulegam jego wyimaginowanemu "urokowi" - zagderał Aubri, uniósłszy głowę. - A w dodatku pobitem go w "logicznych łamigłówkach".

- Najpierw musiałbyś mieć jakąś logikę, aby się nią posłużyć. Po prostu udawało ci się zgadnąć. Pokonałem w tym samego Urtho.

Skandranon zasmucony spojrzał na oboje uzdrowicieli.

Cinnabar podeszła do gryfa, przesuwając dłońmi po jego lewym skrzydle i boku.

- Widzę, że Gesten wykonał dobrą robotę. Wyglądasz wspaniale. Wkrótce będziesz w tak dobrej formie, że olśnisz wszystkie samice. Masz w końcu zamiar wybrać sobie towarzyszkę?

Skandranon nagle trzasnął skrzydłami i utkwiał w niej wzrok, który był ostrzejszy, niż naprawdę zamierzał, by był. Poczul, jak ciemnieją mu nozdrza - ciągle zadawanie tego pytania irytowało go. Jakby się założyli, z kim, kiedy i jak!

Cinnabar przygryzła wargę i cofnęła się, udając - udawanie było trochę zbyt oczywiste - że szuka czegoś przy pasku torebki. Tamsin przełamał napięcie kaszlnięciem i przyciągnął głowę Skana do siebie.

- Pozwól, że zajrzę ci teraz w oczy.

- Pomyśli sobie, że się w nim zakochałeś - prychnął Aubri. Zanim Skan mógł cokolwiek odpowiedzieć, Tamsin zamknął mu dziób jedną ręką i utkwiał w nim wzrok. Chodziło o poważną sprawę. Gryf mógł oceniać względną odległość i szybkość każdym okiem niezależnie od siebie i potrafił dokładnie porównywać najmniejsze szczegóły znajdujących się przed nim obiektów. Na przykład papierowa okładka książ-

ki, którą czytał Skandranon, była dla niego wyraźną płaskorzeźbą, dostrzegał nawet zagłębienia od pióra. Jednak podobnie jak wiele innych części ciała gryfa, oczy można było wykorzystać do sprawdzenia stanu zdrowia reszty ciała. Tamsin pochylił się tak, że jego twarz znalazła się tuż przy soczewce prawego oka Skandranona, stając się rozlaną plamą, która wypełniła większą część pola widzenia gryfa.

- Źrenica prawidłowo się powiększa. Żadnych problemów z akomodacją? Czy każdym okiem widzisz dobrze dal?

- Z Aubrim w namiocie trudno znaleźć jakąś dal - odparł żartobliwie Skandranon. - Ale tak, wszystko wydaje się w porządku. Chciałbym już wziąć udział w jakiejś akcji.

- Nie bój się, wojowniku, jeszcze w niejednej będziesz uczestniczył, a to z pewnością znaczy, że niedługo znowu spotkamy się w namiocie operacyjnym - zażartowała Cinnabar. - Na razie oddziały Ma'ara muszą przestać robić zakłady o twoją głowę. Wiedzą, że i tak prędzej czy później będą mieli okazję do ciebie strzelać.

Skandranon wstał - czuł się teraz znacznie lepiej - i poczerwieniał z oburzenia. Chodząc, mógł wyrządzić jakąś szkodę.

- Jeszcze mnie nie zabili, prawda, Jewel?

Oszołomiona hertasi, która właśnie przyniosła zwinięte koce dla Aubriego, spojrzała na Skana rozszerzonymi oczami.

- N... nie - odparła, nerwowo zerkając na uzdrowicieli. Była to oczywiście ulubiona zagrywka Czarnego Gryfa - wciąganie innych w swoje kłótnie bez względu na to, czy tego chcieli czy nie albo czy w ogóle mieli jakieś pojęcie, o co chodzi. Zawsze kpił! Szczególnie kiedy przedmiotem dyskusji stawał się on sam, i zaczynało robić się niemiło.

- Widzicie więc? Jewel wie. Było to tylko chwilowe niepowodzenie i migiem wróć do zdrowia, by służyć w armii Urtho.

Nastroszył pióra na piersiach i przybrał heroiczną pozę.

- Bogowie, chrońcie mnie przed nim! - rozległ się błagalny jęk. Tamsin i Cinnabar wybuchnęli śmiechem, podczas gdy Jewel, nadal oszołomiona całą sceną, pośpiesznie układała zwoje koców, aby Aubriemu było wygodniej. Skan oczywiście nie przerwał występu dla swojej publiczności.

- On nie jest przyzwyczajony obcować tak blisko z wielkością.

Skan z ukosa rzucił Aubriemu wyniosłe, protekcyjne spojrzenie.

- Nie jestem przyzwyczajony do tkwienia w sketi po uszy! On jest nie do zniesienia w nocy i w dzień - skarżył się Aubri. - Uzdrowiciele, czy

moglibyście unieruchomić mu język albo zatkać mi uszy? A najlepiej jedno i drugie.

- Biedne ślepe piskłę - odciął się Skan. - Jestem zmuszony przebywać w towarzystwie zobojeźniałca. Wyznam wam szczerze, że to jest nawet gorsze niż cielesne rany.

Jewel zatrzymała się na chwilę, przyjrzała się sytuacji, i najwyraźniej uznała, że musi pilnie zabrać się do zwijania czystych bandaży dla Aubriego, co też uczyniła z ogromnym namaszczeniem, w najdalszym kącie namiotu. Lady Cinnabar przychodziła do siebie po gwałtownym ataku śmiechu i patrzyła rozbawiona na Skana, podczas gdy Tamsin uszczypnął gryfa w ogon. Potem otarł ręce, jak gdyby skończył pracę po całym ciężkim dniu i rzucił zadowolone spojrzenie swojej kochance.

- Powiedziałbym, że to już koniec naszej pracy, lady. Skan jest w tak dobrej formie jak jeszcze nigdy.

- To straszne - wymamrotał Aubri.

- O, proszę - odparł Skan. - Mam możliwości, którymi...

- ...chwale się wszystkim wokół od lat - wtrącił szybko Aubri - i nigdy ich nie wykorzystałem.

Skan postanowił, że przyda się szybka zmiana tematu.

- Czy wy dwoje macie oko na naszego Pana i Mistrza? - spytał. - Kiedy Urtho mnie odwiedził, wydało mi się, że wygląda na niedożywionego.

- To nie było łatwe, ale upewniałam się, że z każdego posiłku, który mu przynoszono, zjadał przynajmniej kęs lub dwa - odparła z westchnieniem Cinnabar. - A jego hertasi przynosił mu jedzenie co dwie miarki świecy. Jednak nie prędzej będzie przyjmował normalne porcje posiłków, aż złe wieści przestaną przychodzić z linii frontu, inaczej o nich zapomina.

- Daje z siebie więcej niż może - powiedział Skan, siadając i poważniejąc na chwilę. - Nigdy nie chciał być dowódcą. Nie nadaje się do tego.

- Dość dobrze sobie radzi. Jeszcze wszyscy żyjemy - stwierdziła Cinnabar. - Został dowódcą, dlatego że król abdykował. A ludzie króla okazali się bez charakteru.

Aubri zamrugął.

- Niestety to święta prawda - dorzucił.

Jednak Skan wytknął język z niesmakiem.

- Ona jest bardzo życzliwa, Aubri. Kiedy Ma'ar zaatakował po raz

pierwszy, ziemie graniczne płonęły niczym drewno do podpałki. Barownie wpadli w panikę i najszczerze wysiłki króla, aby zebrać ich razem, na nic się zdały. Wszystko się rozpadło. Pozostał nam tylko Urtho, do którego mogliśmy się zwrócić. Nikt inny nie miał pojęcia o tym, co się działo. Rodzina Cinnabar i kilka innych wystąpiły przeciwko rozpadowi królestwa. Reszta rozpierzchła się jak przestraszone kury, zresztą mózdzki też mieli kurze.

- Pamiętaliśmy, że służyliśmy naszym poddanym. Ci, którzy uciekli, dbali o własne tyłki i zostawili swoje ludy płaczące w żałobie - dodała Cinnabar. - Nie wiemy, co stało się z większością z nich. Niektórzy mieli zmienione twarze. Inni oszaleli albo umarli. Większość stale się ukrywa. Urtho ich nie wini. Powiedział królowi, że Ma'ar rzucił na nich czar strachu. Jednakże - rzekła, kręcąc kosmyk włosów - wydaje się, że nie wszyscy z nas zostali nim dotknięci.

Na kłapę namiotu padł cień, a w sekundę później pojawiła się w wejściu kobieta o surowym wyglądzie, ubrana w nienaganny mundur. Jej brązowe włosy były krótko przycięte, z wyjątkiem trzech warkoczyków spadających na plecy, każdy był długości ludzkiego przedramienia, wszystkie ułożone z matematyczną precyzją na jej smukłej szyi. Kiedy weszła, jej piwne oczy zmierzyły najpierw ludzi, potem gryfy, a na końcu hertasi. Potem popłynęła niczym zimna woda ku Aubriemu. A raczej popłynęłaby, gdyby nie utykanie, które starała się ukryć. Skan wpatrzył się w nią zdziwiony, wtargnięcie bowiem nieproszonego gościa do namiotu było nie tylko niegrzeczne, ale i niebezpieczne, szczególnie kiedy taki namiot mieścił poranione gryfy. Jednak Aubri nie wyglądał na zdziwionego ani obrażonego, tylko zrezygnowanego.

- Czym możemy ci służyć? - zapytał Tamsin wyraźnie zdziwiony, że kobieta nawet nie skinęła głową na powitanie.

Nieznajoma nawet na niego nie spojrzała.

- Dziękuję, uzdrowicielu. Przyszłam, aby zająć się tym gryfem,

- A ty jesteś...? - zagrzemiał Skandranon niebezpiecznym tonem.

Kobieta nie zwróciła na to uwagi lub po prostu zlekceważyła go.

- Jego trondi'irn, Zimowa Łania z Szóstego Wschodniego Dywizjonu - odparła lakonicznie, ignorując Skana i zwracając się do Tamsina. - Nazywa się Aubri i cierpi na oparzenia spowodowane atakiem wroga - wyjaśniła.

Jak to miło z jej strony. Wprowadza nas w szczegóły, które są oczywiste, jakbyśmy nie mieli swojego rozumu czy oczu. Jakże nas szanu-

je! Poza tym zwracała uwagę tylko na ludzi, Tamsina i Cinnabar. Co za arogancka dziewczucha! Myśli, że kim jest? Narzeczoną samego Urtho?

Kobieta jednak nie skończyła.

- Przyszłam także zwolnić cię, Jewel. Potrzebna jesteś do przygotowywania posiłków dla Szóstego Wschodniego Dywizjonu. Zamelduj się tam natychmiast.

Jewel zatkało, potem mrugnęła oczami i potaknęła.

Zimowa Łania wyciągnęła krótki, ale najwyraźniej ostry srebrny nóż zza swego połyskliwego pasa i przecięła bandaż Aubriego, przyglądając się pokrytej pęcherzami skórze.

- Nie sędzę... - zaczął Tamsin. Kobieta przerwała mu, gdy Jewel wybiegała z namiotu.

- Aubri jej nie potrzebuje - odparła szorstko - a Szóstemu trzeba rąk do pracy.

Tym razem Skan zlekceważył jej arogancję, gdyż jej słowa zastanowiły go.

- Szósssty, ten od Zhaneel? - zapytał.

Kobieta spojrzała na niego. Wydało mu się, że jego słowa ją uraziły, ale odpowiedziała.

- Tak. Jest to niezwykle przypadek. Wszystkich nas zadziwiła swoim wyczynem. - Wzruszeniem ramion podsumowała Zhaneel i jej trywialne dokonanie. - To raczej dziwne. Wcześniej nigdy nie mieliśmy w naszych szeregach żadnego wyrodka.

Oczy Skandranona błysnęły złowrogo i nie wiedząc kiedy, rzucił się w stronę kobiety.

- Wyrodka?

Tamsin i Cinnabar schwycili go z obu stron za skrzydła Powtórzył niedowierzająco swoje pytanie:

- Wyrodka?

Zimowa Łania zlekceważyła jego jawną wściekłość i jego pytanie. Wzięła się natomiast do zdejmowania Aubriemu bandażu. Wzniosła swe dłonie nad oparzeniami.

Nawet Skan wiedział, że lepiej nie przerywać transu uzdrawiania, ale potrzebował kilku chwil, aby powściągnąć swój gniew.

- Wyrodek! Rzeczywiście - parsknął do Tamsina oburzony. - Jeśli młoda Zhaneel miałaby być wyrodkiem, to może i ja nim jestem! Ci idioci w Szóstym nie wiedzą, jak szkolić kogoś, kto nie ma stalowych

mięśni o rozmiarach komody. Oto ich problem! Wyrodek!

Tamsin wydawał syczące dźwięki, które Skan zlekceważył. Zamiast tego przyjrzał się dokładnie Zimowej Łani. Fakt, że ta kobieta o zimnym sercu była trondi'irn Zhaneel, wiele mówił na temat nieśmiałości i poczucia bezwartościowości młodej samicy. Zimowa Łania nie interesowała się stanem emocjonalnym Zhaneel. Traktowała swoich podopiecznych, gryfy, jak katapulty. Dbała tylko o to, żeby były dobrze przygotowane do walki i właściwie opatrzone, lekceważąc wszystko, co wykraczało poza stan fizyczny. Zhaneel potrzebowała kogoś takiego jak Cinnabar albo Bursztynowy Żuraw, a nie ten... chodzący sopel lodu.

Dała Aubriemu całą swą moc uzdrawiania; przynajmniej jeśli chodzi o to, nie oszukiwała. I była dobra, bardzo dobra, co prawda pacjent nie był zbyt wymagający, jeśli chodzi o podejście do chorego czy empatię. Aubri przyjął uzdrawianie cicho i nie skomentował niczego ani nie narzekał, kiedy skończyła.

Ale najwyraźniej nie obchodziło jej, że ma też inne obowiązki: nie sprawdziła, czy Aubriemu jest wygodnie, nie zapytała, czy ma jakieś inne rany niż te, które widziała, nie spytała, czy czegoś potrzebuje. Skinęła tylko szybko głową Tamsinowi i Cinnabar, zlekceważywszy zupełnie Skana, i wyszła.

Nikt się nie odezwał.

- No cóż - rzuciła Cinnabar, przerywając ciszę - jeśli uzdrowiciele dzisiaj mają takie przygotowanie, powinnam zapytać Urtho, gdzie ta kobieta się szkoliła!

Tamsin pokiwał poważnie głową, Cinnabar jednak nagle zamyśliła się.

- Dziwne - wymruczała - mogłabym przysiąc, że już wcześniej gdzieś ją widziałam.

Chwilę później pokręciła głową, zwróciła się do Aubriego i powiedziała:

- Przyślę ci jednego z moich osobistych hertasi, dopóki nie sprowadzimy z powrotem Jewel. Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

Pęczki na uszach Aubriego uniosły się ze zdziwienia.

- Nie, dziękuję, moja pani - odparł, usiłując ukryć zdumienie. - Jest mi całkiem wygodnie, naprawdę.

- Gdybyś czegoś potrzebował, pošlij kogoś po mnie. - Uporawszy się z Aubrim, Cinnabar zwróciła się do Skana: - Jak myślisz, jesteś w sta-

nie się opanować, jeśli ona wróci? - spytała. - Jeśli nie, będę musiała przenieść Aubriego, abyś nie był narażony na spotkanie z nią.

- Nie mogę obiecać - zagrzmiał Skan - ale będę się ssstarrzał.

Miarą jego gniewu było to, że znowu zaczął przedłużać niektóre głoski.

- Niczego więcej od ciebie nie oczekuję - odparła Cinnabar. Jej oczy rozbłysły ze złości, gdy spojrzała na ciągle jeszcze rozkołysaną klapę namiotu. - Niczego więcej nie oczekuję też od siebie.

Tamsin wymruczał coś pod nosem; być może zapomniał, że słuch gryfów był tak dobry jak jego wzrok. Dla człowieka było to niesłyszalne, ale Skan zrozumiał go całkiem wyraźnie.

- Muszę o niej porozmawiać z Bursztynowym Żurawiem... Tamsin przy gryźł na moment swoją dolną wargę, zmartwiony zmarszczył brwi, a potem westchnął.

- No cóż, największy z podniebnych wojowników - rzekł lekko, utkwivszy w Skanie złośliwe spojrzenie. - Jak sądzę, w ciągu najbliższych kilku godzin nie będziesz już od nas niczego potrzebował. Udamy się więc do tych z większymi ranami i mniejszym ego.

Skan udał, że jest obrażony, a Aubri parsknął rozbawiony. Złość Cinnabar stopniała nieco, gdy jej kochanek ujął ją za rękę i wyprowadził z namiotu.

Aubri usadowił się wygodniej, trochę się krzywiąc, kiedy oparzenia tarły o bandażę. Skan ułożył się w swoim gnieździe z poduszek, uważając na zrastające się kości. Spojrzał wyczekująco na swojego towarzysza, mając nadzieję, że za chwilę rozpocznie się kolejna bitwa na dowcipy. Ale uzdrawianie widocznie zmęczyło Aubriego i przerwa w bólu sprawiła, że na jego miejsce, niczym zamachowiec, aby go powalić, pojawiło się wyczerpanie. I nim Skan zdołał obmyślić jakikolwiek atak, oczy Aubriego zamknęły się i zaczął chrapać.

- A nie mówiłem! - wyszeptał Skan w kierunku śpiącego gryfa.

Przynajmniej biedak może w końcu trochę się przespać. Skan dobrze wiedział, że ostatniej nocy sen Aubriego nie był najlepszy, przerywany dotkliwym bólem; zastanawiał się wtedy, dlaczego trondi'irn jego towarzysza nie przychodzi sprawdzić, czy gryf przynajmniej zasnął - no cóż, teraz wiedział dlaczego.

Ta Zimowa Łania w ogóle się nami nie przejmuje. Jesteśmy dla niej tylko czymś w rodzaju broni, zaopatrzonej w pożyteczne pióra, broni, która sama potrafi znaleźć swój cel ataku. Interesuje ją tylko to, jak

najszybciej można nas z powrotem wysiać na front. Mogłaby równie dobrze przytwierdzać strzałom lotki.

Zimowa Łania nie była jedyną osobą w siłach Urtho, która myślała w ten sposób; niestety, dwóch z dowódców Urtho, generał Shaiknam z Szóstego i jego zastępca, komendant Garber, reprezentowali taką samą postawę. Większość wspaniałych stworzeń Urtho traktowali jak konie, jastrzębie czy psy. Jeśli gryf nie wykonywał dokładnie tego, co mu kazano, nawet, jeśli rozkazy były bezsensowne, był przegrany. Oczywiście, Shaiknam wybierał sobie podwładnych, którzy prezentowali tę samą humanitarną postawę.

Skan oparł podbródek na przednich kończynach i pograżył się w myślach. Nieczęsto dane mu było w tak wyraźny sposób Przekonać się, jakim jest szczęściarzem, mając za swego trondi'irn Bursztynowego Żurawia, oraz Tamsina i Cinnabar za swych uzdrowicieli.

A jeśli coś by się przydarzyło Bursztynowemu Żurawiowi?

Mógłbym trafiona równie zimną, nieczułą skałę, jak ta Zimowa Łania. I nie miałbym nic do powiedzenia w tej sprawie... Tak jak nie mam nic do powiedzenia na temat tego, kiedy chciałbym mieć młode, któremu dowódcy chciałbym służyć albo jak zmienić piany bitwy, jeśli komendant nie będzie miał ochoty zapytać gryfa o zdanie.

Gryfy były często traktowane dokładnie tak, jak traktowali je Shaiknam i jego podwładni - jak głupie zwierzęta, przynęta dla wroga, pozbawiona własnej woli, inteligencji czy duszy.

Im dłużej o tym dumał, tym więcej gorzkich myśli napływało do jego głowy. Dzięki Bursztynowemu Żurawiowi prowadził stosunkowo swobodne życie, w takim stopniu, w jakim było to możliwe dla każdego z wojowników Urtho. Jednakże Zhaneel była przykładem tego, jak za pomocą lekceważenia można zmienić dobrego gryfa w kogoś niedowartościowanego i okaleczonego duchowo.

Zbyt wielu spośród ludzi Urtho - a czasami nawet on sam! - traktuje nas tak, jakbyśmy nie byli inteligentnymi istotami. Jesteśmy rzeczami. Nie mamy żadnej autonomii.

Z miejsca, w którym leżał, mógł bez kłopotu odczytać tytuły na grzbietach książek, które przysłał mu Urtho. Biografie, dzienniki, przeważnie wielkich ludzi, oczywiście, i wielkich przywódców albo tych, których za takich Skan uważał. Czy Urtho spostrzegł, w jaki sposób Skan studiuje te książki, ocenia postępowanie tych ludzi, to, co zrobili, stając się inspiracją dla swych naśladowców? Czy zauważył,

że poszukiwał iskry, sekretu, słów, które zmieniły zwykłych naśladowców w wyznawców? A może myśli, że Skan czyta je tylko dla czystego ćwiczenia?

Spraw, by twoja motywacja była tajemnicą dla wroga, ogłupiaj go fałszywymi planami, wykorzystuj jego siłę przeciwko niemu, sprowadź go na nieprzyjazny mu grunt, nie okłamuj swoich naśladowców i pokaż im sposób, w jaki mogą stać się podobni do ciebie. Prowadź przykładem. Oni nie byli fikcją na papierze, stali się sposobem życia dla tych, którzy układali potem o nich legendy. Urtho znał połowę tych pisarzy. Ćwierć z nich pracowała dla niego, kiedy nas stwarzał. A jednemu z nich służył.

Urtho uczył się od nich wszystkich; a teraz uczy się Skandranon. Dlaczego zatem wszystko ma zostać tak jak jest?

Bursztynowego Żurawia obudził zapach podgrzewanej migdałowej śmietanki. Gesten krzątał się już żwawo, kiedy jego kestra'chern dopiero się budził. Gwizdał skoczne melodie hertasi, jednocześnie składając ręczniki, polerując mosiądze, co jakiś czas przerywając te czynności, aby doglądnać dzbanka ze śmietanką na palenisku. Bursztynowemu Żurawowi przypomniały się witające świt strzyżyki z opowieści hertasi, o słońcu, które trzeba zachęcać do wyjścia z drzemki poranną muzyką.

Kestra'chern przewrócił się na drugi bok, wyciągnął nogi spod błyszczącego czerwono-srebrnego satynowego przykrycia, które dostał od Urtho po skończeniu nauki. Schował się pod kołdrę i miał nadzieję, że Gesten nie zauważy, iż się obudził, ale było już za późno. Hertasi odkrył narożnik koca i podał mu filiżankę.

- Dzień dobry i smacznego, kestra'chern. Jak zwykle robota czeka.

Bursztynowy Żuraw zamrugał i wymruczał coś, co byłoby obraźliwe, gdyby było zrozumiałe. Na Gestenie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia, podobnie jak sto razy wcześniej, i zaczął poprawiać poduszki pod głową uzdrowiciela.

- Czekaj już na ciebie ciepły chleb i pokrojone kilsie. Dzisiaj mamy trzech klientów. Losita naciągnęła sobie mięśnie i nie może przyjąć swych zwykłych klientów, więc zgodziłem się, abyśmy jednego przyjęli. Nie powinno to długo potrwać. I zanim zapytasz, że Skandranonem wszystko w porządku, ma się dobrze i przesyła ci pozdrowienia.

Bursztynowy Żuraw pociągnął łyk gorącej pianistej śmietanki i

uśmiechnął się do Gestena. Co zrobiłby kestra'chern bez hertasi co zrobiłby Bursztynowy Żuraw bez Gestena?

- A więc wszystko wraca do normalności.

- O ile na wojnie można mówić o normalności. - Hertasi splunął i trzepnął ogonem. - Przyszły nowe rozkazy od Shaiknarna i jego zastępcy Garbera. "Wszyscy hertasi z personelu rekonwalescencyjnego mają być przydzieleni do ważniejszych zadań według uznania oficerów". - Znowu uderzył ogonem o łóżko. - Nie sądzę, żeby Urtho o tym wiedział. To najgłupsza rzecz, o jakiej słyszałem od lat. Nie jesteśmy narzędziami, którymi można handlować! Hertasi znają swoje obowiązki. Trochę potrwa, zanim kogoś się tego nauczy! To nie do pomyślenia, aby odsyłać hertasi, kiedy ich obowiązkiem jest przynoszenie ulgi w cierpieniu. Gorzej, to okrucieństwo.

Bursztynowy Żuraw skończył pić i na chwilę się zamyślił. Najwyraźniej Gesten spodziewał się, że Żuraw zrobi coś w tej sprawie. Przypuszczenie zmieniło się w pewność, gdy Gesten przyniósł pełną garderobę na ten dzień, ustawił sandały i stanął nad nim ze skrzyżowanymi ramionami, niecierpliwie tupiąc nogą.

- Gdzieżeś się tak poparzył? - zapytał Skandranon swego towarzysza, kiedy obaj skończyli solidne śniadanie, które Gesten przyniósł im o świcie. Prawdopodobnie od Cinnabar albo od jednego z jej hertasi mały kolega dowiedział się, że Aubri nie ma służącego, i po prostu wpisał usługiwanie jeszcze jednemu gryfowi na listę swoich obowiązków. Zatem podwójne śniadanie, piękna tłusta owieczka, zostało podzielone na dwóch. Głowę Skan kurtuazyjnie zaproponował Aubriemu, ten przyjął ją i kazał Gestenowi podzielić, aby każdy z nich mógł skosztować tego przysmaku.

Aubri nie szczędził podziękowań, a Skan pokornie ograniczył swoje żądania do koniecznego minimum, aby Gesten mógł skoncentrować się na Aubrim. Zanim Gesten poszedł, Aubri został umieszczony w miękkim gnieździe z poduszek, aby poślanie nie uciskało jego oparzeń, i wszelkie oznaki cierpienia gryfa zniknęły.

- Jak zostałem ranny? - spytał Aubri. - Hm. Częściowo z powodu własnej głupoty. Lecieliśmy na zwiad z rozkazu Shaiknama. Mieliśmy jeden raport o nadciągających zza linii wroga miotaczach ognia, ale tylko jeden. A znasz Shaiknama.

Skan prychnął z dezaprobatą.

- Rzeczywiście. Jeden raport nigdy mu nie wystarcza.
- Szczególnie kiedy nie pochodzi od ludzi - zaskrzeczał Aubri.
- Szkoda mówić, dla nas ten jeden raport z pewnością był wystarczający, ale on go zlekceważył. Nie zatroszczył się nawet, żeby wysłać drugi zwiad dla sprawdzenia informacji.

Gryf chrząknął i zacisnął szpony, jak gdyby chciał chwycić za skórę pewnego dowódcę. Skan nie winił go za to.

- W każdym razie - ciągnął Aubri po chwili - wróciłem właśnie ze swego ostatniego lotu i oficjalnie byłem wolny, a więc nie mógł mi zlecić jednej z tych swoich głupich spraw. Stwierdziłem jednak, że mam jeszcze dość siły, aby tam polecieć i samemu się przekonać. I odnalazłem te miotacze ognia.

- Swoim ogonem - odparł ironicznie Skan.

Aubri wybuchnął śmiechem, akurat gdy przyszedł Tamsin z Cinnabar i jej dwoma osobistymi hertasi.

- Przynajmniej Shaiknam uwierzył, widząc dowód na własne oczy, kiedy przyleciałem, dymiąc. Prawie go rozgniotłem! - Aubri zachichotał. - Powinieneś widzieć jego minę! Kiedy wylądowałem w jego namiocie, podpaliłem go i chciałbym tylko wiedzieć, ile tego gniazdka poszło z dymem.

- Nie tyle, ile byśmy sobie obaj życzyli, Aubri - powiedział Tamsin. - Przy okazji, płonący bohaterze, dopóki nie wydobrzejesz, jesteś pod naszą opieką. Jesteś teraz naszym pacjentem i gdyby Jej Wysokość Zimowa Łania przyszła wydawać ci rozkazy, powiedz jej, żeby najpierw zgłosiła się do nas.

Skan zamrugał zdziwiony. Nie zdarzało się często, aby Tamsin w swoim przeładowanym rozkładzie robił miejsce dla pacjenta z innego dywizjonu, w dodatku podległego innemu dowódcy. Zimowa Łania musiała go wczoraj naprawdę rozzłościć!

- Tak, Shaiknam powinien być odesłany na jakiś czas do skrobania garnków - dodała Cinnabar, marszcząc z niesmakiem swój elegancki nos. - Moja rodzina znała jego rodzinę od czasów, gdy nasi dziadkowie byli dziećmi, i szkoda, że ta blada gęś dorwała się do władzy. Jedyną rzeczą, do jakiej ma naprawdę talent, jest tracenie zainteresowania dla swych kolejnych pomysłów.

- Oraz do wydawania nie swoich pieniędzy - przypomniał jej Tamsin. Pokręciła głową i odrzuciła włosy do tyłu.

- Tak było w czasach pokoju - poprawiła go. - Teraz on żeruje na re-

putacji swego ojca, zamiast trwonić jego złoto na kolejne głupie pomysły. - Zaczęła na swoich palcach wyliczać niektóre z nich, a Skan i Aubri słuchali z nastawionymi uszami. - Zespół teatralny, który porzucił, kiedy sztuka była w trakcie prób, dekoracje na wpół zbudowane, a kostiumy skrojone. Usiłowali wystawić sztukę bez niego, ale ponieważ napisał ją jeden z jego przyjaciół, który miał o tym słabe pojęcie, nie wyszło to najlepiej i zespół wkrótce zbankrutował. Następnie postanowił być wydawcą, ale znowu, kiedy okazało się, że zadanie wymaga tego, by mu poświęcił trochę czasu, stracił całe zainteresowanie i zostawił pół tuzina pisarzy nie wiedzących co począć z płodami swych umysłów. Potem zaplanował ogród przyjemności. Och, Bursztynowy Żuraw zna opowieść o tym lepiej ode mnie. I ta skończyła się tak jak poprzednie. Na wpół ukończony ogród zarósł chwastami, a wielu utalentowanych ludzi, którzy odrzucili inne oferty zatrudnienia, wyładowało na bruku. Teraz zajmują drugo- i trzeciorzędne stanowiska, po tych, którzy mają może mniej talentu, ale lepsze rozeznanie, jeśli chodzi o Shaiknama i jego entuzjazm.

- Jego ojciec był pierwszym i największym generałem w siłach Urtho - powiedział Tamsin dwóm zafascynowanym gryfom. - Na własne uszy słyszałem, jak Shaiknam mówił, że jest pewien, iż odziedziczył talenty po ojcu. Tak jakby można było przekazywać w genach wiedzę i doświadczenie!

Skan zaśmiał się w głos.

- Powiedziałbym raczej, że ten Shaiknam jest żywym dowodem na to, iż inteligencja może pewne pokolenia omijać.

Cinnabar uśmiechnęła się, oczy błyszczały jej z rozbawienia.

- No cóż, dowodem na to, że Skandranon ma rację, jest ostatni rozkaz Shaiknama: "Hertasi z personelu rekonwalescencyjnego mają być natychmiast przydzieleni do zadań ważniejszych". Dlatego właśnie przyprowadziłam tu Callę i Rio, prawda, mali przyjaciele?

Spojrzała czule na dwoje hertasi, a oni uśmiechnęli się szeroko.

- Niech tylko jakiś głupiec z Szóstego Wschodniego Dywizjonu przyjdzie tu i spróbuje nam wydać jakieś rozkazy - powiedział Rio, który tak samo jak jego koleżanka był schludnie ubrany w kolory osobistej świty lady Cinnabar. - Dostanie po uszach i będzie zmykał, aż się będzie kurzyć.

- Jednak będziesz się musiał nami podzielić - dodała Calla. - Lady sprawdziła, że wśród rannych jest wielu podwładnych Shaiknama, i

wszystkich musimy obsłużyć. Nie masz nic przeciwko?

- Przeciwno? - odparł Aubri, wyraźnie zdziwiony, ucieszony i trochę zakłopotany. - Jak mogę mieć coś przeciwko? Nie spodziewałem się żadnej pomocy! Mogę wam tylko podziękować, wiedząc, jak nieadekwatne są te wyrazy wdzięczności...

Oboje, lady Cinnabar i Rio, machnęli rękami.

- Moi przyjaciele mają wielką ochotę robić coś poza zaspokajaniem mych nie istniejących potrzeb - odparła. - Gdyby moja rodzina nie należała, sama przejęłabym obowiązki swojej świty i w ogóle tych dwojga by tu nie było.

- Za co jesteśmy rodzinie stokrotnie wdzięczni - wtrącił się Rio. - Jak i za to, że możemy zrobić coś pożytecznego. Kiedy poznamy wszystkich pacjentów, wrócimy tu, aby się przekonać, czego ci potrzeba, dobrze?

Aubri milcząco skinął głową.

- Nie dziwię się, że Shaiknam powierzył funkcję trondi'irn komuś takiemu jak ta Zimowa Łania - zauważył Tamsin, sprawdzając zrastające się kości Skana. W tym czasie Cinnabar i dwoje jej pomocników smarowali Aubriemu oparzenia łagodzącymi kremami i maściami.

Aubri zasyczał z bólu, ale odparł:

- To dla niego typowe. Ona nie będzie mu się sprzeciwiać. Dlatego ją wybrał. Szczerze mówiąc, nie sądzę, aby w naszej armii był inny trondi'irn, który byłby w stanie znieść tego sketi. Ona jednak jest do niego podobna; uważa, że jesteśmy tylko bronią zdolną do rozmnażania się. Jesteśmy podobni do miotaczy ognia, a nawet lepsi, ponieważ sami powracamy do zdrowia, jeśli się nam da trochę czasu. Bardzo przebiegła jest ta Zimowa Łania.

- Wystarczająco przebiegła, aby odesłać Jewel, skoro tylko przekonała się, że jesteś w kiepskim stanie - zauważył Skan.

Aubri prychnął.

- Byłem zdziwiony, że zostawiła mi Jewel na tak długo. Być może nie zauważyła, że zniknąłem. Jednakże w sprawie tego nowego rozkazu wykazała dużą pomysłowość.

- A kto właściwie wymyślił tę kupę bzdur? - spytał z niesmakiem Tamsin.

- Garber. Zastępca Shaiknama. Jeśli go nie znasz, jest to oficer w każdym calu. - Aubri powiedział to tonem, który nie zostawiał wątpliwości, co myśli o tego typu oficerach.

- A więc, ci, którzy zostaną ranni na linii frontu - gdzie przypuszczal-

nie ani Shaiknam, ani Garber nigdy nie byli - mają sobie radzić bez pomocy tych, którzy mogliby sprawić, że ich powrót do zdrowia przebiegałby w lepszych warunkach? - Zimny głos lady Cinnabar powiedział Skanowi, że kobieta gotuje się z gniewu. Im bardziej była rozdrażniona, tym chłodniejszy stawał się jej głos. - Zobaczymy.

Skan szybko pochylił głowę, aby wzrokiem nie zdradzić swej radości. Lady Cinnabar rzadko wykorzystywała swą pozycję - była jednym z najbardziej zaufanych doradców Urtho. Co prawda rzadko doradzała, ale gdy już udzieliła rady, poruszała góry i rozdzielała oceany, doprowadzając do drżenia niejednego twardego, nim została w końcu usatysfakcjonowana. Gdyby chodziło o walkę jeden na jednego, Urtho wysłałby lady przeciwko Ma'arowi i mógłby być pewien, że nawet jeden włos w fryzurze Cinnabar nie zmieni położenia, podczas gdy Ma'ar będzie zwijał się u jej stóp, błagając o litość.

Jednak chociaż była bardzo rozgniewana, pożegnała się grzecznie z Aubrim i Skanem. Poleciała Calli i Rio, aby z Tamsinem odwiedzili resztę pacjentów z oddziałów Shaiknama, po czym dumnym krokiem wyszła.

Tamsin zachichotał, a Skan mu zawtórował. Aubri przyglądał się im zdumiony.

- Co w was wstąpiło? - zapytał w końcu, zżerany ciekawością.

Skan posłał Tamsinowi wymowne spojrzenie, które wywołało tylko u niego kolejny napad śmiechu. Zatem Skan odpowiedział za nich obu.

- Lady Cinnabar ma niezwykły posłuch u Urtho - wyjaśnił. - Myślę, że stanowi ona kombinację młodszej siostry i szanowanego nauczyciela. A kiedy jest zła - aj, może rozpuszczać szkło! Nie zadowolili się zwykłą rozmową z Urtho i zmianą tych rozkazów. Będzie się upierała, by spotkać się z Shaiknamern i Garberem, aby osobiście udzielić im lekcji. A gdy się już to stanie, nie ty jeden będziesz leczył przypalony ogon!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bursztynowy Żuraw postanowił odłożyć swoje śniadanie i najpierw umówić się z Urtho. Wiedział, że Gesten nie da mu spokoju, dopóki nie załatwi sprawy Shaiknama. Miał nadzieję, że zdoła się szybko wślizgnąć do czarodzieja i odbyć z nim cichą pogawędkę. Nie było mu to jednak pisane: gdy przybył do Wieży, okazało się, że Urtho już od dłuższego czasu jest pochłonięty rozmową z doradcami. Było oczywiste, że są sprawy pilniejsze niż spotkanie z wysłannikiem hertasi.

Sytuacja została by opanowana, i to wkrótce, gdyby tylko najstarsi uzdrowiciele, Cinnabar i Tamsin, wiedzieli, co się święci. W ostateczności można tę sprawę załatwić później, kiedy Urtho będzie miał wolną chwilę. Wtedy Bursztynowy Żuraw łatwiej znajdzie okazję, by szepnąć magowi słówko. Pod warunkiem oczywiście, że lady Cinnabar sama nie przedstawi sprawy swemu krewniakowi. Byłoby to rozsądne wyjście. Jednak Gestena nie zadowalało takie załatwienie sprawy, kiedy chodziło o rzeczy, które on uznawał za ważne. Toteż Bursztynowy Żuraw uniknął konfrontacji z nim, unikając jego samego. Zamiast wrócić do namiotu na samotne śniadanie, poszedł do mesy, w której jadali wszyscy kestra'chern. Jedzenie tutaj będzie i tak dokładnie takie samo jak to, które miał zjeść sam: Gesten zazwyczaj przynosił je bezpośrednio od kucharzy. I nawet jeśli większą przyjemność sprawiłby mu samotny posiłek, jego obowiązkiem jako najwyższego ranga kestra'chern było spędzanie jak największej ilości czasu w towarzystwie innych. Chociaż kestra'chern nie mieli formalnej struktury, na Bursztynowego Żurawia spadał obowiązek dopatrzenia, czy ktoś nie jest przeciążony, oraz przypilnowania, aby "grupy wsparcia" funkcjonowały równie sprawnie jak reszta armii. W końcu wszyscy byli prawdziwymi uzdrowicielami, a nie tylko za takich uchodzili. Mieli ogromny wpływ na grupy bojowe.

Niewygodna funkcja - być przywódcą grupy bez przywódców - której by z pewnością nie przyjął, gdyby nie został do tego zmuszony.

Wydawało się, że to, co działo się na górze, u Urtho, nie dotarło jeszcze na dół, do jego podwładnych. W namiocie pół tuzina kestra'chern siedziało przy prostych drewnianych stolikach, nad chlebem i owsianką, popijając gorzkie piwo i rozprawiając. Nie było w tym nic dziwnego; kestra'chern nie lubili wczesnie wstawać. Często pracowali do późna w nocy. Nikt nie wydawał się szczególnie podenerwowany czy

przygnębiony. Wszyscy powitali Bursztynowego Żurawia, okazując na różny sposób szacunek i sympatię, i powrócili do swoich rozmów. Bursztynowy Żuraw zamówił szklanke piwa, kawałek chleba i jajko na twardo. Usiadł w takiej odległości, aby mógł słuchać, nie narzucając się.

Szczególnie ożywiona rozmowa odbywała się pomiędzy dwiema kobietami. Wkrótce zaczęło się robić naprawdę gorąco. Znał je obie, żadna nie była Kaled'a'in. Jedna, krzepka, o rudych włosach, nosiła dość niestosowne imię - Lily. Druga, o imieniu Jaseen, była szczupłą, eteryczną blondynką, która z pewnością była w stanie pierwszego z brzegu mężczyznę z piechoty przełamać w pół, nie uroniwszy nawet kropli potu.

Wydawało się, że bardziej rozgniewana jest Jaseen, a wszystko z powodu klienta, którego przydzielono Lily. Bursztynowy Żuraw pochylił głowę nad szklanką i słuchał. Po jakimś czasie kobiecy szept przerozdził się w coś znacznie bardziej głośniego.

- Nie obchodzi mnie to, gdzie był przydzielony albo kto go przydzielił! - syczała. - Ty nie masz doświadczenia, aby sobie z nim poradzić, a ja mam...

- A ty nie masz zdolności! - przerwała jej ostro Lily. - A ja tak! Dlatego przydzielono go mnie...

- Naprawdę? - odparła cierpko Jaseen. - A zatem doprowadzenie człowieka do załamania nerwowego nazywa się teraz zdolnością i bardziej się liczy od doświadczenia!

Lily skoczyła na nogi, obie dłonie zaciskając w pięści, a jej twarz poczerwieniała.

- Moje zdolności nie są niczym, czego bym się musiała wstydzić! - wykrzyknęła.

- Nie daj się, Lily - ponaglił ją jeden ze świadków, a drugi podniósł się z miejsca i stanął obok Jaseen.

Oho, dzielą się na stronnictwa. Czas, abym to przerwał!

Bursztynowy Żuraw podniósł się - w samą porę.

Lily zamierzyła się bowiem pięścią, aby uderzyć Jaseen w policzek. Bursztynowy Żuraw skoczył niczym atakujący wąż i uchwycił jej nadgarstek, zanim zdążyła zadać cios.

- Co wy wyprawiacie? - prawie krzyknął, przerywając tym kłótnię. Obie strony spojrzały na niego zaskoczone. Najwyraźniej wszyscy zapomnieli, że jest na sali.

Bursztynowy Żuraw puścił rękę Lily. Jej policzki zrobiły się szkarłatne ze wstydu, schowała obie ręce za siebie. Spojrzał na Jaseen i z powrotem na Lily, nie kryjąc swego niezadowolenia.

- Wiem, że to napięcie każdemu się udziela, ale nie można sobie z nim radzić w ten sposób! Zachowujecie się tak, jak życzyliby sobie tego nasi wrogowie! - rzekł z wyrzutem. - Nie uważacie, że obie jesteście po prostu dziecinne? Nie dość, że zaczęłyście tę kłótnię, to na dodatek jeszcze robicie to w miejscu publicznym, w mesie! Przychodzą tutaj uzdrowiciele. Co by sobie któryś z nich pomyślał, gdyby naszedł was tutaj, kłócące się o klienta jak para...!

Pokręcił głową, nie mogąc zmusić się do wypowiedzenia tego słowa. Teraz nie tylko Lily się zaczerwieniła. Jaseen i ci dwaj, którzy opowiedzieli się po przeciwnych stronach, zrobili się równie szkarłatni.

Gdy już skupił na sobie ich uwagę, musiał uciec się do słownej ekwilibrystyki, której nie powstydziliby się kapłan czy dyplomata. Trzeba je było jakoś uspokoić, nie wspominając słowem o tragedii, która przyczyniła się do tego, że zostały kestra'chern.

Tylko kestra'chern zna dobrze ból serca i ran - powtarzali Mu nauczyciele - *ponieważ wszyscy inni odczuwają tylko swój własny ból. Nie tak jak my.* W tym obozie każda para oczu widziała niejedną tragiczną historię, a za niejednym pięknym uśmiechem skrywały się łzy. Nikt nie był świadom tego lepiej od Bursztynowego Żurawia.

- Żadnej z was nigdy nie brakowało klientów - karciał. - Jesteście wziętymi specjalistkami! Macie tę samą rangę. Różnicie się tylko siłą. Ten klient, o którego się spierałyście, ma szczególne Potrzeby. Jaseen, co jest ważniejsze: twoja duma czy dobre samopoczucie klienta?

Za wszelką cenę musiał unikać przy Jaseen słowa "trucizna" - trzy lata przebywała w więzieniu za otrucie swego kochanka, a uwolniono ją, bo jej brat przyznał się do popełnienia tej zbrodni. Jednak "łagodne" traktowanie przez strażników zmieniło ją nie do poznania.

Schowała się za burzą swych włosów, ale jej rumieńce były ciągle widoczne.

- Klient - odpowiedziała zduszonym ze wstydu głosem.

- Właśnie - odparł surowo. - Po to właśnie tu jesteśmy. A jaka jest druga zasada, Lily?

Lily szkolila się na wojownika i służyła w armii Urtho. Została ranna i porzucona bez przytomności. To doświadczenie zszarpało jej nerwy, a rany uniemożliwiły powrót na pole walki. Zanim odnalazła swą dro-

gę jako kestra'chern, traktowano ją jako bezradną kalekę, ułomną na ciele i umyśle. Spojrzała mu w oczy. Jej twarz była równie szkarłatna jak jej włosy.

- Klient otrzymuje to, czego potrzebuje, a nie to, czego pragnie.

- A wy mogłybyście - gdybyście były o tym głęboko przekonane, a nie tylko tak wam się zdawało - dać mu to, czego chce, gdy już dostanie to, czego mu trzeba - powiedział Bursztynowy Żuraw.

Jaseen pociągnęła nosem i zerknęła, czy ta oznaka jej skruchy zrobiła na nim wrażenie. Wyraz twarzy Bursztynowego Żurawia musiał jej powiedzieć, że nie zdobyła żadnych punktów, ponieważ z wolna uniosła głowę i odgarnęła do tyłu włosy, chociaż jej twarz była równie czerwona jak twarz Lily.

- Jaseen. Według mnie, tak jak według uzdrowiciela twojego byłego klienta, potrzebuje on mniej pieśczoć, a więcej cierni. - Patrzył jej prosto w oczy, aby nie mogła odwrócić wzroku. - Jesteś bardzo dobra, jeśli chodzi o współczucie, ale twój błąd polega na tym, że nie wiesz, kiedy przestać się litować. Współczucie może zmienić się w uzależnienie i powalić silnego mężczyznę tak jak dieta składająca się z samego cukru.

Wyszeptała coś niedosłyszalnie, ale Bursztynowy Żuraw potrafił na tyle czytać z ust, aby się przekonać, że powiedziała tylko: "Tak, Bursztynowy Żurawiu".

Odwrócił się do Lily.

- Twoim zadaniem było postawić go wobec wyzwania. Mam nadzieję, że to zrobiłaś, przekonam się o tym po rozmowie z jego uzdrowicielem. Przez wyzwanie niekoniecznie rozumiem wyzwanie fizyczne. Mogłaś go sprowokować, każąc mu zarobić na to, co od ciebie dostanie. - Fakt, że unikała jego wzroku, powiedział mu, że zrobiła coś dokładnie odwrotnego. - My nie jesteśmy towarzyszami do łóżka - surowo przypomniał im obu. - Jesteśmy czymś więcej, niż utrzymują to nasi przeciwnicy.

Obie kobiety zmieniły się na korzyść po ostatnich przejściach - wiedział o tym, podobnie jak każdy kestra'chern w tej grupie. Gdyby nie to, nie byłoby ich tutaj. Otrzymały wskazówki, jak wyjść z psychicznego dołka, w jaki wpędziły je straszliwe doświadczenia. Teraz musiały dzięki nabytej wiedzy pomagać innym tak, jak wcześniej pomogły sobie. Bursztynowy Żuraw nie pozwoliłby na niekompetencję - i chociaż nie był oficjalnie przywódca, miał posłuch u kestra'chern. Z doświad-

czenia wiedział, że prawdziwym przywódcom nie potrzeba kwiecistych tytułów.

Jaseen i Lily pochyliły głowy, rumieńce na ich twarzach zbladły.

- Tak, Bursztynowy Żurawiu - wymamrotała Lily. - Masz rację, oczywiście. Jednak czasami tak łatwo o tym zapomnieć, zwłaszcza że ludzie traktują nas...

- Ludzie widzą was takimi, jakimi chcieliby was widzieć. To nie znaczy, że takie jesteście - powiedział łagodnie, przypominając im delikatnie o ich przeszłości. - Musicie zawsze pamiętać, kim jesteście. Zawsze. I zawsze w siebie wierzyć.

Jaseen skinęła głową bez słów.

Bursztynowy Żuraw lekko podniósł głos, aby reszta obserwatorów mogła dobrze słyszeć.

- Bez względu na to, kim byli kestra'chern w przeszłości, teraz są kimś bardzo ważnym dla wojowników. Od nas zależą losy wojny. Jesteśmy odpoczynkiem po bitwie i kocem, by ich ogrzać, gdy drżą. Jesteśmy pocieszeniem w ciemności, kiedy śmierć staje się czymś zbyt osobistym. Jesteśmy cierpliwymi słuchaczami, którzy zawsze wysłuchają i nigdy nie osądzają. Jesteśmy kapłanami i kochankami, towarzyszami i obcymi. Dla wielu z nich jesteśmy jedyną rodziną, jaką mają, a czasami jesteśmy na tyle obcy, że mogą nam wyznaczyć wszystko. Potrzebują nas, jak potrzebują swoich racji, broni, uzdrowicieli. Miejcie to zawsze na uwadze, bez względu na to, jak jesteście traktowani.

Obie kobiety wyprostowały się i patrzyły mu teraz prosto w oczy. Kilku innych kestra'chern pokiwało głowami na znak aprobaty dla jego słów. Zauważył to z zadowoleniem.

- Teraz wracajmy do naszych zajęć - powiedział. - Jesteście zbyt wrażliwe, aby kłócić się o takie rzeczy.

Posłał serdeczny uśmiech obu kobietom, a potem całej reszcie.

- Możemy tracić czas, narzekając na pory roku. Na pogodę, Na temat czegoś produktywnego, pożytecznego.

Po tych słowach swoją uwagę skierował z powrotem na zapomniane śniadanie, zostawiając zakończenie sporu samym zainteresowanym. Obie kestra'chern były dorosłe i odpowiedzialne, był więc pewien, że zachowają się rozsądnie.

Przez kilka następnych minut szeptały nerwowo, a potem się wyniosły. No cóż, dobrze. Nawet jeśli są na tyle głupie, żeby kontynuować kłótnię, dopóki robią to dyskretnie, Bursztynowy Żuraw nie miał nic

przeciwno...

Opuszczam się - pomyślał, wyciągając szklankę ku hertasi, aby ją znowu napęłnić, i podziękował małej jaszczurce słabym uśmiechem. - *Jeszcze niedawno przejąłbym się i został z tymi dwiema, aż byłbym pewien, że się pogodziły. Teraz jestem zbyt zmęczony, aby uszczęśliwiać cały świat.*

Zbyt osłabiony albo może zbyt praktyczny, Bursztynowy Żuraw kiedyś sądził, że każdy może być przyjacielem każdego, trzeba tylko trochę czasu, żeby zaakceptować odmienność drugiego człowieka. Teraz wystarczało mu, aby te dwie kestra'chern wykonywały dobrze swoją pracę i nie mieszały do niej swych sporów.

Ostatnio poprzestaję na małym. W tej chwili nie potrafił powiedzieć, czy ten brak energii był dobry czy zły. Po prostu był. a on oszczędzał swe zasoby na czas, kiedy będą naprawdę potrzebne. Na swoich klientów, na Urtho, na Skana - gdyby zużył każdą cząsteczkę swej energii, wypompałby się do reszty, osłabił i...

- Czy ty jesteś Bursztynowy Żuraw?

Ostro postawione pytanie wyrwało go z zamyślenia. Spojrzał w górę lekko wytrącony z równowagi. Nad nim stał młody człowiek, sądząc po zielonych szatach - uzdrowiciel. Zważywszy na dobry stan materiału - pewnie jakiś nowy. Nachmurzona mina nie dodawała uroku jego twarzy. Dziwny uzdrowiciel. Stał pochylony, spięty, a jego wielkie dłonie o grubych palcach nadawały się bardziej do pracy z siekierą czy do pług. Włosy koloru marchewki były ścięte najeża, a kanciasta twarz, upstrzona piegami była gładko ogolona i spalona słońcem. Przeczył powszechnym wyobrażeniom o uzdrowicielach.

No cóż, ale ja też nie...

- Czy ty jesteś Bursztynowy Żuraw? - młodzieniec zapytał znowu, zaciskając swe wielkie dłonie w pięści. - Tak mi powiedziano.

Bursztynowy Żuraw nie zamierzał pytać, kto mu powiedział. Nie widział powodu, by ukrywać swą tożsamość.

- Tak, to ja - odpowiedział z ostrożną grzecznością. - Czym mogę ci służyć? Muszę cię ostrzec, że lista moich klientów jest długa, i jeśli chcesz się umówić...

- Umówić? - wybuchnął chłopak. - W żadnym wypadku! Żądam, abyś wykreślił mojego pacjenta z tej twojej listy klientów! Na wszystkie świętości, co ty sobie w ogóle wyobrażasz. Zabierasz mi człowieka ot, tak sobie, prosto z łóżka i...

Przez jakiś czas młody uzdrowiciel ciągnął swoją przemowę w podobny sposób. Bursztynowy Żuraw czekał, aż zabraknie mu tchu, podczas gdy w nim samym zaczynało z wolna wrzeć. Ten głupiec najwyraźniej wysuwał zwykle podejrzenia na temat tego, kim jest kestra'chern, i insynuował, że Bursztynowy Żuraw nakłaniał jego pacjenta do jakiejś egzotycznej miłosnej działalności.

A wszystko to wyrzucał z siebie, nie zapytawszy kogokolwiek o Bursztynowego Żurawia, o jego klientów czy o to, kto ich tu przysyła.

Wystarczyłoby popytać wśród uzdrowicieli, a miałby właściwą odpowiedź - pomyślał Bursztynowy Żuraw, zaciskając mocno zęby. - Jedno słowo i wiedziałby, jak klienci do mnie trafiają, wiedziałby, że jego pacjent został do mnie przysłany przez starszego uzdrowiciela na masaż terapeutyczny. Ale nie - on woli raczej podsycać swe uprzedzenia niż poszukać prawdy!

Kiedy chłopak w końcu przestał krzyczeć, Bursztynowy Żuraw wstał. Jego oczy znalazły się na poziomie oczu uzdrowiciela, ale miały taki wyraz, że ten mimowolnie się cofnął.

Bursztynowy Żuraw jednak tylko się uśmiechnął. Był to jeden z tych uśmiechów, który dobrze znali Gesten i Tamsin. Gdyby go widzieli, natychmiast robiliby zakłady, ile słów wystarczy Bursztynowemu Żurawiowi, aby nie zostawić na biednym głupcu suchej nitki.

- Jesteś nowy w obozie Urtho, prawda? - wypowiedział cicho zdanie, które było największą zniewagą wśród załogi Maga Ciszy. Zastępowało wszelkie negatywne epitety, jakimi można było opisać kogoś bez nadziejnie nieorientowanego i niemożliwie niedoświadczonego - ciemniak, ciamajda, fajtlapa, żółtodziób, mleczak, szczawik, gołowąs - i było powszechnie używane jako wstęp do porządnej nauczki.

Chłopak był w wojsku na tyle długo, by to zdanie rozpoznać. Zaczerwienił się, otworzył usta, ale Bursztynowy Żuraw przerwał mu, zanim w ogóle zdążył się odezwać.

- Biorę poprawkę na młodych rekrutów - rzekł cierpko - ale radzę ci, abys nigdy nie zwracał się tak do innego kestra'chern. Chyba że chcesz sobie zafundować wykład u starszego uzdrowiciela lub dostać w skórę tak, że nie pomogą ci własne umiejętności. Czy w ogóle zadałeś sobie trud, aby się dowiedzieć, dlaczego "twój" pacjent został do mnie przysłany? Dla twojej informacji: "twój" klient został przysłany przez starszego uzdrowiciela na masaż terapeutyczny. A ja musiałem nieźle się napracować, żeby zmieścił się w moim przeciążonym rozkła-

dzie. Oddałem ci przysługę. Ten człowiek wymaga leczenia, którego ty nie zdołasz mu zapewnić, bo nie jesteś odpowiednio wyszkolony. Gdybyś próbował, prawdopodobnie zrobiłbyś mu krzywdę. Wystarczyło zadać sobie trud i zapytać starszego uzdrowiciela, dlaczego przepisał mu inne leczenie i gdybyś to zrobił, zamiast się tu awanturować i obrażać mnie, dowiedziałbyś się prawdy.

Chłopak stał z otwartymi ustami i czerwonymi uszami. Jego oczy były pozbawione wyrazu: został absolutnie zaskoczony.

- Co więcej - ciągnął Bursztynowy Żuraw - jeśli znajdziesz czas, aby zapytać starszego uzdrowiciela, dlaczego przysyła się kogoś na leczenie na Wzgórzu do kestra'chern, dowiesz się, że starsi uzdrowiciele cenią nasze umiejętności na równi ze swoimi. Poza tym możemy zaofiarować pacjentom parę rzeczy, których ty, z całym twoim wyszkoleniem, nigdy nie byłbyś zdolny im dać. Nasze wstępne wyszkolenie jest podobne do twojego. Tylko że większość kestra'chern nic posiada daru uzdrawiania. Musimy wykonywać naszą pracę cierpliwie, z pomocą słów i fizycznego wysiłku. Uzdrawianie to coś więcej niż leczenie ciała, młody człowieku, oznacza także leczenie serca, umysłu i ducha, w przeciwnym wypadku ciało jest bezużyteczne. Nie czyni to nas lepszymi czy gorszymi od ciebie. Po prostu jesteśmy inni. Czasami możesz wyleczyć to, czego my nie potrafimy, a nieraz jest dokładnie odwrotnie. Lepiej naucz się szybko tej prawdy. Niedošwiadczenie można przewyciężyć, niewiedzę oświecić, ale uprzedzenie trzeba zdusić w zarodku. - Przez chwilę dał upust swojemu gniewowi. - Ta wojna nie jest łaskawa dla głupców.

Uzdrowiciel cofnął się mimowolnie jeszcze o krok. Spuścił ze wstydu oczy.

Bursztynowy Żuraw skinął sztywno głową.

- Zobaczę się z twoim byłym pacjentem o wyznaczonym czasie. Gdybyś jednak chciał temu przeszkodzić, porozmawiam o tym osobiście z Urtho. Słowo uzdrowiciela M'laud powinno się dla ciebie bardziej liczyć niż własne obiekcje.

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł z mesy, zbyt rozgniewany, aby zostać i czekać na to, czy chłopak zdobędzie się na jakieś przeprosiny, i tak nie miał nastroju, aby je przyjmować.

Wrócił do swojego namiotu, wiedząc, że nie będzie tam nikogo, gdyż Gesten odbywał swoją zwykłą rundę na Wzgórzu Uzdrowiciela. To dobrze. Nie chciał w tej chwili nikogo widzieć. Musiał się uspokoić.

Spuścił klapę namiotu i ciasno ją od środka zasznurował na znak, że nie życzy sobie, aby mu ktoś przeszkadzał. Następnie kilka głębokich oddechów. Przez chwilę zastanawiał się nad kolejną czynnością, pozwalając, aby uspokajały go lekkie perfumy i półmrok namiotu.

Jest wiele rzeczy do zrobienia - pomyślał. - Wiele rzeczy które normalnie wykonywał Gesten. Na przykład cerowanie. Gesten byłby pewnie zadowolony, gdyby odkrył, że nie musi już wykonywać swej zwykłej czarnej roboty.

Dobrze. Wszedł do drugiego pokoju w namiocie, do którego nigdy nie wchodzili klienci. Podszedł do łóżka, gdzie panował mały bałagan, którego Gesten nie zdążył jeszcze uprzątnąć. *Odzież wymagająca cerowania jest w koszu z przykrywką.* Pozbierał rzeczy z porozrywanymi szwami i poskładał na stosik. Przyniósł igły i nici ze schowka. Usadowił się na poduszkach w miejscu, gdzie miał dobre oświetlenie i zaczął zszywać rękaw równym, pięknym ścięciem.

Chirurdzy, którzy byli niegdyś jego nauczycielami, podziwiali jego ściąg.

Nikt lepiej od kestra'chern nie zna bólu i smutku, ponieważ nikt nie odczuwa go tak jak kestra'chern. Gdyby o tym powiedział temu chłopcu, czy ten idiota by w to uwierzył?

A gdybym opowiedział mu pewną historię. “Żyła sobie kiedyś rodzina Kaled'a'in, z dala od obozowisk swojego plemienia...”

Jego rodzina z jeszcze kilkoma innymi pogodziła się z ciężarem życia z dala od klanów, w ziemi, która niegdyś zwała się Tantara, w mieście zwanym Therium. Wyruszyli tak daleko, aby Kaled'a'in mieli tam swoich wysłanników. Jego rodzina przywykła do życia w mieście, już kilka pokoleń wzrastało z dala od wsi. I wiele przejęła ze zwyczajów i myśli tych, którzy z nimi mieszkali. Zapożyczyli tak wiele, że gdyby nie ich kolor skóry i włosów, trudno byłoby odgadnąć ich pochodzenie. Podobnie jak wszyscy Kaled'a'in, włosy mieli czarne, cerę bursztynową, a oczy błękitne.

Zdarzyło się, że jedna z rodzin dostrzegła w swoim młodszym synu wielką moc empatii i uzdrawiania. I zamiast odesłać go z powrotem do klanów, aby nauczył się “staromodnych” sposobów, jakimi posługiwali się uzdrowiciele Kaled'a'in, posłali go bardzo daleko, do stolicy sąsiedniego kraju Predain, aby nauczył się “medycyny współczesnej”.

Bursztynowy Żuraw westchnął ciężko na wspomnienie rozłąki. Wstrząsające przeżycie wciąż w nim tkwiło, stało się tylko bardziej

mgliste, z upływem czasu trochę łatwiejsze do zniesienia.

Byli przekonani, że postępują właściwie. Wszyscy powtarzali mi, jak ważna jest nauka najnowocześniejszych metod leczenia i wykorzystanie darów, które miałem od urodzenia. Byłem niespełna trzynastoletnim chłopcem. Musiałem im wierzyć. Jedyнным problemem była Szkoła Chirurgiczna, tak "nowoczesna", że odnosiła się z pogardą do empatii, uzdrawiania czy jakiegokolwiek innego daru. Chirurdzy wierzyli jedynie w to, co mogli zobaczyć, zważyć, zmierzyć; w to, co po odpowiednim wyszkoleniu mógł robić każdy, a nie tylko ci z mistycznymi darami.

Szkoła Chirurgiczna w Predain dała mi rzeczywiście dobre, solidne podstawy uzdrawiania, które można było wykonywać, nie będąc obdarzonym żadnym darem. Bursztynowy Żuraw nauczył się technik chirurgicznych, wytwarzania lekarstw z ziół i minerałów, nastawiania kości i diagnozowania. Gdyby tylko mógł mieszkać w domu, może nawet sprawiałoby mu to radość.

Jednakże nie mieszkał w domu. Otoczony chorymi i rannymi, żyjąc z dala od ludzi, którzy mogli go zrozumieć, bezustannie chorował. W pierwszym roku stał się przedmiotem przykrych żartów i drwin ze strony kolegów z klasy, którzy przezywali go "barbarzyńcą". Dar empatii nie był wcale darem, jeśli wokół znajdowało się tylu chorych i umierających, od których nie potrafił się odgrodzić. Jego nauczyciele - chirurdzy wpędzali go w coraz poważniejszą chorobę, bo nie potrafili postawić właściwej diagnozy i leczyli go na choroby, których wcale nie miał.

Na dodatek był bardzo samotny, nie mając przy sobie żadnego rówieśnika, który zachowywałby się wobec niego przyzwoicie. Chore serce i dusza osłabiały jego ciało.

Czuł się aż tak źle, że nie uświadamiał sobie, jak wszystko się zmieniło poza szkołą. Nie miał pojęcia o tym, że mag Ma'ar gromadzi armię naśladowców i pomocników i pragnie raczej świeckiej niż magicznej władzy. Słyszał o Ma'rze jedynie w kontekście "Ma'ar mówi", kiedy jeden z jego niemiłych kolegów znalazł sposób, aby go prześladować, i czuł potrzebę usprawiedliwienia tego prześladowania.

Z tych przypadkowych cytatów wiedział jedynie, że Ma'ar jest wojownikiem i filozofem, który pod swoim przewodnictwem połączył tuziny wojowniczych plemion, czyniąc z nich część swej "Najwyższej Rasy". Rzecznicy teorii najwyższej rasy już wcześniej się pojawiali i, pociągając kilku fanatyków, znikali po wybiciu paru okien. Wszyscy nauczy-

ciele tak mówili, kiedy ich o to pytał...

Nie widziałem powodu, aby im nie wierzyć. Bursztynowy Żuraw szył równym, ciasnym ściegiem, koncentrując na nim swą wolę, jak gdyby naprawiając swój rękaw, mógł naprawić i swą przeszłość.

Tak naprawdę nie interesowało go to, co działo się poza Szkołą. Nie wiedział nawet, że Ma'ar został premierem Królestwa Predain. Był w zbyt wielkiej depresji, aby zwrócić uwagę na to, że król zmarł bez dziedzica, zostawiając Ma'ara jako tytularnego władcę Predain. Król Ma'ar, król-wojownik.

Jednak zauważył zmiany, jakie temu towarzyszyły.

Kaled'a'in i inni "cudzoziemcy" w Predain nagle stali się przedmiotem nasilających się prześladowań. Ograniczono im możliwość poruszania się, prowadzenia działalności, a nawet określono, jak mają się ubierać.

W szkole czy poza nią, gdziekolwiek by poszedł, stawał się ofiarą szyderstw, a raz czy dwa razy nawet fizycznej przemocy.

W tym czasie nauczyciele w szkole byli przybici, a nawet przerażeni tym, co działo się w szerokim świecie. Chronili Bursztynowego Żurawia w pewien sposób, ale wszystko, co mogli zrobić, to nie wypuszczać go z terenu szkoły. Dziwili się, że wcześniej nie zauważyli Ma'ara i jego zbójców, a teraz było już za późno, aby przeciwdziałać. Dobrze rozumieli problemy intelektualne, ale problem wymagający bezpośredniego działania przerastał ich i czynił bezradnymi.

Jakże niepodobni byli do Urtho!

Restrykcje na zewnątrz nie ustawały, i Bursztynowy Żuraw stał się więźniem w murach szkoły. Przestał otrzymywać listy od rodziny. Sam też nie mógł ich wysyłać.

Miałem tylko piętnaście lat! Skąd mogłem wiedzieć, co robić?

Potem doszły go plotki z miasta - podsłuchane wśród innych studentów bojących się o swój los - że ludzie Ma'ra mieli "deportować cudzoziemców" i wywozić ich w nieznane miejsce. Gdy dowiedział się, że mają przyjść do szkoły, chory, przerażony i spanikowany, zrobił jedyłą rzecz, jaka mu przyszła na myśl.

Uciekł, tak jak stał tej samej nocy. Zabrał tylko trochę pieniędzy i jedzenia ze szkolnej kuchni. Była wtedy straszna zima. Uciekał przez cały kraj, ukrywał się za dnia, a poruszał nocą. Po drodze był zmuszony kraść jedzenie i przez cały czas kierował się do Therium. Blisko tydzień miał wysoką gorączkę. Zachowywał się raczej niczym oszalałe

zwierzę, a nie zdolny, choć zmienny w nastrojach młody student. Dwa razy złapała go policja miejska. Pierwszy raz uciekł, używając siły fizycznej, a drugi - dzięki sztuczce.

Był dopiero w połowie drogi do domu, kiedy jego miejskie trzewiki się rozpadły i musiał się wlec, mając zmarznięte i zdrętwiałe stopy. Ukradł buty ze stopni jakiejś wiejskiej chałupy i podsłuchiwał plotki w tawernach i garkuchniach. Z kryjówek widział rzeczywistość. Ma'ar eliminował każdego, kto sprzeciwiał się jego władzy - i każdego, kto nie popierał wojny z sąsiednimi krajami. Stworzył armię, a na oficerów wyznaczył ludzi spośród swoich naśladowców. Chciał uderzyć, zanim sąsiedzi zorientują się, jakie ma zamiary.

Ma'ar pragnął zostać imperatorem.

Kiedy Bursztynowy Żuraw dotarł do rodzinnego miasta, przekonał się, że tak jak przepowiedzieli studenci, wszyscy "cudzoziemcy" zostali schwytani i wywiezieni. Chory ze strachu i poczucia winy, przez dzień ukrywał się w opuszczonym budynku z wyłamanymi drzwiami. Oddziały Ma'ra były tu pierwsze. Gdy tylko zapadła noc, zabrał całe jedzenie, jakie mógł znaleźć, i ruszył dalej. *Splądrowałem domy tych, którzy już zginęli. Niechaj mi wybaczą.*

Dla człowieka dorosłego, z pieniędzmi, zapasami i doświadczeniem, cała ta tułaczka byłaby niewyobrażalnie trudna. Dla Bursztynowego Żurawia był to prawdziwy koszmar. Większość jego wędrówki wiodła przez pola, lasy i pastwiska, był głodny i spał w rowach pod chrustem. Nic zatem dziwnego, że dokuśtykał do Iherium z silną gorączką, było mu słabo i miał nudności z głodu.

Wróciłem do domu. Znalazłem pusty budynek w mieście ogarniętym paniką. Oddziały Ma'ra przy byty tu dzień wcześniej.

Nikt nie wiedział, co stało się z jego rodziną. Nikogo nie obchodził jego los.

Znalazł sąsiadów przygotowujących się do ucieczki, ładujących na wozy swój dobytek. Ludzie, którzy ongiś mienili się jego "przyjaciółmi" i znali go od urodzenia, teraz nie mieli dla niego czasu.

Błagałem ich, aby mi powiedzieli, gdzie jest moja rodzina. Padłem na kolana i błagałem ich, zalewając się łzami. Leżałem tam w błocie, końskim nawozie i padającym śniegu, i błagałem ich. Obrzucili mnie wyzwiskami. A kiedy wstałem...

Powrócił cały tamten żal i gorycz. Musiał przerwać szycie i przecze-kać, aż spłyną łzy.

Aż do tamtej chwili nie wiedziałem, co to naprawdę znaczy być samotnym. Ojciec, matka, Ognista Klacz, Gwiezdny Śpiewak, mały Zefir - zniknęli, wszyscy zniknęli - wujek Srebrny Róg, Klejnot Gwiazd, Rumak Wiatru, Jasny Ptak...

Popędził się ku obłudnym sąsiadom, a oni go odpędzili, a potem zdzielili końskim pejcem. Jeden cios i wszystko zniknęło. Świat i niebo rozplynęły się dla Bursztynowego Żurawia. Minęła co najmniej jedna miarka świecy, zanim się obudził, krwawiąc, z pręgą na policzku tak grubą jak jego nadgarstek. Na wpół oszalały ze strachu i żalu, poczołgał się w śnieg.

Upadł niedaleko wozu pełnego uciekinierów.

Furmanka należała do kestra'chern Srebrnego Trenu oraz jej służby i uczniów.

Zmuszał się, aby jego ręce nie drżały. To już przeszłość. Nie mogę jej zmienić. Robiłem, co mogłem, starałem się. Skąd miałem wiedzieć, co robić, gdy nawet starsi i mądrzejsi ode mnie zawiedli?

Srebrny Tren nie kazała sługom go odegnąć. Do dziś nie wie, co się z nim wtedy działo. Leżał pogrążony w bólu, drżąc z zimna lub płonąc z gorączki. Ledwie pamięta, jak wzięto go do jadącego wozu i że zapadł w miękką ciemność.

W tej ciemności pozostawał bardzo długo...

Jego ręce drżały, odłożył więc na chwilę szycie. Zamknął oczy i aby się uspokoić, zaczął ćwiczenia oddechowe - te same, których nauczyła go Srebrny Tren.

Zanim wyjechał, słyszał, jak o niej szeptano złe słowa. Podobnie jak wszyscy mali chłopcy przed dojrzeniem, grupa jego przyjaciół plotkowała o niej i przechwalała się, jak to będą odwiedzać, gdy dorosną i się dorobią. Była piękna niczym posąg wyrzeźbiony przez mistrza, szczupła jak chłopiec, delikatna jak gazela. Jej imię związane było z włosami, których nigdy nie ścinała. Platynowy wodospad jedwabiu opadał do ziemi, kiedy je rozpuściła. Zawsze sądził, że jego wybawicielka była kurtyzana - bardziej egzotyczną i droższą od innych - lecz tylko kobietą lekkich obyczajów.

Musiał zamieszkać w jej domu, aby przekonać się, że było inaczej.

Leczyła go z choroby, ona i jej służba. Kiedy przemierzali drogi ku bezpieczniejszym miejscom, udawał jednego z jej uczniów. Po jakimś czasie nie musiał już udawać.

Srebrny Tren starała się chronić go przed zgrozą tej wędrówki, nie

mogła jednak uchronić go przed wszystkim. Nie posiadała darów, ale miała niezwykle wycucie w znajdowaniu bezpiecznej trasy. Niestety, wiele z tych szlaków wiodło przez miejsca, którymi wcześniej przedierały się oddziały Ma' ara.

Siły Ma'ra nie były łaskawe dla poddających się, a jeszcze mniej dla stawiających opór. Bursztynowy Żuraw nadal budził się w nocy, drżący i spocony, gdyż miał straszne sny, w których widział całe rodziny wbite na pale, umierające powolną śmiercią. Pewnego razu musieli się ukryć, podczas gdy najemnicy Ma'ara - oraz jego makaary - eskortowali, zdawało się nieskończoną, kolumnę jeńców. Bursztynowy Żuraw przyglądał się im z ukrycia, szukając twarzy swoich krewnych.

Czy to, że nie znalazł nikogo, było błogosławieństwem czy przekleństwem?

Podczas wędrówki Srebrny Tren nie zaprzestała wykonywać swego zawodu. Czasami robiła to za wynagrodzeniem, częściej jednak za darmo, świadcząc usługi tym, którzy potrzebowali jej pomocy. Bywało i tak, że jej usługi stanowiły łapówkę, aby mogła przeprowadzić swych ludzi przez pozycje zwiadowcze Ma'ara. Uczniowie, a wraz z nimi Bursztynowy Żuraw, próbowali ją wyręczać, na ile to było możliwe. Często ich oferta była przyjmowana, ponieważ Srebrny Tren onieśmiewała oficerów Ma'ara. Była dla nich zbyt spokojna, zbyt inteligentna, zbyt wysublimowana. Ludzie, których musieli przekupić, woleli coś mniej... o niż to, co mogła dać im Srebrny Tren.

W końcu, wraz z nadejściem wiosny, dotarli na bardziej przyjazne tereny. Jednak po krótkim czasie Srebrny Tren zrozumiała, że i tam nie mogą pozostać. Postanowiła wyruszyć w przeciwnym kierunku do tego, który najprawdopodobniej obrała jego rodzina - to znaczy do Ka'venusho, ziemi Kaled'a'in.

I znowu oddała przysługę młodemu Bursztynowemu Żurawiowi. Znalazła kestra'chern idącego do Ka' venusho, który wziął go na ucznia i stał się jego obrońcą. Ów kestra'chern był stary i niepodobny do Srebrnego Trenu. Nazywał się Lorshallen i posiadał takie same dary, co Bursztynowy Żuraw, uzdrawianie i empatię. Srebrny Tren pożegnała się czule z Bursztynowym Żurawem i jego nowym mentorem, po czym wraz ze swoimi ludźmi wyruszyła na południe. Jeden z jej uczniów twierdził, że czekało tam na nią miejsce na dworze jednego z królów-szamanów, w kraju, gdzie nigdy nie było zimy. Bursztynowy Żuraw życzył jej z całego serca, aby jej się powiodło. Nigdy potem już o

niej nie słyszał.

Jak przewidziała Srebrny Tren, wojna zagarniała coraz większe terytory. Bursztynowy Żuraw i jego nowy protektor musieli przed nią uciekać.

Lorshallen przekazał Bursztynowemu Żurawowi wszystko, co sam wiedział na temat swej starożytnej sztuki. Chłopak uczył się gorliwie, pragnąc opanować wszystkie możliwe dziedziny. Nauczył się od Lorshallena tego, w co nie wierzyli chirurdzy. Sam zaś przekazał swojemu mistrzowi to, czego nauczył się od nich. Srebrny Tren uzupełniła jego erotyczną wiedzę i starała się uzdrowić jego ciało. Lorshallen uzupełnił jego edukację jako uzdrowiciela, starając się wyleczyć jego umysł i serce.

W końcu dotarli do klanów. Bursztynowy Żuraw na krótko zajął należne mu miejsce wśród swego ludu. Pozycja była zaszczytna, gdyż Kaled'a'in znali wartość kestra'chern, szczególnie tak wysoko wykształconego jak on i tak udręczonego cierpieniem. Kaled'a'in głęboko wierzyli w to, że wszelki ból ma ogromne znaczenie, gdyż jest początkiem rzeczy wartościowych. Bursztynowy Żuraw był świadom, że opowieści o tym, co przeszedł, szeptano przy ogniskach, chociaż nigdy ich nie słyszał. Ci, którzy cierpieli, mogli szukać siły u kogoś, kto przecierpiał więcej od nich.

Wszędzie rozpytywał o swoją rodzinę. Jego ludzie to rozumieli, ponieważ dla Kaled'a'in klan był wszystkim. Klan, w którym osiadł, k'Leshya, starał się, jak mógł. Wysyłał wieści do innych klanów, próbując się dowiedzieć czegoś o jego bliskich.

I nigdy ich nie znaleźli. W narodzie tak blisko żyjących rodzin, pozostałem sam, na zawsze sam... Nie mani brata, z którym mógłbym prowadzić męskie rozmowy, ani siostry, którą mógłbym pocieszyć po przeżyciu pierwszego miłosnego zawodu. Ani ojca, który z dumą kiwałby głową nad moimi dokonaniem, ani matki, do której mógłbym przyjść po radę. Ani kuzynów, którzy by mnie prosili na ojca chrzestnego swych dzieci. A kiedy będę umierał, przyjdzie mi iść samemu w tę wielką ciemność...

Straciłem tak wiele, że czasami myślę, iż w środku jestem pusty jak wyluskana łupina. Jestem pustką, której nie można niczym zapełnić. A jednak, ciągle żywię nadzieję, ogromną nadzieję, że ten smutek się skończy.

Kiedy dowiedział się, że Mag Ciszcy poszukuje ochotników, od razu się

zgłosił. Przynajmniej nie był już otoczony przez klany i rodziny, do których nigdy nie należał, ale przez ludzi podobnych do niego, oderwanych od domu i korzeni. Być może wreszcie dzięki swym umiejętnościom będzie mógł walczyć z Ma'arem. Co prawda, w końcu wszystkie klany osiadły u podnóża Wieży Urtho, ale on już wtedy zdobywał swą pozycję pośród kestra'chern.

Potrząsnął głową i przygryzł wargę. Gesten może sobie myśleć, że kieruje się jakimiś ślepyimi instynktami, ale on wie, dlaczego tak bardzo kochał Czarnego Gryfa. Skan i Gesten stali się dla niego najbliższymi istotami, zwłaszcza teraz, gdy nie miał rodziny.

/ najbliższymi istotami, jakie najprawdopodobniej kiedykolwiek będę miał.

Kiedy - o ile w ogóle - kestra'chern ma towarzysza, jest to przeważnie ktoś z szeregów kestra'chern. Nikt inny nie potrafiłby go zrozumieć; nikt inny nie byłby w stanie znieść dzielenia się towarzyszem z innymi. Jednakże taka para musi składać się z dwóch równych sobie. Sprzeczka między Jaseen i Lily pokazała, jak łatwo mogą wybuchać spory o klienta. A jeśli jeden kestra'chern z pary jest wyższy rangą od drugiego, takie kłótnie - a nawet gorzej, zazdrość - są bardziej niż prawdopodobne i nie do uniknięcia. Każdy kestra'chern, jakiego Bursztynowy Żuraw kiedykolwiek spotkał, lękał się, że jego umiejętności nie wystarczą, by zatrzymać przy sobie partnera. Zatem jeśli obaj byli sobie równi...

Nie było innego kestra'chern równego Bursztynowemu Żurawowi. Był to fakt przez nikogo nie kwestionowany. A to oznaczało, że nawet do chwilowych związków musiał podchodzić ostrożnie.

To powodowało, że był jeszcze bardziej samotny.

Jeszcze bardziej samotny - o nie! To śmieszne. Gdybym był klientem, powiedziano by mi, abym przestał uzalać się nad sobą i skoncentrował się na czymś, co poprawi mi nastrój lub przynajmniej powstrzyma przed nurzaniem się w przeszłości.

Rękaw skończony. Bursztynowy Żuraw podniósł następne ubranie i zaczął przyszywać oderwaną lamówkę, na której znajdowały się małe paciorki. Tysiące małych, kolorowych, błyszczących paciorków na wspaniałej imitacji kostiumów tanecznych Kaled'a'in, ze skórzanymi barwnymi frędzlami. Było to zadanie wymagające koncentracji i praca ta pochłonęła go całkowicie.

Aż do chwili gdy ktoś zaskrobał w zasznurowaną klapę namiotu.

Bursztynowy Żuraw uniósł głowę, zaskoczony. Cień na płótnie namiotu miał ludzki kształt, nie był to więc hertasi.

Kto to może być?

Odłożył szycie i podniósł się, aby odsznurować płachtę. Był trochę rozdrażniony, widząc kolejnego młodego uzdrowiciela. Jeszcze jeden obcy, czekający niespokojnie, aż pozwoli mu wejść.

- Czy ty jesteś Bursztynowy Żuraw? - zapytał młodzieniec, czerwieniąc się niemilosiernie. - Kes... kes... kes..

- Tak, to ja, kestra'chern Bursztynowy Żuraw - odparł, wzdychając. - Jak mogę ci pomóc?

Chudy i niezdarny młodzieniec - który dopiero co wychodził z wieku dojrzewania i jeszcze nie był smukłym i zgrabnym młodym mężczyzną, choć oznaki przyszłej urody Bursztynowy Żuraw już teraz dostrzegał - wpatrywał się w swoje buty.

- Ja... ja mam pacjenta i mój starszy uzdrowiciel powiedział, że ten pacjent powinien się z tobą zobaczyć i że gdybym chciał dowiedzieć się dlaczego, to... to muszę sam cię o to zapytać.

- A kto jest twoim starszym uzdrowicielem? - spytał Bursztynowy Żuraw trochę ostrzej niż zamierzał.

- M'laud - padła ledwie słyszalna odpowiedź. Bursztynowy Żuraw cudem powstrzymał się od ryknięcia śmiechem. Po tym, jak pogonił jednego z młodziaków M'lauda, starszy uzdrowiciel najwidoczniej uznał, że najlepiej nauczyć swych podopiecznych, kim jest kestra'chern, poprzez bezpośredni z nim kontakt.

W porę się jednak opanował i kiedy chłopak spojrział na niego, zobaczył na jego twarzy wyraz zadowolenia, maskę, z której byłaby dumna sama Srebrny Tren.

- Wejdz, proszę - powiedział uprzejmie. - Przypuszczam, że masz mylne wyobrażenia. Będę szczęśliwy, mogąc wyprowadzić cię z błędu.

Uniósł klapę namiotu i wskazał gestem, by wszedł. Chłopak nie miał wyboru. Bursztynowy Żuraw zauważył z rozbawieniem, jak gość dyskretnie rozgląda się wokoło, próbując za wszelką cenę to ukryć.

Co on spodziewa się tu zobaczyć? Nieważne, chyba i tak zgadnę,

- Siadaj, proszę - powiedział, wskazując mu miejsce w wygodnej odległości od swojej poduszki. - Idę o zakład, że boisz się, iż zrobię krzywdę twojemu pacjentowi. Prawda? - Uśmiechnął się, widząc sztywne skinięcie głową. - Założę się także, iż sam nigdy nie korzystałeś z usług kestra'chern?

- Oczywiście, że nie! - zaprzeczył skwapliwie chłopak, a potem zdał sobie sprawę, jak było to niegrzeczne i zachnął się. Bursztynowy Żuraw jednak tylko chrząknął.

- Młody człowieku, jak masz w ogóle na imię?

- Lanz - padła niewyraźna odpowiedź.

- A więc, Lanz, przypuszczam, że M'laud mówił ci, iż wstępne szkolenie uzdrowicieli i kestra'chern jest takie samo. Ja także zaczynałem jako uzdrowiciel. - Bursztynowy Żuraw uniósł jedną brew. Chłopak patrzył w niego jak w obraz.

- Ale dlaczego... to znaczy... dlaczego zostałeś kestra'chern? - wybuchnął Lanz.

- Zabrzmiało to, jakbyś powiedział: "Dlaczego zostałeś kupą gnoju?" Czy zdajesz sobie z tego sprawę? - odparł Bursztynowy Żuraw. - Powinieneś wiedzieć, że Kaled'a'in traktują kestra'chern jak szamanów. Było to więc nie tylko niegrzeczne z twojej strony, ale wśród ludzi wywodzących się z klanów potraktowano by to jako policzek.

Lanz zwiesił głowę. Wyjąkał coś niewyraźnie, a jego uszy i szyja stały się czerwone jak ulubiona szata Bursztynowego Żurawia.

Zdaje się, że dzisiaj wielu ludzi czerwieni się przeze mnie. Kolejny dar?

- Lanz, powody, dla których zostałem kestra'chern, są zbyt skomplikowane, aby w nie teraz wnikać. Mogę jednak podać ci ten najprostszy. Jestem także empatą, zbyt silnym, aby pracować jako konwencjonalny uzdrowiciel.

Bursztynowy Żuraw pokiwał głową, gdy Lanz spojrzał na niego ostrożnie spod czarnej grzywy.

- Nie oznacza to, że zostałem kestra'chern dlatego, iż jestem dotknięty jakimś straszliwym przekleństwem umysłowym. Będąc kestra'chern, nie widuję się z ciężko rannymi, których fizyczny ból przytłacza inne uczucia. Mogę jednak wykorzystywać swe dary i wyszkolenie, aby uzdrawiać głębsze i bardziej subtelne rany umysłu, ciała i serca, których istnienia ludzie nawet sobie nie uświadamiają.

- Jednak nie wszyscy kestra'chern są uzdrowicielami - powiedział z powątpiewaniem Lanz - albo empatami...

Bursztynowy Żuraw uśmiechnął się.

- To prawda. Większość nie jest. A ci, którzy nie mają żadnych darów, muszą ciężiej pracować, aby się nauczyć odczytywać język ciała i ton głosu; rozpoznawać subtelne sygnały tego, co obdarowani mogą

odczytać bezpośrednio. - Rumieńce Lanza zbladły, więc Bursztynowy Żuraw pozwolił sobie na uśmiech. - Mój przyjacielu, jednej rzeczy kestra'chern musieli się nauczyć przez wieki: ludzie, którzy wiedzą, że przychodzą do kogoś na godzinę czy dwie czystej przyjemności, są skłonni o wiele prędzej wyznać swoje kłopoty niż wtedy, gdy stają wobec uzdrowiciela czy innego autorytetu. Jeśli osłodziemy uzdrawianie odrobiną przyjemności, fizycznej przyjemności, czy to źle? Czy twój pacjent to ta osoba, która jest ostatnia w moim dzisiejszym rozkładzie?

- Tak sędzę. - Lanz siedział teraz bardziej wyprostowany i trochę się rozluźnił, co utwierdziło Bursztynowego Żurawia w przekonaniu, że chłopak się go już nie boi.

- M'laud przysłał mi opis jej przypadku. Przychodzi do mnie dlatego, że jest w niej wewnętrzne napięcie, którego M'laud nie potrafi rozładować. Jest to pewien rodzaj urazu pobitewnego, uniemożliwiającego jej powrót do zdrowia.

Twarz Lanza rozbłysła i Bursztynowy Żuraw odgadł, że chłopak przez cały czas winił się za to, iż pacjentka nie powraca do zdrowia.

- M'laud przypuszcza, że w dzieciństwie przeżyła coś strasznego i że to stało się przyczyną jej problemów. Krótko mówiąc, nieświadomie karze siebie za to, że jest zła. Uważa, że zasługuje na to, co ją spotkało. - Westchnął i pokręcił głową. - Wiem, że to nie ma sensu, ale my, kestra'chern, ciągle obserwujemy takie przypadki. Nie jest to coś, z czym ty mógłbyś sobie poradzić. Nie sędzę, abyś był osobą, której mogłaby zaufać. Nie dlatego, że nie jesteś tego zaufania godzien, ale po prostu przez wzgląd na rodzaj jej problemów. Ja jestem dla niej obcy, a bardzo często łatwiej opowiedzieć o strasznych rzeczach nieznanemu niż komuś, kogo się zna. Obcy bowiem nie ma uprzedzeń. Nigdy też nie znajdę się blisko linii frontu. Ona wie, że nie zostanie zabity przez wroga. A lepiej widzieć przyjaciela w kimś, kogo się tak szybko nie straci.

Lanz uniósł się lekko z miejsca, patrząc na kestra'chern raczej z powątpiewaniem.

- Udowodnię ci to - powiedział zdecydowanym głosem Bursztynowy Żuraw.

Wymienił mu całą litanię wszystkich formalnych szkoleń, jakie przechodził, najpierw u chirurgów, potem u Srebrnego Trenu i na końcu u Lorshallena. Trochę to trwało i kiedy skończył, oczy Lanza były szkli-

ste i biedny chłopak wyglądał, jakby zakręciło mu się w głowie.

- Widzisz? - kończył już. - Gdybyś był choć w połowie tak wyszkolony, nazwałbym cię dobrym uzdrowicielem.

- Nie wiedziałem... - powiedział zdumiony młodzieniec. - Kiedy Karły przyszedł po rozmowie z tobą...

- Karły? Ten rudy? - Bursztynowy Żuraw odrzucił głowę wybuchając śmiechem.

Lanz także zaczął się nieśmiało śmiać.

- Słyszałem, jak pewien inny starszy uzdrowiciel powiedział: "Mam nadzieję, że ma normalną kochankę, bo po takiej rozmowie z Bursztynowym Żurawiem żaden kestra'chern w całym obozie nie przyjmie go za żadną cenę!" Karły był chyba wobec ciebie strasznie niegrzeczny.

- Niegrzeczny? - odparł Bursztynowy Żuraw. - Słabo powiedziane! A jednak Karły nie potrzebuje się martwić. Jesteśmy zobligowani przyjmować każdego, kto tego potrzebuje i prawdę powiedziawszy, nie widzę, aby ktokolwiek bardziej potrzebował naszych usług niż on sam!

Lanz uśmiechnął się.

- Sądzę, że Karły jest raczej tępy - stwierdził. - Po rozmowie z tobą - byłeś tak miły i w ogóle - no cóż, gdybyś wziął któregoś z moich pacjentów, byłbym bardzo wdzięczny i raczej by mi to pochlebilo.

Tym razem uśmiech Bursztynowego Żurawia wyrażał tyle samo zdziwienia co radości.

- Dziękuję, Lanz. Biorę to za wielki komplement. Czy mogę ci czymś służyć?

Chłopak zamrugnął, onieśmielony.

- Sądzę, że dobrze by mi zrobiła szklaneczka piwa. A poza tym, czy mógłbyś opowiedzieć mi coś więcej o innych kestra'chern?

Bursztynowy Żuraw wstał, Lanz także.

- Może pójdziesz ze mną do mesy i sam zobaczysz? - spytał.

- Chętnie! - odparł Lanz i jakby sam zdziwił się swoją odpowiedzią.

Dzięki takim małym zwycięstwom wygrywa się wojny i zdobywa serca - pomyślał z wątpliwą satysfakcją Bursztynowy Żuraw, wskazując drogę do mesy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zhaneel zacisnęła szpony, wbijając je w drewno swej ogromnej grzędy. Po raz kolejny sprawdzała wyposażenie - nożyce do drutu, strzały, gwoździe, nóż do lin, wiązania - wszystko dostosowane do wymiaru jej dużych "dłoni" o krótkich i grubych palcach - i przyglądała się torowi przeszkód, który sama wymyśliła. Tor ciągnął się na przestrzeni kilku akrów, był zbudowany głównie w rowach erozyjnych i korytach wyżłobionych przez strumyki, nie do przebycia dla kogokolwiek z obozu Urtho, usłany zwalonymi drzewami i kamiennymi otoczakami. Aby dostać się stąd na drugi koniec, musiała latać, omijać przeszkody, czołgać się, a nawet płynąć. Były tam pułapki wodne, ogniowe, pociski wyrzucane przez katapulty...

A teraz nawet pułapki magiczne.

Gesten, hertasi Bursztynowego Żurawia, pomagał jej od samego początku. Dowiedział się być może od Bursztynowego Żurawia, czego ona pragnie dokonać, ale nigdy nie zapytał, dlaczego. Zjawił się nawet nieproszony i zastępował jej dłonie. Polem znalazł jeszcze trzech innych: razem zbudowali tor i wymyślili pułapki. Z początku nikt nie zwracał uwagi na to, co robiła Zhaneel, ale stopniowo jej biegi zaczęły przyciągać niewielką grupkę widzów. Martwiło ją to aż do dnia, kiedy po kilku nieudanych próbach ominięcia pułapki symulowanych strzał z kuszy przeszła przez nią bez szwanku, a niewielka grupka nagrodziła ją wielkimi brawami.

Wtedy właśnie uświadomiła sobie, że oni przychodzą nie po to, by się z niej naśmiewać, ale by ją dopingować.

Szczerze mówiąc, nie wiedziała, co o tym myśleć; była oszołomiona. Dlaczego ktokolwiek miałby się nią interesować?

Poza tym zawsze miała trudności z odgadnięciem, dlaczego hertasi i ludzie postępują tak, a nie inaczej...

Dzisiaj jej widownia była większa niż zazwyczaj i tym razem dobrze wiedziała dlaczego: wśród żołnierzy rozeszła się wieść, że jej tor treningowy zawiera magiczne przeszkody.

Nie planowała magicznych pułapek; wymagały wiele wysiłku i czasu, a jej nie przeszło nawet przez myśl, że w obozie może znaleźć się jakiś mag, który chciałby jej pomóc. Albo raczej myślała tak jeszcze kilka dni temu.

Młody mag, czeladnik imieniem Vikteren, sam zaproponował jej po-

moc. Potrzebował pewnych czarodziejskich składników; żywych składników, które nie miały ochoty wchodzić w skład żadnych zaklęć.

Jego uwagę przyciągnęła szybkość i zwinność Zhaneel, a właśnie tego brakowało mu w pogoni za szpakami, królikami i innymi małymi, szybkimi stworzeniami. Zatem stworzyli spółkę: ona dla niego polowała, a on zaopatrzył jej tor w magiczne przeszkody.

Ich współpraca trwała już od kilku dni. Wczoraj powiedział jej, szczerząc zęby w uśmiechu, że jest absolutnie pod wrażeniem. Jego słowa brzmiały: "Dobrze ci idzie, gryfie! Cholernie dobrze!"

Ku jej zdziwieniu i oszołomieniu, podobnie wyraził się trener gryfów, Taran Shire. Taran pojawił się na torze następnego dnia po Vikterenie. Teraz więc, obok młodego czeladnika, pomagał jej doświadczony trener, poświęcając jej swój wolny czas.

Starła się nie myśleć o widowni, nie było to jednak łatwe, tym bardziej, że byli tam też przedstawiciele jej gatunku - gryfy zarówno z innych dywizjonów, jak i z jej własnego. Co więcej, niektóre z tych gryfów próbowały również trenować na jej torze, wyrażając przy tym swoje uznanie.

Za każdym razem, kiedy kończyła bieg, widzowie nagradzali jej wysiłki hucznymi brawami. Fascynowała wszystkich: od hertasi po ludzi, od gryfów po kyree. Wszyscy czekali na kolejny bieg.

W połowie toru uniosły się strzępiaste biało-czerwone chorągiewki i zafalowały dwukrotnie, a ona wzleciała z konara. Tym razem była to misja ratunkowa - Zhaneel miała uwolnić złapanego gryfa. Na jej żądanie szczegóły pozostały tajemnicą, wiedziała zatem bardzo mgliście, czego się spodziewać. Jednego była pewna - Vikteren i hertasi postanowili uczynić jej zadanie trudniejszym niż kiedykolwiek.

Pierwsze niebezpieczeństwo pojawiło się już w dwanaście machnięć skrzydłami po starcie - był to nagły podmuch wiatru z prawej strony. Pchnął ją w kierunku dolnych pałkowatych konarów drzewa - łatwo można było stracić pióra i skaleczyć się. Zareagowała odpowiednio, robiąc w połowie drogi beczkę i lądując, złożony ciasno skrzydła. Pazurami czepiała się kamieni i krzaków. Wkrótce wiatr ustał i ku radości widzów Zhaneel wzniosła się nad parowem.

Następnie trzeba było wczołgać się do żlebu. Zrobiła to, bezustannie rozglądając się w poszukiwaniu kolejnego niebezpieczeństwa. Zza głazu wzniosła się szybko do góry strzała ognia, a zaraz po niej pojawiła się z hukiem pioruna ogromna ognista kula. Toczyła się wolno przez

parów, podpalając ściółkę. Zhaneel ponad tym hukiem usłyszała, jak widzowie wstrzymali oddech, gdy ona sama, czołgając się, zniknęła im z oczu. Wiedziała, o czym pomyśleli: "Czy ta gra nie posunęła się za daleko?"

Nie mogła się jednak nimi przejmować. Wkrótce znowu ją ujrzą...

Wychyłała daleko na końcu sąsiedniego parowu. Z rykiem wskoczyła na głaz i wyciągnęła swój nóż do lin, mierząc w zaskoczonego maga, który ukrywał się za skałą.

Mam cię, Vikterenie!

- Jesteś martwy! - wysyczała, a Vikteren uśmiechnął się i padł na plecy.

- Tutaj, owszem - potwierdził, wstając i otrzepując szatę - ale może zobaczymy się później.

- Nie obiecuj sobie zbyt wiele, truposzu! - zaśmiała się, a potem schowała nóż. Miała misję do wykonania, musi jeszcze uratować gryfa, a przygoda dopiero się zaczęła.

Bursztynowy Żuraw czuł się niczym dumny i niespokojny ojciec, obserwując, jak młoda gryfica siedzi na swej grzędzie w oczekiwaniu na start. Drżące mięśnie zdradzały jej napięcie i koncentrację. Przyszedł, gdy już tkwiła na swej pozycji, ale udało mu się jeszcze zająć miejsce na przedzie, obok Skana. Czarny Gryf szybko wracał do zdrowia po odniesionych ranach, oficjalnie jednak nadal był rekonwalescentem z rozkazu lady Cinnabar. Trzymał dziób opuszczony, aby go nie rozpoznano - jak gdyby bał się, że jego obecność w jakimś ważnym momencie rozproszy młodą samicę.

No cóż, mogłoby się tak zdarzyć. Młódka była wyraźnie pod wrażeniem Czarnego Gryfa. Gdyby wiedziała, że ją teraz obserwuje, z pewnością wypadłaby z rytmu.

Ogon Skana drgał niecierpliwie. Bursztynowy Żuraw położył przyjacielsko dłoń na jego skrzydle. Skan uśmiechnął się po gryfiemu, a potem skupił całą uwagę na dalekiej szaropłowej postaci.

Na drugim końcu toru opadła chorągiewka. Zhaneel uniosła się z konara, bezgłośnie rozpościerając skrzydła.

Bursztynowy Żuraw był na torze przeszkód po raz pierwszy, jednak od Gestena wiedział, że Skan przychodził tutaj codziennie w ciągu ostatnich trzech dni. Nie potrafił wyobrazić sobie, jakie przeszkody można wymyślić dla gryfa, którego zdolność latania sprawiała, że

zwykle tory były dla nich pestką. Był pod wrażeniem zarówno zdolności Zhaneel do tworzenia przeszkód, jak i do ich pokonywania.

Podobnie zresztą Skan.

Wraz z innymi zastygł z przerażenia, gdy okazało się, że tocząca się kula ognia prawie ją pochłonęła. Nie uświadamiał sobie, że na tym torze mogą być jakieś prawdziwe pułapki i odetchnął z ulgą, kiedy Zhaneel znowu się pojawiła, a gdy "zabiła" kogoś, sądząc po ubraniu - czeladnika, wrzasnął z radości.

Skan pozostawał absolutnie w bezruchu, z wyjątkiem samego końca ogona, który wił się i podrygiwał jak ryba na piasku. Tak jak u kota, ogon zdradzał jego myśli.

No cóż, pozostałe gryfy obserwowały Zhaneel równie bacznie. Z natury interesowały się wszelkiego rodzaju fantazyjnym lotem. W końcu był on częścią godów i łączenia się w pary. Żaden jednak gryf nie patrzył z takim napięciem w oczach na Zhaneel jak Skan.

Co prawda, wyglądał raczej na oszołomionego niż na zachwyconego, jakby ktoś uderzył go kijem w tył głowy.

Bursztynowy Żuraw zaśmiał się cicho, kiedy dostrzegł szklisty wzrok Skana. Biedny Czarny Gryf! Jak dotąd to on zawsze oszałamiał, a nie jego oszałamiano!

Zhaneel zgrabnie ominęła strzały z kuszy, spadające sieci oraz iluzorycznych wojowników.

- Jest dobra, prawda? - powiedział Żuraw, przepelnięny dumą. Była niezwykle zwinna. Wspaniale koordynowała ruchy. płynnie lądując i startując.

- Jest piękna - mruknął bujający w obłokach Skan. - Po prostu piękna...

Otworzył dziób i Bursztynowy Żuraw zdusił śmiech. Czyżby Czarny Gryf był nie tylko pod wrażeniem, ale...? No cóż, u gryfów piękny lot był odpowiednikiem miłosnego tańca.

- Skan - wyszeptał. - Czyżbyś chciał nam obu narobić wstydu? Ten język zwisający z kącika dzioba wygląda naprawdę głupio.

Skandranon nie zdawał sobie sprawy, że tak jawnie okazuje swoje zainteresowanie Zhaneel.

- Schowaj go - wymruczał z naciskiem Bursztynowy Żuraw. Zdenerwował Skana, ale upominanie było przywilejem przyjaciół; lepiej żeby to on mu zwrócił uwagę niż kto inny. W pobliżu znajdowało się wielu,

którzy cieszyliby się, mając okazję mu dołożyć. Nie miał zamiaru dać im tej satysfakcji.

Co więcej, takie docinki mogłyby się obrócić przeciwko Zhaneel. A on dobrze wiedział, że jej poczucie własnej wartości było bardzo kruche. Skan nie był pewien, czy potrafiłaby właściwie zrozumieć niewinne docinki.

Jeden gryf z Drugiego Zachodniego Dywizjonu, samica o imieniu Lyosha, usiadła obok niego i przez chwilę muskała pióra na jego grzebieniu. Było to dość powszechne powitanie, które mogło się przerodzić w bardziej intymne pieszczoty lub pozostać tylko powitaniem. Kiedyś on i Lyosha wykonali razem kilka spiral i najwyraźniej ona miała nadzieję, że dzisiejsze powitanie będzie prowadziło do tego samego. Tym razem jednak gryf nie był nią zainteresowany. Patrzył oczarowany, jak Zhaneel kreśli swoje wzory, igrając z niebezpieczeństwem.

- Lyosha - powiedział po przyjacielsku, nie okazując innych uczuć. - To jest fascynujące.

Lyosha pogłaskała go po piórach ostatni raz, a potem westchnęła.

- To prawda - odparła z rezygnacją. - Sama mam ochotę Przejść przez ten tor. To wystarczy, aby podpalić ogon gryfa!

Zignorował przytyk i chrząknął uprzejmie.

- No cóż - odezwał się, nie odrywając wzroku od Zhaneel - jeżeli nie będzie uważała, to właśnie jej ogon może zostać podpalony.

/ niech Lyosha rozumie sobie przez, to, co chce...

Zhaneel przekradła się nad spróchniałym pniem drzewa w kierunku czterech stojących worków siana. Na znajdujące się wokół płonącego ogniska worki zarzucono mundury. Obok nich widniała tablica z napisem: "Po służbie. Rozmawiają. Jedzą". Nieopodal stał niewielki namiot i paliki dla czterech koni, ale zwierząt nie było.

Namiot pomieściłby dziesięciu. Czterej są tutaj, czterech koni nie ma, to razem ośmiu. Czterech nie ma albo są na misji. Szwadrony Ma'ara składają się z ośmiu żołnierzy i jednego oficera, ale oficerowie mają osobne namioty. Zatem gdzie jest oficer i pozostali czterej?

Zhaneel wyciągnęła swoją kuszę. Ruchem dzioba naciągnęła cięciwę, wyciągnęła strzałę z kołczanu i położyła na kuszy, gotowa do oddania strzału.

Skorzystaj z odpowiedniej osłony. Oprzyj się o coś solidnego.

Schowała się za pniem, oparła kuszę o łuszczącą się korę pnia i wy-

strzeliła. Pocisk trafił w worek po lewej. Pośpiesznie wyciągnęła drugą strzałę, jednocześnie naciągając dziobem cięciwę. Drugi pocisk ugodził w środkowy worek i pchnął go w kierunku ognia. Zhaneel przypięła kuszę i skoczyła ponad pniem, aby uderzyć na pozostałe dwa worki z sianem.

Wtedy otworzono ogień.

Zza drzew po lewej stronie posypał się grad wyrzucanych z procy kamieni, a ukryte miniaturowe maszyny obłęźnicze po prawej rozerwały swoje maskownice z listowia. Zhaneel skoczyła wysoko w powietrze i w ten sposób uniknęła większych obrażeń, chociaż niektóre kamienie uderzyły ją w stopy i bok. Wystawiła się jednak na cel ognistym strzałem, wyrzucanym ze stoku; dostrzegła tam rannego gryfa, którego szukała, prawdziwego gryfa, leżącego pod drucianą siatką, związanego w bardzo niewygodnej pozycji.

O, nie! Tego nie chciałam

Zatem niespodzianka Vikterena polegała na tym, że nie miała uwolnić jakiegoś tobołka szmat zwanego “gryfem” - ale musiała sobie poradzić z żywym stworzeniem! Jeśli jednak Vikteren nakłonił jakiegoś gryfa do udawania więźnia, co jeszcze mógł...

Dochodzący z nieba świst był jedynym ostrzeżeniem. Dwa szerokoskrzydłe gryfy - z Czwartego Zachodniego Dywizjonu, jak wywnioskowała z oznak na lotkach - nadlatywały ku niej i góry. Ciągnęły za sobą białe wstęgi przywiązane do tylnych nóg. *Udają makaary!*

A więc to tak!

Bursztynowy Żuraw zacisnął dłoń na ramieniu Skana i poczuł, jak mięśnie gryfa napinają się pod jego palcami. Dwa “makaary” spadały z góry na Zhaneel, a on nie potrafił wymyślić sposobu, w jaki mogłaby im umknąć.

On nie potrafił, ale ona najwyraźniej tak!

Zrobiła unik i salto, tak że “makaary” minęły ją prawie o długość szpona. Kiedy spadały obok niej, wzniosła się w powietrze i dzięki szczęściu lub niesamowitej koordynacji, trafiła w jedną ze wstążek i zerwała ją.

“Martwy makaar” łagodnie zaklął i zaśmiał się, a potem grzecznie usunął z pola walki. Dzięki temu Zhaneel mogła wystrzelić w niebo, zyskując na wysokości i prędkości i zamierzała zawrócić, aby znowu zaatakować. Drugi szerokoskrzydły gryf usiłował ją gonić, ale był zbyt

ciężki. Gdyby jej zadaniem było tylko wygrać tę gonitwę, już okrzyknęliby ją zwycięzcą.

Jednak musiała dokonać czegoś znacznie trudniejszego - "uwolnić uwięzionego gryfa" i przeprowadzić go cało z powrotem przez tor. Owym gryfem był Aubri, stary przyjaciel z namiotu Skana. Nadal był na liście "rekonwalescentów" i nie mógł latać. Pełna imitacja rzeczywistości! Każdy gryf w niewoli Ma'ara odniósłby rany, być może nawet poważne, a jego szybkość i ruchy byłyby mocno ograniczone.

Aubri zgłosił się na ochotnika do tej sromotnej roli, częściowo z nudy, częściowo chcąc pomóc Zhaneel, a częściowo dlatego, że drażnienie dowódcy sprawiało mu szczególną przyjemność. A sukcesy Zhaneel w tym szczególnym szkoleniu musiały bardzo irytować przełożonego, który nie dopuszczał do siebie myśli, że gryf może mieć swój rozum. Ten zaś, kto miał swoje pomysły, znajdował się w kłopotach.

Zhaneel zatoczyła koło i zaczęła nurkować. "Makaar", który bezskutecznie próbował ją dogonić, nagle zdał sobie sprawę, że choć mógłby jej dorównać w walce wręcz, nigdy jej nie sprosta w sztuce uników.

A ona nie zamierzała pozwolić mu się zbliżyć.

Zawrócił, kierując się do miejsca, gdzie - jak przypuszczał Bursztynowy Żuraw - ukrywał się młody mag. Czy Zhaneel także to zauważyła?

A może jest tak pochłonięta "bezpośrednim" wrogiem, że zapomniała, iż mogą być jeszcze inni na tym torze?

Podobnie jak sokół rzucający się na łup, ciasno zwinęła skrzydła i podwinęła nogi. Nie tak jak szerokoskrzydłe gryfy udające makaary, które trzymały szpony wyciągnięte przed sobą, gotowe złapać i rozszarpać ofiarę. Kiedyś nauczono ją, jak uderzać w locie na łup i ten sposób walki stał się jej drugą naturą. Czyżby tak bardzo ogarnęła ją euforia walki, że widziała tylko swego najbliższego przeciwnika?

Skan wstrzymał oddech, gdy Zhaneel spadała z nieba. Był pewien, że zapomniała o czeladniku, ale on z pewnością nie stracił jej z oczu - a najlepszą kryjówką dla niego było miejsce w pobliżu unieruchomionego "więźnia". Być może ona dopadnie swoją ofiarę, ale Vikteren z pewnością dopadnie ją...

Jednak podczas gdy gryf szaleńczo machał skrzydłami, usiłując przed nią uciec, ona po prostu przemknęła obok niego, zupełnie go ignorując!

Zatrzymała się nad niewinnie wyglądającą kępą zarośli, wymierzyła w słabe wybrzuszenie i natarła skrzydłami i pięściami. Zza maskującego krzewu wychylił się Vikteren, śmiejąc się serdecznie.

- Dobrze! Dobrze! - wołał, wycierając piasek z oczu. - Święta Kreesh-to, już mnie złapałaś! Zostaw mnie, dobrze?

- Zginałeś dwa razy, magu! - krzyknęła, unosząc się znowu w niebo.

Rozejrzała się wokoło w poszukiwaniu drugiego "makaara", ale szerokoskrzydły gryf, idąc za przykładem większości makaarów, nie chciał się mierzyć z gryfem i opuścił scenę, ratując wstęgę i "życie". Oczywiście w przeciwieństwie do prawdziwego makaara, nie zostanie ukarany za dezercję.

Skan wymamrotał pochwałę, gdy Zhaneel wylądowała możliwie najbliżej unieruchomionego "więźnia", czyli nieomal na jego głowie. Wokół niego najprawdopodobniej było pełno pułapek, których uniknęła, stojąc tak blisko więźnia, jak człowiek, który go wiązał. Szerokoskrzydłe gryfy nie potrafiłyby tego. Nie mogłyby też użyć przednich szponów tak jak ona: specjalnymi nożycami przecięła drucianą siatkę, a potem ciężkim nożem, którego już raz tak skutecznie użyła, liny wiążące Aubriego.

Pięknie, pięknie, mała gryfiko! - chwalił ją Skan. - *A teraz, jak ochronisz plecy rannego gryfa? To będzie prawdziwy test.*

Zhaneel przyjrzała się Aubriemu.

- Czy możesz latać? - spytała niecierpliwie.

- Nie. Nie mogę się poruszać szybciej niż koń z połamanymi nogami. Poza tym moje rany są prawdziwe, wiesz?

Zhaneel zaklęła i rozejrzała się wokoło za czymś, co mogłaby wykorzystać. O kilka długości skrzydeł od niej rosły konary drzewa, a ona miała kawałki liny, którą właśnie przecięła, i drucianą siatkę. Schwyciła kawałki liny nadające się do użytku, zwinęła je i zarzuciła sobie na szyję.

- Dwa pytania - powiedziała. - Jak daleko możesz skoczyć i czy możesz mocno trzymać tyczkę?

Aubri zmrużył oczy, najwyraźniej próbując odgadnąć, co ten dziwny ratownik ma na myśli. Jednak nie pozostało mu nic innego, jak się poddać.

- Gdybym bardzo musiał, może skoczyłbym... na dwie swoje długości. Ale nie będzie to szczególnie przyjemne. A tyczkę potrafię trzymać mocno. Nadal czuję się wystarczająco silny, aby połknąć makaara.

- Dobrze. Zostań tutaj.

Rzuciła mu coś, co przy odrobinie dobrej woli mógłby uznać za pocieszający uśmiech. Potem napięła mięśnie nóg i skoczyła w powietrze, trzymając linę. W locie odbiła w kierunku pobliskich trzech konarów.

Konwencjonalne pułapki na gryfy zazwyczaj budowano tak, aby raziły z boku poprzez otwarty teren, podobnie jak ta, w którą wpadła przy fałszywym obozie żołnierzy. Pułapki magiczne były często konstruowane tak, aby wykryć nadlatującego nisko ptaka; strzelały wysoko, wybuchały w górze i spadały szerokim łukiem. Po uruchomieniu były w stanie zabić albo okaleczyć w każdym możliwym punkcie. Ponieważ te zbudował Vikteren - mag -. gryfca miała wszelkie powody, by przypuszczać, że zmierzy się z obiema rodzajami pułapek.

Najlepszym sposobem, aby ominąć zasadzki, jest w ogóle się do nich nie zbliżać!

W ciągu paru minut miała to, czego jej było trzeba - długi konar odłamany dziobem i ociosany z gałązek, aby mógł go uchwycić Aubri. W najwęższym miejscu rozwidła się na szerokość dwóch szponów. Zrobiła tam nacięcia, w których zamocowała dwie inne gałęzie.

Teraz trzeba dostarczyć moje gniazdko.

Znów minęło parę minut i kilka kawałków liny zamieniło się w jeden bardzo długi - niezbyt ładny, ale mocny sznur. Zhaneel wykorzystwała cztery troki, aby przywiązać do jednego końca liny liście i niewielkie gałązki, które oskubała chwilę wcześniej z konara. Pochyliła głowę, odmierzając odległość do Aubriego oraz "bezpieczny" pułap, na którym już wcześniej leciała i nie uruchomiła pułapek. Po czym wzbiła się, trzymając mocno luźny koniec sznura w tylnych łapach.

Magiczne pułapki na gryfy uruchamiają się, kiedy w ich zasięgu przeleci coś żywego, ale nie zawsze. Mogą czasami być uruchomione przez cokolwiek - byle tylko wysoko latało!

Zhaneel zatoczyła koło, chcąc się wznieść wyżej - a był to spory wysiłek, ponieważ im wyżej leciała, tym cięższe stawało się jej jarzmo. W końcu poczuła szarpnięcie, gdy tobołek z liści oderwał się od ziemi. Wznosiła się ponad unieruchomionym Aubrim, unosząc linę coraz wyżej, aż uznała, że tobołek jest już na poziomie, który uważała za bezpieczny. Potem swoje zmaganie o wysokość zmieniła w zapierający dech lot nurkowy z dalekiego końca polany w kierunku, gdzie znajdował się przygotowany konar. Odmierzyła, mając nadzieję, że dobrze - i

puściła.

Zawiniątko z liści poszybowało w dół, prosto ku bezradnemu Aubriemu. Za nimi leciała lina, dziko się wijąc, wyprzedzając pęk gałęzi, który wzbudzał większy opór powietrza niż sznur. Podczas gdy Zhaneel wystrzeliła z powrotem w niebo, zielone liście i gałązki uderzyły Aubriego w plecy i skrzydła. Nie było to z pewnością przyjemne, ale łatwiejsze do zniesienia od wszystkiego, co makaary mogły zrobić uwięzionym gryfom. Pośród oburzonych przekleństw ze strony "pojmanego" lina upadła, tworząc węzowe zawijasy przez całą szerokość polany. Tak jak oczekiwała, upadek liny nie uruchomił pułapek.

Następna sztuczka.

Zhaneel wylądowała przy konarze i dysząc ciężko, zbierała myśli. Aubri patrzył na nią oburzony, ale nie wyraził głośno tego, co myśli o swoim "ratowniku". Pomachała mu pocieszająco i przywiązała linę do konara.

Kilka sekund później była znowu na niebie z dwiema żerdziami przyczepionymi do tyłu jej uprząży. Poleciała wypróbowaną drogą i wylądowała obok Aubriego.

- Spodziewam się, że masz istotny powód, by zasypywać mnie liśćmi i patykami - zagrzmiał.

- Przepraszam. Mam pewien plan. Potrzymaj... - wymruczała, odczepiając żerdzie z pleców. - Drapia! O, teraz. Połóż się na boku i zwiń w kłębek. Trzymaj te patyki w górze, jeden przednimi, drugi tylnymi łapami. O tak. - Wskazała na miejsce, gdzie leżała lina. - Bądź cierpliwy. Aubri westchnął.

- Nigdzie mi się nie spieszy. Moje życie jest w twoich rękach.

Zhaneel przyciągnęła drucianą siatkę do Aubriego i wykorzystała kolejne dwa troki, aby przy czepić ją do dwóch żerdzi. Kiedy kładła na siatkę tobołek z liści, w oczach Aubriego pojawił się błysk zrozumienia.

- Tarcza.

- Właśnie. Niezbyt duża, ale może nam pomóc. - Uśmiechnęła się i poklepała go po grzebieniu. - Teraz, pozwól, że wcisnę się pod twój brzuch, gdzie lina biegnie pod siatką.

Aubri zgodził się, zafascynowany. Usadowiwszy się na Aubrim, Zhaneel zaczęła zwijać wolno linę, aż w końcu ciężkie gałęzie przywiązane do drugiego jej końca zaczęły torować sobie drogę ku dwóm gryfom.

- Szukam pułapek ziemnych - wymamrotała Zhaneel. - Gdyby coś się

działo, trzymaj mocno żerdzie! A ja będę chronić twój brzuch.

Wszystko ma sens - on nie może latać, zatem ja także muszę tylko skakać. Jeśli ochronię go przed ciężkimi ranami, uda nam się wrócić do domu piechotą.

Nagle rozległ się przerażający świst, jak gdyby została uwolniona ogromna cięciwa kuszy, i na polanę runął deszcz kamieni. Oba gryfy zacisnęły powieki, podczas gdy grad kamiennych pocisków grzmocił o ich zieloną tarczę, po czym ustał. Wtedy otwarły się dwa ziemne krater, wyrzucając z siebie kije, które spadały niedaleko nich. Kilka minut później Zhaneel sięgnęła bez przeszkód po przyciągnięte ze sobą gałęzie.

Ostatnia sztuczka.

Pracując, jednocześnie cierpliwie wyjaśniała Aubriemu, co robi. Gdy skończyła, pozwoliła sobie na chwilę satysfakcji. Zebrany tłumek pochwalił oklaskami sposób, w jaki uporała się z ziemnymi pułapkami, i czekał oczarowany, zastanawiając się, co jeszcze wymyśli. A Zhaneel kończyła właśnie robić baldachim z siatki drucianej, liści i gałęzi, który zamierzała wznieść na Aubrim.

- Pamiętaj, abyś go mocno trzymał. Rozumiesz?

Aubri pokiwał głową.

- Masz to u mnie, podniebna tancerko.

Nozdrza Zhaneel poczerwieniały i uniosła się prosto w gór szaleńczo nabierając szybkości. Kiedy osiągnęła bezpieczną wysokość, obróciła się na plecy, wyprostowała i złożyła ciasno skrzydła, pędząc szybciej niż strzała z kuszy. Jej cień posuwał się po ziemi, kiedy nurkowała. Czuła, jak wiatr tnie jej ciało, i widziała, jak krajobraz staje się rozmytą plamą, kiedy gnała ponad polaną o długość skrzydła ponad ziemią, lecąc tą samą ścieżką w powietrzu, którą wcześniej po ziemi przemierzyła jej miotła z gałęzi.

Za sobą słyszała wybuchające kule ogniowe i widziała błyski żółtego światła. W chwilę później poświęciła szybkość na rzecz wysokości i wzniosła się w górę, aby zobaczyć deszcz iskier, spadający na całą polaną i tarczę Aubriego.

Prowizoryczna tarcza zdała egzamin, chroniąc gryfa.

Wydając pierwszy w swym życiu okrzyk zwycięstwa, zbliżyła się do "więźnia", aby go oswobodzić.

Zimowa Łania skrzywiła się, gdy widownia zaczęła wznosić okrzyki

radości. Ktoś ją potracił, szturchając w plecy, i wywołując ukłucie bólu w prawej nodze, co dodatkowo pogorszyło jej nastrój.

Garber rozkazał jej, aby tu przyszła. Nie podobał jej się ten rozkaz i nie była pewna, czy się na to godzić. A teraz dodatkowo jeden z gryfów rąbnął ją w plecy i poczuła, że szczerze nienawidzi tych pierzastych stworów. W końcu to przez nich dawny uraz odnowił się.

Bądź sprawiedliwa. To nie była jej wina. Zimowa Łania od dawna cierpiała na bóle pleców, lecz nie zwracała na to uwagi. W końcu, kto tutaj nie miewa bólu głowy czy pleców pod koniec dnia? Jej kontuzja zdarzyła się, gdy nastawiała ciężko zranione i bolące skrzydło mającej gryficy, która wierzgnęła z bólu tylnymi łapami. Zimowa Łania poszybowała w powietrze, a potem z hukiem spadła na plecy. Niczego sobie nie złamała, ale gdy się podnosiła, poczuła kłujący ból w plecach, który z czasem wcale nie mijał, lecz stawał się coraz bardziej dokuczliwy.

Była uzdrowicielem. Wiedziała, że ktoś powinien ją zbadać i że przez jakiś czas powinna poleżeć w łóżku, orientowała się nawet w naturze swej kontuzji. Jednak wtedy wszyscy uzdrowiciele byli zajęci, a ona nie miała czasu. Toteż po prostu nie wspomniała o tym nikomu. Starła się jak najmniej ruszać, mówiąc, że nadwreżyła kręgosłup, i używała tego jako wymówki, aby nie robić czegoś, co pogorszyłoby jej stan. Jednak ból nie mijał, a ulgę czuła tylko w dwóch pozycjach. Niestety, żadnej z nich nie mogła wykorzystać do pracy. Prawdziwy kłopot. Uzdrowiciel powinien umieć sam sobie pomóc. Czyżby to był przejaw niekompetencji?

Ból nie poprawiał jej nastroju, a szturchańce jeszcze go pogarszały.

Cholerny Garber. Miał rację, ale z zupełnie innych powodów.

Już od kilku dni obserwowała Zhaneel, ponieważ tor przeszkód zainteresował ją na długo przedtem, zanim Garber w ogóle zauważył, że coś się dzieje. Do dziś targały nią sprzeczne uczucia.

Z jednej strony podziwiała małą gryficę, najwyraźniej nie nadającą się do walki, która jednak znalazła sposób, aby sobie poradzić. Zhaneel ćwiczyła, pokonując swe ograniczenia i przeszkody. Udogodnienia, które musiała wymyślić, aby nadrobić swoje braki, były niesamowite. Aż trudno było uwierzyć, że to ten sam mały wyrodek, którego Garber uznał za bezwartościowego.

Z drugiej jednak strony te tak zwane “sesje treningowe” całkowicie ją wyczerpywały. Nie otrzymała wyraźnego rozkazu i działała na wpuł le-

galnie. Na to można było przymknąć oko. Nie można było jednak zlekceważyć faktu, że wciągała do tego także inne gryfy, z bardzo wątpliwymi rezultatami.

Zhaneel sama wychodziła z tych sesji z nadciągniętymi mięśniami. Nie przychodziła do Zimowej Łani po pomoc, ale to bez różnicy. Odnosiła obrażenia, ale przecież sama wymyśliła ten tor i ten trening. Zimowa Łania obawiała się, że jeśli jakieś inne gryfy spróbują pokonać przeszkody Zhaneel, mogą odnieść poważne rany.

A jeśli nie, zmęczą się i mogą zawieść na linii frontu. Wojna szalała, a siły zmniejszały się. Chociaż nie rozgłaszano tego, Zimowa Łania wiedziała, że wojska Urtho każdego dnia traciły ziemię, kawałek po kawałku. W powietrzu znalazł się nowy miot makaarów i śmierć zbierała zniwo wśród gryfów. Jeśli gryfy będą traciły swoje siły, forsując się na tym torze przeszkód, może im w przyszłości ich zabraknąć w starciu z makaarami.

Garber dopiero co dowiedział się, że gryfi wyrodek wykonuje rzeczy, których on nie rozkazał, nie tyle może szydząc z jego autorytetu, ile go umniejszając. Żadnemu gryfowi w Szóstym Dywizjonie nie wolno było samodzielnie myśleć; już sam pomysł toru przeszkód był niedorzeczny. Zabolalo go jednak dopiero upokorzenie, jakiego doznał od lady Cinnabar, która wygłosiła mu wykład - przy Urtho - dotyczący zabrania hertasi rannym gryfom. Zimowa Łania nie była przy tym obecna, ale znaleźli się tacy, którzy podsłuchali, jak lady dawała mu nauczkę. Podobno nie wyrażała się pochlebnie o inteligencji Garbera i jego zdolności do podejmowania ważnych decyzji. Potem przyszły wieści o Zhaneel, tworzącej własny program treningowy i zachęcającej innych, aby się do niej przyłączyli, całkowicie pomijając Garbera. Na to nie mógł pozwolić. Wysłał zatem trondi'irn gryfów - najniższego rangą oficera w dywizjonie, to znaczy Zimową Łanię - by obrugala Zhaneel. To, że treningi Zhaneel zdawały egzamin, Garber wzgardliwie pomiął.

Zimowa Łania przedzierała się przez tłum, co z każdą chwilą było trudniejsze. Nie lubiła konfrontacji, zwłaszcza w obliczu widowni.

Dostała jednak wyraźny rozkaz. Miała też gotową przemowę, dostarczoną jej przez adiutanta Garbera, wyuczoną na pamięć. Przypuszczalnie dowódca nie ufał, że wygłosi właściwą naganę... albo nie wierzył w jej inteligencję, tak jak nie wierzył w inteligencję gryfów.

Wreszcie znalazła się na wolnej przestrzeni, twarzą w twarz z małą gryficą.

Zhaneel zamrugnęła zdziwiona i cofnęła się o krok czy dwa.

- Zimowa Łania - powiedziała bez namysłu. - Co ty tutaj robisz?

Tylko tego potrzeba było Zimowej Łani.

- Lepiej trzeba by zapytać, co ty tutaj robisz, gryfie - rzekła zimno. - Znajdujesz się tu bez rozkazu, używasz wyposażenia, do którego nie masz prawa, i wciągasz do tego personel i inne gryfy, aby nie tylko tobie pomagały, ale i cię naśladowały w twoich nierozumnych planach. Twój dowódca jest wyraźnie niezadowolony. Co masz do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie?

Spodziewała się, że Zhaneel zachowa się tak jak zwykle, się trochę, wyjąka przeprosiny i ucieknie do swojego gniazda, zapominając o swoim śmiesznym "programie szkoleniowym". Przygotowała wspaniałomyślne przyjęcie tych przeprosin, będąc w połowie swojej przemowy. Parę słów, które uczyniłyby z niej coś więcej niż tylko tubę Garbera...

- Ja? - odparł wyrodek, strosząc pióra. Zhaneel wyprostowała się na całą swą wysokość i spojrzała w dół na trondi'irn pełnymi wściekłości.

- Ja? - powtórzyła, podnosząc głos. - Czyżby to była moja wina, że dowódca Szóssstego Dywizjonu nie ma więcej wyobrrażni od żółwia błotnego? Czy to moja wina, że issstnieje tylko jeden progrrrram szkoleniowy dla wszysstkich, bez względu na okoliczności czy na ich zmianę? Czyżbym źle postępowała? Co ja takiego zirrobiłam, że jessstem ossskarrżona?

Jej głos nabrał mocy, a widownia, która zaczęła się rozpraszać, ponownie się skupiła, oczekując zupełnie innego widowiska. Było jasne, że nie poprą Zimowej Łani.

- Nie robię niczego złego! - krzyczała Zhaneel. - Wykonuję to, co powinno być wykonane, tyle że nikt się o to nie zatroszczył! A ty, moja trondi'irn, miałaś obowiązek zauważyć, czego potrzebuję!

Ludzie otoczyli je ciasno, odcinając Zimowej Łani drogę ucieczki. Wbrew sobie - zaczerwieniła się, zakłopotana.

- Nie masz rozkazu ani pozwolenia... - zaczęła.

- Rozkazu? - powtórzyła gryficy z głębokim niedowierzaniem. - Mam teraz czas wolny! Ci, którzy mi pomagają, są po służbie! O jakich rozkazach mówisz, o jakim pozwoleniu? Czy teraz mamy składać specjalne prośby nawet wtedy, gdy chcemy zrobić siusiu?

Ze wszystkich stron rozległy się chichoty, a nawet głośny śmiech. Zimowa Łania dostrzegła wściekle spojrzenia zebranej publiczności. Jej twarz płonęła boleśnie.

- Jesteśmy po służbie - powtórzyła gryfica. - Czyżby Garber miał prawo wydawać nam rozkazy, co mamy robić po służbie?

- Nie ma - przyznała Zimowa Łania z oporem - ale wydał mi rozkaz...

Zanim zdołała cokolwiek dodać, ogromny, czarnopióry gryf bez widocznych oznak regimentu przepchnął się przez tłum i stanął przed nią. Z każdego cala jego ciała bił gniew.

- Zatem dlaczego - zagrzemiał słynny Skandranon, Czarny Gryf - nie powiesz temu aroganckiemu nieopierzonemu idiocie, że jego rozkazy to kupa cuchnącego łajna? Jesteś trondi'irn - to twoje prawo i obowiązek wobec twoich gryfów.

Zimowa Łania spojrzała na niego zdumiona. Nigdy przedtem nie słyszała, jak Czarny Gryf mówi. Kiedy mieszkał w jednym namiocie z Aubrim, wypowiedział w jej obecności zaledwie jedno czy dwa słowa. Zazwyczaj spał albo ją ignorował. Nie miała pojęcia, że jest taki wymowny i potrafi mówić bez gryfiego akcentu. Słyszając czysty, wyraźny głos dobywający się z dzioba, tak się zdziwiła, że zwróciła się do niego, jakby był człowiekiem.

- Nie mogę tego zrobić! - wykrzyknęła bez zastanowienia. - Jest moim przełożonym!

Czarny Gryf wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie? Nie widzę powodu, dla którego nie możesz powiedzieć mu, że jest beznadziejnie tępy - odparł. - Sam mówię to dość często swoim przełożonym, kiedy zachowują się jak idioci. Przeważnie mówię im, że nie potrafią odróżnić swojego grzebienia od ogona. To dotyczy także Urtho.

Urtho? Ten... ten stwór, ta kreatura, rozmawia z Urtho? Była osłupiała, przerażona i rozpaczliwie brakło jej słów. Zdobyła się tylko na to, by wyjąkać:

- A... ale tak się nie r... robi!

Zabrzmiało to jeszcze głupiej.

Skandranon tylko parsknął z pogardą, a wokół wybuchnął równie pogardliwy śmiech.

- Być może ty tak nie robisz, to prawda - odparł Czarny Gryf. - Problem w tym, że zbyt wielu oficerów myśli, iż książki i szlachetne urodzenie załatwiają wszystko. A zbyt wielu podwładnych wierzy im bez zastanowienia.

Zrobił krok czy dwa w jej kierunku. Spozierał ze swej wysokości, celując w nią dziobem.

- No, dalej, rozśmiesz mnie, postaw do raportu! Garber kazał ci uprzątnąć kupę nawozu, a ty bez namysłu przygnałaś tutaj. Nie zaświtało ci w głowie, co jest prawdziwym powodem, że kazano tobie udzielić nauczki tej młodej damie? Przecież nie chodzi o to, że ona zrobiła coś złego, ale o to, że zrobiła coś, o czym Garber i Shaiknam w ogóle nie pomyśleli. Dla nich była to prawdziwa obraza, bo to, co oni nazywają "zwykłym zwierzęciem", okazało się sprytniejsze od nich, zabrało się do czegoś bez pytania o pokolenie. Bez opowiedzenia się.

Zimowa Łania otworzyła usta, aby coś odpowiedzieć - ale nie potrafiła znaleźć słów. Skandranon miał rację i ona o tym wiedziała, bo sama często myślała podobnie. Nie mogła zmusić się, by bronić Garbera, szczególnie gdy przypomniła sobie protekcyjne, prawie obraźliwe zachowanie adiutanta, gdy wręczał jej ten rozkaz. Stała więc tylko z otwartymi ustami, zawstydzona, z niemądrą miną.

Zhaneel uratowała resztę jej godności.

- Trondi'irn - powiedziała szorstko. - Chcę z tobą zamienić parę sssłów. Na ossoobności. Od razu.

Zimowa Łania skorzystała z tej furtki, choć nie była tym zachwycona, i skinęła głową.

W końcu nie pozostało jej nic innego, jak tylko się zgodzić.

Akceptacja każdego rozkazu weszła jej w krew.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bursztynowemu Żurawiowi udało się zaciągnąć Skana tam, gdzie nie mógł usłyszeć go nikt z obozu, gdyby wybuchnął gniewem. Zaprowadził go daleko, na sam środek toru przeszkód, w niewielki osłonięty obszar z jednym czy dwoma drzewami rzucającymi cień i kamieniami, na których można było usiąść. Miał szczęście, że tor przeszkód Zhaneel był wystarczająco duży, żeby ich nie usłyszano, nawet jeśli Skan zacznie wrzeszczeć. Wielkie gryfy mają wielkie płuca.

Teraz, gdy "przedstawienie" się skończyło i wszystkie pułapki powybuchwały, tor był stosunkowo bezpieczny. A poza tym ci, którzy mogli podsłuchać Skana, i tak byli przyjaźnie do niego nastawieni. Od dziś nie mieli wrogów wśród widzów.

Pierwszy wyczyn Zhaneel został zupełnie zaćmiony przez drugi, gdy wystąpiła w obronie swych praw, odważnie sprzeciwiając się tej urzędniczce Zimowej Łani. Nikt się tego nie spodziewał, gdyż Zhaneel zawsze była bardzo nieśmiała.

Widocznie tamta posunęła się za daleko. Nic dziwnego. Ta kobieta nawet mnie wytrąciłaby z równowagi.

Nawet trener Szóstego Dywizjonu zraził się do trondi'irn gryfów. A jeszcze bardziej do Garbera. Gdyby wszyscy niezadowoleni złożyli na Garbera protesty do Urtho, to - nie licząc Shaiknama - zostałby on uznany za najbardziej nie lubianego dowódcę. Nawet ludzie byli przerażeni jego najnowszym wyczynem. Jak może oficer dowodzący określać, co wolno, a czego nie wolno robić po służbie?

No cóż, Zimowa Łania była przynajmniej na tyle rozsądna, że czuła się zażenowana rozkazami, które miała przekazać. Tyle można powiedzieć na jej obronę, jednak nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia. Trondi'irn powinien mieć dość hartu, aby właściwie spełniać swoje obowiązki, a nie robić z siebie durnia za każdym razem, gdy dowódca wyda jakieś głupie rozkazy. Czyż to nie o niej mówił mi Gesten, że wydała polecenie odesłania hertasi do innych zadań? Czy ona potrafi tylko powtarzać jak papuga wszystko, co jej każe Garber?

Bursztynowy Żuraw usiadł na rozgrzanym od słońca kamieniu i pozwolił, aby Skan dał upust swojej wściekłości. Gryf był zirytowany postępowaniem tej kobiety, a jeszcze bardziej rozjuszył go jej dowódca. Gdyby powstrzymał Skana, ten zakopałby topór, aby wyciągnąć z ukrycia sztylet. Lepiej dla niego, aby dał upust swemu gniewowi w

obecności przyjaciela, niż demonstrował go przed całym obozem, i wpadł przez to w jakieś tarapaty. Nie pierwszy raz swoim dziobem wykopałby dołek wystarczająco wielki, aby samemu w niego wpaść.

- Właśnie tak myślałem! - pinił się Skan. Kroczył miarowo tam i z powrotem, niecierpliwie rozkładając skrzydła. Przy każdym kroku jego szpony orały ziemię, zostawiając długie zagłębienia w piaszczystej glebie. - Właśnie o tym usiłowałem ci powiedzieć! Teraz zobaczyłeś to na własne oczy - całą tę śmierdzącą sprawę! Dowodzą nami ludzie, którzy nas nie znają i w ogóle ich nie obchodzimy! Wystawiamy się na niebezpieczeństwo, usiłując bronić ich życia, a ci bezmyślnie nas narażają! Kompletni idioci, nie potrafią odróżnić hełmów od swoich jaj, a usiłują mówić nam, co mamy robić! A teraz jeszcze chcą nam rozkazywać, co mamy robić po służbie. Zakute pały, twierdzą, że takie jest ich prawo i przywilej!

I tak dalej, a każde słowo przesycone było czystą nienawiścią. Bursztynowy Żuraw siedział na swoim kamieniu, kiwał głową, patrzył ze współczuciem i co jakiś czas uspokajająco pomrukiwał. W tej chwili, choć tego pragnął, nie mógł niczego więcej zrobić, słuchał więc, co Skan miał do powiedzenia. Sam był zbyt rozgniewany, aby poprawiać Skanowi nastrój. Gdyby starał się go uspokoić jakimiś logicznymi wywodami, do gniewu Skana dołożyłby jedynie własny. Poza tym Skan nie chciał, by go uspokajano. On szukał celu.

Problem polegał na tym, że Skan pod wieloma względami miał rację. Bursztynowy Żuraw sam wielokrotnie był świadkiem tego, o czym mówił jego przyjaciel. Gryfy jednak nie miały żadnego wyboru. Bez względu na to, jak było im ciężko, nie mogły tak po prostu spakować się i opuścić swego twórcy. W pewien sposób były na niego skazane, gdyż tylko Urtho znalazł sekret ich płodności. Bez niego nie potrafiłyby się rozmnażać. Gdyby zatem odeszły, stałyby się ostatnimi ze swego gatunku.

Skan wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek, bo za każdym razem, kiedy wracał z misji, cały lub ranny, ktoś pytał go, kiedy ma zamiar wziąć sobie towarzyszkę i spłodzić młode. To pytanie niezmiennie go irytowało i nigdy o nim nie zapominał, choć je zbywał. Mimo to nigdy otwarcie nie poskarżył się Urtho.

Dlaczego? Nie wiem. Być może, pomimo przechwałek o rozmawianiu z Urtho jak z równym, boi się maga. Być może liczy, że Urtho sam się domyśli, jaka niesprawiedliwość spotkała gryfa... Takie myśli kłębiły

się w głowie Bursztynowego Żurawia. Pragnął on znaleźć jakieś racje, które mogłyby uspokoić jego przyjaciela. W tej chwili jednak Skan był uosobieniem zemsty - postawił grzebień, nastroszył pióra na karku, rozłożył skrzydła, szponami rozdzierał cienką darń na strzępy. Bursztynowy Żuraw we wszystkim zgadzał się z Czarnym Gryfem. Jak mógł uspokajać Skana, skoro sam pragnął - za Skana i Zhaneel - rozerwać Garbera i Shaiknama na najdrobniejsze kawałki?

I nie tylko za Skana i Zhaneel. Niedługo sketi mogą spróbować tego na innych grupach. A może wcześniej zechcą rządzić wyjątkowymi usługami jednego lub kilku uzdrowicieli, albo i kestra'chern ? Jeśli raz złamali zasady, ile razy jeszcze je złamią ? A wtedy, gdy już narzucą swoje, czy zostanie ktoś, kto będzie mógł się im sprzeciwić?

Pomyślał, że obecny stan Skana "oczyścił" pole. Nikt nie chciał zbliżyć się do rozwścieczonego gryfa, a szczególnie gdy tym gryfem był Skan. Właściwie nigdy nikomu nie zrobił krzywdy, ale kiedy był aż tak zły, lubił udawać, że jest tego bliski. Słuchając Skana już ćwierć miarki świecy, Bursztynowy Żuraw spostrzegł, jak ktoś pędzi przez nierówny teren w ich kierunku. Tylko jeden czeladnik miał włosy jak marchewka - Vikteren.

Zmierza prosto ku nam. Dobrzy bogowie, co się stało? Kolejna katastrofa ?

- Bogowie! - krzyczał młody mag, gdy Skan przerwał, aby nabrać oddechu. - Obdarłbym ze skóry tego durnego, tępego idiotę, gdybym tylko wiedział, jak to zrobić, żeby najbardziej bolało!

- Garbera? - spytał słodko Bursztynowy Żuraw.

- Bogowie! I Shaiknama! - powiedział gorzko Vikteren. Gdy przestał krzyzczeć, podniósł leżącą gałązkę i zaczął ją metodycznie łamać na coraz mniejsze części. - Sądziłem, że cała ta sprawa z biedną Zhaneel jest już wystarczająco okropna, ale to, co się stało teraz...

Zmagał się z napięciem i emocjami. Najwyraźniej jego wściekłość była tak wielka, że aż go dławiała, i nawet Skan, obserwując go, opuścił swój grzebień i przechylił głowę na jedną stronę. Młodzieniec należał do najbardziej opanowanych magów w korpusie. Potrafił w każdych okolicznościach zachować zimną krew. To, co wytraciło go z równowagi, musiało być naprawdę straszne.

- Co się stało? - zapytał nerwowo Bursztynowy Żuraw, promieniując na maga spokojem, czego nie zrobił wcześniej ze Skanem. Nie za wiele, ale wystarczyło to, by powstrzymać młodzieńca przed kolejnym wy-

buchem.

Vikteren zamknął oczy i wziął kilka głębokich oddechów. Jego rumieniec zbladł, i chłopak nie wyglądał już na kogoś na skraju apopleksji.

- Słyszałem, co przed chwilą mówił Skan i muszę wam powiedzieć, że Shaiknam w taki sam sposób traktuje oddziały składające się z ludzi. Zdziesiątkował wszystkie. Właśnie rozmawiałem z magami z Szóstego Dywizjonu. Dziś rano straciliśmy prawie wszystkich z Szóstego Karmazynowego, także i maga, ponieważ Shaiknam poprowadził ich wprost do zasadzki, choć od swoich zwiadowców dobrze wiedział, że to pułapka. Ividian krył ich odwrót; zginął przy tym i ich ocalił. Ividian zginął! A Shaiknam zbeształ całą kompanię za "nielegalne manewry"! Ividian był moim przyjacielem, ale to nie wszystko - Shaiknam zabił dziś jeszcze trzech innych magów. W dodatku ma czelność gadać, że to był wypadek.

Bursztynowy Żuraw syknął z oburzenia, jego żołądek zmienił się w kamień, a skóra nagle stała się zimna. Strata kogokolwiek z Szóstego Karmazynowego była rzeczą straszną - a strata maga była katastrofą. I wszystko przez głupotę zadufanego w sobie Shaiknama.

Jednak Vikteren zarzucał mu coś więcej niż zwykłą głupotę. To, co powiedział, wskazywało, że Shaiknam zamordował pozostałych trzech magów.

- Jaki wypadek - spytał ostrożnie - miał namyśli Shaiknam? Twarz Vikterena znowu zapłonęła purpurą.

- Zmusił ich - rozkał - aby wyczerpali swą moc, tak że w końcu stracili przytomność. A potem zostawił ich tam, gdzie upadli. Nie udzielił im żadnej pomocy, nawet nie przykrył kocem. Zmarli z szoku po utracie mocy. Mówił potem, że tyle wokoło się działo i po prostu o nich zapomniał. Jednak dowiedziałem się od kogoś, że było inaczej; on rozkazał ich tam zostawić. Stwierdził, że skoro są tak silnymi i wszechmocnymi magami, to sami mogą sobie poradzić. Nazwał ich słabeuszami. Powiedział, że przyda im się nauczka.

Bursztynowy Żuraw i Skan jednocześnie zagrzmili z oburzenia. Wyglądało to bardziej na morderstwo niż na zaniedbanie. Mag, który traci przytomność z przepracowania, powinien być natychmiast poddany uzdrawianiu, inaczej umiera. Każdy dowódca o tym wie. Nawet Shaiknam.

Nie miał żadnej wymówki. Żadnej.

- Shaiknam to małoduszny głupiec. Problem polega na tym, że jego głupie rozkazy pociągają za sobą straszne skutki - kończył Vikteren, a jego szkarłatny rumieniec gniewu z wolna bladł. - Nie ma w nim odrobiny współczucia, nic się dla niego nie liczy oprócz niego samego i władzy. Wykorzystał tych trzech, aby pokryć straty, jakie odniósł przy odwrocie. Nie chciał wypaść aż tak źle, więc wydał rozkaz ataku. W dodatku walczyli tam przeciwko zwykłym oddziałom i nie było potrzeby używać magicznej broni!

Vikteren nabrał znowu powietrza i wyrzucił połamane gałązki, które przez cały czas trzymał w dłoni.

- Przyszedłem, aby wam zakomunikować, że dziś wieczorem odbędzie się zebranie wszystkich magów. Mamy zamiar powiedzieć Urtho, że żaden z nas nie chce służyć pod dowództwem Shaiknama ani pod żadnym innym nieodpowiedzialnym idiotą. Jesteśmy zmęczeni traktowaniem nas niczym kusze czy katapulty. Zamierzam poruszyć kilka spraw na tym zebraniu, a zanim to zrobię, chciałbym, żebyście zbadali, czy inni poprą mój głos!

- Ale ty nie masz głosu - rzekł Bursztynowy Żuraw. - Jesteś tylko uczniem... no, czeladnikiem...

Vikteren parsknął.

- Ha! Nie jestem czeladnikiem, jestem już pełnym mistrzem magii, ale mój nauczyciel nigdy mnie nie awansował. Sprawdził, kto byłby moim dowódcą, i zaniżył mój status, abym nadal pracował tutaj. Gdybym został wysłany na linię frontu, mógłbym zginać przez tego głupca. Jego decyzja uratowała mi dziś życie, przynajmniej ja tak to odbieram. Mógłbym zostać mistrzem, ale musiałbym się liczyć z tym, że zginę. Każdy mag w obozie wie o tym.

Bursztynowy Żuraw zerknął na Skana, który lekko skinął głową. Jeden mistrz zawsze potrafił wskazać drugiego. No cóż, było to z pewnością interesujące, ale nie bardzo wiązało się ze sprawą gryfów.

Vikteren jednak jeszcze nie skończył.

- Do diabła! Bursztynowy Żurawiu! Nie jesteśmy makaarami, nie jesteśmy niewolnikami i nie można nas zastąpić, pstrykając palcami! Mamy zamiar żądać autonomii i określenia, jak ma się ona rozwijać. Przyszedłem, aby wam powiedzieć, że wszyscy magowie, z którymi rozmawiałem, uważają, że wy, gryfy, powinniście postąpić podobnie! Być może, gdy obie partie uderzą na Urtho jednocześnie, będzie zmuszony potraktować nas poważnie!

Czub Skana znowu się uniósł, a jego szpony darły poszycie.

- Nie mam zamiaru uderzać na Urtho! On jest moim przyjacielem. Przecież równie dobrze moglibyśmy być cuchnącymi makaarami - zagrział. - Jedyne Urtho potrafi spowodować, by nasze pary były płodne. Trzyma nas w szachu. - Zamilkł na chwilę. - Chociaż mi na nim zależy, mógłbym go za to znienawidzić - dodał z sykiem.

Vikteren wzdrygnął się.

- O czym ty mówisz? - spytał, najwyraźniej zaskoczony. - Nigdy wcześniej o tym nie słyszałem...

- Pozwól - powiedział pośpiesznie Bursztynowy Żuraw, zanim Skan zdążył się nastroszyć. - Vikterenie, to dlatego że gryfy są sztucznymi tworam. Tylko Urtho zna tajemnicę ich płodności. Jedyne gryfom, które przeżyły określoną liczbę misji, pozwala spłodzić potomstwo. Co innego wywołuje płodność samic, a co innego samców; z obojgiem należy zrobić coś szczególnego, żeby ich parzenie przyniosło w efekcie potomstwo. Poza tym muszą dokonać w powietrzu lotu godowego. Tylko wtedy, gdy te trzy rzeczy mają miejsce, mamy do czynienia z płodnym parzeniem się.

- Możemy kopulować, ile chcemy - dodał beznamietnie Skan - ale bez tej wiedzy albo bez tego składnika, który Urtho zatrzymał dla siebie, mamy tylko przyjemność. - Pokręcił swoją ogromną głową. - To nie tylko niewolnictwo, ale coś gorszego, to jest niebezpieczne. Nigdy więcej niż dziesięcioro spośród nas nie jest płodnych naraz. Wystarczy jeden czar Ma'ara - albo śmierć Urtho - a nasza rasa wyginie! Nie można mieć zdolnej do rozmnażania populacji, gdy tylko dziesięcioro spośród dorosłych jest płodnych! Nawet hodowcy psów o tym wiedzą...

- Ale dlaczego? - spytał oszołomiony Vikteren. - Dlaczego Urtho ukrywa to przed wami?

Skan westchnął gwałtownie.

- Nie mam pojęcia. Żadnego. Nie trzeba nas kontrolować. Czy wiesz, jak bardzo go czcimy? Służymy mu wiernie jak kyree. Troszczymy się o niego, ponieważ on ma rację i ponieważ szanujemy go, a nie dlatego, że on sprawuje kontrolę nad naszym przeznaczeniem. Prawdopodobnie służylibyśmy mu lepiej, gdyby nas w ten sposób nie kontrolował. Cholera! Jeśli nie chce nam tego dać, może powinniśmy mu to ukraść?

- A więc ukradnijcie czar, czy cokolwiek to jest - powiedział wolno Vikteren. - To nie jest zły pomysł.

Bursztynowy Żuraw patrzył na niego, nie wierząc, że mag powiedział coś tak śmiałego, chociaż słowa te wyszły właśnie z jego ust.

- I co będzie tym osiągnęli? - spytał Bursztynowy Żuraw. - Jeśli potrzeba wam maga, aby się udało...

Skan zamknął na chwilę oczy, jak gdyby słowa Vikterena wywołały w nim gonitwę myśli.

- Połowa gryfów jest magami na poziomie uczniów lub wyższym - zagrział. - Jesteśmy magiczni z natury. Nie potrzeba nam maga, który by z nami współpracował. Na przykład ja jestem pełnym mistrzem.

- Nawet jeśli zabraknie wśród was magów, znajdziecie wielu ochotników wśród ludzi - nalegał Vikteren. - Zrób to, Skan! Masz do tego prawo! Jeśli on nie daje wam go z własnej woli, ukradnij cholerny czar! A skoro jesteś mistrzem, możesz zmienić zaklęcie! Nie pozwól, aby wami manipulowano!

Bursztynowy Żuraw ku swemu zdziwieniu stwierdził, że się zgadza.

Pomyśl o rodzinach rozłączonych przez Ma 'ara. Przecież nie Zastużyły na taki straszny los. A te gryfy, które znasz i kochasz nie mogą mieć w ogóle rodzin, dopóki nie zezwoli im na to ich pan.

- Wybierz wolność, Skan - wyszeptał Bursztynowy Żuraw. - Ukradnij ten czar i naucz go każdego, do kogo masz zaufanie.

Skandranon złożył skrzydła, a potem wyprostował się na całą swą wysokość.

Nagły powiew powietrza wywołany skrzydłami Czarnego Gryfa zarzucił Vikterenowi włosy na twarz i wzniecił kurz, który na chwilę oślepił Bursztynowego Żurawia.

- Jednak ukraść czar Urtho... - Oczy Vikterena zapłonęły szalonym blaskiem. - Wiecie, że to jest prawie niemożliwe? Nie chodzi o samo zaklęcie, to całkiem proste: czary płodności zawsze są proste. Nie, chodzi o wykradnięcie czaru. Trzeba dostać się do Wieży Urtho, przejść przez wszystkie ochrony...

W wyrazie twarzy Vikterena uzewnętrzniło się wyzwanie i niemożliwość.

- Potrafię tego dokonać - odparł Skan, strosząc arogancko pióra.

Bursztynowy Żuraw jednak pokręcił głową.

- Bądź realista, Skan. Kiedy odwiedzałeś Urtho, zawsze przylatywałeś prosto na jego balkon. Nie masz pojęcia, jakie zabezpieczenia są w Wieży. Wiele z nich jest skonstruowanych tylko dla ludzkich rąk, nie będziesz w stanie ich pokonać. Chyba że z nami.

- Z wami? - zapytał Skan, patrząc na obu mężczyzn. Vikteren pokiwał radośnie głową, przytakując Bursztynowemu Żurawiowi.

- Właśnie - powiedział kestra'chern z wielkim zadowoleniem, czując, jakby rozpierała go siła tysiąca gryfów. - Z nami.

W końcu to "z nami" oznaczało również Cinnabar i Tamsina. Po krótkiej dyskusji sposób ominięcia specjalnych zabezpieczeń okazał się absurdalnie prosty.

Cinnabar wymyśliła treść wiadomości, która miała być wysłana do Urtho tuż przed jego spotkaniem z przedstawicielami magów. Donosiła w niej, że są jakieś problemy, które ujawniły się jej i Tamsinowi w związku z badaniami prowadzonymi nad anatomią gryfów - nie było to nawet kłamstwo - i że muszą przejrzeć zapisy na temat ich rozwoju, aby mogli określić, czego Urtho użył jako "modelu".

Nie określiła, czego dotyczą te kłopoty, tylko że potrzebuje pewnej "pomocy".

- Urtho przechowuje zapisy na temat wszystkiego, co kiedykolwiek skonstruował - powiedziała, kiedy czekali w jej namiocie na odpowiedź. Siedziała spokojnie i cicho, jak gdyby przyjmowała gości na towarzyskiej pogawędce, a nie przygotowywała się do dokonania poważnej kradzieży. Trzymała ręce złożone na podołku i opierała się o ramię Tamsina, tajemniczo się uśmiechając, jej jasnozielone szaty były tak gładkie i nieporuszone jak malowana porcelana. Przy swoim kochanku wyglądała jak kosztowna lalka oparta o szmaciankę dziecka wieśniaków.

- Wiem, że ma obszerne zapisy na temat tego, jak skonstruował waszą rasę i na jakich modelach się opierał. Wymieniłam "problemy wewnętrzne", które mogą dotyczyć wszystkiego w jamie brzusznej. Jest to poważna sprawa i można łatwo wszystko popsuć, jeśli się na tym ktoś nie zna. Aby dobrze radzić sobie z gryfami, nie wystarczy być uzdrowicielem znającym się na ptakach drapieżnych, chociaż w taki właśnie sposób zostałam uzdrowicielem twojego ludu, Skan. Wasza budowa nie jest w całości ani nawet w przeważającej mierze taka sama, jak u ptaków drapieżnych. Liczę na to, że Urtho będzie zajęty spotkaniem z magami i udostępni bibliotekę w Wieży, zamiast tracić czas na wyjaśnianie nam wszystkiego osobiście.

- Szkoda zatem - zauważył trzeźwo Skan - że nie będzie z nami Vikterena, ponieważ ma on pewne niezwykle talenty jako mag. Mógłby być

bardzo przydatny. Jednakże z pewnością będzie zajęty przyciąganiem uwagi Urtho na spotkaniu.

Czarny Gryf leżał wzdłuż jednego boku namiotu na kosztownym purpurowo-złotym dywanie Cinnabar, z dala od wszystkich mebli. Dopóki się nie poruszył i nie przemówił, wyglądał jak droga rzeźba, wspaniale pasująca do dywanu, albo raczej jak bardzo droga i wymyślna kanapa.

Bursztynowy Żuraw zachichotał.

- No cóż, w każdym razie będzie z nami duchem - powiedział, klepiąc się po kieszeni, gdzie ukrył magiczny wytrych, który powierzył mu Vikteren. - Także i z tego powodu zebraliśmy się niczym konspiratorzy i siedzimy tu przez całe popołudnie. Gdyby ktoś zobaczył nas razem, może przypuszczać, że bez Vikterena nie ruszymy się z miejsca i nie będzie nas obserwował.

Tamsin zaśmiał się i sięgnął ponad ramieniem Cinnabar po filiżankę gorącej herbaty

- Nasłuchałeś się zbyt wielu opowieści przygodowych, kestra'chern - zakpił. - Kto ma nas obserwować? I dlaczego? Nawet jeśli Urtho nas przyłapie, najgorsze, co nam może zrobić, to zbesztać. Przecież to nie to samo, co próba kradzieży jego Kamienia Mocy czy czegoś podobnego. Nie jesteśmy nawet szczególnie ważnymi osobistościami w obozie.

Skan nastroszył czub.

- Mów za siebie, Tamsinie! - odparł ostro. Tamsin tylko się zaśmiał, a Cinnabar uśmiechnęła się szerzej.

Zanim doszło do słownej potyczki, jedna z hertasi Cinnabar zaskrobała w połę namiotu. Weszła, wręczając lady zapieczętowaną kopertę. Cinnabar otworzyła ją, przeczytała wiadomość i pokiwała z zadowoleniem głową.

- Tak jak myślałam - powiedziała. - Urtho jest tak pochłonięty sprawą magów, że nawet nie zapytał, o co mi w chodzi. Rozkazał, aby wpuszczono nas do Wieży. Mamy stosunkowo wolny dostęp do zapisów o gryfach. Ostrzega mnie tylko, że niektóre rzeczy mają magiczne zabezpieczenia i jeśli będę chciała je zobaczyć, muszę go o to poprosić.

- Czego oczywiście nie zrobimy - powiedział Bursztynowy Żuraw - ponieważ mamy inne sposoby dostania się do nich.

- Widzicie zatem, że nie musimy się czaić ani wkradać przez okna, jak planowaliście - odparła Cinnabar z wymówką w głosie.

- Lady, nie włączaj mnie do tego - zaprotestował Bursztynowy Żuraw.

- To Tamsin, Skan i Vikteren zamierzali włamać się do Wieży! Ja myślałem o czym innym!

- Naprawdę? - wymruczał Tamsin półszepceniem, kiedy wstawali, aby wyjść. - I nigdy nie zabierałaś sznura i innego ekwipunku do związania więźniów? Więc nawet nie zapytam, dlaczego przypadkiem masz to wszystko przy sobie!

Bursztynowy Żuraw uniósł brew i udawał, że nie dosłyszał. Wstał tylko z całą godnością, jaką dawały mu lata praktyki, i skierował się do wyjścia.

Maszerowali równym krokiem ku Wieży, ogromnej, a jednak dziwnie lekkiej budowli z gładko ciosanego kamienia. Przyjaźnie skinęli głowami strażnikowi, który odwzajemnił powitanie. Najwyraźniej się ich spodziewał. Tamsin i Cinnabar nie potrzebowali nawet wymyślać żadnej wymówki dla usprawiedliwienia obecności Skana i Bursztynowego Żurawia. Strażnik nie kłopotał się, by o nich zapytać.

Wieża nie potrzebowała żadnego ogrodzenia; prawdopodobnie niepotrzebny był także ludzki strażnik, ale podobne pozory sprawiały, że śmiertelnicy lepiej się czuli w pobliżu takiego maga jak Urtho. Wejście znajdowało się we wnęce muru. Drzwi otworzyły się przed nimi, gdy tylko strażnik je dotknął. Przeszli, tonąc w ciemnościach, do pustego i oświetlonego holu o mozaikowej posadzce z kamienia. Znajdowało się tam troje drzwi. Cinnabar była już tu przedtem i ona wskazała im drogę.

Ach, błogostawieni niech będą magowie - pomyślał Bursztynowy Żuraw - gdyby nie oni...

Wtedy być może lady Cinnabar znalazłaby inną wymówkę. Była kobietą o niezwykłych możliwościach.

Pomieszczenie, w którym Urtho przechowywał swoje zapisy na temat gryfów, znajdowało się kilka pięter wyżej, ale wszyscy sprawnie pokonali kondygnacje schodów. Okrągła klatka schodowa była wystarczająco szeroka dla Skana i gdyby nie to, że oświetlono ją magicznymi lampami, wyglądałaby całkiem zwyczajnie. Została w całości wykonana z miejscowego kamienia, ułożonego równo i tak ściśle dopasowanego, że połączenia były nie szersze od ostrza noża.

Kiedy dotarli na odpowiednie piętro, delikatnie rzeźbione drzwi same się przed nimi otworzyły. Wszystkie inne wierzeje, które mijali po drodze, pozostawały zamknięte, a klamek nigdzie nie dostrzegli. Weszli do

pomieszczenia składającego się z korytarzyków i zakamarków, od podłogi po sufit wypełnionych książkami.

Wyglądało na to, że dobrze trafili. Bursztynowy Żuraw zastanawiał się, jak Urtho utrzymuje świeże i cyrkulujące powietrze w takim miejscu. Nie było tam nawet śladu kurzu, pleśni czy wilgoci. Gdy Żuraw stanął nieruchomo, wyczuł delikatny Jednostajny strumień powietrza, ale nie potrafił określić, skąd się on brał.

Także to miejsce oświetlały magiczne światła. Mądre rozwiązanie wobec tak wielu łatwopalnych książek wokoło!

Interesujące, że sama Cinnabar powiedziała, iż powinniśmy odkryć sekret bez pytania Urtho o zgodę. Ona zna najlepiej Maga Ciszy. Chciałbym wiedzieć, dlaczego doszła do takiego wniosku. Musi być jakiś powód, dla którego przypuszcza, że nie zgodziłby się zrezygnować z trzymania gryfów w szachu.

Ciekawość Bursztynowego Żurawia jako kestra'chern została rozbudzona. Chodziły mu po głowie różne możliwe motywacje, ale chciał się dowiedzieć, która z nich była najbardziej prawdopodobna.

Podczas gdy Tamsin i Cinnabar przeglądali indeks zapisów, aby znaleźć książki na temat systemu reprodukcyjnego gryfów, on czytał napisy na grzbietach książek w poszukiwaniu jakiegoś tropu.

Nie znalazł niestety żadnego. Wszystkie napisy były absolutnie bezosobowe, większość z nich to daty albo jakieś hasła odnoszące się do treści. “Jaja, drapieżnik, błędny stosunek” - mówił jeden napis. “Zapisy hodowli, więź-ptaki Kaled'a'in”.

Także w tym maczał palce ? Czy tylko wykorzystał studia, które poczynił mój lud?

Obok tego: “Zapisy hodowli, konie Kaled'a'in”.

Bursztynowy Żuraw musiał się zaśmiać. Tylko jedna książka? Zatem Urtho nie miał w ogóle pojęcia na temat tego, co Kaled'a'in wiedzą o swoich tabunach. Chociaż najprawdopodobniej było to tylko bardzo ograniczone studium na temat hodowli koni bojowych.

Tylko to mogło go interesować. Bursztynowy Żuraw mimo to wątpił, aby hodowcy koni Kaled'a'in podzielili się swymi najskrytszymi sekretami nawet z wszechmocnym Magiem Ciszy, ich tytularnym panem. Uzdrowiciele Kaled'a'in i magowie razem pracowali nad bojowymi końmi i więź-ptakami - i chociaż efekty na drapieżnikach mogły być bardziej widoczne, praca nad końmi była bardziej spektakularna, choć może niewidoczna gołym okiem.

Drapieżniki otrzymały nie tylko większą inteligencję i ciekawość, ale i możliwość porozumiewania się z ludźmi oraz zdolność do wiązania się z sobą i z ludźmi, którzy ich stworzyli. Aby wyrównać zwiększoną masę tkanki mózgowej i uczynić je bardziej skutecznymi w walce, były większe od swoich dzikich odpowiedników.

Konie jednak zostały zmienione w bardziej subtelny sposób.

Zwiększono im ciężar właściwy kości, powiększono siłę kopyt, w pewnych przypadkach dodano nowe mięśnie, które nie istnieją u zwykłych koni. Zmieniono system trawienny; konie bojowe mogły się żywić tam, gdzie niewiele innych koni by potrafiło, czerpiąc pożywienie z takich nieprawdopodobnych źródeł jak oset czy martwe lub wyschnięte rośliny, podobnie jak kozły czy dzikie owce. Tak jak u drapieżników, zwiększono im inteligencję, ale jedna rzecz została zmieniona całkowicie.

Konie bojowe nie były już zwierzętami stadnymi. Stały się zwierzętami żyjącymi w sforze. Nie zachowywały się już jak konie, ale raczej jak psy. Właściwie wyszkolone potrafiły zrobić dla jeźdźca prawie wszystko - mógł on liczyć, że wierzchowiec wykona polecenie, nawet gdy jeździec zniknie mu z pola widzenia, wystarczyło tylko powiedzieć: "Pilnuj" albo "Idź do domu".

Niewielu ludzi wiedziało o tym, że znacznie więcej pracy potrzeba było, by zmienić ich zachowanie niż proste cechy fizyczne. Czy Urtho o tym wiedział?

Sięgał po książkę, gdy lady Cinnabar zawołała go. Z żalem cofnął rękę. Kolejna tajemnica pozostanie nie rozwiązana, przynajmniej na razie.

- Znaleźliśmy książkę, której potrzebujemy - powiedział Tamsin, kiedy podszedł do wypełnionego książkami regału. - Bardzo ładnie odnotowana w indeksie, włącznie z tym, że zawiera formułę płodności. Przy okazji, odnosi ją raczej do konkretnego "czaru", toteż Cinnabar i ja przypuszczamy, że tylko do jego niewielkiej części konieczna jest magia.

- Zatem dobre wieści dla gryfów - powiedział z zainteresowaniem Skan, przychodząc z przeciwnego kierunku co Bursztynowy Żuraw.

- Jeśli do tego potrzeba tylko odrobinę magii, większość z nich potrafi zrobić to sama.

- Jednakże obawiamy się, że książka jest magicznie zamknięta - wtrąciła Cinnabar, wskazując na duży, oprawny w skórę wolumin,

bezpiecznie związany rzemykiem i metalowymi spinkami. Nie widać było żadnego zamknięcia, ale na tym polegała specyfika magicznych zamków.

Vikteren i jego wsparcie rozwiązali ten problem.

“Wytrychy” nie były podobne do zwykłych wytrychów; raczej wyglądały jak zbiór różnego rodzaju rzeźbionych koralików.

- Urtho używa tylko około tuzina czarów, aby zamykać zwykłe książki - powiedział Vikteren. - W ogóle istnieje około stu zaklęć tego rodzaju. Oczywiście mógł użyć czegoś zupełnie nowego, ale po co? Większość ludzi nie zna więcej niż dwa lub trzy magiczne zamknięcia, nawet ci na poziomie mistrzów. Prawdopodobieństwo, że użył czegoś niezwykłego dla stosunkowo zwykłej książki, z której miał zamiar później często korzystać, jest niewielkie.

Bursztynowy Żuraw spojrział z zaciekawieniem na sznurek koralików.

- A tutaj, ile jest czarów? - spytał.

- Siedemdziesiąt sześć - odparł z uśmiechem Vikteren. - Mój mistrz oprócz innych umiejętności jest także mistrzem zamków, a ja byłem uważnym uczniem. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie trzeba się do czegoś dostać.

- Albo wydostać - zauważył szyderczo Bursztynowy Żuraw, ale wziął do ręki “wytrychy”.

Teraz trzeba było kolejno przykładać każdy koralik w miejscu, gdzie schodziły się wszystkie wiązania. Vikteren umieścił zaklęcia w kolejności - od najbardziej powszechnych do najrzadszych - i w takiej kolejności właśnie Bursztynowy Żuraw ich używał. Trzeba było tylko cierpliwości.

Udało mu się za dwunastym razem. Gdy przesunął koralik i sięgnął po następny, rzemienie same puściły, zgrabnie składając się obok na stojaku i otwierając książkę.

Cinnabar wydała okrzyk zadowolenia.

- Cały Urtho - powiedziała z uśmiechem. - Tak metodyczny jak zawsze. Wszystko kaligraficznie umieszczone w indeksie niczym w kopii skryby, a oto to, czego nam trzeba. Strona pięćset druga.

Razem z Tamsinem przekartkowali szybko księgę i wkrótce kopiowali potrzebną formułę. Planowali wykonać dwa odpisy, na wypadek gdyby zostali odkryci. Wtedy zwróciliby jedną kopię a drugą zachowali, chyba że Urtho w jakiś sposób dowiedziałby się, że ją mają.

Nagle Skan poruszył głową, coś obudziło jego czujność, nastroszył

czub, który lekko drżał.

- Co się stało? - wyszeptał Bursztynowy Żuraw, bojąc się narobić hałasu. Czyżby nadchodził strażnik?

- Tutaj jest jeszcze jeden gryf - wymruczał Skan, przechylając głowę lekko na bok i do przodu; w jego oczach błyszczało skupienie. - Jest w następnym pokoju, ale coś z nim jest nie tak... coś dziwnego...

Zanim Bursztynowy Żuraw zdołał go powstrzymać, Czarny Gryf wyrwał mu z dłoni sznur z koralikami. Skan odwrócił się i pobiegł korytarzem w kierunku ledwie widocznych drzwi na jego końcu.

Tamsin i Cinnabar byli tak pochłonięci przepisami, że nie zauważyli nagłego wyjścia Skana. Bursztynowy Żuraw musiał więc sam go gonić i wyrwać koraliki z jego szponów, gdy zwinięte w kłębek wpychał w zamek drzwi.

- Co ty wyprawisz? - wysyczał, gdy gryf odwrócił się do niego, rzucając wymowne spojrzenie. - Czy chcesz, aby nas tu odkryto?

- Ja... - pokręcił głową Skan. - Ja po prostu poczułem, że muszę tam iść i pomóc innemu gryfowi, uznałem, że to ważne. Wiem, że muszę się tam szybko dostać.

Bursztynowy Żuraw powstrzymał się od uszczypliwej uwagi.

- A jeśli właśnie o to chodziło? - spytał. - A jeśli to jakiś rodzaj pułapki, a twoje odczucia są przynętą? Obaj wiemy, jakie sztuczki potrafi robić Urtho! Stać go właśnie na coś w tym rodzaju.

- Nie miałyby nam tego za złe, a przynajmniej nie na długo - odparł cicho Skan. - Mógłbym z nim pogadać.

- Do czasu, aż odkryłby, że skradliśmy jego słynną formułę płodności - odrzekł Bursztynowy Żuraw. - Bądź rozsądny! Czy już otworzyłeś te drzwi?

- Chyba słyszałem trzask - powiedział Czarny Gryf z nietypowym dla siebie brakiem zdecydowania. - Ale nie jestem pewien. Mogłem słyszeć, jak korale trzaskają o siebie.

To miało otwierać książki, nie drzwi... Może nic się nie stało.

- Słuchaj, Skan, cokolwiek jest za tymi drzwiami, może poczekać, aż będziesz miał okazję sam porozmawiać z Urtho. Jeśli będzie chciał, odpowie ci. Sama twoja obecność w bibliotece to nic złego i możesz powiedzieć, że wyczuliś innego gryfa. Jeśli zapytasz Urtho, co jest za tymi drzwiami, prawdopodobnie powie ci.

- Tak jak powiedział mi o formule płodności? - odparł z przekąsem gryf. Przeszedł obok Bursztynowego Żurawia jak zwykle nadzwyczaj

bezgłośnie. - O, proszę..

- Zrobione! - uśmiechnął się Tamsin. - Skopiowaliśmy także inne informacje, gdybyśmy po drodze spotkali Urtho i gdyby nas o nie zapytał. Zabierajmy się stąd. Raczej wolałbym nie próbować go nabierać.

- Racja - powiedział Bursztynowy Żuraw. - Dalej, Skan. Możesz później rozwiązywać swoje tajemnice.

Bursztynowy Żuraw schował "wytrychy" głęboko do kieszeni pełnej innych rupieci, jakie zazwyczaj noszą przy sobie kestra'chern: kawałków ozdób, luźnych koralików, ciężkich łańcuchów na szyję, dziwnych odznak. Miał nadzieję, że w tym wszystkim sznur koralików zniknie nie zauważony. Poza tym liczył na to, że Urtho, o ile go spotkają, nie zechce ich magicznie przeszukiwać.

Pędem zbiegł na dół za innymi, sądząc, że Skan za nim podąża. Magiczne światła gasnące w miarę, jak schodził, pozostawiły za nim ciemność i ciszę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Skan jeszcze odrobinę pchnął otwarte drzwi. *Głupi gryfie. Głupi, głupi gryfie. Czyżbyś zamierzał znowu upakować się w tarapaty? Tym razem robisz to na własne żądanie!* Skan odsunął drzwi jeszcze trochę, ostrożnie nasłuchując odgłosów i obserwując poruszające się cienie. Nabrał głęboko powietrza, szukając zapachów innych niż kurz. Ciekawość pożerała go żywcem, ostrożność natomiast nawoływała, by zawrócił i dołączył do reszty znajdującej się na klatce schodowej. Jak zawsze ciekawość zwyciężyła.

Metalowe drzwi. Ciekawe, po co? Nieważne. Urtho by się to nie spodobało, głupi gryfie. Zawsze zakłada zamki z jakiegoś powodu.

Tak, ale co może być tym powodem? Dlaczego ojcowski, dobry Urtho ukrywa coś, co przywoływało jak gryf - ale niezupełnie? A jeśli to coś ważnego, co zniszczy wizerunek dobrotliwego Urtho? A jeśli Urtho, zawsze spokojny i opanowany, jest tak samo zły jak Ma'ar? Czy w końcu Mag Ciszy nie ukrywał sekretu płodności przez cały ten czas? A jeśli ma w zanadrzu coś jeszcze groźniejszego?

Głupi i szalony gryfie, może zaćmiło ci umysł, kiedy uderzyłeś głową o ziemię? Już tak się zdarzało.

Spokojnie. To, że jesteś szalony, nie oznacza, że twoje obawy nie mają podstaw. A jeśli Urtho nie ma zamiaru dać gryfom wolności, ponieważ wynalazł coś, co je zastąpi? Jakiegoś super-gryfa, który jednak nie będzie zdolny do samodzielnego myślenia i formułowania własnych opinii. Lepszy rodzaj makaara?

Głupi, głupi gryfie. A jeśli rzeczywiście coś takiego tu odkryjesz, co wtedy? Wykorzystasz okazję, że Urtho o niczym nie wie, i zostaniesz tu, aby powiadomić innych, czy odlecis, zanim cię złapią? Jeśli tak, to dokąd?

Do szerokości szpona drzwi rozchyłały się bardzo wolno. Potem nagle zaczęły otwierać się bardzo szybko, jakby gryf coś uruchomił.

Przez chwilę patrzył w ciemność przytłoczony "obecnością" gryfa, obecnością tak silną, że nie mogła pochodzić od jednego osobnika.

Nagle zapaliły się światła - były słabe i pozostawiły przeciwległe ściany w mroku - i stanął twarzą w twarz z...

Duchy gryfów!

Taka była jego pierwsza myśl. Zjawy pływały zawieszony w powietrzu i były przezroczyste. To one oświetlały pokój. Czyż w taki sposób nie

mogłyby wyglądać duchy? Na pewno to one były źródłem “obecności”, która tak silnie go poraziła!

Potem jednak zobaczył, że się w ogóle nie poruszają, nawet nie oddychają; wpatrywały się w nicość z absolutnym brakiem Wyrazu na twarzach. *Nie są martwe... ale nie mają życia* - Pomyślał. - *Jak gdyby nigdy nie żyły.*

Nie przestawał obserwować i wydało mu się, że dostrzega nie tylko powierzchnię tego, co obserwuje, ale także wewnątrz! Każdy szczegół ich anatomii. Kiedy skoncentrował się na żołądku jednego z nich, widział żołądek, tajemniczo przezroczysty, zawieszony wewnątrz przejrzystego gryfa.

Zafascynowany, odrobinę wzdragając się, wszedł do środka, a drzwi zamknęły się za nim cicho.

Duchy były zawieszane nad podłogą na wysokości ludzkich kolan. Można było między nimi przechodzić i dokładnie przypatrywać się ich szczegółom. Każdy następny gryf był inny od poprzedniego, niektóre różniły się tylko nieznacznie, inne z kolei całkowicie. Mijał właśnie rudego szerokoskrzydłego gryfa, podobnego do Aubriego. Kolejny był ciemnoszary, podobny do jastrzębia, z szalonymi czerwonymi oczami, dziwnie żywymi nawet w pozbawionej życia twarzy. Dalej był krępy gryf ogoniasty, o zwartej budowie ciała, najlepszy w lotach osłaniających...

Są wszystkie typy. Patrę na wszystkie rodzaje gryfów! Wszystkie, jakie kiedykolwiek widziałem! Nie jesteśmy jedną rasą, tylko wieloma! Dlaczego nigdy wcześniej tego nie zauważyłem? Czy to dlatego Urtho zatrzymał sekret płodności dla siebie? Czyżby chciał utrzymać wszystkie rasy w czystej formie?

Oszołomiony odkryciem, minął trzy kolejne przezroczyste modele, by znaleźć się dziób w dziób z...

Zhaneel!

Tylko że to nie była Zhaneel, ale stworzenie bez osobowości. Miało taką samą budowę, ubarwienie i kształt.

Spojrzał w tył na szereg gryfów, lustrując je od miejsca, w którym przed chwilą stał, aż do typu Zhaneel. Z wolna w jego głowie powstała myśl. W tym szeregu gryfów było coś, co trąciło nieświadomą strunę. Co to było? Oczywiście. Typy bliżej drzwi przedstawiały liczniejszą populację niż te, które były bliżej niego, a jeśli mu było wiadomo, to w typie Zhaneel była tylko jedna Zhaneel...

Ponieważ ona jest pierwsza ?

Tak jest! Był to widoczny dowód istnienia całego programu hodowlanego Urtho! Zhaneel nie była wyrodkiem, nie była zdeformowana, była pierwsza w nowej populacji gryfów!

Teraz wszystkie te pytania, które Urtho jej zadawał, o jej rodziców, rodzeństwo, wychowanie, nagle nabrały sensu! Z pewnością jej rodzice wiedzieli, że ona jest nowym typem - gdyby żyli, dopilnowaliby, aby wyszkolono ją odpowiednio do jej szczególnych predyspozycji! Ale ponieważ zginęli, została sama, zdana na siebie, a Urtho nie może pamiętać o wszystkim...

Najwyraźniej zapomniał o tym pojedynczym gryfie, podobnym do sokoła...

Bursztynowy Żuraw nazwał ją gryfsokołem...!

...który przeżył, był samotny i potrzebował troskliwej opieki. Skan już wtedy rozżościł się na maga, a teraz był wściekły. Jak Urtho mógł jej to zrobić? Z pewnością wiedział, co za tym się kryje, gdy spostrzegł, że nie jest do nikogo podobna! Wiedział też, jak gryfy traktują karły, odrzutki i wyrodki.

Ale jest wojna. Czy musiał o tym pamiętać. Być może ufał jej trenerom, wierzył, że zauważą, iż ona nie jest dziwadłem, ale czymś zupełnie nowym. Są równie winni jak on, może nawet bardziej. Jego gniew zmalął. Westchnął i okrzyknął wizerunek gryfsokoła.

I nagle spojrzął na swoje nogi, swoją pierś, swoją twarz. Na swój własny dziób, grzebień i oczy, bez życia, bezmyślnie gapiące się na żywego Skandranona.

Tym razem szok był nieco mniejszy. Gryf szybciej zorientował się, że to nie on, tak jak Zhaneel nie była Zhaneel. A jednak oszołomiło go coś całkiem innego. Łatwiej przyszło mu pogodzić się z faktem, że inne gryfy są rezultatem programu hodowlanego, nawet gdy chodziło o Zhaneel. O wiele gorzej było mu pogodzić się z faktem, że także o sobie musi myśleć w tych kategoriach.

Było to coś tak nieprzyjemnego, że znów odebrało mu dech.

Kiedy jednak przyglądał się prototypowi, pewne pocieszenie dał mu fakt, że jego proporcje są nieco lepsze niż u modelu. Szczególnie w niektórych miejscach.

Jestem zdecydowanie przystojniejszy. Lepiej upierzony. Mam gładsze mięśnie. Jestem wyższy...

STRACH - ALARM - GNIEW!

Emocje poraziły go niczym pocisk z katapulty i zanim zdołał w je powstrzymać, coś uderzyło go z tyłu. Wskoczyło z miejsca, które podświadomie odnotował jako otwór drzwiowy, ale go nie zauważył, ponieważ po drugiej stronie nie było światła.

Uderzenie spowodowało, że się poślizgnął i upadł na bok. Grzmotnął o ścianę, a jego gracja tancerza na nic mu się tej chwili nie zdała. Cokolwiek to było, było o połowę od niego mniejsze i pachniało jak gryf...
...niezupełnie jak gryf. Bardziej jak piżmo czy gleba...

Nie było jednak czasu, by zastanawiać się nad zapachami! Cokolwiek to było, skoczyło na niego znowu i zdzieliło go w dziób tak, że uderzył nim w ścianę. Tylko refleks uratował go przed kolejnym ciosem, ale atak nie ustawał.

To coś jest jak żbik! Jest zbyt małe, aby mnie pokonać, i zbyt dzielne, aby o tym wiedzieć. Może mnie poważnie pokaleczyć. A ja nie lubię być ranny!

A jeśli to jest jakiś stwór Urtho - niech go diabli - muszę go powstrzymać, nie robiąc mu krzywdy!

Cięcie u nasady nosa zalało mu krwią oczy. Na chwilę został oślepiony, ale zamrugał i mgła ustąpiła. Obrócił się. Podciągnął stopy i tylne nogi pod siebie, nie zważając przez chwilę na ból spowodowany ciosami i zadrapaniami, i wstał.

Tamto coś potoczyło się pod przeciwległą ścianę w sposób pozornie niekontrolowany, jakby poszczególne jego części się poplątały. Jednak była to tylko gra, to więcej niż pewne. Gdy tylko przestało się toczyć, skoczyło z powrotem na nogi i stanęło przed nim, wyciągając pazury i sycząc.

To był gryf.

Było to coś, za co uważała siebie Zhaneel, coś, co inne gryfy traktowały jak wyrodka. Było nie dwukrotnie, ale czterokrotnie mniejsze od Skana. Jego głowa była za mała w stosunku do ciała, bardzo wąska, podobna raczej do głowy prawdziwych ptaków drapieżnych niż do czaszki gryfów czy gryfsokołów. Skrzydła miało o wiele za długie w stosunku do ciała i ciągnęło je po podłodze, strzępiąc końce lotek.

Upierzenie miało brudnoszare i płowe. I to spowodowało, że Skanowi wydało się skądś znajome.

Był to wyrodek z typu Zhaneel. .'

W tej chwili dotarło do niego, że stwór właściwie nie syczy ale usiłuje wydać prawdziwie gryfi okrzyk wyzwania.

Skan zamrugał, próbując usunąć krew z oczu. Silna telepatyczna "obecność" gryfa, obecność tak mocna, że myślał, iż pochodzi od kilku z jego gatunku, emanowała w całości tylko od tego jednego małego stworzenia, które odważnie usiłowało wydać okrzyk wyzwania.

To ono wysyłało mentalne sygnały alarmu, strachu, gniewu.

Skan instynktownie przybrał bojową postawę, podczas gdy jego umysł próbował sobie poradzić z natłokiem informacji. Wyrodek patrzył w górę, na gryfa cztery razy większego od siebie.

Stworzenie otwarło na moment oczy, po czym skuliło się.

Jednak w następnej sekundzie powróciło znowu do obronnej postawy. Natężenie jego mentalnego promieniowania wzrosło i Skan lekko się cofnął. Nie atakowało go myślami z rozmysłem, tym niemniej były one bardzo silne.

W chwili gdy Skan się cofnął, spojrzało w bok i wpadło do kolejnego pokoju. Gdy się tam znalazło, zapaliły się światła. Stworzenie wskoczyło na stół z niesamowitą szybkością, szczególnie że sprawiało wrażenie niezgrabnego. Rozrzuciło książki i różne przyrządy na wszystkie strony swoimi zbyt długimi skrzydłami i znowu stanęło dęba. Korzystając ze swej powiększonej wysokości, krzychało:

- Zły! Zły! Odejdź!

Skan zrezygnował ze swej bojowej postawy i starał się trochę rozluźnić. Ślady po zadrapaniach i ugryzieniach piekły, ale jego rany nie były aż tak ciężkie, nie były gorsze od tych, które odnosił w zabawie z gromadą żółtodziobów. To maleństwo było prawie bezsilne.

- Czym... kim jesteś? - zapytał ostrożnie Skan. Stworzenie potrafiło na tyle mówić, aby mu powiedzieć, że ma odejść, więc na pewno potrafi go też zrozumieć.

- Odejdź! - wysyczało znowu, strasząc szponem. - Odejdź! Gdzie on jest? Czy zraniłeś go?

Znowu się nastroszyło, mimowolnie parodiując bojową postawę. Było jasne, że jego złość jest przytłumiona strachem. Dlaczego tak się boi i gniewa? I kim jest ten "on"?

- Zranię cię! - próbowało wyskrzeczec. - Zranię cię! Zrobię to!

Skan był całkowicie oszołomiony. Miał tylko nadzieję, że w tym wszystkim była jakaś odrobina sensu. Jeśli to stworzenie jest zupełnie szalone, będzie musiał pozbawić je świadomości albo obezwładnić. Inaczej nie będzie mógł się stąd wydostać. A naprawdę nie miał zamiaru zrobić mu krzywdy.

Cholerny Urtho; to jak zranienie kota, który broni swoich małych. To stworzenie nie ma pojęcia, kim jestem, i nie wie, że nie mam zamiaru zrobić mu krzywdy. Jeśli nie będę w stanie mu tego wytłumaczyć, nie przestanie mnie atakować.

- Kogo miałem zranić? - spytał. - Nikogo nie zraniłem, nawet nikogo tutaj nie spotkałem! Kogo miałem zranić? Urtho? Kim jesteś?

Skan położył grzebień i uśmiechnął się, próbując wyglądać najprzyjaźniej, jak to możliwe. Najwyraźniej podziałało, ponieważ małe stworzenie przez chwilę na niego popatrzyło, a potem nagle usiadło na poszarpanej bibule. Zrezygnowało ze swej buńczucznej postawy, jakby nagle ktoś z niego wypuścił powietrze, i zaczęło wycierać swoje przednie szpony z krwi Skandranona.

- Nie zły? - spytało żałośnie. Jego gniew zupełnie zniknął. - Ojciec nie ranny? Gdzie jest Ojciec?

Ojciec? Kogo, u licha, ma na myśli to stworzenie? Z pewnością nie żadnego gryfa, bo gdyby któryś był tutaj, nie zdołałby tak długo utrzymać tego w tajemnicy! Nie, oczywiście, że nie było tu innych gryfów, w przeciwnym razie to maleństwo rozpoznałoby mnie jako jednego z nich.

Rozejrzał się po pokoju, szukając wskazówki, kim mógł być ten "ojciec", ale niczego nie znalazł. Znajdował się tu tylko stół z częściami dziwnych przyrządów, kilkanaście książkami i papierem, dziwaczna szafka, która wyglądała na prawie pustą, i zlew. Pomieszczenie najbardziej przypominało gabinet uzdrowiciela.

- Nie - powiedział z przekonaniem. - Nie jestem zły. Nikogo nie zraniłem. Po prostu otworzyłem drzwi i wszedłem. - Gdy stworzenie się trochę uspokoiło, zbliżył się odrobinę do niego. - Kto to jest Ojciec? Kim ty jesteś?

- Ojciec jest Ojcem - odparło stworzenie, jakby przedstawiało sprawę opóźnionemu dziecku. - Ojciec nazywa mnie Kechara.

Skan podszedł do stołu i usiadł przed stworzeniem, co spowodowało, że znalazł się dziób w dziób z maleństwem.

- Opowiedz mi o swoim Ojcu, Kechara - powiedział łagodnie. - wszystko, co pamiętasz. Dobrze? Tam, skąd przychodzę, jest wiele ludzi, i muszę wiedzieć, jak twój Ojciec wygląda, abym wiedział, kim jest.

Kechara (co w języku Kaled'a'in oznacza "ukochana" albo "kochanie") była samica, o ile można tak powiedzieć. Właściwie Kechara była bez-

płciowa, ponieważ nie miała żadnych zewnętrznych cech charakterystycznych dla samic gryfów. Jej piżmowy zapach nie był zapachem płciowym tylko dziwną, "prymitywną" wonią.

- Ojciec tu przychodzi, Ojciec odchodzi - powiedziała Kechara. - Ojciec przynosi mi jedzenie. Ojciec przynosi zabawki, bawi się ze mną. Kiedy go nie ma, bawię się sama.

- Jak Ojciec wygląda, Kecharo? - spytał Skan.

Małe stworzenie zmarszczyło brwi, najwyraźniej usilnie myśląc.

- Dwie nogi, nie cztery - powiedziała z wahaniem. - Ani skrzydeł ani piór. Nie ma dzioba. Na nogach i ciele ma coś długiego, pokrycie, ale nie pióra. Tutaj - dotknęła swojej twarzy - skórę, gładką skórę. Tutaj na czubie, długie włosy - przeciągnęła skrzydłem po czaszce, gdzie ludzie mają włosy. - I Ojciec wydaje piękny głos, kiedy przychodzi, abym wiedziała, że już jest. Śpiewa jak słowik i tańczy ze mną.

To rozwiązywało sprawę. Jediną osobą, która tutaj potrafiła gwizdać, był Urtho. Skan zauważył, że większość magów nie potrafi gwizdać. W tym obozie jedynymi wyjątkami byli Vikteren i Urtho.

- Od jak dawna jesteś tutaj? - spytał.

Samica popatrzyła na niego tępo, a kiedy powtórzył pytanie kilka razy, powiedziała, że dla niej nie ma czegoś innego jak - "tutaj". Tylko Ojciec gdzieś wychodzi.

Znaczyło to, że Urtho więził to małe biedactwo w Wieży Przez całe życie. W budowli tej były miejsca, gdzie mógł ją zabierać i gdzie ona mogła wyglądać przez okna. W ten sposób słyszała i widziała słowiki, ale na tym kończył się jej świat.

Przez ułamek sekundy w Skanie zawrzało. Ale usiłując zadać jej jeszcze kilka pytań, zrozumiał, dlaczego Urtho uważał, że lepiej będzie ją tutaj trzymać.

W normalnej społeczności gryfów nie mogłaby prawdopodobnie funkcjonować bez ochrony. Nie potrafiła robić niczego produktywnego. Kiedy Zhaneel dorastała, była pośmiewiskiem. To biedactwo przechodziłoby bezustanne męki, gdyby przez cały czas ktoś jej nie pilnował. Zhaneel miała wybitną inteligencję, co pozwalało jej robić niesamowite rzeczy. Ta mała nawet nie wiedziałaby, jak się bronić.

Wyglądało, że jest na tym samym poziomie inteligencji, co niektóre ulepszone zwierzęta Urtho, z tym, że potrafiła trochę mówić. Nie miała także poczucia upływu czasu. Rozumiała, co do niej mówił, ale czasami Skan musiał długo czekać na odpowiedź po zadaniu pytania.

Przerwy te zazwyczaj spowodowane były tym, że bawiła się, ścigając swój cień.

To nie musi być rezultat braku inteligencji... Być może po prostu zachowuje się tak, jak Urtho, bo nie zna nikogo innego.

Skan nakłonił ją pieszczotami do zejścia ze stołu i przespacerowania się z nim, ponieważ wydawała się bardzo niespokojna i bezustannie się kręciła. Po spacerze rozmowa zaczęła przebiegać trochę lepiej. Kiedy przechadzali się wzdłuż galerii modeli, wybiegała do przodu lub zostawała w tyle. Nie zwracała na nie żadnej uwagi, co go nie zdziwiło. Musiała już tak się do nich przyzwyczaić, jak on był przyzwyczajony do ptaków-posłańców lub oślepiająco kolorowych szat Bursztynowego Żurawia.

Nagle, gdy przechodzili obok modelu Skandranona, spojrzała na model, a potem na niego i znowu na model, jak gdyby nie wierzyła własnym oczom. Zamrugnęła, pokręciła głową i znowu spojrzała na niego.

- To ty! - powiedziała, jak gdyby oznajmiała coś niezwykłego.

- Niezupełnie - odparł niedbale. - Jest do mnie tylko trochę podobny.

Z tymi słowami odszedł, a ona chyba zapomniała o tej sprawie.

Chwilę później zaprowadziła go do drugiego pokoju, a potem do jeszcze następnego. Kiedy wchodziła, zapalały się światła. Skierowała się prosto do miski umiejscowionej obok czegoś, co z pewnością, było jej łóżkiem, do pięknie wykonanego gniazdka z plecionej słomy, wymoszczonego miękkim, jedwabnym materiałem. Było tam też pudełko, w którym leżała sterta jaskrawych przedmiotów, pewnie zabawek. Te na wierzchu wyglądały jak zwykłe piłeczki i klocki, którymi bawią się młode gryfięta, zanim się opierzą. Samica nabrała z miski pełną garść czegoś brązowego i lepkiego, a potem, jak dziecko nagle przypominające sobie o zasadach wychowania, nieśmiało zaoferowała mu trochę swojego jedzenia. Nie wyglądało zachęcająco, więc Skan odmówił, ale Kechara połknęła je z widocznymi oznakami zadowolenia.

Nie umiem określić, w jakim jest wieku - pomyślał, obserwując sposób pożywiania się. Robiła to zupełnie zgrabnie. Gryfy nie były najelegantsze, jeśli chodzi o jedzenie. Nie mu pojęcia o upływie czasu. Stąd nie może widzieć zachodów i wschodów słońca. Je, kiedy jest głodna, śpi, kiedy zmęczona, a Urtho przychodzi i odchodzi nie wiadomo kiedy. Gdybym jednak miał zgadywać - wyrodki nie żyją zbyt długo - to przypuszczam, że niewiele czasu jej zostało.

Wzdrygnął się na tę myśl podobnie jak wcześniej na widok jedzenia.

Ta gryfica całe życie spędzi w zamknięciu, nigdy nie poczuje swobodnego wiatru, rzadko tylko widzi niebo, słońce, księżyc i gwiazdy.

Przecież została zrodzona dla nieba i tyłku przypadek albo pech spowodował, że jest taka, jaka jest. A nie taka jak Zhaneel...

...albo ja...

Przygnębiony, pochylił nieznaczące dziób. Była jeszcze druga strona medalu. Jak mogłaby żyć na zewnątrz? Może właśnie dlatego była tutaj, ponieważ poza Wieżą nie przeżyłaby. Wyrodki przeważnie były bardzo delikatne, podatne na choroby, miały słabe płuca i inne organy.

Być może tylko w całkowitym odosobnieniu mogła w ogóle przeżyć.

Może tak jest lepiej, ale Urtho, stwarzając Kecharę, oddał jej niedźwiedzią przysługę.

Zauważył, że już nie krwawi i to przypomniało mu o jego własnym wewnętrznym poczuciu czasu. Był zdziwiony, że tak długo przebywał tu z nią.

- Muszę już iść, Kecharo - powiedział.

Spojrzała na niego. A potem spytała o coś, czego się zupełnie nie spodziewała.

- Wrócisz tu? - zapytała z nadzieją. - Wrócisz pobawić się ze mną?

I spojrzała na niego rozszerzonymi i proszącymi oczami.

Na dalekie wiatry i skaliste zbocza! Być może ona nie wie, co to są uczucia, ale z pewnością jest samotna. Co mam jej powiedzieć?

Opuścił na chwilę dziób, a potem powiedział prawdę.

- Nie wiem, Kecharo. Muszę najpierw porozmawiać z Ojcem. On tu ustala zasady, przecież wiesz.

Skinęła głową, jakby miała coś tutaj do powiedzenia.

- Ja także zapytam Ojca - powiedziała zdecydowanie. - Powiem, że chcę, abyś się ze mną bawił.

Potem gdy zatrzymał się przy drzwiach, przysiadła na tylnych łapach, a przednie wyciągnęła ku niemu, rozkładając szeroko. Była to tak dziwna postawa, że Skan nie miał pojęcia, o co jej chodzi...

Nagle zrozumiał. Czekala, aby ją uściskał, tak jak ściskają się ludzie. Tak jak to zawsze robiła z Ojcem, kiedy on wychodził.

Ten prosty gest powiedział Skanowi wszystko, co chciał wiedzieć. Bez względu na to, jakie motywy kierowały Urtho, aby trzymać tutaj to maleństwo, musiały być istotne. Widać też dawał jej tyle uczucia, ile tylko mógł.

Nie było to łatwe, ale jakoś udało się Skanowi ją uściskać. A potem pożegnał się z nią w prawdziwie gryfi sposób, muskając jej piórka na karku.

Byłoby znacznie gorzej, gdyby zaczęła grymasić z powodu jego odejścia, ale nic takiego nie zrobiła. Po prostu pokiwała mu szponem na pożegnanie, odwróciła się i potruchtowała z powrotem do swojego pokoju z gniazdem, przypuszczalnie, aby się pobawić.

Nauczyła się, że kapryśnienie niczego nie zmienia - stwierdził, kiedy szedł oszołomiony przez pokój z książkami. Dotknął drzwi prowadzących na korytarz, aby je otworzyć. *Nauczyła się że ludzie przychodzą i odchodzą z jej życia, a ona nie ma na to żadnego wpływu. Biedactwo. Biedne maleństwo.*

Światła gasły za nim, kiedy wolno schodził po schodach na dół. Choć wchodzenie nie sprawiało gryfom trudności, ze schodzeniem miały sporo kłopotu. Kiedy dotarł na dół, kusilo go, by spróbować wejść w inne drzwi w holu...

Głupi gryfie! Nie kuś losu. I tak będziesz miał kłopoty z Urtho, gdy tylko spróbujesz poruszyć temat Kechary.

No tak. To jest problem. *Jak będziesz rozmawiał o Kecharze, nie zdradzając sposobu, w jaki się dostałeś do zamkniętego pokoju? A jeśli potrafiłeś wejść tam, gdzie nie powinieneś, to ile jeszcze innych rzeczy mogłeś zrobić?*

Strażnik kiwnął głową Skanowi, gdy ten wychodził, i uśmiechnął się.

- Niełatwe dla was, czubatych, te schody, co? - powiedział, a Skan uświadomił sobie w tym momencie, że jest podrapany przez Kecharę. Tamten z pewnością to zauważy.

Nie wchodził przecież ze świeżymi ranami. Strażnik jednak podsunął mu znakomitą wymówkę, którą ten podjął z wdzięcznością.

- Cholernie trudne - zagrzmiał. - Co dziesięć stopni poślizg i lądowanie. A reszta, co? Czeka na mnie? Ależ skąd! Spieszno im do tego ich uzdrawiania. W ogóle nie zauważyli, że mnie nie ma!

Strażnik zaśmiał się współczująco i poklepał Skana po ramieniu.

- Wiem, jak się czujesz - rzekł. - Z moją pozszywaną nogą też niełatwo mi wchodzić po schodach. Nigdy nie myślałem o tym, jak sobie radzicie, zanim sam nie dostałem strzałą w łydkę.

Trochę pogawędki dla niepoznaki nie zaszkodzi, a i tak teraz nie mam specjalnie dokąd pójść... Tamsin i Cinnabar rozszyfrowują przepisany tekst i przekładają go na terminy, których używają gryfy. Na pewno

tak są tym zajęci, że nie zauważyli mojej nieobecności.

- Kyree i hertasi dobrze sobie z tym radzą - odparł. - Jednakże dla nas, dyheli i tervardi schody są prawdziwym przekleństwem, a inne rzeczy jeszcze gorsze! Pomyślałbyś, że dla tych wszystkich weteranów, którzy byli ranni i nie mogą chodzić, zrobią jakieś pochylnie? Ale kogo to obchodzi.

Strażnik westchnął.

- No cóż, taki jest świat. Każdy widzi go według swoich potrzeb. Jeśli ktoś nie potrzebuje specjalnej drogi na górę, nie pomyśli, że komuś innemu jest potrzebna.

Skan parsknął.

- Dobrze to powiedziałaś, bracie! Moja biedna głowa całkiem się z tobą zgadza!

- Lepiej dokończ tych swoich przyjaciół uzdrowicieli i każ im, niech cię pozszywają - poradził strażnik. - Może potem pomyślą dwa razy, zanim zostawią cię samego!

Skan zaśmiał się i obiecał, że tak zrobi. Strażnik pokuśtykał na swój obchód, przyjaźnie mu pomachawszy, a Skan ruszył z powrotem do obozu, na Wzgórze Uzdrowiciela.

No dobrze. Teraz muszę to wszystko uporządkować. Wykradliśmy sekret płodności, przekażę go reszcie. Potem, kiedy będę wiedział, że wszyscy go znają - pójdę do Urtho i powiem mu, co zrobiłem. A potem poruszę temat Kechary. To zajmie co najmniej kilka dni. Niełatwo mu było pogodzić się z myślą, że zostawiają samą na tak długo...

Ale przecież była tam sama przez całe swe życie. Kilka dni mniej czy więcej nie robi różnicy. Pojawiła się jednak dodatkowa komplikacja. A jeśli Urtho odwiedzi swoją... pupilkę? Jeśli Kechara wspomni mu o Skanie...

Muszę mieć nadzieję, że mu o mnie nie powie. A jeśli nawet, to Urtho pomyśli, że ona mówi o modelach.

Komplikacje. Komplikacje.

Głupi gryfie. Chcesz zrobić zbyt wiele rzeczy naraz. Ale czyi nie trzeba tego zrobić? Jeśli ty tego nie zrobisz, to kto?

Droga z powrotem do obozu dłużyła mu się. W nocy nie było na dworze zbyt wielu ludzi. Ci, którzy nie spali, prowadzili życie towarzyskie, reszta miała służbę albo sprawdzała ekwipunek do jutrzejszej walki. Szczególna rzecz, ta wojna między czarownicami; linia frontu była strasznie daleko, a jednak oddziały biwakowały tutaj, pod fortecą Ur-

tho, w sercu tej ziemi.

Tylko Bramy umożliwiały takie rzeczy. Bramy i gryfy.

Te pierwsze oznaczały, że Urtho mógł przerzucać wszędzie w jednej chwili wiele oddziałów. Istniały nawet stałe Bramy z określonym miejscem wyjścia, które wymagały tylko zwykłego uruchamiającego zaklęcia, z czym potrafił sobie poradzić nawet uczeń. Z tego powodu oddziały Urtho były bardzo mobilne i problem zaopatrywania linii frontu faktycznie nie istniał.

Oczywiście, to dotyczyło także ludzi Ma'ara. Obrońca miał w takiej sytuacji przewagę - mag konstruujący Bramę musiał znać miejsce, gdzie zamierzał się przenieść, a Urtho i jego magowie znali każdy cal terytorium, którego bronili. Magowie Ma'ara mogli wznosić Bramy tylko tam, gdzie już byli, w miejscach, które znali, a więc Bramy Ma'ara musiały zawsze znajdować się za jego liniami.

Na początku kampanii dokonano jednego czy dwóch udanych najazdów, kiedy Urtho przerzucił oddziały za linie Ma'ara. Jednakże to mogło się udać tylko raz czy dwa razy, zanim wróg nie zaczął śledzić energii Bram, aby je zniszczyć, gdy dopiero zaczynały się kształtować. W takim momencie mag mógł stracić życie. Dlatego w siłach Urtho nie robiono już podobnych rzeczy, a w całej armii nie było maga, który chciałby wykonać taki rozkaz.

Jedynie Shaiknam próbował. Ale tylko raz.

Gryfy były drugim czynnikiem umożliwiającym prowadzenie tej wojny na tak wielkim terytorium. Potrafiły pokonywać ogromne odległości, a ich niesamowicie ostry wzrok umożliwia im prowadzenie zwiadów z tak wysoka, że nawet makaary nie mogły im dorównać. Chyba że te bestie znalazły się wyżej od nadlatujących gryfów, ale to nieczęsto się zdarzało. Makaary nie wytrzymały wiatrów i chłodu panującego na dużych wysokościach, w przeciwieństwie do gryfów, które jednak nie były najlepszymi wojownikami.

Gryfy zostały przystosowane raczej do długodystansowych zwiadów, podczas których miały możliwość pokonywania swych fizycznych ograniczeń czyniących je niezdarnymi do walki. Jedynym gryfem, który lepiej sobie radził w boju, wydawała się Zhaneel.

Ale przecież jest to tylko jeden gryf. Chyba że... pewnego dnia będzie ich więcej.

Skan wzniósł się w powietrze, aby odbyć krótki lot na Wzgórze Uzdrowiciela. Byстрыm wzrokiem odszukał blask dochodzący z namio-

tu Tamsina i Cinnabar. *Nadal siedzą pogrążeni w pracy... Gdy tam przybędę, prawdopodobnie będą jeszcze zajęci. To dobrze.*

Czarny Gryf wykorzystał prąd ciepłego powietrza, aby udać się w tym kierunku, zadowolony, że noc była taka jasna i spokojna. Zauważył, że również w namiocie Bursztynowego Żurawia pali się światło.

Także ciężko pracuje? Zachichotał. No cóż, większość swojej pracy zazwyczaj wykonuje w nocy. Wielu musi podnosić na duchu, ze mną łącznie. Jest tam, gdzie go potrzebują, nawet o tak późnej porze. Nie będę mu dokuczał z tego powodu.

Przynajmniej tym razem!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dopóki nie wyszli z Wieży, Bursztynowy Żuraw nie zauważył zniknięcia Skana. Odwrócił się, aby powiedzieć coś do Czarnego Gryfa...

A Czarnego Gryfa nie było.

Znajdowali się już poza bezpośrednim obwodem Wieży. Bursztynowy Żuraw zaklął po cichu. Było za późno, aby się po niego cofnąć. Drzwi prawdopodobnie nie otworzą się po raz drugi, a strażnik zacznie coś podejrzewać.

Lekki wietrzyk powiał w plecy Bursztynowego Żurawia i przyniósł odgłosy z leżącego w dole obozowiska. Lepiej, jak gdyby nigdy nic, wrócić zgodnie z planem do swojego namiotu. Gryfom niewygodnie schodzi się po schodach. Być może strażnik wie o tym. Pewnie będzie myślał, że Skan gdzieś utknął, z trudem posuwając się stopień po stopniu.

Oczywiście Skan nie miał żadnych trudności w pokonywaniu klatek schodowych, spiralnych czy innych. W każdych okolicznościach był zwinny jak kot; zawdzięczał to tańcowi. Bursztynowy Żuraw widział, jak Skan wchodzi na drzewa, wije się wśród krzaków i wspina po murach z jednakową łatwością i ostentacją. Jednak Bursztynowy Żuraw był jednym z nielicznych, którzy o tym wiedzieli.

Żuraw pozostawał w tyle, podczas gdy Tamsin i Cinnabar pędzili na przód. Miał słabą nadzieję, że jego przyjaciel idzie sobie wolnym krokiem, jak gdyby czas nie miał żadnego znaczenia. *Jego stosunek do czasu był powszechnie znany... "To tylko pojęcie" - zwykł mawiać.*

Skan nadal się nie pojawiał. Wyglądało na to, że nie było to zwykłe ociąganie się. *Gdzie, u licha, podziewa się ta pierzasta głowa? - myślał zirytowany kestra'chern. - Co go tak zainteresowało?*

Może znalazł jakąś książkę, która przyciągnęła jego wzrok, i przerzucił ją, nie bacząc na upływający czas. A jeśli nie książka, miał nadzieję, że było to coś równie niewinnego.

Jednak czas uciekał, a przynajmniej dla Bursztynowego Żurawia. Gdziekolwiek był, cokolwiek robił, Czarny Gryf będzie musiał sam się tłumaczyć i ratować z opresji. Bursztynowy Żuraw nie mógł dłużej czekać. Miał spotkanie. Spotkanie umówione w ostatniej chwili przez samego Urtho. Klient nie może czekać.

Szczególnie nie dziś wieczorem. Gdyby wizyta nie doszła do skutku albo on spóźniłby się choć odrobinę, ktoś mógłby to powiązać z Tamsinem, Cinnabar i ich wyprawą do Wieży. Potem dodać dwa do dwóch

i stałoby się jasne, że wspólnie coś uknuli. A tym kimś mógł być Urtho.

Skandranon jest dorosły, sam może o siebie zadbać. Jeśli go ktoś o niego zapyta, właśnie tak odpowie.

Droga powrotna do obozu była pusta jak nocne niebo, nikogo w zasięgu wzroku. To oznaczało, że nikt nie może zauważyć, że nagle zaczął biec, i zastanawiać się dlaczego. Przynajmniej nikt nie znajdował się wystarczająco blisko, aby rozpoznać w biegaczu kestra'chern Bursztynowego Żurawia. Żuraw biegł bez zatrzymywania się, aż ujrzał swój namiot.

Jestem w lepszej formie, niż sądziłem - pomyślał ze zrozumiałą dumą, doprowadzając się przed wejściem do porządku. - *Nawet nie jestem zdyszany.*

Na szczęście jego asystent, Gesten, już wcześniej przygotował dla klienta wszystko, co trzeba. Od dawna hertasi wykonywał proste posługi, które towarzyszyły jego zawodowi - wyciąganie stołu do masażu, podgrzewanie olejków, wkładanie ręczników do parownika, przygotowywanie kadzidła. Proste posługi, ale czasochłonne. Sprawy, z którymi nie zdołałby się uporać tuż przed przyjściem klienta, gdyby naszemu kestra'chern zdarzyło się robić coś, o czym nie chciał, aby ktoś się dowiedział. Na przykład, gdyby kestra'chern musiał coś zwędzić z Wieży Wielkiego Maga.

Niech Opatrzność błogostawi hertasi.

Klienta nie było w środku, co mogło oznaczać dwie rzeczy: albo się zwyczajnie spóźnia, albo ma opory przed przyjściem do uzdrowiciela. Nowi klienci często je mieli, dopóki nie przekonali się, jak niewiele praca kestra'chern ma wspólnego z amatorami. Świetnie, zatem ma jeszcze czas, by przebrać się spokojnie w swoje rzeczy do pracy. Mógł wykonać masaż w codziennym ubraniu, ale nie chciał. Miał dobrą opinie, a zawdzięczał ją między innymi swojemu wyglądowi. Klienci zawsze powinni go widzieć w najlepszej formie, ponieważ dawał im to, co najlepsze. Rozsunął więc kotarę i wszedł do prywatnego pomieszczenia. Szybko zdjął ubranie i wybrał jeden z trzech odpowiednich strojów do masażu, które Gesten mu przygotował: tunikę i bryczesy z miękkiego, przewiewnego materiału w kolorze ciemno-purpurowym z jaskrawym niebieskim obramowaniem. Krój był na tyle luźny, aby kestra'chern mógł swobodnie się pochylać nad klientem, by przynosić mu ulgę w naciągniętych lub bolących mięśniach. W przytłumionym

światle namiotu strój prezentował się wspaniale: kosztownie i niezwykle. Miał sprawiać, aby i klient poczuł się niezwykle.

Swoje długie włosy Żuraw związał z tyłu w warkoczyki, a na końcu każdego z nich umieścił małe dzwoneczki, które lekko podzwaniały, kiedy się poruszał. Stwierdził, że podczas masażu rytmiczny dźwięk dzwonka uspokaja klienta.

Gdy wszedł z powrotem do "oficjalnej" części namiotu, nowego klienta ciągle jeszcze nie było. Zaczął zatem sprawdzać to, co przygotował Gesten. Nie wątpił w jego dokładność, ale nigdy nie zaszkodziło sprawdzić. Tak to już jest na tym świecie, że gdyby akurat raz nie sprawdził, na pewno czegoś by zabrakło.

Butelki z aromatycznymi olejkami czekały w swoim kociołku z ciepłą wodą i miały odpowiednią temperaturę. Na spodzie parownika z ręcznikami leżały gorące kamienie, a para wydobywająca się ze szczelin, niosła z sobą zapach gorącego, czystego płótna, mówiąc mu, że wszystko jest w porządku. Stół do masażu był rozłożony i oczywiście przykryty miękkim pledem, a purpurowe krzesło stało obok na wypadek, gdyby klient był zbyt sztywny czy obolały, aby wejść na stół bez niczyjej pomocy.

Drewniane rolki były przygotowane, podobnie jak maść po masażu, potrzebna gdyby mięśnie wymagały kuracji ziołowej. W czajniku parzyła się herbatka ziołowa, gdyby klient okazał się zbyt spięty.

A co najważniejsze dla nowego i prawdopodobnie nieśmiałego pacjenta, wszystkie pozostałe przyrządy, których Bursztynowy Żuraw używał do innych zajęć, zostały spakowane i usunięte z pola widzenia. Większość z nich piętrzyła się teraz w prywatnej części namiotu. Oznaką tego, że nie był zwykłym uzdrowicielem, był zapach kadzidła rozcho-dzący się w powietrzu, kosztowne draperie i stosy poduszek na podłodze.

Przechadzał się po pokoju, przekładając poduszki, upewniając się, czy przez przypadek nie pozostawiono czegoś, co powinno być uprzątnięte, sprawdzając, czy olejki nie zjełczały ani odrobinę. Wszystkie te czynności były tylko trwonieniem energii. Wiedział o tym, ale energia, którą tracił, brała się ze zdenerwowania, a poza tym należała do niego i mógł z nią robić, co mu się podobało.

Nie byłoby go teraz tutaj, gdyby miał inny wybór. Czekaliby pod Wieżą na Skana albo czatował nieopodal miejsca spotkania magów.

Ciekaw jestem, co dzieje się na tym zebraniu - pomyślał niespokojnie.

- Pewnie hertasi posiali tam kogoś spośród swoich. Jeśli tak, Gesten będzie znał wyniki, gdy tylko zebranie się skończy lub nawet wcześniej. Mam taką nadzieję, choć i tak Vikteren opowie mi o wszystkim...

Bogowie, mam nadzieję, że Skan wydostanie się z Wieży, nie wtaczając żadnego alarmu. Mam nadzieję, że strażnik się nie domyśli, że coś wykombinował. Mam nadzieję, że Czarny Gryf nie przeszkrobał czegoś, tylko przeglądał książkę, której nie potrafił się oprzeć. Jestem pewien. Mam nadzieję, że Tamsin i Cinnabar rzeczywiście znajdą sposób, aby dać gryfom płodność...

Niepotrzebne myśli. Niepokojenie się o rzeczy, nad którymi nie miał kontroli ani nie mógł mieć. Jeśli mógł coś zmienić, robił to. Jeśli nie mógł, umierał z niepokoju w nadziei, że znajdzie sposób, który wpłynie na sytuację.

Na szczęście nie miał zbyt wiele czasu, by dręczyć się spotkaniem magów albo Skanem. Nareszcie bowiem Gesten wetknął swój nos przez klapę namiotu i zapowiedział, że ktoś czeka na zewnątrz.

Kobieta, ale o tym Bursztynowy Żuraw wiedział wcześniej. Teraz natomiast przekona się, dlaczego Urtho nie powiedział mu, kto dokładnie ma przyjść, gdy aranżował spotkanie.

Sztywna, surowa postawa, matematyczna precyzja fryzury z trzema cienkimi warkoczykami spadającymi na plecy, ściągnięte rysy twarzy, dokładnie odprasowany mundur. *Zimowa Łania? Bogowie.*

Poczuł napięcie w mięśniach ramion i zaczęła go boleć głowa. W porę powstrzymał się przed grymasem niesmaku i znowu przybrał kamienny wyraz twarzy.

Jestem zawodowcem. Urtho przysłał ją do mnie, a honorarium, które mi wypłacił, powinno w zupełności wynagrodzić ten przykry obowiązek. Mogę się nią zająć bez angażowania się w cokolwiek. Przyszła tutaj tylko po terapię fizyczną. Nie muszę poznawać jej najtajniejszych sekretów, nawet nie muszę z nią rozmawiać, wystarczy, że wymienię kilkanaście koniecznych słów.

Wszystkie te myśli przemknęły przez jego umysł, podczas gdy na jego twarzy malowała się grzeczna obojętność i zawodowy uśmiech. Zimowa Łania poruszała się bardzo sztywno, nawet bardziej niż sobie przypominał, i to nie tylko z powodu, że była nieszczęśliwa, przychodząc tutaj. Co takiego było w tej notatce, którą przysłał Urtho? *Uraz pleców.* Interesujące, była o wiele za sztywna jak na zwykły uraz pleców.

Nie muszę się nawet otwierać na nią, żeby wiedzieć, że jest napięta

jak naciągnięta katapulta, ma to wypisane w każdym mięśniu. Nie będę mógł z nią pracować, jeśli się nie rozluźni a najwyraźniej ona nie ma takiego zamiaru...

Interesujące, ale chyba mnie nie poznaje, nie kojarzy, że bytem wtedy ze Skanem. Być może to zasługa przyciemnionych światel.

W jej oczach początkowo nie było oznak, że go rozpoznała. Potem się co prawda pojawiły, ale nie cofnęła się nagle, co bezsprzecznie wskazywałoby, że widziała go w tłumie, gdy Skan i Zhaneel robili z niej głupią.

No cóż, właśnie z powodu takiego napięcia parzyła się herbatka z uspokajających ziółek. Zimowa Łania nie była pierwszą klientką, która przyszła do kestra'chern zbyt spięta, aby wynieść jakąś korzyść z zabiegu.

- Chyba masz pragnienie - powiedział szybko, gdy rozglądała się wokół podejrzliwie. - Proszę, napij się lej herbatki, zanim zaczniemy. To ci pomoże.

Herbatka z ziół zawierała wiele minerałów, a ktoś z urazem pleców ich potrzebował.

Niechętnie wzięła filiżankę z napojem, machnięciem dłoni dała znak, że nie chce posłodzić jej miodem. Pociągnęła łyk. Jej oczy rozszerzyły się, gdy rozpoznała smak napoju. Jednak nie odezwała się i wypła go duszkiem.

Pięknie - pomyślał. Jakby spodziewała się po nim najgorszego.

No cóż, nie robi najgorszego. Zrobi to, co umie najlepiej, i do diabła z nią i jej opiniami.

- Proszę się rozebrać - powiedział, zabierając pustą filiżankę i odkładając ją na bok. - I położyć na stole.

Dopóki Zimowa Łania nie weszła do tego namiotu, nie wiedziała, że Urtho oddał ją w ręce kestra'chern. Znała jednak Bursztynowego Żurawia z widzenia - wałęsał się tu i ówdzie z uzdrowicielami albo gryfami - i orientowała się, jaki wykonuje zawód.

Myślała, że z uwagi na swoje dolegliwości z plecami Urtho wysłał ją do drugorzędnego uzdrowiciela, pozbawionego daru. Ta raczej bolesna rozmowa z Magiem Ciszy nastąpiła po sprzeczce z Zhaneel. W jaki sposób zorientował się, iż coś jej dolega, nie miała pojęcia.

Co więcej, powiedziała mu o wielu innych sprawach, o których nie zamierzała mówić, a ta jej dolegliwość była tylko jedną z nich. Przynajmniej sprawa kontuzji i bólu z nią związanego uwolniła ją od kary.

Urtho najwyraźniej uznał to za przyczynę jej rozdrażnienia na cały świat, a w szczególności na gryfy.

Kiedy jej o tym powiedział - i zalecił jej zabieg - była trochę obrażona, ale też poczuła ulgę.

Teraz była obrażona i zła - nie czuła żadnej ulgi - i prawdę powiedziawszy, była bardzo przerażona. Zła, że Urtho przysłał ją tutaj, nie mówiąc wcześniej, z kim ją umówił. Obrażona, że wtrącał się do jej prywatnego życia, stwierdzając arbitralnie, że coś jest nie tak w jej kontaktach seksualnych, i przysyłając ją do kestra'chern.

I przerażona tym, co mogło się stać z nią w rękach tego szczególnego kestra'chern.

Słyszała o uzdrowicielach, a szczególnie o tym, wiele krępujących opowieści, które mogły sprawić, że włosy na głowie każdej dobrze urodzonej, przyzwoitej młodej kobiety stanęłyby dęba. Bursztynowy Żuraw miał opinię człowieka, który robi rzeczy - raczej egzotyczne. Conn Levas poszedł do tego niezwykłego kestra'chern, by później naśmiewać się z jej braków. To, co jak opowiadał, tu się działo, było zdecydowanie więcej niż egzotyczne.

A co najgorsze, nie miała pojęcia, co Urtho zalecił jej... jako leczenie.

Jeśli ktoś z jej dywizjonu dowie się, że ona tutaj była, opowieściom i plotkom nie będzie końca.

A jej plecy ciągle bołą! Był to wystarczający powód, aby chciała znaleźć się zupełnie gdzie indziej!

Bogowie tytko wiedzą, co się stanie z moimi plecami, gdy... gdy... Stwierdziła, że się rumieni, i rozgniewała się na swoje zakłopotanie. Zbyt wiele wyginania się bardzo źle wpłynie na mój kręgosłup. Wątpię, żeby on miał o tym jakieś pojęcie.

Jej podejrzania zmieniły się w pewność, kiedy rozpoznała smak herbatki z vero-trawy. Działa uspokajająco, tak, ale powszechnie uważa się, iż wzmaga także co innego. Jednak działa również rozluźniająco na mięśnie, a teraz...

Teraz moje plecy tak strasznie jej potrzebują, że wypłam to obrzydlistwo - pomyślała gorzko. - Może on myśli, że gdy mnie wystarczająco oszołomi, będę zbyt słaba, aby mu się opierać. No cóż, nie z tymi plecami. Jedna filiżanka herbaty wystarczyła tylko, aby trochę osłabić ból.

Wtedy on spojrzał na nią, jak gdyby taksował nowy nabytek i powiedział: - Proszę się rozebrać i położyć na stole.

Spojrzała na niego, porażona zarówno jego klinicznym chłodem, jak i znaczeniem słów. Czy w tym wszystkim nie ma miejsca na... no... choć odrobinę finezji?

Przeniosła wzrok z Bursztynowego Żurawia na stół i z powrotem na niego.

- Co mam zrobić? - zapytała nadal oszołomiona.

Bursztynowy Żuraw westchnął rozdrażniony. Co jest z tą głupią kobietą? Czy ona nie rozumie, że aby on mógł zrobić jej masaż, ona musi się rozebrać i położyć na stole? Chyba nie myśli, że on weźmie się do pracy, gdy ona sterczy na środku pokoju jak posąg!

- To ciebie Urtho przysłał do mnie, prawda? - spytał z lekką ironią.

Przełknęła z trudem ślinę.

- Tak... - odparła.

- Masz uraz pleców, prawda? - ciągnął. Co dzieje się w jej umyśle?

Odparła z jeszcze większym oporem niż wcześniej.

- Tak...

Westchnął już naprawdę rozdrażniony, co wydawało się ją niepokoić. No cóż, dobrze. Do tej pory to on był zirytowany tą kłopotliwą sytuacją. Niech teraz ona trochę się pomęczy tym stanem.

- Zatem proszę pozwolić mi sobie pomóc, gdyż w takim celu tutaj jestem. Nie mogę ci ulżyć, jeśli się nie rozbierzesz i nie położysz na stole.

- Pomóc? W jaki sposób? - odparła ostro, strzelając oczami na wszystkie strony. - Myślałam, że przysłano mnie do uzdrowiciela!

Zacisnął zęby, aż zaboląło.

- Przysłano cię do uzdrowiciela - odparł tonem, który miał jej bezwzględnie powiedzieć, że jest rozdrażniony. - Najwyraźniej nie wiesz, że nie można przeprowadzić skutecznego masażu, gdy klient jest w ubraniu. Jeśli wolisz, aby masował cię ktoś inny, zawsze możesz stąd wyjść. Będziesz jednak musiała się wytłumaczyć przed Urtho, dlaczego zrezygnowałaś z tej raczej kosztownej sesji. Wykonuję swoje usługi w całkowicie profesjonalny sposób, nawet na opornych klientach. A to, co chciałem zastosować wobec ciebie, nie ma nic wspólnego z tym, o czym, jak przypuszczam, myślisz.

Na zewnątrz był spokojny i zimny, ale w środku w nim wrzało. Tak mocno zacisnął tylne zęby, że zdziwił się, iż nie popekały! *Kolejna przeklęta, czysta jak łza uzdrowicielka. Powinienem się domyślić, że*

*tak zareaguje. Tamsin i Cinnabar bardzo dokładnie ją opisali. Świetli-
sty Kerosie, ile razy jeszcze będę musiał się męczyć z ludźmi podobne-
go pokroju? Niech mi dadzą w końcu spokój!*

*A jeśli chodzi o Czystą Zimową Łanię - że ściągniętego wyrazu jej
twarzy można wywnioskować, że najwyraźniej broni swej reputacji
Księżniczki Sztywnych i Cnotliwych,*

Nie drgnęła nawet o centymetr, gdy zaczął mówić. Była tak spięta, że
zdziwił się, iż oczy nie wyszły jej na wierzch.

Oczywiste było, że ona nie tylko nie wierzy, iż on jest uzdrowicielem,
ale sądzi, że została zawiązana jakaś brzydka intryga przeciwko niej.

*Tak jak gdyby to był mój pomysł. Dziękuję, ale zdecydowanie wolę
chętnie partnerki. Jego ból głowy narastał. Dziwne. To nie był tylko je-
go ból, pochodził również od niej. Nic dziwnego, że miała tak krzywą i
kwaśną minę.*

*Jak mam ją teraz przekonać, że jestem uzdrowicielem? Odrąbać Ge-
stenowi rękę i sprawić, by z powrotem się zrosła? Jestem ciekaw, czy
ta tutaj, Jej Wysokość Lodowata Dama, w ogóle by na to zareagowała!
Ona i ten jej kochanek o stalowym karku są sobie warci. Gdyby nie to,
że Urtho ją do mnie przysłał, poprosiłbym ją, aby wzięła swój żeton i
wyniosła się tam, gdzie pieprz rośnie.*

Jednak dzięki długiej praktyce nie zdradził niczego ze swoich uczuć.

- Nie stanowią zagrożenia dla twojej... cnoty, zapewniam cię. Możesz
się rozluźnić. To jest stół do masażu. Mam popracować nad twoimi
plecami. Być może jest tam coś, co można uzdrowić. To takie proste.

Poklepał dłonią po stole i uśmiechnął się chłodno.

Przestąpiła niespokojnie z nogi na nogę i nieznacznie poruszyła się w
kierunku stołu.

*Jeśli tylko na tyle ją stać, minie cała noc, zanim wejdzie w końcu na
ten cholerny stół.*

- Masaż - powtórzył, jakby mówił do niedorozwiniętego dziecka. - Je-
stem bardzo dobrym masażystą. Lady Cinnabar tylko mnie pozwala
się masować.

Zrobiła jeszcze kilka kroków w kierunku stołu. Bursztynowy Żuraw
zamknął na moment oczy i policzył do dziesięciu. To, co miało być
zwykłą sesją, zmieniło się w tortury dla nich obojga!

- Jeśli się wstydzisz rozebrać przed obcym, odwróć się na chwilę.
Możesz się owinać w prześcieradło, które jest złożone obok stołu - po-
wiedział i odwrócił się do niej plecami.

Szelest ubrania powiedział mu, że w końcu przekonał ją przynajmniej o swojej szczerości, a za chwilę przekona zapewne i o umiejętnościach.

Głowa pękała mu od współodczuwanego bólu. Osłonił się przed nim i z wolna ból trochę zelżał. To wstyd. Zazwyczaj nie musiał się osłaniać przed innym uzdrowicielem, wręcz przeciwnie, otwierając się szeroko, dzięki empatii uzyskiwał potrzebne informacje. Empatia zwiększała jego wrażliwość na rany i ból, pozwalając go powstrzymać. Zanim klient w ogóle się zorientował, że coś go boli, on potrafił usunąć problem i przejść do następnego.

Usunąć problem. No cóż, dobrze wiedział, dlaczego Urtho przysłał tę kobietę właśnie do niego. Kilka uwag, które przekazał mu na jej temat, wskazuje na jakiś uraz w jej życiu, na coś, z czym nie potrafi sobie poradzić - co sama zrobiła lub jej zrobiono. Trondi'irn zazwyczaj nie byli tak zajęci, aby nie dbać o swoje zdrowie. Istniało prawdopodobieństwo, że ona zaniedbywała swój stan, w ten sposób za coś się karząc. Nie miał wątpliwości, że uraz fizyczny był prawdziwy. Jednak jej postępowanie powiedziało mu, że nie była ona zdrową, dobrze przystosowaną kobietą. Urtho musiał również to dostrzec. W tym tkwiła ukryta przyczyna, z powodu której ją do niego przysłał.

Podobno uzdrawiasz umysły, zatem uzdrów i ten.

Co Urtho powiedział o niej?

Że miała rodziców, którzy ją gnębili. Nie sądzę jednak, aby gnębili ją fizycznie...

Urtho był znany z tego, że miał dość oryginalne rozumienie słowa "gnębić".

Nie, ta kobieta nie była źle traktowana czy zaniedbywana fizycznie, ale emocjonalnie - tak, ta teoria pasuje do wzorca.

Założyłbym się o sztukę jedwabiu, że jej matka i ojciec byli zimnymi, wymagającymi rodzicami, którzy żądali doskonałości - i otrzymywali ją. Doznała bardzo mato prawdziwego uczucia w swym życiu, a większość była jej okazywana wtedy, gdy jej się udało w jakiś sposób zrealizować niemożliwe do osiągnięcia cele, postawione przez rodziców. Tak, to pasuje do całości.

A teraz była tak samo wymagająca wobec innych, jak jej rodzice byli wobec niej. Co więcej, była tak samo surowa wobec siebie.

No cóż, dlatego pewnie związała się z aroganckim manipulatorem, jakim jest ten podły mag. Zimowa Łania nie uważa, aby "zasługiwała"

na kogoś troskliwego, dlatego też wzięła sobie kogoś, kto przypomina jej to, w czym wzrastała. A potem traktuje go tak samo, ponieważ nigdy nie nauczyła się postępować inaczej.

Przeciagnał palcami po czole, gdy skrzywienie łóżka za nim powiedziało mu, że jednak udało mu się ją przekonać, aby mu zaufała. *Nie jestem w stanie naprawić wyrządzonej jej krzywdy podczas kilku miarek świecy. Zacznijmy od najłatwiejszego zadania i postarajmy się złagodzić ból. A potem go usuńmy.*

Bursztynowy Żuraw odwrócił się. Zimowa Łania leżała na brzuchu przykryta od stóp do głów prześcieradłem, skromna niczym wiejska dziewczyna. Wybrał jeden z olejków - ten na bazie lawendy; świeży i na tyle przyzwoity, aby zdołał ją przekonać, że nie ma zamiaru jej uwieść. Potem zanim zdążyła zareagować, ze zręcznością Gestena zsunął w dół prześcieradło. Nalał trochę olejku w garść, aby go ogrzać, i roztarł w dłoniach. W chwilę później masował mięśnie jej pleców i ramion.

Nie przechwalał się; szczególnie dobry był właśnie w masażu. Lady Cinnabar rzeczywiście wołała jego usługi od usług kogokolwiek innego z obozu czy spoza niego. Z wolna, kiedy likwidował napięcie w jej plecach i barkach, poczuł jak odpływa także inne napięcie. Jego biegłość w masażu przekonała ją, że przynajmniej po części był tym, za kogo się uważał.

Niektóre z barier, jakie przed nim stworzyła, opadły. Jednak on nie wykorzystał tej chwilowej przewagi.

Nie, moja droga pani Sopel Lodu, mam zamiar pokazać ci, że jestem tym wszystkim, o czym mówiłem, i jeszcze kimś więcej.

Jesteś wyzwaniem. A ja nigdy nie mogłem oprzeć się wyzwaniu. A Urtho, niech go licho, dobrze o tym wie.

Kiedy Zimowa Łania uświadomiła sobie, że ten człowiek rzeczywiście wie, co robi - przynajmniej jeśli chodzi o masaż - poczuła, jak napięcie odpływa z jej ciała. Im bardziej się rozluźniała, tym lepiej jego ręce usuwały ból z jej biednych pleców.

Dziwne. Zawsze myślałam, że masaż powinien być bolesny...

W rzeczywistości był tak łagodzący, że poczuła, jak zapada powoli w półsen. Minęło kilka chwil, zanim uświadomiła sobie, że mrowienie w jej plecach jest jej całkiem znajome... Różnica polegała na tym, że nigdy nie doświadczyła go wcześniej jako odbiorca.

Jej oczy otworzyły się szeroko, chociaż nie poruszyła się. Nie śmiała.

Ten mężczyzna ją uzdrawiał, a nie wolno przerywać uzdrawiającego transu!

- No cóż - doszedł ją głos zza pleców. - Z pewnością nadwerżyłaś sobie kręgosłup w bardzo efektowny sposób.

On mówił! Jak można wejść w trans i jednocześnie mówić?

- W najgorszym stanie jest dysk między kręgami - ciągnął głos. - Zgniótł się raczej brzydko. Postaram się go jakoś wyprostować. Jeśli uda mi się cofnąć zapalenie, ból powinien częściowo ustąpić.

- Och - odpowiedziała słabo. - Myślałam, że złamałam jakiś kręg...

- Nic podobnego - odparł głos. - Jednakże mogło być znacznie gorzej. To dobrze, że Urtho przysłał cię do mnie. Czy w tym miejscu czujesz jakieś napięcie?

Zimowa Łania poczuła ukłucie zimna pośród morza ciepła, jakie zalewało jej plecy. Ten człowiek ją zadziwiał. Uzdrowiciele, których znała, potrafili uczynnić nerwy w szczególnych punktach ciała, ale nigdy nie wywoływali szczególnych doznań. W czasie gdy kończyła swoje szkolenie, nie potrafiła uaktywnić kłębu nerwów mniejszego od jej kciuka, nie wywołując u pacjenta uczucia gorąca, zimna, nacisku i bólu jednocześnie. A ten tutaj - kestra'chern - określił precyzyjnie nerwy w jednej dziesiątej tego obszaru i wywoływał u niej uczucie tylko zimna. Bez bólu!

Była w stanie jedynie chrząknąć z uznaniem i pozwolić, aby znikły dzielące ich bariery. On wiedział, co robi, i był taki kompetentny, taki dobry...

Bursztynowy Żuraw wysyłał fluidy do naruszonego kręgu wolniej niż to było konieczne, częściowo z ostrożności, ale głównie dlatego, żeby zyskać na czasie.

To nie było takie proste, jak myślał.

Zimowa Łania przypominała cebulę. Zdjąłeś jedną warstwę, myśląc, że dotarłeś do rdzenia, po to tylko, aby znaleźć kolejną. Stawiała tyle zapór, że musiał zastanawiać się, czy to, o czym akurat ona myśli, nie jest tylko kolejną obroną przed nim.

- Jak do tego doszło? - spytał cicho, pozwalając, aby spokój w jego głosie jeszcze bardziej uspił jej czujność. - Taki uraz nie zdarza się zawyczaj od razu. Czy wcześniej niczego nie zauważyłaś?

- No cóż, już od jakiegoś czasu plecy sprawiały mi kłopot - odparła z wyraźnym oporem - ale nigdy się tym nie przejmowałam. Moja rodzi... zawsze miałam kłopoty z kręgosłupem, wiesz, jak to jest, napięcie

zawsze uderza w najsłabszy punkt, prawda?

- Prawda - odparł, zastanawiając się, dlaczego zmieniła słowo "rodzina" na "ja". W jaki sposób opowieść o rodzinnych kłopotach z kręgosłupem mogła zdradzić cokolwiek o niej? - Rozumiem więc, że twój kręgosłup jest twoim najsłabszym punktem. - Zastanowił się dokładnie, zanim zadał następne pytanie. Nie miał zamiaru zmuszać jej do jeszcze większej obrony. - Przypuszczam, że widziałaś, jak bardzo zajęci są wszyscy uzdrowiciele i postanowiłaś po prostu zlekceważyć ból. Niekoniecznie było to mądre, ale szlachetne z twojej strony.

Chrzaknęła, a skóra na jej karku trochę poczerwieniała.

- Nie lubię się skarżyć - powiedziała. - Szczególnie na coś, czego nie mogę zmienić. Zatem milczałam i piłam dużo ziół. Pamiętam, że po obronie w Poldzie przyniesiono jednego gryfa z Szóstego Dywizjonu z ciężkimi ranami podbrzusza w stanie absolutnej hysterii. Kiedy próbowaliśmy go unieruchomić, wpadł w szal.

Interesujące. Czuje urazę. Jak gdyby myślała, że ten gryf postępował niedorzecznie.

- Kto to był? - spytał Bursztynowy Żuraw.

- O kogo ci chodzi? - zapytała podejrzliwie.

- Kim był ten gryf? - odparł obojętnie. - Słyszałem o oparzeniach Aubriego, ale nic nie wiem o tym, że ktoś z Szóstego Dywizjonu miał rany szarpane. Czy nie chodzi czasem o Sheran? Jeśli tak, nie dziwi mnie, że tak zareagowała na próbę unieruchomienia. Była jednym z gryfów, które uratowano z Trzeciego Dywizjonu w Przełęczy Stelvi. Ma'ar trzymał je wszystkie zakute w łańcuchy i miał zamiar odciąć im skrzydła. Nie wiemy, co jeszcze im zrobił, ale wiemy, że były torturowane w jakiś szczególnie wymyślny i sadystyczny sposób.

No właśnie. Spraw, aby my siata o tym gryfie jak o osobie, a nie jak o zwierzęciu. Sprawdź, do czego to doprowadzi.

- Być może to ona - odparła Zimowa Łania wolno, jak gdyby ta uwaga nią wstrząsnęła. - Miała wiele blizn, których nie potrafiłam wyjaśnić, i była samica...

Bursztynowy Żuraw, zanim znowu przemówił, zbadał chore miejsce.

- Ma'ar przeznacza dla gryfów najgorsze ze swoich tortur. Urtho uważa, że postępuje tak specjalnie. Ma'ar wie, że Mag Ciszy traktuje je jak swoje dzieci, a nie tylko jak "stworzenia".

- Nie wiedziałam o tym.

Przez chwilę milczeli. Płomyki w latarniach zawieszonych nad ich

głowami płuęły ze słabym sykiem i trzaskiem.

- Lubię zwieręta. Zawsze bylam dobra dla koni i psów. Dlatego zostałam trondi'irn.

- Gryfy... - zaczął. - Gryfy nie są zwierętami - powstrzymał się w porę.

- Myślałam, że gryfy to tylko zwieręta, tak jak konie bojowe Kaled'a'in. Myślałam, że one tylko mówią, tak jak ptaki-posłańcy... że naśladową ludzi, nie rozumiejąc niczego więcej poza zwykłym rozkazem.

Westchnęła. Mięśnie na jej plecach uniosły się i lekko drżały pod jego palcami, a on dołożył starań, aby to lekkie drzenie nie przerodziło się w bolesny spazm.

- Zawsze sobie powtarzałam, chociaż to nieprawda, że one są tylko zwierętami. Nienawidzę patrzeć na ból. Świadomość, że gryfy będące w tak strasznym stanie myślą, była dla mnie nie do zniesienia.

- No cóż - odparł Bursztynowy Żuraw, ostrożnie dobierając słowa - zawsze myślałem, że gorsze jest patrzeć na cierpiące zwieręta niż na ranne stworzenia, jak hertasi, gryfy, kyree czy tervardi. Zwieręciciu nie można wytłumaczyć, że trzeba mu przez chwilę sprawić trochę większy ból, aby później mu się polepszyło. Jednak myślącemu stworzeniu można to powiedzieć i liczyć na to, że uwierzy i będzie współpracować. Dla mnie najgorszy był widok umierającego zwieręcia - szczególnie takiego, które było przywiązane do człowieka. Uważają nas, kestra'chern, prawie za bogów i spodziewają się, że zmienimy wszystko na dobre. Kiedy jednak nie można nic zrobić, świadomość, że się zdradza tę ich wiarę, jest straszna.

- Mówisz tak, jakbyś już nieraz o tym myślał - powiedziała. Jej głos jednak brzmiał dziwnie, był kontrolowany, a właściwie przesadnie kontrolowany.

- Na tym polega moja praca - przypomniał jej z ironią. - Byłabyś zdziwiona, widząc, ilu ludzi przychodzi do mnie nawiedzanych przez koszmary, w których widzą, jak ich zwieręta giną na polu bitwy. Częścią tego, co robię, jest wyjaśnianie im, dlaczego widzą ginące zwierzę a nie umierającego przyjaciela. Tylko nie mówię im tego w ten sposób.

Nie potrafiła nic odpowiedzieć, żalem po kilku westchnieniach wróciła do bezpieczniejszego tematu.

- W każdym razie próbowałam leczyć tego gryfa. Pochyliłam się nad nią w dziwacznej pozycji, aby założyć jej szwy bez krępowania jej.

Kopnęła mnie obiema tylnymi nogami. Wyrzuciła mnie w powietrze i paskudnie upadłam. Już gdy się podnosiłam, czułam, że mnie bardziej boli. Nie bolało jednak mocno, więc pomyślałam, że nic mi nie jest.

Dobrze. Gryf przestał być "to" i zaczął być "ona" postęp.

- Ale ból był coraz gorszy, prawda? - ciągnął. - To oznaka, że stało się coś niedobrego z którymś z twoich dysków międzykręgowych.

- Nie zapominam tak szybko raz danych mi lekcji - skontrowała równie ironicznie, jak on przedtem. - Ale jak powiedziałaś' uzdrowiciele byli zajęci poważniejszymi urazami niż mój, a ja nie zamierzałam narzekać na coś tak błahaego, jak ból pleców.

- Mówienia o dotkliwym bólu nie nazwałbym narzekaniem - powiedział tylko.

Rozluźniła się trochę, nieznacznie, ale dostrzegalnie.

- Ten uraz wymaga dłuższego leczenia - ciągnął. - To znaczy powinnaś się zmusić i udać się do prawdziwego kestra'chern.

Skóra na jej karku znowu poczerwieniała.

- Ja... Jesteś lepszym uzdrowicielem ode mnie - odparła z pokorą. To, że musiała się do tego przyznać, nie sprawiło jej radości. - Gdybyś był tak miły... Wiem, ile wynosi twoje honorarium... Gdybyś jednak znalazł czas...

- Aby upewnić się, że uzdrowiciel moich przyjaciół jest w dobrej formie, poświęciłbym nawet królewskie honorarium - odparł Bursztynowy Żuraw z godnością. - Kiedy cierpisz na bóle, nie możesz dobrze wykonywać swojej pracy. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Skan nie jest moim jedynym przyjacielem spośród gryfów, a ja pragnę, aby moi przyjaciele mieli jak najbardziej kompetentną i dobrą opiekę.

- O - odezwała się słabo. - Dziękuję. Znowu zbadał chore miejsce.

- Z dyskiem zrobiłem wszystko, co na razie było można - powiedział zgodnie z prawdą. - Skończę masaż, a potem możesz pójść. Myślę, że powinnaś odczuć różnicę.

- Już czuję - przyznała.

Nabrał trochę świeżego, pachnącego olejku w dłonie, potarł je, by je ogrzać, i zaczął gładzić mięśnie jej pleców, których wcześniej nie dotykał. Tylekroć doznawały skurczu, że stały się napięte i twarde jak struny harfy, i tak poskręcane jak nitka, którą po raz pierwszy szyje dziecko.

Kiedy przyszło początkowe rozluźnienie, zaczęła sapać i drzeć na ca-

łym ciele. Bursztynowy Żuraw doskonale znał taką reakcję, ale ona najwyraźniej nie.

- O! - wykrzyknęła i znowu się napięła. - Ja...

- Wszystko w porządku, nie ruszaj się - nakazał. - To normalna reakcja, gdy rozluźnię napięte mięśnie. Nie zwracaj to uwagi, jeśli możesz, albo spróbuj się tym cieszyć.

Nic na to nie odpowiedziała. Interesujące. Kiedy ostatnio zrobił tę szczególną uwagę, pewien prosty żołnierz odrzekł mu z niebezpieczną ironią: - "Zupełnie jak przy gwałcie". Była to normalna reakcja u zwykłego żołnierza, który nazbyt często bywał w pozycji ofiary.

Jednak u Zimowej Łani nie było żadnego napięcia mięśni karku, żadnego skurczu, który by wskazywał, że taka myśl pojawiła się w jej głowie.

Interesujące. Bardzo interesujące. A więc bez względu na to, czego ona się boi, nie o to chodzi. I nie jest "zwyczajną duszą", tak jak twierdzi.

- Jeśli cię zaboli, powiedz mi - rzekł. - Dobry masaż nie powinien boleć. W twoim przypadku, jeśli zacznę sprawiać ci ból, znowu się napniesz i zepsujesz wszystko, co do tej pory zrobiłem poza prawdziwym uzdrawianiem.

- Powiem - obiecała. - Ale to nie boli. Po prostu czuję się dziwnie. Moje ma... masaże, które miewałam w przeszłości, nigdy nie były związane z urazami.

Jaki może być inny rodzaj masażu? Nie może mieć na myśli erotycznego. A więc - upiększający?

Na to mógł wskazywać stan jej skóry. Była jędrna i gładka. Kiedy poza i sztywność opuściły ciało Zimowej Łani, była uosobieniem ludzkiego piękna. Skrupulatnie dbała o swoją skórę i włosy. Miała wypielegnowane paznokcie stóp i nigdzie żadnych zgrubień ani odcisków, nawet tych związanych z jazdą konną czy walką.

Niezwykłe. Z pewnością były to oznaki kogoś wysoko urodzonego. Bursztynowy Żuraw sądził, że zna wszystkich ludzi ze szlacheckich rodów, którzy kiedykolwiek żyli w pobliżu Wieży Urtho.

Być może ona była tutaj wcześniej, zanim ja przybyłem? Ale to oznacza, że musiała tu przybyć na samym początku wojny.

- Jak ci się wiedzie z twoimi dowódcami? - spytał, dodając: - Muszę to wiedzieć, ponieważ jeśli ci się nie układa, wpłynie to niekorzystnie na twoje mięśnie i będę cię musiał prosić, abyś piła zioła powodujące

rozluźnienie, kiedy będziesz znajdować się w pobliżu swych przełożonych.

Milczała przez długą chwilę.

- Uważają mnie za poprawnego podwładnego. Przypuszczam, że taka jestem. Pewnie dlatego stan moich pleców tak nagle się pogorszył. Nigdy im się nie sprzeciwiłam, nawet teraz. Chyba uważasz mnie za tchórza, ale chociaż nie zgadzam się ze sposobem, w jaki traktują gryfy, nie chcę; zostać zdegradowana i odesłana gdzie indziej.

- Nie stałoby się tak, gdybyś przedstawiła sprawę Urtho - stwierdził. - Jesteś trondilirn i twoim obowiązkiem jest odwoływać się od rozkazu dowódcy, jeżeli uważasz, że twoi podwładni są źle traktowani.

- Nie mogę tego zrobić. - Jej skóra była zimna. Zimowa Łania bała się. Czego? Konfrontacji? Pójścia bezpośrednio do Urtho? - Poza tym - ciągnęła pośpiesznie - mój k... kochanek jest jednym z magów Shaiknama. Nazywa się Conn Levas. Gdybym poszła do Urtho, mogłabym być przeniesiona, a chcę być z nim w jednym dywizjonie.

Nieprawda! Jej mięśnie mu to powiedziały, a intuicja Bursztynowego Żurawia to potwierdziła. Sposób, w jaki zająknęła się na słowie "kochanek" (wcale nie wstydziła się je wypowiedzieć, ale czuła wstręt, nazywając go w ten sposób), tylko go w tym upewnił. Bursztynowy Żuraw pamiętał Conna Levasa, maga, który przyszedł do niego, aby zawstydić swoją kochankę. Tą kochanką była Zimowa Łania. Być może ona i ten mag dzielają pasję do zwierząt, ale między nimi z pewnością nie ma miłości. W ogóle nie obchodzi ją to, czy zostanie przydzielona do innego miejsca niż on.

W tym wszystkim jest coś istotniejszego. W jakiś sposób ten człowiek ją chroni. Niekoniecznie musi o tym wiedzieć, ponieważ gdyby tak było, wykorzystalby to przeciw niej.

Z upływem czasu wszystko stawało się coraz bardziej skomplikowane.

- No cóż, powiedziałbym, że nie potrzebujesz się o to dłużej martwić - rzekł obojętnym tonem.

- Co masz na myśli?

Widać było, że się naprawdę zdenerwowała, coś ją zaniepokoiło, nawet się wzdrygnęła.

Położył dłoń pośrodku jej pleców i gładził rozedrgane mięśnie.

- Dzięki Zhaneel Urtho już został powiadomiony o sytuacji panującej w Szóstym Dywizjonie. Nie będziesz musiała teraz przed nikim stawać.

Spodziewam się, że Mag Ciszy sam zajmie się tą sprawą. Jak to zwykle robi.

- Ach tak - znowu się rozluźniła.

Co, u licha, postawiło ją w taki stan gotowości? Musi to być coś związanego z tym, czego tak bardzo się obawia.

Co to mogło być, nie miał pojęcia. Być może powinien zagłębić się w przeszłość, ale tak, żeby nie przestraszyć Zimowej Łani.

- Wszystkich swoich umiejętności nauczyłem się jeszcze jako dziecko - powiedział ostrożnie. - Moi rodzice wysłali mnie do bardzo dziwnej szkoły, takiej, która nie wierzy w istnienie daru uzdrawiania ani empatii. Nauczyłem się niemało o uzdrawianiu bez używania tych darów - wszystkiego od anatomii po masaż i ziołolecznictwo. Jednak pracując z chorymi, czułem się jak w pułapce. Byłem silnym empatą, a nie potrafiłem się odciąć od nich. Byłem nieszczęśliwy, a moi rodzice nie rozumieli, dlaczego. Pisałem o tym w listach, błagając, żebym mógł wrócić do domu. Myśleli, że robią to dla mojego dobra, i nie potrafili zrozumieć, dlaczego nie jestem im wdzięczny.

- Moi rodzice byli podobni - powiedziała sennie. - Uważali, że ich dzieci są wyjątkowe, i nie zgadzali się na nic, co nie byłoby doskonałością. Nigdy nie rozumieli, dlaczego nie jestem im bezgranicznie wdzięczna za wszystkie możliwości, jakie mi stworzyli.

Tak myślałem! A więc mamy coś, od czego można zacząć, już teraz.

- Z pewnością twoi rodzice, podobnie jak moi, myśleli, że kierują się twoim najlepszym interesem - odparł szybko. - Być może byli zbyt młodzi na dzieci. A może po prostu nie rozumieli, że dziecko nie jest wierną kopią rodziców. Wielu ludzi myśli w ten sposób. Uważają, że dziecko musi mieć te same potrzeby i zainteresowania co oni, dlatego że jest ich potomkiem. Nie rozumieją, że dziecko może być zupełnie inne od swoich rodziców.

- A więc? - spytała, może ostrzej, niż zamierzała. - Czy to ich tłumaczy?

Pozwolił jej to przemyśleć, zanim odpowiedział.

- To ich nie tłumaczy - powiedział w końcu - ale wyjaśnia pewne sprawy, choćby przyczyny, dla których jesteście tacy a nie inni. Przyczyny, dla których musimy tacy być. Nawet Ma'ar w tym, co robi, kieruje się jakimiś swoimi racjami.

Potem sprowadził dyskusję na tory filozoficzne.

A kiedy Zimowa Łania wyszła po skończonym zabiegu, stwierdził, że

jest mu jej nie tylko żal, ale że nawet ją trochę polubił.

Wiedział, że ona chciałaby się zmienić. Z pewnością będzie jej ciężko, gdy zostanie sama z tym problemem. Będzie musiał jej pomóc. W stanie, w jakim się znajduje, grozi jej niebezpieczeństwo, zarówno ze strony jej samej, jak i od każdego, z kim się zetknie. Bez względu na to, jak bardzo pragnie to ukryć, jej równowaga jest zachwiana, ona czegoś się boi.

A lęk był najlepszą bronią Ma'ara.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Skandranon odchylił delikatnie szponem klapę roboczego namiotu Tamsina. Powiew wiatru dostał się razem z nim do środka, głaszcząc pióra na jego grzebieniu. Tak jak się spodziewał, Tamsin i Cinnabar mruzcili coś do siebie pochyleni nad notatkami, obojętni na cały świat. Wyglądali wspaniale - oni, blat stołu i cenny stosik papieru. Światło lampy padało na dwie głowy: jasną i ciemną. Byli uosobieniem spokoju. Jednak Skan w tej chwili nie szukał żadnych pięknych obrazów. Dopóki istniał Ma'ar, spokój był tylko iluzją. Wiedział o tym, dlatego zdecydował się na kradzież sekretu, pomimo że była to niebezpieczna zabawa.

Ten sekret przynajmniej zapewni przeżycie jego ludowi, bez względu na to, co przytrafi się Urtho.

- Sporo czasu potrzebowałeś, aby tu dotrzeć - powiedział Tamsin, nie podnosząc głowy, podczas gdy Cinnabar spojrzała na niego przymrużonymi oczami, uśmiechając się z przekąsem. Napisał jeszcze dwa czy trzy słowa, po czym odsunął kartkę i uniósł oczy, napotykać wzrok Skana. - Co robiłeś? Zatrzymałeś się, aby uwieść pół tuzina gryfie po drodze?

Nozdrza Skana poczerwieniały, ale udało mu się zapanować nad głosem, aby się nie zdradzić. Pół tuzina gryfic? No cóż, chodziło tylko o jedną samicę, a uwiedzenie nie wchodziło w grę. I chociaż nie miał czasu, by wymyślić jakąś solidną wymówkę, postanowił raczej nie mówić nikomu o Kecharze.

- Wcale nie, po prostu zatrzymałem się, aby popatrzeć na coś bardzo interesującego w Wieży. Zatem, co odkryliście?

Po błysku w oczach Tamsina można by sądzić, że wieści były bardzo pomyślne.

- Twoje "czary" nie są dokładnie czarami - odparł Tamsin. - Umożliwienie płodności u samców i samic gryfów wymaga kombinacji pewnych rzeczy, które są czymś w rodzaju przygotowania, jakie każdy gryf może przejść bez pomocy magii, chociaż odrobina magii czyni je łatwiejszym. Urtho po prostu cały proces okrył mistycyzmem, abyście sądzili, że jest to coś silnie magicznego. Jego notatki zawierają wskazówki, co robić, aby osiągnąć najlepsze efekty prawie bez utraty energii. Oszukał was wszystkich, Skan.

Skan potrząsnął głową tak szybko, że uderzył się we framugę i za-

mrugał. Liczył na to, że wymagane czary nie będą zbyt trudne, ale w życiu nie spodziewał się czegoś takiego.

- Co? - wykrzyknął.

Tamsin śmiał się, odchylając się do tyłu w fotelu i splatając ręce za głową.

- Kiedy was projektował, chciał mieć jakąś automatyczną kontrolę nad waszą płodnością, dlatego pożyczył niektóre rzeczy od innych zwierząt. Weźmy na przykład sowę białą - samice nie zniosą zapłodnionych jaj, dopóki samiec ich najpierw nie nakarmi myszami. Nagły wzrost spożycia mięsa wyzwała w ich ciałach odpowiednie procesy i umożliwia zapłodnienie jaj; a im więcej mięsa zjedzą, tym więcej złożą zapłodnionych jaj. No cóż, Urtho wykorzystał ten mechanizm dla waszych samic. "Rytuałem" dla samic gryfów jest dwudniowy post, a potem objedzenie się świeżym mięsem tuż przed lotem godowym. Ich podświadomość odbiera sygnał, że wokół jest dość pożywienia, aby wykarmić rodzinę, tak jak u sów, i stają się płodne.

- Ale... - Skan słabo zaprotestował. - My nie składamy jaj. Jak to może...

Tamsin go zlekceważył.

- Od śnieżnych tygrysów także coś zapożyczył. Mogą mieć młode cztery razy w roku, kiedy klimat jest cieplejszy, ale mają je tylko raz, ponieważ temperatura ciała samców jest tak wysoka, że jego nasienie jest bezużyteczne z wyjątkiem okresu zimowego. A więc Urtho zaprojektował wasze samce tak, aby temperatura waszego ciała była normalnie tak wysoka, że wasze nasienie pozostaje "uśpione", tak jak u tygrysów. A więc częścią waszego "rytuału" jest spanie i medytowanie w jaskini przez dwa dni, kiedy samice poszczą. To obniża temperaturę wystarczająco, aby wasze nasienie stało się aktywne. Bardzo prosty czar powoduje, że temperatura ciała samca pozostaje niższa niż normalnie aż do chwili zakończenia lotu godowego. I to jest ten jedyny fragmencik magii wprowadzony przez Urtho, zaklęcie kluczowe. Jest to tak niewielki czar, że nawet nie wyuczony uzdrowiciel mógłby tego dokonać. Po prostu są pewne środki, napary, które możemy ci dać, a one za jakiś czas wywołają podobny skutek.

- Albo możesz posiedzieć trochę na kawałku lodu - dodała wesoło Cinnabar, odrzucając włosy do tyłu. Następny powiew wiatru wpadł przez otwartą kłapę namiotu i spowodował, że płomyk w latarni przez moment zachybotał.

- Dziękuję wam - powiedział Skan z taką godnością, na jaką mógł w tej chwili się zdobyć. - Wątpię jednak, abym to wytrzymał.

- Mówiąc poważnie, oznacza to, że w przypadku zupełnego braku uzdrowicieli czy ziół, samiec gryfa może utrzymać swoje nasienie w aktywności, parząc się w zimie podobnie jak tygrysy śnieżne, czy śpiąc przez dwa dni w jaskini, a potem lecąc wysoko podczas lotu godowego tam, gdzie powietrze jest zimne nawet w lecie - rzekł Tamsin. A potem wybuchnął śmiechem. Już bardzo dawno Skan nie widział, aby uzdrowiciel tak beztrosko się śmiał. Był to wspaniały widok. - Ale stworzenia tak gorąco krwiste jak Czarny Gryf prawdopodobnie będą musiały udać się aż na północny kraniec świata!

Cinnabar przyłączyła się do śmiechu swego kochanka i nawet Skan-dranon słabo zachichotał. Już od bardzo dawna Tamsin oczekiwał na coś, co dotyczyłoby raczej tworzenia niż niszczenia. Przez ten krótki czas być może zapomniał o wojnie i o wszystkim, co ona oznaczała.

- A jeśli chodzi o sam lot godowy, to im lepszy lot, tym łatwiej, aby... aby wszystko zadziało. Powoduje, że krew lepiej krąży i ciało lepiej funkcjonuje. Im bardziej wyteżony lot, o tutaj - powiedział i wyciągnął jedną kartkę ze swoich notatek - im lepszy lot, tym bardziej jest prawdopodobne, że będzie poczęte więcej niż jedno gryfiątko. A przecież o to chodzi.

Skan opadł ciężko w samym wejściu. Trudno mu było uwierzyć, że tak tajemniczy proces mógł być taki prosty.

- I to wszystko? - spytał, zbyt zdziwiony, aby czuć uniesienie.

- Tak - odparła Cinnabar, wzruszając ramionami i bezmyślnie splatając kosmyk włosów. - Reszta jest tylko wynikiem niemałego zamiłowania Urtho do teatralnych gestów. Jest prawie artystą. Większość jego notatek dotyczy tylko tego. Ostrzegam, że jeśli te wskazówki nie będą ściśle przestrzegane, wy, gryfy, pozostaniecie bezpłodne jak dotąd. - Pochyliła głowę na jedną stronę i przyglądała się Skanowi ciemnymi zamyślonymi oczami. - Zaprojektował was bardzo dobrze i sądzę, że powinniście wiedzieć, dlaczego uczynił was bezpłodnymi, dopóki nie wykonacie pewnych przygotowań. Dokładnie wyjaśnia to w swoich notatkach.

Skan czekał, aż ona sama mu powie, ale najwidoczniej Cinnabar za-leżało, aby zapytał.

- A zatem, dlaczego to zrobił? - zagrzmiał gryf. Znow poczuł gniew na Urtho. - Przychodzi mi na myśl wiele powodów: mamy być wojowni-

kami, a zbyt trudno jest siać wokół zniszczenie, gdy w gnieździe znajdują się gryfięta, o które trzeba się troszczyć.

- Masz skłonność do dramatyzowania. "Siać wokół zniszczenie?" - zadrwiła Cinnabar.

Skandranon próbował to zlekceważyć.

- Być może nie chciał nagle znaleźć się wśród samych żółtodziobów. Mogłoby to oznaczać wyczerpanie zasobów pożywienia, a głodne gryfy zostałyby zdziesiątkowane, uczestnicząc w dzikich bojach. Poza tym jesteśmy jego stworzeniami, być może chciał mieć większą kontrolę nad tym, jakie pary będą miały potomstwo.

Ten program hodowlany. Być może chciał uzyskiwać tylko czyste "typy" bez żadnych hybryd. Hodowcy zazwyczaj nie lubią lamalli.

- A być może chciał tylko trzymać nas w szachu i dlatego wymyślił cały ten sekret.

Gorycz, jaką poczuł, odkrywając stan Kechary i zapisy "programu hodowlanego", objawiła się bardziej, niż tego pragnął. - A więc, czy jestem blisko?

Cinnabar miała współczujący wyraz twarzy, a ton jej głosu złagodniał. Pochyliła się do przodu, była poważna.

- Skan, to nie był żaden z tych powodów. Powód był inny, mam go tutaj, wyrażony jego własnymi słowami. Pozwól, że ci go przeczytam. Sądzę, że poprawi ci samopoczucie.

Pochyliła się nad notatkami i przeczytała je na głos.

- "Zbyt często widywałem wśród ludzi rodziców, którzy byli zbyt młodzi, zbyt chwiejni lub w jakiś inny sposób nie nadawali się do tego, by mieć dzieci. Płodzili jednak dziecko po dziecku. Nie chciałbym, aby podobne rzeczy działy się u moich gryfów. Obserwując je, a później szkoląc innych, by je obserwowali, mogę stwierdzić, które pary się kochają i są trwałe, którzy przyszli rodzice mają dość cierpliwości i rozsądku, aby mieć dzieci. W ten sposób być może moje stworzenia będą miały szczęśliwszy start w życiu niż większość otaczających je ludzi. Chociaż nie mogę być ekspertem w tych sprawach, nauczyłem się przynajmniej, jak obserwować zachowania drugich, a doświadczenie może dać mi podstawę do osądzania, które pary są przygotowane na młode. Ci, którzy chcą mieć dzieci, nie mogą ich sprowadzać na ten niebezpieczny świat powodowani tylko chęcią posiadania swojej repliki, stworzenia, które mogliby kształtować i kontrolować, aby ono osiągnęło to, czego oni sami nie byli w stanie. Nie mogą kierować się po-

trzebą posiadania czegoś, co zaspokoi bez żadnych warunków ich pragnienie miłości. Muszą tego szukać gdzie indziej, najprawdopodobniej w samych sobie” - Cinnabar przerwała na chwilę, aby dać Skanowi czas na zrozumienie słów Urtho, a potem czytała dalej. - “Powodem zrodzenia młodych powinna być po prostu miłość i szacunek dla przyszłego dziecka oraz do świata, na który zostanie ono wydane. Jeżeli zrodzenie dziecka będzie wymagało więcej wysiłku, niż tylko zaspokojenie swej własnej chwilowej żądzy, być może będzie mniej nieszczęścia na tym świecie. Być może moje gryfy będą szczęśliwszymi stworzeniami niż ich stwórca”.

Cinnabar spojrzała na niego wyczekująco. Skan siedział, mrugając oczami i milcząc. Hałasy obozowe dochodziły bardzo odległe i jakby nie z tej rzeczywistości.

Obraz Urtho, który Skandranon miał w swym wnętrzu, ulegał licznym, drastycznym przemianom w trakcie tego jednego wieczora. Ale to...

Uniesienie - i szalona radość - na nowo zaczęła w nim narastać. Prosta, nieskomplikowana radość; taka sama radość, jaką odczuwał z przyjaźni z Urtho, a którą uważał już za straconą na zawsze. *To więcej niż kiedykolwiek spodziewałem się usłyszeć. Prawdziwy powód, dobry, słuszny powód. Powód, z którym się mogę nawet zgodzić. Napisał o tym własnoręcznie, dla siebie i dla innych. Nagle cała ta tajemnica nabiera sensu. I nawet wszystkie środki ostrożności wydają się na miejscu. Błąd zawsze może się zdarzyć. Tak stało się w przypadku Zhaneel. Jej rodzice umarli, a ona została odrzucona przez innych, którzy uważali ją za wyrodka. Nie sądziłem, że Urtho myślał w ten sposób...*

- Urtho jest... mądrzejszy niż myślałem - powiedział w końcu głosem napiętym od hamowanych emocji, których po prostu nie mógł wyrazić. - Miał rację, że tak nas prowadził.

- O, śmiem powiedzieć, że wy wszyscy możecie sobie doskonale sami poradzić - rzekł Tamsin z błyskiem w oczach - To wszystko wymaga jednak znacznego wysiłku ze strony gryfów, i każda para prawdopodobnie dokładnie się zastanowi, zanim podejmie się zobowiązań.

Skandranon zacisnął mocno powieki i wziął głęboki oddech, potem zatrząsł się cały i nastroszył pióra na piersi i na grzbiecie'

- Nie ma żadnego “prawdopodobnie” w tej sprawie - odrzekł Tamsinowi i już w lepszym humorze, dodał. - Możemy okazać się tak samo

leniwi jak wszystkie pozostałe rasy. Będzie więcej młodych, ale przynajmniej na początku niezbyt wiele. Z powodu jednej rzeczy związanej z wojną: niewiele jest czasu na takie wyczerpujące przygotowania.

Cinnabar uśmiechnęła się i pokiwała ze zrozumieniem głową. Tamsin westchnął.

- Przy okazji - powiedział - z notatek jasno wynika, że samiec i samica nie mogą być za grubi, jeśli chcą mieć młode, a lot godowy musi być cholernie imponujący, żeby organizm zaczął działać odpowiednio, by zapewnić płodność. Jeżeli nie dasz z siebie wszystkiego w tym locie, no cóż, trochę poćwiczysz i tyle. - Uniósł sugestywnie jedną brew.

- Czasami ćwiczenia mogą przynieść wiele korzyści - odparł Skan z godnością.

- No cóż - rzekła Lady Cinnabar z tak niewinnym wyrazem twarzy, że Skan wiedział, iż ma zamiar go ukłuć. - Słyszałam, że jesteś prawdopodobnie największym ekspertem w dziedzinie gryfich ćwiczeń, jaki kiedykolwiek żył na świecie. Powinieneś więc to wiedzieć.

- Ja? - Skan usiłował wyglądać tak samo niewinnie jak ona. Nigdy nie marnował okazji, aby trochę pożartować w dobrym towarzystwie. Zawsze znaleźli się chętni, którzy chcieli trochę poszydzić z tak znanej osoby jak on. A zatem, czyż mógł odpowiedzieć inaczej? - Sądzę, że ponieważ jestem ekspertem tańca, pociągającym i uzdolnionym w akrobatyce powietrznej, więc chyba masz rację.

Ramiona Tamsina zatrzęsły się od cichego śmiechu. Cinnabar tylko się niewinnie uśmiechnęła i rozpuściła kosmyk, który przez cały czas splatała.

- Martwiłabym się o ciebie, gdybyś odpowiedział inaczej, Skan - odparła poważnie chwilę później. - W tym wszystkim bardzo łatwo zatrać siebie.

- Nie powiem, że czuję się jak piórko na wietrze, moja pani. Ale muszę sobie radzić takim, jakim jestem. A ponieważ jestem pociągający, moim obowiązkiem jest zapewnić was, że nie jestem przeciążony.

- Jestem wam winien gorące podziękowania, moi przyjaciele - dodał szybko, zmieniając temat, zanim Cinnabar zdołała go zapytać, dla kogo jest taki pociągający. - Nie mógłbym tego wszystkiego dokonać sam. I prawdopodobnie po raz pierwszy i ostatni możecie słyszeć o czymś, czego Czarny Gryf nie mógł dokonać sam.

- Rzeczywiście! - Tamsin uniósł brwi - Wasza Wysokość, cóż za niezwykle wyznanie. Mieliśmy zamiar prosić cię o wszystkie twoje dobra

jako zapłatę, ale to wyznanie jest większą rzadkością niż...

Cinnabar szturchnęła ostro swego kochanka.

- Głupi, on mówi poważnie - skarciła go. - To znaczy jeśli chodzi o podziękowania.

- Jestem wam tak wdzięczny, że nie wiem, jak wam wynagrodzić - powiedział łagodnie Skan. - Nie tylko ja wam wiele zawdzięczam, ale my wszyscy.

Cinnabar tylko pokręciła głową.

- Nie myśl o tym jako o długu wobec kogokolwiek - odparła z czułością w głosie. - Pomyśl o tym po prostu jako o darze od przyjaciół. Być może największym darze, jaki kiedykolwiek mogliśmy ci ofiarować, i był to dla nas prawdziwy przywilej, a nie ciężar.

Spojrzał na nią zdziwiony. Nie miał pojęcia, że myślała o tym w ten sposób. Oczywiście wiedział, że są jego przyjaciółmi, ale nigdy nie uświadamiał sobie, jak wiele to słowo oznacza.

- Dlaczego? - zapytał, nie ukrywając zdziwienia.

Cinnabar zamyśliła się na moment.

- Myślę, że Tamsin, Bursztynowy Żuraw i ja bardziej podziwiamy twój lud, niż sądzisz. To samo dotyczy prawie wszystkich trondi'irn. Nie można myśleć o gryfach i ich nie podziwiać; jest w was tyle dobrego.

Skan pochylił głowę, rozdarty między zadowoleniem a zakłopotaniem. Jedną rzeczą było przechwalać się na temat gryfów w ogólności, a na swój temat w szczególności, inną zaś słuchać wylewnych pochwał z ust lady Cinnabar, która przemierzyła świat wzdłuż i wszerz, przebywała na najlepszych dworach i rzadko cokolwiek czy kogokolwiek chwaliła.

- A jednak jesteś dość nieznośny - ciągnęła, a w jej oczach pojawiły się figlarne ogniki. - A pokaźna liczba równie nieznośnych piskląt to dokładnie to, na co zasługujesz. Mam nadzieję, że to cię nauczy prawdziwej pokory!

Skan prychnął i wyprostował się tak, że grzebieniem dotykał sufitu namiotu.

- Rzeczywiście! - odparł. - Wszystko będzie w porządku, jeśli tylko będziecie tak mili i nauczycie mnie tego waszego "prostego uzdrawiającego zaklęcia", oraz powiecie, jakie zioła są do tego potrzebne. Wtedy zacznę rozpuszczać tę informację wśród reszty gryfów.

- Wszystko przygotowane, mój przyjacielu. - Tamsin podsunął mu kartkę papieru zapisaną kaligraficznym pismem. - Zapamiętaj to i

przestrzegaj dokładnie, a radość ojcostwa będzie należeć do ciebie! I do każdego gryfa, którego zamierzasz skazać na pieluchy oraz nieustanne odpowiadanie na pytanie "Dlaczegooo?"

Skan wziął od niego kartkę i szybko przelał jej zawartość do swej pamięci. Gdy tylko skończył czytać, schował kartkę do torebki na szyi.

- Mieliście już jakieś wiadomości od magów? - zapytał.

Pokręcili przecząco głowami.

- Nie zasnę, dopóki się czegoś nie dowiem - rzekł Tamsin z całą powagą. - Sprawa magów najprawdopodobniej dotyczy także was i innych nie-ludzi.

- Wiem. - Skan przez moment dotknął językiem końca dzioba. - No cóż. mamy rozsądny pomysł. Może poczekamy trochę na Vikterena? Będzie chciał wiedzieć, co działo się z nami tak samo, jak my chcemy wiedzieć, czego on dokonał.

Tamsin wstał i podał rękę Cinnabar.

- Chodźmy zatem zacząć się na tego człowieka.

Znaleźli zmęczonego Vikterena na ścieżce w połowie drogi między Wieżą a Wzgórzem Uzdrowiciela. Właśnie ich szukał. W końcu okazało się, że rezolucja nie miała wiele wspólnego z rezolucją. Vikteren po spotkaniu był wykończony i niewiele zdołał z siebie wykrztusić.

- No cóż, doszliśmy do czegoś w rodzaju rozwiązania. Nikogo to w zupełności nie zadowoliło, a więc jak przypuszczam, musiał to być dobry kompromis.

To wystarczyło Tamsinowi i Cinnabar, szczególnie że Cinnabar była pewna, iż usłyszy o wszystkim od samego Urtho. Skanowi jednak to nie wystarczyło.

Młody mag obiecał Skanowi, że udzieli mu szczegółowego wyjaśnienia, gdy tylko trochę odpocznie. Umówili się na następny dzień.

Szli w kierunku toru przeszkód Zhaneel. Vikteren powiedział trochę więcej na temat tego, co okazało się najbardziej anarchistycznym spotkaniem, jakie wydarzyło się w szeregach Urtho.

- Było wiele narzekania, jęczenia, gadania, ale można to równie dobrze przedstawić w kilku zdaniach. Żaliliśmy się i lamentowaliśmy, padały nazwiska, było wytykanie palcami. Na tym upłynęła większość nocy. Urtho powiedział, że magowie nie znają się na strategii, a więc nie mają żadnego prawa, by ją narzucać. Zgodził się jednak, że w

pewnych punktach mamy rację, a niektórzy działają tak, jak gdyby oddziały były przeznaczone na stracenie i że on sam się tym zajmie. Dopóki nie rozwiąże tego problemu, magowie mają wykonywać swoje zadania i składać meldunki bezpośrednio adeptowi Kaled'a'in - Śnieżnej Gwieździe, który z kolei będzie podlegał jemu. Na tym zebranie się skończyło. - Vikteren wzruszył ramionami. - Śnieżna Gwiazda nie był do końca ucieszony ze swej nowej funkcji, ale jest on najbardziej zorganizowanym adeptem obok Urtho, jakiego znam, toteż sądzę, że wybór był logiczny. Ma on liczny personel do robienia notatek i tuzin ptaków-posłańców. Magowie narzekali, że tak niewiele zdziałaliśmy, ale generałowie także narzekali, że musieli zrezygnować z jakiejś części swojej władzy a więc przypuszczam, że trochę posunęliśmy się naprzód.

- Też tak uważam.

Usiedli na niewielkim ocienionym wzniesieniu. Skan przyszedł tu znowu, by obserwować Zhaneel, ale Vikteren tym razem nie uczestniczył w treningu. Zhaneel nadzorowała inne gryfy na torze przeszkód. Vikteren nie mógł pomagać jej czy innym gryfom w czymś, co nadal było nieoficjalnym szkoleniem.

Oczywiście, zgodnie z plotkami, miało się to wkrótce zmienić. Trener Shire zabiegał o to i miał pewne poparcie wśród części magów, którzy widzieli tu wspaniałe miejsce do szkolenia uczniów w magii bojowej. Dopóki jednak to szkolenie nie stanie się oficjalne, możliwości Vikterena były bardzo ograniczone.

Nikt z nich nie wiedział, co zaszło podczas "krótkiej pogawędki" Zhaneel z Zimową Łanią, poza faktem, że gryfca okazała się bardziej pewna siebie. Zdradziła jedynie Aubriemu, iż "punkt widzenia" trondi'irn Zimowej Łani jest wart rozważenia. Wydawało się, że tym "punktem widzenia" było to, iż naśladowają ją także gryfy, które nie nadają się do jej stylu walki atak-unik. Zatem ona i trener Shire powinni je selekcjonować, aby nie zrobiły sobie krzywdy. Zhaneel została obdarzona teraz pewną władzą, co było dla niej nowym doświadczeniem.

Wydawało się jednak, że to bardzo dobrze na nią wpływało, przynajmniej według osądu Skana. Zauważył, że zaszło w niej wiele korzystnych zmian. Chodziła, stała, a nawet latała z większą pewnością siebie i energią. Patrzyła innym prosto w oczy, nawet ludziom, do których wcześniej odnosiła się z niezwykłą pokorą. Jej pióra były ufryzowane, pięknie wymuskane, a upierzenie błyszczało zdrowiem.

Krótko mówiąc, była najbardziej pociągającym stworzeniem, na którym spoczął jego wzrok w ciągu całego życia. Jednakże nie był on jedynym gryfem, który doszedł do takiego wniosku.

Nie umknęło jego uwadze, że inne samce, ilekroć Zhaneel na nie spojrzała, prężyły się i przybierały dumne pozy. Było także widać, że ona wyraźnie jest świadoma ich zainteresowania.

Wystarczało to, by zgrzytał dziobem z przygnębienia.

Traktowała ich wszystkich z jednakową obojętnością, co stanowiło pewne pocieszenie. Nie zwracała jednak najmniejszej uwagi również i na niego. A to niestety nie było żadnym pocieszeniem. W końcu doskonale się wyróżniał, siedząc na otwartej przestrzeni. Zawsze rzucał się w oczy na tle innych gryfów, zwłaszcza w świetle dziennym. Z pewnością go widziała. Czyżby już zapomniała, jak ją obronił przed Zimową Łanią?

- Jak ci idzie z przekazywaniem twego małego sekretu? - spytał Vikteren, leniwie splatając łodygi traw w warkocz.

- Sam się przekazuje - odparł Skan, obserwując, jak Zhaneel pokazuje beczkę i zastanawiając się, czy jego biedne ciało i kości są na tyle zdrowe, aby mógł przyłączyć się do grona jej uczniów. Jego umiejętności taneczne z pewnością pomogłyby mu stać się wśród nich gwiazdą. Co się stało z tym nieśmiałym, małym gryf-sokołem, który wzbudził w nim tyle instynktu opiekuńczego? Instynkt, który teraz w nim budziła, nie był wcale opiekuńczy!

- Przekazałem sekret ośmiu dowódcom dywizjonów i ich towarzyszkom. Każdy z nich przekazał kolejnym czterem gryfom, i tak dalej. Jak powiedział Tamsin, to absurdalnie prosta rzecz, gdy już się pojmie, jak wiele w tym wszystkim mistyfikacji. Spodziewam się, że w ciągu trzech dni każdy tutejszy gryf pozna ten sekret.

Dotyczy to także Zhaneel. Ale tę informację chciałbym jej przekazać osobiście. Muszę wymyślić sposób, aby znaleźć się z nią sam na sam. Muszę jej powiedzieć, kim ona naprawdę jest.

- Czy ktoś zapytał, w jaki sposób zdobyłeś tę informację? - Młody mag spojrzał na niego z boku. - A może udawałeś głupiego?

Skan zaśmiał się i uniósł swoje czuby na uszach.

- Rzadko muszę udawać głupka! Gdyby jednak ktoś o to zapytał, to mam pół tuzina różnych opowieści. Żadna z nich nie jest prawdziwa, ale wszystkie są wiarygodne. Informacja jest dla nas wszystkich tak ważna, że nikt nie ma zamiaru dochodzić, skąd się wzięła, jeśli będzie

przynosiła efekty. Nie wierzę też, iżby znalazł się choć jeden gryf, który powiedziałby swemu hertasi, że jest wtajemniczony w ten sekret. Przynajmniej nie za szybko. Nikt nie chce, aby Urtho dowiedział się, że jesteśmy w jego posiadaniu. Sam mu to powiem, kiedy będę gotów.

Vikteren uniósł brwi.

- Chcesz zostać ofiarą? Zanieść mu na ochotnika złe wieści i zostać przykutym do ściany w jego gabinecie?

Nozdrza Skandranona poczerwieniały. Wolałby tego nie słuchać.

- Urtho jest moim przyjacielem. I zły czy dobry, ale to był mój pomysł, aby wykraść ten sekret. A więc to ja powinienem stawić czoło Urtho, a nie jakiś posłaniec. Wszystkie gryfy są zgodne, że to ja muszę mu o tym powiedzieć, iż już nie ma kontroli nad naszą prokreacją. Uważają, że ja najlepiej to wyrażę, nie wywołując u niego negatywnej reakcji.

- To znaczy uważają, że nie będzie miał ochoty pozbawić cię części skóry, jak mógłby zrobić z innym gryfem? - zauważył Vikteren. - I mają prawdopodobnie rację.

- Mam taką nadzieję - wymruczał Skan. - Mam nadzieję.

Czy Zhaneel dowie się, od kogo pochodzi wiadomość, gdy już do niej dotrze? Westchnął. Chciałbym mieć odwagę sam jej o tym powiedzieć...

Bursztynowy Żuraw postanowił spotykać się z Zhaneel chociaż przez kilka chwil dziennie, aby porozmawiać. Ten wieczór nie był wyjątkiem, ale tym razem dla odmiany miał sporo czasu wolnego. Bardzo dobrze: mimo że zyskała pewność siebie, straciła nieco piór, a poza tym musiał wyskubać wrastające lotki. Nie robił tego dla żadnego gryfa oprócz Skana od czasu, gdy był uczniem i malarzem piór. To proste zadanie jakoś dziwnie uspokajało. Twarde pióra pokrywowe i miękki puch pod jego dłońmi, uderzenia jej serca pod ciemnoczerwoną skórą i niewiarogodne ciepło, jakie wytwarza ciało gryfa, zawsze dodawało mu energii.

- On znowu tam był dzisiaj - odezwała się Zhaneel do Bursztynowego Żurawia, kiedy czyścił jej swędzące pióra. - Widziałam go. Wyglądał na wychudzonego.

Bursztynowy Żuraw nie musiał pytać, o kogo chodzi. Uśmiechnął się namyśl o potężnym Skandranonie obserwującym Zhaneel z daleka jak zakochany młodzień.

- Bo jest wychudzony - odparł. - Po części dlatego, że dopiero wraca do zdrowia. Nie pozwoliliśmy mu ćwiczyć tyle, ile on by chciał. Po kontuzjach zawsze przesadza z treningiem. Ale sądzę, że mógłby wziąć udział w jednych z twych zajęć. Chcesz, abym sprawdził, czy jest tym zainteresowany?

Zainteresowany? Prawdopodobnie zmiotłby każdego, kto stanąłby mu na drodze do celu!

- Och... - nozdrza Zhaneel pobladły. - Ja... on...

- Nie pozwól, aby cię onieśmielił, moja droga - powiedział ostro Bursztynowy Żuraw. - On jest tylko gryfem, takim jak każdy inny. Tak, jest piękny, ale obok swych zalet ma wiele wad. Jesteś ekspertem w swojej nowej taktyce. A on nie. - Żuraw poklepał ją figlarnie po dziobie. - Co więcej, jeśli jesteś nim zainteresowana, nie okazuj mu tego. Ma wokół siebie mnóstwo samic, narzucających mu się przez cały czas. Musisz mu pokazać, że jesteś inna niż one. Udawaj, że myślisz o nim z podziwem za to, czego dokonał, ale nic więcej.

- No, nie wiem... - spojrzała na niego z powątpiewaniem sponad swego ramienia. - Nie wiem, czy będę w stanie to zrobić. On jest Skandranonem. Jakże mogę nie pokazać...?

Jej zarumienione nozdrza zdradzały zakłopotanie.

- Dlaczego nie? - odparł. - Zhaneel, przecież jesteś tak samo dobra jak on. Wiesz o tym. Trener Shire i ja powtarzamy ci to codziennie, prawda?

- Taaak - odparła powoli.

- A więc bądź sobą. Nie jest to aż takie trudne, jak myślisz, Czyż przy mnie nie jesteś zawsze sobą? Okaż mu szacunek, a co do reszty każ mu się domyślić. - Bursztynowy Żuraw ostrożnie oskubał łuskę ze świeżo wylaniającego się pióra na skrzydle. - Próbuj myśleć o nim w taki sam sposób, jak myślisz o tych wszystkich adorujących cię gryfach, popisujących się przed tobą na twoim torze przeszkód. Żadnego z nich nie traktujesz w sposób wyjątkowy.

Zamrugwała zdumiona. Kestra'chern westchnął. Lekcje z zakresu gier miłosnych nigdy nie są łatwe. Dla Zhaneel był to temat całkowicie nowy, ale wydawało się, że co nieco do niej dotarło.

- Przepiórka, która ci ucieka, jest zawsze bardziej tłusta niż ta, którą złapałeś - zauważyła. - Spróbuję, jeśli twierdzisz, że to zadziała.

- Przypuszczam, że tak, bo nikt wcześniej nie rozgrywał tej szczególnej zabawy ze Skanem - odrzekł z rozbawieniem Bursztynowy Żuraw.

- A co więcej, myślę, że dobrze mu zrobi, gdy zrozumie, że nie może mieć każdej pięknej damy, której zapragnie. Zdziwi się, że jest jedna odporna na jego wdzięki.

Szczotkował pióra Zhaneel lekko naoliwioną szczotką, zbierając jednocześnie łuszczące się drobiny, jak i nabłyszczając same pióra.

- No, proszę - powiedział, robiąc krok do tyłu. - Wyglądasz cudownie. Lśniaca, silna, mądra, gotowa na wszystko.

Zhaneel pochyliła głowę zakłopotana.

- Czy na każdego?

Położył rękę pod jej dziób i uniósł go do góry.

- Mówię ci, jesteś godna każdego gryfa, jaki kiedykolwiek istniał. - Pokiwał głową z aprobatą, kiedy jeszcze wyżej uniosła głowę. - Nigdy o tym nie zapominaj, a także o tym, kto ci to powiedział. Ja jestem kestra'chern. Ja się na tym znam.

- Spróbuję - przyrzekła uroczyście.

- To dobrze. - Bursztynowy Żuraw rzucił szczotkę na stos rzeczy, które Gesten miał posortować i wyprać, odchylił klapy namiotu i dał jej znać, by szła za nim. - Czy zechciałaby pani przejść się ze mną na spacer? Mam akurat czas, jeśli byłaby pani gotowa.

Ona jednak pokręciła głową.

- Z przyjemnością bym się przeszła, ale naprawdę muszę już iść. Rano mam zadanie do wykonania. - Promieniowała dumą. - Prawdziwe zadanie. A nie jakaś fikcyjna robota dla wyrodka.

Poczuł ciężar na sercu. Tak łatwo było dotąd myśleć o tych jej ćwiczeniach jako jedynie o grach, i zapomnieć, że mają one na celu przysposobić ją do walki. Można było udawać, że ona nigdy nie polecą tam, gdzie tak wielu zginęło.

- Daleko? - spytał, próbując nie zdradzić swego lęku. Nie było powodu, by lękać się o nią bardziej niż o jakiegokolwiek innego gryfa. Przeciwnie. Makaanary nie mogły przewidzieć jej ruchów, tak jak przewidywały ruchy gryfów szkolonych konwencjonalnie. Czyż właśnie nie na tym polegał sukces Skana, że makaanary nie były w stanie przewidzieć, co zrobi za chwilę?

Mimo to ogarnął go chłód, który znał aż za dobrze.

Lecz to, co zapewniało mu sukces, sprawiało, że stawał się jednocześnie celem ataków. Usuń go, a zrobisz, potworną wyrwę w wśród wszystkich gryfów, ponieważ stają się wówczas bardziej przewidywalne.

I znowu ktoś, kogo znał i o kogo się troszczył, miał odejść, zmieniając się w obiekt, który mógł zaatakować wróg i...

To była wojna, choć wolałby o tym fakcie zapomnieć. Obowiązkiem Zhaneel było wypełniać rozkazy, bez względu na to, dokąd by ją zawiodły. Obowiązkiem, dla którego się urodziła i została wychowana.

A ona była tak zadowolona, tak szczęśliwa z powodu tego zadania, tak bardzo dumna, że jej je powierzono. Czy w tej sytuacji miał prawo wszystko zepsuć swoimi lękami i obawami?

Oczywiście, że nie miał prawa. A więc jak zawsze próbował zlekceważyć fakt, że jego wnętrzości zmieniły się w bryłę lodu. Uśmiechnął się, pochwalił ją, tak jak zawsze uśmiechał się i chwalił każdego wojownika, którego wysyłał na wojnę. I pomimo niepokoju, jaki odczuwał, wierzył w każde swoje słowo.

Na tym polegał jego obowiązek. *Dodawaj im pewności, uspokajaj ich. Sprawiaj, aby zapominali o przeszłości, jeżeli powinni to zrobić, i przypominaj im powody, dla których muszą walczyć. Pokaż im, że oprócz walki mają jeszcze życie, którego warto bronić.*

- Jest to misja wysokiego lotu - ciągnęła Zhaneel, szczęśliwie nieświadoma tego, że jego serce zamiera z bólu. - Do miejsca, gdzie Skandranon znalazł jedną z tych pałeczek. Mam tam dostarczyć wynalazek Urtho, który ma je unieszkodliwić i wskazać drogę innym gryfom. Reszta Szóstego Wschodniego Dywizjonu ma zasypać wroga puszkami dymnymi. Wówczas pod osłoną dymu wkroczą wojownicy.

A więc znajdzie się ponad głównym poziomem walki, przypuszczalnie poza zasięgiem broni naziemnej. Ale co z makaarami?

Musiałyby najpierw pokonać Szósty Dywizjon, aby się do niej dostać - uświadomił sobie. Będzie transportowała jedną z magicznych skrzynek Urtho, która sprawi, że nie utraci sił. Ona ją ochroni.

Jeśli będzie mogła. Jeśli makaary się nie przebiją. Jeśli magia naprawdę zadziała wobec tych różdżek-błyskawic.

Jeśli, jeśli, jeśli. Kto dowodzi tą misją? Jeżeli generał Shaiknam, wówczas - mimo że miała transportować to cenne magiczne arcydzieło - w kalkulowano w kosztach operacji jej śmierć. Dlatego, że była gryfem.

- Zaplanował to Urtho - kontynuowała Zhaneel, likwidując w ten sposób niektóre z jego nie wypowiedzianych obaw. - On dowodzi misją, a generał Sulma Farle jest dowódcą polowym. Ja mam dostarczyć tę magiczną rzecz, gdyż tylko ja mam prawdziwe dłonie, które mogą ją uruchomić. Urtho mówi, że jeśli byłaby ona uruchomiona zbyt wcze-

śnie, nie zadziałyby.

- Leć więc wysoko i daleko, wojowniku – powiedział Bursztynowy Żuraw, klepiąc ją po ramieniu z doskonale udawaną pewnością. - Gdy wrócicie, będę miał świeżą rybę, aby uczcić zwycięstwo.

Małe pęczki na uszach Zhaneel uniosły się.

- Świeżą rybę? - spytała, klekocząc dziobem na samą myśl o tym. - Naprawdę? - Uwielbiała świeże ryby, to znaczy jeszcze żywe, ruszające się, gdy je przelykała. Skąd jej się wziął ten specyficzny smak? Bursztynowy Żuraw nie miał pojęcia. Większość gryfów wolała surowe czerwone mięso, i żaden oprócz niej nie gustował w rybach, a na dodatek - jeszcze żywych.

Może ma w sobie coś z rybołowa. Albo może niektóre orły lubią ryby. A może lubi je tylko dlatego, że taka jest po prostu Zhaneel.

- Naprawdę - obiecał. - Zwycięska ucza wśród przyjaciół, chociaż moja ryba będzie dobrze usmażona.

Zhaneel zasyczała lekko z niesmakiem, aby go podrażnić, ale chętnie przystała na propozycję.

Żuraw nie powiedział jej jednak tego, że zwycięska kolacja nie miała być dla dwojga, ale dla czworga. Dla Zhaneel, dla niego, Gestena... i Skandranona. Nie powiedział o tym również i Skanowi. Powinno być zabawnie. Przy odrobinie szczęścia wszystko skończy się dobrze.

Oby tylko wyszła z tego cało - pomyślał, patrząc, jak odchodzi spać na swoją grzędę. Oby tylko wyszła z tego cało...

Zhaneel trzymała cenną skrzynkę swoimi przednimi szponami, chociaż była ona zupełnie bezpiecznie przymocowana do jej misternej upręży klamrami i taśmami, tak aby nie przeszkadzała w locie. Rozkazy od Urtho były bardzo szczegółowe i równie specyficzne. Musiała wznieść się bardzo wysoko, znacznie wyżej od reszty Szóstej Dywizji, następnie zanurkować najbardziej stromo, jak mogła, potem obniżyć się na wysokość wierzchołków drzew, przelatując szybko nad głowami oddziałów Ma'ara i pociągnąć za uchwyt, który otworzy spód skrzynki.

Szpieg miał stwierdzić, czy różdżki-błyskawice zostały rozdane wojownikom. Zanim wyleciała, Urtho powiedział jej - Urtho osobiście! - iż rzecz w skrzynce była czymś podobnym do latarni. Jej "światło" sprawi, że różdżki-błyskawice staną się bezużyteczne, gdy tylko je dosięgnie. Miała zrobić kilka okrążeń aby się upewnić, że zniszczyła więk-

szość różdżek-błyskawic. Chciał, aby za każdym razem pikowała bardzo szybko - tak szybko, aby nikt nie zdążył użyć wobec niej swej broni i aby żaden makaar jej nie dogonił. Ma spadać z góry jak sokół wędrowny na stado kaczek albo jak kobuz polujący na gołębie.

Będzie potrzeba kilku okrażeń, aby się upewnić, że większość różdżek-błyskawic została wyeliminowana. Skrzynka nie działała poza pewnym zasięgiem i nawet Urtho nie był pewien, jak wiele okrażeń potrzeba, aby je zneutralizować. Zależało to od tego, jak blisko siebie będą znajdowały się oddziały i czy magowie Ma'ara rozciągnęli tarcze ochronne na same różdżki czy na tych, którzy je niosą.

Najprawdopodobniej na same różdżki. Ma'ar nie troszczyłby się o to, czy ludzie przeżyją - Liczyły się dla niego tylko różdżki.

Skrzynka miała zadziałać pomimo tarczy ochronnej. Urtho był tego pewien. Ostrzegł ją, aby nie używała żadnych czarów, jeśli takie znała, gdyż skrzynka była rzeczą, która likwidowała działanie magii. Likwidowała zarówno tarcze ochronne, jak i moc uwięzioną w różdżkach. Problem polegał na tym, że nie mógł on przewidzieć skutku zlikwidowania obu czarów w tym samym czasie. Wykorzystał jedyny egzemplarz różdżki, jaki posiadali, aby sprawdzić, czy skrzynka działa w rozsądnej odległości. Zhaneel widziała efekt tego - niewielki. Mały błysk i to było wszystko.

Ale równie dobrze mogło być dwadzieścia rodzajów tarcz ochronnych - jak powiedział Urtho - a oddziały mogły być chronione przez zapory ochronne, deflektory mocy, nośniki bólu lub pola wstrząsowe. Złożonego działania trzech czarów nie można przewidzieć, nie wiedząc, jakiego rodzaju pola ochronnego Ma'ar użyje.

Cokolwiek to jest, nie sądzę, aby nas dosięgło, chyba że rozpęta wiatry. To możliwe. Muszę się na to przygotować. Albo wielkie światło, które może nas oślepić. O tym również muszę pomyśleć.

Zbliżali się do celu. Zhaneel dała sygnał i uniosła się ponad chmury, tak wysoko, że pozostałe gryfy z jej dywizjonu stały się zaledwie rzadkiem kropek, nawet dla jej niezwykłych oczu. Wstęga chmur przesunęła się między nimi a nią. Słońce ponad jej głową przypalało jej rozpostarte skrzydła i grzbiet, a wiatr ostro ciał ją po nozdrzach, podbrzuszu i przednich nogach.

Cenna skrzynka osłaniała jej pierś przed wiatrem, ale lodowate prądy mroziły jej gardło i powietrze ogrzewało się dopiero, gdy dochodziło do płuc. Czy jest już dość wysoko? Powietrze tutaj było bardzo rzadkie.

Jej płuca i skrzydła płonęły od wysiłku utrzymywania się w górze.

Niedługo spadnie na nich jak grom z jasnego nieba. Zbliżyli się do swojego obiektu, Laisfaar za Przełęczą Stelvi. Zhaneel nie widziała tego miasta, gdy znajdowało się ono w rękach Urtho. Powiedziano jej jednak, że napastnicy dokonali straszliwych spustoszeń.

Wszędzie, gdzie szli, dokonywali straszliwych spustoszeń. Dlaczego tutaj miałiby postąpić inaczej?

Były tam też gryfy. No cóż, dobrze wiedziała, co wojska Ma'ara robią z gryfami. Z pewnością postąpili podobnie z jej własnymi rodzicami...

Był to wystarczający powód, aby nienawidzić znajdujące się pod nią stwory. Wystarczający powód, aby chcieć, żeby to, co miała z sobą, zrobiło im krzywdę. Nadszedł odpowiedni czas. Pomału zaczęła odchyłać skrzydła do tyłu.

Tam! Tam była Przełęcz, a na jej dnie oddziały Ma'ara, przesuwaną się plama na ziemi pod jej kolegami z oddziału. Czarne makaary unoszące się ze swych grzęd do góry, roje diabłów. Uniosły się jak kaśliwe muchy, aby atakować zbliżające się wojska, ściągać gryfy na ziemię, gdzie ludzie mogli je łapać w okrutne drucziane sieci i kłuć za pomocą straszliwych dzid.

Ludzie poniżej. Mają różdżki-błyskawice.

Złożyła skrzydła i spadała jak kamień z nieba, zaciskając przednie szpony na cennej broni, którą powierzył jej Mag Ciszy.

Szybciej, coraz szybciej. Kiedy nurkowała, napierał na nią prąd powietrza, a ziemia rosła w jej oczach, jakby chciała ją połknąć. Zmrużyła oczy i trzymała skrzydła ciasno przyciśnięte do ciała. Sterowała drobnymi ruchami lotek, ruchem ogona czy nawet pazura prostowanego na ułamek sekundy. Pozostałe gryfy nie były w stanie jej dostrzec. To ona musiała na nie uważać. Musiała je omijać, kiedy pikowała przez środek ich oddziału. Wymagało to dokładnej koordynacji i opanowania.

Ale nie na darmo wykonywała na swoim torze taniec szybkości i zręczności przeciwko domniemanym wrogom. Nawet gdyby makaar zbliżył się do pierwszych gryfów, ona niczym strzała przemknęłaby niepowstrzymana obok makaara albo gryfa.

Ziemia pędziła ku niej.

Teraz!

Zhaneel wyciągnęła szyję i rozpostarła skrzydła, czując, jak wibrują, jakby same góry ściągały ją ku ziemi. Na wysokości wierzchołków

drzew zmieniała ką, na tyle, by wyjść z nurkowania. Nadal jednak spadała tak samo szybko, jak na początku, a jej przednie szpony napięły się, otwierając dźwignię w magicznej skrzynce Urtho. Ślizgała się nad głowami wojowników, którzy byli jedynie zadartymi, obracającymi się głowami, z otwartymi ustami, zamieniającymi się w plamę. Kurs prowadził ją prosto na klif i niezłomnie ku niemu zmierzała. Nie wydaje się, aby ci żołnierze mieli magiczne różdżki, ale ci, którzy byli między tym obszarem a klifem, mogli je posiadać...

Wybuch - nie, nie światła, ale właśnie ognia - poraził ją z dołu, wstrząsając nią i sprawiając, że musiała zmienić kierunek i zwolnić. Co to było? Czyżby Ma'ar użył przeciw niej jakiejś nowej broni?

Nie namyślając się wiele, przerwała lot, zamknęła skrzynkę i wystrzeliła w niebo. Rozpościerając skrzydła, wściekle wiosłowała, by dotrzeć do swej poprzedniej pozycji ponad chmurami.

Dopiero znalazłszy się tam, spojrzała w dół, w miejsce, skąd dobywał się ogień.

Ziemia była usłana zwęglonymi ciałami. Większość z nich nadal płonęła i nie ruszała się. Znajdujące się w pobliżu oddziały próbowały ratować się ucieczką.

Z wolna wszystko stało się jasne. Tak jak myśleliśmy, Ma'ar osłonił swą nową broń. Urtho powiedzieli, że nie potrafi określić, jaki skutek może wywołać skasowanie dwóch czarów jednocześnie... być może tarcza jest na tyle silna, że nie przepuszcza mocy różdżek-błyskawic i zamienia je w kule ogniste.

Dzika radość wypełniła jej serce, kiedy uświadomiła sobie jakie spustoszenie wywołała pośród swych nieprzyjaciół. Znowu złożyła skrzydła.

Tym razem zauważyli jej przylot. Wskazywali na nią, starając się za wszelką cenę przed nią ująć. Wiedziała, co dzieje się w ich umysłach. Sądziła, że ogień wydobył się z niesionej przez nią skrzynki, a nie z broni, którą sami trzymali w rękach. Zhaneel szybko poznała zasięg oddziaływania "światła", ścigając uciekających, unosząc się w niebo tylko po to, by znowu na nich spaść. Zostawiała za sobą ogień, śmierć i przerażenie.

Dyszała z żądz i podniecenia, a krew śpiewała w jej żyłach. Makaary próbowały ją powstrzymać, ale była dla nich niedościgła: gdy któryś podleciał zbyt blisko, uderzała tylnymi nogami. Spadając, dostawały się w szpony innych gryfów. Część makaarów próbowała wzlecieć po-

nad nią, jednak zimne i rzadkie powietrze sprowadzało je z powrotem na dół.

Zhaneel wciąż ponawiała swoje wypadki, a jej przeloty znaczył na ziemi pomarańczowy rozbłysk i rozkwitające płomienie. Towarzyszące jej gryfy podążały za śledzącymi ją makaarami. W końcu jednak eksplozje ustały, a makaary pokazały ogon i uciekły. Ich liczba stopniała więcej niż o połowę.

Instynkt Zhaneel domagał się, aby rzuciła się za nimi w pościg. Pamiętała jednak o rozkazach i zwalczyła w sobie ten impuls, unosząc się wraz ze swym ładunkiem wysoko w chmury. Nadszedł dla niej moment odwrotu, a dla Szóstego Dywizjonu moment chwały. Nastąpiła właściwa chwila, aby inne gryfy odwiązały pojemniki od swojej uprzęży i spuściły je na dół. W ten sposób na dole powstały chmury duszącego dymu, mające zmylić wroga. Kilku magów Ma'ara próbowało zlikwidować "magiczny atak" skrzynki Urtho, nie wiedząc, że ona właśnie likwiduje wszystkie czary, jakie na nią są rzucone. Sądziło, że również dym był magiczny i tracili cenny czas, usiłując zniszczyć "iluzję" i czar dymu. Zanim zrozumieli, że był to prawdziwy dym, i wezwali wiatry, aby go rozwiały, było już za późno.

Zhaneel nie mogła zobaczyć rezultatu swej akcji. Rozkazy Urtho były jednoznaczne. *Kiedy już żaden wojownik nie będzie niósł różdżki-błyskawicy, wracaj do domu.*

Być może Skandranon zlekceważyłby taki rozkaz i walczył z makaarami. Jednak Zhaneel, osiągnąwszy znów swą wysokość stłumiła w sobie podniecenie oraz żądzę walki. Poczuli się zmęczona i była gotowa usiąść na grzędzie, gdy tylko nadarzy się okazja. Pomimo przygotowań na torze, bolały ją skrzydła od trzymania ich nieruchomo podczas bezustannego nurkowania. Jej kark i plecy były straszliwie napięte. Tęskniła za jakimś wysokim szczytem, gdzie mogłaby choć przez chwilę odpocząć...

Nie ma mowy teraz o żadnym odpoczynku. Nie wiadomo, czy ktoś mnie nie śledzi, a jeden gryf z magicznym pudełkiem to nic dla Ma'ara czy innego Wielkiego Maga! A on z pewnością będzie chciał cię dopaść, mała gryfiko, za to, że zniszczyłaś jego ukochane różdżki-błyskawice i zraniłaś jego żołnierzy. Leć szybko, Zhaneel! Jeżeli będziesz miała szczęście, nie zdoła cię wyśledzić!

Strach, którego nie czuła podniecona walką, wczepił się zimnymi pazurami w jej serce, i dodał jej skrzydłom nowej siły. Jak daleko sięga

czar Ma'ara? Czy wie, że wystarczy mu odnaleźć tego jednego gryfa? Czy będzie szukał wysoko, czy może pośród innych gryfów?

Nie wiadomo, Zhaneel. Jedynym sposobem, by uciec, jest lecieć z powrotem do Urtho i jego tarcz ochronnych, jego magów!

Biła skrzydłami, wypluwając prawie płuca. Co chwile spoglądała za siebie.

Nad polem bitwy urósł gęsty i biały dym, przysłaniając wszystko z tyłu. Pod osłoną tego dymu piesi wojownicy Urtho przechodzili przez Bramę, aby odbić Przełęcz Stelvi.

A za nią, pod nią, tuż ponad obłokami dymu znajdowały się maleńkie kropki, brązowożłote, niebieskoszare i białe. Gryfy Szóstego Dywizjonu, w przepisowym szyku, zawróciły, by lecieć za nią do domu, gdyż także one skończyły swoją robotę.

Ma'ar miał teraz o wiele więcej na głowie niż przejmowanie się jednym małym szarym gryfem, szybko odlatującym do twierdzy jego wroga.

Urtho wysłał wystarczającą liczbę oddziałów, by odbiły Przełęcz Stelvi, nie przewidując niszczycielskich eksplozji wywołanych przez Zhaneel. Teraz wojownicy z Szóstego spotkają się z rozbitym i przerażonym wrogiem, zdeorientowanym dymem.

Jej lęk odpłynął. Zwolniła, aby jej koledzy mogli ją dogonić. Tak, Ma'ar miał teraz wiele spraw na głowie. Nie będzie tracił czasu, aby ścigać ją czarami. Jej zadanie skończyło się. Ale odbijanie Laisfaar dopiero się zaczęło. Ona i inne gryfy poznają wynik bitwy, gdy wszystko się skończy. Jednak ich szansę były duże, tym razem mieli przewagę.

Na razie to musi wystarczyć.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zimowa Łania zatrzymała się przed namiotem Bursztynowego Żurawia, mrużąc oczy od słońca. Bursztynowy Żuraw położył rękę na jej ramieniu w geście pocieszenia i wsparcia.

- Pamiętaj - powiedział - w tej chwili już nie mamy wpływu na los Szóstego. Zrobiłaś wszystko, co było w twojej mocy, aby przygotować gryfy do walki. A teraz musisz czekać na ich powrót, gotowa na wszystko. Niczego więcej nie można zrobić. Tylko bogowie potrafią więcej uczynić.

- Wiem, to znaczy moja głowa o tym wie, ale... - zaczęła Zimowa Łania.

- Zatem posłuchaj swojej głowy i przestań uważać, że musisz być nadczłowiekiem. - Poklepał ją po ramieniu, a potem wskazał na ścieżkę do ładowiska gryfów. - Myślę, że wkrótce powrócą.

- Racja i dziękuję ci, Bursztynowy Żurawiu, za radę i za masaż - uśmiechnęła się Zimowa Łania, ale to był jeden z niewielu prawdziwych uśmiechów, jakie widział na jej twarzy. Zrobiła krok w dobrym kierunku.

Odeszła, a Bursztynowy Żuraw spuścił klapę namiotu, gdy zniknęła mu z pola widzenia. Westchnął i wycofał się do zacisza swego prywatnego pokoju. Tam rzucił się na łóżko i wykonał kilka ćwiczeń mentalnych, które pozwoliły rozluźnić mu wszystkie mięśnie pleców i karku bez potrzeby masażu.

Nie, żebym nie chciał nikogo kochać, ale po prostu nie mam teraz czasu, by zabiegać o czyjeś uczucia. Poza tym ciągle mam jeszcze na głowie moje małe "zwycięskie przyjęcie".

Musiał jeszcze wykonać parę rzeczy, choć przeważająca część przygotowań spadła jak zawsze na barki odpowiedzialnego Gestena. Bursztynowy Żuraw poświęcił swój zapas żetonów na zakupy, ale to właśnie Gesten dokonał niemożliwego, kiedy doszło do samej uczyty. Znalazł grupę żołnierzy rekonwalescentów, którzy w zamian za żetony zgodzili się pójść na polowanie i wędkowanie. I teraz na Skana czekał pierwszorzędny koziołek, na Zhaneel - cebrzyk pełen pstrągów, i, co najlepsze, stado tłustych przepiórek jako zakąska. Bursztynowy Żuraw nie pamiętał, kiedy ostatni raz w obozie widział przepiórkę i bez żenady zarekwirował jedną z nich dla siebie. Dla Gestena myśliwi zebrali kosz pełen mięsistych grzybów, które hertasi cenili najbardziej. Zapowiada

się rzeczywiście prawdziwa uczta. Mile widziana odmiana po obozowym wikcie. Skan zawsze go zapewniał, że każde zwierzę inaczej smakuje, nawet dla mięsożernych, które nie przyprawiają swoich posiłków, i że on oraz inne gryfy znudziły się już smakiem zwierząt hodowlanych, tak jak każdy żołnierz racjami polowymi.

Zanim jednak mógł zabrać się do przygotowań, musiał przyjąć Zimową Łanię na sesję terapeutyczną, ostatnią przed ucztą. Fizycznie i duchowo robiła postępy. Ale ponieważ nie było nikogo z Szóstego Dywizjonu, nie miała co robić, a to oznaczało, że zaczynała rozmyślać...

Powinna mniej rozmyślać, a więcej działać. Był to jeden z jej wielu problemów: zbyt wiele rozmyślała i zdarzało się, że w obliczu wielu możliwości niezdecydowanie paraliżowało ją. Każdy, kto wydawał jej rozkazy, mógł ją zranić, ale i tak wołała wypełniać rozkazy innych, aby nie brać na siebie odpowiedzialności. Przynajmniej tak jej się wydawało. Bardzo rzadko robiła coś powodowana impulsem, nie mogła nawet przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz tak postąpiła.

Albo tylko tak mówiła. A w takim razie to, co odgadłem na temat jej wychowania, zgadza się w stu procentach.

Zahamowania zawdzięczała też swemu kochankowi - lepiej powiedzieć "partnerowi do łóżka", ponieważ ich związek miał niewiele wspólnego z miłością - magowi z Szóstego Dywizjonu, Connowi Levowski.

Bursztynowy Żuraw nadal nie miał pojęcia, jak mogła się związać z tym egoistycznym draniem, tak jak i nie wiedział, dlaczego nosiła imię Kaled'a'in, skoro miała do czynienia z tym plemieniem tyle co lady Cinnabar. Z olbrzymim trudem wydobywał z niej informacje o przeszłości.

Musiał zgadywać. I to wszystko. Wszystko, co Zimowa Łania pokazywała na zewnątrz, było iluzją, maską mającą powstrzymać obserwatora przed zadawaniem pytań.

Nie była Kaled'a'in, ale wiedziała o nich tyle, żeby wybrać ich imię, ponieważ większość trondi'irn była Kaled'a'in. Przypadkowi znajomi nie pytali, dlaczego zajęła się gryfami. Bursztynowy Żuraw przypuszczał jednak, że w przeszłości musiało ją coś łączyć z Kaled'a'in.

Miała rodziców, którzy wymagali od niej perfekcyjności i nie akceptowali niczego innego. Stąd wzięło się jej przekonanie, że musi być nadczłowiekiem.

Miała nienaganne maniery.

Zastanawiające, dlaczego udawała zwykłą trondi'irn. Kaled'a'in pomimo swych wielu zalet nie przywiązywali wagi do manier, które elita z ziemi Urtho traktowała jak coś naturalnego. Zimowa Łania starała się zachowywać tak jak Conn Levas oraz jemu podobni, ale była to tylko gra, która jej się nie udawała w chwilach zdenerwowania. Z jej ust niełatwo dobywały się obraźliwe słowa i bez względu na okoliczności nie potrafiła się zmusić, aby przeklinać.

Krótko mówiąc, ilekroć nie myślała lub była zdenerwowana, zachowywała się nienagannie i postępowała jak dama.

W obozie, gdzie nieczęsto można było znaleźć czas na gruntowną i regularną kąpiel, zawsze była schludna i czysta.

W wojsku, gdzie nikt nie dbał o to, czy mundur jest trochę sfatygowany, jej wyglądał jak spod igły, zawsze wyprany i wyprasowany.

Co więcej, miała maniery dobrze urodzonej. Chodziła wyprostowana, z dumnie podniesioną głową, jakby uczono ją tego od kolebki.

Według Bursztynowego Żurawia oznaczało to tylko jedna rzecz.

Choć nie była z ludu, udawała, że jest; była szlachcianką, być może nawet tak wysoko urodzoną jak Cinnabar. Pewnie dlatego unikała jej jak ognia. Gdyby lady przyjrzała się jej lepiej, być może przejrzałaby grę Zimowej Łani. Można przytyć lub schudnąć, zmienić twarz, sposób ubierania czy fryzurę, ale ukrycie swych manier czy przyzwyczajień często okazuje się niemożliwe

Swoją drogą Cinnabar to wcielenie dyskrecji. Być może już rozpoznała Zimową Łanię i milczy na jej temat. Jeżeli zdemaskowanie Zimowej Łani nie okaże się konieczne, Cinnabar zostawi przypuszczalnie wszystko tak, jak jest.

Teraz gdy o tym pomyślał, uświadomił sobie, że od kiedy zaczął leczyć Zimową Łanię, lady Cinnabar przestała o niej mówić, mimo, że sama interweniowała w sprawie "incydentu z hertasi". Była tak samo jak wszyscy poirytowana rozkazami powtórzonymi przez Zimową Łanię. Jednak nie skomentowała ani słowem jej zachowania, chociaż inni o tym zawzięcie dyskutowali. Może Cinnabar ją rozpoznała, a może nie. W każdym razie lady była na tyle silnym empatą, aby sobie uświadomić, jak wiele z chłodu Zimowej Łani brało się z emocjonalnego okaleczenia i lęku. *W miarę jak zaczęła mi ufać, krok po kroku odstania się. Sądzę jednak, że może to być najtrudniejszy przypadek, z jakim przyszło mi się zmierzyć. W porównaniu z nią problemy Zhaneel były łatwe do rozwiązania. Gryfica musiała się tylko dowiedzieć, jak*

jest niezwykła, i znaleźć sposób, aby wykorzystać swoje zalety. Kiedy to zrozumiała, rozkwitła. Natomiast Zimowa Łania jest tak bardzo zamknięta, że do tej pory nie wiem, kim naprawdę jest. Wnioskuje o tym z pęknięć w murze, którym się otoczyła. Zimowa Łania bezustannie się czegoś lęka, muszę zatem dowiedzieć się czego.

Być może tylko dlatego sypia z Connem Levasem. Jednak on jest zbyt prosty, aby to zrozumieć.

Daj mu to, czego chce, a on będzie szczęśliwy i uzna cię za “swoją kobietę”. Ten mężczyzna stanowi pewnego rodzaju ochronę, ponieważ jest tak władczy wobec wszystkiego, co uważa za swoje. On nawet nie wie, że ona nie jest Kaled'a'in. Sądzi, że skoro nosi takie imię, musi być jedną z nas. Oto jak mało jest spostrzegawczy.

Nie spodziewał się po Levasie niczego innego. Najemny mag biorący udział w wojnie tylko dla zapłaty musiał być ograniczony. Ktoś, kto rozważał możliwość zaciągnięcia się u Ma'ara, z pewnością był niemoralny.

Jednak Conn Levas stanowił tylko część zagadki. Bursztynowy Żuraw na chwilę zasłonił oczy przedramieniem i próbował poskładać kawałki układanki, które zdobył do tej pory, w jakąś logiczną całość. Musiała mieć powód, aby się zaciągnąć; na razie go nie znam. Zrobiła to jednak owładnięta lękiem, przerażona, że jej tożsamość może wyjść na jaw. Mimo swej inteligencji wybrała zawód trondi'irn, ponieważ było to zupełnie niepodobne do wszystkiego, co знаła w swoim poprzednim wcieleniu. Bała się czegoś innego, a trondi'irn nigdy nie znajdowali się blisko linii frontu. Wiem, że walka ją przeraża. Wiem, że strasznie boi się tego, co mogą zrobić Ma'ar i jego magowie.

Niejeden raz widział ją przerażoną, gdy z linii frontu nadchodziły wieści. Dobrze się kontrolowała, ale zawsze był moment, gdy na jej twarzy malowało się ogromne przerażenie, niszczące chłodną maskę, którą zazwyczaj nosiła.

Zatem kiedy pojawił się Conn Levas uważała zapewne, że zsyłają go sami bogowie. Być może nawet ubiegał się o jej względy, czarował ją; jestem pewien, że to potrafi, kiedy chce. Miał posiadkę w Szóstym Dywizjonie, więc i ona ją dostała. Miał tożsamość, której nikt nie kwestionował, zatem ona jako jego kobieta również ją zyskała. Nikt nie będzie jej pytał o nic osobistego. A ona mogła nie angażować się w pracę pośród gryfów, są wszakże tylko “lepszymi” zwierzętami. Nie musiała nic im dawać oprócz odrobiny energii.

Znalazła się jednak Zhaneel, która nieumyślnie wstrząsnęła jej światem, podobnie jak później Bursztynowy Żuraw. Gryfsokół zmusił Zimową Łanię do uznania faktu, że gryfy, które jej podlegają, nie są tylko “ulepszonymi zwierzętami” z ograniczoną możliwością posługiwania się ludzką mową, trochę większymi od ptaków-posłańców.

Zhaneel jednak zmieniła wszystko. Pokazała jasno i wyraźnie, że podwładni Zimowej Łani są istotami myślącymi i ona ma obowiązek dopatrzeć, aby je odpowiednio leczono, aby zwracano się do nich z szacunkiem, grzecznie i przyzwoicie. Jej obowiązkiem było zostać ich adwokatem wobec dowódcy Szóstego Dywizjonu.

Powinna być tak samo odpowiedzialna za nie jak ich dowódca

Nie chciała tego przyjąć do wiadomości, co sprawiało, że trwała w bezustannym napięciu. Zauważył to, kiedy przyszła do niego leczyć swoje plecy. Dopóki nie uważała gryfów za istoty myślące, jakoś sobie radziła, a teraz stały się dla niej realne. Musiała patrzeć na nie jako na kogoś, kto poza dziobem i dziwnymi oczami ma osobowość, osobowość w każdym calu podobną do ludzkiej. Nie mogła dłużej lekceważyć faktu, że wojnie na pożarcie wysyła już nie bezrozumne stwory, ale istoty myślące. To obudziło jej uczucia i jak na ironię zachwiało jej związkiem z kochankiem. Dopóki nie była zdolna odczuwać, nie obchodziło ją, co on z nią robi, mówi do niej, jak ją traktuje; teraz to się zmieniło i jej uczucia znacznie ochłodziły. Bursztynowy Żuraw mógł to bez trudu wyczytać z jej urywkowych wyznań.

Teraz go tu nie ma, ale kiedy skończy się ta operacja, on wróci, żądając swych “praw”. Jednak ona już nie będzie w stanie znieść jego arogancji i obojętności; będzie musiała z nim zerwać. Nie sądzę, żeby z nim często sypiała, nawet gdy był w obozie. Być może znajdowała powody, aby unikać jego namiotu. Ciekaw jestem, czy chodził do którejś z perchi? A może nie powinienem się tym zbytnio interesować?

Trudno powiedzieć; ich związek nie przypominał zwykłej relacji klienta z kestra'chern. A z dwojga ludzi w tym związku tylko jedno było obecnie jego klientem. Na ile powinien się w to wtrącać? Gdzie leży granica między tym, co powinien wiedzieć, a wtykaniem nosa w cudze sprawy?

Była tak głęboko zraniona i tak straszliwie krucha. Konfrontacja z Connem Levasem wstrząsnie nią, a on nie zawaha się użyć wobec niej najbardziej perfidnych metod, jakie tylko zdoła wymyślić. A jednak pod jej wrażliwością kryła się moc, z której Bursztynowy Żuraw

chciałby od czasu do czasu skorzystać. Podobnie jak ona potrzebował kogoś zaufanego. Przeczuwał, że kiedy wyleczy ją z ran emocjonalnych, Zimowa Łania zaspokoi tę potrzebę lepiej niż ktokolwiek inny. Czuł, że mógłby jej zaufać, a kestra'chern ufa nielicznym. Zbyt często ten zawód stawał się kością niezgody albo przyczyną drwin. Jednak miał wrażenie, że Zimowa Łania nigdy by tak z nim nie postąpiła. Bez względu na wszystko zatrzymałaby dla siebie rzeczy, które mogłyby go zranić.

Wiedział o tym. Chociaż nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego był tego pewien.

Dzisiaj ta część obozu była bardzo cicha, inaczej niż zazwyczaj w środku dnia. Z daleka słyszał dochodzące rozkazy sierżanta. Tutaj jednak słychać było jedynie paplaninę ptaków-posłańców i sporadyczne pobrzękiwania ekwipunku. Pewnie większość kestra'chern postanowiła się zdrzemnąć, przewidując, że będą potrzebni, gdy powróci Szósty. *No cóż, całe to rozmyślanie nie zmieni faktu, że trzeba zabrać się do przygotowania kolacji. A ja mam rolę do spełnienia!*

Rozluźnił się. Ból głowy, który pojawił się podczas seansu terapeutycznego z Zimową Łanią, odpłynął. Zdjął ramię z oczu i wstał z łóżka: czas zabrać się do pracy. Po pierwsze musi dowiedzieć się, co z Szóstym, czy zdołali odbić Przełęcz Stelvi. Jeśli wszystko poszło dobrze, pierwsze gryfy z Szósteego Dywizjonu ze Zhaneel na czele powinny niedługo wrócić. Jednak w tej chwili na lądowisku będzie wielki tłok, a misja Zhaneel nie powinna być nagłośniona. Nie ma potrzeby robić spektaklu i dawać ludziom do myślenia.

Potrzebował ptaka-posłańca albo odpowiedniej osoby.

Zazwyczaj nietrudno było o jakiegoś ptaka, w całym obozie było ich mnóstwo: wystarczyło rozsypać ich ulubione ziarna na ziemi i czekać. Bursztynowy Żuraw nie korzystał często z ich usług, ale miał zapas soczystych ziaren słonecznika, ponieważ podobnie jak małe ptaki także i ludzie lubili te smakowite nasiona. Bursztynowy Żuraw nie był wyjątkiem.

Obok łóżka miał ich całą torbę; nabrał garść i rozsypał je przed namiotem. Kilka chwil później znalazł się tam z tuzin różnobarwnych ptaków. Rzuciły się na nasiona, skrzecząc i ćwierkając, czyniąc hałas nieproporcjonalny do swych rozmiarów.

Przyglądał im się przez moment, próbując wybrać najbardziej eleganckiego spośród nich, i zdecydował się na małego, bystrego, o wi-

docznym z daleka czarno-czerwono-niebieskim upierzeniu. Gwizdnął na niego, schylił się i wyciągnął dłoń. Posłał mu kilka pozytywnych myśli, aby go ku sobie przyciągnąć. Ptaszek wskoczył na jego wyciągniętą dłoń, nie zdradzając żadnych oznak lęku. Czekał na rozkazy, pochylając główkę na boki, by mu się lepiej przyjrzeć.

Choć nie należał do uszlachetnionych ptaków drapieżnych, równie dobrze jak one rozumiał nieskomplikowane rozkazy przekazywane telepatycznie. Bursztynowy Żuraw trzymał ptaka tak, aby mógł patrzeć w jego jasnobrazowe oko. Starał się, aby jego rozkaz był możliwie prosty.

Leona lądowisko gryfów. Czekaj na gryfy. Szukaj tego jednego...

Posłał mu w myślach obraz Zhaneel. *Słuchaj, wracaj i powtórz, co usłyszysz.*

To ostatnie polecenie było powszechnie stosowanym rozkazem, kiedy ktoś chciał wiedzieć, co się dzieje w drugim końcu obozu. Ptaki potrafiły zapamiętać i powtórzyć kilka zdań. Można było mówić o szczęściu, jeśli jedno z tych zdań dawało jakieś wyobrażenie o tym, co dzieje się w odległym miejscu. A jeśli nie - no cóż, zawsze można było posłać ptaka jeszcze raz.

Ptak odleciał, poruszając się niezdarnie niczym chrząszcz. Nie latał zbyt dobrze i mocno przy tym hałasował. Jego skrzydła furkotały z wysiłku, a lotowi towarzyszyło zazwyczaj mnóstwo skrzeczenia i ćwierkotu. Zatem jeśli nie chciałeś, aby ktokolwiek wiedział, o czym mówisz, mogłeś w porę zamilknąć, słysząc nadlatującego ptaka-posłańca. Wielu ludzi hodowało je również z powodu ich żywej osobowości i skłonności do błazenady. Trudno było je ominąć.

Z pewnością na lądowisku gryfów będą setki tych ptaków, chociaż to, że Szósty Dywizjon miał odbić Przełęcz Stelvi, stanowiło tajemnicę. Jednak zbyt wielu ludzi znało cel tajnej misji i lądowisko wkrótce zaroi się od upierzonych posłańców. Wysłanie ptaka było dyskretnym sposobem zasięgnięcia informacji na temat czegoś, co miało być tajemnicą.

A dyskrecja jest najcenniejszą zaletą kestra'chern.

No cóż, kiedy wysłał swojego skrzydlatego informatora, nadszedł czas, aby zabrać się do kolacji. Przygotowania, które należały do niego, były całkiem proste, bo trudno przyjąć gryfy na formalnym posiłku. Z frontowej części namiotu usunął wszystko z wyjątkiem poduszek: zostawił po jednej dla siebie i dla Gestena, z resztą ułożył w dwa

legowiska dla gryfów. Na dywanie przed nimi rozłożył wodoodporne płótno, gryfy nie były bowiem schludnymi biesiadnikami.

Koziołek, przepiórka i cebrzyk z pstrągami znajdowały się za namiotem, gdzie Gesten doglądał gotowania swoich grzybów i przepiórki Bursztynowego Żurawia. Ten przeczuwał, że będzie jeszcze kilka małych kulinarnych niespodzianek.

Przebrał się w swój świąteczny strój Kaled'a'in; tym razem prawdziwy, a nie fantazyjne imitacje kestra'chern. Jedwabna koszula, skórzana tunika i obcisłe bryczesy, a wszystko z frędzlami i paciorkami. Na nogi założył wysokie do kolan buty z frędzlami. Dziwne, jak wygodna jest skóra i jedwab. Wystarczyło, że zrzucił z siebie "tożsamość" Bursztynowego Żurawia kestra'chern, a już poczuł się o wiele bardziej odprężony.

Jestem ciekaw, czy Zimowa Łania widziała kiedyś świąteczne odzienie Kaled'a'in. A może zna tylko to, co nosimy, by wtopić się w ludzi spoza klanu?

Wiązał właśnie włosy, gdy świergot ptaka-posłańca kazał mu wyjść przed namiot.

Wyciągnął rękę, szukając wzrokiem czerwonej plamki na błękitnym niebie. Małe, czerwono-czarne stworzonko zatrzepotało i ze złożonymi skrzydełkami wylądowało na jego palcu, nadal zajadle świergocząc. Położył dłoń na jego grzbiecie, aby je uspokoić, i na chwilę zamilkło.

Kiedy zabrał dłoń, ptak trochę pomruczał do siebie, a potem zaczął powtarzać zasłyszane zdania. Choć jego głos nie tracił ptasiej barwy, z łatwością można było rozróżnić ton i akcent poszczególnych ludzi. Czasami taki zdolny maluch mógł naśladować swoją ulubioną osobę tak dobrze, że mogłeś przysiąc, iż stoi ona przed tobą.

Na początku ptak wydał serię dźwięków naśladowującą hałas tłumu, w której można było rozróżnić kilka zdań.

- "Jest wyczerpana". "Dajcie wody!" "Wszystko w porządku" - ten ostatni głos najwyraźniej należał do Zhaneel.

Następnie głos trenera Shire:

- "Zhaneel, mam tu łączność z Urtho, czy możesz zdać mu krótki raport?"

Ptak znowu przemawiał głosem Zhaneel, przedłużając wszystkie głoski syczące, tak jak robił to Skan, gdy był wstrząśnięty lub zmęczony.

- "Ssskrzynka zadziałała. Ssspowodowała wybuchy i wielu zabiła. Rrrózdżki musiały więc być osssłonięte. Kilka grrryfów jessst rrrran-

nych, ale żaden nie zginął. Gdy wrócaliśmy, było dużo dymu. Wtedy wkręcili wojownicy. Reszta leci za mną”.

Ptaka naśladował odgłosy wiwatującego tłumu z niesamowitą dokładnością. Potem Zhaneel mówiła, że czuje się dobrze i nie potrzebuje pomocy. Następnie odezwał się głos Zimowej Łani, rozkazującej hertasi, aby byli w pogotowiu, gdy przybędą ranne gryfy.

Bursztynowy Żuraw niezwykle się ucieszył. Dał małemu ptaszкови nagrodę owoce i puścił go, aby się przyłączył do stada; z radości o mało co dałby ptaszкови więcej owoców, niż ten mógł unieść. Ucałował go; mały komik przyjął tę pieszczotę ze świergotem i zrewanżował mu się swoim ruchliwym języczkiem.

Zhaneel zjawi się po tym, jak złoży osobiście dłuższy raport Urtho, wypocznie i umyje się. Skan zatem winien przybyć przed nią. Bursztynowy Żuraw postanowił zaprosić Czarnego Gryfa nieco wcześniej; Skan nie wiedział, że uczta ma się odbyć na cześć zwycięskiej Zhaneel. Myślał, że przyjęcie jest tylko kaprysem Bursztynowego Żurawia.

Plotki szybko się rozeszły i zewsząd dochodził nieustanny szum rozmów. Bursztynowy Żuraw wiedział, że nawet jeśli Skan nie był na lądowisku, to i tak nim dotrze do jego namiotu, z pewnością usłyszy wszystkie nowinki.

Gesten przyszedł jeszcze przed Skanem, pchając obładowany wózek. Ujrzawszy go, Bursztynowy Żuraw uniósł brew. Nie zależało mu szczególnie na żetonach, ale gdzie w wojskowym obozie hertasi znalazł tyle różnych przysmaków?

Nieważne - lepiej nie pytać. Zawsze byli tacy, którzy gromadzili rarytasy i chętnie dzielili się nimi za odpowiednią opłatą. A żetony na wizytę u kestra'chern były cennym nabytkiem. Przypuszczalnie i tak spora liczba tych żetonów trafi z powrotem do jego kasety, czego Bursztynowy Żuraw z pewnością nie będzie żałował.

- Nadchodzi Skan - powiedział Gesten, gdy Bursztynowy Żuraw podskoczył, aby mu pomóc. - Są tu prawdziwe rarytasy. Mam nadzieję, że on je doceni.

- Zostaw najlepsze dla Zhaneel. Zasłużyła na to - odrzekł z rozbawieniem.

- Aha. Mam także kilka rzeczy dla ciebie, Żurawiu. Niemów mi, że nie zasłużyłeś na nie. Zamęczasz się, obsługując Zimową Łanię, Zhaneel i Czarnego Chłopca.

Gesten wepchnął wózek pod tylną ścianę pokoju przyjęć i otworzył

go.

- Popatrz tylko. Świeży chleb orzechowy, wyśmienity ser, a nie to koczarskie paskudztwo. Niezły bukiet warzyw, pasztet i węgorki dla Zhaneel oraz serce dla Skana. Nie może być lepiej.

- Zgadza się - odparł Bursztynowy Żuraw z lekką oszołomioną. - Pozwól, że nie będę pytał, jak to wszystko zdobyłeś.

- Legalnie - rzekł hertasi, odwracając zuchwale pysk. - Nie marudź.

- Kto tu marudzi? - powiedział Skan, rozchylając kłapę namiotu. - Czyżby Gesten próbował się tłumaczyć, dlaczego nie zorganizował właściwego posiłku?

- Przecież znasz Żurawia - rzekł hertasi, nim kestra'chern zdołał wyrzec cokolwiek na swą obronę. - Jeśli inni głodują, on uważa, że też powinien pościć. Męczennik, męczennik, po trzykroć męczennik.

- Nieprawda - odparł Bursztynowy Żuraw, podchodząc do wózka i wpychając do ust spory kawałek pasztetu, aby udowodnić Gestenowi, że się myli. - Uważam jedynie, że nie powinienem czerpać korzyści ze swojej funkcji, aby dogadzać tylko sobie.

- Czyżby? - zachichotał Skan. - A co masz na myśli?

- Dogadzanie klientowi - odrzekł mu bez wahania Bursztynowy Żuraw. - Przecież jesteście moimi klientami, prawda?

- No cóż, tak...

- Więc chyba zasługujecie, aby wam trochę dogodzić po długiej i bolesnej kuracji?

Skan zakasłał.

- No cóż, właściwie...

- Widzisz! - Bursztynowy Żuraw zwrócił się z triumfem do Gestena. - Moralne dogadzanie!

- No, no - odezwał się hertasi, chichocząc, i zaczął wyciągać wiktuały z wózka. Skan dostrzegł serce i podszedł nieco bliżej

- Trzymaj się z daleka! - Gesten trzepnął go po dziobie - To twój deser. I przestań się ślinić.

- Wypraszam sobie - rzekł Skan z oburzeniem. - Nigdy się nie ślinię!

Bursztynowy Żuraw miał już na końcu języka: "Nawet gdy patrzysz na Zhaneel?", ale nie chciał zepsuć niespodzianki. Mrugnął więc tylko do Gestena i zaczął pomagać hertasi w opróżnianiu wspaniale wyładowanego wózka, podczas gdy Skan stał obok i dyrygował.

- Mam nadzieję, że nie macie zamiaru od razu siadać do jedzenia - rzekł Bursztynowy Żuraw, gdy Skan usadowił się na stosie poduszek.

- Dla mnie jest jeszcze trochę zbyt wcześnie Nie chcę sobie psuć apetytu.

- Ja mogę poczekać - rzekł leniwie Czarny Gryf. - Poza tym operacja w Przełęczy Stelvi przestała być tajemnicą i przypuszczam, że chcecie usłyszeć, czego dokonał Szósty.

- Jestem pewien, że opowiedziałbyś nam, nawet gdybyśmy nie chcieli - prychnął Gesten. - Ale ponieważ nam na tym zależy, możesz dać nam popis swojej niezwykłej elokwencji.

Skandranon przez chwilę udawał, że jest obrażony, potem cisnął poduszką w Gestena, przed którą ten zrecznie się uchylił.

- Nie jesteście w stanie zepsuć mi nastroju. Jestem zbyt zadowolony. Szósty odbił Przełęcz i miasto jest na powrót w naszych rękach. Wieści pochodzą od magów. - Opowiedział wszystko ze szczegółami, jak żył sobie Bursztynowy Żuraw, po czym zakończył: - Jednak najlepsze zachowałem na ostatek. - Jego oczy błyszczały złośliwą radością. - Generał Shaiknam i dowódca Garber zostali odwołani ze swych stanowisk z "przyczyn zdrowotnych", a Szósty Dywizjom przejął generał Farle w nagrodę za dobre dowodzenie nim w tej operacji oraz zacytuje - "właściwe i strategiczne wykorzystanie sił powietrznych", koniec cytatu.

- To znaczy gryfów - rzekł z zadowoleniem Bursztynowy Żuraw - Włączając w to Zhaneel.

To nie był tylko jego wymysł: na dźwięk jej imienia nozdrza Skana rozdęły się i nabrały szkarłatnej barwy.

Miał zamiar go jeszcze dokładniej wy badać, ale na spuszczonej klapę namiotu padł cień.

- A oto nasz czwarty gość - powiedział zamiast tego. Wstał i podszedł do wejścia. - Piękna damo - rzekł, kłaniając się i gestem zapraszając Zhaneel. - Będziesz ozdobą naszego towarzystwa.

Mimo zmęczenia Zhaneel wyglądała bardzo ładnie; prawdopodobnie Zimowa Łania pomagała jej w toalecie. A ponieważ Zhaneel przed przyjściem tutaj musiała udać się do Urtho, trondi'irn z pewnością zadała sobie sporo trudu, by gryfica wyglądała jak najlepiej.

Wnioskując ze zdumionego wyrazu twarzy Skana, wyglądała równie wspaniale.

Weszła do namiotu i dopiero wtedy zauważyła, kto w nim siedzi. Zamarła, lecz Bursztynowy Żuraw położył dłoń na jej ramieniu, aby powstrzymać ją przed ucieczką.

- Oczywiście znasz Gestena - powiedział szybko. - A to jak wiesz, jest Skandranon. Chyba byliście już sobie przedstawieni. O ile sobie przypominam, dał ci pewną dobrą radę, jak wykorzystać żeton.

Bursztynowy Żuraw z łatwością wyczytał w oczach Skana: "Dopadnę cię za to, Żuraw". No cóż, był to przyzwoity odwet za fałszywe wyobrażenie na temat pracy kestra'chern, jakie Skan dał biednej małej Zhaneel. Choć cała sprawa dobrze się zakończyła, Skanowi należała się nauczka.

- Pozwoliłem sobie zaprosić go na kolację, by wraz z nami mógł fetować twoje zwycięstwo, Zhaneel - dodał. - Chyba nie masz nic przeciwko temu.

- Nie - odparła słabo. - Oczywiście, że nie.

Na szczęście nie dała drapaką i nie zamknęła się w sobie. Wkrótce odzyskała rezon. Mrugnęła raz czy dwa razy, weszła do namiotu; zajęła swoje miejsce na stosie poduszek, które wskazał jej Bursztynowy Żuraw.

Skan odzyskał część - ale żadną miarą nie całość - pewności siebie. W trakcie kolacji był cichszy niż zwykle, pozwalając by Bursztynowy Żuraw i Gesten prowadzili większość rozmów Zhaneel udało się okazać Skanowi przyjazny szacunek, ale jednocześnie nie była przytłoczona jego obecnością, co najwyraźniej go zaskoczyło.

Gdy zrobiło się ciemno, a Gesten wstał i zapalił lampy, wydawała się całkiem odprężona. Oczywiście było to dla niej znajome otoczenie i być może dlatego zachowywała spokój. Przed końcem kolacji Skanowi udało się zapytać ją, czy nie przyjęłaby go do jednej ze swych grup, jeśli Bursztynowy Żuraw wyrazi na to zgodę...

- To mój uzdrowiciel, jak wiesz - dodał Skan pośpiesznie. - Najlepszy uzdrowiciel gryfów, jaki istnieje.

Potem zamilkł, a Bursztynowy Żuraw uśmiechnął się.

- Dzięki ci, Skan - odparł. - Osobiście uważam, że trening jest ci niezwykle potrzebny, więc jeśli Zhaneel zechce tylko przyjąć kogoś tak niesfornego jak ty...

- Z przyjemnością - odparła godnie, a w jej oczach zabłyśły światła lamp. - Skandranon jest na tyle mądry, że wie, iż na torze nie wolno klócić się z trenerem.

Jej nozdrza zarumieniły się, ale tylko Bursztynowy Żuraw był dość blisko, aby to zauważyć.

- Czy wiesz już, że generał Farle został dowódcą Szóstego? - spytał,

zmieniając temat rozmowy. - Skan przyniósł takie wieści.

- Nie! - wykrzyknęła z radością. - Wspaniale! Naprawdę wspaniale! To świetny dowódca. Prawie wszystko szło zgodnie z planem. Nie było żadnych błędnych rozkazów. A gdy sprawy wykraczały poza plan, generał Farle miał od razu gotowe rozwiązanie.

- To stawia Shaiknama i Garbera na szarym końcu - wtrącił się Gesten. Jego głos zdradzał zatroskanie. - Nie wiem, ale ni sędzę, że tych dwóch, nie mając nic do roboty, pogodzi się z tym.

- Przecież będą mieli robotę - zaprotestował Skandranon. - Zachowują swoją rangę i wszystkie przywileje. Po prostu nie będą więcej dowodzić.

- A to oznacza, że nie będą mieli władzy - skontrował Gesten. - Żadnego prestiżu. Spartaczyli robotę i wszyscy o tym wiedzą. Będzie im wstyd, że stracili twarz. To niebezpieczny nastrój dla takiego człowieka jak Shaiknam.

Bursztynowy Żuraw wzruszył ramionami.

- Niebezpieczny, jeśli będzie miał nadal jakąś władzę lub jakichś popleczników, ale on nie ma. A w ogóle to całe gadanie o nim zepsuło mi apetyt. Generał Shaiknam pójdzie w zasłużone zapomnienie bez naszej pomocy, zatem nie mówmy o nim.

- Popieram - zagrzemiał Skan i zabrał się do swojego upragnionego serca, a Zhaneel połykała pstrągi.

Jednak pomimo swych słów Bursztynowy Żuraw nie potrafił jakoś zapomnieć o generale...

...Czy raczej o jego zasłużenie złej reputacji mściwego człowieka.

Skandranona bolał każdy miesiąc. Potrzebował nie tylko kąpieli, ale także dłuższego moczenia, żeby pozbyć się błota i mazi, oblepiających jego pióra. Ale nie dlatego szukał Bursztynowego Żurawia. Miał nadzieję, że jego przyjaciel ma akurat przerwę między sesjami. Żurawia nie było w "publicznej" części namiotu, ale zaniedbany stan tego pomieszczenia powiedział Skanowi, że kestra'chern przebywał tam niedawno, a Gesten nie zdążył jeszcze posprzątać.

Rzeczywiście tak było. Szczęście mu sprzyjało. Kiedy gryf wsadził nos w szparę między kotarami, Żuraw leżał na górze poduszek, wyglądając podobnie jak Skan.

- Do licha! - wykrzyknął Skan. - Z kim się tak zmagalesz? Czy może raczej z czym? Wyglądasz, jakbyś samotnie stoczył wojnę!

- Nie pytaj - westchnął Bursztynowy Żuraw, podnosząc się z łóżka. - To nie to, co myślisz. Ty też nie wyglądasz lepiej. - Kestra'chern odgarnął spocone włosy z czoła i spojrzał na Skana ze zmęczonym rozbawieniem. - Zhaneel, jak sądzę?

Skan padł na dywan tam, gdzie stał.

- Tak - odparł. - Ale nie to, co myślisz. Niestety. To tylko trening. - Jęknął, gdy jego zmęczone mięśnie dały o sobie znać. - Sądziłem, że mogę zrobić na niej wrażenie. To był zły pomysł. Stwierdziła, że skoro jestem lepszy od reszty grupy, powinienem odbyć zajęcia indywidualne.

Bursztynowy Żuraw przykrył usta dłonią.

Skan popatrzył groźnie.

- Lepiej się nie śmieć - powiedział ostrzegawczo.

Przyjaciel spojrzał na niego z udawaną niewinnością.

- Dlaczego miałbym się śmiać? - spytał szczerze. - Twój wygląd mówi za siebie. Najwyraźniej dałeś z siebie wszystko. Dlaczegoż miałbym się śmiać?

Skan spojrzał jeszcze groźniej. Miał dziwne przeczucie, że Żuraw ma coś wspólnego z Zhaneel, treningiem, zajęciami indywidualnymi - jednym słowem ze wszystkim.

- Wysiłałem się, wysiłałem, a teraz jestem wykończony. Muszę pożyczyc Gestena, Żurawiu. Inaczej nigdy nie zmyję błota ze swoich piór. I chciałbym, abyś użył mi swoich magicznych palców. A poza tym... - westchnął, przyznając się w końcu do porażki - ...muszę z tobą porozmawiać.

Bursztynowy Żuraw skinął potakująco głową, jakby się tego spodziewał. *Nic dziwnego, jeśli on rzeczywiście za tym wszystkim stoi.*

- Na tematy osobiste? - spytał kestra'chern. Tak jakby nie wiedział.

- Bardzo osobiste - przyznał Skan. kładąc po sobie pędzelki na uszach, prawdziwie nieszczęśliwy. - Żuraw, chodzi o Zhaneel. Ona jest jedyna. A ja jestem tylko jednym z jej uczniów.

- A po czym to sądzisz? - spytał ostrożnie Bursztynowy Żuraw.

- Ponieważ ona... mimo że się staram, nie robię na niej żadnego wrażenia! - wykrzyknął z desperacją Skan. - To mnie doprowadza do szału! Nie wiem, co robić!

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem - odparł Żuraw, opierając się na łokciu. - Stwierdziłeś, że Zhaneel jest dla ciebie idealną towarzyszką i jesteś nieszczęśliwy, gdyż ona nie lata za tobą i nie głupieje na twój

widok jak wszystkie inne gryfice. Zatem gdy ty puszysz się jak paw, ona nie zwraca na to uwagi. Czy o to chodzi?

Skan poczuł, jak w jego nozdrza uderzyło gorąco.

- Nie nazwałbym tak tego! - zaprotestował.

- A ja tak - rzekł Gesten zza jego pleców. Hertasi wszedł, rozchylając zasłonę. - Fe - dodał - wyglądasz jak zużyta ścierka. Gdybym był samica, też nie byłbym tobą zachwycony.

- Żuraw! - krzyknął Skan.

- Wystarczy, Gesten - napomniął go Bursztynowy Żuraw. - Skan, czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy pójść i porozmawiać z tą damą? Po prostu porozmawiać? Nie starać się wywierać na niej wrażenie, ale dowiedzieć się, jaka ona jest, co uważa za ważne, jaką ma osobowość? Dowiedzieć się czegoś o niej, zamiast mówić tylko o sobie?

- Och - jęknął gryf.

- Spróbuj tego czasami - rzekł Bursztynowy Żuraw, kładąc się z powrotem na poduszkę. - Rezultaty mogą cię zadziwić. Gestenie, ta zużyta ścierka chciałaby wiedzieć, czy zechcesz jej pomóc wrócić do gryfiego wyglądu. Raz przecież mogę iść pod publiczne natryski. Gorzej wyglądam, niż się czuję.

- Skoro chcesz - odpowiedział Gesten z wahaniem. - Myślałem, że sobie coś zwichnąłeś.

- Poproszę Cinnabar, żeby mi to nastawiła - rzekł Bursztynowy Żuraw w sufit namiotu. - Ruszaj, Skan bardziej potrzebuje w tej chwili twojej pomocy niż ja. Przecież musimy się dzielić twoimi wspaniałymi usługami.

- Dobrze - odparł hertasi z rezygnacją. - Chodźmy, Czarny Chłopczyk. Ale będziesz musiał się zadowolić moim masażem. Nie ma mowy, aby Żuraw się do tego zabierał.

Skan wstał z jękiem.

- Teraz zgodziłbym się nawet na to, by masował mnie Makaar - rzekł.

- I zalecałbym się do tego paskudztwa, byleby zdjęło ze mnie całe to błoto.

Gesten rzucił mu figlarne spojrzenie, udanie naśladując flirtującą kobietę.

- Nigdy bym nie sądził, Skan. Czyżbyś darzył mnie ukrytą namiętnością?

Skan tylko parsknął i podążył za hertasi na światło słońca namiot. Gesten otworzył skrzynię wbudowaną w bok wozu, mieszczącego cały

sprzęt Bursztynowego Żurawia. Wyjął z niej szczotki i specjalne grzebienie do oczyszczania skrzydeł gryfów.

- Rzeczywiście, powinieneś znaleźć wolną wannę i wziąć kąpiel - rzekł Hertasi, mierząc go wzrokiem. - Przecież jesteś magiem i potrafisz ogrzać wodę na tyle, aby twoje mięśnie nie zeszywniały z zimna.

- Ale najpierw, proszę, wyszczotkuj mnie - rzekł Skan. - Jeżeli wejść do wanny w tym stanie, będzie to kąpiel błotna.

- Racja.

Hertasi chwycił jedną ze szczotek i zabrał się ochoczo do pracy. Kawałki suchego błota rozpryskiwały się pod silnymi pociągnięciami Gestena.

- A co nowego słyszać oprócz tego, że Zhaneel zawróciła ci w głowie?

Skan zlekceważył drugą część pytania i odpowiedział na pierwszą. - Nowe jest to, że mamy Przełęcz, ale Ma'ar nie cofnął się ani o krok. - Pokręcił głową i pochylił się, aby Gesten mógł go lepiej szczotkować. - Gestenie, nie umiem powiedzieć, czy sprawy wyglądają dla nas lepiej czy gorzej.

- Nikt tego nie umie powiedzieć. - Gesten odłożył szczotkę i wziął inną, z lepszym włosiem. - Słyszałem, że sam Urtho nie wie, co robić. Ma'ar nie zostawi nas w spokoju, Urtho z kolei nie poświęci oddziałów, jak to czyni Ma'ar, aby się go pozbyć. Problem polega na tym, że mamy moralnego dowódcę. Przewagę ma facet, którego nie obchodzi, ilu ludzi straci.

Skan pokręcił głową.

- To dla mnie zbyt wiele, przynajmniej w tej chwili.

Hertasi prychnął.

- Taak. Wiem, co masz teraz w głowie, a raczej, że nic w niej nie masz. A Żuraw liczy na to, że właśnie głowy użyjesz, aby zauroczyć Zhaneel. Odkąd cię znam, nie zauważyłem, abyś często jej używał.

Tym razem Skan nie odpowiedział na jego żarty.

- Gestenie - rzekł z wahaniem. - Jak sądzisz, czy ona rzeczywiście zwróci na mnie uwagę, gdy zrobię to, co powiedział Żuraw? Wszystko, czego do tej pory spróbowałem, zawiodło.

- Więc spróbuj tego, a kto wie... - Gesten poklepał go po ramieniu, wzniesając obłok kurzu. - Wiesz przecież, że serce to jego specjalność. Więc chyba wie, co mówi.

Skan zadumał się. Gesten ma rację. *Poza tym muszę jej powiedzieć, kim ona jest i czego dowiedziałem się w Wieży. Jak to mówią, mogę*

upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- Skan, najpierw jednak musisz - zastrzegł Gesten - zrobić coś naprawdę ważnego.

Gryf odwrócił głowę, aby na niego spojrzeć. Głos hertasi zabrzmiał tak poważnie.

- Co takiego? - spytał zaniepokojony.

Gesten przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a potem rzekł ze śmiertelną powagą:

- Wziąć kąpiel.

Hertasi udało schronić się za klapą namiotu, zanim trafiła go zabłocna szczotka.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zhaneel spojrzała na swoją dłoń. Dłoń, a nie niekształtną kupę szponów. A więc nie była efektem przypadku. Tak jak przypuszczał Bursztynowy Żuraw, była żywym rezultatem jakiegoś planu.

- Zatem - spojrzała znad szponów na Skandranona i chociaż udało się jej zachować spokój i pozorną obojętność, jej serce waliło z radości, że ma go przy sobie, na swojej ulubionej skale, dominującej ponad torem przeszkód. - Jestem pierwszą z tej rasy, mówisz? A ty widziałeś tego dowód w Wieży Urtho?

Skan potaknął. Swoje wielkie złote oczy utkwiał w niej tak nieruchomo, jak gdyby były igłą kompasu wskazującą na Krzyż Północy. Słońce oświetlało jego czarne pióra, wydobywając z nich wzory, których tak chciał uniknąć, malując je na czarno.

- Jest tam chyba około pięćdziesięciu różnych typów. Większość to szerokoskrzydłe, w typie orła. Ty jesteś jedyna, która wygląda, jakby została stworzona na podstawie sokoła. Nie wiem, jak Urtho nazwał twój typ, ale ja nazywam go gryfsokół.

- Gryfsokół. - Obracała to słowo wokół języka. Brzmiało nawet lepiej, kiedy wymawiał je Skan, niż gdy wypowiedział je Bursztynowy Żuraw. - I nie ma w tym nic z przypadku - rozprostowała szpony. - Po prostu jestem jedyną z tego typu.

- Tak sędzę. Ale, Zhaneel... - Wahał się przez dłuższą chwilę, a ona patrzyła na niego z zaciekawieniem. Widać było, że pragnie jej jeszcze coś powiedzieć. - Zhaneel, szczerze mówiąc, nie jesteś jedynym gryfsokołem, ale jesteś pierwszym udanym. - Pochylił na moment dziób, po czym wyraźnie postanowił powiedzieć wszystko. - W Wieży jest... no cóż, prawdziwy wyrodek. Wygląda, jakby miała być gryfsokołem, ale coś się nie powiodło. Jest niekształtna, ma umysł dziecka. Sędzę, że jest obojnakiem, i jeszcze inne rzeczy są u niej nie tak.

Zhaneel uniosła pędzelki na uszach.

- W Wieży? Ale dlaczego... dlaczego Urtho miałby ją tam trzymać? Ja... - w tym momencie wszystkie obraźliwe i lekceważące słowa, żarty i kpiny z jej dzieciństwa powróciły do niej z ogromną siłą i zrozumiała dlaczego. - Nie. Rozumiem. - Gryfy nie płaczą, ale smutek sprawia, że ściskają się im gardła i wyzwała się w nich potrzeba wydawania przesywających dźwięków. Pochyliła głowę i stłumiła potrzebę lamentu. *Biedne maleństwo. Być może to lepiej, że ma umysł dziecka, ponieważ*

nie potrafi zrozumieć, jak okrutny może być świat, i nie żał jej tego, czego nigdy nie widziała.

- Czy to małe biedactwo ma imię?

Skan potaknął.

- Urtho nazywa ją Kechara, ona mówi, że ją często odwiedza i bawi się z nią. Nie sędzę, żeby cierpiała lub jej czegoś brakowało.

- Kechara. Ukochana... - Wzięła głęboki wdech, a jej gardło znowu się otworzyło. - Tak, to podobne do Urtho, troszczyć się o maleństwo, które nie jest dokładnie tym, czego by pragnął, starać się ze wszystkich sił, by była szczęśliwa.

W ciągu ostatnich kilku tygodni coraz lepiej poznawała swojego przywódcę. Zastanawiała się, czy Skandranon wie, jak wiele czasu Urtho poświęcał na rozmowy z nią. Bursztynowy Żuraw wiedział o tym i parę rzeczy, które jej mówił, wskazywały, że wcześniej rozmawiał o niej z Urtho.

- Ale co to dla nas oznacza? Myślę, że jeżeli będzie to w naszej mocy, powinniśmy znaleźć sposób, by oswobodzić Kecharę. Mając nas oboje, Kechara nie będzie narażona na pośmiewisko, tak jak ja byłam. Co o tym sądzisz? Gdybyśmy stali się dla niej rodziną...? I tak na razie nie powinniśmy mieć młodych, a Kechara będzie dla nas pewnego rodzaju przygotowaniem. Teraz możemy się rozmnażać nawet bez zgody Urtho.

Pochyliła głowę na jedną stronę, rumieniąc się. Skan gapił się na nią i wyglądał strasznie głupio, jak gdyby sens tego, co powiedziała, nie dotarł do niego od razu.

W chwilę później wyglądał jeszcze bardziej głupio, ale tylko dlatego, że szumiało mu w głowie od uniesienia. Wtedy i ją ono ogarnęło.

Doskonale wiedziała, jak bardzo musi być wyczerpany po dzisiejszym treningu. Mimo to wykrzesał z siebie tyle sił, by wyskoczyć za nią w powietrze, gdy wzleciała do góry, rzucając mu figlarne, zachęcające spojrzenie znad ramienia. A gdy wzeszedł księżyc, poprowadziła go na prawdziwy godowy pościg, pościg, który zakończył się na ciepłej trawie zbocza, wysoko ponad Wieżą Urtho.

W jedyny możliwy sposób...

Oto obraz klęski. Chaos na lądowisku, krzyki, jęki ciężko rannych gryfów. Uzdrowiciele i trondi'irn ze Wzgórza oraz ze wszystkich dywizjonów tłoczyli się, starając się na siebie nie wpadać. Zimowa Łania nie widziała tego wszystkiego, resztką sił utrzymując krwawiącego

gryfa przy życiu. Składała poszarpane ciało, używając daru i obu rąk, dopóki nie dotrze uzdrowiciel o większej mocy. Zaklinała i błagała biedne stworzenie, milknąc tylko, by nabrać oddechu. Ocierała łzy z policzka poplamionym krwią ramieniem.

- Nie umieraj, Feliss! - błagała gryficę. - Nie wolno ci tego robić po tym, jak wiele pracy Zhaneel w ciebie włożyła! Jeśli umrzesz, przysięgam, poproszę Urtho, aby złapał twojego ducha i wsadził w bezżenne ciało kapłanki Czystej Kylan! Dostaniesz nauczkę, zobaczysz!

Łzy znowu napłynęły do jej oczu, prawie ją oślepiając. Otarła je i nie zwracała uwagi na to, że jej własna energia ucieka wraz z krwią wypływającą z ran Feliss. Bogowie, bogowie, jeszcze parę tygodni temu wszystko było o wiele prostsze, zanim zmuszono ją, by patrzyła na gryfy tak, jak patrzył na nie Bursztynowy Żuraw. Zanim zaczęło jej zależec na nich i na tym, co się z nimi stanie. Zanim nauczyła się myśleć o nich z czymś więcej niż tylko zwykłą odpowiedzialnością...

Zanim Bursztynowy Żuraw kazał jej je polubić, a Zhaneel - szanować.

Do oczu napłynęły nowe łzy, ale nie było już czasu, aby je ocierać; na wpół oślepią żalnością, trwała niezdolna, by cokolwiek widzieć...

Dopóki nie przeniknął jej dar o wiele większy od jej własnego Stała się kanałem energii płynącej do Feliss, energii, której sama nie potrafiła jej dać. Szmaragdowozielona moc uzdrawiania przeniknęła przez nią i poprzez jej dłonie dotarła do ran. Ciało się zasklepiło i krwawienie ustało.

Zimowa Łania zamknęła oczy i skoncentrowała się tylko na tym, by być dobrym przekaźnikiem. Podtrzymywana bicie serca Feliss, dopóki energia nie osłabła, krew nie przestała kapać na jej palce i dopóki wreszcie serce nie zaczęło samo pracować. Dopiero wtedy otworzyła oczy.

Lady Cinnabar cofnęła swe długie autokratyczne dłonie znad dłoni Zimowej Łani i popatrzyła jej głęboko w oczy. Zimowa Łania była jak sparaliżowana i zamarła w miejscu niczym przerażony królik. Usiłowała unikać obecności lady, od czasu gdy zauważyła na jej twarzy przeblask rozpoznania.

Któż by pomyślał, że zdradzi mnie piosenka? Nuciała ją po cichu, wracając z sesji z Bursztynowym Żurawiem. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie czuła bólu w piętach. Conn Levas był nadal na froncie, a nie w jej łóżku, więc była na tyle radosna, że pozwoliła sobie cicho coś

nucić.

Jednak nie zdawała sobie sprawy z tego, to tak naprawdę nuci. dopóki nie minęła lady Cinnabar (pośpiesznie i odwracając twarz), a ta przeszła ją długim spojrzeniem.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nuci pieśń, która była ostatnim krzykiem mody na dworze Jego Wysokości Króla Leodhana, a pojawiła się na tydzień przed napaścią Ma'ara na jego ziemie. Niczym szlachta, która z przerażeniem uciekła przed najeźdźcą czy raczej rozpierzchła się ze zwykłego strachu, pieśń poszła w całkowite zapomnienie. Tylko ktoś taki jak lady Cinnabar, która w tym czasie przebywała na dworze, mógł ją rozpoznać.

Tylko ktoś, kto w tym czasie należał do dworu, mógł na tyle poznać tę pieśń, by ją nucić.

Zimowa Łania ujrzała, jak oczy Cinnabar zwięziły się, zdradzając, że się domyśliła. Szybko umknęła, mając nadzieję wbrew wszystkiemu, że Cinnabar uzna, iż się myliła i zapomni o tym zdarzeniu.

Lady jednak była bardziej dociekliwa i Zimowa Łania niejedną raz zauważyła, jak jej się z daleka przygląda. Obawiała się, że Cinnabar wie o kobiecie, którą niegdyś była, na tyle dużo, aby odkryć jej sekret. Wystarczyło, aby przyłapała ją na codziennych zachowaniach, których za żadną cenę nie dało się zmienić czy usunąć.

A teraz... Lady stała nad nią, patrząc jej w oczy spojrzeniem kogoś, kto w końcu rozwiązał zagadkę.

- Jesteś dobrym kanałem i pracujesz dzisiaj z lepszym rezultatem, niż widziałam to wcześniej - powiedziała Cinnabar łagodnie. - Twoje umiejętności i dodawanie otuchy utrzymały tę pierzastą przy życiu. Jesteś teraz lepszą trondi'irn i uzdrowicielką niż kilka tygodni temu.

- Dziękuję - odrzekła cicho Zimowa Łania, próbując bezskutecznie unikać dziwnych czerwobrazowych oczu lady.

- W ogóle zrobiłaś ogromne postępy. Pozbądź się tego drania Conna Levasa i stań na własnych nogach, a będziesz wybitna - dosadne słowa Cinnabar docierały do Zimowej Łani z daleka. - On nie jest ciebie wart, a ty go nie potrzebujesz, Reanna.

Wypowiedziawszy to, odwróciła się i podeszła do następnego pacjenta, zostawiając osłupiałą Zimową Łanię.

Oszło ją nie tylko otwartość Cinnabar, ale przede wszystkim ostatnie słowo, jakie wypowiedziała.

Reanna.

Zimowa Łania podeszła do następnego pacjenta. Na szczęście jej dłonie same wiedziały, co mają robić, i nie musiały być sterowane przez umysł. Jej umysł wirował niczym mysz w beczce.

Lady Cinnabar w i e. Zimowa Łania została zdemaskowana.

Ile czasu minie, nim lady Cinnabar powie swemu krewniakowi Urtho, że Reanna Laury - zaginiona, a najprawdopodobniej zbiegła - pracuje tu, w jego szeregach jako zwykła trondi'irn? Ile czasu minie, nim wszyscy się dowiedzą? Nim jej hańba zostanie ujawniona przed całą armią?

Zanim jednak zdołała się otrząsnąć, lady Cinnabar wróciła.

- Teraz ty i reszta zdołacie już sobie sami poradzić - powiedziała cicho. - Muszę wracać na Wzgórze. Nie tylko gryfy zostały ranne. A poza tym, Reanna... - Zimowa Łania zadrżała na dźwięk swego dawnego imienia.

Cinnabar położyła chłodną dłoń na jej ramieniu.

- Nikt nie dowie się o tym, co przed chwilą do ciebie mówiłam, jeśli ty sama tego nie wyjawisz - rzekła cicho uzdrowicielka. - Jeżeli postanowisz być tylko Zimową Łanią, nikt o niczym się nie dowie. Sądzę jednak, że powinnaś porozmawiać z Bursztynowym Żurawiem. On jest w posiadaniu pewnych informacji, które powinnaś poznać.

Lady uśmiechnęła się swym słynnym olśniewającym uśmiechem.

- Czasami znajdowanie się w centrum wydarzeń nie pozwala zainteresowanemu na dostrzeżenie tego, co naprawdę się dzieje. Będąc pionkiem, trudno się zorientować, dlaczego gra przebiega tak, a nie inaczej. Wiadomo tylko, że została przegrana, ale nie wiadomo dlaczego.

I wypowiedziawszy to raczej niejasne spostrzeżenie, lady odwróciła się i odeszła.

Zimowa Łania siedziała w swym skromnym namiocie i skręcała bezmyślnie kawałek rzemyka; była kłębkim nerwów. Za kilka chwil miała iść na spotkanie - na spotkanie, na które czekała z radością. Kestra'chern Bursztynowy Żuraw był osobą, z którą rozmawiało jej się tak łatwo, jak z nikim innym - chociaż ze zmianami, które wywołał, nie było jej łatwo sobie radzić.

Teraz jednak Cinnabar już wie. I chociaż obiecała, że nie wyjawia sekretu, powiedziała coś jeszcze.

“Sądzę, że powinnaś porozmawiać z Bursztynowym Żurawiem”. Sło-

wa Cinnabar nie dawały jej spokoju. Kim i czym był ten człowiek, że powinna z nim rozmawiać o tym, czego nie wyjawiała nikomu, o tajemnicy jej przeszłości, którą pragnęła pogrzebać raz na zawsze?

Dlaczego Cinnabar powiedziała coś tak wstrząsającego?

A przede wszystkim, dlaczego chce posłuchać jej rady?

Bogowie - co mam robić? Co mam powiedzieć?

Oczywiście, mogła niczego nie mówić, ale Bursztynowy Żuraw potrafił odczytać wszelkie niuanse mowy ciała i doskonale wiedział, kiedy jest z jakiegoś powodu przygnębiona. Potrafił wydobyć z niej wszystko, co chciał wiedzieć tak łatwo, jak ona wyjmowała cierń ze szponu swych podopiecznych.

Mogę przestać do niego chodzić. Mogę znaleźć kogoś innego, aby dokończyć leczenie.

Jednak nie chodziła do niego tylko z powodu swych pleców, wiedziała o tym. Już nie. Bursztynowy Żuraw stał się najbliższą osobą, jaką tutaj miała. Co więcej, był jedyną osobą, której powierzyłaby swoją tajemnicę.

A więc dlaczego tego nie zrobić?

Ponieważ nie chciała stracić tej przyjaźni. Jeżeli kestra'chern dowie się, kim ona jest, czy będzie mógł nadal żywić do niej szacunek?

Cinnabar powiedziała jeszcze coś: "Pozbądź się tego drania Conna Levasa i stań na własnych nogach". O, Cinnabar nie myliła się ani trochę. Ona i Conn pasowali do siebie jak pięść do nosa. A radzenie sobie z Connem kosztowało ją więcej, niż ktokolwiek przypuszczał.

Zawsze wiedziała - obojętnie czy Conn był tego świadom czy nie - że związek z magiem był tylko chwilowy. Kiedy zgodziła się zostać "jego kobietą", sądziła, że wszystko będzie trwało krótko, do czasu aż Ma'ar zetrze ich wszystkich z powierzchni ziemi. Kwestia kilku tygodni, najwyżej miesięcy. Urtho jednak okazał się nadspodziewanie dobrym przywódcą i oto żyła z Connem dłużej, niż zakładała.

Potem łudziła się, że prędzej czy później Conn się nią znudzi i ją odprawi. Okazało się jednak, że albo inne kobiety skupione wokół Szóstego także poznały się na magu - dużym dziecku, zaborczym i mającym napady złego humoru - albo on nadal uparcie ją cenił. Nie robił bowiem nic, aby się jej pozbyć pomimo uwag na temat jej chłodu.

Poza tym był mistrzem manipulacji, a jedną z osób, który manipulował tak łatwo, jak oddychał, była ona. Nie lubiła sprzeczek, nienawidziła scen. Łatwo popadała w zawstydzenie. Wiedział, jak i czym ją

nastraszyć i kiedy przejść od gróźb do czarujących pochlebstw.

Od samego początku ten związek był tak zimny jak każde małżeństwo z rozsądku. Dzięki niemu mogła się zamaskować i dawała Levasowi to, czego mu było trzeba. Każde z nich miało oddzielny dobytek i sypialnię; łączyło ich tylko wzajemne towarzystwo.

Ale nie wpuszcza się nikogo do łóżka bez jakiegoś emocjonalnego obciążenia. Była na tyle mądra, aby się do tego przyznać I chociaż cieszyłaby się, gdyby odszedł, dopóki twierdził, że jej potrzebuje, wiedziała, że zostanie. Dopiero gdyby to sam zrobił uwolniłaby się od niego.

Bursztynowy Żuraw już to umiejętnie z niej wydobył, a w konsekwencji sprawił, że musiała się przyznać do najskrytszych pragnień. Nie chciała już Conna i z całego serca pragnęła, aby zniknął z jej życia. Została tylko litość. Cała namiętność, nawet ta fizyczna, rozwiąła się. Bursztynowy Żuraw dawał jej więcej przyjemności niż Conn, nie wkraczając w ogóle w sferę miłosną czy erotyczną. A teraz Cinnabar mówi, że powinna się go pozbyć...

Cinnabar pewnie myśli, że on wykorzystuje moje zasoby, moją moc. Przypuszczam, że tak jest. Ilekroć wraca do domu z linii frontu, urządza sceny, a potem przez pół nocy muszę go pocieszać, dodawać mu sił, podczas gdy czuję się coraz gorzej. Nagle łapię się na tym, że chcę, aby umarł, a potem znowu czuję się winna za to, że mu źle życzyłam...

Och, wszystko było takie pogmatwane. Bursztynowy Żuraw na pewno pomógłby jej to rozwiązać. Jednak jeśli pójdzie na to spotkanie, on odkryje jej sekret.

Bolał ją żołądek. Zawsze ją bolał, kiedy się denerwowała. Bursztynowy Żuraw wie wszystko o ziołach; być może miałby coś na jej żołądek, tak jak przedtem na plecy. Gdyby tylko trzymała się tego tematu, uniknie zdradzenia mu czegoś ważnego.

Odłożyła na bok rzemyk, wstała z posłania i wyszła w szarobłękitny zmierzch.

Czas iść. Nie ma ucieczki. Ani powodu, by uciekać.

Już w chwili gdy Zimowa Łania wślizgnęła się przez wejście namiotu, Bursztynowy Żuraw wiedział, że stało się coś złego. Nawet gdyby nie był empatą, a tylko uczniem w różnych technikach kestra'chern, wiedziałby to. Poruszała się sztywno, mięśnie miała napięte, a mała pionowa zmarszczka między brwiami była głębsza niż zwykle. Jej oczy były zaczerwienione i podrażnione, a ramiona trzymała tak, jakby w każdej chwili spodziewała się ciosu.

- Czy Conn Levas już wrócił? - spytał ostrożnie, sądząc, że powodem jej napięcia jest mag.

Jednak zdziwione spojrzenie - jak gdyby było to ostatnie pytanie, jakiego się spodziewała - powiedziało mu, że strzał był chybiony. Powodem zakłopotania nie był zatem jej kochanek.

- Nie - odparła i odwróciła się do niego plecami, skromna jak zawsze, aby się rozebrać do masażu. - Oddziały pieszych są nadal na linii frontu. Podobno nie wiedzie im się dobrze. Chyba wiesz, że Ma'ar znowu wypchnął je z Przełęczy. Szósty ma duże straty, a Czwarty i Trzeci wysłały gryfy z noszami, aby ewakuować rannych. Na lądowisku było bardzo niedobrze.

- Słyszałem.

Skana też nie było. Jako jedyny gryf potrafił dotrzymać tempa Zhan-eel i Urtho wyznaczył go do jej ochrony. Wyłączono ich ze zwykłych zadań: latali tylko na specjalne polecenie Urtho, zazwyczaj przenosząc jakąś magiczną broń czy tarczę. Czarny Gryf zdał już Bursztynowemu Żurawiovi lapidarne sprawozdanie ze strat, zanim wyruszył na drugi lot.

- Nie dziwię się, że po takim dniu jesteś spięta.

- I mam kamień w żołądku - powiedziała, zasłaniając się suknią, zanim się odwróciła. Na jej twarzy malowała się nadzieja zmieszana z rezygnacją, jak gdyby niechętnie przyznawała się do tego, że zawiodło ją ciało. - Może znalazłbyś coś na to?

- Zakładając, że ufasz moim zamiarom - odparł, próbując rozluźnić ją żartem. - Zaleciłbym ci mieszankę przetacznika, korzenia lilii i ślazu. Akurat mam wszystko pod ręką. Nie jesteś jedyną osobą, która przyszła dziś do mnie z napiętymi mięśniami i skurczem żołądka.

Jej oczy z lekka się rozszerzyły, ponieważ wszystkie te trzy zioła miały bardzo silne działanie. Powszechnie uważano, że rozwiązują język i zwalniają również wszelkie inne hamulce.

- Nie wiem - odparła z wahaniem. - Ale może przez wzgląd na sta moich pleców i żołądka, powinnam.

Taką samą mieszankę dość często robił też dla siebie. Pokiwał więc ze zrozumieniem głową i skierował się do skrzynki z ziołami. Odmierzył równą ilość każdego z trzech składników do filiżanki i zalał je gorącą wodą. Zostawił filiżankę, aby zioła naciągnęły.

- Wierz mi, wiem, jak się czujesz. Jak już mówiłem, muszę uciekać się do ziół o wiele częściej, od kiedy trwa wojna. Jestem przy wojsku

Urtho - pozwól, niech pomyślę - od czasu upadku króla, gdy Urtho dopiero zaczynał dowodzić.

Ostrożnie chwyciła filiżankę gorzkiej herbaty. Skrzywiła się, posmakowawszy napoju, po czym wypila wszystko do dna.

- To dłużej niż ja - zauważyła. - Skoro jesteś przy Urtho od tak dawna, przypuszczam, że musisz dość dobrze znać dwór.

- Ja? W ogóle go nie znam. - Zaśmiał się i mógł przysiąc, że Zimowa Łania trochę się odprężyła. - Nie, wtedy byłem kestra'chern tylko dla Kaled'a'in; wszystkie klany przybyły, skoro tylko Urtho nas wezwał. I przez kilka miesięcy żyliśmy oddzielnie. Po prostu wydawał wodzom klanów swoje rozkazy i im zostawiał sposób wcielania ich w życie. Sam zaś próbował ogarnąć resztki sił obronnych. W tym czasie nikt nie wiedział, w jakim stopniu zostałem wyszkolony - kestra'chern nie otrzymywali stopni w klanach, tak jak to się dzieje gdzie indziej. Dopiero później zyskałem rangę, kiedy już wszystko było zorganizowane.

Ułożyła się na stole do masażu.

- Znając postawę klanów, musisz być zde gustowany paniczną ucieczką dworzan.

Znieruchomiał z butelką ciepłego olejku w dłoni, słysząc dziwny ton w jej głosie. W sposobie, w jaki wypowiedziała ostatnie zdanie, było coś, co dało mu nikły przebłysk zrozumienia. Postanowił kontynuować rozmowę.

Poruszaj się powoli, ostrożnie - pomyślał. - W tym kryje się coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Jeśli będziesz bardzo ostrożny, odpowie dziś na wszystkie pytania.

- Trwaliśmy przy Urtho, ponieważ byliśmy chronieni i nigdy nie odczuwaliśmy lęku - odparł, nalewając odrobinę olejku w zagłębienie dłoni i rozcierając go na jej plecach. - Jak wiesz, mieliśmy swych własnych magów. Dzięki temu czuliśmy się bezpieczni, gdyż oni służyli tylko Kaled'a'in, i Ma'ar nie mógł nas tknąć. Nie miał możliwości umieszczenia wśród nas swych szpiegów, nie mógł zatem nas osłabić, tak jak to zrobił z Jego Wysokością królem i dworem.

Mięśnie pod jego dłońmi zadrżały.

- Co przez to rozumiesz? - spytała niespokojnym i ostrym tonem.

Gładził jej plecy i odezwał się rozmyślnie uspokajającym tonem.

- No cóż, Ma'ar zawsze potrafił wykorzystać wszelkie okazje i nigdy nie posługiwał się bezpośrednim atakiem, kiedy mógł osiągnąć ten sam cel potajemnie. Perfidia, zdrada, manipulacja - oto jego ulubiona

broń. Najpierw za pomocą tych środków zyskał kontrolę nad swoją ziemią, a teraz tak samo podbija inne, zanim wyruszy do nich ze swoimi oddziałami. Jest bez serca i okrutny, ale nigdy nie poświęca bez powodu więcej niż musi, aby zdobyć to, czego pragnie.

- Ale co to ma wspólnego z nami? - spytała chrapliwie. - Co to ma wspólnego z tymi tchórzami, którzy zwyczajnie opuścili króla, uciekli, zostawiając dwór i swych ludzi w całkowitym chaosie?

- Wszystko - odparł lekko zdziwiony. - Ma'ar miał tuzin szpiegów na dworze, czyżbyś o tym nie wiedziała? Ich praca polegała na rozsiewaniu plotek, tworzeniu podziałów, utrudnianiu wszystkiego, co robił król. Nie znam ich nazwisk, ale Cinnabar je z pewnością zna. To ona głównie ich rozpoznała i zdemaskowała po tym, jak król się załamał. Jednak najgorsze nastąpiło później. Kiedy agenci zrobili wszystko, co się dało, aby doprowadzić dwór do wrzenia, Ma'ar wysłał jednego z nich do pałacu z małym "prezenterem" dla króla i jego sprzymierzeńców.

- Wydał usta z obrzydzeniem. - Perfidia najgorszego rodzaju Czy słyszałaś kiedyś o takiej rzeczy jak *dyrstaf*?

- Nie - odparła.

- Skan może ci powiedzieć coś więcej na ten temat. Był w tym czasie w Wieży razem z Urtho, dlatego jest doskonale zorientowany. W przeciwieństwie do lady Cinnabar, Skan jest magiem. - Bursztynowy Żuraw próbował przypomnieć sobie wszystko, co Cinnabar i Skan mu opowiadali. - Dyrstaf to coś niepozornego, zazwyczaj różdżka lub coś w tym rodzaju, nasycone zaklęciem strachu. Wygląda całkiem zwyczajnie, dopóki nie zostanie uruchomiona, a nawet i wówczas nie odznacza się niczym dziwnym oprócz magicznej poświaty. Najpierw ludzie odczuwają niewielki niepokój, a po upływie dnia i nocy wpadają w panikę. A ponieważ nie atakuje nikogo ani niczego konkretnego, większość czarów ochronnych nie skutkuje. Gdy szpieg wnosił ją do pałacu, nie była aktywna, a więc nikt nie domyślił się jej obecności. Dlatego też nie uruchomiła żadnej pułapki ochronnej, które znajdowały się wokół króla.

- Czar lęku? - powiedziała cicho. - Ale dlaczego tarcze ochronne pałacu... nieważne. Była wewnątrz tarcz, kiedy zaczęła działać, a więc oczywiście tarcze nie przepuściły niczego na zewnątrz.

- A zanim ktokolwiek zrozumiał, co się dzieje, było już za późno, żeby coś na to poradzić - odparł Bursztynowy Żuraw. - Najgorszą część swojej roboty wykonała po zapadnięciu zmierzchu, w nocy, w czasie,

gdy ludzie są najbardziej podatni na lęki. Magowie zawsze śpią osłonięci czymś w rodzaju prywatnej tarczy, więc nie zostali porażeni. Każdy, kto był szkolonym uzdrowicielem, także spał pod tarczą. Nie zapominaj, że większość uzdrowicieli jest też w pewnym stopniu empatami, a to była emocja, a więc chroniła ich przed nią ich własna osłona.

- Ale reszta... - zadrżała.

- Reszta po prostu uciekła - Bursztynowy Żuraw westchnął. - Rano pałac był pusty. Uciekli nie tylko szlachetnie urodzeni, choć być może słyszałaś inaczej. Wszyscy uciekli. Cinnabar mówiła, że jedynymi, którzy zostali, byli magowie i uzdrowiciele. W stajniach nie został ani jeden koń, osioł czy muł, który nadawałby się do osiodłania. Uciekła służba, straż pałacowa, a król załamał się całkowicie. Cinnabar wraz z innymi wezwała Urtho z Wieży. Jednak gdy Urtho znalazł *dyrstaf*, było już za późno. Najgorsze już się dokonało.

- Ale nie wrócili. - Nie mylił się, Zimowa Łania powiedziała to niesłychanie gorzkim tonem, przepełnionym poczuciem winy - Mogli przecież wrócić, ale nie zrobili tego. Zwykli tchórze, wszyscy bez wyjątku.

- Nie - odrzekł stanowczym, nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Nie wrócili nie dlatego, że byli tchórzami, ale dlatego że zostali zranieni. *Dyrstaf* rani serce i duszę tak głęboko, jak zwykła broń rani ciało. Pozostawia niewidoczną ranę przerażenia, która wciąż się pogłębia, ponieważ nie można jej dostrzec i nie krwawi. Nie byli tchórzami, zostali ciężko zranieni, a większość z nich odeszła, myśląc tylko o swoim lęku i wstydzie. Niektórzy, jak król, zmarli.

- Król... nie żyje? - odezwała się drżącym głosem. - Nie wiedziałam.

Bursztynowy Żuraw westchnął.

- Nigdy nie miał silnego serca, poza tym był stary. Kiedy Urtho znalazł go zamkniętego w szafie, był ogarnięty niewysłowionym wstydem. Wstyd złamał mu duszę i w ciągu następnego miesiąca król czuł się coraz słabszy. Ponieważ nie miał dzieci, a wszyscy następcy odeszli, Urtho stwierdził, że lepiej będzie, aby ludzie sądzili, iż udał się na wygnanie.

- A Cinnabar? - spytała ostro. - Dlaczego ona nie uciekła? Czyż to nie dowodzi, że wszyscy, którzy to zrobili, są tchórzami?

- Cinnabar była już wtedy wyszkolonym uzdrowicielem, moja droga - rzekł. *Nie tak jak ty, malutka. Być może miałaś dar, ale twoja rodzina nic uległa tobie i nie pozwoliła ci się szkolić.* - Pracowałaś z nią, wiesz,

jak ogromną ma moc, a jej empatia nie jest wcale słabsza niż uzdrawianie. Przed zewnętrznymi emocjami chroniła ją tarcza i nawet nie podejrzewała, że coś złego się dzieje. Dopiero rano mogła stwierdzić, że lęk pochodzi z zewnątrz i była wśród tych, którzy posłali po Urtho i pomogli mu znaleźć *dyrstaf*. Wszyscy weszli prywatną Bramą Urtho do sali tronowej. Z wyjątkiem Skana, zbyt dużego, aby się zmieścić. Niestety, zanim Urtho i magowie znaleźli *dyrstaf*, było już za późno, aby cokolwiek działać.

- Zawsze mówiono, że jej rodzina jest ekscentryczna - odezwała się Zimowa Łania, jakby do siebie. - Nie mieli nic przeciwko temu, aby ich dzieci zostały w przyszłości magami czy uzdrowicielami. Zazdrościłam jej...

Jęknęła, gdy zbyt późno uświadomiła sobie, że dała mu klucz do swej przeszłości.

- Gdyby twoi rodzice pozwolili ci szkolić się w umiejętności uzdrawiania, zamiast zmuszać cię do nauki tego, co mogłaś poznać na własną rękę, prawdopodobnie nie byłoby cię tutaj - rzekł cichym głosem.

- Gdybyś była właściwie wyszkolona, stałabyś obok Cinnabar, pomagając jej tamtego dnia. Nikt nie jest bardziej narażony na rany od niewyszkolonego empaty. Być może byłaś w całym pałacu osobą najbardziej podatną na działanie *dyrstafu*. Pomyślałaś o tym czar Ma'ara tak bardzo zranił innych, że dziwię się, iż cię nie zabił.

Jej ramiona drżały od łkania.

- Chciałabym, aby tak się stało! - łkała w poduszkę. - Bogowie! Naprawdę bym chciała!

Ostrożnie, bardzo ostrożnie, usiadł obok niej na łóżku i ujął jej ramiona swymi silnymi dłońmi, pomagając jej unieść się i odwrócić. Teraz mogła wypłakać się na jego ramieniu zamiast szlochać w bezduszną poduszkę. Przez jakiś czas tylko ją przytulał, pozwalając, aby jej długo powstrzymywany ból znalazł swe ujście. Kołysał ją lekko, głaszcząc po włosach i szyi.

Drżała i miała zimną skórę. Gesten wślizgnął się, cichy niczym cień, i położył obok grubą, ciepłą tunikę. Podziękował hertasi oczami, wziął ją i owinął wokół jej ramion. Odprężyła się, kiedy zaczęło ją przenikać ciepło. Stopniowo jej łkanie osłabło.

- Dlatego wybrałaś sobie imię "Zimowa Łania" - odezwał się. - Cały czas zastanawiałem się nad tym. Wybrałaś je nie dlatego, że jest to imię Kaled'a'in. Miałaś nadzieję, że łania, to łowne zwierzę, umknie w

chłód zimy, który sprawi, że nie będziesz niczego odczuwać.

- Zanim tu przybyłam, nie znałam Kaled'a'in – szepnęła.

- Ach tak. - Jedną ręką masował jej kark, a drugą przyciskał ją do piersi. - Wiesz, że nie musisz mi odpowiadać, chciałbym jednak wiedzieć, kim jesteś. Jeśli masz krewnych, którzy jeszcze żyją, pewnie chcieliby wiedzieć, że tobie nic się nie stało.

- Skąd wiesz? - odrzekła ostro, ale nie zareagował na to, po prostu odpowiedział.

- Wiem, częściowo dlatego, że jednym z moich zadań jako kestra'chern jest przekazywanie takich informacji Urtho, na wypadek gdyby jacyś krewni szukali innych żyjących członków rodu. Wiem także, ponieważ ja sam straciłem rodzinę, kiedy uciekła beze mnie, i nigdy już jej nie odnalazłem. A z tej niepewności rodzi się straszna pustka, próżnia i ból, że nie można poznać prawdy, choćby najgorszej.

- Och, przepraszam - rzekła krótko.

- Dzięki - odparł.

Wyczuł, że ona jeszcze nie skończyła, i czekał.

W końcu znowu przemówiła.

- Niegdyś nazywałam się lady Reanna Laury.

Zimowa Łania mówiła, a Bursztynowy Żuraw słuchał długo w noc. Była jego ostatnią klientką. Wyzaczył jej tę godzinę, przeczuwając, że gdy pękną bariery, będzie potrzeba wielu miarek świecy, aby skończyć rozmowę. Mieli więc dużo czasu.

Mówił do niej, głaskał, ale nie zrobił choćby najmniejszego gestu, który by nie był platoniczny. Wiedział, że ona na wpeł spodziewa się, że ją uwiedzie, wiedział także, że gdyby w jakiś sposób ją ośmielił, ona uwiodłaby jego. Jednak sytuacja była zbyt zagmatwana, aby pozwolić sobie na jeszcze większe komplikacje. Byłoby to nie tylko nieprofesjonalne z jego strony, ale niegodne przyjaźni.

Nie żeby tego nie chciał.

Była bardzo słodka, uległa w jego ramionach. Wyczuwał u niej namiętną naturę, o której Conn Levas z pewnością nie miał zielonego pojęcia. A ona była gotowa tę naturę przed nim odkryć.

Jednak istotą talentu kestra'chern było wyczuwanie właściwej chwili, a wiedział, że ta chwila jeszcze nie nadeszła.

Posłał ją zatem do namiotu wyczerpaną emocjonalnie i duchowo, a nie fizycznie. Sam zaś drżący rzucił się na łóżko, aby gapić się w sufit

namiotu i fantazjować o wszystkich tych rzeczach, jakie chciałby z nią robić.

Nigdy tak naprawdę nie oczekiwał, że znajdzie kogoś, z kim będzie chciał dzielić swe życie. Zawsze sądził, że będzie miał szczęście, jeśli znajdzie jedną czy dwie przypadkowe kochanki spoza swej profesji.

Teraz miał nieoczekiwaną pewność, że znalazł kogoś, kto wspaniale do niego pasował, choć ona nie miała o tym pojęcia. Na razie wiedziała tylko, że on potrafi ją pocieszyć, ukoić prześladowające ją lęki. Nie chciał jej, dopóki ona nie otrząśnie się z tego wszystkiego... dopóki nie pozna, kim i czym naprawdę jest, i nie zapragnie go jak kogoś sobie równego, a nie tylko jak pocieszyciela i obrońcy.

To już dostała od Conna.

Bez względu bowiem na to, kim kiedyś była, Zimowa Łania stała się teraz silną, energiczną i wykształconą kobietą. Miała ogromną zdolność współczucia, której tak się bała i tak się przed nią wzbraniała w obawie, że zostanie zraniona. Pokonała swoje lęki, wyszkoliła się w czymś, co mogło być przydatne w obozie Urtho. Wróciła, aby zająć tu swoje miejsce, podczas gdy setki innych, którzy nie byli tak silnie porażeni jak ona, pozostało na wygnaniu. Co prawda, nie wróciła pod swoim nazwiskiem, jednak jakakolwiek przedwczesna próba ujawnienia swego pochodzenia mogłaby tylko zniszczyć układ, który osiągnął Urtho. Dom i siły rodu Laury odpowiedziały na wezwanie Urtho, a nie tych, którzy rządili kiedyś nimi i ich lojalnością z racji urodzenia. Nie ma sensu teraz narażać zawartego już układu na zerwanie.

Myślał, że ją o tym przekona - a co więcej, był pewien, że ona sama również tak uważa, ale boi się do tego przyznać, by nie zostało to uznane za kolejne tchórzostwo. Oczywiście tak nie było. Przemawiał prze z nią tylko zdrowy rozsądek, który jednakże sam w sobie czasami nie wystarcza.

- Byłoby inaczej - powiedział jej - gdybyśmy mieli sytuację podobną do Lorda Cory. Wrócił na swe stanowisko, chociaż jest na emeryturze, zostawiając jednego przedstawiciela swojej linii, aby zarządzał jego ziemiami. Zrobił tak, pomimo że jest na to wszystko o wiele za stary. Jednak okazał się wspaniałym dowódcą, więc Urtho nie zamierza go prosić, aby się wycofał. Gdyby jednak ujawnił się któryś z jego synów albo córka, chcąc przejąć po nim dowództwo, będziemy mieli nowego generała polowego, zanim się obejrzy.

- Ale ludzie Laury są dowodzeni przez generał Micherone - zauważyła

Zimowa Łania i westchnęła. - Nie potrafiłabym być tak dobrym dowódcą jak Bet Micherone. Urtho ma do niej całkowite zaufanie. Nie widzę więc jakiegokolwiek powodu, abym musiała wrócić do dawnego życia.

- Ani ja - rzekł Bursztynowy Żuraw. - Zapytaj jednak lady Cinnabar, gdyż ona lepiej zna sytuację polityczną ode mnie. Jeśli i ona powie, żeby sobie tym nie zawracać głowy, wtedy ja także nie widzę powodu, abyś nie mogła zostać Zimową Łanią do końca życia. - Zaśmiał się słabo, po czym dodał: - A jeśli ktokolwiek zapyta, dlaczego nosisz imię Kaled'a'in, powiem, że zostałam adoptowana przez mój klan. Gdybyś chciała, mogę to zaaranżować.

Spojrzała na niego z namysłem.

- Bardzo bym chciała - odparła.

Zastanawiał się, czy ona wie lub się domyśla, co to oznacza. Kaled'a'in nie biorą nikogo spoza klanu ot tak sobie. Zazwyczaj był to ktoś, kto miał poślubić kogoś z plemienia, złożył braterską przysięgę krwi z Kaled'a'in lub oddał klanowi jakąś wielką przysługę.

A jednak nie żałował, że złożył taką ofertę. Wręcz przeciwnie. Chętnie się tym zajmie. Jeśli sprawy ułożą się, jakby tego pragnął...

Nie teraz - powiedział w duchu - ale może pewnego dnia. Najpierw ona musi załatwić sprawę z Connem Levasem. Dopiero wtedy będziesz mógł cokolwiek zacząć. W przeciwnym razie utwierdzi się w przekonaniu, że go zdradziła, a i tak już ma wiele powodów, by tak myśleć.

Potrzeba tylko cierpliwości, która nieobca była wszystkim Kaled'a'in. Potrzeba cierpliwości, gdy się chce wyszkolić jastrzębia czy konia, by osiągnęły doskonałość. Potrzeba cierpliwości, aby stać się szamanem, uzdrowicielem albo kestra'chern.

Ale ja już bytem wystarczająco cierpliwy, starczy mi do końca życia! Teraz, chciałbym, aby dla odmiany moje wysiłki przyniosły natychmiastowy skutek!

Bardzo by tego pragnął, ale zbyt dobrze wiedział, że nie powinien na to liczyć. Wystarczało, że pośród całego tego bólu i śmierci jest gdzieś trochę życia i ciepła, które są jego udziałem.

I z tą wzniosłą myślą zapadł w sen.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Krzyk ptaka wyrwał Bursztynowego Żurawia z twardego snu. Znał ten krzyk: wysoki i brzmiący jak płacz dziecka. Natychmiast siadł na łóżku, mrużąc oczy, by przedrzeć się do rzeczywistości.

Co jest? Poślaniec o tej godzinie ? To już rano! Co mogło się...

Jednak jeśli ktoś przysłał ptaka-posłańca, drapiącego w płótno namiotu, oznaczało to jedno: kłopoty. Nie było czasu, aby posłać hertasi zamiast ptaka. Nim Gesten zdążył dotrzeć do klapy namiotu, Bursztynowy Żuraw wyskoczył z łóżka i popędził do wejścia, by wpuścić ptaka, który usiadł na jego ramieniu, skrzecząc przez chwilę w podnieceniu, a potem przemówił głosem Tamsina.

- "Żuraw, jesteś potrzebny na Wzgórzu. Zaraz".

Cała informacja. Normalnie Bursztynowy Żuraw był ostatnią osobą, którą Tamsin prosiłby o pomoc na Wzgórzu. Kestra'chern wiedział, że Tamsin doskonale znał jego ograniczenia - nadal zdarzało mu się tracić kontrolę nad swym empatycznym darem. O wiele lepiej nadawał się do zawodu, który sam sobie wybrał - obaj o tym wiedzieli. Skoro jednak Tamsin posłał po niego ptaka, sytuacja na Wzgórzu musiała wymykać się spod kontroli. Uzdrowiciele ściągali wszystkich weterynarzy, zielarzy oraz kestra'chern, którzy mieli jakiegokolwiek pojęcie o uzdrawianiu, potrafili przygotować ranę do zszywania albo łagodzić ból.

Naciągnął na siebie ubranie i biegiem ruszył do namiotów uzdrowicieli. Kręciło się tam mnóstwo ludzi odzianych równie niedbale jak on i tak jak przypuszczał, nie był jedynym kestra'chern. Cokolwiek się stało, musiało być gorzej, niż mógł sobie wyobrazić. O prawdziwych rozmiarach klęski przekonał się, gdy przybył do namiotów uzdrowicieli. Zatrzymał się oniemiały, dysząc z wysiłku, porażony widokiem tak ogromnej liczby umierających. Namioty przepelnione były ofiarami, leżącymi wszędzie tam, gdzie był skrawek wolnego miejsca. Krew wsiąkała w ziemię, spływała szkarłatnymi strużkami z ubrań i pośpiesznie zakładanych bandaży. Ból uderzył go z taką mocą, że przebił jego tarcze.

- Bursztynowy Żuraw!

Odwrócił się na dźwięk swego imienia. Vikteren chwycił go za ramię i ciągnął do namiotu.

- Tamsin kazał mi czekać na ciebie. Potrzebują cię tutaj przy nielu-

dziach - powiedział to tak szybko, że prawie nie można było odróżnić słów. - Znam się trochę na weterynarii. Jeśli chcesz, mogę ci asystować.

- Chcę - odparł krótko Żuraw, mrużąc oczy w półcieniu namiotu. Chwilę trwało, zanim jego oczy, oślepione jasnym słońcem, przyzwyczaiły się do mroku.

A kiedy już mógł widzieć, żałował, że nie jest ślepy. Najbliżej wejścia znajdowało się pół tuzina kyree, które były w najgorszym stanie. Obok nich na siennikach leżały tervardi i hertasi, trudno powiedzieć, jak wiele - aż tyłu namiotu trzech dyheli. Była tylko jedna dywizja w wojsku, która miała tyłu nie ludzi na pozycjach bojowych. Serce mu zamarło.

- O bogowie... Drugi?!

- O mało co, a byłoby po nim - stwierdził Vikteren. - Ma'ar zaszedł ich od tyłu. Nikt nie wie, w jaki sposób.

Nie było czasu na dyskusję. On i jego asystent zajęli się pierwszym pacjentem: kyree, ciętym od gardła do ogona. Nie było chwili do stracenia.

Bursztynowy Żuraw pracował, używając dłoni i daru, zszywając i uzdrawiając rany. Blokował ból, nastawiał kości i zablizniał cięcia. Pracował, jak gdyby świat zawężił się do jego dłoni i ciała, które pod nimi leżało, straciwszy poczucie czasu; nie rozróżniał poszczególnych pacjentów. Polegał na swej wiedzy i instynkcie, a w końcu przestał *widzieć* nawet własne dłonie. Był tak wyczerpany, wysmagany bólem i lękiem innych, że świat stał się szary, potem czarny, a wreszcie zupełnie zniknął...

Ocknął się w objęciach Vikterena, z głową pod strumieniem wody, którą tamten pompował w szaleńczym tempie. Otrząsnął się i dał znać Vikterenowi, by już przesiał. Ukląkł i z trudem otarł zimną wodę ze swych oczu. Nigdy w życiu nie czuł się tak słaby.

- Zemdlałeś - powiedział mag. - Pomyślałem, że pewnie pomoże ci to, co zazwyczaj skutkuje w przypadku pijaków.

- Prawdopodobnie zrobiłeś najlepszą rzecz, jaką mogłeś - przyznał Bursztynowy Żuraw i zakaszłał. Ilu rannych tam pozostało? Jego praca jeszcze się nie skończyła. - Lepiej tam wróć...

Zaczął wstawać, ale Vikteren powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu. To wystarczyło, by Bursztynowy Żuraw się nie ruszył.

- Nie ma po co wracać. Zemdlałeś po tym, jak pomogłeś ostatniemu

tervardi i kilku ludziom, którym jeszcze nie udzielono pomocy. Reszcie nikt już nie mógł pomóc.

Bursztynowy Żuraw zamrugał, a potem jeszcze raz. Mag był cały umazany krwią: miał ją na ubraniu, dłoniach i włosach. Jego oczy były zaczerwienione i spuchnięte, a twarz blada jak chusta.

- Skończyliśmy? - spytał, próbując nie okazać zbyt wiele nadziei.

Vikteren pokiwał głową.

- Prawie, z tego co wiem. Ostatniego z rannych przynieśli przez Bramę Jerlag. Ewakuowali tylną straż i zamknęli ją około miarki świecy temu.

Ewakuowali? Zamknęli Bramę? Bursztynowy Żuraw zamrugał i uświadomił sobie, że padające na nich obu światło jest zupełnie sztuczne i pochodzi z magicznych lamp używanych przez uzdrowicieli. Niebo było zupełnie czarne pełne migoczących gwiazd.

Pracowaliśmy przez cały dzień?

- Gdy zamknęli Bramę, właśnie zachodziło słońce - rzekł Vikteren, odpowiadając na jego niewypowiedziane pytanie. - Urtho jest teraz przy wyjściu z Bramy i...

Drgnięcie w polu magicznym i wrażenie, jak gdyby cały świat usuwał się im spod nóg, kazał obu spojrzeć ku północy, ku Bramie Jerlag. Daleko za horyzontem, za górami pojawił się ogromny błysk światła. Przykrył cały północny horyzont blaskiem tak jasnym, że Vikteren aż zaklął, a Bursztynowy Żuraw zamrugał z bólu i otarł łzawiące oczy. Sztuczne światła tańczyły mu jeszcze przez kilka chwil pod powiekami.

Przez moment nie mogli wydobyć z siebie głosu. W końcu Vikteren rzekł:

- I tyle jeśli chodzi o Bramę Jerlag.

- Czyżby on...?

Bursztynowy Żuraw prawie nie mógł w to uwierzyć, ale Vikteren był magiem i rozpoznał, co zrobił Urtho, lepiej od jakiegokolwiek kestra'chern. Vikteren pokiwał głową.

- Zastosował sprzężenie zwrotne. Ma'ar może wziął Jerlag, ale będzie go to kosztowało o wiele więcej, niż myślał. Urtho po raz pierwszy spowodował implozję jednej ze swych stałych Bram.

Zawisła między nimi złowieszcza i nie wypowiedziana myśl. / *być może nie będzie to ostatnia.*

Bursztynowy Żuraw przełknął ślinę. Nie mógł sobie nawet wyobrazić

sił, jakie musiały się wyzwolić przy implozji stałej Bramy. Jednak Vikteren mógł. Młody mag mrużył oczy, patrząc na horyzont.

- Przypuszczalnie jest tam teraz dziura tak wielka jak ten obóz i tak głęboka jak wysoka jest Wieża - powiedział martwym głosem. Teraz z kolei Bursztynowy Żuraw chwycił go pod ramię i podtrzymał, bo Vikteren zachwiał się, jakby miał upaść. Był za ciężki jak na nadwątłone siły Bursztynowego Żurawia, więc podtrzymał go tylko, gdy ten osuwał się na błotnistą ziemię, a potem pochylił się nad nim. Vikteren spojrzał na niego szklistymi oczami.

- Upadłeś - odezwał się do niego łagodnie Bursztynowy Żuraw. - Nie jesteś w lepszej formie ode mnie.

- Powtórz to, Żuraw. - Gesten wkroczył w krąg światła magicznych lamp wraz z Aubri i dwoma hertasi lady Cinnabar. - Lady powiedziała mi, gdzie jesteś. Ona, Tamsin i Skan są chorzy ze zmartwienia. Niech Dierne i Lysle pomogą Vikterenowi wrócić do jego namiotu i go nakarmią, a Aubri pomoże mi zabrać ciebie do twojego - hertasi poklepał młodego maga po ramieniu. - Dobra robota, chłopcze. Tamsin mówi, że obaj zajęliście się wszystkimi ciężko rannymi nieлюдźmi. Naprawdę dobra robota. Gdybym miał stek, sam bym go dla was przyrządził

- W tej chwili wystarczy kilka gotowanych jajek i trochę sera - wymamrotał Vikteren. Jego twarz stała się całkiem szara - Nie mógłbym teraz patrzeć na mięso. Przypominałoby mi o znajomych...

Gesten dał znak dwóm pozostałym hertasi, którzy postawili Vikterena na nogi.

- Zjedz coś, odpocznij i wypij to, co ci dwaj tobie dadzą. Nie będziesz miał snów.

- Chciałeś powiedzieć, koszmarów - wymamrotał Bursztynowy Żuraw, podczas gdy hertasi pomagali magowi schodzić ze wzgórza, krok po chwiejnym kroku. - Pamiętam swojego pierwszego rannego na tej wojnie.

- Jak my wszyscy - odezwał się dudniącym głosem Aubri. - Gestenie, podnieś go. Żuraw, połóż się na moich plecach...

Wstał, lecz znowu zrobiło mu się ciemno przed oczami i Gesten syknął, gdy kestra'chern nagle z powrotem opadł na ziemię.

- Tak jak myślałem - rzekł hertasi. - Wyczerpałeś swą energię. Rano będziesz się czuł, jakbyś miał kaca.

- Już czuję się, jakbym miał kaca. - Bursztynowy Żuraw włożył głowę między kolana, aby świat przestał wirować przed oczami. - Mam na-

dzieję, że masz jakiś pomysł. Nie mam zamiaru spędzić reszty nocy w błocie.

- Dlatego właśnie przyprowadziłem Aubriego. Poczekaj chwilę.

Hertasi popędził do jednego z namiotów z narzędziami i wrócił z kilkoma rzemieniami i dwuosobowymi noszami. Podczas gdy Aubri mruzczał instrukcje, Gesten przygotowywał uprząż wokół zada Aubriego i przywiązał do niej za pomocą rzemyków rączki noszy.

- Wejdź na to - nakazał hertasi. - Tak to umocowałem, żeby Aubri wziął na siebie większość twojego ciężaru.

Bursztynowemu Żurawiowi udało się wgramolić na nosze, ale był tak słaby, że trwało to dłużej, niż przypuszczał. Pulsowało mu w głowie, jakby ktoś walił do drzwi. Wiedział, co to znaczy: przeforsował się i płacił za to słoną cenę. Z pewnością nie był dziś jedynym uzdrowicielem, który się czuł tak podle.

Zamknął oczy i obudził się dopiero, kiedy kładziono go do łóżka. Gdy jednak usiłował się poruszyć, jego głowa eksplodowała z bólu. Zamknął więc znowu oczy i poddawał się temu, co robił Gesten. W końcu tkwił w półsiedzącej pozycji, wsparty na poduszkach.

Kiedy znowu otworzył oczy, w namiocie oświetlonym tylko jedną słabą latarenką panowała cisza. Gesten ciągle tam był, choć Aubri i reszta rekrutów hertasi dawno już sobie poszła. Gesten sięgnął po filiżankę i podał mu ją.

- Masz - rzekł szorstko. - Wypij. Wiesz, co to jest.

Wiedział - mieszanka ziół, by mógł zasnąć, tak gęsta od miodu, że dziwił się, iż łyżeczka w niej nie uwięzła. Jednak w tej chwili był zbyt zmęczony, by protestować, i zbyt oszołomiony, aby go to obchodziło. Posłusznie przełknął zbyt słodki, lepki płyn.

Potem zamknął oczy, czekając przez chwilę, aż zioła zaczną działać. A kiedy już zaczęły, osunął się w ciemne wody snu bez jednej fali. Na jakiś czas.

Już dawno Zimowa Łania nie pragnęła tak bardzo zakopać się jakiejś dziurze i zasnąć na sto lat. Zamiast tego dotarła do swego namiotu i padła na legowisko. Zwinęła się w kłębek, czekając, aż mięśnie przestaną ją boleć ze zmęczenia, zbyt wyczerpana, aby się choć rozebrać.

Urtho przegrywa. Taka była powszechna opinia. Pozostało tylko pytanie, czy zaczną się wycofywać, czy też Urtho zdoła wymyślić coś, co przez jakiś czas powstrzyma Ma'ara.

Rozpadamy się stopniowo; myślałam, że Ma'ar wdepcze nas w ziemię. Nie przeraziło jej to: była zbyt zmęczona, aby odczuwać strach.

Nie zajmowała się tylko swoimi podopiecznymi, ale została wezwana na Wzgórze, gdy okazało się, jak wielu jest rannych. I nie tylko ona, ale wszyscy, którzy potrafili choćby zakładać bandaż. Widziała, jak długo i ciężko pracował Bursztynowy Żuraw: w końcu sam wyglądał jak ofiara. Nic on jeden: reszta kestra'chern pracowała równie ciężko i nawet perchi przyszły, by mieszać ziola i zmieniać bandaże. W takiej chwili zapomniano o konfliktach i kłótniach.

Niestety, Shaiknam i Garber znowu odzyskali dowództwa Chociaż generał Shaiknam nie miał już nie ludzi czy magów pój swoją komen-
dą, jednak zbyt wiele ofiar było jego wątpliwą zasługą. Kiedy odnosił sukces, robił to wielkim stylem, ale zawsze kosztem zdrowia i życia wojowników.

*Najlepiej byłoby, gdyby Urtho dał mu dowództwo nad maszynami ob-
lężniczymi i katapultami. One nie umierają.*

No cóż, przynajmniej nie musiała już wykonywać głupich rozkazów Garbera ani szukać dla niego wymówek. W tym momencie Szósty trzymał się na pozycji. I być może nadal będzie się trzymał, a Ma'ar na jakiś czas popuści, pozwalając rzeczom się ustabilizować, a im dając chwilę wytchnienia.

Kroki na zewnątrz namiotu ostrzegły ją w porę. Przekręciła się na brzuch z twarzą do ściany i udawała, że śpi. Oczywiście, był to Conn, oczekujący tego, co zwykle. Nie miała pojęcia, skąd brał siły, gdy wszyscy inni byli wyczerpani.

Energicznie rozepchnął klapy i stanął obok jej legowiska, czekając, aż się obudzi. Tylko, że ona nie miała zamiaru "się obudzić".

*Męczysz mnie, Conn. Męczy mnie ten twój tak zwany "temperament".
Męczy mnie odgrywanie twojej matki czy kochanki. Nie chcę być twoją
kochanką, nie masz dla mnie żadnych względów.*

W tej chwili zrozumiała, że trochę względów miał, bo przecież mógł równie dobrze potrząsnąć nią, aby się obudziła. A wtedy nie miałaby wyboru i musiałaby zrezygnować z fortelu.

*Niech mnie licho, Conn, jeśli ci ustąpię. To ty doprowadziłeś mnie do
tego stanu. Jestem zbyt zmęczona, by ruszyć choćby palcem, nie mam
sił na nic ani dla nikogo, nawet dla siebie.*

Postał jeszcze chwilę i na próbę szturchnął ją stopą raz czy dwa.

Bardzo romantyczne, Conn.

Widy wała już ludzi tak głęboko pogrążonych we śnie, że nie zbudziłoby ich nic prócz trzęsienia ziemi. Wiedziała, jak to naśladować. Pozostała zupełnie bezwładna, nie reagowała na jego ukłucia. W końcu wymruczał coś niepochlebnego na jej temat i wyszedł z namiotu.

Jeszcze przez jakiś czas pozostała w tej samej pozycji. Nigdy nie wiadomo, jak Conn zareaguje, gdy jego żądze nie zostały zaspokojone. Mógł się zaczaić przy namiocie, aby sprawdzić, czy ona się nie poruszy, lub nawet wrócić... z wiadrem zimnej wody.

Nie, tego by nie zrobił. Nie chciałby potem korzystać z mokrego legowiska.

Mógł jednak znaleźć inny sposób, by ją obudzić.

To dobrze, że słońce już zaszło: nie będzie mógł znaleźć ptaka-posłańca. Najprawdopodobniej przysłałby tu jakiegoś, żeby swoim skrzeczeniem mnie obudził. Te małe łajdaki uwielbiają dramatyczne sceny. Bez kłopotu namówiłby do tego któregoś z nich.

Nic jednak się nie stało i kiedy w końcu ścierpła jej ręka, odwróciła się, nasłuchując choćby szelestu.

Przed namiotem była latarnia i gdyby ktoś się tam czaił, na płótnie widać byłoby sylwetkę. Jednak nie zauważyła nic podejrzanego. Usiadła na łóżku, rozcierając rękę. Pomimo masowania i szczypania, nadal czuła w niej małe kłujące igiełki, ale w końcu przestały jej dokuczać.

Kraniec obozu, w którym mieszkała, był zatopiony w ciszy. Każdy, kto nie miał służby, spał, nie tracąc czasu na inne rzeczy. Wsłuchując się w ciszę, rozpoznała powolny krok wartownika chodzącego między rzędami namiotów, łopotanie flag na wietrze, skrzywienie lin i trzepotanie luźnego płótna.

I coś mruczącego nad głową.

Spojrzała do góry, gdzie maszty namiotu tworzyły krzyż. Dostrzegła tam siedzącą na żerdce małą figurkę.

Wstała z trudem i sięgnęła po nią bez zastanowienia. Dopiero gdy wyciągnęła rękę i poczuła pióra, dotarło do niej, że to mogło być wszystko - szczur, nietoperz, jakaś niemiła niespodzianka od maga.

Ale nie, był to tylko ptak-posłańiec. Poglaskała go po piórkach na piersi. Obudził się i mamrotał coś sennie, potem usiadł na jej palcu jak na żerdce.

Zdjęła go delikatnie. Chociaż były bardzo oswojone, jednak gdy się przestraszyły, mogły uszczypnąć. Drapała go jednym palcem po szyjce, podczas gdy on się budził, ćwierkał do siebie, a potem w końcu

przeciągnął się i zatrzepotał.

Przekreślił główkę i spojrział na nią. Usłużnie stanęła w świetle, aby mógł dokładnie zobaczyć jej twarz i ustalić tożsamość.

Z namysłem kłapnął raz czy dwa dzióbkiem, potem znowu nastroszył wszystkie swoje piórka i przemówił.

- "Spotkanie dziś wieczór odwołane" - powiedział głosem Bursztynowego Żurawia. Zadziwiające, jak dokładnie ten maluch potrafił naśladować zmęczenie, jakie odbijało się w przeciąganiu słów i zdań. - "Zbyt zmęczony. Jutro. Jeśli będziemy mogli. Przepraszam".

Usiadła z powrotem strasznie rozczarowana, chociaż sarna nie wiedziała, czy byłaby w stanie dojść do namiotu kestra'chern który znajdował się po drugiej stronie obozu. A on z pewnością nie będzie w stanie wykonać jej masażu. Nie po tak niewolniczo przepracowanym dniu.

A jednak moglibyśmy choć porozmawiać - pomyślała z żalem. - Wypłakać się przed sobą... pocieszyć.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie myśli już o nim tylko jako o kestra'chern Bursztynowym Żurawiu - czy nawet uzdrowicielu. Chciała rozmawiać z nim o każdym przerażającym szczególe - o człowieku, który zmarł na jej rękach, żołnierzach, którzy już nigdy nie będą mogli widzieć, chodzić czy posługiwać się bronią. Chciała wyszłochać się na jego ramieniu, a potem ofiarować mu takie samo pocieszenie. Potrzebowała tego i zgadywała, że on również tego potrzebuje. Jego przyjaciele byli tak samo wykończeni jak on i nie znajdzie się nikt, kto by go pocieszył.

Albo mają raczej innych, do których się zwrócić.

Gdyby tylko nie odwołał spotkania! Gdyby mogła pójść do niego...

A właściwie, dlaczego nie? - zrodziła się spontaniczna myśl. - Przyjaciele, by się spotkać, nie potrzebują się umawiać.

To prawda, ale...

Bogowie, do niego było tak daleko! Trzymała małego ptaszka na dłoni, odruchowo głaszcząc jego grzbiet i główkę, a on ćwierkał z zadowolenia. Wystarczyła tylko sama myśl o drodze, by zaczęła płakać. On prawdopodobnie wyczerpał swe uzdrawiające moce, ale ona przez cały dzień podnosiła rannych, ciągnęła ich, transportowała, przewracała. Nic dziwnego, że jej mięśnie paliły ze zmęczenia i były tak sztywne, że nie uniosłyby szklanki z wodą.

Na żwirze ścieżki, między rzędami namiotów, zaskrzypiały czyjeś

kroki. Rozlegały się coraz bliżej, ale były zbyt lekkie, by mogły należeć do Conna, więc je zlekceważyła, jednocześnie starając zebrać się w sobie i wstać. *Jeśli zdołam wstać, być może uda mi się dotrzeć do mesy. Jeśli dotrę do mesy, być może będę miała dość sił, by iść do łaźni. Jeśli zajdę aż tam...*

Kroki zatrzymały się przed wejściem do jej namiotu, a sylwetka na płótnie nie przypominała jej nikogo znajomego, dopóki mężczyzna nie odwrócił się bokiem, by odejść tą samą drogą, którą przyszedł.

- Bursztynowy Żuraw? - powiedziała głośno nie dowierzającym tonem. Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku i odwrócił się z powrotem do wejścia.

- Zimowa Łania? - odezwał się ostrożnie. - Myślałem, że śpisz.

- Ja... jestem zbyt zmęczona, żeby spać, choć to brzmi bez sensu - odparła wdzięczna, że on jest tutaj, że nie musi już o niczym myśleć. - Proszę, wejdź! Właśnie starałam się zebrać siły, aby iść cię odwiedzić!

Odsunął klapę namiotu i spojrzał na nią, siedzącą na legowisku z małym posłańcem na rękę.

- Otrzymałaś moją wiadomość... - rzekł z wahaniem.

- Od kiedy to przyjaciele muszą się umawiać, żeby porozmawiać? - odparła, a on rzucił jej swój lekki, wdzięczny uśmiech. - Wydawało mi się, że oboje musimy dziś z kimś porozmawiać.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo - westchnął, opadając na łóżko obok niej.

Gdy patrzyła na niego, siedzącego tutaj w cieniu namiotu i chcącego tylko rozmawiać, poczuła w sobie rosnące ciepło, jak gdyby kawałek lodu, który nosiła w środku od tak dawna, nagle zaczął topnieć.

- Chcesz zacząć pierwsza, czy ja mogę? - spytał, grzeczny jak zawsze.

On jej potrzebuje! On jej potrzebuje, nikogo innego tylko jej! Wyczuwała ból, jaki go przepelniał, ból, który tak rzadko był łagodzony, że przestał się już spodziewać, że znajdzie kiedykolwiek ulgę. Od jak dawna już nosi to jarzmo bólu? Z pewnością nie była to sprawa tylko dzisiejszego dnia.

- Ty pierwszy - rzekła spontanicznie. - Chyba bardziej potrzebujesz rozmowy ode mnie. W końcu to ty zdobyłeś się, by przebyć tę długą drogę.

Było zbyt ciemno, by widzieć jego twarz, wyczuła jednak, że był zaskoczony.

- Chyba tak... - powiedział wolno.

Posadziła ptaszka na wieszaku i ujęła jego dłoń. Była zimna, chwyciła ją w obie swoje ręce, aby ją ogrzać.

Dać komuś ciepło, czasami tylko tego trzeba...

Skandranon skręcił w bok, robiąc Zhaneel miejsce, aby mogła rzucić się na ścigającego go makaara. Ten, który leciał tuż za nim, zdecydowany zerwać go na strzępy, był brzydki, granatowy, nakrapiany w jasne cętki, a jego złamane rogi krwawiły, bo zderzył się ze swym kamratem. Zhaneel atakowała, gdy Skandranon odgrywał rolę przynęty, latając wśród rzadkich chmur, aby było go lepiej widać z dołu. Gryfsokół zawieszony wysoko ponad nim doskonale widział przez chmury i z niesłychaną łatwością uderzał na ścigające Skana makaary.

Uderzenie i następujący po nim krzyk mówiły mu o przybyciu Zhaneel, a potem ona sama przemykała obok niego lub pod nim z szybkością trzykrotnie większą od jego własnej. Oczy Skandranona błyszczały za każdym razem, gdy Zhaneel walczyła przy nim. Wrócił na swoją pozycję wabika, podczas gdy ona łukiem strzeliła w niebo, aby zyskać ponownie swoją wysokość ponad makaarami.

Pięknie! I skutecznie. Jest niezrównana, gdy znajduje się w swoim żywiole. Nowe makaary są słabsze niż te z ostatniego miotu. Dwa mioty, odkąd Kili... ciekaw jestem, czy on jeszcze żyje? Oho, następna grupa.

Pod nimi i za nimi wrzała walka, a im udawało się absorbować większość makaarów, aby nie przeszkadzały w odwrocie. *Odwrót! Kolejny! A ostrzegałem Urtho. żeby założył umocnienia i pułapki w dolinie, na wypadek gdyby Ma'ar choć odrobinę posunął się do przodu. Nie było jednak czasu ani zasobów. Teraz nasze oddziały przebijają się na tyły, aby uniknąć ostatecznej klęski. A gryfom pozostało tylko polować na makaary. Dziwne, ale mimo wszystko wolałbym teraz siedzieć tłusty i szczęśliwy w swoim namiocie, karmiąc Zhaneel przysmakami z królika.*

W jasnym świetle dnia Czarny Gryf nie był najskuteczniejszy w ukrywaniu się, zatem on i Zhaneel wymyślili len szczególny styl walki. Teraz jednak zmienił się on w swego rodzaju taktykę i nowe makaary najwyraźniej odkryły, że Zhaneel potrzebuje trochę czasu, aby osiągnąć swoją wysokość. Nie udawało się już im tak łatwo zabić makaara, ale przynajmniej ich liczba spadła i teraz nie mogło być ich więcej niż trzydzieści.

Kolejna eskadra makaarów - tym razem czwórka, ustawiona w niere-

gularny romb - zbliżyła się do Skandranona szybciej niż poprzednie eskadry. Zamierzali uderzyć na niego, zanim Zhaneel osiągnie wysokość i zdąży na nich się rzucić. Znajdowali się zbyt blisko Skana, aby on sam mógł skutecznie ich zaatakować. Rezultat - będą go ścigać i zmęczą, w efekcie czego on zwolni i nie będzie mógł na nich uderzyć.

Taki rezultat redukuje moje szansę na przeżycie w sposób znaczący, a ja nie jestem tym w ogóle zainteresowany. Nic ci lepszego nie przychodzi na myśl, głupi gryfie? Być może zjeść coś albo zatańczyć? Tańczyć...!

No, to jest coś, czego makaary na pewno się nie spodziewają. Spodziewają się, że przemknę obok nich albo zwolnię,. Ale jeśli się zatrzymam, to może złamać ich szyk. A makaary bez szyku są jak zagubione owieczki. Poza tym to może być nawet zabawne.

Może przyda się to, co pokazał mu przed dożynkami hertasi Poidon, skok do tyłu z przewrotem przez plecy. Oczywiście, jeśli tylko jego plecy będą w stanie wytrzymać przyspieszenie. Uzdrawianie przez Bursztynowego Żurawia wzmocnione metodyczną opieką Tamsina i Cinnabar sprawiło, że jego ścięgna i mięśnie były wystarczająco sprawne, aby sobie z tym poradzić.

Ponieważ miał szerokie skrzydła, zagarnięcie wystarczającej ilości powietrza, aby móc się zatrzymać, nie powinno stanowić problemu. Gorzej z szybkością.

Zhaneel miała właśnie wydostać się ponad warstwę chmur, ale nie była w stanie przewidzieć, co dzieje się za nią. Będzie się spodziewać, że Skandranon znajduje się już daleko w przedzie, a on nie zdoła przybyć tam na czas. Musi zatem lecieć dalej dopóki ona go nie zlokalizuje. Gdyby zwolnił za bardzo, makaary mogłyby odgadnąć jego zamiar i napaść na niego. A nawet jeśli..

Gadasz do siebie, zamiast coś zrobić... A w tym czasie te cztery potwory debatują, jakiego sosu użyć do twoich kości! Szczerze mówiąc, ty powinienes wiedzieć lepiej, gryfie. Urtho dał ci nie tylko skrzydła, przecież wiesz. Masz umysł, abyś mógł nim się posługiwać. Włożył czary do twojej głowy, ty głupi polciu mięsa, a tego makaary na pewno się nie spodziewają, reagują tylko zgodnie z tym, co przewidują, nie pamiętasz? A spodziewają się, że będziesz martwy, martwy, martwy, nie mają zamiaru pozwolić ci być dumnym ojcem małych gryfiątek.

Lekkie oślepienie powinno wystarczyć, ale na to potrzeba trochę czasu i trochę spokoju - spokoju? Kto ci to powiedział? Wystarczy chwila

koncentracji, nic więcej, zamartwiający się mazgaju. Nie możesz tego zrobić lecąc, ale możesz tego dokonać spadając. Spadanie będzie twoją najbliższą przyszłością, jeśli uda ci się wykonać przewrót przez plecy. Potrzeba ci tylko jednej spokojnej chwili.

Makaary doganiały go, skrzecząc. Skan rozpoznał Kilię na przedzie i ta najbliższa przyszłość stała się teraźniejszością. Skandranon wycełował dziób w kierunku chmur i wygiął swe ciało do tyłu. Pęd powietrza, który uderzył go w gardło, prawie odciął dopływ krwi do głowy, pomimo łagodzącego wpływu piór. Wolno i ostrożnie, jak gdyby ćwiczył to od lat, zmienił kąt nachylenia swych szerokich skrzydeł i stanął pionowo. Jego szybkość gwałtownie spadła, a w tej grze o życie szybkość i wytrzymałość oznaczała wygraną.

Z początku makaary musiały myśleć, że chce się poddać. Stara maksyma o stracie szybkości na rzecz wysokości okazała się prawdą, tak długo jak Skandranon trzymał swe skrzydła pod odpowiednim kątem. Wzniósłby się jeszcze wyżej, ale wówczas przeszedł do wykonania swego fortelu i zupełnie się zatrzymał. Wtedy, jak z pewnością dobrze wiedział jego stary nieprzyjaciel Kili, zaczął spadać, a cztery makaary będą pewne, że porwą go na strzepy, gdy będzie nieubłaganie pędził ku ziemi.

Zhaneel, jeśli mi się to nie uda, nie mów nikomu, że zrobiłem coś tak głupiego.

Makaary wrzasnęły z radości, gdy zwolnił w powietrzu, wyciągając ramiona i skrzydła. Kili zaczął wydawać swój zwycięski okrzyk. Skan wyciągnął ciało, podkurczając jedną nogę, a drugą prostując. Czarny Gryf przez chwilę zawisł nieruchomo w swej powietrznej wspinaczce.

Przez jedną spokojną chwilę.

Przez tę jedną spokojną chwilę...

Zhaneel biła wściekle skrzydłami, ciągle jeszcze podniecona walką, ale już zmęczona. Ponad cienką warstwą chmur, które ona i Czarny Gryf wykorzystywali jako zasłonę, powietrze było rzadkie i jej płucom brakowało tlenu, gdy znajdowała się tam zbyt długo. Bolały ją także szpony od uderzania w makaary.

A jednak było zupełnie inaczej. Walka u boku Czarnego Gryfa była czymś, o czym mogła dotąd tylko marzyć. Tak dobrze im się razem pracowało, wydawało się, że wszystko musi się im udać - jednak dobrze wiedziała, że jest to tylko życzenie. Ma'ar i jego dowódcy byli

przebiegli i każde uderzenie w gryfią parę mogło być ostatnim. Zatem radość z każdego sukcesu była tym większa.

Jak dotąd pokonywali wszystkie makaary, ale świadomość, że robili to, by kryć odwrót, ciążyła jej na sercu. Co innego być witanym jako bohater podczas wspaniałego ataku, a co innego zatrzymać wroga, gdy wojsko ucieka do domu. Sprawy przybrały zły obrót już w chwili, gdy armia Ma'ara zaczęła wyłaniać się z jego naziemnej Bramy, szeregi identycznie umundurowanych ludzi z mnóstwem dzid i łuków. Mag z oddziałów Urtho najwyraźniej nie zdążył przybyć na czas, aby powstrzymać wroga przed otwarciem Bramy, więc dwójka gryfów wzięła na siebie unieszkodliwienie człowieka Ma'ara. Skanandron był w stanie na niego uderzyć dopiero po przejściu większości oddziałów Ma'ara, a wtedy zaroilo się od makaarów niczym od komarów.

To dało początek jednemu z najbardziej chwalebnych czynów Zhaneel. Potężny Czarny Gryf zaplątał się w sieć maskującą, za którą ukrywał się mag. Nie był mocno zaplątany, ale dodatkowo przytrzymało go przy ziemi ciało maga, które było uwięzione w dolnej części sieci, a ludzie maga zbliżali się z okopów do Skandranona. Zhaneel spadła jak błyskawica i przecięła sieć swymi nożycami, potem odepchnęła bezwładne ciało maga wraz z siecią na kamieniste zbocze, aby opóźnić natarcie oddziału. W tym czasie Skan utorował sobie drogę ku niebu. Właśnie o takim ocaleniu go marzyła!

A teraz jej ukochany Czarny Gryf znajdował się pod chmurami, czekał, aż ona znowu uderzy na makaara, który niechybnie za nim podąży. Zawisła nad miejscem, gdzie powinien się znajdować, gotowała się do natarcia, spozierając przez cienkie chmury - a Skandranona tam nie było!

Poczuła, że ma ściśnięte gardło i nie mogła wydobyć głosu - na tej wysokości jej instynktowna skłonność do lamentowania mogła ją zadusić. Z przerażeniem zdała sobie z tego sprawę. Powietrze było niezwykle rzadkie, nie mogła sobie pozwolić na lament. Ale gdzie on jest? Zamiast płakać powinna spróbować mu pomóc!

Niestety żaden szerokoskrzydły czarny kształt nie poruszał się niepokojnie pod mgłą chmur. Powinien być tutaj! Złożyła skrzydła i zanurkowała w szaleńczym poszukiwaniu...

...i wtedy zobaczyła pod sobą błysk światła. Jej oczy szukały miejsca oślepiającego wybuchu i pośrodku rombu czterech oszołomionych

makaarów dojrzała spadającą czarną kulę.

Skandranon!

Zhaneel niczym grom spadła na bezradne makaary. Żaden wstrętny makaar nie będzie krzywdził jej ukochanego!

Skandranon otworzył oczy, by ujrzeć wirującą planetę, zbliżającą się ku niemu z ogromną prędkością. Biorąc pod uwagę inne rzeczy, które mógł w tej chwili zobaczyć - na przykład swoje wewnętrzne organy plamiące krwią niebo czy pazury makaara przed swoją twarzą - uświadomienie sobie, że tylko spada, było całkiem przyjemną konstatacją.

Ani pod nim, ani z boku nie było żadnego makaara, gdyż zastosował się do innej zasady swej prywatnej filozofii - *nigdy nie patrz za siebie, gdyż mogą tam być ścigające cię strzały* - i zmusił się, by trwać nieruchomo jak kamień i pozwolić sile ciężkości wyrzucić na nim jej magiczny wpływ. Jeszcze kilka sekund i powinien poruszać się wystarczająco szybko, aby mógł wykorzystać swoje skrzydła. A wtedy zobaczymy, w jakiej formie będą lecące za nim makaary. Spróbuje też znaleźć Zhaneel.

Pewnie jest jeszcze na swojej pozycji i szuka go. a jego nie ma tam, gdzie miał być. *Jak dotąd żyjesz, podniebny tancerzu, ale nie przeżyjesz tego, co ci zrobi Zhaneel, kiedy cię dostanie w swe szpony!*

Zanim zdążył pomyśleć o tym, do czego jest zdolna Zhaneel, powietrze wokół niego zadrżało od potwornego poddmuchu - i skrzydła makaara pojawiły się przed jego oczami w odległości nie większej niż szerokość dłoni.

Skrzydło Kiliego!

Skan desperacko skrzył w bok, aby wbić szpony we wroga, który był tak bliski wypatroszenia go. Ciało oboma przednimi szponami w skrzydło. Zaczepiwszy się, miał zamiar ściągnąć potwora na dół...

...i ujrzął za nim Zhaneel wydającą triumfalny okrzyk. W rękach mocno ścisnęła swoje nożyce. Sekundę później pojawiła się za nią mgiełka ciemnej, zimnej krwi z drugiego skrzydła oraz umierające ciało bezskrzydłego teraz makaara, dowódcy eskadry. Zhaneel skrzyła, aby znaleźć się obok Skandranona i zaśmiała się do niego, gdy ten puścił skrzydło makaara i powrócił do kontrolowanego lotu.

O bogowie, jestem zakochany!

Pozostałe trzy makaary nadal oślepięte przez czar Skandranona roz-

proszyły się i ruszyły za resztą kamratów. Żaden już makaar nie przeszkadzał w odwrocie. A oddziały Ma'ara zatrzymały się, aby oszacować swe straty.

Znowu bezpieczna, leci obok niego, silna i piękna jak w najdzikszych snach Skana.

Tak, Zhaneel, jestem bezgranicznie zakochany. Dla ciebie warto żyć, bez względu na to, co nas czeka. Jesteś droższa ponad wszystko...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W końcu spokój.

Bursztynowy Żuraw opuścił klapę namiotu za ostatnim klientem tego wieczora. Odwrócił się, szeleszcząc jedwabiem, aby spojrzeć na jasno oświetlone wnętrze pokoju przyjąć i westchnął z ulgą. Gesten uniósł swój tępo zakończony pyszczek znad szafki z ręcznikami, gdzie właśnie sprzątał. Spojrzał na niego, po czym wzniósł oczy, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale jednak postanowił milczeć.

To nie miał być komentarz ani wyrzut, ani też wahanie, a więc pewnie prośba.

- Wyduś to z siebie, Gesten - rzeki cierpliwie Bursztynowy Żuraw. - Masz jakąś prośbę. Obojętnie co to jest, zasłużyłeś na to co najmniej z tuzin razy. O co chodzi?

- Jestem zmęczony, chciałbym wyjść wcześniej i położyć się spać - przyznał Gesten - ale nie chcę zostawiać cię samego z całym tym bałaganem, jeśli też jesteś zmęczony. Myślałem, że czujesz się dobrze, dopóki nie usłyszałem, jak wzdychasz.

Bursztynowy Żuraw pokręcił głową i odgarnął do tyłu włosy.

- Westchnąłem, bo to miłe: wykonywać robotę, do której jest się przygotowanym, a nie odgrywać rolę drugorzędnego uzdrowiciela - powiedział do hertasi. - Było to westchnienie ulgi.

Odwrócił się i podszedł do przenośnego składanego stolika obok kanapy. Na stoliku znajdowało się obecnie mnóstwo buteleczek i pudełek z płynami oraz kremami, pachnącymi i bez zapachu. Chwycił pierwszą buteleczkę, wypełnioną do połowy płynem rumiankowym, i zaczął ustawiać je we właściwej kolejności. Za każdym razem, zanim odłożył je na miejsce, upewniał się, czy są dobrze zakręcone. Teraz nie potrafiłby nawet powiedzieć, gdzie zdobyć nowe zapasy. Każda kropla była zbyt cenna, aby pozwolić jej wyparować czy się rozlać. Kosmetyki czy płyny nie znajdowały się obecnie na liście priorytetów u zielarzy. Potrafił oczywiście przyrzadzić je sam, ale skąd miał wziąć na to czas i odpowiednie składniki?

Może się zdarzyć, że nie będzie w ogóle potrzebował robić nowych zapasów. Problem, gdzie je znaleźć, w każdej chwili może zostać definitywnie rozwiązany przez Ma'ara.

Lepiej o tym nie myśleć. Lepiej cieszyć się chwilowym spokojem i nie zastanawiać się, jak bardzo chwilowy może on w istocie być.

- Nie, Gestenie, nie jestem zmęczony. Dość dziwne, ale sadzę, że moje wyczerpanie na Wzgórzu nauczyło mnie, jak lepiej wykorzystywać swoje źródła - kontynuował. - Albo jestem teraz lepiej przygotowany niż byłem wcześniej. To taka przyjemność wrócić do roli zwykłego kestra'chern... - Podejrzana cisza wzbudziła w nim czujność. Odwrócił się, aby spojrzeć na Gestena, który szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu. Skrzywił się. - Oszczędź mi tego uśmiechu, mój mały przyjacielu. Żadnych podtekstów ani docinków. Po prostu idź spać. Musiałem sam sprzątać po sobie na długo zanim ty się zjawiałeś i chyba pamiętam, jak to się robi.

Uśmiech Gestena jakby jeszcze się poszerzył - nie było jednak wątpliwości, że hertasi był zmęczony, tak jak twierdził. A może nawet bardziej. Również dla niego te kilka ostatnich dni nie należało do najłatwiejszych. Prawdopodobnie odpoczywał mniej niż Bursztynowy Żuraw. Jego łuski były matowe, a ogon opadał, jakby nagle stał się za ciężki. Język za to nadal miał cięty.

Pochylił się i wyciągnął przednie łapy.

- Tak, o największy z kestra'chern, o mistrzu masażu, o szczycie zmysłów, o szczycie podniecenia, o prałacie...

- Wystarczy - przerwał Bursztynowy Żuraw. - Pewnego dnia, Gestenie, naprawdę mnie rozłóścisz.

- A kiedy to się stanie, księżyc zrobi się purpurowy, na niebie będą fruwały ryby, a ptaki będą pływać w morzach - zakpił Gesten. - Ty prawie nigdy się nie złościsz, Żuraw, nawet na ludzi, którzy na to zasługują. Ostatni raz widziałem cię wściekłego, gdy przyszedł do ciebie ten uzdrowiciel ze Wzgórza tylko po to, by cię obrazić. Zdażyłeś się jednak uspokoić, zanim wróciłeś do namiotu! Powinieneś wściekać się o wiele częściej. Jesteś zbyt cierpliwy. Zbyt silna samokontrola nie wychodzi na dobre. Nieraz trzeba sobie ulżyć, sam doskonale wiesz.

Bursztynowy Żuraw potrząsnął głową i nie przerwał porządków, odstawiając słoiczki i butelki na miejsce. Skrzynekczka, z drzewa sandałowego była wymoszczona materiałem, aby pomimo wstrząsów czy uderzeń jej zawartość nie zbiła się ani nie rozlała. Po tych wszystkich kłopotach, jakie ostatnio przeżywali zajęcie to przynosiło mu odprężenie, podobnie jak prosta rozmowa z hertasi, zamiast uczonych dysput na temat tego, jak rozładować kryzys i wyjść ze stanu gotowości.

- Nie chodzi o to, że jestem cierpliwy, ale ja po prostu lepiej znam naturę człowieka. Wiem, jak może być pokrecona i zniekształcona, ro-

zumiem nawet potwory w ludzkiej skórze. To sprawia, że nie potrafię długo się złościć na nikogo, ponieważ znam jego uczucia i motywację. Po rozmowie z Urtho na temat naszego wroga wiem nawet, dlaczego Ma'ar jest taki, jaki jest. Potrafię sobie poradzić ze złością wobec niego. Chciałbym tylko poznać powody jego zachowania, aby móc go powstrzymać.

- Ale na nikogo innego nie jesteś długo zły - spierał się Gesten. - A ludzie myślą, że to dlatego, że jesteś słaby. Myślą, że mogą ci chodzić po głowie dlatego, że ty nie walczysz i tym samym przyznajesz im rację.

Uniósł brew ze zdziwienia.

- Naprawdę tak myślą? - rzekł. - Interesujące. No cóż, Gestenie, nie uważasz, że to lepiej? Jeśli uważają mnie za słabeusza, nie doceniają mnie. Jeśli myślą, że noszę w sobie poczucie winy czy wstydu, będą się spodziewać, że nie dam sobie z nimi rady. A ja udaremnię ich zamiary lub je bez wysiłku ominę. Oni natomiast będą tracili swój cenny czas, napawając się domniemanym zwycięstwem.

Gesten prychnął z sarkazmem.

- Być może ty tak uważasz, ale co z całą resztą podobną do tego cholernego uzdrowiciela? Z tymi, którzy spoglądają na ciebie z góry? Uważają, że są od ciebie lepsi i wygadują okropne rzeczy za twoimi plecami. Jak zamierzasz przeciwstawić się cichej kampanii przeciwko tobie? Jak masz zamiar poradzić sobie z tymi, którzy cię oczerniają?

Bursztynowy Żuraw wzruszył ramionami.

- Postąpię tak jak zawsze, dowiem się, kim oni są i co mówią. A kiedy będę już wiedział, do kogo należy sztylet, mam wybór: albo zrobić unik, poszukać czegoś, co posłuży mi za tarczę, albo powiedzieć odpowiednim ludziom, aby uporali się z moimi prześladowcami. Nie muszę się angażować.

Gesten mruknął z niezadowoleniem, wyraźnie nie zgadzając się ze spokojnym rozumowaniem Bursztynowego Żurawia.

- Przeważnie robisz unik. A oni tylko utwierdzają się w tym, że jesteś słaby. Co gorsze, sądzą, że skoro im ustępujesz, to widocznie mieli rację!

Pomyślał nad tym przez chwilę, potem uniósł zapakowaną już skrzynkę i postawił ją we właściwym miejscu pod ścianką namiotu.

- To prawda - powiedział w końcu. - Ale, Gestenie, dopóki to, co mówią czy robią, nie wyrządza mi krzywdy, dlaczego miałoby mnie ob-

chodzić? Dopóki wiem, kim są i mogę się bronić przed prawdziwym zagrożeniem w przyszłości, nie ma sensu z nimi walczyć. A poza tym skoro czują się z tym szczęśliwi...

Gesten rozdziawił pyszczek i spojrział rozszerzonymi oczami.

- Nie wierzę własnym uszom - powiedział zdumiony. - Ta trucizna, którą rozsiewają... jest jak śmierdzące gówno, powoduje, że wszystko, czego dotknie, śmierdzi równie ohydnie. Zaraża każdego, kto tego słucha! Co gorsza, również innym ludziom każe rozprzestrzeniać tę truciznę! Dlaczego miałbyś chcieć, aby oni czuli się szczęśliwi?

Bursztynowy Żuraw odwrócił się do swego małego przyjaciela i usiadł ze smutnym uśmiechem.

- Ponieważ oni są zgorzkniałymi, nieszczęśliwymi ludźmi i niewiele rzeczy jest w stanie ich uszczęśliwić. Kieruje nimi zazdrość, a ta wynika z różnych powodów. Na przykład zazdroszczą mi, że prowadzę bardziej luksusowe życie od nich, a przynajmniej oni tak sądzą. Albo tego, że wielu znaczących ludzi nazywa mnie swoim przyjacielem. Również i tego, że nie mogą zajmować się tym co ja i to wywołuje gorycz. Tak niewiele rzeczy sprawia im przyjemność, że nie widzę powodu, aby odbierać im radość, którą czerpią z szyderstw i drwin.

Gesten pokręcił głową.

- Żuraw... jesteś szalony. Zresztą tak przypuszczałem. Idę spać. To dla mnie zbyt wiele. Dobranoc.

- Dobranoc, Gestenie - rzekł miękko. Wstał i zaczął zbierać porozrzuconą garderobę.

Zastanawiam się, czy powinienem powiedzieć mu całą prawdę - pomyślał, schludnie układając poduszki w narożniku. - Może on ma rację, może powinienem czasem się pozłościć - ale nie mam już dość energii, aby ją tracić na gniew. Potrzebuje jej do ważniejszych rzeczy niż zmagania z głupcami.

Czy gdyby nie było wojny, myślałby tak samo? *Nie wiadomo. Może.* Przez chwilę zastanawiał się nad „wrogami”, jakich miał w szeregach Urtho. Większość z nich to uzdrowiciele ze wzgórza, którzy uważali, że przynosi wstyd ich szlachebnemu powołaniu; kilku oficerów, którym odmówił „usług” pomimo wysokiego wynagrodzenia.

Motywy ludzi łatwo było odgadnąć. Ci, których odesłał z kwitkiem, niechętnie przyznawali się do tego, ale odmowa doprowadzała ich do furii, ponieważ większości z nich mało kto przedtem ośmielił się powiedzieć „nie”. Motywy uzdrowicieli były prawie tak samo jasne. Fakt,

że posiadał podobne co oni wykształcenie oraz prawie identyczne dary, ale wykorzystywał je do czegoś tak trywialnego jak dostarczanie ludziom "zwykłej" przyjemności, wprawiało ich we wściekłość. Fakt, że za to, co robił, był sownie wynagradzany, rozwścieczał ich jeszcze bardziej.

Potrafił ich zrozumieć. Wiele lat strawili, aby udoskonalić swoje rzemiosło i nie mieściło im się w głowie, że może być ono użyte dla mało wzniosłych celów. Tylko czy dawanie przyjemności może być właśnie takie? Dlaczego wszystko w życiu musi być śmiertelnie poważne? Tak, znajdowali się w środku wojskowego obozu, ale jak sam stwierdził, większość ludzi jeszcze bardziej potrzebowała choć chwili przyjemności czy zapomnienia. Weźmy Skana: nawet pośród wojny i śmierci zawsze znajdzie czas na śmiech czy miłość.

Może właśnie dlatego wrogowie często umieszczają Czarnego Gryfa na liście tych, z których drwią.

To ludzie, którzy podadzą pacjentowi zawsze gorzką pigułkę, bo boją się, że inaczej pacjent nie uwierzy, że taka pigułka mu pomoże. Nie ważne, że posłodzenie czegoś czyni to łatwiejszym do zniesienia - a co ważniejsze - do przełknięcia. Gdyby był to czas pokoju, najprawdopodobniej namawialiby Urtho, aby wygnał Bursztynowego Żurawia z miasta bez krzty szacunku dla jego imienia.

/ byliby źli i nieszczęśliwi - ponieważ gdyby to był czas pokoju, byłbym bardzo bogatym kestra'chern. Zresztą nie sądzę, aby było to coś, czym można się chwalić.

W czasie pokoju Urtho wysłuchałby sączonej przez uszy trucizny, pokiwał głową, posłał po Bursztynowego Żurawia. Zjedliby razem pyszną kolację i wszystko zostałoby tak jak przedtem. Z wyjątkiem tego, że Bursztynowy Żuraw wiedziałby dokładnie, kto o nim mówił te rzeczy.

Zresztą teraz dzieje się to samo. Tylko częściej to Tamsin, Cinnabar, Gesten i Skan przekazują mi te rzeczy niż Urtho. podobnie jak oni, my kestra'chern jesteśmy w oficjalnej służbie, i to oczywiste, że będziemy mieli tu posady, dopóki jest Urtho. Poza tym, jeżeli będą próbowali usunąć nas i perchi z obozu, szeregowcy wzneciliby bunt.

Ale czy znienawidziłby swoich wrogów, gdyby miał czas i siły?

Nie sądzę - stwierdził. - Byłbym jednak bardzo dotknięty ich plotkami. Teraz też jestem, chociaż próbuję nie zwracać na to uwagi. Nienawiść do ludzi jest mi obca, ale nienawidzę rzeczy, które robią. Szeptane

plotki, skrywanie się za anonimowością - tego nie cierpię. Tak jak Gesten powiedział, jest to trucizna, trucizna, która działa przez dotyk. Każdy kto jej dotknie, choruje, i trzeba wiele wysiłku i energii, aby go uzdrowić.

Pomimo śmiałych słów, jakie wyrzekł do Gestena, teraz czuł się zraniony i nieszczęśliwy.

Skupił się na najprostszych zadaniach w swojej pracy - rzeczach, których nie robił, odkąd Gesten mu służył - aby zapomnieć o ranach. Odkładanie ręczników na miejsce, opróżnianie i mycie parownika, ustawianie mebli... wszystkie te czynności stały się ćwiczeniem medytacyjnym, zmieniającym negatywną energię gniewu w coś przydatnego. Porządkując namiot, mógł zaprowadzić porządek w swoim umyśle.

Co prawda, Skan twierdzi, że schludna i uporządkowana przestrzeń jest oznaką niebezpiecznie chorego umysłu - pomyślał z rozbawieniem, kiedy składał przykrycia i układał na jednym krańcu kanapy. - To dobrze, że gryfy nie mają wiele osobistych rzeczy, bo inaczej już widzę jego legowisko.1

- Bursztynowy Żuraw? - rozległ się za nim cichy szept kobiecy, po czym nastąpiło coś, co brzmiało jak zduszony szloch.

Odłożył ostatni koc i odwrócił się szybko, zastanawiając się czy jego umysł nie zakpił sobie z niego. Ale - nie, nie zdawało mu się. W wejściu stała Zimowa Łania, odchylając jedną ręką klapę namiotu, cała we łzach.

Podszedł szybko, chwycił jej dłoń w swoje i wprowadził do środka. Płótno namiotu wysunęło się z jej omdlałych palców i chwilę trwało, zanim Bursztynowy Żuraw zasznurował wejście zapewniając im prywatność.

- Co się stało? - spytał. Zrobiła kilka niepewnych kroków potem opadła na kanapę, przyciskając poduszkę do piersi, a nowe łzy spływały jej po policzkach.

- O co chodzi? Nie martw się, nie przeszkadzasz mi, ostatni klient już wyszedł i mam dla ciebie całą noc, jeśli tego potrzebujesz

- Chyba tak - odrzekła, ocierając dłonią oczy. - Przepraszam, nie chciałam ci przeszkadzać, ale widziałam, jak stoisz, tak godny zaufania, taki silny... a ja czułam się tak... tak... strasznie...

Usiadł przy niej, objął ją, podając jej czysty ręcznik, aby wytarta nos. Może nie była to chusteczka, ale znajdował się pod ręką.

- Opowiedz mi wszystko od początku - powiedział. Kilka razy nabie-

rała oddechu, ale za każdym razem kończyło się to nowym szlochem.

- Co się stało?

- Chodzi... o Conna - powiedziała w ręcznik.. - Wiesz, że nie byliśmy ze sobą już od kilku tygodni. Przeważnie dlatego, że byłam wykończona, ale czasami... po prostu nie miałam ochoty. Nic do niego nie czuję, jeśli w ogóle kiedyś coś czułam. Chciałabym tylko, żeby sobie poszedł. Dzisiaj, kiedy jego grupa wróciła i znowu zaczął... no cóż, powiedziałam mu, że chcę, aby sobie poszedł. I to nie tylko dzisiaj, ale już na zawsze.

- I? - odezwał się łagodnie Bursztynowy Żuraw.

- Powiedział... - wybuchnęła znowu płaczem. - Zaczął na mnie wrzeszczeć, mówiąc, że jestem do niczego. Powiedział, że jestem zimną dziwką bez serca, że nie jestem w stanie pokochać nikogo oprócz siebie, że jestem samolubna, zepsuta i troszcę się tylko o siebie, że byłam jego najgorszą kochanką, miał wrażenie, jakby się kochał z deską, i że nigdy nie znaję drugiego mężczyzny tak tolerancyjnego jak on. Powiedział, że zostałam trondli'irn, ponieważ ludzie nie chcieliby mieć takiej uzdrowicielki. I gdyby nie to, że kompetencji trondli'irn się nie sprawdza, nie dostałabym nawet tej pracy. Powiedział, że jestem niezdatna, niekompetentna i gdyby nie wojna, byłabym niczym... - Teraz już nie hamowała płaczu i gdyby Bursztynowy Żuraw nie słuchał uważnie, nie zrozumiałby nawet połowy z tego, co mówiła.

- A ty boisz się, że to wszystko, co powiedział, jest prawdą? - odezwał się łagodnie, gdy tylko dała mu taką szansę.

Pokiwała głową, niezdolna wydobyć słowa, miała spuchnięte oczy, rumieńce na twarzy i bardzo różowy nos. Wyglądała strasznie. Pragnął trzymać ją w swych ramionach i chronić przed resztą świata.

A potem chciał chwycić najbliższą kuszę i poszukać Conna Levasa.

A powiedziałem Gestenowi, że nie potrafię być na nikogo zły...

Jednak to nie załatwiłoby niczego. Jej nie trzeba było pieśszczot ani obrony. Musiała odzyskać zaufanie do siebie, aby mogła stanąć na nogi bez potrzeby krycia się za czyimiś plecami.

- Myślisz, że to, co powiedział, jest prawdą, bo jesteś zbyt krytyczna wobec siebie, a ponieważ w tym, co powiedział, jest odrobina prawdy, uwierzyłaś we wszystko - rzekł stanowczo. - Oboje wiemy, jaki z niego manipulator. Gra na ludzkich uczuciach jak muzyk na instrumentach i udaje mu się, ponieważ interesuje go tylko uzyskanie odpowiedniego dźwięku. - Odsunął się trochę i spojrzał prosto w jej oczy. - Pomyśl o

nim przez chwilę. Teraz boi się tylko jednego, że ktoś pomyśli, iż to ty go zostawiłaś, ponieważ jest "za słabym mężczyzną, aby cię zatrzymać". To, co powiedział, miało cię nastraszyć. Rozważmy wszystko po kolei. Jaki był pierwszy zarzut?

- Że j...j...jestem zimną dziwką - powiedziała cichutko.

- Przez co on zapewne rozumie, że jesteś jednocześnie obojętną i nie dającą satysfakcji kochanką - odparł. - No cóż, jeśli o niego chodzi, to prawda. Sama mi mówiłaś, że emocjonalnie nic do niego nie czułaś, gdy umawiałaś się z nim po raz pierwszy. Wykorzystałaś go, aby ukryć swą prawdziwą tożsamość. Reanna nigdy nie chciałaby mieć nic wspólnego z takim człowiekiem, co czyniło z niego wspaniałą zasłonę. Prawda?

- Reanna nie miałyby żadnego kochanka, dobrze czy gorzej urodzonego - odparła, a jej policzki pokryły się rumieńcem Ja...ja...

Pokręcił łagodnie głową.

- Chciałaś związku bez uczuć, jednak ci się nie udało. On potrafił zauważyć twe prawdziwe uczucia i wykorzystać je przeciwko tobie. A to z definicji oznacza, że nie jesteś pozbawiona emocji. Tak?

Pokiwała głową, ciągle zaczerwieniona, ze spuszczonej oczami.

- Twierdził także, że jesteś niekompetentna i niezdarna, ale ty jesteś profesjonalistką na tyle, aby nie obawiać się takich zarzutów. - Zamyślił się na chwilę. - Najgorsze, co o tobie kiedykolwiek słyszałem - a musisz mi zaufać, kechara, gdyż kestra'chern słyszy naprawdę dużo - było to. że powtarzasz głupie rozkazy, nie starając się im przeciwstawić i traktujesz swoich podopiecznych, jak gdyby byli zwierzętami. Nikt nigdy nie kwestionował twojej kompetencji, tylko twoje... manieiry. A teraz, gdy traktujesz swoje gryfy jak istoty myślące, którymi przecież są, masz u wszystkich bardzo wysokie noty. Także u Cinna-bar.

- Naprawdę?

Spojrzała na niego zdumiona.

- Nie znam dobrze Conna Levasa, ani tego nie pragnę - kontynuował Bursztynowy Żuraw. - Kiedyś był u mnie jako klient i udało mi się uniknąć drugiej sesji. Widziałem już zbyt wielu ludzi takich jak on i nie uważam, abym musiał widzieć jeszcze kogoś. Co więcej, wszyscy kestra'chern, u których był, mają o nim podobne zdanie. Pępkiem świata Conna jest Conn. Inni interesują go tylko wtedy, gdy mogą coś dla niego zrobić. Jego świat dzieli się na wykorzystujących i wykorzy-

stywanych. Gdy przestaniesz zaliczać się do tych ostatnich, wchodzisz w szeregi tych pierwszych, a to oznacza, że przestajesz być jego własnością i stajesz się rywalem. Dlatego też zarzucił ci, że jesteś samolubna i zepsuta. Dla niego świat jest zwierciadłem - wszędzie widzi swoje odbicie. Ludzie, którzy według niego są dobrzy, muszą być do niego podobni - a ludzie, którzy według niego są źli... także muszą być do niego podobni.

Pokiwała głową i otarła oczy końcem rękawika.

- A co do reszty oskarżeń... - Przerwał na moment i oceniał swe własne uczucia. *Czy powinienem? Co będzie, jeśli powiem? A co się stanie, jeśli nie powiem?* - ...czy zależy ci na profesjonalnej ocenie?

Odchyliła głowę, jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Nie był to jednak lęk ani chęć wycofania się, czego tak się obawiał.

- Nie możesz... To znaczy, chcesz...? - zająknęła się.

Uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Ocena będzie profesjonalna - powiedział bardzo cicho - ale motywy są czysto egoistyczne. Uważam, że jesteś nadzwyczaj atrakcyjna, Zimowa Łanio. Nie chcę komplikować naszej przyjaźni ani narażać jej na szwank, ale chciałbym, abyśmy stali się czymś więcej niż tylko przyjaciółmi.

Zamrugła kilkakrotnie. Jej policzki zarumieniły się, potem zbladły i znów się zarumieniły. Przez chwilę miał wrażenie, że ona zamierza mu odmówić i pragnął, aby lepiej nic nie mówiła...

Potem ku jego radości i zdziwieniu, nagle rzuciła się na niego. Jednak nie jak tonąca kobieta, która szuka ratunku, ale jak orzeł wracający do domu, do swego gniazda po długiej i wyczerpującej walce. Nie było najmniejszej wątpliwości co do jej uczuć, ani co do jego.

Popołudniowy odpoczynek nie zdarzał się często Skanowi, a to, że i Bursztynowy Żuraw miał wolny czas, było darem bogów. Czas na to, aby obaj usiedli razem w ciepłym słońcu. Aby nikt im nie przeszkadzał, Bursztynowy Żuraw podjął się naprawienia piór Skana połamanych w ostatnim starciu z wrogiem.

- Wieści z frontu mówią, że tkwimy w sytuacji bez wyjścia - rzekł Skan, gdy Bursztynowy Żuraw umieszczał jedno z jego starych piór w trzonie złamanej lotki. - Znowu. Jednak nie oznacza to spokoju, przynajmniej dla nas.

Ciepłe słońce wspaniale grzało go w plecy i kark... wyciągnął głowę,

przymknął oczy i rozkoszując się ciepłem, położył po sobie uszy i grzebień.

- Wydaje się, że masz rację - odparł Bursztynowy Żuraw.

Zmarszczył brwi, koncentrując się na ostrożnym zakładaniu tyczki, która miała przytrzymać stare pióro w nowym trzonie

Skan odwrócił trochę głowę i obserwował go z zainteresowaniem i odrobiną zazdrości. Chciałby mieć ręce, żeby mógł sam robić podobne rzeczy wokół siebie. Nawet Zhaneel nie mogła uzupełniać swych piór sama, mimo że miała te wspaniałe, zręczne "dłonie". Jednak potrafiła zrobić nimi wiele innych rzeczy, z którymi on musiał zwracać się do ludzi.

Nie była też gorsza z powodu krótszych szponów, co utrudniało dotąd jej walkę w powietrzu. Pewien człowiek z Szóstego który kiedyś był trenerem walki kogutów, sporządził dla niej zestaw ruchomych ostrych niczym brzytwa "szponów", które nakładało się na grzbiet jej "dłoni". Nadal mogła manipulować przedmiotami, mając je na sobie, ponieważ działały nawet skuteczniej, gdy jej własne pazury były zaciśnięte w pięść. Teraz była tak samo sprawna jak najsilniejsze szeroko-skrzydłe, i nie musiała uciekać się do nożyc, aby powalić makaara! Te nowe pazury zrobione były ze stali, naostrzone pilnikiem i dłuższe niż naturalne.

Była tak skuteczna w walce "szpon-w-szpon" z makaarami, gdy zakładała ten wynalazek, że ów człowiek został odwołany z szeregów i wyznaczony do wykonywania zmodyfikowanych "szponów" i "ostróg", które mogłyby nosić także pozostałe gryfy. Makaary spadały z rosnącą częstotliwością, a gryfy zaopatrzone w te wynalazki stwierdziły, że są w stanie stracić dwa, a nawet trzy razy więcej makaarów podczas jednego lotu bojowego.

Problem oczywiście polegał na tym, że gdy tylko ktoś w szeregach wroga zorientuje się, co daje przewagę gryfom, zostanie to skopiowane dla makaarów. Była to tylko kwestia czasu.

Dopóki wszystkie makaary, które zbliżyły się na tyle, by zobaczyć nowe szpony, padną martwe, możemy utrzymywać nową broń w tajemnicy - powiedział do siebie Skan. - A każdy martwy makaar oznacza jednego wroga mniej.

- Rozumiem, że wieści w obozie są bardziej interesujące niż te na linii - kontynuował ostrożnie Skan, spoglądając na przyjaciela spod przy-mrużonych powiek.

Bursztynowy Żuraw dopasował do pióra wzmacniający kołeczek, po czym wolno wcisnął go na miejsce. Skan spodziewał się, że przyjaciel zbędzie go chrząknięciem, ale kestra'chern zadziwił go, spoglądając mu prosto w oczy i śmiejąc się.

- Jeśli masz na myśli to, co zaszło między mną a Zimową Łanią, to tak - powiedział, kiwnąwszy głową. - Sytuacja między nami bynajmniej nie utknęła w martwym punkcie.

Znowu opuścił głowę i kończył pracę, smarując klejem stalowy kołeczek w miejscu, gdzie miały się spotkać oba trzony.

- Siedź spokojnie, nie ruszaj się. Jeśli usiedzisz bez ruchu, dopóki tego nie włożę, wszystko będzie wspaniale.

- Nie w martwym punkcie? - spytał Skan, tłumiąc potrzebę zatrzepotania skrzydłem, co zrujnowałoby pracę Bursztynowego Żurawia. - Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Zanim przyjaciel odpowiedział, starł resztki kleju z palców i odłożył na bok ściereczkę, której do tego używał.

- Co chcesz, żebym powiedział? - spytał. - Ona jest trondi'irn Szóste-go Wschodniego Dywizjonu, a ja przynajmniej teoretycznie szefem kestra'chern. Ona nie może ani nie chce zaniedbywać swoich obowiązków, podobnie jak ja. Moje zabierają mi większość wieczora i nocy, ona z kolei pracuje przez większość dnia. Ale mimo to jakoś sobie radzimy. Conn Levas wrócił z pola. Na razie nie wykonuje żadnych ruchów przeciw niej, z wyjątkiem plotek i oszczerstw, które oboje potrafimy ignorować. Pewnie stwierdził, że jest naprawdę głupia, skoro zadaje się z jakimś kestra'chern. Jeśli to ma go uszczęśliwić i trzymać z daleka od niej, to niech sobie gada, co chce. Mamy wśród magów ucho w osobie Vikterena, dzięki czemu wiemy o wszystkim, co mówi Conn.

- Hm. - Skan rzucił Bursztynowemu Żurawowi niezadowolone spojrzenie, ale kestra'chern je zlekceważył. - Tamsin i Cinnabar mieliby o wiele więcej do powiedzenia na ten temat niż ty.

- Tamsin to romantyk, a Cinnabar była wychowana na balladach - odparł Bursztynowy Żuraw, a jego kark i uszy zaczerwieniły się z lekka. - Zimowa Łania i ja jesteśmy zadowoleni z tego, co mamy. Wypełniamy pilnie nasze obowiązki. I to wszystko, co trzeba wiedzieć.

Skan uniósł ostrożnie głowę i postawił pęczki.

- Oho, przepraszam! - rzekł zdumiony powstrzymanym wybuchem Bursztynowego Żurawia. - Nie miałem zamiaru się wtrącać. Po prostu,

kiedy ktoś jest zakochany, chciałby usłyszeć że cały świat też jest!

Bursztynowy Żuraw w końcu spojrzął mu w oczy i poklepał go po ramieniu.

- Przepraszam, stary ptaku! - rzekł skruszony. - Zbyt wielu ludzi chce nam wmówić jakieś romantyczne nonsensy o tym, że jesteśmy związani na całe życie. Inni z kolei zrobili ze mnie zepsutego perchi, który uwiódł cnotliwą Zimową Łanię i zabrał ją równie cnotliwemu Connowi Levasowi. Jestem trochę zmęczony tymi opowieściami.

Skan pokiwał głową. Jednak mimo całego zarzekania się uzdrowicie-la gryf nie miał wątpliwości, że jego i Zimową Łanię połączyła więź życia. Tamsin i Cinnabar też tak powiedzieli, a ci, którzy sami są związani, potrafią rozpoznać ten stan u innych.

- To nie będzie łatwe dla żadnego z nich - powiedział Tamsin z namysłem. - Więź życia nie jest wcale tak romantyczna, jak to głoszą ballady. Każde z nich musi być dość silne, aby nie pochłonać życia drugiego. I lepiej sprawdźcie, czy jesteście gotowi na ten rodzaj bliskości, który daje więź życia, szczególnie między ludźmi, którzy są empatami. Nie możecie walczyć czy się kłócić - odczuwacie ból swego partnera równie silnie jak swój własny. Przestajecie być dwiema osobami, a stajecie się czymś w rodzaju dwugłowej i dwuosobowościowej jedności, Tamsin-i-Cinnabar, i lepiej sprawdźcie, czy jedno z was lubi coś, czego drugie nie znosi, ponieważ będziecie dzielić po prostu wszystko!

- Ale kiedy to się w końcu uda - dodała Cinnabar, głaszcząc czule Tamsina - jest czymś wspaniałym, partnerstwem, w którym można podzielić się siłą, a zmniejszyć słabości. Plusy znacznie przewyższają minusy - mam powody, by tak sądzić.

Żadne z nich nie kłopotowało się, by mówić, że Tamsin był tak nisko urodzony jak Cinnabar wysoko i gdyby nie wojna, mieliby poważne kłopoty, aby być razem, pomimo że rodzina Cinnabar była liberalna i otwarta. W przeszłości takie pary musiały przeżywać straszne tragedie, dlatego jest tak wiele smutnych ballad na temat więzi życia. Nawet Skan znał je dobrze.

No cóż, jeśli Bursztynowy Żuraw postanowił nie przyznawać się do tego rodzaju związku z Zimową Łanią, to jego sprawa, a nie Skana. I jeśli woli tę relację przedstawiać jako coś przypadkowego, no cóż, wiadać kieruje nim rozsądek.

- Nie możesz nic poradzić na to, co ludzie mówią, a przecież wiesz, że autorem większości tych złośliwych opowieści jest Corin - zauważył

Skan. - A jeśli chodzi o ludzi, którzy je powtarzają, no cóż, wiesz, kim są. Gdyby nie Zimowa Łania, wymyśliliby coś innego na twój temat. Chcę tylko wiedzieć jedno: czy jesteście szczęśliwi?

Bursztynowy Żuraw pokiwał smutno głową.

- Sądzę, że jesteśmy szczęśliwi, tak jak można być szczęśliwym w całej tej sytuacji. Nie jesteśmy nieszczęśliwi, jeśli to jakaś różnica. - Westchnął i wygładził łopatkę pióra. - Ale jest wojna. Ona walczy z ranami fizycznymi, a ja z emocjonalnymi. Każdy dzień przynosi więcej bólu. Ja pomagam jej, a ona mi. Być może...

Nie dokończył zdania, ale Skan znał jego zakończenie. Była to jakby modlitwa każdego w wojsku Urtho, od najmniejszych po największych. "Może kiedyś, kiedy skończy się ta wojna..."

Wojna trwała od tak dawna, że teraz latały już całe pokolenia gryfów, które nigdy nie zaznały pokoju. To prawdopodobnie wkrótce będzie dotyczyło też ludzi. Wojna zmieniła całe społeczności. Starsi ludzie powiadali, że wszystko teraz stanęło na głowie i nawet Skan nie pamiętał większości tego, o czym starsi od niego opowiadali z taką tęsknotą. A reperkusje miały coraz szerszy zasięg.

- Włożone? - spytał Skan w końcu, kiedy cisza między nimi trwała już od dłuższego czasu. Bursztynowy Żuraw wyrwał się z melancholijnego zamyślenia i ostrożnie sprawdził połączenie palcem.

- Chyba tak - odparł. - Otrząśnij się porządnie. Jeżeli teraz wytrzyma, to będzie i później trzymało.

Skan z wdzięcznością zrobił to, co kazał mu Żuraw. Nie ma nic gorszego od nieruchomego siedzenia, gdy gryf ma ochotę dziko się otrząsnąć! Bursztynowy Żuraw zaśmiał się i odsunął, gdy Skan nastroszył wszystkie pióra, po czym otrząsnął je tak energicznie, że wzniecił tumany kurzu.

Nowo osadzone pióro trzymało mocno, sprawując się równie dobrze jak nieuszkodzone lotki. Uśmiechnął się zadowolony i zasalutował Bursztynowemu Żurawowi żwawym machnięciem skrzydła.

- Wspaniale jak zawsze, mój przyjacielu - powiedział wesóło Skan. - Powinieneś rzucić swe grzeszne zajęcia i zostać pełnoetatowym artystą od piór.

- Niewiele gryfów tak entuzjastycznie podchodzi do swych obowiązków jak ty - odparł Bursztynowy Żuraw. - Nie sądzą zatem, abym musiał zakładać więcej niż tuzin piór w ciągu dwóch ostatnich lat, a większość z nich i tak należałaby do ciebie. Umarłbym z braku pracy.

- Oprócz gryfów zawsze możesz zajmować się też jastrzębiami - zasugerował Skan.

- A ty zawsze możesz zaprząć się do wozu zamiast konia - odparł. - Dzięki, nie. Podoba mi się moja praca. Nie bawiłoby mnie zajmowanie się psychotycznymi jastrzębiami, neurotycznymi sokołami wędrownymi, krwiożerczymi orłami czy szalonymi myszołowami. Wiesz, po czym poznać człowieka, który szkoli sokoły?

- Nie - odparł Skan i nastawił uszu. Jastrzębie i sokoły zawsze go interesowały, ponieważ zewnętrznie i wewnętrznie były zupełnie niepodobne do gryfów. - Po czym?

- Człowiek trenujący sokoła to ten, który ma na dłoni rany klute od jego nerwowych szponów. Człowiek trenujący jastrzębia to ten, który ma rękę białą aż po łokieć, gdyż boi się wyjść bez rękawicy. A człowiek trenujący orła to ten, który nie ma oka.

Bursztynowy Żuraw lekko wykrzywił usta, a Skan wybuchnął śmiechem.

- Jak sądzę jest to bardzo stare przysłowie Kaled'a'in - rzekł Skan z westchnieniem, jakby chciał dać do zrozumienia, że Bursztynowy Żuraw cytuje zbyt wiele podobnych przysłów. - Ale co to znaczy: nerwowe szpony?

- Nerwowy ptak ma nerwowe szpony, a sokoły wędrowne są ciągle nerwowe - powiedział Bursztynowy Żuraw. Jego usta jeszcze bardziej się wykrzywiły, a w oku pojawił się złośliwy błysk. - Pamiętaj o tym, gdy następnym razem twoja mała gryfsokolica dozna wstrząsu i złapie kawałek twojego ciała w swe "dłonie".

Skan położył po sobie uszy, skonsternowany.

- Chyba nie mówisz poważnie?

Bursztynowy Żuraw wybuchnął śmiechem i poklepał gryfa po ramieniu.

- Chyba niczego nie przeszkrobałeś, żeby Zhaneel miała powód do zdenerwowania, co?

.- Oczywiście, że nie - odpowiedział stanowczo, ale w następnej chwili zastanowił się, czy może...

Bursztynowy Żuraw tylko zachichotał.

- Już dość czasu spędziłem z tobą, pierzasta głowo. Mani jeszcze parę spraw do załatwienia i jestem pewien, że ty również. A więc jeśli nie masz nic przeciwko temu. zabiorę się do sprzątania, a ty pędź do swojej towarzyszki.

Słyszając ostatnie słowo, Skan postawił grzebień z zadowolenia. *Towarzyszka*. Miał towarzyszkę. I to jaką: szybką, silną i w ogóle wspaniałą...

Zmierzył czule włosy Bursztynowego Żurawia, a potem obrócił kestra'chern w kierunku jego namiotu.

- Wracaj zatem do swoich garów, jeśli wolisz to od mojego towarzystwa. Naprawdę powinieneś wiedzieć, że czyste i schludne miejsce zamieszkania...

- ...jest oznaką chorego umysłu. Tak, wiem.

Bursztynowy Żuraw przeczesał potargane włosy palcami, uśmiechnął się i ruszył szybko do swego namiotu, nim Skan zdążył jeszcze coś wymyślić.

W czasie wojny takie chwile spokoju musiały niestety być krótkie.

Droga do legowisk gryfów była krótka i zazwyczaj nieciekawa. Jednak gdy Skan wzniósł się w powietrze i znalazł ponad szczytami namiotów, dostrzegł w obozie oznaki sporego zamieszania: ze wszystkich stron ścigały gryfy, a nieregularne ruchy ich skrzydeł zdradzały podniecenie. Nawet z tej odległości dostrzegł nastroszone pióra, opuszczone pęczki na uszach, uniesione czujnie grzebienie i zaciśnięte szpony. Jednak reszta obozu nie wydawała się zaalarmowana - a więc albo gryfy posiadały informację, której reszta wojsk Urtho jeszcze nie знаła, albo informacja ta dotyczyła tylko gryfów.

Nie po raz pierwszy dowiadujemy się o czymś, o czym jeszcze nikt nie wie - pomyślał z zamierającym sercem.

Natychmiast wydłużył i wzmocnił uderzenia skrzydeł, aby zyskać na szybkości. Cokolwiek to jest, on musi dowiedzieć się pierwszy!

Legowiska były zbudowane na sztucznym wzgórzu z trzem stopniami tarasów, tak aby przed każdym legowiskiem była wolna przestrzeń. Między nimi a resztą obozu była niewielka łąka, pełna nagrzaných kamieni. Tam właśnie wszyscy się zbierali. Wylądował obok gromady gryfów z Szóstego i zbliżył do Aubriego. Wszystkie słuchały uważnie tego, co mówił szerokoskrzydły, wyciągając szyje i lekko przechylając głowy na jedną stronę. Ciężko dyszały, a ich boki unosiły się szybko. Jeden z nich syczał coś do siebie i nastroszył pióra na karku jak walczący kogut. Dwa inne kołysały się w przód i w tył, uginając nogi. Wszystkie te ruchy wykonywały nieświadomie, czym zdradzały swe wielkie podniecenie.

Aubri przerwał w pół zdania, gdy Skan lądował na szczycie skały za

nimi, i pomachał wyciągniętym przednim szponem.

- Mam złe wieści - zawołał, gdy Skan pośpieszył ku reszcie grupy. - W obozie jeszcze nikt o tym nie wie. ale wkrótce się dowiedzą. Generał Farle nie żyje.

- Co? - Skan nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby Aubri powiedział mu, że właśnie spłonęła Wieża. Farle? Nie żyje? Jak można zabić generała, nie zmiatając całego dowództwa? Ważni dowódcy nigdy nie znajdują się blisko linii frontu!

Chociaż Farle miał opinię człowieka, który zawsze chce być blisko działań, jednak nie był głupcem i z, pewnością był najlepiej chronioną osobą w Szóstym! Jak ktokolwiek mógł się do niego dostać? Czy był to wypadek? A może zdrada?

- Właśnie mówiłem innym, że najprawdopodobniej przedarła się do niego jakaś samobójcza grupa, która usunęła jego i większość ważniejszych oficerów z Szóstego - powiedział Aubri. - Nie wiemy nawet, jak i kto to zrobił. W namiocie komendy nastąpił ogromny wybuch, a kiedy opadł dym i kurz została tylko ogromna dymiąca dziura. Magowie próbują wywnioskować, co się stało, ale dla nas najważniejszą rzeczą jest to, że go straciliśmy.

Skan zaklął - tylko jeden człowiek był teraz w randze Farle'ego i nie dowodził żadnym dywizjonem: Shaiknam, generał którego Farle zastąpił. Oficjalnie Shaiknam był na urlopie, a Farle miał nabierać doświadczenia jako dowódca, ale prawdziwym powodem usunięcia Shaiknama była jego niekompetencja.

Urtho jednak był niepoprawnym optymistą. Ciągle dawał szansę bezwartościowym ludziom, nie udzielając im nawet porządnej nagany. Jeśli zaś chodzi o Shaiknama, Urtho ciągle pamiętał o zasługach jego ojca. Sądził poza tym, że generał dostał już nauczkę. Można mu zatem przywrócić dowództwo i nie ma potrzeby mianowania kogoś nowego.

Nie świadczyłoby dobrze o Shaiknamie, gdyby Urtho rzeczywiście promował kogoś niższego ranga, podczas gdy generał siedziałby z założonymi rękami i nie miał nic do roboty. Jak dotąd Urtho udawało się przekonać wszystkich, że Farle dowodzi tylko chwilowo, a Shaiknam znajduje się na zasłużonym urlopie.

Nie będzie jednak mógł dalej tak twierdzić, gdy reszta dowie się o śmierci Farle. Albo Urtho zawstydzi Shaiknama i poniesie konsekwencje, albo przywróci Szóstemu człowieka, który nigdy nie wypełnił właściwie choć jednego zadania.

Według Skana nie było wątpliwości, że właśnie tak się stanie. Shaiknam był zbyt dobrze urodzony i miał mocne plecy. Szósty dostanie go z powrotem.

Wydawało się, że do podobnego wniosku doszli i inni. Z Shaiknamem jako dowódcą gryfy z Szóstego znowu staną się tylko mięsem armatnim. W tej chwili pojawiło się więc ważne pytanie: co powinni zrobić w takiej sytuacji?

Skan chodził od grupy do grupy, przysłuchiwał się i milczał. Słyszał mniej więcej to samo: *To straszne, wszyscy zginiemy przez tego szaleńca, ale nie możemy nic na to poradzić.* Gryfy wpadły w panikę, ale nikt nie wystąpił z żadnym pomysłem ani nie próbował stanąć na czele niezadowolonych.

Co oznacza, że zostaję tylko ja. No cóż, nadeszła chwila, aby wcielił w życie teorie przywództwa, które od tak dawna studiował. *Czy potrafisz być przywódcą, pierzasta głowo?* Rozejrzał się wokół jeszcze raz, patrząc na zgromadzenie swojego gatunku. Gryfy z przygnębienia zaczęły wyskubywać sobie pióra jak rozhisteryzowane ptaki-posłańcy.

Chyba nie ma wyboru. Ja albo nikt.

Wskoczył na najwyższą skałę i wydał okrzyk wojenny, który zmusił wszystkich do zamilknięcia.

- Przepraszani - powiedział, gdy spojrzały na niego osłupiałe oczy i na wpół otwarte dzioby zwróciły się w jego kierunku. - Wydaje się jednak, że mamy poważny problem, który musimy rozwiązać. Pamiętajcie, że Urtho nie ma już nad nami kontroli? Jeżeli będziemy chcieli, możemy być tak samo niezależni jak magowie. W każdej chwili możemy odlecieć na pustkowie i zostawić tę całą wojnę za plecami.

Milczenie trwało jeszcze chwilę, po czym wszyscy naraz zaczęli wyrażać swoje wątpliwości. Kiwał głową i słuchał, nie próbując uciszyć hałasu czy kontrować wypowiedzi. Większość wątpliwości brała się z prostego faktu lojalności gryfów wobec ich stwórcy. Nikt nie chciał sprzeciwić się Urtho. Chcieli tylko pozbyć się Shaiknama.

Kiedy ostatnie obiekcje zostały wykrzywane i zgromadzenie znowu ucichło, przemówił.

- Zgadza się z wami - powiedział, dziwiąc się, że nikt nie kwestionował tego, iż objął przywództwo. - Jesteśmy winni Urtho lojalność, gdyż wszystko mu zawdzięczamy. Nie powinniśmy nawet brać pod uwagę jego opuszczenia, ale nie musimy mu tego mówić. Magowie odczuwali dokładnie to samo co my, ale byli zgodni co do wykorzystania

jako karty przetargowej faktu, że mogą się spakować i odejść. Powinniśmy postąpić tak samo. Gdyby sytuacja nie była dla nas aż tak niebezpieczna, nigdy bym czegoś podobnego nie proponował. Wszyscy jednak wiemy, jakie było życie w Szóstym pod Shaiknamem i nie możemy pozwolić, aby ten głupiec mógł znowu nas narażać.

Wszystkie głowy potakiwały energicznie. Pióra na grzebieniach z wolna opadły, pęczki na uszach wzniosły się, wyrażając zainteresowanie.

- Ale to musisz być ty, Czarny Chłopcze - zawołał Aubri gdzieś z tyłu - to ty powinienes mówić w naszym imieniu. Ty się najlepiej nadajesz do tej roboty.

Stwierdzenie Aubriego spotkało się z ogólną akceptacją. Nozdrza Skana nabrzmiały od zakłopotania i dumy.

- Zatem powiem wam, co zrobimy - rzekł, zastanawiając się, czy to, co robi, jest samobójczą głupotą czy raczej ocaleniem dla wszystkich. - Mam zamiar jak najszybciej doprowadzić do konfrontacji, zanim Shaiknam będzie miał okazję zadziałać. Wszyscy wiemy, że tam, gdzie jest Shaiknam, jest i Garber. Jestem pewien, że to on będzie próbował przejąć inicjatywę. A oto taktyka, która może świetnie poskutkować...

Garber przesłał dwie wiadomości przez ptaka i obie Skan zignorował. Jeden z gryfów, który miał szczególnie dobry układ z ptakami, namówił ostatniego z posłańców na pewien podstęp. Po krótkiej rozmowie ptaszek odleciał i niedługo potem chmura jego współtowarzyszy uniosła się w górę z okolicy namiotu Shaiknama i poszybowała na odległy kraniec obozowiska.

Shaiknam i Garber nie mieli więc wyboru: musieli użyć człowieka jako posłańca. Gryfy z Szóstego ukryły się w swoich legowiskach, a reszta w ogóle się wyniosła, aby pozostał jedynie Skan. Usadził się wygodnie na nagrzaną skalę; wkrótce na ścieżce prowadzącej do ich legowisk pojawił się zmierzający piechotą adiutant w kolorach Szóstego. Szukał gryfów, które miały się niezwłocznie stawić u Garbera.

Poszukiwane gryfy ukrywały się w cieniach swych legowisk, choć doskonale widziały Skana i adiutanta. Nie miały jednak zamiaru pokazać choćby skrawka pióra, dopóki Skan nie da im jakiegoś znaku.

Młodzieniec rozglądnął się wokół zdziwiony, gdyż miejsce wydawało się całkowicie opuszczone. Skan próbował odgadnąć, co dzieje się w jego umyśle. Gryfy nie były u swej trondi'irn, która oczywiście nic nie wiedziała o całym spisku. Nie znajdowały się też na poligonie ani na

obecnie już legalnym torze przeszkód Zhaneel. Nie było też ich w dowództwie. Mogły być jedynie w swoich legowiskach, a jednak je opuściły, chociaż było to zabronione. Żadnego śladu gryfów ani tego, gdzie mogły pójść. Nie zażywały kąpieli w piasku ani w wodzie. Żaden nie siedział na cienistym ganku swojego legowiska. Żaden nie wygrzewał się na skałach.

Z wyjątkiem Skana.

Czarny Gryf obserwował wyraz twarzy mężczyzny, gdy ten próbował pogodzić swoje rozkazy z tym, co zastał. Skan nic był ściśle przypisany do Szóstego, ale latał jako ochrona Zhaneel, musiałby więc wykonać jego rozkazy.

Adiutant rozejrzał się wkoło jeszcze raz, potem wzruszył ramionami i pomaszerował prosto do Czarnego Gryfa. Skan uniósł głowę, patrząc, jak nadchodzi, ale nic odezwał się ani nie wykonał żadnego ruchu.

- Generał Shaiknam wysłał tutaj dwóch ptasich posłańców, aby zebrać wszystkie gryfy z Szóstego - powiedział oschle młodzieniec. - Dlaczego nie było odpowiedzi?

Skan tylko spojrział na niego, dokładnie w taki sam sposób, w jaki patrzył na dorodną tłusta, sarenkę.

Młodzieniec jednak okazał się twardą sztuką i najwyraźniej nie zamierzał przestraszyć się spojrzenia nieprzyjaźnie nastawionego mięsożercy, który miał na tyle wielki i ostry dziób, aby szybko rozprawić się z jego torsem.

- Generał Shaiknam rozkazuje, aby gryfy z Szóstego natychmiast zgłosiły się na lądowisku do raportu - ciągnął odważnie.

- Dlaczego? - odezwał się Skan grzmiącym głosem. Młodzieniec mruknął, jak gdyby nie spodziewał się, że Skan coś powie, a już najmniej, że o coś zapyta. Był tak zdumiony, że udzielił odpowiedzi.

- Będziecie wykonywać loty przeciw oddziałom pod Panjirem - powiedział. - Latając na wysokości wierzchołków drzew, będziecie zrzucać kamienie i...

- I robić z siebie cel dla różnych wycelowanych w niebo miotaczy pocisków - odparł Skan z sarkazmem. - Cel prawie nieruchomy. Między tymi wysokimi klifami nie ma miejsca, aby mógł tam lecieć więcej niż jeden gryf na raz, a co dopiero gdyby chciało się utworzyć przyzwoitą formację. Będziecie wyglądać jak bańki na końcu słomki. Jeśli nie trafią nas pociski, to z pewnością dobiórą się do nas nadlatujące z góry makaary. Możesz powiedzieć generałowi, że nie przyjmujemy jego

zaproszonka. Powiedz mu także, że wiadomość pochodzi od Czarnego Gryfa.

Skan położył swoją głowę z powrotem na przednich nogach, zamknął oczy i udawał, że śpi.

Adiutant otworzył usta, ale zaraz szybko je zamknął. Na swoje szczęście nie próbował wygrażać ani się klócić. Odwrócił się tylko na pięcie i odszedł w kierunku wzgórza, zostawiając za sobą smużkę unoszącego się kurzu. Skan obserwował go, dopóki nie zniknął z pola widzenia, po czym skoczył na nogi.

- I co teraz? - zawołał jeden z gryfów ukryty w legowisku.

- Teraz lecę do Urtho, zanim dotrze tam Shaiknam - odparł Skan i wzniósł się w niebo, machając skrzydłami, i skierował się prosto do Wieży.

Gdzie o tej godzinie może być Urtho? Prawdopodobnie w Pokoju Strategii. Chcąc dostać się do pokoiów znajdujących się wewnątrz Wieży, musiał przejść przez bramę i natrafić na co najmniej jednego strażnika. W tym przypadku było to korzystne, Skan miał bowiem zamiar tym razem wykorzystać drogę urzędową, a nie tak jak zazwyczaj wylądować bezpośrednio na balkonie Urtho.

Sfrunął na chodnik przed Wieżą, podszedł królewskim krokiem do strażnika, stojącego przed bramą i skinął głową w salucie.

- Skandranon do Urtho w sprawie najwyższej wagi - powiedział grzecznie, zachowując wszelkie formalności. - Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciał przesłać mu wiadomość i nadać bieg sprawie.

Był dumny z tego, że pomimo podniecenia jego "s" nie syczało, a "r" nie wibrowało.

Strażnik skinął głową, zapukał w bramę, poszeptał do kogoś, kto za nią stał, i zwrócił się z powrotem do Skana.

- Załatwione, Skandranonie - powiedział. - Zechciej chwilę poczekać. Sadzę, że to nie potrwa zbyt długo.

Skan kiwnął głową.

- Dzięki - odparł. Chciało mu się chodzić. Stopy go swędziały od potrzeby darcia czegokolwiek z czystych nerwów. Jednak trwał spokojny i nieruchomy niczym statua z czarnego granitu, tylko ogon podrygiwał i skakał, pomimo że Skan usilnie próbował trzymać go nieruchomo. Chwile mijały, a on przez cały czas obawiał się, że usłyszy nadchodzącego posłańca od Shaiknama. Ptaki-posłańce prawdopodobnie nadal unikały generała i jego podwładnych, zatem Shaiknam musiał wyko-

rzystać wolniejszą metodę zwrócenia się o audiencję u Maga Ciszy.

W miarę jak oczekiwanie przedłużało się, Skan miał coraz większą ochotę zgrzytać dziobem. Czul się jak ogromny cel na tle białego kamienia.

W końcu po o wiele za długim czekaniu rozległo się słabe pukanie do drzwi. Strażnik otworzył je i przez chwilę słuchał kogoś, po czym rozwarł bramę szerzej i dał znak Skanowi, aby wszedł.

- Urtho zobaczy się z tobą - powiedział. - Mag jest w Pokoju Strategii.

Obaj wiedzieli, że nie potrzeba wskazywać Skanowi drogi: Skan czuł się w Wieży jak w domu. Skinął tylko głową i przeszedł przez otwarte drzwi. Drugi strażnik stojący wewnątrz kiwnął na powitanie, gdy gryf go mijał. Urtho, projektując swoją Wieżę, miał na względzie także stworzenia takie jak gryfy. Posadzki były z naturalnego ciosanego kamienia, aby nie ślizgały się na nich szpony i pazury, wysokość i szerokość drzwi oraz korytarzy przystosowano dla istot większych od ludzi. Nie było tu zbyt wiele rzeczy do oglądania, pusty hol i korytarz, bez żadnych ozdób, z pozamykanymi drzwiami po każdej stronie. Pokój, do którego musiał dostać się Skan, znajdował się za trzecimi drzwiami po prawej.

Drzwi otworzyły się przed nim, ale nie dzięki działaniu magii. Urtho stał za stołem, pochylony nad mapą używaną podczas wszystkich ważniejszych narad strategicznych. Obszary, które dzierżył Ma'ar, były magicznie zabarwione na czerwono, a pozostałe na niebiesko.

Na mapie znajdowało się alarmująco dużo czerwieni.

- Urtho - zaczął Skan, gdy tylko znalazł się w drzwiach. - Ja...

- Ty i Szósty Dywizjon gryfów planujecie przewrót - rzekł Urtho ze złowrogim spokojem.

Pęczki na uszach Skana oklapły.

- Skąd wiesz? - wygadał się, robiąc dwa kroki do tyłu. Hertasi zamknął za nim drzwi i wyniósł się z pokoju bocznym przejściem, zostawiając ich samych.

- Jestem magiem - przypomniał mu Urtho. - Chociaż nie marnuję swej mocy, jednak od czasu do czasu wykorzystuję ją aby mieć oko na niektóre rzeczy. Wiedziałem, że większość z was nie chce mieć nad sobą Shaiknama. Ale nie sądziłem, że posuniecie się do rewolty. - Skrzyżował ramiona na piersi i utkwiał wzrok w Skanie. - Nie jest to najmańdrzejsza rzecz, jaką mogliście zrobić. Beze mnie nie potraficie przeżyć. Przecież wiesz.

Do diabła! No cóż, równie dobrze mogę mu powiedzieć od razu.

- Potrafimy - odparł Skan, unosząc swoją głowę, tak że teraz patrzył na Urtho z góry, chociaż wszystko w nim krzyczało, aby się pochylić i patrzeć wprost w oczy maga, jak był tego nauczony. - Przykro mi, Urtho, ale już cię nie potrzebujemy. Wiemy, jak możemy stać się płodni. Zhaneel jest tego najlepszym dowodem. Mam nadzieję, że ufasz moim słowom.

Przez całe swoje życie Skan nie widział, żeby Urtho był tak oszołomiony. Zdziwiony, tak, zaszokowany, z pewnością. Ale zupełnie oniemiały - nigdy.

Wyraz absolutnego zakłopotania na twarzy maga był tak zabawny, że Skan nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem.

Twarz Urtho poczerwieniała i zakłopotanie zamieniło się w irytację.

- Z czego się śmiejesz, ty przerośnięty kurczaku? - wypluł z siebie mag. - Co jest tak cholernie śmiesznego?

Skan mógł tylko potrząsnąć głową i nadal się śmiał.

- Twoja twarz... - tylko tyle udało mu się z siebie wydusić, zanim zabrakło mu tchu.

Urtho poczerwieniał jeszcze trochę, ale potem niechętnie uśmiechnął się.

- A więc myślisz, że masz przewagę, co? - powiedział z wyzwaniem w głosie.

Skan szybko przywołał się do porządku, chociaż nadal w każdej chwili groziło mu, że wybuchnie śmiechem.

- I tak, i nie - odparł. - Teraz możemy odejść. Nie masz już kontroli nad naszą przyszłością. Nie oznacza to, że rzeczywiście odejdziemy, po prostu nie chcemy mieć do czynienia z takimi idiotami jak Shaiknam i Garber, którym się wydaje, że mogą nas traktować jak mięso armatnie. Czeka! - Wyciągnął przednią łapę, gdy Urtho chciał coś powiedzieć. - Wysłuchaj mnie najpierw. Oto co zaplanował Shaiknam odnośnie gryfów, gdy tylko odzyskał dowództwo nad Szóstym.

Skan opowiedział Urtho to, co przekazał mu adiutant. Potem nakreślił na mapie zaplanowane manewry.

- Widzisz? - zapytał. Urtho zmarszczył brwi. - Widzisz, co miało się stać? Być może stworzylibyśmy wyłom w oddziałach Ma'ara, ale są lepsze sposoby, aby to zrobić, niż poświęcanie połowy eskadry!

- Widzę - odparł Urtho, kiwając z namysłem głową. - Widzę.

- Nie chcemy żadnych kłopotów Urtho - kontynuował Skan szczerze,

robiąc ostrożny krok do przodu - ale nie chcemy również być zmuszani do samobójczych misji. Być może ty masz inne zdanie, ale my to widzimy w ten sposób. - Uniósł głowę trochę wyżej. - Wytworzyłeś w nas potrzebę rozmnażania się tak silną jak instynkt jedzenia i oddychania i wykorzystywałeś ją do tego, by nas kontrolować. Wolelibyśmy raczej służyć ci z czystej lojalności, a nie z przymusu.

- Ja również wolałbym, aby tak było - wymruczał Urtho, mrugając kilka razy oczami. Zakaszał, na moment ukrywając twarz, a potem spojrzał znowu na Skana. - A skąd o tym się dowiedzieliście? - spytał. - Jestem pewien, że ty maczałeś w tym palce, ponieważ nie sędzę, aby jakikolwiek inny gryf ośmielił się spróbować. Na pewno by mu się nic udało.

Skan rozdziawił szeroko dziób w zuchwałym uśmiechu, mając nadzieję, że wprowadzi Urtho w dobry humor.

- O tym właśnie, Urtho, chciałbym porozmawiać.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Na jeden krótki moment, kiedy Skandranon mu się przeciwstawił, Urtho wpadł we wściekłość. Jak śmiała ta rzecz, którą on stworzył, przypuszczać, że może dyktować warunki w tej wojnie? Jak śmiała uzurpować sobie wiedzę, do której nie miała prawa i nie była dość inteligentna, aby ją właściwie wykorzystać?

Jednak wściekłość zniknęła tak szybko, jak przyszła, ponieważ Urtho żył zbyt długo, aby pozwolić jej panować nad intelektem. Intelkt przyszedł z pomocą i odpowiedział na pytania. Skan ośmielił się, ponieważ nie był rzeczą, ale żywą, myślącą, absolutnie niezależną istotą, podobnie jak i reszta gryfów. Były dokładnie takie, jak je sobie wyśnił i zaplanował. Nigdy nie sądził, że zaistnieją za jego życia. Miały prawo panować nad swoim przeznaczeniem. Być może był odpowiedzialny za ich kształt, ale ich duch należał do nich. On nie miał prawa im niczego dyktować. I w okamgnieniu uświadomił sobie swoje niesamowite szczęście, że za to, co przed nimi ukrył, nie chowały do niego urazy. Przeciwnie, nadal były wobec niego lojalne.

Miały absolutne prawo odlecieć, tak jak groziły - myślał, gdy Skan śmiał się z wyrazu jego twarzy. To jakiś cud, że tego nie zrobiły. Bogowie, mieliśmy szczęście...

Nawet nie wiedział, jak wielkie szczęście, dopóki Skan nie opowiedział mu, co zaplanował Shaiknam. Szybkie zbadanie topografii tego obszaru powiedziało Urtho to, czego nie powiedział Skan: że Shaiknam zamierzał przypuścić atak typu "teraz albo nigdy" na silnie ufortyfikowaną dolinę. Kiedy takie plany udawały się, zwycięstwa były druzgoczące, ale ten szczególny Wojenny plan miał tyle samo szans, co płatek śniegu na rozpalonej patelni. Był to jeszcze jeden wyraz niezdrowego ciężenia Shaiknama do udowodnienia, że jest genialnym strategiem i bohaterem.

Problem polegał na tym, że wszyscy genialni stratedzy i bohaterowie rozumowali rozsądnie, a Shaiknamowi rozsądku zdecydowanie brakowało.

Urtho przeklął w duchu tego człowieka, gdy Skan pokazywał mu, w jaki sposób gryfy mogły być stracone bez możliwości obrony. Ojciec Shaiknama był takim wspaniałym strategiem i dowódcą, dlaczego syn nie nauczył się od niego choćby najprostszych reguł strategicznych?

No cóż, przypadek beznadziejny. Jedyнным sposobem, aby pozbyć się

go raz na zawsze, było wycofanie z Szóstego wszystkich oddziałów nie-ludzi i magów pod pretekstem, że inne dywizje miały niedobory w obsadzie i przydzielenie tych sił gdzie indziej. Shaiknam mógł być nadal dowódcą Szóstego, ale dowodziłby tylko oddziałami pieszych. Bez powietrznego wsparcia i bez magów będzie zmuszony do ostrożności.

To powinno go powstrzymać i tego pieska Garhera przed wywoływaniem nowych kłopotów.

Obruszył się trochę, kiedy Skan nie chciał powiedzieć mu, kim byli jego współkonspiratorzy. Szedłby o zakład, że siedziała w tym aż po swój arystokratyczny podbródek lady Cinnabar. A gdzie jest Cinnabar, z pewnością jest i Tamsin, no i prawdopodobnie Bursztynowy Żuraw. *Bez wątplenia wdarli się wtedy, gdy Cinnabar prosiła o pozwolenie "przejrzenia moich zapisków na temat gryfów". Myślałem, że szuka leku na ból brzucha!* Kestra'chern musiał mieć klienta, który przygotował mu zestaw kluczy do magicznych zamków. Dzięki nim dostali się do księgi.

Najdziwniejsze było to, że udało im się zlekceważyć wszystkie fałszywe tropy i rozszyfrować tajemnicę płodności gryfów.

- Ilu z was zna zakłęcie? - spytał z niechętnym podziwem.

- Wszyscy - odparł Skan, nie mrugnawszy nawet okiem. - Nie chodzi tutaj o zakłęcie, chodzi o poznanie pewnych prawideł. Nie było sensu ukrywać tej informacji. Każdy gryf na zewnątrz Wieży zna sekret.

Nie mógł nic na to poradzić. Musiał pokręcić głową z czystego podziwu.

- I aż do tej pory utrzymaliście tę całą sprawę przede mną w tajemnicy?! Nie do wiary.

- Mieliśmy powód, by zatrzymać ją dla siebie - odparł Skan. - Istotny powód. Nie wiedzieliśmy, co będziesz czuł albo jak się zachowasz. Czekałem więc na odpowiedni moment, aby ci to powiedzieć.

- A więc to ty miałeś być kozłem ofiarnym, hmm? - Urtho przypatrywał się niepewnie Skanowi. - Nic z tego nie rozumiem. Sądziłem, że ofiara musi tłusta, a nie koścista.

Skan wyprostował się.

- Ofiara musi być najlepsza z najlepszych. Wierzę, że spełniam ten wymóg.

Spoglądał na Urtho spod swych ciężkich powiek, mrużąc oczy i rozdziewiając dziób w szerokim uśmiechu, kiedy Urtho zaśmiał się głośno.

- Zawsze godzę się z tym, co nieuniknione, mój przyjacielu - powiedział, ciągle się śmiejąc i klepiąc Skana po ramieniu. - Sądzę, że muszę na to spojrzeć jak na próbę dojrzałości, jakiej poddają Kaled'a'in swoje dzieci. Wy, gryfy, nie jesteście już z pewnością ani moimi dziećmi, ani kogokolwiek innego.

Potem spoważniał.

- Cieszę się, że to się teraz stało, Skan. Cieszę się, że jesteś tutaj. Ja również muszę przekazać ci pewne ważne wieści i chyba nadarzyła się ku temu okazja.

Wezwał hertasi, który czekał dyskretnie za drzwiami i przekazał mu pośpiesznie kilka instrukcji.

- Chcę, abyś wezwał generała Shaiknama i zaprowadził go do Marmurowego Biura. Następnie wezwij dowódców pozostałych sił do Pokoju Strategii.

Odwrócił się do Skana.

- Podzielę siły nie ludzi wśród innych dowódców. Mam ku temu powody, ponieważ wszyscy narzekają na braki. To spowoduje, że Shaiknam będzie dowodził tylko ludźmi. Jak sądzisz, u którego dowódcy gryfy z Szóstego chciałyby służyć?

Przynajmniej raz on zaskoczył Czarnego Gryfa. Zadowolenie na twarzy Skana zniknęło, zastąpione zaskoczeniem.

- Eee, u Judeth z Piątego, jak sądzę.

Urtho pokiwał głową z uznaniem dla jego wyboru.

- Wspaniale. Jak dotąd ona nie miała przydzielonych eskadr gryfów, z wyjątkiem tych, które pożyczala od Szóstego i Czwartego. Zważywszy na to, zgadzam się. - Popatrzył na Skana z namysłem. - Poza tym gryfy powinny mieć prawo głosu, podobnie jak magowie. Są pewne sprawy dotyczące was, o których nie ma pojęcia żaden człowiek. Powinien być wyznaczony jeden gryf, który przemawiałby w imieniu wszystkich, ażeby nie zdarzały się takie sytuacje, jak w przeszłości z Shaiknamem. - Wyciągnął palec. - To znaczy ty, Skan. Mianuję cię zatem głównym dowódcą wszystkich eskadr gryfów, abyś w ich imieniu rozmawiał bezpośrednio ze mną.

Zdziwienie Skana przeszło w osłupienie. Jego głowa podskoczyła, jakby ktoś dźgnął go od tyłu.

- Ja? - zapiszczał. Tak, zapiszczał niczym mała myszka. Chrząknął i spróbował jeszcze raz. - Ja? Dlaczego ja? Jestem zaszczycony, Urtho, ale dlaczego ja?

Urtho machnął ręką na jego obiekcje.

- Przecież myślałeś o tym, aby stać się przywódcą gryfów, bo inaczej dlaczego czytałbyś wszystkie moje książki o wielkich przywódcach z przeszłości? Inni z pewnością również uważają, że ty powinieneś zająć to stanowisko, bo inaczej dlaczego przysłałiby cię tutaj, abyś załatwił ze mną sprawę Shaiknama?

Czy tu jest tak strasznie gorąco? Skan poczuł, jak jego nozdrza czerwienieją i zwiesił głowę.

- No, tak właściwie, to oni mnie nie wybrali - przyznał. - Nie potrafili się na nic zdobyć oprócz paniki i narzekania. Zatem ja... wziąłem wszystko w swoje ręce. Nikt nie wydawał się mieć nic przeciwko temu.

- Tym większy powód, aby ciebie umieścić na ich czele, skoro byłeś jedynym, który nie stracił głowy - powiedział Urtho stanowczo. - A jak sądzisz, w jaki sposób ja zostałem dowódcą tej tak zwanej armii?

Skan schował głowę między skrzydła, jego nozdrza zaś płonęły.

- Nie jestem pewien, czy to jest dobre porównanie...

- No, teraz ja mam kilka rzeczy do przekazania tobie - kontynuował Urtho. - Nie wiem, czy wiesz, ale kiedy po raz pierwszy stwierdziliśmy, że będziemy musieli opuścić Wieżę, wysłałem grupy składające się z rodzin wojowników i innych cywilów na zachód. - Odwrócił się do mapy i pochylił nad nią, wspierając się na rękach. - Po pierwsze, nie chciałem mieć tutaj tak ogromnego skupiska ludzi, a kiedy uświadomiłem sobie, jaki chaos mogłaby spowodować ewakuacja, nie chciałem go jeszcze bardziej powiększać.

Skan pokiwał głową z podziwem. Nie zdawał sobie sprawy, że Urtho przerzucał ludzi w tak systematyczny sposób. To już mówiło samo za siebie, jak sprytnie mag to wszystko zaaranżował.

- Przesyłałem grupy na najdalsze krańce terytorium, które jest w naszym posiadaniu, w miejsca, znajdujące się blisko stałych Bram, aby mogli nadal być z nami w kontakcie, gdyby nic się nie zmieniło. Jednak wystarczająco daleko, gdyby się coś stało... - Urtho nie dokończył zdania.

- Gdyby się coś stało, nasi są już na miejscu - powiedział szybko Skan. - W ten sposób ewakuacja będzie o wiele łatwiejsza i szybsza. A skoro wojownicy wiedzą, że ich rodziny są bezpieczne, skupią się na obronie zamiast na martwieniu się o los bliskich.

- Nie chcę drugiego Laisfaar - rzekł Urtho, pochyliwszy głowę nad stołem, tak że jego twarz była niewidoczna. - Nie chcę kolejnej Przełę-

czy Stelvi.

Skan miał swe własne powody, aby temu przyklasnąć. Zabite gryfy czasami nawiedzały go w snach, nie dając mu spokoju...

...Znowu wzlecieć, jak pragnie tego Urtho...

- Kogo wybrałbyś na swojego zastępcę, Skan? - spytał Urtho po długim milczeniu, nagle zmieniając temat. - Przypuszczam, że będzie to jakiś doświadczony wojownik. A... - rzucił krótkie spojrzenie na Skana, który dostrzegł w jego oczach przebiegły błysk - ...ja za doświadczonego wojownika uważam Zhaneel.

Skan chrząknął.

- No cóż, niech będzie Zhaneel, ale dlatego, że ona cieszy się szacunkiem u pozostałych gryfów. Nawet te, które nie trenowały na jej torze, wiedzą, jak jest trudny, i podziwiają ją za to, czego dokonała. Jest jednak jeszcze coś, o co chcę cię prosić.

Urtho uniósł się znad stołu.

- Tak? - powiedział, nasycając tę jedną sylabę mnogością odczuć.

I znowu żołądek i gardziel Skana skurczyły się z niepokoju, a jego nozdrza poczerwieniały.

- Ja... dokonałem małej eksploracji na tym piętrze twojej Wieży.

- I? - twarz i głos Urtho były obojętne.

- I znalazłem... modele.

- Jak śmia...?! - wykrzyknął Urtho przez chwilę porażony gniewem. Szybko jednak się uspokoił. - Nieważne. Co...

Skan przerwał mu.

- Spotkałem Kechareę.

Urtho patrzył na niego przez moment osłupiały, potem jakby lekko zbladł.

- Lepiej usiądę - powiedział ostrożnie. - Musisz mnie teraz nienawidzić.

Skan pokręcił głową, a Urtho opadł na krzesło. O ile gryf potrafił rozpoznawać ludzkie reakcje, mag był dogłębnie wstrząśnięty.

- Jak mógłbym cię nienawidzić? Im dłużej z nią przebywałem, tym silniej uświadamiałem sobie, że zrobiłeś dla niej co mogłeś. A ponieważ miałem kilka dni, aby to przemyśleć, chyba udało mi się odgadnąć, dlaczego zatrzymałeś ją tutaj, zamiast umieszczać z resztą gryfów. Nie chodziło tylko o to, aby ją chronić przed drwinami i zranieniem jej uczuć. - Wziął głęboki wdech i zdecydował postawić wszystko na jedną kartę. - Ale dlatego, że ona potrafi doskonale posługiwać się

myślmową. Nikt z mych znajomych jej nie dorównuje.

Oczy Urtho rozszerzyły się i zabrakło mu tchu.

- Czy ona mówiła do ciebie? - spytał.

Skan pokiwał głową zadowolony z tego, że udało mu się rozwiązać zagadkę.

- Uświadomiłem sobie, że otrzymuję od niej więcej informacji, niż wypowiada słowami. Przypomniałem sobie, że dosłownie poraziła mnie myślą, zanim mnie zaatakowała. Domyśliłem się, że nie przekazuje mi słów tylko głosem, ale również umysłem.

Opowiedział Urtho całą historię od początku do końca, zatajając tylko, że dostał się do pokoju dzięki magicznym kluczom Vikterena.

- Dlatego właśnie ona jest w Wieży, w pokoju z tak silnymi tarczami, i dlatego sprawia wrażenie obecności wielu gryfów, a nie tylko jednego. Dlatego też Zhaneel i ja chcielibyśmy ją mieć u siebie. Ochronimy ją przed żartami i docinkami, a ona może funkcjonować jako... no... pewien rodzaj łączności między grupami gryfów, które będą musiały kontaktować się ze sobą. Oczywiście są u nas tacy, którzy znają myślmowę, ale nie są w tym tak dobrzy jak ona.

- Widzę, że wiele nad tym myślałeś. - Urtho otarł czoło rękawem, kiedy pojawiły się na nim małe kropelki potu. - Muszę wyznać, że również i ja myślałem o jej wykorzystaniu, ale było mi jej żal... No cóż... Wyrodki zazwyczaj nie żyją długo. Przypuszczałem, że natura sama rozwiąże ten problem. Kiedy jednak nie umarła, musiałem z nią coś zrobić. Ona jest w twoim wieku, Skan. Wydaje się tylko młodsza, ponieważ jest dziecinna i słabo pamięta rzeczy, które działy się rok temu. Wiedziałem, że gdyby ktoś odkrył ją i jej moc, stałaby się celem dla naszych wrogów. W niepożądanych rękach mogłaby być straszliwą bronią. Bałem się, że zamiast zajmować się wojną, będę musiał jej bronić, a nie mógłbym pogodzić bezpieczeństwa i wolności jednego wyrodka z bezpieczeństwem wszystkich moich poddanych. Rozumiesz? Dlatego ukryłem ją w Wieży i trzymałem tam w absolutnej tajemnicy. Inaczej nie mógłbym jej bronić. I nie mogłem pozwolić na to, żeby z jej powodu wybuchła wojna.

- Urtho, jednak z przykrością muszę ci przypomnieć, że my już mamy wojnę. I to nie z powodu Kechary - odparł Skan z sarkazmem większym, niż zamierzał. - Nikt nie zamierza wdrzeć się do obozu, aby ją ukraść, i nie ma sensu trzymać jej dłużej w tym więzieniu.

Skandranon usiadł naprzeciwko Urtho. Zdziwił się, że Kechara była

w jego wieku. Tak jak Urtho powiedział, wyrodki przeważnie nie dożywały wieku młodzieńczego, a co tu dopiero mówić o dłuższym życiu. To, że żyła tak długo, dowodziło ogromu troski Urtho.

Mag westchnął.

- Masz rację - powiedział niechętnie. - Zasluguje na trochę wolności, ale trzymaj ją tutaj. Jeśli nie w samej Wieży, to blisko niej.

- Oczywiście - potaknął Skan. - Jeżeli nie masz nic przeciwko, chciałbym także zacząć przerzucać rodziny gryfów tam, gdzie są inni cywile: wszystkie pary z piskletami i żółtodziobami oraz młode, które są nadal w trakcie nauki. Nie widzę powodów, dla których nie mogłyby dokończyć szkolenia gdzie indziej. - Zamyślił się na chwilę. - Powiem im, że twoim zdaniem nagromadzenie nas tutaj powoduje, iż stajemy się łatwym celem dla jakiejś strasznej broni. Pragniesz, abyśmy rozproszyli się, bo wtedy nie będzie tak łatwo uderzyć w nas wszystkich.

Urtho rozważał to, studiując mapę.

- Może tutaj i tutaj... - Wskazał na dwie doliny łatwe do obrony w zasięgu najdalszej stałej Bramy. - Mogę ustawić dwie Bramy w tych miejscach i przeprowadzić nie tylko gryfy, lecz również Kaled'a'in i nie-ludzi, którzy są cywilami. Każdy, kto będzie chciał ich odwiedzić, będzie mógł to zrobić.

- Mam nawet lepszy pomysł - zaproponował Skan. - Ustawić drugą Bramę i przesłać gryfy dalej. Skorzystać z wymówki, że potrzebujemy dużo pokarmu, a w związku z tym większego terytorium łowieckiego. Wysłać Kaled'a'in do tej doliny na południu, a rekonwalescentów i ochotników do tej na północy. W ten sposób nie będą przeszkadzać, a mogą trenować waszą młodzież podczas rekonwalescencji.

Urtho pstryknął palcami.

- Oczywiście, a co więcej będę miał ambulatorium, a młodzież będzie zdobywać pożywienie! Będą całkowicie samowystarczalni!

- A nadwyżkę mogą wysyłać do nas - dodał Skan z rosnącym entuzjazmem. - Nie będzie to dużo, ale sprawi, że poczują się naprawdę potrzebni. To im dostarczy też trochę rozrywki...

Na samą myśl ślina pociekła mu do ust. *Bydło nie ma prawdziwego smaku. Co innego młody jelonek...*

- Jeżeli będą tam hertasi, Skan, nie mówiłbym "niedużo"! Hertasi są wspaniałymi zaopatrzeniowcami. - Brwi Urtho drgnęły. - Dlatego trzymam ich tutaj głównie w służbach kwatermistrzowskich. Potrafią

nakarmić dziesięcioma bochenkami chleba stu wojowników.

Skan zauważył jednak, że Urtho był bardziej niż zwykle wyciszony. *Czyżby o czymś mi nie powiedział? Czyżby było jeszcze coś gorszego, niż myślałem?*

Lekkie stukanie do drzwi powstrzymało go przed stawianiem dalszych pytań. Główny hertasi Urtho wetknął ostrożnie pyszczek do środka.

- Urtho, przyszli dowódcy - powiedziała cicho jaszczurka. Urtho spojrzął ponad Skanem i wzruszył ramionami.

- Wpuść ich tutaj, Seri - powiedział. - Niech wszyscy od razu się o tym dowiedzą.

Weszli dowódcy, na końcu generał Judeth, nienaganna i surowa w wybranych przez siebie kolorach czerni i srebra. Skupili się wokół stołu. Skan zauważył, że jeden czy dwóch trochę zbladło, gdy ujrzało na mapie ostatnie podboje Ma'ara.

Czyżby nie wiedzieli? A może oznacza to coś, czego nie potrafię odgadnąć?

- Panie, panowie - skinął Urtho w kierunku grupy - zebrałem was tutaj z kilku powodów. Po pierwsze. generał Farle nie żyje. Na ile można stwierdzić, był to zamach.

Wszyscy wokół stołu głośno westchnęli, co powiedziało Skanowi, że jeszcze nikt z dowodzących nie słyszał niedobrych wieści.

- Obawiam się, że wobec zaistniałej sytuacji muszę zredukować Szósty i rozdzielić nie ludzi i magów pośród was. Generał Judeth... - Gdy Urtho wymienił jej imię, kobieta wyprostowała się, a wyraz zaszokowania na jej twarzy natychmiast zniknął. - Na szczególną prośbę nowego dowódcy wszystkich eskadr gryfów, eskadry, które wcześniej należały do Szóstego, przydzielam tobie. Wiem, że będziesz nimi dobrze dowodzić.

- Zrobię co w mojej mocy - odparła generał Judeth.

- Reszta z was może sama postanowić, jak najlepiej rozdzielić siły Szóstego. Generał Shaiknam zachowuje dowództwo nad pieszymi oddziałami ludzi, ale reszta jest do waszej dyspozycji. - Urtho skinął głową i Skan z zadowoleniem zauważył, że dowódcy otrząsnęli się z szoku i zaczęli zastanawiać nad zaistniałą sytuacją. - Jestem przekonany, że nic dopuścicie, aby jakakolwiek rywalizacja przeszkodziła w najlepszym podziale sił. A teraz, sądzę, że wszyscy znacie Skandranona. Czarnego Gryfa albo z widzenia, albo ze słyszenia.

Kiwnięcia głową i lekkie uśmiechy padły w odpowiedzi na krótki salut głową Skana w kierunku wszystkich, a szczególnie generał Judeth.

- Wyznaczyłem go na głównego dowódcę eskadr gryfów na mocy tego samego układu, który zawarłem z magami. - Urtho przerwał i czekał na reakcję.

Skan dostrzegł tylko lekkie zmarszczenie brwi i jedno czy dwa skinięcia głową. Pierwsza zabrała głos generał Judeth.

Chrząknęła delikatnie, a potem zwróciła się jednocześnie do Urtho i do Skana.

- Układ z magami funkcjonuje lepiej, niż przypuszczaliśmy - przyznała. - Sądziłem, że mogą pojawić się jakieś problemy, a nawet jawny bunt wśród magów, ale nic takiego nie zaszło.

- Jej usta wykrzywiły się lekko, choć trudno to było nazwać uśmiechem. - Niektórzy magowie działają lepiej niż kiedyś. Najwyraźniej świadomość, że mają kogoś, kto potrafi docenić ich dokonania, kto wie, na co ich stać, powoduje, że chętniej dają z siebie wszystko. Wierzę, Skandranonie, zarówno dlatego, że wybrał cię Urtho, jak i z uwagi na twoją reputację, że będziesz postępował podobnie.

Nozdrza Skana poczerwieniały, ponieważ nic było wątpliwości, co generał miała na myśli, mówiąc "twoja reputacja", ale odpowiedział jej w miarę pewnym głosem.

- Mogę ci obiecać, że żaden gryf nie uchyli się od wykonania zadań bez ważnego powodu - odparł. - Rozumiemy wszyscy, że jest wojna, a na wojnie można zginąć. Prosimy tylko, żebyśmy nie byli wysyłani na pewną śmierć. Mogę również obiecać, że jeśli będą jakieś sprzeczności, to tylko wówczas, gdyby straty miały być większe od zysków. Gryfy będą broniły wszystkich ras.

Generał skinęła głową na te słowa, po czym utkwiała wzrok w stole.

- Widzę, że wszyscy jesteście zaniepokojeni wielkością terytorium, które zabrał nam Ma'ar - kontynuował Urtho. - Rzeczywiście macie powody do niepokoju. Właśnie zaktualizowałem sytuację na mapie. Większość naszych zdobyczy pochodzi z ostatniego miesiąca. Wszyscy wiecie, że straciliście ziemię, jednak nikt z was nie znał prawdziwego rozmiaru strat aż do dziś. Nie będę ukrywał - jesteśmy w kłopotach. W rzeczywistości straciliśmy tak wiele, że Ma'ar przeprowadził się do pałacu i uczynił z niego swoją kwaterę główną.

Przyjęli to bez zmrużenia oka, chociaż Skana doprowadził do szału fakt, że Ma'ar zajął dla siebie pałac. Myśl o tym, że ta bestia swoimi

paskudnymi buciorami zabrudza sale, które wielcy przywódcy nazywali swoim domem...

- Patrząc na mapę trudno nie zauważyć, że mamy kłopoty - rzekł sucho generał Movat. - Rzecz, leży raczej w tym, jak je rozwiązać?

Kiedy zapadło ciężkie milczenie, Urtho pochylił się nad mapą.

- Pierwszą rzeczą, jaką zamierzam zrobić, jest cicha ewakuacja cywilów spod Wieży. Pewne wstępne działania w tym kierunku zostały już podjęte, teraz jednak chcę, aby stało się to priorytetem. Pragnę przenieść ich na zachód. Zamierzam przy Wieży uruchomić sześć stałych Bram i wycelować je w sześć różnych punktów na zachodniej granicy. Większość obszarów to pustkowia, góry i porośnięte lasem doliny, zbyt urwiste, aby je uprawiać, niezbyt nadające się leż na pastwiska. Tam znajdowała się moja pierwsza Wieża - dodał z zadumą - i wolałem raczej zachować jej dzikie otoczenie.

- Tak, no cóż, ta dzikość może się nam teraz przydać - rzekł generał Korad. - Ma'ar nie będzie podejrzewał, że mógłbyś tam wysłać ludzi.

- Właśnie tak myślałem. - Urtho postukał w mapę, wskazując na sześć miejsc, gdzie Bramy miałyby swoje wyjścia. - Gdyby przyszło nam opuścić Wieżę, usunęliśmy wcześniej ludzi, którzy mogliby zaważać. Z kolei oni przygotowaliby dla nas obóz. Jeśli powiemy naszym ludziom, że robimy tak, aby rozproszyć nasze siły i nie wystawiać ich na cel, wierzę, że unikniemy paniki.

Generałowie przez jakiś czas rozważali plan po cichu. Każdy z nich studiował mapę i przeprowadzał w głowie kalkulacje. Urtho obserwował ich twarze, a Skan obserwował Urtho.

Wygląda na zadowolonego. No cóż, jeśli przyjęli ten plan, znaczy, że jest dopracowany. Oto jego metoda! Przedstawia plan, czeka, dowiaduje się, co oni o tym sądzą i zmienia go zgodnie z ich sugestiami i obiekcjami! Zastanawiam się, jak mag mógł stać się tak dobrym strategiem?

Pierwsza przerwała ciszę generał Judeth.

- Chciałabym, aby każda grupa miała po jednym silnym magu - rzekła. - Najlepiej adepta. Być może dobrą rzeczą byłoby wysłać tych, którzy są starsi albo mają zastrzeżenia wobec magii wojennej, albo nie mają po prostu do niej zdolności. W ten sposób, jeżeli trzeba będzie budować następne Bramy, pod ręką będzie zawsze ktoś wypoczęty i przygotowany.

Urtho potaknął.

- Moi Kaled'a'in będą tutaj... - wskazał. - W ich szeregach znajduje

się wystarczająco wielu. Jeśli ktokolwiek z was wie o jakichś szczególnych magach, którzy by się do tego nadawali, proszę, aby mi o tym powiedział, zwłaszcza jeśli są to ludzie znający tamte tereny.

To znaczy, jeżeli potrafią sobie radzić w prymitywnych warunkach. Niektórzy z jego starszych magów powinni odejść z Kaled'a'in. Klany, jeżeli muszą, potrafią uczynić dom z każdego miejsca, a konni nomadzi są przyzwyczajeni do wędrówki.

Po krótkiej dyskusji generałowie zgodzili się z Urtho. Skan był pod wrażeniem. Nie wiedział, że są ludzie, którzy potrafią dojść do zgody bez zbędnych słów.

- Jednak to jest sprawa drugorzędna - rzekł w końcu generał Korad.
- Prawdziwy problem polega na tym, jak, na wszystkich bogów, obrońić Wieżę?

Urtho zawahał się, a potem powiedział z pokorą:

- A czy jesteś pewien, że powinniśmy?

Rozległ się chór sprzeciwów. Jednak Skanowi wydawało się, że większość z nich sprowadzała się do słów: "Oczywiście, że powinniśmy. Przecież to twoja Wieża".

Urtho pomachał ręką, aby się uciszyli.

- W Wieży znajduje się wiele rzeczy, które należy usunąć, gdyż nie powinny wpaść w ręce Ma'ara, jednak można je zniszczyć. Natomiast wiedza, która spowodowała, że powstały, daje się przenosić w umysłach i książkach. Być może to miejsce jest moim domem i to prawda, że spędziłem tu większą część swego życia, ale nie ma powodu, aby tu pozostać, kiedy sytuacja zacznie wymykać się nam z rąk. Inni również stracili swoje domy i byłoby arogancją z mojej strony uważać, że mój jest ważniejszy niż tamte. Gdybym trzymał się kurczowo Wieży, okazałbym się takim głupcem, za jakiego uważają mnie moi krytycy, podczas gdy wszystkie rozsądne osoby by ją opuściły.

Spojrzał na mapę.

- Jeśli Ma'ar naruszy naszą linię obrony tutaj i tutaj, zdoła wówczas przesunąć linię frontu. Jego oddziały przewyższają nas znacznie liczebnością. Jeżeli tak zrobi, może zmusić nas do walki, aż w końcu nie będziemy zdolni się bronić. Mają wtedy otwartą drogę do samej Wieży. Nie damy mu rady, jeśli przynajmniej dziesięciokrotnie nie zwiększymy liczby naszych oddziałów.

Generałowie przyglądali się mapie z przygnębieniem.

- Masz rację - powiedział Korad spokojnie. - Do diabła, trudno się do

tego przyznać, ale jeśli pójdzie mu tak, jak do tej pory, będzie nas miał.

- Jeśli zostaniemy w Wieży - przypomniał wszystkim Urtho. - Jeśli zaś się wycofamy, możemy przygotować sobie miejsce, aby stawić mu opór albo nie stawiać żadnego oporu, po prostu ciągle się wycofywać, zmuszając go do rozciągnięcia swojego zaplecza i wojska. W końcu nawet Ma'ar musi nasycić się swym podbojem! Możemy skierować się na zachód, a potem wycofać się na najdalsze południe do ziem, które znajdują się w posiadaniu władców Haighlei.

- Czarnych Królów? - spytała Judeth. Skan wiedział, że ten przydomek nie odnosił się do ich charakteru, ale do koloru skóry, która najprawdopodobniej była tak czarna jak bezksiężycowe i bezgwiazdne niebo. - Czy oni nam pomogą?

Urtho wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Wiem tylko, że powinni nas chronić przed takim najeźdźcą i despota jak Ma'ar, a ich magia jest tak inna od naszej, że, jak sądzę, nawet Ma'ar zawahałby się, zanim by ich zaatakował. Niemądrym jest atakowanie czegoś, czego się nie zna.

Judeth zagryzła wargę, potem skinęła głową wolno i z oporami. - To jest nasza jedyna nadzieja, jeśli Ma'ar dojdzie tak daleko. Mam zamiar dopilnować, aby nie doszedł. Będę się bronić do ostatniej kropli krwi.

Jej słowa zdradzały upór i zawziętość, a Skan zadrżał, jak gdyby po jego kręgosłupie spłynął kawałek lodu, a zimny wiatr hulał w jego piórach.

- Jak zamierzasz to wszystko wytłumaczyć Shaiknamowi? - odezwał się Korad po długim milczeniu.

Urtho wzruszył ramionami.

- Powiem mu, że według mnie jest najlepszy w manewrach lądowych i daję mu okazję do skoncentrowania się na nich bez rozpraszania się i niedogodności związanych z mieszanymi siłami. Potem pokażę mu to, co wam pokazałem, i wszyscy spotkamy się wieczorem, aby nakreślić strategię powstrzymania Ma'ara. W tej chwili pragnę, abyście udali się do swoich ludzi i przygotowali tych, którzy nie są jeszcze gotowi do ewakuacji. Chciałbym od jutra zacząć przenosić ludzi.

Dla Skana, podobnie jak i dla pozostałych dowódców, zabrzmiało to jak rozkaz rozejścia. Zasalutowali i odmaszerowali z wyjątkiem generała Judeth, która została, aby zamienić słowo z Czarnym Gryfem.

- Gdy tylko zobaczysz się ze swymi podwładnymi, przyjdź do mnie ze

starymi dowódcami eskadr Szóstego - powiedziała - i... życzę powodzenia, Skandranonie. Myślę, że Urtho dokonał mądrego wyboru.

Odwróciła się szybko i odeszła, zostawiając Skana gapiącego się na jej plecy. Odwrócił się, aby spojrzeć na Urtho. Mag uśmiechał się zmęczony.

- Ja również uważam, że mądrze wybrałem, Skan - powiedział. - A teraz idź i uporaj się ze swymi podwładnymi. Ja tymczasem muszę uporać się ze swoim problemem. Obaj mamy wiele do załatwienia. I jedynie nasza Pani Kaled'a'in wie, czy starczy nam czasu, aby tego dokonać.

Skan pochylił się nisko i głęboko, ale przy drzwiach zawahał się. Urtho zwrócił się do mapy i patrzył na nią tępym wzrokiem.

- Urtho - rzekł Skan. Mag drgnął, odwrócił do niego twarz i spojrzał, jakby nie spodziewając się, że jego nowy dowódca jest jeszcze w pokoju.

- Chciałbym, abyś coś wiedział. Nigdy tak naprawdę nie braliśmy pod uwagę tego, żeby odlecieć i cię zostawić. Jesteśmy wobec ciebie nie tylko lojalni, ale cię kochamy. Dlatego właśnie jesteśmy lojalni. Na miłość trudniej zapracować niż na lojalność, a ty jesteś więcej niż moim przyjacielem. Jesteś moim ukochanym ojcem.

Szybko się odwrócił i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Ale przez jedną chwilę, zanim całkiem się zamknęły wydawało mu się, że oczy Urtho błyszczą od łez.

Zbyt wielu ludzi w jednym namiocie powodowało, że w mesie było okropnie gorąco. Bursztynowy Żuraw stał na stole i jedną ręką odgarniał nerwowo wilgotne włosy. Wszyscy kestra'chern z obozu wcisnęli się do namiotu i patrzyli na niego z niepokojem.

W całym obozowisku szerzyły się szalone plotki, odkąd z Szóstego nadeszła wieść, że generał Farle został zabity i Shaiknamowi przywrócono dowództwo. Większość z nich była różnymi wariantami starych plotek, ale niektóre były zupełnie nowe. Wszystkie, które słyszał Bursztynowy Żuraw, przekazywano nieco histerycznie.

Wyciągnął rękę i od razu zapadła cisza. Światło lamp odbijało się w tuzinach utkwionych w nim oczu, rozwartych szeroko w lęku bądź nadziei.

- Słuchaliście plotek od tygodni, teraz te plotki stają się prawdą - rzekł bez osłonek. - Ewakuujemy wszystkich cywilów z okolic Wieży.

Wzniósł się szmer głosów, ale Bursztynowy Żuraw potrząsnął głową i szmery ucichły.

- Urtho upoważnił mnie, abym sam ocenił, ile wam powiedzieć. Mam zamiar powiedzieć wam całą prawdę, ponieważ Urtho i ja liczymy na was, liczymy, że pomożecie utrzymać wśród ludzi spokój. Ma'ar zaczął zagrażać naszej pozycji. Urtho mówi ludziom, że chce przenieść cywilów, abyśmy wraz z tym wszystkim, co mamy zgromadzone, nie stanowili kuszącego celu. Jednak prawdziwy powód jest taki, że gdyby musiał ewakuować wojsko, nie chce mieć w Wieży cywilów, o których trzeba by się martwić.

Przerwał na chwilę.

- Będziemy jedną z ostatnich grup, która stąd wyjdzie, ponieważ jesteśmy także przydatni jako uzdrowiciele. Mam zamiar dziś wieczór albo jutro porozmawiać z każdym z was z osobna, abyście określili, które z sześciu miejsc ewakuacyjnych chcielibyście wybrać. Dam wam bilet przydziałowy, a kiedy ostatni cywile odejdą, złożycie swoje namioty i pójdziecie do i wybranych miejsc. Nadal będziecie mogli służyć tam swoim klientom. Bramy będą otwarte dla dwukierunkowego ruchu i Urtho przewiduje pewną ilość wyjść i wejść.

Ktoś na dole przed nim podniósł rękę.

- A jeśli Urtho zarządzi całkowitą ewakuację? Co będzie z ludźmi odwiedzającymi akurat Wieżę?

- Dobre pytanie. Ten, kto przeniesie się ze swojego miejsca ewakuacji do Wieży, musi być świadom, że w każdej chwili, Urtho może zarządzić odwrót. W takiej sytuacji cywile będą musieli sami zatroszczyć się o siebie. Będą mogli mówić o szczęściu, jeśli uda im się dotrzeć do jakiegokolwiek Bramy, swojej czy nie swojej. - Bursztynowy Żuraw wzruszył bezradnie ramionami. - Byłoby znacznie lepiej dla was, gdyby to wasi klienci do was przychodzili, a nie odwrotnie. Mamy zamiar zniechęcać do ruchu z miejsc ewakuacji do Wieży. Na przykład kiedy już cywile odejdą, chcemy wprowadzić godzinę policyjną w obozowisku. Posiłki wokół Wieży będą ściśle racjonowane, tylko dla tych, którzy mają tutaj być, a nie dla gości.

Przerwał na chwilę, by to do nich dotarło. Podniosła się kolejna ręka.

- Czy rzeczywiście jest aż tak źle? - spytała młoda kobieta.

Zawahał się na moment.

- Nie mogę powiedzieć wam wszystkiego - rzekł w końcu. - Ale Urtho jest poważnie zaniepokojony. I już od jakiegoś czasu ewakuuje ludzi z

Wieży w bezpieczniejsze miejsca.

Wśród ludzi rozległy się szmery. W końcu wstała Lily i wyzywająco uniosła głowę.

- Musi być coś, do czego możemy się przydać - powiedziała. - Dobrze wiesz, że większość naszych klientów zaniecha wizyt, gdy skończy się ewakuacja cywilów. Jest więc coś, w czym możemy pomóc!

Bursztynowy Żuraw nieznacznie się odprężył, gdy zgodny chór poparł jej odważne słowa.

- Dzięki ci, Lily - rzekł łagodnie. - Miałem nadzieję, że ktoś z tym wystąpi. Tak. Jest wiele rzeczy, przy których możemy pomóc. I po tej, i po tamtej stronie Bramy. - Usiadł powoli na blacie stołu. - Po pierwsze, możemy pomagać przy dzieciach...

Gesten rozejrzał się wokół ogniska, policzył nosy i uzyskał satysfakcjonujący wynik. Każde plemię hertasi przysłało przynajmniej po jednym reprezentancie, a większość po kilku. Dlaczego akurat on został wybrany na przywódcę tej całej zgrai, nie miał bladego pojęcia, ale Urtho powiedział, że tak ma być i uciał dyskusję.

- No dobra - powiedział, a tuziny oczu skierowały się na niego. - Znaćcie całą historię. Cywile są odsyłani, a my jesteśmy cywile. Jedynymi hertasi, które mają tu zostać, po tym jak cywile odejdą, są ci, którzy służą uzdrowicielom i gryfom. Wszyscy inni odchodzą. Kiedy przeniesiecie swoje rzeczy, wróćcie i zaczniecie pomagać rodzinom. Kestra'chern zajmują się dziećmi, a wy będziecie robili to, co potrafcie najlepiej: pomożecie przy pakowaniu dobytku i przenoszeniu go. Kiedy to zrobicie, udacie się do Wieży. Powiedzą wam, jeśli będziecie tam potrzebni. Jeżeli nie, wróćcie na swoje wyznaczone miejsce i tam zostańcie. Kapujecie?

- A co jeśli ktoś ma podwójną służbę - u uzdrowiciela i u cywila? - zawołał ktoś z tyłu.

Lakoniczna instrukcja tego nie wyjaśniała, ale Urtho powiedział mu, że w niejasnych przypadkach powinien kierować się własnym sądem.

- To zależy od ciebie, czy jesteś w stanie wytrzymać blisko pola walki - odrzekł w końcu. - Jeżeli czujesz się na tyle odważny, zostań tutaj. Przejdź na pełny etat u uzdrowiciela. A jeżeli nie, ewakuuj się i pomagaj tam, gdzie będzie naprawdę dużo do roboty. - Pochylił głowę na jedną stronę i zwięził oczy, gdy recytował listę, jaką otrzymał od Urtho. - Trzeba postawić budynki na zimę dla wszystkich łącznie z wojowni-

kami, na wypadek gdyby też musieli się ewakuować. Trzeba zgromadzić zapasy pożywienia, wykopać studnie, postawić sanitariaty i łaźnie. Większość rodzin będzie się składała tylko z matek i dzieci, będą potrzebować dodatkowych rąk do pomocy. Potrzeba pomieszczeń dla rannych i chorych, a także wozów, gdyby przyszło nam i stamtąd się wynosić.

- Czy będą tam jacyś magowie, którzy nam pomogą? - spytał jakiś niespokojny głos. - I uzdrowiciele? Wśród tych cywilów są kobiety w ciąży, a ja nie mam zielonego pojęcia o porodach hertasi, że o porodach ludzi nie wspomnę!

- Będziemy mieli wielu magów, wszystkich uczniów, większość terminatorów i przynajmniej po jednym adepcie w każdym miejscu - obiecał Gesten. - Uzdrowiciele posyłają tam niektórych uczniów, paru mistrzów, a gdy wszyscy cywile zostaną już ewakuowani, dołącza, do nich kestra'chern. Wśród nich jest wielu uzdrowicieli i każdy z nich ma przynajmniej podstawowe wykształcenie w uzdrawianiu.

Gesten wyczuł, że jego słowa zmniejszyły trochę napięcie. Hertasi uważali kestra'chern za najbardziej zrównoważonych ludzi, którzy z pewnością będą najwłaściwiej reagować.

- No dobra - odezwał się znowu. - Uda nam się.

- Uda nam się - odpowiedziało echo wielu głosów.

W końcu takie było motto hertasi.

Bursztynowy Żuraw potarł zamglone i piekące oczy, po czym z powrotem skierował swoją uwagę na listę, którą układał. *Protea zajmuje się żłobkiem tervardi. Loren z uzdrowicielami przygotowuje paczki z zapasami dla ewakuowanych. Renton, Lily, Maiina, Riley...*

- Bursztynowy Żuraw? Mogę wejść, choć nie w porę?

Uniósł głowę i zmrużył oczy, usiłując dojrzeć gościa za kręgiem światła swojej latarni. Rozpoznał twarz Lwiego Wiatru, wodza klanu k'Leshya, własnego klanu Kaled'a'in.

- Co tutaj robisz o tak późnej porze? - spytał, zupełnie zaskoczony, widząc lego rannego ptaszka na nogach, choć było już dawno po północy.

Lwi Wiatr wszedł do środka, a jego ciężkie warkocze kołysały się z każdym jego krokiem.

- Mielśmy spotkanie klanu - powiedział. - Gdyby Urtho się zgodził, wolelibyśmy nie iść razem z resztą Kaled'a'in.

Bursztynowy Żuraw pokręcił głową.

- Nie możecie tu zostać - rzekł bezbarwnym głosem. - Urtho nie robi żadnych wyjątków.

Lwi Wiatr uśmiechnął się słabo i zgrabnie opadł na taboret po drugiej stronie biurka.

- Nie chcemy tu zostać, chcemy być tam, gdzie gryfy - powiedział. - Większość trondi'irn opiekujących się gryfami pochodzi spośród nas. Pracowaliśmy z Urtho nad jego programem hodowlanym, a poza tym lubimy je. Będą potrzebowały jeszcze kogoś oprócz hertasi, które są w porządku, ale nie lubią polować, nie dadzą rady unieść tego, co człowiek i nie grzeszą wyobraźnią.

Bursztynowy Żuraw wysłuchał jego spokojnej przemowy z rosnącą ulgą. Sam zastanawiał się nad tym, jak gryfy dadzą sobie radę, ponieważ plan Urtho zakładał zbudowanie drugiej Bramy w miejscu ewakuacyjnym Kaled'a'in, i wysłanie rodzin gryfów jeszcze dalej. Gryfy były ogromnymi żarłokami i raczej wątpliwe, że mogłyby zostać tam, gdzie byłyby również inne rasy nie ludzi albo zbyt wielu ludzi. Na przykład wszystkie klany Kaled'a'in. Jednak jeśli k'Leshya chcą być wysłani z dala od innych klanów, problem rozwiązałby się sam.

- Jesteście pewni, że chcecie tak zrobić? - spytał. Lwi Wiatr wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien, czy chcemy w tej chwili zrobić cokolwiek - odparł. - Nie chcemy uciekać, ale również nie chcemy tu zostać, aby zginąć. Najbardziej chcielibyśmy, aby Urtho wynalazł nagle jakąś magiczną broń, która wyeliminowałaby Ma'ara i wszystkie jego oddziały, nie robiąc nikomu krzywdy. Jednak szansę na to są małe, chyba że Bogini uczyni cud. Zatem ten wybór jest dla nas najlepszy. Jeśli Urtho się zgodzi, pójdziemy z gryfami.

- Jestem pewien, że się zgodzi - odrzekł Bursztynowy Żuraw i potarł znowu oczy, gdyż twarz Lwiego Wiatru zaczęła mu się rozmazywać. - Zajmę się tym.

Lwi Wiatr wstał i pochylił się nad stołem. Bursztynowy Żuraw znowu potarł oczy, ale nie przestawały zachodzić mgłą.

- Czy jeszcze coś mogę dla ciebie zrobić? - zapytał, mrugając szybko. Ale to też nie pomogło.

- Tylko... trochę wypocznij - odparł Lwi Wiatr, pochylając się niżej. - To rozkaz wodza twojego klanu.

- Nie mogę, mam jeszcze tyle do zrobienia - zaprotestował, gdy Lwi

Wiatr wyciągnął rękę nad stołem i dotknął jego czoła. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że Lwi Wiatr jest także uzdrowicielem umysłu, w pełni zdolnym narzucić swoją wolę nawet najbardziej opornym.

- "Najlepszym atakiem jest ten, którego nikt się nie spodziewa", kestra'chern - zacytował i zachichotał, gdy sen pochwycił Bursztynowego Żurawia w zadziwiająco delikatne szpony i uniósł daleko...

Każda z sześciu stałych Bram była na tyle wielka, by przyjąć największe z szybujących barek lądowych. Urtho skonstruował Bramy, wykorzystując łuki ze stopionego kamienia i każdej przydał węzeł energii magicznej. Tylko Urtho udało się skonstruować Bramę, która by nie była zasilana wewnętrzną energią pojedynczego maga. Tylko Urtho odkrył sekret stałego utrzymywania takiej Bramy. Ze wszystkich jego sekretów najprawdopodobniej właśnie ten Ma'ar chciałby poznać najbardziej.

Po raz pierwszy od wielu lat Urtho opuścił na krótko Wieżę, aby przenieść się przez jedną ze swych konstrukcji i ustawić drugą stałą Bramę w punkcie ewakuacyjnym. Tę skierował daleko na zachodnie pustkowie ku pięknej dolinie, którą kiedyś sam nazwał domem. Wysłał tam wszystkie gryfy, które nie walczyły lub były ranne. Teraz k'Leshya, klan Kaled'a'in - który jako jedyny ze wszystkich klanów nie przyjął nazwy od zwierzęcia, ale nazywał się po prostu Klanem Ducha - przesuwiał się wolno przez pierwszą Bramę, aby podążać za gryfami.

Urtho nie mógł powiedzieć, że ma jakiś "ulubiony" klan, ale w k'Leshya było najwięcej jego ulubieńców spośród Kaled'a'in. Lwi Wiatr, wódz klanu, był jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich znał, a jego mądrość nie pasowała do gładkiej, młodzieńczej twarzy i kruczoczarnych warkoczy. Ojciec i matka Lwiego i Wiatru byli szamanami. Być może to wyjaśniało jego niezwykle zdolności. A może, jak sam Lwi Wiatr kiedyś powiedział - nie do końca żartując - był "starą duszą". Choć nie był jeszcze wtedy wodzem klanu, wspierał Bursztynowego Żurawia, kiedy młody kestra'chern przyłączył się do swych ziomeków. Nadal był dla niego wsparciem w tych rzadkich przypadkach, kiedy Bursztynowy Żuraw pozwalał, aby ktoś mu pomógł.

Lwi Wiatr pierwszy przeszedł przez Bramę, jadąc na smukłej i bojowej klaczy. Nie oglądał się za siebie, choć z pewnością wiedział, że już nigdy nie zobaczy Wieży i prawdopodobnie wielu z tych, których zostawiał za sobą. Pożegnał się według zwyczaju Kaled'a'in, który naka-

zywał nie trwonić czasu.

- Długie pożegnania dają wrogowi czas na zbliżenie się do celu - rzekł Lwi Wiatr do Urtho, gdy ścisnął jego dłoń. a słowa te z pewnością staną się przysłowiem Kaled'a'in. Chociaż nie było tu teraz żadnego wroga, wszyscy k'Leshya zastosowali się do tej nauki.

Urtho patrzył, jak odchodzą, kryjąc swój ból pod spokojnym uśmiechem. Nie wiedział, czy kiedykolwiek zobaczy któregoś z nich, ale był pewien, że posyła ich w bezpieczniejsze miejsce. A teraz, gdy gryfy będą miały opiekę w miejscu swego przeznaczenia, miał pewność, że bez względu na to, co zniszczy Ma'ar, gryfy przetrwają. Gdyby Ma'ar zdobył Wieżę, rozproszą się, wykorzystując swoją zwinność, aby ująć z jego rąk.

A więc jakaś moja częśćka przeżyje, bez względu na to, co zrobi Ma'ar.

Dziwne, że będą to właśnie gryfy, stworzenia, które jego współcześni uważali za ekscentryczne zabawki. Jednak on zawsze w nie wierzył. Ze wszystkiego, co stworzył, lubił je najbardziej. Dał im skłonność do czynienia wielkiego dobra. Trzeba by tylko sprawdzić, czy wypełnią ten zamysł, jak wypełniły całą resztę. Ostatni pasterz k'Leshya, prowadzący stado klanu w ogromnej chmurze kurzu, przeszedł przez Bramę. Brama zamknęła się za nim, oszczędzając moc. Przestrzeń wewnątrz łuku stała się czarna, a potem ukazała się za nim trawa.

Dopiero wtedy Urtho uświadomił sobie, że nie jest sam. Za nim, z boku stał Bursztynowy Żuraw, patrząc na pustą Bramę. Kestra'chern nie miał na sobie wymyślnego stroju, tylko parę bryczesów i jasnoblękitną tunikę. Jego włosy były związane z tyłu, a na głowie miał błękitną opaskę.

Urtho spojrzał na niego z odrobiną zdziwienia. Pomyślał, że zrozumiałby, gdyby Bursztynowy Żuraw odszedł ze swym klanem. Reszta kestra'chern miała już swoje przydziały ewakuacyjne i gdy tylko dokończą swoje zadania, skierują się tam. Nie potrzebowali już przywódcy i było mało prawdopodobne, aby ktokolwiek w nadchodzących dniach znalazł wolny czas na skorzystanie z usług kestra'chern, choćby najlepszego.

Bursztynowy Żuraw odgadł myśli Urtho z wyrazu twarzy maga. Uniósł jedną brew w nieświadomie eleganckim geście.

- Zastanawiasz się, dlaczego nadal jestem tutaj - powiedział.

Urtho potaknął.

- Zimowa Łania została... Jest trondi'irn walczących eskadr gryfów z Piątego, a ja nie mam zamiaru zostawiać jej samej w obozie, gdzie nadal jest jej dawny kochanek. - W jego głosie zabrzmiała stalowa nuta, której Urtho nigdy nie słyszał. A może była już tam wcześniej, ale Bursztynowy Żuraw lepiej ją ukrywał. - Skan jest tutaj, i Zhaneel, i Gesten, który ma im służyć. Są jedyną rodziną, jaką mam.

Urtho pozwolił, aby odrobina stali przeniknęła także do jego głosu.

- Powiedziałem: żadnych wyjątków. Słyszałeś przecież ten rozkaz, kestra'chern Bursztynowy Żurawiu. Nie masz tu przydziału.

- Jestem uzdrowicielem, Urtho. Jeśli chcesz, możesz to sprawdzić u lady Cinnabar. Zgłosiłem się do jej grupy.

Ból i lęk przez moment położyły się cieniem na oczach Bursztynowego Żurawia. Urtho wiedział dlaczego i podziwiał jego odwagę. Wiedział wszystko o przeszłości Bursztynowego Żurawia, wiedział, ile kosztuje go praca z uzdrowicielami, jak bardzo narażony jest na ból, gdy traci kontrolę nad swymi empatycznymi zdolnościami i że ból fizyczny i duchowy daje mu się we znaki bardziej niż innym.

Jednak był tutaj, stawiając czoło swemu najgorszemu lękowi, aby pozostać ze swoją dziwną i ulotną "rodziną". Urtho lekko pochylił głowę w uznaniu jego odwagi.

- Przepraszam, myliłem się, uzdrowicielu Bursztynowy Żurawiu. Masz prawo, aby tu pozostać.

Linie w kącikach oczu Bursztynowego Żurawia z lekka złagodniały i Urtho stwierdził, że może złagodzić jeszcze jedną z jego trosk.

- Jest tu jeden mag, który nadal pracuje z Shaiknamem w Szóstym, na swoją własną prośbę. Osobiście przyjąłem jego petycję o przydział na front. Powiedział mi, że nazywa się Conn Levas - pozwolił, aby jedna jego brew lekko się uniosła. - Sądzę, że Szósty powinien być teraz w drodze na swoje pozycje.

Potem Urtho odwrócił się, nie czekając na podziękowanie. Jego umysł był już zajęty następnym zadaniem.

Podobnie jak umysł Bursztynowego Żurawia.

"Długie pożegnania dają wrogowi czas na zbliżenie się do celu".

A oni nie zamierzali dawać wrogowi czasu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Aubriego bolały całe skrzydła, wyczerpane mięśnie paliły przy każdym ruchu. Ciężkie, wilgotne powietrze w tej szczególnej dolinie zawsze oznaczało trudny lot, jednak nie dlatego był taki zmęczony. Od świtu odbywał lot zwiadowczy dla Piątego, a tylko kilka godzin brakowało do zachodu słońca. Latał już drugą zmianę, a skończyć miał długo po zapadnięciu zmroku.

Przynajmniej wszyscy niewinni byli daleko poza zasięgiem Ma'ara. Kilka dni temu ostatni cywile i kestra'chern przeszli przez Bramy do swoich nowych obozowisk. I tak jak się spodziewał Urtho, nikt nie wracał do Wieży. Wieść, że każdy cywil, który znajdzie się przy Wieży w chwili pojawienia się niebezpieczeństwa, będzie musiał sam się o siebie zatroszczyć, sprawiła, że ewakuowani trzymali się swoich nowych domów. Aubri tęsknił za widokiem młodych, tęsknił za głosami bawiących się piskląt - wolał jednak raczej tęsknić za nimi, niż narażać je na ryzyko przebywania w pobliżu przy Wieży. Jedno zabite młode to już o jedno za dużo, a on widział w czasie służby u Urtho znacznie więcej.

Bolały go mięśnie klatki piersiowej, napięte i sztywne od ciągłego utrzymywania się w powietrzu. Wiedział, że kiedy wreszcie wyląduje, jego ciało będzie jednym wielkim bólem. Przynajmniej teraz nie musiał walczyć z makaarami; odbywał lot zwiadowczy, podczas którego miał się upewnić, że Szósty i Pierwszy znajdują się tam, gdzie powinny, aby magowie z Piątego nie uderzali na swe własne oddziały.

Hmm. Ładny mi "przyjazny ogień", Kaled'a'in mają wyobraźnię. Generałowie Ma'ara nic atakowali tego punktu przez cały dzień, broniąc się tylko. A Shaiknam nie poruszał się, więc od dwóch czy trzech dni panował spokój. Żołnierze obserwowali się z przeciwnych końców szerokiego i płytkiego wąwozu. Jedyne magowie przesłali sobie małe "prezenty", które jednak z łatwością odpierali przeciwnicy.

Sytuacja znów była patowa.

Nie, czekaj. Zdało mu się, że przez gęstą mgłę dostrzega jakiś ruch. *Tam na dole coś się dzieje!*

Aubri wzleciał wyżej, aby lepiej widzieć. Jak mu powiedziano, Shaiknam nie miał dawać rozkazu do ataku, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Czyżby to był jakiś fałszywy ruch? Małe przegrupowanie na miejscu, aby wróg myślał, że Shaiknam ma zamiar uderzyć?

Zaczął mocniej machać skrzydłami, by wznieść się, i po chwili spoj-
rzał w dół.

Najpierw nie mógł niczego dostrzec, polem mgła trochę się przerze-
dziła, otwierając mu wyraźniejszy widok na oddziały Shaiknama. Ze
zmęczenia nierówno uderzał skrzydłami i trochę trwało, zanim zawisł
nieruchomo w powietrzu. *Cholera! Co on...?*

Dlaczego... ? Czyha nie jest aż tak głupi! Czy on może... ?

Oddziały Shaiknama rozdzieliły się pośrodku i zaczęły wycofywać,
otwierając drogę przez wąwóz.

Zwykle taki klasyczny manewr dawał wrogowi miejsce do wkrocze-
nia, po czym kompanie brały go w kleszcze, a oddziały na tyłach odci-
nały drogę odwrotu. Problem polegał jednak na tym, że na miejscu
brakowało innych kompanii i czasu, aby tu dotarły. Shaiknam nie
bronił żadnego z dwóch najważniejszych przejść, a z tego miejsca siły
Ma'ara mogły z łatwością do któregoś z nich się dostać.

*On blefuje. Dowódcy Ma'ara nie uwierzą w to i on o tym wie, daje im
tylko powód, żeby się czymś zajęli...*

Nie mógł zawisnąć, jedynie obniżyć się, robiąc małe kółka, dysząc ze
zmęczenia i zdumienia. Aubri obserwował oba oddziały, które się cofa-
ły. Dokonywały wyraźnego odwrotu, podczas gdy armia Ma'ara wkra-
czała do wąwozu na terytorium Urtho spokojnie i równo. Co, *do dia-
bla, tutaj się dzieje?*

Teraz żałował, że nie jest jednym z tych gryfów, które potrafią posłu-
giwać się myślumą. Gdyby tylko mógł przekazać komuś, co się dzie-
je! Do czasu zanim zdoła dowlec się przez niebo do jakiegoś punktu
łączości, będzie już za późno, aby powstrzymać pochód wroga.

*Cholera, już jest za późno... Nie mogę ich zatrzymać, ale mogę przy-
najmniej dowiedzieć się, kto wydał te rozkazy. Tak zrobiłby Skan.
Czyżby Shaiknam stracił tę odrobinę rozsądku, którą jak dotąd się po-
sługiwał? A może jego oddziały dostały fałszywe rozkazy?*

Aubri spadł przez mgłę, daleko za linią marszu, i wylądował w pobli-
żu zupełnie opustoszałej komendy Shaiknama. Wlaził w gęste krzaki,
nie ryzykując wypatrzenia przez wroga. *To było do przewidzenia - po-
myślał wściekły. - Zaufaj Shaiknamowi. a on kompletnie zlekceważył
fakt, że ktoś może wślizgnąć się do jego namiotu, gdy on siedzi sobie w
cieniu przez cały dzień. Mam nadzieję, że są tam choć czerwone mrów-
ki i gryzą go w tłusty tyłek.* Zastanawiał się, dlaczego wokół namiotu
tak mało się dzieje, ale stwierdził, że to pewnie dlatego, że w ogóle ma-

ło się dzieje. *Chyba już wiem, Albo Shaiknam został zamordowany, albo przeniesiony, albo...*

...albo stało się coś jeszcze gorszego.

Starał się naśladować Skana, błogosławiąc Zhaneel za wszystkie godziny spędzone na torze przeszkód, kiedy czołgał się na brzuchu w poszyciu. Nawyki treningowe weszły mu w krew; odsuwał gałęzie dziobem, zamknął oczy i pozwolił, by prześlizgnęły się po karku, złożył ciasno skrzydła. Wyciągnął się do przodu najbardziej jak to możliwe, a potem przysunął tylne nogi, wyginając tułów. Po chwili zaczął od nowa. Poruszał się raz szybko, raz wolno, nie zostawiając śladów.

Dlaczego do diabła wokół namiotu nie ma strażników po tym co stało się z Farle? Dlatego że Shaiknama tam nie ma? Czy dlatego, że wie, iż nie potrzeba mu strażników? Albo nie został już żaden strażnik?

Tak bardzo skoncentrował się na cichym pełznięciu, że stracił poczucie odległości. Nagle kilka długości szponu od jego dzioba pojawiło się płótno namiotu. Usłyszał głosy.

A jednak jest ktoś w środku.

Zamknął oczy i słuchał. Ktokolwiek tam był, mruczał raczej niż mówił normalnym głosem, jak gdyby chciał być pewien, że nikt nie go nie usłyszy.

- ...idzie dobrze, mój panie - szeptał obłudny głos. - A Ma'ar dotrzymuje swojej części umowy. Zanim Judeth z Piątego zorientuje się w sytuacji, oddziały Ma'ra dotrą do przełęczy.

- Tak, to dobrze - To był Shaiknam, Aubri słyszał jego jęklivy głos wystarczająco często, aby nie pomylić go z żadnym innym. - Kiedy przejmie przełęcz, możemy zbliżyć się za nim i nikt nie będzie wiedział, że go przepuściliśmy. Jego magowie będą mogli ustawić Bramy, aby przenieść oddziały na równiny, a ja się poddam bez wiedzy Urtho. Zachowam dowództwo, a moje posiadłości zostaną nietknięte. Bez ciebie, Levas, nie byłbym w stanie skontaktować się z dowódcą Ma'ara i tego wszystkiego przeprowadzić.

Levas? Conn Levas? Czyżby to był ten mag, z którym Zimowa Łania...

- Dzięki, mój panie - usłyszał Aubri obłudny głos. - Zawsze upewniam się, że jestem po stronie, która zwycięża, i cieszę się, że mogłem znaleźć w tobie dowódcę równie pragmatycznego jak ja sam.

Shaiknam zaśmiał się.

- Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie, jeśli będziesz w stanie się go podjąć. Urtho ma kłopotliwy zwyczaj wymyślania cudów w ostatniej

chwili. Ale bez Urtho...

W głosie maga pojawiła się szczególna nuta, która zupełnie zmroziła Aubriego.

- Jestem najemnikiem, mój panie, wiedziałeś o tym, kiedy zawieraliśmy układ. Za dodatkowe usługi musi być dodatkowa zapłata.

Shaiknam zaśmiał się bardzo cicho.

- Wymień ją - powiedział tak arogancko, jak gdyby złoto całego świata należało do niego. - W jakiegokolwiek walucie.

- Dwadzieścia cztery tysiące sztuk srebra i pewne ciała, mój panie. - Głos maga stał się lodowaty. - Dwa ciała, mówiąc dokładnie, oba żywe i w dobrym stanie, żeby mogły mnie zabawić. Trondi'irn Zimowa Łania i kestra'chern Bursztynowy Żuraw.

- Zgoda - odparł natychmiast Shaiknam. - To nie są wojownicy, łatwo będzie ich złapać. Tanio bierzesz. Powinieneś bardziej cenić swoje usługi, najemniku.

- Oni mają dla mnie szczególną wartość...

Aubri nie mógł dłużej tego znieść.

Muszę ich powstrzymać! Od razu!

Dopadł ściany namiotu, przeciął ją ostrymi szponami, rozwarł dziób, aby pokruszyć im kręgosłupy na pół...

I upadł bezwładnie na ziemię, niezdolny poruszyć nawet okiem. Wyładował z trzaskiem u stóp samego Shaiknama, ślizgając się trochę na płótnie podłogi namiotu.

Gdyby mógł walczyć, zrobiłby to, ale żaden mięsień nie chciał go słuchać. Jego serce nadal biło, a płuca oddychały, ale był to jedyny ruch, na jaki mogło zdobyć się jego ciało.

Oczywiście został porażony zakłębieniem paraliżu. *Ty idioto! Conn Levas jest magiem! Jak mogłeś być tak beznadziejnie głupi?*

Generał Shaiknam popatrzył na niego ze średnim zainteresowaniem, a potem włożył rękę do kieszeni. Odwrócił się do Conna Levasa i rzucił mu monetę. Mag schwycił ją zgrabnie i schował. Na ustach Shaiknama pojawił się uśmiech.

- Zapłata za dodatkową usługę - powiedział głosem pełnym satysfakcji.

- Rzeczywiście, mój panie - odparł Conn Levas. - Zatem spodziewam się dalszej zapłaty po wypełnieniu drugiego zadania.

Shaiknam wzruszył ramionami, a w jego oczach odbiło się znudzenie.

- Oni mnie nie interesują. Dopilnuję tylko, aby zostali złapani bez

uszkodzeń. To nie powinno być szczególnie trudne.

- A co z tym, mój panie - odezwał się nowy głos, ale ten również Aubri rozpoznał. *Garber...*

Zastępca Shaiknama znajdował się poza zasięgiem wzroku Aubriego, ale nie było wątpliwości, że to on. Czubkiem buta kopnął gryfa w żebra, wywołując falę bólu w mięśniach klatki piersiowej.

- Mogę się go pozbyć, jeśli sobie tego życzysz - zaczął Conn Levas, ale Shaiknam wyciągnął rękę, by go powstrzymać.

- Nie - powiedział. - On może się nam przydać. Ma'ar bardzo lubi gryfy. Sądzę, że powinniśmy mu go posłać w darze jako zapowiedź następnych. - Kiwnął na niewidocznego Garbera. - Spakujcie go i dostarczcie generałowi Poldenowi z moimi pozdrowieniami dla Imperatora.

- A więc Imperator lubi błazeństwa z tymi stworzeniami? - powiedział Conn Levas z zainteresowaniem.

- Owszem - odparł Shaiknam. Uśmiechnął się do Aubriego. Gryf sapnął, ogarnięty czystym strachem. - Mam nadzieję, że nauczysz się kilku nowych sztuczek, bestio - powiedział słodko. - Innych niż "udawanie nieżywego". "Tańca" na przykład, albo jeszcze lepiej "błagania". Bądź pewien, że to będzie "błaganie". Im dłużej będziesz bawił Imperatora, tym dłużej będziesz żył. Przynajmniej tak mi mówiono.

Urtho rzucił przez pokój talerzem, który rozbił się o ścianę, ale to nie pomogło mu rozładować napięcia.

- Bogowie! - krzyczał. Kadra hertasi i ludzkich posłańców ignorowała go. W obozie nie było już ptaków-posłańców. Urtho nie chciał zostawić tych małych i najbardziej bezradnych stworzonek. Przeszły jako pierwsze przez Bramę w to samo miejsce, co k'Leshya i gryfy.

Urtho chodził wzdłuż stołu z mapą, wydając rozkazy na tyle szybko, żeby hertasi i ludzie zdążyli je przyjąć, ze wszystkich sił starając się nie rwać sobie włosów z głowy. Na wszystkich bogów, co tam się stało? Jak ludzie Ma'ara zdołali przejść przez linię obrony? Dlaczego nikt ich wcześniej nie zauważył, dopiero gdy już wzięli Przełęcz Korbast i ustawili Bramę, aby ściągnąć więcej oddziałów?

Nieważne, stało się, teraz trzeba się z tym uporać! Najgorszy nocny koszmar stał się jawą: Wieża była nadal pełna rzeczy, których jeszcze nie wysłał, nie zabezpieczona pułapkami, a wróg wlewał się na równiny, na tyły jego własnych oddziałów. Szósty i Trzeci zostały odcięte od

reszty i nie mogły się wycofać, musiały same się martwić o siebie. Judeth przeprowadziła Piąty, ale nikt nie wiedział, co działo się z resztą. *Przecież są z nimi magowie, mogą dostać się tutaj przez Bramy, a nawet mogą przejść wprost do miejsc ewakuacji. Wszystko będzie dobrze. Muszę w to wierzyć!*

Wysłał ostatnich posłańców ze zleceniami. Mieli się udać do uzdrowicieli z rozkazem, aby ci wraz z pozostałym pomocniczym personelem skierowali się do swoich Bram. Zmusił się, aby przestać chodzić. Uchwycił się krawędzi stołu i patrzył na mapę, jak gdyby samo patrzenie na nią miało zmienić sytuację.

- Panie! - hertasi zastukał do drzwi, tracąc oddech. - Jest tu mag Conn Levas z Szóstego!

Odwrócił się do drzwi w chwili, gdy Conn Levas wchodził, odpychając jaszczurkę. Wyglądał, jak gdyby osobiście przebijał się przez wszystkie oddziały Ma'ara, by dotrzeć do Wieży. Miał podarte, brudne i zakrwawione ubranie, a jego włosy ociekały potem.

- Idź - rzekł Urtho do zadyszanego hertasi. - Znajdź mi Skana i przyprowadź go tutaj. Potrzebuję go w tej chwili.

Hertasi wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Urtho zrobił trzy kroki w stronę najemnego maga.

- Co się stało? - krzyknął, spodziewając się, że usłyszy tylko złe wieści.

Zbyt późno dostrzegł ruch ręki Levasa, pustą torbę w jego dłoni i poczuł ukłucie setek tysięcy małych igiełek na twarzy, dłoniach i na każdym kawałku ciała nie osłoniętego ubraniami. Zaczął je z furją strząsać, podczas gdy mag śmiał się.

- To nic nie da - rzekł bardzo cicho. Urtho usiłował wezwać pomoc i stwierdził, że nie może wydobyć głosu.

- Ciernie Mirandy, Urtho. Bardzo silne. Nie można ich się pozbyć za pomocą magii. Mały wynalazek mojego nowego pracodawcy, pewnie widziałeś raz czy dwa jego skutki. Magowie nigdy nie spodziewają się, że ktoś może ich zaatakować fizycznie.

Pod Urtho załamały się kolana, zrobił dwa niepewne kroki do tyłu i opadł na krzesło, zanim nogi zupełnie go zawiodły. Na całym ciele czuł mrowienie, paliło go i podrygiwał w sposób niekontrolowany. Poruszał ustami, ale żaden dźwięk się nie wydobywał. Przed oczami pojawiły mu się dziwne wiry światła i koloru, meble wyciągały się i marszczyły. Głowa Conna płynęła dwadzieścia centymetrów nad ciałem, gdy mag

zaczął się zbliżać i w końcu spojrzął na niego wrogo.

- To trucizna oczywiście - powiedziała głowa, a każde słowo pojawiało się w jej ustach niczym płynący rękopis zamknięty w środku jasnokolorowej bańki. - Skutki powinny ci się podobać. Oczywiście wiem, że cała obrona Wieży jest zestrojona z tobą, tak jak i węzeł, który jest pod nią. Wiem, że gdybym cię zabił od razu, zginałbym, zanim zdążyłbym uciec. Przypuszczam, że Shaiknam także o tym wiedział i liczył na to, że nie będzie musiał wypełnić swojej części układu. Ale ty pożyczysz wystarczająco długo, żebym zdążył zwać, a on będzie musiał dotrzymać swego słowa, co?

Uczucie narastającego bólu prawie rozrywało pierś Urtho, ale był w stanie wydobyć z siebie tylko żalosne skomlenie. Conn Levas przez jakiś czas pływał po pokoju, potem nagle przybrał nową postać: był wielki i pokryty futrem w kolorze jaskrawego różu. Urtho wzdrygnął się, gdy futro zmieniło się w kolce jeża. Potem Conn potrząsnął swym ciałem i igły wystrzeliły do przodu, przesywając członki Urtho niesamowitym bólem. Meble zaczęły się wić, a ściany otworzyły się na pulsujące gwiazdami przestrzenie. - Rozumiem, że nie możesz odpowiedzieć - rzekł najemnik obłudnie. - To nie ma znaczenia.

Głowa odwróciła się, by odejść, a ciało Levasa zaczęło maszerować tyłem do drzwi. Po każdym kroku na podłodze pojawiały się krwawiące rany i Urtho czuł, jakby te rany znajdowały się na jego ciele. Znowu zaskomlał i Conn Levas odwrócił się.

- O, jeszcze jedna sprawa - powiedział niedbale. - Jeśli martwisz się o jednego małego wyrodka, czarująco nazwanego Kecharą, to dałem jej smaczny kawałek królika i poszła ze mną na nowe linie Imperatora. Postanowiłem się upewnić, że Shaiknam dotrzyma słowa, sprawiłem, żeby Imperator zapamiętał moje imię i wiedział, co mi zawdzięcza. Ona jest moim darem dla Ma'ara, otwierającym mi drogę do tytułu i stanowiska. Spodziewam się, że zostanę przynajmniej księciem.

Kechara! O, bogowie! Udreka Urtho znalazła upust w skomleniu, a strugi krwi zaczęły płynąć z jego otwartych dłoni. Conn Levas zaśmiał się i odwrócił, by otworzyć drzwi, które zmarszczyły się i zdeformowały, gdy ich dotknął, stając się krwawiącą otwartą raną. Ściany pulsowały od śmiechu Levasa.

Drzwi jednak otwarły się, zanim zdążył zrobić to Conn, i pojawił się w nich...

Skan pędził za zadyszczanym hertasi, skrzypiąc pazurami po kamiennej posadzce.

- Aubri zaginał, Szósty zamilkł, dlaczego zostawiłeś tego kłamliwego drania samego z Urtho? - krzyczał Vikteren na małą jaszczurkę, gdy razem biegli do Pokoju Strategii.

- Kazał mi iść po was! - bronił się hertasi, który nie wiedział, czy wykonać to, co kazał mu Urtho, czy to, co mówił Vikteren. - Nie mogłem jednocześnie być tutaj i iść po was!

- Zostaw to, Vikteren - wysapał Skan. - Stało się. Miejmy tylko nadzieję, że...

Młody mag podbiegł do drzwi, otworzył je i ujrzał zdziwioną twarz Conna Levasa. Najemny mag jednak szybko otrząsnął się i cofnął o krok przed Skanem i Vikterem.

Skan natychmiast dostrzegł Urtho pogrążonego w ogromnym bólu, wciśniętego w fotel w narożniku pokoju. Conn podążył za jego wzrokiem, zbladł i zaczął coś paplać.

- Urtho... - powiedział. - Mówił, że nie czuje się dobrze. Napięcie...

Jednak słuch Skana był lepszy niż ludzki i zrozumiał słowo, które Urtho wypowiedział toczącymi ślinę ustami.

- ...truczna...

Skan nagle ujrzał świat na czerwono. Krew uderzyła mu do głowy. W porę dostrzegł ruch ręki Conna i nie zawahał się ani chwili: szponem ciał przez gardło maga, rozrywając je; rzucił ciałem przez pokój, a kręgosłup trzasnął, gdy Levas zderzył się ze stołem, na którym leżała mapa. Krew zalała lepkim szkarłatem miniaturową Wieżę i ziemię wokół niej.

Vikteren podbiegł do Urtho, a Skan został w drzwiach, strosząc wszystkie pióra.

- Truczna - rzekł krótko młody mag, jego twarz poczerwieniała a głos uwiązł mu w gardle. - Ciernie Mirandy, bardzo rzadkie, nie ma antidotum. Drań miał ich dość, żeby załatwić nas obu. To po nie sięgał do kieszeni.

Hertasi sapnął i wybiegł po pomoc.

Skan usłyszał i zrozumiał tylko jedną rzecz.

- Nie ma antidotum? - zaryczał, aż Urtho zaskomlał, a Vikteren zadrżał. - Jak to nie ma antidotum?

- Skan, nie mogę zmienić faktów - odkrzyknął Vikteren. - Nie ma antidotum! Stworzył to Ma'ar jako narzędzie mordy, od początku wojny

użył ich trzy razy. Możemy tylko zyskać trochę na czasie i złagodzić niektóre ze skutków!

- Zróbmy to - wycharczał Skan i wyciągnął swoje ociekające krwią szpony nad ciałem swego stwórcy i przyjaciela, przywołując każdą najmniejszą cząstkę swej magii, jaką miał. Otworzył się na Urtho, znalazł w jego umyśle miejsca, które poraziła Miranda, sprowadzając na niego halucynacje i ból, i połączył się z Vikterenem, aby złagodzić cierpienia maga.

Walczył z żalem i wściekłością, dając całą swą energię. A jednak to nie wystarczało: przekonał się, że Vikteren ma rację. Trucizna rozmnażała się w ciele Urtho, drażąc je niczym jakaś straszna, myśląca choroba i z każdą minutą niszczyła nieodwołalnie siły życiowe.

W końcu magiczna energia Skana wyczerpała się, opuścił wyciągnięte szpony i otworzył oczy. choć nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że je zamknął.

Vikteren podtrzymywał Urtho na krześle; stary mag miał normalny wyraz twarzy.

- Ewakuacja... - wyszeptał Urtho chrapliwie. - Dajcie mi... uzdrowicieli. Muszę wstrzymać...

Vikteren spojrzał na zaskoczoną twarz Skana.

- Myślę, że uległ zaklęciu zniszczenia... jeśli opuści Wieżę, rozpadnie się ona w kawałki. A jeśli myślisz, że to, co stało się z Bramą w Przełęczy Jerlag, było imponujące...

Młody mag nie dokończył. *Jeśli opuści Wieżę, to znaczy, jeśli umrze. A tutaj musi być co najmniej dwa tuziny stałych Bram, nie wspominając o samej Wieży i wszystkim, co się w niej znajduje.* Skan zachwiał się, uświadamiając sobie siłę destrukcji: każdy, kto tu się znajduje, zostanie starty na pył...

W korytarzu rozległ się tupot nóg. Odwrócił się szybko, gotowy do ataku, jednak tym razem ujrzał przyjaciół. Hertasi wrócił z Tamsinem i trzema innymi starszymi uzdrowicielami, którzy pchali się przez drzwi. *Nie ma Cinnabar: Pewnie wystąpił ją przez Bramę, na wypadek gdyby...*

- Wszystko wiemy - rzekł Tamsin krótko i zajął miejsce Vikterena przy boku Urtho. - Spróbujemy zyskać jeszcze trochę czasu.

Skan nie usunął się z drogi. Uzdrowiciele nawet na niego nie spojrzeli, minęli go jak niewygodnie ustawiony mebel.

Gryf zaczął coś mówić, ale Vikteren dał mu znak, aby był cicho. Po

twarży młodego maga ciekły łzy, a jego ramiona drżały, tle nie wydawał żadnego głosu, powstrzymując łkanie, by nie rozpraszać uzdrowicieli w ich pracy.

Skan drżał od dzioba po szpony z wysiłku, aby powstrzymać krzyk rozpaczny. Zamknął oczy, zacisnął dziób i darł szponami drewnianą podłogę, czując, jak się pod nimi rozszczepia. Pragnął zabić Conna Levasa jeszcze ze sto razy.

Ktoś klepnął go w ramię. Przestraszył się, podskoczył, otworzył oczy i ujrzał twarz Tamsina palec od swego dzioba.

- Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy - powiedział uzdrowiciel, głosem bezbarwnym i głuchym od smutku i wyczerpania. - On chce ci coś powiedzieć.

Czterech uzdrowicieli, słaniając się, wyszło z pokoju, podtrzymując się wzajemnie i nie patrząc za siebie. Vikteren nadal stał obok krzesła Urtho. Łzy nieprzerwanie ciekły po jego policzkach i spadały na przód tuniki.

- Zbierz wszystkie gryfy, jakie znajdziesz - rzekł jeden z uzdrowicieli do hertasi, który czekał drżący za drzwiami. - On zamierza spróbować otworzyć, co tylko zdaży, przed śmiercią i potrzebuje ich, aby zabrały ze sobą tyle, ile mogą.

Hertasi popatrzył na uzdrowiciela przez chwilę, zbyt porażony żalem, by odpowiedzieć. Człowiek przemówił znowu.

- Wiedza zawsze będzie najlepszą bronią przeciwko tyranom - wykrztusił. - Tak powiedział Urtho.

Hertasi pobiegł, by przekazać rozkazy.

- Skan... jest pewna broń - głos Urtho był słabszy od szeptu, ale słowa były dość wyraźne. - Nie zamierzałem jej użyć, ale... teraz, Ma'ar nadchodzi. Pomóż mi... Pokój Broni.

Vikteren pomógł mu się podnieść i schwycił go pod jedno ramię, podczas gdy Skan podtrzymywał go z drugiej strony. Obaj wiedzieli, gdzie znajduje się Pokój Broni i że jest zamknięty tak, że może go otworzyć tylko sama obecność Urtho. Zanieśli go przez Pokój Strategii do drzwi po drugiej stronie korytarza. Urtho nie miał więcej sił niż nowo narodzone kocię. Padł na drzwi do Pokoju Broni i otwarłszy je, skierował ich obu do skrzynki na stojaku w odległym końcu pomieszczenia.

- To jest... jak skrzynka, którą dałem Zhaneel. Ale większa. Jedną mam taką na dachu Wieży. Rozwiązuje więzi... czarów. Kiedy będziesz

mógł, zanieś to do Ma'ara i uruchom. Stanie się to, co w Jerlag - Urtho nie patrzył na Skana. - Zrobiłem ją dla gryfów. Wetknij szpony... w dziury. Wszystkie naraz.

Wtedy Skan zobaczył, że to, co uważał za dekoracyjne nacięcia po bokach, było uchwytami pasującymi do szponów gryfa.

- Musisz... doliczyć do stu i uciekać - skończył Urtho. - Lepiej miej pod ręką Bramę. I zamknij ją czym prędzej.

Mag Ciszy próbował się zaśmiać, ale zamiast tego zakaszłał.

- Idź - wyszeptał gorączkowo, kiedy przestał kaszleć. - Idź. Powstrzymaj Ma'ara. A potem ratuj się.

Skan uniósł skrzynkę ze stojaka i zobaczył, że jest zaopatrzona w pasek, który zawieszało się na szyi. Niezgrabnie przeciągnął go przez głowę i zwrócił się znowu do Maga.

Oczy Urtho zakrywała mgła bólu. a jego usta ułożyły się w słowo: "Idź!"

Zacisnąwszy dziób, żeby nie zawyc w lamencie. Skan wycofał się z pokoju. Zanim jednak wyszedł, zobaczył, jak Vikteren pomaga Urtho otworzyć kolejne drzwi.

Potem przybył pierwszy z gryfów, aby zabrać tyle, ile mógł.

"Wiedza zawsze będzie najlepszą bronią przeciwko tyranom". Niezdolny, by dłużej się powstrzymywać, Skan przebiegł korytarzem i wzbił się w kierunku zachodzącego słońca, a jego lament odbijał się echem o ściany Wieży.

Zimowa Łania wrzucała w Bramę książki i paczki ilekroć akurat nikt jej nie przekraczał. Przed nią uformował się cały ich stos, bo gryfy przynosiły je do niej. Bolały ją ramiona i plecy. Gdy Urtho odejdzie, będzie jeszcze trochę czasu, nim otoczenie stanie się niebezpiecznie niestabilne. Wszyscy powinni zdążyć się stąd wynieść.

Wszyscy z wyjątkiem Urtho...

Jej oczy były zalane łzami, ale będzie mogła go oplakiwać później, kiedy oni wszyscy będą bezpieczni, przynajmniej na jakiś czas.

Gdzieś po drugiej stronie lej Bramy był drugi trondi'irn, który przesyłał paczki przez kolejną Bramę do k'Leshya. Im dalej dotrze ta niebezpieczna wiedza, tym lepiej dla nich wszystkich. Nie myślała teraz, w jaki sposób dalej będą prowadzić wojnę, ani nawet o tym, czy będą w stanie się ponownie połączyć. Najważniejszą rzeczą było po prostu uciekać, przeżyć, a o resztę będzie martwić się później.

Kolejne gryfy, zbyt zmęczone, aby się do czegoś przydać, przykuśtykały do Bramy i weszły w nią, a ona na ten czas przerywała pracę. Przy przejściu pojawiali się też ludzie, hertasi, tervardi i kyree, dyheli, obciążeni wszystkim, co zdołali unieść. Było ich teraz mniej niż onegdaj. Również wojownicy, którzy docierali tu z pola, chwyтали, co im się nawinęło, i kierowali się do swych Bram ewakuacyjnych. Do tej pory wszyscy, którzy mogli, dokonali odwrotu.

Zostało tylko kilku najwierniejszych, jak ona i Bursztynowy Żuraw, którzy zostaną do samego końca, aby pomagać w ocaleniu przed zniszczeniem tego, co zdołają wynieść.

Nadal nie wiedziała, dlaczego właściwie Urtho umierał, chociaż wierzyła w tę wiadomość. To nie mógł być zwykły zawał, bo przed tym uzdrowiciele mogliby go ocalić. Czyżby Ma'ar magicznym atakiem przeniknął przez ich linie obrony?

Kolejna para wyczerpanych gryfów i grupa umazanych błotem kyree podeszła do Bramy. Zimowa Łania przerwała pracę na kilka chwil, by mogli przejść. Zanim jednak zdążyła podnieść kolejną paczkę ze stosu, pojawił się człowiek. Jednak zamiast do Bramy, skierował się ku niej i chwilę trwało, nim rozpoznała Bursztynowego Żurawia. Jego twarz była jak maska grozy i blada jak śmierć. Podskoczyła ku niemu, kiedy się zachwiał i zaczął upadać. Złapała go i pomogła mu stanąć prosto.

- Co?... - zaczęła.

- Właśnie widziałem się ze Skanem - odparł głucho. - Pożegnałem się z nim.

Sposób, w jaki to powiedział, zmroził ją. Pożegnał się? Czyżby na zawsze?

- Musimy zabrać stąd Zhaneel. Od razu do k'Leshya - ciągnął bezbarwnym głosem. - Nie możemy pozwolić, aby dowiedziała się, że Skan odleciał, bo inaczej będzie chciała lecieć za nim. Urtho dał mu broń i kazał mu jej użyć, by powstrzymać Ma'ara. Skan twierdzi, że Urtho kazał mu iść od razu.

Zimowa Łania uświadomiła sobie, że szarpie włosy, dopiero gdy poczuła ból. Wyplątała z nich dłoń.

- Nie mogłeś go powstrzymać?! - krzyknęła mimo woli.

- Próbowałem, ale mnie nie słuchał. - Bursztynowy Żuraw patrzył na nią pustymi, martwymi oczami. - Powiedział mi, że Shaiknam, Garber i Conn Levas przeszli na stronę wroga.

Strach ścisnął ją za gardło, zapierając dech.

- Ale...

- Powiedział, że złapał Conna Levasa zaraz po tym, jak tamten otruł Urtho cierniami Mirandy. Rozszarpał mu gardło, ale było za późno. Nie mogli już nic zrobić dla Urtho, jedynie zyskać trochę czasu.

Czuła jego ból, jak gdyby był jej własnym. Jeśli ona pragnęła płakać, Bursztynowy Żuraw chciał umrzeć z bólu; a ból po stracie Skana był dziesięciokrotnie większy.

- Ja... Czekaaj, to ona.

Zhaneel pojawiła się z jednym pakunkiem książek w dziobie, a drugi przyciskała do piersi. Biegła na trzech nogach i biła skrzydłami dla utrzymania równowagi. Zimowa Łania przytrzymała ją za brzeg skrzydła, aby ta mogła pozbyć się swego ciężaru.

- Zhaneel! - krzyknęła. - Potrzebuję kogoś po stronie k'Leshya. aby się upewnić, czy to wszystko jest przenoszone jak najdalej od Bramy. Nie wiemy, jak dalece te rzeczy są niestabilne.

Zhaneel pokiwała głową i ruszyła przez Bramę, nie czekając na dalsze wyjaśnienia.

- Idź za nią - rozkazała Zimowa Łania. - Ja do was dołączę, gdy tylko przerzucę ostatnią z tych rzeczy.

Przynajmniej miała co robić. Coś, co powstrzymywało ją przed myśleniem...

- Dobrze się czujesz? - spytał nagle Bursztynowy Żuraw i odrobina życia pojawiła się w jego oczach. Wiedziała, co miał namyśli.

Conn nie żyje. Conn jest zdrajcą i nie żyje. Powstrzymała się i zebrała w sobie, badając swe serce.

- To lepiej, że Skan zajął się tym problemem - rzekła stanowczo, patrząc Bursztynowemu Żurawowi głęboko w oczy, aby wiedział, że mówi szczerze. - Gdyby on tego nie zrobił... zrobiłabym to sama, choć z mniejszą elegancją.

Przez ból i żal w jego oczach przebiła się ulga. W tym momencie to wystarczyło. Pchnęła go łagodnie w kierunku Bramy.

- Zobaczmy się po drugiej stronie - rzekła. - Zajmij się nią.

Bursztynowy Żuraw po raz ostatni objął Wieżę długim, tęsknym spojrzeniem. Potem odwrócił się i ślepo przekroczył próg.

Podniosła kolejną paczkę, gdy tylko zniknął i wrzuciła przez Bramę.

Skan wiedział dokładnie, kogo szuka - adepta Kaled'a'in Śnieżnej

Gwiazdy, osoby, którą sam Urtho wyznaczył na szefa magów. Znał Śnieżną Gwiazdę, wiedział, że ten człowiek był naprawdę drugi po Urtho, jeśli chodzi o wiedzę i zdolności. Wiedział także jeszcze o jednym istotnym fakcie.

Śnieżna Gwiazda pracował z Urtho jeszcze na długo przed upadkiem króla i był jednym z magów, których Urtho miał przy sobie, kiedy Cinnabar wezwała ich do pałacu tamtego strasznego poranka.

Znał pałac równie dobrze jak Skan, co oznaczało, że w przeciwieństwie do wielu innych magów mógł zbudować tam Bramę.

A Ma'ar był w pałacu. Po trzech nieudanych próbach Skan zlokalizował Śnieżną Gwiazdę w stajniach Wieży, wycofującego się z ostatniego pustego boku. Gdyby nie był Kaled'a'in, Śnieżna Gwiazda zadziwiałaby obecnością w tym miejscu, jednak konie tutaj były cennymi wojennymi rumakami. Skan uśmiechnął się dziko do siebie. Śnieżna Gwiazda nie spodziewał się zasadzki i bez wątpienia zamierzał skierować się do Bramy Kaled'a'in wraz ze swymi końskimi ulubieńcami.

Trochę się spóźni.

Kiedy mag się odwrócił, w przejściu między bokami stał Skan, rozpościerając skrzydła, by zablokować drogę. Śnieżna Gwiazda spojrzał na niego martwo.

- Skandranon? Co...?

- Potrzebuję przysługi - rzekł Skan cicho, ale stanowczo. - A ty nie masz wyboru. Potrzebuję Bramy w dawnym pałacu. I to zaraz.

Oczy Śnieżnej Gwiazdy rozszerzyły się, pokręcił głową ze zdziwieniem.

- Oszalałeś? - krzyknął, próbując usunąć Skana z drogi. - Nie ma czasu na takie nonsensy! Musimy się stąd zabierać!

- Jest czas i zrobisz to - wysyczał Skan. - Mam prezent od Urtho, który muszę dostarczyć Ma'arowi.

Śnieżna Gwiazda zbladł i spuścił wzrok na skrzyneczkę wiszącą na szyi Skana, jakby dopiero co ją zauważył. Nie pierwszy raz Skan stawał wszystko na jedną kartę: Czarny Gryf był uważany za powiernika Urtho. Śnieżna Gwiazda powinien się domyślić, że prośba Urtho była rozkazem i miała być wykonana od razu, bo wiedział bardzo dobrze, w jakim stanie był Urtho. Nie tracił więc cennego czasu, aby znaleźć kogoś, by potwierdził słowa Skana. Mógł nawet przypuszczać, że Urtho nakazał Skanowi znaleźć go, wiedząc, że adept będzie jednym z niewielu mogących zbudować tak bardzo oddaloną Bramę.

Ulubieńcy Śnieżnej Gwiazdy rozproszyli się, gdy wszystkie te myśli - i prawdopodobnie jeszcze kilka - przebiegały przez umysł maga.

- Dobrze - powiedział, nadal blady, ale wyraźnie zdeterminowany. - Nie mogę przesłać cię do samego pałacu, niestety. Nie mam pojęcia, kogo lub co Ma'ar tam ulokował. Mógłbym przesłać cię do kwater służby i okazałoby się, że są pełne żołnierzy czy pułapek. Jest jednak jedno miejsce, które znam bardzo dobrze, gdzie nie natrafisz na duży opór. A jeśli trafisz na jakiś, to sądzę, że dasz sobie z nim radę.

- Stajnie - wydyszał Skan, pełen podziwu dla rozumu Śnieżnej Gwiazdy.

- Właśnie.

Śnieżna Gwiazda odsunął Skana, by zrobić sobie miejsce do pracy.

- Umiejszcuję Bramę wyjściową w ostatnim boksie na końcu stajni. Jest to wielki boks oddzielony od reszty przegrodami aż po sufit i bez okien wychodzących na zewnątrz. Nigdy nie trzymaliśmy tam żadnego konia, dopóki nie znalazł się jeden tak chory, że potrzebował ciemności i ciszy. Przypuszczam, że żaden stajenny niczego tam nie zmienił.

Brzmiało to dobrze i Skan potaknął.

- Ustaw tam Bramę i zniszcz ją, kiedy będę już po drugiej stronie - powiedział zdecydowanie. - A potem zabieraj się stąd.

- A co? ... - zaczął Śnieżna Gwiazda, lecz zaraz natknął się na wzrok Skana i niemal oślepiła go żądza zemsty bijąca z oczu gryfa. Śnieżna Gwiazda pobladł jeszcze bardziej, potem odwrócił się, uniósł ręce i zaczął zaklęcie.

Adept przez dziesięciolecia ulepszał swoje rzemiosło. Brama powstała bez najmniejszego szmeru w energiach maga. Skan nawet mu nie podziękował. Przytrzymując cenny ciężar jedną łapą, skoczył na drugą stronę.

Kiepsko zaplanowane, głupi gryfie, ale nie ma czasu. Urtho nie może umrzeć, nie dowiedziawszy się, że Ma'ar umarł albo zniknął. Nie potrafisz znieść bezradności i choć nie potrafisz ocalić Urtho, możesz przynajmniej coś zrobić.

Wylądował i poślizgnął się na słomie w ciemnym i pustym boksie. Jak przypuszczał Śnieżna Gwiazda, nie był on używany od dawna, a słoma pokrywająca kamienną posadzkę pachniała stęchlizną i była pełna kurzu. Stłumił kichnięcie i ruszył ostrożnie ku wyjściu. Bacznie nasłuchiwał, nateżając wszystkie zmysły w ciemności.

Dziwne. Wiele głosów i dźwięk jakiegoś zmagania. Co takiego oni tu-

taj trzymają? Czyżby jakiegoś zdziczałego ogiera?

- Czy jesteś pewien, że to powstrzyma tę bestię? - głos był pełen wątpliwości i lęku. - Mówię ci, rozkaz nie rozkaz, ale jeśli to się uwolni, nie myśl, że będę tu stał i próbował to zatrzymać.

Trzask dłoni o ciało i okrzyk bólu.

- Rób, co ci kazano i nie gadaj, tchórze! - zadudnił drugi głos. - Jeśli każe ci tu stać, masz stać, choćby to coś miało urwać ci rękę.

Zatem nie ogier. Byk? Jakiś nowy potwór wymyślony przez Ma'ara?

Stłumione ponure przekleństwo. Odgłos splunięcia. Oddalające się ciężkie kroki. Dalsze zmagania; brzęk łańcuchów. Stłumione uderzenie, mruczenie, strumień złorzeczeń skierowanych przeciw drugiemu głosowi, jego rodzinie i wszystkim jego przyszłym potomkom.

Cienkie, wysokie zawrodoenie młodego gryfa.

- Ojczeee!

Głos, który znał. Kechara! Pchnął drzwi boks. Otworzyły się szeroko, a on wściekły wypadł na zewnątrz. Jego oczy spotkały się ze wzrokiem brudnego stajennego, który w jednej ręce trzymał widły, a drugą przytrzymał zakrwawioną szmatę przy ustach. Chłopak nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Spojrzał na Skana, zrobił się biały jak mleko i zemdłał.

Skan przeszedł ponad nim i zajrzał do boks, którego tamten strzegł.

Były tam dwa przykryte płótnem toboły - jeden się rzucał, a drugi skamlał głosem Kechary.

Jak ona... nieważne. Conn Levas albo Shaiknam, albo obaj. Szybko wcisnął się do boks, ale nie uwolnił mniejszego tobołka, jeszcze nie. Większy także pachniał krwią i gryfem, i był to zapach, który wydawało mu się, że rozpoznaje.

- Spokojnie - wyszeptał. - To ja, Skan.

Tobołek natychmiast zastygł bez ruchu. Chwilę zajęło mu przebadanie sytuacji.

Więźnia owinięto łańcuchami, na szczęście nie umocowanymi do ściany lub podłogi. Gdyby mógł przygiąć trochę gryfa, który znajdował się w środku, byłby w stanie zdjąć cały łańcuch bez otwierania kłódki.

- Czy możesz pochylić się w tę stronę - wyszeptał chrapliwie, przyginając coś, co jak sądził, było tyłem głowy gryfa. Ciało ugięło się pod jego naciskiem i udało mu się zdjąć łańcuch. Kiedy uwolnił jedną pętlę, z łatwością zdjął dwie następne, a za nimi cały łańcuch, przy współpracy spętanego gryfa.

Teraz mógł zdjąć płótno i sprawdzić, czy zawartość stanowił ten, o którym myślał. Rozdarł płótno cięciem szpona i ujrzał głowę przykrytą ogromnym sokolim kapturem z mocno związanym dziobem.

Zdjął wszystkie więzy i dziób się otworzył.

- Cholera, Skan - zaskrzeczał Aubri, szeptem nie głośniejszym niż przedtem jego własny. - Nie mogłeś wybrać bardziej odpowiedniej chwili.

Trochę to trwało, zanim udało im się przekonać Kecharę, że musi być cicho. Przynajmniej raz działania ludzi Ma'ara okazały się przydatne: obcięli lotki Kechary i Aubriego i mała gryfica nie potykała się już o własne skrzydła.

Kechara nie pamiętała, jak się tu znalazła, ale jej ostatnim wspomnieniem był Conn Levas, który dawał jej coś smakowicie pachnącego. Skan zapewnił ją, że Levas "odszedł" i Skan dopilnuje, żeby już nigdy nie wrócił.

W każdym razie nie w tym życiu.

Aubri zaś dokładnie pamiętał, co się z nim działo, i swoje wyjaśnienie zawarł w kilku krótkich zdaniach. Chciał tylko wiedzieć jedno.

- Urtho? - spytał, spoglądając w bok, czy Kechara nie słucha.

Skan zamknął oczy, pozwalając, aby jego głęboki smutek przez moment się uzewnętrznił i potrząsał głową.

Dziób Aubriego zamknął się z kłapnięciem i kiedy Skan znowu otworzył oczy, oczy szerokoskrzydłego były czerwone z wściekłości jak u każdego jastrzębia.

- Zabiłem Conna Levasa - powiedział Skan, pokonując swą żądzę zemsty i ból, które ścisnęły mu gardło. - A to załatwi Ma'ara. Jeśli tylko uda nam się dostać do niego. - Pochylił głowę na jedną stronę. - Powiedziano mi, że należy policzyć do stu i zabierać się, gdyż ta rzecz wywoła coś podobnego jak w Jerlag. - Pokręcił głową. - Jeżeli tylko przychodzi ci na myśl, jak mógłbyś się stąd wydostać, zabierz Kecharę i uciekajcie...

Żrenice Aubriego rozszerzyły się i zaśmiał się chrapliwie.

- Z obciętymi lotkami? Nie sądzę. Poza tym zawsze zależało mi tylko na tym, żebym mógł walczyć. Przykro mi z powodu tej małej, ale załatwimy to czysto, prawda?

Skinał głową.

- Tak czysto jak ogień. A ja nadal jestem w stanie posłać was ku Światłu, jeśli sprawa będzie beznadziejna.

Tak jak to robiłeś już tyle razy - Urtho, dlaczego musimy dźwigać to jarzmo? Dlaczego?

- No cóż - chrząknął Aubri. - Potrzebujesz mnie. Założę się, że nawet ta mała nam się przyda. A skoro mamy wykończyć Ma'ara... - Dziki śmiech Aubriego i drapanie jego pazurów o kamień posadzki powie-działy mu resztę. - I... do diabła, Skan; ty zawsze byłeś najfartowniej-szym skurczygryfem, jakiego znam. Z twoim szczęściem, znajdziesz sposób, by nas stąd wyciągnąć. Stawiam na ciebie, bracie.

Skan wypuścił powietrze, które wstrzymywał od pewnej chwili.

- No cóż - powiedział lekko. - To była ta gorsza część. A teraz ta łatwiejsza.

- To znaczy? - spytał Aubri. Kechara wydała cichy pisk radości i rzu-ciła się na coś w ciemnościach. Chwyliła to w dziób i spojrzała nie-winnie, podczas gdy ogon szczura zwisał z jednego kącika jej dzioba, zanim zdążyła go całego połknąć.

Skan rozejrzał się ostrożnie wokoło. Drzwi do stajni stały otworem, a przed nią rozciągał się najwyraźniej pusty dziedziniec, aż do budyn-ków pałacowej kuchni.

- To nic takiego - odparł bezceremonialnie Skan. - Musimy tylko do-stać się do pałacu i sali tronowej.

Ostatnie drzwi w Wieży zostały otwarte. Nadal znajdowały się tu książki i przyrządy, które Urtho pragnąłby ocalić, ale najważniejsze rzeczy zostały wyniesione. Przekonał Vikterena i pozostałych, aby już poszli. Teraz została tylko niewielka sprawa, z którą trzeba się uporać - przeżyć każdą możliwą kolejną sekundę, ponieważ każda sekunda oznaczała, że jego ludzie mają więcej czasu, aby dotrzeć w bezpieczne miejsce.

Po Wieży hulały przeciągi. Czasami rozlegał się odgłos spadającego przedmiotu, dudniący echem po nagle opustoszałych korytarzach. Ni-gdy w życiu Urtho nie czuł się taki samotny.

Nie spodziewał się, że będzie umierał sam, a już najmniej, że w taki sposób. Dobrze, że magowie i uzdrowiciele zablokowali ból, zlikwidowali halucynacje i konwulsje, zostawiając go tylko z rosnącym osła-bieniem.

Był tak zmęczony, tak bardzo zmęczony...

Nie! Musi to zwalczyć, nie tracić świadomości! Każda sekunda jest ważna!

Tyle dokonałem i tyle się nauczyłem, a nie potrafię opóźnić procesu swego umierania choć o jedną miarkę świecy!

Nigdy nie myślał o zemście, teraz jednak jej żądza wprost go spalała. *Zemsta - nie, chcę bronić swoich ludzi, swoich dzieci. A skoro Wieża ma zniknąć, chcę, aby to było coś więcej niż zwykły koniec. Chcę, aby to coś znaczyło, aby zrealizował się jakiś plan!* Zawsze miał nadzieję, że jeśli już do tego dojdzie, będzie mógł zwabić Ma'ara lub przynajmniej kogoś z jego głównych magów do Wieży, która teraz była pułapką. Przez cały czas to planował. Desperacki gest, ale Ma'ar musiałby najpierw usunąć zniszczenia, a w tym czasie dzieci Urtho i jego ludzie zdołają uciec daleko poza zasięg wroga.

Teraz, gdy umierał, Wieża też umrze w rozprzestrzeniającym się kręgu światła i dźwięku i stanie się najbardziej imponującym stosem pogrzebowym, jaki kiedykolwiek widział świat...

...czekaj chwilę.

Pod marazmem, jaki w jego umyśle wywołała trucizna, coś drgnęło. Pomysł, nadzieja. *Ma'ar przeciętnie może wiedzieć, że Connowi Levasoni się udało. A co by było, gdybym rzucił mu wyzwanie?*

Była przecież jedna stała Brama, niewielka, mogąca pomieścić tylko jednego człowieka, nie większa niż wejście do pokoju. Nie będzie trzeba wielkiego wysiłku, aby ją otworzyć. Chwila jasnego myślenia i znalazłby się w sali tronowej. Urtho używał jej, aby przenosić się ze swej sali audiencji do króla - była to niewielka fanaberia, mająca zadziwiać i straszyć cudzoziemców. Właśnie tamtędy dostał się do pałacu tej nocy, gdy Cinnabar go wezwała. Dla Skana otworzył większą Bramę gdzie indziej. Nie był pewien, jaki może być efekt, gdy ktoś będzie próbował precyzyjnie przejść przez zbyt małą Bramę, a to nie była odpowiednia chwila, by się o tym przekonywać.

Jest pewna szansa na to, że będzie siedzieli w sali tronowej, by wysłuchiwać wieści od wojska. A gdybym otworzył Bramę i rzucił mu wyzwanie, aby tu przyszedł? Ogarnęła go gorączka i dzika radość i po raz pierwszy zrozumiał, jak czują się gryfy, gdy zabijają. Otworzę Bramę, nie może mnie pokonać przez Bramę, musi tu przyjść. Zamknę ją. Nie będzie mógł jej otworzyć, kiedy go czymś zajmę, a do czasu gdy ustawi swą własną Bramę, ja umrę. A on ze mną. Gdybym miał żyć, nigdy bym się na to nie zdobył, ale jestem już prawie martwy.

Straszliwa radość dodała mu sił, aby wstać, powlec się do następnego pokoju i zasiąść na swej skromnej wersji tronu. Nie był to właści-

wie tron, ale duży, wygodny fotel, umieszczony na podeście o wysokości pół stopnia. Nigdy nie widział powodu, aby budować salę przyjęć, wszystko w tym niewielkim pokoju było wykonane ze starego, pokrytego patyną czasu drewna. Parę razy, gdy musiał wyrzucić na kimś wrażenie, zmieniał ten pokój za pomocą iluzji. O wiele tańsze i o wiele łatwiejsze do sprzątnięcia.

Sapał z wysiłku, kiedy wspinał się na podest i usadawiał na swoim tronie. Przez chwilę był oszołomiony i dezorientowany. Zamknął oczy, a kiedy je znowu otworzył, wszędzie ujrzał słabą tęczę.

Halucynacje lub ich resztki. Nie zostało mi już wiele czasu. Nawet jeśli mi się nie uda - to przynajmniej próbowałem. A pewnego dnia Skan spróbuje. Samo to już go trochę pocieszyło. Skana wspomogą najcięższe umysły Kaled'a'in. Ma'ar nie może zwyciężyć i nie zwycięży. Nie, dopóki jest choćby jeden gryf czy Kaled'a'in, który stawia mu opór.

Wpatrzył się uporczywie w ozdobny łuk wbudowany w ścianę po drugiej stronie pokoju, który wydawał się tylko obramowywać płytką, nie mającą zastosowania niszę. Spowił swój umysł i słabnące moce w magiczne energie wplecione w drewno i kamień pod nim, i zakręcił.

Wewnątrz łuku biała ściana zadrgała, a potem na bardzo krótką chwilę zmieniła się w wirującą mgłę kolorów, niczym oliwa na wodzie.

Potem kolory pociemniały, ustaliły się - i Urtho zobaczył przez setki mil salę tronową pałacu najwyższego króla Leodhana, ogromny pokój zbudowany z sześciu różnokolorowych rodzajów najrzadszego marmuru. Miejsce to wydawało się puste, nawet wtedy gdy było tam pełno dworzaków. Teraz znajdował się tam tylko jeden człowiek, ale jego obecność wystarczyła, aby je wypełnić.

Ma'ar utkwiał wzrok w Bramie, która nagle otworzyła się w jego sali tronowej, Bramie, o istnieniu której nie miał zielonego pojęcia. Ma'ar nie był z urodzenia przystojnym mężczyzną, ale przez lata wyrzeźbił swe ciało na wzór młodego boga. Jego twarz o kwadratowym podbródku, precyzyjnie wyrzeźbionych kościach policzkowych i zmysłowych ustach okalała grzywa włosów w kolorze ciemnej miedzi. Jego ciało mogło być przedmiotem zazdrości każdego wojownika z jego szeregów. Ze starego Ma'ara zostały tylko oczy, małe, przeszywające, o dziwnym, żółtozielonym kolorze.

- Kiyamvir Ma'ar - powiedział żywo Urtho. - Dawno się nie widzieliśmy.

Ma'ar odzyskał rezon o wiele szybciej, niż Urtho przypuszczał.

- Urtho - wyciągnął się na swym tronie, prawdziwym tronie, o wiele bardziej imponującym niż ten alabastrowy, którego używał król. Być może nie był z litego złota, ale z pewnością na taki wyglądał, a czerwono-czarny rubin, znajdujący się nad głową Ma'ara wyrzeźbiony w kształcie głowy kota, był dwa razy większy niż najokazalszy rubin, jaki kiedykolwiek Urtho widział. - Czyżbyś mnie wzywał, aby się poddać?

Urtho uśmiechnął się łagodnie.

- Wprost przeciwnie - odparł. - Pamiętam, że zawsze lubiłeś hazard. Mam właśnie zamiar zaproponować ci coś w tym rodzaju.

Ma'ar wybuchnął śmiechem.

- Ty? A co takiego możesz mi dać, czego sam nie mógłbym wziąć?

Urtho machnął ręką, gest ten znowu go lekko oszołomił.

- No cóż, to. Jestem pewien, że wiesz, iż większość tego, co tu miałem, wyniesiono, ale wiesz także, że znajduje się tu znacznie więcej, niż można by kiedykolwiek wynieść. Jesteś zapewne świadom również tego, że to, co zrobiłem w Jerlag, mogę zrobić i tutaj.

Twarcz Ma'ara pociemniała, a jego wargi rozciągnęły się w bezgłośnym warknięciu.

- Jednakże... - Urtho uniósł palec, aby powstrzymać odpowiedź. - Proponuję zakład. Stawką - Wieża i wszystko, co w niej jeszcze zostało. Jeśli zdołasz mnie zabić, nie będę mógł uruchomić czaru zniszczenia. - *Miejmy nadzieję, że nie domyśli się tego, czego domyślił się Conn Levas, że to nie czar powoduje zniszczenie, ale jego brak.* - Dostaniesz Wieżę i wszystko, co chcesz. Gdy jednak to mnie uda się ciebie zabić... no cóż, twoi podwładni natychmiast zaczną walczyć ze sobą i zostawią mnie i moich ludzi w spokoju. Klótnia jest nieunikniona, a ja zachowam swe włości.

Ma'ar zmarszczył brwi, ale widać było, że jest wyraźnie zaintrygowany.

- Nie doceniasz tego, co ja tu zrobiłem, Urtho. Przejąłem słabą ziemię, rozdartą wewnętrznymi waśniami i zniszczoną żądzą krótkowzrocznych idiotów, którzy nie widzieli więcej niż czubek własnego nosa. Zmieniłem ją w Imperium, które będzie żyło dłużej niż ja. A ja zamierzam żyć bardzo długo! Jak sądzisz, w imię czego narażałbym to wszystko dla twojego głupiego zakładu?

Urtho pochylił się na krzesło, nie zważając na kolejną falę oszołomienia, i wypowiedział tylko dwa słowa.

- Wiedza. Władza.

Potem z powrotem się oparł i zamknął oczy.

- Pomyśl o tym, Kiyamvirze Ma'ar. Albo ty wygrasz, albo ja. Cała wiedza i cała władza dla jednego. Mogę poczekać, ale czuję, że powinienem się wycofać. Twoja armia jest w drodze i powinienem ustawić tę Bramę... gdzie indziej, gdzieś, gdzie jest ciepło, i zostawić tu twoim wojskom jakąś nieprzyjemną niespodziankę.

Jego usta z lekka się rozwarły i zobaczył ku swemu zadowoleniu, że Ma'ar patrzy na Bramę, zagryzając niespokojnie wargi.

Zdecyduje się!

- Zawsze mówiłem, że masz najwięcej szczęścia... - wymruczał Aubri, zanim Skan dał mu znak, by zamilkł.

- To nie szczęście - odparł cicho. - Tylko pamięć. Cinnabar bawiła się z księżniczką i pokazała mi potem tajemne przejścia. Liczę na to, że Ma'ar nie odkrył wszystkich i że zdołam zdjąć pułapki w tych, które odkrył.

Nie lubił myśleć o tym, w jaki sposób Cinnabar pokazała mu te sekretne przejścia - przekazała je wprost do jego umysłu, a to nie było ani przyjemne uczucie, ani okoliczności. Zobowiązała go do przeszkolenia przejść, by znaleźć ten cholerny *dyrstaf*, ponieważ był jedynym magiem, któremu mogła to powierzyć.

Ona wzięła na niebie mniejsze przejścia, wielkości człowieka, a ja te, które były wystarczająco duże dla gryfa...

Odtrącił te wspomnienia. Najważniejsze jest teraz to, ilu strażników ma Kiyamvir Ma'ar w sali tronowej.

Błagam, błagam, błagam, o Pani Kaled'a'in. spraw, żeby był aż tak arogancki i nie miał żadnej straży! Błagam... Gryfy nie miały swego bóstwa i po raz pierwszy w ogóle poczuł potrzebę wzywania jakiegokolwiek. Gryfy miały tylko Urtho i siebie.

A kiedy to się skończy, zabierz Kecharę w ciepłe i bezpieczne miejsce i przyprowadź do niej Urtho... i zachowaj Bursztynowego Żurawia i Zha-neel w szczęściu.

W tym przejściu nie było otworów i żaden człowiek nie byłby w stanie określić, co dzieje się w sali tronowej. Każdy, kto stąd miał do niej wejść, musiał zrobić to po omacku, ufając, że w środku nikogo nie ma.

Chyba że tym kimś był gryf.

Zamknął oczy i dzięki koncentracji stał się w swym umyśle tylko parą wielkich bystrych uszu, nasłuchiwał...

Rozmawia z kimś? Cholera! Teraz albo nigdy!

- Idziemy! - wysyczał do Aubriego. Szerokoskrzydły napał ramieniem na kaseton, który ustąpił pod jego ciężarem, i wpadł do środka. Skan skoczył za Aubrim, ślizgając się z lekka na marmurze posadzki, a za nim Kechara weszła lekkim swawolnym krokiem niczym lalka.

Ma'ar odwrócił się, by spojrzeć na wyłamany kaseton i stanął tyłem do...

Urtho? O Gwiedznooka Pani, czyżby to była Brama ?

Cóż innego mogłoby to być, skoro Urtho siedział oparty w fotelu w obramowaniu łuku, z którego dobywała się lekko drgająca energia?

Skan nawet nie zatrzymał się, by pomyśleć o tym niesamowitym, niewiarygodnym zbiegu okoliczności; nie zatrzymał się, aby zastanowić się nad zdziwionym wyrazem zmęczonej twarzy Urtho.

- Aubri! - zaskrzeczał. - Zabieraj stąd Kecharę, no już...

Aubri jednak nie musiał nic robić, gdyż Kechara ujrzawszy Urtho, krzyknęła: - Ojczy! - radosnym, rozedrganym głosem i niczym strzała pomknęła ku łukowi i przecisnęła się przez Bramę, jak gdyby była nasmarowana tłuszczem.

Aubri skoczył za nią - i utknął.

Skan sięgnął do skrzynki, podczas gdy Ma'ar gapił się na nich. Jakby byli jakąś halucynacją. W końcu przemówił.

- Wszystko po to, by ocalić dwa gryfy?

Czarny Gryf trzymał skrzynkę przed sobą, włożył szpony w odpowiednie nacięcia i uruchomił ją.

- Nie. Aby uratować nas wszystkich.

Zdjął pasek z szyi i pchnął skrzynkę po podłodze ku Ma'arowi, który przytomnie jej uniknął, ale ten unik nie zdał się na nic. Pasek od skrzynki okręcił się wokół jego nogi i podciął go. Upadek odebrał magowi dech i opóźnił reakcję.

Ma'ar chwycił skrzynkę, która zaczęła błyszczeć i sypać iskrami. Na jego twarzy odmalowało się oburzenie, zdumienie i strach. A potem - szalony gniew. Wstał, trzęsąc się z wściekłości, i kopnął skrzynkę na bok. Potoczyła się z grzechotem po marmurowej posadzce do stopni tronu.

- Myślisz, że to wystarczy?! - wrzeszczał. - Że ta zabawka Urtho mnie zabije? Tylko patrz!

Imperator wyciągnął błyszczący srebrny nóż i obiema rękami zatopił go w swej piersi.

Jego twarz wykrzywiła się w jakimś maniakalnym uśmiechu. Utkwił oczy w Skandranonie. Krew tryskała na jego wspaniałe szaty, a uśmiech stawał się coraz szerszy.

- Widzisz, znam pewne rzeczy, których ty nie znasz. Wygrałem! Będę żył wiecznie! I będę was wiecznie nienawidził - wszystkich ludzi Urtho, wszystkich waszych dzieci i zawsze będę z wami walczył. Słyszysz mnie!

Skandranonie Rashkae! Obudź się! Ma'ar gra na zwłokę! Będzie cię zajmował tym małym spektaklem, aż skrzynka zadziała i zabierze cię z sobą!

Gryf potrząsnął głową, aby nie słuchać hipnotyzującego głosu. Ma'ar wyjął sztylet ze swojej piersi, krew trysnęła na podłogę. Imperator zamilkł, a jego twarz stała się popielata. Utkwił oszalały wzrok w Skandranonie. Trzymając sztylet obiema dłońmi, skierował go do swego gardła, pod podbródkiem - i jednym szybkim ruchem zanurzył go w nim po samą rękojęść.

Skandranon ruszył ku Bramie, zanim Ma'ar upadł. Za sobą usłyszał, jak rękojęść sztyletu rysuje o marmur, a potem ciało Kiyanwira pada na posadzkę z głuchym plaśnięciem. Czarny Gryf pędził do Bramy, w której nadal tkwił uwięziony Aubri, i jeśli to nie poskutkuje, obaj przepadli.

Całym swym ciężarem uderzył w tył Aubriego.

Z krzykiem bólu dobywającym się z dwóch gardeł przepchnęli się przez Bramę, zostawiając za sobą trochę piór i skóry, a Brama zamknęła się za nimi tak szybko, że prawie przycięła koniec ogona Skana.

Kechara tuliła się już w objęciach Urtho, niezdolna pojąć, dlaczego jej ojciec tak źle wygląda. Skan podniósł się z podłogi i pokuśtykał do maga, który patrzył na nich ze łzami w oczach.

- Nie sądziłem, że jeszcze cię zobaczę - wyszeptał chrapliwie. - Coś ty w ogóle narobił? Przecież miałeś...

Zanim Skan jednak zdołał odpowiedzieć, potrząsnął ostrożnie głową, jak gdyby każdy ruch sprawiał mu ból.

- Nieważne, jesteś zbawieniem wszystkich, dzielny i próżny gryfie. Wszyscy, których ocaliliśmy, już zawsze będą bezpieczni. Nigdy w swoim życiu nie byłem tak dumny ze swego stworzenia i nigdy nie

czułem się tak was niegodny.

Skan otworzył dziób, próbując powiedzieć coś wspaniałego, ale zdołał tylko wydukać:

- Ojcze, kocham cię.

Urtho uniósł drżącą dłoń, a Skan przysunął głowę, aby mag mógł ją na niej położyć.

- Synu - powiedział ciepło - synu wszystkiego, co we mnie najlepsze. Kocham cię.

Gardło Skana ścisnęło się, gdy Urtho zabrał swą dłoń i nie był w stanie już niczego powiedzieć.

Kechara popatrzyła na nich obu przestraszonymi oczami.

- Ojcze? - powiedziała bojaźliwie do Urtho.

- Ojciec teraz musi odejść, Kecharo - rzekł łagodnie Urtho. - Przez jakiś czas twoim ojcem będzie Skan, rozumiesz. To może potrwać długo, ale Skan będzie dobrym ojcem. Gdy wszyscy źli ludzie, którzy cię skrzywdzili, odejdą, będziesz mogła do mnie przyjść.

Pokiwała głową wyraźnie nieszczęśliwa, ale wspomnienie "złych ludzi" wystarczyło, by nie protestowała. Patrzyła na Urtho z najwyższym zaufaniem, wierząc, że on zdoła uporać się ze złymi ludźmi. Skubała jego palec pieśczołliwie. Wreszcie dokuśtykał do nich obu Aubri.

- Przepraszam, Urtho - wtrącił z pokorą. - Czy ta Brama nie ma drugiego wyjścia?

Urtho zamknął oczy, potem otworzył je z wyraźnym wysiłkiem.

- Mogę spróbować - powiedział.

Bursztynowy Żuraw sądził, że był przygotowany na nieuniknione. Gdy jednak wielki błysk światła na wschodzie na straszliwie długi moment zmienił noc w pełny dzień, zdał sobie sprawę, że nie był gotów. Pogodził się ze stratą Skana, Urtho i wszystkiego, co znał, ale jego serce nie mogło tego zaakceptować. Cały świat zapadł się w ciągu jednego uderzenia serca. Tak jak wtedy, gdy przekraczał Bramę, kosmos trząsał się i drżał, a wzrok mu się zaćmił, ale nie było żadnej Bramy, to wszystko działo się w nim. Potem wszystko wróciło do normy: nocne niebo znów błyszczało gwiazdami, jedynie na wschodzie rozchodziły się wielokolorowej kręgi światła, a zimny wiatr przyniósł zapach spalonej trawy.

Normalne - tylko, że wszystko się skończyło.

- Nie! - wykrzyknął. Jeszcze jeden głos daremnego protestu. - Nieee!

Upadł na kolana. Z jego piersi dobył się straszliwy jęk. A po policzkach toczyły się łzy bólu. *Urtho... Skan...*

Jakieś ręce złapały go, aby podnieść. Zimowa Łania. Jeszcze jedna para rąk ujęła go pod ramiona i potrząsnęła nim.

- Do licha, człowieku, nie wolno ci się jeszcze poddawać! - krzyczał Vikteren, a po jego brudnej twarzy ciekły łzy, żłobiąc czyste rowki. - Nie jesteśmy bezpieczni! Nie czułeś, co się stało tam dalej? Kiedy Wieża wyleciała w powietrze, stało się coś jeszcze, czego nie przewidział Urtho! Bogowie tylko wiedzą, co teraz. Musimy zbudować tarczę...

- Ale... - protestował. - Ale...

- Nie załamuj się. Ludzie na ciebie patrzą! Zrobisz to później, gdy już zorganizuję tarczę, dobra?

Vikteren podkreślał każde słowo, potrząsając Bursztynowego Żurawia za ramiona, i ten w końcu słabo pokiwał głową. Vikteren puścił go, a kestra'chern spróbował powściągnąć emocje, nakładając na twarz opanowaną maskę, chociaż ból prawie go pożerał. Vikteren odwrócił się od niego i dziko zamachał rękami nad głową.

- Słuchajcie! - krzyczał ponad lamentem i płaczem. - Wszyscy! Zasadzka nie zadziałała tak, jak myśleliśmy. Nie wiemy, jak wiele sił Ma'ara zostało. I nie wiemy, w jakiej odległości jesteśmy bezpieczni. Nie wiemy, kto ani ilu przeżyło. Wiemy tylko, że to, co się stało, jest gorsze, niż myśleliśmy. Zostało nam kilka godzin, aby się do tego przygotować! Przypuszczam, że nastąpi coś w rodzaju magicznej burzy, nie wiem jak silnej. Posłuchajcie, potrzebuję wszystkich magów, aby tu stanęli, bez względu na to, jak są wyczerpani, a reszta niech zbiera rzeczy i wiąże je jak przed prawdziwą burzą. Najgorszą, jaką widzieliście.

Desperacja w jego głosie przekonała ich. Hertasi zanieśli złe wieści do reszty obozu, do tych, którzy byli za daleko, aby go słyszeć. Magowie przepychali się przez tłum, aby dotrzeć do Vikterena; inni przestali panikować i zaczęli rozsądnie działać, co jakiś czas zerkając na wolno rozchodzące się kręgi światła z respektem i odrobiną lęku.

Zimowa Łania poszła szukać gryfów. Jej obowiązkiem było być z nimi. Bursztynowy Żuraw pozwolił jej odejść. Potem dowlókl się w ciemności do niewielkiej barki, w której znajdował się jego dobytek.

Kiedy tam dotarł, nagle wszystko go opuściło. Został w nim tylko tępy ból i żal. Nie mógł się zmusić, by myśleć o tym, co miało nadejść.

Usiadł na brzegu barki, a jego dłoń opadła na pióro, które nadal miał

przywiązane do pasa. Pióro Zhaneel.

Jak ma jej to powiedzieć? Przecież ona jeszcze nie wie...

Nic nie zostało, nic już nam nie zostało.

Nawet nie usłyszał, jak do niego podeszły. Był tak pogrążony w rozpacz, że nawet nie mógł wycisnąć z oczu łez. Jeszcze przed chwilą był sam, a teraz po jednej stronie siedziała Zhaneel, a po drugiej Zimowa Łania.

- Domyśliłam się, kiedy się nie pojawił - rzekła Zhaneel głosem cichszym od szeptu, i choć myślał, że jego rozpacz nie może już być większa, teraz była tak ogromna jak olbrzymia paszcza.

Łzy odbierały mu oddech i wzrok, niczego nie zostawiając.

Niczego? - rzekł głos w jego umyśle, podczas gdy jakaś ręka spoczęła na jego dłoni.

- Niczego? - rzekła Zhaneel na głos. - Czy my jesteśmy niczym?

I Bursztynowy Żuraw poczuł, jak one obie łączą się, sięgają do jego serca, aby je uzdrowić, wyciągają go z ciemności. Gryfsokół dotknęła jednym szponem pióra, które nadal trzymał.

- Nie chciałbyś teraz tego wykupić, mój przyjacielu, mój bracie? - rzekła łagodnie. - Tak bardzo potrzebujemy się nawzajem...

- A reszta potrzebuje was - dodała Zimowa Łania. - Słyszałam, że miałeś zwyczaj pytać "kto uzdrowi uzdrowiciela?", a my mamy dla ciebie przynajmniej tę jedną odpowiedź.

- Ci, których on uzdrowił - rzekła Zhaneel. - Oddając to, co on nam dał.

Objęli się nawzajem i tak spleceni drżeli od płaczu, który w końcu przyniósł mu ulgę.

Spłynął pierwszy potok łez, gdy usłyszał, jak ktoś wykrzykuje jego imię.

- Bursztynowy Żurawiu! - zabrzmiał głos Vikterena. - Bursztynowy Żurawiu! Brama znowu się otwiera!

Co takiego? Wstał z trudem i pobiegł do miejsca, gdzie było wyjście ze starej Bramy, łuk z nie obrobionego kamienia. Rzeczywiście, pojawiło się w nim migotanie energii, która skrzyła i trzaskała. Kiedy na to patrzył, robiło mu się niedobrze.

- Co to jest? - spytał, gdy Vikteren podbiegł do niego przez polanę.

- Nie wiem... to chyba nie Ma'ar. - Energia wewnątrz Bramy zaczęła znowu napływać. - Ktokolwiek lub cokolwiek to jest, będzie dotknięty magicznym podmuchem. - Zwrócił pełne nadziei oczy na Bursztyno-

wego Żurawia. - Nie sądzisz, że to może być Skan?

Uzdrowiciel Kestra'chern pokręcił tylko głową, czując, jak serce podchodzi mu do gardła. Energia znowu zamigotała. Brama zrobiła się oślepiająco biała...

I wypadła z niej Kechara, piszcząc ze strachu. Zimowa Łania i Zhaneel krzyknęły i rzuciły się, by ją uspokoić. Zanim jednak do niej dotarły, Brama rozbłysła bielą po raz drugi i przez jej próg przetoczył się Aubri, rozsiewając zapach przypalonego futra i piór.

- Skan! - skrzeczał szerokoskrzydły, wykręcając głowę w kierunku Bramy. - Jeszcze Skan tam jest!

Brama raz jeszcze się rozjarzyła i z wolna zaczęła się zapadać w siebie, zrywając kamienie z łuku. Cała konstrukcja zaczęła się chwiać, jak gdyby w jakimś śnie.

- Nie! - wrzasnął Vikteren.

Bursztynowy Żuraw nie był pewien, czy młody mag wie, co robi. Przecież był tylko mistrzem, a Bursztynowemu Żurawowi zawsze mówiono, że jedynie adepci mogą budować Bramy. Vikteren jednak wyciągnął ręce w desperackim geście i Bursztynowy Żuraw poczuł, jak w kierunku walącej się Bramy zaczyna z nich wypływać energia, przenikają i utrzymuje w całości!

Bursztynowy Żuraw dostrzegł, że Vikteren się chwieje i do mocy maga dołożył swe własne siły...

...a potem przyłączyła się Zimowa Łania i Zhaneel...

Brama rozbłysła po raz trzeci i ostatni. Tym razem jednak była tak jasna, że Bursztynowy Żuraw oślepiiony krzyczał z bólu.

Vikteren także krzyczał, ale w triumfie.

Bursztynowy Żuraw zamrugał, potarł oczy i powoli odzyskał wzrok. Przed sobą ujrzał leżącego oszołomionego i niepodobnego do siebie Skandranona. Elegancka czarna sylwetka, z której ten zawsze słyszał, była jakby smuklejsza, a jego pióra wybielały niczym śnieg. Jednak z pewnością był to Skandranon.

Brama i Vikteren załamali się jednocześnie.

Nie było czasu, aby o czymkolwiek myśleć, gdyż wschodni horyzont znowu wybuchnął ogniem, i z jakiegoś powodu, którego Bursztynowy Żuraw nie mógł zrozumieć, poczuł, że gdzieś daleko umarł Mag Ciszy, zadowolony, że jego ludzie, włącznie z tymi, których kochał najbardziej, są w końcu bezpieczni.

Ledwo zdołali założyć ochronne tarcze, gdy uderzył w nich podwójny

magiczny sztorm. Najgorsze rozpętało się przed świtem i trwało do zachodu słońca. Jednak ich umocnienia wytrzymały i wszyscy wyłonili się ze swych schronień, aby spojrzeć na krwistoczerwone słońce, które przeświecało nad zwodniczo zwykłym horyzontem.

Zwykłym - dopóki nie zauważyło się miejsc, gdzie leżały połamane drzewa, gdzie dziwne małe pola energii tańczyły nad zwiniętymi i skreconymi kopczykami na wpół stopionych skał, dopóki nie zapadła noc i zamiast przynieść ciemność, sprowadziła dziwną poświatę, pełną wstęg błyszczącej mgły i tańczących fluoryzujących kul.

- Nie możemy tu zostać - powiedziała Zimowa Łania zmęczonym głosem, wróciwszy do pośpiesznie rozbitego namiotu Bursztynowego Żurawia. Jedynie ten namiot był na tyle duży, by pomieścić cztery gryfy - Skana, Aubriego, Zhaneel i Kecharę. Skan i Aubri byli ranni, a Zhaneel i Kechara nie miały zamiaru opuszczać księżycowo białego Skana.

- Spodziewałem się tego. Musimy się spakować i ruszyć na zachód. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się, a potem skierował swój wzrok na drzemiącego Skandranona. - Nie mam nic przeciwko temu, jeśli i ty nie masz.

- No cóż, chciałabym tylko wiedzieć, ilu spośród nas przeżyło - westchnęła. - Ale magowie nie potrafią niczego się dowiedzieć z powodu tego... magicznego hałasu i dymu. Nie da się wróżyć z kuli ani przesyłać magicznych wieści. A nie chcą narażać tych biednych małych ptasich posłańców. Tervardi nie chcą iść pieszo, kyree są prawie tak samo przerażeni jak my, hertasi są w szoku, a gryfy nie mają zaufania do wiatrów. Musimy iść na zachód i liczyć na to, że inni także zrobią to, co najrozsądniejsze.

- A więc wracamy do zwykłych ludzkich zmysłów. - Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. - To nie taki zły pomysł, jeśli się zastanowić.

- Nie mam nic przeciwko. - Oparła głowę na jego ramieniu i pogłaskała jedno ze śnieżnobiałych piór na skrzydle wciąż znajdującego się w szoku Skana. - Z jednym wyjątkiem.

- Tak? - zapytał. *Pewnie chciałaby, abyśmy zostali tu dłużej na wypoczynek... gdybyśmy chociaż wiedzieli, że nikt za nami nie idzie...*

- Z wyjątkiem tego - wskazała na Skandranona, zwiniętego przy Zhaneel niczym rzeźba z najczystszej alabastru. - Teraz będzie dwa razy bardziej zarozumiały!

- Oczywiście, że będzie! - dobył się senny pomruk. Jasno-błękitne

oczy otworzyły się i zamrugały leniwie. - I to zasłużenie!

Bursztynowy Żuraw uśmiechnął się i objął swą ukochaną. Bez względu na to, ile łez musieli wylać i jakie próby przejść, niektóre rzeczy pozostaną zawsze takie same. Zawsze będzie noc i dzień, gwiazdy i niebo, nadzieja i odpoczynek. Zawsze będzie miłość, współczucie, i zawsze będzie Skandranon. A w sercach wszystkich klanów na zawsze pozostanie Urtho. I na jego pamiątkę - chwila ciszy.

BIAŁY GRYF

**Tłumaczyła
Joanna Wołyńska**

*Dedykujemy tę książkę naszym rodzicom
Edwardowi i Joyce Ritche'om
Jimowi i Shirley Dixonom*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Światło.

Od grzebienia do szponów, od głowy do ogona będzie wyrzeźbione w świetle.

Skandranon Rashkae złożył głowę na łapach i kontemplował widok miasta rozciągającego się nad zatoką. Jego intensywna biel odbijała się od trawy porastającej klif, na którym zbudowano Białego Gryfa, a słońce prześlizgujące się po dachach domów nadawało mu wygląd rzeźby ze śniegu, który nigdy tu nie padał.

Burze magiczne narobiły takiego zamieszania, że nie zdziwiłaby mnie śnieżycą w środku lata...

Na szczęście Kaled'a'in z Białego Gryfa byli przygotowani na najdziwniejsze zmiany pogody. *Zbudowaliśmy nasze miasto tak, jak Urtho swą fortecę. Niestraszne nam najgorsze burze.*

Tylko kolejny kataklizm mógłby zrównać z ziemią Białego Gryfa, a i wtedy ruiny przez długie lata znaczyłyby miejsce, gdzie go wzniesiono, dopóki przyroda nie upomniałaby się o swoje... Skan potrzęsnał głową.

Dlaczego myślisz o zniszczeniu, głupi gryfie? Nie masz się czyni martwić, że przychodzi ci do głowy drugi Ma'ar? Przyszedłeś tu odpocząć, pamiętasz?

O tak, odpocząć. Od dawna nie miał okazji do relaksu, bo całe dnie wypełniało mu rozwiązywanie cudzych problemów. Westchnął z rozdrażnieniem, zagłuszając na moment szum fal, a potem spojrział na zatokę: na drugim brzegu, pod nawisem skalnym w kształcie dzioba, zobaczył przystań zbudowaną dla małej floty rybackiej.

Rok przeprawialiśmy się przez morze, a budowa miasta zajęła nam dziewięć lat. Nigdy nie myślałem, że tyle osiągniemy, nie mogąc już posługiwać się zaklęciami magicznymi. Westchnął ponownie, tym razem z zadowoleniem. Budowa miasta jeszcze się nie skończyła, ale Kaled'a'in żyli w lepszych warunkach niż kilka lat temu, kiedy to gnieździli się na szczycie klifu w namiotach i prowizorycznych szałasach. Na początku chcieli wybudować swą siedzibę właśnie tam, na szczycie, ale generał Judeth nalegała, aby założyć miasto na tarasach wykutych w skale i w ten sposób uczynić je niezdobytym. Gdy tylko dostrzegła klify zachodniego wybrzeża, wiedziała, jak powinna wyglądać ich siedziba.

Skan podziwiał jej odwagę i determinację, kiedy tłumaczyła każdemu z osobna, że jej plany nie tylko można, ale wręcz należy wprowadzić w życie. Nic dziwnego, że Urtho powierzył jej dowodzenie jedną ze swych kompanii. Ta kobieta była ze stali.

Skala okazała się na tyle podatna, aby w niej rzeźbić, i wystarczająco twarda, aby utrzymać budynki wystawione na deszcz, wiatr i fale; Judeth, córka kamieniarza, wiedziała o tym od chwili, gdy dotknęła kłifu. Kiedy wykuli już pierwsze tarasy i postawili pierwsze budynki, zauważyli, że miasto przypomina gryfa z rozłożonymi skrzydłami. Niektórzy uznali to za znak, inni za przypadek, ale nikt nie miał wątpliwości, jak ochrzcić nową siedzibę.

Biały Gryf, dla uczczenia Skandranona Rashkae, który już nie farbował piór na czarno, a czas spędzony między dwiema Bramami wybielił go tak bardzo, że jedynymi ciemniejszymi punktami na jego ciele były delikatne kropeczki wzdłuż grzbietu. Biały Gryf miał nadal mieszane uczucia i zazwyczaj był zażenowany podobną czołobitnością. Wystarczy udawać bohatera i wszyscy, od dzieci po starców, uznają cię za niezwykłego! Najbardziej denerwował go fakt, że wszyscy nieludzie wśród Kaled'a'in ogłosili go przywódcą, a reszta ochoczo podążała w ich ślady.

I pomyśleć, że ja, głupi, marzyłem kiedyś o rządzeniu. Gdzie miałem rozum.

Tak naprawdę nie chciał dowodzić podczas pokoju: chciał podejmować szybkie, śmiałe decyzje, w mgnieniu oka zmieniać przebieg bitew genialnymi rozkazami, a nie rozsądzać spory między hertasi i kyree i ustalać, gdzie najlepiej umieścić szamba... Zebrania Rady nudziły go śmiertelnie i nie rozumiał, dlaczego ludzie uważają, że skoro był bohaterem, był również mędrcom. Zarządzanie nigdy nie należało do jego ulubionych zajęć i, prawdę mówiąc, radził sobie fatalnie.

Na szczęście mam doradców przymykających oczy, gdy kradnę ich pomysły, i wiem, kiedy należy trzymać dziób zamknięty i udawać mądrzejszego, niż jestem.

Uchodźcy, a potem budowniczy przeżyli mimo jego dowództwa i mieli nareszcie prawdziwe domy z wapienia błyszczącego w słońcu, a ulice miasta wyłożyli tłuczonymi muszlami. W Białym Gryfie wystarczy miejsca dla kolejnych pięciu czy sześciu pokoleń Kaled'a'in...

A kiedy zrobi się tu ciasno, mnie już dawno nie będzie.

Wykuwanie tarasów i doprowadzanie wody trwało pół roku i na

szczęście magia nie sprawiła żadnych niespodzianek. Źródło na szczycie klifu zapewniało świeżą wodę, doprowadzoną do kilku studni na terenie miasta. Oczywiście, można ją było odciąć - Skan dawno przestał używać słowa „niemożliwe” - ale wymagało to wysiłku i wielu zaklęć. Miasto nie było niezdobyte, ale ulice i zaułki zbudowali tak, aby jeden łucznik stojący w odpowiednim miejscu mógł powstrzymać armię. Atak Ma'ara był gorzką, ale pożyteczną nauką.

Skan podniósł głowę i wciągnął w płuca powietrze.

Woda morska, algi i ryby. Świeże ryby, kutry wracają. Przyzwyczał się - już do nowych zapachów i wszechobecnej słonej wody. Masa wody, na którą natknęli się jego zwiadowcy dziesięć lat temu, zupełnie wytrąciła ich z równowagi: żaden z gryfów nie widział wcześniej morza.

Moi zwiadowcy... Powinienem był przewidzieć, w co się pakuję. Bursztynowy Żuraw starał się mnie ostrzec, podobnie jak Zimowa Łania i Gesten. Czy ich słuchałem? Nie i proszę, teraz nazwali miasto na moją cześć i muszę codziennie podejmować tysiące głupich decyzji, nie mówiąc o rozwiązywaniu problemów, z którymi poradziłoby sobie średnio rozwinięte dziecko. Ludzie są strasznie leniwi i nie chce im się myśleć. Nareszcie zrozumiał, dlaczego Bursztynowy Żuraw często powtarzał z goryczą, że już od dawna nie jest panem swego czasu.

Moce piekielne, jak ja tego nie cierpię! Powinienem spędzać dni w powietrzu albo kochać się z Zhaneel... Nie, teraz grzecznie wróci na przekłętą Radę. *Równie dobrze mogliby radzić beze mnie. Mój jedyny wkład w zarządzanie miastem to moja obecność.* Obecność, która z niezrozumiałych powodów podnosiła innych na duchu. Czyżby na tym polegał sekret przywództwa?

Tato Skanie - powiedział słodki, dziecięcy głosik w jego głowie. *Mama mówi, że już czas na zebranie, czy mógłbyś przyjść?*

Słyszał Kecharę tak wyraźnie, jakby stała tuż obok. Mały odmieniec stał się jedną z najważniejszych osób w mieście: kiedy zabrakło magii, Kechara porozumiewała się z ludźmi, używając myślmowy. Nadzorowała komunikację między Radą a Srebrzystymi Gryfami - organizacją złożoną z żołnierzy, którzy przeszli przez Bramy razem z Kaled'a'in.

Dawniej zdolności Kechary i fakt, że jej umysł na zawsze pozostał umysłem dziecka, oznaczał nieustanne kłopoty, ale teraz stała się niezbędną. Wszyscy jednomyślnie uznali, że zasługiwała na najlepszą opiekę, jaką mogli jej zapewnić, a ona kochała ich całym sercem i zawsze można było na niej polegać, choć prawdopodobnie nie rozu-

miała nawet jednej dziesiątej wiadomości, które przekazywała. Starali się ze wszystkich sił wynagrodzić jej samotność w Wieży Urtho.

Powiedz mamie, że lecę, skarbie - odparł zrezygowany. Wstał, rozpostarł skrzydła i pozwolił, aby wiatr szarpał lotkami; wciągnął ostatni haust powietrza i skoczył. Machnął skrzydłami i jęknął, gdy ból przeszył mu grzbiet.

Głupi, stary, sflaczały gryfie, co próbujesz udowodnić? Że dorównujesz młodemu Stirce?

Obserwował mewy przed sobą i kierował się ich śladem ku prądom powietrza; szybował jak one, nie poruszając skrzydłami.

Ten lot, tak zwodniczo prosty i lekki, wymagał stałej kontroli całego ciała.

I lepszej kondycji niż moja. Powinienem więcej latać, zamiast włóczyć się po kamieniołomach!

Mógł wybrać łatwiejszą drogę, polecieć w górę i machać skrzydłami: taki staruch jak on nie powinien się przemęczać. *Nie, moja ambicja postanowiła poflirtować z prądem wznoszącym. Rano będę żałował, że nie poszedłem na piechotę.*

Jakby tego było mało, w połowie drogi zdał sobie sprawę, że ma widownię: na skalistym brzegu dostrzegł ludzi i hertasi, a także tuzin podskakujących gryfiątek.

Uczą się latać i nadarzyła się okazja, aby obejrzeć, jak wielki Skandranon demonstruje tajniki szybowania. Ciekawe, czy wielki Skandranon padający na dziób po wylądowaniu również wzbudzi entuzjazm?

Podwoił wysiłki i zmusił zeszywniałe mięśnie do pracy. To było silniejsze od niego: uwielbiał, kiedy go podziwiano. Zatoczył koło nad głowami publiczności i wylądował na drodze, a nie na skraju tarasu, siadając wdzięcznie na jednej nodze. Widownia zaczęła klaskać, a Skan skłonił się nonszalancko mimo palącego bólu w biodrze. Czekał, aż atak minie, ale noga nadal rwała jak diabli. Przecież nie mógł odejść, utykając!

Głupi, po trzykroć głupi gryfie, nigdy się nie nauczysz?

Uśmiechnął się do gryfiątek i ruszył w stronę nie wykończonego budynku Rady tak szybko, jak tylko mógł. Znał dzieci i wiedział, że jeśli nie zniknie im z oczu, któreś na pewno wpadnie na pomysł, aby go poprosić o ponowne zademonstrowanie tak ślicznego lądowania.

Bursztynowy Żuraw usiadł na swoim miejscu przy stole i spojrzał na

płótno rozciągnięte nad głową, zastanawiając się, czy doczeka chwili, gdy zebrania będą się odbywać pod normalnym dachem. Sala Rady miała tylko gołe ściany i podłogę, ponieważ ambitne zamierzenia architektów wymagały użycia magii, a magowie od ostatniej burzy potrafili tylko rozpalać ogień bez użycia zapalek. Jednak dokończenie budowy nie było najważniejszym przedsięwzięciem, a Bursztynowy Żuraw nie miał zamiaru zmieniać listy priorytetów. Chociaż... wolałby, aby kolejne zebranie nie zostało przerwane ulewą zmieniającą salę w sadzawkę...

Śnieżna Gwiazda, mag Kaled'a'in, zaufany Lorda Urtho, usiadł obok i też rzucił okiem w górę.

- Myślimy, że następna burza magiczna wyeliminuje zakłócenia i będziemy mogli zająć się kamieniarstwem - powiedział. - Przerwa potrwa około dziewięciu miesięcy, a to więcej, niż nam trzeba na uporanie się z problemami.

Włączając w to Salę Rady. Bursztynowy Żuraw uśmiechnął się z wdzięcznością. Śnieżna Gwiazda był rzecznikiem Urtho wśród magów i zatrzymał to stanowisko. Generał Judeth, dawniej dowódca Piątki, która przypadkiem albo przez zrządzenie losu przeszła przez obie Bramy Kaled'a'in, potrafiła doskonale wykorzystywać zdolności nieludzi i zajęła się tworzeniem organizacji paramilitarnej. W drodze na zachód Srebrzyste Gryfy były zwiadowcami i obrońcami, a w Białym Gryfie objęły funkcję straży i policji.

Bursztynowy Żuraw lubił i podziwiał Judeth. *Gdyby inni o tym nie pomyśleli, sam przyjąłbym ją do klanu.* K'Leshya przyjęli do swego klanu wszystkich nieludzi i żołnierzy, którzy przeszli z nimi przez Bramy, a huczna ceremonia położyła kres podziałowi na swoich i obcych. Podróż pozwoliła wszystkim na prawdziwe zbratanie się...

Ha, jakże idealistyczne podejście. Bursztynowy Żuraw stłumił westchnienie. Większość mieszkańców Białego Gryfa była spokojna... ale zdarzały się kłopoty. Część ludzi odeszła jeszcze przed budową miasta i nikt nie opłakiwał ich nieobecności, ale co sprytniejsi pozostali.

Dlatego, niestety, ciągle potrzebujemy Srebrzystych.

W idealnym świecie każdy wykonywałby z radością przydzielone mu zadania i pracował dla dobra nowego społeczeństwa, ale nie żyli w utopii. Mieli w Białym Gryfie maciwodów, łajzy, leni, pijaków i złodziei, a niektórzy z nich posuwali się nawet do obarczania Skandranona winą za kataklizm, który nie wydarzyłby się, gdyby gryf nie zaniósł Ma'a-

rowi „samobójczej maszyny” Urtho. Być może, mieli rację: w powietrze wyleciałyby tylko forteca Urtho i nie cierpieliby teraz z powodu burz magicznych.

Jednak nawet Śnieżna Gwiazda nie zna natury burz. Pewnych rzeczy nie da się wytłumaczyć twarogłowym, szukającym kozła ofiarnego wśród nie ludzi. Nawet Judeth nie potrafi przekonać idiotów.

Jakby odpowiadając na jego myśl, do sali weszła Judeth, odziana w nieskazitelny, czarno-srebrny mundur. Medale, niegdyś noszone na piersi, zastąpił srebrzysty wizerunek gryfa. „Jeśli ludzie nie doceniają moich zasług, żadne medale ich nie przekonają” - zwykła mawiać.

- Jesteśmy w trójkę, reprezentujemy Srebrzystych, magów i służby, Cinnabar nie może oderwać się od uzdrowicieli, gdzie nasz czwarty? - spytała.

- W drodze - odparł Śnieżna Gwiazda. - Zhaneel i Kechara już go wezwały.

- Och - uśmiechnęła się Judeth. Bursztynowy Żuraw wiedział, jak bardzo Kechara jest jej droga; jedna Judeth zdawała sobie sprawę z ogromu pracy wykonywanej przez gryfsokoła. - Żurawiu, czy chcesz nam coś powiedzieć, zanim Skan tu dotrze?

- Tylko tyle, że występuję jako główny kestra'chern, a nie w imieniu służb. - Wszystkie trywialne zajęcia spadły na barki Bursztynowego Żurawia: nadzorował dopływ wody, odpływ ścieków i aprowizację. Kestra'chern byli jednocześnie uzdrowicielami, zarządcami i ludźmi dostarczającymi innym rozrywki, a wybór Bursztynowego Żurawia na stanowisko ich przywódcy nie był dla nikogo zaskoczeniem, zwłaszcza że znał się na rzeczach, które dla Judeth, Cinnabar i Śnieżnej Gwiazdy były bajką o żelaznym wilku.

Judeth uniosła brew.

- Czyżbyś miał problem prawny?

- Tak myślę - odpowiedział z wahaniem.

- A ja myślę, że powinieneś być na mnie poczekać - rzucił Skan od drzwi. - A jeśli nie, obradujcie beze mnie, mogę być bezużyteczny gdzie indziej.

Mówiąc to, uśmiechnął się szeroko i ruszył ku stołowi, przy którym zasiadała Rada. Stół był dziełem jednego z najbardziej utalentowanych rzemieślników, który na wojnie stracił obie nogi. Projektowane przez niego meble wykonywane były po kawałku i łączone z niebywałą precyzją, przybierając zwodniczo prosty wygląd.

- Cóż się takiego wydarzyło, że potrzebowałeś Rady? - spytał gryf, wyciągając się na swym fotelu. - Za dobrze cię znam, aby mieć nadzieję, że to coś zwyczajnego, chyba że się starzejesz.

- Trudno się zestarzeć, kiedy masz dwuletnie dziecko, znacznie łatwiej zwariować. - Bursztynowy Żuraw nie zamierzał jednak rozwodzić się nad urokami ojcostwa. - Obawiam się, że jako główny kestra'chern będę musiał wnieść do Rady oskarżenie. Potrzebuję trzyosobowego kworum, a jako oskarżyciel nie mogę brać udziału w podjęciu decyzji. Dlatego was zwołałem.

- Jakie wnosisz oskarżenia? - zapytał Śnieżna Gwiazda.

- Pierwsze, najmniej poważne, to podszywanie się pod szkolonego kestra'chern. Nie pamiętam, aby ten człowiek służył u Urtho i nie znam nikogo, kto go szkolił. Jego listy uwierzytelniające są fałszywe, bo figuruje na nich mój podpis.

- Rzeczywiście, Rada nie musi się tym zajmować.

- Wiem. Gdyby chodziło tylko o tę sprawę, sam bym ją rozwiązał. Gdyby ten człowiek okazał się uzdolniony, posłałbym go na porządne szkolenie, a jeśli nie, trudno. - Bursztynowy Żuraw przygryzł wargę. - Nie, chodzi o to, co zrobił. Nadużył zaufania klientów i gdyby był głupszy, już dawno wylądowałby w areszcie.

Twarz Judeth przypominała kamienną maskę.

- Aż tak źle? - spytała.

- Aż tak. Do kestra'chern przychodzą ludzie z dziwnymi prośbami. Wykorzystywał sytuację, aby dla własnej przyjemności zadawać im ból fizyczny i psychiczny.

- Dlaczego nie dowiedzieliśmy się wcześniej? - rzucił Skan, którego oczy podejrzenie rozblęły.

- Bo on jest... - Bursztynowy Żuraw szukał odpowiedniego słowa - ...diaboliczny, Skan. Sprytny, zręczny i czarujący. To świetny manipulator. Zanim ktoś zdobył się na odwagę i przyszedł do mnie, on przez cały rok prowadził swoje zakazane praktyki. Zwiódł nawet innych kestra'chern, nie wiedzieli, co się dzieje za jego drzwiami. Ale ja wiem: czułem to, co przeżywali jego klienci.

Skan otworzył dziób i zamknął go z trzaskiem.

- Kim on jest? - spytał w końcu. - Jakimś złym empatą?

- Być może, nie mam pojęcia - odparł Bursztynowy Żuraw. - Wiem tylko, że osoba, która do mnie przysła, długo leczyła się z zadanych ran, i że inni ucierpieli jeszcze bardziej. - Chociaż ofiara nie prosiła o

zachowanie anonimowości, uważał, że powinien utrzymać jej imię w tajemnicy. Przez kilka chwil wymieniał szczegółowo, co jej uczyniono, a reszta Rady słuchała w milczeniu.

- Kto to jest? - spytała Judeth, przygotowując pióro i nakaz aresztowania. Bursztynowy Żuraw westchnął i zamknął oczy: miał nadzieję, że kiedy ta chwila wreszcie nadejdzie, poczuje się lepiej. Nic takiego nie nastąpiło; zdawało mu się, że to dopiero wierzchołek góry lodowej i historia zaczyna się, a nie kończy.

- Hadanelith - powiedział. Judeth wpisała imię.

- Hadanelith - powtórzyła, pieczętując nakaz sygnetem. - Mam się zająć nim od razu?

- Tak. Aresztuj go jak najszybciej, nie chcę, żeby jeszcze kogoś skrzywdził.

- W porządku. - Judeth wstała. - Skan, proszę, niech Kechara wezwie Aubriego, Tylara, Rethama i Vetcha. Mają się tu stawić na jednej nodze. - Wręczyła nakaz Żurawowi. - Pójdę z tobą. Niektórzy mogą kręcić nosem, że dowódca sił zbrojnych aresztuje jakiegoś chłystka, ale nie uważam się za lepszą od reszty Srebrzystych. Nie mogę pozwolić, żeby uszło to na sucho takiej szumowinie. Przykro mi, że cię do tego mieszam, ale...

- Ale to ja wniosłem oskarżenie - skończył za nią Bursztynowy Żuraw. - To moja praca. Judeth. Chociaż w takich momentach chciałbym być zwykłym kestra'chern - dodał, zwijając nakaz.

Judeth parsknęła.

- Żurawiu, ty nigdy nie byłeś zwykłym kestra'chern!

- Tak podejrzewałem - wymamrotał, wychodząc z sali.

Hadanelith przesunął dłutem po drewnianym kneblu, a potem zaczął nawiercać otwory na rzemienne pasy. Był mistrzem w swym fachu, tak podobnym do rzeźbienia: potrafił wygładzić wszelkie nierówności i nadać materii kształt, jakiego pragnął.

Od pewnego czasu pracował nad Telicą: jeszcze trochę karbowania, trochę nawierconych otworów i niedługo będzie przedmiotem niemal doskonałym. Ostatnio zajął się jej umysłem: teraz klęczała naga na podłodze, związana nitką, kark przy dłoniach, dłonie przy stopach. Gdyby tylko zdołała się poruszyć, zerwałaby nitkę, jednak wola Hadanelitha i odpowiednia tresura krępowały ją jak kajdany. Wyrzeźbił ją, choć nikt nie potrafił tego dostrzec.

Za każdym razem, gdy do niego przychodziła, wiedziała, że podda ją testom: wszystkie jego dziewczyny o tym wiedziały. Mógł je przytulać lub bić, upokarzać i nagradzać, a one kochały go... albo były posłuszne. Czasami wolał posłuszeństwo od miłości.

Podszedł do niej i chwycił za podbródek.

- Otwórz - polecił i wcisnął jej do ust drewniany knebel. Przycisnął go do dziąseł i unieruchomił język: tak będzie dobrze. Kiedy Telica od niego wyjdzie, gorycz w ustach przypomni jej, komu służyła. Cóż za ironia: wszyscy myśleli, że to Hadanelith służy jej, ale za zamkniętymi drzwiami stawała się jednym z jego skarbów. Miał ich sześć: Dianelle, Surię, Gaerazę, Bethię, Yonisse i Telicę, wszystkie piękne, ale niedoskonałe.

Zawsze gdy rzeźbił, miał problemy: drewno rozwarstwiało się albo było pełne sęków, a czasami, gdy oczyścił je z kory, rozpadało się na części. Dlaczego? Dlaczego wybierany przez niego materiał nie spełniał pokładanych w nim nadziei? Telica była zbyt cicha: nigdy nie wydobył z niej nic poza jękiem, a on, jak każdy mężczyzna, chciał słyszeć zduszone okrzyki albo gardłowy płacz. Gdyby nie wbijał w nią szpilek, nie wydałaby z siebie głosu. Gaerazena gadała jak najęta, a Yonisse trzęsła się jak osika: żadna nie była doskonała.

Wina leżała w materiale, nie w jego kunszcie, tego był pewien. Gdyby tylko mógł dostać w swoje ręce prawdziwą, pełnokrwistą kobietę, taką jak Zimowa Łania... Obserwował ją od dziesięciu lat, choć nigdy się do niej nie zbliżył: była jak nieskazitelny marmur, wyzwanie dla każdego rzeźbiarza. Nie bał się: czy artysta może się bać swego materiału? Chciał stworzyć ją na nowo i chciał, aby o każdą zmianę błagała go na kolanach.

Marzenie...

I marzeniem pozostanie, ponieważ Zimowa Łania była żoną wspaniałego Bursztynowego Żurawia i całe miasto wiedziało, jak bardzo są razem szczęśliwi. Mdlilo go, gdy na nich patrzył, szczególnie wtedy, gdy w pobliżu pojawiał się Skandranon. Na szczęście nie wszyscy byli tak zadowoleni z życia, jak ta doskonała para, inaczej straciłby źródło utrzymania. Gdy nadejdzie odpowiedni moment, pokaże im, na czym polega prawdziwe życie. Zedrze maskę z twarzy Zimowej Łani i odsłoni jej prawdziwe oblicze, pozna jej najskrytsze obawy. Na pewno nie jest banalna jak jego sześć rzeźb, musi lękać się czegoś niezwykłego i fascynującego. Wyciąłby z niej całe wnętrze, zostawił tylko skorupę, po-

ruszającą się i mówiącą, a potem czekał, kiedy pojawią się na niej rysy i rzeźba rozpadnie się.

Pochylił się nad biodrami Teliki, przygotowując nóż. Chciał, żeby krzyknęła. Przyłożył ostrze do skóry i wtedy do komnaty ktoś wszedł. Hadanelith obrócił się z warknięciem, aby ukarać intruzów, ale szybkie kopnięcie w szczękę rzuciło go na podłogę.

Bursztynowy Żuraw czuł się coraz gorzej. Widział w życiu potworności, poznał ból innych i nie obawiał się przemocy ani jej skutków, jednak w miarę zbliżania się do domu Hadanelitha czuł wyraźnie, że nic dobrego z tego aresztowania nie wyniknie. I chociaż działali w majestacie prawa, przeczucie podpowiadało mu, że narobią więcej złego niż dobrego.

Aubri najwyraźniej podzielał jego uczucia: był gryfem, który nie miał w życiu szczęścia.

- Jest za cicho - mruknął do Żurawia. - Wiemy, że ktoś z nim jest, dlaczego nic nie słychać?

- Nie wiem - odszepnął. - Nie podoba mi się to. Judeth?

- Mam złe przeczucia - odparła. - Wchodzimy.

Bursztynowy Żuraw ruszył za uzbrojonymi strażnikami, ściskając w dłoni nakaz. Nie widział Judeth kopiącej Hadanelitha, ale gdy rozejrzał się po pokoju, zrozumiał, co ją skłoniło do takiej brutalności.

Młoda kobieta, skrepowana nitką, klęczała w najbardziej niewygodnej pozycji, jaką widział w życiu; jej skóra była mokra od potu, a mięśnie drżały z wysiłku. Całe ciało pokryte było bliznami, a leżący obok nóż mówił wiele o ich pochodzeniu.

Dziewczyna zachowywała się tak, jakby nie zauważyła ich obecności.

Ona nas nie widzi. Nie powiedział jej, że weszliśmy, więc nas nie zauważa. Blizny na ciele to powierzchowne rany, ale stanem jej umysłu muszą zająć się uzdrowiciele. Obawiam się, że będą ją leczyć miesiącami.

Drżącymi dłońmi rozwinął nakaz aresztowania i odczytał go. Hadanelith nie poruszył się, patrząc na Bursztynowego Żurawia z bezsilną wściekłością.

- Znasz zarzuty. Dowody widzieliśmy na własne oczy - powiedziała twardo Judeth. - Masz coś na swoją obronę?

W odpowiedzi Hadanelith splunął w jej stronę; plwocina spłynęła po wypolerowanym bucie. Judeth złapała za ramię Srebrzystego, który

rzucił się w stronę więźnia.

- Nie brudź sobie rąk, Tylar - rzekła zimno, wycierając but jedwabną narzutą z kanapy. - Jest wiele rzeczy, które bym chętnie z tobą zrobiła, szmato - powiedziała głosem wypranym z emocji. - Niestety, mamy jedno prawo dla wszystkich. Zostaniesz odstawiony w łańcuchach poza Biały Gryf, doprowadzony do granicy pól uprawnych i uwolniony z kajdan. Masz czas do zmroku, aby wydostać się poza granicę. Jeśli jutro o świcie ktoś znajdzie cię na naszym terytorium, zabije jak wściekłego psa.

- Tak jak stoję? - Głos Hadanelitha był równie zimny jak Judeth. - Bez. broni, jedzenia, bez...

- Jesteś wściekłym psem. Nie dokarmiamy wściekłych psów. Taki spryciarz jak ty powinien poradzić sobie w lasach. - Skinęła na pozostałych Srebrzystych. - Zakuć go i wyprowadzić, zanim zwymiotuje śniadanie.

Nie trzeba im było tego powtarzać: w mgnieniu oka wykonali jej rozkaz. Bursztynowy Żuraw spodziewał się, że Hadanelith będzie krzyczał i przeklinał; cisza utwierdziła go w przekonaniu, że to dopiero początek kłopotów.

Jest wściekłym psem i las go zabije. Powoli i boleśnie. Powinniśmy okazać współczucie i sami dokonać egzekucji.

Jednak według kodeksów zbrodnie mogły być ukarane tylko wygnaniem. Prawa Białego Gryfa wymagały, aby przestępcę takiego jak Hadanelith usunięto ze społeczności, a miasto nie miało więzienia.

Nienawiść w oczach Hadanelitha jeszcze bardziej zdenerwowała Bursztynowego Żurawia. Gdyby nie obecność młodej kobiety, nie musiałby uczestniczyć w aresztowaniu, ale ona potrzebowała jego pomocy. Przyklęknął obok i usunął na moment swe osłony, dotykając jej delikatnie. To, co wyczuł, sprawiło, że natychmiast je podwoił. Zbladł.

- Niedobrze, Judeth - mruknął przez ramię. - Ale poradzę sobie, możesz iść. Dostarczę ją do lady Cinnabar, kiedy tylko trochę otrzeźwieje.

Judeth nigdy nie kwestionowała jego zdolności: jeśli twierdził, że da sobie radę, najwyraźniej wiedział, co mówi.

- W porządku - odparła. - Pójdę z innymi. Chcę się osobiście przekonać że ta szmata opuści nasze miasto przed zachodem słońca. - Odwróciła się na pięcie i wyszła, zostawiając go z dziewczyną, której imienia nie znał.

Muszę sprawdzić papiery Hadanelitha i znaleźć listę klientów. Na

pewno nie poprzestał na jednej... Żurawiu, wiedziałeś, że tak będzie. Pomyśl, co by się z nią stało, gdybyś nie wkroczył.

Niezależnie od tego, jak groźni byli jego oprawcy, Hadanelith nie miał zamiaru biec. Ruszył przed siebie wolnym, niedbałym krokiem, jakby wybierał się na spacer po parku. Nie było to łatwe, zwłaszcza że wydawało mu się, iż za moment przedziurawi go strzała, chociaż ta suka Judeth zapewniała o jego fizycznej nietykalności.

Nic takiego nie nastąpiło; nie przerwali jego spacerku po polu, nawet gdy wdeptywał w ziemię sadzonki. Jego celem był las. Rolnicy pracujący pod lasem nie wychodzili w pole bez eskorty walącej w miedziane bębny i Kaled'a'in poskramiających myślą dzikie bestie.

A jeśli Kaled'a'in zawiodą, zostają łucznicy. Piękne dzięki za współczucie, bando hipokrytów.

Nie zatrzymał się, gdy dotarł do pierwszych drzew. Ruszył przed siebie, trując krzaki, płacząc się w bluszczu i ignorując ukąszenia owadów. Stanął dopiero na małej polance i dokładnie obejrzał wszystkie rany, jakie mu zadano; kiedyś drogo za nie zapłaca.

Pierwszy kopniak Judeth strzaskał mu szczękę, drugi unieruchomił rękę, a gwardziści nieomal wyłamali mu ramiona podczas zakładania kajdan, nie wspominając o kuksańcach, które na pewno zostawiły spore siniaki.

Hadanelith uśmiechnął się: byli tak zadufani w sobie! Wysłali go na wygnanie, tak jak stał, i nie przeszukali! Głupcy - wyszli z założenia, że kestra'chern nie noszą broni. Zapomnieli, że Hadanelith nie był kestra'chern.

Zawsze nosił broń.

Z zakamarków odzieży wyciągnął swe skarby, rozpoczynając od sztyletów, ukrytych w cholewkach. Oczywiście, przez kilka dni będzie trzymał się z dala od słupów granicznych, a gdy mieszkańcy uznają, że został pożarty przez dzikie zwierzęta, powróci.

I wszyscy słono mu zapłaca.

ROZDZIAŁ DRUGI

Skan zwinął skrzydła i wylądował na skraju swej pieczary, tym razem używając obu nóg: nikt na niego nie patrzył, a poza tym w biodrze nadal odczuwał dotkliwy ból. Zresztą u siebie w domu mógł nawet paść na dziób, gdyby zechciał.

Wykuli pieczarę w skale przy pomocy całej armii hertasi, a potem wypełnili ją luksusowymi przedmiotami. Roztaczał się z niej wspaniały widok na morze, a jednocześnie nie dokuczał tu zimny wiatr. Mieli najlepszą pieczarę w mieście: w zimie ogrzewaną magicznym ogniem, w lecie owiewaną chłodną bryzą. Wyposażenie składało się przede wszystkim z miękkich poduszek i wygodnych ław. Z bycia na świeczniku płynęły niekiedy korzyści...

Na przykład nie musiał uczestniczyć w aresztowaniu Hadanelitha. Współczuł Bursztynowemu Żurawiowi, ale nie aż tak, aby mu towarzyszyć; pójdzie do niego z wizytą i przyniesie coś specjalnego.

Chociaż raz to nie ja musiałem podjąć decyzję. Wystarczyło zgodzić się z Żurawiem. Od kiedy to wstrzymywanie się od decydowania o ludzkim losie stało się dla mnie świętem? Mięśnie ciągle go bolały i czuł się tak, jakby odbył stumilową podróż, a nie dwa krótkie loty. Muszę zacząć trenować. Jeszcze ktoś pomyśli, że się starzeję!

Zwinął skrzydła i zapatrzył się w słońce. Cinnabar ostrzegła, że czas spędzony między Bramami i wędrówka wyczerpały jego siły, ale to było dziesięć lat temu! Powinien już wydobrzeć! *To wszystko przez siedzący tryb życia. Gdybym nie był Skandranonem, wszyscy drwiliby z mojej tuszy.*

Zamknął za sobą drzwi i przeskoczył przez murek, który ustawili, kiedy gryfiatka zaczęły biegać po całym domu i niebezpiecznie zbliżać się do krawędzi tarasu. Kiedy gnieździli się na ziemi, nie mieli takich problemów...

Pieczarę oświetlały magiczne lampy, rzadkość w Białym Gryfie, bo magowie mieli ważniejsze rzeczy do zrobienia w krótkich okresach spokoju. Większość lamp była dziełem Skana.

Proszę bardzo, oto kolejny powód, dla którego jestem workiem sadła: leżałem i wpatrywałem się w kamień całymi dniami, aż wreszcie zaczął świecić jak zakochany robaczek świętojański, a hertasi tuczili mnie jak gęś. Dobrze, że Urtho tego nie widział.

Ludzie i hertasi korzystali ze świec i pochodni: lampy magiczne były

niezbędne uzdrowicielom i nieludziom. Tak zdecydował Skan i choć niektórzy oskarżali go o egoizm, decyzja była przemyślana: ogień był zbyt niebezpieczny dla opierzonych gryfów, a kyree i tervardi nie potrafiły w ogóle go rozpalić.

Gryf zapiekany i tervardi na chrupko raz! Świeżo z rusztu w ich własnym domu, doprawione przez Ma'ara! Tymi słowami przekonał Radę, demagogicznie używając imienia wroga.

Tak jak Urtho nie znosił manipulowania ludźmi.

Urtho nie znosił wielu rzeczy, cześć jego pamięci. Zawsze go żałowałem; nie stworzono go na przywódcę, a jednak dowodził tymi, którzy walczyli z Ma'arem. Pamiętam wyraz jego twarzy, kiedy zapytałem, dlaczego się tego podjął, tę desperację w oczach... Oczy Skana zamglily się. Powiedział wtedy: - Jeśli nie ja, to kto? Wiem, jak się czuł. Obowiązek potrafi spustoszyć duszę; mówią, że szlachetne serce znajdzie radość w powinności, ale ja jestem coraz mniej zadowolony, a do tego przytyłem!

- Zhaneel? - zawołał cicho, licząc na to, że nie obudzi maleństw. - Wróci...

Próżny trud. Z pokoju dziecinnego rozległy się wysokie gwizdy i chwilę później dwie pierzaste kule wystrzeliły w kierunku jego nóg: Tadrith prawej, a Keenath lewej, skutecznie uniemożliwiając poruszanie się. A Bursztynowy Żuraw i Zimowa Łania uważali, że to ich berbecę stwarza problemy! Gryfiątka od pełzania przechodziły od razu do biegu i, podobnie jak u kociąt, ich pojmowanie rzeczywistości ograniczało się do zabawy, jedzenia i snu. Przechodziły z jednego stanu w drugi bez ostrzeżenia i poświęcały mu całą energię. Na nic wabienie ich zabawką, kiedy były głodne.

Zhaneel podążyła za latoroślami stateczniejszym krokiem. Wyglądała piękniej niż kiedykolwiek; odkąd zaprzestała prób upodobnienia się do innych gryfów i uwierzyła w siebie, przypominała królową.

- Nie przejmuj się, nie próbowałam ich uśpić. Bawiliśmy się w „Potargaj mamę za ogon” - powiedziała, patrząc na bezowocne wysiłki Skana: dzieci nie chciały puścić jego nóg.

- A teraz bawimy się w „Zrób z taty huśtawkę”? - zapytał. Zhaneel parsknęła śmiechem, gryfiątka bowiem wyglądały jak dwie pierzaste narośle na nogach Skana. - Zebranie skończyło się wcześniej i uciekłem, zanim ktoś wpadł na pomysł, abym rozwiązywał idiotyczne problemy. - Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzał.

- Boli cię głowa? - zdziwiła się Zhaneel. Skan pozbył się wreszcie Tadritha.

- Nie, ale jestem bardzo, bardzo zmęczony byciem Wielkim Białym Gryfem, Mądrym z Gór, Łagodzącym Konflikty i Klótnie. Nie pamiętają, że byłem Strzałą Niebios, Zagrożeniem dla Dziewic i Radością Uzdrowicieli; potrzebują kogoś, kto weźmie na siebie ich obowiązki, a ja jestem pod ręką. Odpowiedzialność mnie męczy.

Odczepił drugiego syna tylko po to, aby oba młode gryfy rzuciły się na jego ogon.

- Chcesz być nieodpowiedzialny? - rzuciła Zhaneel z zagadkowym uśmiechem.

- No cóż - odpowiedział po chwili. - Tak! Ludzie zrzucają na mnie swoje zadania i nie mam czasu dla siebie. Popatrz na mnie, Zhaneel, jestem gruby! Nie mam kondycji! Nie pamiętam, kiedy ostatni raz plotkowałem z Bursztynowym Żurawiem, latałem z tobą w burzy czy po prostu wylegiwałem się na słońcu! Albo na tobie, skoro już o leżeniu mowa. Nie mam czasu nawet na myślenie!

Zhaneel złapała syna, zanim znów uczepił się nogi ojca i skinęła głową.

- Miasto jest prawie skończone, ludzie powinni zająć się urządzaniem domów, więc chyba nie potrzebują cię aż tak bardzo. Nie jesteś przecież dekoratorem wewnątrz.

- Tak sądzisz? Wyobraź sobie więc, że oni nie zrobią niczego bez zapytania mnie o zdanie. Zupełnie jakby wszyscy utracili zdolność podejmowania decyzji i nie zauważali, że w Radzie oprócz mnie są cztery inne osoby! - Urwał, szukając słów, którymi mógłby wyrazić przepelniające go uczucia. - Nie wiem, czy przeznaczenie ma wypaczone poczucie humoru, ale czuję się tak, jakbym nie był już sobą. Zhaneel, dawnego Skandranona ubywa z każdą minutą i jego miejsce zajmuje gruby, nudny i bezbarwny Biały Gryf, a ja mogę się tylko bezsilnie przyglądać.

Zhaneel chwyciła drugie dziecko i popchnęła je na stertę poduszek w ślad za bratem, a potem usiadła obok Skana i pociągnęła go za pędzelek na uchu.

- Wojny się skończyły, kochany - wytknęła. - Już nie ma sekretnych misji, nie musisz farbować piór na czarno, żeby zlewać się z nocnym niebem. Nie potrzeba już Czarnego Gryfa. Wszyscy się zmieniliśmy.

- Wiem - westchnął. - Ale... To byłem ja i brak mi tego. Czasami...

czasami czuję, że Czarny Gryf... że on zginął razem z Urtho i została pusta skorupa. Nie wiem już, kim jestem i nie lubię osoby, którą się stałem.

Zhaneel trzasnęła dziobem ze złością.

- Ty możesz jej nie lubić, ale większość z nas bardzo się cieszy, że Skandranon nauczył się odpowiedzialności! Gdybyś się zmienił, byliśmy naprawdę wściekli!

Skandranon skurczył się pod jej oskarżycielskim wzrokiem i spróbował jeszcze raz ubrać w słowa to, co czuł, bez wszczynania kłótni.

- Nie o to chodzi. Po prostu wydaje mi się, że przeszedłem z jednej skrajności w drugą i nie mam czasu na bycie sobą. Jestem wiecznie zmęczony, nie mogę myśleć. Czuję się... nie wiem... zmęczony i stary. Moje obowiązki pochłonęły mnie całkowicie!

Panika w jego głosie przestraszyła gryfiątka, a Zhaneel, zaabsorbowana przychówkiem, nieuważnie poklepała go po ramieniu.

- Nie przejmuj się - rzuciła. - Wiele z siebie dałeś, straciłeś prawie całą siłę między Bramami. Potrzebujesz odpoczynku.

Dlaczego zawsze, kiedy narzekam, że nie czuję się sobą, słyszę tę samą odpowiedź?

- I nie mogę go znaleźć - burknął. Zhaneel go nie rozumiała; jak ona mogła zrozumieć, skoro sam nie wiedział, co się dzieje?

Gryfiątka rzuciły się na niego i przewróciły na podłogę. Zresztą co się z nim działo? Miał to, czego pragnął: normalny dom, kochającą żonę, spokój i na dodatek został przywódcą. Czyż nie powinien być szczęśliwy'?

Rzeczywistość różniła się od jego marzeń: legendy nie wspominały o obowiązkach bohaterów. Widział siebie na tle czerwonego nieba na straży swego kraju, a nic wśród nieskończonych problemów. Być może, nie nadawał się na przywódcę podczas pokoju.

Zhaneel pociągnęła go jeszcze raz za ucho i zniknęła w głębi jaskini, zostawiając Skana z dziećmi. Zabawa z nimi była prawdziwym wytchnieniem i dawała satysfakcję równą tylko aktowi ich poczęcia. Zwinął się w kule i runął na poduszki, pozwalając gryfiątkom na skoki po brzuchu, żałując, że utracił ich beztrąsą.

Czy wszyscy czuli się równie nieszczęśliwi? Wątpił; nie był pewien, kiedy zaczął się ten stan, ale miał zamiar zgłębić swą duszę i znaleźć jego przyczyny. Podczas podróży podtrzymywał ludzi na duchu, wygłaszał płomienne przemówienia i opowiadał legendy. Judeth zajmo-

wała się ochroną uchodźców, Gesten i Bursztynowy Żuraw karmili i zapewniali schronienie, lady Cinnabar przejmowała się zdrowiem - on miał być figurą przypominającą o dawnych dniach, nikim więcej.

Innymi słowy, próżny gryfie, byłeś żywą legendą. A teraz musiał podejmować decyzje. Ludzie i nieludzie żądali, aby rozsądzał spory, i rzadko byli zadowoleni z wyroku; ci pierwsi uważali, że faworyzuje drugich, drudzy, że pierwszych z uwagi na przyjaźń z Bursztynowym Żurawiem. Takie sytuacje straszliwie go denerwowały: skoro już był sędzią, mogli przynajmniej udawać, że się z nim zgadzają! On się starał, a inni wiecznie narzekali! Czasami miał wrażenie, że ludzie wynajdują problemy tylko po to, aby utrudnić sobie życie. Kiedy Biały Gryf był tylko morzem namiotów, nikt nie tracił energii na jałowe spory.

Czyżby nadmiar wolnego czasu był przyczyną problemów? Nie, to zbyt proste rozwiązanie. A może przekleństwo cywilizacji?

Wiem, że armia Urtho miała te same problemy, co wszystkie większe skupiska ludzkie. Kiedy zaś twe myśli nie obracają się tylko wokół przeżycia następnego dnia, wychodzą na jaw złe nawyki. Weźmy tego Hadanelitha: założę się, że dziesięć lat temu robił dokładnie to samo i jedynym powodem, dla którego go nie złapano, było to, że żaden z klientów więcej do niego nie poszedł. Nie wrócili z pola bitwy.

Dziesięć lat temu Hadanelith mógł być zbyt młody, aby zostać kestra'chern; kto wie, może teraz dodawał sobie lat? Większość kestra'chern nie przyłączyła się do k'Leshya i została z niedobitkami armii złożonej z ludzi; k'Leshya ruszyli z nieludźmi z czysto uczuciowych powodów. Obecność Bursztynowego Żurawia zawdzięczali jego przyjaźni ze Skanem. Kiedy ludzie poczuli się bezpieczni i postanowili powrócić do starych zwyczajów, usługi kestra'chern znów okazały się niezbędne.

Przed szumowinami takimi jak Hadanelith otworzyły się możliwości, jakich dotychczas nie mieli... Tak, w tym szaleństwie jest metoda, nawet zbyt dużo metody. Urtho był człowiekiem wielkiej moralności, ale tacy jak on pojawiają się raz na sto lat. Nie tylko anioły przeszły przez Bramy, jednak w zamieszaniu zapomnieliśmy o tym, a później budowaliśmy miasto i nikt nie miał czasu na spiskowanie.

Westchnął przygnębiony: w swej naiwności sądził, że wszyscy podli zginęli podczas wojen. *Obawiam się, że staniemy oko w oko z rozbojami, kradzieżami i pijaństwem szybciej, niż się spodziewamy. Srebrzy-*

ści będą mieli pełne ręce roboty; Judeth po raz kolejny udowodniła, że potrafi doskonale przewidywać nadchodzące kłopoty. Jest mądrzejsza od Białego Głupca.

General Judeth spisała się doskonale: Srebrzyste Gryfy były wspaniale wyszkolone i wyposażone, a ku ogromnej uldze Skandranona ich odznaki nie przypominały ani jego czarnego, ani białego wcielenia.

Myślałem, że żołnierze pójdą na zasłużoną emeryturę albo ograniczą się do zdejmowania z drzew przestraszonych dzieci i kotów, a tu proszę: potrzebujemy policji.

Srebrzyści zawsze poruszali się dwójkami; jeden z nich był myślmówcą, z którym, za pośrednictwem Kechary, porozumiewała się Judeth. Skan był jej za to ogromnie wdzięczny: opieka nad trójką dzieci, z których jedno było wielkości dorosłego, przerastała możliwości Zhaneeel, nawet gdy pomagał jej Cafri, młody hertasi, przyjaciel i opiekun Kechary. Teraz Kechara zniknęła wczesnym rankiem i wracała późnym wieczorem; jej pokój w kwaterze Srebrzystych stał się czymś w rodzaju przedszkola, gdzie dorosłe gryfy zostawiały przychówek, jednak tylko Kechara od czasu do czasu przekazywała wiadomości. Myślmowa nie sprawiała jej trudu, często używała jej zamiast normalnej mowy, zwłaszcza kiedy była zdenerwowana lub zniecierpliwiona. Jako jedyna z dzieci miała prawdziwą pracę i była z siebie niezmiernie dumna.

Tato Skanie - zadzwęczał głosik w jego głowie i Skan zaczął się zastanawiać, czy Kechara przypadkiem go nie podsłuchiwała? Tato Skanie, wujek Aubri mówi, że musisz się o czymś dowiedzieć.

Westchnął z rezygnacją: Aubri był odpowiedzialny za wygnanie Hanelitha z Białego Gryfa. Czyżby coś się nie udało?

Czego chce wujek Aubri, kochanie? - zapytał, wystrzegając się przekazania emocji, na które Kechara była bardzo wrażliwa.

Wujek mówi, że jest na klifie i na dole jest nie nasz statek, i wpływa do doku, i on chce, żebyś przyszedł jak najszybciej, proszę.

Skan poderwał się: obcy statek? Wróg czy przyjaciel?

Powiedz mu, że lecę. Czy mogłabyś powtórzyć wiadomość wujkom Śnieżnej Gwieździe i Tamsinowi i postać Cafri do Judeth?

Tak, tatusiu. Kechara była zawsze chętna do rozmów z Tamsinem. Twierdziła, że „jego myśli łaskoczą”. *Cafri już poszedł.*

- Aubri dostrzegł obcy statek wchodzący do doku - zawołał do Zhaneeel. Ta wypadła z pokoju dzieci, cała zjeżona.

- Czyj? - zapytała.

- Nie wiemy; zwołałem Radę, musimy tam pójść. Mogę wrócić późno. Skinęła głową i popchnęła gryfiatka, które wyszły za nią, z powrotem do sypialni, najbezpieczniejszego pokoju w grocie. Dzieci Wojen Magów zawsze oczekiwały najgorszego.

- Uważaj na siebie - rzuciła przez ramię. - Kocham cię, Skandranonie Rashkae.

- Kocham cię, Jasnooka - powiedział, startując. Wyrównał lot i pomknął w kierunku klifu, gdzie czekał Aubri.

Bursztynowy Żuraw, osłaniając oczy dłonią, obserwował żagiel wydymany wiatrem i przeklinał oślepiające go słońce: nie potrafił rozróżnić żadnych szczegółów. Aubri nastroszył pióra, a jego źrenice rozszerzyły się: wzrok gryfów był nieskończenie lepszy od ludzkiego.

- Oni są czarni! - wykrzyknął zaskoczony. - Ludzie na statku są czarni!

- Jacy? - Skan wyciągnął szyję. - O, do jasnej, Żurawiu, faktycznie! Oni mają czarną skórę, nie brązową, nie pomalowaną, nie opaloną, tylko czarną! Czarną, rozumiesz?

Czarną? Bursztynowy Żuraw w jednej sekundzie zrozumiał, kim byli przybysze.

- Oni muszą być... ale nie jesteśmy aż tak daleko na południu! - Nie umiał złożyć sensownego zdania. Cóż za widok, bredzący kestra'chern, przemknęło mu przez głowę.

Śnieżna Gwiazda utkwiał w nim wzrok.

- Muszą być kim? Czy mógłbyś sprecyzować?

- Haighlei - rzucił, wpatrując się w statek.

- Klej? Jaki klej? - zdenerwował się Skan.

- Nie klej, tylko Haighlei. Cesarze Haighlei, Czarni Królowie; to jedyni czarnoskórzy, o jakich kiedykolwiek słyszałem. Ale, na bogów, nie mam pojęcia, jak się tu znaleźli. - Kątem oka zauważył, że Śnieżna Gwiazda otwiera szeroko usta.

- Wydawało mi się, że jesteśmy na północny zachód od nich. - Judeth nie kryła strachu. Bursztynowy Żuraw rozumiał ją: Cesarstwo Haighlei słynęło z potęgi i tajemniczości. Zauważył, że generał zacisnęła szczęki.

- Nie wiem - przyznał. - Nasi geografowie nigdy nie poznali prawdziwej wielkości Sześciu Narodów, ale obawiam się, że ich państwo rozciąga się od tego morza aż po Morze Słone na wschodzie!

Znal w życiu tylko jedną osobę, która spotkała wysłanników Cesarstwa: swą nieocenioną nauczycielkę, Srebrny Tren. Na początku wojen wyruszyła na południe, na dwór jednego z Królów. Miałaby teraz pięćdziesiąt lat: często zastanawiał się, czy dotarła do miejsca przeznaczenia? Wojny uniemożliwiły odnalezienie jej...

Statek wchodził do zatoki. W porównaniu z łódeczkami rybackimi, wyposażonymi w jeden maszt, ten trójmasztowiec, zdolny pomieścić kilka tuzinów ludzi, wydawał się olbrzymem; jego żagle były czerwono-białe, a na pokładzie uwijała się załoga. Pomalowany na niebiesko kadłub ozdobiono parą oczu, a na środku pokładu wznosiła się część mieszkalna, zaopatrzona w drzwi i okienka. Marynarze nosili białe spodnie i kolorowe chusty na głowach, ale na podwyższeniu stało troje ludzi w wymyślnych, barwnych strojach, jakich Bursztynowy Żuraw nigdy w życiu nie widział. Ich szaty lśniły głęboką czerwienią, wściekłym oranżem i jarzyły się od klejnotów. Kiedy statek zbliżył się, kestra'chern dostrzegł, że wszyscy członkowie załogi uzbrojeni byli w ogromne noże.

Jacy wysocy! Najwyższy wśród nas mógłby przejść pod ramieniem najniższego spośród nich.

Taka była pierwsza myśl Bursztynowego Żurawia. Przypatrywał się uważnie regularnym, wyrazistym, ostrym rysom ich twarzy i geometrycznym, wściekle kolorowym wzorom na szatach trojga - posłów? - oraz ich wysokim kapeluszą i ciężkiej biżuterii. Włosy przybyszów, skręcone jak owcze runo, były czarne jak bezgwiezdna noc: niektórzy przystrzygli je tuż przy skórze, inni zaś mieli fryzury rozczochrane i nastroszone. Trzej posłowie również byli ostrzyżeni; zresztą kapelusze uniemożliwiały noszenie wymyślnych fryzur.

Bursztynowy Żuraw stwierdził, że czarni byli bez wątpienia piękni. I bardzo niezadowoleni. Rzucili kotwicę tuż przed wejściem do zatoki i czekali.

Jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli zgromadzeni na klifie, był szum fal. Judeth pierwsza przerwała ciszę.

- Zdaje się, że czekają na nas - rzuciła sucho.

Nic dziwnego, według nich jesteście barbarzyńcami. Rada jednak była unieruchomiona: wszystkie łodzie wypłynęły w morze na połów.

- Nie są głupi, widzą, że nie możemy podплыnać - sarknął Skan. - Skoro przebyli taki szmat drogi, dodatkowe kilka kroków nie powinno im robić różnicy!

Ale robi i to diabelnie dużą - pomyślał Bursztynowy Żuraw. Jedynym sposobem dostania się na statek był lot, ale nie zamierzali pozwolić Skanowi na samotną wyprawę. Zbyt łatwo mógłby stać się zakładnikiem.

Czuło się, że w powietrzu wisi katastrofa, gdy Haighlei i Kaled'a'in wymieniali spojrzenia i czekali na kolejny ruch; w końcu przybysze podnieśli kotwicę i ruszyli ku nabrzeżu. Aby zachować twarz, przybili do nieznanego nabrzeża z wystudiowaną nonszalancją, której Bursztynowy Żuraw natychmiast im pozazdrościł: Kaled'a'in nie potrafili tak szybko zacumować swych maleńkich łódeczek.

- Są dobrzy - mruknęła Judeth. - Diabło dobrzy. Przypomnijcie mi, żeby spłyć dok. Gdyby okazali się nieprzyjaźni i postanowili wrócić z całą armią, spotka ich niespodzianka.

Marynarze zdążyli już spuścić trap, rozwinąć na nim czerwono-brązowy dywan i ustawić się wzdłuż niego w szeregu: dopiero wtedy wysłannicy zeszli na ląd i stanęli wyprostowani, czekając. Bursztynowy Żuraw poruszył się i widząc kątem oka przyzwalające skinienia Judeth i Skana, wysunął się przed nich. Jako jedyny był przyzwoicie odziany: Śnieżna Gwiazda wystąpił w znoszonych spodniach i bluzie, Judeth miała na sobie prosty, czarny mundur, a ubranie Tamsina dawno nie widziało balii. Kestra'chern uważał, że na zebraniach Rady nie wypada pokazywać się w stroju sugerującym, iż oderwał się właśnie od pielienia ogródka czy czyszczenia narzędzi, i ta elegancja nagle uczyniła z niego przywódcę.

Zrobił kilka kroków i zatrzymał się przed gośćmi w odległości umożliwiającej swobodną rozmowę. Wyraz ich twarzy nie zachęcał do wylewności.

- Witamy w Białym Gryfie - powiedział wolno i wyraźnie, modląc się, żeby przybysze rozumieli jego język. - Jesteśmy Radą miasta. Nazywam się Bursztynowy Żuraw - dodał i przedstawił swych towarzyszy.

Nawet najdrobniejsze drgnienie mięśni nie zdradzało, czy Haighlei go zrozumieli.

- Czy mógłbym poznać powód waszego przybycia? - dorzucił desperacko.

Mężczyzna pośrodku wyjął dłonie z rękawów, a potem odchrząknął.

- Naruszyliście świętą nietykalność ziem króla Shalamana - odparł zimno w wiekowym, lecz poprawnym języku Północy. - Jeśli nie opuścicie ich dobrowolnie, zostaniecie usunięci.

Bursztynowy Żuraw poczuł, że przez głowę przebiega mu tysiąc myśli naraz.

Czy powinienem przeprosić? - zastanawiał się gorączkowo. Błagać o przebaczenie? Czy powinienem wytłumaczyć naszą obecność tutaj? Co robić?!

- Nie ruszymy się ani na krok - powiedziała zimno Judeth. Założyła ręce na piersi i zmierzyła wysłanników lodowatym spojrzeniem. - Nie natknęliśmy się na żadne znaki graniczne ani osady ludzkie w odległości dwóch dni lotu. Stawimy czoło każdej armii waszego króla. Osiedliliśmy się dziesięć lat temu i żadna siła nas stąd nie ruszy.

Bursztynowy Żuraw przygryzł język tak mocno, że poczuł krew w ustach.

Co ona robi, na miłość boską? Nie widzi, że są silniejsi od nas? Czy...

- Żurawiu - odezwał się Skan w Kaled'a'in. - Judeth blefuje. Nie mogą nas stąd wyrzucić, potrzebowałiby oddziałów z najbliższego miasta. Ściągnięcie armii zajęłoby wiele czasu i byłoby bardzo kosztowne. Sam wiesz, że nie użytkowali tej ziemi. Musimy występować z pozycji siły, inaczej przegramy.

Bursztynowy Żuraw zerknął na Judeth, która potwierdziła prawdziwość słów Skana lekkim skinieniem głowy.

Wysłannicy spojrzeli po sobie niepewnie: nie spodziewali się takiego obrotu sprawy.

- Odejdziecie - powtórzył mężczyzna, jednak pewność siebie ulotniła się z jego głosu.

- Mówiłam już, że nie - warknęła Judeth, uśmiechając się paskudnie.

- Jednakże jesteśmy gotowi zawrzeć układ z królem Shalamanem w zamian za nadanie nam tej ziemi.

Wysłannicy przełknęli nerwowo, a potem odwrócili się plecami do Rady i zaczęli szeptać gorączkowo, od czasu do czasu rzucając przez ramię podejrzliwe spojrzenia.

- Judeth. mam nadzieję, że wiesz, co robisz - jęknął Bursztynowy Żuraw.

- Urtho powierzał mi negocjacje ze szczególnie opornymi ambasadorami. Nie zdarzało się to często, ale po takiej szkole nie dam się zastraszyć trzem Haighlei. Skan ma rację, wyrzucenie nas stąd przyniosłoby im więcej szkody niż pożytku. Założę się, że zgodzą się na układ, aby wyjść z twarzą z sytuacji.

Rzecznik odwrócił się nagle.

- Lotu - rzucił ostro. - Powiedziałaś: „Dwa dni lotu”.

Skan zrobił dwa kroki w przód, nieco urażony tym, iż Haighlei nie zauważyli dotychczas ani jego. ani Aubriego, choć oba gryfy były wielkości sporego konia.

- Owszem - rzekł, rozprostowując skrzydła. - My, gryfy, obywatele tego miasta, odbyliśmy loty zwiadowcze we wszystkich kierunkach. - Nie potrafił ukryć błysku satysfakcji w oczach, gdy zobaczył, jak szeroko otwierają usta, zaszokowani widokiem gryfa. - Zdumiałbyś się, wiedząc, jak rozległymi możliwościami dysponujemy.

Rzecznik szybko zamknął usta, jednak twarze dwóch pozostałych zaczęły nabierać niezdrowego, szarego koloru. Ignorując ich, zwrócił się do Bursztynowego Żurawia:

- Przedyskutujemy to - stwierdził krótko i ruszył na statek, zamiatając pył połami swej szaty. Dwaj marynarze natychmiast zwinęli dywan, jednak nie schowali trapu, podkreślając, że nie skończono jeszcze z Białym Gryfem.

- I co teraz? - zapytał Żuraw z furją. Judeth tylko wzruszyła ramionami.

- To oczywiste - pouczył go Skan. - Będziemy czekać. Oraz jeść, rzecz jasna. Czy ktoś jeszcze ma ochotę na drobną przekąskę? Aubri, co powiesz na wyssanie szpiku z kilku solidnych kości tuż pod nosem naszych przemitych gości?

Judeth zasugerowała, żeby „nieodpowiednio odziani” członkowie Rady udali się do domów i wrócili w strojach bardziej reprezentacyjnych.

- Tylko Żuraw jest zawsze nieskazitelnie elegancki - dodała z dziwnym półuśmiechem. Żuraw nie był do końca przekonany, czy potraktować jej słowa jako komplement. Poradziła też, aby Cinnabar zastąpiła Tamsina.

- Właśnie miałem zamiar to zaproponować - westchnął Tamsin, nie ukrywając ulgi. - Ona zna się na takich rzeczach znacznie lepiej ode mnie! Porozmawiam z Kecharą - dodał na odchodnym. - Mam kilka pomysłów, które mogą przyspieszyć bieg rzeczy.

Lady Cinnabar pojawiła się na drodze kilka chwil po jego odejściu; musiała zostać powiadomiona przez Kecharę. Wygląd uzdrowicielki zapierał dech w piersiach: Cinnabar włożyła jedną ze swych rzadko używanych sukni dworskich ze srebrzystego brokatu oblamowanego szmaragdowym jedwabiem; jej jasne włosy lśniły jak czyste złoto. Po-

dażali za nią dwaj hertasi z „odpowiednim odzieniem” dla Śnieżnej Gwiazdy i Judeth: ta ostatnia westchnęła rozdzierająco, widząc paradny mundur, ale nie protestowała i czym prędzej ruszyła do najbliższego hangaru, aby się przebrać.

Bursztynowy Żuraw zachodził w głowę, co zrobią dowódcy powracającej flotyli kutrów, widząc statek blokujący podejście do nabrzeża, postanowił jednak zaufać ich doświadczeniu.

- Tamsin wyjaśnił mi wszystko - odezwała się Cinnabar, bacznie lustrując statek Haighlei. - Muszę ci powiedzieć, że podejście Judeth nie do końca mi odpowiada. Czy rozwścieczanie tych ludzi ma sens?

- Nie sądzę, ale znasz Judeth: kiedy zacznie mówić, żadna siła nie zdoła jej powstrzymać. Wiem, że Haighlei przywiązują wielką wagę do etykiety, a ich kultura jest niesłychanie skomplikowana i modłę się, żeby nasze szokujące zachowanie nie było pretekstem do wypowiedzenia wojny.

- Może nie będzie tak źle. - Cinnabar zacisnęła wąskie usta. - Powinniśmy wykorzystać ich zaskoczenie i naszą barbarzyńską bezpośredniość, którą zapewne uznali za oznakę siły, poprzez wyszukaną kurtuazją. Nie możemy dopuścić, aby uznali nas za gorszych.

Bursztynowy Żuraw odetchnął z ulgą.

- Nie możemy też zastraszyć ich za bardzo - dodał. - Wtedy zaczną nas obserwować i jeśli dostrzegą najmniejszą oznakę słabości, zaatakują. Chociaż z drugiej strony - w oczach błysnął mu złośliwy ognik - jeśli wysłaliby szpiega, bardzo trudno byłoby mu wtopić się w tłum...

Ten moment wybrała Judeth, aby wynurzyć się z hangaru w paradnym mundurze, błyszczącym od baretek i medali, o który hertasi dbali sumiennie przez ostatnie dziesięć lat. Generał nie podarowała sobie jednak wciągnięcia ulubionych, wysokich butów.

- Dobrze, że tu jesteś, Cinnabar - powiedziała. - Grzeczność nie jest moją mocną stroną, w przeciwieństwie do buńczucznych oświadczeń! No cóż, kolej na was - wzruszyła bezradnie ramionami. - Oddaję naszą przyszłość w wasze ręce.

Bursztynowy Żuraw rozluźnił się: nie potrafiłby negocjować, wiedząc, że połowa Rady nie zgadza się z jego poglądami...

- Ja również - powiedział Skan. - Z jedną poprawką: Haighlei nie są przyzwyczajeni do inteligentnych niełudzi. Uważają gryfy i kyree za zwierzęta: pamiętacie, jak im oczy wyszły na wierzch, kiedy się odezwałem? A gdybym tak wystąpił jako tytułarny władca Białego Gryfa?

- Interesujące rozwiązanie - mruknęła Cinnabar. - Natychmiast przestaną uważać nas za barbarzyńców. Tak... uznają nas za najdziwniejsze stwory, jakie w życiu widzieli i dojdą do wniosku, że lepiej z nami nie zadzierać. Podoba mi się ten pomysł!

- Mnie też - rzucił Bursztynowy Żuraw. Śnieżna Gwiazda wyszedł wreszcie z prowizorycznej przebieralni: w granatowej, powiewnej szacie i z koralikami we włosach prezentował się znacznie bardziej imponująco niż Bursztynowy Żuraw. Judeth pokręciła głową.

- No, no, cóż za strój - powiedziała. - Skąd go wzięłeś?

- Ze starej skrzyni - Śnieżna Gwiazda zachował kamienną twarz. - Nie nadaje się do pielienia ogródka i naprawiania murów. Ciekawe, jak nasi goście zareagują na tę nagłą przemianę?

Nie czekał długo na odpowiedź. Kilka chwil później Haighlei wynurzyli się z kabiny, poczekali, aż marynarze rozwiną dywan i zeszli na ląd. Po spojrzeniach rzuconych z ukosa Kaled'a'in wywnioskowali, iż zmiana ubioru odniosła zamierzony skutek.

Pierwszy odezwał się Skan:

- Wasze przybycie zaskoczyło nas - rzekł. - Członkowie Rady Białego Gryfa są zwykłymi obywatelami i mają obowiązki, przy których szkodliwy strój jest tylko zawadą. Uznaliśmy powitanie was za stokroć ważniejsze od przebrania się. Uzdrowiciel Tamsin został pilnie wezwany: jego miejsce zajęła lady Cinnabar.

Cinnabar skinęła lekko głową. Bursztynowy Żuraw czuł, że wraz ze zmianą stroju zmieniło się nastawienie dwóch posłów: odczuli odprężenie i radość, że nie muszą już zadawać się z bandą obdartusów.

- Teraz widać, że nie mamy do czynienia z piratami, za których was początkowo wzięliśmy - powiedział przywódca Haighlei. - Z raportów naszych agentów wynikało, że konstruujecie tu bazę wypadową; jednakże teraz widzimy, że wasze miasto to wspaniała budowla, wzniesiona z myślą o przyszłych pokoleniach.

Myślę, że chodzi mu o to, że walka z nami nie byłaby łatwa... Judeth miała rację.

- Uznajemy was za godnych sojuszników - ciągnął poseł. - Poradzono nam, aby zaproponować wam wyprawę na dwór króla Shalamana.

- Jesteście cywilizowani i odpowiedzialni - dodał mężczyzna po jego prawej stronie. - Przy budowie Białego Gryfa nie zniszczyliście bezmyślnie ziemi; byliśmy przygotowani na spotkanie z bandą rabusiów, a stajemy przed budowniczymi i architektami. Ludzie tacy jak wy na

straży północnej granicy byliby; wielce pożądanymi.

Bursztynowy Żuraw uśmiechnął się, a Skan skłonił.

- Zgadzą się z twymi sądami - powiedział bezwstydnie gryf. - Kiedy rozpoczęlibyśmy negocjacje?

- Natychmiast, jeśli można - odparł poseł bez wahania. - Z chęcią przyjęlibyśmy na pokład dwóch z was z rodzinami i służbą, jednego człowieka i jednego... oj... jednego takiego jak ty - zakończył gładko. - Poczekamy tutaj, aż przygotujecie się do podróży.

Bursztynowy Żuraw uniósł brew: zastanawiał się, czy posłowie mogli sami podejmować decyzje, czy też w jakiś sposób komunikowali się z przełożonymi? Bardziej prawdopodobne było to drugie: ich magia, o ile jej używali, musiała być znacznie stabilniejsza od magii Kaled'a'in.

Skan nie pozostał im dłużny.

- Z przyjemnością przenocujemy was w mieście, choć gościnność nasza będzie tylko bladym odbiciem tej, którą Biały Gryf gotowy będzie ofiarować, gdy ukończymy budowę. Rankiem Bursztynowy Żuraw i ja wraz z rodzinami zaokrętujemy się na wasz korab. Na niczym nie zależy nam tak bardzo, jak na podpisaniu układu.

- Doskonale - ucieszył się poseł, a potem wszyscy trzej zeszli z dywanu. Bursztynowy Żuraw zachodził w głowę, cóż ten gest oznaczał. *Wstępują na nasze terytorium? Zobaczymy... Są młodzi, wysportowani... spacer w górę klifu udowodni im, że Biały Gryf jest gotów do obrony.*

Ruszyli ku miastu. Mężczyzna towarzyszący Żurawowi był od niego wyższy o głowę; kestra'chern obserwował jego ruchy i doszedł do wniosku, że Haighlei musiał być przyzwyczajony do pokonywania dużych odległości na piechotę.

- Jeśli mogę zapytać - powiedział z wahaniem. - Gdzie nauczyłeś się tak płynnie władać naszym językiem? Do nas docierały tylko opowieści o Cesarzach Haighlei, nigdy ich język.

- Och - uśmiechnął się mężczyzna. - To proste. Na naszych dworach zawsze było wielu kestra'chern z północy. Jeden z nich bawi teraz u króla Shalamana.

- Doprawdy?

- Tak. To wspaniała i utalentowana kobieta, powiernica króla. Jest Królewską Towarzystką i doradcą. Zwie się Ke Arigat Osorna, a w waszym języku Srebrny Tren.

Bursztynowy Żuraw twierdził do końca życia, że nigdy wcześniej i ni-

gdy później nie był równie zaskoczony.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zimowa Łania zaciągnęła błękitne żaluzje w drzwiach balkonowych i westchnęła z lubością. Odeszła od okna, wygładziła na sobie suknię pożyczoną od lady Cinnabar, arcydzieło sztuki krawieckiej z kremowego jedwabiu, uśmiechnęła się do Bursztynowego Żurawia, a potem przebiegła przez pokój i rzuciła na łóżko, poruszając pięttrzące się na nim poduszki. Złapała jedną i podparła nią podbródek, patrząc łobuzersko na towarzysza.

- Mamy dwie służące i dwie niańki dla Wietrznej Pieśni, jadamy wyszukane potrawy, mieszkamy w pięciopokojowym apartamencie, jedynym zajęciem Gestena jest dogłądanie Haighlei... Och, mogłabym bardzo szybko przyzwyczać się do takiego życia! - powiedziała. - Cóż za odmiana po pielenu ogródka warzywnego, nastawianiu zwichniętych gryfich skrzydeł i uganianiu się za dwulatka, która myśli, że potrafi latać!

Bursztynowy Żuraw uśmiechnął się, siadając obok.

- Osobiście uważam, że najlepsze są te dwie niańki: dzięki nim mamy szansę na odrobinę samotności we dwoje. Zastanawiam się, skąd Wietrzna Pieśń wie, kiedy ty i ja...

- Empatia. Skoro jest do ciebie tak podobna, niewątpliwie odziedzi- czyła również tę cechę. Wiesz, jakie są dzieci: muszą być zawsze w centrum zainteresowania, więc kiedy mama z tatą zaczynają zajmo- wać się sobą...

- Przemawia przez ciebie racjonalizm - westchnął. - Czy powstrzyma on nasze dziecko od przerywania nam w najbardziej nieodpowiednich momentach?

- Raczej nie, ale mogą zrobić to niańki. - Zimowa Łania uniosła nogi i zamachała nimi jak nastolatka. - Co oznacza, że mamy dla siebie ten czas, którego nie poświęcisz zabiegom dyplomatycznym.

- Nie zapominaj, że teraz też jesteś dyplomata i skakanie po łóżkach wcale nie zwalnia cię z obowiązków - przypomniał. *Kiedy była młodziutką dziewczyną, nie miała na to czasu... Jest doskonałym posłem: wygląda jak urodzona władczyni.*

Płynęli dwa tygodnie do Khimbaty, stolicy państwa Shalamana; w skład delegacji weszli Bursztynowy Żuraw i Zimowa Łania, Skan i Zhaneel, gryfiątka, Wietrzna Pieśń i troje hertasi: Jewel, Corvi i Gesten, któremu rejs upłynął na pouczeniu wszystkich wokół. Kilka

pierwszych dni po przybyciu zeszło im na aklimatyzowaniu się w nowych warunkach: zamieszkali w bliźniaczych apartamentach w pałacu królewskim. Architektura Khimbaty zafascynowała ich, choć widzieli już w swym życiu dziwne i piękne budowle Urtho, Maga Ciszego. Khimbata przypominała żywy organizm: ulice porośnięte były drzewami, a wszystkie płaskie powierzchnie ozdobiono mozaikami przedstawiającymi ptaki, rośliny i zwierzęta. Budowniczości uznali, że linie proste są zbyt banalne: narożniki pozostały nimi tylko z nazwy, gdyż były zawsze delikatnie zaokrąglone; sufity miękko wyginały się w łuk pośrodku pokoju, a lampy miały zawsze kształt kwiatu lub kuli. Utracone Ka'venusho jawiło się przy Khimbacie prostym, zamkniętym i kanciastym miastem.

Ich prywatne kwatery urządzone w pastelach i lekkich, delikatnych materiałach, aby zmniejszyć udrękę upału: cieszyli się, że Khimbata leży najdalej na północ ze wszystkich Królestw i do tego w środku dżungli. Bursztynowy Żuraw słyszał, że na południu istnieje pustynia, na której słońce zabija człowieka w ciągu kilkunastu chwil.

W oficjalnych komnatach rozbuchana miłość Haighlei do kolorów znajdowała swe ujście. Dżungla, będąca dla nich drugim domem, weszła do mieszkań: w słonecznych miejscach rosły ogromne rośliny, a wokół szemrały sadzawki, w których pływały wielkiej leniwe ryby. Po gałęziach wspinały się małe wielkookie zwierzątka, a wśród liści nawoływały się tęczo ubarwione ptaki. Dzięki; nim Bursztynowy Żuraw nie czuł się obco wśród tej dziwacznej architektury: przypominały mu maleńkich posłańców, ocalonych przez Kaled'a'in z pożogi wojennej. Jak posłańcy, potrafiły naśladować ludzkie głosy; zaprzyjaźnił się już z dwoma, różowoczerwonym i zielonozłocistym.

Ściany wyłożono mozaikami w tak jaskrawych kolorach, że aż oczy bolały od patrzenia na nie, a przejścia między budynkami, ocienione i chłodne, przywodziły na myśl ścieżki w dżungli. Sami Haighlei postawili sobie za zadanie zaćmić barwy budynkowi i nigdy nie nosili szat w mniej niż trzech kolorach.

Bursztynowy Żuraw wydobyl z szaf swe najlepsze stroje, a Zimowej Łani przyszła z pomocą lady Cinnabar, która wywiozła z zagrożonego miasta wszystkie swe dworskie suknie, wypychając nimi maty podłogowe na barce. Nie wszystkie przetrwały takie traktowanie, ale po kilku przeróbkach i dopasowaniu ich dla niższej i szczuplejszej Zimowej Łani wyglądały jak nowe. Przez dwa tygodnie rejsu Jewel i Corvi nie

wypuszczaly z dłoni igły i nożyczek, angażując do pomocy Gestena, co setnie ubawiło Skandranona.

Zimowa Łania przyćmiewała męża elegancją i nosiła się jaki na damę wysokiego rodu przystało. Bursztynowy Żuraw był pewien, że życie, jakie teraz wiedli, bardzo jej odpowiadało; rozmyślał o tym, nawijając na palce sznurki. Od lat nikt jej tak nie rozpieszczał: przez ostatnią dekadę sama zajmowała się domem, no, może z drobną pomocą Gestena i Żurawia, a przedtem żyła wśród żołnierzy w armii Urtho, pełniąc funkcję trondi'irn, gryfięgo lekarza. Jednak w porównaniu z Khimbata nawet Urtho mieszkał w spartańskich warunkach...

- Czy Srebrny Tren odwiedzi nas dzisiaj? - zapytała nagle Zimowa Łania.

Spojrzał na nią, szukając w twarzy żony oznak zazdrości, ale ich nie znalazł. Nie zdziwiłyby go jednak: Srebrny Tren należała do tych kobiet, które, się nie starzały i do późnych lat życia zachowywały urodę. Jej włosy posiwiały, gdy była nastolatką, i zapuściła je aż do stóp, zyskując swe imię. Była równie piękna i pełna wdzięku teraz, co dwadzieścia lat temu, gdy ją poznał.

- Co o niej myślisz? - spytał, przekładając sznurki z kciuków na palce wskazujące. - Chcę usłyszeć twoją prawdziwą opinię.

- Lubię ją - odparła z namysłem. - Jeśli można lubić kogoś tak zamkniętego w sobie jak ona. Chciałabym, żeby mnie lubiła, a nie tylko była grzeczna. To, że jest twoją nauczycielką i przyjaciółką, nie ma wpływu na moje uczucia. Lubię słuchać, jak mówi, jest fascynująca. Mam nadzieję, że w jej wieku będę choć w połowie tak piękna...

- Odpowiadam na twoje pytanie: mówiła, że ma zamiar wpaść do nas po południu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Och, my, ludzie z północy, powinniśmy przynajmniej udawać, że robimy coś pożytecznego w czasie, kiedy wszyscy inni śpią - roześmiała się Zimowa Łania. - Na początku naszego pobytu uważałam, że południowa przerwa jest absurdalna, ale teraz nie wyobrażam sobie, jak można stuknąć palcem o palec w takim piekielnym upale. Wietrzna Pieśń bez grymasów kładzie się spać, a to już graniczy z cudem.

- Za to możemy oddawać się życiu towarzyskiemu - podkreślił Bursztynowy Żuraw. - Szczególnie gdy mała „mamo, dlaczego?” śni o różowych motylach. My, ludzie z północy, nie potrafimy spać w dzień!

W drzwiach pojawił się Gesten.

- Żurawiu, Wietrzna Pieśń śpi, a Srebrny Tren już przyszła - zamel-

dował. - Przyjmiecie ją w bawialni czy w ogrodzie?

Żuraw spojrział na Zimową Łanię, pozostawiając jej decyzję.

- W ogrodzie - powiedziała. - Przy sadzawce będzie nam chłodniej niż w bawialni.

Choć było tuż po południu, kamienne posadzki nagrzały się do tego stopnia, że wewnątrz domu nie można było swobodnie oddychać. Dopiero zmrok przyniesie ulgę.

- Przynajmniej powinno być, inaczej po co budować sadzawki? - rzucił sucho Gesten. - Jewel zajmie się przekąskami.

- Gestenie, byłbym wdzięczny, gdybyś to ty nas obsłużył - powiedział Bursztynowy Żuraw.- Nie sądzę, abyśmy mówili rzeczy mogące zagrozić racji stanu, ale nie wiem, jak Haighlei przetłumaczą sobie nasze gesty.

Gesten skinął głową: było publiczną tajemnicą, że służący donosili swym przełożonym o wszystkim, co zobaczyli i usłyszeli. Dlatego Zimowa Łania wybrała ogród: szum fontanny zagłuszał słowa.

Dyskrecja, dyskrecja na każdym kroku... ale jeśli alternatywą jest wojenna flotylla Haighlei... Miał nadzieję, że Srebrny Tren i powie im więcej o tym, jak wysocy rangą i urodzeniem mieszkańcy Khimbaty są nastawieni do delegacji z Białego Gryfa; głównie z tego powodu umówili się na spotkanie.

Zimowa Łania wstała i wygładziła suknię; razem ruszyli do ogrodu. Każdy apartament w pałacu posiadał taki ogród, a sam kompleks pałacowy składał się z luźno rozrzuconych pawilonów, połączonych korytarzami i ogrodami. W każdym ogrodzie rosło wielkie drzewo i było źródelko: na szczęście dla Haighlei nie istniał problem ogrzewania podczas mrozów...

Ich ogród składał się z wielu sadzawek wypełnionych wodnymi liliami i irysami; Gesten rozstawiał mały stoliczek pod drzewem. Srebrny Tren siedziała na obramowaniu jednej z sadzawek, karmiąc rybki; podniosła się, kiedy nadeszli i ucałowała oboje. Usiedli, a Gesten przyniósł półmisek pełen zimnych owoców. Zimowa Łania sięgnęła po wachlarz z liści palmowych i zaczęła machać nim energicznie.

- Czy tu kiedykolwiek bywa chłodno? - zapytała desperacko. Srebrny Tren potrząsnęła głową.

- Nigdy. Czasami w zimie zdarzają się chłodne noce, ale wtedy po prostu przykrywasz się cieplejszym kocem. Tęsknię za śniegiem!

- Przyjedź z wizytą do Białego Gryfa, a będziesz miała śniegu pod do-

statkiem - odparł Bursztynowy Żuraw.

- Obawiam się, że to niemożliwe - westchnęła Srebrny Tren. - Jestem jednym z głównych doradców Shalamana jak już wiecie; oprócz mnie ma on tylko Leyueta, Prawdomówcę, i Palisara, Rzecznika Bogów, a ich ocena rzeczywistości pozostawia wiele do życzenia, więc wolę nie opuszczać dworu. Właśnie dlatego chciałam z wami porozmawiać, tym bardziej że zadomowiliście się już w Khimbacie.

- Doprawdy? Jestem wzruszona twoją troską, pani - powiedziała ostrożnie Zimowa Łania.

Srebrny Tren parsknęła dźwięcznym śmiechem.

- Cóż za grzeczność! - zawołała. - Jakież północny dwór cię wychował?

- Niektórzy rodzą się z tym talentem - wtrącił szybko Bursztynowy Żuraw, któremu rozmowa sprawiała niekłamaną przyjemność i przypominała dawne dni spędzone z Zimową Łanią podczas ucieczki przed wojskami Ma'ara. *Za żadne pieniądze nie chciałbym przeżyć ich ponownie, ale jestem wdzięczny za doświadczenie, jakie ze sobą przyniosły. A Zimowa Łania dała mi tak wiele...*

Srebrny Tren skłoniła głowę, uznając się za pokonaną w szermierce słownej.

- Czasami jednak dobrze jest pozostawić dyskreję w domu i porozmawiać jak przyjaciel z przyjacielem - rzekła. - Chciałabym, żebyście zrozumieli, do jakiego świata zawitaliście.

- Przyznaję, mam z tym pewne trudności - stwierdził Bursztynowy Żuraw. - Nie wiem, jak się zachować, i wolę nic nie robić, niż spowodować niemiłe zdarzenia. - Zimowa Łania zgodziła się z nim, energicznie kiwając głową.

- Twoje instynkty dobrze ci radzą - powiedziała Srebrny Tren po chwili milczenia. - To najlepszy sposób na przeżycie tutaj: bezczynność. Czy nie uderzyło was nic dziwnego na dworze? Kształty, przedmioty... Znane, ale wiekowe?

Bursztynowy Żuraw zmarszczył brwi: nie potrafił wyjaśnić, skąd brało się to dziwne poczucie swojskości, jakiego doświadczał w Khimbacie. Jego żona nie miała podobnych wątpliwości.

- Znajduję tu odbicie naszej przeszłości - odparła natychmiast. - Widzę ją wszędzie: w szatach, zwyczajach, nawet w jedzeniu.

- Tak właśnie jest - potwierdziła Srebrny Tren. - To Północ sprzed stuleci. Dlatego zrozumiałam tych ludzi: oni jednocześnie nienawidzą zmian i kochają je.

- Nie rozumiem - wyznał bezradnie Bursztynowy Żuraw.

Srebrny Tren machnęła niecierpliwie wachlarzem.

- Haighlei za wszelką cenę starają się unikać zmian. Ich zwyczaje nie zmieniły się od setek lat, a nasz sposób życia, związany z ciągłym ulepszaniem i przeprowadzaniem się z jednego miejsca na drugie jest nieomal herezją, bo gdyby bogowie pragnęli zmian, nakazaliby je wyraźnie. Święte księgi Haighlei zakazują ich surowo: jedynie bogowie mogą poprawić świat.

- W takim razie w jaki sposób trafiły tu nasze zwyczaje? - zdziwiła się Zimowa Łania.

- Dobre pytanie. Jak się możecie domyślić, wielu ludzi pociąga to, co zakazane. Poza tym Haighlei nie są głupi i szybko zrozumieli, że bez zmian społeczność zacznie butwieć, więc dawno temu wprowadzono poprawki do świętych ksiąg. Co dwadzieścia lat ma miejsce zaćmienie słońca, największe święto Haighlei. Im więcej słońca zniknie, tym większe zmiany można wprowadzić. Są to jednak zmiany zewnętrzne: zaadaptowali to, co znali z opisów Północy, na przykład kestra'chern.

- Kestra'chern sprzed setek lat? - zaryzykował Żuraw.

- Dwustu, trzystu... Wtedy kestra'chern należeli do elity naszego społeczeństwa i żyli w luksusach - westchnęła Srebrny Tren, a polem wyceLOWAŁA w nich złożony wachlarz: - Wy dwoje możecie mieć nieprzyjemności: ucieleśniacie zmianę. Haighlei zaakceptują was tylko wtedy, gdy Shalaman oficjalnie nakaże wam uczestnictwo w Ceremonii Zaćmienia. Miejcie się na baczności Rzecznik Bogów otwarcie protestuje przeciw waszej obecności.

- Rozumiem - mruknął kestra'chern. - W jaki więc sposób możemy zjednać sobie ten lud?

- Delikatną perswazją. Obecność Skana jest wielce pomocna: jego... hmm... niecodziennosc odsuwa myśli Haighlei od zmian, jakie pociągnie za sobą wasze przybycie. Ja zostałam zaakceptowana dlatego, że kestra'chern mieli tu ustaloną pozycję. Musicie mieć się na baczności i uważać na każde wypowiedane słowo, inaczej zostanieie uznani za barbarzyńców, z którymi nie warto wchodzić w układy.

- A oprócz tego? - wtrąciła się Zimowa Łania.

- No cóż, Haighlei mają to do siebie, że wszystko biorą dosłownie. Jeśli poprosisz kogoś, żeby popilnował twojego pieska, popilnuje go. Ale nie miej do niego pretensji, że nie zauważył złodzieja kradnącego twoją sakiewkę!

- Opowiedz nam o Ceremonii Zaćmienia - zażądał Bursztynowy Żuraw. Srebrny Tren uśmiechnęła się marząco.

- Jak się domyślacie, wszystko zaczyna się od zaćmienia...

Zhaneel przeciągnęła się: gorące popołudnia rozleniwiały ją równie mocno, jak wszystkich Haighlei. Jej dzieci już dawno zasnęły w słońcu, a ponieważ od ich urodzenia nie mogła zmrużyć oczu na dłużej niż kilka chwil, z ochotą nadrabiała niedostatki snu, wylegując się w gnieździe z jedwabnych poduszek.

Nagle zauważyła, że do ogrodu wchodzi jeden ze służących: najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Skierował się w stronę gryfiątek, skulonych jak koty i śpiących słodko w pobliżu wodospadu, którego szmer zastępował kołysanki; pochylił się i wyciągnął dłoń.

To nie był najlepszy pomysł: małeństwa, nagle wyrwane ze snu, instynktownie atakowały intruza i bogu ducha winny służący mógł nawet stracić rękę. Podniosła głowę i chrząknęła dyskretnie. Mężczyzna podskoczył przerażony, przez chwilę wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, a potem zaczął się cofać, powtarzając coś. Zhaneel nie rozumiała jego języka, ale domyślała się, o co chodzi.

Dobra kicia, grzeczna kicia. Nie zjadaj mnie, kiciu...

- Nie bój się, nie wiedziałam, że wchodzisz - powiedziała. Było to jedno z trzech zdań w Haighlei, jakie poznała. Ponieważ mężczyzna nie zareagował, dodała drugie: - Nie obudź dzieci. - A kiedy i to nie poskutkowało, trzecie: - Nie jadam niczego, z czym mogłabym porozmawiać.

Służący wrzasnął i uciekł.

Zhaneel westchnęła i złożyła głowę na łapach. *Biedny głupiec. Czy nikt im o nas nie powiedział?* Haighlei nie byli uprzedzeni, ale ich kontakty z wielkimi, szponiastymi stworami nie wyszły nigdy poza relację myśliwy - ofiara, w różnych konfiguracjach. Nie spodziewali się, że gryfy są inteligentne, ale Skan robił wszystko, co w jego mocy, aby przekonać lud Khimbaty o swej nieszkodliwości.

Nawet ci, którzy akceptują naszą inteligencję, nie potrafią zrozumieć, jak możemy być pełnoprawnymi obywatelami Białego Gryfa - przypomniała sobie. *Dobrze, że to nie ja muszę się o to martwić. Ja mam być tylko piękna i siedzieć cicho, a stary Skan musi grać rolę króla Białego Gryfa.*

Tym razem to ją zaskoczyło czyjeś ciche chrząknięcie. Podniosła głowę

wę, zastanawiając się, czy w końcu się zdrzemnie.

- Makke! - zawołała, momentalnie zapominając o śnie. - Czyż to możliwe, żebyś nie miała nic do roboty? Czy skusi cię propozycja dotrzymania mi towarzystwa?

Makke była bardzo stara: jej kręcone włosy przypominały owcze runo również kolorem, a plecy zgięły się pod ciężarem lat. Miała pooraną zmarszczkami twarz i kościste dłonie, ale jej siły zdawały się niespożyte. Zhaneel nic potrafiła ukryć zaskoczenia, gdy staruszka zapytała najczystszym językiem Północy, czy maleństwa będą potrzebowały specjalnej toalety; od tego czasu Makke stała się niezbędną. Gryfiątka uwielbiały ją i potrafiły godzinami słuchać jej bajek.

- Nie powinnam - odparła Makke, choć Zhaneel była pewna, że chętnie przyłączyłaby się do niej. - Jeszcze nie skończyłam pracy, pani. Przyszłam tylko zapytać cię o coś.

- Och, Makke, nie każ się prosić; bardziej potrzebuję twego towarzystwa niż zamiecionych po raz trzeci podłóg. Chciałabym dowiedzieć się więcej o Khimbacie i o tym, jak unikać kłopotów.

- Ale maleństwa gubią pióra... - zaprotestowała słabo służąca.

- Wobec tego twoje zamiatanie pójdzie na marne - przerwała Zhaneel.
- Poza tym jest zbyt gorąco na pracę.

Makke, przekonana, usiadła obok gryficy i zaczęła się wachlować.

- Pani Gryf, przestraszyłaś kolejnego ogrodnika. Przysięga, że wyskoczyłaś z rykiem z krzaków, i mówi, że jego noga nie postanie w ogrodzie, dopóki ty w nim będziesz.

- Ach, to ten, który tu był przed chwilą - parsknęła Zhaneel. - Byłaś tuż obok, słyszałaś ryk? Czy to moja wina, że głupiec boi się nawet własnego cienia?

- Nie, pani. Powiem zarządcy, że ogrodnik zmyślał.

Umilkły na moment i wsłuchały się w szum fontanny.

- To ty powinnaś być zarządcą - powiedziała Zhaneel. - Znasz nasz język i wiesz tyle o innych służących... Nie boisz się nas i umiesz przekonać innych, że nie jesteśmy krwiożerczymi potworami. Pracujesz lepiej od zarządcy.

Makke potrząsnęła głową i wygładziła żółtą tunikę.

- To niemożliwe, pani. Zarządca urodził się zarządcą, a ja służącą i tak z woli bogów musi pozostać. Nie opowiadaj takich rzeczy innym, bo oskarżą cię o bezbożność. Ja służyłam Srebrnemu Trenowi i znam północny sposób myślenia, ale inni...

Zhaneel potrząsnęła głową, zaskoczona.

- Dlaczego? - zapytała. - Dlaczego mówienie podobnych rzeczy miało-
by być bezbożnością?

Makke w milczeniu zastanawiała się nad odpowiedzią, wachlując się powoli. Nigdy nie odpowiadała pochopnie na zadawane pytania.

- Wszystko zostało zapisane - powiedziała w końcu. - Cesarze, których zwiecie Czarnymi Królami, stoją nad śmiertelnikami, a słuchają tylko bogów. Bogowie mają swą hierarchię i obowiązki, więc tak samo musi być na ziemi: śmiertelnicy mają wyznaczone miejsca, obowiązki i kasty, z których najwyższą są Cesarze, a najniższą zbieracze gnoju. Tylko dusza może wędrować pomiędzy kastami; bogowie byli kiedyś śmiertelnikami i nagrodzono ich za dobre uczynki i pobożne życie. Rodzisz się, żyjesz i umierasz w kaście i choćbyś starała się ze wszystkich sił, nigdy nie zostaniesz nauczycielem, skoro pochodzisz spośród służących. Jedyne awans, jaki cię czeka, to z posługaczki w kuchni na pokojówkę.

- Nic się nie zmienia? - Zhaneel otworzyła szeroko dziób ze zdziwienia. Wypowiedź Makke była dla niej zupełnym zaskoczeniem, ale dzięki niej zaczynała pojmować pewne rzeczy. - Nigdy?

- Tylko wtedy, gdy tak zarządzi cesarz, a Prawdomówca i Rzecznik Bogów zgodzą się z nim. Bogowie muszą nakazać zmianę. Wszystko, co pochodzi spoza Imperium, zostaje do niego włączone jako kolejna kasta. Na przykład kestra'chern; czy to prawda, że Bursztynowy Żuraw do nich należy?

- Tak! Jest jednym z najlepszych, może nawet lepszym od Srebrnego Trenu. Był przyjacielem Urtho, Maga Ciszy. - Zhaneel uwielbiała chwalić się zdolnościami przyjaciela.

- A jednak nie ma rangi, służy, komu chce, i został wysłannikiem. - Makke potrząsnęła głową. - Tutaj byłoby to niemożliwe: kestra'chern są starannie podzieleni na grupy zgodnie ze swymi zdolnościami i każda grupa służy odpowiednim rodom szlacheckim, nikomu innemu. Srebrny Tren mówiła, że tak było na Północy pięćset lat temu, kiedy to Murasa, cesarz Shelass postanowił sprowadzić ich na nasze ziemie. Wierzę w jej słowa. Srebrny Tren to światła kobieta.

Zhaneel zamrugnęła, zapamiętując wszystko dokładnie, aby później podzielić się nowinami ze Skanem. *Żadnej zmiany... Nie mają tu ludzi z inicjatywą?*

- Naszym życiem rządzą skrybowie - w głosie Makke zabrzmiał żal. -

Każdy, od zamiataacza ulic po cesarza, ma swoją teczkę w archiwach. Mówią, że cesarzowi poświęcono całą bibliotekę! On urodził się władcą i nie może abdykować, a ja pozostanę służącą, chociaż wiem więcej niż większość wielmożów.

- A co z gromadzeniem dóbr? Można chyba zarobić tyle, aby żyć w luksusie? - zapytała Zhaneel. *To niewątpliwie byłaby jakaś forma inicjatywy...* - pomyślała.

- Można zgromadzić tylko tyle, ile według pism przysługuje danej kaście; jeśli masz już dom, ubranie i sprzęty nakazane prawem, cóż ci przyjdzie z pieniędzy? Lepiej oddać je świątyni, aby zapewnić sobie odrodzenie w wyższej kascie. Kapłani mówią bogom o twej hojności i dlatego wielokrotnie dawałam świątyniom pieniądze.

Zhaneel udało się wreszcie zamknąć dziób.

- To mnie... zadziwia - wyjąkała. - Nie umiem sobie wyobrazić życia wśród takich nakazów!

- Nam one nie przeszkadzają - uśmiechnęła się Makke. Straszne podejrzenie zaświtało w głowie Zhaneel.

- Makke, mówienie o tym jest zabronione, prawda?

- Cóż, owszem, ukarano by mnie za sposób, w jaki przekazałam te wiadomości, ale nikt nie będzie zawracał sobie głowy staruchą, której się wszystko poplątało i plecie trzy po trzy - zaśmiała się. - Ach, przywileje starości... nareszcie mogę mówić to, co myślę! Uwierz mi, gdyby ktoś nas podsłuchał, doszedłby do wniosku, że jestem niespełna rozumu. Wielu ludzi i tak uważa mnie za wariatkę, bo czytam książki i mówię obcymi językami.

- Muszę to przemyśleć - powiedziała słabo Zhaneel. - Błagam cię, powiedz, jak mamy uniknąć popełnienia fatalnych błędów?

- Zaufajcie Srebrnemu Trenowi. Poznała już dwór na tyle, aby nie dać się złapać w pułapkę; wybawi was z opresji i nie pozwoli, abyście stracili grunt pod nogami. Ja nie znam się na dworskich sztuczkach.

- Musimy więc strzec się upokorzenia? - spytała Zhaneel. Makke przytaknęła.

Tak, w tym społeczeństwie upokorzenie to śmiertelna pułapka... Jak dziwni są ci ludzie!

- Musisz wiedzieć coś jeszcze - ciągnęła służąca. - Dobrze, że jesteśmy same. Gesten powiedział coś, z czego wywnioskowałam, że Pan Gryf też jest magiem.

Zhaneel ostrożnie skinęła głową: w twarzy Makke wyczytała ostrze-

żenie i strach.

- Powiedz mu, że nie może pod żadnym pozorem użyć magii, chyba że sam Cesarz czy Rzecznik Bogów mu nakazą - głos starej kobiety zniżył się do szeptu. - Magię kontrolują Mówcy, kapłani, bo pochodzi ona od bogów i tylko Cesarz może zdecydować, kiedy jej użyć.

- Jak to? - rzuciła ostro Zhaneel. - Magowie to najbardziej niezależne istoty, jakie znam!

- Zwyczajnie - ucięła Makke. - Każde obdarzone dziecko kapłani zabierają od rodziny, zanim skończy ono siedem lat, płacąc słony okup. Potem wychowują je i szkolą, a po skończeniu osiemnastego roku życia wraca do rodziny jako Mówca. Mówię „on”, a przecież dziewczęta też bywają zabierane, ale ponieważ są zazwyczaj bardziej uzdolnione niż chłopcy, kończą szkolenie, gdy mają szesnaście lat.

- To nadal nie tłumaczy, jak kapłani mogą ich kontrolować - stwierdziła Zhaneel.

- Szkolenie, pani - prychnęła Makke. - Pierwszy rok poświęcony jest tylko na wpojenie im posłuszeństwa. Wiem, bo moja córka została kapłanką; dlatego pozwolono mi się uczyć: żebym mogła ją zrozumieć, gdy wróciła. Dzieci są uważnie obserwowane i jeśli któreś z nich ma jakieś wady, na przykład kłamię, kradnie albo używa magii ze szkodą dla innych, wtedy... - zawahała się - pozbawia się magii. Całkowicie.

Zhaneel poczuła, jak jej pióra na karku jeżą się na dźwięk głosu Makke.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że je zabijają? - zapytała.

- Kiedyś tak robiono. Magia to straszliwa siła, szczególnie w nieczystych dłoniach: jak można pozwolić, aby władał nią szaleniec? Teraz kapłani pozbawiają dziecko możliwości kontaktu z mocą i odsyłają do rodziny. - Makke zamyśliła się na moment. - Myślę, że lepiej byłoby, gdyby je jednak zabijali.

- Dlaczego? - nie zrozumiała Zhaneel.

- Pomyśl, Pani Gryf. Dziecko nie może już korzystać z magii, odsyła się je zhańbione do rodziny, wszyscy wiedzą, że jest nieczyste: cóż za los je czeka? Nigdy nikt mu nie zaufa, żadna kobieta nie przyjmie jego oświadczyn, nie zajmie eksponowanego stanowiska. Jeśli pochodzi z niskiej kasty, będzie wykonywał najpodlejsze prace, a jeśli z wysokiej, ciągle ktoś będzie go pilnował. Widziałam kiedyś kogoś takiego, zaiste, żaloszna istota. W domu jego ojca bardziej poważają najniższego kuchetę. Dyshonor dotyka każdego, niezależnie od kasty.

- Czy taka osoba nie może nic zrobić? - zapytała Zhaneel.

- Oczywiście, że może: ofiarować tyle złota świątyni, aby bogowie okazali się łaskawi i oszczędzili mu podobnych doświadczeń w przyszłym wcieleniu. Lepiej umrzeć, bo cóż znaczy człowiek, który nie może pracować?

Zhaneel nie miała zamiaru klócić się ze staruszką; przynajmniej Haighlei potrafił i zapobiec pojawieniu się potworów pokroju Ma'ara!

Zniosłabym prawie wszystko, byle kolejny Ma'ar nie stąpał po ziemi. Prawie. I trzeba założyć, że system działa bez zarzutu.

- Czy kapłani pomylili się kiedykolwiek? - zapytała.

- Czy kiedykolwiek ukarali dziecko, które nie było skalane? Nic mi o tym nie wiadomo, a widziałam wiele dzieci w świątyniach. Kapłani nie igrają z mocami. Ten człowiek, o którym wspomniałam, zasłużył na to, co go spotkało: manipulował każdym, nawet własną matką, gdy żyła. Wielu z niższych kast przekonało się na własnej skórze o jego podłości.

Zhaneel w zamyśleniu czyściła szpony. Makke zniżyła głos.

- Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć. Nie chciałam ci tego mówić, bo wiem, że to, co usłyszysz, zdenerwuje cię.

- A dotyczy to...?

- Istnieje pewien rodzaj magii, który jest bardziej zabroniony niż inne - Makke prawie szeptała. - Boję się, że wy, ludzie Północy, traktujecie ją zwyczajnie i gdybyście się z tym zdradzili... Wolę o tym nie myśleć. Czy wy... praktykujecie magię... która zagląda w ludzkie umysły?

- Zdarza się nam. - Zhaneel poczuła, że wszystkie pióra na karku stanęły jej dęba, jak wtedy, gdy latała na patrole. - Nie jestem do końca pewna, o co ci chodzi, ponieważ zajmujemy magię inaczej. Dlaczego pytasz?

- Bo ten rodzaj magii jest absolutnie zakazany. Mogą go używać tylko kapłani rozmawiający z bogami. Nic przesadzam, pani, to bardzo ważne.

- Na przykład Leyuet? - Zhaneel nie kryła zaskoczenia: nie wiedziała, że Prawdomówca był kapłanem. Nie wyglądał na takiego.

- Tak - mruknęła Makke, rozglądając się wkoło. - Ta magia jest nieczysta - dodała z przekonaniem. - Dzięki niej śmiertelnicy mogliby podejrzeć sekrety bogów. Nawet Prawdomówca nie może jej używać: bada duszę, a nie umysł. Jeśli władacie tą magią, pod żadnym pozorem nie używajcie jej tutaj!

Nie możemy ani słowem wspomnieć o Kecharze, a Bursztynowy Żuraw musi postępować bardzo ostrożnie.

Makke wsiała i odłożyła wachlarz.

- Czas na mnie - rzekła. - Kobiecie w moim wieku należy się odpoczynek, ale czeka na mnie praca, której nie można powierzyć takim głupcom, jak ten ogrodnik. Pewnie rozpowiada wszędzie, że Jewel i Corvi tylko czekają, aby go rozszarpać!

Zhaneel roześmiała się na myśl o tym, jak niewielkie hertasi rzucają się z rykiem na trzy razy większego mężczyznę, a potem przesunęła w bardziej zacienione miejsce, ale senność opuściła ją bezpowrotnie.

Makke jest nauczycielką bez tytułu! To wyjaśnia, dlaczego uczyła się naszego języka: Pólnoc musiała ją bardzo ciekawić, a odpowiedzi na pytania mogła uzyskać jedynie od Srebrnego Trenu. Cóż za odwaga...

Niewątpliwie fascynowały ją gryfy i hertasi, dlatego zaprzyjaźniła się z Gestenem i Jewel.

A później okazało się, że jesteśmy ta bezbronni jak ślepe kocięta, więc postanowiła zostać honorową babcią gryfiątek. Skoro jej jedyna córka jest kapłanką... Haighlei nakazują celibat. Zhaneel westchnęła. Ciekawe, czy córka wstydzi się matki, która sprząta w pałacu? Kapłani zawsze mają gęby pełne frazesów o pokorze, a gdy mają dać świetlany przykład... Z tym gorzej. Muszę zasięgać porady Makke częściej, niech poczuje się doceniona.

Jej ostrzeżenia... Dobrze, że nie możemy używać magii, gdy odczuwalne są skutki kataklizmu.

Oczywiście, Zhaneel ostrzeże Skandranona, a ten Bursztynowego Żurawia. Nie była pewna, na ile kestra'chern władał magią umysłu, ale powinien się wystrzegać jej użycia. Podobnie Zimowa Łania.

Uzdrowianie! Tego Haighlei nie mogą zabronić! Och, jak to dobrze, że nie wspomnieliśmy o Kecharze. Jej zdolności przerażą każdego z Haighlei, a fakt, że jest taka... prosta i wypaczona, tylko ich rozwścieczy.

Postanowiła, że nie pytana nie odezwie się słowem.

Oczywiście, mogą zapytać, w jaki sposób porozumiewamy się tak szybko z Białym Gryfem, więc Skan powinien oficjalnie poprosić Shalamana o zezwolenie na magiczną komunikację z resztą Rady. Nie powinni się opierać, ich postowie robili to samo! Skan jest sprytny, wymyśli coś, jeśli go przycisną. Zawsze może powiedzieć, że porozumiewamy się za pomocą ptaka-pościańca, i nie skłamię.

Gdyby Shalaman postanowił wysłać ambasadorów do Białego Gry-

fa...

Czy musimy im mówić o Kecharze? Jej pokój wygląda jak wielkie przedszkole. Ambasadorzy mają w zwyczaju klepanie dzieci po główkach na oficjalnych przyjęciach, nie przyjdzie im do głowy, że ona nie jest zwykłym dzieckiem. Cafri powstrzyma ją przed upadnięciem w tarapaty.

Zhaneel poczuła, że robi się senna; zamknęła oczy i powtórzyła sobie jeszcze raz przebieg całej rozmowy. Potem przeciągnęła się i odpłynęła w łagodne objęcia snu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zimowa Łania poruszała się wśród Haighlei odzianych w pomarańczowoczerwone szaty z zadziwiającą lekkością, zupełnie jakby była jedną z nich; przypominała lilię rosnącą wśród dali. Jej suknia z jasnego jedwabiu przyciągała wzrok, podobnie jak przyciągałyby go szaty Haighlei na jednym z dworów Północy... gdyby na Północy istniały jeszcze dwory. Ze strzępów wiadomości, które do niej dotarły, Zimowa Łania wywnioskowała, że nikt z Kaled'a'in nie znał prawdziwych rozmiarów kataklizmu.

Nie myśleliśmy o ziemiach, które porzucamy, zbyt zajęci ocaleniem własnej skóry - pomyślała, wymieniając grzeczne uśmiechy ze szlachcianką i jej bratem. Wiedzieliśmy o zniszczeniu Wieży Urtho, ale nie zastanawialiśmy się nad losem innych.

Gdy Ma'ar zginął, podbite przez niego królestwa ogarnął płomień wojny domowej i szaleństwa. Zimowa Łania uśmiechnęła się gorzko: gdyby ich mieszkańcy nie posłuchali bredzeń Ma'ara o podboju i zwycięstwie, nie stoczyliby się teraz do poziomu barbarzyńców, wydzierających sobie łupy przy pomocy miedzianych noży i zaostrzonych kijów. Świetna cywilizacja legła w gruzach za sprawą jednego szaleńca.

Kataklizm dotknął nie tylko królestwo Ma'ara, ale i inne państwa, których obywatele parali się magią. Wieści znad wybrzeży Morza Słonego były przerażające: miasta, do których żywność dostarczano Bramami, głodowały, wybuchały w nich bunty i zamieszki, a z zachodu nadciągały hordy rozbójników, niegdyś służących w armiach. Zimowa Łania nie łudziła się, że tylko ludzie Ma'ara stali się rozbójnikami: wielu ich własnych żołnierzy, pozbawionych dowództwa, na pewno wykorzystano okazję, aby się szybko i łatwo wzbogacić.

Jakże łatwo jest uważać bezimiennego wroga za potwora, jednak żołnierze są wszędzie tacy sami: wykonują rozkazy - Nie pogodziła się jeszcze z tą myślą, ale żyjąc z Bursztynowym Żurawiem, nauczyła się szukać prawdy i akceptować ją. Po kataklizmie nie ostał się centralny rząd, a największymi jednostkami administracyjnymi były małe miasteczka, ogrodzone i ufortyfikowane. Ludzie musieli na nowo odkryć uroki życia bez magii, a to wymagało czasu. Cywilizacja Północy zniknęła. Tak twierdzili Haighlei.

K'Leshya nie mieli powodów, aby im nie wierzyć. Łączność z innymi klanami została zerwana, głównie dlatego, że uciekając, zbudowali aż

dwie Bramy i przemierzili taki szmat drogi. Żaden z myślmówców nie potrafił pokonać tej odległości, nie mówiąc już o ptakach-posłańcach, których życia nie chcieli ryzykować nadaremnie.

Jesteśmy zdani na siebie i pozostała nam tylko nadzieja, że inne klany przetrwały. Musimy tutaj zbudować nowe życie i potrzebujemy mocnych fundamentów.

Dlatego znalazła się wśród obcych ludzi, w obcych szatach i przyzwyczajają się do nich, aż w końcu przestali być obcy, i zapragnęła mieć ich ciemną skórę zamiast swej jasnej. Przemykała wśród nich jak srebrna rybka pomiędzy wielkimi, leniwymi karpami, przejmując nieświadomie ich taneczny, lekki chód i stając się częścią dworu. Dawno temu nauczono ją, jak stawać się częścią obcych dworów, na długo przed tym, jak została Zimową Łanią, trondi'irn w Szóstym Skrzydle gryfów Urtho, Maga Ciszy. Dawno temu nosiła inne imię, a jej ramiona przygniatał ciężar odpowiedzialności. Teraz pozbyła się go, odrzuciła razem ze starym imieniem i galerią dostojnych przodków. Ale dotyk jedwabiu na ciele obudził dawne wspomnienia i wymieniając uśmiechy i banalne uwagi, wiedziała, że za każdym z nich skrywać się może niebezpieczeństwo, a od tego, czy w porę dostrzeże podstęp, zależy los jej i jej przyjaciół.

Czasami miała wrażenie, że jest mieczem w starej, dobrze znanej pochwie lub rozżarzoną ostrzem zatopioną w bryle lodu. To prawda, była Zimową Łanią, ale także kimś jeszcze. W Khimbacie zaczęła wykorzystywać siłę, o której dawno zapomniała, i to odczucie bardzo ją ucieszyło.

Bursztynowy Żuraw zaufał jej instynktowi.

- Przebywałem wśród wysoko urodzonych - powiedział przed wejściem na salę. - Wiem, jak się wśród nich zachować, ale nigdy nie byłem jednym z nich, w przeciwieństwie do ciebie. Ty nie musisz udawać, że należysz do ich świata, i wierz mi, kochana, dostrzegą to na pierwszy rzut oka. Bądź więc sobą, a ja zadowolę się patrzeniem na ciebie.

Jak sokolnik wypuścił ją na wolność, licząc, że wróci na jego rękawicę. Zimowa Łania wróci, bo jak prawdziwy sokół kochała swego sokolnika.

Przypominamy trochę więź-ptaki, z którymi zwiadowcy Kaled'a'in porozumiewają się, myślmówiąc. Zastanowiła się, co pomyśleliby o tych ptakach Haighlei? Nie widziała tu zbyt wielu zwierząt domowych. Nie

mieli koni...

Są tu owce, kozy i krowy, te garbate, włochate stwory, na których przemierzają pustynię i osły, psy wielkości cieląt i naprawdę niewiele wielkich kotów, które udomowili. Żadnych kociaków, koni ani ptaków drapieżnych. Rozmawiając z jednym z posłów, zastanawiała się leniwie, jaki wpływ na Haighlei miałyby sprowadzenie tych zwierząt. Koty wywołałyby spore zamieszanie tak wśród psów, jak i dam, które na pewno chciałyby mieć takiego „małego tygrysa” na własność.

A gdyby zacząć handlować? Mieszkańcy Białego Gryfa potrzebowali porządnych lemieszki do pługów, a nie przekutych mieczy, wytrzymałych kutrów rybackich, które nie pójda na dno podczas pierwszej burzy, i nasion roślin, które nie zmarnieją w upałach. W zamian mogli zaoferować koty i konie, na przykład te z hodowli Lwiego Wiatru - który narzekał, że jego wspaniałe wierzchowce marnują się u dyszla - i zdolnych rzemieślników.

Biżuteria Haighlei, choć ładna i kosztowna, była masywna, brakowało jej finezji. Skoro podziwiali ozdoby Zimowej Łani, mogliby skusić się na inne północne błyskotki.

Dziwne, czuję się tak, jakbym urodziła się na tym dworze...

Haighlei władali niewyobrażalnie rozległym terenem: dwa Cesarstwa rozciągały się między Morzem Słonym i Morzem Wschodnim, a na południu cztery inne dzieliły między siebie ogromny kontynent. Władcę zwano zamiennie „królem” i „cesarzem”, co konfundowało Zimową Łanię.

Młoda kobieta uśmiechnęła się szeroko, widząc przed sobą Srebrny Tren. Kestra'chern odziana była w srebrzystą szatę, podkreślającą piękno jej rozpuszczonych włosów.

- Doskonale ci idzie, siostrzyczko - powiedziała Srebrny Tren cicho. - Obserwowałam cię: Bursztynowy Żuraw jest szanowany ze względu na swą pozycję w Białym Gryfie, ale ty uosabiasz władzę.

Zimowa Łania zaczerwieniła się.

- Skandranon zaćmiewa nas wszystkich - odparła. - Sama jego obecność zdziała więcej, niż wszystkie moje słowa.

- Nie doceniasz się, moja droga, to jedyny błąd, jaki popełniasz. Ale Haighlei widzą wszystko i potraktują cię z należyтым respektem.

Odeszła, a Zimowa Łania zaczęła zastanawiać się nad słowami kestra'chern. Dotychczas uważała się tylko za żonę posła, ale istotnie, ludzie na dworze traktowali ją nie jak zwyczajną szlachciankę.

Traktowali ją jak równą królowi Shalamanowi.

Król we własnej osobie siedział na podwyższeniu pośrodku sali. Nie zasiadał na tronie, a na rzeźbionej w kształt lwa ławie. Opasywała go lwia skóra, zamotana na szafranowożółtej szacie i spięta złotym pasem, a na piersi miał złotą lwia paszczę, zwieszającą się z grubego kołnierza. Spoglądał prosto przed siebie i Zimowa Łania nie mogła uwierzyć, że ma on ponad sześćdziesiąt lat: oceniłaby go najwyżej na trzydzieści, gdyby nie zupełnie białe włosy; jednak to mogło być efektem przedwczesnego siwienia albo wystawienia na energię węzłów magicznych. Na Północy wszyscy adepci magii mieli białe włosy.

Jedynym zadaniem króla było zaszczycać zgromadzenie swą obecnością, ale Zimowa Łania miała wrażenie, że niewiele uchodzi jego uwadze.

Wobec tego niech się przekona, że Zimowa Łania jest urocza, wygadana i nieprzenikniona - postanowiła, odwzajemniając uśmiech jednego z Haighlei. Nie mogła sobie pozwolić na najmniejsze przeoczenie.

Palisar jednym okiem obserwował dworaków, drugim cesarza, który był szczególnie zainteresowany jedną osobą: bladą kobietą z Północy.

- Ta cudzoziemka... - mruknął Shalaman do Rzecznika Bogów. - Wydaje mi się, że doskonale się czuje wśród nas.

- Tak, Spokojny. - Palisar nie zamierzał okazywać otwarcie swej niechęci do przybyszów. Shalaman zbyt cenił Srebrny Tren, a obcy cieszyli się jej względami; dla kestra'chern, służącej mu lojalnie od lat, cesarz poszedłby na każde ustępstwo. Jeden z posłów był jej dawnym uczniem, a fakt, że zamieszkali na terenach jeszcze nie zasiedlonych przez Haighlei, tłumaczył ich impertynencję.

Nie znaczy to jednak, że są nam równi. Powinni zostać naszymi podwładnymi, suwerenami, nikiem więcej - zżymał się w myślach Palisar.

Shalaman otworzył usta i powiedział coś, co nieomal przyprawiło Rzecznika Bogów o atak serca:

- Chcę, żebyś zaniósł jej lwie lilie i wyraził tym moje zadowolenie, iż tak dobrze czuje się na dworze, i zaprosił ją jutro na spacer w ogrodach królewskich.

Oblicze króla pozostało nieprzeniknione, a ton głosu sugerował, że właśnie poprosił Palisara o dostarczenie nowej lwiej skóry, a nie wprawienie we wściekłość wszystkich szlachcianek na dworze. Oczywiście, Shalaman był synem bogów, ale nawet syn bogów nie mógł na-

ruszać świętych praw! Tylko lata praktyki pozwoliły Palisarowi zachować spokój, jednak uznał za stosowne zadać jedno pytanie...

Lepsze jedno pytanie niż wrzeszczenie na króla!

- Czy to rozsądne, Wasza Spokojność? - wyszeptał. - Oni dopiero co przybyli, czy nie zostanie to poczytane za faworyzowanie obcych? Wielu z twych sprzymierzeńców nie dostało łaski spaceru w królewskich ogrodach, a damy, które prawdziwie zasłużyły na lwie lilie, nigdy ich nie otrzymały.

Palisar czuł, jak w gardle dławia go słowa, których nie odważył się wypowiedzieć: *To szaleństwo! Jak możesz w ogóle myśleć o zalecaniu się do tej kobiety z barbarzyńskiego rodu, gdy otaczają cię tuziny najpiękniejszych księżniczek Haighlei? Obrazisz ich ojców! Obrazisz je same! Cóż ona ma takiego w sobie, czego nie ma Srebrny Tren? Znał odpowiedź na to pytanie: obca była młodsza, nowa i małżeństwo z nią scementowałyby układ między Khimbata a Białym Gryfem.*

- Znam moich sprzymierzeńców i wiem, do czego są zdolni - odparł Shalaman. - Nie muszę umacniać tych związków, łącząc się z ich córkami, a owe damy, które według ciebie zasłużyły na lilie, są nudne. Daj kwiaty pani Zimowej Łani, powtórz moje słowa i wracaj z odpowiedzią.

Palisar nie mógł nie posłuchać rozkazu: wyjął z brązowego Wazonu trzy lilie, wywołując natychmiastowe zainteresowanie zgromadzonych i ruszył przez salę. Kwiaty kołysały złotymi płatkami i rozsiewały wokół intensywną woń. Trzy lilie: zainteresowanie. Cztery: otwarta propozycja. Tuzin przysłany wraz z naszyjnikiem ze złota, brązu i bursztynu: oświadczyzny. Palisar przypominał sobie mowę kwiatów, kątem oka widząc, jak mijane damy nie potrafią ukryć grymasu rozczarowania. Gdy podszedł do Zimowej Łani, tej wymoczkowatej, chudej kobiety, czuł na plecach spojrzenia wszystkich obecnych. Zauważył, że cudzoziemka pokryła zmieszanie lekkim ukłonem.

Przynajmniej wie, jak się zachować. Bogowie, sprawcie, aby okazała się idiotką i zmęczyła Shalamana jedną rozmową.

- Pani - rzekł, panując nad głosem. - Cesarz przysłała ci lwie lilie wraz ze słowami zadowolenia, że tak dobrze czujesz się na jego dworze. Zaprasza cię na spacer w ogrodach królewskich.

Podał jej lilie, modląc się, aby je upuściła: Shalaman nie mógłby zignorować tak straszliwego omenu. Nie: przyjęła je zrecznie i z uśmiechem, nieświadoma tego, jaki właśnie zaszczyt ją spotkał. Nie miał

zamiaru jej tego uświadamiać: być może, w jutrzejszej rozmowie wyrwie się z czymś, czego cesarz nie będzie mógł zaakceptować...

- Proszę powiedzieć cesarzowi, że nic jestem warta jego uwagi i komplementów, jednak wdzięcznam za to, iż promienie jego słońca padły na skromną północną lilijkę. Z wielką radością przyjmuję jego zaproszenie, choć nie zasługuję na podobne przywileje.

Palisar uśmiechnął się nieszczercze: gdzie, u licha, nauczyła się takich odpowiedzi? Pokora i wdzięczność w idealnych proporcjach, delikatna aluzja do lilii... Wspaniale, po prostu wspaniale. Skłonił się i wrócił do cesarza, czując w lewej skroni ból, który, jak wiedział z doświadczenia, przed końcem wieczoru stanie się torturą. Rzecznik Bogów zawsze cierpiał na dotkliwe migreny, kiedy zanosilo się na kłopoty.

Shalaman nie od razu odezwał się do Palisara, gdy ten zajął swe miejsce przy cesarskim boku; obserwował Zimową Łanię i zazdrosne spojrzenia, rzucające jej zewsząd przez damy, które nie potrafiły dobrze ukryć swych uczuć. W końcu przemówił do Palisara, ale tonem tak obojętnym, jakby zamierzał wymienić kilka uwag na temat pogody. Palisar nie dał się zwieść.

- I co powiedziała?

Palisar powtórzył to, co usłyszał.

Przez kilka chwil panowała cisza, a potem Rzecznik Bogów usłyszał coś, co natychmiast powiększyło jego ból głowy.

Shalaman śmiał się.

Jak oni oświetlają te ogrody? Nie używają lamp magicznych, a wszędzie jest jasno jak w dzień! Musimy się tego nauczyć, Białemu Gryfowi przyda się taka wiedza - Skandranon zlustrował rozciągający się przed nim teren: nie był to zwykły ogród, ale naturalny amfiteatr, na zboczach którego, pomiędzy krzewami i kwiatami, ustawiono ławeczki dla publiczności. Wygładził pióra i wolno ruszył w dół.

Jak zawsze po wieczornym posłuchaniu następowała część mniej oficjalna, w której król nie musiał uczestniczyć. Skan sądził, że to wynik południowej drzemki: nikt nie miał ochoty na sen przed północą. Król jednak często pojawiał się wśród poddanych, co gryfa niepomrotnie dziwiło. Gdyby on miał do dyspozycji takie ogrody... *Ech, chciałbym, żebyśmy kiedyś mieli podobne w Białym Gryfie, z grotami i ustronnymi miejscami jakby stworzonymi z myślą o zalotach. Malowniczy krajo-*

braz zasiedlony przez hertasi, tervardi, kyree, gryfy i ludzi, może Haighlei właśnie?

Tego wieczoru zapowiedziano pokaz tańca specjalnie na cześć gości z Białego Gryfa. Skan nie nazwałby tego tańcem, raczej przedstawieniem: Haighlei obce było spontaniczne puszczanie się w tany. Teraz zatańczą Królewskie Tancerki, szkolone w swym kunszcie, odkąd skończyły pięć lat. Przedtem Skan poznał tylko kilku ludzi, którzy uczyli się tańczyć; na Północy każdy był samoukiem.

Żuraw mówił, że przed wojnami istniały zespoły taneczne, więc pewnie ludzie zbierali się, aby patrzeć na ich występy, jak tutaj.

Tancerki „należały” do króla, jak magowie „należeli” do kapłanów: tańczyły tylko dla niego. Gdy były zbyt stare, aby występować, zaczynały uczyć, o ile wcześniej nie wyszły za mąż. Poślubienie Królewskiej Tancerki uważano za wielki zaszczyt, a związek nie mógł zostać konsumowany, dopóki nie znaleziono kogoś na jej miejsce w zespole.

Czworo posłów miało zasiąść na szczycie budowli w kształcie piramidki, wzniesionej pośrodku amfiteatru. Skana bardzo rozczarowała wiadomość, że nie będzie mógł wystąpić: tak bardzo chciał zaimponować zgromadzonym!

Innym razem. Mistrzynie obiecała, że będę brał udział w następnym występie, podczas którego planuje akrobacje powietrzne.

Następne przedstawienie nawiązywało do starej legendy i Mistrzynie zatytułowała je *Feniks tańczący ze smokiem*. Skandranon miał wcielić się w feniksa, ducha ognia i powietrza, a tancerki na ziemi utworzą długi korowód symbolizujący smoka, ducha ziemi i wody. Oczekiwanie na występ nieznośnie się gryfowi dłużyło.

Dobrze, że nie tańczę dziś wieczorem, będę mógł obserwować ich styl i sposób poruszania się.

Zhaneel i inni zasiedli już na szczycie piramidki: sztywny protokół nakazywał, aby najważniejszy wśród gości zajął swe miejsce jako ostatni. Cztery tancerki podeszły do niego, powiewając zielononiebieskimi szatami; żadna z nich nie miała więcej niż jedenaście lat. Skłoniły się głęboko, a Skan odpowiedział tym samym, czując, jak naciąga sobie wszystkie mięśnie grzbietu. Ruszyli w kierunku piramidki, a Skan zastanawiał się, o czym szepczą zebrani wokół Haighlei? Czy biały gryf wydaje im się niebezpieczny, czy piękny?

A może i taki, i taki? Mam nadzieję. Wiem, że jestem piękny, ale agresji nie było we mnie od paru lat...

Zajął honorowe miejsce obok Zhaneel i docenił jego lokalizację, umożliwiającą podziwianie nie tylko tancerek, ale i abstrakcyjnych wzorów, w jakie układały się ich szaty w czasie występu.

Fascynujące. Muszę je bardzo uważnie obserwować... Poruszył się i nieoczekiwanie zauważył plamę koloru na tle szarości piór Zhaneel, zieleni szat Bursztynowego Żurawia i bieli sukni Zimowej Łani. Cóż to było? Ach! Zimowa Łania trzymała trzy wielkie, złociste lilie.

No, no, interesujące. Musiała je dostać na dworze, a ja tego nie zauważyłem. Że też zagadałem się z Leyuetem! Ciekawe, kto jej dał te kwiaty?

Prawdopodobnie Bursztynowy Żuraw, nieuleczalny romantyk, tylko skąd je wziął? Skan nie widział nic podobnego w ogrodach, ba, sam Gesten, niestrudzony poszukiwacz roślin, też ich nie wypatrzył. Już otwierał dziób, aby zapytać Zimową Łanię, ale właśnie w tym momencie rozległa się muzyka. Królewscy Muzycy w niczym nie przypominali północnych bardów i minstrelów, a od grajków Kaled'a'in różnili się jak dzień od nocy. Podobnie jak tancerki szkolono ich od wczesnego dzieciństwa i nosili jednakowe stroje. W orkiestrze słyszało się co najmniej tuzin różnych instrumentów perkusyjnych oraz różne rodzaje dzwoneczków, cymbałów, wibrafonów i gongów; co najmniej połowa muzyków w coś uderzała. Skan szybko dodał do nich resztę, szarpiącą struny, jeżdżącą po nich smyczkami albo dmącą w trąby i flety i stwierdził, że szczerze współczuje tym, co siedzieli zbyt blisko orkiestry.

Ogłuchłbym, zanim skończyliby przygrywkę. Ale kiedy słucha się z odpowiedniej odległości, muzyka jest porywająca. Przypomina mi...

I nagle zrozumiał: muzyka przeszywała go, czuł drżenie każdej kości i pióra na skrzydłach, była podniecająca jak seks. Jak taniec na niebie, gdy w uszach pulsuje krew.

Stare, dobre czasy, kiedy byłem szczupły, silny, żywotny, szybki i czarny... Ach, wspomnienia...!

Tancerki przyjęły pozycję, wyciągając prawe ramię i przechylając się w tył tak mocno, że Skan poczuł ból karku od samego patrzenia. Ruszyły, i gryfa pochłonęło studiowanie każdego ich ruchu.

- Dobrze się bawiłeś? - zapytała Zhaneel z krzywym uśmiechem, przyglądając się dzieciom ponad ramieniem Skana. Ten ziewnął: przedstawienie trwało do północy, a gratulowanie muzykom, tancerkom i choreografowi potrwało prawie tak długo, jak sam spektakl.

Wspaniały spektakl!

Maleństwa zwinęły się w kłębek, z którego wystawały dwie głowy, cztery skrzydła i nieokreślona liczba kończyn - innymi słowy, przyjęły swą ulubioną pozycję. W ciągu dnia, rozplaszczone na zimnych kamieniach, przypominały zmoczone kocięta: teraz wyglądały jak kula puchu.

- Doskonale - odpowiedział Skan, ruszając za swą towarzyszką do sypialni. Służący przygotowali już ich miejsce spoczynku: pokój był sprzątnięty, a drzwi na balkon otwarte na całą szerokość. Lekki wietrzyk, niosący ze sobą zapach kwiatów kwitnących tylko w nocy, poruszał zasłonami.

Zhaneel jest słodka jak zapach tych kwiatów.

- Tancerki są wspaniałe. Nigdy nie widziałem czegoś podob... - zaczął Skan, przeciągając się leniwie. Przerwało mu gwałtowne łomotanie do drzwi. Gryfy wymieniły zaskoczone spojrzenia: goście? O tej porze?

Kogo lichy niesie? Nie ma powodów, żeby niepokoić nas w środku nocy! Chyba... Skan poczuł chłód wzdłuż kręgosłupa. *Chyba że coś stało się Żurawiowi albo Zimowej Łani.*

Służący, który otworzył drzwi, powiedział coś szybko, a potem cofnął się, wpuszczając nocnego gościa. Do komnaty wszedł Leyuet, Prawdomówca króla Shalamana. Wyraz jego twarzy nie zwiastował niczego dobrego, podobnie jak widok towarzyszącej mu dziesiątki uzbrojonych po zęby strażników.

Nie podoba mi się to!

- Proszę udać się ze mną - powiedział Leyuet drżącym głosem. - Natychmiast.

Skan wyprostował się dumnie i zmierzył Prawdomówcę spojrzeniem.

Będę udawał wściekłego i nadętego; jeśli to pułapka, łatwiej będzie się z niej wyrwać.

- Dlaczego? Jest już po północy, czas do łóżek. Jestem posłem mego ludu i kieruję się własną wolą. Co sprawiło, że wpadasz do moich komnat ze zbrojnymi? Dlaczego ktoś chciałby mnie widzieć? Cóż tak pilnego nie może czekać do rana? - warknął.

Czy spróbują rozdzielić Zhaneel i mnie? Czyżbyśmy z własnej woli stali się zakładnikami? Czy Żuraw się mylił, twierdząc, że Srebrny Tren nas ochroni?

Leyuet podniósł na niego zmęczone i przerażone oczy.

- Musisz ze mną pójść - rzekł, składając dłonie na piersi. - Proszę.

Nie zmuszaj mnie do użycia siły. To dla twojego dobra.

- Dlaczego?

- Ponieważ zostało popełnione morderstwo. - Skan dopiero teraz zauważył, że twarz Leyueta miała barwę popiołu. - Dokonało go skrzydlate stworzenie władające magią.

Zhaneel została z dziećmi; Skan cieszył się, że nie musiała uczestniczyć w tym, co nastąpi, choć wiedział, że nie zmruży oka do jego powrotu. To będzie dla nich obojga długa noc...

Został aresztowany: na szczęście on i inni nie ruszali się z platformy podczas przedstawienia, czego cały dwór był świadkiem, więc jego „areszt” nie potrwał długo. Wystarczyło wyciągnąć z łóżek pół tuzina szlachciców, aby zeznali, że żaden z posłów nie opuścił swego miejsca. Protokół wymagał, aby najpierw przesłuchano najwyższego rangą spośród przybyszów; gdyby winni byli jego podwładni, mógłby ich wydać i zachować twarz.

Shalaman czekał w sali tronowej. U stóp podwyższenia stało sześćo- ro zaspanych Haighlei: tancerka, służący, trzech dworzan i poseł innego Królestwa. Kiedy skończyli składać zeznania, Leyuet przetłuma- czył Skanowi słowa Shalamanana:

- Król pragnie usłyszeć twoją opinię na temat tego, co zaszło. Będiesz nam towarzyszył w miejscu zbrodni; masz skrzydła i jak sam kiedyś wspomniałeś, władasz magią. Możesz dostrzec coś, co nam umknęło.

A mam inne wyjście? Odmowa byłaby bardzo podejrzana, a oni już uważają, że mam nieczyste sumienie.

Skan skłonił się głęboko.

- Powiedz królowi, że z radością pomogę wam odnaleźć sprawcę tej ohydnej zbrodni - rzekł, starając się wyglądać równie spokojnie i dumnie jak siedzący na lwiej ławie Shalaman.

Poczekali na przybycie Palisara, Srebrnego Trenu, kilku kapłanów i żołnierzy dzierżących oszczepy równie dekoracyjne, co użyteczne, a potem udali się do wieży, którą zamieszkiwali szlachetnie urodzeni. Kiedy szli opustoszałymi korytarzami, Skan czuł na grzbiecie spojrzenia wielu par oczu obserwujących ich zza uchylonych drzwi i strach, gęstniejący jak mgła. Ludzie wiedzieli, że wydarzyło się coś złego; plotki zaczynały krążyć.

Mam tylko nadzieję, że nic wyglądam jak więzień prowadzony na miejsce kuźni!

Komnaty ofiary mieściły się na ostatnim piętrze wieży: aby do nich dotrzeć, musieli pokonać cztery kondygnacje drewnianych schodów, jedyną możliwą drogę ucieczki, jak podkreślał Leyuet co drugi stopień.

Nie musieli szukać ciała. To, co z niego zostało, nadal leżało tuż przy drzwiach. Skan nie znał ofiary, a imię wymienione przez Leyueta nic mu nie mówiło. Być może, rozpoznałby twarz, ale z twarzy niewiele zostało. Nie tylko z, twarzy zresztą: ciało zostało rozdane, a jego strzępy zwisały ze ścian: kilku gwardzistów pobladło, a Palisar i Leyuet wybełkotali przeprosiny i wypadli na schody, przyciskając dłonie do ust. Król, który w swym długim życiu widział niejedno, był wyraźnie wstrząśnięty, ale nic poza bladością nie zdradzało uczuć Srebrnego Trenu. Skan zastanawiał się, skąd ta kobieta czerpie siły.

Była na pierwszej linii frontu i widziała tereny spacyfikowane przez Ma'ara. W porównaniu z rym, co wtedy ujrzała, te zwłoki są w dobrym stanie.

Skan obszedł pokój, obserwując uważnie wszystkie ślady walki i omijając kałuże krwi. Skromne umeblowanie ułatwiało zadanie.

- Niech mi Wasza Spokojność wybaczy - mruknął przez ramię. - Być może, uznacie mnie za nieczułą bestię, ale jestem wojownikiem - przyjrzał się z bliska szczególnie wielkiej plamie krwi. - Moich ludzi spotykał gorszy los. Srebrny Tren opowiadała wam o Ma'arze i wojnach, a także o tym, że niejedno w życiu widziałem. Myślę, że właśnie mojemu doświadczeniu zawdzięczam, iż poproszono mnie o pomoc.

Srebrny Tren przetłumaczyła jego słowa. Shalaman powiedział coś. Skan spojrział na kestra'chern.

- Jego Spokojność mówi, że zabita kobieta była dziś wieczór na dworze i opuściła ogrody na krótko przed rozpoczęciem tańca. Sprzeciwiała się przymierzowi z Białym Gryfem i postanowiła dać wyraz swemu niezadowoleniu.

Cudownie: jestem pierwszym podejrzanym.

- Nie wiedziałem, że żywiła tak silne uczucia względem nas - rzekł Skan. - Nie moją sprawą jest wtrącanie się w poglądy Haighlei. Po pierwsze, to nie mój lud i Wasza Spokojność postępuje tak, jak uznaje za stosowne. Po drugie, czyny mówią więcej niż słowa: moje zachowanie zdziała więcej, niż przemówienia wszystkich dyplomatów świata.

Shalaman uśmiechnął się, a gryf wrócił do pracy. Użył wzroku magicznego, choć nie oczekiwał, że zadziała: bywały dni, kiedy wszystko wokół spowijała mgła energetyczna, zbyt gęsta, aby cokolwiek dojrzeć,

a czasami nie dostrzegał niczego i zastanawiał się, czy zawodziły wtedy jego oczy, czy też po prostu nie było czego oglądać. Tym razem pokój zalewały fale energii, które skutecznie uniemożliwiały obserwację. Zbliżył się do okien, ale nie zauważył na nich śladów krwi, sugerujących, że morderca zbiegł tą drogą, ani śladów pazurów na parapetach, które zostawiłby gryf. Opowiedział głośno o swych obserwacjach.

- Czy morderstwa mógł dokonać mag? - zapytał Leyuet.

- Oczywiście - przytaknął Skan. - Pod warunkiem, że zgromadził ilość energii wystarczającą na pokonanie obecnych trudności, z których wasi kapłani musieli zdać wam raport. Wtedy mógł zabić tę kobietę na odległość, nie wchodząc do pokoju. Większość ran zadano, gdy ofiara straciła przytomność lub już nie żyła. Według mnie, była martwa, kiedy się nad nią pastwiono - dodał, wyliczając przemawiające za tym szczegóły. Leyuet tłumaczył, rzucając tęskne spojrzenia w kierunku wyjścia na schody.

Jeśli mają mnie oskarżyć o morderstwo, muszę, szybko przestawić się na ich sposób rozumowania!

- Nie wiem, czy morderstwa dokonano za pomocą magii, czy używając siły fizycznej - podsumował Skan. - Morderca miał czas, aby tu wejść i wyjść nie zauważony, bo służący ofiary oglądali spektakl. Nie potrafię powiedzieć, czy przyleciał, czy wszedł po schodach: mógł bez przeszkód dostać się do środka, gdyż wejście do wieży tonie w cieniu. Wyćwiczeni mordercy zazwyczaj nie rzucają się w oczy. Przykro mi, że nie potrafię powiedzieć nie więcej.

Srebrny Tren przetłumaczyła, Shalaman powiedział coś, czego Prawdomówca i kobieta słuchali z ponurymi minami.

- Skandranonie - kestra'chern zawahała się. - Wolałabym ci tego nie mówić... Król jest przekonany o twojej niewinności, ale inni nie będą podzielać jego zdania. Musisz oddać się w jego ręce.

- Co to oznacza? - rzucił gryf ostro. Wiedział, że odpowiedź mu się nie spodoba.

- To oznacza, że musisz zgodzić się na stałą obecność jednego z Oszczepów Prawa, a noce spędzać w celi bez okien. Tylko w ten sposób zawsze będziemy wiedzieć, gdzie się znajdujesz - Srebrny Tren bezradnie rozłożyła ręce. - To dla naszego wspólnego dobra.

Doskonale: czarny oszczepnik będzie ze mną chodził nawet do łazienki, a w nocy wsadzą mnie do celi, zamkną drzwi i wyrzucą klucz. Wielkie dzięki za zrujnowanie mojego życia seksualnego, Zhaneel nie

jest zainteresowana trójkątami!

Spędzanie nocy w pokoju bez okien pociągało go jeszcze mniej: w tym klimacie podobne pokoje nosiły miano „łazni”. Nie miał wyboru.

- Doskonale - warknął, nie ukrywając wściekłości. - Powiedz im, że cierpienie uszlachetnia. Dam się zamknąć. Nie widzę innego wyjścia.

- Ja też nie - odparła Srebrny Tren, wzdychając. Skana przerażała teraz tylko jedna myśl.

Jak ja to wytłumaczę Zhaneel? '

W komnatach oddanych im do dyspozycji znalazł się pokój bez okien, pierwotnie używany jako składzik; przerobiono go na sypialnię. Na szczęście dla Skana nie był on zupełnie pozbawiony cyrkulacji powietrza: zapomniał o wilgoci i o tym, że Haighlei nigdy nie zamykali niczego w pomieszczeniach bez wentylacji, chyba że chcieli założyć hodowlę pleśni. Składzik miał wykute w ścianach cztery otwory wentylacyjne.

- Przynajmniej światło słoneczne nie będzie nam przeszkadzać w spaniu - stwierdziła filozoficznie Zhaneel. Jej szpony przypominały ludzkie dłonie na tyle, że potrafiła zapalić świecę, inaczej Skan byłby skazany na siedzenie w ciemności, bo zakazano mu używania lamp magicznych. - A kiedy maleństwa zerwą się rano i zaczną wrzeszczeć, będziemy odizolowani od tego dźwięku.

Skan powstrzymał się od stwierdzenia, że nie jest to dostateczna rekompensata za spanie w miejscu tylko trochę większym od szafy.

- Wolałbym, żeby znaleźli inne rozwiązanie - powiedział, padając na łóżko. - Sketi, dlaczego tu w ogóle przyjechaliśmy? Gdyby mnie tu nie było, nie podejrzewaliby nikogo z Białego Gryfa!

- Jesteś pewien? - zapytała łagodnie, przytulając się do niego i ciągnąc delikatnie za pędzelki na uszach. - Pomyśl: to morderstwo zostało zaplanowane tak, aby zrobić w niejednego z nas. Gdyby Judeth tu była, ofiara zostałaby zabita przez wyszkolonego wojownika, a dla Cinnabar przygotowaliby wiwisekcję. Albo podrzucili do komnaty broń z Północy.

- Hmm... Ale co to oznacza?

- Ktokolwiek to zrobił, nie zdawał sobie sprawy, że byłeś w tym czasie obserwowany przez setki oczu. Musimy zachowywać się godnie, z wdziękiem i czekać, aż znajdą jakieś dowody. Potrzebują motywu: może ta kobieta miała wroga albo coś zginęło z jej komnaty? - Wzruszyła

ramionami. - Zresztą nieważne. Uważam, że w całą sprawę zamieszana jest magia.

- Oszalałaś? Tutaj na każdego maga przypada pięciu strzegących go kapłanów!

Zhaneel nie odpowiedziała, więc sam zaczął się zastanawiać.

- No tak... to duży kraj, zdarzają się wypadki. Jakies dziecko mogło uciec ze szkoły. Z takimi zdolnościami, bez nadzoru...

- Zeszło na złą drogę - dokończyła jego towarzyszka.

- Owszem. I poszukało towarzystwa innych wykolejenców...

- A oni wykorzystali jego zdolności jako broń. Myślę, że ofiara miała jakiegoś wroga, który postanowił się jej pozbyć. A kiedy morderca mógł działać, nie narażając się na schwytanie?

- Podczas tańca. Ale, ale, wszyscy wiedzieli o przedstawieniu. W końcu odbyło się na naszą cześć!

- Nie wszyscy: tylko dworzanie. To, że zbrodnia przypominała czyn gryfa, może być jedynie zbiegiem okoliczności, zwłaszcza że dokonano jej w gniewie - wytknęła. - Morderca miał szczęście, że nikt go nie uważał wchodzącego i wychodzącego. Zdarzają się tacy szczęściarze - spojrzała na niego z błyskiem, w oku. - Sam wiesz o tym najlepiej.

- Huhrrr - mruknął zakłopotany. Zhaneel miała rację: zdarzały się nieprawdopodobne zbiegi okoliczności. - Musiał być dobry i szybki. W życiu go nie złapiemy.

- Jeśli nie zdarzy się nic innego, cała sprawa przycichnie w ciągu tygodnia - pocieszyła go. - Nawet Palisar twierdzi, że to nie mogłeś być ty. Gdybyś użył magii, potrzebowalbyś czasu i odosobnienia, a przecież wiadomo, że na magii nie można polegać. A poza tym zostawia ślady. Jeśli nie znajdą dodatkowych dowodów, za kilka dni gwardziści przestaną deptać nam po piętach, a szukaniem mordercy zajmie się policja.

Skan westchnął, pieszcząc jej ucho.

- Jak zawsze masz rację. Za kilka dni przestaną nas podejrzewać.

Powiedziałem coś, co ją uspokoi. Dlaczego sam w to nie wierzę?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Krótko przed wieczorem Skan usłyszał znajome pukanie do drzwi.

- Nic mi nie mów - warknął, widząc przed sobą Leyueta i Oszczepy Prawa. - Sam zgadnę. Kolejne morderstwo?

Leyuet przytaknął. Jego twarz przeorały bruzdy, a włosy posiwiwały widocznie w ciągu kilku ostatnich dni.

- Kolejne morderstwo. Kolejny przeciwnik traktatu. Tym razem w zamkniętej i zabarykadowanej komnacie. Można było tego dokonać, tylko używając magii. Oczywiście pilnie cię strzeżono w czasie popołudniowej drzemki?

Skan skłonił się szyderczo przed dwoma umięśnionymi oszczepnikami stojącymi w kącie pokoju.

- Towarzyszą mi nawet wtedy, gdy śpię - powiedział. Po drugim morderstwie podniosły się głosy, że jeden strażnik to za mało, aby upilnować gryfa. - Byłem tutaj albo w ogrodzie. Zapytaj ich.

- Nie muszę - westchnął Leyuet. - Wiem, że potwierdzą twoje słowa. Wiem też jednak, że morderstwa nie mógł dokonać żaden z Haighlei: jak słusznie stwierdziłeś, zakłócenia pola magicznego są zbyt duże, aby któryś z naszych kapłanów był w stanie je pokonać. Mag musi być obcy - potarł oczy; Prawdomówca nie spał ostatnio zbyt wiele. - Nikt spośród nas nie zabiłby w tak... tak okrutny, niegrzeczny sposób.

Skan zakrztusił się z wrażenia: zawsze, kiedy myślał, że zrozumiał Haighlei, zaskakiwali go czymś nowym.

- Czy można grzecznie popełnić morderstwo? - zapytał.

Leyuet wzruszył ramionami.

- My, Haighlei, mamy swoje rytuały. Po pierwsze, morderca musi upewnić się, że duch jego ofiary zniknie spośród żywych, inaczej cała jego praca pójdzie na marne. W tym przypadku... no cóż, nie postępowano zgodnie ze zwyczajem.

Zhaneel zakasłała delikatnie, zwracając na siebie uwagę Leyueta.

- Wszystkie ofiary to kobiety - rzekła. - Czy nie rozważałeś możliwości, że zabił je odrzucony kochanek? Ktoś, komu nie udało się ich uwieść albo kogo porzuciły dla innego?

Prawdomówca potrząsnął głową.

- Nie. w takim przypadku rytuał morderstwa jest jeszcze bardziej specyficzny. Tych mordów dokonano bez poszanowania naszych zwyczajów i używając magii nieznaną w cesarstwie.

Zupełnie, jakby nawet szaleni Haighlei musieli przestrzegać protokołu
- pomyślał Skan, ale ugryzł się w język.

- Innymi słowy, to nowość - rzekł. - A skoro jedyną nowością na dworze byliśmy my...

- Cesarz musi cię jeszcze raz przesłuchać - dokończył za niego Leyu-et, rozkładając ręce. - Taki jest zwyczaj.

Skan westchnął z rezygnacją. *Nie mam wyboru. Nie mogę nawet wrócić do Białego Gryfa: uznaliby to za przyznanie się do winy i wysłali armię.*

- Prowadź. Jestem do twojej dyspozycji.

Mam tylko nadzieję, że nie rozkaże pozbyć się mnie!

Kanshin obracał w palcach drewnianą kuleczkę, jak to zwykli czynić uliczni kuglarze uprawiający się w prestidigitatorstwie, zwanym na wyrost magią. Kanshin nie był kuglarzem: był złodziejem. Złodziejem doskonałym. Sprawność jego palców zawstydzilaby każdego kuglarza.

Gdyby jego zmarły ojciec dowiedział się o profesji syna, rwałby sobie włosy z głowy.

Wolę być doskonałym złodziejem niż kopaczem rowów - pomyślał mściwie. Kopaczem rowów z woli bogów był ojciec, dziadek, pradziadek Kanshina i wszyscy inni dziesięć pokoleń wstecz. Parsknął na wspomnienie głupoty swego rodzica i „boskich dekretów”.

Niech zaraza wybije kapłanów i bogów, jeśli istnieją, w co wątpię. Ojciec w nich wierzył i prawie zdechliśmy z głodu - pomyślał, tocząc kuleczkę po knykciach.

Kanshin był zbyt inteligentny, aby wierzyć kapłanom, szczególnie zaś podejrzliwie traktował ich zapewnienia, że dary dla świątyń zjedną przychylność bogów i pozwolą na odrodzenie się w wyższej kaście. Kopacze rowów nie zarabiali wiele, a ojciec złodzieja wszystkie dodatkowe pieniądze pędem zanosił do kapłanów, zamiast kupić jedzenie dla swoich dzieci. Może ustawiczne ssanie w żołądku pomogło Kanshinowi przejrzeć tę grę? Głodni ludzie nie przywiązują wagi do manier, a tylko dobrze wychowani nie zadają kłopotliwych pytań.

Rzucił okiem na drzwi pokoju gościnnego, bo wydało mu się, że słyży jakiś hałas, ale nie. W domu panowała cisza.

Nawet nasz gość zgodziłby się ze mną, a nie z moim starym. Może jest szalony, ale na pewno nie głupi.

Miał nadzieję, że umknie swemu przeznaczeniu: łopacie i zostanie

wybrany na maga, ale się przeliczył. *Nie dla mnie wygodne życie. Gdyby bogowie istnieli, daliby mi magię i byłbym teraz tłustym kapłanem, leżał brzuchem do góry i ściągał z ludzi podatki za reinkarnację.* Ale bogowie nie istnieli i żaden kapłan nie wybawiał Kanshina, więc pewnej nocy, kiedy matka, ojciec i rodzeństwo spali snem sprawiedliwych, zwiął z wioski prosto do wielkiej, złej Khimbaty, licząc na coś lepszego od pęcherzy na dłoniach, bólu w krzyżu i szybkiej śmierci. Nie spodziewał się awansu, jednak nic nie stało na przeszkodzie, aby się stoczyć. Uczynił to z ochotą.

Uśmiechnął się na myśl o swym sprycie. Zaczynał jako żebrak pod okiem starca zwanego Jacony, który uczył go sztuczek: jak się bandażować, aby wyglądać na okrutnie wychudzonego, malować na twarzy rany, udawać trędowatego, pokrywając się papką z mąki, wody i henny i przywiązywać łydkę do uda, aby grać kuternogę. Przez jakiś czas podobało mu się to zajęcie, ale kiedy Jacony mimochodem wspomniał, że powinien uciąć Kanshinowi rękę albo stopę dla uwiarygodnienia wyglądu, chłopak znów czmychnął.

Nie mogę uwierzyć, że on myślał, że na to pójdę! Uzależniłby mnie od siebie! Znalezienie nowego mistrza nie zajęło mu wiele czasu: będąc żebrakiem, poznał wszystkich złodziei, prostytutki i alfonsów, żerujących w mieście jak pchły na psie. A poza tym wiedział, czego chce.

Lakshe od razu przyjąłby mnie do terminu. Kanshin nie miał jednak ochoty być męską dziwką, bo miał jedną szansę na dziesięć, że zdoła zgromadzić potrzebną mu sumę pieniędzy, i chociaż zarobki były godziwe, wiedział, co czeka podstarzałego „chłoptasia”. Stręczycielstwo go nie interesowało i miał zbyt zdrowy wygląd, aby udawać żebraka, a poza tym nie znosił obu profesji. Wolał kopać rowy.

Pozostało złodziejstwo, które go pociągało od dawna: zwiął już nawet kilka sakiewek. Był w tym wieku, kiedy jeszcze mógł znaleźć nauczyciela: wybrał Poldarna, starego alkoholika topiącego w wódce okrucy dawnej sławy. Kanshin zdołał go otrzeźwić i utrzymać przy życiu na tyle długo, że starzec przekazał mu wszystkie tajniki zawodu. Poldarn potrafił otwierać wszystkie zamki, wspinać się po najgładszych murach, ale umiłowanie alkoholu przytępiło mu refleks. A kiedy Kanshin nauczył się potrzebnych rzeczy, bez żalu pozwolił belfrowi stoczyć się z powrotem do rynsztoka. Poza tym z wątroba wielkości arbuza i tak nie pożyłby on długo. Mała strata: zresztą, dlaczego bo-

gowie nie powstrzymali go przed zapiciem się na śmierć?

Młody złodziej był sprytny i ostrożny: nie przeceniał swych umiejętności i zawsze dostawał to, czego chciał. Teraz miał wszystko: dom, niewolników, jedzenia w bród i wina lepsze niż na królewskim stole. Dom, choć w dzielnicy Dakola, był bezpieczny jak pałac: nikt nie próbował obrabować Kanshina, a głupiec, który jednak podjął wyzwanie, gnił w piwnicy, przykuty do ściany, i grzebał kawałkiem glinianego dzbana podkop, regularnie co dwa tygodnie zasypywany. I pomyśleć, że został złodziejem, aby uniknąć ciężkiej pracy... cóż za ironia losu. Kanshin uśmiechnął się, słysząc skrobanie w piwnicy. Kilku innych nieszczęśników od paru miesięcy zmywało naczynia i szorowało podłogi. Kiedy ich wreszcie wypuści, będą unikać tej części Khimbaty jak morowej zarazy...

Z zewnątrz dom wyglądał jak każda rudera. W środku natomiast... O niektórych luksusach nie śniło się nawet cesarzowi. Może niewolnicy obsługiwali gości nieco wolniej niż w innych domach, ale trudno szybko biegać w łańcuchach na kostkach. Kanshinowi ta powolność nie przeszkadzała. Wręcz przeciwnie, uwielbiał obserwować ludzi z wyższych kast, czekających na każde jego skinienie. I choć niewolnictwo zostało oficjalnie zakazane, żadnemu ze służących złodzieja nie przyszło do głowy narzekać.

Zawdzięczał wszystko swemu sprytowi. Odłożył kulkę i sięgnął po monetę, powtarzając dokładnie te same gesty.

Dobrze, że znalazłem równie bystrego partnera.

Jakieś osiem czy dziewięć lat temu, po zimie, kiedy wszyscy kapłani na jakiś czas zniknęli, a plotki głosiły, że magia wymknęła się im spod kontroli, po ulicach Dakoli zaczął się przechadzać młodzieniec, utrzymujący, że jest magiem. Nikt mu nie wierzył, bo żaden mag, Stróż Prawa, nie zadawał się z Banitami. Kiedy mówił, że szuka złodzieja, z którym mógłby nawiązać współpracę, wszyscy wybuchali śmiechem.

Głupcy, powinni wiedzieć, że jego historia jest zbyt nieprawdopodobna, aby być kłamstwem.

Kanshin wiedział, że jeśli kopacz rowów został złodziejem doskonałym, mag mógł umknąć kapłanom i zachować swe zdolności. Odszukał młodzieńca i przekonał się, że ten mówił prawdę. Nazywał się Noyoki, co znaczyło Nikt, i był magiem, a kapłani wyrzucili go ze świątyni, gdy miał siedemnaście lat, bo popełnił jakiś straszliwy grzech. Sam

Noyoki twierdził, że oszukiwał w grze w kości, a Kanshina nigdy nie interesowała prawda.

Kapłani uważają, że tylko morderstwo jest gorsze od oszustwa. Jeśli mówią prawdę, wszyscy będą się smażyć w piekle. Jak zwykle w takich przypadkach rada świątyni nakazała odebranie Noyokiemu mocy: nikomu nie uchodziło płazem wykorzystywanie magii cło niecznych celów. Ponoć nawet wysocy rangą kapłani płacili wysokie ceny za popełniane wykroczenia. *Plotki. Chcą w ten sposób przekonać ludzi, że kapłani są zawsze silni, zwarci i gotowi do działania. Cóż za bzdura.* Od odarcia z mocy uratowała Noyokiego dzika magia, która dziesięć lat temu rozdarła niebo i wywróciła świat kapłanów do góry nogami: ci, którzy mieli wykonać na nim wyrok, padli jak rażeni piorunem i zmarli tydzień później, nie odzyskawszy przytomności. Inni byli przekonani, że Noyoki został pozbawiony mocy i odesłali go, zhańbionego, do rodziny. Brakowało mu tylko kilku miesięcy szkolenia, aby zostać pełnoprawnym magiem.

Powiedzieli, że nie można mu ufać, że jest nieodpowiedzialny. Kolejny dowód na nieistnienie bogów: nie pozwoliliby przecież, aby jeden z ich cennych kapłanów wszedł w zażyłość ze złodziejem! A do tego kapłan pochodzący z wysokiego rodu, zamieszkującego w pałacu cesarskim. Nikt nie przeszkadzał mu w najdzikszych wyczynach: im szybciej zakałę rodziny spotka zasłużony, niesławny koniec, tym lepiej. Kiedy tylko przestali Noyokiego pilnować, a stało się to bardzo szybko, ten uciekł i poszukał złodzieja. Razem dokonywali niewiarygodnych czynów, chociaż maga nie interesowały klejnoty, kobiety ani narkotyki. Pożądał tylko dokumentów, co Kanshinowi odpowiadało. Sam był zbyt mało obyty w sprawach polityki, aby papiery przedstawiały dla niego jakąś wartość, a nauczanie się wszystkiego, co wiedział Noyoki, zajęłoby mu całą wieczność.

Noyoki posiadał niezwykłą moc przenoszenia Kanshina do zamkniętych pomieszczeń i wyciągania go stamtąd. Na początku współpracy zdarzało się to tylko raz do roku, jednak ostatnio mag znacznie wzmocnił swój dar i coraz częściej go używał. Złodziej wiedział, że jest to zdolność bezcenna, i dlatego znosił obelgi, jakie miotał na niego partner. Kogoś innego dawno przebiłby sztyletem.

Wszystko układało się doskonale, więc dlaczego Noyoki nagle stał się bardziej ambitny ?

Wszystko szło zgodnie z planem złodzieja: mieli wszelkie dobra, wła-

dzę, nawet sławę, kiedy nieoczekiwanie Noyoki przywłókł ze sobą szaleńca, zajmującego teraz kwatery gościnne.

Szaleniec zwał się Hadanelith, miał białą skórę trędowatego, niebieskie oczy lemura i włosy jak słoma. Gdyby Kanshin nie widział cesarskiej kestra'chern z Północy, myślałby, że to dzika magia odmieniła normalnego człowieka. Srebrny Tren miała takie same oczy i skórę, a jej włosy były jasne jak srebro. Hadanelith musiał pochodzić z tego samego kraju co ona.

Nie rozumiem tego stworzenia. Hadanelith znajdował przyjemność w niszczeniu umysłów niewolników i naginaniu ich do swej woli. Kanshin cieszył się, że przydzielił mu tylko dwie kobiety: mężczyźni nie podniecali Hadanelitha. Niechęć złodzieja do przybysza rosła z każdym dniem.

Jego zachowanie mnie denerwuje, a z drugiej strony ten człowiek jest przerażająco inteligentny. Nauczył się języka tak szybko, że Kanshin nieraz zastanawiał się, czy nie wyciągnął go wprost z ich umysłów. Śmiał się histerycznie jak szalona dzierlatka, ale ze swych zadań wywiązywał się przyzwoicie.

Niewolnik stanął na progu pokoju wypełnionego ulubionymi zabawkami Kanshina.

- Panie, Noyoki oczekuje cię w salonie.

- Dobrze. Powiedz mu, że już idę.

Niewolnik skłonił się i odszedł, dzwoniąc cicho łańcuchem. Kanshin uśmiechnął się do jego pleców. Przejrzał się w wielkim lustrze, starając się wyglądać jak ktoś szlachetnie urodzony. Podejrzewał, że Noyoki pochodzi z bardzo wysokiej kasty, bo choć nosił dziwaczne szaty, a włosy splatał w warkocz jak robotnik, biła od niego duma i poczucie władzy. Złodziej mruknął z zadowoleniem: wyglądał lepiej od najzamożniejszego bankiera w mieście.

Mag wylegiwał się na kanapie w salonie ubrany w kolorowy strój ulicznego handlarza. Oglądał jedną z rzeźb Hadanelitha, marszcząc czoło, a jego twarz wyrażała silną koncentrację.

- Skąd to masz? - zapytał Kanshina, rzucając mu rzeźbę. Przedstawiła królika: ciało oddano z zadziwiającą precyzją, nie zapominając o najdrobniejszych szczegółach, na pysku zwierzątka malowało się przerażenie. Kanshin nie dałby takiej zabawki swojemu dziecku.

- To zabawka twojego przyjaciela - burknął. - Bliższe przyjrzenie się pozwala nam należycie ocenić stan umysłu rzeźbiarza. Dał mi ją po

południu, uwalaną krwią.

- Czarujące - mruknął Noyoki. Odkąd zwrócił się ku krwawej magii, pociągały go takie przedmioty. - Dobrze się sprawił po południu.

- To ty jesteś informowany o jego poczynaniach.

Noyoki uśmiechnął się i pogładził rzeźbę.

- Jeśli to było pytanie, odpowiadam, że energia krwi potroiła moje nadwątlone siły. - Noyoki powiedział kiedyś Kanshinowi, że tylko rozlana krew umożliwiała mu praktykowanie dawnej magii, a złodziej wychodził z założenia, że im mniej na ten temat wie, tym lepiej, bo mag natychmiast pozbyłby się wścibskiego towarzysza. Był świadom, że Noyoki wybiera swe ofiary według pewnego klucza: zabicie kobiety dawnego wroga skutecznie niszczyło jego morale, a celem zbrodni była władza. Noyoki pragnął rządzić.

- Szkoda, że Hadanelith nie interesuje się mężczyznami - powiedział złodziej.

- Gdybym znalazł sposób, aby go przekonać... Jednak nie należy wywierać presji na artystę. Żadne dzieła robione na zamówienie nie dorównają spontanicznemu aktowi tworzenia - mruknął Noyoki. Kanshin podniósł brew: czyżby z Noyokiego wyjrzał krytyk sztuki?

Zadaniem Hadanelitha było upozorowanie morderstwa przy pomocy magii; Kanshin miał za zadanie wprowadzenie szaleńca do pałacu, a kiedy zawodziły złodziejskie umiejętności, Noyoki przerzucał go do komnat ofiary i czerpał swą moc z krwi konającej kobiety. Nie interesowało ich, co robi z nią obcy, zanim ją zabije. Plan był sprytny i nie wymagał dużego wysiłku przy użyciu magii. Noyoki płacił Kanshinowi i ten udawał, że wierzy w bajeczkę o możliwym szlachcicu, który chce się pozbyć nieprzyjaciół w taki sposób, aby podejrzenia padły na bladokórych i cudzoziemców.

Jak to dobrze, że przyjazd obcych zbiegł się z początkiem naszej działalności. Nie powiedzieli Hadanelithowi, kogo obciążą morderstwa, ale ten nie robił wrażenia kogoś, kto przejmuje się swymi pobratymcami. Kanshin zauważył, że Hadanelithowi sprawia wręcz przyjemność myśl, że wina spadnie na jego krajan. *Może nie jest patriotą? Albo ma z nimi porachunki...* Doświadczenie przybysza w zabijaniu sugerowało, że musiał gdzieś praktykować. Był dobrym narzędziem: wypełniał rozkazy co do joty. Pytanie, jak długo jeszcze...?

Jeśli Kanshin dobrze zrozumiał, magia krwi, dzięki której Noyoki funkcjonował, wymagała mordów popełnianych z diaboliczną brutal-

nością; chociaż cesarz próbował ukryć zbrodnie, plotki dotarły już do dzielnicy złoczyńców i nawet najtwardsi najemni mordercy nie potrafili ukryć odrazy.

- Jak myślisz, jak długo jeszcze utrzymamy naszego psa na smyczy?

- Zapylał Noyoki, zupełnie, jakby czytał w myślach towarzysza.

- A jak długo jeszcze będziesz go potrzebował? - Złodziej wzruszył ramionami. - Będzie nas słuchał tak długo, dopóki nie znajdzie innego sposobu zaspokajania swych wynaturzonych żądz. Wiesz, że jest szalony i nie można mu ufać.

- Należy uważnie przyglądać się jego rzeźbom - mruknął mag. Paciorki wplecione we włosy zadzwoniły cicho, gdy schylił głowę.

- Masz rację. - Hadanelith nie rozstawał się z nożem i kawałkiem drewna i Kanshin co rusz potykał się o jego pokręcone dzieła. Nie, żeby miał coś przeciw tej pasji: przynajmniej miał pewność, że przybysz nie wbije mu dłuta w plecy.

Noyoki nagle zmienił temat:

- Myślę, że on wie o gościach cesarza podejrzewanych o morderstwa i sprawia mu to przyjemność. Być może, ci ludzie byli jego wrogami.

- Może wsadzili go do więzienia! Nie zapominaj, Noyoki, że ten człowiek to szaleniec i pewnego dnia może stwierdzić, że dla odmiany chciałby obejrzeć, co ty masz w środku! Wypuściliśmy tygrysa z klatki! - syknął Kanshin.

- Owszem - mag uśmiechnął się. - I w tym tkwi urok zabawy, nieprawdaż?

Oto dowód na to, że szaleństwo jest zaraźliwe - pomyślał osłupiały Kanshin.

- Nie oszalałem. - Noyoki był mistrzem w odgadywaniu ludzkich myśli. - Po prostu lubię wyzwania. Chciałbym, aby jadł mi z ręki jak tresowany lew.

- Ja do tego ręki nie przyłożę. Moim jedynym zmartwieniem jest pozbycie się go, kiedy wykonamy zadanie: jeśli wtedy zadecydujesz, że chcesz go mieć pod swoim dachem, proszę bardzo, byle z daleka ode mnie.

- Może skorzystam z propozycji. - Noyoki przeciągnął się jak leniwy tygrys. - Pozwolisz, że cię pożegnam? Jutro dostarczę ci informacje o kolejnym celu Hadanelitha.

Złodziej odprowadził go do drzwi i patrzył, jak mag znika w tłumie. *Nie jest szalony, ale nierozważny* - myślał, wracając do salonu. *Zbyt*

nierozważny. Kiedy skończymy tę robotę, idę na emeryturę. Już dawno upatrzył sobie spokojne miejsce nad wielkim jeziorem. *To jak drażnienie lwa: mylisz się tylko raz.* Udał się do najdalszej ze swych komnat, otworzył skomplikowany zamek i z westchnieniem ulgi zatrzasnął za sobą drzwi. Hadanelith nie odwiedzał tej części domu.

Najbardziej przerażała go szybkość, z jaką szalencie się uczył. Kto wie, może za kilka dni odkryje mechanizmy wszystkich zamków w domu? Kanshin wyciągnął się na kanapie i zasłonił twarz ramieniem. Jak długo jeszcze Hadanelith pozostanie pod kontrolą?

Oddałby połowę swego majątku za odpowiedź na to pytanie.

Maszerując w otoczeniu gwardzistów do sali posłuchań po raz trzeci w tygodniu. Skandranon podejmował pewne decyzje. Miał serdecznie dosyć wezwań przed oblicze cesarza i obwiniania o popełnienie zbrodni, w sytuacji gdy ludzie odpowiedzialni za złapanie mordercy siedzieli z rękoma założonymi na tłustych brzuchach! Przez ostatnie lata nauczył się kontrolować swój choleryczny temperament, ale teraz czuł, jak wściekłość stawia mu na sztorc wszystkie pióra na karku.

Jak mogą uważać mnie za podejrzanego? - zżymał się w duchu. Przecież byłem pod strażą! Po drugim morderstwie powinni byli odesłać Oszczepy Prawa, a przydzielili mi dodatkową obstawę! Zaczynał się zastanawiać, komu z otoczenia Shalamana tak bardzo zależy na oczernieniu Kaled'a'in. Powinniśmy współpracować, aby znaleźć winnego! Och, gdyby tylko pozwolili mi sprowadzić tutaj innych magów z Białego Gryfa, znających sposoby dotarcia do prawdy... Ale nie, lepiej mnie wlec na przesłuchanie!

Jeśli szybko nie rozwikłają tej zagadki, Kaled'a'in będą musieli opuścić swe miasto, wybudowane z takim trudem, albo stawić czoła armii Haighlei. Pod drzwiami sali posłuchań Skan czuł, że gotuje się z wściekłości; zamiast pokornie schylić głowę, wpadł do wnętrza jak pierzasta kula armatnia, a służący pierzchali na boki, widząc rozsierdzonego gryfa. Przed tronem Shalamana zostało tylko dwóch gwardzistów, którzy wycelowali swe oszczepy w pierś Skandranona. Nawet fakt, że oszczepy wyraźnie drżały, nie poprawił mu nastroju. Poczekał, aż biegnąca za nim eskorta dotrze na miejsce i otworzył dziób. Leyuet nie nadażał z tłumaczeniem, ale coś w oczach Shalamana mówiło gryfowi, że cesarz nie potrzebował tłumacza.

- ...i chciałbym się dowiedzieć, kiedy wreszcie zaczniecie szukać

prawdziwego przestępcy?! - Głos gryfa stał się piskliwy i obecni na sali ludzie zakryli uszy. - Co się z wami dzieje? Rozumiem, że magia może w każdej chwili znów wyrwać się spod kontroli, ale chyba wasi kapłani potrafią rzucić jedno porządne zaklęcie? Jeśli nie umieją użyć magii do znalezienia mordercy, moi ludzie doskonale ich zastąpią i jestem gotów sprowadzić ich z Białego Gryfa! - Każde ważniejsze słowo Skan podkreślał uderzeniem ogona w posadzkę. - Czy śledztwo jest specjalnie wstrzymywane? Czy kiedykolwiek zostało wszczęte? Bo mnie się wydaje, że nie!

Skończył, słysząc wokół przerażone szepty, i stwierdził, że naruszenie etykiety sprawiło mu nieklamana przyjemność.

Ktoś powinien im pokazać, że istnieje coś poza etykietą! Skoro uprzejmość nie poskutkowała, przestaję się przejmować dobrym wychowaniem!

Leyuet pomyślał, że zemdleje, gdy Skan runął naprzód, nieomal trając oszczepników. Gryf nie zamierzał chyba...

Gryf zatrzymał się przed tronem i zaczął krzyczeć, oskarżając Haighlei o umyślne przedłużanie śledztwa i poszukiwanie winnego tylko wśród cudzoziemców. Skandranon oskarżał króla o zaniedbania!

Leyuet w całym swym życiu nie pozwolił sobie na okazanie takiego gniewu jak Skan; wściekłość wypływała z gryfa wszystkimi porami skóry, świeciła w oczach i dzwoniła w głosie. Ten wybuch upewnił Prawdomówce, że Skandranon był niewinny tylko niesłuszne oskarżenie mogło doprowadzić do takiej furii. Oczywiście Leyuet od początku był przekonany, że gryf nie miał nic wspólnego z wydarzeniami ostatnich dni.

/ co teraz zrobimy? - pomyślał ponuro. Po raz pierwszy od przybycia cudzoziemców do Khimbaty Skandranon zachował się jak na króla przystało: rozmawiał z Shalamanem jak równy z równym i żądał działania. Jeśli ktokolwiek miał wątpliwości dotyczące pozycji gryfa na dworze, pozbył się ich tego wieczoru.

Sytuacja była wystarczająco skomplikowana bez gryfiej awantury!

Oczywiście usuniemy strażę. Króla nie można więzić ani przesłuchiwać publicznie.

- Przysięgam, że jeśli wy czegoś nie zrobicie, wezmę sprawy w swoje ręce! - ryknął Skan, kłapiąc dziobem w sposób, który niemile kojarzył się z odrąbywaniem głów. - Znajdę mordercę i postawię go przed są-

dem!

To stwierdzenie pogłębiło zakłopotanie Leyueta; szybkim ruchem kciuka nakazał strażnikom Skana, aby zniknęli. Przecież król nie może sam szukać mordercy, robią to za niego Prawdomówcy i Oszczepy Prawa! Musiał jednak przyznać gryfowi rację: ani Prawdomówcy, ani Oszczepy Prawa nie wywiązywali się ze swych obowiązków.

Shalaman spojrzał na Leyueta i skinął lekko głową; Prawdomówca odpowiedział tym samym gestem. Niektórzy uważali zagładanie w cudze myśli za herezję, ale Leyuet został wyszkolony tylko w tym celu i właśnie dał znać królowi, że gryf mówił prawdę. Leyuet ograniczył się do przelotnego kontaktu, nie zgłębiał tajników duszy, co zrobiłby na pewno, gdyby na miejscu Skana stał człowiek, jednak nawet to wystarczyło.

Powieki Shalamana drgnęły. Cesarz bardzo rzadko pozwalał sobie na okazywanie emocji.

Jesteśmy w ślepej uliczce. Może cesarz znajdzie z niej wyjście...

Gryfowi zabrakło słów i wpatrywał się gniewnie w Shalamana. Ciszę, która zapadła, mąciły tylko dalekie nawoływania małp, docierające z ogrodów.

- Rozumiem twój gniew - powiedział Shalaman w języku Północy. Leyuet był zaszokowany, nie mógł złapać tchu: król nigdy się nie zniżał do używania obcych języków! Chyba że rozmawiał z kimś równym sobie... Te trzy słowa potwierdziły pozycję gryfa i zmieniły reguły gry.

- Wiem, co czujesz - ciągnął cesarz. - Rozejrzyj się: strażę zniknęły.

Gryf nie rozejrzył się jednak, skinął tylko głową.

Dobrze. Ufa słowom Shalamana.

- Wiem, że nie widziałeś ludzi prowadzących śledztwo, ale zapewniam cię, że ciężko pracują, jednak nasze obyczaje nakazują, aby nie opuszczali świątyń. Z tego powodu nie zauważyłeś żadnych działań magicznych na terenie pałacu.

- Och - odpowiedział gryf znacznie spokojniej. - Rozumiem. Uważałem brak energii magicznej za brak wysiłków.

- Magia wymaga wysiłku - zgodził się Shalaman. - Katakлизм, jak go nazywacie, zmienił wszystko. Kapłani i magowie nie zdołali jeszcze znaleźć podejrzanych, ale oczyścili cię z zarzutów.

Gryf wymamrotał coś pod nosem; cesarz, i Leyuet udali, że tego nie słyszeli.

- Proszę, abyś nie sprowadzał tu zagranicznych magów - powiedział

król z naciskiem. - Wywołałoby to konflikt z kapłanami, którego nie chce żadna ze stron.

- Wobec tego co mam robić? - zapytał Skan.

- Bądź cierpliwy. Proszę. Jesteś wolny i możesz bez przeszkód poruszać się po Khimbacie. Nikt nie będzie cię pilnował ani obserwował.

Leyuet zastanawiał się przez chwilę, czy gryf zrozumiał, że w ten sposób Shalaman pozwolił mu prowadzić prywatne śledztwo. *Myślę, że tak, Skan nie jest głupi. Jeśli potrafi tańczyć do naszej muzyki, potrafi też czytać między wierszami. Oczywiście, to ja będę musiał zapewnić mu bezpieczeństwo podczas wypraw...!*

Pióra Skana wróciły do normalnego stanu; wymienił z królem jeszcze kilka zdań, dwa ostatnie w języku Haighlei, po czym skłonił się i wyszedł. Leyuet został, dopóki Shalaman nie zwolnił go przyzwalającym gestem i współczującym uśmiechem. Prawdomówca wycofał się szybko, bo ból głowy od godziny rozsadał mu czaszkę. Cesarz dostrzegł zmęczenie w oczach swego doradcy: nic nie uchodziło jego uwadze.

Srebrny Tren i Palisar nie uczestniczyli w posłuchaniu; ten ostatni przebywał zapewne w świątyni, gdzie nadzorował śledztwo, a kestra'chern musiała zostać w swych komnatach. Może ten paskudny dzień dobrze się skończy?

Prawdomówca musi zawsze odnaleźć prawdę. Prawdomówcy nie można kupić za żadną cenę. Wszyscy, którzy piastowali odpowiedzialne funkcje na dworze, prędzej czy później trafiali w czułe dłonie Srebrnego Trenu i znajdowali w nich pocieszenie. Jego stopy skierowały się bezwiednie ku jej komnatom; miał nadzieję, że zdoła poświęcić mu trochę swego cennego czasu. Nie bywał; u niej od dawna, ale ból głowy, którego doświadczał, był tak wielki, że nie pozwalał mu zasnąć.

Służący Srebrnego Trenu zaprowadzili go do znajomej komnaty, pachnącej słodko kwiatami i ziołami, pełnej niskich, wygodnych kanap. Zimne, nasycone kolory zasłon i obić stanowiły wspaniałą oprawę dla urody Srebrnego Trenu. Kobieta pojawiła się w drzwiach, odziana w luźną szatę, którą zawsze nosiła, gdy kogoś masowała. W ręce trzymała zamknięty koszyk. Podeszła do niego i delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Moce niebieskie! - powiedziała. - Powinieneś być tu przyjsć co najmniej tydzień temu! Palisar nie zwlekał.

- Nie jestem Palisarem.

- Nie jesteś - zgodziła się. - Jesteś Leyuetem zbyt często poświęcającym się dla innych. Mam coś dla ciebie - pochyliła się i sięgnęła po koszyk. Kiedy go otworzyła, po pokoju rozszedł się zapach cukrowych ciasteczek, największej słabości Leyueta.

- Och - mruknął, przelękając ślinę. - Dziecinko, jeśli je zjem, nie dopnę koszuli na brzuchu!

- Zjesz je, bo skrzaty doniosły mi, że od trzech dni nie miałeś niczego w ustach. Poprawią ci nastrój i nie znam nikogo, kto by na nie zasłużył bardziej niż ty. Upiekłam je według specjalnego przepisu. Wiesz, że nie wyznaję zasad, wedle których jedyną zdrową strawą powinno być suszone siano.

Leyuet wziął ciastko do ręki, wyobrażając sobie, jak pierwszy kęs rozplynie się w ustach, smakując migdałami, wanilią i miodem. Zamknął oczy i odgryzł kawałek: smakował dokładnie tak, jak powinien. Pożarł ciastko w mgnieniu oka i oblizał palce.

Srebrny Tren zaśmiała się cicho.

- Srebrny Trenie - powiedział, czując, że sama jej obecność rozluźnia jego napięte mięśnie. - Jak to się dzieje, że znasz ukryte pragnienia ludzi? Jak ci się udaje być miłą, kiedy masz tyle obowiązków?

- Mogłabym rzec, że to tajemnica zawodowa, ale polega ona na tym, że najpierw myślę o innych, dopiero potem o sobie. Widzisz, tylko tyle.

Leyuet potrząsnął głową.

- Gdyby ci obcy z Białego Gryfa choć trochę cię przypominali...

- Jeden na pewno mnie przypomina, bo jest moim uczniem i znam go tak dobrze, jak można poznać drugiego człowieka - przerwała, nakazując gestem, aby Leyuet odwrócił się do niej plecami i rozpoczęła masaż. Prawdomówca zwalczył pokusę sięgnięcia po następne ciastko.

- Masz na myśli Bursztynowego Żurawia. Są tak obcy... nie rozumiem ich i nie wiem, jak oni mogą rozumieć nas. Może tylko udają, że rozumieją? Jak mogą nas zrozumieć ludzie, którzy są poddanymi gryfa?

- A czy taki król nie ułatwia zrozumienia? - spytała. - Czy przestając z gryfem, nie jest ci później łatwiej zrozumieć ludzi?

Syknał, kiedy nacisnęła mocniej bolące miejsce, a potem potrząsnął głową.

- Ty i oni jesteście tacy sami, moja droga - rzekł w końcu. - Wychowałaś się w ich kraju, ale potrafiłaś odnaleźć się wśród nas. To największa z twoich tajemnic. Jak godzisz te dwa odrębne światy?

- Być może... - zawahała się. - Być może, żyję już tak długo, że widzę więcej podobieństw, niż różnic. A jedną z zasad rządzących wszechświatem jest, że nie skorzysta z masażu ten, który siedzi zgarbiony jak pokręcona reumatyzmem staruszka! Na leżankę. Prawdomówco, niech się tobą porządnie zajmę!

Leyuet usłuchał jej, na godzinę zapominając o swych kłopotach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Hadanelith wyrył kolejną ryse na swej najnowszej rzeźbie i przyjrzał się krytycznie rezultatowi, nucąc pod nosem.

Jeszcze niedoskonale. Ale niedługo, niedługo... trochę tu, trochę tam...

Był bardzo zadowolony z siebie: ostatnie polecenie swych „gospodarzy” spełnił bardzo sumiennie, zwłaszcza że pozwolili mu na wprowadzenie w życie kilku własnych pomysłów. Tak sumiennie, że zaczęli zadawać pytania o zaklęcia, których używał dobry stary Ma'ar.

Szkoda, że nie jestem magiem. Wiedziałbym więcej o zaklęciach zniszczenia. Hadanelith szczycił się doskonałą pamięcią, a jako młodziak bardzo uważnie przyglądał się ciałom znoszonym z pola bitwy. Nikt nie zwracał na niego uwagi, a gdy uzdrowiciele zajmowali się żyjącymi, on zostawał sam z martwymi. Zapoznał się z najbardziej odrażającymi wyczynami Ma'ara i teraz mógł je odtworzyć. Gospodarzom najbardziej przypadło do gustu zaklęcie, które odzierało gryfy żywcem ze skóry: zażądali, by skopiował efekt na ostatniej ze swych ofiar. Ten miły złodziej, Kanshin, przemycił Hadanelitha do pokojukobiety przez otwór wentylacyjny i pozwolił zabawiać się z nią bardzo, bardzo długo.

Skandranon na pewno rozpoznał te charakterystyczne uszkodzenia ciała. To, co Ma'ar robił, używając magii, Hadanelith kopiował skalpelem. *Biedny Skan, pewnie myśli, że pojawił się kolejny mag.*

Hadanelith zachichotał: kiedyś myślał, że rola kestra'chern pozwoliła mu na zaspokojenie najdzikszych fantazji, ale to, co robił teraz, było o wiele bardziej podniecające: co prawda, to gospodarze wybierali cel, ale poza tym zostawiali mu wolną rękę. Uwielbiał te chwile, kiedy ofiary zaczynały rozumieć, że są w jego władzy i żadna pomoc nie nadejdzie. Przy tej zabawie wywieranie presji na niewolnikach było dziecinną igraszką.

A do tego tak ładnie torpedował prowadzone negocjacje i sprawiał, że Skandranon pocił się ze strachu: cóż za wspaniałe uczucie! Jednak godzina najwspanialszej, najpełniejszej zemsty dopiero nadejdzie.

Zemsty na Bursztynowym Żurawiu, który odważył się go sądzić, i na Skandranonie, który pozwolił rzucić Hadanelitha wilkom na pożarcie. Zemsta na wszystkich głupcach z Białego Gryfa, którzy tańczyli tak, jak tych dwóch im zagrało. Hadanelith udowodni, że jest sprytniejszy i lepszy od nich. Tak jak teraz: gospodarze myśleli, że trzymali go na smyczy, a tak naprawdę to on kontrolował ich obu.

Kiedy wieść o osiedlu Kaled'a'in dotarła do Haighlei, Noyoki przeprowadził wywiad magiczny, obserwując Białego Gryfa. Liczył, że odnajdzie jakiegoś niezadowolonego z życia mieszkańca osiedla i nie zawiódł się: znalazł Hadanelitha, okradającego nocą ogrody warzywne i dowiedział się o jego przestępstwach, posłał więc na północ szybki stateczek i sprowadził wyrzutka do Khimbaty, licząc na to, iż ten odpowiednio okaże swą wdzięczność. Używając podstawowej magii umysłu, Hadanelith nauczył się ich języka i popełnił błąd, zdradzając się z tą wiedzą zbyt szybko, rozwścieczony uwagami o swym szaleństwie. Gospodarze byli zachwyceni, a on rozsądnie nie informował ich, w jaki sposób poczynił tak wspaniałe postępy: Haighlei przerażało samo wspomnienie magii umysłu. Postanowił udawać, że zdolności językowe są ubocznym skutkiem jego szaleństwa.

Miał nad nimi podwójną przewagę: znał ich język i myśli, a gospodarze nie mieli pojęcia o jego osobistych porachunkach z Bursztynowym Żurawiem. Ba, nie wiedzieli nawet, że go zna! Ich rola w planach Hadanelitha została z góry określona: byli środkiem, dzięki któremu osiągnie swój cel. Im mniej wiedzieli, tym większą miał nad nimi władzę.

Wyglądził drzazgi na rzeźbie i przesunął po niej palcami upewniając się, że nie zostawił żadnych szorstkich miejsc. Ciekawe, że jego „partnerów” nie przerażało to, co robił z ofiarami? Wręcz przeciwnie, Noyoki wyznawał zasadę „im więcej artyzmu, tym lepiej” i najwyraźniej miał swoje powody, aby wybierać te kobiety: Hadanelith wyczuwał jego niechęć, a nawet nienawiść. Bawiło go to i postanowił pilniej śledzić myśli maga: teraz, kiedy Kaled'a'in uchodzili na dworze za trędowatych, Hadanelith szykował coś specjalnego. Kanshina natomiast obchodził tylko on sam - powiew świeżości po idiotach z Białego Gryfa, rozpaczających nad zwiędłymi kwiatkami. Obaj pasowali idealnie do planów Hadanelitha: Noyoki zrobiłby wszystko, aby okryć niesławą posłów z północy, a Kanshin interesował się tylko zawartością swej sakiewki.

Zanim Bursztynowy Żuraw umrze, doświadczy tortur, jakie można zadać tylko tak wrażliwej duszyczce jak on. Na polecenie Hadanelitha Kanshin wykradł z pałacowej pralni koszulę Bursztynowego Żurawia, niezbędną w następnej części planu. Hadanelith uśmiechnął się do siebie: obdarcie ze skóry następnej kobiety będzie tylko preludium, prawdziwą rozkosz da mu przerażenie Haighlei, gdy w palcach ofiary

znajdą strzępy materiału, pochodzące z odzienia uszytego za granicą. Szat Bursztynowego Żurawia nie można było pomylić z żadnymi innymi i podejrzenia natychmiast padną na niego, tym bardziej że przy jego boku nie kręciły się nieustannie Oszczepy Prawa, zapewniające niepodważalne alibi.

Jedynym słabym punktem planu była pamięć Bursztynowego Żurawia: a nuż kestra'chern przypomni sobie Hadanelitha i jego namiętność do więzów i knebli? Może nawet zacznie się zastanawiać, czy Hadanelith przebywa w Khimbacie? Cóż, same domysły to zbyt mało, aby przekonać króla o swojej niewinności, zwłaszcza tak niedorzeczne domysły. Kto uwierzy zapewnieniom, że prawdziwym mordercą jest szaleniec, który po wygnaniu z Białego Gryfa przeniósł się tajemniczym sposobem do Khimbaty i zaczął grasować wśród tutejszych szlachcianek?

Gdyby ktoś opowiedział mi moją historię, wyśmiałbym go. Tym razem nawet żelazna, logika nie uratuje Żurawia, bo nie może przedstawić żadnych świadków, którzy potwierdzą jego słowa. O moim pobycie w Khimbacie wiedzą tylko moi gospodarze i ofiary, ale nie należą do rozmownych.

Roześmiał się histerycznie, uderzając dłutem w drewno. Chciał jak najszybciej skończyć rzeźbę i pochwalić się nią przed Noyokim.

Nigdy nie rozumiem tych ludzi - pomyślał zrezygnowany Bursztynowy Żuraw. Zimowa Łania twierdziła, że nie musiał ich rozumieć, tylko przyzwyczać się do obyczajów, ale Żuraw zbyt długo był kestra'chern, aby zadowalało go pobieżne wyjaśnienie nurtujących problemów. Życie na dworze wróciło do normy: nawet w obliczu trzech morderstw Haighlei przestrzegali protokołu. Każdego wieczoru odbywało się przyjęcie, a po nim następował spektakl, na przykład taki jak dzisiejszej nocy, wydumany i do tego uzupełniony denerwująco manieryczną muzyką. Bursztynowy Żuraw widywał w swoim życiu złe sztuki, ale ta nudziła go śmiertelnie. Aktorzy nosili maski i byli obandażowani wściekle kolorowymi chustami, które utrudniały poruszanie się, wyśpiewywali swoje kwestie do wtóru bębna i piszczałek, a scenograf postanowił posłużyć się metaforami: dzban z kwiatami symbolizował dżunglę, a świeczka słońce. Najdrobniejsze skinienie palcem niosło w sobie tysiące znaczeń, zrozumiałych tylko dla wtajemniczonych, do których Bursztynowy Żuraw się nie zaliczał. Próbował udawać zainte-

resowanie przez pierwszy kwadrans, ale stwierdził, że nawet gdyby zamknął oczy, od łoskotu bębna rozbolełaby go głowa, i wyszedł.

Nie tylko on: zauważył, że na poduszkach przed sceną zostało kilku zagorzałych miłośników teatru, reszta stała w ogrodzie i rozmawiała. Albo Haighlei znali sztukę na pamięć, albo nie przepadali za manieryczną inscenizacją. Pomyślał ze współczuciem o aktorach, męczących się dla garstki wybranych za liche pieniądze, ale rychło o nich zapomniał, wdając się w dyskusje na temat olejków do masażu. Zresztą może byli tak oddani swej profesji, że nic interesowała ich wysokość wynagrodzenia. Rozejrzał się w poszukiwaniu Zimowej Łani, gdy nagle muzyka urwała się, a przed tronem Shalamana wszczął się zamęt.

Wszyscy rzucili się w kierunku cesarza. Bursztynowy Żuraw sądził, że zamieszanie wywołał jakiś dworzanin, który wpadł na służącego, albo posłaniec przynoszący wieść o groźnym lwie grasującym w okolicy - Shalaman słynął z polowań na lwy - ale gdy przepchnął się do przodu, zobaczył Leyueta w otoczeniu Oszczepów Prawa, składającego u stóp króla zakrwawiony dowód kolejnej zbrodni.

Bursztynowy Żuraw wstrzymał oddech, widząc zakrwawione liny i strzęp materiału, a potem jego serce na moment zamarło. Materiał obrobiony był frędzlami pochodzącymi z jego koszuli.

Nie, to nie może...

Poczuł zupełną pustkę w głowie i przeraźliwe zimno, ogarniające całe ciało.

To niemożliwe!

Po plecach spływał mu zimny pot, a strach zacisnął swą szponiastą łapę na jego gardle: nie tylko on rozpoznał te frędzle. Dworzanie spojędali na niego twardym, gniewnym wzrokiem.

Jak to... skąd, dlaczego...?

Skan podniósł się ze swego miejsca: jego oczy błyszczały gniewem, a pióra na karku nastroszyły się groźnie. Dworzanie wycofywali się, zostawiając wokół Bursztynowego Żurawia wolną przestrzeń.

- Te rzeczy - Leyuet wskazał zakrwawiony materiał u swych stóp - zostały znalezione przy ciele. Stanowią własność cudzoziemca, Bursztynowego Żurawia, królu. Frędzle znaleziono w jej dłoni. Zbrodnię popełniono po południu, kiedy Bursztynowy Żuraw odprawił wszystkich służących. O jego niewinności mogą świadczyć tylko jego ziomkowie, ale nie sądzę, abyśmy mogli...

Skan wypuścił z sykiem powietrze, przerywając Prawdomówcy.

- Ja zaświadczę, gdzie on wtedy przebywał - rzucił wściekle, zwracając się do króla, który tkwił na swym tronie jak hebanowa rzeźba. - Zrobię nawet więcej: jeśli nadal będziesz podejrzewał Bursztynowego Żurawia, musisz uwięzić mnie razem z nim. Pozwól sobie przypomnieć, Wasza Spokojność, że jeszcze kilka dni temu to ja byłem oskarżonym!

Przez dwór przebiegł szmer zaskoczenia, a gryf utkwiał w królu swoje przenikliwe oczy.

- Każdy z moich przyjaciół z Białego Gryfa jest równie godny zaufania jak ja - ciągnął Skan. - Jeśli wątpi się w ich uczciwość, również moja wystawia się na szwank. Zaświadczeniem o ich niewinności niech będzie moja wolność.

Głos gryfa dotarł do każdego obecnego na sali.

Bogowie, czy Skandranon do końca postradał zmysły? Co on robi? - zastanawiał się Bursztynowy Żuraw, obserwując wstrząśnięte oblicza zgromadzonych. Najwyraźniej żaden z władców Haighlei nigdy nie świadczył swoją osobą o niewinności poddanego; protokół nie zawierał odpowiedniego paragrafu na podobną okoliczność.

Urtho postąpiłby tak samo.

Skan wyprostował się i Bursztynowy Żuraw uświadomił sobie, że odkad przybyli do Khimbaty, gryf schudł. Czyżby potajemnie ćwiczył?

- Honor tych, którym ufam, jest moim honorem! - oznajmił Skandranon w czystym Haighlei. - Ten dowód został sfabrykowany, aby oczernić niewinnego, podobnie jak chciano oczernić mnie! Bursztynowy Żuraw jest niewinny i nadal nalegam, aby Oszczepy Prawa znalazły prawdziwego mordercę! Jeśli chcecie uwięzić Żurawia, musicie mnie również uwięzić. Nigdy nie opuszczam przyjaciół!

Bursztynowy Żuraw prawie się zakrztusił: czy gryf zdawał sobie sprawę z tego, co mówił? Wedle zwyczajów Haighlei złączył swój los z losem kestra'chern. Nie, żeby Urtho nie zrobił dokładnie tego samego na jego miejscu, ale Urtho był Magiem Ciszy i najpotężniejszym z adeptów!

- Jeśli udowodnimy, że Bursztynowy Żuraw jest winny, czy umrzesz wraz z nim? - zapytał Palisar, jak zwykle obowiązkowy. Skan powinien znać konsekwencje swych czynów.

Skan parsknął.

- Nie, oczywiście że nie. To śmieszne, nie jestem głupcem, którego zaślepia źle pojęty honor. - Odparł pogardliwie. - Jeśli dostarczysz mi

dowody, że Żuraw popełnił te zbrodnie, sam wydam i wykonam na nim wyrok śmierci.

Szepty rozbrzmiały ze zdwojoną siłą. Król wpatrywał się z namysłem w dwóch cudzoziemców. Skan właśnie uniemożliwił wydobycie zeznań z podejrzanego przy pomocy tortur.

Czy on postradał zmysły? - zastanawiał się gorączkowo Bursztynowy Żuraw. *Oczywiście, to bardzo sprytne. Zachowuje się i wygląda jak Skan sprzed dziesięciu lat, ale...*

Czyżby lekkomyślność zabiła Skandranonowy rozsądek?

A co ze mną? - zastanawiał się, czując, jak miękną mu kolana. *Myślę, że popełniłem morderstwo i w żaden sposób nie mogę ich przekonać, że jest inaczej! Nie możemy użyć magii ani wypłoszyć przestępcy, jesteśmy obcy, a Haighlei nie będą szukali zbrodniarza wśród swoich! Co robić?*

Skan miał pewne alibi, w przeciwieństwie do Bursztynowego Żurawia; ten, kto mordował, doskonale o tym wiedział. Mogli oskarżyć kestra'chern o wszystkie zbrodnie!

Co mam robić? Chciał uciekać, ale nie mógł się ruszyć: czuł się jak mysz spoglądająca w oczy węża. Strach przykuwał go do ziemi. Skan jednak odezwał się ponownie i wszystkie spojrzenia skupiły się na gryfie. Bursztynowy Żuraw poczuł, że paraliż minął, kiedy tylko przesiał być w centrum uwagi tłumu, ale nadal nie wiedział, jakie kroki powinien podjąć: kestra'chern nie zajmowali się szukaniem morderców. Gdzie była Zimowa Łania? Czyżby aresztowali ją jako współwinną?

Gwiaździstooka, jeśli stanie jej się coś złego... Ogarnęła go panika.

Ktoś dotknął jego ramienia i Bursztynowy Żuraw podskoczył: był święcie przekonany, że to któryś z Oszczepów Prawa, wysłany, aby go zaaresztować pomimo żarliwej mowy obrończej Skandranona. Wezmą go na tortury, a tam w ciągu kilku chwil zezna im, że jest nie tylko winny wszystkich morderstw, ale też nowym wcieleniem Ma'ara. Kiedy się odwrócił, zobaczył dobrze znaną twarz.

- Srebrny Trenie, co się stało z... - zaczął, ale nauczycielka położyła palec na jego ustach.

- Chodź ze mną - rzekła, chwytając go za rękę i prowadząc ku wyjściu. - Musimy porozmawiać.

Zhaneel nie uczestniczyła tego wieczoru w towarzyskich pogawędkach, wymawiając się opieką nad gryfiatkami. Naprawdę chciała spe-

dzić trochę czasu z Makke, którą ceniła znacznie wyżej niż wszystkich dworzan razem wziętych. Udzielała staruszce lekcji opieki nad maleństwami.

- To proste - powiedziała, przyglądając się służącej, która wycierała gryfiątka szmatką nasączoną olejkami. - Najpierw kąpiel, później suszenie, a na końcu olejek, bo ich pióra nie wytwarzają jeszcze naturalnego sebum. Gdyby maleństwu przyszło do głowy zażyć nocnej kąpieli w fontannie, zapłaciłyby za to ciężkim przeziębieniem.

Makke skinęła głową, posyłając gryfiątka do łóżek. Spędzała z nimi wiele czasu: najprawdopodobniej odezwały się w niej uczucia macierzyńskie; była przy tym tak doskonałą niańką, że Zhaneel ufała jej bezgranicznie. Stara służąca zaprotestowała raz czy dwa, twierdząc, że nie jest godna takiego zaszczytu, ale Zhaneel uciszyła ją szybko:

- Jesteś matką?

Makke potwierdziła.

- Wiesz, jak kochać dzieci i moje pierzaste kulki są dla ciebie właśnie dziećmi, a nie zwierzątkami domowymi. - Zhaneel ciągle miała problemy z młodymi, bezdzielnymi niańkami, które nie potrafiły zrozumieć, że pióra i ogony wcale nie znaczą, że gryfiątkami nie trzeba się nieustannie opiekować. Jak wszystkie dzieci pakowały się w tarapaty, kiedy dorośli spuścili je z oka choć na sekundę. Dziewczyny traktowały gryfiątka jak rozkoszne psiaki, a to doprowadzało Zhaneel do źle skrywanej furii.

- Tak, pani.

- Nie znam więc lepszej niańki od ciebie. W Białym Gryfie uważamy, że serce jest ważniejsze niż kasta. Dzieliliśmy trudy i radości, nie zwracając uwagi na urodzenie.

Dzisiejszego wieczoru pogodna zazwyczaj Makke nie odzywała się i wpatrywała się w gryfiątka z rozdzierającą serce tęsknotą, zupełnie jakby miała ich więcej nie ujrzeć. Zhaneel dostrzegła łzy w oczach służącej.

- Co się stało? - zapytała.

- Nic, pani, nic - odrzekła Makke łamiącym się głosem, a potem się rozplakała. - Och, pani, jestem stara, moje dzieci odeszły, nie mam dokąd pójść, a muszę opuścić dwór. Okryłam się hańbą, zostanę odprawiona i umrę, bo nie mam dachu nad głową...

- Odprawiona? Jak to? - przerwała jej Zhaneel. - Cóż takiego uczyniłaś, że chcą cię odprawić? Potrzebuję cię, Makke, czy to nie...

- Nie możesz mi ufać, pani! - odrzekła Makke, ocierając oczy. - Nie możesz! Zaniedbałam obowiązki, zawiodłam zaufanie i nie możesz powierzać mi dzieci, twego najcenniejszego skarbu! Odprawiaj mnie, bo zawiodłam zaufanie!

- Co zrobiłaś? - przycisnęła ją gryfica. - Na litość niebios, co uczyniłaś? - Przez głowę przebiegało jej tysiące myśli. Starzy ludzie czasami popełniają błędy, to prawda. Czyżby kogoś przypadkiem zraniła? Wpuściła niepowołane osoby do pałacu? Wygadała kapłanom, że Kaled'a'in używali magii umysłu? Czy mogła być zamieszana w morderstwa, o które oskarżono Skana?

- Mów! Mów, co zrobiłaś!

- Ja... - twarz Makke skurczyła się. - Ja... och, pani! To okropne, okropne! Okryłam się hańbą po wsze czasy! Zgubiłam czyjeś... - jej głos zamienił się w drżący szept - ..pranie.

Że co? - Zhaneel aż otworzyła dziób ze zdziwienia.

- Co? - spytała głośno, kręcąc głową. - Zgubiłaś pranie? I za to cię odprawiaj zhańbiona? - Nadal nie mogła uchwycić sensu wypowiadanych słów. - Czy wyście rozum postradali? - wrzasnęła w końcu.

Nie wątpiła w prawdziwość słów Makke, ale żeby odprawiać służącą za taki drobiazg?

- Pani. - Makke osuszyła łzy i spojrzała gryficy w oczy. - To sprawa honoru. Gdyby chodziło o moje pranie, nadzorcy, nawet szlachcianki, zostałabym tylko zganiona. Ale tu chodzi o pranie posła. Muszę zostać odprawiona, takie niedbalstwo równe jest kradzieży, a nasze prawo karze złodzieja wygnaniem. Rozumiesz więc, że zasłużyłam na karę.

- Rozumiem, że wasze prawo jest bzdurne - ucięła Zhaneel. - Porozmawiaj z Żurawiem. Chyba że... - Miała tylko nadzieję, że Makke nie przyznała się jeszcze nadzorcy. - Nie powiedziałaś o tym nikomu, prawda?

- Nie, pani. jeszcze się nie przyznałam - jęknęła staruszka. - Chciałam najpierw pożegnać się z tobą i dziećmi. Wybacz, proszę...

- Co mam wybaczać? Nie życzę sobie, żebyś o tym mówiła z kimkolwiek, zanim nie porozmawiamy ze Skanem i Bursztynowym Żurawiem. - Ruchem szybkim jak błyskawica Zhaneel wyrzuciła przed siebie łapę i przygwoździła kraj szaty Makke do podłogi. - Chcę...

Drzwi komnaty otworzyły się nagle i uderzyły w ścianę.

Zhaneel obróciła się zaskoczona. Ujrzała Zimową Łanię: kobieta w jednej ręce trzymała bukiet złotych lilii, a drugą zaciskała kurczowo

na naszyjniku z bursztynowych kwiatów i złotych lwich głów. Jej twarz była biała jak papier, a w oczach miała przerażenie. Zrobiła trzy lunatyczne kroki i podskoczyła, kiedy drzwi zamknęły się z hukiem.

- Łaniu, co się stało? - zapytała zaniepokojona gryfica. Zimowa Łania spojrzała na nią, oblizwała wargi, mrugnęła i otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Spróbowała jeszcze raz i tym razem udało jej się przemówić ludzkim głosem.

- Król - wykrztusiła. - Shalaman...

- Co z nim?

- On... - Kobieta zgmiotła łodyżki nieszczęsnych lilii. - Oświadczył mi się.

- Jeśli nie chcesz nas uwięzić, musisz postawić strażę przed naszymi komnatami - warczał Skan do Leyueta. Prawdomówca rozejrzał się rozpaczliwie, szukając ratunku, ale w pobliżu nie było ani króla, ani Palisara, a Srebrny Tren zniknęła wcześniej z Bursztynowym Żurawiem. Zostali sami, a właśnie o to Skanowi chodziło.

Jest szefem protokołu, moje żądania przyprawiają go o zawał. Ja już dzisiaj dałem przedstawienie, a król musiał okazać nam zaufanie w równie teatralny sposób.

- Cesarz zabronił - wyszeptał Leyuet. - Aresztowanie cię byłoby nie-honorowe, nie mogę zadośćuczynić twemu żądaniu.

Wiem - pomyślał Skan. O to mi chodzi.

- Czy to oznacza, że mogę się swobodnie poruszać po dworze? Czy tego właśnie życzy sobie cesarz? - zapytał gryf sceptycznie. - Niemożliwe.

- Możliwe! - Leyuet przewrócił oczyma. - Musisz! Musisz się swobodnie poruszać po pałacu, ogrodach, całym mieście! Tako rzecze Shalaman! Tak okazuje ci zaufanie!

Doprawdy...? Wreszcie poszedł po rozum do głowy i uświadomił sobie, że nic nie zyska, jeśli nas zamknie. Jeśli faktycznie jesteśmy winni, prędzej zdradzimy się bez Oszczepów Prawa śledzących każdy nasz ruch. Założę się, że Leyuet myśli tak samo.

Skan ani przez chwilę nie wątpił, że on i Bursztynowy Żuraw będą śledzeni, ale tego właśnie chciał. Nadal poddawał w wątpliwość intencje króla, przyprawiając Leyueta o zgrzytanie zębów, a jednocześnie snuł plany.

Kechara skontaktuje się ze mną dziś w nocy: powiem jej, aby Judeth przysłała tu tylko Srebrzystych, resztę delegacji zatrzymując w Białym

Gryfie. Nakazę obwarowanie miasta; możemy zostać przyparci do muru.

Skan miał jeszcze jedną prośbę do Judeth: chciał, aby przysłała mu pewne rzeczy, złożone na dnie skrzyni w jego grocie oraz przygotowała hebanowe czernidło do piór.

I, co najważniejsze, powiedziała osadnikom, że Czarny Gryf powrócił. Czarny Gryf powrócił.

Lata praktyki sprawiły, że Shalaman słuchał swych sekretarzy tylko jednym uchem. Zresztą nie powierzał im poważnych spraw i nakazywał, aby czytali listy i dekrety, zanim udał się na spoczynek; nie znał lepszego środka nasennego niż nie kończące się petycje. Mruczał wtedy „tak”, „nie”, „później” i myślał o czymś innym.

Dzisiejszego wieczoru myślał o Zimowej Łani, dziwnej bladej piękności z Północy, interesującej... nie, porywającej! Pod wieloma względami przypominała Srebrny Tren, ale w przeciwieństwie do kestra'chern była osiągalna.

Srebrny Tren nigdy nie oddałaby duszy i serca jednej osobie; zresztą nie mogłaby. Serce kestra'chern należy do wielu ludzi. Ale Zimowa Łania... ach, Zimowa Łania...

Równie piękna i wdzięczna jak Srebrny Tren, ale w zasięgu ręki; Shalaman nauczył się, że pogoń za nieosiągalnym przynosi tylko ból i rozczarowanie. Lepiej zasadzić słonecznik, niż zapragnąć słońca.

Potrafił odeprzeć wszystkie argumenty Palisara. *Wspaniały gest, szczególnie teraz; jeśli to Bursztynowy Żuraw jest mordercą, zostanie stracony, a małżeństwo z Zimową Łanią uciszy protesty obcych. Wejść do mego królestwa jako wasalowie, nie sprzymierzeńcy. Dla samych gryfów warto ją poślubić!*

Oznajmi swą wolę Palisarowi i Leyuetowi; nie sądził, aby Prawdomówca zgłaszał obiekcje. Jednak prawdziwy powód decyzji zostawi tylko dla siebie.

Taka kobieta uczyni mnie szczęśliwym. Srebrny Tren nie zawsze mogła dotrzymać mu towarzystwa: miała inne obowiązki; Zimowa Łania byłaby tylko dla niego. Choć nie mówiła wiele o sobie, wyczuwał w niej szlachetność ducha i szlachetność urodzenia; była otwarta i dobra. W przeciwieństwie do Srebrnego Trenu nie miała nieskazitelnej urody, ale właśnie te drobne niedoskonałości czyniły ją tak pociągającą.

Miał dziesięciu Rocznych Synów i dwie Roczne Córki, dzieci zrodzone

z Rocznych Żon w pierwszych dziesięciu latach jego panowania; nie chciał jej dla dziedzica tronu. Chciał jej tylko dla siebie.

Sekretarz odkaslnął; Shalaman machnął nieuważnie ręką i pozwolił myślom odpłynąć na północ, ku Białemu Gryfowi.

Ciężki orzech do zgryzienia nawet dla dzioba największej papugi. Wysłał swych szpiegów, udających rybaków, aby przyjrzeni się miastu, i otrzymane od nich raporty zaniepokoiły go. Białego Gryfa budowano z myślą o obronie; niewielkim wysiłkiem można go było przekształcić w niezdobytą twierdzę. Gdyby wypowiedział mu wojnę, odezwałyby się głosy, że nie warto walczyć o splacnięcie ładu na granicy, kiedy trzeba radzić sobie z inwazją wypaczonych przez dziką magię stworzeń.

W przeciwieństwie do Palisara, Shalaman nie uważał obcych za zagrożenie i zdawał sobie sprawę, że nie zamierzali opuszczać ziem Haighlei; ich przybycie oznaczało zmianę starego porządku. Nic na to nie poradzi.

Pożądamy zmian, a jednocześnie obawiamy się ich; jesteśmy jak dzieci, które mają nadzieję, że nocne demony spełnią ich trzy życzenia...

Palisar nie pochwalał obecności cudzoziemców na dworze, ale nawet on musiał się zgodzić, że ich przybycie, tuż przed Ceremonią Zaćmienia, nie mogło być przypadkowe. *Gdybym był religijny, uznałbym to za omen. Kiedy słońce znika w południe, Haighlei się zmieniają.* Tak twierdziły święte księgi. *Nasi bogowie wykazali zadziwiający rozsądek, dyktując święte księgi. Nienawidzimy zmian, ale bez nich rozpadlibyśmy się w pył, ba, do dziś mieszkalibyśmy w kurnych chatkach na pustyni i drżeli ze strachu przed lwami. Albo zostalibyśmy podbici i pełnili rolę niewolników.*

- To niemożliwe aż do Zaćmienia - powiedział do sekretarza. - Odpisz, że po nim rozważę ich prośbę.

Większość listów i petycji dotyczyła problemów, które równie dobrze można było rozwiązać bez królewskiej interwencji; reszta miała związek z posłami z Białego Gryfa, więc musiała poczekać na Zaćmienie i decyzje, które wtedy podejmie...

...lub których nie podejmie.

Jeśli ich nie podejmie, będzie musiał się z nimi uporać jego następca; Shalaman wątpił, czy dożyje następnej Ceremonii. *Wielu cesarzy uważa, że najlepszym rozwiązaniem problemu jest zrzucenie go na głowy przyszłych pokoleń.* Znów zaczął rozmyślać o Zimowej Łani: byłaby

doskonałym ucieleśnieniem zmian.

Gdyby Srebrny Tren...

Ale Srebrny Tren była kestra'chern, osobą zbyt ważną, aby służyć tylko jednemu mężczyźnie, nawet gdyby tym mężczyzną okazał się sam cesarz. Oświadczył się już Zimowej Łani: oczywiście, zaniemówiła ze wzruszenia, a potem wymamrotała coś o związku z Bursztynowym Żurawiem. Rzecz jasna, ich dziecko stanowiło problem... *Ten problem może zostać rozwiązany szybciej, niż ktokolwiek się spodziewa* - pomyślał gniewnie. Czwarte morderstwo jawiło się Shalamanowi jak błogosławieństwo niebios; lady Fanshane, stare babsko, była szczerze znienawidzona na dworze: to przez nią urocza Sherisse zapłała się na śmierć. Jednak została zamordowana w okrutny sposób, a dowody wskazywały jednoznacznie na Bursztynowego Żurawia. Niedługo kestra'chern zostanie wyeliminowany i Shalaman będzie miał Zimową Łanię tylko dla siebie.

A jeśli jest niewinny? - wyszeptał cichutki głos w umyśle cesarza. *Jeśli padł ofiarą spisku?*

Nonsens. Gdyby był niewinny, zażądałby natychmiast sprowadzenia Prawdomówcy; Prawdomówca wydałby wyrok. Jako gość królewski Bursztynowy Żuraw miał prawo do skorzystania z usług Leyueta: gdyby ten oświadczył, że cudzoziemiec nie popełnił morderstwa, nikt w całym królestwie nie mógłby poddać jego słów w wątpliwość. Żuraw musiał obawiać się przesłuchania przez Prawdomówcę.

A jeśli wśród nich nie ma Prawdomówców? Jeśli Bursztynowy Żuraw nie zna naszych zwyczajów? - powtarzał uparty głosik w cesarskiej głowie. *Ostrzegaliśmy cudzoziemców przed używaniem magii. Przesłuchanie przez Prawdomówcę to właśnie magia. Skąd Żuraw miał wiedzieć, że ma prawo do takiego obrońcy jak Leyuet?*

Nie, nie i jeszcze raz nie! Żadne społeczeństwo nie może istnieć bez Prawdomówców! Cóż za chory pomysł... jednak Srebrny Tren nigdy nie wspomniała o Prawdomówcach na Północy...

Och, nawet jeśli Bursztynowy Żuraw nie zamordował Fanshane własnymi rękami, wiedział coś, co kazało mu się obawiać sondowania umysłu podczas przesłuchania. Winny współudziału!

Teraz to tylko kwestia czasu... Znajdą kolejne, niepodważalne dowody albo Bursztynowy Żuraw sam się przyzna do morderstwa, zostanie oskarżony i skazany, a wtedy Zimowa Łania będzie wolna i będzie należała do króla. Shalaman już nigdy więcej nie zazna samotności.

Hadanelith otworzył szeroko okna; nocny wiatr zatargał zasłonami. Po raz pierwszy zabił dzień po dniu; ci głupi Haighlei nie spodziewali się tego. Przestrzegali zawsze tych samych reguł. Idioci! Życie to nie partia szachów. Nawet ta starucha, którą załatwił, powtarzała zawsze te same czynności. Wspiął się po murze, kiedy odprawiła służących - nie potrafiła znieść ludzkich oddechów w tym samym pokoju - i została sama. Nawet szalejący po pałacu morderca nie zmienił jej przyzwyczajień.

Cóż za głupia kobieta.

Hadanelith przywiązał lady Linnay do łóżka, wepchnął jej do gardła knebel...

Wolałbym słyszeć, jak błaga o litość...

...i zawlókł ją do okna. Gdyby usłyszała, jak coś wielkiego, powiedzmy gryf, ląduje na jej balkonie, czyż nie podbiegłaby do okna? Następnie udał, że ją uwalnia, a ona rzuciła się do ucieczki.

Czy ci ludzie nigdy nie zdobędą się na jakiś nieprzewidziany gest?

Uderzył ją drewnianą łapą gryfa, którą rzeźbił z takim trudem przez kilka ostatnich dni. Otworzył okno, a potem stanął nad ciałem i wzniósł rzeźbę po raz drugi. Żałował, że robi to po ciemku, i czuł, że jest znudzony: nienawidził łatwego żeru. Kaled'a'in z całą ich obrzydliwą dobrocią od czasu do czasu zdobywali się na jakiś nieoczekiwany wyczyn, Haighlei przypominali stado owiec idących pod nóż.

Nieważne - pocieszał się, zadając ciosy. To nie. na nich poluję, są tylko narzędziami, szczeblami w drabinie niej zemsty.

Zastanowił się przez moment. To jednak ciekawe, jeszcze nigdy nie rozwalilem nikomu głowy. Pouczające wydarzenie. Fascynujące, ile ciosów potrafi znieść człowiek, zanim wyzionie ducha. ..

Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zostanie uszkodzony kręgosłup czy strzaskana czaszka, ofiara powoli wykrwawia się na śmierć, a ten proces może trwać wiele godzin, jednak nigdy w życiu czegoś podobnego nie widział.

Doskonała zabawa! - pomyślał, waląc na oślep.

Chciał się roześmiać; czuł krew pulsującą w żyłach, a każde uderzenie ciężkiego kloca odpowiadało uderzeniom jego serca. Nagle...

Rzeźba pękła z ohydny trzaskiem.

Zatrzymał się w pół gestu. Był za sprytny, aby pozwolić sobie na błędy, a takim błędem byłoby uderzenie ofiary pękniętym polanem: w cie-

le mogły wtedy utkwic drzazgi. Pochylił się nad kobietą i obejrzał ją w świetle księżyca. Imponujące: nie uszkodził twarzy, ale reszta ciała przypominała wór wypełniony galaretowatą substancją. Rzeźbiona łapa zostawiła na skórze ślady pazurów i zmiażdżyła wszystkie żebra.

Oprócz mnie tylko Skandranon mógłby ją tak urządzić.

Linnay należała do niewielkiego grona przyjaciółek Fanshane i głośno rozpowiadała, że to Bursztynowy Żuraw popełnił wszystkie morderstwa. Hadanelith uśmiechnął się złowrogo; Noyoki, ukryty w pobliżu, magazynował energię krwi, a nad balkonem czekał Kanshin i jego magiczne liny; na dachu mieli spotkać się z magiem, który przeniesie ich prosto do komnat zajmowanych przez służbę, a stamtąd bez przeszkód wydostaną się na ulicę. Wszyscy trzej nosili szaty pałacowych służących. Tak, tutaj nawet morderstwo musiało się odbyć zgodnie z protokołem, dumął Hadanelith. Nawet Oszczepom Prawa nic mieściło się w głowie, aby ktoś, kto nie pracuje w pałacu, ubrał się w uniform służącego!

Wyszedł na balkon; jego blada skóra zlewała się z kamienną poręczą. Mordował zawsze, będąc nago: dzięki temu poszukiwania zakrwawionej odzieży kończyły się fiaskiem, a wiadro wody starczało, aby zmyć ze skóry dowody przestępstwa.

Nigdy nie zapomnę wyrazu ich twarzy, kiedy im wyjaśniłem, w jaki sposób chcę uniknąć plam na ubraniu, a widok nagiego mężczyzny odbierał głos moim ofiarom. Tylko jedna zaczęła wrzeszczeć, ale reszta nie wydała z siebie nawet jęku. Tylko raz nosił na sobie koszulę: koszulę Bursztynowego Żurawia, z której kobieta wydarła bardzo ładny strzęp. Hadanelith wykapał się wtedy w sadzawce w jej ogrodzie.

Czy ktoś zauważył krew w wodzie? Nie. sądzę, a jeśli nawet, na pewno uznali, że to Żuraw się umył.

Jego praca była dziełem sztuki: żadnych ubrań, żadnej krwi, żadnych śladów po których Oszczepy Prawa mogłyby dojść do zabójcy. Kapłani potrzebowali fizycznych dowodów do rzucania zaklęć poszukujących; będzie musiał dopilnować, aby Noyoki starannie wymył gryfią łapę.

Z dachu spadła sznurowa drabinka: Hadanelith zacisnął zęby na swej rzeźbie i zaczął się wspinać. Lekki wietrzyk pieścił jego skórę: czy tak czuły się gryfy, gdy latały? Czy tak czuł się Skandranon, odrywając się od zamordowanej ofiary?

Powinienem był urodzić się gryfem - myślał, bez wysiłku pokonując

kolejne szczeble drabinki. *Nie, dzisiejszej nocy byłem lepszy od gryfa!*
Tak. Och tak. Dziś byłem zabójcą zabójców, prawdziwym makaarem!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Leyuet nie ukrywał, że jest zmartwiony. Przedstawienie zostało odwołane, a dworzanie na pewno plotkowali teraz na temat wydarzeń wieczoru i Prawdomówca dałby sobie rękę uciąć, że nazajutrz usłyszy, iż Bursztynowy Żuraw pożarł kobietę żywcem na oczach całego dworu. Wszystkie dowody wskazywały na Bursztynowego Żurawia, Leyuet nie wierzył ani przez chwilę, że cudzoziemiec popełnił morderstwo: kiedy Oszczepy Prawa oznajmiły cesarzowi o dokonaniu kolejnej zbrodni, Bursztynowy Żuraw był zaszokowany, a gdy pokazano zakrwawione strzepy jego koszuli, odjęło mu mowę. Stał przed nimi, niezdolny do obrony, z szeroko otwartymi, przerażonymi oczami i nawet nie próbował opuścić komnaty.

Leyuet osobiście uważał, że człowiek, który potrafił przeniknąć przez zamknięte drzwi i zatrzeć wszystkie ślady, nie pozwoliłby sobie na tak głupie niedopatrzenie, jakim było pozostawienie swojej odzieży w pokoju ofiary.

Jednak ten, kto popełnił morderstwa, nie pozostawił żadnego śladu, a skrytobójcy Haighlei zawsze „podpisywali” swe dzieła. Tylko cudzoziemcy nie zdawali sobie sprawy, że nawet asasyni musieli przestrzegać protokołu.

Kaled'a'in tyle samo wiedzą o naszych mordach rytualnych, co o etykiecie dworskiej: nic. Ale to jeszcze nie dowód, że jeden z nich zamordował z zimną krwią cztery kobiety! Właśnie to wyjaśniał Shalamanowi, gdy Skandranon postanowił dać własne przedstawienie i zmusił cesarza do uwolnienia posłów od stałej obecności Oszczepów Prawa. Leyuet postanowił wybrać stosowniejszy moment, aby podzielić się z królem resztą swych przemyśleń.

Westchnął: już wcześniej zamierzał porozmawiać z Shalamanem w cztery oczy, ale wieczorne wydarzenia skutecznie to uniemożliwiły. Gryf spędził wiele czasu w powietrzu i chociaż do komnat ofiary nie można się było dostać od zewnątrz, po co Skandranon latał na przespigi i ściągał na swą głowę podejrzenia? Prawdomówca nie potrafił tego zrozumieć. Zauważył za to, że ostatnio w pałacu miała miejsce seria tajemniczych wydarzeń i choć nie miały nic wspólnego z morderstwami, zaniepokoiły go.

Cesarza nie było na wieczornym posłuchaniu i pojawił się dopiero w połowie sztuki Ho. Ani ja, ani Palisar, ani Srebrny Tren nie mogliśmy go

znaleźć. Gdzie był? Co robił? Sztuka opowiadała o jego dziadku, protokół nakazywał, aby obejrzał ją od początku do końca. Zbyt wielu ludzi zauważyło jego nieobecność.

Jednak Leyuetowi sen z powiek spędzało śledztwo w sprawie czterech morderstw, a nie naruszenie protokołu przez cesarza. W głowie Prawdomówcy aż huczało od pytań, na które nie znał odpowiedzi.

Jestem głównym Prawdomówcą królestwa i jestem gotów przysięgać, że Bursztynowy Żuraw jest niewinny. Dam sobie rękę uciąć, że Shalaman także nie wierzy w jego winę. Dlaczego więc cesarz nie zażądał, abym natychmiast przesłuchał podejrzanego?

Kiedy oskarżonym był Skan, Leyuet wzdragał się przed sondowaniem myśli istoty tak odmiennej, a Shalaman nie nalegał. Na szczęście nie było takiej potrzeby, bo i Skandranon, i jego partnerka mieli alibi: gdy popełniono pierwsze morderstwo, setki osób widziały oboje w amfiteatrze, a później Oszczepy Prawa pilnie strzegły gryfów. Teraz tylko najbardziej zatwardziali przeciwnicy cudzoziemców nadal twierdzili, że Skandranon powinien ponieść karę za swe „zbrodnie”.

Rozumiem, dlaczego król nie prosił mnie o wydanie wyroku, musiał wyczuć moje wahanie. Nie potrafię prawidłowo zinterpretować uczuć gryfa i moje działania mogły przynieść więcej szkody niż pożytku. Bursztynowy Żuraw jest człowiekiem i na pewno potrafię odczytać jego myśli. Nawet jeśli cudzoziemcy nie znają roli Prawdomówcy, obowiązkiem Shalamana było zażądanie mojego świadectwa! Stałem tuż obok niego!

Shalaman miał pamięć jak słoń, nie mógł zapomnieć, że na dworze przebywa Prawdomówca, który mógłby natychmiast rozwiązać dręczące wszystkich wątpliwości!

Nie mogłem przecież sam tego zaproponować, nie w obecności króla... Protokół przede wszystkim.

Leyuet skreślił i stwierdził, że nogi same zawiodły go prosto do komnat Srebrnego Trenu. Wiedział, że Srebrny Tren rozmawiała teraz z Bursztynowym Żurawiem, więc nie miał zamiaru jej przeszkadzać.

On potrzebuje jej bardziej niż ja... Poradzę sobie i dokończę tę układankę!

Odwrócił się, by odejść, gdy ujrzał przed sobą Zimową Łanię, która wyglądała, tak jakby przed chwilą ujrzała ducha. Leyuet złożyłby jej przerażenie na karb wydarzeń ostatniej godziny, gdyby nie to, że Zimowej Łani nie było z nimi, gdy oskarżano jej męża.

Gdzie ona wtedy by ta?

I wtedy dostrzegł coś, co niemal odebrało mu zdolność myślenia: Zimowa Łania nosiła królewski naszyjnik z bursztynowych lili i złotych lwich głów, a w ręku ścisnęła bukiet złocistych kwiatów. Shalaman oświadczył się jej. Leyuet przywarł do ściany z nadzieją, że kobieta nie zauważy jego obecności albo weźmie go za służącego; gdy go minęła, z westchnieniem ruszył przed siebie.

W jednej chwili zrozumiał powody dziwnego zachowania króla. Shalaman pragnął Zimowej Łani.

Zimowej Łani, żony Bursztynowego Żurawia, matki Wietrznej Pieśni. Jednak w Khimbacie nie obowiązywały prawa Północy; w Khimbacie Łania była wolna. Każda zamężna kobieta Haighlei zostawiłaby męża, aby związać się z królem, a każdy mąż byłby dumny, że jego żona przyciągnęła oko władcy. W sytuacji, gdy większość małżeństw była aranżowana przez rodziców, wystarczało, aby kobieta publicznie oświadczyła, że ona i mąż różnią się od siebie jak dzień od nocy, aby orzeczono oficjalny rozwód. Mężczyźni nie protestowali: stanowisko byłego męża Królewskiej Małżonki niosło ze sobą spore profity: szlachectwo, ważne funkcje w państwie... a wszystko dlatego, że ktoś postawił wyżej szczęście cesarza niż własne.

Sprawy przedstawiały się zupełnie inaczej, kiedy w grę wchodziła więź serc i dusz. Zimowa Łania doskonale ukrywała swe uczucia i król najprawdopodobniej nie wiedział, że kocha ona Bursztynowego Żurawia szczerze i głęboko, ale Leyuet znał ludzkie dusze: żadna kobieta nie podążyłaby do obcego kraju za mężczyzną, który był jej obojętny.

Żądze króla nie zostaną zaspokojone.

Czyżby...?

Leyuet wiedział, że Zimowa Łania zdawała sobie sprawę z wagi oświadczyn Shalamana, ale wiedział też, że żadna siła nie skłoni jej do złamania ślubów złożonych ukochanemu mężczyźnie. Nie należała do kobiet, które zrobią wszystko dla tytułu królewskiej małżonki; Zimowa Łania była nieprzekupna.

Jeśli Bursztynowy Żuraw zostanie stracony, król dostanie, czego pragnie. Nawet uwięzienie kestra'chern pozwoliłoby cesarzowi zdobyć Łanię, zwłaszcza gdyby w więzieniu zdarzył się nieszczęśliwy wypadek: wybuchła zaraza, rozwścieczeni współwięźniowie pobiliby obcego na śmierć czy krewny którejś z ofiar postanowił się zemścić. Leyuet widywał niejedno i teraz czuł, jak włosy stanęły mu dęba. Postępowanie

Shalamana przestało być nielogiczne. Mimo to spróbował znaleźć wymówkę dla władcy:

Może król nie wie, że na Północy nie ma Prawdomówców? Pamiętam, jak Srebrny Tren dziwiła się tej funkcji. Wiedział, że oszukuje sam siebie: kiedy stawką w grze była Zimowa Łania, Shalaman nie cofnąłby się przed oszustwem. Drżąc z gniewu, przycisnął pięści do czoła. Nigdy w życiu nie stanął przed takim dylematem!

Moje obowiązki są jamo określone: jako główny Prawdomówca muszę powiadomić barbarzyńców o swoich obowiązkach, szczególnie wtedy, jeśli zauważyłem jakieś niedopatrzenie, i zaoferować im swoje usługi. Składałem przysięgę! Każdy człowiek ma prawo do prawdy i nawet król nie może mu tego prawa odebrać!

Ale przysięgi, które składał, obejmując urząd królewskiego doradcy, zobowiązywały go do absolutnej wierności cesarzowi.

Muszę postępować zgodnie z królewską wolą, a lilie i naszyjnik jasno tę wolę wyrażają. Ból głowy stawał się nie do zniesienia. A tak się wyśmiewał z Palisara i jego migren...

Leyuet nie potrafił podjąć decyzji: sam przecież od wielu lat doradzał Shalamanowi ożenek. Jeśli cesarz chciał panować do następnego Zaćmienia, tradycja żądała, aby męski pierwiastek został zrównoważony żeńskim i na lwim tronie zasiadła obok niego cesarzowa. W wielu wypadkach małżonka potrafiła lepiej zrozumieć i ukoić cesarza niż najlepsi kestra'chern. Zimowa Łania byłaby idealną oblubienicą, a związek uczyniłby z przybyszów wasali Khimbaty bez potrzeby spisywania długich traktatów i ogłaszania ich w dniu Zaćmienia.

Obowiązki Prawdomówcy zaś... Dlaczego nikt mnie nie przygotował na podobne wydarzenia?! Co mam zrobić, kiedy król, uosobienie honoru Haighlei, działa jak... jak... jak złodziej?!

Czy powinien otwarcie powiedzieć królowi, co myśli o jego zachowaniu? Nie miał do tego prawa, a poza tym jakże mógłby oskarżać władcę? Gdyby Shalaman okazał się niewinny, jedynym honorowym wyjściem dla Leyueta byłoby samobójstwo. Zresztą - pomyślał ponuro - *nawet jeśli byłby winny, zaprzeczyłby z podwójną żarliwością, skazałby na śmierć Bursztynowego Żurawia i zmusił mnie do samobójstwa. Wymuszenie prawdomówienia na cesarzu jest równoznaczne jego abdykacji!*

Westchnął głęboko. *Muszę powstrzymać Shalamana i znaleźć sposób, aby wymusić na nim zgody na przesłuchanie Bursztynowego Żurawia.*

Sprawić, aby zrozumiał, że postępuje niehonorowo. Mam wielką ochotę zrobić Shalamanowi straszliwą awanturę, ale wtedy nigdy nie pozwoli mi przysłuchać Żurawia. O bogowie, jak ja nienawidzę bezpośredniego działania! Muszę uniemożliwić Shalamanowi zrealizowanie nieuczciwego planu. Jeśli naprawdę zapomniało moim istnieniu, powinien to zaniechanie nadrobić jak najszybciej. Prawdomówco, stanowisko, które zajmujesz, wymaga, abyś uświadomił barbarzyńcom, jakie prawa im przysługują.

Nie wykluczał, że Shalaman znał jakiś powód, dla którego barbarzyńcy nie chcieli, aby Leyuet zajrzał w ich serca i dusze, ale nie będzie tego pewien, dopóki nie zapyta ich wprost. Wiedział, że nie zaśnie, dopóki nie spełni swych obowiązków: westchnął jeszcze ciężiej i podążył za Zimową Łanią do komnat gościnnych. Bursztynowy Żuraw znalazł się w paszczy lwa i bez pomocy się z niej nie wydostanie.

O bogowie, dlaczego nas dręczycie? Nie możecie tego robić po Zaćmieniu?

Rozmowa ze Srebrnym Trenem nie uspokoiła Bursztynowego Żurawia całkowicie, ale sprawiła, że przestał się bać. Nadal czuł zamęt w głowie, a serce podchodziło mu do gardła, lecz strach przesiał go paraliżować.

Widmo katowskiego topora nie wisi mi już nad głową, ale musimy uporać się z wieloma problemami.

Srebrny Tren nakazała mu udanie się do Prawdomówcy, aby oczyścił się ze wszystkich oskarżeń, ale oboje byli pewni, że ktoś wśród Haighlei życzył sobie, aby obcokrajowcy popadli w niełaskę albo zostali straceni. Musiał jak najszybciej dowiedzieć się, kto i dlaczego.

Nie mam wiele czasu, bo Ceremonia Zaćmienia jest tuż, tuż. Jeśli mi się nie uda, nie podpiszemy z Haighlei żadnych traktatów przez następne dwadzieścia lat!

Miał nadzieję, że Zimowa Łania, ostoja zdrowego rozsądku i spokoju, ukołysze go w swych ramionach, ale zamiast jej ciepłych objęć zastał w komnacie istny dzień sądu. Makke, stara służąca, siedziała na podłodze i kołysząc się, zawodziła rozpaczliwie. Nad nią stała Zhaneel - skąd ona się tu wzięła? - w pozycji sugerującej, że rozerwie każdego, kto zbliży się do staruszki, a Zimowa Łania siedziała na krześle z oczami postawionymi w słupek, bladą twarzą i bukietem lilii u stóp. Kiedy wszedł, wszystkie trzy podskoczyły, potoczyły wokół dzikim

wzrokiem i zaczęły mówić jedna przez drugą:

- Wybacz mi, panie, zdradziłam cię, okradłam...
- Nic podobnego, Żurawiu, żadna z nich tego nie chciała...
- Bogowie, ja go wcale nie zachęcałam, proszę, uwierz mi, nie chciałam tego, musisz mi wierzyć...

Przycisnął dłonie do skroni i potrząsnął głową. Nie rozumiał ani słowa z ich paplaniny.

- Proszę - powiedział słabo. - Nie wszystkie naraz.

Zamilkły natychmiast i Żuraw pomyślał przelotnie, że to. czego już doświadczył, może okazać się niczym w porównaniu z tym, co go dopiero czekało. Kobiety wpatrywały się w niego szeroko otwartymi oczami,

Pewnie wyglądam dokładnie tak, jak się czuję: jakby mnie przegnali boso po rozżarzonych węglach. Oczekiwały Niezwyciężonego Bursztynowego Żurawia, a przyszedł Żuraw Pokonany. Pewnie nie wiedzą, co się stało.

Najwyraźniej nie on jeden potrzebował pocieszenia. Pozbył się nadziei, że tym razem to on będzie mógł wypłakać się na współczującym ramieniu i obetrzeć oczy mankietem sukni kochającej towarzyszki.

Dalej, chłopie, bierz się w garść, jesteś kestra'chern, do diabła, zawodową opoką dla strapionych i zagubionych i nawet jeśli w środku masz galarete, nie możesz tego okazać! One cię potrzebują!

- Spokojnie - powiedział łagodnie. - Usiądźmy i porozmawiajmy. Makke, zaczynaj. O jakiej zdradzie mówiłaś? - uśmiechnął się słabo.

Kilka chwil później dowiedział się, że tego wieczoru w innych częściach pałacu miały miejsce nie mniej interesujące wydarzenia. Poinformował krótko swą towarzyszkę o tym, co zaszło podczas przedstawienia, i poczuł, że ma bryłę lodu zamiast żołądka. I chociaż przeczuwał, że niedługo nadejdą kłopoty, o jakich mu się nie śniło, gniew niemal go oślepił. Król chciał jegożony! Bursztynowy Żuraw ze skóry wychodził, żeby być miłym dla tego starego capa, a ten uwodził Zimową Łanię! Cóż za głupiec z niego, że uważał, iż społeczeństwo rządzone protokołem nie znało zdrady!

Szaleńczy pęd myśli Żurawia przerwało pukanie do drzwi. Kiedy je otworzył, zobaczył przed sobą zjawę z koszmarów: Leyueta, który nie dalej jak godzinę temu oskarżył go o dokonanie morderstwa z zimną krwią.

- Przyszedł mnie aresztować!* - przemknęło mu przez głowę, ale nie za-

uważył w korytarzu Oszczepów Prawa. Prawdomówca przybył sam.

Po co, na litość bogów?

- O, Leyuet - wymamrotał, usiłując sobie przypomnieć, co protokół Haighlei mówił na temat nocnych odwiedzin. - Miło cię widzieć, ale nie uważasz, że jest za późno na przesłuchanie? Jestem naprawdę bardzo zmę...

- Muszę z tobą porozmawiać - przerwał mu Leyuet, błyskawicznym ruchem wciskając stopę między drzwi i futrynę. Bursztynowy Żuraw cofnął się i wpuścił niespodziewanego gościa. - Zależy od tego honor króla i twoje życie. - Prawdomówca zamknął za sobą drzwi i Żuraw stwierdził ze zdumieniem, że z twarzy Leyueta zniknęła cała łagodność. Nie przypominał już królika, a bardzo upartego kozła.

Upartego i doprowadzonego do ostateczności. Nie trzeba było daru empatii, aby wyczuć determinację Prawdomówcy: Zimowa Łania podniosła głowę i utkwiała w Prawdomówcy pytające spojrzenie.

- Musisz mnie wysłuchać i zrozumieć, na czym polegają moje obowiązki, to bardzo ważne - wyrzucił z siebie gość i z szybkością, której pozazdrościłaby mu większość kobiet, wytłumaczył, czym zajmował się Prawdomówca. - Masz niezbywalne prawo do przesłuchania przez Prawdomówcę! Jako poseł możesz zażyczyć sobie usług każdego Prawdomówcy w królestwie. Pragnę tylko zaznaczyć, że jestem najlepszy i jeśli ogłoszę cię niewinnym, nikt nie będzie mógł poddać w wątpliwość mego osądu - zakończył, oddychając głęboko.

Srebrny Tren mówiła dokładnie to samo i choć w rozmowie nie padło imię Leyueta, Bursztynowy Żuraw doskonale wiedział, kogo miała na myśli. Ostrzegła też, że Prawdomówcy działali znacznie lepiej, jeśli sami ofiarowali swą pomoc i zaangażowali się całym sercem w obronę oskarżonego. Leyuet wyglądał na bardzo zaangażowanego.

Nie będę pytał, jakie pobudki nim kierują. Odpowiedź mogłaby nie przypaść mi do gustu.

- Dzięki wam, panie, za chęć pomocy - skłonił się kestra'chern. - Zapewniam, że skorzystam z twych usług jak najszybciej, może nawet dzisiejszej nocy, bo Srebrny Tren poradziła mi, abym nie zwlekał z oddaniem się pod sąd Prawdomówcy, i choć nie wymieniła twego imienia, ciebie miała na myśli.

Leyuet odetchnął z ulgą.

Ciekawe, dlaczego? Czyżby nie chciał, aby ktoś wiedział o wizycie, jaką nam złożył?

- Dobrze, że masz tak oddaną przyjaciółkę na dworze - powiedział Prawdomówca. - I jeśli rzeczywiście chcesz dziś skorzystać z mych usług, przypomnę ci, że jeszcze nie jest za późno. W normalnych warunkach spektakl skończyłby się znacznie później i... - urwał.

- Obawiam się, że jednak nie udasz się dziś wcześniej na spoczynek. Dziękuję ci za to, co dla mnie robisz.

- Zaslługujesz na to. Spełniam mój obowiązek - odparł Leyuet, wychodząc. - Robię to dla spokoju własnego sumienia. Do zobaczenia.

W innych okolicznościach Bursztynowy Żuraw uznałby, że Prawdomówca uciekł. *Założę się, że nie chciał odpowiadać na pytania o królewskie oświadczyiny* - pomyślał ponuro, odwracając się ku zgromadzonym.

- Dobrze, moje panie - powiedział. - Przejdźmy do ogrodu i skończmy rozmowę. Tam nas nikt nie podsłucha. Makke, czy mogłabyś odszukać Gestena i poprosić go, aby przyniósł nam coś do picia? Musimy znaleźć sposób na wydostanie się z tej matni, nie robiąc nikomu krzywdy.

Kiedy Makke i Gesten przynieśli dzban mocnej herbaty i ciastka. Bursztynowy Żuraw poklepał poduszkę:

- Siadaj, mateczko. Zacznijmy od zagubionego ubrania, które stało się przyczyną oskarżenia mnie. Myślę, że to ty zostałaś zdradzona, nie ja.

Makke schyliła głowę. *Służąca nie może zażądać przesłuchania przez Prawdomówcę, ale ponieważ to mnie oskarżono, mogę zażądać powołania jej na świadka. Myślę, a Leyuet to potwierdzi, że Makke nie zgubiła mojej koszuli, tylko ktoś ją ukradł; ktoś, kto popełnił cztery morderstwa. Dziwne, ale czuję się znacznie lepiej. Wieczne odgrywanie spokojnego kestra'chern weszło mi w krew i w obecności roztrzęsionych kobiet natychmiast zamieniam się w ostoję zdrowego rozsądku.*

Kiedy uspokajał Makke, wyczuł strach Zimowej Łani; chwycił żonę za rękę i uśmiechnął się do niej krzepiąco.

- Bursztynowy Żurawiu, ja... - zaczęła.

- Jesteś równie niewinna jak Makke. Nie sprowokowałaś Shalamana, po prostu byłaś sobą, a ja wiem najlepiej, jak działasz na mężczyzn! - rzekł, wciskając w jej drżącą dłoń filiżankę z herbatą.

Jej maniery są bez skazy, a w tym kraju niczego nie ceni się tak bardzo, jak manier właśnie. Nawet głupiec wie, że Zimowa Lania nigdy nie popełniłaby najmniejszego błędu, a jej egzotyczność przyciągnęła

Shalamana. Ciekawe, dlaczego nie oświadczył się Srebrnemu Trenowi? Czyżby nie pochodziła z odpowiedniej kasty? Ta myśl rozwścieczyła go: nawet król nie miał prawa nie doceniać jego dawnej nauczycielki. Srebrny Tren byłaby wspaniałą królową. Czy ten dureń nie widzi, że ona go kocha? Do diabła, co mnie to obchodzi? Muszę się oczyścić z oskarżenia o morderstwo, potem mogę zabawić się w swata.

- Byłaś sobą - powtórzył. - Nie dziw się, że cesarz nie oparł się pokusie. Nie winie cię za to. Problem w tym... - zawahał się na moment. - Problem w tym, że Shalaman chciałby, abym został skazany. Zawadzam mu.

Zimowa Łania i Zhaneel przytaknęły. W ich oczach płonęła wściekłość.

- Zażądanie usług Leyueta... - ciągnął, ale Zimowa Łania przerwała mu:

- Ani się waż twierdzić, że Shalaman chciał mnie zdobyć, oskarżając cię. Nie pozwól, aby sugerowano podobną rzecz w twojej obecności. Jeśli ktokolwiek poda w wątpliwość jego uczciwość, staniemy na straconej pozycji.

Kocham tę kobietę. Jest najinteligentniejszym stworzeniem na świecie. Z każdą upływającą minutą czuł się lepiej: w żyłach płynęła mu adrenalina, jak za dawnych dni, gdy walczył o przetrwanie swoje i ludzi, którzy mu zaufali.

- Ludzie mogą zacząć coś podejrzewać - zgodził się. - Jeśli cesarz działał świadomie, ryzykujemy wojnę. Jeśli po prostu zapomniał mnie poinformować, że mam prawo do Prawdomówcy, nikt mu nie uwierzy. Straci twarz przed swymi poddanymi.

Przytaknęła, bawiąc się naszymi rękami.

- Nie możemy przyglądać się z założonymi rękami - stwierdziła.

- Jeśli znieważymy Shalamana, naprawdę jest gotów wypowiedzieć nam wojnę, aby udowodnić, że nie zależy mu na Łani - mruknęła Zhaneel. - Gdzie jest Skan, kiedy go potrzebuję? - wykrzyknęła.

Mnie jego nieobecność nie przeszkadza. Zbyt lubi radykalne rozwiązania - pomyślał Żuraw.

- Zeznania Makke uczynią z niej kozła ofiarnego - powiedział głośno.

- Nie możemy do tego dopuścić. Musimy pamiętać że ktoś na dworze bardzo nas nie lubi i jeśli złożę zeznania w obecności wszystkich ważnych osobistości, doleję oliwy do ognia. Dopóki nie wiemy, kto jest naszym wrogiem, nie możemy się skutecznie bronić.

- Czyżbyśmy byli bezradni? - spytała Zimowa Łania, zaciskając palce na filiżance herbaty. - Ale...

- Nic, tego nie twierdzę. Ale nie możemy działać publicznie. Srebrny Tren powtórzyła mi pewne przysłowie: „To, co nie do pomyślenia w sali tronowej, jest normalne w domowym zaciszu”. Musimy znaleźć sposób, aby porozmawiać z Shalamanem w cztery oczy.

- Niemożliwe. Zawsze towarzyszą mu zbrojni. Kiedy dawał mi naszyjnik...

Zimowa Łania zamilkła, gdyż Makke cicho odkaszlnęła.

- Narzeczona przyjmuje oświadczyzny we własnym domu - wyszeptała służąca. - To stary zwyczaj, ma swój początek w czasach, kiedy Haighlei byli barbarzyńcami i porywali kobiety, które chcieli poślubić. Mężczyzna musiał odwiedzić dziewczynę sam, aby nikt nie miał wątpliwości, że oddała mu rękę dobrowolnie.

- Gdybym więc przekazała Shalamanowi, że chciałabym się z nim spotkać sam na sam...

- Pomyślałby, że przyjełaś naszyjnik - Makke dokończyła myśl Łani. - Odesłałby strażników i oczekiwał, że również będziesz sama. Wiele dzieci rodzi się dokładnie dziewięć miesięcy od oficjalnych zaręczyn - dodała, skromnie spuszczać oczy.

- Czy jeśli wezwę go teraz, zostanie uznana za natarczywą? - parsknęła Zimowa Łania.

- Och, nie sądzę. Podejrzewam, że król przechadza się po komnacie jak lew w klatce i myśli, że nie zaśniesz, dopóki nie udzielisz wiążącej odpowiedzi.

Kobieta uśmiechnęła się słabo.

- Powinam więc...

Skan po raz kolejny udowodnił, że ma wspaniałe wyczucie czasu: pojawił się w chwili, gdy skończyli układać liścik do Shalamana.

- Byłem na dachu - oznajmił bez wstępów. - Czekałem, aż Kechara się do mnie odezwie.

- Na dachu? - zdziwił się Bursztynowy Żuraw.

- Nie na naszym, rzecz jasna. Oczywiście, istnieje jedna szansa na milion, że wykryją nasze wieczorne pogaduszki, ale mimo wszystko nie chciałbym, aby łączono świętokradczą magię umysłu z moją skromną osobą.

Wtajemniczyli go szybko w wydarzenia wieczoru. Ku wielkiej uldze Bursztynowego Żurawia, Skan nie protestował, kiedy przedstawili mu

plan.

- Myślałem, że będziesz się klócił - stwierdził kestra'chern.

Gryf podniósł brew.

- Doprawdy? Chciałbym wam podsunąć pewien bardzo nieetyczny pomysł, bo po tym, co zrobił cesarz, przestaję się przejmować etyką. Nie chciałbyś wyrównać rachunków?

Żuraw westchnął: gryfie pojęcie sprawiedliwości bardzo różniło się od ludzkiego. Kiedy Skan mawiał: „oko za oko, ząb za ząb”, rozumiał to dosłownie.

- A co proponujesz?

- Dwie rzeczy. - Gryf zainteresował się nagle swymi szponami. - Pierwsza jest nieetyczna: użyj swego wspaniałego daru empatii. Dobrze wiesz, że twoje zdolności nie ograniczają się tylko do odbioru ludzkich uczuć, możesz je również nadawać. Proponuję, aby Shalaman ogarnęło ogromne poczucie winy; wepchnij mu do gardła swą szczerość i dobroć, aż się zadławi. Niech się przed nami płaszczy i błaga o wybaczenie.

Bursztynowy Żuraw zagryzł wargi: Skan miał rację. Jeśli naprawdę chciał wygrać starcie z królem, musiał użyć wszystkich dostępnych mu środków.

- A druga?

- Powiedz mu, że ciebie i Zimową Łanię łączy więź życia. - Skan przestał czyścić szpony i spojrzał przyjacielowi prosto w oczy. - Dowiedziałem się, że tutaj nieczęsto się to zdarza. Będziecie mieli równe szansę w chwili, kiedy Leyuet potwierdzi twoje słowa.

Bursztynowy Żuraw wzruszył ramionami.

- Nie widzę w tym sensu - stwierdził. - Ale skoro nalegasz. .. Gesten, jesteś gotów zostać posłem?

- Jasne, Żurawiu - mruknął hertasi. - Wiesz, na co się porywasz?

- A jak myślisz? - wyszczerzył zęby w niewesołym uśmiechu, wręczając Gestenowi dwa listy: do króla i Leyueta. - Czekamy.

Kiedy Gesten wyszedł, pozostała piątka zajęła z góry ustalone pozycje: Makke schowała się w sypialni, gryfy stanęły po obu stronach drzwi, przygotowane do zablokowania wyjścia, gdyby Shalaman postanowił wybiec. Nie zamierzali użyć przemocy: Skan albo Zhaneel po prostu położyliby się w progu. Bursztynowy Żuraw stanął za siedzącą na podłodze Zimową Łanią. Przed kobietą połyskiwał naszyjnik, który Makke ułożyła w znak „grzecznej odmowy”. Staruszka twierdziła, że

dla każdej odmowy, grzecznej, gniewnej, nie uzasadnionej istniał odpowiedni znak.

- Co mówiła Judeth? - zapytał Żuraw dla zabicia czasu. - Ile jej powiedziałaś?

- Ze słów Kechary wynikało, że generał jest wściekła jak głodna tygrysica i chce, żebyśmy natychmiast wracali - odparł Skan. - Stwierdziłem, że w obecnej sytuacji byłaby to największa głupota, jaką moglibyśmy popełnić, więc Judeth powiedziała, że nie wyśle reszty delegacji. Niezły pomysł, owszem, ale miałem lepszy: kazałem jej przysłać Srebrzystych, którzy będą udawać, że znają się na polityce, a przy okazji nas ochronią. Dodałem, żeby nie ważyła się przysłać żadnego maga. Srebrzyści wypłyną o świcie. Oto, jak sprawy stoją.

Bursztynowy Żuraw miał przecucie, że Skan powiedział Judeth coś jeszcze, ale nic naciskał. Misja dyplomatyczna skończyła się, przebywali teraz w samym środku bitwy i potrzebowali stratega, a Skan był w tej roli bezkonkurencyjny.

Jest w swoim żywiole: im większe tarapaty, tym bardziej się cieszy - Czy on znów schudł!

Bursztynowy Żuraw westchnął: Skan miał rację, przyda im się paru dobrych żołnierzy. Jeśli ich plan spali na panewce i będą musieli uciekać z Khimbaty, ze Srebrzystymi są w stanie przedrzeć się przez dżunglę do Białego Gryfa. Chyba powinni zacząć planować ucieczkę: nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć. Jednak zanim zdołał otworzyć usta i podzielić się z innymi swymi przemyśleniami, w korytarzu rozległy się kroki.

Shalaman pchnął półotwarte drzwi i wszedł do pokoju; jego twarz jaśniała takim szczęściem, że Bursztynowy Żuraw poczuł się jak zdrajca.

Gdybym mógł wszystkich zadowolić... - pomyślał, zdając sobie sprawę, że szczęśliwe zakończenia zdarzają się jedynie w bajkach. Kiedy król go dostrzegł, poszarzał na twarzy; sekundę później dostrzegł nieszynik leżący przed Zimową Łanią. Twarz Shalamana stężała w wykrzywioną gniewem maskę, ale odezwał się zadziwiająco łagodnie:

- Pani - rzekł. - Jeśli ten człowiek ci groził...

Zimowa Łania spojrzała na niego, a Skan i Zhaneel cicho zamknęli drzwi. Cesarz nie zdawał sobie sprawy z ich obecności.

- To moja odpowiedź, Spokojny - odparła kobieta. Głos jej nawet nie drgnął. - Jeśli myślisz, że można mnie zastraszyć, bardzo się mylisz.

Bursztynowy Żuraw jest tutaj, bo go o to poprosiłam. Chcę ci pokazać, że nie można nas rozdzielić.

- Zapragnałeś mej pani - rzekł Bursztynowy Żuraw łagodnie. - Nie powiedziałaś mi, że mam prawo zażądać przesłuchania przez Prawdomówcę. Wydaje mi się, że te dwa wydarzenia coś łączy.

Choć bardzo się starał, aby jego słowa zabrzmiały obojętnie, jednak oskarżenie padło. Shalaman zeszywniał i otworzył usta, jednak nie zdołał niczego powiedzieć. Bursztynowy Żuraw wyczuwał wiele gwałtownych i sprzecznych emocji: panikę, winę, straszliwy wstyd. Cesarz chciał się podstępnie pozbyć rywala i został przyłapany.

Mam cię. Teraz cię pocieszę.

- Spokojny - powiedział łagodnie, używając swego daru empatii w sposób doradzany przez Skana. - Zimowa Łania jest piękną, mądrą kobietą, godną każdego króla. Nie obwiniam cię za uczucia, jakimi do niej zapalałeś. Nie mogłeś wiedzieć, że łączy nas coś więcej niż umowa małżeńska.

- Jesteś bardzo wielkoduszny - mruknął król.

Żuraw wyczuł gniew w jego głosie. *Poradzę sobie z tym gniewem. Waższa Spokojność.*

- Nie mogę cię winić, że wpadłeś w pułapkę zastawioną na nas wszystkich - ciągnął. - Pułapkę, która jest dziełem najpodlejszej osoby lub osób, jakie miałem nieszczęście w życiu spotkać. Ta osoba wykorzystwała cię bez skrępowań.

- Nie rozumiem - stwierdził Shalaman, marszcząc brwi. - Chcesz powiedzieć, że morderstwa służą innemu celowi?

- Owszem. Ktoś w twoim kraju pragnie pozbyć się ludzi z Białego Gryfa. Sądzę, że ty również jesteś dla niej - lub niego - zawadą i robi wszystko, abyś znalazł się w sytuacji, która zagrozi twemu honorowi. Myślimy, że to prawdziwy powód tych morderstw. Zauważ, że ofiary, choć sprzeciwiały się traktatowi, były do końca lojalne wobec ciebie.

- Twierdzisz, że wśród moich ludzi znajduje się zdrajca? - głos króla drżał z gniewu; tym razem jednak władca był wściekły na myśl, że ktoś ośmiela się nim manipulować.

Lepszy zdrajca od publicznego upokorzenia - pomyślał filozoficznie Bursztynowy Żuraw. Chyba jednak zaczynał rozumieć Haightle...

- Tak, jednak nigdy go nie znajdziemy, jeśli nie popełni błędu - powiedział, dając gryfom znak, aby odsunęły się od drzwi. - Chciałbym teraz oczyścić me imię, jeśli pozwolisz. Wezwę Prawdomówcę, aby

przesłuchał mnie tylko w twojej obecności.

- Dlaczego? - zdziwił się Shalaman. - Nie chcesz uniewinnienia na oczach całego dworu?

- Udowodnienie mojej niewinności nie jest najważniejsze - westchnął Bursztynowy Żuraw. - Przesłuchanie w obecności wielu świadków jest zbyt niebezpieczne, osoba, której szukamy, może nabrać podejrzeń. Musimy złapać prawdziwego zabójcę, a podejrzliwe spojrzenia są ceną, którą zapłacę z ochotą, jeśli tylko pomogą w uśpieniu czujności tego drania.

Jestem szczery, jestem otwarty, uwierz mi, Shalamanie, mówię prawdę...

Król ostrożnie przytaknął.

- Chciałbym też, aby Leyuet przesłuchał służącą Makke - dodał. - A dlaczego, zrozumiesz, kiedy jej wysłuchasz.

Shalaman zasepił się, ale wyraził zgodę; Gesten wybrał ten właśnie moment, aby zapukać i wprowadzić Leyueta. Żuraw przez moment myślał, że cesarz, widząc tę manipulację, wybuchnie gniewem, trzaśnie drzwiami i następnego dnia wypowie wojnę Białemu Gryfowi, ale Shalaman opanował się i tylko rzucił Prawdomówcy bardzo jadowite spojrzenie. Potem nakazał wszystkim usiąść.

- Wszystko zaplanowaliście - warknął, sadowiac się w fotelu. - Prawdomówco, przesłuchaj Bursztynowego Żurawia, zanim do reszty stracę cierpliwość!

Jest zły, to dobrze: muszę skierować ten gniew na spiskowców.

- Chciałbym dodać tylko jedną rzecz, Spokojny - powiedział Bursztynowy Żuraw. - Chcę, aby Leyuet potwierdził moje słowa. Jesteś gotów? - zwrócił się do Prawdomówcy. Ten przytaknął i klęknął, zbierając siły. Srebrny Tren mówiła, że prawdomówienie nie ma nic wspólnego z północnym myślmówieniem czy empatią, jest raczej „dotykaniem duszy, czytaniem w sercu”, jak to określiła. Prawdomówca wchodził w głębszy związek z przesłuchiwanym niż empatia, docierał do samej jaźni człowieka i wedle słów Srebrnego Trenu nie można go było oszukać. Znając wątpliwe uroki empatii. Bursztynowy Żuraw nie zazdrościł Leyuetowi daru.

W życiu nie dotknąłbym duszy Ma'ara czy Shaiknama. Sama myśl o tym przyprawia mnie o mdłości.

- Chciałbym, abyś zrozumiał, że moją panią i mnie łączy niezwykła więź, w naszym języku zwana „więzią życia”. Nie znalazłem podobnego

określenia w Haighlei, jednak oznacza to, że nasze dusze złączyły się w jedną, dopełniamy się, tworząc całość. Czujemy to samo... - ciągnął, desperacko szukając słów, które Shalaman zrozumiałby, a które oddawałyby istotę tego, co Bursztynowy Żuraw czuł do Zimowej Łani. Kiedy zakrztusił się kolejnym przymiotnikiem, Leyuet otworzył szeroko oczy i wrzasnął:

- Wasza Spokojność, oni są *loriganalea*! Na bogów najdroższych, coś ty zrobił?!

Na twarzy króla odbiło się najprawdziwsze przerażenie.

O co mu chodzi, do licha? Czy...

Myśli Żurawia przerwał sam Shalaman, który niespodziewanie padł na kolana, schwycił go za kraj szaty i zaczął błagać o przebaczenie. Od dziesięciu lat kestra'chern nie widział nikogo równie poruszonego. Stał na środku komnaty, z jego otwartych ust nie wydobywał się żaden dźwięk, a w głowie miał kompletną pustkę.

- A nie mówiłem, że ty i Zimowa Łania jesteście jedyni w swoim rodzaju? - powiedział Skan, uśmiechając się szeroko, jakby widok cesarza na kolanach był dla niego chlebem powszednim.

Kilka bardzo długich chwil zajęło uspokojenie roztrzęsionego Shalaman i przekonanie go, że Bursztynowy Żuraw i Zimowa Łania naprawdę nie żywili do niego urazy. Dopiero wtedy dwaj Haighlei zdecydowali się wyjawiać, co ich tak poruszyło.

- To święta więź - wytłumaczył Leyuet, nadal nieco poszarzały na twarzy. - Małżeństwo zawarte nie z żądzy czy dla pieniędzy, a z woli bogów. Święte księgi mówią, że każdy, kto próbuje zniszczyć taki związek, będzie przeklęty, a wraz z nim wszyscy, którzy nie zrobili nic, aby go powstrzymać. Jeśli to król dopuszcza się podobnego czynu, klątwa spadnie na cały lud. Dzięki ci, Bursztynowy Żurawiu, za powstrzymanie króla: uratowałeś nie tylko jego, ale wszystkich Haighlei.

- Miałeś prawo zachować dla siebie istotę waszej więzi - jęknął król. - Gdybym nie uzyskał twego przebaczenia, bogowie przeklęliby mnie po trzykroć. Nie ma niczego w moim Cesarstwie, co równoważyłoby...

Żuraw poczuł, że ma dość, i rzucił zrozpaczone spojrzenie Leyuetowi. Prawdomówca położył dłoń na dłoni Shalaman, powstrzymując potok słów.

- Wystarczy. Nic się nie wydarzyło. Bursztynowy Żuraw i Zimowa Łania wybaczyli ci. Oboje wiedzą... wystarczająco...

- To prawda - przerwał mu Żuraw. - Teraz powinniśmy myśleć o tym, jak złapać człowieka, któremu zależało na naszej krzywdzie. Niech będzie przeklęty!

Shalaman zamknął oczy i przytaknął. Leyuet spojrział na kestra'chern i mówił dalej:

- Wiesz, panie, że nawet gdybyś zgubił Bursztynowego Żurawia, Zimowa Łania nie mogłaby należeć ani do ciebie, ani do żadnego innego mężczyzny. Nie jestem biegły w sprawach duchowych, ale Palisar powie ci, że bogowie nie czynią różnicy między nami a przybyszami z Białego Gryfa.

Żuraw zauważył złośliwy błysk w oczach Prawdomówcy. *Biedny Leyuet, stapał po cienkim lodzie. Nie dziwię się, że chce się odegrać za bóle głowy.*

- Wiem, wiem - wyszeptał Shalaman. - Będę o niej myślał tylko jak o siostrze, matce, córce, przysięgam. A teraz - wyprostował się i spojrział na Żurawia. - Dowiedz swej niewinności, a ja ogłoszę na dworze, że oczyściłem cię z podejrzeń. Czy to pomoże złapać tego kreta, który pod nami ryje?

- Tak, jednak nie powinieneś ogłaszać mojej niewinności, dopóki w żaden inny sposób nie będziesz mógł mnie ochronić przed katem. Wróg musi myśleć, że wywiódł nas wszystkich w pole, inaczej podwoi środki ostrożności i nie popełni żadnego błędu.

Co oznacza, że od dziś gram rolę głównego podejrzanego najlepiej, jak umiem.

Leyuet ponownie wszedł w trans prawdomówienia i Bursztynowy Żuraw oświadczył, że nie ma nic wspólnego z żadnym popełnionym morderstwem.

- Nie skrzywdziłbym żadnego z dworzan - dodał. - Oprócz mordercy.
To chyba wszystko?

Leyuet potwierdził słowa mężczyzny dziwnym, rozmarzonym głosem.

Nie rozumiem, przed chwilą wyglądał, jakby prawdomówienie sprawiało mu ból, a teraz się cieszy. Ciekawe, dlaczego?

- Co do Makke... -- Staruszka, niemal siłą wywleczoną! z sypialni i posadzona przed królem, z trudem powstrzymywała; łzy i patrzyła tylko na Żurawia, który klęknął obok i trzymał ją za rękę.

- Makke, jesteś służącą moją, Zimowej Łani, Zhaneel i Skandranona, prawda? - zapytał łagodnie.

Makke i Leyuet niemal równocześnie kiwnęli głowami.

- Jednym z twych zadań jest dostarczanie ubrań praczkom i dopilnowanie, aby wróciły nietknięte, czyż nie? - Ponowne potwierdzenie. - Dziś rano, gdy odebrałaś pranie, coś zniknęło, mam rację? Do kogo należała zaginiona odzież?

- Do ciebie, panie - odparła Makke głosem stłumionym przez łyżę.

- Stało się to podczas południowej drzemki, prawda?

- Tak, panie.

- Czy tylko ty miałaś dostęp do prania, które zebrałaś wczoraj? Oprócz praczek, oczywiście. - Staruszka znów kiwnęła głową.

- Kiedy zorientowałaś się, że czegoś brakuje?

- Kiedy otworzyłam kosz, który przyniosłam z pralni, tutaj, panie, w tym pokoju - zaczęła szlochać. - Jestem...

- Nie! - przerwał jej. - Opisz zaginioną rzecz.

Makke zaczęła opisywać jego koszulę z najdrobniejszymi szczegółami; kiedy doszła do frędzli przyszytych u dołu, Shalaman zamrugął.

- Dobrze - mruknął Bursztynowy Żuraw. - Odpowiedz mi, czy po odebraniu kosza od praczek zostawiłaś go gdzieś?

Zaprzeczenie.

- Oprócz ciebie tylko praczki miały kontakt z naszymi rzeczami?

Potwierdzenie.

- Kobieta mówi prawdę - rzucił Leyuet bezdźwięcznie.

- Po pierwsze, część ubrania znaleziona u ofiary morderstwa zaginęła dziś rano, więc nie mogłem jej nosić - podsumował Bursztynowy Żuraw. - A po drugie, Makke nie ponosi winy za to, że ktoś ukradł moją koszulę. Nie może być odpowiedzialna za czyny złodzieja, zdrajcy i mordercy.

Shalaman westchnął przeciągle, a Makke nagle się rozpromieniła.

- To tyle, panie - oświadczył Leyuet, budząc się z transu. - I chociaż nie potrafię dostrzec wagi tego zeznania... - urwał, zaczerwienił się i skłonił przed Makke. - Wybacz. Dla ciebie było ono ważne. Czasami los imperiów zależy od najzwyklejszych ludzi. Pytanie, co z tobą zrobimy? Nie wiem, czy nadal powinnaś być sprzątaczką. Co myślisz o przejściu na emeryturę?

Makke skurczyła się na krześle.

- Mam prośbę - syknęła wściekle Zhaneel. - Tylko Makke wie, która koszula zniknęła. Morderca może zechcieć się jej pozbyć. Gdyby przebywała z nami, mogłabym ją ochraniać. Chciałabym, żeby została... och, niańką moich dzieci! Miałabym ją cały dzień pod moimi opiekun-

czymi skrzydłami.

- Czy to dozwolone? - skrzywił się Leyuet, popatrując na króla. - Jest z kasty niższych służących, niańkami mogą być tylko te urodzone w kaście wyższych... - Najwyraźniej bezpieczeństwo Makke było niczym w porównaniu z możliwością naruszenia odwiecznych i świętych podziałów.

Niech szlag trafi ich przeklęte kasty!

- Służące, które teraz zajmują się moimi dziećmi, nie nadają się nawet do pilnowania papug! - parsknął Skan pogardliwie. - Ciekawe, kto je do nas przysłał? Makke jest od nich dziesięć razy lepsza, panowie. Ma jedną cechę, która stawiają znacznie wyżej: inteligencję.

Leyuet uśmiechnął się.

- Nie jest powiedziane, z jakiej kasty powinny się wywodzić niańki dla... eee... - Zaciął się, usiłując wybrnąć z sytuacji i nie obrazić nikogo.

- Dla potomstwa istot rozumnych - pomógł mu Skan, dla którego takt i układność były pojęciem zupełnie abstrakcyjnym. - Niech Shalaman postanowi, że z kasty Makke i problem sam się rozwiąże.

- Postanawiam - powiedział szybko król. - Leyuet, znajdź sekretarza, niech to zapisze.

Po raz pierwszy od przybycia cudzoziemców Leyuet czuł się dobrze: nie bolała go głowa i nie buntował się żołądek.

Dotykane duszy Bursztynowego Żurawia było... było przyjemne: jego dusza jest równie wspaniała, jak Srebrnego Trenu.

Nic dziwnego, skoro to jej uczeń i przyjaciel. Jak mogłem zwątpić w jego szczerść i uczciwość?

Nie protestował nawet przeciw przesłuchaniu starej służącej, choć jeszcze kilka dni wcześniej urządziłby karczemną awanturę i zażądał sprowadzenia mniej wykwalifikowanego Prawdomówcy, utrzymując, że nie będzie marnował swych cennych zdolności dla plebsu. Gryfica miała rację, staruszka powinna pozostać pod ochroną, ale nie ona była najważniejsza tego wieczoru: udało im się uratować honor cesarza.

Bursztynowy Żuraw ochronił nas od boskiej klątwy tuż przed Zaćmieniem! Cóż za szczęście. Wolę nawet nie myśleć, co mogłoby nas spotkać.

Leyuet rozważał zalety cudzoziemca, izolując się od reszty towarzystwa, a Bursztynowy Żuraw, Shalaman i Skan zaczęli planować kolej-

ne posunięcia.

- Myślę, że powinniśmy nadal twierdzić, że jestem głównym podejrzanym - mruknął Żuraw ponuro. - Właściwie... Laniu, jeśli nie masz nic przeciwko temu, proponuję udawać, że się straszliwie pokłóciliśmy i przyjąłś oświadczyzny króla.

Leyuet powrócił do rzeczywistości, usłyszawszy te słowa. W innych okolicznościach wpadłby w panikę, ale wiedział, że Shalaman, przerażony wizją boskich klątw, w jednej chwili porzucił wszelkie plany dotyczące Zimowej Łani.

Owszem, pogwałciłem zwyczaj, czytam w duszy króla, ale to dla dobra naszego ludu. Gdyby Shalaman nadal pożył tej kobiety, musiałbym go chyba zamknąć w areszcie domowym.

- Nie mam nic przeciwko - powiedziała Zimowa Łania, a potem oblała się rumieńcem. - W granicach przyzwoitości, rzecz jasna!

Król parsknął śmiechem. Te blade istoty okazywały zakłopotanie w wielce zabawny sposób!

Ciekawe, czy czerwieni się tylko na twarzy? - zainteresował się Leyuet.

- Prawdomówca da ci klucz do komnat połączonych z apartamentem gryfów - rzekł Shalaman. - Urządź się tam jak na przyszłą królową przystało, a przyszła królowa musi przebywać z rodziną. Bursztynowy Żuraw raczej nie wchodzi w grę, mieszkanie z nim wystawiłoby na szwank twój honor i bezpieczeństwo. Gryfy będą... przyzwoitkami? Tak mówicie?

- No, no - mruknął Skan. - Nigdy nie byłem przyzwoitką, ciekawe, czy mi się spodoba ta rola? Tylko nie budźcie nas po nocach, potykając się o sprzęty w salonie, słyszałeś, Żuraw?

Zgromadzeni parsknęli śmiechem. Leyuet odetchnął z ulgą: gdyby król miał dwuznaczne zamiary, przeniósłby Zimową Łanię do swoich apartamentów. Wyciągnął się na poduszkach i pozwolił myślom odpływać.

Powinienem brać udział w naradzie, sytuacja nie przedstawia się najweselej. Wśród nas ukrywa się morderca, zdrajca, zabijający w ohydny sposób. Cztery damy dworu poniosły śmierć, a ja siedzę tutaj i marzę o najbliższym posiłku, który wreszcie zjem bez przeszkód...

Shalaman nie potrzebował już jego porad, zachowywał się jak dawniej, a przybysze pokazali się dziś ze strony, której Leyuet nie znał. Dotychczas uważał ich za podstępnych, sprytnych i niegodnych zau-

fania; Bursztynowy Żuraw był zbyt nieprzenikniony, aby mu zaufać. Jak on, Prawdomówca, mógł nie zauważyć, że to tylko maska?

Myślałem, że nikt nie może się równać ze Srebrnym Trenem. Czy wszyscy północni kestra'chern przypominają tych dwoje? Pewnie nie, przecież nawet w Khimbacie zdarzają się tacy, którym do tego miana wiele brakuje, a jednak chępią się tytułem kestra'chern. Obcy przestali być obcy, choć trudno nam zaakceptować ich dziwacznych skrzydlatych przyjaciół.. Może pewnego dnia odważę się na czytanie gryfiej duszy...? Przyjaciele Żurawia nie mogą być groźni...

- Możesz odejść, Leyuecie - powiedział Shalaman i Prawdomówca ocknął się gwałtownie. - Powinieneś się wyspać. Rano porozmawiam z tobą, Srebrnym Trenem i Palisarem. Mam nadzieję, że zachowacie treść rozmowy dla siebie.

Leyuet zrozumiał aluzję: nie powinien ani słowem pisać o tym, co wydarzyło się dzisiejszej nocy. Ech, gdyby król wiedział, jak dobrze Prawdomówca go zna... Wstał, skłonił się i wyszedł.

Srebrny Tren dowie się wszystkiego od Bursztynowego Żurawia, jednak Palisar powinien jak najszybciej usłyszeć nowiny. W przeciwieństwie do króla, doradcy nigdy nie sypiali.

Mógłbym przenosić góry - pomyślał, nucąc cicho i śmiejąc się do siebie. Ciekawe, dlaczego?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Skan poderwał się wcześniej rano i wyruszył na samotny lot. Nie mógł spać, dręczony pytaniami, na które nie znał odpowiedzi.

Kto jest mordercą? W jaki sposób zabija?

Skan był wściekły; nie był to jednak dawny, gorący gniew, który tak często zaślepił go w przeszłości. Czuł głęboką, palącą furję; powodowany nią, zrobiłby wszystko, aby schwytać winnego. I gdy go złapie, zbrodniarz gorzko pożałuje, że nie dostał się w ręce Oszczępów Prawa.

Kimkolwiek jest to sketi, nie bierze się z powietrza, więc musi zostawić ślady na dachach. Może je znajdzie... Ludzie Leyueta byli święcie przekonani o winie Żurawia i mogli przeoczyć takie drobiazgi

Stanął na balkonie i odbił się mocno tylnymi łapami, słysząc tylko chrupnięcie stawów. Żadnych zerwanych mięśni ani naciągniętych ścięgien: znów był w formie. Gdyby nie ta wilgoć, którą czuł w kościach... No cóż, w Khimbacie nie bywało sucho i kości gryfa w średnim wieku będą musiały się z tym pogodzić. Może widok pięknych kwiatów ułagodzi ich narzekania?

Za późno przyszło mu do głowy, że zataczając koła nad pałacem tuż po wschodzie słońca, nie wykazuje się przezornością.

Niewiele stworzeń wielkości konia krąży sobie nad Khimbatą o tej porze; gdyby przyjaciel jednej z ofiar postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość, znalazłbym się po uszy w...

Nagle poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa; uratowały go lata praktyki w unikaniu wymyślnych, zabójczych zabawek Ma'ara i fakt, że przez kilka ostatnich dni jego zmysły wyostrzyły się do granic możliwości. Później, gdy o tym myślał, doszedł do wniosku, że musiał pochwycić kątem oka ruch w dole i zareagował instynktownie, rzucając się w bok.

Co u...sketi!

Strzała przeszła powietrze tam, gdzie jeszcze przed chwilą była pierś Skana, zahaczając o lotki lewego skrzydła. Skoczył w przód i złapał ją, dumny, że wrócił do formy. Znurkował gwałtownie, zanim strzelec zdążył ponownie złożyć się do strzału, i rozejrzał się uważnie wokół, szukając łucznika.

Oczywiście nie znalazł go; żaden człowiek nie był na tyle głupi, aby stać w miejscu, widząc rozwścieczonego gryfa. Strzała była zwyczajna, bez znaków na brzechwie ani charakterystycznego opierzenia: setki

podobnych zalegały na straganach każdego handlarza. Może jakiś bardzo kiepski łucznik ćwiczył strzelanie do celu i pomyliły mu się kierunki?

Jasne. Oczywiście. Prędej mi kaktus wyrośnie na łapie.

Ktoś tam. na dole. bardzo go nie lubił i postanowił tę niechęć okazać w dosadny sposób. Skan pomyślał, że już się nie może doczekać przybycia Srebrzystych z „prezenterem” od Judeth: wiedział z doświadczenia, że ludzie nie potrafili trafić strzałą w czarny cel nawet za dnia. Ten ich niedoskonały wzrok...

Strzała, którą trzymał w dziobie, niosła ze sobą jeszcze jedno przesłanie: sytuacja na dworze zaczynała wymykać się spod kontroli. Ktoś z Haighlei naruszył Święty Protokół i strzelał do posła, co w normalnych warunkach byłoby nie do pomyślenia. Ci ludzie nawet zęby myli według wskazówek zesłanych przez bogów. Tego nie brali pod uwagę, rozprawiając w nocy: Bursztynowy Żuraw, główny podejrzany, mógł się znaleźć w poważnych kłopotach.

Lepiej z nim porozmawiam, i to szybko. W powietrzu i tak zrobiło się zbyt tłoczno.

Kilka minut później wylądował na balkonie Żurawia. Kestra'chern wyszedł do Skana, wyglądając jak półtora nieszczęścia: miał zaczerwienione i podkrążone oczy, potargane włosy, a luźna szata chyba nie należała do niego; naciągnął na grzbiet pierwszą rzecz, jaką znalazł.

Dobrze, że Zimowa Łania ma mocny sen, inaczej zmyłaby mi głowę. Żuraw jest przyzwyczajony do wczesnego wstawania.

Skan wylądował z gracją i machnął skrzydłami, targając włosy przyjaciela.

- Mamy kłopoty - rzucił krótko, nie przejmując się tym, że kestra'chern znacząco masował sobie skronie. - Łap - rzucił mu strzałę. - Zaczęły się zawody w strzelaniu do latających cudzoziemców. Zwycięzca przechodzi do drugiego etapu, w którym celem jest chodzący cudzoziemiec w kolorowym ubraniu.

- Miała cię ostrzec czy zabić? - zapytał Żuraw, marszcząc brwi.

- Zabić. Nie sądzili, że zdołam się uchylić. Problem w tym, że na balkonie czy w korytarzu nie unikniesz takiej niespodzianki. Podejrzewam, że trzeba zmienić plany, bo jeśli ktoś zrobi z ciebie tarczę, Zimowa Łania poderżnie mi gardło.

Nie jesteś walecznym bohaterem, Żurawiu - pomyślał gryf. Nie walczyłeś w pierwszej linii. Nie udawaj, że sobie poradzisz.

- Skoro jestem głównym podejrzanym, powinienem nie wystawiać nosa z pokoju - westchnął mężczyzna. - Za parę dni dotrze tu nasza delegacja i wtedy zaczną się kręcić po pałacu, nie wcześniej.

- Obstawy nigdy za wiele - mruknął Skan filozoficznie. - Poza tym pragnę zaznaczyć, że nigdy nie byłeś wojownikiem, a bitwy oglądałeś z namiotów uzdrowicieli. Nie masz instynktu...

- Skan, przypomnij sobie, co robiłem, zanim zostałem kestra'chern - przerwał Żuraw łagodnie. - Widziałem w życiu przemoc, uciekłem z oddziałów Ma'ara, byłem na wojnie i przeżyłem podróż na zachód. I chociaż wojownikiem nie jestem, ani na chwilę nie straciłem formy.

Skan wyprostował się dumnie, obrażony.

- A ja swoja, bardzo szybko odzyskałem - odparł. - Mam większą praktykę w unikaniu strzał niż ty, a poza tym to do mnie strzelano!

- Ale jeśli ciebie zastrzelą, nikt nie uwierzy w przypadek czy zemstę! - uciał Żuraw. - Przepraszam, stary, źle spałem i moja tolerancyjność pozostawia wiele do życzenia. Przyrzekam, będę bardzo ostrożny, ale rozwiązanie zagadki jest warte ryzyka. Wystarczy?

Skan zamknął oczy, bo wyobraził sobie, jak wyciąga strzałę wbita w serce przyjaciela. *Dziwne, kiedy narażałem wiosną głowę, nie przejmowałem się aż tak bardzo. Ale jeśli ktoś chce skrzywdzić Żurawia...* Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze. *Czy moi przyjaciele czuli się podobnie, kiedy odlatywałem? Najchętniej wywiózłbym go gdzieś daleko i ukrył!*

Bursztynowy Żuraw wiedział, co robi.

Kiedy mnie ktoś pouczał, wpadałem we wściekłość. Szczególnie, kiedy Żuraw próbował mnie chronić. Do diabła, ma rację, te morderstwa mogą wywołać wojnę między nami a Haighlei, jeśli nie złapiemy sprawcy.

- Jeśli nie będziesz uważał... - wycodził Skan przez zamknięty dziób. - To, co oni ci zrobią, będzie igraszką w porównaniu z tym, co ja ci zrobię!

- Zakład stoi - parsknął kestra'chern, przeczesując włosy. - Skoro już mnie obudziłeś, chciałbym usłyszeć więcej o twojej rozmowie z Judeth. Wolałbym nie martwić naszych dam, ale muszę wiedzieć, co rozkazałeś. Skoro już jestem żywym celem, chcę być celem dobrze poinformowanym.

Na wszystkie demony! Skan zwinął skrzydła i rzucił mu spojrzenie z ukosa.

- To jest szantaż! - parsknął.

- A juści - zgodził się Żuraw z niewinnym uśmiechem, owijając się szczelniej szatą. Gryf zawsze się zastanawiał, dlaczego jego przyjaciel najlepiej wygląda w najbardziej nie sprzyjających momentach? - Mów, Skan, inaczej zniszczę cię poczuciem winy. Jestem bardzo dobry w... wiesz, w czym.

Niech go diabli, wiem aż za dobrze. Odpowiedni wyraz twarzy albo dwa słowa i jestem u jego stóp. Moja matka nie zrobiłaby tego lepiej.

- Poinformowałem Judeth o zaistniałej sytuacji - poddał się gryf. - Skoro twierdzą, że jestem ich przywódca, niech mnie diabli, jeśli nie skorzystam z przywilejów.

- Oni? Rozmawiałeś z kimś oprócz Judeth?

- Ze Śnieżną Gwiazdą, Vikterenem i Aubrim; Kechara nie potrafiła przekazać myślmowy innych osób, a i tak tylko powtarzała mi słowa Judeth i Vikterena. Śnieżna Gwiazda rządzi miastem w moim imieniu: muszę przyznać, że bardzo się opierał, ale go przekonałem. Vikteren zostaje w Białym Gryfie, do Khimbaty przyplyną Judeth i Aubri.

Myślę, że Śnieżna Gwiazda przeczuwa, że oddam mu władzę nad miastem. Żaden ze mnie przywódca, w przeciwieństwie do niego. Gdyby Lwi Wiatr był mniej charyzmatyczną osobą, wodzem k'Leshya byłby właśnie Śnieżna Gwiazda.

- To twój pomysł? - zdziwił się Żuraw.

- Nie, ich. Niech mnie, Żurawiu, wolę mieć u boku ludzi, których znam. niż nieopierzonego żółtodzioba, który uważa mnie za legendę! - Spojrzał na północ, myśląc o mieście, do którego tęskniło jego serce. Jednak, gdyby mógł cofnąć czas, postąpiłby tak samo: od lat nie czuł się tak pełen energii. - Kazałem im przywieźć czernidło do piór. Będę Czarnym Gryfem.

Spodziewał się gwałtownego protestu, ale przyjaciel uśmiechnął się lekko.

- Nie dziwi mnie to - powiedział. - Przez tyle lat byłeś kimś, kogo stworzyły ludzkie potrzeby, że wreszcie zapragnąłeś stać się ponownie sobą. Pamiętaj, jestem kestra'chern: wyczuwanie emocji to mój zawód,

- Masz rację - gryf skłonił się lekko. - Powiedziałem też, że mamy tu wroga, z którym musimy się zmierzyć. Nie możemy sobie pozwolić na puszczenie go wolno.

- Prawda, wczorajszej nocy przedyskutowaliśmy wszystkie możliwości. - Bursztynowy Żuraw oparł głowę o ścianę. - Kto przybywa?

- Żadnych magów; Vikteren został, bo burze magiczne wciąż pustoszą półwysep i nie chciał narażać miasta. Zgodziłem się, zresztą magowie przyprawiają tubylców o dreszcze.

- Śnieżna Gwiazda dałby sobie radę z burzami magicznymi, a poza tym nie musielibyśmy rozgłaszać, że Vikteren jest magiem - wytknął mężczyzna.

- Wiem, wiem, mamy tuzin ludzi, którzy mogliby go z powodzeniem zastąpić - Skan przewrócił oczami. - Jednakże Vikteren zawsze zachowuje zimną krew i wychodził cało z oparów, o jakich nam się nie śniło, więc został. Tak postanowiłem. Ostrzegłem resztę, że zamierzam uporządkować ten burdel, bo inaczej z Białego Gryfa nie zostanie kamień na kamieniu - zatrzasnął dziób. - A tego sobie nie życzę. Potrzebujemy Srebrzystych, którzy mają intuicję i szybko myślą, co powinno wykluczyć Aubriego, ale jestem sentymentalny.

- Czy twoje sentymenty wyczyściły miasto ze wszystkich Srebrzystych zdolnych unieść broń? - wykrzyknął kestra'chern.

- Ależ skąd, poprosiłem o kilku doświadczonych i paru młodzików, którzy nie walczyli z Ma'arem, ale dobrze się zapowiadają. Judeth nie przyśle nam więcej niż dziesięciu. W razie ucieczki nie będą nam się plątać pod nogami.

- Nie chcę słyszeć nic więcej - jęknął Żuraw, odwracając się ku słońcu. Skan odkaslnął; i tak nie zamierzał informować przyjaciela, że rozmowa odbyła się w tonie „nie gadać, tylko słuchać moich rozkazów”.

O Kecharze też mu nie powiem.

Mały wyrodek był tak nieszczęśliwy z powodu jego przedłużającej się nieobecności, że „tata Skan” spędził pół nocy, przekonując ją, że wszystko idzie tak, jak zaplanowano. *Próbowałem jej powiedzieć, że wszystko jest w porządku.* Nietrudno było przekonać Kecharę: wierzyła Skanowi, bo wierzyła każdemu. Chwalił ją za jej pracę i mówił o ich wdzięczności za to, że mała trzyma nad nimi pieczę. Wiedział od Judeth, że gryfsokół kilkakrotnie w ciągu dnia dotykał delikatnie myśli wszystkich posłów, i dziękował niebiosom, że Kechara nigdy nie trafiła na chwilę silnego wzburzenia czy gwałtownych emocji.

A potem zapytała mnie, czy ojciec Urtho jest tu ze mną. Udało mu się ukryć zaskoczenie: zapomniał, że Kechara ciągle wierzyła, iż jej ojciec żyje gdzieś daleko. Oszukiwali ją, bo tak było lepiej dla niej, a poza tym nikt nie wiedział, czy zrozumiałaby znaczenie słowa „śmierć”.

Powiedziałem jej, że nie i nie wiem. kiedy wróci. Sketi, nie wiem nawet, czy sam wrócę... Nie mogłem jej tego powiedzieć!

Próbował wytłumaczyć małej Kecharze, że czasami ludzie odchodzą i nie wracają. Miał nadzieję, że nie spotka go ten los...

Do cholery, wszyscy musimy wrócić!

Bursztynowy Żuraw ziewnął szeroko.

- Przepraszam, Skan, jestem zmęczony, idę spać. Im mniej będę się kręcił na zewnątrz, tym lepiej dla wszystkich, a poranne posłuchanie może się odbyć bez mej skromnej osoby. Pokaż tę strzałę Leyuetowi.

- Sam powinienem się gdzieś ukryć, w końcu to do mnie strzelano w ten piękny, radosny poranek - mruknął gryf. - Szkoda, że nie dostrzegłem łucznika, moje mięśnie są już wystarczająco silne, aby podnieść człowieka. Miej się na baczności. Powiedz Gestenowi.

- Gesten już wie - rozległ się głos z pokoju; brzmiało w nim obrzydzenie. - Nie myślałeś chyba, że mnie przechytrzysz, co?

- W życiu - parsknął Skan. - Jesteś królem wścibskich i cesarzem szpiegów, nawet mi się nie śniło o rozmowie, której nie podsłuchasz. Zawsze się rozglądam, za którą kotarą się schowałeś, zanim nawet otworzę dziób. - Takie wymiany zdań zawsze kończyły się zwycięstwem hertasi, więc wykorzystał sytuację i prysnął z balkonu, zanim jaszczurka odpłaciła mu pięknym za nadobne. Usłyszał jeszcze, jak Gesten sztorcował Bursztynowego Żurawia, i zachichotał.

Wolę wszystkie strzały Haighlei od języczka naszego drogiego hertasi!

Bursztynowy Żuraw obudził się koło południa, kiedy Zimowa Łania wróciła z porannej audiencji. Przeciągnął się, patrząc z przyjemnością na żonę, która przeszła zadziwiającą metamorfozę. Jej suknia ze srebrnego jedwabiu została przerobiona na modłę Haighlei, ze złotymi aplikacjami na rękawach i przy dekolcie; na szyi Łania nosiła naszyjnik zaręczynowy, a w utrefione włosy wplotła jedną z lili; jej talię opasywał masywny łańcuch z brązu, a na nadgarstkach miała bransolety pasujące do naszyjnika. Przypominała mu posąg wyrzeźbiony w marmurze i bursztynie, tym bardziej że na jej twarzy malował się stoicki spokój. Zawsze tak wyglądała, kiedy miała problemy.

- Czy te ozdóbki oznaczają, że jesteście oficjalnie zaręczeni? - zapytał, gdy usiadła obok.

- Owszem, a po pałacu krążą plotki, że cię rzuciłam, bo nie mogę znieść życia z mordercą. Oczywiście, trzymam język za zębami, ale

przeniosłam moje rzeczy do sąsiedniej komnaty. Zabrałam ze sobą Wietrzną Pieśń. Zamieszka razem z Keenathem i Tadrilhem - rzuciła mu niespokojne spojrzenie, spodziewając się oporu. - Będzie tam bezpieczniejsza, jeśli nasz krwawy przyjaciel wpadnie na pomysł, aby zaatakować dzieci.

Bursztynowy Żuraw zachłysnął się.

O bogowie, o tym nie pomyślałem. Muszę ostrzec Skana.

- Przynajmniej będę mógł spać do południa - mruknął. - Współczuję każdemu, kto zaatakowałby dzieci. Makke wydrapałaby mu oczy.

Zimowa Łania podniosła brew.

- Też tak myślę - odparła poważnie. - Nie doceniasz jej zdolności.

Każdy, kto nie doceni jej instynktu macierzyńskiego, skończy na cmentarzu - pomyślał, ale rozsądnie powstrzymał się od komentarza.

- Tak więc, nie jesteśmy już razem - rzekł i choć starał się, aby te słowa zabrzmiały lekko, czuł się opuszczony. Był samotny tyle czasu i gdy wreszcie znalazł Zimową Łanię, nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś będzie sypiał sam. Żona spojrzała na niego oczami pełnymi łez: wiedział, że cierpi równie mocno. Żuraw poczuł dziwną, niemal perwersyjną satysfakcję na myśl o tym, że Zimowa Łania będzie za nim tęsknić. Dobrze, że potrafiła trzymać swe uczucia na wodzy: przenigdy nie zdradziłaby się z nimi przed dworzanami Shalamana. Była doskonałą aktorką: w porównaniu z tym, co przeszła w armii Urtho, ukrywając swe pochodzenie, wodzenie za nos dworu cesarskiego w Khimbacie było drobnostką. *Dobrze, że znam tę stronę jej osobowości, inaczej uwierzyłbym w ten nagły wybuch miłości do króla.*

Mimo oczu pociemniałych od żalu skrzyżowała ręce na piersi i postanowiła udawać dzielną:

- To nie potrwa długo - powiedziała. - Będę cię unikała tylko w obecności innych. - Żuraw sięgnął po jej dłoń. - Jeśli chcesz wiedzieć, Shalaman był miły, troskliwy i całkowicie braterski; nikt nie zauważył różnicy, ale ja wiem, że traktuje mnie jak świętą figurkę z kości słoniowej.

- A ty udajesz jego narzeczoną, która straciła wiarę w swego męża - uśmiechnął się. - Nasz nieprzyjaciel pomyśli, że wszystko idzie zgodnie z jego planem, że zasiał ziarno niezgody wśród nas.

Odetchnął głęboko, odsuwając na bok emocje. Najgorsze minęło, pogodził się z rozstaniem, jego umysł znów pracował: Skan był bez wątpienia doskonałym strategiem, ale to Bursztynowy Żuraw wprowadzał

w życie jego plany, a zeszłej nocy odkrył, że logiczne myślenie pozwala zapomnieć o bolącym sercu i przynosi niespodziewaną satysfakcję.

- Skan myślmówił z Judeth wczoraj w nocy - rzekł dziarsko, aby przestać myśleć o swym zranionym sercu. - Zamiast dyplomatów będziemy tu mieli ją i jej Srebrzystych.

Łania zamarła na moment.

- To nie jest zły pomysł - stwierdziła po namyśle. - Powinniśmy byli sprowadzić tu kilku magów, ale takie działanie śmiertelnie uraziłoby Palisara i myślę, że...

- ...Że Palisar byłby święcie przekonany, iż morderstwa to nasze dzieło i udało nam się oszukać Prawdomówcę - wpadł jej w słowo. Przewróciła oczami, ale zgodziła się z nim. - Jak Rzecznik Bogów ocenia przyszłą królową?

- Przyzwyczał się, ale tylko dlatego, że wie o naszej małej mistyfikacji - spróbowała się zaśmiać, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. - Nie sądzę, aby nas lubił. Obcy go denerwują.

- A ja sądzę, że potrzebuję kąpieli - jęknął Żuraw. Wstał i ruszył do łazienki, a Łania podreptała za nim. Łazienka była jedynym miejscem, gdzie służący nie mogli podsłuchać ich rozmowy. - Masz rację - powiedział, zrzucając koszulę i wchodząc do wanny. Skrzywił się mimowolnie, zanurzając się w zimnej wodzie. - Srebrny Tren powiedziała, że Haighlei nienawidzą zmian i jednocześnie ich pragną, pamiętasz? - Zimowa Łania, która usiadła na podłodze, skinęła głową. - Palisar reprezentuje najbardziej zachowawczych spośród nich, a Leyuet plasuje się gdzieś pośrodku. Cesarz natomiast uosabia tych wszystkich, którzy chcą się zmieniać.

- A Srebrny Tren? Gdzie jest jej miejsce?

- Srebrny Tren to esencja zmiany - odparł, dumny z poetyckości wyrażenia, ale żona, zamiast wyrazić swój podziw, ochlapała go wodą. Żuraw otarł twarz.

- Chciałbym zachować w tajemnicy prawdziwą tożsamość naszych dyplomatów - ciągnął, myjąc włosy. - No, nie do końca, musimy przecież powiedzieć prawdę Leyuetowi. Możemy potrzebować pomocy jego Oszczepów Prawa.

- Wiesz dobrze, że zdam się na ciebie i Skana - odparła; - Moim zadaniem jest udawanie szczęśliwej narzeczonej. Postąpię zgodnie z twoimi rozkazami.

Gwiedznooka, uchowaj mnie od dowodzenia!

- Pocałuj mnie - zażądał, odchylając głowę, a Zimowej Łani nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. - Czy wiesz, że jesteś niezwykła? - zapytał szeptem.

- Wiem, wiem - mruknęła. - Ale chcę to znów usłyszeć.

- Będę ci o tym mówił do końca życia - obiecał, przyciągając ją do siebie.

Odpoczywali właśnie w ogrodzie gryfów, gdy pojawił się Leyuet. Wyraz jego twarzy nie zwiastował niczego dobrego i choć przybył bez Oszczepów Prawa, zamarli w oczekiwaniu najgorszego. Wydawało się, że woda płynąca ciurkiem z fontanny szemrze coraz głośniejsze i głośniejsze.

- Tylko nie to - zaprotestował gwałtownie Żuraw, który znał aż za dobrze grymas na czole Prawdomówcy. - Znowu?

Leyuet skinął głową i usiadł ciężko na podsuniętym mu krześle. Wyglądał na wyczerpanego.

Po raz pierwszy w życiu stanął przed podobnym problemem.

- Odkryliśmy ją dopiero niedawno, ale została zabita wczorajszej nocy, kiedy Skandranon odbywał swój lot - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Ten drań zna wszystkie wasze ruchy, panowie, i tak planuje morderstwa, aby przynajmniej jeden z was nie miał alibi. Wie, że za pierwszym razem popełnił błąd.

- Zdziwiłbym się, gdyby nie wiedział - odparł cierpko Żuraw. - Rozumiem, że dowody obciążają Skana?

- Czy wystarczą ci ślady gryfich pazurów? - zapytał równie cierpko Leyuet. - Kobieta została rozszarpana przez coś, co weszło drzwiami balkonowymi.

Coś ukrywa - pomyślał Bursztynowy Żuraw. *Ale niech sam ujawni swe rewelacje. Nie będę mu psuł zabawy.*

- I Palisar nie wali do naszych drzwi? - zdziwił się Skan. - Niesamowicie! Związałeś go i zakneblowałeś?

- Sam się zakneblował - oświadczył triumfalnie Prawdomówca, sięgając do rękawa, którego, jak każdy Haighlei, używał zamiast kieszeni.

Oto wielka chwila!

Leyuet wydobył przedmiot wielkości ludzkiego palca, owinięty starannie w czarny jedwab, położył go na stoliku i rozwinął warstwy materii, ukazując kawałek ciemnego, twardego drewna. Drewno starannie wyrzeźbionego na kształt gryfiego pazura. Rzeźbiarz zbyt mocno uderzył dłutem u podstawy trzeciego szponu i szpon się ułamał.

- Ha! - rzucił Żuraw, ujmując rzeźbę przez materiał. Nie chciał zniszczyć śladów pozostawionych przez mordercę. - Czy ten drobiazg przekonał Palisara?

Dziwne, skądś znał ten styl rzeźbienia...

- Musiał - odparł lakonicznie Leyuet. - Co prawda, dwa tuziny magów nie potrafiły ustalić tożsamości zabójcy, ale wiecie, że magia jest kapryśna. Wieczorem może się okazać, że wszystkie rzucone zaklęcia zaczęły działać.

- Hmmm. - Kestra'chern oddał dowód Haighlei. - Czy ktoś jeszcze wie o tym?

- Nie. Tylko król, doradcy i teraz wy - odparł Leyuet, wsuwając zawiątko do rękawa.

- I tak ma zostać - zarządził Żuraw. - Rozgłoście, że ofiara została rozszarpana przez jakieś ogromne zwierzę. Nikt nie wierzy już w winę Skana, a mnie nie zaszkodzi, jeśli ktoś rozgłosi, że jestem potężnym magiem narzucającym swą wolę lwom. - Uśmiechnął się ponuro. - Dopilnuj, aby ta plotka zaczęła krążyć; ludzie zazwyczaj niechętnie strzelają do magów mających demony na usługach.

Leyuet wiedział o porannej przygodzie Skana i przezornie zmienił temat:

- Król przyjdzie tu, gdy pozbędzie się towarzystwa gwardzistów. Teoretycznie na słodkie sam na sam z Zimową Łanią...

- A naprawdę na naradę wojenną - dokończył Shalaman, wyrastając jak spod ziemi przy ławce, na której siedział Bursztynowy Żuraw. Król tryskał energią i wyglądał dwadzieścia lat młodziej. Rozparł się wygodnie obok kestra'chern. - Nikt nie ośmielił się przeszkodzić zakochanym!

- Na to liczymy - odparł Żuraw, zachwycony swobodnym zachowaniem Shalamana.

Teraz wiem, że Shalaman nie był zakochany w Zimowej Łani, tylko w swoim wyobrażeniu o niej. Pierwsza lekcja kestra'chern: znacznie częściej ludzie kochają wyobrażenie, a nie prawdziwego człowieka i zaślepia ich pożądanie. Gdyby to była prawdziwa miłość, Shalaman nie pogodziłby się tak szybko ze stratą ukochanej.

- Kolejne morderstwo - mruknął Shalaman, wykrzywając twarz. Żuraw wątpił, czy król znał osobiście zabitą kobietę. - Ciekawe, że wszystkie ofiary były osobami posiadającymi duże wpływy, zamożnymi i bardzo nie lubianymi. Krótko mówiąc, wredne babska. Muszę wy-

znać, choć nie bez oporów, że dawniej na dworach Haighlei skrytobójstwa były na porządku dziennym i prawdopodobnie w innych częściach naszych królestw władcy nadal z powodzeniem wykorzystują asasynów do pozbycia się niewygodnych świadków czy spadkobierców. Gdyby wszystkie dowody nie wskazywały na was, ludzi z Północy, musiałbym uznać, że wszystkie zamordowane naraziły się niewłaściwej osobie.

- W dwóch przypadkach stypa zmieniła się w bankiet - dorzucił Leyuet. - Normalnie przeprowadzilibyśmy ciche śledztwo, aby dowiedzieć się, czy ktoś nie wynajął skrytobójcy, a potem szybko zamknęlibyśmy sprawę. Mimo wszystko nie jesteśmy dzikusami, którzy wbijają sobie noże w plecy!

Bursztynowy Żuraw przygryzł wargę, rozbawiony do łez oświadczeniem Prawdomówcy. Shalaman szturchnął go w bok i mrugnął porozumiewawczo.

- Niestety, komuś zależało na tym, aby dowody obciążyły posłów i ciche śledztwo w sprawie wendety przekształciło się w nagonkę na cudzoziemców - dokończył cesarz. - Jak zginęła ostatnia?

- Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że ją rozszarpano - odpowiedział natychmiast Prawdomówca, grzebiąc w rękawie. - Jednakże... Spójrz! - Wyciągnął kawałek drewna i zademonstrował cesarzowi. - Znaleźliśmy ten szpon w ranie. Dowodzi, że ktoś uknuł spisek przeciw posłom z Białego Gryfa.

- Chcę, żeby na razie nie wspominać o znalezisku - wtrącił się Żuraw. Shalaman skrzywił się i pokręcił głową.

- Przyjacielu, to nie jest dobry pomysł - powiedział. - Trudno mi będzie obronić cię przed ludźmi, którzy są przekonani o twojej winie.

- Wasza Spokojność - Żuraw użył całej swej siły przekonywania. - Nasz wróg jest sprytny i podstępny, uczy się na błędach. Nie możemy wyjawić, że jesteśmy w posiadaniu dowodu przeciwko niemu. Niech twoi poddani myślą, że tę kobietę rozszarpały demony.

Gdzieś w ogrodzie rozśpiewał się ptak i kestra'chern pomyślał z irytacją, że wybrał bardzo nieodpowiedni moment na popisy wokalne.

- Przecież magia nie działa, wszyscy o tym wiedzą! - zawołał Leyuet.

- Podporządkowanie sobie makaara nie wymaga magii - rzucił Skan. - Makaary są inteligentne, skrzydlate i przeżarte złem. Szczerze mówiąc, to była pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy, kiedy mnie oskarżyliście: że Ma'ar rozesłał po świecie swych agentów i w Khimba-

cie zadomowił się jeden z jego obrzydliwych stworów.

- Nikt w to nie uwierzy - sprzeciwił się król.

- Ale może ktoś dwa razy pomyśli, zanim mnie oskarży! - syknął gryf. Bursztynowy Żuraw przywołał ich do porządku.

- Musimy przekonać mordercę, że jego plan nie wymaga poprawek - powiedział. - Kiedy uwierzy, że jesteśmy bezradni jak ślepe kocięta, zgubi go zbyt duża pewność siebie. Popęlni wtedy błąd większy od zostawienia tego - ruchem głowy wskazał pazur - na miejscu zbrodni.

Shalaman zastanawiał się przez chwilę.

- Bardzo niechętnie się na to zgadzam - rzekł w końcu. - Jak już wspomniałem, skrytobójstwo to jedno z ulubionych zajęć Haighlei. Często krewni ofiary sami dochodzą sprawiedliwości. Nic chciałbym mieć cię na sumieniu.

- Rozumiem - odparł Żuraw, wzruszony troską Shalamaną. Jak wszyscy porywcy ludzie o wielkich sercach, król Haighlei kochał swych przyjaciół równie mocno, jak nienawidził wrogów. Pokochał Bursztynowego Żurawia w chwili, gdy ten mu wybaczył. Kestra'chern zawsze fascynowały podobne osobowości i ich uczucia. - Próbowałem przekonać Skana, aby rozpuścił plotki o moich nadprzyrodzonych zdolnościach. Żaden skrytobójca nie odważy się zaatakować maga.

- Przypominam, że do Ceremonii Zaćmienia pozostało niewiele czasu.

- Leyuet wykorzystał chwilę ciszy. - A dopóki Skandranon jest podejrzany, podpisanie traktatu z Białym Gryfem jest niedopuszczalne!

- Racja - zgodził się Shalaman. - Musimy znaleźć prawdziwego mordercę albo pozwolić, aby Prawdomówca dowiódł twojej niewinności, Skan. Inaczej nie podpiszemy układu.

- Czy to nie może poczekać? - spytał Bursztynowy Żuraw. - Podpiszemy układ po Ceremonii.

- Nie! - krzyknął król. - Jeśli nie podejmiemy decyzji teraz, będziemy musieli czekać dwadzieścia lat, aż do następnego Zaćmienia! Inaczej... och, w najlepszym wypadku pozostaniecie w Khimbacie jako zakładnicy aż do schwytania mordercy, a potem wrócicie do Białego Gryfa, ale my będziemy musieli podjąć symboliczne działania, aby was z niego wyrzucić!

- Co? - ryknął Skan, zrywając się na równe nogi. - Nie było o tym mowy! Jak symboliczne?

- No cóż, myślę, że w grę wchodzi rozlew krwi po obu stronach, aby wyjść z honorem - wyjaśnił cesarz. - Teraz, kiedy nie mogę poślubić

Zimowej Łani, wasza obecność na mojej ziemi zostanie uznana za bezprawne zajęcie. Przykro mi, ale w tym wypadku muszę szanować tradycję. Bądź pewien, że wielu mych dworzan chętnie wyruszyłoby przeciwko wam, nawet jeśli sami musieliby wyposażyć armię. Wojna to żywioł Haighlei i jeśli tylko nadarzy się okazja, korzystamy z niej!

Bursztynowy Żuraw jęknął rozdzierająco, chowając głowę w ramionach: w najgorszych koszmarach nie śniło mu się, że Haighlei mogliby zareagować tak... tak... tak nielogicznie!

Z drugiej strony, oni kierują się własną logiką; nareszcie zrozumiałem, dlaczego Leyuet i Srebrny Tren kładli taki nacisk na Ceremonię... Świetnie. No cóż, zawsze lepiej działałem pod presją, a spokój w sytuacjach kryzysowych wzbudza zaufanie. Pewnie przez kontrast.

Podniósł głowę i rozejrzał się wokoło, napotykać zdesperowane spojrzenia. Skoro Zimowa Łania mogła udawać, że go rzuciła, on może udawać optymistę.

- Będziemy się martwić po Ceremonii - oznajmił. - Nie możemy łapać trzech srok za ogon, bo wszystkie nam uciekną. Skupmy się na jednej rzeczy: na złapaniu tego drania!

Leyuet udał, że się uśmiecha, a Skan przechylił głowę; Bursztynowy Żuraw był pewien, że gryf chciał o coś zapytać.

Założę się, że pytanie brzmiało: Zwariowałeś?

Też się nad tym zastanawiam, ale jeśli nie skoncentrujemy się na złapaniu mordercy, wszystkie nasze plany wezmą w łeb.

- Jak każdy dobry dowódca zajmujesz się tylko tym, co naprawdę ważne - pochwalił go król. - Im szybciej morderca odpowie za swoje zbrodnie, tym lepiej!

Hadanelith chichotał jak szaleniec, wrzucając w ogień drewnianą, szponiastą łapę. Noyoki wspomniał przy śniadaniu, że rzucanie zaklęć nie sprawia mu już trudności, prawdopodobnie dzięki krwawym wyczynom Hadanelitha. Ten wiedział jednak, że od ostatniej burzy magicznej minęło sporo czasu i magia mogła po prostu wracać do normy; w tym wypadku Haighlei niedługo odkryją spisek. Hadanelith nauczył się wystarczająco dużo o zaklęciach używanych przez tych, którzy zwali siebie „stróżami prawa”, aby wiedzieć, że nic nie oczyści rzeczy skażonej magią krwi. Nic prócz ognia. Z żalem poświęcił swą piękną rzeźbę i inne pamiątki po ofiarach; oczywiście, istniała jeszcze jedna rzeźba, ale to nie był jego problem... Jeżeli Kanshin nie zachował od-

powiednich środków ostrożności, może go czekać przykra niespodzianka.

Płomień wystrzelił w górę, a Hadanelith uśmiechnął się radośnie: życie jest piękne! Wyciągnął się wygodnie na krześle kucharza, nie zwracając uwagi na otaczających go niewolników, wspominając, jaką przyjemność sprawiły mu ostatnie wieści z dworu przyniesione przez Noyokiego. Oстрым głosem zażądał czegoś do jedzenia i chwilę później zanurzył zęby w pokrajanym arбуzie. Niewolnicy bali się go jak ognia, a Hadanelith wiedział o tym i korzystał z każdej okazji, aby im dopiec. Zjadł arбуza, obserwując dopalające się główne, i wyszedł z kuchni, niszcząc przedtem ulubione krzesło kucharza. Ruszył do swego pokoju, pogwizdując i zachwycając się swą nieprzeciętną pomysłowością.

Bursztynowy Żuraw został oskarżony i ponoć trzymano go w areszcie domowym; dworzanie wierzyli, że Bursztynowy Żuraw i Skan pozbyli się wrogów i starannie ukryli dowody winy.

Tak, Żuraw cierpi podwójnie, bo jego drogi skrzydlaty przyjaciel jest oskarżony o morderstwo, a może nawet potrójnie, zastanawiając się, czy głupie bydlę faktycznie nie wykorzystało swych szponów, zamiast zniszczyć kobiety elokwencją!

Zachichotał. Zimowa Łania publicznie zerwała z kestra'chern, wygłaszając krótkie, acz płomienne przemówienie. Ogłosiła wszem wobec, że nie może żyć z kimś, na kim ciąży tak straszliwe oskarżenie; dworzanie jeszcze nie otrząsnęli się z szoku. Hadanelith znał Zimową Łanię: ta dumna suka nie zniosłaby najmniejszej niedoskonałości swego wybranka. Prawdę mówiąc, Hadanelith spodziewał się takiej reakcji i wiedział, jaki będzie jej następny ruch: znajdzie kogoś lepszego od Bursztynowego Żurawia, aby się do niego przyssać jak pasożyt. Noyoki, który liczył na to, że wieść o królewskich zaręczynach zaszokuje cudzoziemca, srodze się zawiódł. Hadanelith był pewien, że Żuraw nie mógł przyjść do siebie po takim ciosie, również dlatego, że żona wyprowadziła się od niego i przeniosła do innych komnat. Biedactwo: jego uczucia zostały tak głęboko zranione! Nawet gdyby udowodnił swą niewinność, nigdy nie odzyska Zimowej Łani - kimże był Bursztynowy Żuraw w porównaniu z królem? Ale chciwa łowczyni posagów nie będzie się długo cieszyła swą zdobyczą... Hadanelith sprowadzi ją na ziemię.

Zastanawiam się, co jej zrobić?

Usiadł na swoim ulubionym krześle, replice tego, które pozostało w

Białym Gryfie i kryło w sobie wiele zachwycających niespodzianek, ale nie zdażył nawet oprzeć głowy na poduszce, bo zastukano do drzwi. Noyoki i Kanshin weszli, nie czekając na zaproszenie. Równie bezceremonialnie zajęli dwa najlepsze krzesła w pokoju. Gniew pozbawił go głosu.

- Na razie wykonywałeś to, czego pragnęliśmy - odezwał się Noyoki z wyższością, jak zawsze, gdy rozmawiał z Hadanelithem. - Osiągnąłeś znakomite rezultaty i przeszedłeś pomyślnie wszystkie testy.

Testy? Testy? O czym on mówi? Tłusty, obleśny, pewny siebie bękart! Czy on nie wie, z kim ma do czynienia?

- Wybraliśmy kolejny cel - rzucił Kanshin nerwowo. Dziwne: złodziej nigdy się nie denerwował. Cóż go tak poruszyło?

- Następną ofiarą będzie Shalaman - powiedział Noyoki takim tonem, jakby mówił o pogodzie.

- Shalaman? Cesarz? - Hadanelith aż wrzał z gniewu. Skoczył na równe nogi, zaciskając pięści. - Upiliście się? Doskonale wiecie, że mężczyźni mnie nie interesują!

Na twarz wypłynął mu rumieniec wściekłości: za kogo uważało się tych dwóch typów? Powtarzał im aż do znudzenia, że mężczyźni nie nadawali się do jego eksperymentów. Jedynym mężczyzną, którego miał ochotę zabić, był Bursztynowy Żuraw, jednak Hadanelith zaplanował dla niego śmierć w długich, niewyobrażalnych mękach.

- Wiemy, że to niebezpieczne. - Hadanelith miał wrażenie, że Kanshin przemawia do rozzłoszczonego berbecia. - Zajmiemy się wszystkim, jak zawsze.

Rzeźbiarz czuł, że za moment eksploduje. O jakim niebezpieczeństwie mówił złodziej? Bez niebezpieczeństwa nie było zabawy!

- Nie interesują mnie mężczyźni! - parsknął. - Guzik mnie obchodzi, że chcecie się pozbyć cesarza!

- Jeśli się boisz... - zaczął Noyoki.

Hadanelith splunął na podłogę.

- Bać się? Ja? Tego starca? Nie używam mężczyzn! Umawialiśmy się: dostaję takie ofiary, jakie lubię! Próbujecie mnie oszukać! - ryknął. Czerwona mgła zasnęła mu oczy.

- Nie! Rzucamy wyzwanie twemu talentowi! - odparł szybko Noyoki. Wiemy, że jesteś niezwykły i chcieliśmy odpowiednio docenić twe umiejętności. Czy oprzesz się możliwości zabicia Shalamana w samym środku Ceremonii Zaćmienia?

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki gniew Hadanelitha zniknął. Wpatrywał się w dwóch mężczyzn, pewien, że postradali zmysły albo nawdychali się bardzo szkodliwych oparów tego, co Noyoki zwykł palić w samotności.

Zamordować królu na oczach tłumu?

- Zwariowaliście - stwierdził. - Kompletnie poszaleliście. Dajcie się zamknąć, dobrze wam radzę.

Ani złodziej, ani mag nawet okiem nie mrugnęli.

- Udowodnijcie mi, że tak nie jest - prychnął. - Zabicie Shalamana to samobójstwo, a ja nie jestem głupi. Zaręczam wam, że będziecie mnie musieli ogłuszyć, związać, przykleić mi nóż do ręki i zawlec przed oblicze króla!

Gdzieś w głębi serca wiedział, że jego „gospodarze” muszą trzymać w rękawie coś, co umożliwi wprowadzenie pomysłu w życie.

Chyba że chcą zrobić ze mnie kozła ofiarnego.

Rozpalili jego ciekawość, ale za nic w świecie się do tego nie przyzna. Poza tym Shalaman w ciągu ostatniej nocy nie zmienił płci, więc nie interesował Hadanelitha. Tylko kobiety dawały mu rozkosz.

- Nasz plan jest idealny - powiedział Noyoki. - Przerzucimy cię do króla, zabijesz go i znikniesz, zanim ciało dotknie ziemi.

Nadal mnie to nie podnieca. Znów ogarnął go głuchy gniew: nie był maszyną do zabijania, głupim makaarem, któremu wszystko jedno, kogo morduje!

- Nie - oświadczył Hadanelith. - Nie obchodzi mnie, że ten plan jest idealny, Shalaman to mężczyzna. Facetów w umowie nie było.

- Zimowej Łani też nie - rzucił Noyoki półgębkiem.

Hadanelith poczuł falę gorąca napływającą do twarzy. Zacisnął zęby, aby nie okazać narastającego podniecenia:

- Zimowej Łani? - roześmiał się. - A skąd ona się tam wzięła?

Gdybym mógł ją dostać tylko dla siebie... ale Shalaman strzeże jej za dnia i w nocy. Lepiej ją zabić, napętnić jej dusze i umysł moją siłą... Będzie moja na zawsze, naznaczona, wydarta Bursztynowemu Żurawiu.

- Weźmie udział w Ceremonii u boku Shalamana - powiedział Noyoki.

- Możesz mieć oboje za jednym zamachem. Chyba że nie uważasz się za wystarczająco dobrego, aby zabić króla. Brak ci odwagi czy sprytu?

- Ani tego, ani tego - uciał Hadanelith. - Po prostu nie... Oni nie... Mężczyźni mnie nie interesują!

Oczy Noyokiego błysnęły nagle, jakby mag pojał coś, czego dotychczas nie potrafił zrozumieć. Hadanelith zignorował go, zastanawiając się, czy Zimowa Łania jest warta tego, aby marnował czas na Shalamana?

Już wcześniej używałem mężczyzn, aby się dobrać do kobiet. W obozie... i tutaj też. To jest podniecające...

Kiedy jedyny obrońca padał z gardłem podciętym ostrzem Hadanelitha, a kobiety uświadamiały sobie, że zostały same i pomoc nie nadejdzie: to było naprawdę rozkoszne. Czy tym razem będzie tak samo?

- Będziesz miał całe Zaćmienie dla siebie - perswadował Kanshin. - Pomyśl o tym: pojawisz się z ciemności, przynosząc śmierć i strach! A najlepsze zostawiliśmy na koniec!

Najlepsze?

Hadanelith poczuł się nagle bardzo zainteresowany i przestał udawać obojętnego. Wysłuchał ich, ale najpierw usiadł.

- W porządku - powiedział, pokazawszy uprzednio całe uzębienie w szerokim ziewnięciu. - I tak sobie nie pójdziecie, dopóki nie przekonacie mnie, że jesteście normalni, więc zrobię wam tę łaskę i posłucham.

Noyoki rozparł się na krześle. Słowa Hadanelitha nie uraziły go, wręcz przeciwnie: wyglądał jak ktoś, kto usłyszał komplement.

- To proste... - zaczął i zanim skończył, Hadanelith śmiał się do łez. Zapowiadała się doprawdy doskonała rozrywka!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Skan rozpostarł swe świeżo ufarbowane skrzydła, mając świadomość, że wygląda jak kormoran nie dość, że przerośnięty, to jeszcze przemoczony. Aubri nie oparł się pokusie:

- Jesteś śliczny: przypominasz mi starego kruka z przetraconą szyją i sparaliżowanymi nogami - stwierdził. - Rąbnałeś w skałę?

- Aubri, nie pozwalaj sobie! - ostrzegła go Zhaneel, wzbijając się w powietrze. - Skan, wątpię, czy pióra wyschną ci do wieczora, jest zbyt wilgotno - powiedziała, zataczając koła nad towarzyszem.

- Wyschną, wyschną! - odparł Skan. próbując zachować resztki godności. - Żuraw jest bezkonkurencyjny, jeśli chodzi o farbowanie piór. Pamiętasz, jak ładnie schły tego lata, kiedy burze Ma'ara zalewały nasz obóz?

- Wydaje mi się, że wybrałeś złą drogę - mruknął Aubri. - Diabli wiedzą, dlaczego znów chcesz być Czarnym Gryfem. Nie wystarczy ci, że bez farbowania piór i latania po nocach ludzie uważają cię za mordercę i wytykają palcami?

Skan wymruczał coś pod nosem, strosząc puch. Nie był pewien, czy pióra się lepiły, bo nie mógł ich przegarnąć.

- Gdybym latał po nocach biały, jak mnie Bramy stworzyły, od razu ktoś nafaszerowałby mnie strzałami. Jeśli chcemy złapać winnych, muszę wiedzieć, w jaki sposób dostają swe ofiary. Żuraw uważa, że używają magii, aleja się z nim nie zgadzam. Nie jestem może najlepszym magiem na świecie, ale potrafiłem odnaleźć ślady zamieszania w polach energetycznych.

- Jeżeli magia działała normalnie - przypomniał Aubri. - Teraz nawet Śnieżna Gwiazda dwa razy się zastanawia nad najprostszym zaklęciem.

Skan posłał mu zabójcze spojrzenie.

- Ja uważam - rzekł, kładąc nacisk na „ja” - że mordercy wślizgują się do pałacu w przebraniu, obserwują potencjalne ofiary i wykorzystują sprzyjające okoliczności. Możliwe też, że już tu mieszkają: są służącymi albo wywodzą się ze szlachty. Ja uważam, że to przybysze, Żuraw, że mieszkańcy.

Spędzili z Bursztynowym Żurawiem pół nocy, spierając się i broniąc ulubionych pomysłów: kestra'chern obstawał przy teorii, że zabójca przenosi się ze swoich komnat do komnat ofiary, używając magii, a

hipoteza ta miała tylko jeden słaby punkt: nikt nie wykrył najmniejszych śladów Bramy czy Pasażu. Skan dałby się pokroić, aby udowodnić, że zbrodniarz używa najprostszycich złodziejskich sztuczek, takich jak wytrychy i wspinanie się po murach.

Moja teoria byłaby nie do obalenia, gdyby jako strażników zatrudniano głuchoniemych ślepców, stwierdził Żuraw i muszę się z nim zgodzić: jaki złodziej marnowałby czas na patroszenie tych kobiet? Kosztowności w ich pokojach zapewniłyby mu dostatknie Życie po wsze czasy, zwłaszcza przetopione w sztabki czystego kruszcu!

- Nie wiem, stary - mruknął Aubri. - Taki łup bardzo trudno unieść.

- Myśl sobie, co chcesz - odparł Skan, naburmuszony. - Będę się trzymał moich planów.

- Pewnie, mokre pióra cię do nich przylepią!

- Pilnuj swojego nosa! Sami wybraliście mnie szefem, więc teraz nie marudź!

Spomiędzy łodyg dzikiego wina dobiegł śmiech Judeth.

- Skan, nie chcę ranić twoich uczuć, ale szefem jest Bursztynowy Żuraw.

Skan poczuł się tak, jakby wylano mu kubel zimnej wody na głowę. Rzucił jej spojrzenie z ukosa, niemal wykręcając sobie kark.

- Bursztynowy Żuraw znacznie lepiej radzi sobie z planowaniem, a ty jesteś tym, który działa, wszyscy o tym wiedzą - dodała Judeth. - A poza tym dochowuje tajemnic, czego nie można powiedzieć o tobie.

Skan zaniemówił.

- Nawet jeśli podsunę ci pod nos dowód, że działasz jak nieodpowiedzialny młodzik i ryzykujesz życiem, zignorujesz go. Znamy cię, Skan, wiemy, jaki jesteś, i dlatego Żuraw nam szefuje. - Spuściła głowę, poprawiając szamerunek. - Z drugiej strony, on twierdzi, że ty wiesz, co robisz. Według mnie gada głupoty, ale nie będę się spierać.

Skan postanowił udać, że nie słyszał ostatniego zdania.

Judeth uważa, że Żuraw tu rządzi? Czy on o tym wie? Nic mi nie powiedział.

Czuł się tak, jakby podczas lotu po bezchmurnym niebie nagle został wciągnięty prosto w sam środek cyklonu. Dlaczego Żuraw mu to zrobił? Dlaczego zachował wieści dla siebie? Może uznał, że tak będzie lepiej: gryf nigdy nie ukrywał, że bycie przywódcą bardzo go męczyło. Ale mogli przynajmniej powiedzieć, że od dziś Żuraw się wszystkim zajmie!

- On też ryzykuje życiem - warknął, próbując poradzić sobie z sytuacją.

Muszę ich przekonać, że wiem, co robię.

- Większość ludzi uważa, że to on stoi za tymi morderstwami, nawet jeśli osobiście nie poderżnął żadnego gardła - ciągnął, powiewając skrzydłami. - Jeśli ktoś zdecyduje się na rodową wendetę, Żuraw będzie w opałach. Tak twierdzi Shalaman.

- Ale przynajmniej siedzi w pokoju, a nie lata po nocy, próbując złapać jakiegoś zbója - powiedział Aubri.

- Bo nie umie - uciał Skan. - Nie był szpiegiem ani wojownikiem jak ja. I pobiję cię w każdym pojedynku.

- Nie podpuszczaj mnie - odparł Aubri, trzaskając dziobem. - Przecież widzę, że jesteś w formie. Chociaż z twoją głową chyba nie wszystko w porządku.

Skan westchnął. Próbował przekonać Srebrzystych, że trzeba szybko rozwiązać narastające problemy, ale Aubri był uparty.

Aubri się starzeje - szepnął głos w głowie gryfa. Jest starszy od ciebie i nieźle oberwał na wojnie. Twoje rany wygoiły się znacznie szybciej. Aubri jest ostrożny i zapomniał już, jak podniecające bywa niebezpieczeństwo. Pamięta tylko gorzkie porażki.

Skan również ją pamiętał, ale teraz od niego zależało bezpieczeństwo mieszkańców Białego Gryfa. „Symboliczna” wojna zbyt często zmieniała się w wojnę prawdziwą, a Shalaman opisał zapalczywość swych młodych poddanych w bardzo obrazowy sposób. Wystarczyło, że jeden z Haighlei został „symbolicznie” zraniony, a reguły gry ulegały natychmiastowej zmianie. ;

- Pamiętaj o starej dobrej zasadzie: plany bitewne nie przetrwają pierwszego starcia z wrogiem - odezwała się Judeth. - Musisz być przygotowany na każdą ewentualność.

Miała rację i Skan o tym wiedział.

- Kto wie, może nocne patrole okażą się tak efektywne, że pošlesz na nie Aubriego? - rzekł. - Oczywiście ufarbowanego.

- Nie ma mowy! - wrzasnął Aubri. - Jeden przetracony kruk wystarczy!

Skandranon rozprostował skrzydła.

Kto zdecydował, że Żuraw rządzi? On? Judeth? Oboje?

W armii Urtho nie było lepszego farbiarza piór od Bursztynowego Żurawia; rozcieńczył przywiezioną przez Srebrzystych miksturę jakimś

tajemnymi ingrediencjami, przysięgając, że Skan wyschnie przed wieczorem, a do tego będzie błyszczał.

Przyznaj, że zraniono twoje uczucia, i bądź rozsądny: jakie znaczenie ma, kto tu rządzi? Obiektywnie żadnego; lepiej, aby Skan nie zajmował się planowaniem i informowaniem każdego o swoich pomysłach, kiedy miał latać na tajne patrole. Jednak Królowi Gryfowi trudno było zachować obiektywizm, kiedy ktoś zajął jego miejsce na tronie! Powinien spokojnie przemyśleć całą sytuację...

Nie chcę być spokojny! Chcę się wściekać! Ale... nie, nie jestem naprawdę wściekły. Mam do nich żal, bo nie zapytali mnie o zdanie.

- Gdzie jest Żuraw? - zawarczał. - Niedługo zaczniesz się wieczorne posłuchanie, powinien siedzieć w swej komnacie i nie wystawiać z niej nosa.

- Powiedział, że da ludziom do myślenia - Judeth zacisnęła wargi w wąską linię. - Nie sprecyzował, o co mu chodzi; twierdził, że chce zobaczyć reakcję Zimowej Łani.

Skan odwrócił głowę, aż mu kości chrupnęły i spojrzał na nią z przerażeniem.

Nie powiedział Judeth, Zimowa Łania o niczym nie wie, Żuraw, w co ty się znów pakujesz?

Shalaman westchnął ciężko i klepnął Bursztynowego Żurawia w ramię.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, przyjacielu - powiedział. - To bardzo niebezpieczne i bardzo niemiłe dla damy.

- Ja też. Spokojny, mam nadzieję - odparł. - Mam nadzieję, że Zimowa Łania wybaczy mi to, co zrobię. Znasz moje powody.

Shalaman przytaknął milcząco, ściągając węzeł tuniki. Jak zwykle odziany był doskonale (choć według Żurawia nieco zbyt powiewnie) w długą tunikę i szerokie spodnie, ozdobione czerwono-czarno-złotymi ornamentami. Bursztynowy Żuraw natomiast wyglądał jak trup.

I tego właśnie chciał: czy mężczyzna fałszywie oskarżony o zbrodnie, opuszczony przez ukochaną kobietę, może dbać o stroje? Jego długie włosy były potargane, tunika wyglądała tak, jakby od kilku dni w niej sypiał (wystarczyła zabawa w berka z córką i gryfiatkami), był nie ogolony i przygarbiony. Shalamana zaszokował jego widok.

Niestety, ciemne sińce pod oczami zawdzięczał nieprzespanym nocom, nie charakteryzacji.

- Rozumiem, dlaczego chcesz, aby dwór zaczął plotkować o czymś jeszcze oprócz morderstw - stwierdził król, przechadzając się wolno po swej prywatnej sali posłuchań. - Ale czy osiągniesz to, na co liczysz?

- Jeśli nie zawiedzie mnie talent aktorski i Zimowa Łania zachowa się zgodnie z moimi oczekiwaniami, nie będą mówić o niczym innym. Jestem doskonały w robieniu scen, pewnie dlatego, że wiem, jak im zapobiegać - mruknął Żuraw.

- Jestem pewien, że Leyuet i Palisar osiągnęliby taki sam wynik, gdybyś dał im trochę czasu - skwitował Shalaman te; wynurzenia. - Nie chcę, aby Łania cierpiała.

- Ja też nie, ale muszę być z tobą szczery. Nie sądzę, aby; Palisar chciał nam pomóc, a Leyuet nie zna się na uczuciach tłumu. A poza tym nie mamy czasu, Ceremonia Zaćmienia odbędzie się za niecałe dwa tygodnie. Ludziom potrzeba skandali, a ten, którego będę bohaterem, oderwie ich myśli od śmierci czterech nie lubianych kobiet. Da ci również powód do zamknięcia mnie w komnatach. Myślę, że nasi wrogowie skorzystają z okazji i znów wyruszą na łów.

Shalaman westchnął ponownie i skinął na służącego, który otworzył drzwi. Król przysięgał, że służącemu i dwóm oszczepnikom Bursztynowy Żuraw mógł ufać jak samemu władcy. Kestra'chern przyzwyczaił się do ich obecności. Jedną z możliwości, którą roztrząsali ze Skanem podczas nie kończących się nocnych sesji, była ta, że to sam cesarz spowodował całe zamieszanie, aby mieć pretekst do wypowiedzenia wojny Białemu Gryfowi. Ta ewentualność znalazła się na samym końcu listy, ale należało o niej pamiętać.

Musimy komuś zaufać albo nigdy nie rozwiążemy tej zagadki.

- Ufam twemu osądowi, który jest z pewnością lepszy od mojego, przyjacielu - powiedział Shalaman. - Dziękuję za ostrzeżenie.

Król wyszedł i Żuraw został sam, niecierpliwie spoglądając na klepsydrę. Czekał, aż wszyscy dworzanie stawią się na wieczorne posłuchanie. Zadbał, aby nie było na nim nikogo z Białego Gryfa: Skan nadal suszył swoje pióra, a Judeth i Srebrzystych poprosił o pozostanie w kwaterach.

General dziwnie się zachowywała od przybycia do Khimbaty, kilka razy wyraźnie powstrzymała się od zasalutowania na jego widok. Od śmierci Urtho Judeth nie salutowała nawet Skanowi...

Czy ona myśli, że jestem przywódcą Nie był pewien, czy podoba mu się ten niespodziewany awans, ale zostawienie dowodzenia Skanowi

też nie było dobrym pomysłem. Dawny Skan miał tendencję do szybkiego myślenia, impulsywnego działania i nieliczenia się z nikim, a stare nawyki brały górę nad dziesięcioletnią wymuszoną łagodnością.

A ty nie działasz impulsywnie? - zakpiło sumienie Bursztynowego Żurawia.

Przemyślałem, to - odpowiedział. Rozmawiałem z Shalamanem; gdybym wtajemniczył kogoś innego, Zimowa Łania dowiedziałaby się i cały plan nie powiódłby się. Leyuet nie jest jedynym Prawdomówcą w pałacu. a poza tym moja żona genialnie ukrywa uczucia. Gorzej, kiedy ma je udać.

Sumienie zasugerowało, że nie docenia swojej kobiety, jednak nie mógł się już wycofać. Wziął głęboki oddech, zgarbił się i ruszył do sali posłuchań. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, dworzanie nie zapomną tego wieczoru do końca życia. Jeśli nie, też go zapamiętają, ale wtedy Zimowa Łania naprawdę go rzuci.

Czekał, ukryty w tłumie. Zimowa Łania nie wiedziała, że Bursztynowy Żuraw przyszedł na wieczorne posłuchanie, ale spodziewał się, że ludzie szybko odsuną się od domniemanego mordercy, i rzeczywiście: jak za sprawą magii Haighlei rozsunęli się na boki. formując długi szpaler między nim a Zimową Łanią, która, zdumiona, spojrzała w jego kierunku i zamarła, gdy ich oczy się spotkały. Wokół zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

- O bogowie! - wykrzyknął, szarpiąc kołnierz koszuli. - O bogowie, to prawda! Myślałem, że jestem okłamywany, myślałem...

Ruszył w kierunku królewskiego podwyższenia. Shalaman nie zareagował nawet drgnięciem powieki na melodramatyczne okrzyki.

- Ty suko! - wypluł z siebie. - Ty psie niewierny, liżesz każdą dłoń, która podetknie ci kość pod nos! Płaszczysz się u jego stóp! Ty podły kundlu! Ty... ty perchi!

Zimowa Łania wpatrywała się w niego przestraszonymi oczami; jej podbródek zaczął drżeć.

- Nie dość, że oskarżono mnie o zbrodnię, z którymi nie mam nic wspólnego! - wrzasnął. - Nie dość, że jestem więźniem, którego nawet nie osądzono! Nie dość, że mi nie wierzysz, to jeszcze wykorzystujesz okazję, żeby zostać królową! Jesteś gorsza od perchi, bo od perchi kupuje się przyjemność, a ty masz dla innych tylko fałszywe uśmiechy i kłamstwa, bo nawet uczuć nie potrafisz udać porządnie!

Wziął kolejny głęboki wdech i przeszedł do szczegółowego opisywania jej oziębłości seksualnej. Wtedy Zimowa Łania zaczerwieniła się po korzonki włosów i Bursztynowy Żuraw zrozumiał, że odpłaci mu pięknym za nadobne, bo nie na darmo służyła w armii Urtho, a język żołnierzy był poezją w porównaniu z tym, którego używały gryfy. Wzburzona do granic możliwości otworzyła usta i kiedy tylko padły z nich dwa słowa, jego dobra reputacja wśród Haighlei przeszła nieodwołalnie do historii.

Nie pozostał jej dłużny i stojąc pośrodku sali, wrzeszczeli na siebie jak para dziwek z najgorszego rynsztoka. Kilka razy Żuraw złapał się na myśli, że może jednak posunął się za daleko, lecz w chwili, gdy Łania wściekle palnęła, że nie ma oziębłych kobiet, są tylko kochankowie, którzy nie potrafią ich rozbudzić, zauważył w jej oczach znajomy błysk. Prawie zemdlał z ulgi, ale nie takiego zakończenia pragnął.

Skończ z tym. bo ona zacznie się śmiać!

- Nie zniosę tego! - wykrzyknął, wyrywając zza pasa nóż i wznosząc go nad głową, pozwolił dworzanom zachodzić w głowę, czy zamierzał zabić żonę, czy siebie. Dwaj królewscy gwardziści, wyczekujący od początku awantury na ten jeden gest, rzucili się na niego i obalili na podłogę. Usłyszał jeszcze, jak Shalaman wykrzykuje, aby zamknąć Bursztynowego Żurawia w komnatach i nie wypuszczać.

Nareszcie miał powód, aby nie pokazywać się na dworze - w każdym razie niejako Bursztynowy Żuraw.

Jak każdy kestra'chern osiągnął mistrzostwo w przebieraniu się i wiedział, że potrafi udawać co najmniej tuzin ludzi. Nikt jeszcze nie widział delegacji z Białego Gryfa, więc „biedny, szalony Bursztynowy Żuraw” mógł pozostać w zamknięciu, a do ludzi Judeth dołączy ktoś wyższy, noszący proste skórzane spodnie i kurty, nie rzucający się w oczy, z czarnymi włosami (trochę Skanowej farby jeszcze zostało) zaczesanymi w koński ogon. Osobista obstawa Skandranona.

A to się gryf uśmieje!

Gwardziści zwolnili swe żelazne uściski, kiedy tylko znaleźli się w komnacie Żurawia, przepraszając za zamieszanie. Oddał im nóż, mrugając.

- Lepiej go weźcie, szalenciec nie powinien mieć dostępu do broni!

Uśmiechnęli się, pokazując nieskazitelnie białe zęby. W odróżnieniu od większości poddanych Shalamana skórę mieli nie brunatną, a czarną; tak czarną, że aż niebieskawą.

- Dzięki - odparł wyższy. - Szambelan, ten idiota, na pewno zapyta, co się stało z nożem.

Żuraw spojrzał na nich uważnie.

- Jak na ludzi obcujących z facetem, który jest oskarżony o cztery morderstwa, zachowujecie się bardzo swobodnie - stwierdził.

Wyższy wzruszył ramionami:

- Daj spokój: cesarz uważa, że jesteś niewinny, inaczej nie dopuściłby do tego przedstawienia. Pewnie przesłuchał cię jego Prawdomówca i tylko sprawą cesarza jest, dlaczego przesłuchanie nie odbyło się na dworze. Nam nic do tego.

Niższy przerzucił nóż z ręki do ręki, a potem schował go do rękawa.

- Widzieliśmy, co zrobiono z tymi kobietami - dodał. - I ich pokoje. Oczywiście, mógł je zamordować mag, ale ty magiem nie jesteś. Gdybyś był, na pewno postarałbyś się ich pozbyć w mniej skomplikowany sposób: upozorowałbyś atak serca albo ukąszenie skorpiona. Morderstw mógł dokonać doskonały złodziej i oprawca, a wiadomo, że kestra'chern znajdują się na anatomii. Jednakże - podjął po chwili dramatycznego milczenia - aby jeden człowiek osiągnął podobną precyzję, musiałby ćwiczyć całe życie, a nie sądzę, abyś był trzydzieści lat starszy od Shalamana. Oczywiście gdyby kilka osób naraz zajęło się tymi kobietami, mogłoby uzyskać podobny efekt, ale zawsze tylko jeden spośród waszej czwórki nie ma żelaznego alibi. Wierzę cesarzowi, jego Prawdomówcy, a nade wszystko potrafię logicznie myśleć.

Bursztynowy Żuraw słuchał tego wywodu z otwartymi ustami. I to mówił strażnik?

- I ty, zwykły strażnik, sam do tego doszedłeś? Bogowie, uchowajcie mnie przed spotkaniem z twoim nauczycielem!

Mężczyzna roześmiał się serdecznie.

- Nie tylko strażnik, mój dobry kestra'chern - odparł, kłaniając się lekko. - Ale też syn króla Sulemetha, cesarza Ghandai. Ten tutaj to mój brat - wskazał drugiego strażnika, który również się skłonił. - W ten sposób władcy Haighlei zachowują pokój między cesarstwami: synowie są u sąsiadów osobistymi gwardzistami, a córki uzdrowicielkami, kapłankami i żonami.

- Myślałem... - zająknął się Bursztynowy Żuraw. - Byłem przekonany, że Shalaman nie ma żony ani dzieci.

- Nie ma dzieci zrodzonych z królowej - poprawiono go z uśmiechem.
- Jednak ma dzieci z dziesięcioma Rocznymi Żonami, spłodzone w

pierwszej dekadzie panowania. Roczni Synowie i Córki mogą dziedziczyć tron, jeśli nie ma następcy urodzonego przez królową.

- Kiedy synowie twego potencjalnego wroga strzegą twoich pleców, wojna jest ostatnią rzeczą, jaka przychodzi ci do głowy. Ani pora, ani miejsce nie skłaniają, niestety, do rozważania naszych zwyczajów. Dobrej nocy.

- Dziękuję - Żuraw przypomniał sobie o czekających go zadaniach. - Dziękuję za to, że jesteście tak cywilizowani.

Wyższy gwardzista zatrzymał się w drzwiach:

- Najpierw myśleliśmy, że jesteście barbarzyńcami. My, przybocznicy króla, jesteśmy też jego głosem, kiedy nie wypada, aby się odzywał. Powiem ci więc, że nie jesteście barbarzyńcy, tylko inni. Czas Zmiany zbliża się wielkimi krokami.

Zimowa Łania wpadła do łazienki, kiedy dopracowywał szczegóły swego przebrania.

- Ty bydlaku! Ty psie niewierny! - wrzasnęła, łapiąc pierwszą rzecz, jaka jej wpadła w rękę. Na szczęście było to mydło, nie farba do włosów. - Ty draniu! - Mydło rozbiło się na ścianie nad głową Bursztynowego Żurawia.

- Jak mogłeś? - zapytała i uderzyła w płacz. Zamarł: myślał, że tam, na sali, przejrzała jego grę. - Jak mogłeś mówić takie rzeczy? Jak...

- Mogłem, bo wcale tak nie myśle! - krzyknął, czując, jak otacza go jej rozpacz. - Ke'chara, jak możesz myśleć, że potraktowałem to przedstawienie poważnie?

- Ale to o... Wiesz, że nie powinieneś nigdy... - Zakryła twarz dłońmi i Bursztynowy Żuraw chwycił ją w ramiona, upuszczając wszystko, co trzymał w rękach. Gdy tylko jej dotknął, ogarnął go ten sam przemożny, nie do pokonania żal. Był tak przyzwyczajony do otwartości na jej uczucia, że zapomniał o ochronie.

Chroń się, bo inaczej... Z wysiłkiem zamknął się przed jej rozpaczą. Pomyśl o niej jak o klientce. Jest w hysterii, tam w sali postuchań też była na skraju załamania. Zostawiłeś ją samą z jej myślami, głupcze! Ty wiedziałeś, że grasz, ale ona nie była pewna. Ufa ci, a kiedy ktoś, komu ufasz, obrzuca cię błotem, zaczynasz się zastanawiać, czy nie ma racji.

Uspokajał ją ze wszystkich sił, ciesząc się, że Wietrzna Pieśń spała w pokoju gryfiątek. Za nic na świecie nie chciał, aby jego córka oglądała

rodziców w takim stanie.

- Dobrze sobie poradziłaś, kochanie: stałaś pośrodku dworu i mówiłaś to, co myślisz. Już nigdy nikt nie oskarży cię o ukrywanie prawdziwych uczuć. Widziałaś, jak ich zamurowało?

Roześmiała się przez łzy, przypominając sobie zaszokowane twarze dworzan i wyobrażając sobie, jakim echem odbije się ich kłótnia wśród sztywnych i zasadniczych Haighlei.

- Pomyślałby kto, że wyrzuciliśmy taczkę łąjna na posadzkę - zachichotał. - Ciekawe, jak zareagowaliby na te piękne, piętrowe przekleństwa, w których specjalizowali się niektórzy ludzie Urtho?

- Na pewno przestaną myśleć o morderstwach! - stwierdziła, gdy ścierał jej z twarzy ślady łez. - Dostarczyliśmy im tematu do plotek na co najmniej trzy dni. Dwór podzielił się na dwa obozy: tych, którzy mi współczuli i tych, którzy uważali, że sobie na to zasłużyłam.

- Zasłużyłaś? - powtórzył. - To zapewne ci, którzy nie chcą cię widzieć na tronie?

Skinęła głową. Przeszli do sypialni i usiedli na łóżku. Słońce dawno zaszło i pokój wypełniał przyjemny, orzeźwiający chłód.

- I jeszcze ludzie, którzy uważają, że jesteś niewinny i miałeś rację, obrzucając mnie wyzwiskami. Głównie kobiety. Wiesz, masz na dworze oddane wielbicielki - dodała, podnosząc brew.

- Prawdopodobnie kilka z nich pojawi się pod twoimi drzwiami, żeby cię pocieszyć.

- Pocieszyć? Mnie? - zapytał z obrzydzeniem. - No nie! - W najgorszych przypuszczeniach nie przewidział czegoś równie potwornego!

- Nie mów, że nie miałbyś na to ochoty! - Zimowa Łania najwyraźniej postanowiła odbić sobie upokorzenie. - Królewscy lekarze orzekli, że jesteś niezrównoważony i potrzebujesz opiekuna! Uwierz mi, parę kobiet o mało nie połamało sobie nóg, tak się spieszyły do roztoczenia nad tobą opieki. Na szczęście Shalaman sam kogoś wyznaczył.

Odetchnął z ulgą: król panował nad wszystkim i doskonale wiedział, czego można się było spodziewać po jego damach dworu. Zimowa Łania zamrugła i dotknęła jego włosów.

- A to co? - zapytała, zaskoczona. - Nie możesz się tak pokazać...

- Ja nie. ale Sokoli Wiatr, przyboczny Skandranona, jak najbardziej - odpowiedział. - Nie bój się, farba się zmywa, więc nie będę mógł spacerować po deszczu. Chyba zaopatrzę się w kaptur. Na szczęście nie mają tu łaźni publicznych, a przez te kilka dni nie planuję kąpieli w

basenach!

- Po co to? Nie musisz pokazywać się publicznie.

- Mam trzy powody - rzekł, masując jej plecy. - Po pierwsze, Skan powinien mieć obstawę, a nie będzie słuchał nikogo prócz mnie. Choć i tak mnie nie słucha... Nieważne. Po drugie, jeśli zabójca postanowi mnie zabić i nie zastanie mnie tutaj, tylko on będzie o tym wiedział. Pierwsza osoba, która mnie oskarży o wymykanie się strażnikom, będzie zabójcą albo jego pracodawcą. Po trzecie, nikt nie zwraca uwagi na straż przyboczną. Mogę dostrzec coś, co wam umknie. Jesteście ważnymi osobistościami, czyż nie?

- A po czwarte, oszalejesz w czterech ścianach - dodała.

- To akurat chciałem przemilczeć - westchnął. - Oczywiście masz rację, nie znoszę samotności.

Nie chciał o tym mówić, ale skoro zaczął... Zimowa Łania spojrzała na niego.

- Rozumiem - zaczęła, ale przerwało jej pukanie do drzwi balkonowych. Zanim zdążyli się poruszyć, drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczył Skan.

- Jestem bardzo sfrustrowanym gryfem - oznajmił.

Trzecia noc na patrolu skończyła się tak, jak dwie poprzednie: Skan nic nie upolował. Ci trzej złodzieje, których dopadł tego wieczoru, absolutnie się nie liczyli. Jeden z nich, co prawda, stanowił interesujący przypadek: włamywał się do skarbcza przez okienko, które nie pomieściłoby dziesięcioletniego dziecka. Skan zdjął go z muru i dopiero w powietrzu okazało się, że mężczyzna należał do niespotykanej na Północy rasy karłów. Gryf odstawił go prosto przed drzwi głównej kwatery Oszczepów Prawa, wysłuchał zeznania i odleciał w noc.

Rozumowanie Skana zasadzało się na tym, że zbrodniarze, nie mogąc używać magii, poszukają oparcia w złodziejskich sztuczkach, a wtedy jego nocne loty okażą się na coś przydatne, bo stojąc w nocy pod murami pałacu i zadzierając głowę, trudno było zauważyć na dachu cały legion Haighlei, o jednym czy dwóch nie wspominając. Nikt nie ukryje się przed gryfem krążącym nad głową: nawet ludzie Ma'ara często wpadali mu w szpony.

I co? I złapał trzech nędznych złodziei! Równie dobrze mógł polować na karaluchy.

Jedna stara kobieta poradziłaby sobie z nimi rak samo jak ja. Albo i

lepiej. Staruszki bywają zawzięte.

Nie podda się. Nie na oczach Żurawia.

Ciągle bolało go, że został odsunięty od władzy, mimo że zgadzał się z logicznymi argumentami Judeth. Ale nie znosił, kiedy decydowano o czymś ważnym za jego plecami! I wszyscy uważali, że on się z tym pogodzi bez słowa? Czuł gorycz porażki i krążąc nad ogrodami, sarkał w duchu na swych towarzyszy.

Żuraw jest świetnym organizatorem, potrafi trzymać wszystko pod kontrolą. Nie przeczę. Żuraw wie, co robi. Też nie przeczę. Owszem, jestem nieco lekkomyślny, ale tylko wtedy, gdy narażam własne życie. Gdyby mnie chociaż zapytali o zdanie...

Odpowiedziałby „tak”. Zgodziłby się z radością, ale teraz czuł, że złość uwiera go jak wrośnięte pióro.

Ceremonia Zaćmienia za kilka dni, a morderca wciąż na wolności. To było drugie wrośnięte pióro. Shalaman nie może poślubić Zimowej Łani. nie może podpisać traktatu z podejrzanymi, a oczyszczenie nas z zarzutów najprawdopodobniej zmusiłoby zabójcę do wycofania się i nigdy nie rozwiązalibyśmy tej zagadki, nigdy byśmy go nie złapali, Żurawiowe przedstawienie powinno zachęcić tego bydlaka do kolejnego uderzenia jeszcze przed Ceremonią. Zapewne tym razem wszystkie ślady będą prowadzić do mnie. W końcu wystawiam się na strzał.

Zaraz, zaraz: a to kto?

Zatoczył leniwie koło i zszedł niżej, obserwując ruch, który przykuł jego uwagę. Coś wspinało się po murze.

Oczywiście mogła to być jedna z tych człekokształtnych małpek, które żyły w ogrodach i uganiały się za ptakami; miały niemiły zwyczaj robienia wycieczek i płatania figli służącym, kiedy zdesperowane ptaki odlatywały albo robiły użytek ze swych ostrych dziobów.

Wydawało mi się, że małpa nie rzuca takiego cienia, ale... Hejże!

Miał go.

Skan spikował w dół, składając skrzydła, aby ich szum go nie zdradził.

Cicho...

Mężczyzna wdrapywał się po ścianie wieży, chociaż Skan mógł wskazać tuzin łatwiejszych sposobów dostania się do środka. Każdy złodziej szedł po linii najmniejszego oporu, a ten tutaj wyglądał, jakby doskonale wiedział, co robi...

Skan postawił grzebień: ten człowiek poruszał się w bardzo specy-

ficzny sposób. Przesuwał się kilka centymetrów, a potem zamierał, upodabniając się do cienia. I znów: trochę w bok. przerwa, trochę w górę... Wykorzystywał głębokie cienie rzucane przez drzewa rosnące wokół wieży, przesuwając się po całym murze jak konik po szachownicy.

To on!

Mężczyzna nagle zniknął i tylko przypadkiem Skan dostrzegł ciemniejszy owal okna. Zwinął skrzydła i runął w dół, hamując w ostatniej chwili i zapierając się wszystkimi czterema łapami o parapet. Zamarł na jedno uderzenie serca, oceniając wielkość okna, zwinął ciasno skrzydła i skoczył, pochylając głowę i wystawiając przed siebie szpony.

Gdzie u li... - błysnęła ostania myśl.

Obudził się równie gwałtownie: oszołomiło go zakłęcie, a nie uderzenie czy narkotyk. Związany jak prosię nie mógł się poruszyć, a więzy trzymały mocno i mimo wysiłków nie uwolnił nawet pazura. Leżał na boku, patrząc w ścianę; do jego pleców przymocowano kij, a do kija przywiązano ogon i kark. Drewno drapało go w głowę. Nie mógł poruszać skrzydłami i czuł, jak rzemienie wpijają mu się w brzuch i pierś: naliczył ich co najmniej trzy pary. Nałożono mu kaganiec i kajdany na wszystkie cztery łapy, rozkrzyżowane w powietrzu; końce łańcuchów przymocowano do podłogi. Na szyi czuł metalową obrozę połączoną z kagańcem. Mógł delikatnie zginać kończyny i przebierać szponami w powietrzu.

Usłyszał ciche kroki.

- Czyż to nie piękne? - zapytał głos, który wydał się Skanowi znajomy. - Sam cię tak upozowałem.

Mimo kagańca gryf mógł mówić.

- Fascynujące - odparł. - Skoro już wiesz, jak to urządzenie działa, może byłbyś tak miły i mnie wypuścił?

- Nie. Podobasz mi się. Przypominasz dom.

Skąd ja znani ten głos? Kim jest ten kretyn? Mówi w naszym języku, nie w Haighlei - człowiek Judeth? Niemożliwe, przecież kobiety zabito, zanim Judeth się pojawiła.

Niemożność rozpoznania mówiącego zaczęła Skana niepomierne denerwować. Wiedział, że powinien sobie przypomnieć, z kim ma do czynienia, ale jak na złość pamięć odmówiła funkcjonowania.

- Nie poznajesz mnie? - w głosie zabrzmiało rozczarowanie. - No

wiesz! Albo się starzejesz, durny gryfie, albo nie jestem dostatecznie sławny. Myślę, że pierwszy powód jest prawdziwy.

- Okpienie starego durnia nie jest powodem do chwały - warknął Skan. Liczył na to, że obcy się wścieknie, ale się przeliczył.

- Nie o ciebie nam chodzi, gryfie - zachichotał mężczyzna.

- Jesteś zawadą, którą musieliśmy usunąć. Polujemy na większy łup.

- Polujemy?

- O, nie pociągniesz mnie za język tak prymitywnymi sztuczkami. Masz dziwną właściwość wychodzenia cało z opresji, czego nie można powiedzieć o tych starych sukach, na których ćwicyłem - głos zabrzmiał ostrzej, mroczniej. - Nie były najlepszej jakości, miały skazy. Żadnego artyzmu. Rozczarowały mnie. Szkoda było na nie mojego czasu. W tobie widzę możliwości i z radością pokażę mu - och - z czego jesteś zrobiony - kolejny chichot i Skan był już pewien, że ma do czynienia z szaleńcem. - Chociaż zazwyczaj nie pracuję na samcach, dla ciebie zrobię wyjątek. Chcę zadziwić Bursztynowego Żurawia.

Skandranon rzucił się w przód, ale uścisk obroży wzmocnił się. Dopiero wtedy, na wpół uduszony, zrozumiał mechanizm więzów i ich diaboliczną skuteczność. Jego prześladowca był mistrzem w swym fachu.

Co ma z tym wspólnego Bursztynowy Żuraw?

- Jestem mu coś winny za to, co mi zrobił - powiedział mężczyzna i wtedy w mózgu Skana otworzyła się odpowiednia szufladka.

Żuraw - kara?, kobiety - więzy - cięcie - Hadanelith!

- Oszalałeś, Hadanelith - mruknął. - Straciłeś resztki zdrowego rozsądku, kiedy cię wyrzuciliśmy z Białego Gryfa.

- Brawo, odgadłeś! - W głosie Hadanelitha zabrzmiała kpina. - Jak miło być rozpoznawanym! Moja ciężka praca nie poszła na marne!

- Doprawdy? A niby co chcesz osiągnąć tymi sztuczkami? - Gryf udał bardzo znudzonego.

Prędzej czy powiej Kechara mnie odnajdzie i da znać innym, że jestem w opatach. Jeden szkopuł: nie mam zielonego pojęcia gdzie się znajduje. Trudno będzie przeszukać całe miasto.

- Pozbyłem się tych starych bab, żebyście zostali uznani za bardzo niegrzeczne dzieci - powiedział Hadanelith. - Udało mi się, nikt was nie lubi. Nawet czarująca Zimowa Łania was opuściła.

Sposób, w jaki wymówił jej imię, sprawił, że wszystkie pióra Skana zjeżyły się. Wyszeptał „Zimowa Łania” głębokim, gardłowym głosem

pełnym oślizgłego pożądanego.

Kecharo, na bogów, mam nadzieję, że słuchasz!

Z drugiej strony, nawet Hadanelith nabrał się na ich grę. Pytanie, czy to wystarczy, aby zapewnić Łani bezpieczeństwo?

- Moi koledzy mają szersze plany, o których nie mam ochoty z tobą dyskutować. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Mam nadzieję, że wybaczysz mi również, że każę ci czekać, aż Bursztynowy Żuraw trafi pod ten dach. Chcę, aby podziwiał mój kunszt, może się czegoś nauczyć? Może nawet daruję mu życie? Cóż za wspaniała zemsta to będzie!

Jego głos nabrał ostrzejszego tonu:

- Zanim zaczęliśmy uciekać i zanim powstało wasze idiotyczne miasto, praktykowałem w obozie Urtho na wszystkich ludziach stłoczonych jak kury wokół Wieży. Patrzyłem, jak wasz wspaniały, upierzony garnizon wylatuje na patrole i cieszyłem się, kiedy wracaliście zdziśniętymi. Urtho stworzył gryfy, uczynił je pięknymi, ale głupimi. A Czarny Gryf umrze jako najgłupszy.

- Nie szydź z Urtho - powiedział Skan cicho, prosząco, z wysiłkiem hamując wybuch gniewu.

- Szydzieć? - Hadanelith roześmiał się tuż obok gryfięgo ucha, licząc na to, że więzień znów się szarpnie. - Samo jego imię to szyderstwo! Godność nie pozwala mi jednak szydzić z gorszych od siebie. Tyle że nie mam godności. - Kolejny napad maniackiego rehotu. - Ma'ar stworzył lepsze dzieła niż wasz słodki Mag Nudy; Ma'ar poszedł dalej i stworzył makaary, wspaniałych łowców, a nie zarozumiałe wypierdki. Polowały i zabijały bardzo stylowo. A skoro o stylu mowa, opowiem ci o mojej następnej rzeźbie. Gdy ją skończę, Czarny Gryf zmieni się w samicę makaara.

Och. Spodziewa się, że będę piał z zachwyty?

- Myśl o tym jak o hołdzie złożonym Ma'arowi. Przykro mi, że dzieło nie przetrwa wieków, ale sama przemiana Czarnego Gryfa w „Krwawiącego Makaara” jest sztuką. Zacznę od...

Hadanelith zaczął się szczegółowo rozwodzić nad swym projektem, szczególny nacisk kładąc na to, co robi z intymnymi częściami ciała Skandranona. Ten starał się ze wszystkich sił nie wyobrazić sobie opisywanych praktyk, ale okazało się to niemożliwe, szczególnie wtedy, gdy szalencie przeszedł do sposobów przedłużania cierpienia. Skan nigdy nie lubił bólu.

Gapił się więc w ściany i zanosił modły do Gwiazdnookiej, aby cela

nie miała tarcz chroniących przed myślomową i aby Kechara odnalazła go jak najszybciej. Za trzy dni to, czy Skan przeżyje, czy nie, nie będzie miało żadnego znaczenia dla stosunków między Haighlei i Białym Gryfem. Skan miał przeczucie, że Hadanelith doskonale o tym wiedział i swe posunięcia wyliczył co do sekundy.

Zhaneel starała się ze wszystkich sił nie wpadać w panikę, jednak stulone uszy i napięte mięśnie całego ciała jasno mówiły, że jest na skraju załamania.

- Gdzie miał wczoraj latać? - zapytał Żuraw, masując skronie. Trzy bezsenne noce pod rząd przyprawiły go o migrenę tak straszliwą, że nie potrafił zebrać myśli.

- Głównie nad pałacem, ale planował też oblecieć miasto - odparła Zhaneel. Zauważył, że jej pióra są w nieładzie, poszarpane i wystrzępione na brzegach. - Leyuet mówi, że ostatni raz widział go o trzeciej klepsydrze, kiedy przyniósł mu kolejnego złodziejaska. Okazało się, że to żaden złodziej, tylko stęskniony kochanek, który wspinał się do swej kobiety. Leyuet go wypuścił.

- Przesłuchał tę kochankę? - spytał Żuraw ostro.

- Nie mam pojęcia - potrząsnęła głową. - Wiem, że przetrzymali chłopca do świtu.

- W takim razie to nie on. - Żuraw zaczął obgryzać paznokcie. - Skan musiał nakryć morderców, może nawet przeszkodził im, ale co potem? Dlaczego zniknął?

- Czego od niego chcieli? Dokąd go zabrali? - zawtórowała Zhaneel. - Kechara jeszcze go nie znalazła! - jęknęła, opuszczając głowę.

- Pamiętaj, że nie wie, gdzie może go znaleźć - odparł, gładząc ją delikatnie po grzbiecie. - Będzie musiała przeszukać całe miasto.

Mam nadzieję, że nie postawili tarcz. Kechara jest dobra, ale nigdy nie przebijała się przez ochronę. Czy potrafi ją rozpoznać?

- Czy Kechara wie coś o tarczach umysłowych? - zapytał. - To zaklęcia, naśladujące ochronę umysłu. Czy potrafiłaby przedrzeć się przez nie?

- Nie wiem, ale myślę, że potrafię jej to wytłumaczyć! - Zhaneel ożywiła się. - Szybciej odnajdzie tarczę niż Skana! Nie martw się, Kechara wyczynia takie rzeczy z myślomową, że przebicie tarczy może się okazać drobnostką!

- Porozmawiaj z nią, kiedy się znów do ciebie odezwie. - Kechara

rzadko przerywała poszukiwania, aby się z nimi skontaktować. O szaleństwo przyprawiał go fakt, że mieli tylko dwoje silnych myślmówców: Zhaneel i Letniego Jastrzębia, trondi'irn z Białego Gryfa. Aubri i Zimowa Łania nigdy nie opanowali tej sztuki, a Żuraw był empatą. Na szczęście Śnieżna Gwiazda pilnował Kechary i regularnie kazał jej składać raporty oraz jeść i odpoczywać. Małeńka, przerażona zniknięciem „taty Skana”, szukała go bez ustanku i bez pomocy przyjaciela szybko padłaby z wyczerpania.

Niedługo się przekonamy, w jakim stopniu zdolności Kechary są ograniczone.

Zastanawiał się, czy istnieją inne sposoby na odnalezienie gryfa. Ponieważ zeszłej nocy nikt nie został zamordowany, najprawdopodobniej Skan wypatrzył zabójcę, zanim ten dotarł do swej ofiary.

Przynajmniej nie oskarżą go o kolejną śmierć.

Co teraz? Przeszukać każdą pałacową komnatę? Ludzie rozerwaliby Kaled'a'in na strzępy.

Myślą, że ten, kto go uwięził, natychmiast przeniósłby Skana w inne miejsce, gdybyśmy rozpoczęli poszukiwania w pałacu.

- Zostań tu, może wróci z przypalonym ogonem - rzucił Zhaneel. - Idę do Srebrnego Trenu. Mam nadzieję, że ona potrafi nam pomóc.

Zhaneel skinęła głową, zajęta bliźniętami, a Żuraw wypadł na korytarz i popędził do Srebrnego Trenu. Znalazł ją w ogrodzie, gdzie jadła drugie śniadanie i dokarmiała rybki: jak wszyscy, kestra'chern nie pracowała przed południem. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby wiedziała, że stało się coś złego, choć jej dar empatii był słabszy od Żurawowego.

- Co się dzieje? - zapytała, wrzucając śniadanie do sadzawki i pędząc mu na spotkanie. - Kolejne morderstwo?

- Nie, Skan zniknął - odparł, chwytając jej dłonie. - Szuka go myślmówca, ale liczy się każda sekunda.

Otworzyła szeroko oczy i zacisnęła palce na dłoniach Żurawia.

- Czy mogę wam jakoś pomóc? - zapytała szybko.

- To ja miałem cię o to zapytać. - Starał się nie okazać rozczarowania, gdy potrząsnęła przecząco głową, ale podświadomie liczył na to, że w mgnieniu oka wymyśli jakieś cudowne rozwiązanie; tyle lat uważał ją nieomal za cudotwórczynię, że trudno mu było pogodzić się z ograniczeniami jej możliwości.

- Nie potrafię rozwiązać każdego problemu - rzekła łagodnie, czytając

w jego myślach. - Nie potrafię nawet uporać się z własnymi.

Dopiero teraz dostrzegł, że kestra'chern ma zaczerwienione oczy i ślady łez na policzkach, a zmęczona, ziemista cera jasno dawała do zrozumienia, że Srebrny Tren od wielu nocy nie sypiała.

- Zrobiłem już wszystko, aby odnaleźć Skana, więc dlaczego nie porozmawiasz ze mną o twoich kłopotach? - poprowadził ją ku ławeczce.

- Wiesz, że jestem dobrym słuchaczem. Może nie znajdę cudownego leku na twoje troski, ale na pewno będzie ci lżej, kiedy z kimś o nich porozmawiasz.

Srebrny Tren westchnęła rozdzierająco i pozwoliła posadzić się na miękkich poduszkach.

- Wiedziałam o tym od początku - powiedziała. - Ale nie sądziłam, że tak zareaguję na widok Zimowej Łani w naszymyjnku.

- Zimowa Łania? Co ona ma... - zdziwił się, a potem palnął się w czoło. - O bogowie! Zakochałaś się w Shalamanie!

Zaczerwieniła się.

- Kestra'chern nie powinien zakochiwać się w kliencie - jęknęła. - Szczególnie w takim kliencie!

- Ja się zakochałem... - zaczął, ale uciszyła go machnięciem ręki.

- Zimowa Łania nie była królową! - wykrzyknęła. - Nie żyłście wśród Haighlei! Haighlei uważają, że prawdziwy kestra'chern to rzecz zbyt cenna, aby służyła tylko jednej osobie. Królowa z pewnością nie mogłaby... To sytuacja bez wyjścia!

- Pół biedy, gdyby Shalaman nie odwzajemniał twych uczuć. - stwierdził Żuraw. - Nareszcie rozumiem, dlaczego zadurzył się w Łani: przypominała mu ciebie.

- I Shalaman wierzył, że może ją zdobyć. Jesteśmy bardzo podobne... pod pewnymi względami - dodała szybko. - Ukrywałam swoje uczucia, a tutejsze zwyczaje zabraniają mężczyźnie okazywania emocji. Dlaczego mój król przestrzega zawsze tych najgłupszych obyczajów? - wykrzyknęła.

Bursztynowy Żuraw objął ją; Srebrny Tren przytuliła się do niego z westchnieniem, które rozdarło mu serce.

- Radziłam sobie, dopóki nie był zainteresowany żadną kobietą - wyszeptała. - Ale kiedy podarował naszymyjnku Zimowej Łani... to strasznie zabolowało! Zupełnie jakby ugodził mnie w serce, a ja musiałam udawać, że nic się nie stało, uśmiechać się i cieszyć jego szczęściem! Nawet teraz, kiedy wiem, że to tylko maskarada, nie mogę na nią patrzeć! Uni-

kam jak ognia posłuchań, kiedy zajmuje u jego boku miejsce królewskiej narzeczonej!

- Za dwa dni i tak wszystko się skończy - przypomniał, czując ukłucie bólu i strach w sercu; ale jak się skończy? śmiechem czy krwawą wojną?

- Dla ciebie - odparła, a te dwa słowa były pełne bólu. - I ja, i on wiemy, że któregoś dnia będzie musiał się ożenić. Zniosę to, ale wierz mi, przyjacielu, każdy dzień będzie stąpieniem po rozżarzonych węglach z ostrzem tkwiącym w sercu! Wolałabym umrzeć!

Gładził ją po włosach, niezdolny do powiedzenia czegoś, co nie zabrzmiałoby banalnie.

- Chciałbym umieć czarować - stwierdził w końcu. - Czy gdyby inny, równie uzdolniony kestra'chern, zajął twoje miejsce, sprawy potoczyłyby się inaczej?

- Nie wiem - odparła smutno. - Żaden król nie pojął nigdy za żonę swej kestra'chern. Myślę, że mógłby tego dokonać tylko podczas Ceremonii Zaćmienia.

Tyle rzeczy zależy od przekłętego Zaćmienia! Nawet szczęście Srebrnego Trenu!

- Nic nie obiecuję - rzekł w końcu. - Zrobię, co w mojej mocy, aby ci pomóc. Być może, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Ceremonia rozwiąże twoje problemy.

- Ani się waż mówić mu o moich uczuciach! - Srebrny Tren wyprostowała się. - Ani się waż, słyszysz? Miłość bez wzajemności jest straszna, ale lepiej kochać w milczeniu, niż wiedzieć, że nigdy nie połączysz się z wybranym! Wiesz dobrze, o czy mówię!

Wiedział.

- Przysięgam, nie odezwę się słowem, ale przysięgam też, że zrobię co w mojej mocy, aby ci ulżyć - pocałował ją w czoło

I uśmiechnął się. - Może nawet zaoferuję cesarzowi moje usługi. Sama mówiłaś, że jestem jedynym uczniem, który ci dorównał - dodał.

- Och, jesteś lepszy ode mnie, ale i tak cię dogonię - mruknęła. - Porozmawiam z Leyuetem, być może jego Oszczepy nam pomogą.

- Dziękuję - uścisnął ją jeszcze raz i wstał. - Muszę wracać do Zhanel, zanim zaczniesz wyrywać sobie pióra. Dam ci znać, jeśli się czegoś dowiem.

- Ja też. Dziwne, jak łatwo można zapomnieć o swoich kłopotach, pomagając innym - uśmiechnęła się słabo.

- Prawda? - puścił do niej oko.

Jednak kiedy tylko wyszedł z ogrodu, lęk o Skana powrócił ze zdwojoną siłą. Wrócił biegiem do Zhaneel.

- Rozmawiałam z Kecharą - powitała go gryfica. Wyglądała na spokojniejszą. - Myślę, że zrozumiała działanie tarcz. Będzie ich szukać, a Śnieżna Gwiazda nauczy ją, jak je przełamać. Uważa, że Kecharą jest do tego zdolna, zwłaszcza że Haighlei mają znacznie gorsze tarcze od naszych.

Odetchnął z ulgą.

- I teraz czekamy - dodała Zhaneel z goryczą.

- Czekamy. Miej nadzieję, Zhaneel. Skan jest znów Czarnym Gryfem, a Czarny Gryf zawsze wracał, pamiętasz?

Skinęła głową.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Bursztynowy Żuraw przemierzał wielkimi krokami komnatę gryfów, otoczony resztą delegacji z Białego Gryfa. Każdy z obcych na swój sposób radził sobie ze zdenerwowaniem: Żuraw bawił się jedwabnym sznurkiem, Zhaneel czyściła pióra, robiąc im więcej szkody niż pożytku, Judeth ostrzyła nóż, który był już najostrzejszym narzędziem w całym królestwie. Reszta Srebrzystych poszła w jej ślady i szlifowała wszystko, co im w ręce wpadło, a Aubri hałasował niemiłosiernie, zajmując się swymi pazurami. Zimowa Łania zaplatała i rozplatała frędzle przy chuście.

Skan zniknął dwa dni temu, a Kecharą jeszcze go nie odnalazła. Nauczyła się jednak rozpoznawać oddalone tarcze umysłowe, przenikać je i omijać; Bursztynowy Żuraw był zaskoczony, że zajęło jej to tylko jeden dzień. Nie spodziewał się, że Kecharą jest w stanie nauczyć się czegokolwiek w tak krótkim czasie.

Od świtu systematycznie przeszukiwała miasto, rozbrajając napotkane tarcze. Większość z nich służyła ludziom obdarzonym do ukrycia ich daru; kilka skrywało świątynie i kapłanów, czego można się było spodziewać, biorąc pod uwagę nastawienie Haighlei do myślności. Kecharą informowała ich o każdej przełamanej zaporze, a Śnieżna Gwiazda martwił się coraz bardziej, że gryfsokół padnie z wyczerpania.

Nie mieli wiele czasu: Ceremonia Zaćmienia rozpoczynała się o świcie następnego dnia, a każdy, kto w niej uczestniczył - oprócz Bursztynowego Żurawia i Zhaneel - musiał się poddać rytuałom oczyszczającym w świątyni. Szaleńcy nie mieli wstępu na Ceremonię; Sokoli Wiatr miał pilnować „biednego, szalonego Bursztynowego Żurawia”.

Rozległo się pukanie do drzwi. Gesten otworzył i wrócił z dwoma Haighlei.

- Przysłano po nas ze świątyni - powiedział beznamiętnie. - Ruszajmy.

Judeth podniosła się z fotela.

- Jeśli mamy ująć z życiem z tego bajzlu, musimy się dostosować - rzekła po raz dwudziesty. Bursztynowy Żuraw skinął głową, zaciskając zęby: nie chciał wrzeszczeć na niewinną kobietę, a czuł, że był tego bardzo bliski. Zimowa Łania odwróciła się i rzuciła mu zagadkowe spojrzenie. Zapewne chciała powiedzieć: „Nie rób głupstw, kiedy nas nie będzie”, ale powstrzymała się. Uśmiechnął się i posłał jej całusa.

Został z Zhaneel i Makke, która opiekowała się gryfiątkami. Cisza, jaka zapadła, dzwoniła mu w uszach.

- I? - zapytał, chcąc usłyszeć jakikolwiek głos. Zhaneel podniosła głowę: nie spała dwie doby i trudno było tego nie zauważyć.

- Znalazła kolejną tarczę. Właśnie ją rozpracowuje. Mówi, że wyczuwa magię.

Bursztynowy Żuraw zmarszczył brwi. Dziwne. Bardzo dziwne, bo burze magiczne niszczyły każdą napotkaną tarczę. Ta musiała zostać zbudowana niedawno; żeby dokonać podobnego wyczynu, potrzeba było energii. Po co?

Aby ukryć coś przed kapłanami...

Magię? Na przykład krwawą magię?

Potrząsnął głową: rozczarował się wiele razy w ciągu ostatniej doby. Tylko że tym razem tarcza posiadała wszelkie cechy zbudowanej właśnie w tym celu... Czekał, wstrzymując oddech; słyszał, jak przesypuje się piasek w klepsydrze.

Zhaneel skoczyła na równe nogi, wrzeszcząc co sił w płucach:

- Żuraw! Żurawiu, znalazła go! On żyje!

Żył, ale nie czuł się najlepiej... Według Zhaneel, Skan został związany jak kurczak, nieco nacięty i odkąd go schwytano, nie miał w dziobie ani kropli wody, nie mówiąc o jedzeniu. Był tak wyczerpany, że zaczęło mu się mącić w głowie i Żuraw odkrył, że nic nie wymaga takiej cierpliwości, jak zadawanie pytań wyczerpanemu gryfowi przy pośrednictwie gryfa z umysłem dziecka i gryficy, która od dwóch dni nie spała.

- Mała Kechara martwi się o tatę Skana, czuję to. Nie dopuszcza do siebie myśli, że Skandranon ma kłopoty, ale wie, że coś jest nie w porządku. Skan próbuje ją uspokoić. Żurawiu, nie jest z nim najlepiej.

- W porządku, wyciągnij z niego wszystkie szczegóły - powiedział Bursztynowy Żuraw, któremu ulga odebrała siły. - Niech Kechara opisz wszystko, co Skan czuje, widzi i słyszy. Jeśli jest w pałacu, może uda mi się zidentyfikować to miejsce. Poznałem pałac od podszewki w ciągu ostatniego tygodnia.

Zhaneel zamknęła oczy.

- Czuje dzikie wino i słyszy trąbkę - powiedziała wolno. - Ściany są żółte, marmurowe. Szuka w pamięci... Meble przypominają te w naszych komnatach.

- Może być wszędzie - mruknął. - Nawet poza miastem. Cholera!

- Dźwięki. Nie słyszy ludzi ani ruchu ulicznego, jak to bywa w mieście - Żuraw podniósł głowę. Jeśli Skan był w pałacu...

- Kapiąca woda i drewniane okiennice - ciągnęła Zhaneel. - Och, cykady gdzieś blisko, chyba w ogrodzie!

Cykady znajdowały się tylko w jednej części pałacu, w ogrodach starego skrzydła. Wyszły z mody sto lat temu, teraz umieszczano w ogrodzie klateczki z ptakami, jednak nikt nie kłopotał się wytruciem owadów.

- Coś jeszcze? - zapytał desperacko, zaciskając pięści. Zhaneel rozorała szponami poduszkę.

- Nie... tak! - Otworzyła szeroko oczy. - W pobliżu przechodzi ront, wykrzykujący godzinę!

Żuraw skoczył na równe nogi: okrzyki straży nocnej słychać było tylko z jednego miejsca w całym pałacu, pawilonów przylegających bezpośrednio do zewnętrznych murów. Budynki zazwyczaj stały puste, bo Haighlei nie znosili, gdy ktoś zakłócał ich zasłużony wypoczynek.

- Jest w Salach Pachnącej Radości! - wrzasnął. - Na pewno tam! Zhaneel, pędź do kapłanów, niech cię przepuszczą do pozostałych! Ja idę po niego, zanim naprawdę go skrzywdzą!

- Ty? - zdumiała się. - Nie jesteś wojownikiem. Niby jak...

Nie będę o tym myślał, bo umrę ze strachu.

- Zhaneel, księżyc jest w nowiu, a ty nie latasz dobrze w nocy! Skan widzi w ciemności, ty nie, musiałybyś iść, każdy mógłby cię dopaść! Może nie umiem walczyć, ale korytarze w starym skrzydle pałacu są tak wąskie, że ledwie można się ruszać, to zadziała na moją korzyść. - Chwycił jej głowę w dłonie. - Nie zamierzam walczyć! Wśliznę się, znajdę Skana, uwolnię go i uciekniemy! Jeśli ruszę teraz, nikt mnie nie zauważy. Ty rzucałabyś się w oczy.

Wymruczała niechętnie coś, czego nie zrozumiał.

- Sprowadź resztę: pobij kapłanów, jeśli nie będą chcieli cię wpuścić. Niech do mnie dołączą!

Liczył na to, że nikt nie dostrzeże go w czarnym ubraniu Sokolego Wiatru. Zhaneel trzasnęła dziobem i wybiegła. Bursztynowy Żuraw nie zawracał sobie głowy drzwiami: może nie był wojownikiem, ale lata spędzone w armii nauczyły go wielu sztuczek.

Nie myśl, działaj!

Skoczył na balkon: znacznie szybciej znajdzie się na dole, jeśli zsunie się po podtrzymujących taras kolumnach. Poza tym, jeśli ktoś obser-

wował drzwi, nie zauważy, że Żuraw zniknął.

Przewiesił się przez balustradę, objął kolumnę nogami i zjechał po niej jak niegrzeczny chłopiec, wymykający się na nocną eskapadę. Nie czuł jednak chłopięcego podniecenia: jego napięte mięśnie drżały, a serce waliło jak młotem. Zdawał sobie sprawę, że podjął się nieomal samobójczej misji.

Ukrył się za krzakiem, nasłuchując. *Mogłem po prostu zeskoczyć, jedno piętro to żadna wysokość. Jasne, ale ze złamaną nogą nie pomógłbym Skanowi.*

Nocny wietrzyk owiewał mu skórę; był sam w ogrodzie. Wszyscy znajdowali się teraz w świątyni, poddając się rytualnemu oczyszczeniu, chyba że byli chorzy, ranni, szaleni lub pracowali, ale i tak podejrzewał, że gwardia pilnująca pałacu została uszczuplona o dwie trzecie. W olbrzymim budynku zapadła cisza; służący wygaszali, świece i pochodnie przed Ceremonią.

Najlepszym sposobem, aby uniknąć podejrzeń - o ile ktoś z jego kolorem skóry mógł uniknąć podejrzeń - było udawanie, że wykonuje czyjś rozkaz. Wstał, poprawił kurtę i ruszył szybkim, krokiem do Sal Pachnącej Radości. Gdyby próbował biec, miałby kłopoty: Haighlei nie biegali. Zresztą, gdyby biegł, najpewniej skreśliłby kark na niewidocznej ścieżce. Cały czas nie opuszczało go nieprzyjemne uczucie, że za chwilę zostanie naszpikowany strzałami.

Świetnie, Żurawiu. Ruszasz w pojedynek, bez żadnego wsparcia, zakładając, że Skan będzie sam i do tego nie strzeżony. Bawisz się w bohatera, chociaż nie pasujesz do tej roli. Ciekawe, jak się zachowasz, kiedy się okaże, że Skan nie jest sam, co? Zacznieś ich przekonywać, że wyszedłeś na spacer i zupełnym przypadkiem nogi zaniósł cię tam, gdzie go trzymają? Nawet nie możesz udawać Haighlei!

Zacisnął pięści, ale ręce nadal mu drżały, a głos wewnętrzny wcale nie dodawał mu odwagi.

Budynki wokół były ciemne i nieprzyjazne, górowały nad roślinnością jak skały. Żaden dźwięk nie zakłócał ciszy: nie słyszał ani głosów, ani muzyki. Nic, oprócz rozgwieżdżonego nieba nad głową i białej ścieżki, majaczącej w ciemności i pachnącej kwiatami. Ciemne krzaki i drzewa wokół wyciągały ku niemu sękatę dłoń.

Dzięki, Skan, za samotne latanie po nocach. Gdybyś przynajmniej zostawił Aubriego na dachu, ale nie, musiałeś się zgrywać na wojownika! I proszę, masz kłopoty, a ja jak głupi lecę cię ratować. Sam. W no-

cy. Genialnie, Żuraw.

Poświęcił całą swą uwagę na omijanie dziur i kamieni na ścieżce, dlatego nie zauważył, że od pnia mijanego drzewa oderwał się cień. Nie poczuł uderzenia; osunął się w nagłą pustkę.

Bolała go głowa...

Każde uderzenie serca rozlegało się w niej ze zdwojoną mocą; żołądek się buntował, a w ustach czuł smak krwi i czegoś gorzkiego. Piekła dolna warga; gdy ją oblizał, odkrył opuchliznę i krew.

Ramiona miał wykręcone w dziwacznej pozycji; jęknął i spróbował się obrócić na drugi bok. Co robił wczoraj w nocy, że...

Powstrzymało go szarpnięcie za kark. Nie mógł się ruszyć.

Bursztynowy Żuraw powolutku otworzył zapuchnięte powieki i zamrugał; oczy piekły go niemiłosiernie. Leżał twarzą do żółtej ściany, a ktoś „współczujący” poutykał wokół niego poduszki, tworząc prowizoryczny materac.

Dlaczego nie czuję się lepiej? Czyżby guz na głowie i więzy na rękach i nogach utrudniały mi docenianie wygód?

Przy najmniejszym ruchu ból szarpał jego kark i ramiona; ręce wykręcono mu do tyłu i związano w łokciach, jednak nie na tyle, aby sprawić dotkliwy ból.

Jeszcze. Oczywiście, jako kestra'chern mogę rozluźnić każdy mięsień.

Odkrył więzy na nadgarstkach i obrożę na szyi, która uniemożliwiała ruch, przyczepiona do czegoś, co znajdowało się za Żurawiem.

Tyle wyszło z ratowania Skana; pewnie obserwowali również balkon. Mam nadzieję, że nie dostali Zhaneel!

Przez chwilę ból go sparaliżował; gdy zelżał, Bursztynowy Żuraw rozejrzał się wokół; nie odczuwał już strachu.

Skoro najgorsze już mnie spotkało, nie mam się czego bać.

Miał związane kostki i kolana, chociaż mógł je zginać. Skłonił się w przód na tyle, na ile pozwalał sznur przyczepiony do obroży i obejrzał więzy na nogach. Były luźne i zaczął myśleć o uwolnieniu się.

Gdybym nie próbował...

- Obudziłeś się? - zachrypiał Skan.

- Tak. Która godzina?

- Późny poranek. Świtało dość dawno, Ceremonia już się zaczęła - westchnął Skan. - Jakby było nam mało nieszczęść.

Późny poranek? Sketi. Zhaneel nie została wpuszczona do świątyni

albo kapłani nie pozwolili jej zobaczyć się z innymi. Cholera, cholera, cholera! Tylko ona wie, gdzie jesteście! Albo gdzie byliśmy...

Ogarnęła go panika. To już nie było nieszczęście, to była prawdziwa katastrofa! Odwrócił się i spojrzął na sznur: przytwierdzono go do kamiennego koła w podłodze. Spojrzął na Skana: rzeczywiście, gryf przypominał kurczaka na rożnie, ale Bursztynowy Żuraw nie dostrzegł żadnych większych obrażeń. Usiadł ostrożnie, uważając, aby nie napiąć sznura i nie wywołać kolejnej fali przenikliwego bólu. Pulsowanie w potłuczonej głowie uświadomiło mu, że najgłupszym pomysłem w życiu było ruszenie Skanowi na pomoc, nie czekając na wsparcie.

- Ruszyłeś mi na pomoc, nie czekając na wsparcie, co? - Gryf nie ukrywał rezygnacji. - Jasne, wszyscy przygotowywali się do Ceremonii, ale przecież Sokoli Wiatr strzegł szalonego Bursztynowego Żurawia, więc mogłeś działać.

- Ach, stąd ten dodatkowy Kaled'a'in! - powiedział ktoś. - A ja zachodziłem w głowę skąd wziął się jedenasty poseł!

Jeden rzut oka na szaleńca, który stanął w drzwiach, wystarczył, aby Żuraw poczuł fale mdłości.

- Hadanelith - wyszeptał. - Nie mogę powiedzieć, że się cieszę, że cię widzę. Przyszedłeś z nas szydzić? To w twoim stylu.

Hadanelith podszedł do Żurawia, trzymając się z dala od jego nóg.

- Wiesz, nie powinieneś farbować włosów. Źle wyglądasz. Bursztynowy Żuraw podniósł brew, zastanawiając się, czy ćmi mu się w oczach, czy też ten wariat naprawdę nosił kopię jednego z jego strojów? Zamrugał.

- A ty nareszcie nabrałeś trochę ogłady - parsknął, zastanawiając się, jaki był cel tej maskarady. Nie podobało mu się to. Widział już dzieła Hadanelitha...

- O to ci chodzi? - Hadanelith wygładził fałdy na koszuli. - To część planu.

- A ty zanudzisz nas jego szczegółami - ziewnął Skan.

Sprawiał wrażenie kogoś, kogo straszliwe plany Hanadelitha nic a nic nie obchodzą. - Oszczędź nam tego. Dobrzy bogowie, dlaczego każda szumowina musi się przechwalać, zanim cokolwiek zrobi? Człowieku, miej litość, poderżnij nam gardła, zamiast zanudzać nas na śmierć!

Hadanelith podskoczył jak dźgnięty ostrogą.

- Owszem, muszę się przechwalać! Chcę, żebyście znali wszystkie

szczegóły i powody! Chcę, żebyście przeżywali męczarnie, wiedząc, że nie możecie mnie powstrzymać!

Skan jęknął; był to jęk kogoś, kto musiał wysłuchać zbyt długiej modlitwy przed obiadem.

- Żebyś ty przynajmniej był oryginalny! - oświadczył, wznosząc oczy do sufitu. - Ale nie, nędznie kopiujesz to, co ktoś już dawno stworzył. Uwierz mi, nie dorastasza Ma'arowi do pięt.

Bursztynowy Żuraw spał wszystkie mięśnie; wiedział, do czego zmierzał Skan i gdy Hadanelith spojrział na niego, przybrał najbardziej znudzony wyraz twarzy, na jaki było go stać.

Jeśli okażemy zainteresowanie, odwróci się na pięcie i wyjdzie, ale jeśli każemy mu sływać, rozgada się jak stara przekupka.

- Jesteś skończony, kestra'chern, ty i twoi przyjaciele - wypluł z siebie Hadanelith.

- Doprawdy? - ziewnął Żuraw. Natychmiast tego pożałował: warga zapiekła jak posypana solą.

- Myślisz, że jesteś taki sprytny - twarz szaleńca poczerwieniała, a w kącikach ust pokazała się piana. - Myślisz, że panujesz nad sytuacją, ale nie pomyślałeś o magii! Nasza magia, magia krwi, działa! Dzięki tym głupim kobietom i niewolnikom jesteśmy najpotężniejsi! Pokonamy wszystko, nawet burza magiczna nie pokrzyżowałaby naszych planów!

O bogowie, to wszystko tłumaczy. Bursztynowy Żuraw walczył ze swoim zbuntowanym żołądkiem. Rzeczywiście, nie wzięli pod uwagę, że ktoś mógłby posłużyć się krwawą magią do rzucania zaklęć. Zadrżał.

- Mamy niespodziankę na Ceremonię Zaćmienia - ciągnął Hadanelith. - Moi przyjaciele poprosili mnie o przysługę i chociaż zazwyczaj nie zajmuję się takimi zleceniami, nie potrafiłem im odmówić. Chcecie wiedzieć, co zrobię?

- Udasz się w poszukiwaniu straconego rozumu? - zasugerował Skan. - Czy straconej potencji?

Hadanelith oblał się rumieńcem i zazgrzytał zębami. Żuraw wpatrywał się w niego zafascynowany: nigdy przedtem nie spotkał nikogo, kto naprawdę zgrzytałby zębami!

- Zabijemy króla podczas Ceremonii - wycedził Hadanelith przez zęby. Opanował się i znów uśmiechnął do Bursztynowego Żurawia: - Dla ciebie mam specjalny prezent. Zimowa Łania też umrze.

Żuraw poczuł, jak całe jego ciało ogarnia paraliż, a krew uderza do głowy. Nie uszło to uwagi Hadanelitha. Szaleniec uśmiechnął się szerzej:

- Moi przyjaciele wyciągną mnie stamtąd, gdy tylko wykonam zadanie. Wszyscy obwinia Kaled'a'in, Czarnego Gryfa ogłoszą tchórzem i zdrajcą. Mój przyjaciel osiągnie to, czego pragnie: dopilnuje, aby was wszystkich ścięto, zniszczy Białego Gryfa, a potem zasiądzie na tronie.

Bursztynowy Żuraw zamknął oczy. *Tamowa Łania... O. bogowie...* Potrzebował czasu na zastanowienie się.

- Dlaczego mają obwiniać Kaled'a'in? - zapytał, otwierając oczy. - Wiesz, Haighlei wcale nie uważają, że wszyscy cudzoziemcy wyglądają tak samo. Nie okpisz ich, nosząc mój strój.

- Mój najdroższy Bursztynowy Żurawiu - zaśmiał się upiornie Hadanelith. - Naprawdę myślisz, że zobaczą mnie?

Kestra'chern wciągnął spazmatycznie powietrze, przekonany, że nagle traci wzrok: twarz Hadanelitha rozmyła się i zniknęła. Chwilę później jednak wszystko wróciło do normy.

Tyle tylko, że twarz nie należała już do Hadanelitha. Była tą twarzą, którą Żuraw oglądał co rano w lustrze, goląc się. Twarzą ukochanego Zimowej Łani.

- Widzisz? Haighlei tak nienawidzą magii, że przez myśl im nie przejdzie użycie iluzji! Moja oryginalność powinna ich zachwycić. To ty zamordujesz króla i przyszlą królową.

Zachichotał zgrzytliwie, a Żuraw poczuł fale zimnej wściekłości.

Sam śmiech wystarczyłby jako powód wygnania.

- Ostatnią rzeczą, jaką ujrzy twa niewierna dama, będziesz ty, podrynąjący jej gardło. Po dramatycznej scenie w pałacu wszyscy uwierzą, że jesteś zdolny do morderstwa.

Żuraw uświadomił sobie z przeraźliwą jasnością, że wpadł we własne sidła. Oraz że Hadanelith pragnął tylko Zimowej Łani, a zamordowanie króla było jedynym sposobem, aby jej dopaść.

- Powinna być moja - mruknął szaleniec do siebie. Jak długo trwała ta obsesja? Jak długo śledził Zimową Łanię z oddali, pożądając jej bardziej i bardziej z każdym dniem?

Wszystkie kobiety w Białym Gryfie były do niej podobne: szczupłe, eleganckie i dopóki ich nie złamał, silne. Jak mogłem tego nie zauważyć?!

- Skoro ja nie mogę jej mieć, sprawię, że nikt jej nie będzie miał - wy-

szeptał Hadanelith. Spojrzał na kestra'chern. - Uderzę w brzuch i rozetnę ją aż po mostek. Będzie umierać długo, ale żaden uzdrowiciel jej nie pomoże. Pamiętaj o tym, Bursztynowy Żurawiu, dopóki nie wrócę. Potem zabawię się ze Skandranonem i zdecyduję, czy darować ci życie, czy raczej zapoznać cię z moimi sztuczkami.

- Darować mi życie? - zdziwił się Żuraw, ogłupiały.

- Oczywiście! Dlaczego nie? I tak nikt ci nie uwierzy, a moim przyjaciołom pomoże schwytanie mordercy i postawienie go przed sądem. Haighlei są bardzo pomysłowymi katami. - Podniósł dłoń i pomachał im. - Do zobaczenia, mój drogi.

Bursztynowy Żuraw oczekiwał, że Hadanelith wyjdzie z pokoju, ten jednak uznał zwyczajne kroki za mało widowiskowe: wykonał piruet i oddalił się drobnymi kroczkami.

- Kechara nas słuchała - powiedział Skan. - Dlatego się nie odzywałem. Informuje resztę.

Tego się Hadanelith nie spodziewał.

- Jeden problem: obok króla będzie tylko Zimowa Łania, która nie jest myślmówcą - ciągnął Skan. - Reszta nie może jej ostrzec, a Aubri ma na sobie jakąś szmatę, która pęta mu skrzydła...

- Nieważne - przerwał gwałtownie Żuraw, na przemian napinając i rozluźniając mięśnie. *Najpierw muszę się pozbyć sznura z łokci...* Mięśnie wciąż stawiały opór. *Muszę mieć trochę luzu...* - Hadanelith zapomniał o jednej rzeczy...

Został związany jedwabnym sznurem, bardzo mocnym, ale bardzo śliskim. Ze wszystkich materiałów jedwab najmniej nadawał się do wiązania kestra'chern. Sznur opadł ze stawów; przesunął go niżej, wiążąc się jak w ataku epilepsji.

Dobrze, że nie przyczepił tego sznura do obroży. Owszem, jego więzy ładnie wyglądają, ale łatwo się ich pozbyć. Tak to jest z niedoświadczonymi, nadętymi bufonami: nie mają za grosz wyobraźni przestrzennej.

Skulił się, przesuwając nadgarstki pod pośladkami, a gdy mu się to udało, przełożył nogi między rękoma. Chwilę później szarpał zębami więzy na nadgarstkach.

- Jestem... kestra'chern, Skan - syczał przy tym. - Praw... dziwym...kestra'chern. Więcej... zapomniam... łem o wię... zach, niż ten... gnojek się w życiu na... u... czyli. Proszę!

Uwolnił ręce, odpiął obrożę i podczołgał się do Skana. Nogi mogły za-

czekać: musiał posłać Skandranona w powietrze!

- Dyletant! - mruzczał pod nosem, rozplątując artystyczne węzły na łapach gryfa. Mówiąc do siebie, zapominał o strachu. - Amator!

Cholerne więzy! Cholerny Hadanelith! Niech ich wszystkich szlag trafi! Gdybym miał nóż, gdyby Zimowa Łania... O bogowie, Zimowa Łania... Nóż...

Zamrugał, bo światło w pokoju zaczęło gasnąć.

- Skan, chyba tracę wzrok...

- Nie! - skrzeczał Skan. - To Zaćmienie! Ten kretyń chce uderzyć podczas Zaćmienia! Pospiesz się!

- Spieszę się - sapnął Żuraw. - Spieszę!

Shalaman stał wyprostowany pod ciężarem uroczystych szat i spoglądał na swoich poddanych. Pod nim rozciągało się morze twarzy; bramy pałacu zostały otwarte dla ludzi z miasta, a jego mieszkańcy tłoczyli się od kilku dni, aby wejść na uroczystość. Ściśnięci tak, że nie mogli ruszyć nawet palcem, lśnili kolorowymi szatami i biżuterią, odbijającą promienie słońca i porażali swą liczebnością. Rzadko trafiała się okazja, aby oglądać najważniejsze wydarzenie w królestwie z dziedzińca królewskiego pałacu.

Nikt nie narzekał na nieznośny upał i nikt nie hałasował: nikt nie chciał uronić ani słowa z mowy króla, ogłaszającego zmiany, jakie niosła ze sobą Ceremonia Zaćmienia. Shalaman słyszał ptaki śpiewające w ogrodzie. Kilka chwil temu światło słoneczne zaczęło przygasać i ptaki przeszły do swych wieczornych pogwizdywań, a żar lejący się z nieba słabł z każdym uderzeniem serca.

Po prawicy Shalaman miał Zimową Łanię, po lewej stronie troje doradców, jednak czuł, że jest sam; tylko on mógł zdecydować o losie przybyszów z Białego Gryfa. Był królem; jego słowa stanowiły świętość. Poddani ufali mu; musiał być im wierny.

Jego myśli pobiegły ku bladokórym cudzoziemcom, którzy stali u stóp platformy wzniesionej nad tłumem, oddzieleni ławą czarnoskórych gwardzistów. Nie chciał okazywać im żadnych względów.

Długo się głowił nad tym, jak powinien się zachować. Postanowił w końcu, że włączy cudzoziemców do części Ceremonii, w której ogłaszał zachodzące zmiany, nawet jeśli nie znajdą mordercy. Słowa Prawdomówcy wygłoszone w czasie Zaćmienia miały specjalne znaczenie: Shalaman zdecydował, że wezwie Leyueta i każe mu publicznie ogłosić, że Bursztynowy Żuraw nie jest winnym zarzucanych mu czynów,

po czym oświadczy, że Zimową Łanię i Bursztynowego Żurawia łączy wież życia. Słowa Leyueta nabiorą boskiej mocy, a tak szczególna para na dworze świadczyć będzie o błogosławieństwie sił wyższych.

Jednak aby wprowadzić w życie swe zamysły, Shalaman potrzebował Króla Gryfa, który gdzieś się zawieruszył. Bursztynowy Żuraw, oficjalnie uznany za szaleńca, został wykluczony z udziału w uroczystości. Jeśli żaden z nich się nie zjawi, król nie będzie mógł nic zrobić! Przecież Leyuet nie może czytać w duszy i błogosławić powietrza!

Zdesperowany, posłał swoich ludzi po kestra'chern, ignorując to, że kapłani gwałtownie protestowali przeciw udziałowi nie oczyszczonego w Ceremonii; jeśli Leyuet oficjalnie ogłosi, że Żuraw jest przy zdrowych zmysłach, kapłani nie będą mieli nic do gadania. Jednak ludzie jeszcze nie wrócili, a on nie mógł się dłużej modlić ani śpiewać. I tak przekroczył już granice przyzwoitości. Poza tym Zaćmienie, nic sobie nie robiąc z rozterek Shalamanana, nieuchronnie zbliżało się do punktu kulminacyjnego.

Rzucił okiem na krąg słonecznego blasku u swych stóp: dzięki przemyślnej konstrukcji, cienkiemu kamiennemu dyskowi z dziurą pośrodku, promień słońca padał u stóp Shalamanana, naśladując wiernie zmiany zachodzące na niebie. Widział, jak tarcza słońca znika po kawałku, zasłaniana przez księżyc. W ogrodach światło przebijające przez gałęzie również zaczynało ciemnieć, a wielu ludzi rozsądnie przyglądało się cieniom, zamiast gapić się w rozżarzone do białości słońce.

Nadal ani śladu Skandranona i Bursztynowego Żurawia.

Taka jest wola bogów; szukaliśmy innego rozwiązania.

Z ciężkim sercem wzniosł dłoń i zaintonował Pieśń Przemiany. W tej chwili, zupełnie jakby wezwały go słowa pieśni, u stóp platformy pojawił się Bursztynowy Żuraw.

Shalaman wzdrygnął się. *Jak... ? Kapłani musieli otworzyć dla niego Bramę, aby przysłać go tutaj na czas!* Ulga prawie pozbawiła go tchu, ale zauważył kątem oka, że Kaled'a'in zaczynają przepychać się przez tłum, a Zimowa Łania, zamiast powitać męża, cofnęła się.

Bursztynowy Żuraw podniósł oczy i Shalaman ujrzał w nich obłęd. Twarz kestra'chern zastygła w przerażającą maskę szaleństwa. Król gorączkowo zastanawiał się, czy tak właśnie nie wyglądał prawdziwy Bursztynowy Żuraw, nawiedzony przez demony morderca? Ten człowiek był zdolny do wszystkiego!

Gwardziści nie ruszyli palcem. *Nic dziwnego, sam im nakazałem przepuścić Żurawia! Nie są w stanie zobaczyć jego twarzy!*

Shalaman otworzył usta, aby krzyknąć o pomoc...

I uświadomił sobie, że nie może się odezwać ani poruszyć. Niewidzialne więzy trzymały go w miejscu. Szarpnął się, ale na próżno: walczył z żelaznymi kajdanami pętającymi go od stóp do głów. Zamarł z rękami uniesionymi w górę.

Księżyc zakrył tarczę słoneczną, pogrążając plac w ciemności.

Bursztynowy Żuraw roześmiał się upiornym, wysokim śmiechem; wyszarpnął nóż zza koszuli i rzucił się na króla, podczas gdy ludzie z Białego Gryfa próbowali przebić się przez mur gwardzistów, wrzeszcząc co sił w płucach. Nóż w dłoni Żurawia błysnął złowieszczo w ciemności, kreśląc śmiertelne znaki.

I wtedy szczupła postać w srebrze rzuciła się między króla i mordercę. Nie była to Zimowa Łania, która zamarła z ustami otwartymi do krzyku. To była...

Srebrny Tren.

Każdy kestra'chern zna sztukę samoobrony, bo może jej kiedyś potrzebować - powiedziała któregoś dnia, gdy król wyraził swą obawę o jej bezpieczeństwo. Każdy kestra'chern zna ciało kobiety i mężczyzny i wie, gdzie uderzyć. Wziął te słowa za czcze przechwałki, ale teraz, patrząc na nią, uwierzył.

Kobieta obróciła się w miejscu i z całej siły kopnęła zamachowca, posyłając go na ziemię. Mężczyzna okazał się szybszy, niż przypuszczała: poderwał się i gdy wymierzyła drugiego kopniaka, chwycił jej stopę, wykręcił ją i pchnął. Srebrny Tren upadła z jękiem.

Zabójca ruszył ku królowi.

Shalaman zamknął oczy i polecił duszę bogom. *Przynajmniej odejdę w chwale, choć nie jako wojownik. Srebrny Trenie, nigdy cię nie zapomnę...*

Bogowie jednak zdecydowali, że nic im po jego duszy. Powietrze nad nimi rozdarł okrzyk wojenny: wszyscy poderwali głowy. Nawet zabójca spojrzał w niebo.

Z samego środka czarnej tarczy słonecznej runął w dół Skandranon, wyrzaskując swą wściekłość i zrywając zaklęcie wiążące Shalamana. Król rzucił się ku Srebrnemu Trenowi, a morderca wzniósł nóż, jednak nie powstrzymał drapieżcy, który spadł na niego jak pocisk. Czarny Gryf zbił go z nóg, a trzask łamanych kości usłyszeli chyba wszyscy

zgrupowani. Słońce wynurzyło się zza księżyca, oblewając Skandra nona złocistym blaskiem. Gwardziści, którzy nareszcie spostrzegli, co się dzieje, ruszyli pędem ku królowi, ale Czarny Gryf nie skończył jeszcze z zamachowcem. Ujął jego twarz w szpony i nakreślił nad nią kilka skomplikowanych znaków.

Oblicze Bursztynowego Żurawia zniknęło, odsłaniając kogoś nieznanego i bardzo posiniaczonego, kto zaczął wrzeszczeć z bólu. Shalaman wyprostował się, wciąż osłaniając Srebrny Tren, i usłyszał, jak Zimowa Łania wciąga gwałtownie powietrze, a potem zaczyna coś mówić, nie mógł jej jednak zrozumieć, bo w podnieceniu przeszła na Kaled'a'in. Uciszył ją machnięciem ręki. Skan nadal zaciskał szpony na gardle nieznanego, drżącego jak w ataku epilepsji.

- Oto morderca, królu! - ryknął gryf. - Oto ten, który zabił twoich poddanych w sposób, w jaki nie zabijają nawet najdziksze bestie, tylko po to, aby nakarmić magię ich krwią! On uwięził mnie i Bursztynowego Żurawia, aby jego plan się powiódł! Wygnaliśmy go spośród nas i żałuję teraz, że nie skazaliśmy go na śmierć! Użył swego kunsztu, aby naśladować magię, dlatego wydawało nam się, że morderstw dokonał mag!

- Jeśli jest wasz.. - zaczął król.

- Jest nasz tak, jak śmieci zagrzebywane na wysypisku! - odparł gwałtownie gryf. - Wypędziliśmy go, zanim przyплыnęli twoi posłowie. Nie będziemy go sądzić, oddajemy go w twoje ręce, bo zbrodnie, które popełnił, uderzyły w ciebie i twoich poddanych! Rozpraw się z nim jak z lwem ludożercą!

Shalaman odetchnął.

- Zgadzasz się, aby był sądzony według naszych praw?

- Mam nadzieję, że tego dożyje - syknął Skan.

- Kłamie! - krzyknął jeniec. - Kłamie! Wygnali mnie, bo nie chciałem im służyć! Oni...

- Zamknij się! - zagrzmiał gryf, zaciskając szpony. Mężczyzna jął szmatycznie łapać powietrze i Shalaman pomyślał, że w innym przypadku współczułby mu. Być może.

Rzucił okiem na Prawdomówcę. Leyuet gwałtownie pokręcił głową.

- Nie potrzebuję transu, Spokojny - powiedział z godnością. - To kłamca. Brzydzą się jego duszą. - Prawdomówca drżał. - Jest zła i nieczysta.

Tłum zamruczał w gniewie i strachu, a ci, którzy stali blisko, powta-

rzali wszystko dalej. Shalaman skinął na gwardzistów, a wtedy więzień znów zaczął wrzeszczeć.

- Noyoki, ty draniu! - zawodził. - Wyciągnij mnie stąd! Obiecałeś! Zabierz mnie stąd! Pomóż mi! Pomóż!

Czyżby morderca nie działał w pojedynkę? Jeśli tak, dlaczego wzywał „Nikogo”? Cóż to za imię?

- Opuścili cię, ty głupcze - powiedział król. - Będziesz miał o czym myśleć, czekając na wyrok.

Gdzie jest Bursztynowy Żuraw? Czy z jego powodu zabójca nie doczekał się pomocy?

Nieważne; gwardziści wywlekli wyjącego więźnia, a za nimi podążyli szybko dwaj kapłani przywołani przez Palisara. Shalaman zajmie się nim później; teraz musiał skończyć Ceremonię.

Srebrny Tren podniosła się już i utykając, ruszyła na swoje miejsce; Król Gryf stanął obok Zimowej Łani. Shalaman zwrócił się do swego ludu, spychając lęk o Bursztynowego Żurawia na dno umysłu.

- Z woli bogów i z pomocą mych przyjaciół uniknąłem śmierci, by nadal wam służyć! - wykrzyknął, a jego głos dotarł aż do krańców placu.

- Oto znak zmian: Skandranon, Król Gryf, tak biały jak jego miasto, przybył na mój ratunek czarny jak noc i powalił mordercę! Co wy na to, moi poddani? Czy mamy się sprzymierzyć z ludźmi z Północy? Czy Haighlei chcą jeszcze jednego czarnego króla?

Odpowiedział mu ogłuszający ryk zgody. Shalaman skłonił się nisko i podszedł do Zimowej Łani.

- Czy zwrócisz mi naszyjnik, moja droga? - zapytał głośno, zaglądając jej w oczy.

Uśmiechnęła się i z nie skrywaną ulgą zdjęła ozdobę z szyi.

Jest związana sercem i duszą z Bursztynowym Żurawiem; gdyby coś mu się stało, ona pierwsza wiedziałaby o tym. Wziął od niej naszyjnik i ruszył ku swym doradcom. Leyuet i Palisar podtrzymywali Srebrny Tren. Zabójca, na którego rzuciła się z gołymi rękami, aby bronić Shalamana, nie zranił jej dotkliwie.

W tej jednej chwili król zrozumiał, co do niej czuje.

Nigdy nie pragnąłem Zimowej Łani. Pomyślę później o problemach, jakie właśnie stwarzam. Na drugą taką szansę musiałbym czekać dwadzieścia lat!

- Oddałabyś za mnie swe życie - powiedział. Tłum zamarł, Shalaman czuł tysiące oczu świdrujących mu plecy. Z radością przyjmą zmiany,

które ogłosi ich król.

Srebrny Tren skinęła głową. Leyuet wstrzymał oddech, a Palisar, ponury, twardy Palisar uśmiechnął się! Ciekawe, czy nadal będzie mu do śmiechu, kiedy Shalaman skończy mówić...?

- Oddałabyś za mnie życie. Czy oddasz je mnie? Tylko mnie? - zapytał, wyciągając ku niej naszyjnik i patrząc jej prosto w oczy.

Nie udała zdziwienia ani wstydu: była na to zbyt uczciwa. Jednak jej oczy zabłysły radością, która starczyła królowi za wszystkie słowa świata. Srebrny Tren czuła to sarno, co on, wiedział o tym.

- Tak, królu - powiedziała. - Jeśli właśnie tego pragniesz. Shalaman podniósł naszyjnik wysoko nad głową, a potem powoli zapiął go na szyi Srebrnego Trenu. Rzucił okiem na Palisara i Leyueta: ujrzał na obu twarzach wyraz zachwyty i niczym nie zmaconej radości.

- Spokojny, możesz wybrać następcę spośród swych synów - wyszeptał Palisar. - Ożeń się z miłości!

Kamień spadł z serca Shalamana; cały czas obawiał się, że Rzecznik Bogów nie zaakceptuje jego wyboru. Ujął Srebrny Tren za rękę i poprowadził ją ku krawędzi platformy. Zapadła cisza.

- Pomagając w ujęciu mordercy, pani Zimowa Łania udawała mąż narzeczoną, a Bursztynowy Żuraw szaleńca; niech będzie wiadome, że przywódcy Białego Gryfa narażali swe życie dla honoru Haighlei. Niech będzie wiadome, że bogowie pobłogosławili nas, zsyłając parę, którą łączy więź dusz: panią Zimową Łanię i kestra'chern Bursztynowego Żurawia.

Ludzie, choć przygotowani na zmiany ogłaszane podczas Ceremonii Zaćmienia, zamarli.

- Oto jest pora zmian - wyrzekł. - A rozpoczyna się ślubem króla z jego ukochaną Srebrny Tren!

Tłum oszalał: ludzie wiwatowali, skakali i machali wszystkim, co im wpadło w ręce. Nawet gwardziści się uśmiechali! Shalaman nie zdawał sobie sprawy, że jego poddani darzą Srebrny Tren tak wielką miłością. Kobieta zajęła miejsce zwolnione przez Zimową Łanię, która wycofała się za Czarnego Gryfa. Cesarz patrzył na radosny tłum i czuł, jak z każdym słonecznym promieniem jego dusza napełnia się szczęściem, którego jeszcze nigdy nie doświadczył. Uniósł dłoń.

- Wysłuchajcie, ludzie, jakie zmiany wam ogłaszam! Sprzymierzamy się z mieszkańcami Białego Gryfa, którzy przyniosą nam nowe sztuki i nowe stworzenia. Przyjmiemy nowego króla wpoczet Haighlei, Skan-

dranona, Czarnego Gryfa. Moją królową i moim doradcą zostanie Srebrny Tren. Od dziś ogłaszam, że król może poślubić swą kestra'chern.

Wyliczał wszystkie zmiany, nad którymi głowił się tyle nocy ze swymi doradcami. Znał je na pamięć, dlatego mógł myśleć o czym innym:

Obcy dali mi życie i miłość. Czego więcej mogę od nich żądać? Tego długu nie spłacę do końca swych dni, jednak nie żałuję, że go zaciągnąłem. Uśmiechnął się, czując za plecami obecność swych przyjaciół, i usłyszał, jak Skan mruczy:

- Kończ, człowieku, mam w planie omdlenie z wyczerpania, a potem muszę zjeść wszystko w zasięgu wzroku i spać dwa dni, a następnie...

Shalaman roześmiał się, słysząc, jak Skandranon opisuje szczegółowo wszystko, co będzie robił ze Zhaneel. Ludzie z Północy długo jeszcze będą zaskakiwać dwór.

Jednak nadal nie znalazł odpowiedzi na bardzo ważne pytanie.

Gdzie się podziewał Bursztynowy Żuraw?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Bursztynowy Żuraw pozbył się więzów i niezgrabnie wstał; nie odzyskał jeszcze czucia w nogach i starał się nie narobić hałasu.

A teraz muszę znaleźć tych, o których mówił Hadanelith. Mam nadzieję, że będzie ich tylko dwóch... Mówił, że jest ich dwóch.

Gdyby ktoś powiedział Bursztynowemu Żurawowi, że jest odważnym człowiekiem, rozbawiłby go do łez. Zawsze twierdził, że odwaga jest tą cechą, której mu brakuje, i jednym tchem wyliczał dziesiątki ludzi dokonujących czynów naprawdę heroicznych. Sam często odczuwał strach i nie czynił z tego tajemnicy, zwłaszcza że prawie zawsze panika odbierała mu zdolność działania. Uważał, że naprawdę dzielnym jest ten, który potrafi pokonać swój lęk.

Nigdy w życiu nie odważyłby się na narażanie życia podczas nocnych patroli, jak Skan i Zhaneel, a teraz czuł się jak największy tchórz na świecie. Gdy Skan odleciał, Żuraw zaczął marzyć o cichym kącie, w którym przeczekaliby całe zamieszanie: najchętniej zamknąłby się w jakiejś piwniczce. I chyba byłoby to najrozsądniejsze rozwiązanie.

Ale nie uchowam się przed zleceniodawcami Hadanelitha, a mam wrażenie, że znajdujemy się pod jednym dachem. Muszę ich powstrzymać, bawią się zbyt niebezpieczną magią...

Nie wiedział, czy Skan dotarł na czas, aby uratować Zimową Łanię i króla: światło gasło coraz szybciej, a Hadanelith zamierzał uderzyć w chwili pełnego zaćmienia. O miejscu pobytu Żurawia wiedzieli tylko Skan i Kechara. Miał nadzieję, że ta ostatnia nie zapomniała o nim.

Wątpię jednak, czy Kechara jest w stanie skupić uwagę na kimś oprócz swego taty.

Czy Skan, latając na słynne samotne patrole, też czuł się samotny, opuszczony i przerażony? *Skan przerażony? Nigdy w życiu.*

Nie liczył na to, że Kechara przekazała reszcie Kaled'a'in, że wpadł w pułapkę. Oczywiście, przekonał się, że jej nie doceniał, ale nigdy jeszcze nie działała pod taką presją i mimo wszystko była dzieckiem, nie żołnierzem.

Zostałem sam. Żołądek podszedł mu do gardła. Muszę odnaleźć i unieszkodliwić przyjaciół Hadanelitha, aby Skan mógł złapać tego drania. Moje zadanie polega na odciągnięciu ich uwagi od Ceremonii.

Plan był jasny i miał szansę powodzenia, ale Bursztynowy Żuraw wątpił, czy uda się go wykonać w stu procentach. Powinien przestać

rozmyślać i przejść do działania, bo czasu miał coraz mniej!

Rozejrzał się w poszukiwaniu broni: zauważył sznury, które go pętały i metalowy pręt: podniósł je, uważając, aby nie zdradzić się żadnym dźwiękiem. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nikt nie usłyszał odlatującego gryfa, mógł sobie darować takie środki ostrożności, ale jednocześnie wiedział, że musi się skupić na określonej czynności, choćby zachowaniu ciszy, bo inaczej strach go sparaliżuje i nie będzie w stanie nawet zgiąć palca. Ruszył w stronę drzwi, nasłuchując; jego ręce drżały tak silnie, że prawie upuścił pręt. Zamknął oczy, przełknął ślinę i przykleił się do framugi, wyteżając słuch i wstrzymując oddech.

Nie, nawet żadnego głosu w oddali. Gdyby po drugiej stronie drzwi stał strażnik, Żuraw usłyszałby go nawet przez grube drewno; ostrożnie ujął klamkę, nacisnął ją i pociągnął drzwi ku sobie, czekając na skrzyp zawiasów. *Znajac mojego pecha...* Drzwi otworzyły się bez najmniejszego szmeru, a po ich drugiej stronie nie było nikogo.

Jednocześnie zastanawiał się gorączkowo, kim byli mocodawcy Hadanelitha. *Jestem w pałacu, jeden z nich musi być dworzaninem. Który?*

Niestety, tylko szambelan wiedział, kto zamieszkuje poszczególne kwatery. Bursztynowy Żuraw odniósł wrażenie, że to skrzydło nie należało do szczególnie uczęszczanych: położone było zbyt blisko zewnętrznych murów, a okrzyki rontu i hałas miasta zakłócały sen wielmożom. Nie zauważył wielu ogrodów, a w zimie wszędzie wdzierąca się wilgoć. Pokoje tutaj przydzielano tym, którzy nie narzekali, zazwyczaj uboższym szlachetkom. Wobec tego mózgiem intrygi musiał być ktoś, kogo zżerała ambicja i szukał okazji, aby zdobyć władzę.

Bursztynowy Żuraw jednak czuł przez skórę, że szef spiskowców doskonale znał wszystkie dworskie układy i należał do elity. Nawet ktoś znany i popularny mógł po cichu przysposobić dla siebie dwie czy trzy komnaty w oddalonej części pałacu, a Hadanelith wspomniał, że jego „przyjaciół” odziedziczy tron, kiedy Shalaman zginie. Bursztynowy Żuraw wiedział skądinąd, że wszyscy Roczni Synowie Shalamana służyli poza granicami królestwa, więc żaden z nich nie mógł knuć spisku przeciw ojcu, o ile nie posiadał zdolności przebywania w dwóch miejscach jednocześnie.

A jeśli któryś z nich przeniósł się do Khimbaty, używając, magii? Na pewno zauważono by jego nieobecność, ale mógł znaleźć kogoś, kto zajęłby jego miejsce. Chyba popadam w paranoję, nie można polegać na

sobowtórach, prędzej zaufałbym magii...

Potrząsnął głową, aby pozbyć się obrazu, który stanął mu przed oczami: Hadanelith rzucający się z nożem na Zimową Łanię, ostrze rozcinające jej suknię...

Pozbieraj się, Bursztynowy Żurawiu, myśl! Myśl o tym, czego się nauczyłeś! Połączeni więziami Życia czują ból zadawany ukochanym. Wiedziałbyś, gdyby...

Zacisnął w pięści dłonie, które nie przestawały drżeć. Mdłości podchodziły mu do gardła z obrzydliwą regularnością: przecież jego organizm mógł właśnie w taki sposób zareagować na śmierć ukochanej. Wolał jednak zrzucić te nieprzyjemne doznania na karb ogarniającego go strachu.

Skup się, człowieku. Czy twoja pani byłaby z ciebie dumna, gdyby zobaczyła, że trzęsiesz się jak osika? Przestań się nad sobą rozczulać. Działaj. Musisz uratować Białego Gryfa!

Pchnął drzwi, po raz setny wyliczając w myśli potencjalnych podejrzanych. Od kilku chwil zadawał sobie jedno pytanie i miał nadzieję, że się myli.

Pytanie powracało jak natrętna mucha i brzęczało pod czaszką Żurawia:

Czy to był Palisar?

Podejrzeń było potworne i zdawał sobie sprawę, że wzięło się z niechęci do Palisara, okazującego cudzoziemcom otwartą wrogość. Nie znał wszystkich rytuałów Haighlei, ale dowiedział się wystarczająco dużo, aby sądzić, iż Rzecznik Bogów nie mógł ukrywać swych prawdziwych uczuć, nieważne, miłości czy nienawiści. Ale... nikt nie wiedział lepiej niż Palisar, co się działo na dworze. Kto inny potrafiłby z taką precyzją wskazać najbardziej bezbronne damy?

Palisar był zaufanym kapłanem: każda kobieta, która otrzymałaby wiadomość, że chciał rozmawiać z nią w cztery oczy, natychmiast odsłałaby swych służących. Doradca króla mógł przynosić wieści od władcy, a kapłan rozmawiać o sprawach duchowych, Palisar był jednym i drugim, spotkanie z nim wymagało absolutnej dyskrecji...

A do tego jest magiem. Jeśli przypomina choć trochę naszych magów, zakłócenia energii magicznej doprowadzają go do szału. Nasi ludzie próbowali wszystkiego, aby zaklęcia znów zaczęły działać, a Śnieżna Gwiazda wyznał mi kiedyś, że w takiej sytuacji magia krwi staje się wielką pokusą. Jeśli Palisar nie oparł się tej pokusie...?

Oczywiście, pierwszy lepszy mag wśród Haighlei również pasował do schematu stworzonego przez Żurawia, ale tylko Palisar nienawidził zmian i zrobiłby wszystko, aby je powstrzymać.

Nie mam pojęcia o prawach dziedziczenia, ale Palisar może być spokrewniony z królem. Jeśli płynie w nim królewska krew, wykorzystałby nadarzącą się okazję.

Uchylił drzwi na tyle, aby wyjść na korytarz.

Zawsze muszę robić rzeczy, na które nie mani ochoty. Tyle tylko, że tym razem nie mam również wyboru. Zacisnął drżące palce na preście: jeśli Skan dotarł na czas, ale Hadanelith uciekł, Bursztynowy Żuraw był w poważnych tarapatach: wszyscy uczestniczący w Ceremonii przysięgną, że to kestra'chern próbował zabić króla!

Rozerwą mnie na strzępy! Król na pewno rozkaże przynieść moją głowę na tacy! Wątpię, czy wysłucha Skana. Nie mogę go winić, bo gdybym był nim, też nie zawracałbym sobie głowy gryfimi opowieściami. Dlaczego tu sterczysz jak kolek, Żurawiu? Musisz powstrzymać spiskowców przed wyciągnięciem Hadanelitha z miejsca Ceremonii. Świetnie, teraz poproszę o zaklęcie, które mnie zmieni w oddział wojowników!

Światło słoneczne przygasło jeszcze bardziej: zaczynała się kulminacyjna faza Zaćmienia. Czas uciekał, a on nie był pewien, czy mag w ogóle znajdował się w tej części pałacu! Jak zwykle w takich chwilach, przywołał na pomoc zimną logikę, która nieraz uchroniła go przed popełnieniem głupstw.

Spokojnie: Hadanelitha nie można spuścić z oka, a przechwalając się, wyraźnie stwierdził, że współnicy są tutaj. Jest wariatem, ale nie kłamcą; dwóch pozostałych najprawdopodobniej obserwuje stąd całą Ceremonię, czekając na odpowiednią chwilę, aby go ściągnąć z powrotem, gdy tylko wykona swe zadanie.

Musiał działać natychmiast.

Jak? Zaatakować dwóch, a może więcej ludzi w pojedynkę?

Nie jestem żołnierzem. Na kursach samoobrony nie uczyli ataku. Co mi zostało? Blef? Dlaczego nie? Muszę zyskać na czasie, Skan przyśle pomoc, kiedy tylko skończy się Zaćmienie. Ludzie króla dopilnują, aby Hadanelith nie mógł uciec...

Oczywiście, o ile Palisar nie jest mózgiem tej intrygi...

Potrząsał gwałtownie głową: jeśli nie przestanie gadać do siebie, straci szansę, bo Zaćmienie nie zamierzało czekać, aż on rozwiąże swe

dylematy. Pchnął drzwi i stanął u szczytu schodów, a nie, jak się spodziewał, w korytarzu. Znajdował się w jednej z narożnych wież: doskonale miejsce wypadowe do spacerów po dachach w ciemną noc. Doskonale miejsce do odizolowania szaleńca od reszty świata.

Zszedł cichutko po schodach, nasłuchując; dłoń, w której ścisnął pręt, zdrętwiała. Minął jedne drzwi, za którymi panowała głucha cisza, i w połowie drogi ku drugim usłyszał szmer, który mógł być cichą rozmową. Po dwóch kolejnych krokach potrafił już rozróżnić dwa głosy: jeden powtarzał często słowo „Hadanelith”. Oparł się o ścianę, aby nie upaść, bo kolana miał jak z waty: rozmawiali dwaj mężczyźni, zapewne towarzysze szaleńca. Miał nadzieję, że byli sami...

Myśl, że może zostać ogłuszony silnym ciosem w głowę, gdy tylko otworzy podejrzaną drzwi, zepchnął w najdalsze zakątki mózgu, inaczej odwróciłby się na pięcie, pognał z powrotem na górę i zamknął się na klucz. Dyszał jak po długim biegu, oczy go piekły, nerwy miał napięte jak postronki, a każdy dźwięk wydawał mu się nienaturalnie głośny. Zrobił krok. I jeszcze jeden krok. I następny. W końcu przytułił się do framugi lekko uchylonych drzwi, zza których dobiegały głosy.

Klatka schodowa, dotychczas oświetlona słońcem wpadającym przez otwór w dachu, pogrążyła się w ciemności. Żuraw wsłuchał się uważnie w głosy mężczyzn rozmawiających w pokoju i poczuł wielką ulgę: żaden z nich nie należał do Palisara.

Wziął głęboki oddech, napiął wszystkie mięśnie i kopnął drzwi, które rąbnęły w ścianę; dwóch mężczyzn, siedzących przy okrągłym stoliku, podskoczyło i spojrzało na niego szeroko otwartymi oczami.

Blefuj, Żurawiu!

Pokój bez okien oświetlały trzy latarnie, a oprócz stolika i krzeseł stały w nim tylko półki z książkami. Dostrzegł też inne przedmioty, ale nie miał czasu się im dokładniej przyjrzeć, bo jeden rzut oka na stół wystarczył, aby znaleźć to, czego szukał: naczynie wypełnione płynem.

Miałem rację, śledzą Ceremonię!

- Ręce na stół! - ryknął, przypominając sobie, jak podczas podróży na zachód wydawał rozkazy. - Jestem agentem specjalnym Oszczepów Prawa! Poddajcie się!

Mężczyźni z wahaniem położyli dłonie na stole. Zły znak...

- Wiemy wszystko - ciągnął, wchodząc do pokoju. - Zaaresztowaliśmy Hadanelitha, który wszystko wyśpiewał, więc j zaoszczędźcie nam czasu i zróbcie to samo. Wiemy, że dla was pracował i popełnił cztery

morderstwa; Jego Spokojność Shalaman daruje wam życie, jeśli się ukorzyście i przyznacie do winy.

Ciekawe, czy uwierzą? Przez chwilę dwaj mężczyźni byli wyraźnie zaskoczeni i zdumieni, ale ta chwila już minęła. Ostatni promień światła słonecznego zniknął; Hadanelith szykował się do zadania ciosu. Musiał odciągnąć ich uwagę od naczynia lub je zniszczyć...

O bogowie, co robić? Powtórzył swą przemowę, bacznie obserwując Haighlei; liczył na to, że w porę dostrzeże niebezpieczeństwo i zdaży zadziałać. Każdy jego mięsień drżał z wysiłku.

Co robić?

Skandranon od dziesięciu lat nie czuł się tak obolały. Nie jadł, nie pił, całe dni spędził w upiornie niewygodnej pozycji, a potem musiał latać i walczyć: nic dziwnego, że drżał jak w febrze.

Nie nadaję się do niczego i wątpię, czy dotrę do naszych komnat, nie mdlejąc po drodze. Na szczęście mogę mówić.

Mruczał więc pod nosem o tym i o owym, starając się, aby wszyscy na platformie słyszeli. Wreszcie król przekazał prowadzenie modłów Palisarowi i podszedł do gryfa.

- Bursztynowy Żuraw mnie uwolnił - powiedział Skan. - Jest w niebezpieczeństwie.

Twarz Shalaman przybrała wyraz, którego Skan nigdy przedtem nie widział; podejrzewał, że tak właśnie wyglądał król, gdy prowadził słynne polowania na lwy ludożerców. Shalaman jednym szarpnięciem zdarł z siebie uroczyste szaty i wyrwał oszczep z rąk gwardzisty.

- Gdzie? - zapytał.

Skan zamknął oczy, szukając pomocy.

Kechara? Kochanie, słyszysz mnie?

Tato Skanie! - odezwała się natychmiast. Jej myślmowie towarzyszył dziwaczny pogłos, który pojawiał się zawsze, gdy Kechara była bardzo zmęczona. *Tato, dobrze się bawisz?*

Skan uśmiechnął się szeroko: dla Kechary istniała tylko zabawa albo jej brak.

Tato, dobrze się czujesz? Jesteś cały „au”.

Nie najlepiej, jestem bardzo zmęczony. Kecharo, kochanie, poszukaj Bursztynowego Żurawia. Pomóż mu. Zrobisz to dla mnie?

Jasne! Tęsknię za tobą! - rzuciła i zniknęła z jego umysłu.

- Gdzie? - powtórzył Shalaman, patrząc mu w oczy. Skan otworzył

dziób, aby powiedzieć: „za mną!”, ale uświadomił sobie, że nie takiej odpowiedzi się od niego oczekuje. Skoro został czarnym królem, musiał przestrzegać protokołu Haighlei.

- Biegnij za mną, Shalamanie, jak na polowaniu. Poprowadzę was. Musimy się spieszyć - rzekł, rozwijając skrzydła.

Bursztynowy Żuraw zrozumiał, że popełnił fatalny błąd: ruszył sam na dwóch znacznie silniejszych przeciwników. Być może, historia odda mu sprawiedliwość i ogłosi bohaterem, ale w tej chwili poczuł się straszliwie, niewymownie głupio.

Niech się dzieje, co chce.

Rzucił na stół pętlę z liny, która owinęła się wokół naczynia, i szarpnął z całej siły: chwilę później waza z hukiem runęła na podłogę, a on roztrzaskał ją uderzeniem pręta.

Twoje pięć minut właśnie minęło, Żurawiu.

Opadł na jedno kolano, słysząc... nie, nie usłyszał głosu, poczuł czyjąś obecność w swym umyśle. Kogoś radosnego i chętnego do zabawy, a zarazem zmęczonego i bardzo ciekawskiego.

Kechara? - spytał. Ponieważ nigdy nie był dobrym myślmówcą, spróbował się z nią porozumieć przy pomocy empatii, wysyłając swój obraz.

Rozpoznanie. Wzmrożona ciekawość. Nie trzeba było geniusza, aby zrozumieć, że pytała: „Co robisz?” W mig zrozumiała, że powinna odpowiedzieć tak samo: nie słowami, a uczuciami.

Ulga odebrała mu dech: nie był już sam. Jednocześnie ogarnęło go przerażenie: nie mógł opisać swego położenia uczuciami!

Rób to. co zrobiłby Skandranon na twoim miejscu, nie myśl. pozwól jej patrzeć twoimi oczami, otwórz się przed nią!

Nigdy nie dopuszczał do siebie nikogo oprócz Zimowej Łani, aby nie porwał go nurt cudzych emocji, jednak jak mógł się obawiać Kechary? Opuścił bariery ochronne i pozwolił jej wnikać w swój umysł. Poczuł, że traci czucie w kończynach...

Jeden z mężczyzn podniósł się i zdjął coś z półki, a potem stanął w pełnym świetle. Bursztynowy Żuraw przeraził się, a strach popłynął do Kechary, która nie potrafiła zrozumieć, dlaczego przedmiot w rękach Haighlei wzbudził tak silną emocję.

Mag trzymał przed sobą różdżkę, rzeźbioną w zawile wzory i Żuraw nie wiedział, skąd brała się pewność, że wypreparowano ją z ludzkiej

kości udowej. Przecież mogła pochodzić od jakiegoś dużego zwierzęcia...

Pierwsza ofiara ? Nigdy się nie dowiem...

Różdżka musiała być najpotężniejszym przedmiotem magicznym w tym pokoju: w niej magazynowano energię czerpaną z krwi ofiar. Bursztynowy Żuraw gapił się na nią, niezdolny do ruchu i myślenia. Gardło wypełniała mu żółć. Mag uśmiechnął się i ujął różdżkę w obie dłonie; drugi mężczyzna odchylił się na krześle i zachichotał. Kestra'chern zrozumiał, że żaden z nich nie dał się nabrać, kiedy wpadł do pokoju i wykrzyczał swe butne oświadczenie; opuściła go cała odwaga.

Mag szykował się do uderzenia, a on tkwił przed nim jak mysz zahipnotyzowana przez węża. Kiedy spróbował się poruszyć, pręt wypadł z jego zdrtwiałych palców i z hukiem uderzył w podłogę. To nie było zakłęcie: to był czysty strach.

Umrę - stwierdził zadziwiająco beznamiętnie.

Źli ludzie! - wrzasnęła Kechara.

Upadł, ogłuszony i porażony jej myślkrzykiem. Mężczyźni zamarli, zupełnie jakby też go usłyszeli; Bursztynowy Żuraw instynktownie osłonił się. Kechara tylko na to czekała.

Źli, źli ludzie! zaskrzeczała, uderzając w Haighlei całą swą wściekłością. Jej wrzask był jak huragan, poraził i rozerwał bębunki w uszach spiskowców, którzy nie spodziewali się czegoś podobnego. Żuraw nie podejrzewał nigdy, że mała Kechara dysponowała taką mocą: zbyt długo myślał o niej jak o niewinnym dziecku, aby docenić jej zdolności. Zapomniał, że rozpoznawała złego człowieka na pierwszy rzut oka.

Mężczyźni padli tam, gdzie stali.

Au - jęknęła Kechara i zniknęła z umysłu Żurawia.

Owszem, au. Teraz, kiedy mała zaprezentowała pełnię swych możliwości, cieszył się bardzo, że Kecharę otaczali kochający przyjaciele; zrozumiał wreszcie powody, dla których Urtho trzymał ją zamkniętą w Wieży. Jej myślmowa była imponująca, ale pokaz, który właśnie dała, przeszedł najśmielsze oczekiwania Bursztynowego Żurawia. Z taką mocą byłaby straszliwą bronią...

Broń. Kechara nie poraziła go, ale nadal nie mógł się ruszyć; siedział wśród skorup i gapił się bezmyślnie na dwa leżące ciała. Nie uchodził śmierci spod kosy codziennie.

- Żuraw? - zawołał ktoś. Nie wiedział, ile czasu spędził na podłodze:

gdy się ocknął, słońce świeciło pełnym blaskiem. - Żurawiu, gdzie jesteś?

- Na dole, pod schodami! - zaskrzeczał. Chwilę później do pokoju wpadli Skan, Aubri i Zhaneel, a za nimi rozległ się tupot wielu stóp.

- Żuraw! - ryknął Skan, a kestra'chern jęknął i zakrył uszy: miał dosyć gryfich wrzasków na następne dziesięć lat. Gryf złapał go za ramiona. - Kechara powiedziała, że masz kłopoty, a potem.. Polem po prostu zniknęła. Myśleliśmy, że coś stało się wam obojgu! Myśleliśmy, że...

- Owszem, miałem kłopoty - przerwał przyjacielowi, który znajdował się na skraju hysterii.

Ma do tego pełne prawo. Ja też.

Potoczył spojrzeniem po ludziach zgromadzonych w pokoju i dostrzegł króla.

- Ten tam - wskazał gestem wyższego mężczyznę - to krwawy mag. Chciał mnie zmieść z powierzchni ziemi, kiedy... stłukłem ich wazę i padli bez życia. - Wymienił ze Skanem porozumiewawcze spojrzenie. Żaden z nich nie chciał ujawniać, że tak naprawdę ogłuszył ich potężny myślmówca. Lepiej będzie dla wszystkich, jeśli istnienie Kechary pozostanie tajemnicą.

Shalaman wpatrywał się w ciała, mrużąc oczy jak atakujący lew.

- Niech nas bogowie mają w swej opiece! - szepnął jeden z gwardzistów. - To Zhańbiony. Bezimienny.

- Kto? - spytał Skan. - O czym ty gadasz, człowieku?

- To Człowiek Bez Honoru - wyjaśnił Shalaman. - Mój brat.

„Bezimienny” został związany jak prosię sznurami zwykłymi i magicznymi i odniesiony w nieznanym kierunku. Jego współnik został potraktowany gorzej od łajna i Bursztynowy Żuraw poczuł, że chociaż pewnych działań kapłanów Haighlei nie pochwała, ich metody traktowania więźniów zaczynają mu się naprawdę podobać...

Bursztynowy Żuraw i Skandranon zostali na miejscu, a Zhaneel i Aubriego grzecznie, acz stanowczo wyproszone. Kestra'chern nie przejął się tym zbyt: był zbyt zmęczony. Oczywiście, Skan i on zostali bohaterami dnia i należała im się odpowiednia eskorta: protokół nakazywał, aby traktować z szacunkiem wszystkich bohaterów, nawet tych, którzy właśnie odkryli tajemnice rodziny królewskiej. Oparł się o grzbiet gryfa i zanurzył twarz w czarnych piórach.

Tak zastali ich Leyuet i Palisar. Skan wstał, wyprostował się, j i zmierzył obu ostrym spojrzeniem.

- W porządku - rzekł. - Podejrzewam, że trzymacie nas tutaj dlatego, że poznaliśmy jakąś straszną tajemnicę. Chcecie porozmawiać z nami na osobności, więc proszę bardzo, mówcie. Zaczynajcie od tego Bezimiennego i streszczajcie się, bo chcielibyśmy się najeść, wykapać, przespać i zająć naszymi żonami, choć niekoniecznie w tej kolejności.

- Rozumiem, choć wolałbym nie mówić o tym śmieciu - powiedział Palisar z obrzydzeniem. - Hadanelith twierdzi, że, znał go jako Noyokiego, Nikogo, i wszyscy życzylibyśmy sobie, aby rzeczywiście był nikim: to plama na honorze naszej rodziny. Macie jednak prawo wiedzieć o wszystkim, takie są rozkazy cesarza. Prosiłbym, abyście zachował i to, co usłyszycie, dla siebie i szanownych małżonek. Im mniej osób pozna fakty, tym lepiej.

Dwaj oszczepnicy w mig pojęli aluzję i zniknęli z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Bursztynowy Żuraw pochylił się do przodu, aby nie uronić ani słowa z opowieści Rzecznika Bogów.

- Bezimienny jest bratem cesarza - zaczął Leyuet, ale Palisar uciszył go.

- Przyrodnim bratem - poprawił. - Matka Shalamana była pierwszą żoną króla Ibrama, a Noyoki to ostatni syn trzeciej żony, która zmarła ze wstydu, wiedząc, jakich czynów się dopuścił.

- Była dobrą kobietą - przytaknął Prawdomówca, pocierając czoło. Jego migrena musiała być równie silna jak Żurawia. - To nie jej wina, że wydała na świat potwora bez honoru. Nie rozumiał nawet znaczenia słowa honor. To musiała być cecha wrodzona.

Grymas na twarzy Palisara lepiej niż wszystkie słowa mówił o jego uczuciach, ale Rzecznik Bogów powstrzymał się od przedstawienia swego zdania na temat cech wrodzonych Noyokiego.

- Był dzieckiem obdarzonym mocami - podjął. - Wysłano go do szkoły kapłańskiej, gdzie nadużył swej siły i został odarty z magii, a przynajmniej powinien być zostać z niej odarty. Zapewniam was, że dowiemy się, dlaczego nie dopełniono rytuałów i pozostawiono mu moc. I dlaczego nikt tego nie zauważył!

- Z moich doświadczeń z północną magią wynika, że przy odpowiednim skupieniu woli mógł korzystać z krwawej magii, nawet jeśli kapłani spisali się na medal - mruknął Skan.

- Nie wierzę! - zawołał Palisar.

- Przykro mi, ale Skan ma rację - powiedział Bursztynowy Żuraw. - Nawet ludzie bez zdolności magicznych potrafią posługiwać się krwawą magią, jeśli posiadają wystarczająco silną wolę. Obawiam się, że uchodźcy z Północy przyniosą tę sztukę do Haighlei; gdyby nie to całe zamieszanie, powiedziałbym wam o tym. Prędzej czy później ponownie pojawi się tutaj nie utalentowany krwawy mag i zacznie uczyć innych.

- Nie przeszkadzimy temu - przytaknął Palisar ponuro. - Cóż, musimy połączyć nasze siły, aby sobie poradzić z tym problemem.

- Później - zniecierpliwiał się Skan. - Co z Noyokim?

- Nie dość, że był magiem, posiadał też wyjątkową umiejętność której od stuleci nie znano w Khimbacie. Kapłani powinni byli ją zneutralizować, zanim pozbawili go magii. Pamiętani jak dziś ten dzień, gdy zademonstrował nam, że potrafi poruszać przedmioty siłą woli. Przenosił je z jednego końca miasta na drugi.

Bursztynowy Żuraw skinął głową: z rozrzuconych kawałków układanki zaczął wylaniać się obraz.

- Słyszałem o nim - powiedział. - Mój informator opowiedział mi jego historię, kiedy uprzedził mnie, że tylko kapłani mogą posługiwać się magią. Nigdy bym się nie domyślił, że oprócz magii posiadał jeszcze dar telekinezy. Czy to właśnie jej używał do oszukiwania?

- Tak. Kapłani byli przerażeni i doprawdy nie rozumiem, dlaczego nie wypalili jego zdolności - odparł Palisar.

- Teraz wiem, jak Hadanelith włąził do pokojów ofiar - westchnął Skan. - I jak Noyoki przerzucił go na platformę. Miał go z niej zabrać natychmiast po tym, jak szaleniec zabije króla.

- Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że potrafił podnieść coś większego od wiadra z wodą - usprawiedliwił się Rzecznik Bogów. - Nigdy nie chwalił się publicznie swymi możliwościami. Nie wiedziałem, że nad nimi pracował.

- Czy rozmawiałeś kiedyś z Urtho o podobnych zdolnościach? - zapytał Bursztynowy Żuraw gryfa.

- Owszem - odparł zapytany. - Można je wyćwiczyć, ale istnieje granica, której nie można przekroczyć. Podejrzewam, że dlatego Noyoki wybrał to skrzydło pałacu na swą siedzibę: nie potrafił zbyt często używać swego daru. Jeśli to was pocieszy, na Północy nieczęsto spotyka się podobnie uzdolnionych ludzi.

- Niedługo się wszystkiego dowiemy - stwierdził Palisar, patrząc w jakiś punkt nad głową Żurawia. - Rzadko uciekamy się do pomocy tych,

którzy czytają w ludzkich myślach, ale gdy ich wzywamy, mają do czynienia z przestępcami i bezlitośnie używają swych zdolności.

Bursztynowy Żuraw zamrugał. Czy Palisar chciał powiedzieć, że kapłani...

Kapłani użyją zaklęć przymusu, aby odczytać myśli spiskowców?

- Ich umysły pękają jak skorupka jajka - dodał Leyuet z ponurym uśmiechem, potwierdzając domysły kestra'chern. - A gdy wypłynie zawartość, zostawimy puste skorupy. Nie będzie egzekucji: wszyscy trzej pozostaną przy życiu, aby uświadomić Haighlei, jaki los czeka każdego, kto podnosi rękę na cesarza... Być może, zrozumiemy, co sprawiło, że stali się takimi potworami i postaramy się, aby nigdy więcej bestie w ludzkiej skórze nie zawitały pomiędzy Haighlei.

Kestra'chern wzdrygnął się. Wiedział, czego potrafi dokonać potężny myślmówca, szczególnie po dzisiejszych wydarzeniach; nie potrafił jednak wyobrazić sobie, co czuje człowiek pozbawiany umysłu. Śmierć byłaby lżejszą karą.

Czy zasługują na litość po tym, co uczynili? Nie wiem. Dobrze, że nie ja podejmuję decyzje. Nagle śpiew ptaków wydał mu się zbyt radosny.

- Powiedzieliśmy już wszystko - stwierdził Palisar, wstając i wskazując drzwi. Bursztynowy Żuraw podniósł się z trudem, czując, że obolałe mięśnie stawiają silny opór. Jednak z rozkoszą opuszczał ten pokój. W głowie miał watę i nie potrafił myśleć, a jego jedynym marzeniem było paść w ramiona Zimowej Łani i odpoczywać.

Nareszcie. Skończyło się.

Długi spacer do głównego skrzydła pałacu odbyli w milczeniu: Palisar i Leyuet pograżyli się w myślach, Bursztynowy Żuraw był zbyt zmęczony, aby podtrzymywać rozmowę, a Skan najwyraźniej nie miał ochoty na pogawędki. Gdy dotarli do głównej bramy, Palisar zatrzymał się i podniósł dłoń.

- Muszę wam coś powiedzieć. Nie pochwalam zmian - rzekł, marszcząc brwi. - Nie chciałem obcych wśród nas i byłem pewien, że jesteście przyczyną naszych kłopotów. Jednak nie jestem ślepym głupcem: morderca pochodził z naszego rodu. Prędzej czy później Noyoki zaatakowałby swego brata; człowiek, który zatrudnia osławionego złodzieja, nie zamierza zbudować świątyni. Ukaraliście Hadanelitha stosownie do jego winy; nie wy popchnęliście go w ręce Noyokiego.

Palisar zaraz przyzna, że się mylił. Interesujące.

- Jak mówiłem, nie pochwalam zmian. Taka jest moja rola jako kró-

lewskiego doradcy, jednak nie będę przeciwstawiał się rzeczom, których nie można uniknąć. Nie obwiniam niewinnych. - Wyciągnął sztywno rękę do Bursztynowego Żurawia w geście, który kestra'chern odczytał jako: „Nie przepadam za tobą, ale nie jestem twoim wrogiem”.

Żuraw uścisnął wyciągniętą dłoń i ruszyli do sali posłuchań, gdzie czekały odpowiedzi na wszystkie nie zadane pytania.

Dwa tygodnie później Bursztynowy Żuraw obserwował, jak Makke pakuje kolejny prezent przysłany gryfom. Skan nie mógł już narzekać na brak biżuterii: podzwaniał nią przy każdym ruchu.

- Zepsują mnie - stwierdził, oglądając naszyjnik i zausznice, które Makke starannie zawijała w bibułę. Zasłony szeleściły cicho, poruszone poranną bryzą. Żuraw wybuchnął śmiechem.

- Już to zrobili!

- O, nieprawda! - zaprotestował Skan. - Jestem po prostu świadomym talentów i uroku osobistego. Lepsze to niż fałszywa skromność.

Żuraw parsknął i pociągnął łyk mrożonej herbaty. Pozbył się już ciemnych sińców pod oczami, a skóra odzyskała zdrowy kolor. Pierwszy tydzień po Ceremonii był dla kestra'chern koszmarem: Zimowa Łania twierdziła, że jej mąż budził się, wrzeszcząc co sił w płucach co najmniej cztery razy w ciągu nocy regularnie przez siedem ostatnich dni.

- Będę za tobą tęsknił - powiedział gryf. - Nie wiem, jak sobie poradzę bez ciebie.

Bursztynowy Żuraw nie odpowiedział od razu.

- Nie chcę jeszcze wracać do domu - rzekł w końcu. - Muszę przemyśleć wiele rzeczy, a Khimbata służy mojemu umysłowi - spojrzał przyjacielowi w oczy. - Śnieżna Gwiazda nie chce rządzić Białym Gryfem.

- Wobec tego moja propozycja jest nadal aktualna - mruknął Skan. Na samą myśl, że w mieście czekały na niego znienawidzone obowiązki, dostawał gęsiej skórki. - Śnieżna Gwiazda miał szansę, aby polubić swą przymusową pracę. Zajmował się miastem od naszego wyjazdu, ale...

- Ale o tym właśnie muszę pomyśleć - przerwał mu Żuraw. - Rządzenie Białym Gryfem to zadanie, którego nie można się podjąć ot, tak sobie.

- Wiem! Ale byłbyś świetnym przywódcą! Ja jestem symbolem i przykładem i nie ucieknę przed tym, ale na pewno nie nadaję się na przy-

wódce. Nigdy nie dorównam Urtho.

- Nikt nie chce, abyś był taki jak on. Jesteś niezastąpiony, gdy trzeba szybko podejmować decyzje i potrafisz porwać za sobą ludzi. Instynktownie dokonujesz najlepszych wyborów. Nie zaprzeczaj, widziałem cię w akcji i wiem, co mówię.

- Świetnie, ale prawdziwy przywódca potrzebuje jeszcze czegoś - westchnął Skan. Makke skończyła z biżuterią i zabrała się za bele materiałów. - Czegoś, czego mi brakuje. Żurawiu, nic mnie tak nie nudzi jak codzienne spory i porady! Kiedy się nudzę, przestaję myśleć i tyję, a potem z niewielkiej sprzeczki potrafię zrobić poważny kryzys tylko po to, aby się czymś zająć. Ty potrafisz radzić sobie z problemami dnia codziennego. W końcu tego cię uczono.

- Czyżby? - Żuraw nie ukrywał swego sceptycyzmu. - Każdy kestra'chern poznaje tajniki ludzkiej duszy i wie, jak być autorytetem. Uczą nas, jak dowodzić ludźmi, to prawda. Ha, nigdy o tym nie pomyślałem.

- Nie znudzisz się i nie przytyjesz - rzucił szybko Skan. - Poza tym Judeth mówiła, że mogę dowodzić gryfim oddziałem Srebrzystych. O ile znajdę kogoś, kto się zajmie naprawianiem kanalizacji...

- Tak? - uśmiechnął się kestra'chern. - Ciekawe, jak ci się udało ją przekonać?

Skan też się zastanawiał, bo Judeth zgodziła się podejrzanie szybko. Ale dowodzenie gryfami wymagało zdolności, których nie posiadał żaden człowiek.

Żaden człowiek nie potrafi im wytłumaczyć, że należy działać razem. Czasami praca z gryfami przypomina tresowanie pcheł.

- Nie jesteśmy jedynymi uchodźcami wojennymi. Judeth uważa, że możemy pomóc Haighlei, kiedy pojawią się tutaj niedobitki z armii Ma'ara - powiedział Skan. - Chce, aby gryfy były gotowe do natychmiastowego działania. Jesteśmy lepsi w ofensywie niż ludzie, a poza tym znacznie bardziej mobilni, niż dwunogie, naziemne stworzenia.

Mam nadzieję, że wszystkie makaary szlag trafił razem z Ma'arem.

- Jeśli będziemy chętnie współpracować, tacy twardogłowi jak Palisar szybciej nas zaakceptują - przyznał Żuraw. - Ty masz rację, ona ma rację, a ja mam uczucie, że to jeszcze nie koniec. Burze magiczne kiedyś ucichną, magia wróci do normy, a wtedy okaże się, że Ma'ar i Urtho nie byli jedynymi potężnymi adeptami na kontynencie. Ci, którzy pozostali, również wyruszą na południe.

Skanowi nie spodobała się ta uwaga. Żuraw miał rację: nie wszyscy magowie wyginęli podczas kataklizmu. Nie przejmował się tymi, którzy służyli w armii Urtho, ale magowie z wrogiego obozu stanowili poważny problem. A poza tym kilku adeptów obserwowało wojnę z założonymi rękoma, czekając na sposobny moment do działania. Nie potrafił powiedzieć, ilu ich było i gdzie się teraz podziewali.

Kiedy czarownik się chowa, żadna sita nie wykurzy go z kryjóWKi.

Żaden z nich nie miał gryfów. To one zwyciężyły Ma'ara.

Zaskoczmy każdego.

Jednak nie to było najważniejsze: przed mieszkańcami Białego Gryfa stały dwa zadania, o których Skan nie przestawał myśleć. Musieli ukończyć budowę swego miasta i nauczyć się, na czym polega życie w nowym społeczeństwie.

Jeśli Żuraw przejmie zarządzanie miastem, ja będę mógł się zająć jego obroną i nikt nas nie zaskoczy - zachichotał Skan. I jak za dawnych czasów Gesten będzie rozstawiał nas po kąatach.

- Czy ta rozmowa może poczekać do naszego wyjazdu? - spytał Żuraw. - Muszę zająć się organizowaniem naszego poselstwa w Khimbacie. Kiedy skończę, być może, zgodzę się zarządzać miastem.

- Jasne! - ucieszył się gryf.

Judeth i Srebrzyści już mu salutują, a Haighlei... no cóż, nie są przyzwyczajeni do ludzi, którzy radzą sobie w wielu dziedzinach...

- Obiecałem Srebrnemu Trenowi, że pomogę jej wybrać odpowiedniego następcę - ciągnął kestra'chern. - Oboje zgodziliśmy się, że nie powinienem przejmować jej obowiązków, bo Leyuet nigdy nie odprężyłby się w obecności kogoś naznaczonego boską łaską. Zaproponowałem, że przyślę kogoś z Białego Gryfa. Myślałem o Jessamine: jest kompletnym przeciwieństwem Srebrnego Trenu. Uniknie porównań z dawną kestra'chern.

Skandranon westchnął z ulgą: w skrytości serca obawiał się, że posada królewskiego kestra'chern skusi Bursztynowego Żurawia, a Zimowa Łania zostanie oficjalnym ambasadorem - co nie byłoby takie złe, kiedy pomyślał o korzyściach, jakie taka sytuacja przyniosłaby Ka1ed'a'in. Łania idealnie nadawała się do pracy i w dyplomacji, a Żuraw mógłby informować swych ziomków o wszystkich wydarzeniach na cesarskim dworze.

Chcę, żeby wrócił do domu! - pomyślał Skandranon. *Potrzebuję go. Tworzymy świetny zespół. Poza tym ktoś musi zastąpić Lwi Wiatr, któ-*

ry ciągle myśli o Kaled'a'in jak o jednym z klanów nie dopuszcza do nas obcych. Żuraw też zauważył tę strusią politykę.

Ponoć Lwi Wiatr spędza ostatnio wolny czas z szamanami. Czyżby chciał się przekwalifikować?

Zmiana albo zastój. Rusz się albo zginiesz. Ludzie Urtho zawsze musieli wybierać.

Zmiana nas wzbogaca; przyda się Żurawiowi, bo widzę, że zaczyna się nudzić. Oczywiście, wyjdzie to na dobre również Zimowej Łani: jak zwykle stanie u boku swego mężczyzny. Moim skromnym zdaniem znacznie lepiej będzie się czuła jako żona kogoś, kto rządzi całym miastem, a nie zwykłego kestra'chern: jej ukryte talenty ujrzą wreszcie światło dzienne. Cóż to będzie za piękna para!

- Zimowa Łania na pewno mi pomoże - Bursztynowy Żuraw czytał chyba w myślach gryfa. - Dopóki nie przybyliśmy do Khimbaty, marnowała swoje umiejętności. W końcu od dziecka uczyli ją rządzenia, a nie gotowania obiadów. Powinniśmy to wykorzystać, wstyd marnować taki talent!

- Wykorzystuj - zgodził się Skan, nie ukrywając zadowolenia.

- Myślisz, że gadam na głos, bo przekonuję samego siebie? - Przyjaciel posłał mu krzywy uśmiech. - Owszem, przekonuję. Podejmę się tego zadania, jeśli dasz mi słowo, że nie wyjdę na kompletnego durnia.

- Nie wyjdiesz! - oznajmił Skan. Wszystko szło po jego myśli! Nareszcie będzie mógł robić to, do czego został stworzony: być Czarnym Gryfem!

To dopiero wyzwanie! Musimy nauczyć się współpracować z Haighlei i przygotować na obronę przed tym, co może nadejść, z Północy. A gryfom nie zawadzi trochę dyscypliny. Uśmiechnął się do przyjaciela, a ten odpowiedział mu tym samym.

Skandranon Rashkae usiadł dumnie wyprostowany, przyjmując posagową pozę na tle jasnego nieba. Był zadowolony z siebie, świata i życia.

Jego serce nigdy nie było tak pełne światła i spokoju.

SREBRZYSTY GRYF

**Tłumaczyła
Joanna Wołyńska**

*“Dusty'emu” Rhoadesowi, Mike'owi Hackettowi, Scottowi
Rodgersowi i wszystkim innym, którzy wiedzą, że Infobahn
jest narzędziem, nie religią*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wolność!

Tadrith Skandrakae rozpostarł swe wielkie szare skrzydła, napinając mięśnie aż do granic możliwości, aby w pełni wykorzystać ciepły prąd powietrza. *Nareszcie wolność! Myślałem, że nigdy się nie wyrwę z tego zebrania sekcji.* Odbił lekko w lewo, przechylając się dla równowagi. *Wiem, że ten stary kruk nie spuszczał mnie z oka nie z powodu mej aparycji czy wdzięku! Przysięgam, Aubri chyba czerpie przyjemność z trzymania przy sobie ludzi, którzy wszystko by dali, by być gdzie indziej.* Przymknął oczy, chroniąc się przed blaskiem słonecznym na wodzie. Był świadomy dwóch sił, jednej wyimaginowanej i jednej rzeczywistej: ciepłego dotyku słońca na plecach i silnego prądu wznoszącego pod jego brzuchem. Zresztą może były trzy siły albo i cztery; ciepłe powietrze w dole, w górze gorące słońce i podobne pragnienie ucieczki przed nudą kolejnego zebrania sekcji oraz chęć zmiernia ku czemuś podniecającemu.

Prąd wznoszący pachniał solą i wodorostami; przyniósł oczekiwaną ulgę dla skrzydeł walczących z wiatrem. Po jego lewej stronie olbrzymie Morze Zachodnie lśniło zielenią i błękitem, horyzont był ostrą linią, gdzie spotykał się turkus nieba ze szmaragdem wody. Po prawej widać było Biały Gryf, miasto wybudowane na klifie, od którego białych koronkowych budynków, przeciętych gdzieś ogrodami, winnicami i wodospadami odbijały się promienie słoneczne. Jak zaplanowano w poprzednim pokoleniu, miasto zbudowano na kształt gryfa ze skrzydłami dumnie rozpostartymi na porośłym mchem kamieniu klifu. W dzień lśniło; w nocy jaśniało, rozświetlone świecami, latarniami i lampami magicznymi. Tadrith kochał je; dumne, obiecujące, wabiące miasto, dom dla tysięcy.

Pod nim oliwkowe wody zatoki biegły spokojnie ku podnóżom klifu i bulgotały wokół pali przystani zwieńczone delikatną koronką piany. Wszystkie keje były puste, jeśli nie liczyć przycumowanych łódeczek, bo flota rybacka Białego Gryfa wróci z połowu dopiero o zmierzchu. Tadrith służył we flocie podczas swego pierwszego roku wśród Srebrzystych Gryfów; młode gryfy były powietrznymi zwiadowcami, rozglądającymi się za stadami ryb, a pod koniec dnia ciągnęły sieci z połowem.

Sieci używano tylko wtedy, kiedy wyciągano ryby na brzeg. Na po-

czątku pobytu posługiwano się sieciami i wężami, ale wkrótce zaniechano tego. Haighlei, ich sprzymierzeńcy, byli przerażeni spustoszeniem, jakiego dokonali rybacy, łapiąc w swe sieci morskie zwierzęta nie nadające się do spożycia i niszcząc je przy okazji łapania ryb. Mieli rację, wypominając Kaled'a'in, że skoro nie pozwalali na takie marnotrawstwo na polowaniach, dlaczego mieliby przymykać na nie oko podczas połowów? W końcu rybołówstwo było po prostu jedną z odmian polowania; nie zabijałeś zwierząt, których nie potrzebowałeś albo które ci nie zagrażały w lesie, więc dlaczego postępować tak na morzu? Teraz flota używała tylko wędzisk, które pozwalały na wypuszczanie ryb zbyt młodych lub niejadalnych. Proces był długi i żmudny, ale nie zważali na to, mając pewność, że zapewniają żywność następnemu pokoleniu i dziesięciu po nim.

Dziesięć następnych pokoleń. Zawsze o to się martwią, o następne pokolenia. Planuj i pracuj dla dobra dziesięciu pokoleń, mawia Bursztynowy Żuraw. Nawet jeśli z nas zostanie tylko skóra i kości!

Takie myśli przychodziły od czasu do czasu do głowy każdego mieszkańca Białego Gryfa. Tych młodszych, jak on, nawiedzały co najmniej raz na godzinę; kiedy ciężko pracowali, zjawiały się co kilka minut. W końcu naturalne było, że słoneczny dzień i pokusy, które ze sobą niósł, bardziej zaprzętną uwagę młodego męskiego gryfa niż loty patrolowe czy trzymanie straży ze starszym gryfem, nawet tak przemiłym jak Aubri.

Są miejsca, które muszę odwiedzić, rzeczy, które muszę zrobić. Jestem tego niemal pewien.

Platforma do lądowania, którą wybrał Tadrith, była zajęta, co zresztą wpłynęło na jego wybór. Nie żeby był próżny, skądże znowu! No, nie za bardzo. Ale na platformie były trzy wyjątkowo piękne młode gryfice, wystawiające skrzydła do słońca, czekające w towarzystwie swych matek, aby zupełnym przypadkiem jakiś młody kawaler okazał trochę zainteresowania. Oczywiście, znał wszystkie trzy: Dharra była starsza od niego o rok i zajmowała się magią. Kylleen była rok młodsza i nadal służyła we flocie, a Jerrinni też należała do Srebrzystych. Ona i jej partner byli już wysyłani do zadań samodzielnych i właśnie jej najbardziej chciał zaimponować. Była jak on podobna do jastrzębia i zdecydowanie najatrakcyjniejsza z całej trójki. Ale nie tylko dlatego się nią interesował: należała do Srebrzystych starszych od niego stopniem i jej rozmowy z dowództwem mogły pchnąć go w stronę długo oczeki-

wanego awansu do zadań samodzielnych.

Noszę odznakę, ale nie pozwolili mi jeszcze wziąć na siebie odpowiedzialności z nią związanej. Nie musiał przyglądać się piersi, aby zobaczyć odznakę miniaturowego gryfa.

Srebrzyste Gryfy, nazwane tak z powodu odznak właśnie, służyły w siłach wojskowych i policyjnych, przejmując obowiązki dawnych wojowników, strażników, zwiadowców i policjantów. Poza tym gryfy ze Srebrzystych, zwłaszcza te młode, które jeszcze nie skończyły szkolenia, odsyłano do różnych innych zadań.

A mówiąc bez ogródek, przełożeni nakazywali im brać udział w tych jakże użytecznych zadaniach. Na przykład ciągnięciu sieci pełnych ryb, przenoszeniu ładunków, zaopatrzeniu, donoszeniu mięsa i owoców z pól na szczycie klifu, żeby wymienić tylko niektóre.

Albo siedzeniu na nudnych zebraniach.

Mam setkę spraw do bezzwłocznego załatwienia. Albo jakby powiedział ojciec, miejsca do odwiedzenia, role do zagrania. Dla niego to żart, ale ja tym żyję bardziej niż on kiedykolwiek, nawet po wszystkich jego przygodach, misjach i rolach. Nawet bardziej, niż podczas Ceremonii Zaćmienia.

Położył się na boku i poddał się kolejnemu prądowi, który zaniósł go dokładnie tam, gdzie chciał się znaleźć.

Myśl o ojcu jak zwykle spowodowała, że się wzdrygnął. Nie, żeby Skandranon był złym ojcem - o, nie! Był wspaniałym nauczycielem, doradcą i przyjacielem. Był dobrym ojcem, ale trudno być synem takiego ojca. Próby dorównania wizerunkowi Czarnego Gryfa były... trudne i irytujące. *Może jest żywą legendą, ale bycie jego synem to piekło na ziemi.*

Ale platforma i atrakcyjne gryfice pojawiły się tuż przed nim i Tadrith poczuł dreszczyk satysfakcji. Był dumny ze swych aerobacji, a szczególnie z samokontroli. Jego matkę, Zhaneel, podziwiano najbardziej ze wszystkich gryfów za finezyjny lot, a on studiował jej technikę znacznie głębiej, niż wyczyny swego ojca. *Chociaż raz Skandranon Wielki nie potrafi zrobić czegoś tak dobrze jak ja...*

Tadrith zatrzymał się nad platformą i wzbił się nieco, prezentując swe wdzięki, a potem opadł, składając skrzydła i stanął najpierw na jednej, potem na dwóch, a w końcu na wszystkich czterech łapach; najgłośniejszym dźwiękiem podczas całej operacji było skrzypienie platformy uginającej się lekko pod jego ciężarem. Wszystkie gryfice

westchnęły z zachwytu, pozostając pod wrażeniem takiego pokazu kontroli i zręczności, a Kylleen zagruchała głośno i posłała mu uśmiech.

Tak! Zdziałało tak, jak chciałem. Tadrith stanął jak kamienna rzeźba, wyprostował się, składając ciasno skrzydła i strasząc grzebień, tarmoszony przez wietrzyk. *Doskonale. Zobaczę, z jakiej gliny mnie ulepiono. Ojciec nigdy tak nie latał! Runąłby w dół i zwałił je wszystkie z nóg łopotem skrzydeł. Ja mam finezyjny styl!*

Z pełnego rozmarzenia zachwytu nad samym sobą wyrwała Tadritha jedna z matek, mówiąc do drugiej:

- Widziałaś? Naprawdę, z takim stylem latania jest wypisz, wymaluj jak jego ojciec.

Załamany Tadrith opuścił głowę i zszedł z platformy.

Jestem bez szans.

Przynajmniej gryfice zdawały się nie zauważać, jaki efekt wywarła na nim ta wypowiedziana mimochodem uwaga. Nadal rzucały mu zachęcające i pełne podziwu spojrzenia, kiedy odchodził tak wolno i wdzięcznie, jak tylko mógł w podobnych okolicznościach.

Platforma zwisała nad zatoką i wychodziła na jedną z ulic otoczonych balustradą, biegnących wzdłuż krawędzi tarasu. Kaled'a'in, którzy stanowili większość populacji Białego Gryfa, byli przyzwyczajeni do zieleni i nawet w mieście całkowicie wykutym z kamienia zdołali posadzić rośliny. W balustradę wbudowano kamienne donice wypełnione ziemią przynoszoną w woreczkach z pól na górze; w donicach posadzono dzikie wino, które zwieszało się teraz aż do kolejnego tarasu. W innych pojemnikach rosły drzewka lub krzewy, otoczone kwitnącymi ziołami. Woda spływająca po zboczu wystarczała, aby tu i ówdzie stworzyć mały wodospad, spływający malowniczo z tarasu na taras i znikający w morzu. Rośliny rozmieszczono tak, aby tworzyły wzór piór, dodając czystej bieli kamiennego miasta trochę struktury. Częścią filozofii Białego Gryfa, gdy planowano miasto, było "dumne odrodzenie". Przywódcy ludu - w tym Skandranon - użyli sztuki i stylu uchodźców, aby podkreślić dumę zjednoczenia. Zwykle pudełko było dobre; intarsjowane pudełko było lepsze. To rozbudzanie poczucia własnej godności, kierowane przez kestra'chern, pozwalało ludziom czuć się nie jak pokonani uciekinierzy, ale jak dumni budowniczowie.

Filozofia była prosta. Jeśli coś mogło być piękne: czy to ulica, drzwi czy ogród - było piękne.

Domy wykuto w skale klifu tuż przy ulicy; niektóre sięgały na dwadzieścia czy trzydzieści długości gryfa w głąb. Wielkość domu czy gryfiego gniazda ograniczona była jedynie zapalem członków rodziny do kopania (albo chęcią zapłacenia komuś za kopanie) i życia w pokojach bez okien za głównymi pomieszczeniami. Gryfy uważały takie miejsca za denerwujące i ograniczające, więc ograniczały kopanie do dwóch pokoi, ale hertasi i kyree oraz niektórym ludziom podobały się takie jamy i ryli głęboko w klifie. W skałach istniały całe kompleksy wykopanych ludzką ręką pomieszczeń i Tadrith musiał przyznać, że jedyną korzyścią płynącą z życia tam był fakt, że mieszkańcy nie musieli zwracać uwagi na pogodę.

Do takich ludzi należał Bursztynowy Żuraw. On i Zimowa Łania wkopali się tak głęboko w skałę, że do ich sypialni nie docierało nigdy światło słoneczne, denerwujące śpiochów. Tadrith wzdrygnął się na samą myśl o takiej ilości kamienia ze wszystkich stron, odcinającego od światła i powietrza. Nie miał pojęcia, jak jego partnerka Klinga mogła to znosić, będąc tak odmienną od rodziców.

Nie, żeby jakikolwiek gryf się martwił, że będzie zmuszony do życia w takiej jamie. Nie, jeśli hertasi i kyree śnią o takich mauzoleach i są gotowe oddać w zamian domy na szczycie klifu. Dawniej, kiedy najważniejszą rzeczą było szybkie wykopanie jaskini, pokoje często umieszczano obok siebie, czasami nawet powiększając istniejące jaskinie. Lampy magiczne, dzięki którym można było drążyć w kamieniu, były limitowane i często przez wiele dni nie mogli używać magii, aby kopać w skale, więc musieli używać rąk. Robotnicy pracowali według pewnego schematu, który podobał się gryfom, ludziom i tervardi. Dyheli, rzecz jasna, prawie wcale nie potrzebowały schronienia i wszystkie żyły na szczycie klifu, wśród pól, ale hertasi i kyree źle się czuły, widząc przed sobą niezmiernie obszary morza i nieba, jednak musiały się pogodzić z tymi warunkami, dopóki Kaled'a'in nie znaleźli czasu i środków, aby zbudować coś, co bardziej przypadło im do gustu. To oznaczało, że zawsze zdarzali się tacy, którzy radośnie zamieniali starą "niestabilną grzędę" na nowo wykutą jamę. Oczywiście mieli szersze tarasy, na których stawiano normalne budynki i sadzono drzewa, ale wszystkie mieściły się na obszarze Białego Gryfa i większość placów zarezerwowano dla budynków użyteczności publicznej. Lekko licząc, około trzech czwartych mieszkańców Białego Gryfa chwaliło sobie jaskiniowe domy.

Tak właśnie Tadrith i jego bliźniak, Keenath, zdobyli swoje gniazdo, które pozwoliło im wyprowadzić się od rodziców; znaleźli wąski pas nie zagospodarowanej skały w dole ogona Białego Gryfa i oznajmili, że należy do nich, a potem wynajęli brygadę kamieniarzy, aby wykuli długi, sześciopokojowy dom w skale. Takie pomieszczenia właśnie preferowały kyree kochające nory i hertasi żyjące w jamach. Kiedy zakończono kucie i bliźniaki dały do zrozumienia, że są gotowe się zamienić, o nie wykończone domostwo rozgorzała prawdziwa wojna.

W rezultacie Tadrith i Keenath mieli własne mieszkanie złożone z salonu, spiżarni i dwóch jasnych i przestronnych sypialni po obu stronach salonu. Okna sypialni wychodziły na klif, podobnie jak salonu. Rodzina kyree, która z wdzięcznością zmieniła gniazdo na ciemną, sześciopokojową norę, twierdziła, że była pijana ze szczęścia, opuszczając tę grzędę, po której hulały przeciągi i głośno zastanawiała się, dlaczego ich rodzice w ogóle na niej zamieszkali!

Co dowodzi jedynie, że przytulne gniazdko jednego jest dla drugiego zbieraniną patyków.

Kiedy Tadrith zbliżał się do domu, który znajdował się na pierwszej lotce prawego skrzydła Białego Gryfa, aleja zmieniła się w zwykłą ścieżkę, a balustrada w kupę kamieni, sięgającą do kolan. Prawdopodobnie stąd brało się obrzydzenie kyree do tego miejsca: takie ogrodzenie było niebezpieczne dla małych, niezdarnych szczeniaków. Tadrith i Keenath wzrastali w gnieździe niemal identycznym jak to, ale na pierwszej lotce lewego skrzydła Białego Gryfa; odległość między nimi i ich ukochanymi rodzicami odegrała niemałą rolę w podjęciu decyzji, która rodzina wygra wojnę o mieszkanie.

Tadrith mógł, gdyby tylko zechciał, wylądować na balustradzie przed swymi drzwiami, ale lądowanie gdziekolwiek poza publicznymi platformami było uważane za naruszanie zasad bezpieczeństwa, ponieważ zachęcało ledwo opierzone pisklaki, które zwykle przeceniały swoje umiejętności, do lekkomyślnego zachowania. Nikt nie stracił życia, ale kilkoro złamało nogi, kiedy źle obliczyły odległość podczas lądowania i spadły ze skały albo wpadły prosto w grupę przechodniów. Kiedy grupa rozhisteryzowanych matek zażądała od Rady, aby coś zrobiła w tej sprawie, zainstalowano platformy i wprowadzono rozkaz, aby gryfy i tervardi ich używały. Tadrith i Keenath, z których cały Biały Gryf nie spuszczał oka, bardzo skrupulatnie przestrzegali nakazu lądowania w wyznaczonych miejscach.

W każdym razie w dzień. Pisklaki nie mogą latać po zmierzchu, więc nikt nie zobaczy, że oszukujemy.

Kiedy pogoda była tak wspaniała jak dziś, drzwi i okna były szeroko otwarte, więc Tadrith po prostu wszedł do domu, stukając szponami o kamień podłogi. Pokój, który zamienili w salon, był przestronny i jasny, a ścianę nośną wyrzeźbiono i podparto długimi drewnianymi belkami. Przejrzysty materiał, z którego Kaled'a'in robili zasłony, zawieszony był na ramach z zawiasami wpuszczonymi w kamień. Na całe umeblowanie składały się różnej wielkości poduszki pokryte materiałami w kolorze piaskowca i granitu, łupka i krzemienia. W zimie na podłodze kładziono grube owcze skóry i wełniane dywany, aby ogrzać zimny kamień, a drzwi i okna zamykano, chroniąc wnętrza przed wiatrem, ale latem wszystkie okrycia chowano w spiźarni, a przegrzany gryf mógł się położyć na brzuchu na kamiennej podłodze i szybko się ochłodzić. I, dla ścisłości, Keenath właśnie to robił, rozciągnięty na ziemi z rozłożonymi skrzydłami, dysząc lekko.

- Właśnie myślałem o obiedzie - powitał bliźniaka. - Mogłem się spodziewać, że myśl o żarciu ściągnie cię do domu.

Tadrith parsknął.

- To, że ty masz obsesję na punkcie jedzenia, wcale nie znaczy, że ja też! Przyjmij do wiadomości, że właśnie zviałem z kolejnego straszliwie nudnego zebrania sekcji. Jedzenie było ostatnią rzeczą, o jakiej myślałem, pierwszą była ucieczka przed Aubrim!

Keenath zaśmiał się bezgłośnie, otwierając dziób, jego język pojawiał się i znikał, a boki drżały.

- Musiał być jakiś powód - drażnił. - Kto to był? Chodzi mi o tę piękną panienkę, o której naprawdę myślałeś. Czyżby Kylleen?

Tadrith nie miał zamiaru dać się złapać w pułapkę.

- Jeszcze się nie zdecydowałem - rzucił od niechcienia. - W końcu mam z czego wybierać i dość niemądre byłoby wyznaczanie stawki od razu na początku wyścigu. Poza tym nie mogę urazić dam, pozbawiając je mojego towarzystwa. Grzeczność wymaga, abym udzielał się tak bardzo, jak tylko mogę.

Keenath wyciągnął szpon i złapał poduszkę, obrócił ją dwa razy i wstał, z wprawą rzucając ją w głowę brata. Tadrith uchylił się, a poduszka przeleciała przez pokój i uderzyła w ścianę.

- Powinieneś uważać - ostrzegł bliźniaka, padając na podłogę. - Zbyt wiele poduszek straciliśmy, bo przeleciały przez klif. Czego się uczyłeś,

że tak ciężko dyszysz?

- Pierwszej pomocy i ratunku na polu bitwy, a szczególnie tamowania krwotoków i opatrywania ran - odparł Keenath. - Dlaczego? Nie pytaj mnie; wojny skończyły się na długo przed naszym urodzeniem. Pomyśl Zimowej Łani. Pewnie dlatego, że jestem podobny do matki.

Tadrith przytaknął; Keenath wielkością i budową przypominał ich matkę, Zhaneel. Jak ona był właściwie gryfsokołem, a nie gryfem. Był mały i lekki, umięśniony głównie na piersi i ramionach. Z ubarwienia i kształtu ciała przypominał sokoła wędrownego, miał długie i wąskie skrzydła, a co najważniejsze, odziedziczył po Zhaneel zwinne, zredukowane szpony przypominające dłonie.

Było to ważne, bo Keenath uczył się zawodu trondi'irn u samej Zimowej Łani i potrzebował "dłoni" równie sprawnych jak ludzkie. Zanim skończy się termin, pozna wszystkie sztuczki nieobdarzonych uzdrowicieli. Różnicą między nim a uzdrowicielem specjalizującym się w ranach od noża, ziołach czy oparzeniach był fakt, że Keenath skupił się na potrzebach i fizjologii gryfów i innych nieludzi.

Zhaneel wyszkolono na wojownika, a inni zbyt późno zorientowali się, że jej niski wzrost i brak szponów może służyć innym celom, i nie nauczono jej drugiego fachu. Wtedy już wiedziała, jak przystosować styl walki do swego ciała, zamiast naginać się do reguł stworzonych dla innych i z pomocą Skandranona wykorzystwała sytuację, osiągając wspaniałe rezultaty. Ale gdy tylko się okazało, że Keenath wdał się w nią, zachęcono go do wyboru innej drogi życiowej niż wstąpienie do Srebrzystych.

Ale i tak zaskoczył wszystkich, gdy ogłosił, że chce przejść szkolenie na trondi'irn. Do tego czasu to zajęcie było zarezerwowane dla ludzi i hertasi.

Tadrith przeciągnął się i ziewnął, obracając głowę tak, aby lekka bryza pieściła pióra na jego grzebieniu.

- Przynajmniej coś robisz! - narzekał. - Ja tam siedziałem tak długo, aż myślałem, że mój tyłek zmieni się w kamień, a jeśli jakaś część mego ciała ma dziś zeszywnieć, to wolałbym jednak inną. Nawet nie mogłem się zdrzemnąć, bo jak zwykle stary Aubri posadził mnie na samym przodzie. Trzeba podtrzymywać tradycję Czarnego Gryfa, rzecz jasna; trzeba udawać, że każde zebranie sekcji jest równie ważne jak narada wojenna. Zachowywać się tak, jakby każdy szczegół dotyczył życia lub śmierci. - Znów się przeciągnął, zadowolony, że zawsze może

opowiedzieć bratu o swej frustracji. - Powinieneś się cieszyć, że wyglądasz tak, jak wyglądasz, Keeth. Bycie synem Skandranona to wystarczająca klątwa, a fakt, że wyglądam jak on, wcale nie ułatwia mi życia! Spróbuj czasami dorównać legendzie! To sprawia, że masz ochotę gryźć!

I aby pokazać siłę swego gniewu, złapał biedną, sponiewieraną poduszkę, którą rzucił w niego Keenath, i potargał ją z wściekłością. Dobrze, że pokryli poduszki grubym lnem, bo niemało się nad nimi zęc cali.

- Cóż, jeśli myślisz, że dorównanie legendzie jest trudne, spróbuj się jej przeciwstawić! - odparł, jak zwykle, Keenath. Zamruczał i poszedł w ślady bliźniaka, wyciągając się na podłodze. - Pół dnia zastanawiam się, czy Zimowa Łania daje mi taki wycisk, bo spodziewa się, że się załamie, a przez następne pół jestem przekonany, że robi to, bo wszyscy wiedzą, że Skandranon nigdy nie zawiódł.

Tadrith parsknął i zamachał tylnymi nogami, jakby zakopywał wstętnie pozostałości poprzedniego posiłku.

- Nigdy nie pozwolił odkryć, ile razy zawiódł, a dla twórców legend to jedno i to samo.

Brat współczująco zamruczał i ciągnął:

- A jeśli nie Zimowa Łania to wszyscy inni się gapią, chcąc ujrzeć, czy magia starego Czarnego Gryfa żyje w Keenacie wystarczająco silnie, aby szczeniak mógł dokonać kolejnego cudu. - Otworzył dziób, śmiejąc się szyderczo. - Ty przynajmniej wiesz, jaką drogą pójść: ja lecę we mgle na nieznanym niebie i nie mam pojęcia, czy nie roztrzaskam się o skałę.

Oczywiście, Tadrith miał spory zapas przygotowanych wcześniej odpowiedzi, udowadniających, jak trudno jest podążać śladem Czarnego Gryfa. Była to stara seria narzekań, które oboje znali na pamięć i z radością cytowali.

Komu mogę się wyżalić, jeśli nie bliźniakowi? I choć byli zupełnie niepodobni z wyglądu i charakteru, łączyła ich więź braterstwa i znali się tak, jak tylko bliźniacy potrafią. Wśród gryfów były inne pary bliźniąt oraz jedna lub dwie wśród ludzi i wszyscy się zgadzali: więź między nimi nie przypominała innych związków między rodzeństwem. Tadrith często myślał, że nie poradziłby sobie z presją, gdyby Keenatha nie było w pobliżu, a Keenath mówił to samo o bracie.

W końcu wyciągnęli z tej litanii skarg jeden wniosek, taki mianowi-

cie, że nie ma żadnego wniosku. Wylewali żale co najmniej raz dziennie, dawno już bowiem zdecydowali, że skoro nie mogą zmienić okoliczności, przynajmniej mogą sobie na nie ponarzekać.

- Kto tym razem nadepnał ci na odcisk? - zapytał Keenath. - Przecież chodzi nie tylko o zebranie.

Tadrith przewrócił się na plecy, wystawiając brzuch na chłodną bryzę.

- Czasami myślę, że zrobię coś strasznego, jeśli Klingi i mnie szybko nie przydziela! - odparł niezadowolony. - Na co czekają? Zapracowaliśmy już na wolność!

- Być może czekają, żebyś okazał trochę cierpliwości, pierzasty - odparł Keenath i zrobił szybki unik, kiedy poduszka pomknęła z powrotem ku niemu.

Być może w jej ślady podążyłyby i inne, gdyby Srebrna Klinga we własnej osobie, partnerka Tadritha, nie wybrała tego momentu, aby pojawić się w drzwiach.

Stała w progu, nieświadomie pozując, a słońce oświetlało jej czarną sylwetkę na tle jaśniejącego nieba. Tadrith wiedział, że poza nie była zamierzona: Klinga nie robiła niczego, aby ściągnąć na siebie uwagę, dopóki nie było to absolutnie konieczne. Gryfy znały ją jako Klingę, ale w dzieciństwie wołano na nią inaczej; była Wietrzną Pieśnią, nazwaną tak przez kochających rodziców bez wątpienia w nadziei, że gdy dorośnie, będzie przypominać jedno z nich. Wietrzna Pieśń było idealnym imieniem dla trondi'irn albo nawet kestra'chern czy też maga lub uzdrowiciela Kaled'a'in. Ale Wietrznej Pieśni nie pociągał żaden z tych zawodów.

Młoda kobieta, która poruszyła się i weszła do gniazda bezdźwięcznym krokiem myśliwego, była niska jak na członka plemienia Kaled'a'in, ale jej pochodzenie od razu rzucało się w oczy. Krótkie czarne włosy, obcięte tak, że przypominała agresywnego drapieżnego ptaka, otaczały twarz, która mogła zdobić tylko kogoś z klanu k'Leshya, a garbaty nos podkreślał podobieństwo do sokoła, podobnie jak złocista skóra i lśniące błękitne oczy. Nie miała w sobie nic z matki i bardzo mało z ojca.

Pasowała jednak doskonale do tych członków klanu k'Leshya, którzy wywodzili się od wojowników. Mimo niskiego wzrostu stworzono ją na ich podobieństwo. Nic nie sugerowało miękkości czy ustępliwości: w każdym calu była mocną, wytrzymałą wojowniczką, jakby zrobioną z

mięśni i rzemienia.

Tadrith przypomniał sobie pierwszy raz, kiedy zobaczył ją w tej pozie. Dzień, w którym pokazała swą prawdziwą osobowość, miesiąc po swych dwunastych urodzinach, miesiąc, podczas którego przekształciła się z żywego, ale przeciętnego dziecka w surową i nieoszlifowaną wersję osoby, jaką była teraz. Bursztynowy Żuraw wyprawiał jakieś przyjęcie, na które przyszły też dzieci i oczywiście byli wśród nich Tadrith i Keenath. Zimowa Łania podczas posiłku zwróciła się do córki imieniem Wietrzna Pieśń, a dziewczynka niespodziewanie wstała i oznajmiła zebrany mocnym i przenikliwym głosem, że nie będzie już odpowiadać na to imię.

- Będę Srebrzystą - rzekła głośno i z absolutnym przekonaniem. - I chcę być odtąd zwana Srebrną Klingą.

Po czym usiadła, zarumieniona, ale dumna, wśród zaskoczonych i poruszonych do żywego gości. Był to gest dramatyczny nawet dla kogoś tak otwartego jak Tadrith; ktoś tak skryty jak Klinga musiał włożyć w niego mnóstwo woli - albo wyznać prawdę, jak wierzyli k'Leshya. Siła woli pokona wszystkie przeszkody, głosiły księgi i wierzenia, jeśli motywy są szlachetne.

Nic, co robili i mówili jej rodzice, nie nakłoniło jej do zmiany zdania - nie żeby Bursztynowy Żuraw czy Zimowa Łania byli tak samolubni, aby pokrzyżować jej plany. Od tamtego dnia nie reagowała na żadne imię prócz Srebrnej Klingi czy w skrócie Klingi, a teraz nawet rodzice tak się do zwracali niej.

Na pewno lepiej do niej pasuje niż Wietrzna Pieśń. Trzyma ton tak, jak ja kamień!

- Keeth! Słyszałam, że nie zabiłeś dziś zbyt wielu pacjentów, gratuluję! - powiedziała, wpraszając się do pokoju i siadając na jednej z ocalałych poduszek.

- Dzięki - rzucił sucho Keenath. - Nie krępuj się, wejdź.

Zignorowała ten sarkazm.

- Mam dobre wieści, ptaku - powiedziała, odwracając się do Tadritha i uśmiechając szeroko, gdy się przetoczył na brzuch. - Uważałam, że to nie może czekać, a poza tym chciałam ci sama powiedzieć.

- Wieści? - Tadrith usiadł. - Jakie wieści? - Tylko jedna go naprawdę interesowała i tylko tę jedną Klinga mogła przekazać mu osobiście.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Powinieneś być zostać po zebraniu; był powód, dla którego Aubri

posadził cię z przodu. Gdybyś był w połowie tak pilny, jak udajesz, już byś o tym wiedział. - Zamrugła złośliwie. - Mam ochotę trochę to przeciągnąć, żebyś zaczął się wić.

- Co?! - wrzasnął, skacząc na równe łapy. - Mów! Mów w tej chwili! Albo cię... - zamilkł, nie mogąc wymyślić żadnej pogroźki i tylko rozdziawił dziób.

Śmiała się, widząc, jaki był podniecony.

- Cóż, wygląda na to, że wybuchniesz, jeśli nie powiem: mamy to, czego pragnęliśmy. Dostaliśmy pierwsze samodzielne zadanie i to dobre.

Tylko niski sufit powstrzymał go od wzbicia się w powietrze z radości, ale i tak podskoczył wystarczająco wysoko, aby dotknąć go grzebieniem i skrzydłami.

- Kiedy? Gdzie? Kiedy zacznie się akcja? - Szurał pazurami, walił wokół ogonem, niemal tańcząc w miejscu.

Śmiała się z jego reakcji, a potem nakazała usiąść.

- Tak szybko, jak ty i ja zechcemy, ptaku. Ruszamy za sześć dni na sześć miesięcy. Mamy objąć Piąty Posterunek.

Jego radość nie znała granic.

- Piąty? Serio? - zapiszczał cienko jak pisklę i zupełnie się tym nie przejął. - Piąty?

Piąty Posterunek był najdalej wysuniętą placówką na całym terytorium uznanym za własność przez Kaled'a'in i ich sprzymierzeńców Haighlei. Kiedy ci szczególnie uchodźcy dotarli tutaj, uciekając przed ostatecznym kataklizmem, kończącym wojnę Maga Ciszy z Ma'arem podbijającym kontynent, nie wiedzieli, że teren, na którym założyli nowy dom, należał już do kogoś. Nie mieli pojęcia, że wchodził w skład ziem rządzonych przez jednego z Cesarzy Haighlei (których Kaled'a'in znali jako Czarnych Królów), króla Shalamana. Ledwo uniknięto starcia z nimi dzięki wysiłkom Bursztynowego Żurawia i Skandranona, ojców Klingi i Tadritha. Teraz Biały Gryf zawiadywał ziemiami wspólnie z cesarzem, a na mieszkańców spadł obowiązek strzeżenia granicy w zamian za nadanie im terenu, na którym leżało miasto.

Granica ciągnęła się setkami lig w dzikiej puszczy, której cesarz nie był w stanie strzec; sądził, że puszcza sama będzie się bronić. Zadanie wcale nie było tak trudne, jak się zdawało; gdy gryfy latały na patrol, doglądały olbrzymich obszarów prawie bez trudu. Piąty Posterunek był ze wszystkich strażnic najbardziej odległy i odizolowany. Z tego

powodu Srebrzyści uważali go za mało pożądaną przydział.

Większość Srebrzystych, ale nie Klinga i Tadrith. Przydział oznaczał trzy całe miesiące w miejscu tak odległym od Białego Gryfa, że nie dojdzie do miasta ani słowo, chyba że wyślą je przez teleson. Nie będzie dookoła czujnych oczu, śledzących, czy potrafi dorównać legendarnemu ojcu. Nie będzie języków mielących bez przerwy o jego wyczynach, prawdziwych czy nie.

Oczywiście, przez trzy miesiące nie będzie też wspaniałych gryfic, ale cena nie była wygórowana. Trzy miesiące wstrzemięźliwości dobrze mu zrobią; przynajmniej odpocznie. Będzie mógł spędzić czas na wymyślaniu nowych, inteligentnych powiedzonek i zagrywek, którymi oczaruje gryfice. Cały ten czas będzie udoskonalał swój czar. Kiedy wróci jako weteran z granicy, powinien oczarować każdą.

Pobyty na posterunkach trwał tak długo głównie dlatego, że bardzo trudno było przetransportować ludzi na miejsce. Chociaż teraz magia działała przyzwoicie, i to od kilku lat, nikt nie chciał jeszcze powierzać swego ciała Bramie. Zbyt wiele rzeczy mogło się nie powieść nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, kiedy to stawiano je tylko po to, aby transportować potrzebne przedmioty. Jedzenie, poczta i specjalne życzenia docierały w ten sposób na posterunki; mag z Białego Gryfa, znający teren, stawiał Bramę. Robotnicy szybko wrzucali w nią paczki, a mag zamykał ją najszybciej jak mógł.

Nikt nie chce otwierać Bram na długo. Nigdy nie wiesz, co może się nie udać albo co może przez nią przeleźć.

- Wiesz oczywiście, że między domem a Piątym rozciąga się olbrzymi nie zamieszkały i nie strzeżony teren - ciągnęła Klinga marząco. - Będziemy zdani wyłącznie na siebie od wyjazdu do powrotu.

- Nie będzie żadnych pięknych gryfic ani ogierów w ludzkiej skórze dla umilenia wygnania? - jęknął Keenath i aż się wstrząsnął. - Nie szkodzi. W przypadku dam mogę zagwarantować, że nie zauważą twojej nieobecności, bliźniaku.

- Raczej będą krzyknąć z bólu, kiedy poznają twoją kiepską technikę, Keeth - odparł Tadrith i wrócił do Klingi. - Wiesz, że to oznacza, iż mają wielkie zaufanie do naszych umiejętności, prawda? Chodzi mi o to, że pierwsze zadania to zwykle...

- Strzeżenie pól, wiem. - rzuciła. - Pewnie dlatego trzymali nas na szarym końcu, trenując i przetrenowując. Chcieli mieć pewność, że jesteśmy gotowi i założę się, że wysyłają nas dlatego, że tylko my na-

prawdę chcemy tam jechać. Szczerze mówiąc, założę się o ulubiony naramiennik, że Aubri ze wszystkich sił chce nas wysłać na oddalony posterunek!

Uśmiechnęli się do siebie z radością, ponieważ przydział wiązał się z jeszcze jedną rzeczą, której oczekiwali. Od posterunkowych wymagano dokonywania odkryć i od czasu do czasu znajdowali oni coś wartościowego. Cesarz Shalaman dostawał swój udział, podobnie jak skarbiec Białego Gryfa, ale większość znaleziska przypadła wspomnianym wyżej odkrywcom. Nie żeby Tadrith był chciwy, ale żywił szczególne upodobanie do ozdób, głośno wyrażał swą chęć korzystania z życia i znalezienie czegoś szczególnie cennego pozwoliłoby mu na odanie się przyjemnościom. Posiadanie klejnotów na pewno ośmieliłoby gryfice i zachęciło je do bliższych kontaktów.

- Jak daleko posunęło się tam odkrywanie? - zapytał.

Oczy Klingi rozszerzyły się.

- Nie za daleko - odparła. - A można odkrywać na inne sposoby, niż przelatywanie nad koronami drzew w nadziei, że coś się pojawi na ziemi.

Przytaknął, śledząc jej myśli. Prawdopodobnie większość Srebrzystych przydzielonych dotychczas do pracy na Piątym Posterunku była gryfami; miało to sens, choć prawdopodobnie strasznie je osłabiało, kiedy nie pomagali im ludzie i hertasi. Człowiek mógł odbyć szczegółowy rekonesans na danym terenie, badając zwierzęta i rośliny tam żyjące oraz pobierając próbki minerałów. Do tego gryf się nie nadawał oraz, szczerze mówiąc, nie miał na to ochoty.

- Od lat nie było kłopotów w tamtym sektorze - prowokowała Kinga. - Będziemy mieć dużo czasu na badania.

- A co najważniejsze, będziecie sami - powiedział Keenath z zawiścią.

- Szkoda, że ja nie mogę się wyrwać na kilka miesięcy.

Klinga poklepała go współczująco po ramieniu.

- I pozbawić się pochlebstw, którymi w każdej wolnej chwili obdarzają cię trondi'irn, hertasi i kestra'chern? Straszne! Mógłbyś poprosić o przyjęcie do Srebrzystych, gdy już skończysz szkolenie u Zimowej Łani - zasugerowała. - A potem dostaniesz zadanie gdzie indziej. Może w ambasadzie w Khimbacie; mógłbyś się tam udać jako trondi'irn zajmujący się gryfią strażą cesarza.

Oczy Keenatha rozblęły, gdy to usłyszał. Tadrith wiedział, co czuł brat. On dla szansy wyrwania się z Białego Gryfa przystałby prawie na

wszystko.

Problem polegał na tym, że Skandranon prędzej czy później dowiadywał się o dosłownie wszystkim, co syn zrobił czy powiedział. Nie żeby Skan celowo szpiegował swych synów albo nawet otwarcie ich doglądał...

No, w każdym razie nie bardzo. I nie otwarcie.

...tylko każdy mówił Czarnemu Gryfowi o wszystkim, co działo się w tym mieście. Mysz nie mogła kichnąć, żeby Skandranon się o tym w końcu nie dowiedział.

My też nie - tyle tylko, że kiedy my kichamy, ktoś gna do ojca z wiadomością. A oprócz tego złoży mu raport, w którym wyszczególni kiedy, gdzie i jak głośno kichnęliśmy.

Nie było to plotkowanie, bo ludzie starali się powtarzać Skandrano-nowi jak najpochlebniejsze opinie. Skan był bardzo dumny ze swych synów.

Nigdy nie ma dosyć słuchania, jakie to wspaniałe rzeczy robimy Keeth i ja, szczególnie teraz, kiedy nie mieszkamy w rodzinnym gnieździe i nie może nas zmusić do meldowania o naszych poczynaniach. Problem polega na tym, że jest w stanie najmniejsze osiągnięcie rozdmuchać do rozmiarów wspaniałej strategii wojennej czy aktu heroizmu.

Było to co najmniej zawstydzające.

I oczywiście każdy, kto chciał się podliznąć Czarnemu Gryfowi, wiedział, że najkrótszą drogą do jego serca było wychwalanie synów. Skan zmieniłby swój rozkład zajęć, aby dopilnować, czy pochlebca został wysłuchany, a jego sprawa odpowiednio rozpatrzona. Tylko tyle mógł zrobić, ale często to wystarczało.

Keeth nadal wyglądał na zranionego i trochę zazdrosnego, więc Tadrith współczująco potarł mu jego krótkie pędzelki na uszach.

- Szkoda, że nie można cię odesłać z miasta na szkolenie trondi'irn, bliźniaku - zamruczał.

Keenath westchnął.

- Ja też żałuję. Kiedy wszyscy wybieraliśmy przedmiot, który chcieliśmy studiować, próbowałem wymyślić jakąś dyscyplinę, która będzie mnie zadowalać i jednocześnie zagwarantuje mi wyjazd z miasta, ale nie potrafiłem niczego wymyślić. Wiem, że w tym, co robię, będę kiedyś dobry, bo to mi odpowiada, ale oznacza to również, że utknąłem w mieście.

Klinga miała równie współczujący wyraz twarzy jak Tadrith.

- Pamiętaj, Keeth - powiedział gryf do bliźniaka. - Możesz kontynuować to, co robisz i zapracujesz na to, aby uważano cię za wyjątkowego fachowca. Tworzysz własną definicję trondi'irn. Nie musisz stać i rumienić się po uszy z zakłopotania, kiedy podchodzi do ciebie ktoś zachowujący się tak, jakby zaliczenie toru przeszkód było równoznaczne z wykradzeniem jednej z magicznych broni Ma'ara.

Keenath potarł pióra na karku i trzasnął dziobem.

- W pewnym stopniu to prawda, ale jest inny szkopuł. Ojciec mnie zupełnie nie rozumie. Nie mamy ze sobą absolutnie nic wspólnego. Kiedy opowiadam o tym, co robię, przybiera dziwny wyraz twarzy, jakbym mówił w obcym języku. - Zaśmiał się słabo. - Podejrzewam, że rzeczywiście tak jest. Cóż, w końcu doczekam się swojej szansy.

- Doczekasz się - obiecała Klinga, ale nie miała zamiaru wstać. - Będę musiała zanieść wiadomość moim rodzicom, zakładając, że jeszcze nie wiedzą, co jest bardzo prawdopodobne. Tad, pomyśl lepiej, co powiesz swoim.

- Dowiedzą się - odparł zrezygnowany Tadrith. - Ojciec pewnie już opowiada każdemu, kto w jego mniemaniu chce słuchać, że jeszcze nigdy nikogo tak młodego jak ja nie wysłano tak daleko na pierwsze zadanie.

Klinga zaśmiała się gorzko.

- Pewnie masz rację. Mój chyba robi to samo, tylko...

Nie skończyła zdania, a Tadrith znał ją na tyle dobrze, aby jej do tego nie zmuszać. Każde z nich miało własne problemy, których rozmowa nie mogła rozwiązać.

Tylko czas.

Taką miał nadzieję.

Srebrna Klinga przysiadła na piętach, kiedy bracia zaczęli się kłócić, co Tadrith powinien spakować. Nie za bardzo spieszyła się do domu; ponieważ nadal mieszkała z rodzicami, nie miała nawet iluzji prywatności, jaką zapewniało własne gniazdo. W chwili, gdy przekroczy próg, zaczną się pytania i gratulacje, podszyte ledwie skrywanym niepokojem, a w tej chwili nie miała siły, by stawić im czoło.

Wdychała zapach soli i skały nagrzanej słońcem, przymykając oczy. *Uwielbiam to miejsce. Jedyne sąsiadami są inne gryfy, na tyle ciche, aby fale zagłuszały wydawane przez nie dźwięki. Jest cudowne, bo nie ma w pobliżu ludzi, tylko tervardi, gryfy i kilka kyree.*

Jakże zazdrościła Tadowi wolności! Naprawdę nie miał pojęcia, jak łatwo było sobie radzić ze Skanem-rodzicem. Czarny Gryf posiadał silne, choć instynktowne i nie zawsze działające wyczucie, kiedy powinien zamknąć dziób i pozwolić Tadowi działać po swojemu. Próbował też powstrzymać swój entuzjazm dla osiągnięć bliźniaków, choć było to dla niego trudne. Ale przynajmniej okazywał aprobatę; Bursztynowy Żuraw nigdy nie był szczęśliwy, że jego córka wybrała taką drogę życiową i chociaż starał się, aby dezaprobata nie wpływała na ich związek, i tak ją czasami okazywał. Jakżeby inaczej?

Być może "dezaprobata" była za mocnym słowem. Bursztynowy Żuraw rozumiał wojowników; pracował z nimi przez większość życia. Głęboko ich szanował. Lubił ich i nawet rozumiał motywy, które kierowały ich czynami.

Nie rozumiał po prostu, dlaczego dziecko jego i Zimowej Łani chciało zostać wojownikiem. *Nie może pojąć, jak on i mama mogli zmaistrować kogoś takiego jak ja. Według wszelkiego prawdopodobieństwa po tym, czego mnie nauczyle, nie powinnam nawet myśleć o takim życiu.*

Tej przepaści pewnie nigdy nie zasypia, a Klinga jeszcze nie wymyśliła wyjaśnienia, które pomogłoby ojcu rozwiązać tę łamigłówkę.

- Klinga, pobawisz się w sekretarkę i zapiszesz mi tę listę? - poprosił Tadrith, przerywając tok jej myśli. - Inaczej mogę zapomnieć coś ważnego.

- Nawet jeśli tak by się stało, zawsze mogą nam to przesłać Bramą - powiedziała i zaśmiała się, kiedy opuścił pędzelki na uszach.

- Byłoby to tak upokarzające, że wolałbym się obejść bez najpotrzebniejszych rzeczy! - wykrzyknął. - Wypominaliby mi to do śmierci! Proszę, weź ołówek i papier z pudełka i pomóż mi, dobrze?

- A po cóż są partnerzy gryfów, jeśli nie do wykonywania papierkowej roboty? - odparła, wstając i idąc przez pokój do sekretarzyka, w którym mieściły się różności, uważane przez bliźniaków za użyteczne, każda na swoim miejscu. Sekretarzyk, wyrzeźbiony z pachnącego drewna zwanego przez Haighlei sadar, pełen był szufladek wypełnionych różnymi przydatnymi rzeczami. Między nimi leżało pudełko miękkich srebrnych ołówków i blok twardego papirusu, wyprodukowane przez Haighlei. Wyjęła je i wróciła na swe miejsce u boku Tadritha. Oparła się o jego ciepły szeroki bok, używając kolan jako prowizorycznego biurka.

Czekała cierpliwie, gdy bliźniaki spierały się o każdy przedmiot, który

miał być umieszczony na liście. Tylko raz w czasie sprzeczki wtrąciła się, gdy Keenath nalegał, aby Tadrith zabrał ze sobą specjalną apteczkę, a Tad protestował ze wszystkich sił.

Poklepała go po ramieniu, by umilkł.

- Kto tu jest trondi'irn? - zapytała. - Ty czy Keeth?

Tadrith gwałtownie obrócił głowę, jakby zapomniał ojej obecności.

- Uważasz, że skoro on jest ekspertem, powinienem go słuchać?

- Oczywiście - odparła sucho. - Po co pytać go o zdanie, skoro i tak go nie posłuchasz, choć wiesz, że jest autorytetem w tych sprawach.

- Ale prawdopodobieństwo, że będziemy potrzebować zestawu do nastawiania kości, jest nieskończenie małe! - zaprotestował. - A ile to waży! Wiesz, że ja będę to wszystko niósł!

- Ale jeśli będziemy potrzebować tej apteczki, nie zastąpimy jej wartości niczym innym - przypomniała. - Nie wiemy na pewno, czy na posterunku znajduje się ten zestaw, a wołałabym się nie przekonać, że poprzednie zespoły też były tak święcie przekonane o swej nietykalności jak ty. - Keenath nadał się, dumnie preżąc pierś, kiedy, głucha na prośby Tadritha, wpisała apteczkę na listę. - Będę nalegać. A jeśli nie znajdzie się w koszyku, kiedy wyruszymy, poślę po nią. Może się zdarzyć, że będziemy jej potrzebować, a nie będziemy mogli poprosić, aby nam ją przerzucili Bramą.

Tad złożył uszy, pokonany, patrząc na dwie nieprzejednane twarze.

- Wygraliście. Nie mogę się spierać z obojgiem.

Gryfy nie mogą się uśmiechać jak ludzie, ale na tyle kontrolują mięśnie przy dziobie i dolną szczękę, że prawie im się to udaje. Więcej niż cień uśmiechu przemknął po twarzy Keetha, kiedy przeszli do następnego punktu. Jednym z powodów, dla których Klinga czuła się tak dobrze wśród Srebrzystych, a gryfów w szczególności, był fakt, że ich pobudki i myśli były względnie proste i łatwe do odgadnięcia. Zwłaszcza dlatego, że kiepsko kłamały. Gryfy były zbyt impulsywnie, aby kogoś zwodzić, tym bardziej, że język ich ciała był bardzo wymowny, wystarczyło tylko obserwować ułożenie piór na twarzach i kąt pochylenia uszu. Choć skomplikowane i uparte, gryfy były też dokładnie takie, jakie się wydawały. Kestra'chern, a szczególnie jej ojciec - Bursztynowy Żuraw, stanowili ich całkowite przeciwieństwo.

Praca uzdrowicieli w pewnym stopniu wiązała się z manipulacją pacjentem. W ich zajęciu chodziło o to, by sprawić, aby pacjent poczuł się lepiej, osiągnął równowagę psychiczną dzięki lepszemu zrozumie-

niu siebie samego. Ale pomysł manipulowania kimkolwiek z jakiegokolwiek powodu wcale się jej nie podobał, niezależnie od tego, jak czyste były motywy czy chwalebny efekt.

Och, wiem, że życie nie jest czarno-białe, ale...

Ech, ze Srebrzystymi żyło się prościej. Rozwiązania zazwyczaj były czarne lub białe: kiedy miałeś tylko chwilę na podjęcie decyzji, musiały maksymalnie uprościć całą sytuację. Subtelności, jak często mawiała Judeth, zostawiamy na czas wolny.

Zanotowała kolejny punkt i pozwoliła myślom odpłynąć.

Nie mogę się doczekać chwili, gdy będziemy daleko stąd. Szkoda, że nie możemy wyjechać, nie rozmawiając z moimi rodzicami.

Kiedy już wyjadą z Białego Gryfa, po raz pierwszy od lat będzie mogła się rozluźnić. Czuła, że za jej niepokój był pośrednio odpowiedzialny jej ojciec.

Wie za dużo, w tym sęk. Kiedy była dzieckiem, oczywistością zdawało się, że Bursztynowy Żuraw znał wszystkie ważne osoby w Białym Gryfie. Nie znajdowała żadnego powodu, dla którego nie miałby ich znać. Ale kiedy stopniowo pojmowała, czego tak naprawdę wymagało zajęcie jej ojca, zaczęła mglście rozumieć, że wiedza, jaką posiadał Bursztynowy Żuraw, była bardzo rozległa.

W końcu pewnego dnia kawałki układanki złożyły się w całość. Olśniło ją, że pozycja jej ojca jako kestra'chern dawała mu olbrzymią władzę.

Jej ojciec nie tylko był wśród wszystkich ważnych ludzi, wiedział też o nich wszystko: znał każde pragnienie, każde marzenie i wahanie. Szczegóły, których, była przekonana, nikt nigdy nie powinien poznać. Takie sekrety dawały temu, kto je poznał, zbyt dużą władzę nad drugim człowiekiem, a to pociągało za sobą niewyobrażalną odpowiedzialność.

Nie żeby ojciec kiedykolwiek użył tej władzy...

A może? Gdyby miał szansę manipulować kimś w sprawie, którą uznał za słuszną, czy oparłby się pokusie? A czy strach, że takie sekrety mogą zostać wyjawione innym, nie spowodowałby, że prawie każdy zgodziłby się spełnić żądania Bursztynowego Żurawia?

Nigdy w życiu nie zauważyła, aby Bursztynowy Żuraw uległ pokusie użycia swej ukrytej władzy, ale był jej ojcem i wiedziała, że nie jest obiektywna w ocenie. A poza tym nie była pewna, czego szukać, gdyby chciała sprawdzić, czy nie nadużywał swej władzy.

Och, to nieprawdopodobne. Ojciec nigdy by nikogo nie skrzywdził, chociażby dlatego, że jest empatą i odebrałby uczucia tej osoby.

Wiedziała o tym; sama była po części empatką, choć niczego nie odczuwała, jeśli nie dotykała drugiej osoby.

Był to jeden z powodów, dla których Bursztynowego Żurawia tak zaskoczyła jej chęć zostania Srebrzystą. Jak empatką mogła wybrać zawód, który wymagał ranienia, a nawet zabijania innych?

Latwo. Muszę zapobiec, aby ci ludzie nie zranili ani nie zabili innych.

Nigdy tego nie zaakceptował, podobnie jak faktu, że nie chciała używać swych zdolności empatycznych.

Otrząsnęła się na samą myśl.

Zna każdy obrzydliwy sekret, każdy ukryty lęk, każdą głęboką potrzebę, każdą tęsknotę i żądzę każdego klienta, z którym się kiedykolwiek zetknął. Jak mu się udaje z tym żyć i nie oszaleć, nie mam pojęcia. A poza tym on chce poznać te sprawy... Nigdy nie mogłabym tego uczynić, nigdy. Cała się jeżę na samą myśl. Nie chcę znać nikogo tak blisko. Przypominałoby to zdzieranie naskórka, sobie lub komuś innemu.

Kochała swego ojca i swoją matkę, wiedziała, że są cudownymi, godnymi podziwu ludźmi, ale czasami czuła obrzydzenie do tego, co robili. Jako Srebrzystą musiała tylko zapobiegać bójkom, od czasu do czasu połamać kilka kości i używać siły, gdy słowa nie działały. To było tylko ciało, a nawet posiniaczone i krwawiące ciało się goiło: nie było to tak poważne jak badanie czyjegoś serca.

Od momentu, kiedy pojęła, kim i czym był jej ojciec, żyła w strachu, że ludzie myślą, iż jest taka jak on - że chciała być taka jak on. Najbardziej przerażało ją, iż uważali za oczywiste, że radośnie ich wysłucha, kiedy obnażą przed nią duszę...

Bogowie. Nie. Wszystko, tylko nie to.

Przez jakiś czas, dopóki uzdrowiciele nie pokazali jej, jak kontrolować zdolności empatyczne, bała się nawet dotykać innych, nie chcąc dowiedzieć się więcej, niż zamierzała. Nawet kiedy już nauczyła się blokować niepożądane informacje, miała bzika na punkcie swej prywatności.

Przynajmniej takiej, jaką mogę zyskać, ciągle mieszkając z rodzicami.

Na ile mogła, zatrzymywała myśli tylko dla siebie; nigdy nie zwierzała się z rzeczą, które uważała za bardzo osobiste. Nawet ze spraw dotyczących miłości i pożądania.

Szczególnie ze spraw dotyczących miłości i pożądania.

Teraz zastanawiała się, czy rodzice przypadkiem nie podejrzewali, że ktoś zamienił im dziecko w kołysce. Oto dwoje ludzi, którzy wiedzieli absolutnie wszystko o fizycznej stronie miłości, a ich córka zdawała się tak aseksualna jak mniszka.

Postanowiła, że jej matka ani ojciec nigdy nie będą mieli okazji do najłżejszych nawet podejrzeń, że ich córka mogłaby się interesować związkiem z kimkolwiek. Niestety, ich nie zaskoczyłby żaden możliwy związek, w jaki mogłaby się zaangażować. Szczerze mówiąc, zbyt ochoczo sugerowali partnerów i z prawdziwą radością służyliby całą masą rad dotyczących podejścia i techniki, gdyby tylko zadała jedno pytanie!

A Klinga rumieniła się na samą myśl o tym, jakie byłyby te rady! Zachodził tu przypadek nadmiaru informacji.

Dlaczego nie mogą być jak inni rodzice? - pomyślała buntowniczo. Dlaczego nie mogą być zaskoczeni, że już nie jestem niewinną małą dziewczynką, przerażeni myślą, że pewnego dnia pójdę z kimś do łóżka, nie próbują strzec mojej cnoty, jakby była kopalniami złota króla Shalamana? O ile łatwiej byłoby radzić sobie z takimi rodzicami!

Na własnej skórze przekonała się, że znacznie trudniej było znieść radosną współpracę, niż ostry sprzeciw.

To bardzo przypomina walkę wręcz, którą my, Srebrzyści, ćwiczymy - myślała sfrustrowana, zapisując kolejny punkt na liście Tadritha. Kiedy przeciwnik cię atakuje, jest wiele możliwości, aby mu się przeciwstawić. Możesz go zablokować, sparować cios, uciec czy użyć jego siły przeciw niemu. Kiedy atakuje, możesz wybierać, jak się bronić. Ale kiedy nic nie robi, kiedy porusza się wraz z tobą, jesteś bezsilny, nie zmienisz sytuacji.

Cóż za ironia, rozważać swe pozornie spokojne życie z rodzicami jako walkę wręcz.

Jedynym rozwiązaniem tej śmiesznej sytuacji była wyprowadzka z Białego Gryfa. Jak poradziła Keenathowi, dla Srebrzystych istniały możliwości w Cesarstwie Haighlei. Ambasadorowie Białego Gryfa potrzebowali niewielkiej gwardii przybocznej, aby zapewnić sobie odpowiednią prezencję na dworze Cesarza; gwardia składała się głównie z ludzi, ale zawsze służyły w niej co najmniej cztery gryfy i po dwa dyheli lub kyree. Tervardi woleli nie mieszkać w tak ciepłym klimacie, a hertasi doskonale się bawiły, udając służących i robiąc wywiad na

temat rzeczy, które inaczej nigdy nie dotarłyby do uszu ambasadora. Cesarz również miał dwa gryfy jako strażników, służących wraz z młodszymi synami innych królów Haighlei.

Mogłabym poprosić o przydział tam... Myślę, że samotność na posterunkach przypadnie mi do gustu, ale trzeba brać pod uwagę inne rzeczy.

Tad nie byłby w stanie znieść zadania za zadaniem w wyludnionej dżungli. Po jakimś czasie z pewnością oszalałby kompletnie. Był bardzo towarzyskim stworzeniem, a ich partnerstwo nie przetrwałoby długo, gdyby ona była jedyną osobą w okolicy, z którą można porozmawiać.

Nie wspominając, co by się z nim stało, gdyby w pobliżu nie było gryfic. Jemu się tylko wydaje, że w niczym nie przypomina ojca. Wśród pięknych latawiczek ma reputację równie dzikiego jak jego ojciec, jeśli nie bardziej. Lepiej dopilnuję, żeby się trochę wyspał, zanim wyruszymy.

Zachichotała, a Tad rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

A jeśli już o tym mowa, sama nie była czystą dziewicą, nietkniętą i nierozbudzoną. Równie dobrze ona mogła zwariować, żyjąc zbyt długo z dala od cywilizacji.

Rzeczywiście, po zbyt długim pobycie w dżungli pewne perwersje mogłyby mnie zainteresować. Napięcie robi swoje. Kiedy zorientuję się, że oglądam się za węzami i przytulam do gałęzi, będę wiedzieć, że za długo tam jestem. Chociaż to tylko jedna rzecz i łatwo ją zastąpić - znacznie trudniej znaleźć substytut dla troskliwego kochanka. A skoro mowa o komplikacjach, cóż, jest Ikala.

Westchnęła. Klindze zależało na Ikali i starała się ukryć go przed rodzicami, knując i zwodząc tak, że każdy szpieg byłby dumny.

Królowie Haighlei mający więcej niż jednego syna - a większość z nich, co roku zawierająca ceremonialne małżeństwa z kapłankami, miała wiele dzieci - wysyłali owych synów do innych królów, aby służyli tam jako gwardia przyboczna. Udaremniało to wypowiedzenie wojny czy skrytobójstwo, bo każdy król trzymał zakładników innego króla. Co więcej, każdy król miał możliwość zdobycia lojalności książąt, wysyłając swoje dzieci na sąsiednie dwory. Był to dobry system, a w podzielonej i surowej kulturze Haighlei spełniał swe zadanie.

Ikala był jednym z tych młodszych synów, dwudziestym w kolejce do tronu, ciągnącej się za plecami Księcia Koronnego Nububi. Ale zamiast wysłać go na inny dwór, wybrano go do służby w Białym Gryfie, aby

po wyszkoleniu przez Aubriego i Judeth służył w Srebrzystych.

Według standardów Kaled'a'in kultura Haighlei była dziwna. Każde działanie było ściśle określone przez protokół; każdy moment przypięczętowany zwyczajem. Haighlei żyli w najbardziej sztywnym społeczeństwie, o jakim Kaled'a'in kiedykolwiek słyszeli lub jakie widzieli; zmiana dozwolona była tylko wtedy, kiedy zarządził ją Cesarz i jego kapłani i tylko w czasie Ceremonii Zaćmienia...

Jak się tam cokolwiek w ogóle zmienia, pozostaje zagadką. Wszyscy byli zhierarchizowani, od bogów poczynając na najbiedniejszym żebraku kończąc, i nikt nie mógł opuścić swego wyznaczonego miejsca w tej hierarchii, prócz specjalnych okazji, w ściśle określonych momentach. I dlatego właśnie Ikała, syn króla, przebywał w Białym Gryfie.

Ikała nie może znieść przymusu swego ludu tak samo jak ja. Ikała odnalazł tu ukojenie, tak jak ona miała nadzieję znaleźć je na odludziu. Być może dlatego właśnie od początku do niego lgnęła. Oboje próbowali uciec od życia, jakie zaplanowali dla nich inni.

Ikała nie był tu jedynym Haighlei; wielu uciekło do Białego Gryfa przed nieznośną hieratycznością swej kultury. I choć nie było ich tak wielu, jak się Klinga spodziewała, byli głównie młodzi, bo starzy woleli poczekać na przyszłe wcielenie, aby poprawić swój los. Znacznie częściej przybywały kobiety niż mężczyźni, chociaż tak naprawdę nie było różnicy w sposobie, w jaki prawo i zwyczaje Haighlei traktowały obie płcie. Tym lepiej, bo w Białym Gryfie było więcej mężczyzn niż kobiet - przypadek, który Śnieżna Gwiazda i Cinnabar kładli na karb bardziej subtelnych niż magiczne burze następstw kataklizmu, który zniszczył Ka'venusho. Pewnie to stało się powodem, dla którego tak wiele kobiet Haighlei tu zjechało: najzwyczajniej w świecie polowały na męża!

Kaled'a'in znajdowali się bliżej epicentrum wybuchu niż ziemie Czarnych Królów i najbliżej w czasie najgorszych burz. Wiele innych subtelnych zmian zaszło w czasie ich wędrówki, mniej zauważalnych niż nadmiar niemowląt płci męskiej.

Wystarczy wspomnieć o zmianach, które wpłynęły na magów. Zabraliśmy ze sobą ponad połowę magów służących w armii Urtho. Nikt by się tego teraz nie domyślił.

Burze niezwykle utrudniały praktykowanie magii, bo siła zaklęć zmieniała się właściwie przy każdej nowej burzy. Ale kiedy już skończyła się ostatnia z nich, oczywistym się stało, że wpłynęły nie tylko

na magię, ale również na magów. Niektórzy, niegdyś potężni, utracili większość zdolności; jeden czy dwóch, którzy przed burzami potrafili ledwie rozpaścić ogień, teraz stało się mistrzami. U innych znów nastąpiły zmiany osobowości tak subtelne, że przez miesiące i lata nie można było ich dostrzec; ludzie ci dziwaczeli i odsuwali się od życia towarzyskiego, a w końcu pakowali swe rzeczy i samotnie odchodzili w puszcę. Jeden z nich, nim odszedł, sprawił, że wielu ludzi ucierpiało fizycznie oraz duchowo.

Nie był nim Hadanelith, chociaż ten też pozostawił po sobie sporo urazów psychicznych. Ale zakładano jednak, że Hadanelith nie został ukształtowany przez burze magiczne. Wszystkie dowody wskazywały na to, że zawsze był stuknięty i niebezpieczny.

O ile wiedzieli, tylko magów k'Leshya dotykały te zmiany.

Może nawet bezimienny brat Shalamana został zmieniony przez burze. Nigdy nie będziemy wiedzieć na pewno.

W każdym razie kiedy już liczba dziewczynek przychodzących na świat dorównała liczbie chłopców, przyszłe pokolenie nie będzie miało trudności w kojarzeniu małżeństw. Problemy obecnego rozwiązało dopiero przybycie ciekawskich kobiet Haighlei!

Ikala intrygował Klingę również dlatego, że tak bardzo różnił się od innych Haighlei przybywających do miasta. Trzymał się na uboczu i kilka tygodni po prostu wszystko obserwował, mieszkając w zajeździe dla gości. Nie krył swego pochodzenia, ale nie używał go jako karty atutowej. Chodził po mieście, spokojnie obserwując wszystko i wszystkich - a Srebrzyści obserwowali jego jak wszystkich przybyśców. A potem, pewnego dnia, pojawił się u Judeth i poprosił o przyjęcie do Srebrzystych na szkolenie.

Czy zdecydował, że chciał zostać? Czy też od początku wiedział, że zostanie i szukał miejsca, w którym mógłby się zaczepić? Nawet Klinga tego, nie wiedziała - chyba że powiedział Judeth, co było możliwe - a przecież spędzał z nią znacznie więcej czasu na rozmowach niż z kim innym.

Faktem było, że zadawała sobie wiele trudu, aby ukryć przed swą kochającą rodziną rosnące uczucie do niego. Jeszcze nie była pewna, co z tym pocnie. Jak wiele innych spraw, ta też musiała poczekać do jej powrotu z posterunku.

Ale Ikala jako Srebrzysty związany z innym niż Shalamana dworem przyczyniłby się do tego, że Biały Gryf mógłby otworzyć drugą amba-

sadę, w Nbubi. Ikała okazałby się tam nieoceniony jako ekspert od zaplecza, doradzający ambasadorowi tak, jak Srebrny Tren doradzała Bursztynowemu Żurawowi u Shalamana. Byłoby to dobre miejsce dla Klingi i Tadritha, a może nawet dla Keetha.

Oczywiście, gdyby Bursztynowy Żuraw nie został tam ambasadorem, on lub Zimowa Łania...

Nie. Nie, to się nie może zdarzyć - zapewniła samą siebie. Ojca za bardzo tu potrzebują. Matka nie pojechałaby bez niego, nie po skandalu, którego ledwo uniknięto ostatnim razem. A on wie, że tutaj nie ma nikogo, kto mógłby go zastąpić.

Oczywiście, zawsze mógł wyszkolić zastępcę...

Och, dlaczego wymyślam te idiotyczne scenariusze, skoro nawet jeszcze nie wiem, co będę robić po tym zadaniu ani czy Ikała i ja staniemy się kimś więcej niż tylko bliskimi przyjaciółmi, ani czy Judeth rozważała posłanie mnie i Tada do ambasady! Uświadomiła sobie, że przejmuje się mglistymi planami!

Wszystko idzie zbyt dobrze, skoro zastanawiam się nad przeszkodą, która nie istnieje, i problemami, które nawet się jeszcze nie zaczęły!

I wtedy przemówił do niej Tadrith.

- Nic więcej nie przychodzi mi do głowy - stwierdził. - A tobie?

- Nie miałam żadnych wspaniałych pomysłów dotyczących listy dostaw, ale właściwie jeszcze o tym nie myślałam - przyznała i zmarszczyła czoło, patrząc na zabazgrany papier, który trzymała w dłoniach.

- Wiesz co, pogadajmy z Judeth i Aubrim, może będą mieć jakieś pomysły.

Tadrith w zamyśleniu kłapnął dziobem.

- Czy to rozsądne? - zapytał. - Czy nie sprawi to wrażenia, że sami nie umiemy myśleć?

- To sprawi wrażenie, że nie jesteśmy zbyt pewni siebie i dlatego przyjmujemy rady starszych i mądrzejszych od nas, a jeśli im to powiemy, będą nas uwielbiać - odparła i wstała, tupiąc, aby pozbyć się mrowienia. - Chodź, ptaku. Pokażmy starym psom, że szczeniaki nie zawsze są idiotami.

- Nie zawsze - mruknął Tadrith, ale wstał. - Zazwyczaj.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Piąty Posterunek, co? - Aubri wyprostował obie tylne łapy, jedną po drugiej, spoglądając posepnie na stępione hebanowe pazury. Wiatr delikatnie poruszał drewnianymi dzwoneczkami zawieszonymi w oknie za jego plecami i Tad obserwował drobiny złotego pyłu tańczące w świetle słonecznym, rozlewającym się w kałużę na podłodze obok starożytnego gryfa. - Zaraz, czy ja pamiętam cokolwiek na temat Piątego Posterunku?

Tad westchnął, gdy Aubri, udając roztargnienie, rozpoczął swe sarkastyczne, złośliwe, rutynowe przedstawienie, najpierw drapiąc się z namaszczeniem po rudych piórach na twarzy, co sprawiło, że więcej pyłu zatańczyło w słońcu, potem gapiąc się w sufit jaskini, którą dzielił z Judeth. Po długiej chwili jego głowa poruszyła się znów i Tad miał nadzieję, że Aubri wreszcie coś powie. Ale nie - spojrzał tylko na błyszczącą podłogę tarasową, której kremowe i brązowe płytki układały się w geometryczny wzór, najwidoczniej go fascynował. To znaczy, wydawał się gapić w te miejsca; jak każdy drapieńca, tak i gryf kątem oka widział równie dobrze, jak patrząc na wprost i Tad doskonale wiedział, że Aubri przypatrywał im się - cóż - jak jastrząb.

- Piąty Posterunek - zamruczał starszy gryf, potrząsając głową; fragmenty piór, które sobie wcześniej wydrapał, fruwały we wszystkich kierunkach. Jedno pióro w brązowe i kremowe pręgi, wielkie jak ludzka dłoń, opadło ku stopom gryfa stojącego w kręgu światła. Słońce zarysowało jego krawędzie, a biały puch zalśnił w aureoli odbitego blasku. - Piąty Posterunek... dlaczego ta nazwa brzmi znajomo?

To mogło trwać jeszcze jakiś czas, gdyby Tad nie przerwał. Rzucił Aubriemu spojrzenie mówiące: *Doskonale wiem, co robisz i nie dam się na to nabrać.* Tonem najgłębszego szacunku odpowiedział przełożonemu:

- Pan i komandor Judeth objęliście Piąty Posterunek trzy lata temu, kiedy po raz pierwszy przejęliśmy nadzór nad nim od Haighlei. Mówił pan, że przydział był wakacjami od kadetów, którzy nie potrafili się pierzyć bez szczegółowych rozkazów na piśmie.

Aubri zamrugał lekko, ale jego wielkie złote oczy błyszczały od skrywanego rozbawienia.

- Tak mówiłem? Jestem dowcipniejszy, niż myślałem. Tak, no cóż, chyba przypominam sobie Piąty Posterunek, skoro już o nim wspo-

mniałeś. Niezłe odludzie; trudno jest znaleźć ochotników, aby go obsadzić. Dobre miejsce na wakacje, jeśli masz ochotę na burze każdego wieczora, mgłę każdego poranka i słońce, które tylko udaje, że istnieje. Jest powód, dla którego Haighlei nazywają taki teren "lasem deszczowym". Jest bardziej mokry, niż pływający kyree.

Świetnie. Oto nowina, której nie przekazywano na naszych lekcjach o obsadzaniu posterunków. A w broszurze, którą przeczytała mi Klinga, nie wspomniano o tamtejszym klimacie.

- Czy powiedziałby pan, że pogoda jest na tyle trudna, aby przeszkodzić nam w wypełnianiu obowiązków? - zapytał grzecznie.

- Przeszkodzić? Pewnie tak, jeśli zaliczasz się do tych, co myślą, że się roztopią, fruując w deszczu. - Łagodność Aubriego nagle zniknęła, jakby delikatnie ostrzegał Tadritha, aby ten lepiej nie myślał o takich sprawach. Źrenice Aubriego szybko się rozszerzyły i skurczyły, co było kolejnym ostrzeżeniem. - Nikt nie obiecywał słonecznych plaż i leniuchowania, kiedy wstępowałeś do Srebrzystych.

- Latanie w czasie burzy jest niebezpieczne - wtrąciła grzecznie Klinga, wymanewrowując Tada spod szponów Aubriego. - Start we mgle również może okazać się niebezpieczny. Nie przydamy się na nic Białemu Gryfowi, jeśli odniesiemy kontuzję, robiąc coś głupiego i trzeba będzie przysłać zastępstwo oraz ekipę ratunkową. Jeśli pogoda jest tam na tyle trudna, że aż niebezpieczna, powinniśmy o tym wiedzieć wcześniej i zorientować się, jakich znaków ostrzegawczych wypatrywać. Zawsze możemy zostać na ziemi i przeczekać groźną burzę.

- No cóż, masz rację. - Aubri powrócił do roli miłego, gładzącego wujka. - Ale nie sądzę, abym powiedział cokolwiek, co mogłoby stworzyć wrażenie, że pogoda uniemożliwi wam latanie na regularne patrole. Będziecie musieli być ostrożni, jak was uczono i mieć oczy szeroko otwarte, to wszystko. Burze nie są gwałtowne, lecz krótkie i ulewne, a mgła zawsze znika godzinę po świcie.

Jedno i drugie mogło go przyprawić o ból w kościach, jeśli ma takie same problemy jak mój ojciec. Aubri był prawdopodobnie najstarszym żyjącym gryfem z sił Urtho; na pewno był starszy od Skandranona. Wyglądał na swoje lata; jego pióra nie były tak gładkie i doskonale wyskubane jak pióra Tada; leżały raczej w lekkim nieładzie, nieco wyblakłe, choć nadal lśniły ciemnym, ciepłym brązem i ochrą. Teraz jego upierzenie było z lekka rudawe i kremowe i nawet świeżo wyrosłe pióra miał trochę potargane. Jak Skandranon należał do szerokoskrzy-

dłych, podobny raczej do jastrzębia niż do sokoła, ale był bardziej krępy od Czarnego Gryfa. Jego przodkiem był prawdopodobnie brązo-woogoniasty orłosep, a nie myszołów. Czas zostawił swe piętno na delikatnej skórze wokół oczu i dzioba - siateczkę cienkich zmarszczek, choć nie były one tak widoczne jak te, które z wiekiem pojawiały się u ludzi. Mimo upływu lat zachował jasność umysłu, chociaż po sposobie, w jaki teraz grał, nie można było tego odgadnąć.

Rzeczywiście, gra. To wszystko gra, od początku do końca, stary oszust. Nigdy niczego nie zapomina; zależy się, że pamięta miejsce, na jakim każdy kadet skończył bieg z przeszkodami sprzed dwóch tygodni.

Aubri i Judeth byli mistrzami w odgrywaniu wroga i przyjaciela; Aubri udawał roztargnionego i dającego się okpić przyjaciela, a Judeth nieprzejednanego wroga. Tad rozgryził ich pierwszego dnia treningu, ale on stykał się z Aubrim i Judeth każdego dnia, gdy dorastał. A szczególnie zapadł mu w pamięć "roztargniony" i "ględzący" Aubri bijący Skandranona raz za razem w warcaby, więc nic dziwnego, że nigdy nie pomyślał, że Aubri jest głupszy od swej ludzkiej partnerki.

Ale ojciec nigdy się nie przyznawał do przegranej albo twierdził, że się Aubriemu podłożył.

- A gdzie jest komandor Judeth? - zapytał, bo nie zauważył białowłosej kobiety, która dowodziła Srebrzystymi Gryfami, kiedy weszli kilka chwil temu. Aubri skinął dziobem ku drzwiom, wciąż otwartym jak w momencie ich przybycia. W ciepłe, przyjemne dni jak dziś większość mieszkańców Białego Gryfa otwierała okna i drzwi na oścież, a Aubri nie był wyjątkiem.

- Spotkanie z Haighlei; wybierają kolejnych Srebrzystych, którzy będą służyć w gwardii przybocznej Shalamana, kiedy Sella i Vorn wróca.

- Z namysłem obgryzał szpon, żując jego koniec i stukając cicho dziobem. - Prawdopodobnie wybiorą Kally i Reeska - dodał. - Nie mogą się oprzeć zgranym duetom.

- Tak pan sądzi? - spytała sceptycznie Klinga; jak Tad, tak i ona była świadoma, że istniało kilka par zdolnych do służby, które przewyższały ich doświadczeniem.

Aubri parskał z pogardą, gdy ktoś przedkładał wygląd gwardzistów nad ich umiejętności. Nie żeby Kally i Reesk byli źli; nikt wysyłany do Shalamana nie był zły. Jeśli już o to chodziło, to każdy, kto nie mieścił się w standardzie Aubriego, proszony był o znalezienie sobie innego

zajęcia, zanim jeszcze skończył szkolenie - a dla niektórych lepiej było, jeśli sprawdziły się przez sześć miesięcy, bo w przeciwnym razie musiały zwrócić upragnioną srebrną odznakę. Ale wśród tych nielicznych, których Judeth i jej partner wybierali do reprezentowania Srebrnego Gryfa, ta para była ledwie przeciętna.

Jednakże wyglądali imponująco, ich złotobrunatne upierzenie pasowało do złota i lwich skór na dworze Shalamana i mogli stać na baczność godzinami, nie ruszając nawet piórem. Tadrith wymienił wszystkie te zalety.

- Główny doradca cesarza ma inne rzeczy na uwadze - skończył grzecznie. - Bardzo ważne i zgodne z protokołem jest to, aby gwardziści cesarza stali jak rzeźby podczas posłuchań na dworze. Ich nieruchomość podkreśla jego władzę i kontrolę.

- Nie znaczy to, że się napracują - dodała Klinga nierozważnie. - Nawet zakładając, że szaleniec albo zabójca dotarłby aż do straży cesarza, jeden rzut oka na gryfy w szale bitewnym wystarczyłby, aby zemdlał.

Tad syknął. To nie była najmądrzejsza uwaga - nie w obecności weterana wielkich wojen i migracji. Rozległ się zgrzyt, gdy szpony Aubriego odruchowo zadrapały posadzkę.

- Być może - odparł Aubri, rzucając jej spojrzenie zza zmrużonych powiek, które Klingę natychmiast przestraszyło. - Być może. Nigdy niczego nie zakładaj, młoda Srebrzystka. Założenia cię zabijają. Albo wiesz, albo robisz plany na najgorsze możliwe sytuacje. Zawsze. Nigdy nie licz na to, że zdarzy się najlepsze. Myślałem, że lepiej cię wyszkoliliśmy.

Lodowate słowa napęłniłyby Judeth dumą, a ostry ton głosu nawet idiotcie uświadomiłby, że się pomylił.

Klinga zaczerwieniła się na taką odprawę i sztywno stanęła na baczność. Aubri poczekał chwilę, aby upewnić się, że jego słowa wywarły zamierzony efekt, a potem machnął na nią szponem. Rozluźniła się ostrożnie.

Tego błędu już więcej nie popełni.

- A cóż to ja mówiłem? Piąty Posterunek... - ziewnął, a duch dowódcy gdzieś uleciał. Mógł być każdym starym gryfem, którego nie interesuje nic prócz miejsca w słońcu, plotek i jakości (oraz punktualnej dostawy) następnego posiłku. - Standardowy posterunek będzie ci drugim domem, jeśli przypadkiem jesteś pustelnikiem, dobra zwierzyna łow-

na, zawsze przemoczona, noce są trochę chłodne. Ach, teren jest w większości nie zbadany. - Uśmiechnął się, widząc źle skrywane, pożądliwe spojrzenie Tada. - Już się tego domyśliłeś, co? Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że w najlepszym przypadku traficie na złoto. Kawałki kwarcu w rzece i na dnie strumieni pasują do tych, które widziałem wcześniej tam, gdzie można wypłukiwać i oddzielać złoto. Nie chciało się nam szukać, kiedy byłem tam z Judeth; jesteśmy za starzy, aby brodzić w zimnej wodzie. Skoro masz ze sobą człowieka, trochę płukania nie zaszkodzi, tylko po to, by sprawdzić, czy coś tam jest.

- Nie zaszkodzi - zgodził się Tad, a Klinga skrzywiła się, ale przytaknęła. To był najłatwiejszy sposób znalezienia złota, jeśli Aubri miał rację i pod terenem kryła się żyła, a może i złoża. Jeśli rzeczywiście natknęliby się na kruszec, wypłukiwanie przez długi czas byłoby jedynym sposobem jego wydobywania. Haighlei najpierw musieliby pójść do wyroczeni, aby dowiedzieć się, czy bogowie pochwalali kopanie w lesie, potem czekaliby na zgodę samego Shalamana, potem cesarz i kapłaństwo złożyłoby wspólne oświadczenie, że pozwala się na wydobywanie. I nawet wtedy nie zaczęliby kopać szybów; sam Shalaman wybrałby jedną osobę z urodzonych wśród górników złota ekspertów, aby określiła (z pomocą kapłanów), gdzie i kiedy rozpocząć kopanie. Ta osoba z pomocą górników wykopałaby pierwszy szyb pod nadzorem kapłana, który upewniłby się, że wszystko odbyło się tak, jak bogowie uznali za przyzwoite i odpowiednie. Gdyby natknęła się na żyłę, cały proces powtórzyłby się, aby dowiedzieć się, czy bogowie zgadzają się na utworzenie kolejnego szybu w dżungli. Jeśli nie, uznano by to za znak, że bogowie nie zgodzili się mimo wcześniejszych wskazówek, spakowano by manatki i ruszono do domu. Wszystko zgodnie z protokołem.

A w tym czasie ci obywatele Białego Gryfa, którzy chcieliby znosić prymitywne warunki z uwagi na możliwość wzbogacenia się, wypłukiwaliby złoto ze strumienia na skalę przemysłową, z błogosławieństwem Shalamana i jego poborcami podatkowymi na karku. Wypłukiwanie nie niosło ze sobą niczego, co zmieniłoby las, strumień czy ziemię pod nimi, więc nie potrzebowało aprobaty bogów.

- Co jeszcze? - spytał i został obdarzony przez Aubriego spojrzeniem: *Sam się domyśl, szczeniaku.* - Znaczy, jakie wyposażenie doradza pan zabrać - dodał pośpiesznie. Klinga zrozumiała aluzję i podała Aubriemu listę; ten rozłożył ją na podłodze przed sobą. - Inne niż normalny

zestaw, oczywiście, o którym nas uczono. Na razie wymyśliliśmy trochę nowych dodatków.

Był dość dumny z faktu, że zapisali już blachy do płukania złota; w końcu gdyby nie znaleźli złota, zawsze mogą w nich upiec ciasto.

Aubri wolno śledził listę, mamrocząc do siebie. W końcu podniósł wzrok.

- Wszystko jest bardzo dobrze pomyślane - rzekł - ale nie wystarczy. To nie wasza wina - dodał szybko, kiedy twarze Klingi i Tadritha posmutniały. - Trenujemy was, pisklaki, do normalnych obowiązków na posterunku, ale Piąty jest prawie dwa razy dalej niż inne. Dlatego Judeth i ja go objęliśmy. Gdybyśmy my nie umieli sobie z nim poradzić, na pewno nie wysłalibyśmy żadnego z was.

Aubri i Judeth dzielili się dowodzeniem Srebrzystymi jako podwładni Skandranona. Ojciec Tada zrzekł się swej pozycji na rzecz Aubriego krótko po zamieszeniu podczas Ceremonii Zaćmienia, ponad dwanaście lat temu. Skandranon zdecydował wtedy, że nie chciał być przywódcą, nawet jeśli był przywódcą tylko nominalnym. O wiele bardziej wolał być Czarnym Gryfem (albo Białym, w zależności od tego, czy przebywał w Khimbacie na dworze Shalamana, czy w domu), zajmującym się wszystkim. Codzienne dowodzenie nudziło go; działanie czyniło go szczęśliwym.

Z drugiej strony Aubri, ku swemu zaskoczeniu, okazał się dobry w tej mało widowiskowej robocie. Co więcej, bawiła go ona. Powiedział kiedyś Skandranonowi, że po wszystkich wojennych przejściach zajmowanie się zaopatrzeniem i głupimi rekrutami to czysta przyjemność. Naprawdę jednak już od dawna wiedział, kogo przydzielić do części roboty, która go nie interesowała. A teraz, pod zręczną kuratelą swej partnerki i współdowodzącej Judeth, uwielbiał być przywódcą. Od trzech lat z okładem obydwójce twierdzili, że "wkrótce" przejdą na emeryturę, ale ani jedno stworzenie w Srebrzystych im nie wierzyło. Żadne z nich nie czułoby się na emeryturze w połowie tak dobrze, jak w działaniu.

Zdaniem Tada najprawdopodobniej wyznaczony zostanie trzeci dowódca, który zająłby się fizycznymi aspektami codziennej pracy Srebrzystych i podejmował mniej ważne decyzje, które nie wymagały wiedzy Aubriego czy Judeth. Judeth pozostałaby głównodowodzącą odpowiedzialną za ważne postanowienia, Aubri zająłby się treningiem, przy którym asystowałaby mu Judeth.

Już widzę, co by się działo, Judeth nie przepada za codziennym obchodzeniem miasta, ale są oboje tak doświadczeni, że głupotą byłoby powierzać całą kontrolę nad Srebrzystymi komuś młodszemu - a przynajmniej nie do czasu, gdy uznają go za kompetentnego. A Aubri uwielbia wpuszczać kadetów w maliny. Tak, wszystko razem zbyt dobrze się składa i pewnie dlatego tak postąpią. Są jedynymi stworzeniami na świecie, na których mogę polegać i być pewnym, że zachowają się rozsądnie.

Tadowi nie mieściło się w głowie, że Srebrzystymi dowodziłby ktoś inny niż Aubri i Judeth. Musiało to kiedyś nastąpić, ale nie mógł sobie wyobrazić, jaki będzie ten dzień, kiedy w końcu nadejdzie.

- Słuchajcie, wy dwoje - mówił Aubri. - Będziecie daleko, daleko od miasta; dostarczenie wam rzeczy, kiedy coś się przetrze lub rozpadnie, może być trudne. Tylko dlatego, że taki drobiazg jak pompa przy studni ulegnie uszkodzeniu, nie będziemy otwierać Bramy i przysyłać wam nowej. Bramy są drogie, a wy macie zdrowe nogi i możecie nosić wodę w wiadrach.

Tad był zaszokowany, podobnie Klinga. O tym nie wiedział; życie wśród magów sprawiło, że myślał, iż Bramy otwierało się dość często. Gryfy latały, magowie stawiali Bramy, życie było proste.

Teraz uświadomił sobie, że choć stawiano Bramę co dwa lub trzy dni, nie utrzymywano jej zbyt długo, a co więcej, nie otwierano jej w tym samym miejscu częściej niż co miesiąc lub dwa. Było po prostu wiele posterunków i odległych miejsc, do których trzeba było dostarczyć zapasy, więc otwieranie Bram wydawało się powszechne i proste.

Oczy Aubriego zalśniły.

- Wasze Bramy otwierać będziemy według rozkładu, ani chwili wcześniej, chyba że nastąpi nagły wypadek i zagrożenie życia. Pozostaną otwarte tylko na wyznaczony czas, więc jeśli poprosicie o więcej rzeczy niż te, które można szybko przetrzucić, to będzie źle. Możecie czekać kilka dostaw na waszą pompę do studni. Co to oznacza, Srebrzyści?

- Instrukcje - powiedziała Klinga z rezygnacją, dodając je do listy. - Potrzebne nam będą instrukcje do napraw. Wszystkie narzędzia, których możemy potrzebować, już tam są, prawda?

- Instrukcje też, bez obaw; ten posterunek istnieje od dawna i pamiętaj, że pierwsi byliśmy tam Judeth i ja. My musieliśmy zarządzić, czego tam będzie trzeba i co powinno się znaleźć na miejscu. Próbuje dalej.

Klinga zmarszczyła czoło i przygryzła paznokieć. Brwi jej się zbiegły, a oczy ściemniały, aż stały się niemal granatowe.

- Aha. Mówił pan, że tam jest naprawdę mokro. Wilgotno? Potwierdził.

- Jest tam mgła, prawda? Każdego ranka. I deszcz każdego wieczora.

- Rozpromieniła się. - Worki. Pieczęcie. Nic nie zostało zrobione z drewna lub skóry czy metalu, który mógł zardzewieć. Części, które mogły zostać zniszczone przez wilgoć! Do... pompy, pieca, kranów... - zaczęła notować.

- Dobrze! - Aubri zwrócił się do Tada, który na szczęście miał już gotową odpowiedź, bo znał słabości Aubriego. Słyszał tę litanie dość często, gdy jeszcze mieszkał w domu.

- Wyposażenie, które mogło zagać lub zostać zniszczone przez wilgoć, działające bez magii - rzekł natychmiast. - Takie rzeczy, jak zapalki, hubka i krzesiwo, kompas i sekstans ee... - przeszukiwał mózg. Aubri przytaknął.

- Nie wysilaj się; skoro udowodniłeś mi, że znasz zasady, dam ci listę. Zawiera ona spis kilku pospolitych części zamiennych i starego sprzętu wojskowego, który nie waży zbyt wiele, ale prawie wszystko dzięki nim zrobisz, jeśli tylko pomyślisz.

Aubri poruszył się; wyciągnął tylko szpon i nadział na niego papier, który już czekał na blacie biurka z sosny, stojącego w pobliżu. Musiał się ich spodziewać, udowadniając po raz kolejny, że nie był ani w polowie tak roztargniony, na jakiego wyglądał.

Klinga wzięła od niego listę i Tad zauważył, że była nieco zaskoczona. Pewnie dlatego, że miała tendencję do sądzenia wszystkich i wszystkiego po pozorach i za każdym razem, kiedy Aubri odgrywał zgrzybiałego i tępawego, dawała się nabrać.

Nic na to nie poradzi. To była jej wielka słabość i Tad dobrze wiedział, dlaczego nie miała zamiaru się jej pozbyć w najbliższym czasie. Częścią problemu był fakt, iż ona po prostu nie chciała zaglądać pod maski, które wszyscy nosili, niezależnie od tego, jak byli szczerzy i otwarci. Partnerka Tada nie chciała wiedzieć, jakie niespodzianki mogły się kryć za grzecznym wyrazem twarzy; empatia jej przeszkadzała i gdyby mogła ją usunąć chirurgicznie, Tad był pewien, że poddałaby się operacji bez względu na wszystko. Miała ku temu swoje powody; dawno temu uświadomiła sobie, że nigdy, przenigdy nie będzie tak dobra w otwieraniu ludzkich serc i umysłów, jak jej ojciec. Była osobą, która

jeśli nie mogła osiągnąć doskonałości, wołała nie próbować.

Głupio. Nie każdy mag może być Śnieżną Gwiazdą, ale uzdrowiciele mogą zrobić wiele rzeczy, na które on nie ma czasu albo takich, których on nie potrafi. Ale przekonywanie jej byłoby jak zawracanie rzeki kijem, przynajmniej teraz. Może kiedy będziemy tak przez jakiś czas, w spokoju i odosobnieniu. Jednak ta przywara denerwowała go i chciał ją jak najszybciej usunąć. Każda ilość magii umysłu była użyteczna, szczególnie w kimś, po kim nikt się nie spodziewał podobnych zdolności. Ojciec zawsze powtarza, że skoro masz jakąś zdolność, głupio jest jej nie rozwijać i nie używać, nawet jeśli nie korzystasz z niej zbyt często.

Klinga porównała obie listy i dodała kilka punktów do swojej, zanim oddała Aubriemu jego wersję. Tad był zadowolony, widząc, że nie musiała przepisywać całości. Nie poszło im w końcu tak źle!

Ciekawe, czy na liście Aubriego była apteczka? Na pewno zalicza się do rzeczy “niemagicznych” i “niszczonych przez wilgoć”. Ale ile waży! Że też nikt nie wymyślił lepszych łupków i gipsu! To takie głupie, włożyć ze sobą drewno i sproszkowaną skalę.

Aubri skrzyżował swe przednie łapy i przyglądał im się z dobrodusznym, niemal ojcowskim wyrazem twarzy.

- Cóż. Moje kolejne dwa pisklaki wyruszają wypróbować swe skrzydła. Myślę, że posterunek się wam spodoba; żadne z was nie należy do istot, które tęsknią za miastem, kiedy mogą połączyć po lesie i zobaczyć coś, czego nikt wcześniej nie widział. - Westchnął. - Przygody są dla młodych, którzy nie mają lumbago. A ja jestem szczęśliwy w Białym Gryfie, gdzie mogę się codziennie wylegiwać na słońcu. Ale tam powinno być wystarczająco dużo nowych rzeczy do odkrycia, abyście wy, smyki, byli szczęśliwi.

Nie wspomniał, że zna osobiste powody, dla których tak się cieszyli z zadania: ucieczkę od ukochanych rodzin. Nigdy nie zachowywał się tak, jakby wiedział, że są potomstwem Skandranona i Bursztynowego Żurawia...

Nie mógł; nie w czasie szkolenia. Ale nigdy nie wspomniał o naszych rodzicach nawet przypadkiem. Może pod tym względem jest rzeczywiście trochę roztargniony; może nie poznaje nas teraz, gdy dorośliśmy.

- Nie możemy się doczekać - odparł Tad szczerze. - Miło będzie po raz pierwszy wyrwać się z domu.

Aubri przytaknął i wyszczerzył zęby.

- Och, nie jesteście jedynymi, którzy byli zainteresowani długimi zadaniami z dala od miasta, wierzcie lub nie. Mówiłem Judeth, żeby nie przydzielala na Piąty nikogo, kto nie miał wystarczających powodów, aby tam być, i wyrwać się z miasta. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto pasowałby do tych kategorii lepiej niż wy dwoje. I mówiąc szczerze, jest trzeci powód, dla którego was tam wysyłam: jesteście zespołem dwa-cztery. To dobra kombinacja na posterunek.

Oznaczało to gryfa i człowieka. Ten szczególny zespół nie trafiał się często wśród Srebrzystych; ludzie woleli łączyć się z przedstawicielami własnych gatunków. Zazwyczaj dwa-cztery były tymczasowymi zespołami, stworzonymi z tych, którzy nie znaleźli partnera wśród swoich. Często rozpadały się po szkoleniu, kiedy starszy stopniem Srebrzysty mógł wziąć sobie do pary młodzika. Ci z tymczasowych oddziałów dwa-cztery robili tak bardzo często.

- Lubię zespoły dwa-cztery na tych oddalonych posterunkach - ciągnął Aubri z błyskiem w oku. - Te zespoły są bardziej podatne na zmiany. Nawet jeśli niektórzy ludzie myślą, że z gryfem, który niełączy się z jednym ze swoich, jest coś nie tak.

Tad spojrział na zwierzchnika, podnosząc wysoko głowę i rzucając wyzwanie spojrzeniem. Słyszał to już wcześniej i nie stroszył już piór.

- O? Czy o panu też tak mówią?

Aubri zaśmiał się.

- Oczywiście! Wszyscy wiedzą, że mam pokreconą psychikę! My wszyscy, weterani wojenni, jesteśmy pomyleni, to efekt bitew! Jaka jest twoja wymówka?

Tad wyszczerzył się, wymyślając doskonałą odpowiedź.

- Tradycja rodzinna - odrzekł natychmiast, przyprawiając Aubriego o kolejny atak śmiechu.

- Dobrze powiedziane! Nie mogę się doczekać, kiedy powiem Czarnemu Chłopcu, co mi odpowiedziałeś; jeśli od tego nozdrza mu się nie zaczerwienia, nic nie jest go w stanie ruszyć. - Potrząsnął głową, pióra zaszumiały. - Uciekajcie, wy dwoje. Dajcie listę oficerowi dostawczemu; dopilnuje, aby zapakowano wasz koszyk. Jedyne, o co macie się martwić, to własne plecaki.

Oboje wstali i wyprężyli się w postawie zasadniczej. Aubri zachichotał, a potem wstał powoli, aby ich odprowadzić - stary, może, ale jeszcze nie martwy.

Jak Tad się spodziewał, jego ojciec już wiedział o przydziale i był szczerze (i głośno) radosny. Gdyby udało mu się pokonać wszystkich konkurentów i zostać adiutantem Judeth, Skandranon nie byłby bardziej przejęty. Wprawilo go to w zakłopotanie. Kiedy zebrali się na kolację w salonie rodzinnego gniazda, a niebo za oknem przypominało aksamit nabijany klejnotami gwiazd, Tad zaczął się zastanawiać, czy nie powinien był zjeść w samotności - albo iść spać z pustym żołądkiem.

- Przydział na posterunek! I świeżo po szkoleniu! - powtarzał Skan przez całą kolację. - Nie mogę sobie przypomnieć, żeby jakiegoś Srebrzystego, tak młodego jak ty, posłano na odległą pozycję!

Jednak ton jego głosu był poważny, szczególny i nie zjadł więcej niż połowę posiłku. Nagła zmiana statusu syna wytrąciła go z równowagi, delikatnie mówiąc. Czyżby się martwił?

Dlaczego miałby się martwić? O co się tu martwić!

Zhaneel, żona Skandranona, szturchnęła go lekko.

- Daj chłopcom zjeść - upomniała go. - Nie przysłużysz się Tadrithowi, nie pozwalając mu zjeść porządnego posiłku.

Jej spojrzenie pełne nagany powędrowało w stronę Keetha, co sprawiło, że nozdrza Skandranona poczerwieniały z zakłopotania.

Zaniedbywał Keetha cały czas, chociaż ten nie wyglądał na specjalnie nieszczęśliwego z tego powodu.

- Słyszałem przychylne raporty od Zimowej Łani - rzekł Skan szybko do drugiego syna. - Uczysz się rzeczy, o których ja i twoja matka marzyliśmy, ale nigdy nie mogliśmy ich osiągnąć.

Tad skrzywił się. Jeśli to nie zabrzmiało sztucznie, będzie jadał trawę zamiast mięsa!

- Cóż, gdyby nie ta obrzydliwa wojna, tato, wy w dwójkę na pewno wymyślilibyście gryfiego trondi'irn, gryfiego kestra'chern i gryfią sekretarkę - odparł Keeth, uśmiechając się do brata. - I prawdopodobnie gryfią szwaczkę, murarza i stolarza.

Keeth zawsze potrafi obrócić wszystko w żart, niech go bogi kochają.

Skandranon zaśmiał się - tym razem śmiech był szczerzy, a gryf wydawał się rozluźniony.

- Może i wymyślilibyśmy! - rzucił, strosząc pióra. - Szkoda, że wojna zmroziła nasz rozkwitający geniusz, nie?

Tad nie odzywał się i odrywał kawałeczki ze swej kolacji, nogi wielkiego nielotnego ptaka, wielkiego jak krowa, o mózgu żółwia. Jedno

takie stworzenie żywiło całą rodzinę; Haighlei hodowali je dla piór na polach, które zniszczył nadmierny wypas krów i owiec. Gryfy uznały te stworzenia za smakowitą alternatywę dla wołowiny i dziczyzny.

Tad był szczerze zadowolony, że bystry Keeth spierał się z ojcem. On nie mógł wymyślić żadnej odpowiedzi, nie, kiedy duma Czarnego Gryfa skrywała inne uczucia, których nawet nie zaczął okazywać. Ale był coraz bardziej pewien, że jednym z nich był strach, do którego Skan nigdy by się nie przyznał.

Oczywiście, że nie. Nie chce mnie denerwować niezdecydowaniem czy strachem, zanim nie wyruszę stąd z Klingą. Wie, że jeśli pokaże, iż nie jest najszcześliwszy, mógłbym odczuć pokusę wycofania się. A wie, że nie ma się o co martwić; nie jesteśmy pierwszym zespołem obejmującym ten posterunek. Jesteśmy pierwszym zespołem, w którego skład wchodzi jeden z jego synów, a on odkąd dowiedział się o przydziale, myśli o wszystkich wypadkach, które mogą się nam przytrafić.

Za bardzo się martwił; Tad o tym wiedział i wiedział, że jego ojciec zdawał sobie z tego sprawę. Nie było wojny, nie natkną się na siły nieprzyjaciela.

Ale po raz pierwszy opuszczam gniazdo. Przypuszczam, że normalnym jest, iż rodzice się martwią. Ja też się martwię, ale wiem, że sobie poradzę. Zastanawiam się, jak rodzice mogą mówić, że tak ufają swym dzieciom, a jednak ciągle się o nie bać? Przypuszczał, że rodzicielska wyobraźnia potrafiła wyczarować setki zagrożeń, od choroby po wypadek, a wszystko w ciągu jednego uderzenia serca. Rodzice musieli tacy być; uprzedzić wszelkie kłopoty, w jakie mogły wpakować się dzieci i być przygotowanym na wyciągnięcie ich za uszy, zanim zabrnęły za daleko.

Ale jestem dorosły i mogę sam o siebie zadbać! Czy on nigdy się tego nie domyśla? Jest dorosły o wieki dłużej niż ja i musieli go już ratować - dlaczego więc dorośli uważają kłopoty za domenę młodych? Czy tak bardzo przypominamy im o własnej kruchości?

Między kęsami rzucił spojrzenie matce, przyłapując ją na wpatrywaniu się w niego z troską i matczyną miłością w oczach. Chciała uciec przed jego wzrokiem, ale w końcu podjęła inną decyzję i ostrożnie przytaknęła.

Mama się martwi, ale się do tego przyznaje. Ojciec się nie przyzna, co tylko pogorszy mu nastrój. Ale żadne z nich nie ma najmniejszego powodu do zmartwień! Może im rodzic inteligentniejszy, tym bardziej się

martwi, bo może sobie wyobrazić wszelkie katastrofy. Kaled'a'in wiedzą, że potrafiliby się skoncentrować równie mocno na tym, co może się udać, ale kiedy chodzi o dzieci albo młodzież, chyba najlepiej jest tylko udawać optymizm. Jednak...

Pomyślał o Klindze, która pewnie przechodziła to samo badanie w domu swych rodziców i westchnął. Nie wiedział, jak zareagują Bursztynowy Żuraw i Zimowa Łania, ale Klinga groziła, że raczej spędzi noc z przyjaciółmi, niż wróci do domu. Tadowi udało się przekonać ją do zmiany zdania.

Mogło być znacznie gorzej, powiedział sobie. Mogliby być nadopiekuńczy i zabronić jej objęcia posterunku. Albo, co gorsza, być obojętni.

Paru kumpli z klasy miało takich rodziców; Tad słyszał, jak magowie spekulowali, czy zbyt silne instynkty drapieżców nie przesłoniły intencji Urtho. Ci rodzice byli kochający tak długo, jak młode pozostawały w gnieździe. Zaczęli tracić zainteresowanie nimi, gdy się opierzyły, zupełnie jak drapieżne ptaki. W końcu, gdy młode gryfy osiągnęły wiek młodzieńczy i stały się niezależne, rodzice robili co w ich mocy, aby się ich pozbyć, o ile dzieci jeszcze się nie wyprowadziły. Takie pary były też bardziej płodne od opiekuńczych, wychowując nawet sześcioro lub ośmioro młodych w ciągu życia.

Ale ich potomstwo było, jak mawiał Aubri, “ulepszonymi jastrzębiami”; żyło głównie dla polowania i choć bardzo atletyczne, kiedy rozdawano rozum, dla nich go zabrakło. Większość nieszczęśliwych wypadków wśród gryfów zdarzało się właśnie w tej grupie, której główną rolą było polowanie i zapewnianie dostaw mięsa dla miasta. Bardzo przypominały zachowaniem i temperamentem myszołowy: podczas polowania wpadały na skały albo zderzały się z ziemią i skręcały sobie karki, albo startowały w złą pogodę i trafiał je szlag. Niektóre po prostu znikwały i nikt nigdy się nie dowiedział, co się z nimi stało.

Tadrith usłyszał raz, jak Aubri mówił, że większość wypadków w czasie wojny w oddziałach gryfów - innych niż te zawinione przez ludzkich dowódców, uważających nie ludzi za mięso armatnie i tak ich traktujących - zdarzała się również wśród takich gryfów. Nie trzeba mówić, że niewiele z nich znalazło się wśród tych, którzy znaleźli schronienie w Białym Gryfie i prawdopodobnie nie stworzą trzeciego pokolenia. Nie, jeśli nadal będą się wykańczać w takim tempie!

Kiedy nie polowali, zwykle można ich było znaleźć wylegających się na nasłonecznionych platformach wśród swoich współtowarzyszy,

próbujących zaimponować pustogłowym samicom albo chwalcących się mięśniami. Jasne, coś takiego zawsze zdarzało się wśród młodych gryfów, ale ta banda cały czas się tak zachowywała!

Na pierwszy rzut oka są mili. Ale nie sądzę, abym ich zniósł jako potencjalnych kumpli czy też partnerki.

Kiedy więc Skandranon zastanawiał się, ilu z pokolenia Tadritha zginęło, nie zdawał sobie sprawy, że wszystkie te wypadki miały coś wspólnego.

Powiedzmy: kompletny brak rozumu. Marnowanie tego, co mieli. A co najważniejsze, brak porządnego wychowania. Podtrzymywanie młodych przy życiu to jedna rzecz, ale stworzyła tylko więcej gryfów, które postępowały tak samo ze swoimi dziećmi. Nawet czarujący miody idiota może czegoś dokonać, jeśli ma porządnych rodziców. Jestem tego najlepszym przykładem!

Jego ojciec pozbył się już nieco zakłopotania i rozmawiał normalnie z Keethem i Zhaneel na temat modyfikacji, jakie wprowadziła Zimowa Łania na placu ćwiczeń, aby szkolić trondi'irn. Tad skorzystał z ich nieuwagi, aby w spokoju dokończyć posiłek.

Skandranon wyglądał teraz dziwnie: w połowie pierzenia był czarnobiały jak tarant. Biel była naturalną barwą jego piór - teraz - a czarne zostały ufarbowane. Farbował się, kiedy miał odwiedzić Khimbatę jako specjalny wysłannik Białego Gryfa. Od czasu Ceremonii Zaćmienia, kiedy to dramatycznie zanurkował wprost ze znikającej tarczy słonecznej, aby powalić zabójcę, który zamordowałby cesarza Shalamana, Zimową Łanię i pewnie kilku innych ludzi, został dosłownie zmuszony do noszenia "przebrania" Czarnego Gryfa, gdy składał wizytę. Ocalił Shalamana, Czarnego Króla jako Czarny Gryfa w kulturze, która wielką wagę przywiązywała do rzeczy niezmiennych, został przypisany do tego wcielenia, gdy wracał na miejsce triumfu.

Król Gryf kochany wszędzie, gdzie się pojawia. Aubri kpił z niego w żywe oczy.

Jego słowa były prawdziwe i to właśnie najbardziej zakrawało na ironię. Nigdy nie wyjeżdżał z Khimbaty bez darów wszelkiego rodzaju. Ich kolekcja biżuterii zapierała dech w piersiach; gdyby on i Zhaneel nałożyli ją całą na siebie, nigdy nie oderwaliby się od ziemi.

Między nami mówiąc, jeśli nam się uda, może Keeth i ja będziemy choć w części tak sławni jak on, a większość tej sławy wyniknie z faktu, że jesteśmy jego synami.

Taka myśl mogła wpędzić w depresję, gdyby Tad był naprawdę ambitny. Szczerze mówiąc - nie był. Widział negatywne strony tej adoracji - Skandranon zawsze musiał być czarujący, dowcipny i nieskazitelnie grzeczny niezależnie od tego, jak się czuł. Ilekroć rodzina wizytowała Khimbate, Skandranon nie miał czasu nawet dla siebie, o nich nie wspominając. A nawet w domu zawsze trafiał się ktoś, kto czegoś od niego chciał. Zawsze dostawał prezenty, a większość tych prezentów miała dołączone listy z życzeniami. A nawet jeśli nie, zawsze istniała szansa, że żądanie, przedstawione jako prośba, pojawi się później, kiedy nie będzie się spodziewał i przestanie być czujny.

Skandranon nigdy nie wiedział, czy ktoś pragnął jego przyjaźni ze względu na to, jaką pozycję zajmował, czy ze względu na niego samego - a była to ważna różnica.

Nie, dziękuję. Po starannym przemyśleniu wolę trzymać się w cieniu.

Nie byłoby źle zostać zwyczajnym Srebrzystym, zawsze przydzielanym na Posterunki, oszczędzając wystarczająco dużo na procentach od złazisk, aby pozwolić sobie na wygodne życie. Niech Keeth zbierze śmietankę, stając się pierwszym trondi'irn wśród gryfów; Tad z dziką radością obdarowałby brata każdą ilością sławy, którą przeznaczenie trzymało dla niego w zanadrzu! Kiedy ta myśl pojawiła się w jego głowie, zauważył, że wszyscy na niego patrzyli. Najwyraźniej Keethowi zabrakło konceptu i nadeszła jego kolej.

A niech to.

Skandranon odchrząknął. Jak zwykle dźwięk ten, przyzwyczajenie przejęte od ludzi, zabrzmiał bardzo dziwnie w wykonaniu gryfa.

Szczerze mówiąc, brzmi to, jakby chciał wykrztusić kołtun.

- Tak - rzeki radośnie Skan. - Twoja matka i ja chcielibyśmy usłyszeć więcej o posterunku, na który cię wysyłają. Co o nim wiesz?

Tad westchnął zrezygnowany i poddał się nieustępliwemu naciskowi miłości rodzicielskiej.

Klinga nie potrafiła zmusić się, by usiąść, choć powstrzymała się przed wędrówką wzdłuż krawędzi klifu. Kamienie tutaj były zbyt niebezpieczne, by po nich spacerować - jaki byłby wstyd, gdyby się poślizgnęła i spadła, łamiąc coś i tym samym zmuszając Aubriego i Judeth do wysłania kogoś innego na posterunek! *Tad przenigdy by mi nie wybaczył. Albo wziąłby sobie nowego partnera i odjechał, a ja zostałabym, aby znosić rodzicielskie współczucie.*

Ikala siedział na skale i patrzył na zachód słońca, nie na nią. Poprosił ją o spotkanie tutaj, aby się pożegnać; jej uczucia były tak mieszane, że naprawdę nie wiedziała, co mu powiedzieć. Na razie nie odezwał się słowem i czekała, aby zaczął mówić.

Odchrząknął, nie patrząc na nią.

- Więc wyjeżdżasz jutro. Mówili, że na kilka miesięcy? - Oczywiście znał jej zadanie, jak wszyscy wśród Srebrzystych; użył pytania jako sposobu rozpoczęcia rozmowy.

Słońce zniżyło się ku oceanowi; niedługo zanurkuje za linię horyzontu. Miała wrażenie, jakby jej gardło i język należały do kogoś innego.

- Tak - odparła w końcu. Teraz wiedziała, co ludzie mieli na myśli, mówiąc o "zapominaniu języka w gębie". Niezwykle trudno było jej wydobyć z siebie to jedno słowo.

Chciała powiedzieć więcej; zapytać, czy będzie za nią tęsknił, czy był zły, że wyjeżdżała, gdy ich przyjaźń zaczęła przeradzać się w coś głębszego. Chciała wiedzieć, czy poczuł się zraniony, że się z nim nie skonsultowała, że wybrała Tadritha na partnera, a nie jego. A przede wszystkim chciała wiedzieć, co myślał.

A nie potrafiła powiedzieć słowa.

- Chodź i siadaj - rzekł, wskazując na skałę obok. - Nie wyglądasz na zadowoloną.

Nie jestem - odpowiedziała bezgłośnie - jestem nerwowa jak zapchłony kot.

Ale i tak usiadła, ostrożnie, rozważnie. Nagrzana słońcem skała była delikatna pod jej dłońmi, wygładzona jak aksamit od działania wiatru i wody przez setki lat. Skoncentrowała się na skale, myśląc o jej stałości i odczuwając ją całym sercem.

- Jednocześnie cieszę się i smucę z twojego powodu, Klingo - rzekł Ikala, ostrożnie ważąc i dobierając każde słowo. - Cieszę się, bo w końcu dostałaś to, na co zasłużyłaś. To wspaniale. Ale jestem smutny, bo nie będzie cię przez miesiące.

Westchnął, choć się nie poruszył. Klinga skupiła się, pragnąc, aby mówił dalej, ale nie powiedział nic więcej. W końcu obróciła się ku niemu.

- Bardzo chciałam tego przydziału - przyznała. - Choć nie jestem pewna, czy potrafię wytłumaczyć dlaczego...

Ale nieoczekiwanie, kiedy spojrzał jej w oczy, uśmiechnął się.

- Pozwól mi spróbować - zaproponował, a w jego głosie zabrzmiały

nutki ironii. - Czujesz się tłamszona przez twych szanownych rodziców i chcesz, aby zaakceptowali twe życie, tak odmienne od tego, które wiodą. Dodatkowo boisz się, że ich wpływ albo pchnie cię na przydział łatwiejszy, niż zasługujesz, albo zapewni, że nigdy nie staniesz wobec żadnego niebezpieczeństwa. Chcesz się przekonać, do czego jesteś zdolna, mogąc korzystać jedynie z własnego rozumu i umiejętności i jeśli nie znajdziesz się daleko od nich, obawiasz się, że nigdy nie otrzymasz odpowiedzi na to pytanie.

- Tak! - wykrzyknęła, poruszona takim zrozumieniem. - Ale skąd ty...
- A potem zrozumiała przesłanie ukryte za smutnym uśmiechem, wzruszenie ciemnoskórymi ramionami. - Przyjechałeś tu z tego samego powodu, prawda?

Skinał głową, a w brązowych oczach zapalił się ognek tej samej ironii, która ją w pierwszej chwili tak zachwyła.

- Tak. I dlatego, choć wolałbym, żebyś nie wyjeżdżała na tak długo tak daleko - albo żebyśmy jechali w to samo miejsce - chciałem, żebyś wiedziała, że będę szczęśliwy, czekając na twój powrót. Zobaczymy, czego się nauczyłaś i co ta nauka z ciebie zrobiła.

- Myślisz, że się zmienię? - Oblizła usta suchym językiem.

- Przynajmniej w części - rzekł. - Możesz wrócić jako osoba zupełnie różna od tej, jaką jesteś teraz; nie abym twierdził, że na tej innej osobie nie będzie mi zależało! Choć może się zdarzyć, że ta osoba i ja będziemy dla siebie nikim więcej, tylko najlepszymi przyjaciółmi i towarzyszami broni. To nie będzie złe rozwiązanie, ale wolałbym inne.

Odetchnęła i rozluźniła się. Był tak rozsądny, że z trudem wierzyła własnym uszom!

- Nie wiem - przyznała. - Sądzę, że tyle czasu spędziłam, udowadniając, kim nie jestem, że nie wiem, kim jestem.

- Wobec tego dowiedz się tego - powiedział i zaśmiał się, dotykając przelotnie jej dłoni. Dotyk sprawił, że zadrżała. - Wiesz, przyjechałem tu w tym samym celu. Trochę to rozumiem.

- Cieszysz się, że tu przyjechałeś? - zapytała, zastanawiając się, czy pytanie nie było zbyt osobiste i pragnąc, by nie poprzestał tylko na dotknięciu jej dłoni.

Teraz on przez chwilę patrzył w dal, na zachód słońca.

- Ogólnie tak - rzekł. - Chociaż działając w ten sposób, zamknąłem przed sobą inne drogi. Była taka dziewczyna na dworze mego ojca, ale była niecierpliwa i nie podobało jej się, że nie wyjeżdżałem na dwór

innego cesarza. Uznała mój wybór za umniejszanie mej pozycji, a wyjazd za opuszczenie jej. Słyszałem, że wyszła za kogoś innego, jednego z mych przyrodnych braci.

- Och, przepraszam... - powiedziała szybko, niezręcznie. Odwrócił się ku niej i nie wyglądał na szczególnie nieszczęśliwego, przesuając dłonią po sztywnych czarnych lokach.

- Nie masz za co przepraszać - stwierdził. - Skoro uznała to za porzucenie, nie znała mnie; jeśli nie potrafiłem przewidzieć jej reakcji, nie znałem jej. Więc... - wzruszył ramionami - mój smutek szybko zniknął. Podejrzewam, że moje uczucia nie były tak głębokie, jak chciała ani jak się spodziewałem.

- Nie znaczy to, że tutaj brakuje ci pocieszycieli! - rzuciła nierozważnie, czując, że nagle zabrakło jej tchu. Zaśmiała się aby to ukryć.

- To prawda. - Uśmiechnął się jeszcze radośniej. - I niewiele czasu zajęło mi zrozumienie, że nie potrzebowałem pocieszenia, bo miałem inne zainteresowania.

Jeszcze bardziej zabrakło jej tchu; nigdy nie posunął się tak daleko we flirtowaniu z nią, a jednak za kpina ukryta była więcej niż nuta powagi. Czy tego chciała? Nie wiedziała. I nagle ucieszyła się, że będzie miała trzy miesiące na przemyślenie.

- Cóż, myślę, że w sumie dobrze, iż będziesz miała sześć miesięcy na dowiedzenie się, z czego stworzono Klingę - rzekł beztrąsko. - A ja mam tę przewagę, że wiem, iż na posterunku nie będzie innych młodych mężczyzn, którzy mogliby przekonać cię do zwrócenia uwagi w inną stronę. I decyzje, które podejmiesz, włącznie z decyzją o naszej przyjaźni, będą tylko twoje.

Parsknęła.

- Zupełnie, jakby jacyś młodzieńcy mogli zmienić moje zdanie na jakikolwiek ważny temat! - rzuciła ostrzej.

- Co dowodzi, że nie mogę mówić, iż znam cię lepiej, niż inni przyjaciele - wytknął. - Widzisz? Tyle rozumiem; masz silne poczucie obowiązku, które zawsze będzie na pierwszym miejscu w twym sercu. Chciałbym myśleć, że jestem taki sam. I dlatego musimy to między sobą uzgodnić, zanim poczynimy inne zobowiązania.

Teraz ona wzruszyła ramionami.

- To wydaje się rozsądne... ale nie jest szczególnie... romantyczne. - Ostatnie słowo zabrzmiało żałośniej, niż oczekiwała.

- Cóż, skoro pragniesz romantycznego rozstania. - Uśmiechnął się. -

Potrafie być jednocześnie praktyczny i romantyczny jak ty. - Ujął jej dłoń, tylko jedną i spojrział prosto w oczy. - Srebrna Klingo, przemierzyłem imperium, porzuciłem mój kraj i wszystko, co kiedyś znałem. Nie oczekiwałem, że spotkam tu kogoś takiego jak ty i choć nie podzielałam wiary niektórych z mych ziomków, że wszystko zostało już postanowione, czasami wydaje mi się, iż przybyłem tu, bo ty tutaj jesteś. Teraz wiem, kim jestem. Wierzę, że jest w tobie duch, który pasuje do mojego. Jeśli te kilka miesięcy sprawi, że będziemy razem, czekanie nie będzie się dłużyć. - Poklepał jej dłoń. - Mam nadzieję, że taka dawka romantyzmu wystarczy twej praktycznej duszy?

Zachichotała.

- Tak myślę - powiedziała, czując się oszołomiona, jakby wypila butelkę wina. - Ja... ja nie jestem nawet w połowie tak elokwentna...

- Sokół też nie - odparł, puszczając jej dłoń. - Ale jest wdzięczny i godny podziwu bez słów. Stań się przelotnym ptakiem, Srebrna Klingo. Gdy wrócisz, spróbujemy polowania we dwoje.

Klinga wcale nie potrzebowała się pakować ostatniej nocy, ale udała, że musi i gdy tylko skończyła, zdmuchnęła świecę i poszła spać. Naprawdę potrzebowała odpoczynku i gdyby nie uciekła od przewrażliwionych rodziców, wcale by go nie zaznała. Trzymaliby ją do późna, zadając pytania, na które nie miała odpowiedzi, bo większość z nich była raczej filozoficzna niż praktyczna.

Ubrała się szybko i cicho, nie zapalając świecy. Jeśli miała szczęście, tylko matka już się zbudziła; Zimowa Łania, nie wiadomo dlaczego, znosiła sytuację lepiej niż jej mąż. *Czy ludzie zwykle nie narzekają, że ich matki nigdy nie uważają ich za dorosłych* - pomyślała, wciągając lekkie buty i przypinając na piersi tuniki srebrną odznakę. Srebrzyści nie mieli mundurów; Judeth uważała, iż lepiej było, aby nosili codzienne ubrania. Mundury zbyt przypominały ludziom o armii i wojnie, a nawet ci zahartowani w bojach chcieli o nich zapomnieć.

Dobrze, jeśli będę cicho stapać, wyjdę stąd bez wszczynania kolejnej dyskusji o moim światopoglądzie.

Jej ojciec, Bursztynowy Żuraw, znany był z sypiania do późna - szczerze mówiąc, głównie dlatego, że pracował po nocach - i miała nadzieję, iż wstając o świcie, uniknie zjedzenia z nim śniadania.

Ale nie. Kiedy przyniosła swe małe torby, aby położyć je przy drzwiach, zobaczyła, że w całym domu paliły się świece. Bursztynowy

Żuraw już wstał.

Zobaczyła go, gdy tylko ruszyła ku tyłowi jaskini: ubrany, przytomny, siedział w kącie pokoju, którego używali jako jadalni, czekając na nią. Jej matka też tam była, co mogło nieco ułagodzić sytuację.

Westchnęła, mając twarz schowaną w cieniu, aby nie mógł dostrzec jej wyrazu. W najlepszym przypadku śniadanie z Bursztynowym Żurawiem należało do nerwowych, a to nie był najlepszy przypadek.

Ciągle pamięta, że był szefem kestra'chern i miał zwyczaj dowiadywania się przy śniadaniu, jak się mają jego towarzysze. Próbuje tak samo postępować ze mną.

- Dzień dobry, tato - powiedziała, czując się strasznie niezręcznie, gdy podchodziła do niewielkiego stołu. - Zazwyczaj nie wstajesz tak wcześnie.

Zastanawiała się, czy uśmiech Bursztynowego Żurawia był wymuszony; zbyt dobrze grał w jej obecności spokojnego, aby mogła zgadnąć. Oczywiście było, że zadał sobie niemało trudu, aby dobrze wyglądać. *Jedwabna tunika i spodnie, kamizela z surowego jedwabiu, trochę biżuterii, którą dostał od Haighlei i pióro Zhaneel we włosach. Pomyślałby kto, że ma audiencję u Shalamana.*

Przyjrzała mu się dokładnie. Nadal był uderzająco przystojnym mężczyzną. Mimo siwych pasm we włosach nie wyglądał na swój wiek w świetle lamp magicznych nad stołem, a ciepłe brązy i bursztyn jego ubrania maskowały trochę fakt, że pod oczami miał ciemne kręgi.

Bez wątpienia spowodowane zmartwieniem.

- Nie chciałem przegapić pożegnania z tobą, Srebrna Klingo - rzekł spokojnym, wyważonym tonem. - Wiem, że przegapiłbym je, śpiąc do jakiejś przyzwoitej godziny. Wy, ranne ptaszki, przyprawiacie normalnych ludzi o zawrót głowy.

Wiedziała, że zaśmiała się sztucznie, ale nie mogła nic na to poradzić.

- A wy, nocne marki, sprawiacie, że chce mi się krzyczeć, kiedy myślę o porządnym świetle dziennym, które marnujecie, śpiąc! - Wślizgnęła się na krzesło naprzeciw niego i sięgnęła po świeży chleb i dżem. Ojciec sięgnął przez stół i dołożył jej na talerz cienko pokrajane mięso. Nie chciała jeść rano czegoś tak ciężkiego, ale trzymała język za zębami. Po co zaczynać sprzeczkę? Nie byłby to najlepszy sposób pożegnania z rodzicami.

Czy przeżucie kawałka jest tak straszne? Oczywiście, że nie. Jeszcze niedawno zaprotestowałyby; teraz wiedziała, że nie miało to sensu.

Uraziłaby jego uczucia. Przecież chciał pomóc.

A po dzisiejszym dniu nie będzie w stanie namieszać swą pomocą przez sześć długich miesięcy! Powinnam współczuć ludziom, gryfom, hertasi i reszcie, których otoczy swą troską zamiast mnie.

Zjadła plasterek mięsa, który był suchy i smakował jak przesolona stara skóra i wróciła do chleba. Bursztynowy Żuraw przesunął w jej stronę kubek gorącej herbaty, a potem wykonał ruch, jakby zamierzał nałożyć jej gorącej owsianki z garnka czekającego obok niego.

- O, nie! - wykrzyknęła. Za nic nie zje owsianki, nawet żeby ucieszyć ojca! - Nic z tego! Nie, kiedy latam! Nie mam zamiaru udekorować pejzażu w dole!

Bursztynowy Żuraw zaczerwienił się lekko i cofnął dłoń.

- Przepraszam. Zapomniałem, że nie odziedziczyłaś mego żelaznego żołądka.

- Nie, odziedziczyła mój, wątpliwej jakości. Przestań dręczyć dziecko, mój drogi. - Zimowa Łania wychynęła wreszcie ze swego krańca jaskini, poprawiając włosy. Klinga podziwiała sposób, w jaki jej matka się poruszała. Popatrzyła na nią z ukłuciem zazdrości. Zimowa Łania potrafiła połączyć delikatną zmysłowość z absolutną pewnością siebie i kompetencją, którą Klinga na próżno próbowała naśladować.

Gdybym tak wyglądała... Trudno. Szkoda, że odziedziczyłam po matce duszę, nie ciało!

W przeciwieństwie do męża Zimowa Łania nie wystroiła się specjalnie, co ulżyło Klindze. Jej ubiór: długa lniana spódnica z rozcięciem, tunika i kamizelka do kolan z wieloma kieszeniami przypominał to, co nosiła na co dzień. Jedynym ustępstwem, na jakie poszła w związku z przepychem stroju Bursztynowego Żurawia, było dopasowanie brązów i beżów swego ubioru do bursztynowych odcieni jego kreacji.

- Mam nadzieję, że nie uznasz nas za nieproszonych gości, Klingo, ale chcielibyśmy zobaczyć wasz odlot - powiedziała Zimowa Łania zwyczajnym tonem, jakby wyjeżdżali na kilka dni, a nie na sześć miesięcy. - Wiemy, że nie należy się narzucać. Twoja wyprawa nie jest pierwszą, jaką oglądają nasze oczy.

Teraz ona się zaczerwieniła.

- Och, oczywiście, że chcę, żebyście przyszli nas pożegnać! Nie będziecie przeszkadzać! - powtórzyła, dotkliwie zakłopotana. - Nigdy bym tak nie pomyślała!

Jedyny problem polegał na tym, że w głębi duszy tak myślała.

Przełknęła stygnącą herbatę, aby ukryć zakłopotanie i nieczyste sumienie, a Bursztynowy Żuraw bawił się kromką chleba, ugniatając ją w kupkę okruchów.

Usiłuje udawać, że się nie martwi; próbuje udawać dzielnego, chociaż wiem, że wcale nie jest dzielny. Dlaczego? Dlaczego się martwi? Gdyby był przezroczysty, mogłabym zobaczyć, że ma ściśnięty żołądek.

W końcu Bursztynowy Żuraw podniósł na nią oczy, przygryzając dolną wargę.

- Wiem, że pewnie uważasz, że przesadzam, ke'chara - powiedział cicho. - Nie powinienem się tak przejmować faktem, że ty i twój partner ruszacie na normalny, spokojny posterunek. Wiem, że zachowuję się głupio i nawet nie mogę udawać, że mam jakieś tajemnicze przeczucia. Wszystko jest winą starych... myślę, że można to nazwać starymi nawykami uczuciowymi.

Zimowa Łania stanęła za nim i położyła mu dłonie na ramionach, delikatnie masując mięśnie, które musiały być strasznie napięte. Na zewnątrz krzyczały mewy, witając świt i wiatry, które poniosą je na łowiska.

Bursztynowy Żuraw przykrył dłonią dłoń swej żony.

- Gnębią mnie dwie rzeczy w związku z tym przydziałem i żadna z nich nie jest racjonalna. Po pierwsze to ty, moja córka, ruszasz na sześć miesięcy do miejsca, które jest niepokojąco daleko. Będiesz tam sama, nie licząc jednego gryfa. Gdyby chodziło o kogoś innego, pożegnałbym ją czy jego z lekkim sercem i zajął się własnymi sprawami.

- Ale nie chodzi - oświadczyła.

- Nie - westchnął i poklepał dłoń Zimowej Łani. - Twoja matka radzi sobie lepiej niż ja.

- Absolutnie ufam Aubriemu i Judeth - odparła Zimowa Łania spokojnie. - Nie wysłaliby tak daleko kogoś, kto nie byłby przygotowany na każdą okoliczność. - Jej głos nieco stwardniał, gdy na niego spojrzała. - Jeśli nie ufasz Klindze, kochanie, przynajmniej im zaufaj.

- Ufam. Rozumowo - zaprotestował Bursztynowy Żuraw. - Ale... trudno jest przekonać uczucia.

Zwrócił się ku Klindze, która była coraz bardziej zakłopotana decyzją rodziców, aby odsłonić przed nią duszę. Próbowwała tego nie okazywać. Pod zakłopotaniem kryło się rozdrażnienie.

Czy on nie może zrozumieć, że jestem dorosła i nie potrzebuję go, aby usuwał mi przeszkody z drogi? Nie może pozwolić mi odejść?

- Drugi problem jest stary, znacznie starszy niż ty - powiedział szczerze. - I nie ma absolutnie nic wspólnego z twoimi możliwościami; zawsze będę to czuł, nawet gdybyś była legendarną wojowniczką z magicznym mieczem u boku. Dla mojego serca nie liczy się, że mamy pokój, że po prostu jedziesz do dżungli obsadzić posterunek. Problemem tkwi w tym, że wyjeżdżasz. Kiedy - cień bólu przemknął po jego wyrazistej twarzy - kiedy ludzie odjeżdżali w czasie wojny, nie zawsze wracali. - Otworzyła usta, aby zaprotestować; uprzedził ją.

- Wiem, że mamy pokój, wiem, że nie ruszasz walczyć z wrogiem, wiem, że jedynymi wrogami są burze i wypadki. Ale ciągle reaguję emocjonalnie, widząc ludzi ruszających na paramilitarną misję, a fakt, że bierze w niej udział moja córka, tylko pogarsza sprawę. - Uśmiechnął się lekko. - Obawiam się, że nie możesz dyskutować z uczuciami.

Spojrzała na wypolerowany drewniany blat i narysowała coś wskazującym palcem, śledząc słoje. Czego, na litość boską, oczekiwał? Co mogła powiedzieć? *To było lata temu, zanim jeszcze przy szlam na świat. Czy nie możemy już z tym skończyć? Ponoć jest wielkim czarownikiem uczuć, więc dlaczego nie założy własnym wędzidła? Co może się nie powieść na tym posterunku? Będziemy mieć ze sobą teleson, będziemy się meldować, a jeśli nasze życie będzie zagrożone i nie będą nam mogli szybko przysłać pomocy, zaryzykują i ściągną nas przez Bramę!*

Ale nie to chciał usłyszeć, poza tym te słowa by nie pomogły.

- Rozumiem. To znaczy, wydaje mi się, że rozumiem. Spróbuję - dokończyła potulnie.

Jasne, oddziela nas dżungla, ale kiedy już tam dotrzemy, będziemy w ufortyfikowanym posterunku, zbudowanym, aby wytrzymał burzę, oblężenie i trzęsienie ziemi. I oczywiście nikt nigdy nie próbował przejść przez tę dżunglę, ale będziemy lecieć, nie iść! Czy jest coś, co może nas stracić na ziemię, z czym Kaled'a'in lub Haighlei nie mieli już do czynienia?

Było niewielkie prawdopodobieństwo, że niektóre magiczne stworzenia Ma'ara przetrwały kataklizm. Jeszcze mniejsze, że któreś przedostało się tak daleko na południe. A jeśli nawet, niewiele z nich mogło kiedykolwiek zagrozić gryfowi. *Ostatni makaar zdechł wieki temu, a nigdy nie istniało nic innego, co mogłoby stracić gryfa. Będziemy lecieć zbyt wysoko, aby mogły nas dosięgnąć pociski, a nawet jeśli nie, to i tak między nami a snajperem znajdzie się cała masa sprzętu i kosz z*

zapasami.

- Tato, obiecuję, że nic nam się nie stanie - powiedziała tylko, przeliskając ostatni kęs suchego chleba. - Makaary wymarły, a nic innego nawet nie tknie piór Tadritha. Widziałeś go: jest jednym z największych i najsilniejszych gryfów wśród Srebrzystych!

Ale Bursztynowy Żuraw potrząsał głową.

- Klingo, nie chodzi o to, że ci nie ufam czy nie wierzę w ciebie, ale ten świat kryje więcej niespodzianek, niż ty i Tadrith kiedykolwiek widzieliście. W Wojny Magów zaangażowanych było więcej magów niż Urtho i Ma'ar; wielu z nich stworzyło bardzo niebezpieczne zwierzęta i nie wszystkie zdychały tak szybko jak makaary. Przyznaję, jesteśmy bardzo daleko od pól bitewnych, ale my dotarliśmy tak daleko, więc dlaczego inne stwory nie mogły tego powtórzyć?

Nie będzie mnie słuchał - uświadomiła sobie. *Jest zdecydowany bać się o mnie bez względu na to, co powiem.* Prędzej gryf przeszedłby przez ucho igielne, niż Bursztynowy Żuraw zmienił zdanie.

- A poza tym, jak wiesz, burze magiczne, które nadeszły po kataklizmie, wypaczyły wiele, wiele teoretycznie nieszkodliwych stworzeń i wpłynęły na inne. - Wysunął uparcie podbródek. - Zapytaj Śnieżną Gwiazdę, jeśli mi nie wierzysz; pewne terytoria, które przekraczaliśmy, były niewiarygodnie trudne do pokonania, a to było tylko po roku ekspozycji na burze magiczne! Mieliśmy wiele, wiele szczęścia, że większość napotkanych przez nas stworzeń była ledwo inteligentna.

- Hybrydy i zmiennolicy wymierają w ciągu jednego pokolenia - odparła, pozwalając zawładnąć sobą niecierpliwości. - To zwykły fakt, ojcze. Zbyt wiele rzeczy jest nie tak z magicznymi stworzeniami, aby długo pożyły.

Uniósł jedną brew, a wyraz jego twarzy powiedział jej, że przyłapał ją na błędzie.

- Urtho nie był nieomylny - rzekł cicho. - Zdarzyło mu się wiele wypadków, gdy tworzył swe nowe istoty. Jeden z takich wypadków odpowiadał za wytworzenie się inteligencji u kyree, a inny za inteligencję hertasi. Żadna z tych ras nie wymarła w ciągu jednego pokolenia.

Dostrzegła słaby punkt w jego argumentach.

- Przypadek może odpowiadać za inteligencję u stworzenia, ale nie za samo stworzenie - sprzeciwiła się. - Stworzenie istot wymaga myślenia, planowania i techniki. Przypadek nie jest w stanie tego po wtórzyc!

Wyglądał tak, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

- Poza tym - ciągnęła Klinga, wykorzystując przewagę, dopóki ją miała. - Ludzie od lat obsadzają ten posterunek i nikt niczego nie widział, ani tam, ani po drodze. Czy nie sądzisz, że gdyby miały nas spotkać kłopoty, ktoś miałby je wcześniej?

Bursztynowy Żuraw opuścił oczy, pokonany i potrząsnął głową.

- Przyłapałaś mnie - przyznał. - Ale jest jeszcze coś. Nie wiemy, co się znajduje za posterunkiem i przylegającym doń terenem. Haighlei nigdy tam nie byli, my też nie. Kto wie, może jest tam armia wojennych uchodźców, która was zaatakuję, albo czarodziej renegat szykujący się do przejęcia władzy nad krajem...

- I to - rzekła stanowczo Klinga - jest podstawowy powód, dla którego tam będziemy. Naszym obowiązkiem jest czujność.

Nie mógł temu zaprzeczyć i nawet nie próbował.

Klinga wyrwała się rodzicom, obiecując, że nie odleca, dopóki oni nie przyjdą. Zjedną torbą przerzuconą przez plecy, drugą zwisającą z ramienia, biegła po sześciokondygnacyjnych schodach, które wiodły ku wąskiej ścieżce prowadzącej na szczyt klifu. Była tak przyzwyczajona do biegania po schodach podobnych do drabiny i serpentynowych drózkach, że nie była nawet zdyszana, kiedy dotarła na szczyt. W końcu spędziła tu niemal całe swoje życie, a strome płaszczyzny były jednym ze znaków szczególnych Białego Gryfa.

W dole, na zachodniej ścianie klifu, na której stało miasto, była w cieniu; wspinała się wraz ze wschodzącym słońcem i oboje - ona i słońce - wyrwali się w tej samej chwili ostatnim nocnym cieniem. Żółte palce spoczęły na niej, kiedy pokonywała ostatnie kilka stopni ścieżki. Poranek był piękny: horyzontu nie przecinały żadne chmury, zapowiadające burzę ze wschodu. Czerwone niebo było bezchmurne. *Jeśli mam podróżować, wolę takie poranki; ani obłoczka na niebie, a powietrze suche, chłodne i spokojne.*

Na szczycie klifu rozciągały się szerokie łąki i pola, pokrywające łagodnie falujące wzgórza. Oczywiście, były absolutnie nie do obrony; jak w Ka'venusho, fortecy Urtho, nie było porządnej góry, na której można było odpierać ataki. Dlatego samo miasto wbudowano w klif, a jedyną drogą dostępu była wąska ścieżka. Na Białego Gryfa nie można było nawet zrzucić pocisków, bo ścieżkę wykuto w skale tak sprytnie, że kierowała obiekty spadające z góry całkowicie poza miasto.

Pomysł Judeth, ale potrzeba było mądrych kamieniarzy, aby nadać kształt temu pomysłowi.

Na krawędzi stały wielkie konstrukcje z drewnianych ram i lin, które mogły opuszczać wielkie ilości materiału na pierwszy poziom miasta; tak transportowano w dół jedzenie z farm. Zaledwie kilku ludzi mogło jerozłożyć lub zniszczyć w kilka chwil. Nic tu na górze nie dostałoby się w ręce wroga, gdyby kiedykolwiek nastąpił atak.

Kiedyś rolnicy mieszkali w Białym Gryfie i każdego dnia wspinali się na górę, aby doglądać stad i pól; teraz już przestali podróżować. Na krawędzi wyrosła druga wioska, pełna stodół i domów, obór, warsztatów i zagród, do których zaganiano stada na te kilka dni w roku, gdy pogoda była zbyt kiepska, aby pozostawały na polach. Jeśli śnieżyce nadciągały znad morza, a nie od strony lądu, stada zaganiano do lasu, a ci, którzy nie musieli ich strzec, chronili się wśród grubych murów Białego Gryfa.

Zbrojownia i areszt Srebrzystych też mieściły się na klifie. Przestrzeń w mieście była zbyt cenna, aby ją zaśmiecać żelastwem. Co zaś się tyczy aresztu, większość kar odbywano, pracując w polu, a zysk płynący ze zbiorów oddawano tym, którzy ucierpieli. Ponieważ przestępstwa w mieście ograniczały się zazwyczaj do kradzieży lub rozboju, ofiary akceptowały takie wynagrodzenie. Byli tacy - niewielu - którzy stwarzali zagrożenie. Tych albo więziono na górze, w kajdanach, albo pozbywano się ich z dala od miasta. Po Hadanelicie już nikogo nie wygnano. Możliwość, że kolejny niebezpieczny przestępca przetrwa wygnanie, była zbyt wielkim ryzykiem.

Tuż przy areszcie mieściło się lądowisko. Na samym środku rozpościerało się coś, co przypominało olbrzymi kosz wielkości sześćoosobowego namiotu. Przywiązano do niego skomplikowaną sieć lin, a nieopodal stał Tadrith; hertasi pomagał mu wejść w ciężką skórzaną uprząż. Jak zwykle gryf prowadził żywy dialog z pomocnikiem, próbującym doskonale zamocować uprząż. Woląła im nie przeszkadzać; jej życie zależało od tej uprzęży i tego, czy będzie mu w niej wygodnie.

W tym właśnie koszyku ona i zapasy mieli się dostać na posterunek. Wydawał się o wiele za ciężki dla Tadritha i był taki w istocie. Nawet najsilniejszy z gryfów nie byłby w stanie bez pomocy podnieść jej samej w tym koszu.

Ale magia działała już stabilnie, a wszystkim zajął się mag, który miał za zadanie sprawić, aby kosz i jego zawartość były tak lekkie, jak

to tylko możliwe, biorąc pod uwagę zmiany przyspieszenia. Zmieniał koszyk w rodzaj jednej z latających barek Kaled'a'in. Tadrith nie niósł ciężaru, tylko go prowadził.

Zakłęcie było tak skomplikowane, że Klinga nawet nie starała się go pojąć. Wszystko w koszyku, ona również, zachowywało swą wagę, w innym przypadku nie przytwierdzone na stałe przedmioty uleciałyby z poranną bryzą. Ale dla Tada, chociaż kosz nie ciągnął go w dół, nadal istniał problem masy chwiejącej się na boki i przyspieszenia. Nie podnosił go, ale musiał włożyć nieco siły w ciągnięcie, jak dyheli i konie ciągnące latające barki.

Klinga podbiegła, aby sprawdzić zapasy ułożone w koszu. Jak obiecał Aubri, zaopatrzeniowiec zajął się wszystkim, czego ona i Tadrith potrzebowali, z wyjątkiem rzeczy osobistych. Większość potrzebnych rzeczy - tych, które były niezbędne po dotarciu na miejsce - wysłano już przez Bramę. Zabierali ze sobą tylko to, czego potrzebowali w podróży, czego nie zdążono przerzucić przez Bramę i co przyniosła ze sobą.

Tadowi na pewno ulży.

Tadowi ulżyło, kiedy powiedziała mu, że w sprawach strojów absolutnie nie przypominała ojca. Obywała się bez wymyślnych ciuchów; ale Aubri opisał kiedyś latającą barcę Bursztynowego Żurawia i gdyby gryfy mogły blednąć, Tad byłby biały jak papier na samą myśl, że miałyby pomóc w przemieszczaniu takiej ilości strojów, sprzętu i mebli.

Wrzuciła do kosza swoje dwie torby i spokojnie czekała przy lądowisku na zakończenie ostatnich poprawek. Oddelegowaną do nich her-tasi była Chana, córka Gestena; równie skrupulatna i sumienna jak ojciec, nie opuściła Tada, dopóki oboje nie byli zadowoleni z położenia każdego rzemienia. Klinga wiedziała, że każda sprzączka została sprawdzona dwa razy, każde kółko i nit poddane najdokładniejszym oględzinom. Chana niczego nie zostawiała przypadkowi i nigdy nie szła na ustępstwa, gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo.

W końcu cofnęła się.

- Może być - rzekła syczącym głosem. - Spróbuj donieść ten sprzęt z powrotem w jednym kawałku.

Klinga stłumiła chichot, bo ta uwaga była tak w stylu Gestena, jakby to on stał obok nich. Jak ojciec, Chana nie okazywała troski o kadetów jej przydzielonych, tylko o całość ich ekwipunku. Jednak oczywistym było, że skoro wyposażenie wracało do zbrojowni w oplakanym stanie, kadeci zjawiający się na lądowisku nie wyglądali lepiej.

Tad pomachał do niej, gdy Chana zaczęła sprawdzać mocowanie uprząży do koszyka.

- Jak przypuszczam, czekamy na rodziców? - zapytał od niechcienia. Westchnęła.

- Mimo że ucieczka bez słowa jest moim szczerym pragnieniem, jeśli nie pozwolimy im na pożegnalne fanfary, mogą nie pozwolić nam wrócić.

- Możemy nie chcieć wracać - burknął i niecierpliwie zwarł pazury. - Bo po powrocie zmienią nasze życie w piekło, wzbudzając poczucie winy.

Roześmiała się i poklepała go po ramieniu.

- Rodzice zawsze wiedzą, jak uderzyć w twe słabe punkty - rzekła. - W końcu to oni te słabe punkty stworzyli.

- Czy ja dobrze słyszę? Czy ktoś tu mnie cytuje? - Nowo przybyły miał strój i maniery równie eleganckie jak Bursztynowy Żuraw, ale mniej rzucał się w oczy. Klinga знаła go zbyt dobrze, by się czerwienić.

- Oczywiście, wujku Śnieżna Gwiazdo - odparła. - Skoro ty ich nie używasz, dlaczego ja nie mogę?

Zachichotał, słysząc tę impertynencję; oprócz Skandranona tylko ona odważała się rozmawiać z nim takim tonem. Narażanie się na gniew adepta tak potężnego jak Śnieżna Gwiazda nie było rozsądne, o czym boleśnie przekonali się niektórzy jego podwładni.

- Nie sądzę, żebyś miał jakieś problemy z zaklęciami nałożonymi na koszyk, Tadrith - powiedział, zwracając się do młodego gryfa. - Są tak silne jak wszystkie, które kiedykolwiek rzucałem.

Klinga przypuszczała, że jej "przyszywany" wujek razem z rodzicami przyszedł ich pożegnać; była zaskoczona, słysząc, że to on nałożył na koszyk zaklęcia umożliwiające latanie.

- Ty je rzuciłeś, wujku? - zdziwiła się otwarcie. - Czy to nie...

- Nie przystoi komuś z moją rangą? - roześmiał się. - Po pierwsze dobrze jest, gdy mag ćwiczy na wszystkim, co jest dostępne, a po drugie, gdyby magia zawiodła właśnie w waszym koszyku... - Zadrżał. - Powiem tylko, że wolałem sam się tym zająć, niż tłumaczyć rodzicom, dlaczego dopuściłem tu jakiegoś podrzędnego magika.

Klinga przytaknęła żałośnie.

- Święte słowa - rzekła. Dodałaby coś jeszcze, ale w tej samej chwili usłyszała znajome głosy dobiegające spod krawędzi klifu.

Prawie natychmiast Tad ostrzegawczo wskazał dziobem trzy szybko

zbliżające się gryfy, które mogły być tylko jego rodzicami i bratem.

- Do kompletu potrzeba nam tylko Judeth i Aubriego - mruknęła Klinga, z rezygnacją myśląc o długim i skomplikowanym pożegnaniu, co znacznie skróci światło dzienne, przy którym mogli podróżować.

- Narzekasz czy żadasz? - Komandor Judeth stanęła na progu kwater Srebrzystych, uśmiechając się. Nie była Kaled'a'in; jej włosy, zanim stały się śnieżnobiałe, były ciemnoblond, a oczy przejrzyste i szarozielone. Była jednym z generałów Urtho i rozumiała rolę oddziałów złożonych z nie ludzi, dowodząc nimi z wyczuciem i troską i wszyscy byli szczęśliwi, że znalazła się wśród k'Leshya, gdy ostatnia Brama się zapadła. Wielokrotnie dowodziła swej odwagi, tak podczas przemierzania ziem nękanych burzami magicznymi, jak i w Białym Gryfie. Ze swym partnerem Aubrim rozpoczęła organizację Srebrzystych i nazaczyła ich piętnem swej osobowości. Ona jedyna nosiła coś na podobieństwo munduru; czarną tunikę i nogawice, pozostałość po starych strojach. Gryfia odznaka lśniła dumnie na elegancko odzianej piersi.

Podeszła do lądowiska, mierząc Tada i Klingę taksującym spojrzeniem.

- Czy mam rozumieć, iż twoja uwaga sugerowała, że mogę przyczynić się do opóźnienia odlotu? - spytała.

Klinga zaczerwieniła się, a starsza kobieta pozwoliła, by po jej wargach przemknął cień uśmiechu.

- Zapewniam was, Aubri i ja przyszliśmy tu tylko po to, aby upewnić się, że wasi drodzy krewni nie będą przeszkadzać - rzuciła sucho i odchrząknęła.

- Bacność! - zawołała głosem, którym dowodziła tysiącami, gdy tylko Bursztynowy Żuraw i Zimowa Łania pojawili się na ścieżce. - Ruszać się, żegnać się, z życiem! To nie wakacje, tylko operacja wojskowa! Do dzieła!

- Dzięki bogom - szepnęła Klinga, gdy ich rodzice rzucili się wypełniać rozkaz. - Może jednak wylecimy stąd przed południem!

- Za kwadrans - odparła pewnie Judeth. - Albo wszyscy, zanim się obejrzyście, zaliczycie karny tor przeszkód!

Klinga zaśmiała się - Judeth nie składała czczych deklaracji i spełniałyby swą pogroźkę.

To, co zapowiadało się jako trudny odlot, przemieniło się w radosne pożegnanie, nawet gdy zbliżyły się rozczulone rodziny. Mogło być tylko lepiej.

ROZDZIAŁ TRZECI

Długo po tym, jak Srebrna Klinga i Tadrith zniknęli z zasięgu jego niezwykłego wzroku, Skandranon wpatrywał się w połacie niebieskiego bezchmurnego nieba. Kilka razy oszukiwał się, że czarna kropka na horyzoncie to oni, ale dał za wygraną; jego wzrok stopniowo tracił ostrość, a myśli zaczęły wędrować.

Był rozdarty między dumą i niepokojem. Ich odlot zostałby przez wszystkich uznany za bardzo dobry: stylowy, szybki, profesjonalny. Żadnych pokazów latania z figurami, ani jednego błędu w manewrowaniu. Gdyby on był w wieku Tada i miał taką widownię, kuśliby go popisanie się paroma sztuczkami.

I byłyby duże szansę na to, że wykonałbym je pierwszorzędnie. Ale z drugiej strony wyrobiłem już swój limit popisów. Ponieważ wschodzące słońce świeciło mu prosto w oczy, dalsze wypatrywanie przestawało mieć sens. Powstrzymał westchnienie i nakazał obolałemu żołądkowi, aby się pilnował; system trawienny gryfów i tak był wystarczająco delikatny, nie potrzeba mu było wrzodów ze zmartwienia.

Cóż, polecieci. Mój pisklak naprawdę się opierzył, przestał być podrostkiem i teraz... leci w swoją stronę po własne przygody. Prawdziwe przygody, a nie wysokie wyniki na torze przeszkód. Zapracuje na rozgłos zupełnie jak ja.

Popatrzył na Zhaneel i w jej wzroku dostrzegł odbicie swojej dumy i lęku. Nie okazałaby ich przed chłopcem i rzeczywiście przybrała dzielny i radosny wyraz twarzy, ale wiedział, że denerwował ją ten nagły odlot.

Próbował wyglądać na absolutnie pewnego siebie, ale musiał stoczyć walkę ze swym sercem i wcale nie był pewien wygranej. *Przygody. Ha!* Kiedy przygody nie były jego udziałem, nie uważał, że ich poszukiwanie było takim doskonałym pomysłem. Czy Tad był gotowy? W czasie wojny nie mieli wyboru, musieli stawić czoło niebezpieczeństwu, czy byli gotowi, czy nie, ale teraz mieli pokój i wydawało mu się, że mogli sobie pozwolić na większą ostrożność.

Rozpościerał skrzydła w miarę, jak rosła pokusa, aby wzbić się i polecieć za nimi. *Mógłbym trochę poćwiczyć. Lady Cinnabar zawsze mi powtarza, że powinienem więcej latać. A gdybym przypadkiem przeciął ich kurs...*

- Obiecałeś, że nie polecisz jako skrzydłowy, kiedy dzieci wyprawia

się na posterunek - szepnęła Zhaneel na tyle cicho, aby nikt inny nie mógł jej usłyszeć. - Pamiętaj. Obiecałeś.

Psiakrew. Obiecał. A ona czytała w nim jak w otwartej księdze. Rozpostarł skrzydła i ostentacyjnie je strzepnął.

- Cieszę się, że nie muszę lecieć - powiedział, by zapewnić ją, że słyszał i pamięta o obietnicy. Oczywiście, ostatniej nocy przyłapała go w chwili niezwyklej słabości, ale nie zmieniało to faktu, że złożył przyrzeczenie. Jeśli Czarny Gryf nie potrafił dotrzymać słowa danego żonie, kto mu zaufa?

Aubri parsknął kpiąco:

- Nie byłbyś w stanie odbyć takiego lotu, ptaku - rzucił. - Są od ciebie dużo młodszy i przede wszystkim w lepszej formie.

Skan szykował się do ciętej riposty, ale nagle zamilkł, myśląc. Tym razem nie da Aubriemu wygrać!

- Och, teoretycznie mógłbym - powiedział tonem starej matrony. - Tobie się udało, a jestem w lepszej formie od ciebie. Co więcej, Tad ciągnie koszyk, więc poleci w tempie, które nawet ty mógłbyś utrzymać. Ale w czym rzecz? Co miałbym udowodniać? Że jestem na tyle głupi, aby wyruszać w bezcelową podróż tylko po to, aby pokazać, że dorównuję młodzikowi? Byłaby to strata czasu, na którą mnie nie stać.

Aubri wyglądał na zaskoczony i zawiedziony, że tym razem Skan nie nadał się i nie zaczął przechwalać.

Zhaneel rzuciła mu wdzięczne spojrzenie, zapowiadające kolejny interesujący wieczór i kojące zranioną dumę.

Judeth przysłuchiwała się rozmowie z krzywym półuśmiechem i postanowiła przedstawić własne zdanie.

- Następne pokolenie wyrusza na łowy - rzekła, przeczesując włosy palcami - a my zostajemy w domu, aby dopilnować, żeby nie zastali tu zbyt wielkich zmian, gdy wrócą. Osobiście wcale im nie zazdroścę.

- Ani ja - dodał Skandranon. - Przygody zawsze niosły ze sobą wysokie ryzyko zderzenia z ziemią na pełnej szybkości i sporo bólu. Może pamięć mnie czasami zawodzi, ale tego nie zapomniałem.

Bursztynowy Żuraw ocknął się w końcu z zamyślenia i westchnął.

- Pamięć cię nie zawodzi, stary ptaku. Pamiętam, że zdarzało mi się wyciągać z ciebie połamane gałęzie i całkiem sporo kamieni, i to więcej niż raz. - Poklepał Skana po ramieniu. - Nie rozumiem, dlaczego nie wymyśliłeś łagodniejszego sposobu zbierania pamiątek.

Skan skrzywił się, a Aubri wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. Po błysku w jego oczach Skan poznał, że zbliża się kolejny zamach na jego dumę.

Ale Aubri nie wziął pod uwagę Zimowej Łani, która przysłuchiwała się konwersacji równie uważnie jak Judeth.

- A ja przypominam sobie, że zamiast zbierać pamiątki z terytorium nieprzyjaciela, Aubri upodobał sobie wrogi ogień - rzekła, mrugając dyskretnie do Judeth, tak że Aubri tego nie dostrzegł. - Właściwie robił to tak często, że jego eskadra porażenie przez kule ogniste nazywała "przyaubrieniem". Na przykład "Przyaubrili mnie i muszę poczekać, aż mi lotki odrosną". Albo "No, nieźle cię tam przyaubrili!"

Aubri zastygł ze zdumienia.

- Niemożliwe! - jęknął.

Oczywiście, że niemożliwe. Skandranon, któremu nie uszła wtedy żadna plotka, usłyszałby to określenie na długo, zanim doszło ono do uszu Zimowej Łani. Szczerze mówiąc, Zimowa Łania nie słyszała takich plotek, bo dopóki nie została kochanką Bursztynowego Żurawia, traktowała gryfy ze swego skrzydła jak trochę inteligentniejsze zwierzęta, a takie nastawienie sprawiało, że nikt nie miał ochoty z nią rozmawiać.

Ale reakcja Aubriego była tak gwałtowna, że nikt się nie kwapił do sprostowania informacji. Wreszcie ktoś oprócz Skana obrywał po uszach!

Co to, moje urodziny? Czy też Bogini Kaled'a'in postanowiła mnie choć przez moment pobłogosławić?

Judeth potarła skrzydełko nosa.

- Obawiam się, że to możliwe - potwierdziła złośliwie, a potem rozwinęła wypowiedź. - Kiedy twoja eskadra się meldowała, zawsze chcieli, żebyś ty latał na końcu klucza, bo byli wtedy prawie pewni, że nikt inny nie zostanie trafiony kulą ognistą albo błyskawicą. Raz czy dwa słyszałam, jak rozmawiali o "Zwęglonym", wydaje mi się, że mieli ciebie na myśli.

Aubri poruszał dziobem, ale na próżno; z jego gardła wydobywał się tylko skrzek.

- Mogło być gorzej - ciągnęła Zimowa Łania, szykując się do ostatecznego ciosu. - Udało mi się odwieść ich od wołania na ciebie "Kurczę Pieczone".

Oczy Aubriego rozszerzyły się; podniósł głowę i otwierał dziób, ale je-

dynym słowem, jakie zdołał z siebie wydobyć, było "ale..." Ponieważ zabrzmiało to dokładnie jak głos znieważonej matrony, całe zgromadzenie wybuchnęło głośnym śmiechem. A jeśli nawet ów śmiech był nieco nerwowy, cóż, oto czworo zdenerwowanych rodziców, którzy gwałtownie potrzebowali odreagowania.

Śmiali się tak długo, że ludziom oczy zaszyły łzami, a nozdrza Aubriego stały się purpurowe. Zimowa Łania uratowała go przed atakiem apopleksji, wyznając, że wszystko wymyśliła.

- Nie żebyś nie zasługiwał na przydomek, przecież tyle razy przylatywałeś pokaleczony - dodała. - Ale nikt nigdy nie miał zamiaru ci dogryzać.

Aubri zamruczał, nadal mając postawione lotki.

- Nie odważyliby się - rzekł tylko, a Judeth odprowadziła go na bok, aby ukoić zranione uczucia i ułożyć zmierzwiłone pióra.

- Nie sądzę, aby lubił być obiektem szyderstw - zauważył cicho Bursztynowy Żuraw.

- Może wreszcie przestanie dogryzać Skandranonowi - odparła Zhaneel ostro. - Co za dużo, to niezdrowo, a on zrobił sobie ze Skana oselkę do ostrzenia języka! Mam tego dość! Skandranon na to nie zasługuje; jeśli Aubri nie zmieni przyzwyczajzeń, będą problemy, bo młode gryfy uwierzą w te jego złośliwości. Pomyślą, że wszystko, o czym Skan opowiada, to tylko czcze gadanie i przechwałki!

Skan odwrócił się zaskoczony; nieczęsto stawała tak ostro w jego obronie.

- Aubri nie ma nic złego na myśli - bronił starego przyjaciela. - Starzeje się i dziwaczeje, i lubi być złośliwy. Nie sądzę, aby młodzi przestali mnie szanować dlatego, że on próbuje się ze mną prekomarzać.

Zhaneel parsknęła i ze złością zamiotła ogonem.

- Być może, nie będę napominać go przy wszystkich, ale mam dosyć i może się spodziewać, że od dziś odpłacimy mu pięknym za nadobne.

- Zgadza się - poparła ją Zimowa Łania, krzyżując ramiona na piersi. - W końcu Skan zasługuje na szacunek. Może nie tak wielki, jak byś chciał, ty próżne stworzenie - zwróciła się do Skandranona - ale większy, niż okazuje ci Aubri.

Skan spojrział na Bursztynowego Żurawia, który wzruszył ramionami.

- Nie mieszaj mnie w to - powiedział. - Nie sądzę, żeby Aubri traktował poważnie to, co mówi i nie wydaje mi się, aby inni jego traktowali

poważnie, ale sędzę też, że zostałem przegłosowany.

Zimowa Łania wykrzywiła się i objęła szaropióre ramiona Zhaneel.

- Chodź, moja droga - powiedziała do gryficy. - Myślę, że powinniśmy to dokładnie przedyskutować tylko we dwie, ponieważ mężczyźni nie traktują tej sytuacji z powagą, na jaką w naszym mniemaniu zasługuje.

- Zgadza się - odparła Zhaneel i obie ruszyły ku krawędzi j klifu i kilku ławeczkom, które tam ustawiono.

Skandranon spojrział na Bursztynowego Żurawia z bezgranicznym zdziwieniem i odkrył, że ten spogląda za dwiema kobietami z wyrazem absolutnego niedowierzania na twarzy.

- Co wywołało ten zamęt? - zapytał, z całych sił próbując zebrać myśli. Bursztynowy Żuraw potrzęsnał głową.

- Wiem tyle, co ty - przyznał. - Może teraz, kiedy ich pisklaki wyleciały z gniazda, obie poczuły, że muszą czegoś bronić. I choć jestem pewnym autorytetem w sprawie ludzkich uczuć, muszę oświadczyć, że czasami pani Zimowa Łania zaskakuje mnie. - Pokazał podbródkiem ścieżkę. - Masz ochotę na spacer ze mną, abyśmy mogli się wspólnie pomartwić o dzieci?

Skana odetchnął głęboko; Żuraw martwił się o Tada i Klingę tak samo jak on!

- Owszem, mam - przyznał żałośnie. - Zhaneel kazała mi przyrzec, że z nimi nie polecę i nie będę z nią o nich rozmawiał, dopóki sama nie podejmie tego tematu. Szkoda, że nie wierzę tak jak ona, że wszystko będzie dobrze. Nie mogę się powstrzymać i myślę o wszystkim, co może się nie udać.

Bursztynowy Żuraw poszedł za przykładem swej żony i objął Skana. Ten poczuł się lepiej; ramię na jego plecach przypominało o wsparciu starego, zaufanego przyjaciela, choć ten przyjaciel też potrzebował opieki. Przysłowie mówiło, że piękna połowa łuku jest tylko kupą kamieni, jeśli nic jej nie dopełnia.

- Tyle się może wydarzyć nawet w najspokojniejszym czasie. Ja też mam jak najgorsze przeczucia - wyznał Bursztynowy Żuraw. - Ale jak mi słusznie przypominała Klinga, ich zadaniem nie jest konfrontacja z nieprzyjacielem. W pewnym sensie są tylko zwiadowcami. Jeśli zdarzy się jakieś niebezpieczeństwo, mają za zadanie wysłać ostrzeżenie przez teleson, a potem trzymać się z dala, aby mogli wrócić i złożyć nam szczegółowy raport.

Skan uważał, aby nie nastąpić Żurawiowi na odciski i parsknął w odpowiedzi.

- A jakie jest prawdopodobieństwo tego zdarzenia, co? - spytał. - To nasze dzieci! Czy ty naprawdę myślisz, że istnieje choć cień szansy, że nie uznają się za awangardę Białego Gryfa. I nie skonfrontują z nieprzyjacielem, jeśli się takowy pojawi?

Wepchnął Bursztynowego Żurawia w przestrzeń między swym bokiem i klifem i zaczęli schodzić do miasta. Jeśli któryś z nich miał się potknąć, lepiej żeby to był Skan, bo w przeciwieństwie do przyjaciela potrafił latać.

- Szczerze mówiąc, nie wiem - przyznał. - Moja córka zaskakuje mnie częściej niż moja żona. Czasami zastanawiam się, czy akuszerka nie podmieniła dzieci, kiedy Klinga przyszła na świat. Spogląda na sprawy zupełnie inaczej niż któreś z nas, a uwierz mi, próbowałem znaleźć z nią wspólny język.

- Wiem, o co ci chodzi - odparł smutno Skan. - Chociaż Keenath martwi mnie bardziej niż Tadrith. A jednak. Tylko dlatego, że nie widzieliśmy nigdy, aby zachowywali się tak jak my w ich wieku, nie znaczy od razu, że się tak nie zachowują. Jeśli rozumiesz, co próbuję powiedzieć.

- Chyba tak. - Bursztynowy Żuraw przeskoczył wystający kamień i ciągnął: - Dzieci zachowują się inaczej, gdy w pobliżu są rodzice, a inaczej, kiedy są same. Przynajmniej tyle udało mi się zaobserwować w życiu zawodowym i prywatnie.

Oczywiście nie pamięta, aby się tak zachowywał; stracił rodziców i rodzinę, kiedy był ledwie opierzony. Ale ma rację; ja zachowywałem się odwrotnie niż rodzice. Zawsze chcieli być tylko naśladowcami, a ja chciałem, aby inni uznawali mnie za przywódcę. Czasami zastanawiam się, czy nie byli mądrzejsi ode mnie.

- Szkoda, że nie możemy się z nimi kontaktować inaczej niż przez teleson - westchnął. - Kusi mnie, żeby był tu Urtho i stworzył kolejną Kecharę...

Nie potrafił dokończyć zdania; ból po stracie Urtho, który odczuwał, nawet wymieniając imię twórcy swej przybranej córki, zdławił mu głos.

- A jeszcze bardziej bym chciał, aby była taka jak przedtem - westchnął Bursztynowy Żuraw. - Nie tylko dlatego, że byłaby teraz użyteczna. Chętnie nadal bawiłbym się w uniki i polityczne owijanie w

bawełnę, aby ukryć ją przed Haighlei, gdyby mogła nadal być tak potężnym myślmówcą. Jest taka radosna; nie żał mi jej mocy, jeśli mogę ją oglądać żywą i szczęśliwą.

Kechara była jednym z “wytworów” Urtho, choć Skan nigdy nie odkrył, co jego przywódca, mentor i przyjaciel zamierzał, tworząc ją. Czy była pierwszym podejściem do gryfsokołów, których wspaniałym przykładem była Zhaneel? Czy też zamierzoną próbą stworzenia gryfów o niezwykłej sile myślmowy? Czy też wypadkiem, czymś, czego Urtho w ogóle nie planował, eksperymentem, który przeprowadził do końca, a potem ukrył dla jej własnego dobra?

Niezależnie od tego, takich jak Kechara gryfy nazywały wyrodkami. W znacznym stopniu skarłała, kaleka, ze skrzydłami zbyt długimi dla małego ciała, miała umysł dziecka. Ale siła jej myślmagii była nie do pokonania. Słodka mała Kechara była w stanie osiągnąć myślmową aż do Khimbaty, stolicy Haighlei; w ten sposób dawno temu odkryła, że Skana i Bursztynowego Żurawia uwięziono. Szaleniec Hadanelith i jego dwaj współnicy z Haighlei porwali ich, planując zamordowanie cesarza Shalamana podczas Ceremonii Zaćmienia. Bez Kechary Skan nigdy nie byłby w stanie wydostać się na czas, aby ocalić króla, a Bursztynowego Żurawia na pewno nie byłoby wśród żywych. Przejęta niebezpieczeństwem, w którym się znalazł, a które nawet ona była w stanie pojąć, wydała z siebie mentalny wrzask tak głośny, że przebił magiczne zasłony współników Hadanelitha.

Urtho zdawał sobie sprawę z tego, jak potężnymi zdolnościami dysponowała i trzymał ją w swej Wieży dla jej własnego dobra. Wiedział, że mogła zostać uznana za cenny łup albo skuteczną broń i chciał oszczędzić jej tego losu. Ale sądził, że dni Kechary były policzone i bardzo się pomylił.

Skan potrząsnął głową.

- Zgadza się. I wiem, że nigdy nie zaryzykowałbym, że urodzi się kolejne pisklę z problemami nawet gorszymi niż jej; nie mamy zdolności i wiedzy Urtho. Wszyscy ją kochamy, ale obiektywnie rzecz biorąc, skazy Kechary są zbyt wysoką ceną za jej dar. Szczerze mówiąc, myślę, że jeszcze nie oszalała tylko dlatego, iż nie rozumie większości rzeczy, które przeczytała w umysłach innych.

Robił, co w swej mocy, aby nigdy nie utraciła zaufania do ludzi; podobnie jak Aubri, Judeth i inni mieszkańcy Białego Gryfa, którzy się z nią stykali. Kechara zaś służyła miastu i ludziom wiernie i radośnie.

Starannie przekazywała wiadomości, które ledwie rozumiała, do i od Srebrzystych, którzy nie dysponowali magią umysłu. Starali się, aby to zadanie nigdy nie stało się dla niej udręką, a ona uwielbiała aprobatę i uwagę, jaką ją obdarzali.

Skan pomyślał, że Haighlei zachowywali się dziwnie: dla nich stworzenie z umysłem dziecka i zdolnością odczytania myśli każdego było nie do pomyślenia. Rok czy dwa po Ceremonii Zaćmienia Skan był przekonany, że Kaled'a'in zdołają ukryć istnienie Kechary przed sprzymierzeńcami, ale ci w końcu odkryli, czym była. Usłyszeli wiele, wiele zakamuflowanych aluzji, dyplomatycznego gadania i dyskretnych sugestii. W końcu nadszedł oficjalny komunikat od króla Shalamana doradzający “permanentne wyeliminowanie długodystansowego przekaźnika w Białym Gryfie” - czyli Kechary - i jasno dający do zrozumienia, że nie była to niewinna prośba, a niespełnienie jej mogło mieć bardzo poważne konsekwencje. Skandranon, Zhaneel i Bursztynowy Żuraw udali się do Khimbaty, aby porozmawiać z cesarzem w cztery oczy i wrócili do Białego Gryfa z delegacją magów dowodzoną przez Leyueta Doradcę. Między różnymi nerwowymi ceremoniami “tata Skan” wytłumaczył Kecharze, że nastał czas, aby odpoczęła od swej pracy i że muszą się upewnić, iż już nigdy nikt się jej nie przestraszy. Kechara, oczywiście, absolutnie ufała Skandranonowi i radośnie powitała delegację. Ponurzy Haighlei, przygotowani na spotkanie z potworem i walkę z jego straszliwą mocą pętającą dusze, stanęli oko w oko ze stworzonkiem, które uznało ich za bardzo śmiesznych i zażądało ich absurdalnie bogatych i kolorowych kapeluszy do zabawy.

Tacy są Haighlei. Podejrzewam, że człowiek mógłby im sprzedać wszystko, gdyby tylko owinął to w odpowiednie nakazy i zakazy historycznego protokołu. Przecież Shalaman był tak zaszokowany tymi morderstwami na dworze, bo nie dokonano ich według odpowiedniego protokołu! Może gdybyśmy znaleźli sposób, w jaki Kechara mogłaby służyć Shalamanowi według zasad ich religii, zachowałaby swą moc - ale okłamałibyśmy ją i prawdopodobnie stałaby się tylko narzędziem, jak się obawiał Urtho. Gdyby została użyta przeciw nam i zdała sobie z tego sprawę, straciłaby swą słodką niewinność. A tak przynajmniej może być w domu i się bawić. I może rozmawiać ze wszystkimi gryfami, które znajdują się w granicach miasta.

- I co teraz zrobimy, druhu? - zapytał starzejący się gryf, schodząc powoli ku najwyższym tarasom miasta. Na tym poziomie odbierano

wszystko, co spuszczano z góry i ładowano na windy zaopatrzenia dla farm. Robotnicy już rozładowywali jedzenie przysyłane z pól i będą to robić cały dzień. - Chodzi mi o dzieci.

- A co możemy zrobić? - spytał Bursztynowy Żuraw lekko poirytowanym głosem. Podszedł do szerokich, pomalowanych na biało schodów, które tworzyły załamanie na głowie Białego Gryfa. - Nic. To ich praca; praca, którą wybrali. Zostali do niej przydzieleni przez przełożonych, którzy uznali ich za zdolnych do służby. Czy ci się to podoba, czy nie, są już dorośli i obawiam się, że lepiej będzie, jeśli zaczniemy się do tego przyzwyczajać.

Skan zwiesił dziób i ruszył za nim, szurając szponami po kamiennej rampie przy schodach, którą łatwiej było gryfowi pokonać.

- Nie podoba mi się to - rzekł w końcu. - Ale nie umiem powiedzieć dlaczego.

Bursztynowy Żuraw zatrzymał się nagle, odwrócił i spojrzał na przyjaciela z tak zmartwionym wyrazem twarzy, że gryf aż stanął na niższym stopniu.

- Mnie też nie, a nie mam żadnego powodu, aby się tak czuć. Szkoda, że nie mogę powiedzieć o moim przeczuciu, bo ta pewność, że coś się nie powiedzie, upodabnia mnie do nerwowej starej ciotki...

- Ale? - nalegał Skan. - Martwisz się, że nie masz odpowiedniej sukni, żeby zagrać ciotkę?

Bursztynowy Żuraw zachichotał, potem westchnął.

- Ale obawiam się, że nie mam podstaw, a nikt z jasnowidzów nie stwierdził wyraźnie, że coś się stanie Klindze i Tadowi. Wiem, co powiedziałbym mojemu klientowi, gdyby się tak czuł.

Skan spojrzał przyjacielowi w oczy i potrząsnął głową.

- Niech zgadnę. To, co czujemy, jest kombinacją starych reakcji wojennych i żalu, bo opierzenie się naszych piskląt jest nieomylnym znakiem, że się starzejemy.

- Absolutnie. Kto chce pogodzić się z nim, że się starzeje? Na pewno nie ja, bądź pewny. - Bursztynowy Żuraw był szczery i smutny. - Od dziesięcioleci utrzymuję ciało w formie, katuję je na różne sposoby, mogę być rozluźniony jak puch i napięty jak rzemień, ale... wszystko miało trwać jak najdłużej. Nigdy nie zastanawiasz się nad starością, gdy się starzejesz. A potem nagle ona już tu jest i gapi ci się w twarz. Bolać cię kości i stawy, młodzi się martwią, czy się aby nie nadwerężasz, a kiedy próbujesz im wytłumaczyć, że doświadczenie coś jednak

znaczy, że wiesz więcej niż oni, przyłapujesz ich na wymienianiu spojrzeń, kiedy myślą, że nie patrzysz.

- Rzeczywiście. Uważam, że to okrucieństwo życia. W jednej chwili się oburzamy, bo nie uważa się nas za wystarczająco dorosłych, aby powierzać nam interesujące zajęcia, a potem, nagle, ledwo opierzone piasklaki odlatują, aby robić rzeczy, których my już nie możemy robić! - Skan potrząsnął głową i zapatrzył się w ocean. - I jeszcze mamy to przyjąć z godnością! To niesprawiedliwe. Protestuję! Uważam, że powinienem zostać zrzędą. Moje narzekanie zaspokoi wtedy oczekiwania ludzi.

- Za późno.

Skandranon parsknął.

- Będę wyjątkiem. Zasłużyłem sobie na tytuł. Król Zrzęda.

- Dopust Boży i Kara za Grzechy. Mogę się do ciebie przyłączyć? Będziemy obaj dostarczać młodym rozrywki. - Bursztynowy Żuraw wyrzucił z siebie trochę niepokoju, a Skan, zaskoczony, stwierdził, że sam też się rozluźnił.

- Jasne - odparł Czarny Gryf z godnością. - Chodźmy na tor przeszkód i głośno komentujmy, jak to my pokonywaliśmy go lepiej i szybciej.

- I w lepszym stylu - dorzucił Żuraw. - Z lekkością i gracją, bez brutalności.

- Naturalnie - zgodził się Skan. - O ile im wiadomo, nie mogło być inaczej.

- A jak bardzo ty się martwisz? - zapytała Zimowa Łania Zhaneel, kiedy tylko Skandranon nie mógł ich usłyszeć. Jako trondi'irn miała niejakie pojęcie, jak bardzo czule były wszystkie gryfie zmysły, a Skana zdolności znała aż za dobrze. Mimo że zaczął już cierpieć na dolegliwości związane z wiekiem, nadal był wspaniałym okazem o niezwykłych zdolnościach, nie tylko w swej grupie wiekowej, ale wśród wszystkich gryfów.

- O Skana czy o dzieci? - spytała Zhaneel, zerkając spod oka na towarzyszkę.

- Hmm. O wszystkich, oczywiście - rzekła, oddając spojrzenie. *Jest tak spostrzegawcza, jak się spodziewałam.* - Najpierw o Skana. Z nim musimy żyć.

- Tak jak z Bursztynowym Żurawiem, nie? - podjudziła Zhaneel. -

Cóż. Siadaj obok mnie, aby wiatr poniósł słowa, których inni nie powinni podsłuchać, i porozmawiamy o mężach. - Wskazała dziobem piękną drewnianą ławkę zrobioną z konarów przyniesionych przez wiatr i morze i usiadła obok niej na chłodnych kamieniach klifu.

Zimowa Łania spoczęła wdzięcznie na ławeczce i położyła ramię na oparciu.

- Żuraw jest bardzo nieszczęśliwy. Podejrzewam, że oczekiwał, iż Judith i Aubri przydzielą Klingę do ochrony albo patrolowania miasta. Nie sądzę, aby kiedykolwiek przyszło mu do głowy, że wyślą ją tak daleko.

Mnie też to nie przyszło do głowy, a powinno. Wiedziałam od roku, że Klinga chce wyrwać się z miasta i od nas. Może gdyby Żuraw nie był tak nieprzejednany, żeby mieszkała z nami aż do mianowania na Srebrzystą...

Keeth i Tad byli w stanie się wyprowadzić po części dlatego, że Skan pożyczył im pieniędzy na wykopanie nowego domu na wymianę. Wyczuwając niepokój Klingi, Zimowa Łania próbowała namówić Żurawia, aby zrobili to samo, jednak nawet nie chciał jej słuchać.

Dlaczego miałyby się wyprowadzić? - zapytał wtedy. - Ona nie potrzebuje swojego miejsca. Zapewniamy jej tyle prywatności, ile miałyby we własnym mieszkaniu i nie sądzę, aby czuła się zakłopotana przeprowadzając tu kochanka! - westchnął dramatycznie. - Ale na to się nie zanosz. Biorąc pod uwagę, jak się zachowuje, śluby czystości tylko polepszyłyby jej życie seksualne. Gdzie popełniliśmy błąd? Zupełnie jakby nie chciała słuchać swego ciała.

Zimowa Łania mogła mu powiedzieć, że dzieci zawsze są zażenowane obecnością rodziców, kiedy próbują pierwszych, nieśmiałych kroków tańca miłosnego i onieśmielane przez nich, kiedy dowiadują się po raz pierwszy, jakimi dorosłymi się staną - ale wiedziała, że nie uwierzyłby jej. Uwierzyłby, gdyby Klinga była cudzym dzieckiem, ale nie, gdy to on był ojcem. *Rodzic może czasami być zbyt blisko dziecka, aby myśleć obiektywnie.* Kiedy chodziło o potomstwo innych, zauważał całe płótno - ale gdy chodziło o własne, zauważał jedynie codzienne szczegóły, pojedyncze nitki, a nie cały splot. Bursztynowy Żuraw mimo swego talentu nie dostrzegął, że Klinga nie chce poznawać potrzeb swego ciała w obecności rodziców. Gdyby Klinga zdecydowała się działać i otwarcie poprosiła o własne mieszkanie, prawdopodobnie ugiąłby się i spełnił jej życzenie. Ale była zbyt nieśmiała i zbyt dumna, a teraz,

patrzac wstecz, Zimowa Łania zrozumiała, że podanie o przydział na odległy posterunek było w oczach córki, jedynym sposobem na zdobycie odrobiny prywatności.

- Skan się boi, ale nie załamuje - powiedziała Zhaneel po chwili, podczas której spoglądała na ocean. Być może śledziła flotę; rybacką; jej oczy były wystarczająco bystre, aby ze szczegółami; rozróżnić rzeczy, które dla Zimowej Łani pozostawały kropkami na horyzoncie. - Mam nadzieję, że gdy zrozumie, iż dzieci sobie poradzą, będzie mniej histeryzował. Częściowo jest temu winien bezruch, a częściowo fakt, że chce robić wszystko, a nawet gdyby był młody, nie mógłby zrobić połowy tego, o czym teraz marzy!

Zimowa Łania zaśmiała się słabo.

- Dziwne, jak młodzieńcze zdolności rozrastają się z wiekiem, nie sądzisz? - rzekła. - Jestem absolutnie pewna, że pamiętam, iż mogłam pracować bez ustanku dwa dni i dwie noce, jeździć konno jak Kaled'a'in i strzelać jak najlepszy najemnik a oprócz tego wywiązywać się z obowiązków trondi'irn. Oczywiście nie mogłam, ale pamiętam, że tak robiłam.

- Ja też - zgodziła się Zhaneel. - Ze Skandranonem nią będzie tak źle jak z Bursztynowym Żurawiem; nasze dzieci to chłopcy i jeden nam jeszcze został. Twoja sokoliczka była jedynym pisklakiem w gnieździe, a do tego kobietą. Mężczyźni chronią swoje samiczki; mają to we krwi.

- I masz rację, bo chociaż Bursztynowy Żuraw zaprzeczy, martwi się bardziej, ponieważ Klinga jest kobietą. - Zimowa Łania zapatrzyła się w morze, zastanawiając się, jak uda jej się przekonać męża, że ich "delikatna dziewczyneczka" była równie krucha jak hartowana stal. - Może jeśli porównam ją do Judeth? - zastanawiała się głośno. - Nie sądzę, aby Klinga robiła to świadomie, ale widzę, jak naśladuje zachowanie charakterystyczne dla Judeth.

- On ją podziwia i szanuje, a poza tym widział ją w działaniu; wiedział, że Judeth specjalnie szkolila waszą Klingę i być może to go pocieszy - stwierdziła Zhaneel, a potem potrząsnęła głową, co było oznaką zniecierpliwienia. - Nie wiem, co jeszcze mogłabyś zrobić. A co ja pocznę ze Skanem? Skupię jego uwagę na Keenacie?

- Czy możemy go włączyć w trening Keenatha? - spytała Zimowa Łania. - Nie radzę sobie w tym, a ty i Skan wymyśliliście bieg z przeszkodami. Wszyscy trondi'irn zaczynają od treningu na polu bitwy, ale gryfi tor przeszkód u Srebrzystych jest symulacją walki, a nie udziela-

nia pierwszej pomocy. Niezbyt się nadaje, a nie wiem, jak go zaadaptować.

- Dobrze. To chyba się uda. Poćwicz i będzie miał o czym myśleć. A przynajmniej poćwicz coś oprócz wspinania się na moje ramiona. - Zhaneel przechyliła głowę. - A co z Zimową Łanią? Co z Zhaneel? Co my zrobimy, żeby nie myśleć o naszych nieobecnych dzieciach?

Zimowa Łania potrząsnęła głową.

- No właśnie. Szczerze mówiąc, nie wiem. I prawdopodobnie przez następne sześć miesięcy będą mnie regularnie budziły koszmary. Czy nie powinniśmy się skupić na zmartwieniach naszych mężów?

- Z pewnością będziemy mieć pełne ręce roboty, a oni zaczną się głowić, jak uciec przed naszym pocieszaniem!

Zhaneel przytaknęła, a potem wyciągnęła łapę i delikatnie dotknęła ramienia Zimowej Łani szponem. Uśmiechnęła się, a jej oczy złagodniały, napotykając spojrzenie kobiety.

- Na pewno możemy pomóc sobie, wysłuchując siebie nawzajem, duchowa siostrzo.

Jest tylko jeden problem z byciem na służbie. Wstajesz o zupełnie nieprzyzwoitych porach. Tad westchnął bezgłośnie; jego partnerka miała słuch ostry jak gryf. Jak zwykle podczas podróży Klinga zerwała się bladym świtem. Tad słyszał, jak kręciła się wokół wspólnego namiotu: budowała palenisko, przygotowywała śniadanie, nosiła wodę. Była zachwycającym czyścioszkiem: kąpała się wieczorem przed pójściem spać i rano, gdy wstała. Byłoby wysoce nieprzyjemne, gdyby musiał dzielić namiot z kimś nie przywiązującym wagi do higieny, szczególnie teraz gdy oddalili się od wybrzeża i ruszyli w las. Było w nim bardzo wilgotno i niekiedy okropnie gorąco. Klinga nie stanowiła jedynie żywego bagażu do noszenia; kosz kołysał się przy najlżejszym podmuchu i musiała balansować, aby z niego nie wypaść. To była praca, ciężka praca i zazwyczaj Klinga spływała potem; kiedy Tad łądował, aby odpocząć, ona też padała z nóg.

On oczywiście nie zawracał sobie głowy myciem i utrzymywaniem piór w czystości, a większości ludzi podobał się naturalny, korzenno-piżmowy zapach ciała gryfów. Nie mógł latać z mokrymi skrzydłami, a kiedy się zatrzymywali, nie miał czasu na mycie przed zapadnięciem nocy. Zdecydował się ograniczyć do kąpieli w piasku aż do dotarcia na posterunek. Czuł się więc absolutnie usprawiedliwiony, wylegując się

w ciepłe wygodnego schronienia, kiedy ona odbywała rytuał mycia i zajmowała się obozowiskiem.

I tak nie mógł jej pomóc. Nie mógł nosić wody: dziobów nie stworzono po to, aby nosić w nich wiadra. Nie mógł zajmować się ogniskiem: gryfy były pierzaste, a pióra były łatwopalne.

Wczoraj wieczorem za to zrobił więcej. Przyniósł wystarczającą ilość drewna, aby podtrzymać ogień do rana i oddał część swego łupu, aby mieli śniadanie. Złoży namiot, tak jak go postawił; szybkie stawianie namiotu wymagało magii i choć nie dorównywał ojcu, był magiem, który potrafił rzucać drobne zaklęcia kinetyczne. W obozie wykonał już swoje obowiązki; wcale się nie lenił, tylko odpoczywał po ciężkiej pracy.

Zamknął oczy: słuchał plusku wody, Klingi przeklinającej jej chłód i uśmiechnął się. Wszystko szło dobrze.

Ponieważ i tak już ciężko pracowali, naginał zasady i używał magii do polowania. Odnajdywał za jej pomocą odpowiednie zwierzę i unieruchamiał je, dopóki do niego nie dotarł. Nie mogli sobie pozwolić na stratę energii i długie polowania, nie teraz; musiał postawić namiot, zebrać drewno i zwabić jakieś zwierzę przed zmierzchem. W Białym Gryfie mógł być naganiaczem; mieli wokół wystarczającą ilość stad i ryb, aby łowy na dziką zwierzynę uznawać za przedsięwzięcie wymagające większych umiejętności. Kiedy dotrą do Posterunku Piątego, będzie miał dużo czasu na prawdziwe polowanie podczas patroli. Ale w podróży potrzebował więcej jedzenia, niż zdołaliby udźwignąć i oznaczało to polowanie najmniejszym kosztem, przy użyciu wszystkich znanych sztuczek.

W końcu dźwięk tłuszczu skwierczącego w ogniu sprawił, że otworzył oczy i ruszył się. Śniadanie; i chociaż osobiście wolał surowe mięso, mógł przecież jeść co innego. Choć mięsożerne, gryfy doceniały jarskie przysmaki, a Klinga znalazła zeszłego wieczoru wspaniałe grzyby, rodzaj hub, kiedy on nosił drewno. Szybki test potwierdził ich nietoksyczność i wysokie wartości smakowe. Zostawili połowę na śniadanie, ciągle przyczepione do pnia na wypadek, gdyby po oderwaniu spleśniały.

Świeża dziczyzna i grzybki. Porządny sen i dzień lotu przed nami. Życie jest dobre.

- Jeśli nie wyleziesz, leniuchu - głos Kingi przeszył płótno namiotu - sama wszystko zjem.

- Po prostu nie chciałem naruszać intymności twojej kąpielni - odparł godnie, wstając i wystawiając dziób. - W odróżnieniu od ludzi, o których nie wspomnę, jestem dżentelmenem, a dżentelmen zawsze szanuje prywatność damy.

Być może słońce już wzeszło, ale pomiędzy drzewami było ciemno jak w nocy. Klinga kładła kawałki grzybów na patelnię wysmarowaną tłuszczem; zauważył, że już odłożyła dla niego połowę. Położyła grzyby na ćwiartce jelonka, od której odkroiła stek dla siebie.

Ubrała się stosownie do panującej wilgotności i temperatury w tunikę bez rękawów i spodnie o kroju Haighlei, choć nie w ich kolorach. Haighlei szybko opanowali nowy rynek, który się otworzył w Białym Gryfie, tkając swe przewiewne materiały w kolorach beżu, szarości, pastelach oraz czerni i bieli. K'Leshya mogli potem ozdabiać te materiały według swoich upodobań. Rezultaty zmieniały się w zależności od tego, kto nosił ubrania. Potomkowie Kaled'a'in haftowali swe ubrania, nabijali je ćwiekami i naszywali cekinami; ci, których klan zaadoptował, przybysze, którzy związali się z gryfami, nosili mniej wymyślne stroje. Klinga, świadomie lub nie, wybrała odzienie skrojone na wzór Kaled'a'in, ale w kolorach ludu swej matki. Teraz nosiła beże z kremowymi lub jasnobrazowymi lamówkami. Jak zwykle, choć nie było nikogo, kto mógłby to podziwiać, na jej piersi lśniła odznaka Srebrzystego Gryfa.

Wokół nich, a raczej ponad nimi, leśne ptaki i zwierzęta łapały swe własne śniadanie. Po trzech dniach podróży znaleźli się w końcu w "deszczowym lesie" Haighlei, który różnił się od wszystkiego, co dotychczas widzieli. Drzewa były wielkie, niewiarygodnie wysokie, rosące jak nagie kolumny leśnej świątyni po sto stóp w górę, gdzie rozposcierały swe gałęzie w stronę światła słonecznego. Rywalizowały tak zajadle, że poszycie pozostawało w nieustannym tajemniczym cieniu. Kiedy podchodzili do lądowania i znajdowali się pod koronami, kilka chwil trwało, zanim oczy przyzwyczyły się do mroku.

Mimo braku słońca poszycie było zadziwiająco gęste. Jak można się było spodziewać, najwięcej było grzybów, ale na grubej ściółce rosły też krzaki i nawet mniejsze roślinki, a pnącza podobne do lian owijały się wokół pni i pięły ku światłu. Wszędzie, gdzie upadło drzewo albo strumień przecinał las, poszycie dostawało fioła i walczyło o światło tak zaciekle, że Klinga przysięgała, iż widziała, jak rośliny rosły w oczach.

Była ekspertem od roślin, a nie znała połowy z tych, które obejrzała wokół obozowiska. A nawet jeszcze nie zaczęli odkrywać; na te rośliny natknęli się po prostu, rozbijając namiot! Tad nie mógł sobie nawet wyobrazić, co Klinga znajdzie, kiedy rozpocznie prawdziwe poszukiwania, a on będzie ją wynosił nad drzewa.

On nie potrafił rozpoznać połowy głosów, które nad sobą słyszeli. Nie mógł nawet powiedzieć, czy pohukiwania i gwizdy wydawały ssaki, ptaki czy gady. Przypomniawszy sobie, że jest to obszar zbadany tylko w nieznacznym stopniu. Teraz rozumiał, dlaczego Haighlei działali tu tak ostrożnie; w lesie nie tylko były tysiące nieznanych niebezpieczeństw, ale też nieopatrzone działanie mogło zniszczyć bezcenne zioła czy inne zasoby, z których istnienia nie zdawali sobie sprawy.

Wszystko ślicznie, przypomniał sobie, kiedy wylazł wreszcie z namiotu i rzucił się na śniadanie, aby pożreć je z dziką przyjemnością. *Ale trudno filozofować z pustym żołądkiem. Może później...* Zajął się posiłkiem, który należał do lekkich; opychał się dopiero, gdy lądowali i mógł trawić podczas snu. Najedzony gryf nie latał najlepiej.

Głodny gryf nie jadał wolno, a Tada ssało w żołądku. Zmiotł okruchy swego łupu w mgnieniu oka, na koniec zostawiając grzyby. Kiedy jadł, Klinga zgasiła ogień, zakopała śmieci w mokrym popiele, aby porządnie gniły i spakowała wyjęty sprzęt oraz wyposażenie namiotu. Tadrith zostawił kości dla leśnych padlinożerców, którzy na pełno ucieszą się z nieoczekiwanego posiłku. Kiedy wzlecą, ich ślady znikną: popiół, kości i pogniecione trawy w miejscach, gdzie chodzili i postawili namiot. Za dwa, góra trzy dni las odzyska panowanie nad obozowiskiem, za miesiąc ślad po nim zaginie. Nie pozostaną nawet kości.

W takim miejscu nie ma sępów. Pewnie gryzonie, może jakieś świnię albo psowate. Schludnie wyczyścił szpony i wytarł dziób o pień, na którym rosły grzyby. *Chyba nastał czas, abym popracował.* Podszedł do namiotu, skoncentrował się, a potem delikatnie użył swej mocy. Pozwolił energii magicznej zwolnić zaklęcie namiotu, które umieszczono w centrum płóciennego dachu. Mocne i giętkie maszty, utrzymujące płótno na miejscu, przekształciły się ponownie w lekko usztywnione kawałki liny. Bez żadnej pomocy namiot złożył się, jakby był żywym stworzeniem i została płócienna paczka, czekająca, aby ktoś ją schował do kosza.

Złożony namiot można było, według rad Aubriego, rozbić bez użycia magii, chociaż na nowe maszty należało użyć drewnianych pali, bo

linki potrzebowały zakłęb, aby stać się masztami. Ale oczywiście tak było znacznie łatwiej. Kiedy uruchomiono zakłęb, wsporniki, które były po prostu zaczarowanymi kawałkami liny wszytymi wzdłuż namiotu, usztywniały się. Ponieważ kształt masztów zależał od szwów, mogli mieć namiocik bez centralnego masztu czy śledzi, który wymagał tylko przytwierdzenia do ziemi w siedmiu miejscach, aby nie odleciał.

Takie rzeczy należały do standardowego wyposażenia Srebrzystych. Tad nigdy sam nie rzuciłby zakłębia; wymagało ono ręki mistrza. Ale nawet czeladnik mógł je uruchomić, więc w ekspedycjach z Białego Gryfa zawsze trafiał się jakiś mag do rozbijania namiotów.

Zakłęb, które składało namiot, było bardziej skomplikowane, ale czeladnik mógł je uruchomić i podtrzymać. Tad radził sobie z takimi zakłębiami bez problemu i bardzo je lubił. Możliwe że odczuwał to samo, co ludzie rąbiący czy strugający drewno: ogarniało go dziwne poczucie satysfakcji, że stworzył coś, używając narzędzia, a nie szponów czy skrzydeł. Może zdolność do wpływania na rzeczy poza zasięgiem szponów dawała mu poczucie bycia cywilizowanym?

Tad podniósł paczkę ze sznurkiem i płótnem i wrzucił ją do koszyka. Klinga już rozciągała i rozplątywała uprząż. Niezależnie od tego, jak porządnie poprzedniego wieczoru ją złożyli, rano zawsze się plątała. Pytanie: jak to było możliwe, zaliczył do zagadek, które nigdy nie zostaną rozwiązane. Czasami podejrzewał, że winne są siły nadnaturalne.

Uprząż trzeba było trzymać poza zasięgiem gryzoni czy innych stworzeń, które chętnie pogryzłyby skórę w miejscu wolnym od wilgoci. Tylko jedno miejsce spełniało te warunki - sam namiot, i choć sufit ich tymczasowego mieszkania był dość wysoki, uprząż schowana w sieć zajmowała tyle miejsca, że Klinga ledwo mogła wstać.

Ale ta drobna niewygodność dawała im pewność, iż uprząż przez noc nie zamoknie, więc oboje zgodzili się na nią z ulgą.

- Spałabym z nią w jednym łóżku, gdyby to było konieczne - oświadczyła Klinga.

- Myślałem, że to twój ojciec się w tym specjalizował - zakpił i oberwał po uszach rzemieniem. Najwyraźniej Klingi to nie rozbawiło.

Klinga w końcu rozplątała liny; teraz trzymała uprząż w jednej ręce, a drugą machała zapraszająco. Tadrith miał zacząć pracę.

Trochę czasu zajęło założenie rzemieni, a Klinga upewniła się, czy

mu wygodnie. Nie była to tradycyjna uprząż z sarniej skóry, którą nosił każdy gryf w Srebrzystych, przytrzymująca odznakę i służąca jako kieszeń na drobiazgi. Tu każdy rzemień powinien idealnie pasować i nie uwierać. Duże lotki musiały leżeć na rzemieniach, aby nie zostały połamane. Tadrith nie mógł sam dopasować uprząży; stał cierpliwie jak osioł, kiedy Klinga ją zapinała.

Powietrze nieco się ociepliło i poranna mgła jak zwykle podniosła się z ziemi. Najpierw kilka pasm przemknęło między kolumnami pni, znikając i znów się pojawiając jak duchy latających węży. Potem pasma mgły połączyły się i otoczyły Klingę i Tada ze wszystkich stron. A w końcu mgła zaczęła gęstnieć i nie mogli dostrzec drzew znajdujących się dalej niż dwie czy trzy długości gryfa od nich.

W górze nadal rozbrzmiewał śpiew ptaków, nawoływania zwierząt i brzęczenie owadów. Na dole wśród mgły dźwięki stały się głośniejsze. *Może teraz, ukryte, mają odwagę się odezwać - myślał Tad. Albo wrzeszczą do siebie, bo nie mogą się dostrzec. Oto jest pytanie.*

Ani mgła, ani grube chmury, które wisiały nad nimi od dwóch dni, na razie nie stwarzały kłopotów, ale dziś Tad wyczuwał w powietrzu coś szczególnego. Gryfy były szczególnie wrażliwe na zmiany pogody i wiedział po swędzeniu w nosie i ułożeniu piór, że będą mieli prawdziwą burzę. Burze tutaj obejmowały swoim zasięgiem całe połacie i tylko przy wyjątkowym szczęściu uda im się zejść jej z drogi. Gdyby był sam, zaryzykowałby i spróbował wzbić się nad chmury - ale nie odważył się z koszykiem. Mogli dostać się w wir powietrza, który uderzając w nich, potargałby ich na strzępy; błyskawica w mgnieniu oka mogła spopielić jego, Klingę albo ich oboje.

Jeśli zagrozi im burza, będą musieli lądować, zanim dostaną się w prądy wznoszące albo wiry, szybko postawić obóz i ukryć się przed ulewą. Jeśli burza skończy się szybko, a on będzie suchy, mogliby znów się wzbić i pokonać kawałek drogi przez zmrok; ale jeśli przemoknie, będą musieli czekać, aż wyschną mu skrzydła, co potrwa pewnie całą noc.

Nie powiedział nic Klindze, ale musiała myśleć podobnie. Być może związek z nim sprawił, że też stała się wrażliwa na zmiany pogody; niczego nie pomijając, spieszyła się jak mogła. Skończyła szybciej, niż oczekiwał. Sprawdziła obozowisko, a on otrząsnął się, sprawdzając, czy uprząż była prawidłowo dociągnięta.

Kiedy obiegała obóz, rozciągnął skrzydła i wykonał kilka ćwiczeń,

starannie rozgrzewając i rozluźniając każdy mięsień, nawet te, których nie używał w czasie lotu. Odwrócił się, wbił szpony w ziemię i energicznie zamachał skrzydłami, jakby próbował podnieść kulę ziemską. Skręcał się, obracał i rozciągał w podobnych do tańca ruchach, upewniając się, że każdy mięsień jest sprawny. Kiedy nie wyczuł żadnego napięcia w ciele, spojrzął na Klingę.

- Gotów? - zawołała i ruszyła przez mgłę ku koszykowi. Potwierdził.

- Startujemy - odparł. - Burza nadciąga.

- Tak myślałam. - Wyjęła paliki przytrzymujące kosz na ziemi i wrzuciła je do środka, po czym skoczyła ich śladem. Przesunęła kilka rzeczy, świadoma wagi i równowagi kosza, po czym usiadła, trzymając się przodu gondoli obiema dłońmi.

To był sygnał dla niego. Uderzając potężnie skrzydłami, wzbił się w powietrze. Liście i pył posypały się na ziemię, podniesione wiatrem, a Klinga zmrużyła oczy.

Wzleciał może trzy długości, kiedy poczuł chwilowy opór kosza pod sobą. Ale zakłęcie nadal mocno trzymało, a ciężar za uprzężą przypominał raczej ciężar jelonka, a nie ogromnego koszyka.

Natychmiast poczuł, że działo się coś złego. Kosz wydawał się cięższy, a mięśnie sztywne, choć nie czuł tego podczas rozgrzewki.

Czy to wilgoć i chłód?

Nieważne; pochłaniał go lot i nie odważył się przerwać startu. Po prostu bardziej się wysilił, pogłębił uderzenia skrzydeł, naparł na uprzęż.

Klinga trzymała się, gdy kosz poderwał się z ziemi; w takiej chwili łatwo było przeważyc gondolę, a nowicjusze często wypadali. Tad i kosz unieśli się między drzewami w kilku skokach, spowodowanych jego potężnymi skrzydłami.

Oddychał ciężiej, niż powinien. *Co się ze mną dzieje? Nie wyspałem się? Czy za dużo zjadłem?* Myśl o grzybkach pojawiła się w jego głowie; nawet jeśli nie były trujące, może go w jakiś sposób osłabiły?

Ale zauważyłby to przecież zeszłej nocy? Czy nie dostrzegłby tego podczas rozgrzewki?

Niekoniecznie...

W następnej chwili wzlecieli nad mgłę, która pełzła po ziemi i zakrywała poszycie. Spojrzął w górę na biegnące mu na spotkanie korony drzew.

Zmusił mięśnie do pracy, kierując się ku światłu. Tysiące ptaków rozwrzeszczało się na jego widok, a potem umilkło zaszokowanych,

patrząc na obładowanego gryfa przelatującego przez gałęzie. Wybrał drogę przez dziurę w koronach, powstałą w wyniku upadku jakiegoś tysiącletniego giganta, a pod nim Klinga rozluźniła się i zaczęła odsuwać gałęzie, które zagrażały linom i samemu koszykowi. Używała długiego kija z przywiązaniem na końcu trójzębem, wyciętym wczoraj z przeznaczeniem specjalnie do tej czynności. Kiedy przebili się przez ostatnie konary, upuściła kij. Nie będą go potrzebowali przy następnym lądowaniu, a był zbyt długi, by go włączyć ze sobą.

Kontrast między mrokiem pod drzewami i bijącą w oczy jasnością w górze oślepił Tada, dopóki jego oczy się nie przyzwyczaiły; nie wstrzymywał lotu, musiał bowiem wznieść się wyżej. Może nie widział wyraźnie, ale nie miał wątpliwości, gdzie powinien lecieć. "Dół" był kierunkiem, w którym ciągnęła uprząż; rozwinął skrzydła, bijąc nimi szeroko i wciąż czując ciężar, a gdy odzyskał wzrok, lecieli tak wysoko nad drzewami, jak wysoko ich konary rosły nad leśnym poszyciem.

Wystarczy. Wyrównał poziom lotu, kierując się wewnętrznym kompasem, a kosz wisiał pod nim spokojnie. Klinga nie rozluźniła dłoni zaciśniętych na krawędziach, bo w ten sposób mogła równoważyć nagłe zmiany wiatru, ale pozwoliła sobie na odprężenie.

Kiedy tylko wyrównali lot i Tad upewnił się, że nie musi zмагаć się z żadnymi prądami powietrza, zlustrował pogodę. Jego zmysły go nie oszukały: chmury wisiały nisko, pękate i szare od zgromadzonej wody. Nie wyczuwał jeszcze deszczu w powietrzu, ale to kwestia czasu. To nie były jeszcze chmury burzowe; burza, gdy już nadejdzie, runie na nich z rykiem z chmur, które piętrzyły stalowoniebieskie brzuchy.

Jeśli będą mieli dużo szczęścia, wylecą spod tych chmur, zanim zacznie się burza, ale nie liczył na to. Wiatr wiał mu w plecy, więc istniała duża możliwość, że znajdą się w samymśrodku nawałnicy i nie zdążą uciec.

Będzie wiele znaków ostrzegawczych, zanim zrobi się gorąco. Zdażę wylądować, gdy zobaczę burzę.

Może ją nawet wyczuje, zanim zobaczy. *Nie idzie nam teraz najlepiej* - przyznał ze smutkiem. Mimo starannej rozgrzewki ciągle czuł - nie sztywność, nie naciągnięcie, ale lekki ból.

Czy coś się ze mną dzieje? Czy po prostu za dużo zjadłem rano! Ruszył na zachód, lecąc tak szybko jak mógł, szukając na horyzoncie rozdwojonych języków błyskawic, które oznajmiały nadejście burzy. Miał nadzieję, że nie brała go gorączka; choć gryfy nie były podatne na

infekcje, nie znaczy to, że ich nie znały. To nie był ani czas, ani miejsce na chorobę - chociaż w razie nagłego wypadku Klinga mogła skorzystać z lekkiego telesonu, który ze sobą wieźli, aby wezwać pomoc. Teraz, gdy magia znów działała, nawet tak słaba magia umysłu jak jej, wzmocniona przez teleson, docierała do Białego Gryfa. Napracowałyby się, ale zdołałyby wezwać pomoc.

To pewnie przez nocleg w wilgoci. Nigdy wcześniej nie musiałem spać w namiocie na wilgotnej ziemi. Teraz po raz pierwszy przekonał się, jak będzie się czuł na starość, kiedy stawy mu napuchną i zaczną boleć. Nic dziwnego, że jego ojciec ruszał się tak ostrożnie! A on podejrzewał, że to tylko afektacja, aby dodać sobie godności!

Nie sądzę, aby starzenie mi się spodobało.

Leciał dalej i był bardzo zadowolony, że nie szli na piechotę. Właśnie przeleciał nad terenem, który pokonywaliby przez kilka dni i zajęło mu to kilka chwil. A nawet nie minęło południe!

Wyczuł wodę, a powietrze stało się ciężkie i gęste, i nagle wpadł na pomysł innego wyjaśnienia trudności z lataniem. *To nie jest dobre powietrze do lotu. Może to nie moja wina; może to ciśnienie nas przygniatą.* W zbyt gęstym powietrzu leciało się równie źle jak w zbyt rzadkim, a dodatkowy wysiłek przy pokonywaniu oporu wystarczył, aby rozboleły go stawy!

Ciągle nie było oznak nadchodzącej burzy, ale nie mogła być zbyt daleko. Wytrzeszczył oczy, polując na błysk błękitnobiałego światła między chmurami...

Tadrith nie przeczuł niebezpieczeństwa, poczuł tylko nagły ucisk w żołądku, kiedy wpadł w wir powietrza i został podrzucony, a po chwili spadł. Kręciło mu się w głowie, był dezorientowany i dyszał.

Potem w mgnieniu oka zakłęcie koszyka zniknęło jak woda wyciekająca z rozbitego dzbana.

Kosz odzyskał swą wagę - wagę Klingi, zapasów, samej gondoli.

W powietrzu utrzymywał go jeden zszokowany gryf.

Kosz runął w dół jak kamień i pociągnął Tada, krzyczącego w zaskoczeniu, za sobą.

Uprząż werżnęła się gryfowi w ramiona; nagle szarpnięcie wybiło mu powietrze z płuc i wszystkie myśli z głowy. Uderzał rozpaczliwie i na próżno skrzydłami, próbując zrównoważyć ciężar; pod nim Klinga krzyczała i cięła liny, próbując go uwolnić. Musiał spowolnić ich upadek! Klinga nigdy go nie uwolni, a jeśli przetnie liny, runie na pewną

śmierć! Nie zostawi jej! Nie miał czasu na magię, żadnej szansy, aby się skoncentrować na zaklęciu, a poza tym co mógł zrobić? Krew pulsowała mu w głowie, w oczach pociemniało z wysiłku, próbował zmusić skrzydła do szybszego poruszania się, aby mogły zgarniać więcej powietrza. Jeśli będzie się starał, wyhamuje koszyk! Strach dodawał mu energii, wywołując desperackie machnięcia skrzydeł.

W mięśniach czuł potworny ból, paliły go żywym ogniem, jakby milion demonów kłuło go rozpalonymi do czerwoności; sztyletami. Przednie szpony chwytaly na próżno powietrze, jakby część jego umysłu była przekonana, że zdoła się go przytrzymać.

Jego myśli kłębiły się, gdy pikowali w dół, ku drzewom.

Nie potrafił nawet wybrać miejsca, w które uderzą.

Wydawało mu się, że Klinga krzyczała; nie słyszał jej, bo dudniło mu w uszach. Zaczął widzieć na czerwono...

Uderzyli w drzewa.

To ich wyhamowało. Gdy wpadli na korony, poczuł, że koszyk stał się nieco lżejszy; przez chwilę miał nadzieję, że giętkie gałęzie złapią ich i utrzymają.

Ale kosz był zbyt ciężki, a gałęzie ani wystarczająco grube, ani silne. Kiedy gondola pociągnęła go w mrok, zbyt późno zorientował się, że uderzenie w drzewa z rozpostartymi skrzydłami nie będzie dla latającego stworzenia przyjemne.

Odrzuciło go; zamiast spadać przez dziurę, którą wyrąbał koszyk, uderzył rozpostartym skrzydłem w boczne konary.

Ból przeszył go jak piorun.

A potem nastąpiła ciemność.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Z niewiadomego powodu Klinga nigdy nie należała do ludzi, którzy w budzących grozę sytuacjach zamieniają się w słup soli. Zawsze działała; istniało pięćdziesiąt procent szans, że podejmie właściwe kroki. Nie zastanawiając się, wydobyła swój sztylet, próbując odciąć uprząż Tada, kiedy spadli ku koronom drzew. Cięła szaleńczo liny, które uwięziły go, bezradnego, w pułapce grawitacji, ale najwyraźniej bez skutku; spadali zbyt szybko.

Jesteśmy martwi - pomyślała bezradnie, bo jej ciało wcale nie chciało umierać i chwilę przed uderzeniem w korony drzew rzuciła się na dno kosza, zwijając się w kłębek.

Kosz zatoczył się, przebijając się przez gałęzie, miotało nią w gondoli, pośród porozrzucanego ekwipunku, jak kawałkiem śmiecia. Coś mocno walnęło ją w ramię i usłyszała swój krzyk. Ból był jak eksplozja gwiazd w głowie.

A potem, na szczęście, zemdląca.

Bolała ją głowa. Bolała ją bardzo. A ramię bolało jeszcze bardziej; z każdym uderzeniem serca coraz bardziej, a kiedy oddychała albo wykonywała najmniejszy ruch, czuła, jak bok i ręka stawały w ogniu. Skoncentrowała się na bólu, nie otwierając oczu; jeśli nie uda jej się nad nim zapanować, nie będzie w stanie się poruszyć. Jeśli się nie poruszy, ona i prawdopodobnie Tad będą tu leżeć, dopóki coś nie przyjdzie i ich nie pożre.

Otocz, ból i wyizoluj go. A potem zaakceptuj. Przestań z nim walczyć. Nie bój się go. Ból jest tylko informacją, od ciebie zależy, jak ją zinterpretujesz. Ty go kontrolujesz. Przypomniała sobie lekcje dawane przez ojca, kontrolując oddech; nigdy przedtem nie stosowała jego metod do czegoś poważniejszego od zwichniętego nadgarstka, ale ku jej zaskoczeniu zadziałały równie skutecznie przy poważnych obrażeniach.

Niech się stanie częścią ciebie. Nieważną częścią. A teraz pozwól ciału go znieczulić, pozwól ciału pokonać go swoją armią. Klinga wiedziała, że jej ciało zacznie wytwarzać własne środki przeciwbólowe; cały szkopuł polegał na tym, aby je przekonać do wyprodukowania wystarczającej ilości. I przekonać, że w tej chwili ból stoi na przeszkodzie przetrwaniu...

Wolno - zbyt wolno - ale podziałało. Otworzyła oczy.

Kosz leżał na boku, kilkanaście stóp od niej. Wyglądało na to, że została wyrzucona w chwili, gdy uderzyli w ziemię albo tuż przedtem. Na szczęście wytrzymały sznury, którymi związała ładunek, inaczej zabiłoby ją własne wyposażenie.

Kosz leżał wśród połamanych gałęzi, okryty zgniecionymi liśćmi. Nie wyglądał na zdatny do użytku, ani teraz, ani kiedykolwiek.

Pewnie większość wyposażenia też jest bezużyteczna - pomyślała obojętnie. Obojętność przyszła jej z łatwością; nadal była w szoku. Żyję. To więcej, niż się parę minut temu spodziewałam.

Powoli usiadła, uważając na obrażenia, które sprawiły, że tak bolało ją ramię. Drugą ręką zbadała się delikatnie i zagryzła wargi do krwi, kiedy palce natrafiły na pogruchotaną kość.

Złamany obojczyk. Muszę unieruchomić prawą rękę. Nic dziwnego, że bolało jak wszyscy diabli Haighlei! Koniec z podnoszeniem czegokolwiek i posługiwaniem się bronią.

Przesunęła badawczo palcami po twarzy i głowie, nie natrafiając na nic poważniejszego od guza wielkości gęsiego jaja na potylicy i rozcięć, pokrytych zasychającą krwią. Z taką samą ostrożnością wyprostowała prawą, a potem lewą nogę. Siniaki. Mnóstwo otarć, których na razie wcale nie czuła.

Pewnie jestem pokryta siniakami od stóp do głów. Będzie coraz trudniej; niedługo zaczniesz sztywnieć, a rano wcale się jej nie polepszy.

Podtrzymując prawą rękę lewą dłonią, poruszała nogami, aż odzyskała w nich czucie i mogła uklęknąć. Na razie nie widziała nic poza koszykiem, ale z kierunku lin wywnioskowała, że Tad musiał być zaraz za nią.

Prawie bała się spojrzeć. Jeśli zginął...

Odwróciła się, powoli i ostrożnie, i zaszlochała z ulgi, gdy go ujrzała: poruszał się. Nie umarł! Nie był w najlepszym stanie, ale ciągle oddychał!

Leżał rozciągnięty na połamanych krzakach, wciąż nieprzytomny. Leżał na swoim prawym skrzydle, zgiętym pod nienaturalnym kątem, z lotkami mierzącymi w przód, nie w tył; większość z nich była połamana i poszarpana. Na pewno miał jedno skrzydło złamane i oznaczało to, że nie polecą po pomoc.

Kiedy znów się poruszyła i spróbowała wstać, otworzył oczy i dziób. Zapiszczał cienko i zamrugął, otumaniony.

- Nie ruszaj się! - krzyknęła ostro. - Pozwól, że do ciebie dojdę i ci

pomogę.

- Skrzydło... - wyszeptał ochryple, dysząc z bólu.

- Wiem, widzę. Leż spokojnie, aż do ciebie dojdę.

Zaciskając zęby, wsunęła ramię w tunikę i mocno zawiązała jej poły, używając tylko lewej dłoni. Tylko tak mogła teraz unieruchomić rękę.

Wstała, chwytając się połamanych gałęzi wokół, i podeszła do Tada. Kiedy już się przy nim znalazła, obejrzała go dokładnie, zastanawiając się, od czego zacząć. Dżungla była uspokajająco cicha.

- Możesz poruszać palcami lewej zadniej stopy? - spytała.

Mógł; powtórzył gest prawą stopą, a potem szponami przednich łap.

- Prawa tylna boli, kiedy się ruszam, ale nie jak złamanie - orzekł, a Klinga odetchnęła z ulgą.

- W porządku, kręgosłup masz cały, podobnie nogi; lepiej, niż mogliśmy się spodziewać. - Zgubiła nóż, którym próbowała go wyswobodzić, ale mogła dosięgnąć wszystkich sprzączek, więzących go w uprzęży. Sycząc z bólu za każdym razem, gdy ruszyła ramieniem, uklękła wśród połamanych gałęzi i konarów, i zaczęła rozpinąć uprzęż.

- Chyba jestem jednym wielkim siniakiem - stwierdził, kiedy wsunęła rękę pod jego ciało, odpinając tyle lin, ile się tylko dało.

- To tak jak ja - odparła, walcząc z ostatnią oporną sprzączką. Wiedział, że dopóki Klinga mu nie każe, nie powinien się ruszać; jakikolwiek ruch mógł rozedrzyć delikatne naczynia krwionośne w skrzydle, gdzie skóra była najcieńsza i wykrwawiłby się na śmierć, zanim mogłaby mu pomóc.

W końcu porzuciła tę ostatnią sprzączkę. Podeszła do Tada i zajrzała mu w źrenice. Czy rzeczywiście jedna była mniejsza? Nie była w stanie tego orzec, nie mając lampki do sprawdzenia ich reakcji.

- Możesz mieć wstrząs mózgu - rzekła z powątpiewaniem.

- Ty też - odwzajemnił się, choć sama doskonale o tym wiedziała. *Aż się nie mogę doczekać bólu głowy.*

- Leż tutaj - przykazała. - Idę po apteczkę. *Jeśli ją znajdę. Jeśli się do czegoś nadaje.*

Zapakowali ją na samym wierzchu, choć znaczyło to, że musieli ją wypakowywać i odkładać na bok podczas każdego, noclegu. Cieszyła się teraz, że zachowała porządek, w jakim zaopatrzeniowiec pakował kosz; gdyby musiała wyrzucać jedzenie, namiot i wyposażenie biwakowe, dopiero by się im pogorszyło!

Jedno pytanie: czy apteczka leży teraz na samym dnie!

Podeszła do koszyka i z olbrzymią ulgą odkryła, że apteczką leżała ciągle na wierzchu - a teraz, skoro kosz leżał na boku, najłatwiej było się do niej dostać.

Chociaż "najłatwiej dostać" okazało się pojęciem względnym...

Zanim cokolwiek zrobiła, przyjrzała się pobojuwisku. Kosz leżał na kupie połamanych gałęzi; wyposażenie wypadło i teraz rozrzucone było dookoła. Apteczka zawisała pomiędzy rozdwojonymi konarami na wysokości ramion, ale wokół konarów leżało pełno szczątków. Bardzo łatwo można było się poślizgnąć i zwichnąć albo i złamać kostkę - a mogła użyć tylko jednej ręki, aby się czegoś chwycić. Upadając, mogłaby znów zemdleć albo jeszcze bardziej uszkodzić obojczyk, albo jedno i drugie.

Ale potrzebowali apteczki; potrzebowali jej bardziej niż czegokolwiek innego.

Muszę być bardzo, bardzo ostrożna. Nie mogła znaleźć innego sposobu na dostanie się do pakunku.

- Tad? Tad, czy możesz się skoncentrować na tyle, by użyć zaklęcia kinetycznego?

Usłyszała tylko chrypliwe:

- Nie... - i jęk bólu.

Cóż... to i tak nie byt najlepszy pomysł. Więcej ryzykuję, znajdując się w pobliżu bredzącego gryfa, który rzuca zaklęcie, niż włączając na to drzewo.

Musiała więc tam podejść. To była wyczerpująca podróż; badała każdy krok, zanim go zrobiła, i upewniała się, że stoi w bezpiecznym miejscu, zanim dała następny. Spociała się jak mysz, zanim doszła do konarów, i z wysiłku, i z bólu. Wyciągnięcie ręki, uwolnienie apteczki i rzucenie jej na ziemię w kierunku Tada wyczerpało całą jej energię. Apteczka była cięższa, niż wyglądała - z powodu zestawu do nastawiania kości. Prawie znów zemdliała z bólu, gdy ją rzuciła - ale apteczka wylądowała tam, gdzie Klinga chciała, z daleka od jakichkolwiek szczątków.

Chwyciła się gałęzi, oddychając płytko, aż ból osłabł na tyle, że podjęła ryzyko drogi powrotnej. Jej pot był zimny, a przynajmniej takie miała wrażenie, a poza tym dostał się pod strupy zaschniętej krwi i wzmagił ból i pieczenie ran.

Kiedy dotarła do bezcennej paczki, po prostu padła tam, gdzie stała, opierając czoło o apteczkę, drżąc na całym ciele z bólu i wyczerpania.

Każda drgawka wywoływała nową falę bólu w barku, więc wcale nie odpoczęła i miała marne szanse na złapanie tchu.

Pomagając sobie zębami i krótkim nożykiem wydobytym z buta, otworzyła apteczkę i pierwszą rzeczą, jaką złapała, była jedna z fiolek z przeciwbólowym ekstraktem z żółtej orchidei. Przełknęła gorzkie lekarstwo bez mrugnięcia okiem i czekała, aż zadziała.

Tylko raz to brała, gdy złamała palec u nogi, i to w znacznie niniejszej dawce. Tym razem jednak nie wpadła w stan euforycznej radości. Ekstrakt złagodził najbardziej dotkliwy ból, ale nic poza tym. Co za ulga; ból musiał być tak silny, że zneutralizował euforyczne efekty lekarstwa.

Inny środek działał tak na gryfy; przyciągnęła apteczkę bliżej Tada, odetkała większą fioletkę i wsadziła mu ją do dzioba. Odchylił głowę i wypił zawartość, natychmiast zamykając dziób, aby nie uронić ani kropli cennej substancji.

Wiedziała, kiedy zadziałało; rozluźnił mięśnie, a jego oddech się uspokoił.

- Co teraz? - spytał. - Lepiej niż ja widzisz, co jest uszkodzone.

- Najpierw będziesz musiał mi pomóc - oznajmiła. - Nie mogę cię ruszyć, dopóki nie nastawię i nie unieruchomię obojczyka. Inaczej podejrzewam, że znów zemdleję...

- Zły pomysł, nie rób tego - zgodził się, na próbę zginając przednie łapy. - Myślę, że mogę to zrobić. Siadaj tam i spróbujemy.

Był zręczny i delikatny, a mimo to dwa razy straciła przytomność, zanim skończył, mamrocząc urywane przeprosiny za błędy. Jej ramię i ręka znalazły się w ciasnym, brzydkim, ale skutecznym opakowaniu, a obojczyk został nastawiony. Miała nadzieję, że tak pozostanie; nie mogła założyć łupków. Tylko magowie to potrafili, a uzdrowiciele nadal się zastanawiali, jak im się to udawało.

Jego kolej.

Wcale nie było mu łatwiej, chociaż nie stracił przytomności, gdy go delikatnie odsunęła ze złamanego skrzydła, nastawiła je i usztywniła. Tym razem użyła apteczki; zmoczone łupki i bandaże twardniały we właściwym kształcie, gdy schły. Nie była trond'irn, ale nauczyła się tyle, ile mogła od matki, kiedy stało się jasne, że Tad, stary towarzysz zabaw, stanie się jej stałym partnerem. Kierowała się intuicją. Nie знаła słabych punktów gryfiej fizjologii i nie miała pewności, czy jej zabiegi nie okaleczą go do końca życia. Od czasu do czasu ciche jęki

dobiegały z zaciśniętego dzioba Tada i trzy razy w czasie operacji prosił ją, żeby przestała.

W końcu oboje powstali z ruin kosza, padli na grubą ściółkę z liści i czekali, aż lekarstwa uśmierzą ból.

Chyba minęła wieczność, zanim była w stanie myśleć o czymś innym poza palącym kluciem w ramieniu, ale lek działał coraz silniej albo pomogło jej unieruchomienie ramienia. Wśród drzew nadal panowała głucha cisza; ich upadek przestraszył większość mieszkańców, a ptaki i zwierzęta nie nabrały jeszcze odwagi. Falami zalewała ją świadomość dziwnych rzeczy, jakby na moment wyostrzały się różne zmysły, a jej umysł poddawał się dźwiękom lub zapachom. Ostry, kwaśny zapach połamanego drewna - brzęczenie owada na tyle głupiego, aby ich zignorować - niespodziewana nuta żywej czerwieni pojedynczego wędnącego kwiatu, który zerwali w przelocie...

- Co się stało? - zapytała łagodnie w dziwnej ciszy. Pytanie było oczywiste; w jednej chwili lecieli i wszystko szło dobrze, a w następnej nurkowali jak zestrzelona kaczka.

Jego oczy zaszyły mgłą i na chwilę okryły się błoną, nadając mu pozór ślepeca.

- Nie wiem - powiedział powoli, niechętnie. - Szczerze. Nie potrafię powiedzieć ci nic poza tym, że magia utrzymująca wagę koszyka w rozsądnych granicach po prostu... rozplynęła się, zniknęła. Nie wiem jak ani dlaczego.

Poczuła, jak przewraca się w niej żołądek. *Nie jest to najbardziej pocieszająca odpowiedź na świecie. Aż do tej chwili się nie bała, ale teraz...*

Nie pozwolę się przestraszyć. Nie wiemy, co się stało, zapamiętaj to sobie. To jednak mógł być wypadek.

- Czy to mogła być burza magiczna? - nalegała. - Mała albo lokalna? Położył uszy po sobie i potrząsnął głową.

- Nie. Nie, jestem tego pewien. Gryfy są wrażliwe na burze magiczne, tak jak ktoś z reumatyzmem jest wrażliwy na wilgoć czy prawdziwe burze. Nie, nie było burzy magicznej; wiedziałbym, gdyby się rozpętała.

Jej serce waliło boleśnie. Jeśli to nie było naturalne wydarzenie...

- Atak? - zaczęła, ale znów potrząsnął głową.

Wyglądał na bardziej zaskoczony niż przestraszonego.

- To nie był atak - rzekł z naciskiem. - W każdym razie nic, co uznał-

bym zaatak. - Spojrzał ponad jej ramieniem, jakby szukał słów, aby opisać, co czuł. - To było bardziej jak... jakby nagle twoje wiadro zaczęło przeciekać. Magia po prostu wyciekła nagle. Nie wiem jak i dlaczego. Po prostu... po prostu odeszła.

Cała magia po prostu odeszła... Nagle zimna ręka paniki, z którą walczyła, złapała ją za kark i Klinga chwając się, wstała! Jeśli magia koszyka wyciekła, co z całą resztą zaklęć?

- Co się stało? - zapytał, kiedy przedzierała się przez porozrzucane wyposażenie.

- Mam nadzieję, że nic! - odwrzknęła ostro. *Co jest w zasięgu ręki? Zapalniczka? Jest!* Zapalniczki były przedmiotami, które czeladnicy wytwarzali tuzinami; łatwo było je zrobić, gdy już opanowało się zaklęcia tworzące. Ich wykonywanie wyrabiało zdolności magiczne, a ponadto przedmioty te były użyteczne i ponieważ wytrzymywały zazwyczaj sześć miesięcy, zawsze można było je sprzedać komuś z miasta. Wszyscy mogli ich używać; nie tylko mag potrafił uruchomić zapalniczkę: większość była już gotowa i wystarczyło po prostu użyć wbudowanego spustu. Ich zapalniczka była nowa; Tad zrobił ją tuż przed odlotem.

Nie wyglądała imponująco; długi, metalowy cylinder z wystającym knotem. Trzeba było nacisnąć wygładzony kamyk, wprawiony w drugi koniec, aby knot się zapalił.

Mogłeś używać jej, trzymając w jednej dłoni, jeśli musiałeś, i oczywiście, Klinga musiała. Mając nadzieję, że przecucie ją myliło, wyciągnęła powgniatany cylinderek ze sterty lin i garnków i nacisnęła kamyk.

Nic się nie stało.

Spróbowała jeszcze raz i jeszcze, a potem zaniósła ją do Tada.

- Nie działa - rzekła ze ściśniętym gardłem. - Co się z nią stało?

Wyjął jej zapalniczkę z ręki i obejrzał, niemal zezując z wysiłku.

- Ma... magia zniknęła - rzekł z wahaniem. - To już nie zapalniczka, tylko metalowy cylinder z knotem w środku.

- Obawiałam się, że tak powiesz. - Ponuro zawróciła ku stosom ich rzeczy i przekopowała je, poszukując czegoś magicznego. Każdy ruch budził ból w ramieniu, ale zmusiła się, aby go zignorować. Sposób, w jaki rozsypało się wyposażenie, pomógł jej; rzeczy leżące na dnie koszyka teraz były na wierzchu i mogła do nich dotrzeć.

Światło w lampie magicznej zgasło. Namiot - cóż, nie mogła go sama

przetestować, nawet nie mogła go rozwinąć, ale płótno dziwnie łatwo poddawało się jej dłoniom, bez śladu napięcia, które kiedyś posiadało. Teleson...

Zaniosła go do Tada i położyła przed nim bez słowa. Nie było na co patrzeć, ale ten sprzęt nigdy nie wyglądał okazale; po prostu opaska na głowę ze zwykłego srebrzystego metalu z dwiema miedzianymi spiralami, które można było dopasować do skroni różnych mieszkańców Białego Gryfa. Używano go, aby magicznie wzmacniać zasięg tych, którzy byli obdarzeni nawet szczątkową magią umysłu. Wszystkie gryfy, kyree i hertasi posiadały takie zdolności, podobnie jak większość tervardi.

Tad powinien użyć go, w celu wezwania pomocy. Przeszedł ją dreszcz i powstrzymała nagłą chęć gadania bez sensu, płaczu, zwinięcia się w kłębek i poddania bez walki. Zdała sobie sprawę, że nieświadomie liczyła na teleson. Jeśli nie mogli wezwać pomocy...

Dotknął urządzenia jednym szponem i potrzęsnał głową.

- Nawet nie muszę go nakładać - powiedział drżącym głosem. - Jest... pusty. Bezużyteczny. - Przebiegły między nimi nie wypowiedziane słowa, kiedy na nią patrzył. *Mamy kłopoty.*

- To nie wina koszyka - stwierdziła, siadając; jej głos również drżał. *Jak to się mogło stać? Dlaczego teraz? Dlaczego nam?* - Wszystko z zaklęciami nie działa. Lampy magiczne, zapalniczka, namiot, pewnie wodoodporne peleryny...

- I teleson. - Popatrzył na nią dużymi i przestraszonymi oczami, źrenice miał jak łebki od szpilek. - Nie możemy wezwać pomocy.

Jesteśmy tutaj zdani na siebie. Oboje jesteśmy ranni. Nikt w Białym Gryfie nie wie, gdzie jesteśmy; nawet nie będą wiedzieć, że zaginęliśmy, dopóki nie pokażemy się w umówionym miejscu, i nie spotkamy się z ludźmi, którzy teraz są na posterunku. A to się stanie dopiero za wiele dni.

- To długa droga na piechotę - wyjąkał. - Jeszcze dłuższa, skoro jesteśmy ranni.

A coś w pobliżu pochłania magię. Czy to zjawisko naturalne, czy stworzenie? Jeśli żywi się magią, czy będzie miało ochotę nas zjeść? Być może; mogło wypuścić się za Tadem. Gryfy były ze swej natury stworzeniami magicznymi.

Nie myśl o tym! Tyle razy Srebrzyści byli pouczeni, aby w przypadku zagrożenia myśleli najpierw o problemach, które można rozwiązać od

ręki, a nie beznadziejnie kręcili się w kółko, zajmując się zbyt wieloma rzeczami naraz. *Zajmij się czymś, z czym sobie poradzisz. Rozwiąż najbardziej podstawowe problemy, a potem martw się resztą.* Wstała niepewnie.

- Nadciąga burza. To nasz pierwszy problem. Musimy znaleźć schronienie, potem wodę, ciepło i broń. Lepiej ocalmy, co się da, zanim zacznie się deszcz i wszystko zniszczy.

Stanął na drżących nogach, przytakując.

- Racja. Namiot... nawet gdybyśmy mogli wyciąć odpowiednie maszty, nie wiem, czy moglibyśmy go porządnie rozbić, kiedy jesteśmy ranni. Nie sądzę, aby kosz zdał się na wiele jako schronienie...

- Sam nie, ale dwie burty i kawałek dna zostały nietknięte - zwróciła mu uwagę. - Możemy nad nimi rozpiąć płótno namiotowe, a reszty użyć na podpałkę. - Zagapiła się na kosz. Tad też.

- Wydaje mi się, że te dwa młode drzewka całkiem dobrze go podtrzymują. Ta burta, której nie ma, mogłaby być wyrwana z innej strony, ale chyba lepiej go tak zostawić, niż targać dookoła?

Przytaknęła.

- Zostawimy go, gdzie leży, wzmocnimy tylko podpórki. Potem oczyścimy wrak i zaopatrzenie, utniemy połamane części i podtrzymamy, przywiązując te konary...

Pokazała zdrową dłońią. Tad się zgodził.

- Popatrz tu i tam - dodał, wskazując. - Jeśli zgromadzimy wystarczająco dużo rzeczy, będziemy chronieni z trzech stron, a nie tylko prowizorycznie osłaniany.

Zgodziła się; był to lepszy pomysł niż jej. Po chwili oboje pracowali najlepiej, jak potrafili, ona z jedną sprawną ręką, on ze skrzydłem w gipsie i obitą zadnią łapą, oboje strasznie posiniaczeni.

Tad wykonał większość pracy, naciągając płótno na pozostałe burty koszyka; mógł sięgnąć dalej niż ona. Klinga wykonała prowizoryczny maszt, używając tego, co znalazła, przeszukując zapasy, i przywiązała płótno tak mocno, jak tylko mogła to zrobić jedną ręką. Jedna rzecz wiązała się z dorastaniem w domu kestra'chern: znała więcej węzłów niż jej instruktor ze szkoły przeżycia.

Nie była pewna, jak czuł się Tad, ale ją z każdym ruchem okropnie bolało ramię. *Nie ma wyboru, powtarzała sobie z każdym bolesnym wdechem. Odpoczniesz, kiedy zacznie padać; teraz pracuj.*

Nie wiedziała, która jest godzina. Przed upadkiem nie odlecieli zbyt

daleko i nie byli nieprzytomni zbyt długo, bo inaczej owady starałyby się dowiedzieć, czy już umarli. Padlinożercy w takich lasach nie czekali długo. Znaczyło to, że prawdopodobnie nadal był wczesny poranek. Jeśli deszcz, który zapowiadały te chmury, trochę się wstrzyma, nieunikniona burza dopadnie ich dopiero późnym popołudniem. *Jeśli naszego szczęścia szlag nie trafił, rzecz jasna...*

W końcu mieli swe schronienie: wiotkie płótno namiotu naciągnięte na pozostałości koszyka i trzy podtrzymujące je drzewka. Nie wiedziała jeszcze, co zrobić z kilkoma fruwającymi kawałkami płótna; być może wymyśli coś później, na razie zrobili wszystko, co w ich mocy.

Oboje zwrócili się ku porozrzucanym zapasom; odsunęli na bok to, co było zniszczone, to, co nawet połamane mogło się przydać i to, co było nietknięte. W końcu będą zmuszeni do wybrania rzeczy, jakie mogą ponieść w dwóch plecakach, ale pomyślą o tym później.

Była w stanie walczyć o to miejsce, tak jak Tad. Odchodzenie stąd nie miało sensu, dopóki nie upewnią się, że nikt ich nie szuka. *Jeśli możesz, zawsze zostań przy wraku.* To też doskonale pamiętała ze szkoły przetrwania. *Ekipy poszukiwawcze zawsze szukają wraku i zawsze sprawdzają, czy cię przy nim nie ma.*

Gdyby tutaj zostali, mieli już schronienie, które ulepszałiby z każdym dniem, i to, co zostało z wyposażenia. Nawet zniszczone rzeczy mogły być użyteczne, jeśli będą mieli czas, aby wymyślić dla nich zastosowanie. Jeśli zostaliby zmuszeni do odejścia, zostawiliby tu wiele użytecznego sprzętu.

Jeśli. Oto szkopuł. Nie mogła ani na chwilę zapomnieć, że coś tutaj wyssało ich magię bez żadnego ostrzeżenia. Jeśli wrak był dobrym celem dla ekipy poszukiwawczej, był też dobrym celem dla innych - włączając to, co straciło ich z nieba. *Zalóżmy, że to wróg i założmy, że atakował.* To był najmądrzejszy sposób rozumowania i zaczęła myśleć w tym duchu.

A poza tym nie wiadomo, co przemierzało te lasy. Fakt, że jeszcze nie wpadli na żadnego większego drapieżnika, nie znaczył, że takich tu nie ma. Im dłużej przebywali w jednym miejscu, tym łatwiej drapieżniki mogły ich zlokalizować.

- Dzięki bogom za Aubriego - usłyszała po prawej zduszone westchnienie i Tad podniósł się znad kupy czegoś, co wyglądało na śmieci. Trzymał w szponach niemagiczną zapalniczkę i Klinga zostawiła swój stosik, aby ją od niego wziąć. Mogła teraz rozpalić ogień, używa-

jąc suchych, zaimpregnowanych kawałków kosza i zgromadzić wokół ogniska wilgotne, świeże drewno, aby wyschło.

Tad został przy swoim stosie; najwyraźniej znalazł pudełko z całym niemagicznym oporządzeniem, na którego zabranie należał Aubri. Obrzuciła spojrzeniem prowizoryczne schronienie. *Najpierw myśl, planuj, potem działaj. Jeśli coś zniszczysz, nie ma w pobliżu nikogo, kto to naprawi. I nic, czym można naprawy dokonać.*

Próbowała jakoś osłonić ogień przed deszczem bez wpuszczania dymu do szałas. Nie chciała ryzykować zniszczenia prowizorycznego namiotu.

Jasne. Mamy klapę od namiotu. Przygnę te dwa drzewka i przywiążę je do koszyka, a potem rozwinę klapę i przywiążę ją... tam. Myślę, że zrobię to jedną ręką. A potem może zbudujemy ochronę przed wiatrem z długich gałęzi i dużych liści. Skoro miała już plan, nagięła jedną ręką drzewka, a potem przerzuciła płócienną płachtę nad ich łukiem w miejscu, gdzie chciała rozpałić ognisko. Ostrożnie przywiązała koniec płachty do złamanego drzewka, kilka razy zaciągając węzeł; jeśli nie będzie silnego wiatru, wytrzyma. Nie zabraknie im przynajmniej drewna, chociaż było bardzo świeże. Kiedy spadli, mieli ze sobą zapasy na dwa, trzy dni i zapasowe ubrania na podpałkę. *Najpierw rozpal ognisko, potem pomyślimy o ochronie.*

Odrzucała martwe liście, aż dokopała się do splechotka ziemi, potem starannie ułożyła stosik z kawałków koszyka, połamanych pudeł i suchych liści, które znalazła. Do krzesiwa dołączona była sucha jak pieprz hubka, sprasowana z kawałkami papieru. Nie żałowała hubki, a resztę schowała do pudełka i zamknęła je. Krzesiwo było strasznie kłopotliwym przedmiotem dla jednorękiej kobiety. W końcu poradziła sobie, kucając i przytrzymując je stopą; kiedy iskra padła na hubkę, rozdmuchała ją w maleńki ogienek. Marszcząc czoło w skupieniu, pochyliła się nad swym dziełem i uważnie podsycala ogień, aż otrzymała duży płomień, a dym wylatywał z szałas. Z wysiłku bolało ją całe ciało.

Wzdychając z bólu, wyprostowała się i spojrzała na Tada, aby zobaczyć, co znalazł. Najpierw rzucił jej się w oczy topór. Ach, jakże ucieszył ją ten widok! Był na tyle mały, że mogła używać go jedną ręką, ostry tak, że przecinał dosłownie wszystko. A teraz potrzebowali drewna na opał.

Wstała, krzywiąc się bólu, przywłaszczyła sobie narzędzie i zaczęła

przekształcać szczątki wokół ich prowizorycznego obozowiska w coś nieco bardziej użytecznego.

Na jednej kupce zgromadziła gałęzie zbyt małe, aby użyć ich na podpalkę. Jeśli starczy im czasu przed deszczem albo nocą - zależy co przyjdzie najpierw - spróbuje zbudować z nich palisadę wokół obozowiska. Nie powstrzymałaby niczego, co naprawdę chciałoby się przez nią przedrzeć, ale zwierzęta zazwyczaj bały się nowości i mogły omijać ten dziwny płot na swej ścieżce.

A jeśli coś się zacznie przedzierać, narobi hałasu, który nas ostrzeże. O ile oczywiście nie przeskoczy przez płot. Kiedy Tadowi zachce się siusiu, nasika do garnka i rozlejemy jego mocz wokół; zapach wielkiego drapieżcy powinien odstraszyć gryzonie i inne denerwujące stworzenia. A poza tym mamy prześliczny dzień, proszę państwa.

Gałęzie z dużymi liśćmi traktowała inaczej, uważnie oddzielając je od włóknistych, jędrnych gałązek i odkładając na bok. Kiedy będzie miała ich wystarczająco dużo i znajdzie kilka prostych kijów, zacznie budować osłonę przed wiatrem.

Jej ciało zalewały fale bólu przy każdym uderzeniu topora, ale nie był on na tyle dotkliwy, aby ją powstrzymać teraz, kiedy już się rozpędziła. *Jeśli się zatrzymam, nie będę mogła się ruszyć przez następne kilka godzin, więc lepiej zrobić wszystko, co mogę, póki się jeszcze ruszam.*

Najwidoczniej Tad też doszedł do takiego wniosku; sortował zapasy z taką samą determinacją, jaką ona czuła. Znalazł dwie torby z jej rzeczami osobistymi i jedną swoją i zaniósł je do szałas; obok nich leżało prymitywne wyposażenie Aubriego. Pomiedzy uderzeniami topora zauważyła, że znalazł świece i latarnię, ciasno zwinięty kocher, mezażki, dwie łopaty i trzy skórzane bukłaki. Obok złożył dwa wielkie noże, którymi można było wyrąbać sobie drogę w dżungli, paczkę z moskitierą, żyłkę, haczyki i kompas. Dotarł do broni, którą oczywiście ze sobą zabrali i Klinga skrzywiła się na jej widok. Większość była bezużyteczna w tych warunkach. Jej ulubiony łuk się złamał; mniejszy pozostał nie tknięty, ale nie potrafiła go naciągnąć. Nie mogła też używać miecza, który Tad położył obok kołczanów z płótna nasączonego oliwą, pełnych strzał. Dorzucił swoje rękawice do walki - które mogły okazać się użyteczne, gdyby był w stanie chodzić.

A co zrobimy, jeśli stąd odejdziemy i coś nas po drodze zaatakuje? Poprosimy uprzejmie, aby poczekało, aż Tad się ubierze?

Ale w następnej chwili serce jej urosło, bo Tad znalazł procę! Położył

ją przy rękawicach wraz z dwiema torbami ciężkich, ołowianych pocisków. Tego mogła używać i to z odpowiednim skutkiem, nawet jedną ręką!

Nabrała energii od machania toporem, a następne znalezisko ucieszyło ją jeszcze bardziej; był to krótki oszczep z poprzecznym ostrzem. Złamał się, ale to, co zostało, było wystarczająco krótkie, aby rzucać nim jedną ręką. *Dzięki procy mogę nas wykarmić; nożem i oszczepem mogę walczyć. On ma dziób i szpony, które nie są tylko na pokaz. I ma magię.*

Wszystkie gryfy posiadały choć odrobinę zdolności magicznych; Tad nie był specjalnie obdarzony w porównaniu z ojcem, ale mógł być użyteczny...

Zadrżała znowu, myśląc, co może przyciągnąć magia Tada i uznała, że narąbała dość drewna. Otoczyła ognisko świeżymi kłodami, ułożyła resztę z tyłu szałas i zgarnęła na kupę resztki kosza, tnąc na kawałki wszystko, co znalazła w szałasie. *Nie sądzę, żebym chciała, aby Tad używał magii, dopóki nie upewnimy się, że to, co wyssało nam magię z koszyka, nie będzie nas nachodzić.*

Dołączyła do Tada, ze smutkiem odkładając na bok broń, która kiedyś była magiczna, a teraz do wyrzucenia. Niestety, była też zbyt dziwnie uformowana, aby się nadawała do natychmiastowego użytku. Znaleźli dla niej tylko jedno zastosowanie: przytrzymała płótno, które chroniło bardziej pożyteczne rzeczy, jak drewno, przed deszczem.

Znalazła na dnie śpiwory, zabrała je do szałas i rozścieliła na podłodze, na materacu z liści i miękkich gałązek. Odbyła drugi spacer z resztą wyposażenia i broni, rzeczami, które mogły się teraz przydać. Resztę przykryła płótnem; może później wymyśli dla niej jakieś zastosowanie.

Większość ekwipunku została kompletnie zniszczona, podobnie jak prawie całe jedzenie. Racje żywnościowe, które przetrwały zderzenie, były, jak przewidziała, zwyczajowym pożywieniem najemników: suszone mięso i twarde suchary, suszone owoce i warzywa. Nie było tego wiele, ale suszone mięso nasyci Tada, a żywiąc się sucharami, można było przeżyć miesiąc czy dwa.

Tada nie będzie bawiło żywienie się sucharami, ale mogli je jeść, nie ryzykując zachorowania.

Zatrzymała się i uważniej przyjrzała rozgniecionemu jedzeniu. W tej

chwili część nadawała się do spożycia, ale długo ten stan nie potrwa.

Odpuśćmy sobie dziś suchary i zjedzmy to, co się da. Zebrała wystarczającą ilość jedzenia na bardzo suty posiłek i ułożyła przy ogniu, a resztę mozolnie wyniosła do lasu i zostawiła z dala od obozowiska. Lepiej żeby lokalna fauna nie kojarzyła obozu i jedzenia. Następnym razem mogą zastawić sidła, aby wzbogacić sucharową dietę.

Czas na ścianę osłaniającą ogień przed wiatrem. Wbiła w ziemię końce czterech długich, giętkich gałęzi i przywiązała je do wszystkiego, czego mogła dosięgnąć przy kłapie namiotu, używając zębów i jednej zdrowej ręki. Potem przymocowała liście do kolejnej długiej gałęzi, nakładając je na siebie jak dachówki. Później przywiązała tę gałąź na dole, kilka palców od ziemi, znów posługując się zębami. Nawlekła liście na kolejną gałąź i przymocowała ją tak, aby zachodziła na poprzednią. Nie zajęło jej to wiele czasu i gdy skończyła, pomyślała, że efekt jej pracy wytrzyma dość długo, podobnie jak szałas, jeśli nie zerwą się gwałtowne wiatry, o co było raczej trudno pomiędzy drzewami.

Kiedy odsunęła się, by podziwiać swe dzieło, Tad już wbijał w ziemię patyki, aby zbudować ogrodzenie, o którym mówiła. Przyłączyła się do niego w chwili, gdy w oddali zabrzmiał groźnie grom. Zerknęła szybko przez ramię i stwierdziła, że wszystko, co było warte ocalenia, zostało gdzieś schowane, a ogień ciągle płonął. *Mam nadzieję, że przetrwa. Miejmy nadzieję, że tym razem szczęście nam dopisze.* Pomogła Tadowi stawiającemu płot. Ich nowy dom za bardzo domu nie przypominał, ale lepszy taki niż żaden. Pracowali szybko; ziemia była tu tak miękka, że wbijanie w nią cienkich patyków nie wymagało prawie żadnego wysiłku.

Grom rozległ się tuż nad nimi; spojrzała w górę i w tej samej chwili pierwsza kropla wpadła jej do prawego oka.

Jedno uderzenie serca później, gdy wczołgiwali się do szałasu, niebo się rozwarło. Skulili się pod płótnem; było im ciasno, ale nie ciasniej niż wtedy, gdy namiot był ciągle namiotem.

Z nieba spadła prawdziwa ulewa. Klinga cieszyła się, że wszystko, co znalazła, umieściła bezpiecznie pod płótnem; widywała wodospady toczące znacznie mniejsze ilości wody! Deszcz padał prosto w dół, nie wiały żadne wiatry; jednak wysoko, wśród koron drzew, musiał szaleć huragan; pnie najbliższych drzew kołysały się lekko, gdy na nie patrzyła. Drzewa działały jak bufor między nimi i tym, co przynosił wiatr.

Błyskawice ani na chwilę nie przestawały rozjaśniać nieba i od czasu do czasu widziała w ich świetle ciężkie krople jakby zawieszzone w powietrzu.

Deszcz obluzował połamane gałęzie, które z nimi nie spadły; jedna czy dwie uderzyły w szalas i Klinga cieszyła się, że ma nad głową płótno i koszyk. Sam namiot zostałby rozdarty albo przewróciłby się.

Zastanawiała się, czy powinna później usunąć spadłe gałęzie. *Jeśli niczego nie zniszczyły, zostawię je. Jeśli będziemy zwierzętom przypominać kupę gałęzi, może dadzą nam spokój. Nie, o czym ja myślę? Zwierzaki z tego lasu na pewno wiedzą, co się dzieje na ich terytorium. Chyba zaczynam bredzić.*

Tad patrzył wielkimi oczami na deszcz, strosząc pióra w ochronie przed wilgotnym chłodem. Zastanawiała się, o czym myślał. Za każdym razem, gdy niebo przecinała wyjątkowo jasna błyskawica, jego oczy połyskiwały zielono.

Ramię zaczęło jej dokuczać w tym samym momencie, kiedy zaczęła się burza. Działanie środków, które wzięła, musiało osłabnąć. Jeśli ją bolało, Tada na pewno też i nie widziała powodu, dla którego mieliby znosić ten ból, skoro nie musieli. Apteczka zawierała wystarczająco dużo środków przeciwbólowych na dwa tygodnie dla dwojga ludzi - później albo zostaną odnalezieni, albo wpadną w takie tarapaty, że nie będą się przejmować drobnym bólem. Sięgnęła po apteczkę, wyłowiła z niej dwie fiołki środków przeciwbólowych i podała mu. Wziął, przekłuł pieczęć i wypił zawartość, zanim Klinga zdążyła zabrać się za otwieranie swojej fiołki. Odebrał jej naczynie i przekłuł woskowe zabezpieczenie; wzięła ją z wdzięcznością i połknęła lekarstwo.

- Będziemy czuwać? - zapytał. - Powinniśmy. Sądzę, że naprawdę powinniśmy starać się nie zasnąć, jeśli bierzemy środki przeciwbólowe. Nie podoba mi się sam pomysł leżenia tu bezradnie. Inaczej było, gdy mogliśmy rzucić zaklęcia strzegące, ale teraz...

Przez chwilę zastanawiała się nad pytaniem. *Pewnie powinniśmy, nawet jeśli nie moglibyśmy przeciwstawić się prawdziwemu wrogowi. Ale jeśli nawiedzać nas będą tylko padlinożercy i dzikie bestie, ten, kto obejmie wartę, powinien je odpędzić, zanim narobią kłopotów.*

- Zgadzam się. Jeśli możesz teraz zasnąć, nie krępuj się - powiedziała w końcu. - Ja nie potrafię, nawet z tym naparem czarownicy w żołądku. Jeśli wyśpisz się do czasu, kiedy ja będę padać na nos, przejmiesz czuwanie.

Przytaknął i przykrył się śpiworem, żeby się rozgrzać.

- Kiedy się obudzisz, przygotuję coś do jedzenia - obiecała. - Myślę, że będzie padać do późnej nocy; obudzę cię, kiedy oczy zaczną mi się kleić. - Nie wiedziała, jak to zrobił, ale chwilę po jej ostatnich słowach już spał. *Musi być wyczerpany* - stwierdziła. *Tak bardzo się starał wyhamować nasz upadek; pewnie strasznie dużo go to kosztowało. Powinam się dziwić, że nie zemdlął, kiedy nastawiałam mu skrzydło.*

Powinna czuć znacznie więcej; trudno było powstrzymać cokolwiek, nawet strach, bardzo długo. *To szok, może to i lepiej. Tak długo, jak wszystko planuję i się koncentruję, mogę działać.*

Może później będzie w stanie czuć i reagować; teraz była bardzo wdzięczna za to niezwykle odrętwienie.

Ponieważ zapasy, które ocaliła, i tak się wymieszały, użyła wszystkiego, co jej wpadło w rękę, aby zrobić wielki naleśnik z zapieczonymi w środku warzywami, mięsem i przyprawami. Upiekła tyle naleśników, ile mogła; zjadła jeden, a resztę zostawiła dla Tada. Potem po prostu gapiała się na deszcz. Robiło się coraz ciemniej, ale nie musiało to oznaczać nadejścia nocy: może chmury gęstniały. Zapadła w tępy letarg, a szum deszczu wprowadził ją w stan czujnego zmęczenia.

Nic nie wskazywało na to, aby deszcz miał się skończyć. Z opóźnieniem zorientowała się, że był wspaniałym źródłem świeżej wody i znów zaczęła przekopywać zapasy. Znalezione pojemniki wystawiała przed szalas, pod spływające z nieba strumienie. Chwilę później napełniła wszystkie menażki i manierki, znów wystawiła naczynia na zewnątrz i umyła garnki, których używała do przygotowania naleśników.

Mogę się umyć! Ta myśl ją nieco ożywiła; czuła się spocona, brudna i sam pomysł umycia się wlał w nią życie. Postawiła garnek z wodą na ogniu, aby ją ogrzać; jeśli nie musiała, nie miała najmniejszego zamiaru myć się w zimnej wodzie! Mogli nie mieć magii, ale posiadali inne środki.

A poza tym w apteczce znajdowało się lekarstwo na stłuczenia, do którego ciepła woda była niezbędna. Kiedy skończy się myć, będzie mogła zaopatrzyć mniejsze obrażenia. Podejrzewała, że poważnie dokuczyłyby jej przed zaśnięciem.

Biedny Tad; nie sądzę, aby maść podziałała na jego rany; nie ma ani kawałka nagiej skóry. Moczenie jego piór nie ma sensu; tylko zziębnie i poczuje się gorzej.

Deszcz nadal walił w płótno; tylko jego dźwięk docierał do jej uszu.

Siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę, podtrzymując je zdrową ręką, patrząc na srebrną wodę lejącą się z nieba, wprawiona niemal w trans przez monotony, głuchy hałas. Tylko pioruny i grzmoty powstrzymywały ją przed zaśnięciem. Podskakiwała z bijącym sercem, przestraszona, w pełni rozbudzona.

Kiedy woda się zagrzała, niezgrabnie zdjęła tunikę, znalazła kawałek podartej tkaniny i umyła się, czując głęboką wdzięczność, mimo że nie było mydła. Jak dobrze jej było, kiedy przykładała tak zwykłą rzecz, jak ciepłą myjkę, na siniaki! Jak dobrze być czystą! Miała rację: była brudna.

Jakże bym chciała mieć tu jedno z gorących źródeł, żeby się wyczyć... Skoro już o tym myślę, to dlaczego nie życzę sobie ratunku, miękkiego łóżka w jaskini i tyle leków przeciwbólowych, aby spać, dopóki mi się ramię nie zagoi? Takie myśli przyprawiłyby ją o depresję albo oszalałaby ze zmartwienia; musiała skoncentrować się na teraźniejszości i postarać się jak najlepiej wykorzystać to, co miała.

Zwykła kąpiel sprawiła, że poczuła się znacznie lepiej; czas się odziać w coś równie czystego. Powietrze ochłodziło się znacznie, odkąd spadł deszcz; robiło się zimno, nie tylko wilgotno. Wyciągnęła tunikę z długimi rękawami i uświadomiła sobie, naciągając ją na grzbiet, że niemożliwe będzie włożenie jej na złamane ramię bez podarcia materiału.

A kto miał ją tu oglądać? Nikt.

Rozcięła przód tuniki nożem; zawsze mogła się ścisnąć paskiem. Zanim włożyła ubranie, owinęła się kocem i ruszyła do apteczki. Najpierw powinna opatrzyć rany, a potem się ubierać.

Znalazła potrzebne zioła i wrzuciła je do garnka z ciepłą wodą, aby zmiękły. Deszcz nieco osłabł, a na dworze robiło się coraz ciemniej. To nie chmury gęstniały; słońce musiało już dawno zejść.

Sięgnęła po skrócony oszczep i wybrała noże, którymi mogła rzucać, potem zastanowiła się nad następnym ruchem.

Podsycić ogień, aby przestraszyć nocnych gości, czy stłumić go, aby nie rozbudzać niepotrzebnego zainteresowania?

Po dłuższym namyśle zdecydowała się na pierwszą opcję. Większość zwierząt bała się ognia; gdyby poczuły dym, nie zbliżyłyby się tutaj. Musiała użyć świeżego drewna, ale na szczęście dym wylatywał z szalasu. Większe ognisko miło ogrzewało ich schronienie; Tad obok niej zamruczał sennie i spał dalej.

Kiedy napar przybrał brunatny kolor, zdjęła koc; namoczyła banda-

że, aż opróżniła garnek i owinęła się nimi tam, gdzie była najbardziej pokaleczona, potem przykryła kocem i czekała, aż wyschną.

Ciepło było wspaniałe, a lekarstwo rzeczywiście łagodziło tępy, przesywający ból najgorszych siniaków. Zapach mikstury, gorzki i ostry, podszedł jej do nosa.

Dobrze. Przynajmniej nie pachnę jak jedzenie. Nie chciałabym zjeść niczego, co śmierdziałoby tak jak ja. Nawet pluskwy mnie zostawią w spokoju. Może.

Chwile później bandaże były na tyle suche, by je zdjąć; wciągnęła jedną ręką spodnie, narzuciła tunikę na zdrowe ramię i spięła. Na szczęście pasek miał haczyk zamiast sprzączki; miała nadzieję, że poły tuniki zostaną na swoim miejscu.

Deszcz przestał padać; ze wszystkich stron odezwały się owady. Kiedy zapadła ciemność, dziwne zawodzenie i niezwykle, nieziemskie krzyki dołączyły do metalicznego brzęku. Ptak, ssak, gad? Nie miała zielonego pojęcia. Większość wrzasków dobiegała z góry i mogła pochodzić z różnych gardeł.

Na zewnątrz było bardzo mokro, zimno i ciemno. Jedynymi punktami światła była daleka zielonkawa poświata (pewnie z próchniejącego pnia) i robaczki świętojańskie. Ani księżyc, ani gwiazd; nie mogła ich teraz dojrzeć. Może chmury nadal były zbyt grube; może pokrywa liści zbyt gęsta.

Ale przynajmniej mieli ogień; pozostałości koszyka paliły się doskonale, a świeże drewno lepiej, niż się spodziewała.

Prawdopodobnie najbardziej frustrującą rzeczą w całej tej sytuacji było to, że ani ona, ani Tad nie popełnili żadnego błędu. Nie popisywali się ani nie byli lekkomyślni. Nawet tak doświadczeni wojownicy jak Aubri i Judeth nie byliby przygotowani na taką sytuację i prawdopodobnie znaleźliby się w identycznym położeniu.

To nie była ich wina.

Niestety, to nie zmieniało sytuacji, a gdyby zginęli, wina czy jej brak nie miałyby żadnego znaczenia.

Kiedy Klinga unieruchomiła Tadowi skrzydło, nie bolało tak bardzo, jak się spodziewał. To mógł być szok, ale raczej nie był; złamanie było proste i przy odrobinie szczęścia już zaczęło się zrastać. Gryfie kości szybko się zrastały, z uzdrowicielem czy bez.

Prawdopodobnie nie bolało tak bardzo jak obojczyk jego partnerki;

on nie ruszał skrzydłem, kiedy coś robił, ale jeśli ona musiała pracować, za każdym razem urażała ramię.

Szkoda, że teleson nie działa. Szkoda, że nie mogę go naprawić! Mógł naprawić zapalniczkę i lampę magiczną, i zajmie się tym, gdy się wyśpi, ale teleson leżał poza jego możliwościami, podobnie namiot i kocher. Gdyby mieli teleson, pomoc dotarłaby na miejsce za dwa, góra trzy dni. Teraz dwa albo trzy dni potrwa, zanim ktokolwiek się domyśli, że wpadli w tarapaty.

Zgodził się na drugą wartę, bo wiedział, że Klinga musiała być bardzo zmęczona, zanim zasnęła - ale gdy już zaśnie, zaczną działać środki uspokajające. Trudno będzie ją obudzić, dopóki sama nie zdecyduje się otworzyć oczu.

Z jego strony, choć lekarstwo pomogło, Keeth nauczył go bardzo dużo o samokontroli; Tad potrafił zapaść w trans bardzo szybko, a poza tym poznał kilka technik relaksacyjnych i redukujących ból.

Całe szczęście, że mój brat jest trondi'irn.

Położył się wygodnie, a gdy Klinga okryła go kocem, aby nie zmarzł, zasnął bardzo szybko.

Dziwne obrazy, zbyt ulotne, aby nazwać je snami, wędrowały przed jego oczami. Wizja jego samego, chodzącego po targu w Khimbacie, ale jako dorosły, a nie dziecko człapiące za niańką Haighlei, Makke; chwile lotu nad ziemią tak wysoko, że nawet jego bystrym oczom ludzie w dole jawili się jako kropeczki. Inne wizje były mniej rzeczywiste. W pewnej chwili wydało mu się, że drzewa z nim rozmawiały, ale nie znał ich języka, a one rozgniewały się na niego, bo nie rozumiał, co chciały mu powiedzieć.

Te wizje nie zakłóciły jego spoczynku; przytomniał na tyle, aby odpedzić nieprzyjemne sny, nie budząc się, a potem znów zapadał w ciemność.

Był na skraju przebudzenia, na wpół śniąc, że powinien się obudzić, ale niezdolny do zgromadzenia energii, kiedy Klinga potrząsnęła nim lekko, natychmiast budząc go z drzemki.

Zamrugął; jej twarz była przedziwną maską purpurowych siniaków i tańczącego złotego ognia. Gdyby była bardziej symetryczna i nie tak obolała, uznałby ją za atrakcyjną. Wyczuł gorzkie zioła w powietrzu, gdy ziewnęła, i odgadł, że obandażowała się, używając ludzkich lekarstw.

- Wzięłam lekarstwo na sen i nie mogę już czuwać - przyznała, ziewa-

jąc ponownie. - Nie widziałam ani nie słyszałam niczego realnego, chociaż moja wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach.

- Dobrze, kładź się spać - rzekł schrypniętym głosem i zamrugął, oczyszczając oczy. - Będę czuwał do świtu.

Ułożyła się między ścianą namiotu a nim, przytulając do jego boku. Pozwolił jej skulić się tak, aby skorzystała z jego ciepła; potrzebowała tego. *I pewnie tak samo potrzebuje pocieszenia* - pomyślał, gdy układała się tak, aby nie urazić złamanego obojczyka. *To nie było łatwe, siedzieć tu, patrzeć w ciemność i zastanawiać się, co tam jest, kiedy twój partner zmienił się w chrapiącą kłodę.*

Oczywiście gdyby zaczęły się kłopoty, przestałby być chrapiącą kłodą, ale nikłe to pocieszenie, gdy nastawiasz uszu, zastanawiając się, czy to nocny ptak, owad czy ludożerca właśnie się odezwał.

Gryfy nie widziały dobrze w ciemności, ale i Skan, i jego synowie byli wyjątkami od tej reguły. Nie można ich było porównać do sów, ale nie byli też ślepi, a na pewno nocą widzieli lepiej niż ludzie. Pozwolił oczom przywyknąć do ciemności i zapamiętywał cienie, aby wiedzieć, gdzie co stało. Kształty, których nie rozpoznał, łączył w pamięci z wyglądem obozowiska w świetle dziennym; to coś, przypominającego przykucniętego niedźwiedzia, naprawdę było kłodą porośniętą niejadalnymi grzybami. A krzak, który zdawał się mieć ciemniejszy środek, rzeczywiście go miał; wyrósł wokół pozostałości po pieńku, który mógł udawać kolejne czające się zwierzę. Fosforyzujący kształt w oddali należał do próchniejącego drzewa, na którym rosła świecąca pleśń - i wcale się nie poruszał, tylko to gałki oczne Tada drżały z wysiłku. Rzeczy, które mogły być oczami odbijającymi ogień, wcale nimi nie były; kiedy przypatrywał się, widział, że poruszają się niezależnie od siebie; uznał je należące do świetlików, prawdopodobnie latających w parach podczas randki. Lekki i cichy kształt poruszający się między gałęziami nad jego głową był sową; ten przelatujący z lekkim trzepotem skrzydeł tuż za kręgiem światła należał do nietoperza.

Kiedy już zidentyfikował kształty w zasięgu wzroku, zaczął rejestrować dźwięki. Oczywiście było, że owady brzęczały i bzyczały; rehot pochodził z gardeł żab. Niektóre odgłosy przypominały te z Białego Gryfa; nie wszystkie zwierzęta tutaj były dla niego nowe. Sporadyczny, zaspany świergot czy gwizd z góry oznaczał, że coś zakłóciło spoczynek ptaka - nic, czym należałoby się martwić, ptaki ciągle na siebie wpadały w czasie snu.

Oprócz tego słyszał wycia, ryki i szczeknięcia. Zapamiętywał je wszystkie, śledząc, skąd dochodziły i w jakich okolicznościach. Większość z nich dobiegała spomiędzy koron drzew; znaczyło to, że źródło tych dźwięków (o ile nie było zupełnie szalone) nie zamierzało zajmować się dwójką w dole. Zwierzaki żyjące wśród gałęzi były raczej łupem, nie drapieżnikami; życie na wierzchołkach drzew nie należało do najłatwiejszych, a podstawowy problem stanowiło zdobycie wody. Cokolwiek tam żyło, miało powód, aby nie mieszkać na ziemi. Stworzenia te najprawdopodobniej nie były specjalnie duże, nie większe od Klingi, ale wrzeszczały niesamowicie głośno, gdyż trudno było wśród liści dojrzeć stado czy samicę. A gdy coś cię złapało i wrzasnąłeś tak głośno, jak tylko mogłeś, zawsze istniała szansa, że napastnik wystraszy się i puści.

Drapieżcami w koronach drzew były albo węże, albo stworzenia ze skrzydłami; czworonogi polowały na ziemi. I choć całkiem możliwe było, że wśród konarów czaił się wąż, który mógłby pożreć Klingę albo Tada, nie byłby w stanie połknąć obojga za jednym zamachem i nie należał do szybkich - chyba że atakował. Zostawały uzbrojone drapieżniki, ale Tad był pewien, że nawet na ziemi stawiłby czoło wszystkiemu, co lata.

Jedynym ich zmartwieniem był nocleg tutaj, a dźwięki w górze mógł zignorować, chyba że nagle zmieniają się w ostrzegawcze lub alarmowe nawoływania.

Według ludzkich standardów jego wzrok był niezwykle ostry, a najlepiej sprawdzał się przy dostrzeganiu niewielkich ruchów. Kiedy więc zidentyfikował wszystko, co leżało w pobliżu szałasów, nie siedział i nie gapił się w ciemność jak Klinga. Mógł się odprężyć i obserwować tylko to, co zmieniało pozycję. Nieważne, jak dobrze drapieżnik się skradał, prędzej czy później musiał przejść przez miejsce, gdzie Tad dostrzeże ruch wśród cieni, nieważne, za dnia czy w nocy.

Jego słuch był równie dobry i teraz, gdy poznał normalne odgłosy, mógł nasłuchiwać wśród nich chrząkania, warczenia, syczenia - czy szelestu liści - albo trzasku gałązki pod stopą.

Był też inny powód, dla którego chciał objąć drugą wachtę. Szczerze mówiąc, był do niej gotowy znacznie lepiej od Klingi.

Jeśli cokolwiek zaszłoby ich od tyłu, nie zobaczyłby tego ani nie usłyszał. Ale przedarcie się przez płótno i kosz nie poszłoby mu szybko i mieliby czas na przygotowanie obrony.

Albo się łudzę.

Wpatrywał się w ciemność, śledząc mrugające światełka robaczków świętojańskich i w końcu przyznał przed sobą, że czuje się raczej bezradny.

Oboje jesteśmy połamani i obolali, nie możemy użyć większości broni, która nam została, nie jesteśmy całkiem pewni, gdzie się znajdujemy, a na pewno zbyt daleko od domu, by zawrócić, taka jest prawda. Wcale mi się to nie podoba.

Musieli mieć nadzieję, że za jakieś trzy dni, gdy nie stawią się na umówione spotkanie, zostaną uznani za zaginionych, a Biały Gryf wyśle ekipę poszukiwawczą. Musieli mieć nadzieję, że przeżyją wystarczająco długo, aby ich odnaleziono!

Przestań się nad sobą uzalać i jedz! - upomniał się. Przez jakiś czas nie będzie szans na lepszy posiłek, a głodzenie się na pewno ci nie pomoże. Cokolwiek upichciła Klinga, nie wytrzyma do świtu.

Powoli, aby przeciągnąć posiłek, zjadł mięsno-warzywne naleśniki, które zostawiła mu Klinga. Nie były złe, biorąc pod uwagę, jak ohydne mogłyby być. Klinga nigdy nie była specjalnie uzdolnioną kucharką, a ta potrawa należała do jej najlepszych osiągnięć. Będą pewnie żartowali na temat gotowania wyszukanych potraw w samym środku katastrofy, gdy już wyjdą z tego bez szwanku. *Oczywiście, słuchając opowieści ojca, można pomyśleć, że był tak pełen werwy, że mordował dwieście makaarów, uwodził dowódcę skrzydła, kochał się z nią, walczył z kolejną setką makaarów, a potem robił sobie przerwę na herbatę podaną w srebrnej filiżance.*

Klinga położyła swe dziwaczne placki wystarczająco blisko ognia, aby zachowały ciepło, ale się nie przypaliły ani nie wyschły. Powinny nasycić go na jakiś czas; dobrze, bo przez parę następnych dni nie zamierzał wiele polować. A nawet gdy zacznie, by złapać zwierzę odpowiednich rozmiarów, będzie musiał zaskoczyć je na ziemi.

Przechwałki ojca o przekradaniu się nie zauważonym przez, linie wroga mogą być prawdziwe, ale jeleń ma węch i słuch lepszy od ludzi. Jeśli uda mi się złapać coś większego od wiewiórki, uznam się za szczęśliwca.

Miał dość, zanim skończył naleśniki, więc zawinał ostatnie cztery w liść i przykrył warstwą gorącego popiołu, zakopując przy ognisku. Zostawi je na śniadanie; powinny wytrzymać do rana. Oparł podbródek na szponach i podjął przerwany wątek.

Problem polega na tym, że nie mam zielonego pojęcia, co strąciło nas z nieba.

Oczywiście, istniało kilka możliwości. Mogło to być zjawisko całkowicie naturalne, a jeśli nie naturalne, to po prostu anormalna i przypadkowa pozostałość burz magicznych.

Słabość tej teorii polega na tym, że nasi i Haighlei podróżowali tędy już wcześniej. To wyklucza zjawisko stałe lub związane z ziemią. Gdyby to było coś naturalnego lub przypadkowego, musiało jednocześnie być stałe, więc dlaczego nikt go wcześniej nie odkrył? Szczególnie Haighlei, podejrzliwi w stosunku do wszystkiego, co magiczne i nie kontrolowane przez ich magów-kapłanów, poszukiwali już takiej “dzikiej” magii, przeczesując dalekie, rozległe tereny. To oni założyli posterunek; przemieszczali się tędy, choć pewnie niezupełnie taką samą drogą. Powinni odnaleźć coś tak potężnego.

Na pewno zboczyliśmy trochę z głównej drogi. Nie zwracałem szczególnej uwagi na drogowskazy na ziemi, tylko na niebo i pogodę. Sądzę, że nawet trochę kluczyłem, aby uniknąć najgorszej burzy.

Ale jednak niebezpieczne miejsce, nawet na nie uczęszczanej drodze, powinno rzucić się w oczy doświadczonemu magowi, który go szukał. Powinno wręcz krzyczeć do magów sprawdzających anomalie.

Ja się nie rozglądałem; ja muszę myśleć o używaniu wzroku magicznego, żeby dojrzeć takie rzeczy. Nie jestem Śnieżną Gwiazdą, który musi ciągle pamiętać o tym, aby go nie używać!

Kolejną możliwością było, iż to coś nowego albo mu nie znanego. Niechętnie zwrócił myśli ku pomysłowi, że coś ich strąciło celowo, atakując lub broniąc się.

Ale jeśli to była samoobrona, jak mogli nas dostrzec z ziemi? Atak nie nadszedł z powietrza; jedynymi latającymi przedmiotami byli oni i ptaki. Nie zaatakowano z koron drzew, bo dostrzegłby kogoś bezpośrednio pod sobą. Atak musiał nadejść z ziemi, spomiędzy konarów, ale jak dostrzeżono koszyk, Klingę i Tada?

Nadal nie zostali zaatakowani przez to, co ich strąciło; to mogło oznaczać samoobronę, może nawet odruchową, odpowiedź na możliwe zagrożenie.

Ale to stało się tak szybko! Jeśli nie mieli zaklęcia obliczonego na wywołanie takiego właśnie efektu, nie wiem, jak “oni” mogli tego dokonać, zanim nie wylecieliśmy z ich zasięgu!

Ten argument przemawiał za atakiem; mówił o napastnikach, którzy

namierzyli ich, zanim wylądowali zeszłej nocy i poczekali, aż się wzbią, zanim rzucili zaklęcie, które spowodowało upadek.

Dlaczego więc nie przy szli zobaczyć, czy nas zabili? Czy mogli być tak pewni siebie? Czy po prostu ich to nie obchodziło?

Czy też byli lepsi w grze w chowanego niż on w szukaniu?

Czy mogą tu być teraz?

Oczywiście, było możliwe, że zaatakowano ich z pewnej odległości i nie dotarli do miejsca katastrofy, zanim Klinga i on oprzytomnieli i przygotowali się do obrony. Sposób, w jaki ich zaatakowano, sugerował, że przeciwnik jest tchórzliwy, taki, który zanim uderzy, czeka, aż łup stanie się bezradny lub bezbronny.

O ile, oczywiście, nie należy do tych, co się nie spieszą, co poznają każdą piędź ziemi między nimi a nami, zanim zaatakują.

Westchnął cicho. Miał tylko jeden problem: to były jedynie przypuszczenia. A dociekania nie dawały mu mocnych argumentów za czy przeciw. Nie znał żadnych faktów poza najprostszymi: że padli ofiarą czegoś, co zniszczyło ich zaklęcia i straciło, bezradnie wirujących, z nieba.

Tak więc przez resztę nocy nadal śledził las i nadstawiał uszu, podskakując za każdym razem, gdy coś usłyszał, i przeklinając nieustanny ból głowy.

Świt nadchodził powoli, stopniowo rozjaśniając ciemność pod drzewami. Tad wiedział, że jego partnerka się obudzi, gdy przyspieszył się jej oddech i tętno - i jedno, i drugie słyszał z łatwością. Klinga u jego boku ziewnęła, zadrżała, zaczęła się przeciągać, i zaklęła pod nosem, kiedy ruch wywołał ból.

Tad zaczepił szpon o rączkę apteczki i przyciągnął ją do Klingi, aby mogła w niej pogrzebać, nie ruszając się zbyt. Usłyszała to, wsunęła dłoń do apteczki i wydobyła jedną z fiolek; bez słowa przebił woskową pieczęć szponem i Klinga wypila zawartość.

Leżała cicho kilka chwil, zanim środki znieczulające zaczęły działać.

- Wnioskuje, że nic się nie zdarzyło w nocy? - zapytała.

- Nic wartego wzmianki, oprócz tego, że wydaje mi się, że ktoś dobierał się do resztek jedzenia. - Nie słyszał nic specjalnego prócz pomruków i odgłosu uderzenia, jakby jeden padlinożerca odganiał drugiego.

- Powinniśmy przemyśleć zastawienie sideł, szczególnie pętli, do których nie będzie się można dostać z ziemi. Odkrycie, że coś złapaliśmy,

ale padlinożerca nas ubiegł, byłoby niezwykle frustrujące.

Powoli usiadła, przecierając oczy jedną dłonią.

- Powinnam była o tym pomyśleć wczoraj - rzekła żałośnie.

- Nic by nam wczoraj nie dały - odparł. - Padało jeszcze długo po zmroku. Prawdopodobnie szlag by trafił linki albo kołki wyskoczyłyby z błota. Jeśli dziś nie będzie tak lało, zastawimy sidła po popołudniowych deszczach.

Znów ziewnęła, a potem skrzywiła się i lekko pomasowała posiniaczoną szczękę.

- Dobry pomysł - zgodziła się. - Sidła są wydajniejszą metodą zdobycia pożywienia od polowania. Zastawimy je tam, gdzie wyrzuciłam resztki jedzenia. Nawet jeśli nic nie zostało, zwierzęta mogą tam wrócić, mając nadzieję, że znów się pojawi. O bogowie, jestem cała sztywna i obolała!

- Dobrze wiem, jak się czujesz. Zostawiłem nam trochę jedzenia na śniadanie. - Odgarnął popiół i ukazały się naleśniki, nieco twardsze niż wczoraj i brudniejsze, ale nadal jadalne. *Szkoda, że nie mam maści na siniaki, która podziałałaby na mnie tak, jak to jej mazidło.*

- Naprawdę! - Poweselała i podrapała się po karku. - Od razu świat lepiej wygląda! A moja maść na siniaki posiada też dodatkową zdolność odganiania robaków, bo nic mnie nie pogryzło. Chcesz dodatkową porcję środków znieczulających?

Potrząsał głową.

- Wziąłem je, gdy tylko się rozwidniło wystarczająco, abym widział, którą fioletkę wybieram. - Podał jej naleśnik i zjadł pozostałe trzy szybko i co do okruszyny. Jeden placek był na tyle duży, że się najadła, choć zauważył, iż pochłonęła wszystko i oblizała palce do czysta. Dzięki temu, że napełniła wszystkie pojemniki, jakie mieli, mógł się napić z rondla bez jej pomocy.

Począł, aż zjadła, umyła twarz i ręce i ożywiła się.

- Co teraz zrobimy? - zapytał, gdy wycierała twarz w szczątki wczorajszej tuniki. Zakarbował sobie w pamięci, aby wystawić te szmatę na zewnątrz, gdy zacznie padać, by się nieco wyprała.

Usiadła na piętach, sycząc, gdy poruszyła ramieniem.

- Teraz przedyskutujemy możliwości - odparła wolno. - Co zrobimy i dokąd pójdziemy.

Przeciągnął się, uważając na obandażowane skrzydło, i usiadł.

- Możliwości - powtórzył. - Oboje wiemy, że najlepszą rzeczą, jaką

możemy zrobić, jest pozostanie tutaj. Racja?

- I zbudowanie stosu. - Wyjrzała przez płótno na drzewa i maleńkie skrawki nieba, mrugające przez zielen jak maleńkie białe oczy. - Bardzo dymiącego stosu. Potrzebujemy dużo dymu, aby przebił się przez te liście.

- Dwa albo trzy dni potrwa, zanim się dowiedzą, że zniknęliśmy - powiedział głośno, aby się upewnić, że dobrze kojarzy. - Mamy schronienie, możemy je ulepszyć i umocnić, używając drewna i liści. Widziałem, jak zbudowałaś ochronę przed wiatrem i na pewno moglibyśmy dodać podobną ścianę nad płótnem. Jeśli popatrzysz na spadłe liście, zobaczysz, że te, których użyłaś, kiedy wyschną, przypominają cienką skórę; wytrzymają jako szalas.

Przytaknęła, ale wykrzywiła się.

- Jedną ręką nie będzie łatwo - ostrzegła. - A nadal jestem jedyną osobą w tym zespole, która dobrze zna się na węzłach. Możesz wygryzać dziury, przez które przeciągnę sznurek, ale to nadal będzie bardzo mozolne.

- Więc nie będziemy się spieszyć. Mogę coś robić, muszę tylko być ostrożny. - Urwał na moment. - Zostaliśmy ranni, ale nadal jestem dorosłym gryfem, a niewiele stworzeń odważy się rzucić na kogoś mojej wielkości, rannego czy nie.

- Przez te dwa czy trzy dni to, co nas strąciło, może nas odnaleźć, obserwować i powziąć własne plany - sprzeciwiła się, równie łatwo stając po drugiej stronie, jak on, gdy zaproponowała swój plan. - Musimy założyć, że zostaliśmy zaatakowani i obmyślić plan obrony. To miejsce nie nadaje się do tego.

Przytaknęła; to było oczywiste. Ze wszystkich stron otaczały ich krzaki, a nie mogli ich zniszczyć, nawet wypalić.

A gdyby mogli? Wolał się nie zakładać. Była szansa, że nic by się nie stało: w końcu nie mogli pozbyć się drzew tak potężnych, że kilku mężczyzn objęłoby pień ramionami. Była też szansa, że skutki przerosłyby ich oczekiwania i puściliby z dymem cały las, skazując się na piekło. Nie zapomniał, że świeże drewno dokładane zeszłej nocy do ogniska paliło się lepiej, niż się spodziewał. Nie, podpalanie tego miejsca w celu uzyskania obronnej przesieki nie było dobrym pomysłem.

- Powinniśmy dostać się w miejsce, gdzie nasz stos może zostać dostrzeżony w nocy - ciągnęła. - Nie sędzę, abyśmy wybili aż taką dużą dziurę w koronach drzew.

- Nie wybiliśmy; sprawdziłem. - Szkoda, ale miała rację. Stos palił się też w nocy, ale nie było mowy, aby ktoś lecący w nocy zobaczył ognisko na ziemi, o ile nie było ono znacznie większe od tego, które mogli zbudować w dwójkę.

- Ostatnim problemem jest brak źródła wody - podsumowała i wyciągnęła zdrową dłoń. - Wiem, że odkąd tu przylecieliśmy, co popołudnie lało jak z cebra, ale nie powinniśmy na to liczyć. Tak: jesteśmy w niewidocznym miejscu bez żadnych znaków, pod drzewami, nie mamy wody i nie jesteśmy w stanie się obronić, gdy nas zaatakują.

Skrzywił się.

- Jeżeli tak uważasz, to pozostanie tutaj raczej nie wchodzi w grę.

- Musimy iść tylko do najbliższego strumienia albo źródła - stwierdziła. - Jeśli będziemy mieli szczęście, znajdziemy je niedaleko. Będziemy mieć szalasa i wodę i kiedy przyjrzymy się terytorium, na które spadliśmy, możemy zacząć myśleć o obronie. Ale sądzę, że powinniśmy zaplanować przeprowadzkę.

- Może - rzekł z powątpiewaniem - ale...

To, co zamierzał powiedzieć, zagłuszone zostało grzmotem i uderzeniami kropli deszczu w liście.

- ...nie dzisiaj - jęknął, kiedy deszcz runął równie ulewnie jak wczoraj, ale znacznie wcześniej.

Klinga zakłęta i wystawiła głowę, aby spojrzeć na deszcz - za daleko, bo zdołała poruszyć płótnem i koszem tak, aby z dachu spłynęła jej na kark kaskada wody. Skoczyła do środka i zbladła z bólu.

Strumień przekleństw, który z siebie wyrzuciła, okryłby chwałą każdego starego wiarusa, ale Tad zachował milczenie. Zimna woda była niewątpliwie nieprzyjemna, ale gdy Klinga rzuciła się w tył, musiała naprawdę uszkodzić sobie chore ramię.

- Przyniosę drewno - zaofiarował się szybko i wyczołgał niezdarnie z szalasu, próbując nim nie poruszać.

Znacznie bardziej wolał przemoknąć, niż przebywać w towarzystwie Klingi, kiedy naraz kilka rzeczy przestało działać. Była jego partnerką i najlepszą przyjaciółką, ale znał ją i jej temperament aż za bardzo dobrze.

I jeśli mam wybór, to wolę burzę z piorunami.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Mokry gryf - oznajmiła Klinga, marszcząc nos - zdecydowanie nie mieści się w tej samej kategorii zapachowej co bukiet lilii.

- Podobnie jak wysmarowana maściami kobieta - odparł łagodnie Tad. - Ja wyschnę, a rano ty nadal będziesz pokryta tą śmierdzącą zupą.

Ponieważ właśnie skończył pomagać jej owinać kończyny i tors mokrymi, brązowymi bandażami, uznał, że ma takie samo prawo do komentarza, jak ona.

Szczerze mówiąc, otrząsnął z siebie tyle wody, ile mógł, zanim wszedł do szałasu i nie był już mokry, tylko wilgotny.

- Mogło być gorzej. Mogłaś dzielić namiot z mokrym kyree - dodał.

Skrzywiła się.

- Kiedyś znalazłam się z mokrym kyree w ciasnym miejscu i w porównaniu z tym doświadczeniem ty jesteś może nie bukietem lilii, ale na pewno maciejką.

Jej kolacja składała się z suchara, którego gryzła jak kyree kość. Mieli niewiarygodne szczęście; Klinga wysledziła ciekawskie zwierzę, złażące po pniu, aby im się przyjrzeć, i upolowała je ze swej procy. Wystarczyło za porządny posiłek, szczególnie że Tad nie ruszał się zbyt wiele i nie przetrwał jeszcze śniadania.

Wyszedł poszukać drewna, rozglądając się za gałęziami strąconymi przez wiatr i przyciągając je do obozowiska. Potem zrobił coś odwrotnego, pozbywając się resztek, które były absolutnie bezużyteczne i wyrzucając je po drugiej stronie palisady, aby się o nie bez przerwy nie potykali.

Późnym popołudniem Klinga wyszła na zewnątrz, aby porąbać przyniesione przez Tada drewno i umyć się w deszczu. Zachował się jak dżentelmen i odwrócił wzrok, choć nie należała do jego gatunku. Jak na Kaled'a'in była niezwykle skromna - a może po prostu chroniła każdą część swej prywatności, którą jeszcze mogła kontrolować.

W każdym razie zebrała się na odwagę i wykapała w zimnym deszczu, skacząc z powrotem do szałasu, gdy tylko skończyła, zawijając się w koc. Twierdziła, że czuje się znacznie lepiej, ale zastanawiał się, ile w tym było brawury, a ile pobożnych życzeń. Była człowiekiem, nie została stworzona do niebezpiecznych i nie zaplanowanych lądowań. Choć kosz zapewnił jej ochronę, nie miał pojęcia, jak bardzo, w po-

równaniu z nim, została ranna. Nie chciała się przyznawać do obrażeń, których nie było widać. Oprócz tego podejrzewał, zamartwiając się coraz bardziej, że jej milczenie mogło ukrywać zranione uczucia.

Kiedy się wysuszyła, poprosiła go o pomoc przy nakładaniu maści na siniaki. Nie miał wątpliwości, że jest ona skuteczna: po wczorajszej porcji leku siniaki Klingi zaczęły blednąć, zmieniając kolory z purpury, granatu i czerni na żółć, zieleń i purpurę. I choć ta kombinacja kolorystyczna nie była najpiękniejsza, oznaczała, że Klinga wracała do zdrowia szybciej, niż gdyby nie używała leków. Skończył jeść mięso i zaproponował jej kości.

- Możesz je wrzucić do ognia i usmażyć - rzekł, gdy się zawahała. - A potem możesz zjeść szpik. Szpik jest dobry i odżywczy. To stworzenie nie smakowało najgorzej; szpik na pewno będzie miał lepszy smak od chleba, który przeżuwasz.

- Siano jest bardziej zdecydowane w smaku - mruknęła i wzięła większe kości.

- Mogę je później rozłupać, jeśli nie pękną, i wygrzebiesz sobie ugotowany szpik. Możemy użyć długich kości jako rożna. Przydadzą się - stwierdził.

Klinga przytaknęła, bez powodzenia próbując rozprostować ramiona.

- Ty spróbuj zjeść jak najwięcej tych małych kości; twoje skrzydło będzie się lepiej goić. - Zakopała kości w popiele i obserwowała je, gdy on postąpił wedle jej wskazówek i odrywał kęsy z mniejszych. Miała rację; każdy gryf wiedział, że do odbudowy kości potrzeba kości.

Kiedy jedna z kości rozpadła się ze słyszalnym chrzęstem, Klinga szybko wyłowiła ją z ognia. Wygrzebała miękki, upieczony szpik czubkiem noża, rozsmarowała go na chlebie i zjadła.

- Lepiej. Jest prawie dobry - stwierdziła z pełnymi ustami. - Dzięki, Tad.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł ucieszony, że jej nastrój się poprawił. - Obejmiemy wachty tak samo jak wczoraj? - Ziewnął szeroko. - Zawsze łatwiej mi zasnąć z pełnym żołądkiem.

- Kiedy masz pełny brzuch, nie można cię obudzić, chciałeś powiedzieć - parsknęła, uśmiechając się leciutko. - Nie mamy lepszego planu.

Jego skrzydło mniej bolało, a przynajmniej tak mu się zdawało. Gryfie kości zazwyczaj zrastały się bardzo szybko, jak skrzydła ptaków, które były ich prototypem. W tej chwili był za to naprawdę wdzięczny;

wolał nie myśleć o konsekwencjach, jeśli Klinga źle nastawiła jego skrzydło. Nie żeby oznaczało to koniec popisów powietrznych, ale sama myśl o łamaniu i ponownym nastawianiu kości była bardzo nieprzyjemna.

Spojrzał na korony drzew i jak zwykle zobaczył tylko liście. I bardzo dużo deszczowych chmur.

- Obawiam się, że czeka nas taka ulewa, jak wczoraj - stwierdził żałośnie. - To tyle, jeżeli chodzi o zastawianie sideł.

Wzruszyła ramionami.

- Nie możemy mieć wszystkiego. Jak na razie dobrze nam idzie. Bez problemu moglibyśmy przetrwać tydzień, o ile nic się nie zmieni.

O ile nic się nie zmieni. Być może uznała to za słowa dodające odwagi, ale wcale nie czuł się bardziej odważny, gdy próbował zasnąć. *Wszystko się w końcu zmienia. Tylko głupiec uważa inaczej. Może nam się wydawać, że wiemy, co robimy, ale jeden poważniejszy błąd i jesteśmy martwi. Nawet niewielki błąd może oznaczać, że wszystko się zmieni.*

Ta myśl towarzyszyła mu, gdy zasypiał, a potem odbiła się echem w snach.

Spał tak lekko, że Klinga nie potrzebowała nim potrząsać. Obudził go dźwięk wody kapiącej bezustannie z liści, trzask i syczenie ognia, głosy żab i owadów. To wszystko. Było tu prawie zupełnie cicho, a ta cisza deprimowała.

Lasy, które znał, ogarniała taka cisza, kiedy duży i groźny drapieżnik - na przykład gryf - pojawiał się na horyzoncie. Wątpił, aby mieszkańcy tego lasu poznali się tak dobrze na nich, aby uznać ich za niebezpiecznych. To oznaczało jedno; pojawiło się coś, co lokalne zwierzęta uznały za niebezpieczne.

Gdzieś tutaj.

- Masz coś? - szepnął. Lekko potrząsnęła głową, nie odrywając wzroku od lasu i zauważył, że przytłumiła ogień, aby jej nie raził.

Nadstawił uszu i wyteżył wzrok, przeszukując noc równie skrupulatnie jak ona, i niczego nie znalazł.

- Nie chodzi o to, że wszystko nagle ucichło; po zmroku prawie nic się nie odezwało - wyszeptała. - Podejrzewam, że wypędziliśmy stąd wszystkie zwierzęta...

- Nawet te, które żyją na drzewach? Wątpię - odparł. - Dlaczego miałyby się nas bać?

Wzruszyła ramionami.

- Wiem tylko, że nic nie widziałam ani nie słyszałam, ale mam takie denerwujące wrażenie, że coś nas obserwuje. Gdzieś tam.

I cokolwiek to jest, nie podoba się tutejszym zwierzętom. Czuł to samo: jakby coś pełzało mu po karku; poza tym swędziły go szpony. W mroku nocy czaiły się nieprzyjazne oczy, a Klinga i Tad nie mieli nad nimi żadnej przewagi. To coś wiedziało, gdzie i kim są. A oni nie mieli pojęcia, czym ono było.

Ale jeśli nie zaatakowało, kiedy spał, prawdopodobnie nie zrobi tego, gdy Klinga się położy.

- Idź spać - powiedział. - Jeśli czai się tam coś, co nie jest wytworem naszej wyobraźni, nie sądzę, aby zdecydowało się na atak podczas mojej warty. Wyglądam lepiej niż ty i mam zamiar to wykorzystać.

Pod plecakami z ubraniami Klingi leżały jego szpony. Podniósł plecaki dziobem i wyłowił rękawice. Jasna stal zaślniła przerażająco w przyćmionym świetle, a on z nakładania ich uczynił wielki spektakl. Kiedy Klinga zapięła sprzączki, usiadł, ale znacznie czujniej niż poprzedniej nocy.

Jeśli nic tam nie ma, rano będę się czuł strasznie głupio, bo zrobiłem z siebie widowisko.

Lepiej czuć się głupio, niż dać się zaskoczyć napastnikowi. Nawet jeśli obserwowało ich zwierzę, odczyta właściwie mowę ciała Tada. Być może domyśli się ze lśniących szponów i wyprostowanej sylwetki, że zaatakowanie ich byłoby dużym błędem.

Klinga otuliła się kocami jak wczoraj, ale zauważył, że pod ręką położyła nóż, a pod poduszkę wsunęła sztylet.

Mam nadzieję, że zaśnie - wzdrygnął się. Z wyczerpanej nie będzie rano żadnego pożytku. Dałbym jej herbatkę nasenną, gdyby istniała najmniejsza szansa, że ją wypije.

Czekał całą noc, ale nic się nie wydarzyło. Krople wody nadal skapywały z drzew, owady i żaby śpiewały, ale nic innego nie poruszyło się ani nie odezwało. Wraz ze zbliżaniem się świtu zaczął się zastanawiać, czy naprawdę nie wystraszyli wszystkiego oprócz pluskiew i płazów.

Nieprawdopodobne, ale możliwe...

Kiedy w lesie zaczęło się rozjaśniać, Tada bolały wszystkie napięte mięśnie. Oczy swędziły i paliły ze zmęczenia i nie mógł się doczekać przebudzenia Klingi. Ale nie chciał sam jej budzić. Potrzebowała odpoczynku tak samo jak on.

W końcu gdy świt przekształcił się w dzień, zadrżała i natychmiast oprzytomniała.

- Nic - powiedział, odpowiadając na nie zadane pytanie. - Oprócz tego, że całą noc w pobliżu obozu nie odezwało się żadne stworzenie większe od słowika.

Poruszył się, zdejmując szpony z łap, sztywno wstając i wylażąc w podnoszącą się mgłę. Chciał się rozejrzeć, zanim mgła zgęstnieje i uniemożliwi mu widzenie, otaczając wszystko bielą, jak noc otaczała czernią.

Szukał śladów stóp i łap, miejsc, gdzie spoczywające ciało przygniotło liście do ziemi.

Najbardziej dumny był właśnie ze swych zdolności w tej dziedzinie. Wsławił się jako niezrównany tropiciel. Klinga była dobra, ale on bił ją na głowę.

Dlaczego gryf spędzający życie wysoko nad ziemią miał wrodzony talent do tropienia, pozostawało tajemnicą. Jeśli Skan szczyił się podobną umiejętnością, nikt o tym nie wspominał. Tad wiedział tylko, że był najlepszy w grupie i imponował najlepszym zwiadowcom Kaled'a'in. A to dużo znaczyło, bo o Kaled'a'in mówiono, że potrafili wytropić wiatr.

Podejrzewał, że te umiejętności będą mu teraz bardzo potrzebne.

Obszedł palisadę i nic nie znalazł, nawet najmniejszego śladu, że ów stwór czający się w ciemnościach nie był tylko wytworem jego wyobraźni. Odszedł tak daleko, że nie mógł dostrzec swojego obozowiska. Zaczął się sam z siebie śmiać.

Powinienem się domyślić. Wyczerpanie, ból, za dużo lekarstw. Taka kombinacja sprawia, że jesteś przekonany, iż ktoś cię śledzi, kiedy siedzisz sam we własnym gnieździe.

Rozważał powrót do obozowiska; mgła gęstniała coraz bardziej, więc i tak nie mógł wiele dostrzec. Obrócił się już na pięcie, planując, jak będzie się śmiał ze swoich obaw, gdy przypadkiem spojrzeł w bok, na miejsce, w którym zostawił wczoraj wywleczone z obozowiska resztki.

Zamarł, bo miejsce się zmieniło i nie wyglądało na to, że to jakiś padlinożerca tam buszował.

Każdy kawałek śmiecia był skrupulatnie oddzielony od reszty, zbadany i ułożony w kupki. Tutaj były ślady, których na próżno szukał, ślady stworzenia, kilku stworzeń, które leżały na liściach, i krążyły wokół każdej bezużytecznej rzeczy.

Intuicja ich nie zawiodła. Nie było to zmęczenie, ból ani leki. Coś tu przyszło zeszłej nocy i zanim zaczęło obserwować obóz, przebywało tutaj. Brakowało większych przedmiotów, a na ziemi nie było śladów, dokąd je zaciągnięto. Oznaczało to, że nocni goście podnieśli te śmieci i ponieśli ze sobą, nie ciągnąc ich po ziemi.

Oprócz tego jednego miejsca nigdzie indziej nie znalazł żadnych śladów. Stworzenie lub stworzenia ruszyły z powrotem przez las, nie zostawiając najmniejszych znaków.

To nie mógł być zbieg okoliczności. To musiała być sprawka tego, co straciło ich z nieba. Teraz tajemniczy wrogowie, czymkolwiek byli, spędzili noc na przyglądaniu się Tadowi, Klindze i wszystkiemu, do czego mogli się dostać. Mieli nad nimi przewagę, bo on i Klinga nic o nich nie wiedzieli, nawet tego, czy mieli cztery nogi, sześć, osiem, dwie i czy w ogóle mieli nogi. Wiedział tylko, że stworzenie - czy stworzenia - z którymi się mierzyli, były na tyle inteligentne, aby bardzo dokładnie zbadać śmieci, i na tyle przebiegłe, aby zrobić to, nie zdradzając się.

Obrócił się na pięcie i ruszył biegiem do obozu, nie zważając na ból. Sił dodał mu nie zwykły strach, tylko czyste przerażenie, bo dla gryfa nie ma na świecie nic gorszego od nieznanego przeciwnika.

Kiedy Tad mówił, Klinga drżała, choć słońce stało już na tyle wysoko, aby przepędzić mgłę i zastąpić chłodną wilgoć parnym upałem. Ból, zmęczenie, środki znieczulające - wszystko wystawiało jej odporność na ciężką próbę. Jej dłonie drżały, a pobladła twarz sugerowała, że nie trzęsła się z bólu, tylko z wysiłku. To wydarzenie mogło spowodować załamanie.

Tad próbował być absolutnie obiektywny; próbował tylko przedstawić, co widział, nie co czuł. Tam, oko w oko ze śladami przeciwników, miał złe przeczucia, choć nie mógł ich racjonalnie udowodnić. Ale Klinga najwyraźniej czuła to samo i zamiast się załamać, pod wpływem zdenerwowania wzięła się w garść. Nadal była blada, ale jej dłonie przestały drżeć, podobnie jak głos.

- Nie mamy już wyboru - rzekła matowo. - Musimy się stąd wynosić. Nie możemy się tu bronić przed stworzeniami, które przychodzą i znikają bez śladu. Będziemy mieli szczęście, gdy okażą się przywiązane do swojego terytorium i jeśli się z niego wyniesiemy jak najdalej, będą usatysfakcjonowane.

I znów fauna tego miejsca tajemniczo zniknęła z ich sąsiedztwa; tylko kilka ptaków śpiewało i wołało wśród drzew. Czy wiedziały o czymś, czego oni nie znali?

- A jeśli szczęścia nie mamy, będziemy zmykać, nie mając schronienia - sprzeciwił się. Jego wzrok się wyostrzył i poczuł, że zjeżyły mu się pióra na policzkach i szczęce. - Skoro przychodzą i odchodzą, kiedy chcą, nawet nie zauważymy, że nas śledzą! Nie chcę, żeby niewidzialny przeciwnik siedział mi na ogonie. Chcę widzieć, przeciw komu stoję. - Bał się i nie wstydził się tego okazać. Myśl, że coś mogło ich śledzić albo wyprzedzić i zastawić pułapkę, a on dowiedziałby się o niej, gdy byłoby za późno... po prostu robiło mu się niedobrze.

Klinga milczała przez chwilę, gryząc dolną wargę. Wokół nich woda wolno kapała z liści, spadając w kałuże, a powietrze gęstniało od zapachów nieznanych kwiatów.

- Nie odlecieliśmy zbyt daleko, zanim nas strącono. Dwadzieścia, góra trzydzieści lig. Możemy zawrócić w kierunku poprzedniego obozowiska. Ono było przygotowane do obrony, pamiętasz to wzniesienie w pobliżu? I rzekę, która płynęła u jego stóp?

Tad nerwowo zagrzebał szpony w ściółce. W nozdrza uderzyły go nowe zapachy: ziemi, butwiejących liści, wilgoci i ostra woń grzybów.

- Masz rację.

Zastanawiał się nad jej propozycją, próbując wyobrazić sobie, ile czasu zajmie dwojgu rannych przejście dystansu, który przefrunęło dwoje zdrowych. *Nie chodzi o odległość, tylko o to, co będzie się działo po drodze.* - To może nam zająć nawet cztery dni - ostrzegł. - Nie mamy żadnego sposobu na określenie kierunku oprócz strzałki kompasu i będziemy się przedzierać przez kilometry tego. - Wskazał poszycie. - Będziemy nieśli plecaki, uważali na tyły i wypatrywali zasadzek, a oboje jesteśmy ranni. To wszystko spowoduje duże opóźnienie; szczerze mówiąc, powinniśmy założyć, że przez las będziemy się wlec, a nie gnać.

Jeśli mamy to zrobić, ja chcę się wlec. Chcę się przemykać od kryjówek do kryjówek; chcę iść tak, abyśmy nie zostawiali śladów ni zapachów. Chcę zastawiać pułapki.

- Ale gdy tam dotrzemy, będziemy na wzgórzu, Tad. To oznacza jaskinie i przynajmniej jeden wodospad; nawet jeśli najpierw nie znajdziemy rzeki, możemy iść wzgórzem, aż do niej dotrzemy. Przynajmniej będziemy mieli o co się oprzeć! - Wyglądała na niewiarygodnie

spiętą i Tad jej nie winił. Z nich dwojga ona była bardziej podatna na zranienie i mniej zdolna do samoobrony, z nożem czy bez.

Nie żebyśmy się na tym znali. W takim terenie też mam problemy. Jeśli coś rzuci się na mnie od przodu, mogę to rozedrzeć, ale w bliskich starciach moje boki i tył mogą nieźle oberwać.

Gdyby opuścili ten obóz, ich zachowanie byłoby proste: spakować co się da, albo wyżyć z darów natury bez pomocy. Była szansa, że uda im się improwizować, albo...

Albo okaże się, że się nie uda. Jesteśmy ranni. Potrzebujemy wszystkiego, co może się przydać, czyli broni, narzędzi, jedzenia, ochrony.

- Jediną korzyścią dla nas jest fakt, że te stworzenia, czymkolwiek są, nie znają nas i nie mogą przewidzieć naszych ruchów - nalegała. - Jeśli teraz wyruszymy, zgłupieją. Może złączą sprawdzając, co zostawiliśmy. Nie zgubimy ich, dopóki nie stracą zainteresowania nami, ale możemy je zostawić tak daleko za sobą, aby doścignięcie nas zajęło im trochę czasu.

Gdyby tylko wiedzieli, przeciw jakim stworzeniom występują! Sam fakt, że spróbują cichutko prześlizgnąć się przez las, a nie uciekać w popłochu, może skonfundować przeciwników.

Albo zachęci ich do ataku. Mogą to odczytać jako przyznanie się do słabości. Nie mieli o tym zielonego pojęcia.

Przytaknął, zgrzytając lekko dziobem.

- A jeśli zostaniemy, mogą nas obserwować, kiedy chcą - przyznał. - Co czyni nas łatwym celem.

Iść czy zostać? Pozostać tutaj czy znaleźć miejsce łatwiejsze do obrony?

I tak byli celem. Pozostawała sprawa: ruchomym czy nieruchomym?

Aubri i ojciec zawsze zgadzali się w jednym: lepiej być celem ruchomym.

- Dobrze, zgadzam się. Spakujmy dwa plecaki i wynośmy się stąd. Możesz mnie objuczyć; nie będzie wielkiej różnicy, skoro i tak nie mogę latać.

Skinęła głową i bez słowa zaczęła grzebać w zapasach zgromadzonych w szałasie. Chwilę później wręczyła mu plecak. Przyłączył się do niej w przeszukiwaniu tego, co ocalili. Oczywistym było, co zostawia: prawie wszystko. Musieli porzucić to, co nie było absolutnie niezbędne.

Rozrzucali wszystko, czego nie musieli już chronić. Jeśli ich wrogo-

wie przybędą przeszukać obozowisko, bałagan pozwoli Klindze i Tadowi zyskać na czasie.

Ubrania i rzeczy osobiste dołączyły do śmieci; łatwiej było zdecydować, co zostawić, niż co zabrać. Góry śmieci rosły, a plecaki wcale się nie napępniały. Musieli zabrać apteczkę, broń, chociaż sakwa z pociskami do procy była ciężka. Jak na razie nie znaleźli niczego, co lepiej by się nadawało na pociski od ołowianych kulek. O tej porze roku nie spadały orzechy, podłoże nie obfitowało w kamienie i nie liczyli na to, że w sprzyjającym momencie natkną się na kamieniołom. Jediną bronią miotającą, jakiej Klinga mogła użyć jednorącz, była proca. Z pociskami.

Musieli zabrać jedzenie, narzędzia oraz dużo płótna i koców, aby było im ciepło w nocy. Koce były grube i ciężkie, ale gdyby przemokli, umarliby z wychłodzenia, nawet rozpalając ogień, aby się wysuszyć. A poza tym jeśli znów złapie ich długa i gwałtowna burza i nie będą mieli gdzie się schować, i tak nie rozpalą ognia. Płótno namiotowe i dwa koce okazały się niezbędne.

Zostawiali napastnikom wiele interesujących rzeczy i Tad miał nadzieję, że zajmie ich to na długi czas. *Gdybym tylko wiedział o nich coś, cokolwiek, mógłbym wymyślić sposób, aby byli jeszcze bardziej zajęci!*

Część ich szkolenia obejmowała proces selekcji i nauczyli się, co było naprawdę potrzebne do przeżycia. Szybko zapakowali dwie sakwy, jedną większą, drugą mniejszą. Klinga niosła dwa oszczepy, używając ich jako lasek; miała jednocześnie broń i podporę. Trzeba było nie lada pomysłowości, aby przyczepić jej plecak tak, by nie sprawiał jej bólu - nie było gorszego obrażenia od złamanego obojczyka, gdy przychodziło do noszenia plecaka. Większość wagi przypadała teraz na jej biodra, co zapewne wywoła siniaki i otarcia. I Klinga, i Tad musieli zaakceptować fakt, że w najbliższej przyszłości ból stanie się ich nieodłącznym kompanem i powinni znaleźć sposoby, aby go osłabić, skoro wyeliminowanie było niemożliwe. "Cierp teraz, lecz się później" było jedynym użytecznym poglądem filozoficznym.

Poranna mgła ledwie zaczęła się unosić, kiedy za pomocą kompasu ustalili kierunki i ruszyli na zachód. Klinga prowadziła na otwartej przestrzeni. Była niezbyt rozległa i oboje mieli wrażenie, że atak nadśzedłby od tyłu. On był lepiej przygotowany, aby odeprzeć frontalny atak i na otwartej przestrzeni mógł się szybko odwrócić, by pomóc

Klindze. W zaroślach on prowadził, a Klinga pilnowała jego ogona. Nadal wystawiali się na atak z boków, ale lepsze to niż odsłonięty tył. Zastanawiali się nad bombą-niespodzianką w obozie i zdecydowali, że jej nie podłożą. Chcieli, aby przeciwnicy zajęli się odpadkami, bo gdyby kilku zostało rannych lub zabitych, mogliby się wściec i ruszyć ich śladem, pragnąc zemsty. A poza tym odkrycie pułapki mogłoby odebrać ich od przeszukiwania obozowiska, co skróciłoby dystans, na który Klinga i Tad tak liczyli.

Kiedy wyruszali, Tad odwrócił się i obrzucił obóz spojrzeniem, zastanawiając się, czy nie popełniają śmiertelnego błędu. Tyle zostawiali, tyle rzeczy mogli rozpaczliwie potrzebować przez następnych kilka dni! Ale ich żaloszny szalasik wyglądał teraz jeszcze gorzej i Tad wiedział, że nie wytrzymałby jednego porządnego uderzenia, o ataku z prawdziwego zdarzenia, przypuszczonego przez kilka stworzeń, nie wspominając. Tak naprawdę konstrukcja z płótna i gałęzi mogła stać się pułapką. Niewiele było trzeba, aby wywlec podtrzymujące gałęzie...

Dreszcz mu przeszedł po krzyżu, gdy o tym pomyślał, bo zbyt łatwo przyszło mu wyobrażenie sobie, że coś zwała się na ich dach, więząc ich w środku, niezdolnych do obrony...

Odwrócił się, drżąc, i ruszył za Klingą, wybierając drogę w splątanych gąszczu leśnego poszycia.

W koronach drzew nadal utrzymywała się mgła, na tyle wysoko, aby nie mogli precyzyjnie określić położenia słońca. Za jakiś czas zniknie ona zupełnie i będą mogli skonfrontować swój kierunek ze słońcem - chociaż jak na razie im się to nie udało.

Będziemy dokładnie wiedzieć, gdzie jesteśmy, jeśli znajdziemy dziurę wystarczająco dużą, aby ujrzeć słońce. I to też tylko w momencie, gdy słońce będzie dostatecznie wysoko, aby świecić przez tę dziurę, o ile ją w końcu znajdziemy.

Życie w tym lesie przypominało życie w olbrzymiej, parnej jaskini. Jak cokolwiek, co tu mieszkało, wiedziało, gdzie jest? Tad czuł się dezorientowany, nie mogąc ujrzeć nieba, i cierpiał na lekką klaustrofobię; zastanawiał się, czy Klinga podzielała jego uczucia.

Wydawała się zdeterminowana i skoncentrowana na przedzieraniu się przez las, przemykając się przez poszycie tak, aby niczego nie poruszyć. Ściółka z liści na ziemi nie sprzyjała zostawianiu śladów i jeśli ich wrogowie nie wyruszą za nimi przed popołudniowym deszczem, zapach też się rozmyje. Jeśli nawet odczuwała ataki klaustrofobii, to

nie przeszkadzały jej one w działaniu.

Ale on kręcił głową na wszystkie strony za każdym razem, gdy zatrzymywali się, aby wybrać kierunek. Te częste postoje, podczas których wybierała drogę do następnej kryjówki, sprawiały, że czuł, jak las się nad nim zamyka. Jego nerwy płonęły z napięcia; nie rozumiał, dlaczego ona tego nie czuła.

Może nie czuje; może jej to nie przeszkadza. Może ona nie potrzebuje nieba i wiatru. Zawsze wiedział, że ludzie nie byli podobni do gryfów i ta myśl sprawiła, że poczuł się na chwilę bardzo wyobcowany.

Ale przecież w Białym Gryfie mieszkała w istnym kretowisku, więc może krajobraz jej się podobał, zamiast przytłaczać. Och, jakże tęsknił za przestrzenią, aby rozłożyć skrzydła, nawet jeśli ta tęsknota przypominała mu, że przez jakiś czas nie będzie mógł ich rozłożyć!

Kiedy Klinga ruszyła pomiędzy dwa krzaki, które ledwie go przepuściły, uświadomił sobie kolejną dziwną rzecz. Nie było tu żadnych ścieżek!

Ta myśl rozproszyła go tak, jak brak nieba nad głową. Wiedział, że żyły tutaj jakieś duże zwierzęta, dlaczego więc nie zostawiały regularnych śladów? Powinny tu być ścieżki jeleni, prowadzące do wodopoju. Jelenie nie zbierały deszczówki w kubki; musiały mieć wodopój. Nigdy w życiu nie napotkał stada jeleni, które nie wydeptałyby ścieżek na swoim terenie, choćby dlatego, że było ich dużo i szły w tym samym kierunku.

Czyżby żyło tu coś tak niebezpiecznego, że zostawianie regularnego szlaku równało się samobójstwu, a poruszanie się w stadach było co najmniej lekkomyślnością?

Czy to samo coś strąciło ich z nieba i buszowało wśród ich zrujnowanych rzeczy!

Ta myśl jest zbyt logiczna i wcale mnie nie pociesza. Wiem, że są tu koty duże jak lwy i niedźwiedzie, bo powiedzieli nam o tym Haighlei, ale nigdy nie widziałem, aby jelenie czy dzikie świnie baty się przechodzić przez terytorium lwa czy niedźwiedzia. Jeśli jest tu coś, co przeraża zwierzęta, które regularnie spotkają się z lwami...

Odpowiedź brzmiała: owo zagadkowe stworzenie było tak agresywne, tak krwiożercze, że parzystokopytne nie były bezpieczne nawet w stadach. Takie stworzenie mordowało wszystko w zasięgu pazurów, głodne czy nie. Przełknął ślinę, bo nagle zaschło mu w gardle.

Ale może znów przesadzał. Nie podobało mu się to miejsce, a jego

wyobraźnia podsuwała mu coraz dziwniejsze obrazy. *Może znaleźliśmy się w niewłaściwej części lasu. Może nie ma tu nic jadalnego, co przyciągnęłoby jelenie i inne zwierzaki. Na pewno nic nie wygląda na wystarczająco smaczne dla roślinożercy; wszystkie krzaki są strasznie gęste, a trawy tu jak na lekarstwo. Może dlatego nie ma tu żadnych ścieżek; jelenie nie chcą tracić czasu.*

I może to było powodem nienaturalnej ciszy wkoło.

Może istniało lepsze wytłumaczenie owej ciszy - ich obecność była wręcz oczywista dla nasłuchujących zwierząt. I chociaż bardzo starali się zachować ciszę, wydawali z siebie dźwięki, które były niezwykle głośne. Próbowali być cicho, ale kiedy przemieszczali się z jednej kryjóWKI do drugiej, potracali rośliny i krzaki, a żaden z tych dźwięków nie był naturalny.

A wszystko, co żyje na górze, ma na nas świetny widok. Wątpię, żeby Klinga wyglądała na nieszkodliwą, a ja wiem, że nie wyglądam. Przypominam bardzo dużego, choć dziwnie uformowanego orła.

Mieszkańcy drzew mogli nie uważać Klingi za drapieżcę, ale Tad na pewno zaliczał się do tej kategorii. Były tu orły, wiedział, bo widział je podczas lotu, polujące nad i w koronach drzew. Wszystko, co przypominało orła, przygotowało istoty nadrzewne o dreszcze.

A jednak... nie było tak głębokiej i pełnej napięcia ciszy, zanim nie odkryli, że są obserwowani. Jeśli o to chodzi, zwierzęta nadrzewne nie były tak ciche w żadnym innym miejscu, gdzie biwakowali przed katastrofą.

Taka cisza zapada, kiedy poluje puszczyk, a ty zamierasz i milkniesz, dopóki on nie zabije, w nadziei, że cokolwiek upoluje, tym razem cię ominie.

Nie słyszał nawet, aby inne zwierzęta polowały... *Ale gdy poluje większy drapieżnik, mniejsze siedzą cicho. Czy to my jesteśmy większymi drapieżnikami, czy coś innego?*

Może powinien zacząć już myśleć, jak opóźnić pościg.

Jeśli cokolwiek-to-jest ruszyło za nami, nie zrobiłoby większej różnicy, gdybym podłożył bomby niespodzianki, prawda? Jak bardzo pogorszyłbym sytuację, gdybym zranił ścigających?

Odpowiedź mogła brzmieć: bardzo. Dlaczego rozdrażniać coś, co mogło ich śledzić tylko z ciekawości?

Żadnych bomb niespodzianek, przynajmniej na razie. Może byłoby dobrze zmylić tropy. Najlepiej zmylić zapachy, ponieważ miały one

najważniejsze znaczenie dla naziemnych drapieżników w takim otoczeniu. Niewiele można było dostrzec, ale zapach utrzymywał się aż do następnego deszczu. A po deszczu trop nie będzie już tak wyraźny.

Zaczął rozglądać się za pnączami o purpurowych i czerwonych liściach; miały ostry, pieprzowy zapach. Zauważył, że były dość pospolite i gdy w końcu je znalazł, syknął do Klingi, by się zatrzymała.

Kiedy ruszyli, mieli gęsty sok z tych liści wtarty w stopy i dłonie i musieli pamiętać, aby nie trzeć oczu, dopóki go nie zmyją, bo piekł jak prawdziwy pieprz. Były też inne rośliny, mniej rozpowszechnione, o równie ostrych zapachach i zamierzał je zbierać. Za każdym razem, kiedy zapach osłabnie, będzie go zmieniał. Jeśli to, co ich ścigało, polegało na swoim węchu, miał dla niego niespodziankę. Może jedna z tych roślin będzie w stanie znieczulić wrażliwy nos.

Miał nadzieję, że ten plan się powiedzie, ponieważ na pewno wyruszyli zbyt późno, a im dłużej szli, tym bardziej zwalniali. Jego sakwa była niezgrabna, ciężka i bolało go skrzydło i wszystkie sińce; nie był stworzony do chodzenia, a plecak tylko pogarszał sprawę. Na szczęście dla niego Klinga nie czuła się lepiej, więc wiedział, że nie on odpowiada za zwalnianie marszu.

Im dłużej szli, tym było gorzej. Mgła w końcu zniknęła, temperatura się podniosła i nie dość, że wszystko go bolało, na dodatek się przegrzewał. Koszula Klingi przykleiła się do jej pleców, ciemna od potu. On się nie pocił, więc dyszał. Ani pocenie, ani dyszenie nie przynosiło ulgi w wilgotnym powietrzu; było tu niemal tak parno, jak w łaźni Kaled'a'in. Najłżejszy powiew nie mącił ciężkiego powietrza. Gdyby to od niego zależało, ogłosiłby postój i padł tam, gdzie stał.

Jak przewidywał, drogę, którą przebyli, można było policzyć nie w kilometrach, a w metrach, a otoczenie niezbyt się zmieniło. Miał pewność, że nie kręcili się w kółko tylko dlatego, że Klinga sprawdzała kompas za każdym razem, gdy stawali. Zatrzymali się na krótki odpoczynek i posiłek. Słońce przebiło się w kilku miejscach przez korony drzew, ale niewiele to pomogło w ustaleniu położenia. Nie widzieli go na tyle dobrze, aby określić azymut.

Światło słoneczne okazało się kolejnym zagrożeniem. Promienie padające przez ciemnozielone liście były urzekające, bardzo malownicze, ale ich również musieli za wszelką cenę unikać. Gdyby znaleźli się choć na chwilę w tak jasnym świetle, oczywistym byłoby, że nie pochodzili z tego lasu.

Nadal nie było śladu cieków wodnych, co oznaczało, że drzewa, by rosnąć, czerpały wodę z deszczów, nie z rzek czy strumieni. Nic specjalnie zaskakującego, biorąc pod uwagę codzienne burze.

Ale potoczek czy strumyk skierowałby ich ku rzece i pomógł zgubić trop. Gdyby byli w stanie brodzić jakiś czas w strumieniu, stworzenie kierujące się ich zapachem straciłoby ślad. Dlatego tak tęsknił za jakimś strumieniem.

A poza tym bieżąca woda na pewno o chłodziłaby mnie lepiej niż moja własna. Ciepły płyn w manierce niespecjalnie go orzeźwiał, choć popijał go co jakiś czas. I smakowałaby lepiej. O wiele lepiej.

Ale nie było widać żadnego strumyczka; promienie słoneczne w końcu zbladły, światło zaczęło mrocznieć, a odległy pomruk zapowiadał zbliżanie się popołudniowej burzy. Niezależnie od braku widocznych postępów był niemal wdzięczny, słysząc go. Musieli stanąć i zbudować schronienie na noc, ponieważ niedługo zacznie padać, a wtedy nie będą mogli niczego zbudować.

Klinga stanęła, podniosła rękę i poczekała na niego.

- Musimy stanąć i rozbić namiot - powiedziała, a w jej głosie brzmiało zmęczenie. Natychmiast zrobiło mu się jej żal; wyglądała na bardziej utrudzoną i obolałą od niego.

Wskazała przed siebie, na jedno niewielu wyróżniających się miejsc, jakie tu widział. W poszyciu była dziura, przez którą widać było grube, szare brzuchy chmur; kilka lat temu upadł tu jeden z leśnych gigantów. Podeszli do miejsca, w którym stała wydrażona resztką olbrzymiego pnia, na wpół pokryta pnączami; to, co zostało z pnia, leżało obok, porośnięte roślinami.

- Pień jest na tyle duży, abyśmy się oboje zmieścili. Użyjemy go jako podstawy szałas; ze wszystkiego, co dziś widziałam, ten najbardziej nadaje się na schronienie.

I nie chodzi jej o schronienie przed deszczem. Przytaknął. Już się nie skradając, przedarli się do olbrzymiego pnia. Był wyższy od Klingi i jak rzekła, wystarczająco duży, aby oboje zmieścili się w pustym wnętrzu. Nie mieli miejsca na ognisko, ale na tak małej przestrzeni ogrzeją się nawzajem ciepłem ciał.

Nie jestem pewien, czy chciałbym, aby ogień nas dziś zdradzał.

Jednak potrzebowali ognia, inaczej byłiby zmuszeni dzielić szałas z wyjątkowo dużą liczbą wielonogich gości. Próchniejące drzewo oznaczało owady, a niektóre z nich mogły być szkodliwe albo jadowite.

Nie mieli wiele czasu przed burzą; prawdopodobnie nie wystarczy go, jeśli Klinga będzie rozniecać ogień, używając hubki i krzesiwa. Ale on był magiem, a zaklęcie ognia należało do najłatwiejszych.

Czy warto? Atak mogła spowodować sama obecność magii... Jeśli nie, ona nie rozpali ognia przed deszczem. A zaklęcie ognia jest tak maleńkie, tak ograniczone w zasięgu i czasie... lepiej zaryzykuję.

- Odsuń się - rozkazał; gdy tylko to zrobiła, zamknął oczy, skoncentrował się - i rozpalil ogień w samym środku wydrążonego pnia. Na dnie leżało wystarczająco dużo zeschniętych liści i próchna, aby rozpalic małe i bardzo dymiące ognisko. Dym natychmiast wygonil wszystko, co moglo skakac i fruwać; Klinga w tym czasie zrobiła dwie pochodnie, które zapalili i zaczęli okadzac pień. Dym uniósł się wokół gęstą mgłą; kilka razy kaszlał i odsuwał się, aby złapać oddech. Na wpeł przegniłe drewno nie dawalo wonnego dymu, dzięki któremu siedzenie przy ognisku było tak przyjemne. Szkoda, że nie natknęli się na to miejsce wcześniej; niektóre żyjątka mogly być bardzo smaczne, szczególnie upieczone. Teraz ich jedynym zmartwieniem było wykurzenie wszystkich mieszkańców pnia przed deszczem.

Znów zakaszlał, kiedy dym stał się silnie śmierdzący. Chyba puściliśmy z dymem gniazdo jakiejś paskudy. Faj. Albo podpaliśmy obrzydliwe grzybki. Miał nadzieję, że nie wydzielało to toksycznych oparów. Chyba za późno, aby się o to martwić.

Nie wygrali wyścigu z deszczem. Właśnie zadaszali pień i przywiązywali płótno, gdy zaczęła się ulewa, przemaczając ich do suchej nitki.

Klinga poddała się nieuniknionemu i stała na deszczu, dopóki nie wyprał jej i jej ubrania, a Tad pozwolił zmyć z siebie sadzę i brud, a potem otrzepał się pod pobliskim drzewem. Szkoda, że ubranie Klingi nie prało się tak łatwo i że nie mogła się otrząsnąć. Skoczył do pnia i wlażł do niego, przepychając się między zapasami. Klinga wyciągnęła już koce, suchary i suszone mięso. Ułożył plecaki tak, aby mogła na nich spać i rzucił koc na szczyt. Musiał wystawić suszone mięso na deszcz i moczyć je tak długo, aż był w stanie je zjeść. W tym czasie Klinga opróżniła i napełniła ich bukłaki i dołączyła do niego.

Ciepło ich ciał rzeczywiście przyczyniło się do ogrzania wnętrza; okrywając się kocami, nie czuli się aż tak źle, a ubranie Klingi zaczęło schnąć. Po jakimś czasie ostry zapach dymu przestał im przeszkadzać, choć nie wykurzył wszystkich robaków. Od czasu do czasu czuł, że coś mu wpełza pod pióra, a Klinga uderzała się po nogach. Deszcz

znów padał do późnego wieczora, a gdy się skończył, pod drzewami znów zapadła niepokojąca cisza.

- Do diabła - szepnęła Klinga. - Miałam nadzieję, że...

- Że ich zgubiliśmy? - Tad był bardzo zadowolony z grubego drewna za plecami i gęstego cienia spowijającego ich szalas. Nawet sowa by ich tu nie wypatrzyła. - Może to nie przez nich jest tak cicho. Może to przez dym; wiesz, jak dzikie zwierzęta boją się ognia.

- A ja jestem cesarzową Haighlei. Nie, są tam. Jestem pewna, że nas śledzili. - Wpatrywała się uporczywie w mrok, jakby zmuszając oczy do lepszej pracy.

- Nie dopadną nas tutaj - powiedział, szczerze o tym przekonany. - Jest wystarczająco bezpiecznie, abyś zasnęła, jeśli chcesz objąć drugą wartę.

- Nie możesz spać? - spytała. Zaprzeczył.

Naprawdę nie był w stanie zasnąć; był bardzo zmęczony, ale nie śpiący. Jego mięśnie skręcały się i pulsowały ze zmęczenia. Jego nerwy były tak napięte jak kusze Kaled'a'in, a najśłabszy dźwięk sprawiał, że wpatrywał się w ciemność równie uporczywie jak ona. Minie trochę czasu, zanim odpręży się na tyle, aby zasnąć.

- Myślę, że moje nerwy są napięte do granic wytrzymałości - odparła, kończąc zdanie ziewnięciem. - Wierz mi lub nie, ale mam to w nosie. Jestem tak zmęczona, że marzę tylko o zażyciu leku i padnięciu, kiedy zacznie działać. Szczerze mówiąc, mogą mnie zabić, pod warunkiem, że zrobią to we śnie; nie mam siły, żeby się tym przejmować.

- Wiem, jak się czujesz. - Niezdarnie poklepał jej nogę.- Śpij. Będę czuwał tak długo, jak potrafię.

W jej głosie brzmiała rezygnacja; nie podzielał tego uczucia, ale musiał rozważyć coś innego. *Nie wiem, czy coś by się zmieniło, gdybyśmy dziś oboje zasnęli. Jak na razie nie mamy żadnych dowodów poza tym, że coś prawdopodobnie niebezpiecznego prawdopodobnie nas śledzi. Właściwie nic nie zrobili. Nawet zakładając, że chcą nas zaatakować, byli tak ostrożni, że nie sądzę, aby byli gotowi spróbować nas wykuczyć z takiego miejsca.*

- Sądzę, że jesteśmy tak bezpieczni, jak to tylko możliwe w tej sytuacji. Śpij, póki możesz.

Nie potrzebowała zaproszenia. W jednej chwili opróżniła fiolkę z lekiem i zwinęła się w kłębek u jego boku, opierając na plecach, aby osłonić ramię. Jeśli kark jej nie zdrętwieje od spania w takiej pozycji

ani mięśnie nie zeszywnieją z zimna, powinno jej być dziś wygodniej niż od czasu wypadku.

Gapił się w ciemność, aż zaczęły go piec oczy i gdy już zamierzał ją obudzić, aby objęła wartość, las się przebudził. Nie było okrzyków strachu - ku jego olbrzymiej uldze odezwały się normalne nocne głosy, takie same, jak słyszeli podczas poprzednich nocy.

Długie "uuu" nad nimi obudziło Klingę. Ocknęła się, drżąc i jęcząc z bólu.

- Co się dzieje? - zapytała, a potem rozluźniła się, rozpoznając odgłosy wokół szałasów.

Nagły wybuch normalnych nocnych dźwięków był kroplą, która wypełniła czarę. Poczul się strasznie zmęczony. Oczy same mu się zamykały, niezależnie od jego woli. Kiedy patrzył w ciemność, głowa leciała mu w dół.

- Zmienisz mnie? - szepnął i poczul, że przytaknęła. Nie potrzebował więcej; chwilę później nie obudziłby go nawet wrzask makaara.

Drugi raz tego ranka Klinga nakazała Tadowi stanąć. Posłusznie zamarł i jak na zwierza swej wielkości zadziwiająco dobrze wtopił się w otaczający go las. Utkwił oczy w Klindze, nie w lesie, ponieważ posłużyła się gestem oznaczającym "czekaj", a nie "niebezpieczeństwo".

Rzeczywiście, nie było niebezpieczeństwa, tylko okazja. Zauważyła kolejnego długorękiego mieszkańca drzew, spuszczonego się ostrożnie po pniu w poszukiwaniu czegoś, co upadło. Musiał być młody; starsze nigdy nie były na tyle nierozważne, by schodzić do niebezpiecznej strefy tylko po to, aby odnaleźć coś, co zgubiły. Jeśli jej się uda, ten nie przeżyje lekcji, dlatego tak się nie postępuje.

Chociaż polowanie opóźniało ich wędrówkę, było to konieczne opóźnienie.

Jej łup zlął z pnia i dał dwa uważne kroki po ziemi, sięgając po kolorową rzecz, którą zgubił. Miał cztery długie łapy, spiczasty ryjek i wielkie oczy po obu stronach głowy. Gdyby pozostał wśród liści, nie byłaby w stanie go dostrzec, bo brązowe futro zlewało się doskonale z barwą kory. Nie mogłaby go też dosięgnąć swą podręczną bronią, bo tylko bardzo duży łuk mógł posłać w korony drzew strzałę, która zabiła.

Obróciła dwa razy procą i zwolniła pocisk.

Zwierzę ledwo miało czas, aby zobaczyć ruch i obrócić głowę. Potem

ołowiany pocisk uderzył je z boku w czaszkę i padło na ziemię martwe.

Uśmiechając się radośnie, podbiegła do niego, aby poderżnąć mu gardło; świeże mięso było zbyt cenną zdobyczą, aby ryzykować, że tylko ogłuszyła zwierzaka. Kiedy skończyła, wstała i skinęła, aby Tad podszedł.

Wyprostowała się i podeszła sprawdzić, co upuścił jej łup. Kolorowy przedmiot, który rzucił fatalny urok na tego zwierzaczka, okazał się nie do zidentyfikowania. Przypominał czerwono-niebieski pęcherz. Mógł być kwiatem, strąkiem, owocem, nawet kokonem czy kawałkiem jakiegoś innego nieszczęsnego zwierzaka. Zignorowała go; był prawdopodobnie jadalny, ale teraz nie czas ani miejsce na eksperymenty.

W tym czasie Tad szybko uporał się z jej łupem. Nie był specjalnie duży, więc gryf poćwiartował go i zjadł niemal wszystko. To już drugie takie polowanie dzisiejszego ranka i świeże mięso niezmiernie go radowało. Pierwszą ofiarą padł gryzoń, podobny trochę do szczura i królika; większy od szczura, ale za mały na królika. Ten tutaj był prawie tak duży jak królik, ale długie kończyny sprawiały, że wydawał się większy. Jeśli nadal będzie miała tyle szczęścia, zdoła go wykarmić świeżym mięsem, choć w niewielkich porcjach. To zaoszczędzi jej jednego kłopotu: jak uchronić Tada przed głodem. Gryfy miały naprawdę olbrzymie żołądki.

Mogę prawdopodobnie upolować w ciągu dnia tyle ptaków i małych zwierząt, aby utrzymać Tada w formie - uznała, podnosząc pocisk i chowając go do sakwy, zanim sprawdziła kompas. Tad gwoli ostrożności zabrał łup pod krzak i tam go zjadł. Przytuliła się do pnia i wyznaczyła rejon, w który się skierują. W ten sposób określała kierunek, po znakach w zasięgu wzroku; sprawdzając kompas, wybierając jakąś część poszycia na zachodzie i ruszając ku niej. W ten sposób, miała nadzieję, unikali wytropienia przez wroga, ale też nie płoszyli zwierzy-ny.

Po dwóch takich przejściach dojrzała kolejnego szczuro-królika, węszącego wśród liści w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Kazała Tadowi stanąć i ustrzeliła go. To dawało trzy łupy na trzy znaki, czyli zwierzątko na znak i zaczynała czuć się bardzo dumna z siebie. To całkiem nieźle jak na kogoś z unieruchomionym ramieniem, prymitywną bronią i na nieznanym terenie. *Jeśli dobrze pamiętam gryfie racje żywnościowe, tyle mięsa powinno mu wystarczyć. Jasne, to jak karmić jastrzębia okruchami, ale żebracy nie są wybredni. Nawet jeśli nie jest*

syty, nie jest też głodny.

Wydawał się nieco oburzony, że musi co kawałek jeść jakiś drobiazg, ale nic nie mówił. Przyzwyczaił się do jednego lekkiego i jednego solidnego posiłku oraz drzemki po kolacji. Pewnie zastanawiał się, dlaczego zatrzymują się tak często tylko po to, by coś zjadł.

Ale gdyby zbierała łupy, aż starczyłoby na jeden duży posiłek, niepotrzebnie by się obciążała. Niech mięso kruszeje w najbardziej wydajny sposób: w gryfim żołądku.

Jeśli jeszcze się nie domyślił, co robię, zrobi to niedługo - stwierdziła, ruszając.

Martwiła się o niego; niezależnie o tego, że to ona była ciężej ranna - a jej ramię nie pozwalało o tym zapomnieć, rwąc jak diabli przy każdym szybszym ruchu - w pewien sposób z nich dwojga on był słabszy.

Wiedziała aż za dobrze o jego słabościach. Uwięziony na ziemi miał tyle słabych punktów co ona. Jeśli nie znalazł czegoś, o co mógł się oprzeć plecami, łatwo go było zaatakować nie tylko z tyłu, ale i od spodu. Większość tego, co wiedział o walce, dotyczyła starć w powietrzu, nie na ziemi. Oczywiście zaatakowany mógł się bronić, bo na końcu każdej łapy miał zestaw wyjątkowo obrzydliwych "noży", nie wspominając o broni w paszczy, ale stworzono go dla innego żywiołu. Zmuszony do walki na terenie i w warunkach, do których nie pasował, nie zdawał sobie sprawy ze swych słabych punktów.

Inną jego słabością była ilość jedzenia, którą pochłaniał, aby pozostać w formie. Jeśli mu tego nie zapewni, cóż, żywiąc się mięsem rozmoczonym w deszczówce szybko pożegna się z dobrą kondycją.

Spożywając takie posiłki, będziemy się musieli okopać na stale, bo nie będziemy w stanie nawet podróżować.

Marsz był dla niego znacznie trudniejszy od lotu; nie został do tego stworzony. Wiedziała o tym, oczy wiście; jednak obserwowanie, jak przedziera się przez krzaki, sprawiło, że to zrozumiała.

Nie był niezdarny; poruszał się na ziemi z większym wdziękiem niż inne gryfy. Był równie dobry jak ludzie, ale męczył się łatwo, a od czasu do czasu skrzydła więzły mu w jakiejś przeszkodzie. Jakiś czas potrwa, zanim jego nogi się wzmocnią i przyzwyczają do marszu; na razie był jak upośledzony.

Miała nadzieję, że jeśli natknęliby się kiedyś na zwierzę tak wielkie jak jeleń, Tad powali je z zaskoczenia, ale na razie to ona spisywała się lepiej w polowaniu naziemnym. Był od niej zależny w sprawie, o

którą dotychczas sam się troszczył.

Całe szczęście, że należał do tropicieli równie dobrych jak ona. Dużo zrobił dla nich obojga, myląc ich zapach i trop, co mogło tylko pomóc.

Może dlatego udaje mi się polować; ten sok, którym nas wysmarował, ukrywa nasz zapach i myli zwierzęta. Zapach, szczególnie w takim upale, niósł się daleko; ostrożne zwierzęta nie zeszyby spomiędzy gałęzi, gdyby do ich nozdrzy doleciała woń jakiegokolwiek większego drapieżnika, ale teraz wyczuwały tylko pogniecione liście.

I to mogło być doskonałym wytłumaczeniem, dlaczego tak długo otaczała ich cisza. Szczerze mówiąc, Tad był mokry i śmierdział jak, no cóż, mokry ptak drapieżny, mieszaniną mokrych piór i piżma właściwego gryfom. Od wypadku nie miał szans, aby porządnie wyschnąć, co jeszcze wzmagało jego zapach. *Możliwe, że gdy po raz pierwszy rozbiliśmy obóz, nie tylko nie był mokry, ale też nie byliśmy na ziemi tak długo, aby zapach się podniósł. Teraz jesteśmy.*

Ta myśl sprawiła, że Klinga poczuła się lepiej; a ostatnie wydarzenia zdawały się poświadczać ten tok rozumowania. Teraz Tad nie śmierdział jak drapieżnik, suchy czy mokry. Soczysta roślina, którą się natarli, wydzielala niezwykle, ostry, roślinny zapach. Zniszczyła jej ubranie, farbując na zielono, ale Klinga nie martwiła się zbyt płamami.

A poza tym służą nieźle za tymczasowy kamuflaż.

Powinna zacząć rozglądać się za dobrym miejscem na nocleg. Szukając, starała się policzyć, ile czasu zajmie uznanie ich za zaginionych. Należałoby nadawać już jakieś sygnały, zakładając, że istniała szansa, iż z Białego Gryfa wyruszyły ekipy poszukiwawcze.

Powinniśmy stawić się na spotkanie dziś lub jutro, więc jutro lub pojutrze Srebrzyści, których zmieniamy, będą wiedzieć, że coś się stało. Mają teleson; zawiadomią Judeth, ale nawet najszybszemu zespołowi ratownicznemu dotarcie tutaj zajmie dwa lub trzy dni. Co nam to daje? Kolejne dwa albo trzy dni, zanim pomoc tutaj dotrze. Tydzień brzmi bardziej prawdopodobnie.

Nie było więc sensu szukać schronienia i miejsca, w którym mogliby nadawać sygnały dymne. Dziś i jutro wystarczy znaleźć samo schronienie.

Nic nie pojawiło się do kolejnego znaku, oprócz pierwszych sygnałów, że wśród drzew żyły też większe zwierzęta. Dotarła do miejsca, gdzie najwyraźniej świnia ryła u stóp drzewa, szukając rosnących pod zie-

mią grzybów; z żalem stwierdziła, że jej szlak wiódł na północ, nie na zachód. Mięso świni niezwykle ucieszyłoby ją i Tada.

Ale nie zamierzała ryzykować wypuszczenia się w odwrotnym kierunku tylko dlatego, że mogli upolować to zwierzę.

Upał był nie do zniesienia; kiedy nadejdzie deszcz, zamierzała wymoczyć siebie i ubranie. Jeśli tego nie zrobi, jutro rano spodnie i tunika będą sztywne od brudu i potu. Była wdzięczna Tadowi za pomysł z rośliną również z innych powodów: gdyby nie ostry zapach soku, śmierdziałaby na kilometr.

Z drugiej strony, gdyby smród stał się nie do zniesienia, może nasi prześladowcy poczuliby się urażeni i dali nam spokój. Ha!

Pot spływał jej nieustannie po karku, a głowa nieznośnie swędziała. Nie tylko głowa, stopy, pachy, nogi... niezliczona ilość małych leśnych owadów uznała ją za smakowity posiłek i teraz cała pokryta była czerwonymi bąbelkami. Zapomniała, że ich namiot nie tylko sam się składał i rozkładał, ale też rzucono na niego zaklęcia chroniące przed owadami. Bez tego zabezpieczenia była jedynym źródłem pożywienia dla krwiopijców w promieniu wielu mil, a wyjątek stanowiły te, które bzycały wokół uszu i oczu biednego Tada. Maść na siniaki łagodziła swędzenie na tyle, że mogła spać, ale dużo by dała, aby odkryć roślinę, która uczyniłaby ją niejadalną dla robactwa. Za każdym razem, gdy stawała, wsuwała rękę w ubranie, aby się podrapać.

Przypominała sobie, aby masować, nie drapać. Gdyby otarła skórę, wystawiałaby się na infekcję, a gdyby krwawiła, dodałaby do zapachów jeszcze jeden, szczególnie nęcący, którego nie zagłuszyłby sok z roślin.

Coś koło jej ucha zabzyczało, wylądowało i ugryzło. Trzasnęła ręką i zaklęła, gdy Tad przysunął się do niej.

Możliwe, że śledzące potwory okażą się zbędne, zeżrą nas robale.

- Mrówki - wyszeptał jej Tad do ucha.

- Czy właśnie to mnie ugryzło? - zapytała, nie odwracając głowy.

- Nie, to miało skrzydła i długą trąbkę. Przypomniałem sobie o położeniu się na mrowisku, jeśli uda nam się znaleźć małe brązowe mrówki. To będzie denerwujące, ale oskubią mnie ze wszystkich pasażerów, których na sobie noszę. Płyn, jaki wydzielają rozgniewane mrówki, odpędza pchły i inne drobne paskudy.

Poczuła zazdrość; gdyby ona mogła znaleźć równie łatwy sposób! Jednak leżenie na mrowisku nie skończyłoby się dobrze, bo większość

tego, co ją gryzło, miało skrzydła, a jednocześnie ugryzienia mrówek i ukucia insektów, które teraz cierpiała, byłyby nie do zniesienia.

Nie mogła się doczekać popołudniowego deszczu; pot tylko potęgował swędzenie, a stanie w leżącej się z nieba zimnej wodzie dawało jej kilka chwil ulgi od dokuczliwego pieczenia.

Czas iść. Jeżeli dziś znajdziemy strumień, będę w nim spała! Ale biorąc pod uwagę nasze obecne szczęście, gdybyśmy znaleźli strumień, byłby pełen pijawek!

Nieważne. Musieli tylko się ruszać i radzić sobie z tym, co przyniesie los. Pomoc nadejdzie najwyżej za tydzień.

Musieli tylko przetrwać ten tydzień.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O, do diabła. Jedną ręką nie jest łatwo. Lekko balansując z powodu uszkodzonego ramienia, Klinga rzuciła ostatnią naręcz gałęzi na płótno szałas w chwili, gdy w oddali zahuczał pierwszy grzmot.

Do licha! Boli!

Klinga mimo woli zgięła się wpół. Ból klatki piersiowej był nie do wytrzymania. Znów rozległ się grzmot, tym razem bliżej. Skończyła na czas i była przekonana, że niezbyt wcześnie; oczekiwała deszczu. Gdy się wyprostowała, nie miała wątpliwości, że była również gotowa na spoczynek.

Szałas był jednocześnie lepszy i gorszy od poprzedniego; zbudowali go również w upadłym drzewie, ale to drzewo runęło niedawno. Poszarpane drewno pnia odcinało się jasno od zieleni, dlatego je zauważyła. I chociaż pień jeszcze nie spróchniał od wewnątrz, padające drzewo pociągnęło za sobą sąsiednie i pomiędzy dwoma leżącymi kolosami utworzyła się trójkątna przestrzeń z drewnianymi "ścianami" wysokości człowieka. Rozciągnięte nad nimi płótno stanowiło dach; gałęzie rzucone na niego maskowały szałas. Barykada z krzaków zagradzała wejście i mogli pozwolić sobie dziś na luksus rozniecenia małego ogniska. Gałązki leżące na spadłych liściach tworzyły miękka jak materac, uginającą się podłogę, najwygodniejszą ze wszystkiego, na czym spali od wypadku.

Gdyby tylko znalazła w apteczce coś, co złagodzi te cholerne ukąszenia!

Zagrzmiało, tym razem nad jej głową. Zbierając gałęzie, wystraszyła wiele małych zwierząt: myszy, jaszczurek, węży i żab. Złapała i zabiła tyle, ile mogła, więc dziś i Tad, i ona będą mieli dodatkową kolację. Jako pojedyncze okazy zwierzątka nie były szczególnie okazałe, ale nazbierała ich pełną torbę, wystarczająco, aby uzupełnić dietę Tada. Ona prawdopodobnie wybierze i sprawi ze dwa węże, aby dodać trochę smaku do sucharów, ale reszta znajdzie się w żołądku Tada.

Ona zadowoli się owadami, bo znalazła larwy korników, które знаła, mrówcze jaja i świerszcze; mogła to wszystko przełknąć pod warunkiem, że będzie najpierw upieczone. Kiedy uczyli ją sztuki przetrwania, nigdy nie sądziła, że zastosuje wykłady w praktyce!

Tyle mojej zemsty: skoro robaki mnie jedzą, ja zjem robaki! Owady były zbyt małe, aby nasycić Tada, więc przypadły jej na kolację.

Tad był w szałasie, gdzie układał rzeczy, i dziękowała Gwiazdzistoo-kiej, że jego magia wróciła na tyle, aby mógł rozniecać ogień. Z pomocą magii nawet najświeższe, najbardziej mokre drzewo mogło służyć jako opał. Bez niej nie mieliby żadnego ognia, a na myśl o jedzeniu robaków na surowo czuła mdłości.

Wolałabym głodować. Jeśli bardziej zgłodnieję, przemyślę to, ale nie teraz.

Ich szałas znalazł się na przecince, przez którą było widać niebo. Kiedy tu dotarli, było szare od ciężkich chmur i ciemniało coraz bardziej, gdyż nieunikniona popołudniowa burza zbierała siły. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy te burze zaczynały się coraz wcześniej?

Stała w miejscu, patrząc na chmury, a ciemna szarość była prze-rywana od czasu do czasu białymi kontrpunktami błyskawic, po któ-rych następował grzmot. Gdy niebo szarzało, światło ciemniało, krad-nac kolor liściom, łagodząc kontury cieni, malując przecinkę na gra-natowo. Białe światło zalało nagle całe miejsce, nie tylko chmury. Bły-skawica rozpalila się na pochmurnym niebie, a grzmot zabrzmiał tuż nad głową. Klinga podskoczyła, wrzasnęła, uraziła się w ramię i zaczę-ła przeklinać.

Znieruchomiała, czekając, aż ból zelżeje. *Powinnam się już do tego przyzwyczaić.* Ale się nie przyzwyczaiła; za każdym razem, gdy ruszyła barkiem, ból przeszywał jej ramię i szyję. Nie polepszało się. Miała tyl-ko nadzieję, że powodem jest jej niecierpliwość, a nie fakt, że ramię się nie zrastało.

Dwa oddechy po błyskawicy lunął deszcz, jak zwykle potokiem. Wy-ciągnęła zdrowe ramię i odchyliła głowę do tyłu, pozwalając, by słodka zimna woda zmyła z niej cały nagromadzony pot i brud; otworzyła usta i piła świeży, czysty płyn. Ugasił pragnienie i nie pachniał ciepłą skórą. Kiedy deszcz zmył z niej pot i ochłodziła, ukąszenia owadów przestały swędzić.

Stojąc pomiędzy dwoma pniami, czuła się wystarczająco bezpieczna, aby rozkoszować się kąpielą; do pełnego szczęścia brakowało jej tylko mydła. Ale umyła się porządnie, używając wody, a po wyjściu z kąpieli zawsze łagodniała. Stała tak w ulewie, dopóki ciemnozielone plamy na tunice nie zbladły jak wszystkie inne, dopóki nie było jej równie zim-no, co przed chwilą gorąco, dopóki nabrzmiące bąble po ugryzieniach nie wystąpiły na jej zimnych bladych ramionach i przestała się nimi martwić. W takim deszczu było coś radosnego i pierwotnego; ulewy w

Białym Gryfie były zawsze zbyt zimne i groźne, by się nimi cieszyć; od dziecka była tym rozczarowana. Ale tutaj nie istniało niebezpieczeństwo, że uderzy w nią piorun, ponieważ wszystko wokół znacznie ją przewyższało, a stanie na deszczu tak gwałtownym, że dosłownie zapierał dech w piersiach, oszalało. Prawie zapomniała w nim o bólu i o niebezpieczeństwie.

Czy tak się czuje Tad, gdy lata? Jeśli tak, zazdroszczę mu. Czy tak się czujesz, kiedy nie ma nikogo w pobliżu, nie siedzisz w jaskini, wiodą cię żywioły? Gdy jesteś sobą, żywym stworzeniem, a nie Potomstwem? Czy to jest chwila, dla której warto żyć?

Dopiero kiedy była tak zziębnięta, że zaczęła drżeć, schyliła głowę i zanurkowała pod dach z gałęzi.

Przepchnęła się przez krzak i niemal cofnęła z powrotem na deszcz, bo szalas był pełen gryzącego w oczy dymu.

- A to co? - spytała, kaszląc, i machając ręką, padła na ziemię, gdzie powietrze było nieco czystsze.

- Przepraszam - usprawiedliwił się Tad. - Usiłuję pozbyć się robaków i z szalasu, i ze mnie. Dym działa; wykończyłem niepożądanych lokatorów.

- Mnie prawie też - mruknęła, czołgając się ku niemu. Dla podkreślenia jej wypowiedzi rozległ się grzmot. - Podejrzewam, że warto, skoro twoje świece dymne mają nam zapewnić spoczynek. - Roześmiała się. - Ale gdybym wiedziała, jak odpowiesz na moje życzenie znalezienia czegoś na robaki, pomyślałabym dwa razy, zanim otworzyłam usta!

Uśmiechnął się do niej, szeroko otwierając dziób.

- Nie pamiętasz ulubionego przysłowia Żurawia: "Uważaj, o co prosisz, bo...?"

- Wiem, wiem - warknęła.

Tad podjadał od czasu do czasu i niemal opróżnił torbę, ale zachował dla niej dwa największe węże, choć wcale nie były takie duże, jak się spodziewała, nie dłuższe od jej ramienia. Jeden był brązowy, drugi zielony, a w przyciemnionym świetle oba połyskiwały na pomarańczowo. Tad uważnie przesunął żar na jedną stronę, a potem dorzucił drewna do ogniska.

Z jego pomocą oskórowała węże i ułożyła je, wraz z larwami, jajami i świerszczami, na ostrzu saperki i położyła ją na żarzających się węglach. Nie wydzielały specjalnego aromatu, ale robaki upiekły się

szybko, a Klinga była naprawdę głodna. Delikatnie zdjęła je z saperki i zjadła, próbując nie myśleć o tym, co robi. Nie były najgorsze; mogła sobie niemal wyobrazić, że zjadała pieczone ziarno, gdyby nie zwracała uwagi na kształty.

Węże były lepsze i pomogły przepchnąć suchary. Tad w tym czasie wystawił na zewnątrz suszone mięso, aby namokło; kiedy zmiękło na tyle, aby mógł je zjeść, połknął je bez specjalnej przyjemności.

- Kto obejmuje pierwszą wartę, ty czy ja? - zapytał. Postawiła rondel z wodą na ogniu, by przygotować maść na siniaki, a potem dodała do niej kilka znanych leśnych roślin łagodzących podrażnienia gardła. Jeśli przynosiły ulgę podrażnionym gardłom, mogły ułagodzić ból ukąszeń.

- Wolałabym czuwać później - odparła. - Mam nadzieję, że to mazidło pozwoli mi zasnąć bez zdzierania z siebie skóry, ale z pewnością przestanie działać przed świtem. Skoro i tak ma mnie swędzić, wolę nie spać i się kontrolować.

Przytaknął.

- Dym podziałał równie dobrze jak mrowisko i insekty przestaną nas niepokoić. Czuję się teraz dość ożywiony. Idź spać, dopóki możesz zasnąć.

Jej ubranie i włosy już wyschły, ale tylko gryfia odznaka była tak nieskalana, jak wtedy, gdy wyruszali. Poplamione szorty i tunika były w kilku miejscach podarte, a obrąbki zaczynały się strzępić. *Wyglądam jak włóczęga* - pomyślała żałośnie. *Mam nadzieję, że Ikala nie przyłączył się do ekipy poszukiwawczej... Och, to śmieszne. Nie oczekiwałby przecież, abym wyglądała jak dama, a ja byłabym tak szczęśliwa, widząc ratowników, że myśl o ubraniu nawet by mi nie zaświtała w głowie!*

Tad pomógł jej owinać bandażę nasączone maścią wokół najgorszych skaleczeń i posmarować ugryzienia na tyle, na ile pozwalały mu duże szponiaste dłonie. Na początku myślała, że próby złagodzenia pieczenia znów poszły na marne, ale gdy mikstura wyschła, zauważyła, że swędzenie ustało, przynajmniej na chwilę. Troskliwa opieka gryfa przyniosła ulgę jej delikatnemu ciału.

Tad spojrział na nią, strosząc pióra potargane przez deszcz, z pytaniem w oczach.

Odetchnęła z ulgą.

- Działa - powiedziała. - Będę musiała zrobić zapas i nieść w bukła-

ku. Jeśli ciągle będę się smarować, stawanie w miejscu nie doprowadzi mnie do obłądu.

Tad zachichotał.

- To dobrze. Teraz tylko będziemy musieli znaleźć coś, co odstraszy owady bez doprowadzania nas do obłądu zapachem!

Klinga przestała przejmować się swędzeniem, obrzuciła Tada krytycznym spojrzeniem i bez ostrzeżenia pomacała jego mostek, wielką kość na piersi, którą gryfy odziedziczyły po ptakach; mostek pierwszy zdradzał chorobę, wystając coraz bardziej, gdy gryf lub ptak nie dojadły.

Był trochę ostrzejszy, a otaczające go mięśnie skurczyły się nieco. Ktoś mało uważny nie dojrzałby tego, ale Tad był jej partnerem i miała za zadanie dbać o niego ze wszystkich sił.

- Trochę schudłeś - rzekła z namysłem. - Nie za dużo, ale to wina albo ograniczenia jedzenia, albo tego, że się kurujesz. Albo jednego i drugiego.

- Albo tego, że rozwijam mięśnie nóg, a mięśnie skrzydeł zaczynają zanikać, bo ich nie używam - dodał. - W życiu tyle nie chodziłem. Jeszcze trochę i zacznę wyglądać jak koń pociągowy, a nie jastrząb.

Obrzuciła go sceptycznym spojrzeniem, skrzyżowała nogi i oparła podbródek na zdrowej dłoni.

- Chciałabyś znaleźć rzekę - rzekła nerwowo. - Nieważne, co nas ściga, gdybyśmy mieli rzekę, moglibyśmy łowić ryby; dostałbyś porządne jedzenie. Nawet jeśli coś nas ściga i odstrasza zwierzyne, wątpię, aby ryby bały się naziemnego drapieżcy. - Rzeka zdawała się teraz ucieleśniać obietnicę wszystkiego: jedzenia, schronienia i ratunku. Być może zbyt wiele sobie obiecywała po strumyczku, ale miała przed sobą cel, na którym mogła się skoncentrować.

Westchnął ciężko i podrapał w ugryzione ucho.

- Nie mam zielonego pojęcia, gdzie jesteśmy w stosunku do rzeki i urwiska - wyznał. - A taki las jest mi zupełnie obcy. Gdyby to miejsce bardziej przypominało dom, znalazłbym rzekę, ale nie mogę dojrzeć nieba, aściółka ma tutaj dziesięć lub dwanaście warstw...

- Wiem i nie mam do ciebie pretensji - zapewniła go szybko. - Skąd możesz znać taki las? Nigdy tu nie trenowaliśmy. Myśleliśmy, że lecimy na założony posterunek, gdzie było schronienie, ogród, spiżarnia i broń.

- Przede wszystkim spiżarnia - powiedział Tad ochryple, jakby nagła

myśl o jedzeniu wywołała tęsknotę za domem. Pomasował gardło i przełknął. Ostatnio nałykał się zbyt wiele powietrza i nie wychodziło mu to na zdrowie.

Zmarszczyła czoło, sfrustrowana.

- Jestem pewna, że wokół nas rośnie wiele jadalnych rzeczy, ale ich nie znam! Korzenie, pędy, liście, które ty też mógłbyś jeść! - Machnęła bezradnie ręką. - Nie możemy pozwolić sobie na luksus eksperymentowania, ponieważ nie możemy zachorować. Tylko tubylec wiedziałby, jak sobie poradzić w takim miejscu.

- Tubylec, na przykład Ikała? - zapytał Tad złośliwie i zaśmiał się, gdy Klinga spaşowała. - Żałuję, że go tu nie ma.

- Ja też... - zaczęła, chcąc szybko zmienić temat.

- Pewnie z kilku powodów! - judził, nie dając jej sposobności zmiany tematu i przypominając dawnego Tada. - To nie twoja wina; przystojny z niego facet i dobrze się sprawiał na szkoleniu. Byłoby dobrze lepiej go poznać.

- Chyba tak - odparła zaniepokojona. Tad ponad wszystko uwielbiał mieszać się w życie uczuciowe innych. - Gdybyśmy mieli okazję porozmawiania z nim o takich lasach, pewnie radzilibyśmy sobie lepiej.

Zauważył, co próbowała zrobić.

- Ejże, Klinga! - przymilił się. - Nie rób ze mnie głupka! Jestem twoim partnerem czy nie? Czy partner nie powinien wiedzieć, kto ci się podoba? - Rzucił jej chytre spojrzenie z ukosa. - Wiem, że ty mu się podobasz. To oczywiste, jeśli się przyjrzyysz.

- A ty się przypatrywałaś, co? - warknęła, nie próbując zająć go czymś poważniejszym. Roześmiał się.

- Mam cię przecież pilnować, nie? Byłabyś szczęśliwsza, mając przyjaciela, z którym dzieliłabyś hm... przyjemne chwile, a ja wiem, że byłoby łatwiej z tobą pracować, gdybyś była szczęśliwsza. - Przekrzywił komicznie głowę.

- O, wielkie dzięki - rzekła sarkastycznie. - Teraz gadasz jak moi rodzice. Nie mogą się doczekać, kiedy się... zdecyduję.

Pójść z kimś do łóżka - pomyślała kwaśno. Tad o tym wie. I nie powinien mówić tak jak oni! Wie, co o tym myślę!

- Mają obsesję na tym punkcie, bo większość życia spędzili, korzystając z przyjemności zmysłowych. Uważają je za źródło wszelkiego szczęścia, nawet jeśli ktoś robi dziwne, niespotykane rzeczy! Nie zależy mi, żebyś się z kimś przespała. Chcę tylko, żebyś była zadowolona z

życia - tłumaczył Tad. - On jest obiecujący. Przystojny, inteligentny i na tyle otwarty, że nie nakaże ci żyć według zwyczajów Haighlei. Ma poczucie humoru, a to ważne. A ponieważ wychowano go na księcia, wie, że musisz skoncentrować się na obowiązkach, a nie poświęcać niewolniczo dla mężczyzny. Jak uważasz?

Klinga zmierzyła partnera ostrym, twardym spojrzeniem, nie potwierdzając i nie zaprzeczając.

- Swatasz mnie - oskarżyła go. - Nie próbuj zaprzeczać; już widziałam twoje swatanie, zachowujesz się jak doświadczona swatka! Chcesz, żeby wszyscy się z kimś związali i żyli może nie długo i szczęśliwie, ale na pewno przyjemnie!

- Oczywiście! - odparł. - A dlaczego nie?

Warknęła.

- Bo... bo to mieszanie się w cudze życie! Powtarzam, słyszę te nonsensy od moich rodziców i mam dość! Dlaczego muszę ich wysłuchiwać od ciebie?

Parsknął tylko.

- Jestem twoim partnerem, muszę wiedzieć o takich sprawach i muszę ci pomóc w osiągnięciu tego, czego pragniesz i potrzebujesz, nawet jeśli sama nie wiesz, czego chcesz! Ja opowiedziałbym tobie o tego typu problemach i oczekiwał pomocy. Oboje musimy wiedzieć, czy zdarzy się coś, co nas wytrąci z równowagi emocjonalnej, ponieważ wpłynie to na wykonywanie naszych zadań. Przyznaj, że mam rację!

Znów warknęła, ale po chwili bardzo opornie przyznała mu rację. Partnerstwo wśród Srebrzystych było tak bliskie jak małżeństwo, a partnerzy mieli sobie ufać i współpracować, na służbie i poza nią.

A to, co uważała za wścibstwo ze strony rodziców, uchodziło Tadowi. Być może dlatego, że był on gryfem, nie człowiekiem. I choć gryfy rozumowały jak ludzie, Tad nigdy w pełni nie zrozumiał Klingi, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

- Dalej, wyznaj partnerowi, co czujesz. - Położył głowę na szponach. - Co myślisz o Ikali?

Deszcz bębnił w dach ich szałasów i przeciekał między gałęziami. Błyskawice oświetlały konary, odbijały się biało w oczach Tada i srebrnej odznace na jej tunice. Jak zwykle, na zewnątrz słychać było tylko deszcz i grzmoty.

Wewnątrz dym wreszcie wywietrzał, a ogień płonął jasno. Była sucha, syta i rozgrzana. Ramię nie bolało za bardzo, siedziała w dobrze ukry-

tym szalał się pomiędzy dwiema bardzo solidnymi ścianami, na miękkich gałęziach chroniących przed wilgotnym podłożem. Mówiąc krótko, nic nie rozpraszało jej pogmatwanych myśli.

- Chyba sama dobrze nie wiem - wyznała powoli, gdy Tad wbijał w nią ciemne oczy z uporczywością drapieżcy. - Jest bardzo przystojny, bardzo czarujący, inteligentny... ale po prostu nie wiem. Czasami myślę, że lubię go za to, jaki jest, czasami sędzę, że pociąga mnie jego egzotyczność, czasami zaś, że jest jedyną osobą w Białym Gryfie, o której mój ojciec nie wie wszystkiego!

Tad zachichotał bezlitośnie.

- No właśnie. Zauważyłem, że Ikala nigdy nie zatrudniał kestra'chern. Dla Bursztynowego Żurawia musi on być większą zagadką niż dla ciebie.

- To już jakiś postęp - rzekła kwaśno. - Bardzo miło jest w końcu porozmawiać z kimś, kto nie zastanawia się cały czas, czy ojciec opowie mi rzeczy, które on wolałby przede mną ukryć.

- Tak, a jeszcze miłszym jest - skomentował Tad - rozmawiać z ojcem, nie zastanawiając się, czy opowie ci rzeczy, których wolałabyś nie wiedzieć. - Klinga potwierdziła, a Tad dorzucił złośliwie: - Nie chadzam do kestra'chern, więc rozmawiając ze mną o swoich uczuciach, jesteś podwójnie pewna, że nie dotrze to do twego ojca. Niech porzucę mój hedonizm, jeśli kłamię.

Klinga uśmiechnęła się wbrew sobie. Taka gryfia przysięga była zdecydowanie wiążąca.

- Kontroluje się - dodała. - Jest bardzo opanowaną osobą. Jak ja.

I prawdę mówiąc, podoba mi się to znacznie bardziej od niekontrolowanych wybuchów namiętności.

Tad kaszlnął.

- A jednak - nawiązał - niektórzy mogą uznać, iż oznacza to chłód uczuciowy.

Parsknęła.

- Wiesz lepiej, pracowałeś z nim. Traci cierpliwość równie często jak inni, tylko tego nie okazuje. A jeśli rozmawiamy o unikaniu kestra'chern...

- No? - Oczy Tada zaślnęły rozbawieniem. Znów się zaczerwieniła.

- To nie był... no cóż... czysty. Miał przyjaciółki podczas pobytu tutaj. Tylko nie kestra'chern. Nawet, jeśli to były czysto fizyczne znajomości.

I prawie zazdroszczę Karelee. Wolalabym, aby nie wychwalała pod

niebiosa jego umiejętności łóżkowych.

- Tak? - rzucił Tad. - Nie był czysty? Proszę, tak cię interesuje, że się o tym dowiedziałaś!

Kaszlnęła i spróbowała mówić normalnie.

- Wiesz, trudno się nie dowiedzieć. Ludzie gadają. Nie musiałam się dowiadywać, cały czas o tym plotkują. Po prostu byłam w pobliżu i słyszałam. - Podniosła brew, szczęśliwa, że jej twarz pobladła nieco. - Sam masz taki język, że możesz go sobie na motek nawijać!

- Ja? Plotkuję? - zachichotał bezgłośnie i zmrużył oczy. - Ja wolę to nazywać "gromadzeniem wiadomości interpersonalnych" w celu "zarządzania źródłami i nabywcami przyjemności".

- A ja mówię na to plotki, w których bijesz na głowę staruszki! - odparła. - Jesteś w tym równie niepoprawny, jak w swataniu! Co zaś się tyczy Ikali: jest atrakcyjny, nie zaprzeczam, ale sędzę, że znacznie się przeceniasz, próbując nas związać w jakikolwiek sposób. Sama nawet nie wiem, co czuję, więc jak mogłabym osądzać jego uczucia? A poza tym mamy misję do spełnienia i kiedy się stąd wydostaniemy, czeka nas długa służba na odległym posterunku. O ile nie umrzemy ze wstydu, że trzeba nas było ratować.

Jeśli nas uratują, jeśli się stąd wydostaniemy... Nie wypowiedziana myśl schłodziła powietrze w namiocie i ogień nie mógł ich ogrzać. Wszystkie radosne pomysły zniknęły; próbowała zmienić temat, ale bez skutku. Spojrzała w zadumie przez krzaki. Na dworze ściemniało się i wyglądało na to, że raz jeszcze deszcz skończy się po zmroku.

Może to nie takie źle, jeśli nasi niewidzialni przyjaciele będą trzymać się z dala.

- Cóż - powiedziała z takim optymizmem, na jaki mogła się w tej sytuacji zdobyć, czyli ostrożnym. - Teraz mój mózg pracuje i nigdy w życiu nie zasnę. Leżałabym tylko, myśląc.

Ziewnął szeroko.

- A mnie jest ciepło i jestem śpiący. Zawsze mnie wykańcza słuchanie ludzi wyjaśniających, dlaczego nie będą szczęśliwi. Zmieniamy warty?

Nie czekał na jej odpowiedź, kładąc głowę na szponach. Wzruszyła ramionami.

- Czemu nie - odparła, przesuwając się w bok, aż mogła swobodnie wyglądać przez dziurę między dwiema gałęziami skrywającymi wejście do szałas. Zapamiętała pozycję wszystkiego w polu widzenia, dopóki światło było na tyle dobre, aby zidentyfikowała przedmioty mimo kur-

tyny deszczu. Błyskawice pomagały; jeśli skoncentrowała się na pojedynczym punkcie, mogła poczekać, aż kolejna błyskawica pozwoliła jej dojrzeć, co w nim było i przestudiować obraz utrwalony pod powiekami.

Tad był naprawdę zmęczony; w ciągu kilku chwil jego oddech, pogłębił się i zwolnił, a kiedy spojrzała przez ramię, ujrzała, że zamknął oczy. Wróciła na straż, starając się przypomnieć sobie, co robiła, budując szałas.

Próbowała nie brać zbyt wielu gałęzi z jednego miejsca. Układała te, którymi przykryła szałas, tak aby wyglądały jak korona, małego drzewka powalonego przez duże. *A wszystkie ślady naszego pobytu tutaj powinny spłynąć z deszczem. Żadnego zapachu ani śmieci...*

Dym - dym, którego Tad użył do odpędzenia insektów, był bardzo gęsty i smrodliwy i zastanawiała się, czy deszcz zmył jego ślady. A jeśli nie, jak często można było zobaczyć dym w lesie zlewany codziennie przez burze? Dość często, pomyślała. Na pewno błyskawice ciągle wzniewały małe pożary, które trwały wystarczająco długo, by zadymić las, zanim deszcz je zgasił.

No cóż, już nic nie mogła zrobić ani z dymem, ani z szałasem. Jeśli cokolwiek ich szukało, mogła tylko wierzyć, że zrobiła wszystko, aby ukryć swoją obecność. Zeszłej nocy tropiciele nie mogli ich łatwo znaleźć; miała nadzieję, że dziś okaże się to niemożliwe.

Deszcz zmienił się z ulewy w mżawkę, a potem ledwie kropił. A potem już nie było deszczu, tylko melodyjne spadanie kropli z koron drzew i nocne odgłosy.

Westchnęła z ulgą i sprawdziła ogień. Nie ma sensu, aby płonął zbyt mocno; wewnątrz szałasu panowała odpowiednia temperatura, a mając za ściany dwa pnie drzew, powinna się utrzymać bez specjalnej pomocy ze strony Klingi. Przebudowała ognisko, słuchając nawoływań i pohukiwań z góry, kładąc w ogień świeże drewno i odsuwając żar, aby ukryć poświatę. To powinno podsycić ogień tak, by płonął całą noc bez doglądania. Teraz drewno zapali się wolno, zmieniając się w czerwony bezdymny żar, bez płomienia. Tego właśnie chciała.

Kiedy w szałasie zgasło światło, a Tad stał się tylko wielkim ciemnym kształtem, zwróciła uwagę na to, co działo się wokół.

Nic się nie zmieniło; zwierzęta siedzące w koronach drzew nadal zajmowały się swoimi sprawami, wydając przy tym stosowne dźwięki, a świecące robaczki, które dostrzegła już wcześniej, zaczęły latać w po-

szyciu. Być może to, co ich śledziło, zdecydowało się dać im spokój.

Nie licz na to - ostrzegła samą siebie. Oczekuj najgorszego. Spodziewaj się, że ciągle...

Coś poruszyło się w ciemności.

Tylko kształt, zawirowanie cienia, ale wiedziała, że tam nie było cienia, szczególnie ruchomego. Ocknęła się natychmiast. Cokolwiek to było, było duże. Większe od oswojonego lwa, którego widziała w menażerii Shalamana. Znała odległość między krzakami z dokładnością do pół palca i wiedziała, jak wysokie było młode drzewko. Głowa cienia byłaby nieco wyżej od mojej, pomyślała, choć wydało jej się, że dostrzegła bardzo długą, smukłą szyję; pierś na moment zasłoniła krzak, a inny krzew nadal zasłaniał zad. Mogłoby to być zwierzę wielkości konia, może odrobinę mniejsze. Nie wiedziała, jakiej jest budowy, ale płynność ruchów i to, że stworzenie tak dobrze wtopiło się w cienie, sugerowało, że raczej delikatnej.

Jej pole widzenia było wąskie, ograniczone przez dwa pnie, ale po chwili, koncentrując się, wiedziała, że stworzeń na zewnątrz było więcej. Jeden cień ruszał się, gdy drugi zamierał; ruchy w dali sugerowały, że albo były niezwykle szybkie, albo stało tam trzecie stworzenie.

Na pewno co najmniej dwa. Ale chyba nie wiedzą, że tu jesteśmy.

Pierwszy cień zniknął nagle z pola widzenia; sekundę później noc rozdarł mrozący krew w żyłach okrzyk.

Serce podeszło Klindze do gardła i poczuła się, jakby wpadła do lodowatej wody. Tad tylko sapnął przez sen. Ze wszystkich sił starała się nie ruszać. Miała wrażenie, że cienie posiadały niezwykle ostre zmysły i gdyby się poruszyła, nawet pod osłoną krzewów, dojrzałyby ruch lub go usłyszały.

Zapadła cisza i Klinga spróbowała uspokoić się trochę. Dobrze, że już wcześniej słyszała wrzask mordowanego królika, inaczej pomyślałaby, że to stworzenie właśnie uśmierciło dziecko.

Teraz, jakby mieszkańcy lasu dopiero dostrzegli obecność cieni, w koronach drzew zapadła cisza. Tylko owady i żaby niewzruszenie brzęczały i rechotały tak spokojnie jak przed chwilą.

Mrugnęła i w tej samej chwili cienie zniknęły, przynajmniej z jej pola widzenia.

Nie odetchnęła jednak z ulgą. Cisza dookoła podpowiadała jej, że one ciągle tam były, a ona nie miała zamiaru zdradzić swej pozycji.

Mogę tylko oczekiwać, że nie przyjdzie im do łba spacerować po bel-

kach nad moją głową.

Dreszcz ją przeszedł na samą myśl. Włosy na karku zjeżyły się jej, gdy wyobraziła sobie jedno z tych stworzeń węszące wśród gałęzi tworzących dach. Między nią a tymi myśliwymi była tylko warstwa płótna i kupa liści. Gdyby jeden z nich podszedł bliżej, żadne gałęzie ani sok z liści nie ukryłyby ich zapachu. Na pewno sama woń ognia wskazałyby ich kryjówkę...

Ale zakładam, że stworzenie jest inteligentne i połączyłoby ogień z nami, że na nas poluje, a może po prostu wkroczyliśmy na jego teren? Nie widzieliśmy wielkich drapieżników ani nawet ich śladów; może to po prostu lokalna odmiana lwa?

A jednak... coś w sposobie jego poruszania się sugerowało inteligencję i działanie z rozmysłem. Może to jej wyobraźnia, ale równie dobrze mogła to być prawda. Ruszało się ostrożnie, ale gdy już się poruszyło, to szybko i pewnie. To wskazywało na coś, co albo posiadało niezwykle refleks, albo dokładnie wiedziało, co chce zrobić.

W żadnym wypadku nie należało podejmować ryzyka po tak groźnym ostrzeżeniu. Te zwierzęta na pewno były myśliwymi, drapieżnikami, a wszystko, co mieszkało w koronach drzew, znało te bestie i bało się ich.

Nawet jeśli są one tutejszym odpowiednikiem lwa, nadal są wielkie, mięsożerne i polują. Nie mam zamiaru wpisać się w ich kartę dań.

Zaświtała jej nowa myśl: a co, jeśli mieli do czynienia nie z jednym, a dwoma wrogami? Jednym, który stracił ich z nieba, i drugim, który ich ścigał? W takim wypadku możliwości były dwie: cienie to tylko dzikie stworzenia, nie mające nic wspólnego z ich upadkiem, albo sprzymierzeńcy tego, który ich stracił. W drugim wypadku mogły stanowić odpowiednik sfory psów, tropiącej ich dla jakiegoś nieznanego pana.

Nie było to coś nowego. *Niejedyn Urtho tworzył żywe stworzenia. Ma'ar też to robił i inni, którzy nie uczestniczyli w wojnach. Zdolność tworzenia nowych gatunków była symbolem prestiżu albo symbolem posiadania zdolności przerastających zwykłego adepta. Wśród wyższych magów było kilku, którzy tworzyli nowe zwierzęta stulecia przed wojną z Ma'arem.*

To dawało kolejną możliwość: maga polującego na inne inteligentne istoty, który wybrał ich jako następny łup. Ścigający byli jego sforą...

Ma'ar był jednym z takich i słyszała opowieści o innych, pochodzą-

cych z jej ludu i Haighlei. To właśnie było powodem, dla którego Haighlei zastrzegli magię wyłącznie dla kapłanów; opowiadali sobie legendę o sadystycznym potężnym magu, który sprowadzał ludzi do swej posiadłości i polował na nich jak na sarny. Odważny młody kapłan przeczuwał, co się święci i pozwolił się porwać, stając się agentem wśród ścian chronionych zaklęciami, kanałem dla magii, która zniszczyła tyrana.

Tak przynajmniej głosiła legenda.

Znów poczuła dreszcze i ledwie się powstrzymała przed nerwowym przegarnięciem włosów. Jej wyobraźnia się rozszalała. Nigdy nie miała problemów z wymyślaniem kłopotów. *Przyjmijmy więc, że jeden z neutralnych magów przybył tu przed kataklizmem, by się ukryć. Nawet jeśli nie był równy Urtho, mógł posiadać zwierzęta łańcuchowe i ptaki, które ostrzegały go, gdy ktoś się zbliżał. Haighlei nigdy nie podróżowali przez terytoria obcych w grupach mniejszych niż dziesięcioosobowe, z kapłanem, ale on musiałby tylko siedzieć cicho, dopóki nie przeszli. Dopóki by na niego nie wpadli, nie znaleźliby go. A potem mógł sobie do woli polować na pojedyncze sztuki.*

Ta hipoteza miała jeden słaby punkt: nie zgłaszano, że ktoś tu kiedyś zaginął. Gdyby ktoś zaginął tutaj, prócz jakiegoś Haighlei tak antyspołecznego, że odciął się od rodziny i klanu i sam ruszył w dżunglę, na pewno byłoby zamieszanie. Drwale, odkrywcy, traperzy, myśliwi - oni wszyscy mówili przyjaciom, sąsiadom i współpracownikom, dokąd się udają, jaką drogą i kiedy powinni wrócić. Szczególnie zaś, gdy zapuszczali się w nie zbadane strony; gdyby coś się stało, inni organizowaliby jak najszybciej ekspedycję ratunkową.

Pewnie było paru pustelników Haighlei, którzy poszli w dżunglę i zniknęli, ale nie tylu, aby zapewnić maniakalnemu, polującemu na ludzi magowi regularną rozrywkę.

No dobra, w porządku, może przybył tu, by uciec przed konfliktami. Może chciał, żeby mu dano spokój i sprowadził nas na ziemię, abyśmy nie odkryli jego obecności?

Ta hipoteza miała tyle sensu, co pierwsza. Inni już wtedy przechodzili; lecieli dokładnie tą samą trasą. Dlaczego oni nie zostali straceni?

Bo byliśmy jedyną gryfio-ludzką parą?

A co z Aubrim i Judeth?

A niech to. Powinnam opowiadać baśnie.

Porzuciła ten pomysł. Stwarzał wiele komplikacji, a jak zwykle, im

hipoteza bardziej skomplikowana, tym bardziej nieprawdopodobna.

Trzymaj się dwóch najlepszych hipotez. Proste odpowiedzi są najlepsze i najbardziej prawdopodobne. Pierwsza: natknęliśmy się na przypadkową... rzecz... która nas straciła, i teraz musimy się wystrzegać tutejszych drapieżców, którzy nas ścigają, bo jesteśmy ranni i wyglądamy na łatwy łup. Druga: coś nas pozbawiło magii celowo, z jakiegoś powodu i teraz na nas poluje. A pierwsza jest bardziej prawdopodobna od drugiej.

Co nie znaczyło, że byli w mniejszym niebezpieczeństwie. Lwy i wilki znane były z tego, że ścigały ranną zdobycz całymi dniami, czekając, aż zdechnie. I jeśli nie myliła się co do wielkości stworzeń, odgadując ich wielkość na podstawie cieni, dorównywały Tadowi, co czyniło je niebywale groźnymi. Jeśli cienie wiedziały, że ona i Tad byli ranni, mogły ich uznać za "ranną zdobycz".

Zawołał ptak; inny mu odpowiedział. Jakby ten ostrożny dźwięk miał za zadanie sprawdzić bezpieczeństwo czy powiedzieć innym zwierzętom, że zagrożenie na razie zniknęło, bo las znów ożył.

Westchnęła i rozluźniła się. Rzuciła śpiącemu towarzyszowi krzywe spojrzenie.

Przespał całe zamieszanie.

Tad ziewnął i przeciągnął się mrużąc oczy w przytłumionym świetle. Kiedy Klinga zbudziła go na wartę, wyglądała na zmęczoną, ale należało się tego spodziewać. Wyglądała też na zdenerwowaną, ale w takiej sytuacji kto by nie był zestresowany? On też się denerwował na wartach. Nerwowy strażnik to żywy strażnik; ci rozluźnieni mieli krótkie epitafia.

- Widziałam na zewnątrz coś, co pewnie sprawia, że tak często zapada tu cisza - rzuciła. - Były całkiem duże i myślę, że dwa, jeśli nie więcej. Widziałam jednak tylko cień. Jeden z nich złapał królika i wszystkie ptaki i ssaki na drzewach zamilkły na długo.

To tłumaczy nerwowość i fakt, że jest zmęczona. Nerwy człowieka zżerają, a ona nie czuła się najlepiej, zaczynając wartę.

- Aha. - Wyrzwał w ciemność, ale nic nie zobaczył, a kilka tutejszych stworzeń zachowywało się jak na festiwalu piosenki. - Jeśli cisza oznacza, że na zewnątrz jest coś, czego powinniśmy się obawiać, powiem: śpij w spokoju do świtu. Dziwne, że to przespałem. Pewnie byłem bardziej zmęczony, niż mi się zdawało albo lekarstwo jest silniej-

sze, niż przypuszczałem.

Zaśmiała się głucho.

- Powiem ci tyle: włosy stanęły mi dęba. To stworzenie jest szybkie, bardzo szybkie i nie słyszałam ani trzasku gałązek, ani szumu liści. Ten, którego widziałam, był wielkości konia, co czyniłoby go wyjątkowo groźnym drapieżcą. Może to moja wyobraźnia, ale zachowywał się raczej inteligentnie.

- Tak samo jak wielkie koty, gdy polują - przypomniał jej. - Wszystko działa na swój sposób inteligentnie. Wypij lekarstwo i idź spać. Rano zobaczymy, co tam jest. Przed deszczem zastawiłem sidła...

Znów się zaśmiała.

- Nie licz, że cokolwiek zostało. Myślę, że wszystko zabrały. Pewnie to w sidłach cienie naszły królika.

Westchnął.

- Prawdopodobnie, ale warto było. Po tym, jak obrabowały sidła, poznamy ich inteligencję. Jeśli po prostu schwytały zwierzę i zeżarły, są inteligentne jak przeciętny lew.

- Racja. - Ułożyła się wygodnie z tyłu szalasu; był pewien, że dopóki w koronach drzew rozlegał się wrzask, Klinga będzie spała. Materac z gałązek i liści, który zrobił, był bardzo wygodny. Mając podparte ramię i odciążony obojczyk, nie będzie odczuwała tak wielkiego bólu.

Nie chciał mówić o tym wcześniej, ale widział już znaki, że coś ich śledziło. Mogło to być cokolwiek, nie dostrzegł też u prześladowców szczególnej inteligencji, tylko czujność i niezwykłą ostrożność. Nie wiedział jednak, czy te stworzenia zaczęły ich śledzić dopiero dzisiaj, czy też podążały za nimi od początku, a dopiero teraz odważyły się wejść w ich pole widzenia. Na pewno pasowało to do opisu zwierzęcia, jakie dziś widziała Klinga.

Tyle wiedział na pewno. Oczywiście, niewiele miało to wspólnego z wytworami jego wyobraźni.

Jego wyobraźnia podpowiadała mu, że te nocne obserwacje dowodziły tego, czego się cały czas obawiał: że byli śledzeni w konkretnym celu. Pytanie brzmiało teraz: czy cel był prosty - zabić i zjeść - czy bardziej złożony. Jeśli prosty, stworzenia były zwykłymi drapieżnikami, z którymi można sobie poradzić. Jeśli jednak oczekiwały czegoś więcej - jeśli jego wyobraźnia się nie myliła i miały one coś wspólnego z ich wypadkiem - wtedy on i Klinga wpadli w tarapaty.

Tak niezwykła ostrożność połączona z ciekawością, jaką okazywały te

“cienie”, nie przypominała zachowań znanych mu drapieżców. Zwykle wielkie drapieżniki trzymały się z dala od rzeczy nieznanymi, od czasu do czasu tylko się przyglądając. W wypadku gdy nieznanymi obiekt pozostał na terytorium drapieżnika, ten powoli zbliżał się, aby go zbadać.

Drapieżcy są bardzo nerwowi i strachliwi. Mają wielu rywali i zazwyczaj zabijają wielkie zwierzęta tylko wtedy, gdy łup jest stary, chory, bardzo młody albo ranny. Unikają łupu, który może walczyć, bo drapieżca nie może sobie pozwolić na obrażenia. Sam dobrze wiem, że mięsożerność słono kosztuje. Jeśli obiad może ci uciec, na dogonienie go i zabicie stracisz wiele energii. Wegetarianom jest łatwiej. Ich obiad się nie rusza, a oni tylko podchodzą i otwierają mordy.

Drapieżcy, którzy ich śledzili, nie zachowywali się normalnie; gryf i człowiek byli obcy, mogli stanowić zagrożenie, więc nie było powodu, aby za nimi podążać. Szczerze mówiąc, wszystko przemawiało za unikaniem ich - chyba że on i Klinga sprawiali wrażenie “starych, chorych, bardzo młodych lub rannych” albo stali się dla ścigających rozpoznawalni.

Albo terytorium tych stworzeń było tak wielkie, że on i Klinga nadal się na nim znajdowali, albo były one czymś niezwykłym.

A nie wierzył, że skoro jedno z nich zabiło i zjadło królika, nie zaatakują Klingi lub jego. Wilki żywiły się myszami, ale nie wahały się zabić jelenia. Jeśli już o to chodzi, to sam dziś jadł myszy! Nie, łup drapieżnika dzisiejszej nocy niczego nie dowodził. Coś wielkości konia bez problemu uznałoby gryfa za porządny posiłek. Najlepsi drapieżcy często zabijali zwierzęta większe od nich samych; jedyny wyjątek stanowiły ptaki, które nie zabijały niczego, z czym nie mogłyby odlecieć, zazwyczaj ich łup ważył co najmniej o połowę mniej niż sam ptak. Jedynymi orłami porywającymi jagnięta były więź-ptaki Kaled'a'in, posiadające wymaganą siłę skrzydeł i masę mięśni; porywały te jagnięta na życzenie swych towarzyszy.

Chyba będziemy musieli zastawiać na noc pułapki wokół obozowiska - zdecydował niechętnie. Nawet jeśli te stwory uciekną, jest szansa, że zawahają się przed zaatakowaniem nas, jeśli przestraszymy albo zranimy jednego. Jeśli nie są więcej niż zwierzętami, zranienie jednego z nich sprawi, że odechce im się nas na obiadek.

Musieli jednak liczyć się z tym, że zranienie lub przestraszenie jednego z cieni mogło sprowokować atak.

Jeśli je rozwścieczymy, będziemy pewni, że są inteligentne na tyle, aby skojarzyć pułapkę poza obozem z ludźmi w obozie i że dlatego domagają się odwetu za obrażenia.

Czuł, że Klinga myliła się w jednym punkcie; był zupełnie pewien, że widziane przez nią zwierzęta doskonale zdawały sobie sprawę z obecności i położenia szalasu. Sądziły też pewnie, że nie zostaną dostrzeżone. Musiały mieć bardzo wrażliwe zmysły, aby polować w nocy, a ich węch najwyraźniej nie został oszukany przez woń soku roślinnego, którym się natarli. Musiały wyczuć dym. Niezależnie od tego, jak dobrze ukryty był ogień, na pewno można go było dostrzec w ciemnym lesie. Te stworzenia wiedziały dokładnie, gdzie znajdował się obóz; Tada podnosił na duchu jedynie fakt, że nie otoczyły ich i nie zaczęły atakować. Ani nie runęły na obóz zaskakując mieszkańców.

Nie czują się gotowe na konfrontację z nami. Mam nadzieję, że są jedynie ciekawskie.

Hałas był doskonałym sygnałem; wskazywał, że cienie polowały gdzie indziej.

A przynajmniej taką mam nadzieję. Mam nadzieję, że nadrzewni lepiej widzą te bestie niż my.

Takie sytuacje przyprawiły gryfa o ból głowy.

Poczekajmy do rana, a potem dopilnuję, żebyśmy byli ostrożniejsi. A poza tym wysilę się i dam z siebie wszystko, bo na piechotę jestem wolniejszy. Może ich zgubimy. Może znajdziemy rzekę i zatrzemy zapach iślad. A jeśli jutro znów nas będą śledzić, może uda się nam znaleźć sposób, aby je zniechęcić.

Może konie zaczną latać. Może natkną się na zagubione miasto pełne gryfic potrzebujących faceta, a może wszystko było tylko złym snem.

Tad obejrzał pozostałości swych sideł, wyrwanych z ziemi i poplątanych, jakby ktoś im się przyjrzał, a potem upuścił. Przypominały bardzo śmieci na przymusowym lądowisku, które tak starannie przeszukiwano.

- Jak cię ostrzegałam, tutaj nasi przyjaciele znaleźli królika - stwierdziła Klinga z rezygnacją. - Widzisz?

Zauważył już kilka kępek sierści i krew na liściach.

- Powiniennem się spodziewać, że nic nie pogardzi królikiem złapanym w sidła - westchnął. - Wygląda na to, że nie znalazły innych sideł ani żadnych królików. Ale jeżeli tak, to wszystkie króliki podzieliły ten

sam los.

Cienie przynajmniej nie szukały innych sideł. Czy rzeczywiście? Obejrzały te, które zostały wyrwane; czy poszukały innych, znalazły je i zostawiły, kiedy już poznały sposób ich zastawienia?

Czy też zdecydowanie przeceniał ich inteligencję?

Z żalnością popatrzył na kępkę futerka. *Nie dość, że za mną łażą, to jeszcze zżerają mi śniadanie.* Wspominał tęsknie smak królika i zrezygnowany zdecydował się na suszone mięso bez smaku, ale Klinga, która pierwsza ruszyła na inspekcję, miała dla niego niespodziankę.

- Może twoje sidła nie zadziałały, ale moja proca i owszem - rzekła z uśmiechem. Wyciągnęła sporego królika z torby na biodrze, a Tadowi na sam widok stworzenia pociekła ślinka.

- Dziękuję - powiedział, starając się ze wszystkich sił nie wyrwać jej łupu z ręki. Wziął go grzecznie, ale głód nie pozwolił mu na więcej. Na szczęście przyzwyczała się do widoku jedzącego gryfa, bo jego burczący żołądek uniemożliwił udanie się w ustronne miejsce na śniadanie. Pożarł królika w mgnieniu oka.

- A ty? - zapytał chwilę później, kiedy królik był jedynie wspomnieniem i przyjemnym wypełnieniem gryfięgo żołądka.

Przynajmniej udało mi się zachować maniery i nie pytać, kiedy mi królicze łapy wystają z dzioba.

- A ja wezmę sobie trochę twojego suszonego mięsa - odparła. - Mogę jeść w marszu. Spakujmy się i wynośmy stąd; nie chcę tu zostawać ani chwili dłużej niż to konieczne.

- Zgadza się - potwierdził. - Szczególnie po ostatniej nocy. Jeśli nam szczęście dopisze, znajdziemy rzekę dziś lub jutro.

Zwierzęta nadrzewne ucichły raz jeszcze podczas jego warty, ale niczego nie widział. To sprawiło, że poczuł się dziwnie: nastroszył pióra i zaczął się zastanawiać, czy wielki cień zdecydował się odbyć spacer po pniu i zejść Tada od tyłu. Nie zorientowałby się, dopóki napastnik nie runąłby na niego, łamiąc gałęzie i drąc płótno...

Ale nie runął, a wrzaski bardzo szybko znów się podniosły i trwały do świtu. Klinga zrobiła kolejną porcję ziołowego mazidla i wlała ją do bukłaka, spryskawszy się najpierw szczodrze. Miał nadzieję, że lekarstwo podziała równie dobrze w upalny dzień, co w chłodną noc.

Starał się zgubić ślad, kiedy Klinga prowadziła. Tym razem poprowadził kilka fałszywych, ślepych tropów, jeden kierując nawet na drzewo. Zastanowił się; jeśli mieliby problem ze znalezieniem noclegu, może

powinni wspiać się na drzewo...

O nie. Klinga nie może się wspinać z unieruchomioną ręką. Tyle o dobrym pomysle. Prawdopodobnie mógłbym ją wciągnąć na sznurze, ale ryzyko zranienia jej byłoby zbyt wielkie.

Znów mieli szczęście. Późnym popołudniem natknęli się na kolejne dobre miejsce na biwak. Było to zwalone drzewo, które miało pod pniem wykopaną głęboką norę. Tego, kto ją wykopał, nie było w domu i najwyraźniej zmienił adres jakiś czas temu. Nora miała jednak mieszkańców, zbyt małych, aby mogli ją sami wykopać, i Tad z Klingą schwytali całą pięcioosobową rodzinę. Nie był pewien, co to za zwierzęta: wyglądały jak bobry bez ogona. Nie miał pojęcia, do jakiego gatunku należały, ale nie obchodziło go to. Miały zęby gryzoni i to mu wystarczało. Gryzonie były jadalne.

Był to uśmiech losu, bo Klinga nie miała szczęścia z procą; królik, którego upolowała mu na śniadanie, był jedyną zdobyczą tego dnia. Namierzyła kilka, ale chybiła. Była tak załamana, że musiał ją zapewnić, iż nic się nie stało.

Z jego pomocą roznieciła ogień przed norą. Kiedy budowała porządne ognisko, powiększył wykop. Jego szpony nie nadawały się do kopania, ale był zdeterminowany, a ziemia miękka. Kiedy skończył, zrozumiał, że będzie im ciasno, ale sobie poradzą. Aby nie siedzieli na gołej ziemi, rzucił na dno gałęzie i ułożył wokół nory niewysoki wał, aby deszczówka nie spływała dośrodką. Zapalił pochodnię i okadził wnętrze w celu odpędzenia nieproszonych gości, a potem poszedł zerwać winorośl, aby zakryć wejście. Klinga upiekła swoją część łupu, zrobiła lekarstwo, a potem wygasila ogień i zakopała popiół, starając się zniszczyć ślady, które przetrwałyby ulewę. Podobnie jak w wydrążonym pniu, w norze nie było miejsca na ognisko. Dopóki nory nie zalało, nie potrzebowali ognia.

Dlaczego potrzeba i zachcianka tak się od siebie różnią?

Kiedy Klinga skończyła sprzątać, on już czekał na posiłek; wzięła winorośl, niezgrabnie splatając ją ręką i nogami w szorstką matę, którą mogli rzucić na norę. Na koniec zerwała liście z rośliny pieprzowej i wplotła je w matę, aby zabić zapach.

Kiedy tylko zacznie się deszcz, wczołgają się do nory i nakryją matą. Zostaną w niej do świtu. Według niego był to najślabszy z dotychczasowych biwaków, ale miał na to radę.

Chociaż Klinga nie mogła się wspinać, Tad mógł, a ponieważ ledwo

mieścili się w norze bez plecaków, wpadł na pewien pomysł.

- Co masz zamiar z nimi zrobić? - spytała, kiedy tłumoki nabrały kształtu. - Nikt się na to nie nabierze.

- Nie, jeśli zostaną na ziemi, ale jeśli umieścimy je tam? - wskazał na korony drzew. - Zamierzam zabrać plecaki na gałąź i tam je przywiązać. Może nasi tropiciele zobaczą te kukły i stwierdzą, że nie warto się wysilać. O ile, oczywiście, nie potrafią się wspinać.

Ale nie wydaje mi się, że potrafią, chociaż zwierzęta nadrzewne się ich boją. Sądzę, że są zbyt duże; nadrzewny drapieżca musi być odpowiedniej wielkości, aby wspinać się i polować, a one są zdecydowanie za wielkie.

- Jeśli naprawdę chcesz, możesz spróbować. - Nie wyglądała na przekonaną, ale nie oponowała zbyt mocno przeciw umieszczeniu bagaży gdzie indziej. Choć drzewo, które miał na oku, w porównaniu z innymi było karłowate, nie palił się do wspinaczki i trząśił się, nawet nie kłócąc z Klingą.

Wbijając cztery pary szponów bojowych w drewno i pełznąć po pniu jak robak, powoli przesuwiał się do przodu. To rozruszało kolejne mięśnie i obudziło ból w złamanym skrzydle, i gdy dotarł do miejsca odpowiedniego, aby umieścić tam plecaki i kukły, cieszył się, że teraz będzie się zsuwał. Nie spieszyło mu się do poranka i zdejmowania plecaków!

Wziął ze sobą linę zamiast pakunków. Kiedy już usiadł bezpiecznie, spuścił ją, a Klinga przywiązała do niej plecak tak mocno, jak mogła jedną ręką. Kiedy go wciągnął i umocował, rzucił linę. Drugi plecak ruszył w górę, a za nim dwie kukły.

A teraz jeśli nastąpi katastrofa, Klinga ma linę, dzięki której może uciec. Jeśli będzie czas na ucieczkę, ja się tu wdrapię i ją podciągnę. Może.

Zabezpieczenie plecaków nie zajęło mu wiele czasu, ale gałąź nie była najlepsza, a w takim miejscu nie chciał spędzać nocy. Plecaki nie moky w czasie burzy, ale kukły i owszem. Gdyby to oni tu tkwili, byłby to ich najbardziej mokry i niewygodny nocleg.

Zszedł cał po calu; nie wątpił, że Klinga miała cały czas interesujący widok. Puścił pień w chwili, gdy wiedział, że wylądaje bezpiecznie.

- Zrobione! - powiedział żywiej i radośniej, niż zamierzał. - Mamy czas, żeby zastawić parę pułapek, zanim zaczną się deszcz!

Jęknęła, myśląc o tak ciężkiej pracy, ale przytaknęła. Oboje wiedzieli,

że im więcej rozrywek zapewnią myśliwym, tym lepiej.

Im więcej wyzwzań rzucimy ich inteligencji, tym więcej się o nich dowiemy.

Pozwolił jej jednak prowadzić, aby nie widziała, jak uważnie stapał. Jego strach znów rósł.

Gdy deszcz zaczął padać, wszystkie ich pułapki były na miejscach, rozmieszczone wokół drzewa, a nie wykrotu, aby uwiarygodnić kukły na gałęziach. On i Klinga ruszyli do szałas, gdy spadły pierwsze krople, jednak dziewczyna, jak to miała w zwyczaju, została na zewnątrz tak długo, aż przemokła do suchej nitki.

Kiedy wczołgała się do szałas, była kompletnie mokra, ale ponieważ położył na ziemi gałęzie, woda przeciekała między nimi i wsiąkała w piasek. Nie było wiele miejsca, a gdy naciągnął matę z winorośli na wejście, przestrzeni zupełnie zabrakło. Wierząc się niemiłosiernie, zdołała namaścić ich oboje smarowidłem na siniaki i pluskwy. Gorzki zapach go mdlił, ale uznał, że przeżyje. Z pomocą niebios zbliżali się do rzeki i jutro będzie mógł to wszystko z siebie zmyć, a nie zeszkrobać.

Specjalnie zrobili wejście tak małe, że Tad ledwo się wciskał do środka. Oznaczało to, że Klinga była jedyną osobą zdolną pełnić wartę, bo on kulił się z tyłu i ledwo co widział. Huknął grzmot i deszcz rozpadał się o kilka łokci od ich nosów. Spojrzeli na siebie w półmroku.

- Nie ma sensu stać na warcie - zaryzykował. - Znaczy jedno z nas powinno się postarać nie zasnąć na wypadek, gdyby coś usłyszało, ale naprawdę nie ma sensu wyglądać na zewnątrz. Przedobrzyliśmy z tą matą; nic nie widzę.

- A ja niewiele więcej - przyznała. - Jesteś śpiący? Masz lepsze uszy; jeśli weźmiesz drugą zmianę, ja obejmę pierwszą.

- Pewnie, że jestem śpiący, mam pełen żołądek - parsknął, nie zdradzając, że jeśli teraz nie zaśnie, zesztyniałe mięśnie uniemożliwią mu jakikolwiek odpoczynek. Oczekiwał, że obudzi się dokładnie wtedy, kiedy Klinga będzie śpiąca. Jego otarty grzbiet i bolące nogi na pewno nie pozwolą mu zasnąć.

Tak też się stało. Gdy się ocknął, Klindze kleiły się oczy od ciepła i miękkości owiniętego wokół niej gryfa. Zasnęła niemal natychmiast, a on starał się rozluźnić mięśnie, aby nie dostać skurczów. To już wystarczało, aby nie zasnął, a pozycja, którą przyjął, nie była zbyt wygodna dla złamanego skrzydła. Nie nadwreżowała go, ale było zgięte pod niewłaściwym kątem. Raz niemal jęknął z bólu, ale udało mu się tylko

syknać.

Był więc trzeźwy i świadomy, gdy w koronach drzew zaległa cisza, sygnalizująca przybycie cienistych łowców.

Ze wszystkich nocy ta najbardziej go zdenerwowała i przerażyła. Był niemal ślepy, a oboje kulili się w nie zabezpieczonej dziurze w ziemi. Gdyby coś ich znalazło i naprawdę zamierzało dopaść, wykopałoby ich z łatwością.

Wyteżając słuch, nie usłyszał żadnego ruchu za matą winorośli. Miał nadzieję, że jeśli coś ich usłyszało, wzięło oddechy i poruszenia za dźwięki małych gryzoni niewartych uwagi i żałował, że nie było tu tylnego wejścia, którym mogli zwiać.

Szkoda, że o tym nie pomyślałem i go nie wykopałem. Lepiej byśmy na tym wyszli niż na zastawianiu pułapek.

Czas dłużył się nieznośnie i Tad stał się niezwykle wrażliwy na każdy dźwięk. Gdy zamknęły się paści, zabrzmiało to jak grom.

I usłyszał niezwykle okrzyk bólu.

Nie był to jęk, a na pewno nie krzyk. Łączył w sobie wycie i syk, a Tad nigdy czegoś podobnego nie słyszał. Wystraszył się, bo nie mógł sobie wyobrazić, jakie stworzenie wydało z siebie taki dźwięk. Umilkł tak szybko, że Tad zaczął się zastanawiać, czy zabili to stworzenie.

Być może, ale nie na pewno, chyba że nasz przyjaciel miał kosmicznego pecha.

Potem usłyszał więcej: kolejny łomot, miażdżenie i rozrywanie, urwane szuranie, i znowu syk. A potem nic. Okrył się gęsią skórka.

Cisza. Tada zaczął boleć zaciśnięty z całych sił dziób i napięte mięśnie, a potem, kiedy się tego zupełnie nie spodziewał, odezwały się głosy wokół.

Czekał, drżąc z napięcia, aż przez korony drzew zaczęło się przesączać blade światło dnia. Gdy już nie mógł wytrzymać, szturchnął Klingę w kark.

Ocknęła się natychmiast, sięgając po nóż.

- Pułapka się zamknęła - szepnął. - Myślę, że coś mamy. Nie wiem, czy to jeden z nich i czy ciągle tam jest. Nawet jeśli jest, raczej już zdechł.

Przytaknęła i przechyliła głowę, słuchając odgłosów lasu.

- Teraz możemy już chyba bezpiecznie wyjść - rzekła. - Gotowy?

- Na ile to możliwe. - Omawiali to zeszłej nocy: Klinga miała wypaść na zewnątrz z nożem w ręce, na wypadek gdyby coś na nich czekało, a

Tad miał podążyć za nią. Zeszłej nocy plan zdawał się absolutnie racjonalny i odpowiedni. Teraz, gryf kiedy był jednym wielkim skurczem mięśni, wątpił, czy uda mu się nawet wyczołgać.

Wydobyła nóż i obróciła się. Wrzeszcząc, odrzuciła matę i skoczyła - niechcący kopiąc go prosto w żołądek.

Jego okrzyk bitewny został zdławiony w zarodku. Zamiast mrożącego krew w żyłach ryku zdołał wydobyć z siebie żalospny pisk, zadziwiająco podobny do beczenia. Ale udało mu się wyskoczyć za nią, jeśli nie pędem, to przynajmniej szybko.

Z ulgą zauważył, że nic na nich nie czekało.

- Przepraszam - mruknęła. - Stopa mi się obsunęła.

Co mógł rzec?

- Zdarza się - rzucił od niechcienia. Nie wyszło mu to najlepiej, ale był pewien, że nie obwiniała go za brak wykwinnych manier. - Chodźmy sprawdzić pułapkę.

Kiedy się do niej zbliżali, zrozumieli, że będzie pusta, bo okrywające ją liście leżały rozrzucone wokół. W pułapce było tylko trochę krwi na palach.

- Naznaczyliśmy go - stwierdziła Klinga, przykucając, aby lepiej się przyjrzeć. - Chyba nie zrobiliśmy mu wielkiej krzywdy. Szrama albo drobne cięcie. Może złamana kość. Trochę oberwał.

Wstała i spojrzała w stronę drzewa, na którym ukryli kukły.

- Sprawdźmy, jak na nie zareagowali.

Kiedy dotarli do pnia, zobaczyli w końcu, do czego są zdolni - ich prześladowcy i co mogli uczynić.

Natrętni. I... pewnie źli. Ale nie głupio natrętni.

Na pniu widniały głębokie zadrapania, dwa razy wyżej niż głowa Klingi. Kukły podziały i myśliwi nie mogli się oprzeć, chęci dopadnięcia czegoś na widoku.

Albo tak się wściekli, kiedy jeden z nich wpadł w pułapkę, że postanowili nas dopaść niezależnie od obiektywnych przeszkód.

Tyle wiedzieli; drapieźcy potrafili skakać, ale nie mogli się wspinać, co znaczyło, że nie należą do kotowatych. Ziemia u stóp pnia była zryta pazurami i albo prześladowcy drapali ją z wściekłości, albo skakali, chcąc ściągnąć łup z drzewa.

Sam pień niewiele ucierpiał; próbowali kilka razy, ale nie wysilali się na próżno, choć do utraty sił.

Znaczyło to, że byli na tyle inteligentni, aby zdać sobie sprawę z wła-

snych ograniczeń.

Albo na tyle inteligentni, aby rozpoznać kukły. W tym przypadku mogli też dojść do wniosku, że przyjdziemy po bagaże niezależnie od tego, gdzie się schowaliśmy.

I jeśli to gniew był przyczyną ataku, nie trwał długo.

Klinga rozejrzała się, drżąc, jakby jej myśli biegły tym samym torem.

- Ściągajmy plecaki i zmykajmy stąd - rzuciła. - Szybko. Wcześniej nie pokazywali się za dnia, ale to nie znaczy, że teraz też tak będzie. Mogliśmy ich zachęcić.

Wdrapał się na drzewo szybciej, niż było to możliwe kilka chwil temu i tym razem nie zwracał uwagi na obolałe mięśnie. Nie musiał martwić się linami, co znacznie uprościło sprawę. Rozwiązał plecaki i opuścił je na dół na linie, którą przywiązał je do pnia, zostawiając kukły wśród gałęzi. Jeśli myśliwi nabrali się na nie, mogli znów przypiąć się do pnia, dając jemu i Klindze czas na ucieczkę.

Zsunął się w dół dwa razy szybciej. Podskakiwał za każdym razem, kiedy słyszał coś niezwykłego. Im szybciej stąd umkną, tym lepiej. Zatrzymali się na chwilę, aby zwinąć linę i załadować na siebie plecaki, i ruszyli w drogę, nawet nie jedząc śniadania.

Nie był głodny i podejrzewał, że Klinga też nie. Żołądek miał ściśnięty z nerwów, a w głowie dzwoniły mu stare gryfie przysłowia o tym, że syty gryf to gryf, który nie może latać.

I tak nie mogą latać, ale lepiej walczyć i uciekać z pustym żołądkiem!

Był ledwie świt, a poranna mgła jeszcze się nie podniosła. Cały świat przypominał szaroniebieską akwarelę pełną kształtów i kolumn znikających w białych oparach. Tym lepiej, bo nie musieli chować się pod drzewami, mgła ukryje ich przed prześladowcami. Mieli szczęście, bo pogoda im sprzyjała, a ponieważ i tak kierowali się kompasem, nie słońcem, mgła im nie przeszkadzała.

Sama mgła była dziwnie gorzka i nie przypominała oparów znad morza, do których Tad przywykł. Powietrze wydawało się cięższe i gęstsze, ale złożył to na karb wyobraźni. Mgła skraplała się na piórach i co rusz się otrzepywał, aby nie przemoknąć. Biedna Klinga tego nie potrafiła; jej włosy były mokre i pewnie trzęsłaby się z zimna, gdyby nie szli tak szybko.

Złapał się na rozmyślanie, kim byli ich prześladowcy. *Te historie o Ma'arze i wszystkich bestiach, które stworzył - co to właściwie było? Ojciec mówił, że większość stworzeń była kopiami dzieł Urtho...*

Makaary były analogiami gryfów; czy istniały analogie hertasi i ky-ree? Tervardi i dyheli były tworamami ewolucji i Ma'ar pewnie nie zawracał sobie głowy poprawianiem ich, bo po co? Chociaż - dlaczego nie? Ma'ar nigdy nie powstrzymał się przed zrobieniem czegoś, co potwierdzało jego siłę.

Stworzył lodowe kaczory i bazyliuszki, ale te nie naśladowały niczego wymyślonemu przez Urtho, jak twierdził mój ojciec. Były też mniejsze zwierzaki, ale nie pamiętam, aby cokolwiek dorównywało wielkością myśliwym. Nielotne makaary? A po co, skoro na ziemi makaar byłby tak samo bezbronny jak ja? Te cienie nie są analogiami hertasi, bo poruszały się na czterech, nie dwóch łapach.

Czy jeszcze ktoś zaangażowany w Wojny Magów stworzył czworonożne drapieżniki wielkości konia?

Nikt nigdy nie gadał wiele na temat stworzeń magicznych. Może Śnieżna Gwiazda coś wie, ale raczej nie mogę go teraz zapytać.

Nadstawiał uszu i wbijał wzrok w plecy Klingi. We mgle przypominała ducha i musiał się jej trzymać. Jej bladobeżowe ubranie zlewało się z mgłą, ale jego pióra nie były gorsze. Chociaż raz łowcy mieliby kłopoty z dostrzeżeniem ich.

Cokolwiek nas ściga, jest sprytne, bardzo sprytne. Nie oszukały ich moje fałszywe ślady i albo odpuścili sobie kukły, albo wiedzieli, że są fałszywe. I jeśli na jakiś czas dali sobie spokój, to wcale nie znaczy, że nie domyśla się, co jest grane. Nie znaleźli nas, ale może nie chciało im się szukać? Albo musieli upolować coś na kolację i nie mieli czasu zastanawiać się, gdzie wleźliśmy. Zresztą po co? Wiedzieli, że rano wyleziemy i musieli tylko poczekać, aż ruszymy na szlak, aby złapać nasz trop. Może nawet liczyli, że zostaniemy na biwaku, skoro przetrwaliliśmy tam noc.

Pragnął kamiennych ścian wokół; bezpiecznego miejsca, do którego drapieżniki się nie dokopią. Pragnął porządnego źródła jedzenia, którego te bestie nie dogonią. Kiedy już to znajdą, pomyśli, jak zawiadomić nadchodzącą pomoc.

A poza tym chciał ich zobaczyć. Chciał wiedzieć dokładnie, co ich ścigało. Pułapki mogły mu w tym pomóc, o ile ranne albo martwe zwierzę zostanie w pułapce. Tego nikt nie mógł zapewnić.

Uwolnili rannego z paści. To słyszałem w nocy: uwalniali go.

To oznaczało współpracę, czyli inteligencję. Wilki węszyły wokół schwytanego kamrata, czasami pomagały wygryźć się na wolność, ale

nie potrafiły usunąć części paści, chyba że przez czysty przypadek po wielu próbach.

Słyszał je wczoraj. Nie trwało długo, zanim uwolniły kumpla. I zrobiły to bez pudła.

Sidla - nie odgryźli łapy czy głowy schwytanego królika, aby zjeść resztę. Rozluźnili pętlę. Potem zabili królika, wyjęli go z sidła, podnieśli je i obejrżeli.

Kolejny dowód na inteligencję i zdolność manipulowania przedmiotami. Nie potrafił powiedzieć, jak to może zaważyć na ich szansach przeżycia.

Miał wiele obaw. Zastanawiał się, czy Klinga je podzielała. Może powinien przestać ją chronić i zacząć rozmawiać. Może powinien był to zrobić kilka dni temu.

Klinga zatrzymała się pod osłoną gęstego bluszczu.

Czy to jest to, o czym myślę ?

Zmarszczyła czoło w napięciu i machnęła na Tada, aby pozostał na miejscu i nie hałasował. Coś brzmiało w oddali, przebijało się przez gwar zwierzaków w koronach drzew i nieustanny świergot ptaków wśród zielono owocującego drzewa... dźwięk...

Tad niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę.

- A może byśmy... - zaczął.

- Zamilknij na sekundę - przerwała i zamknęła oczy, żeby się lepiej skupić. Czy naprawdę o tym myślała? Oddzielała dźwięk od spadających liści, gałązek i nadjedzonych owoców.

- Myślę, że słyszę wodę - powiedziała w końcu. - Chodź! Przestała się kryć i ruszyła jak najszybciej przez poszycie, a Tad deptał jej po piętach. Jeśli rzeczywiście była to długo poszukiwana rzeka, ich bezpieczeństwo zależało od jak najszybszego do niej dotarcia, a nie od chowania się w krzakach. Nad nimi kilka zwierząt warknęło albo wrzasnęło na alarm, ale większość z nich uznała ją i Tada za nieszkodliwych.

Mają prawo, teraz biegniemy, nie skradamy się. Nie polujemy, więc im nie zagrażamy. Małpy nadal obzerały się owocami; to uspokajało, bo znaczyło, że byli jedynymi istotami zakłócającymi spokój. Gdyby coś ich śledziło, w momencie gdy porzucili swoją norę, musiałyby postąpić tak samo, aby dotrzymać im kroku. Wtedy zwierzęta z koron drzew rozdarłyby się na alarm albo umilkły, albo jedno i drugie.

Przez wielką wyrwę między drzewami wpadało światło słoneczne; przeświecało złotozielono przez liście i białło między pniami. Im bliżej byli, tym głośniejszy stawał się szum wody na kamieniach.

Przedarli się przez wspaniałą krzak na brzegu rzeki i stanęli na głazach. Klinga chciała krzyknąć z radości, ale ograniczyła się do entuzjastycznego poklepania Tada po ramieniu.

Rzeka u ich stóp była szeroka, ale głęboka tylko w głównym nurcie. Poza tym nad nią leżał klif, którego szukali; u jego stóp widzieli szeroką błotnistą plażę.

Jaskinie, wodospady, nawet uskok, który możemy umocnić. Wszystko się nada!

- Przechodzimy - popędził ją Tad. - Jeśli nas ścigają, będziemy ich mogli widzieć, a woda nas rozdzieli.

Woda nas rozdzieli. Nie mogła sobie wyobrazić lepszej ochrony. Tad miał rację: skoro dzieliła ich tafla wody, na pewno zobaczą, jak tajemniczy łowcy nadchodzą. *Jak tylko przejdziemy, poszukamy jaskini.*

Po raz pierwszy od czterech dni znajdują suche i porządne miejsce, w którym poczekają na ratunek, miejsce, z którego nie będzie można ich, otoczonych kamiennymi ścianami, a nie płótnem, wykurzyć.

I zobaczą zwierzęta, które ich gonią - o ile odważyły się one dojść tak daleko. Może zrezygnowały? Nie liczyła na to. Ale na pewno większość drapieżników zrezygnowałaby z tak trudnego obiadu.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Zmoczmy się - powiedziała. - I tak oboje potrzebujemy kąpieli!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Klinga wytrzeszczała oczy, próbując przebić wzrokiem kurtynę deszczu i przekonać się, czy zacierają ku jakiejś jaskini, a potem opuściła głowę i ostrożnie stawiała kroki wśród śliskich kamieni i błota. Na otwartej przestrzeni deszcz lał się strumieniami i stąpanie po kamieniach stawało się podwójnie niebezpieczne. Woda spadała ze szczytu klifu i toczyła się ku rzece. Tym razem nie rozbili obozu, gdy zaczęło padać, nawet nie szukali schronienia. Szli wzdłuż klifu; po pierwsze, jedyne schronienie przed deszczem leżało na drugim brzegu, a Klinga nie zamierzała tam wracać, a po drugie, każda chwila spędzona na chowaniu się przed deszczem była czasem, który mogli wykorzystać na szukanie prawdziwego schronienia, miejsca, z którego nikt ich siłą nie wyrzuci.

Biedny Tad był już przemoczony do suchej nitki i Klinga zaczęła się zastanawiać, skąd wziąć dla niego nowy bandaż. Opatrunek, który mu założyła, zaczynał się rozpadać i dopóki go nie wypiorą i nie wysuszą, na nic się nie zda. *Może poświęcę trochę ciuchów, jeśli nie starczy nam bandaży. Mogłabym skrócić nogawki spodni, bo i tak nie chronią przed owadami. To i kawałek sznurka powinny wystarczyć za temblak.*

Każę mu się wysuszyć, zanim zaśnie; mokry gryf plus sen równa się choroba.

Potrzeba nam jaskini albo przynajmniej uskoku. Ten deszcz będzie padał aż do zmroku, a wtedy nic nie zobaczymy.

Poziom wody w rzece nie podnosił się, co znaczyło, że poza powodziami rzeka nie występuje z brzegów. *Mam nadzieję, że nie zaczął się sezon powodzi!* Widziała, co powódź może zrobić, bo na brzegu leżało wiele wyrzuconego drewna i szlamu. Świetnie się nadawało na ognisko, gdyby tylko znaleźli miejsce, w którym mogą to ognisko zbudować!

Znając nasze szczęście, powinno się okazać, że więcej możliwości obrony mieliśmy w lesie niż tutaj. Jeśli przed zmrokiem nie znajdą jakiejś dziury, spędzą noc na kamienistym brzegu, owinięci w mokre koce i wstrząsani drgawkami, bo nie mogli rozpalić porządnego ognia!

Bogowie - czy los - okazali się łaskawi. Po kilku jardach potykania się w błocie, klif cofnął się w lewo, ukazując zakole rzeki. Z deszczu wyrastała biała huczająca ściana, jakby ktoś wydarł dziurę w chmurach i wylał całą wodę naraz. Po chwili nerwowego mrugania i odgarniania z

oczu przemoczonych włosów Klinga zrozumiała, że to nie ulewa, tylko wodospad, a w skale obok widniało kilka ciemniejszych dziur, które musiały być wejściami do jaskiń.

Tad zauważył je w tej samej chwili i wrzasnął jej do ucha:

- Jeśli któraś jest wystarczająco głęboka, powinniśmy się tu zatrzymać! Może nie usłyszymy kroków, ale to, co chciałoby nas zejść od przodu, nie przedrze się przez wodospad! Będziemy bronić tylko jednej strony!

Jęknęła, bo znalazła się tuż przy podekscytowanym gryfie, ale przyznała mu rację. Przełamała swe opory przed nocowaniem w miejscu, gdzie nie mogli usłyszeć kroków nadchodzącego wroga. I aby podkreślić trafność dokonanego wyboru, wielka ryba podpłynęła do ich stóp, chlapiąc ogonem. Najwyraźniej ogłupił ją wodospad, a Tad, któremu kiszki marsza grały, rzucił się na nią w mgnieniu oka. Po chwili już jej nie było, a Tad był bardzo zadowolonym gryfem.

- Złap coś jeszcze! - wrzasnęła. - Ja sprawdzę jaskinie!

- Czekaj! - od wrzasnął. Podniósł mlecznobiały gładki kamyk i wpatrzył się w niego z napięciem, które dobrze знаła. Potem wręczył go jej, uśmiechając się. Kamyk błyszczał światłem magicznym.

Przyjęła go z ulgą; gryf miał tyle mocy, że mógł znów robić magiczne lampy.

Nie musiała daleko szukać nowego schronienia; pierwsza jaskinia, do której weszła, okazała się doskonała. Ciągnęła się daleko i cały czas wznosiła. Kilka metrów podłogi pokrywał suchy, miękki piasek, potem Klinga natknęła się na stertę drewna przyniesionego przez powódź; tam zaczynała się naga skała. Cienki strumyczek płynął przez środek jaskini, wypłukując łożysko w skale i piasku.

Przekroczyła go, trzymając nad głową błękitnie świecący kamyk, aby jego blask nie raził oczu. Jaskinia zwężała się, a potem nagle skręcała w górę pod kątem prostym. Stamtąd wypływał strumyczek. Wsunęła głowę do dziury i spojrzała: deszcz lał się jej na twarz, ale i tak widziała nad sobą zachmurzone niebo. Kiedyś prawdziwy strumień, prawdopodobnie dopływ rzeki, wyrzynał tutaj swe łożysko, formując jaskinię. Teraz to łożysko było suche, zasilane tylko deszczówką. Tego właśnie potrzebowali: naturalnego komina, przez który ulatywałby dym z ogniska. O ile nagle nie poleje się tu rzeka, jaskinia była idealna. Nie mogła znaleźć nic lepszego. Nawet komin był zbyt mały, aby cokolwiek mogło nim przeleźć, może prócz węży. Ślady świadczyły, że inne zwie-

rzęta też uznały tę jaskinię za dobre mieszkanie: kilka szkieletów ryb i małych gryzoni, a z tyłu Klinga widziała stadko nietoperzy. Nie miała nic przeciwko mieszkaniu z nietoperzami; po wiecznych wojnach z owadami ucieszyła się na ich widok. Nietoperzom zaś zupełnie nie przeszkadzała.

- Klinga? - zawołał Tad i uświadomiła sobie, że choć docierał tu szum wodospadu, to kamienne ściany skutecznie go wyciszały.

- Idę! - odparła, złażąc po stercie drewna. Poczwała dym i rzeczywiście, chmurka, podobna do ducha w niebieskim świetle kamyka, wyleciała kominem. Powitało ją ciepłe światło; Tad już rozpałił ognisko. Przyłączyła się do niego.

- Tutejsze ryby nie mają instynktu samozachowawczego - powiedział radośnie gryf. - Całkiem sporo właśnie wpadło na skały. Przyniosłem ci kilka. - Wskazał dziobem obłe kształty na ziemi.

- Mam nadzieję, że się najadłeś? - burknęła. - Bardziej niż ja potrzebujesz jedzenia; mnie wystarczą suchary.

Jego nozdrza się zaczerwieniły, a ruch grzebienia bez pudła zdradzał łakomstwo. Nie winiła go, szczególnie po tyłu dniach ścisłej diety.

- Włóż to gdzieś, żebyśmy mogli spać - powiedziała, wręczając mu kamyk i zdejmując plecak. - Gdybym zamawiała jaskinię, nie mogłabym dostać lepszej. Możemy nawet rozpałić bardzo dymiące ognisko - machnęła ręką ku tyłowi - bo tam jest naturalny komin, dzięki któremu się nie zaczadzimy. Nie mamy tylko nocnego sygnału. Musimy to omówić.

Zagryzł dziób, myśląc, i rozciągnął zdrowe skrzydło nad ogniem.

- Nie wyobrażam sobie, żeby latali nocą - zaczął. - Chociaż z drugiej strony, skoro to ty i ja się zgubiliśmy...

- Skandranon zarządzi nocne loty, nawet gdyby miał sam latać - dokończyła, chichocząc. Potem rozbawienie zniknęło. Nawet na chwilę nie mogła zapomnieć, że byli ścigani. Dopóki nie dowiedzą się, przez co i dlaczego, nie powinni zakładać, że pozostaną tu aż do nadejścia pomocy. Tak, mieli dobre schronienie, z którego trudno było ich wykurzyć. Jednak nie było to niemożliwe; nie dla, dajmy na to, maga renegata i jego pomocników, ludzkich czy zwierzęcych.

Tad nie przejmował się przyszłością; zrzucił plecak i przysunął jej rybę.

- Jedz - zarządził. - Jest tu tyle drewna, że na pewno starczy na noc. Ty ją upiecz i zjedz, a ja pójdę się rozejrzeć.

Wahała się, potem wzruszyła ramionami i podniosła rybę. *Mogę coś zjeść i odpocząć. Ma rację.* Podczas deszczu nic nie mogło ich znaleźć. Jeśli ścigające stworzenia były inteligentne, prawdopodobnie uznały, że uciekinierzy zachowali się jak zwykle i poszukali schronienia, nim deszcz się zaczął. Myśliwi szukali ich pewnie po drugiej stronie rzeki. Trop tam się urywał, a kamienie i błoto nie trzymały zapachu, szczególnie zmywane deszczem. Trop po tej stronie rzeki został całkowicie zatarty, a jeśli ukryją ogień, uda im się zataić obecność w jaskini przez dzień lub dwa. Skoro dym szedł w górę i rozwiewał się na wszystkie strony, tropiacy będą mieli problem z ustaleniem, skąd pochodził.

Oczywiście, później będzie trudniej. Za każdym razem, gdy będą opuszczali jaskinię, aby złapać ryby, umyć się czy nazbierać drewna, ryzykowali, że będą zauważeni. Łowcy na drugim brzegu łatwo mogli ich wysledzić, sami pozostając w ukryciu.

Najpierw zjem, martwić się będę później - zdecydowała. Cudownie było mieć tyle miejsca, aby otworzyć plecak i wszystko z niego wyrzucić. Znow złapała się na tym, że jedną ręką robiła coś, co trudne było dwiema: skrobała i patroszyła rybę. W końcu ściągnęła but i stopą przytrzymała rybę za ogon.

Zostawiła łeb i wnętrzności, aby użyć ich jako przynęty; nie mogli liczyć, że każdego dnia ławica ryb będzie sama wpadać im w ręce. Mieli ze sobą linki i haczyki, a jeśli wnętrzności nie poskutkują, będą nabijać na haczyki robaki, kulki chleba albo suszone mięso. Jeszcze raz saperka posłużyła za patelnię; pewnie spełniłaby to zadanie lepiej, gdyby była wysmarowana tłuszczem, ale Klinga była zbyt głodna, aby zawracać sobie głowę takimi drobiazgami.

Ryba przypaliła się i przywarła do saperki, ale akurat to najmniej się liczyło. Klinga zdrapała mięso i zjadła, wiedząc, że trochę przypalona saperka nadal będzie sprawnym narzędziem. Była tak głodna, że poparzyła sobie palce, zdejmując mięso z gorącego żelaza, zanim porządnie ostygło. Przeklinała cicho i jadła, radosna jak dzika świnka.

Tad powrócił, mokry jak nieboskie stworzenie, i popatrzył na nią z namysłem.

- Glina - rzekł. - Następnym razem obłóż ją gliną i zapiecz w całości. Kiedy rozbijesz glinę, zlezie skóra, a reszta będzie dobra.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - spytała zaskoczona.

- Od matki. Uwielbia ryby i chociaż gustuje w świeżych, jadła upie-

czony, jeśli nie były prosto z morza. - Znów się wyszczerzył i przechylił głowę. - Wiesz, jaka ona jest: też pragnie ideału, ale w przeciwieństwie do ojca nie narzeka, gdy go nie osiąga. Co zrobisz z ogniskiem? Przesuniemy je głębiej do jaskini? Grota zakręca i myślę, że trudniej będzie dostrzec ogień zza rzeki?

Myślał więc o prześladowcach.

- Nie wiem; i tak prędzej czy później nas zobaczą. Wolałabym zastanawiać się nad obroną.

- Zastawiłem trochę prościutkich sideł na dróźnie - powiedział. - Nie wiele, bo w deszczu trudno jest pracować. Powinny pomóc. Jutro się lepiej postaram.

- Dlatego tak zmokłeś! - Kazała mu usiąść przy ogniu, nie przerywając jedzenia. Ryba nie była najlepsza, miała mdły smak, co było jakąś odmianą po suszonym mięsie, które smakowało jak stare buty. Była jednak ciepła, sycąca i smażona, więc zjadła ją co do okruszyny, zdrapując z saperki nożem przypalone kawałki. Potem wyprostowała się, oblizując osmolone palce i skupiła się na Tadzie.

- Dobrze, najpierw plany krótkoterminowe. Pierwsza warta?

- Ty - odparł. - Jestem tak najedzony, że zasnę natychmiast. Nic na to nie poradzę, tak mnie stworzono. A poza tym lepiej widzę w nocy niż ty. I lepiej słyszę - dodał - ale to się nie liczy, skoro mamy tu wodospad. Mogę rozciągnąć żyłkę od sideł do jaskini i przytwierdzić ją do kamyków wokół światła magicznego, żeby stworzyć coś na kształt alarmu.

Całkiem sensowna myśl.

- Dobrze. Jeśli coś zobaczę, mam strzelać? Moja proca doniesie za rzekę i mogę sobie pozwolić na spudłowanie, bo mamy tu tyle kamieni, że nie trzeba odzyskiwać pocisków. - To również przyczyniło się do ogólnego rozluźnienia. Nie ograniczały jej już ołowiane kulki. Kamienie latały gorzej, ale miała ich pełno w zasięgu ręki.

- Wolałbym, żebyśmy niczego nie prowokowali - odparł natychmiast.

- Nie odpowiadajmy im na pytanie, gdzie jesteśmy. Jeśli nie znajdą nas dzisiaj, przy odrobinie szczęścia dadzą nam spokój.

- Pewnie nie, ale warto spróbować. Zgadzam się. Zastawimy pułapki na drugim brzegu? - Kolejne dobre pytanie. Warto było spróbować, ale jednocześnie przy przekraczaniu rzeki wystawiali się na cios. Rzeka nie była aż tak głęboka; w najgłębszym miejscu sięgała Klindze do podbródka. Szybkie zwierzę łatwo mogło ją pokonać. Im się udało, a

przecież nie czuli się najlepiej. Dobry pływak mógł ją przekroczyć i nie zdradzić swej obecności, zwłaszcza, że i tak wszystko zagłuszał wodospad.

Potrząsał głową.

- Nie; zastawimy pułapki na tym brzegu. Na drugim brzegu byłibyśmy zbyt narażeni na atak, więc po co się trudzić? Nie chcemy przecież złapać tych zwierząt? - On na pewno nie chciał, a ona się z nim zgadzała. Co by z tym stworzeniem zrobili, żywym lub martwym? Były łatwiejsze sposoby, aby dowiedzieć się, jak wyglądali łowcy.

- Dopóki nie będziemy musieli ich zdziesiątkować - mruknęła. Jaskinia była jednocześnie dobrym i złym schronieniem: mogli jej bronić, ale ekipa ratunkowa nie mogła ich dostrzec, a poza tym łatwo było rozpocząć obłęd. Wąski komin, którym nic nie mogło się zsunąć, oznaczał także, że nic nie mogło się wspiać.

- Dobrze. Jutro, gdy się rozjaśni, nazbieramy świeżego drewna i liści, aby nadać sygnały dymne. Zbierzemy suche drewno i upchniemy je tutaj. - Przechylił głowę i czekał na jej pomysły.

- Wodę mamy; zacznę łowić, i tak długo, jak będziemy nadawać sygnały dymne, mogę wędzić to, czego nie zjemy. - *Jeśli nas tu uwiężą, będziemy mieli co jeść.* - Powinniśmy przejść się w dół rzeki i zdecydować, jakie pułapki zastawiamy.

- Na pewno jedną lawinę, tuż przy wejściu, uwalnianą z jaskini - odparł i ziewnął. - Wyteżając mózgi i również ciężko pracując, możemy nawet zabarykadować wejście do jaskini drewnem i kamieniami. Jesteśmy wybitnie inteligentni, więc czeka nas praca. Nic więcej nie wymyślę. Muszę się przespać. Nie potrzebuję koca; przy ogniu jest bardzo ciepło - mruknął. - Mogę nawet leżeć na tym miękkim piaseczku, pomiędzy ogniem i wejściem, aby osłaniać ognisko moim ciałem. Poświęcę się, będę leżał w przeciagu, aby ogień nie zgasł.

- Jakże to miłe z twoje strony. Pomóż mi rozłożyć śpiwory, żeby wyschły - stęknęła. - A potem możesz sobie spać, dopóki cię nie obudzę na wartę!

I niech jedyną rzeczą, którą usłyszymy, będzie ekipa ratunkowa, i to szybko - pomyślała, gdy Tad chichotał i pomagał jej przy mokrych kocach. Teraz powinni już wiedzieć, że zaginęliśmy. Nie stawiliśmy się na spotkanie, więc drugi patrol powinien wysłać wiadomość telesonem. Ile czasu trzeba, aby uznać nas za zaginionych, a nie spóźnionych? Czy będą nas szukać, skoro pomyślą, że się spóźniamy? Chciałabym

wiedzieć.

Jestem pewna, jedne go: ojciec oszaleje, kiedy się dowie. Dobrze, że to nie ja muszę go powiadomić!

Bursztynowy Żuraw gapił się na komandor Judeth; słowa, które wypowiedziała, nie miały sensu.

Po chwili go jednak nabrały.

- Oni co? - Wymowność, wypracowana przez lata, nagle opuściła Bursztynowego Żurawia. Wstał szybko, jakby biurowe krzesło zmieniło się w rozżarzone węgle. Tak zresztą się czuł.

- Uspokój się, Żurawiu, młodzi mają ledwie dzień opóźnienia - powiedziała Judeth. Sprawiała wrażenie spokojnej, ale znał ją aż za dobrze i dostrzegał w jej ruchach oznaki zdenerwowania. Ale to po prostu nie wystarczało. - Patrol, który zmieniali, dotarł wczoraj do punktu zbiórki, a ich tam nie było.

Martwi się. Ona się tylko martwi. I nic jeszcze nie zrobiła.

- I jeszcze się nie pokazali. - Zacisnął dłonie na poręczach krzesła i wpatrzył się w nią oskarżycielsko. - Więc dlaczego nic nie robisz? Wiesz, że tych dwoje przestrzega regulaminu jak nikt inny! Nigdy, przenigdy nie złamali rozkazu. Gdyby mieli powód, aby się spóźnić, gdyby wiedzieli, że się spóźnią, przesłaliby wiadomość przez teleson! Jeśli tego nie zrobili, to dlatego, że nie mogli, bo coś im się stało!

Podnosił głos i wiedział o tym, a co więcej, nawet nie krył swych uczuć. Raz w życiu chciał, żeby inni wiedzieli, że jest wściekły. Judeth uczyniła uspokajający gest, jakby sądziła, że uspokoi go kilkoma słowami. Jakby uważała, że można mu rzeczowo wytłumaczyć, aby nie histeryzował.

Spróbowała.

- Robimy coś, Żurawiu; patrol odleciał z punktu zbiórki, aby poszukać jakichś śladów Klingi i Tadritha. Jest za wcześnie na panikę...

Za wcześnie na panikę? Czy ona nie wie, z kim rozmawia? Wielkim wysiłkiem woli powstrzymał się przed wybuchem.

- Powiesz mi to, kiedy twoje dziecko zaginie! - parsknął. - Tak cię opętało bycie dowódcą, że nie zauważyłaś końca wojny? Zamiast mi mówić, żebym nie panikował, spróbuj raczej powiedzieć, co teraz robicie. A jeśli niczego nie robicie, nie obchodzi mnie dlaczego! Poruszę niebo i ziemię, aby coś zostało zrobione, bez wysłuchiwania, żeby nie panikować, bo ktoś uważa, że na to za wcześnie!

Nigdy w życiu nie powiedział tak otwarcie, że użyje całej swej mocy i wpływów. *I zrobię to, nawet jeśli będę musiał zaszantażować całe miasto. Z Judeth na czele.* To była prawdziwa pogrożka; nie blefował. Czuł się jednak zobowiązany do ostrzeżenia Judeth, zanim ona zabrnęła za daleko. Gdyby użył wszystkich swych wpływów, Judeth mogłaby stracić swe stanowisko.

Jej oczy pociemniały niebezpiecznie, ale głos pozostał spokojny, co dobrze świadczyło o jej samokontroli. Judeth nie lubiła pogroźek, ale była realistką i wiedziała, że nie żartował.

- W tej chwili poprzedni patrol leci w naszą stronę, szukając śladów. Jeśli niczego nie znajdą, skierują się na północ, potem południe, aby sprawdzić, czy nie zboczyli z kursu. Pracujemy nad tym. Nie siedzimy na tyłkach i nie czekamy, co przyniesie czas. Próbuje zlokalizować ich stąd i... i... - w końcu podniosła głos, widząc, że Żuraw jest gotów znów wrzasnąć - ...organizujemy grupy poszukiwawcze. Wyruszą o świcie, bo wcześniej nie uda nam się ich wyposażyć. Nie ma sensu łąpać nie przygotowanych ludzi i wysyłać ich w teren. Teraz, jeśli znajdziesz jakąś lukę w moim rozumowaniu, chętnie posłucham sugestii.

- Nie znalazł, ale to nie powstrzymało go przed pragnieniem, aby robiła coś więcej, niż zwykle organizowanie grup poszukiwawczych.

- Nic nie wymyślę, ale... to trudne. Trudno mi myśleć - przyznał z urazą. - Czy Skan już wie?

- Aubri mu mówi. - *Biedny Aubri* - usłyszał w jej głosie, ale pomyślał *Biedny Skan*.

Obawiał się tego. Nie chciał, żeby Tad wyjeżdżał, podobnie jak ja nie chciałem posłać tam Klingi. Wiem, że chciał pójść do Judeth i poprosić ją, aby im przydzieliła coś innego, ale tego nie zrobił. Pewnie teraz się zastanawia, czy ich zaginięcie to jego wina.

- Powiem Zimowej Łani - zaczął ze ściśniętym gardłem. *Bogowie, jak jej to powiem? To wszystko moja wina; powiedziałem albo zrobiłem coś, co sprawiło, że Klinga zechciała być Srebrzystą, a dzięki moim interwencjom zapragnęła być daleko stąd; gdybym tak nie wtrącał się w jej życie, nadal by tu była, może nawet robiła coś innego. Tad miałby innego partnera, kogoś, kto nie namawiałby go do przyjęcia zadania z dala od miasta.* Desperacko pragnął, aby ktoś inny wziął na siebie zawiadomienie Zimowej Łani, aby nie musiał patrzeć jej w oczy. Tchórzostwo, tak, ale...

- Nie, ja jej powiem - oświadczyła Judeth. - Wiem, gdzie jest i jestem

dowódcą Srebrnej Klingi, to moja praca. Idź do Skana; przyślę ją tam.

Tam - jak wiedzieli wszyscy w Białym Gryfie, oznaczało o tej porze przedszkole Kechary. Skandranon spędzał z nią i innymi dziećmi co najmniej godzinę każdego popołudnia. Uwielbiał z nimi przebywać, opowiadać bajki i się bawić. Bursztynowy Żuraw wstał i ruszył ku drzwiom; tym razem Judeth go nie powstrzymała.

Kiedy tylko skończono ratusz Białego Gryfa, żony wszystkich urzędników zażądały, aby dobudować do niego biura. Zimowa Łania oznajmiła:

- Ludzie, mamy dość przynoszenia pracy do domu i tego, że praca za wami łązi - mówiąc w imieniu żon i całego miasta. - W domu macie odpocząć od idiotów, którzy nawet miejskiej latryny nie znajdują bez mapy i przewodnika! Każdy urzędnik dostanie biuro, choćby wielkości szafy - dodała. - Nie obchodzi mnie, że wódz k'Leshya nigdy przedtem nie miał biura, bo zawsze mieszkał w namiocie. Jeśli wódz k'Leshya może łamać tradycję, wprowadzając się do jaskini, biuro i regularne godziny urzędowania już mu nie zaszkodzą, a kiedy się skończy, zamknie drzwi i będzie miał spokój! - Spojrzała na Bursztynowego Żurawia i jej oczy rzekły: *A do ciebie odnosi się to podwójnie, mój drogi i przepracowany mężu!*

Ponieważ za plecami Zimowej Łani stała żona Lwiego Wiatru, potakując i trzymając dłoń na rękojeści noża, wszyscy urzędnicy skwapliwie się zgodzili.

Biura wbudowano w klifie za ratuszem, małe, przytulne i w pobliżu innych budynków użyteczności publicznej. Administracja Srebrzystych mieściła się niedaleko, a właśnie w tym budynku znajdowało się przedszkole stworzone dla Kechary, gdy jeszcze odpowiadała za łączność wśród Srebrzystych. Dzielila je z dziećmi Srebrzystych i innych mieszkańców Białego Gryfa, którzy potrzebowali nadzoru nad pociechami, gdy pracowali. Było to wygodne i zapewniało Kecharze wielu towarzyszy zabaw na jej poziomie umysłowym, choć sześć razy od niej młodszych.

I chociaż zdolności Kechary zostały poważnie ograniczone, nadal mogła myślmówić z każdym gryfem w mieście. Było to użyteczne dla Srebrzystych i nikt nie widział powodu, aby miała opuścić przedszkole.

Biegając do budynku, spięty z nerwów i zmartwienia, Bursztynowy Żuraw nie mógł sobie nawet wyobrazić, dlaczego Judeth uważała, że Aubri potrafił łagodnie zawiadomić Skana. Musiała być tak zdener-

wowana, że jej zdolność logicznego myślenia wyparowała jak kamfora. *Aubri ma tyle taktu, co cegła. Kiedy Skan...*

- ŻURAW! - Ryk usłyszano pewnie na szczycie klifu, a gryf, który wyleciał przez drzwi, wyglądał, jakby za moment miał zionąć ogniem. Wyleciał było odpowiednim słowem: czarno-biała kula unosiła się kilka stóp nad ziemią, rozglądając się na wszystkie strony, szukając przyjaciela. - Żuraw! - ryknął Skan ponownie, wisząc jakieś trzy długości nad ziemią. - Ci idioci! Stracili...

- Wiem, wiem - odwrzasnął Żuraw, dziko machając rękoma. - Dlatego...

Skan zwinął skrzydła i ciężko wylądował, jakby spadał, cały zjeżony.

- Chcę, żeby wszyscy magowie w tym mieście ich szukali! - powiedział gniewnie. - Nie obchodzi mnie, co robią! To nagła konieczność! Chcę, żeby rzucili to, czym się zajmują i chcę, żeby grupy poszukiwawcze ruszyły natychmiast! I pchnąć posłańców do Shalamana! Chcę, żeby szukali ich wszyscy Haighlei! Chcę...

Albo zajmiemy się tym razem, albo nie będą nas słuchać. Bursztynowy Żuraw złapał głowę przyjaciela w obie dłonie i wsunął palce w nozdrza gryfa. Pociągnął dziób Skana, a ten spojrzał mu prosto w oczy.

- Wiem - rzekł z mocą. - Uwierz mi, czuję to samo! Musimy zwołać Radę, aby to zaakceptowała, ale nie sądzę, aby ktokolwiek się z nami nie zgodził, a jeśli...

Skan zawarczał.

- Jeśli się sprzeciwią, obaj... obaj wiemy rzeczy co najmniej wstydlive - rzekł.

- Właśnie. A ja to wykorzystam. - O to chodziło; Skan się z nim zgadzał. Był to chwyt poniżej pasa, ale lepsze nieczyste zagrywki niż tracenie czasu na przekonywanie kogokolwiek.

- Nie ma sensu wpadać jak wilk do owczarni - ciągnął Żuraw, przekonując siebie i Skana. - Dobrze? Porozmawiajmy o szczegółach. Judith kazała poprzedniemu patrolowi szukać ich; nie można zrobić więcej w terenie. Musimy się zorganizować, wysłać ludzi i jeśli trzeba, przekonać ich do ponownego użycia Bram. Musimy przekonać Radę, aby popierała wszystkie nasze akcje, a to się nie stanie, jeśli będziemy tu sterczeć i marnować cenny czas, wrzeszcząc jak przerażeni rodzice!

- Jesteśmy przerażonymi rodzicami! - Gryf wyrywał ziemię, orząc wściekle pazurami. - Nie chcę przestrzegać procedury!

Bursztynowy Żuraw oparł pięści na biodrach i pochylił się ku Ska-

nowi.

- Otrzymamy aprobatę Rady wszelkimi możliwymi sposobami.

Nienawidzę tego, ale takie są realia. Jeśli chcemy, aby Srebrzyści podjęli coś więcej niż rutynowe działania, musimy mieć zgodę Rady. I tu możemy użyć szantażu.

Skan znów zawarczał, ale słabiej.

- Do cholery, Żuraw, dlaczego musisz być taki prawy? - parsknął. - W porządku, wróć i każe Kecharze zwołać członków Rady, aby poparli nasz plan.

Bursztynowy Żuraw chciał dodać: *nie przestrasz jej*, ale ugryzł się w język. Ze wszystkich w mieście Skan najlepiej wiedział, jak nie denerwować Kechary. Był jej "tata Skanem", którego kochała z całego serca, tak wielkiego, jak mały był jej mózg. Gdyby ją przestraszył, równie dobrze mógłby pozwolić Klindze i Tadowi zgnić w jakimś zakątku dżungli.

Ruszył w kierunku ratusza pewien, że jeśli Zimowa Łania i Zhaneel jeszcze tam nie dotarły, na pewno uczynią to po wezwaniu Kechary.

Skan wpadł do ratusza krótko po Żurawiu, a chwilę później zbiegli się inni członkowie Rady. Judeth przyszła pierwsza, zaskoczona, urażona i zła; i chociaż Skan zmierzył ją lodowatym spojrzeniem, odezwał się dość uprzejmie:

- Ja zwołałem zebranie - rzekł. - Ponieważ mamy sytuację kryzysową.

Począł, aż zebrało się kworum i wszyscy usiedli, zanim znów przemówił do Judeth.

- Ty jesteś dowódcą Srebrzystych, więc myślę, że najlepiej wytłumaczysz Radzie naturę tego kryzysu - rzucił ostro. Judeth wyglądała tak, jakby miała zamiar powiedzieć mu coś bardzo niemiłego, ale się powstrzymała, co było trafną decyzją.

Bursztynowy Żuraw doskonale wiedział, jakim torem biegły jej myśli. Po pierwsze i najważniejsze, była wojskowym i w innych okolicznościach zniknięcie czy spóźnienie dwojga najmłodszych Srebrzystych nie powinno być uznane za kryzys, którym trzeba kłopotać Radę. Tylko rozhisteryzowany, ale potężny rodzic mógł wymyślić coś takiego.

A Żuraw z dziką rozkoszą udusiłby Judeth, gdyby choć słowem o tym wspomniała.

Udusiłbym ją, a potem ożywił, żebym mógł ją drugi raz udusić. Część jego "ja" była zaskoczona agresywnością; druga część kibicowała ra-

dośnie. *A potem znów bym ją ożywił, żeby Skan też mógł się zabawić.*

Ale najwyraźniej Judeth wiedziała swoje albo groźba, że Żuraw użyje swych wpływów, sprawiła, że starannie dobierała słowa. Spokojnie i chłodno wyjaśniła sytuację, a członkowie Rady słuchali, nie komentując. Skan rzucał w ich kierunku spojrzenia, jakby tylko czekał, aż ktoś się odważy powiedzieć, że Rada nie powinna zwracać sobie głowy takimi "kryzysami".

Nikt się nie odważył, ale Śnieżna Gwiazda powiedział coś, co nadało całej sytuacji inny wymiar. Bursztynowy Żuraw był mu ogromnie wdzięczny.

- Czy ktoś już tak zaginął? - zapytał, nawet nie patrząc na Skana i Żurawia. - Wiem, że wśród Srebrzystych zdarzyło się kilka wypadków, ale nie przypominam sobie, aby którykolwiek ze Srebrzystych wysłanych na posterunek zaginął. Judeth, odkąd spotkaliśmy Haighlei, nie było żadnych nieszczęśliwych wypadków wśród twoich podwładnych, a poprzednie zdarzyły się podczas wyprawy na wybrzeże. Jeśli to coś nowego, uważam, że to bardzo poważne.

Aubri otworzył dziób, a potem zaskoczony spojrzał na Judeth. Ona odpowiedziała.

- Właściwie masz rację - rzekła, równie zaskoczona jak Aubri. - Śmiertelne wypadki od założenia miasta zdarzały się tylko wśród myśliwych, nie Srebrzystych, a obrażenia Srebrzystych spowodowane były zazwyczaj złą pogodą, nikt nawet nie zginął w jakiejś burdzie. Do dziś żaden z patroli wysłanych na posterunki nie zaginął. Łamali sobie nogi, chorowali, musieliśmy im wysłać pomoc, a para ludzi się kiedyś zgubiła, ale mieli teleson i wiedzieliśmy, że nic im nie jest, po prostu na chwilę straciliśmy ich z oczu. Nikt wcześniej tak po prostu nie zniknął...

Tylko wyraz jej oczu świadczył, jak bardzo się zdenerwowała, ale Bursztynowemu Żurawowi sprawiło dziką satysfakcję, gdy zobaczył to stalowe spojrzenie. Stała się na powrót generałem Judeth, spotykającą śmiertelnego wroga tam, gdzie miała być łąka i strumyki.

- Myślałem, że to ryzyko zawodowe, ale zapomniałem, że już nie ma wojny - mruknął Aubri, tak zawstydzony, że jego nozdrza były purpurowe. - Śnieżna Gwiazdo, masz rację! Nie straciliśmy Srebrzystego odkąd... odkąd sprzymierzyliśmy się z Haighlei!

A wasza dwójka popełniła błąd, uznając Srebrzystych za przedłużenie dawnej armii, którym nie są, a nasza sytuacja jest zupełnie inna

niż przed wojną. Jak mogłem być tak ślepy i nie dostrzec waszej ślepoty?

- W takim razie uważam, że sytuacja rzeczywiście zalicza, się do kryzysowych - powiedział Śnieżna Gwiazda. - Kiedy dwoje świetnie wyszkolonych ludzi znika nagle bez śladu, bez powodu i bez ostrzeżenia, wydaje mi się, że nie tylko oni znajdują się w niebezpieczeństwie, ale całe miasto. A jeśli sprzątnięto ich, zanim zdążyli nas powiadomić, że zmierza ku nam wróg? Jak się dowiemy, jeśli nie zaczniemy ich ratować?

Wszyscy przytakiwali, a Bursztynowy Żuraw i Zimowa Łania, która właśnie weszła, wymienili przerażone spojrzenia. Jemu zrobiło się zimno, ona pobladła. Nie musiał tego słuchać. Jasne, cieszył się, że Śnieżna Gwiazda to powiedział, bo przekonał nawet największych sceptyków, ale mimo wszystko lepiej by mu było, gdyby tego nie usłyszał.

Albo Śnieżna Gwiazda naprawdę w to wierzy, albo pozbawiony talentów dyplomatycznych mag właśnie zamydlił wszystkim oczy. Albo jedno i drugie.

W sali obrad zapadła ciężka, złowieszcza cisza i nikt się nie kwapił, by ją przerwać. Skan zamarł jak posąg, a Zhaneel u jego boku była w zbyt wielkim szoku, aby logicznie myśleć. Zimowa Łania stała przy swoim krześle, ściskając jego oparcie, niezdolna, by usiąść; jej kłykcie były białe jak śnieg. Bursztynowy Żuraw nie mógł się poruszyć; ciało miał jak z ołowiu.

Judeth chrząknęła: wszyscy podskoczyli.

- Dobrze - powiedziała ostro. - Poprzedni patrol ruszył na poszukiwania; zbieramy drużyny ratownicze. Czy ktoś ma inne sugestie?

Skan otworzył dziób, ale ubiegł go Śnieżna Gwiazda.

- Zbiorę magów i zacznę badanie na odległość - rzekł. - Prawdopodobnie jesteśmy zbyt daleko, ale ci, którzy mogą ich odnaleźć, powinni przynajmniej spróbować. Będziemy szukać śladu magii we wszystkich przedmiotach, które ze sobą mieli; nawet jeśli się rozbili, magia nadal w nich będzie. Wybiorę magów do grup poszukiwawczych.

Skan raz jeszcze otworzył dziób, a potem potoczył spojrzeniem wokół, upewniając się, że tym razem nikt mu nie przeszkodzi.

- Powinniśmy wysłać wiadomość do Shalamana - rzekł wojowniczo. - Jego poddani znają dżunglę lepiej od nas. Powinniśmy go zmusić, znaczy, poprosić, aby wysłał swoich myśliwych.

- Dobry pomysł - oceniła Judeth. - Mogę wysłać wszystkich, którzy kiedyś tam służyli, ale jeśli do naszych ludzi dołączą Haighlei umiemy polować w dżungli, tym lepiej. Coś jeszcze?

Grupy poszukiwawcze, magia, Haighlei... Myśli huczały w głowie Żurawia, ale nie mógł skupić się na żadnej z nich. Judeth rozejrzała się i skinęła głową.

- Dobrze. Mamy plan - stwierdziła. - Zakładamy, że cokolwiek przydarzyło się Srebrzystym, może zagrozić miastu i odnalezienie ich jest sprawą najwyższej wagi. Do dzieła.

Wstała i była w połowie drogi do drzwi, zanim ktokolwiek się poruszył. Żuraw jej nie winił. On też nie chciałby się znaleźć w jednym pomieszczeniu z czworgiem przerażonych rodziców.

I nie chciałby konfrontacji z dwojgiem ludzi, którzy właśnie zagrozili mu szantażem, jeśli nie potraktuje poważnie zniknięcia ich dzieci.

Reszta uciekła równie szybko. Tylko Aubri zatrzymał się na chwilę, spoglądając na nich niepewnie. Otworzył dziób, potem przełknął, potrząsnął głową i wyszedł.

Jedyną rzeczą, jakiej pragnął Skandranon, było ruszenie synowi na ratunek. A skoro nie mógł tego zrobić, pragnął rozedrzeć na strzępy odpowiedzialnych za jego zniknięcie. Jego serce było przekonane, że odpowiedzialni za to znajdują się w Białym Gryfie.

Judeth i Aubri. To była ich wina. Gdyby nie przydzielili dzieciom tego odległego posterunku, jego ukochany syn i córka jego drogiego przyjaciela, Bursztynowego Żurawia, nadal byliby w mieście.

- Wiedziałem od początku, że to był błąd! - gorączkował się, przemierzając salę obrad wzdłuż i wszerz. - Wiedziałem, że są zbyt młodzi, aby przydzielać ich na posterunek! Nigdy jeszcze nie wysłano nikogo tak młodego! Powinni ich przydzielić tutaj, jak innych! Judeth się starzeje, podobnie jak Aubri, a...

- Proszę! - krzyknęła nagle Zhaneel. - Przestań!

Gapił się na nią z uniesioną stopą i otwartym dziobem.

- Przestań, Skan - rzekła normalnie. - To nie ich wina. To niczyja wina. I gdybyś przestał szukać kozła ofiarnego, moglibyśmy działać. - Spojrzała na niego oczami pełnymi strachu i zdenerwowania. - Jesteś magiem; ja nie. Idź pomóc Śnieżnej Gwieździe i innym, a ja pójdę do posłańca i w twoim imieniu każę mu przesłać wiadomość do Shalaman, prosząc o pomoc. Mogę zrobić przynajmniej tyle. Skandranon-

nie: to także mój syn, a ja potrafię działać bez pogroźek i gniewu.

Odwróciła się i wyszła, zostawiając go z uniesioną nogą, otwartym dziobem i w głębokim szoku.

Samego, bo Żurawia i Zimowej Łani już nie było.

Głupi, głupi gryfie. Wiesz, że ma rację. Obwinianie Aubriego i Judeth do niczego nie prowadzi, a jeśli ich oskarżysz, będą na ciebie wściekli. Czarny Gryf zostanie w ludzkiej pamięci jako histeryczny, nadopiekuńczy, mściwy rodzic. Co dobrego z tego przyjdzie? Nic, oczywiście.

Co dobrego z tego przyjdzie?

W jednej chwili opuściła go cała energia. Usiadł na podłodze, czując, że jest stary.

Stary, zmęczony, pokonany i całkowicie bezradny, drżący ze strachu i dławiony przez własną słabość. Zamknął mocno oczy, zwiesił dziób i trzął się.

Gdzieś daleko jego syn zaginał, prawdopodobnie ranny, na pewno w tarapatkach. I nie mógł nic, zupełnie nic na to poradzić. Tym razem Czarny Gryf nie mógł pojawić się znikąd i przyjść z pomocą.

Nawet gdybym mógł kogoś uratować, to na pewno nie pojawiając się znikąd. Stałem się legendą za życia; moja przydatność się skończyła. Znów ta sama śpiewka, tyle tylko, że tym razem Czarny Gryf nie odrodzi się z Białego. Ciało się zużywa, biodra sztywnieją, a mięśnie rwą. To ja jestem stary i bezużyteczny, nie Aubri i Judeth. Robią, co w ich mocy; to ja kłapałem dziobem i rzucałem głupie pogroźki. Tylko tyle zostało przegranej wojownikowi.

Przez chwilę zmagał się z potrzebą zadarcia głowy i wykrzyczenia ku niebiosom swej rozpacz i bezradności w płonnej nadziei, że jakiś bóg go wysłucha. Jego gardło zacisnęło się. Przygnieciony nieznośną rozpaczą i bólem powoli podniósł głowę.

Jego wzrok spoczął na drzwiach, którymi wyszła Zhaneel, a umysł odtajał, pozwalając mu znów normalnie myśleć.

Kim jestem ? O czym ja myślę ? Może jestem stary, ale też jestem legendą. Bohaterowie nigdy nie żyją tak długo, jak tego pragną, a większość umiera młodo. Przetrwałem. Dzięki doświadczeniu. Jestem magiem bardziej doświadczonego niż w młodości i nawet jeśli już nie walczę, jestem mądrzejszy! A moje uczucia - znam je. Znam. To samo czuł Urtho za każdym razem, gdy wylatywałem, za każdym razem, gdy ginął jeden z jego gryfów. Kochałem go szczerze i każdym oddechem składam mu hołd, ale był wielkim człowiekiem, bo akceptował swe ży-

cie i los. Nie jestem Urtho, ale jestem jego duchowym synem i mogę starać się dorównać temu, co považam. Mogę wiele rzeczy, a zacznę od sprawdzenia, czy Śnieżna Gwiazda czegoś nie przeoczył!

Otrząsnął się, jakby zrzucał ciemny zimny cień z karku i wyszedł z sali obrad tak szybko, jak mógł.

Co ja szanuję w czynach Urtho, inni považają we mnie. Urtho potrafił stawić czoło każdej sytuacji siłą swego intelektu, nawet, jeśli ta sytuacja go rozwścieczała. Dlatego był przywódcą, a nie spanikowanym celem. Działał, kiedy inni poddawali się emocjom. Jeśli będę myślał o tym zniknięciu tylko przez pryzmat moich uczuć, mogę pominąć coś, co zauważyłbym, gdybym nie był skupiony na sobie, a taka pomyłka może kosztować życie. Niech historycy się spierają, czy byłem rozwścieczony, zdeterminowany czy spanikowany tego dnia! Do ostatniego tchu będę działał!

Nie wiedział, dokąd pobiegł adept i zanim go wyśledził, Śnieżna Gwiazda zdążył już zgromadzić najpotężniejszych magów w swej jaskini i warsztacie. Skan, wbrew sobie, był pod wrażeniem szybkości, z jaką zadziałał mag Kaled'a'in. Trudności w namawianiu magów do współpracy były już powszechnie znane, ale Śnieżna Gwiazda w krótkim czasie dopiął swego.

W warsztacie znajdowało się siedmiu magów, wliczając gospodarza. Usadzono ich parami przy oddzielnych stolikach, aby sobie nie przeszkadzali, a każda para szukała czegoś szczególnego: jedna telesonu, druga namiotu, trzecia kosza. Śnieżna Gwiazda pracował sam, ale gdy Skan do niego podszedł, podniósł wzrok i skinął głową.

- Sam szukam Tadritha - rzekł bez wstępu. - Czekałem, żebyś mi pomógł; więzy krwi, które was łączą, umożliwią znalezienie go, jeśli w ogóle da się to zrobić. Wiesz, że obaj czujecie magię tak samo.

- Jeśli? - Skanowi zrobiło się zimno. *Czy on chce mi powiedzieć, że Tad jest martwy?* - Czy ty czujesz, że on już nie żyje?...

Śnieżna Gwiazda uspokoił go.

- Nie, nie czuję. Nawet, gdyby Tadrith był nieprzytomny, w normalnych okolicznościach nadal bylibyśmy w stanie go znaleźć. Problem polega na tym, że jestem prawie pewien, iż znajdują się poza naszym zasięgiem - Białowłosa adept Kaled'a'in potrząsnął głową. - Ale "prawie" nie znaczy "całkowicie", a wiadomo, że ludzie dokonywali niezwykłych rzeczy pod wpływem silnych emocji. Sam wiesz o tym najlepiej! Jeśli ty chcesz spróbować, ja tym bardziej.

Skan zawarczał z wściekłości, ale powstrzymał się.

- Głupie pytanie. Będę próbował, dopóki nie padnę.

Śnieżna Gwiazda wykrzywił się.

- Wiem, że to głupie pytanie; wybacz. Na szczęście kamień ani zakłęcie nie są wrażliwe na głupotę. - Wskazał stoliczek, na którym stała półkula z wulkanicznego szkła. - Pozwolisz?

Skan usiadł na krześle po przeciwnej stronie; raz czy dwa szukał już na odległość, ale nigdy jeszcze w parze ze Śnieżną Gwiazdą. Każdy mag miał swe własne narzędzie poszukiwawcze, ale większość używała jasnego lub ciemnego kryształu albo lustra. Położył szpony na stole, otaczając nimi połowę kamienia. Śnieżna Gwiazda uczynił to samo, dotykając opuszkami palców szponów Skana.

Zadaniem Skana było teraz skoncentrować się na synu i przekazać energię magiczną Śnieżnej Gwieździe, który tworzył i rzucał zakłęcie. Niektórzy magowie posiłkowali się wizualizacją, ale nie Śnieżna Gwiazda. Tylko ktoś widzący energię magiczną i wrażliwy na jej ruch - jak gryf - mógł wyczuć, co mag robił.

Skan czuł, jak energia wokół gęstnieje i kondensuje się w zakłęcie, podobna do gorącego wiatru, który nagle ochłódł. Czuł, jak się szarpie i wyrywa z ram nałożonych przez Śnieżną Gwiazdę. A potem Śnieżna Gwiazda ją uwolnił.

I - nic. Skoczyła i rozproszyła się. Nie zniknęła, jakby ruszyła na poszukiwanie; zniknęła, jakby rozciągnęła się tak bardzo, że leciutki podmuch mógł rozsypać zakłęcie na tysiące kawałków.

Śnieżna Gwiazda podskoczył, jakby puściła linka trzymająca go prosto, a potem opadł, obejmując kamień.

- Cholera - zaklął miękko; Skan nigdy nie słyszał z jego ust mocniejszych przekleństw. - Niedobrze. Za daleko.

Skan opadł, jego gardło zacisnęło się z żalu, ledwo mógł złapać oddech. *Tad...*

Kilka chwil później inni powtórzyli te same słowa, tym samym tonem pełnym złości i porażki, wszyscy prócz pary szukającej telesonu.

Wyglądali na kompletnie pokonanych i milczeli. W końcu Śnieżna Gwiazda przestał czekać, aż się odezwą i podszedł.

- I? - zapytał. Skan deptał mu po piętach.

Znał obu magów; jednym był młody Kaled'a'in, zwany Cisem, drugim najemny mag z armii Urtho, Gielle. Ten drugi miał nieprawdopodobne szczęście: na początku burz magicznych, które nastąpiły po katakli-

zmie, był ledwie czeladnikiem, a gdy się skończyły, stał się adeptem. Sam był wielce zadziwiony przemianą, ale przyjął ją z wdzięcznością większą niż inni.

- Melduję posłusznie, że nie mogę tego wytłumaczyć - powiedział, najwyraźniej walcząc z odruchem stanięcia na baczność i zasalutowania. - Kiedy nie mogłem dotrzeć do urządzenia Tada, wywołałem inne, żeby się upewnić, że wszystko ze mną w porządku. Wywołałem każdy teleson, jaki stworzyłem, włącznie z tym, który ma patrol szukający zaginionych Srebrzystych. Połączyłem się z telesonem w Khimbacie, a oni są dalej niż Tadrith. Dotarłem do wszystkich, oprócz tego, który wysłaliśmy z Tadrithem i Srebrną Klingą. Jakby... - potrząsnął głową - zniknął, jakby nigdy nie istniał! Nie został zwrócony ani zniszczony, bo zostawiłby ślad. Większość czasu spędziłem na pracy z telesonami i tylko raz widziałem coś podobnego.

- W czasie wojen? - spytał Śnieżna Gwiazda.

Gielle pokiwał głową.

- Tak. To był głupi wypadek, ale trzeba było adepta, aby załagodzić sprawę. Jakiś sklerotyczny stary pierdziel, który nie powinien dostawać do ręki nawet młotka, miał załadować teleson i odczynił całe zaklęcie. Ogólnie rzecz biorąc, wyssał całą magię, robiąc z urządzenia szmelc. - Gielle wzruszył ramionami. - Mógł to zrobić tylko dlatego, że był adeptem. Starym, ale adeptem. Nie bez powodu telesony są teraz idiotoodporne. Tadrith nie mógł tego dokonać, nawet próbując tysiąc razy dziennie, a gdyby teleson został zmiażdżony, nadal mógłbym go uruchomić i otrzymać zniekształcony sygnał. Gdyby zniszczyło go zaklęcie, na tym terenie mielibyśmy magiczną aurę. Nie wiem, co o tym myśleć.

Śnieżna Gwiazda ściągnął usta i zmarszczył czoło.

- Ja też nie. To bardzo dziwne...

Skan przenosił wzrok z jednego maga na drugiego. Spojrzał na Cisa; Kaled'a'in bezradnie rozłożył ręce.

- Znak adepta jest dość czytelny - rzekł Cis wolno. - Wszyscy adepci mają własny styl, który nawet nowicjusz rozpozna. Znakiem Urtho było rzucanie niewykrywalnych czarów; jego podpis to brak podpisu, ale o ile wiem, potrafił ukrywać tylko swoje zaklęcia. Sądzę, że Haighlei już zorientowałiby się w sytuacji. Adept nie może się powstrzymać przed użyciem magii we wszystkich sprzyjających okolicznościach, szczególnie jeśli należy do dawnych Neutralnych. Byli lekkomyślni i

beztroszy. Urtho się o to z nimi kłócił.

- Mam pomysł - rzekł w końcu Śnieżna Gwiazda. - Słuchajcie wszyscy, będę potrzebował waszej pomocy. Zrobimy coś bardzo prymitywnego, znacznie prymitywniejszego od gapienia się w kule. - Rozejrzał się. - Cis, ty, Gielle i Joffer zestawcie razem stoliki. Samotny Jeźdźcu, wiesz, gdzie są moje szamańskie przybory; przynieś je. Lora, Zielonoskrzydły, chodźcie ze mną. - Spojrzał na Skana. - Ty idź do koszar Srebrzystych i przynieś mi największą mapę terenu, na którym są dzieci, jaką możesz znaleźć. Zastrasż ich, jeśli trzeba. Ze mną mogliby się kłócić, tobie nie podskoczą.

- Nogi bym im powyrywał - warknął Skan i ruszył do drzwi. Starął się nie zataczać; od dawna nie używał tyle energii magicznej i wyczerpało go to bardziej, niż się spodziewał.

W porządku, gryfie. Pamiętaj, co sobie wcześniej powiedziałeś. Jesteś doświadczony. Możesz padać na dziób ze zmęczenia i nadrywać mięśnie, próbując dogonić stracony czas, ale masz doświadczenie. Polegaj na nim, kiedy wyczerpią ci się baterie i polegaj na innych, gdy możesz, a nie kiedy chcesz, próżny gryfie. Bądź sprytny. Myśl. Użyj tego, co masz. I nie nadwerężaj się, idioto, bo zabrakło części zamiennych!

Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że zapadł zmrok; nie zdawał sobie sprawy, ile czasu spędził z magami, próbując odnaleźć dzieci. Nic dziwnego, że był zmęczony i osłabiony!

Koszary były oświetlone, jakby wydawano w nich bal, co go nieco uspokoiło. W końcu coś robili i podchodzili do sprawy poważnie! Szkoda, że Śnieżna Gwiazda musiał ich przekonać, że ich tyłkom coś grozi, zanim się ruszyli. Powinni po prostu zacząć działać. Czyż nie tak było dawniej? Pchnął drzwi, zgiał szpon i złapał pierwszą osobę noszącą odznakę, jaka wpadła mu w oko. Wy tłumaczył, czego chciał, tonem sugerującym, że tego, kto mu się sprzeciwi, przerobi na trociny. Młody człowiek nawet nie pisnął, gdy na jego tunice zacisnęły się pazury, a olbrzymi dziób zbliżył niebezpiecznie do twarzy.

- P-proszę p-poczekać - wyjąkał, odskakując, gdy tylko Skan go puścił. - Znaj-jdę t-to, czego p-panu trzeba i za-zaraz w-wrócę!

Skan miał przedziwne wrażenie, że tej nocy cały świat nie darzył go uwielbieniem. Dobrze. O wiele bardziej wolał siał wokół przerażenie, niż być uwielbianym.

Ludzie uważali mnie za wesołego starego oszusta, wujaszka, który wozi dzieci na grzbiecie - myślał, zgrzytając dziobem i orząc pazurami

*posadzkę. Zapomnieli, kim bytem, zapomnieli o wojowniku, który go-
łymi szponami rozrywał makaary.*

Cóż, tej nocy im przypomni.

Chłopak wrócił ze zrolowaną mapą. Skan rozwinał ją, aby się upew-
nić, że nie wcisnęli mu czegoś bezużytecznego, żeby się go pozbyć, po
czym podziękował chłopakowi i wyszedł.

Chociaż było ciemno, pofrunął z powrotem. Gdy wkroczył do pra-
cowni Śnieżnej Gwiazdy, od razu dostrzegł zmiany. Niepotrzebne rze-
czy odsunięto pod ścianę, zwalając bez ładu i składu na stos. Całe
dnie zajmie przywracanie porządku w pracowni, ale Skan wątpił, aby
Śnieżna Gwiazda myślał o czymś prócz Tadritha i Srebrnej Klingi, do-
póki ich nie odnajdą.

*Mamy jednego przyjaciela, którego nie trzeba przekonywać, aby pod-
szedł poważnie do rzeczy.*

Małe stoliki złączono w jeden stół, na którym miała być rozłożona
mapa. Kiedy tylko wszedł, niecierpliwe dłonie wzięły - wyrwały! - mapę
i rozłożyły ją na stole. Cis zapalił cierpkie kadzidło, które wypełniło
pokój gęstym dymem. Mag, którego Śnieżna Gwiazda zwał Samotnym
Jeźdźcem, pochodzący z plemienia popleczników Urtho, trzymał bębe-
nek. Najwyraźniej zamierzał na nim grać podczas tego, co zamierzali
robić.

- Dobrze. - Śnieżna Gwiazda jedyny stał nad stołem i trzymał w dłoni
łańcuszek zakończony ciemnym, niedbale oszlifowanym kamieniem w
kształcie łyży. - Cis, patrz, jak zachowuje się wahadełko i zaznaczaj na
mapie to, co mówiłem. Samotny Jeźdźcu, wybijaj pulsujący rytm. Po-
zostali, skoncentrujcie się; będę potrzebował waszej energii i wszyst-
kiego, co uda mi się wyciągnąć z lokalnego węzła. Skan, to się odnosi
również do ciebie. Siadaj naprzeciw mnie i nie myśl ani o Tadzcie, ani o
Klindze, tylko o mnie. Zrozumiałeś?

Nie zamierzał się kłócić; zapowiadał się jeden z tych zwariowanych
szamańskich rytuałów, do których uciekał się Urtho, gdy zawodziły
tradycyjne zaklęcia. Zrobił, co mu kazano, patrząc, jak Śnieżna
Gwiazda uważnie zawiesza wahadełko nad mapą w miejscu, skąd po
raz ostatni odezwały się dzieci. Samotny Jeździec rozpoczął wybijać
jednostajny rytm, hipnotyzujący, ale nie usypiający; wzmacniał koncen-
trację. Skan wolał się nie zastanawiać, jak to osiągnięto.

Długo nic się nie działo. Kamień pozostawał nieruchomy i Skan za-
czął się bać, że plan Śnieżnej Gwiazdy spalił na panewce. Ale mag był

niewzruszony i powoli zaczął przesuwac wahadelko na polnocny wschod od ostatniego obozowiska dzieciakow.

I nagle, bez ostrzezenia, wahadelko wykonalo ruch.

Szarpnelo sie gwałtownie, uciekajac z miejsca, nad ktore przesuwal je Sniezna Gwiazda. I zaprzeczajac grawitacji, zawislo pod katem, jakby cos je odpychalo.

Sniezna Gwiazda zamruczal - Skan nie wiedzial, z satysfakcja czy nie - a Cis zaznaczyl male kawałkiem wegla. Sniezna Gwiazda przesunal dlon.

Wahadelko opadlo, jakby nigdy nie wykazywalo odchylen od normy.

Mag przesunal je znow i raz jeszcze doszedl do miejsca, gdzie powtorzylo sie dziwaczne zachowanie. Scena ta rozgrywala sie raz za razem, Cis zaznaczal miejsca na mapie, a Sniezna Gwiazda cofal dlon.

Minelo wiele godzin, a pot splywal po twarzach magow, gdy Sniezna Gwiazda upuscil wahadelko i nakazal Samotnemu Jezdzcowi przestac. Weglowe kropki zaznaczaly na mapie nieregularny ksztalt, teren, ktorego unikalo wahadelko, a ktory mieli przeciac Klinga i Tad. Cis polaczyl kropki.

- Zaloze sie, ze gdzieś tam sa - powiedzial wyczerpany Sniezna Gwiazda. - To teren, gdzie nie ma magii; ani magii, ani energii magicznej. Wszystko, co jest wydzielane normalnie przez rosliny i zwierzeta, znika, i podejrzewam, ze magia wniesiona na ten teren natychmiast uchodzi. Moge tylko zgadywac, ze to wlasnie stalo sie z ich koszykiem, kiedy tam wlecieli.

- Kosz stal sie czeki i nie mogli frunac? - zaryzykował Cis i gwizdnal, gdy Sniezna Gwiazda przytaknal. - Niedobrze. Skad wiedziales, czego uzyc, aby sie tego dowiedziec?

Sniezna Gwiazda wzruszil ramionami.

- Gielle podsunal mi pomysl, aby poszukać negacji i przypomnialem sobie szamańskie przepowiednie: można szukać tego, co istnieje, na przykład metalu, albo tego, czego nie ma, na przykład wody. Urtho mnie tego nauczyl; uzywalismy tego zaklecia, aby sie upewnic, ze nie budujemy posterunkow na niestabilnym gruncie. - Spojrzal przez stol na Skanranona, ktory powtarzal sobie, ze to przeciez niemozliwe, aby cala magia zakleta w koszyku zniknela w jednej chwili. Wolal nie myslec, co to oznaczalo dla Tada, gdy kosz odzyskal swa normalna wage podczas lotu.

- Zabierz male i powiedz Judeth, co znalezlismy - nakazal mu adept.

- Zajmę się magami, których wysyłam z grupami poszukiwawczymi. Prawdopodobnie możemy się osłonić przeciw temu terenowi. Wątpię, aby to była robota maga. To pewnie wybryk natury, którego nie dostrzegli Haighlei, bo zawsze szukali magii, a nie jej braku.

Skan przytaknął, a Cis pokrył mapę szybkoschnącym werniksem, aby utrwalić węgiel. Opary wymieszały się z dymem kadzidła, dając nieprzyjemny zapach, a gdy mapa wyschła, młody mag wręczył ją Czarnemu Gryfowi. Skan nie czekał, aby zobaczyć, co zrobi reszta; zabrał zwój i po raz drugi wyfrunął przez drzwi.

Tym razem ruszył prosto do sali narad, którą Judeth z przyzwyczajenia nazywała Salą Wojny. I wydawało się, że planują strategię: kiedy Skan wszedł, Judeth rozpostarła na stole mapę, z której wystawały szpilki, a Aubri stał na tylnych łapach, zaznaczając linię pazurem.

- Śnieżna Gwiazda uważa, że wyznaczył teren - powiedział Skan, gdy zapadła cisza, a wszyscy prócz Judeth obrócili głowy w jego kierunku.

- Dlatego potrzebował mapy. Proszę.

Wręczył mapę najbliższej osobie, która rozłożyła ją na stole.

- Co to jest? - spytała Judeth, wskazując plamę.

- Teren, na którym nie ma magii - odparł Skan. Powtórzył, co powiedział mu Śnieżna Gwiazda, nie wspominając o szamańskich przepowiedniach. - Pewnie dlatego nie mogą uruchomić telesonu. Śnieżna Gwiazda uważa, że na tym terenie magia zostaje wyssana ze wszystkich przedmiotów.

- I jeśli zakłęcie zmieniające kosz w coś, co Tad mógł udźwignąć, zawiodło... - Judeth przygryzła dolną wargę, a ktoś zakaszłał. - Nieważne, jak wylądowali: utknęli. Ani telesonu, ani magii: muszą się okopać i czekać na ratunek.

Aubri przez moment studiował mapę.

- Jedyne zespoły, jakie tam wysyłaliśmy, były pary gryfów, z jednym wyjątkiem - stwierdził. - Ty i ja, Judeth. Mieliśmy kosz i lecieliśmy nad tym terenem. Nic nam się nie stało, więc skąd to się wzięło?

- Może obszar się powiększa? - zasugerowała jedna z adiutantów. - Im więcej pochłania, tym bardziej rośnie.

- Cóż za radosna perspektywa - parsknęła Judeth i poklepała dziewczynę po ramieniu, gdy ta zaczerwieniła się po uszy. - Masz rację i przekonamy się, co jest powodem zaburzeń. Jeśli ten obszar się powiększa, osiągnie nas prędzej czy później. Wystarczająco długo obywałam się bez magii i nie mam ochoty tego powtarzać.

- To duży teren - stwierdził Aubri. - Mogą być wszędzie, w zależności od tego, ile ulecieli, zanim musieli lądować.

Lądować. Albo spaść. Wyobrażenia Skana działała aż za dobrze, podsuwając mu obrazy kosza spadającego z nieba...

- Prawdopodobnie możemy go przeszukać, używając czterech zespołów i zakładając jeden obóz - powiedziała w końcu Judeth. - Ale sądzę, że trzeba będzie przeczesywać to miejsce. Drzewa są większe, niż się spodziewamy; moglibyście zgubić tam Wieżę Urtho. Gryfy nam nie pomogą.

- Mogą wypatrywać sygnałów dymnych - sprzeciwił się Aubri.

Judeth nie odpowiedziała, ale Skan wiedział, że się zastanawiała nad tym, o czym on wolał nie myśleć. Dzieciaki mogły być ranne tak poważnie, że nie były w stanie rozpalić ognia.

- Dobrze, niech dwójka, która już tam jest, szuka dymu - rzekła. - Ściągnę tu maga, aby postawił Bramę i poszukam ochotników do czterech oddziałów, którzy powierzą swoje tyłki Bramie...

- Ja pójdę - powiedział głęboki głos od drzwi.

Skan obrócił głowę, gdy Ikała wszedł cicho do sali.

- Z całym szacunkiem, komendancie, musi mnie pani wysłać. Znam ten las, wasi ludzie nie. Zapomnijcie o mojej randze i pochodzeniu; mój ojciec nakazałby to w podobnej sytuacji. Tych dwoje to moi przyjaciele i towarzysze, pomoc im to dla mnie obowiązek i zaszczyt.

- Będziesz więc niezastąpiony. Ja też idę, możecie na mnie liczyć - powiedział Skan natychmiast. - Żuraw pewnie też będzie chciał. Judeth, masz więc, oprócz wojownika, także maga i uzdrowiciela.

Judeth westchnęła, ale się nie sprzeciwiała, zapewne wiedząc, że jej protest nic nie da.

- Dobrze, ale to będą duże ekipy. Nie chcę, żeby po nieznanym terytorium biegały kilkusobowe patrole. Potrzebuję dwóch magów, po jednym na każdą nocną wachtę w ekipie, i co najmniej tylu wojowników, Ikała, zwołaj ochotników wśród myśliwych i Srebrzystych. Skan, wracaj do Śnieżnej Gwiazdy, wytłumacz sytuację i powiedz, czego potrzebujemy. - Zmierzyła ich obu spojrzeniem. - Nie stać mi tu, ruszać!

Skan ruszył, ale wystartował z opóźnieniem i przegrał z Ikałą wyścig do drzwi. Kiedy wypadł na zewnątrz, Ikali już nie było.

Cieszył się bardzo, że Ikała zgłosił się na ochotnika i nawet perspektywa użycia Bramy nie zakłócała tej radości. Młody Haighlei był dokładnie tym, kogo potrzebowali: kimś, kto znał zagrożenia w dżungli i

wiedział, jak im stawić czoło.

Śnieżna Gwiazda wyprzedził decyzję Judeth o Bramie.

- Zupełnie jakbyśmy bali się zaufać własnemu Bramom! - zawołał gniewnie. - Od pięciu lat byliśmy gotowi ich używać, to wy macie pietra!

- Nie ja! - zaprotestował Skan, ale Śnieżna Gwiazda go nie słuchał.

- Gielle odleci z gryfem o świcie; Cis dołączy do jednego z trzech zespołów, kiedy tylko przejdziecie przez Bramę - mówił adept. - Zgłosiło się więcej magów, niż Judeth potrzebuje, ale nie wszyscy nadają się do takiej misji. Powiedz jej, że przedkładam doświadczenie w walce nad moc; nie jesteśmy pewni, czy ta strefa jest wybrykiem natury. Niezależnie od tego, co sądzi Judeth, jej przyczyną może się okazać mag, który uszedł przed wojnami.

Skan przytaknął; był pewien, że Judeth już tym pomyślała.

- Poszukam Żurawia - rzucił. Zapowiadała się długa noc i był pewien, że nikt z nich nie zaśnie. Mogli od razu zacząć się pakować.

To było coś użytecznego.

Może i jesteś starzejącym się hedonistą, głupi gryfie, ale jesteś też skuteczny.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bursztynowy Żuraw nie spał w nocy. Mimo że zwijał się jak w ukropie, niewiele zyskał. Przerabiał cały czas ten sam scenariusz: w głowie, na papierze, w gorączkowych rozmowach z tymi, którzy słuchali: zazwyczaj zamęczał Gestena. Niezależnie od tego, jak długo pracował, zmęczenie nie mogło go pokonać.

Bezsensowność była tylko jednym z efektów ubocznych. Nie mógł wytrzymać bez ruchu: siadał albo kładł się tylko po to, aby zerwać się na równe nogi, kiedy przyszła mu do głowy kolejna nagła myśl. Mięśnie karku i pleców miał tak zeszywniałe, że żadna kąpiel nie mogła go zrelaksować, chociaż i tak długo nie wytrzymał w gorącym źródle. Nie jadł, odkąd usłyszał wiadomość. Miał zaciśnięte gardło, ściśnięty żołądek, co zaś się tyczy nerwów: gdyby przyszedł do niego pacjent w takim stanie, zaleciłby natychmiastowe uspokojenie u uzdrowiciela. Ale gdyby oddał się w wykwalifikowane ręce, byłby później do niczego. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Przypomniawszy sobie słowa, które usłyszał od Zhaneel dawno temu:

Kto uzdrowi uzdrowiciela?

Skan i Śnieżna Gwiazda nie zaangażowali wszystkich magów w mieście - pozostali ci, których zadaniem była komunikacja magiczna między Białym Gryfem a Srebrzystymi poza miastem (na przykład gwardią Shalamana) oraz z samym Shalamanem przez jego kapłanów. Oczywiście, nie było mowy o bezpośredniej rozmowie z Shalamanem. W społeczeństwie Haighlei nie istniała możliwość bezpośredniego kontaktu z kimś ważnym. Wiadomość biegła do kapłanów, jedynych, którym wolno było używać magii, do Leyueta, Głównego Kapłana i potem do cesarza. Bursztynowy Żuraw wytropił maga odpowiedzialnego za komunikację i wysłał do Haighlei osobistą prośbę o pomoc, ale w końcu został sam.

Mógł zrobić tyle rzeczy. Nie był magiem, więc Skanowi na nic się nie zda. Mógł się spakować, co też uczynił, na wyprawę przez dzikie ostępy, ale to też nie zajęło wiele czasu, nawet gdy Gesten stanął za nim i przepakował cały bagaż. I na pewno nie mógł pomóc przy organizowaniu grup poszukiwawczych.

Nawet gdyby mógł, to i tak tylko pogorszyłby sprawę. Podejrzewał, że po wszystkich groźbach, jakimi się posłużył pośrednio i bezpośrednio, był ostatnią osobą, którą Judeth chciała widzieć. Aubri szybko pusz-

czał doznane przykrości w niepamięć, ale Judeth zbyt długo żyła w przekonaniu, że nie będzie już musiała radzić sobie z niedogodnościami polityki. Jak większość przywódców wojskowych, szczerze nienawidziła polityki, nawet jeśli drobne gierki pomagały jej osiągnąć cel. Sądziła, że bez króla, dworu czy tytularnego przywódcy będzie mogła robić ze swą policją, co zechce. Próbowwała utrzymać niezależność Srebrzystych od rządu i udało jej się.

Teraz Bursztynowy Żuraw uświadomił jej, że nie istniało coś takiego, jak środowisko wolne od polityki i pod presją nawet przyjaciele użyją każdej broni, jaka znajdzie się w zasięgu ich ręki. I właśnie przekonała się w najboleśniejszy sposób, że gdy żyje się w społeczeństwie, nikt nie jest wolny od manipulacji.

Nikt nie lubi tracić złudzeń, szczególnie gdy ma ich tak niewiele.

Przez jakiś czas trudno będzie się z Judeth dogadać. Miał nadzieję, że jej rozsądek weźmie górę nad gniewem i w końcu zrozumie jego punkt widzenia. Być może uzna, że Bursztynowy Żuraw użył broni w odpowiednim czasie, a nie że przyjaciel zawiódł pokładane w nim zaufanie, aby dowieść swego. A jeśli nie, Judeth została jego wrogiem i nic na to nie mógł poradzić. Gdyby mógł cofnąć czas i powrócić do chwili, gdy jej zagroził, powtórzyłby te same słowa. Powiedział, co myślał, i niech Judeth lepiej się przyzwyczai, że ludzie, nawet główny kestra'chern, zrobią wszystko, aby chronić swe dzieci. Jako wojskowy nigdy nie musiała sobie radzić z taką sytuacją: buntowników odsyłało się albo poddawało szkoleniu. Rodzicielska opiekuńczość będzie odgrywała coraz większą rolę, ponieważ do Srebrzystych wstępowały dzieci założycieli Białego Gryfa. Może to dobrze, że przyczynił się do stworzenia takiej sytuacji?

Niezależnie od tego, co się stanie, znając siebie, będę jednocześnie chciał usprawiedliwienia jako zaniepokojony i zdesperowany ojciec oraz czuł się winny, że nie rozegrałem tego lepiej.

Niewiele mu zostało poza czekaniem. Czekaniem na poranek, na wiadomość od Shalamana i magów, czekaniem, czekaniem, czekaniem...

Zupełnie jak wtedy, gdy służył u Urtho, czekanie było najgorsze. Od tak dawna kontrolował przynajmniej część życia miasta, że, podobnie jak Judeth, przywykł do rozwiązywania problemów, gdy tylko się pojawiły, i to bez sprzeciwu. Teraz, gdy nie było już nagłych wypadków, miał poczucie utraty kontroli. Jego pozycję i wpływy przejęli inni, a

jemu pozostało czekanie.

W końcu wrócił do domu, bo tam szukaliby go posłańcy. Chodził po ścieżce przed drzwiami, niezdolny do wejścia do jaskini, zbyt ciasnej i pełnej wspomnień po zaginionej córce, a jego myśli wirowały bezustannie na przemian strachem i gniewem, gniewem i strachem. Gniew na siebie, na Judeth, na Klingę: mało twórczy, ale nieunikniony, a poza tym złość hamowała wyobraźnię. Zbyt łatwo było wyobrazić sobie Klingę zranioną, bezradną, zagrożoną przez drapieżne zwierzęta albo innych jeszcze wrogów.

I znów jako ostatni dowiedział się tego, o czym wszyscy wiedzieli od dawna. Był tylko ojcem Klingi i tylko kestra'chern. Ale liczenie na to, że ktoś się wreszcie nad nim zlituje, było nieuzasadnione. Chodził więc i siadał, wpatrywał się w ciemność, słuchał ryku fal. W świetle rzucanym przez miasto na zatokę piana na grzywach fal lśniła delikatnie. Po jego prawej stronie dzwonił cicho drewniany dzwonek powietrzny, po lewej szklany powtarzał jego odgłos. Jak często siadał tu w letnie wieczory i słuchał dzwonek?

Złapani między szkło i drewno, to, co się tłucze, i to, co da się kształtować, to, co śpiewa, i to, co przetrwa. Tak toczy się nasze życie.

Zimowa Łania dołączyła do niego długo po wschodzie księżyca. Usłyszał znajome kroki i ujrzał ją zbliżającą się od strony ratusza; światło księżyca srebrzyło jej włosy. Mrok ukrywał jej wiek; mogła być tron-di'irn z sił Urtho albo kilka lat temu pierwszym ambasadorem u Haighlei. Gdy podeszła bliżej, zobaczył wypisane na jej twarzy oznaki napięcia i niepokoju.

- Pakują ostatnie zapasy - powiedziała, zanim się odezwał. - Skan i magowie nie wyszli jeszcze od Śnieżnej Gwiazdy, a Shalaman nie odpowiedział. Nie martw się, odpowie przed świtem; pamiętasz, jak długo urzęduje jego dwór?

Pamiętał; w tropikalnym klimacie Khimbaty wszyscy spali po południu, a potem bawili się, pracowali i rządzili długo po północy. Nie obawiał się, że Shalaman odmówi pomocy; cesarz mógł im przydzielić setki myśliwych ze swej armii i nawet nie zauważyłby ich braku. Pytanie tylko, czy myśliwi zdadzą się na cokolwiek? Najpierw kapłani muszą zaaprobować ich wymarsz, potem muszą przemierzyć wiele lig, zanim znajdą się w pobliżu miejsca zaginięcia dzieci. To wszystko wymaga czasu, cennego czasu...

Otworzył ramiona, a Zimowa Łania przytuliła się do niego. Szukali

pocieszenia w swej obecności i ciepłe. Nie musieli rozmawiać; jedno mówiłoby to, co drugie myślało. Wiedzieli o tym i zdawali sobie sprawę, że rozmowa w niczym by nie pomogła, niczego nie ułagodziła.

Siedzieli więc na gładkiej chłodnej ławce z kamienia przed domem, obejmując się i czekając pod gwiazdami.

Nie było im łatwo, ale na pewno nie czuli się samotni.

O świcie Judeth musiała już ułagodzić swój gniew, bo nie okazywała go, gdy posłaniec przyprowadził Bursztynowego Żurawia i Zimową Łanię na coś, co nazywał "sesją planowania". Oboje wykapali się i zmienili ubrania, oczekując, że czyste ciała ożywią umysły. Bursztynowy Żuraw pozbył się swego wymyślnego stroju na rzecz ubrania przypominającego zwykle odzienie Zimowej Łani, mając nadzieję, że po wschodzie słońca znajdzie się dla niego coś do roboty. Gdy przyszedł posłaniec, siedzieli nad śniadaniem, którego nie tknęli, a pojawienie się młodzieńca przyjęli z ulgą.

Skan, Zhaneel i Keenath już byli w ratuszu, równie spięci jak Bursztynowy Żuraw, ale tylko ktoś dobrze znający gryfy dostrzegłby to napięcie w zbyt czystych piórach leżących płasko na ciele, co zdradzało, że mają mięśnie napięte jak postronki. Żuraw wątpił, czy spali, ale na widok Keenatha gniew przeszył mu serce.

On ciągle ma syna. I gdyby ten drugi tak bardzo nie chciał uciec z miasta, moja córka jeszcze by tu była!

Wiedział, że było to absolutnie nieracjonalne i niewłaściwe uczucie. Natychmiast je zdusił, a Zimowa Łania tak ich poprowadziła przez tłum, aby stworzyć z gryfami zwarty blok.

Judeth też nie spała. Miała podkrążone i opuchnięte oczy i wyglądała na dwa razy starszą. Aubri nawet nie udawał spokoju; nieustannie żuł jedno ze swych starych piór, prawdopodobnie by powstrzymać się przed oskubaniem się do czysta.

W sali było trzydzieści albo czterdzieści osób; Bursztynowy Żuraw zauważył, że sześcioro to magowie, a tylko on, Zimowa Łania, Skan, Keenath i Zhaneel nie należeli do Srebrzystych. Był tam Ikala i Bursztynowy Żuraw cieszył się z jego obecności, jakby młodzieniec reprezentował coś więcej, niż znajomość dżungli.

Mogli się pomieścić tylko w sali obrad i Judeth ją objęła w posiadanie, rozrzucając na stole mapy i inne dokumenty. Musiała tu być od dawna.

- Śnieżna Gwiazda i magowie odkryli coś cholernie niezwykłego - oznajmiła, gdy wszyscy zgromadzili się wokół stołu. Postukała palcem w ciemną, nieregularną plamę na mapie. - Na tym terenie nie ma śladów magii. Żadnych, a mówią, że to właściwie niemożliwie. Zaginiony patrol miał lecieć wzdłuż tej linii. - Zaznaczyła węglem linię przecinającą południowy kraniec plamy. - I jeśli coś tam niszczy energię magiczną, możecie sobie wyobrazić, co to oznacza dla koszyka i telesonu.

Bursztynowy Żuraw wyobraził sobie aż za dobrze; Zimowa Łania też, bo jej palce nagle wpiły mu się w ramię. Widział oczami duszy dwie figurki, odlatujące w dal, nagle znieruchomiałe, a potem pikujące w dół ku śmierci.

- To oznacza, że wylądujemy przy krawędzi i wejdziemy tam - ciągnęła Judeth, nie zdradzając, czy ona też wyobraziła sobie katastrofę. - Nasza Brama pewnie się nie otworzy na tym terenie i musimy zakładać, że żadne inne magiczne przedmioty nie będą funkcjonować. Będziemy musieli posłużyć się starymi zasadami operacji niemagicznych, chociaż owszem, zabierzemy ze sobą magów, na wypadek, gdyby magia jednak działała. Jeśli jednak nie ma tam lokalnego źródła, Śnieżna Gwiazda twierdzi, że magowie zostaną zredukowani do czeladników i pomocników, zdanych na własne siły. To znacznie ograniczy ich pole działania i magowie przydzieleni do akcji niech zaczną prowadzić skrupulatne rachunki sił!

Rzuciła ostre spojrzenie magom i Srebrzystym.

- A co z gryfami? - zapytał ktoś. - Nie mogą tam polecieć na zwiady, jak zwykle?

Judeth zamknęła oczy i westchnęła.

- Gdybym chciała jakiegoś znaku, że mamy pecha, nie musiałabym szukać daleko. Tam mamy teraz porę deszczową, a przepowiadacze pogody twierdzą, że popada jeszcze kilka tygodni. Burze już zmusiły do lądowania patrol, który szukał zaginionych Srebrzystych; wiemy, gdzie wylądowali. To może być efekt uboczny utraty magii na tym terenie; nie jesteśmy pewni. Oznacza to, że nie będzie żadnego latania. Nie zabronię gryfom przyłączenia się do poszukiwań, ale będą szukać na piechotę, dopóki pogoda się radykalnie nie poprawi.

- Ja, Zhaneel i Keeth wyruszamy - powiedział Skan. Judeth skinęła, jakby się tego spodziewała.

- W takim razie, skoro mam zamiar podzielić poszukiwaczy na trzy grupy, przydzielę każdej jednego gryfa. Wysłałam już gryfa z magiem

od Bramy, ale on wróci prosto do domu, podobnie jak pozostała dwójka. - Judeth uniosła brew, jakby spodziewała się protestu ze strony Skana, ale srodze się zawiodła. Bursztynowy Żuraw rozumiał ten brak reakcji: gryf na ziemi był niemal unieruchomiony. Skan, Zhaneel i Keeth będą jednocześnie pomagać i zawadzać. Patrol poszukiwawczy był już wyczerpany, podobnie jak gryf, który zaniósł maga na miejsce.

- A teraz nasz plan - ciągnęła Judeth. - Otworzymy Bramę tutaj; nie chcę się bardziej zbliżać do tego terenu.

Dziabnęła mapę palcem. "Tutaj" znajdowało się dokładnie na linii lotu Klingi i Tada.

- Mag i kilku ludzi zostanie tutaj, w obozie, czekając na was.

Podzielimy się: grupa Skana i Żurawia ruszy na północ, do szczytu tego terenu i tam przekroczy jego granice. Grupa Ikali, w której znajdzie się Keenath, pójdzie prosto. Grupa Zhaneel i Zimowej Łani na południe. W ten sposób przeszukamy jak najwięcej terenu w jak najkrótszym czasie. - Wyprostowała się i spojrzała na Skana. - Jeśli chcesz zapytać, dlaczego nie posłałam was oczekiwanym szlakiem lotu, odpowiadam: patrol już tamtędy przeleciał i nic nie znalazł, zanim ich burze nie zmusiły do lądowania. Klinga i Tad albo tamtędy nie lecieli, albo potrzeba znawcy terenu, aby znaleźć ich ślady. Jest nim Ikala. Poprowadzi grupę ludzi przyzwyczajonych do szybkiego marszu i gdy sprawdzi szlak, skieruje ich na północ i południe od niego. Wy dwaj ruszacie innym szlakiem; Tad zawsze miał skłonności, aby lecieć na północ od wyznaczonej drogi. I podejrzewam, że jeśli są gdzieś tam, to na pewno na północy.

- Ale to tylko podejrzenia - stwierdził Skan. - Mogą być na południu.

- Bogowie wiedzą, że moje podejrzenia wcześniej okazywały się błędne - przytaknęła Judeth. - Po to trzecia grupa. Grupy liczą sobie osiem osób: jednego gryfa, jednego uzdrowiciela albo trondi'irn, czy kogoś w tym guście, do ciebie mówię, Żuraw, dwóch magów i pięciu wojowników, doświadczonych Srebrzystych. Mniej osób prowokuje atak, ale więcej nie potrzeba. Nie musicie się pakować; dostaniecie standardowe wyposażenie Srebrzystych, łącznie z apteczkami, a na zmianę ciuchów nie będziecie mieli czasu. A poza tym, gdy staniecie na noc, wy i wasze ciuchy będą już wyprane.

Jej wzrok utkwiony w Żurawiu mówił: *A jeśli ci się to nie podoba, nie musisz iść.*

Odwzajemnił spojrzenie. *Spróbuj mnie powstrzymać, a wybije ci zęby.*

Czekała, aż się odezwie, patrząc na niego wyzywająco, ale w końcu ona spuściła wzrok.

- To jest misja typu "wpaść-wypaść", im szybciej, tym lepiej. I od tej chwili powinniście mieć świadomość, że zmierzycie się z prawdziwym wrogiem, i to potężnym, skoro potrafi oczyścić miejsce z energii magicznej. Nie wiem, dlaczego magia wyciekła, ale zakładam, że spowodowała to wroga siła, której nie spodoba się dwudziestu czterech ludzi hasających po jej terenie. Gdy tylko mag dotrze do punktu otwarcia Bramy, zacznie ją stawiać, a ja nie chcę, żeby ją trzymał dłużej niż to konieczne, aby was wszystkich przez nią przepchnąć. Zrozumiano?

Znów spojrzała na Żurawia, jakby tylko do niego mówiła. Jej ton sugerował, że jeśli nadarzą się sprzyjające okoliczności, przepchnie go przez Bramę. Jak wszyscy, tylko przytaknęła.

- Dobrze. Od teraz do wyjazdu jecie, śpicie i wszystko inne robicie tutaj. - Uśmiechnęła się, widząc zaskoczenie. - Tak będzie szybciej, niż łapać was wszystkich, gdy mag dotrze na miejsce. Nie zamierzam trać cennego czasu na uganianie się za wami. Ustawimy prycze; maga niesie Darzie, więc spodziewam się, że wylądują w ciągu następnej doby.

Bursztynowy Żuraw był zaskoczony, tak wyborem gryfa, jak i szybkością, z jaką para miała dotrzeć na miejsce. Zastanawiał się, czym Judeth przekupiła Darziego, aby poleciał z koszykiem, a do tego w rekordowym tempie i przy złej pogodzie. Darzie nie należał do Srebrzystych; był jednym z nowej klasy gryfów, głównie sportowców. Czy to aerobaci, czy posłańcy albo gryfy wyścigowe, zarabiali na wystawne życie, zaspokajając apetyt Haighlei na pokazy aerobiatyczne. Darzie był najlepszym posłańcem i jednym z najszybszych - latał lepiej niż gryfy, które czasami go prześcigały. Trudno było sobie wyobrazić, czego użyła Judeth, aby przekonać go do lotu mimo ryzyka przemoczenia i kontuzji.

Ale może Żuraw był sceptyczny; może Darzie zgłosił się na ochotnika...

Po uprzednim zaszantażowaniu.

Skoro Judeth go przekonała, nieważne jak: szantażem czy przekupstwem, czy też kombinacją obu.

Może idzie w moje ślady. Bogowie wiedzą, że ma władzę, i na pewno każdy w tym mieście choć raz w życiu zrobił to, czego ona zapragnęła.

- Pytania? - zapytała Judeth. - Nie? Dobrze. Spadać, a ci, którzy nie

spali w nocy, zostaną uśpieni przez Tamsina. - Wszyscy wiedzieli, kogo mierzyła jadowitym spojrzeniem, a Żuraw i Skan wzdrygnęli się. Nie skończyła. - To dotyczy mnie; nie zdamy się na nic, jeśli nie będziemy wypoczęci przed wyprawą. Mam rację, Żurawiu?

Zaskoczyła go tym pytaniem, a jeszcze bardziej współczuciem i zmartwieniem, które wyczuł w jej głosie. Przełamała jego bariery.

- Tak, oczywiście - przyznał pokornie, odprężając się nieco. *Rozumie i przebaczyła nam...* Nie liczył na tak szybkie przebaczenie, ale powitał je jako iskierkę nadziei wśród rozpacz.

- Właśnie. Cieszę się, że się zgadzasz, bo pójdziesz spać jako pierwszy. - Przy drzwiach powstało zamieszanie, bo jednocześnie wnoszono materace, jedzenie i Tamsin próbował wejść. - Wszyscy spocznij i pozwólcie się sobą zająć. Dopilnuję tego.

I rzeczywiście: stała nad nimi jak nadzorca niewolników, pilnując, aby każdy poszukiwacz się najadł, napił i poddał dotykowi Tamsina. Tak jak powiedziała, Bursztynowy Żuraw poszedł na pierwszy ogień, a on wolał z nią nie zadzierać.

Przełknął kilka garści jedzenia, które smakowało jak papier, wypił, co mu podano i położył się na wojskowym materacu. Zamknął oczy, gdy Tamsin się nad nim pochylił, a następnego dnia obudził go sygnał pobudki.

Deszcz - Dlaczego musi padać? Wolałbym węże. Skandranon starał się skupić na czysto fizycznych niewygodach, ale nie potrafił. Miał gęsią skórę, i to nie na skutek deszczu. Gdyby wilgoć nie przyklepiła mu piór do skóry, przypominałby ogromnego jeża.

Nie podobało mu się to miejsce, a niechęć nie miała absolutnie nic wspólnego z obrzydliwą pogodą.

Być może czuł tak dlatego, że ten niezwykły, klaustrofobiczny las wessał bez śladu Klingę i Tada, ale nie z tego powodu jego przemoczone pióra stawały dęba. Drugi mag w zespole też czuł się źle i gdyby pozwolono mu wybierać, w te pędy wróciłby do obozu-bazy, ponieważ po prostu coś było tu nie tak.

Obaj, po dyskusji poprzedniego wieczora, doszli do wniosku, że miało to związek z brakiem energii magicznej w tym miejscu. Prawdopodobnie uczeń czy czeladnik czułby się lepiej; oni nie byli przyzwyczajeni do wyczuwania i używania energii z zewnątrz, chyba że przekazanej przez innego maga. Ale mistrzowie tacy, jak Skan i Filix, byli tak przy-

zwyczajeni do wszechobecnych prądów energii magicznej, jak gryf do prądów powietrza. Nawet gdy burze magiczne narobiły takiego zamieszania, energia nigdy nie zniknęła, po prostu działała inaczej. Ale brak jej wokół - to było złe, bardzo złe. Skan był dezorientowany i wytrącony z równowagi, ciągle szukając czegoś, czego nie było.

Zupełnie jakbym nagle stracił zmysł, na przykład węch.

Jednak szybka próba udowodniła, że magia ciągle działała, a magiczne przedmioty, które ze sobą zabrali, nadal im służyły. Kolejne próby dowiodły, że - przynajmniej na razie - nie było pochłaniania energii. Moc, istniejąca w każdym miejscu, powoli się rekonstruowała. Tak więc to, co było nie tak w tym lesie, nie negowało magii, tylko ją usuwało. Czy zanik był stopniowy, czy natychmiastowy, pozostawało pod znakiem zapytania. Poza tym złodziej musiał się zakradać i regularnie opróżniać zasoby, inaczej istniałyby tereny, na których zachowałyby się choć cząstka magii.

A kim był złodziej, nie miał pojęcia. Wolał też nie myśleć, co się stało, gdy energia magiczna wypłynęła z koszyka za jednym zamachem.

Skandranon powtórzył kilka nowych zdań, których zamierzał użyć, gdy już kogoś przyszpili i zmusi do współczującego słuchania. W końcu musiał dbać o swą reputację, a słyszał z kwiecistego języka. Wolał myśleć o tym i użalać się nad przemoczonymi piórami, przemarznięciem i zakwasami, które pojawiły się w mięśniach po dwóch dniach spacerków. Tego nie brał pod uwagę i fakt, że Żuraw był w lepszej formie, niepomiernie go denerwował! Żuraw od dwudziestu lat biegał po schodach i drabinach w Białym Gryfie; on tylko latał. Przypominał sobie kilka wypadków, gdy musiał się wspinać - żaden z nich nie zdarzył się w ciągu ostatnich trzech lat. Keeth ostatnio ćwiczył na torze przeszkód, a Zimowa Łania dołożyła wszelkich starań, aby się napracował. Biedna Zhaneel też musiała cierpieć.

Ale jej dogląda najlepsza trondi'irn w mieście. Ja mam tylko Żurawia, który robi, co w jego mocy, ale mimo wszystko... martwi się.

Deszcz nakapał mu do nozdrzy, więc kichnął, gwałtownie potrząsając głową. On i Żuraw zamykali pochód; ponieważ miał czulszy słuch niż ludzie, umieszczenie go z tyłu, gdzie mógł usłyszeć zbliżające się niebezpieczeństwo, wydawało się dobrym pomysłem. Teraz żałował, że nie poprosił Judeth o przydzielenie dwóch kyree do każdej grupy; byłby z nich większy pożytek niż z ludzi.

Deszcz lał się z nieba, odkąd mgła się podniosła. Klimat był zaiste

wspaniały: mgła przed świtem i po świcie, deszcz aż do zmroku, wilgotny chłód aż do świtu i znów mgła. Judeth miała rację, zsyłając ich na ziemię, sam by to zrobił, widząc pogodę; żaden gryf nie mógł bezpiecznie latać w tej brei, nawet gdyby skrzydła wyschły mu na tyle, aby się oderwał od ziemi. Darzie doniósł maga na miejsce tylko dlatego, że głupi zawsze ma szczęście, a poza niemagicznym terytorium pogoda zmieniła się w “normalną” porę deszczową.

A poza tym Darzie jest tak młody i lata, jakby był nieśmiertelny. Jak inny głupi, głupi gryf, którego znałem. I choć w głównym obozie pogoda była normalna, oznaczało to wściekle burze każdego popołudnia. Darzie leciał i lądował podczas jednej z nich, dumnie zapewniając, że cała sztuczka polegała na zgraniu w czasie i obserwowaniu, gdzie uderzały pioruny. Jego pasażer był biały jak ściana i pytany o lot, milczał znacząco.

Żuraw odkrył, co skłoniło Darziego do lotu: wyzwanie. Judeth zapytała młodego gryfa, czy znał kogoś, kogo ewentualnie można było przekonać do podjęcia misji, sugerując, że on tego na pewno nie dokona. To wystarczyło, aby Darzie zaczął ją przekonywać, że tylko on jest do tego zdolny. I rzeczywiście, dokonał przelotu w rekordowym tempie, bez uszkodzenia siebie czy pasażera.

Z punktu widzenia szybkości, zuchwałości i szaleńczej odwagi ten lot był bardziej brawurowy niż niektóre legendarne dokonania Czarnego Gryfa.

Niektóre, ale nie wszystkie. Darzie będzie potrzebował czasu, aby stać się legendą i jeśli jest mądry, zrobi to na swój sposób, nie naśladowując mnie. Sądzę, że ja miałem szczęście jak dwadzieścia gryfów.

Skan, ludzie z głównego obozu i dwudziestu trzech poszukiwaczy przeszli przez Bramę, ustanawiając własny rekord. I chociaż nikogo nie przepchnięto, zrobiono tak z zapasami; mała armia Judeth dosłownie wrzuciła je do środka. Nawet podczas uzupełniania zaopatrzenia Skan nie widział, aby postawiono i złożono Bramę w takim tempie.

Darzie wrócił do domu, gdzie czekał na niego tłum fanów i wszystkie wolne gryfice w mieście; po takim powitaniu musiał być bardziej wyczerpany niż po samym locie. Mag, który otworzył Bramę, oraz jego pomocnicy zostali w obozie; reszta założyła plecaki i wyruszyła w drogę. Nikt ich nie poinformował, że aby dotrzeć do lasu, gdzie zaginęły dzieci, muszą złazić po klifie. Trzy gryfy otrząsnęły się i sfrunęły, ale

ludzie przeszli swoje, złażąc po skalnej ścianie. Doświadczenie to, w samym środku burzy, nawet starych wyjadaczy przyprawiło o dreszcze. Wszystko, czego się tknęli, było śliskie od błota, wody i substancji, których pochodzenia woleli nie znać.

Kiedy już zeszli, podzielili się na trzy grupy i ruszyli każdy w swoją stronę, a Skana zaskoczyło, jak szybko las wchłonął dwie pozostałe grupy. W przeciągu kilku chwil nie słyszał już niczego prócz deszczu, pogwizdywań, okrzyków i świergotu ptaków w koronach drzew.

Każdy dzień był podobny do poprzedniego; tylko prowadzący wiedział na pewno, że nie kręcili się w kółko. Pióra Skana wysychały tylko wtedy, gdy kładł się spać; gdy wysuwał dziób z namiotu dzielonego z Żurawiem i drugim magiem, natychmiast przemakał. Albo mgła zbierała się na jego piórach i przenikała je, albo zlewał go deszcz.

A teraz był przemoczony na wylot.

A poza tym miał depresję, chociaż miałby ją nawet wtedy, gdyby świeciło słońce.

Czy możemy mieć nadzieję, że znajdziemy jakiś ślad? - pytał samego siebie, gapiąc się na nieskończone morze liści i szeregi pni pokrytych bluszczem albo zasłoniętych krzewami. Nie było śladu ścieżek zwierzęcych, a co się zaś tyczy zwierząt: cóż, polował rankiem, kiedy jeszcze mógł latać i chwytac jakieś stworzenia. *Mogą być tuż obok nas, a my o tym nie wiemy!* Ten las był nie tylko klaustrofobiczny, ale też denerwująco wszechogarniający. Jeden z wojowników przysięgał, że widział, jak krzewy rosną, a Skan mu wierzył.

Ile czasu zajmie, zanim krzewy i liany pokryją miejsce katastrofy? Kilka dni? Tydzień? Dzieci zaginęły tydzień temu, może wcześniej; stracił poczucie czasu.

A mogły spaść trzy albo cztery dni wcześniej. Ponure myśli; tak ponure jak otoczenie. A jednak nie zamierzał się poddać; dopóki istniała najmniejsza szansa odnalezienia dzieci, nie zamierzał się poddać. Musiał wiedzieć, co się z nimi stało. Najgorsza była niepewność.

Żuraw wyglądał tak, jak Skan się czuł. Kestra'chern był przez cały czas ponurą, milczącą, przemoczoną i ubłoconą kupką nieszczęścia. Odzywał się, kiedy ktoś do niego zagadał; bez prośzenia opatrywał drobne skaleczenia, ale ograniczał się do pomocy fizycznej, co było do niego niepodobne. Rozbijał namioty i doglądał ognia, ale myślami był gdzie indziej. Gdzieś tam, w lesie, i Skan zastanawiał się, czy Żuraw próbował użyć swych zdolności empatycznych jako innego rodzaju

kompasu, koncentrując się na znalezieniu bólu i strachu gdzieś między drzewami. Więzy krwi z córką uwrażliwiały go na jej cierpienie. Jeśli żyła, mógł ją znaleźć, gdyby zawiodły metody konwencjonalne.

Ma moc; nigdy nie używał jej w ten sposób, ale to nie znaczy, że nie skutkuje. Skan żałował, że nie posiadał podobnych zdolności. W takim stanie służył jedynie za zwierzę pociągowe i niewiele pomagał. Nie umiał tropić, nie mógł używać magii, nie wyczerpując się, a poza tym jego talenty ograniczały się do latania. A mógł fruwać tylko wcześniej rano.

Regin, dowódca grupy, podniósł dłoń, wstrzymując ich po raz kolejny tego dnia. Nie było żadnych powodów dla takiego zachowania, które zaczynało męczyć Skana. Dlaczego zatrzymywać się i sterczeć na deszczu bez powodu? Im więcej przejdą, tym większe mają szansę na odnalezienie czegoś. Przesunął się i poczłapał do przemoczonego Srebrzystego, któremu Judeth powierzyła dowództwo.

- Regin, a na co my właściwie czekamy? - zapytał jadowicie. Na szczęście mężczyzna puścił sarkastyczne pytanie mimo uszu i odpowiedział, wskazując w górę. Skan podniósł głowę, aby dostrzec Berna, zwiadowcę, zjeżdżającego po pniu tak szybko, że gryf jęknął.

- Bern szuka wyrw w drzewach - odparł Regin, gdy Bern machnął i ruszył przed siebie. - Zakładamy, że spadając, kosz wybił dziurę; dziura ciągle tam będzie. Włazi na wysokie drzewo i rozgląda się wokół, szukając świeżych wyrw. Możesz mi nie uwierzyć, ale jeśli w koronie jest dziura, wpada przez nią więcej światła, co widać, jeśli się wspiniesz odpowiednio wysoko. Na to właśnie czekamy.

Bern pojawił się chwilę później, potrząsając głową. Skan nie musiał znać sygnałów Srebrzystych aby odczytać ten: "żadnych dziur". Odbyli krótką naradę ze zwiadowcą, który ruszył do lasu. Reszta podążyła za nim.

Jak na razie nie było znaków, że coś ich śledziło lub obserwowało, ani żadnych ataków. Skan zaczynał podejrzewać, że naleganie Judeth, aby brali pod uwagę istnienie wrogiej istoty, było zwykłą histerią. Jedynymi mieszkańcami tego obszaru były dzikie zwierzęta; to, co wyciągało stąd energię magiczną, musiało być wybrykiem natury. Może dzieci dostały się w jego zasięg...

Skan wycofał się na miejsce obok Bursztynowego Żurawia, czując się nieco lepiej, bo wiedział, że nie działają na oślep.

Żuraw nadal był przybity, ale ożywił się nieco, gdy Skan wyjaśnił mu,

co planowali dowódcy.

- Miewano już gorsze pomysły - rzekł z namysłem, odsuwając z oczu przemoczone włosy. - Nie mam wzroku gryfa, ale lepszy taki niż żaden.

Prowadzący znów się zatrzymał. Skan spróbował przebić wzrokiem zasłone deszczu, ale nie udało mu się to. Nawet jego doskonały wzrok nie potrafił wypatrzeć zwiadowcy.

- Nie mam pojęcia, jak Bemowi udaje się wspinać przy takiej pogodzie, i to w takim tempie. - Skan zrobił kilka kroków i przykucnął przy kępie bluszczu, ale widok wcale się nie polepszył. - Musi być zręczny jak jedno z tych włochatych stworzeń, które Shalaman trzyma w swoim pałacu. O ile mi wiadomo, pochodzą właśnie stąd.

Żuraw obojętnie wzruszył ramionami.

- Ja...

- Tutaj!

Skan spojrział w górę i dojrzał figurkę, machającą gwałtownie ramionami. Stała na konarze, przytrzymując się pnia jedną ręką. Drugą pokazywała kierunek.

- Tutaj! - wrzasnęła. - Świeża dziura, tędy!

Świeża dziura? Wszyscy pomyśleli o tym samym, ale Srebrzyści zareagowali szybciej niż Skan i Żuraw. Rzucili się biegiem przez krzaki, zostawiając spóźnioną dwójkę w tyle.

Serce Skana waliło, bynajmniej nie z wysiłku. Pragnął pędzić na przedzie i pewnie by tak zrobił, gdyby nie fakt, że ledwie dotrzymywał Srebrzystym kroku. Ku jego zawstydzeniu, w chwili, kiedy coś go podejrzanie zakłuło w boku, Bern przeskoczył krzak za nimi, wyprzedził ich i objął prowadzenie.

Efekciarz...

Któryś ze zwiadowców zawołał ich; nie rozróżnili słów, ale ton głosu powiedział Skanowi wszystko. Podniecenie, ale nie żal, nie zaskoczenie.

Znaleźli coś. Coś, nie kogoś. Nie znaleźli ciała...

Z rezerwy, o której istnieniu nie wiedział, popłynęła siła i szybkość, i ruszył do przodu skokami, które wyniosły go na polankę pod dziurą w koronach drzew. Przedarł się przez pozostałości prowizorycznej palisady.

Obóz! To była jego pierwsza myśl; jeśli Tad i Klinga zbudowali obóz, nie mogli być poważnie ranni. Potem się rozejrzał i oklapł. To nie był

regularny obóz, tylko schronienie zbudowane z wraku i tego, co udało się zebrać. Regin, oglądający pozostałości koszyka, podniósł wzrok, gdy Skan stanął na skraju przecinki.

- Tak, rozbili się tutaj. - Wskazał na wyrwę w liściach. - Odeszli, ale uderzyli tutaj, i to tak porządnie, że rozwalili dwie burty koszyka. Oboje przeżyli, ale nie wiem jak. Może gałęzie wyhamowały ich upadek. Zniknęła apteczka, ślady wskazują, że oboje z niej korzystali.

Byli tutaj. Ranni. Odeszli. Dlaczego?

- Dlaczego ich tu nie ma? - spytał zaskoczony.

- Dobre pytanie. - Regin sortował przedmioty, które wyglądały, jakby je tu porzucono. - Mówi się: jeśli miałeś wypadek, zostań przy wraku. Sądzę, że tak postąpili, zostali tu ze dwa dni, a potem coś ich zmusiło do odejścia. Wygląda na to, że ruszyli w pośpiechu, ale nie ma śladów walki.

- Może coś ich wystraszyło - zasugerował Żuraw. - Albo... no cóż, to nie jest najlepszy obóz...

- To jest gówno, nie obóz - poprawił sucho Regin. - Ale gdybym miał tylko wrak i był ranny, nie postawiłbym nic lepszego. To tylko schronienie. Szkoda, że nie wiem, co jeszcze się rozpadło i co zabrali ze sobą. - Wyprostował się i rozejrzał, marszcząc czoło. - Nie ma tu śladów walki ani polowania. Mogło im się skończyć jedzenie, a rannym trudno polować. Nie ma stałego źródła wody...

Bursztynowy Żuraw chrząknął grzecznie.

- Stoimy pod stałym źródłem wody - przypomniał.

Regin wzruszył ramionami.

- Uczą nas, aby nie polegać na deszczu. Ani zwierzyny, ani wody, obóz nie do obronienia. Gryfy dużo jedzą; jeśli szlag trafił ich zapasy, po dwóch dniach wszystko zgniło i nie nadawało się do jedzenia. A potem musieli zacząć polować, aby wyżywić samego Tadritha. Sądzę, że zostali tutaj, aż odzyskali siły, a potem ruszyli w stronę domu. Prawdopodobnie zaczęli już nadawać sygnały. - Wykrzywił się. - Mam nadzieję, że ich trop zbyt nie ostygł, ale z drugiej strony, jeśli skierowali się bezpośrednio na zachód, będziemy na ich ogonie. Ja bym wrócił nad rzekę. Kiedy jesteś ranny, łatwiej łowić, niż polować.

Skan rozgniewał się.

- Chcesz powiedzieć, że mogliśmy iść wzdłuż rzeki, aby ich odnaleźć?

- Właśnie. - Regin uśmiechnął się kwaśno. - Ale pociesz się: wiemy, że żyją i że raczej nic im nie jest.

Skan przytaknął, a Regin nakazał Bemowi szukać tropu. Gdy zwiadowca wrócił do pracy, Skan zauważył kilka szczegółów.

Po pierwsze, szczątki wyglądały dziwnie, jakby najpierw rozrzucono je bez ładu i składu, potem zebrano, przejrzano i posegregowano.

Po drugie, nie było wiadomości, notek czy jakichkolwiek znaków zostawionych dla poszukiwaczy. Oczywiście, dzieci nie wiedziały, czy ktoś natknie się na obóz, ale dlaczego nie zostawiły niczego?

A po trzecie, w pozostawionym ekwipunku nie było nawet najmniejszego śladu magii. Podejrzenie było słuszne, coś wyssało magię z ich wyposażenia, a z miejsca upadku wnioskując, zdarzyło się to w jednej chwili. Ale wyposażenie grupy poszukiwawczej zostało nietknięte - na razie.

Co tego dokonało? Co szperało w pozostałościach obozowiska?

I co zmusiło dzieci do ucieczki w nie znany las, tak że nie zostawiły nawet znaku dla poszukiwaczy?

Czy odpowiedź na trzecie pytanie była taka sama, jak na dwa poprzednie?

Tad przebrnął przez wodę do kostek, stojącą u wejścia do jaskini, starannie unikając trzech wędek Klingi. Klinga pokazała mu swój połów, a on pokiwał głową z aprobatą.

- Poziom wody podniósł się - rzekł. - W niektórych miejscach zakrywa ścieżkę.

Należało się tego spodziewać, biorąc pod uwagę, ile jej spada z nieba.

- Cóż - stwierdziła Klinga z rezygnacją. - Przynajmniej mamy stałe źródło wody i nie musimy wychodzić z jaskini na połów.

Nie przestawało padać od nocy, kiedy tu dotarli. Zastanawiała się kiedyś, jak wyglądała pora deszczowa: teraz wiedziała. Strumyczek biegnący przez jaskinie nie powiększył się, ale przyśpieszył swój bieg. Rzeka się podniosła i mogli zarzucać wędkę, nie ruszając się z jaskini, i nadal oczekiwać porządnego połowu.

Nie byli obłączeni, ale nadal nie widzieli łowców w pełnym świetle. Cienie przemykające w poszyciu jasno dowodziły, że powrót na drugi brzeg zakończyły się konfrontacją.

Tad przytaknął, rozpinając swe zdrowe skrzydło nad ogniem. Przywłókł ze sobą całe drewno, jakie mógł znaleźć, i w jaskini leżał przyzwyczajony stosik. Znalazł też rzeczy dające czarny gęsty dym i drugie ognisko było wyjątkowo nieprzyjemne. Rozpalili je pod ścianą, a dym

leciał w górę naturalnego komina. Czy ktoś go dostrzeże, pozostawało pytaniem bez odpowiedzi: w taką pogodę latały tylko zdesperowane gryfy - albo samobójcy.

Z drugiej strony: jak zdesperowany był teraz Skandranon albo bliźniak Tada? Na tyle, by spróbować?

Kinga jednocześnie liczyła na to i miała nadzieję, że jednak byli oni bardziej rozsądni; ich prześladowcy stawali się coraz odważniejsi i nie chciała, żeby Tad wychodził dziś z jaskini. Co prawda, nadal pozostawali cieniami wśród krzewów, ale widziała, jak za dnia wystawiają łby z liści.

- Sądzę, że mogą spróbować czegoś dziś w nocy - rzekł Tad zbyt obojętnie. - Wiem, że cały czas mnie obserwowali i miałem wrażenie, że to coś na drugim brzegu jest sfrustrowane i zaczyna tracić cierpliwość.

- Mam takie samo wrażenie - przyznała Klinga. Opuszczanie zasłon i badanie drugiej strony rzeki wcale nie było takie wesołe, ale niezbędne. Liczyła na to, że wyczuje nadchodzącą pomoc, ale napotkała zimną i obcą falę dzikiego gniewu, więc szybko się zamknęła i przez moment siedziała drżąca w jaskini. - Próbowałam użyć empatii i odniosłam to samo wrażenie. Bardzo chcieliby nas dostać.

Liczyła, że Tad nie będzie robił awantury o to wyznanie; w końcu sam nalegał, żeby używała wszystkich swych mocy. A kiedy wreszcie poddała się temu molestowaniu, nie chciała słyszeć: "A nie mówiłem, że to dobry pomysł?" Nie wiedziała, czy to był dobry pomysł, bo stwory na drugim brzegu mogły przecież ją wyczuć, tak jak ona je.

Ale czego by się dowiedziały? Że była ranna i przestraszona? To nie było tajemnicą.

Na swoje szczęście Tad tylko kiwnął głową.

- Dobrze wiedzieć, że to nie tylko moje zmartwienie - powiedział i westchnął. - Nie mam wyrzutów sumienia przy stawianiu pułapek.

- Co... - zaczęła. W tej samej chwili napięła się jedna z żyłek i Klinga rzuciła się wyciągać rybę. Jednak kiedy zdjęła ją z haczyka i znów zarzuciła przynętę, wróciła do tematu.

- Jak myślisz, jakie pułapki będą skuteczne na naszym brzegu rzeki?
- zapytała. - Gdzie je możemy zastawić?

Jak na razie nie mieli szczęścia z paściami, do których raz wpadł jeden z cieni. Zupełnie jakby widząc te pułapki, łowcy zaczęli ich unikać. Nie działały też duże sidła, ale na to nie liczyli, ponieważ nie mogli ich ukryć. Ale teraz, gdy woda się podniosła, mogli ukryć je pod

nią...

- Nad tym też myślałem. Jest tylko jedno naprawdę dobre miejsce - powiedział. - Rzeka tak wezbrała i przyspieszyła, że mogą ją przekroczyć tylko w jednym miejscu, w dole, tam, gdzie my przeszliśmy. Nie zastawiłem tam pułapki, tylko niewinną atrapę, która wygląda jak lawina. Prawdziwa lawina spadnie im na łby kawałek dalej.

- Zobaczą nieszkodliwą atrapę i wejdą prosto pod lawinę?

Przytaknął pełen dumy.

- Całkiem sporą lawinę. Jeśli naprawdę będą chcieli nas dopaść, przynajmniej jeden zginie albo zostanie poważnie ranny, chyba że zobaczą odbicia światła i będą mieli więcej szczęścia, niż na to zasługują, bydlaki.

- Tylko żebyś nie zranił kogoś, kto przybędzie nam na ratunek! - ostrzegła. Wczoraj spierałaby się z nim o sens zastawiania pułapki, która miała zabić, a nie odstraszyć, ale to było, zanim otworzyła się na stwory zza rzeki. Nadal nie widziała, jak wyglądały, ale wiedziała, czym były. Na pewno drapieżnikami, posiadającymi specyficzną zimną inteligencję, która wzbudzała w Klindze pragnienie posiadania solidnego łuku, dwóch sprawnych ramion i trzech tuzinów strzał. Plusy i minusy, wynikające dla terenu z istnienia tych zwierząt, będzie rozważać później; gdyby się od nich odczepiły, dałaby im spokój. Ale jeśli dopadną ją lub Tada, uderzy równie skutecznie i śmiertelnie jak one.

Pytanie, czy stworzenia były sforą kogoś innego, nadal pozostawało bez odpowiedzi; nie potrafiła czytać w myślach, nawet jeśli te paskudy rzeczywiście były zdolne do myślenia. Nie wyczuła jednak niczyjej obecności; wszystkie zwierzęta były takie same i z pewnością tworzyły stado.

Co mogło oznaczać, że ich pana nie było: wylegiwał się gdzieś i obserwował całą akcję w szklanej kuli. To odpowiadałoby opisowi sadystycznego maga; nie mogła sobie wyobrazić, aby taki Ma'ar wystawiał się na deszcz i grzązł w błocie.

Jeśli naprawdę za tym wszystkim stał adept i jeśli tylko dostanie go w swoje ręce...

- To nie jedyna pułapka - ciągnął dumnie Tad, nieświadomy jej czarnych myśli. - Założyłem pod wodą katapulty, które wyrzucają ich do strumienia, kamienie, które uwiężą łapy i więcej siodeł. To wszystko i barykada u wejścia do jaskini powinny dać nam pewne poczucie bezpieczeństwa.

- Tak długo, jak długo będziemy mogli stąd łowić - poprawiła. - Tak długo, jak ty będziesz w stanie znieść jedzenie ryb.

- Wystarczy, że pomyślę o jedzeniu suszonego mięsa, a ryba staje się zupełnie nową rozkoszą dla podniebienia - odparł. - Zaczynam odróżniać jedną surową rybę od drugiej. Niektóre są słodkie, inne tłuste...

I dla mnie smakują identycznie.

- Wierzę, wierzę! - przerwała szybko. - Zastanawiam się, czy moglibyśmy upleść coś w rodzaju sieci, aby łapać w nią drewno niesione z prądem. Wiele użytecznych rzeczy przepływa nam koło nosa.

Tad uwielbiał wymyślać wynalazki i pomysł z siecią zajął go na jakiś czas. A poza tym odpoczywał; niezależnie od tego, jak radosny i energiczny się wydawał - albo próbował wydawać - był zmęczony, podobnie jak ona. Wszechobecny ryk wodospadu zagłuszyłby kroki zbliżającego się napastnika, a przede wszystkim zagłuszyłby odgłosy przepływania rzeki. Oboje o tym wiedzieli i Klinga podejrzewała, że Tad miał bardzo czujny sen podczas jej warty, jak ona podczas jego. Niespecjalnie mądre posunięcie, ale nic na to nie mogli poradzić. Ich wyobraźnia wyposażona w stworzenia we wszystkie nadnaturalne zdolności, które podwajały się po zmroku. O poranku łatwiej było zapomnieć o strachu, choć powtarzała sobie, że skoro myśliwi jeszcze nic nie zrobili, wcale nie znaczy, że nie są zdolni do działania. Trudno było utrzymać równowagę między wymyślaniem zagrożeń a brakiem ostrożności, szczególnie kiedy nie znało się możliwości wroga.

- Niedługo zapadnie noc - stwierdził Tad po długiej dyskusji na temat sieci, żyłek i innych sposobów łowienia drewna. Wskazał dziobem rzekę. Przytaknęła; choć trudno było liczyć czas, nie widząc słońca, światło przygasało. Kolejna żyłka się napreżyła; ta ryba walczyła, co oznaczało, że prawdopodobnie należała do ulubionego gatunku Tada. Jej każda ryba, zapieczona w glinie i bez przypraw, wydawała się bez smaku. Rozważała użycie liści pieprzowych, aby dodać jedzeniu smaku, ale potem przemyślała sprawę. I chociaż wtarte w skórę nie miały żadnych skutków ubocznych, połknięte mogły okazać się trujące. Mogło się cały dzień wcierać w skórę wilcze jagody i mieć tylko purpurową plamę, ale po zjedzeniu kilku człowiek wymiotował dalej, niż widział...

Zmęczyła rybę i wyciągnęła ją, powoli i ostrożnie, uważając, by nie popuścić żyłki. Wystarczy na wieczór; zdjęła przynętę i gdy skończyła, nie miała wątpliwości: ściemniało się.

Zaniosła rybę za kamienną barierę, do ogniska, przy którym siedział Tad. Codziennie dodawali kilka kamieni, ale zbliżali się do punktu, w którym nie będą już mogli używać mułu jako spoiwa. Był zbyt słaby.

Jaskinia miała jeszcze jedną zaletę: brak robaków. W powietrzu wisiało tyle dymu, że owady nawet nie próbowały ich gryźć. Bąble Klingi zaczęły się goić i przestała się nimi przejmować. Gdyby nie obserwatorzy na drugim brzegu, byłaby całkiem szczęśliwa. Mieli ogień, świetne schronienie, dużo jedzenia i prędzej czy później ktoś z Białego Gryfa albo Khimbaty zobaczy lub wyczuje sygnał dymny i wróca do domu. A na razie, jeśli nawet nie było im wygodnie, to byli bezpieczni.

Zdjęła z żyłki dużą tłustą rybę, wypatroszyła, zapakowała w glinę i wrzuciła w żar, okładając węgielkami. Resztę łupu wręczyła Tadowi.

Już nie tak wygłodzony, zjadł je ze smakiem. I choć jego maniere przy stole pozostawiały wiele do życzenia, nie narzekała na towarzystwo. *Znam ludzi o gorszych manierach.*

- Jak skrzydło? - zapytała, jak to robiła co najmniej raz dziennie.

- Nie boli tak jak wczoraj, ale nadal nie chcę zdejmować opatrunku - odparł. - Kiedy ruszam się, w dziwny sposób boli.

W języku Tada znaczyło to: "Boli tak bardzo, że kolana mi się uginają i prawie mdleję". Wiedziała o tym, bo widziała te chwile. Tad pozował na stoika. Silił się na radość dla jej dobra. Ruszając się bardzo ostrożnie, unikała nadwężania zwichniętego ramienia, ale to znacznie ograniczało jej zdolności.

Gdyby tylko miała dwie zdrowe ręce albo on dwa zdrowe skrzydła! Gdyby tylko jedno wspięło się na szczyt klifu, na pewno byłoby w stanie wciągnąć tam drugie. Na szczycie nie musieliby się martwić pościgiem: skoro myśliwi nie wspinali się na drzewa, jasne jak słońce, że nie mogli się wspinać na skały!

Równie dobrze mogłabym sobie życzyć trzech czy czterech wytrenowanych Srebrzystych z długimi łukami - pomyślała ponuro. Mam wrażenie, że czegoś w tej historii nie chwytam, czegoś, co powinno być oczywiste, ale nie jest. Pragnęłabym jakiejś małej podpowiedzi...

- Naprawdę myślisz, że spróbują czegoś dziś w nocy? - zapytała, aby przerwać ciszę, bo nie sądziła, aby zmienił zdanie.

Pokazał głową wejście do jaskini.

- Deszcz przestaje padać, a na płyciźnie prąd nie jest taki silny. Nie jest trudno przebrnąć przez niego, jeśli możesz się pazurami wczepić w skałę. A wiemy, że mają pazury.

Zastanawiała się, czy powinna ponownie użyć empatii i zdecydowała, że nie. Drapieźnicy mogli właśnie na to czekać.

Znów zapadła cisza i nie chciała jej przerywać pogawędką o niczym. Sprawdziła rybę: glina zapiekła się na kamień, co wskazywało, że ryba powinna nadawać się do jedzenia, więc ściągnęła ją z żaru i rozbiła glinę. Skóra i łuski odeszły z gliną, a na nią czekało parujące białe mięso, gotowe do spożycia. Nie zajęło jej to wiele czasu. Jak zwykle, było bez smaku. Pożądliwe wspomnienia gorącego, świeżego chleba posmarowanego słodkim masłem, pikantnego mięsa i zupy fasolowej i tego niezwykłego rybiego gulaszu, doprawianego czosnkiem i cebulą, który gotowała Jewel, prześladowały ją, dopóki ich nie przegoniła.

Pozwolili ogniovi wypalić się do żaru i otoczyli go popiołem, aby ograniczyć światło w jaskini. Jeśli myśliwi zamierzali uderzyć dziś w nocy, nie było powodu, aby dawać im przewagę, oświetlając jasno ofiary.

Ruszyła w stronę barykady, kryjąc się w cieniu pod ścianą jaskini. Tad poszedł w jej ślady. Deszcz rzeczywiście przestał padać; w świetle błyskawic widziała teraz nie zasłonę wodną, tylko drugi brzeg rzeki i pędzącą wodę.

Na drugim brzegu nie było śladu czyjejś obecności i nie wróżyło to dobrze. Zwykle aż do wieczora w krzakach chował się choć jeden cień; teraz nie było tam nic. Stanowiło to kolejne potwierdzenie, że instynkt Tada nie zawiódł, a ona dobrze odczytała niecierpliwość łowców. Zatakują dziś w nocy.

Spojrzała na Tada; w świetle błyskawic widziała jego dziób i szyję, choć był tak nieruchomy, że mógł uchodzić za rzeźbę. Miał opuszczone powieki, aby nawet błysk oczu nie zdradził jego pozycji. Wtopił się w skałę, a linie piór wyglądały zupełnie jak pęknięcia w kamieniu. Niesamowite, jak dobrze był zakamuflowany.

Pędzelki na uszach położył gładko wzdłuż czaszki, ale wiedziała, że nasłuchiwał; pędzelki stanowiły tylko dekorację i nie miały nic wspólnego z gryfim słuchem. Słuchał. Zastanawiała się, ile wyłowił z ryku wodospadu.

Ale kiedy po rzece poniósł się hałas spuszczonej pułapki, nawet ściany jaskini zadrżały przez chwilę. Podskoczyła, tak zdenerwowana, że na moment straciła równowagę i musiała przytrzymać się czegoś zdrową ręką. Szybko się pozbierała i ruszyła do wyjścia. Wyciągnął pazur, złapał ją za nadgarstek i unieruchomił.

- Zaczekaj do świtu - poradził na tyle głośno, aby go usłyszała przez spadającą wodę. - Coś tam zginęło. A nie będą w stanie zabrać ciała.

- Jak duża była ta lawina? - spytała z niedowierzaniem. Jak mu się udało ułożyć cokolwiek, mając tylko szpony i jedno zdrowe skrzydło?

- Wystarczająco - odparł i zachichotał dumnie. - Nie chciałem się chwalić, dopóki to nie zadziało, ale użyłem magii, aby podkopać kawałek klifu, który i tak by spadł. Naprawdę nie wiedziałem, ile kamieni zleci, wiem tylko, że więcej, niż sam bym ułożył.

- Sądząc po odgłosach, zleciało naprawdę dużo - mruknęła. *Cóż za wspaniałe zastosowanie odrobiny magii!* - Poczujesz?

Przytaknął.

- Może być problem - dodał. - Prawdopodobnie stworzyłem most albo pół mostu. Istnieje możliwość, że skały spadną do wody.

Wzruszyła ramionami. Co się stało, już się nie odstanie; może warto było zapłacić taką cenę za odkrycie, co ich ścigało.

- Skały mogły same spaść w ten sposób - odparła. - Nie ma powodu, aby się denerwować. Nie sądzę, aby dziś w nocy sprawiali nam kłopot.

Miała rację; reszta nocy przeszła spokojnie, a o świcie oboje wyszli zobaczyć co, jeśli w ogóle, wpadło w pułapkę Tada.

Gdy doszli do lawiny, ujrzeni, że istotnie spadła w rzekę, tworząc bród do połowy, choć część kamieni już została zmyta. Ale gdy się zbliżyli i ujrzeni, jakie zwierzę wpadło w pułapkę, Klinga była skołowana tym odkryciem tak samo, jak cieniami.

Próbowano uwolnić stworzenie; tyle wskazywały ślady kopania i kamienie odsunięte z trupa. Ale trup nie należał do żadnego znanego jej zwierzęcia.

Gdyby mag wziął charta, skrzyżował go z węzem i powiększył do rozmiarów konia, otrzymałby coś takiego. Hebanowoczarne, ze skórą pokrytą łuskami jak u węża, długą szyją, miało zęby ostrzejsze i większe niż pies. Głowa i nogi nie zmiażdżone przez skały były również psie. Nie wiedzieli, jakiego koloru miało oczy; były wywrócone i męt-nobiałe. Gapiała się na stworzenie, próbując je dopasować do jakichkolwiek znanych opowieści.

Tad nie miał podobnego problemu.

- Wyrsa - mruknął. - Ale kolor się nie zgadza...

Odwróciła się; wpatrywał się w trupa i wyglądał na pewnego dokonanej identyfikacji.

- Co to jest wyrza? - spytała ostro.

Podrapał się po głowie.

- Jeden z dawnych adeptów, przed Ma'arem, stworzył takie rzeczy, naśladowując kyree. Nazwał je wyrza. Chciał, aby były lepszymi psami obronnymi czy sforą do polowań. Ale nie poddawały się kontroli i uciekły dawno temu. Na długo przed Ma'arem i wojnami. Aubri opowiadał mi o polowaniu na nie; mówił, że gdzieniegdzie biegały w sforach. - Zmrużył oczy, skupiając się.

- Ale te, o których opowiadał, były mniejsze. Były białe, miały zęby jadowe i zatrute pazury.

Pochyliła się ostrożnie i zbadała pysk i jedną z łap, szukając gruczołów jadowych i wydrażonych zębów i pazurów. W końcu wzięła dwa kamienie i wybiła ząb i pazur. Wyprostowała się.

- Nie wiem, co jeszcze się zmieniło w tych bestiach, ale nie są jadowite - powiedziała do Tada, patrzącego na nią z powątpiewaniem. - Ani zęby, ani pazury nie są wydrażone, nie mają kanalików na truciznę ani gruczołów jadowych. Jad musi się skądś brać, Tad, i jakoś przedostawać do ofiary. Jeśli ich ślina nie jest trująca...

- Aubri podkreślał, że były jak jadowite węże. Ale mają inny kolor i wzrost. Coś je zmieniło.

Wymienili spojrzenia.

- Mag? - zapytała. - Czy burze? - Ona знаła się na truciznach, ale to on był magiem.

- Stawiam na burze - odparł. - Gdyby mag zmieniał wyrzy, nie usuwałby jadu, tylko go jeszcze wzmocnił. Jestem pewien, że to burze.

- Nie będę się sprzeciwiać. - Klinga przyklękła, aby zbadać głowę. Była długa jak jej przedramię i składała się głównie ze szczęki. - Spójrz na te kły! Są długie na palec, podobnie jak reszta zębów też jest odpowiedniej wielkości. Co jeszcze wiesz o wyrzach?

Przełknął głośno.

- Aubri mówił, że im większe stado, tym są bystrzejsze, jakby miały wspólną inteligencję. Mówił też, że są niewiarygodnie uparte: jeśli złapią twój zapach, tropią cię całymi dniami, a jeśli zranisz lub zabijesz jedną z nich, będą cię ścigać całą wieczność. Nie pozbedziesz się ich, dopóki ty ich nie zabijesz albo one nie zabiją ciebie.

- Jakże to pocieszające - powiedziała sucho, wstając. - A myśmy jednego i zranili, i zabili. Szkoda, że nie wiedzieliśmy o tym wcześniej.

Tad przestąpił z nogi na nogę, pokornie pochylając głowę.

- Może nie skojarzą nas z lawiną - stwierdził rozpaczliwie.

- Co się stało, już się nie odstanie. - Kątem oka zauważyła jakiś ruch i wolno odwróciła głowę.

I zamarła. Teraz, jakby nie widząc powodu, by się ukrywać, skoro ona i Tad już wiedzieli, czym były, sześć wyrś stało na drugim brzegu. Szczerząc zęby. Tad syknął z zaskoczenia i obrzydzenia.

A potem, zanim mrugnęła czy odetchnęła, zniknęły. Nie zauważyła ruchu, ale po drugiej stronie rzeki pozostały tylko krzaki. Kołyszące się gałęzie były jedynym znakiem, że coś tam przeszło.

- Sądzę, że spokojnie możemy założyć, że jednak łączą nas i lawinę - powiedziała, czując, jak dreszcz biegnie jej wzdłuż krzyża. - I sądzę, że lepiej wrócić do jaskini, zanim znów spróbują przejść przez rzekę.

- Nie biegnij - ostrzegł Tad, odwracając się powoli, z godnością i patrząc pod nogi. - Aubri mówił, że wtedy zaczynają cię ścigać, nawet jeśli nie ścigały cię wcześniej.

Starła się ukryć przerażenie, ale sama myśl o sześciu albo więcej stworach w ciemności przerażała ją.

- Jakie urocze i zachwycające stworzenia - odparła sarkastycznie. - Chcesz mi wyznaczyć coś jeszcze?

Potrząsnął głową, opryskując Klingę.

- Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Skoncentrował się na krokach, bo deszcz przybierał na sile i skały stawały się śliskie. Nikt nie skorzystałby na jej upadku i połamaniu kończyn.

Prócz wyrś, rzecz jasna.

- Czy ktokolwiek był w stanie kontrolować te bestie? - spytała. - Pytam z ciekawości.

Ścieżka się zwięzła. Gestem kazał jej iść pierwszej. Gdyby wyrśy przepłynęły rzekę, Tad stanowił lepszą straż tylną od niej.

- Nie słyszałem - odparł. - Sądzę, że naprawdę dobry mag mógłby nałożyć zaklęcia przymusu i nakazać im atakowanie wybranego celu, ale nic więcej. Nie powstrzymałby ich, gdyby zaczęły polowanie i nie nakazałby im powrotu, gdyby ścigały coś, co go nie interesowało. Nie liczyłbym na kontrolowanie ich.

- Tak więc nie powinniśmy się martwić, że jakiś mag poszczuł na nas swoją sfore? - nalegała, patrząc na niego przez ramię. Pióra Tada leżały płasko na czaszce, a oczy wydawały się ogromne.

- Nie sądzą... - rzekł z wahaniem. - Ale to nie te same wyrśy. Zmieniły się, może są bardziej oswojone niż poprzednie. Może w miejsce truci-

zny pojawiły się inne moce, przyczyniając się do ich wymknięcia się spod jakiegokolwiek kontroli. A mag mógł je poszczuć na nas na swoim terytorium po prostu dla zabawy, nie musiał ich kontrolować, tylko pozwolił robić, co zechcą.

- Jesteś dziś istną skarbnicą dobrych wieści - warknęła. *Nie powinienam się na nim wyżywać* - skarciła się. - Zapomnij. Przepraszam. Nie jestem teraz w najlepszym humorze.

- Ja też nie - rzekł cicho i wyraźnie usłyszała strach w jego głosie. - Ja też nie.

Cały dzień Tad obserwował Klingę skoncentrowaną na łowieniu ryb. Raz czy dwa pojawiła się pojedyncza wyrś, ale stworzenia nie zamierzały przekraczać rzeki, aby ich dopaść.

Pewnie, że nie. Polowały zawsze w nocy, szczególnie z takim umaszczeniem. Szybkie, ciche i niezwykle agresywne - nie chciał mierzyć się zjedną, a co dopiero z całym stadem.

Ciekawe, jak duże jest stado? Sześć? Dziesięć? Więcej?

Czy wszystkie pochodziły od jednej samicy? Wyrśy parzyły się raz na dwa lata, a rodziły nie więcej niż dwa szczenięta. *Jeśli to bliźniacze szczenięta jednej samicy, rodzone odkąd burze je zmieniły, to ile ich teraz będzie? Cztery lata do osiągnięcia dojrzałości płciowej, dwa szczeniaki co dwa lata...*

Mogło ich być tylko siedem albo trzydzieści do czterdziestu. Prawda leżała pośrodku.

Jedli w milczeniu, a Klinga niemal zdusiła ogień, gdy Tad objął pierwszą wartę. Gdy tylko zapadła noc, dorzucił kilka kamieni do barykady, a potem rozpląszczył się na podłodze. Miał nadzieję, że je przekona, iż wcale go tu nie było, nie obserwował ich z wejścia do jaskini. Gdyby jedna z nich została przywabiona na brzeg rzeki, na śliskie kamienie, mógłby użyć magii. Gdyby unieruchomił jedną na tyle, aby wepchnąć ją do rzeki, utopiłaby się pod wodospadem. Tylko ryba mogła tam przetrwać. Byłoby o jedną wyrś mniej.

Nie usłyszał Klingi, tylko ją wyczuł; po chwili wahania dotknęła jego stopy i usiadła obok.

- Nie mogłam spać - szepnęła mu do ucha. Skinał głową. Rzeczywiście miała powód do bezsenności.

Wtopiła się w kamienie lepiej niż on; z drugiego brzegu mogła ich wypatrzeć tylko sowa.

Deszcz przestaje padać. To dobrze i źle; wiedział, że deszcz nie obchodzi wyrs, ale nie lubią wdrapywać się po mokrych kamieniach. Miały pazury jak gryf, ale ich łapy nie były tak giętke. Pazury mogły utrudniać stapanie po skałach.

Z drugiej strony w malejącym deszczu drugi brzeg stawał się wyraźniejszy, szczególnie gdy pojawiały się błyskawice.

Coś poruszyło się na drugim brzegu. Zamarł i poczuł, jak Klinga wstrzymała oddech.

Rozbłysł piorun, oświetlając czarną sylwetkę na samym brzegu rzeki, gapiącą się prosto na nich. Ujrzał, że biel była prawdziwym kolorem oczu wyrs, jak u trupa. Sam widok stworzenia gapiącego się przez rzekę przyprawiał ich o gęsią skórę.

Przygotował zakłęcie, zbierając siły. Nie ma sensu uderzać, dopóki nie sprawi, żeby wszystko było jak należy...

Chciał, żeby stworzenie ruszyło w przód. Znów uderzył piorun; cały czas tam było, wyciągało szyję, gapiło się.

Stój... stój...

Teraz!

Uwolnił energię; zobaczył, jak wyrsa podskoczyła, otworzyła oczy...

I zamiast upaść porażona, na chwilę rozbłysła. Klinga jęknęła, więc Tad wiedział, że ona też to dostrzegła; ogarnęło go znajome uczucie słabości i dezorientacji. Syknął i zamrugał oszołomiony, patrząc na zwierzę.

Wyrsa otworzyła pysk, a potem, jak zwolniona sprężyna, skoczyła w krzaki jak żadne normalne stworzenie i zniknęła.

A wraz z nią energia zakłęcia. Gdyby wyrsa je odbiła, energia pozostałaby, powoli się rozplywając. Zakłęcie nie uderzyło w tarczę ani nie zostało odbite.

Zostało całkowicie wchłonięte. A co więcej - część energii magicznej Tada popłynęła za nim, jak złapana w wir.

- O, na bogów - jęknął kompletnie zaskoczony. Teraz wiedział, co ich uderzyło w lesie. I wiedział, dlaczego wyrsy zaczęły ich śledzić.

To wyrsy kradły magię, nie jakiś mag renegat czy zjawisko naturalne. Jadły magię albo ją wchłaniały, bo dodawała im sił. Klinga potrząsnęła nim.

- Co się stało? - syknęła. - Co się dzieje? O co chodzi?

Otrząsnął się z odrętwienia, by jej wytłumaczyć; znała się na magii na tyle, aby nie musiał powtarzać dwa razy.

- Bogini. - Leżała zaskoczona jak on. A potem, swoim zwyczajem, dwoma zdaniem podsumowała ich położenie: - Znają nasz zapach, chcą naszej krwi, a teraz wiedzą, że ty jesteś źródłem magii. - Gapiała się na niego wielkimi oczami. - Musimy zabić je wszystkie albo nigdy się stąd nie wydostaniemy!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tad syczał przez rzekę na stado wyrś. Wyrśy obnażyły swe groźne kły i też syczały. Nie zamierzały zniknąć. Tad odniósł wrażenie, że go drażniły, podpuszczając do magicznego uderzenia.

Jasne, że podpuszczały. Nie miały powodu, aby sądzić, że przez rzekę może do nich dotrzeć coś innego niż magia i bardzo chciały, aby jej użył.

Więcej żarcia, głupi gryfie! Daj nam coś, co nam doda sił i ma być smaczne!

Sprawdził już kilka rzeczy w ich zapasach. Kamień zmieniony w lampę magiczną i zapalniczka przestały działać; gdyby potrzebował dowodu, że właśnie te stworzenia wyssały całą magię zgondoli i wszystkiego innego, miał go na dłoni.

Ciekawe, co ojciec by zrobił w takiej sytuacji? Ale Skan pewnie nigdy by się w taką sytuację nie wpakował. A jego rozwiązanie niekoniecznie byłoby dobre.... ponieważ na pewno byłaby to na wpół samobójcza, bezpośrednia akcja wymagająca wielkiego wysiłku, do którego Tad po prostu nie był zdolny. Prawdę mówiąc, Skan słynął z siły, a nie pomyślności.

Nie, Tad, tylko nie ty: teraz sam się porównujesz z ojcem. Prawdziwe pytanie nie brzmi, co zrobiłby mój ojciec, tylko: co ja mam zrobić w tej sytuacji!

Stanął wysoko na zadnich łapach i wydał z siebie ryk wojenny, prezentując wyrśom otwarty dziób i przednie szpony. Przestały syczeć, śledziły go uważnie; z większym szacunkiem, pomyślał. Miał nadzieję.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił. - Klinga wynurzyła się z jaskini, gdzie drzemała; miała włosy w nieładzie i wykrzywione usta. - Nie jest miło budzić się, myśląc, że twój partner zaraz ruszy do śmiertelnego boju.

- Nie podobały im się moje szpony - odparł, starając się nie przeproszać za nadto. - Miałem nadzieję, że je trochę zastraszę.

Patrzył na wyrśy, które nie zatrzymywały się na dłużej niż mgnienie oka. Cały czas ruszały się, skakały, kładły, wiły, turlały nad, przed i pod sobą. Nigdy nie widział stworzeń tak pełnych energii i gotowych do jej użycia. Zupełnie jakby nie mogły stać dłużej niż przez jedno uderzenie serca.

Wynurzyły się z krzaków, gdy mgła opadła i zaczął się deszcz; jeśli

deszcz im przeszkadzał, nie dały tego po sobie poznać.

Ale dlaczego miałyby im przeszkadzać? Było to jego przypuszczenie, a nie odczytanie myśli krążących w tych węzowych łbach. Nie miały ani futra, ani piór, które mogły przemoknąć i zmatowieć. Ich łuski w deszczu nabierały blasku.

- Raczej, że nie wyglądają na zastraszone - wytknęła mu Klinga. Zmarszczyła czoło i studiowała wyrsy zmrużonymi oczami. - Z drugiej zaś strony, to skuteczna strategia obronna, czyż nie?

Tad popatrzył na lśniące ciała prześladowców, ich ruchy i błyski. Wzory, jakie tworzyły, splatając się i rozplatając jak koronki.

- Tak? Trzymają się wszystkie w jednym miejscu. Łatwiej ci będzie w nie uderzyć? - Przyglądał im się, a potem nagle potrząsnął głową, uświadamiając sobie, że ciągły ruch stworzeń wprawiał go w trans. Rzucił spojrzenie Klindze. Podniosła brew i przytaknęła.

- Tylko nie zaśnij, dobrze? - zapytała, uśmiechając się paskudnie, co natychmiast zaalarmowało Tada. Widział już wcześniej ten uśmiech i wiedział, co oznaczał. Kłopoty, zazwyczaj dla innych. - Cóż, przekonajmy się, czy potrafimy wykorzystać tę ich przebiegłość, co ty na to? Stój tutaj, z łaski swojej i wyglądaj imponująco. Muszę im zapewnić jakąś rozrywkę.

Wróciła do jaskini. Wyrsy kontynuowały swój hipnotyzujący taniec pod nosem Tada, który liczył do dziesięciu i odwracał wzrok, chroniąc się przed urokiem.

- Padnij. - Usłyszał z tyłu spokojny rozkaz.

Rzucił się na ziemię, a ołowiany pocisk przeleciał tam, gdzie przed chwilą była jego głowa. Jedna z wyrs na drugim brzegu zawyla i ugryzła drugą. Ta się odgryzła; Tad miał wrażenie, że była jednocześnie zaskoczona i obrażona nieoczekiwanym atakiem. Pleciony wzór się splątał, gdy dwie antagonistki zaczęły na siebie warczeć.

Kolejny pocisk przeleciał przez rzekę i trzecia wyrsa zasyczała, dołączając do kłębowiska. Było to więcej, niż mogła ścierpieć reszta i ze stada zrobił się kłęb wściekłych wyrs, który nie miał w sobie nic wdzięcznego, skoordynowanego ani hipnotyzującego. Większość zaangażowała się w bójkę, oprócz jednej, która odskoczyła od syczącego stada. Stworzenie wycofało się powoli, mierząc inne wzrokiem pełnym zaskoczenia, a trzeci pocisk Klingi trafił je prosto w łeb. Padło gdzie stało, a reszta nadal kłóciła się, wyla i gryzła.

Klinga stanęła przed jaskinią i z satysfakcją gapiła się na wyrsy.

- Chciałabym wiedzieć, jak zgodne jest to stadko. Zastanawiam się też, ile czasu zajmie im skojarzenie broni miotającej z nami; wątpię, aby kiedykolwiek coś takiego widziały albo doświadczyły.

W tejże chwili z krzaków wynurzyło się kolejne stworzenie i wydało z siebie wrzask, który był częściowo sykiem, częściowo groźnym pomrukiem. Reakcja była natychmiastowa i zaskakująca: reszta w mgnieniu oka przestała walczyć i padła na ziemię, płaszcząc się. Wyrsa zignorowała je i podeszła do powalonej przez Klingę, obwąchując ją, a potem szturchając, aby pomóc jej podnieść się na drżące łapy.

- Właśnie pojawił się przewodnik stada - powiedział Tad.

Nowa wyrsa odwróciła głowę i spojrzała na niego. Trupiobiałe oczy sparaliżowały go, przykuwając do miejsca wbrew woli, a wyrsa bezgłośnie wyszczerzyła zęby. Jej oczy lśniły mętnie, powodując, że myśli gryfa spowolniały.

Czuł się jak ptak przed wężem: niezdolny do ruchu, nawet by ratować życie. Czuł potworne, zimne przerażenie, spływające do stóp. W tejże chwili Klinga stanęła przed nim i zmierzyła przewodnika stada nad wyraz złym spojrzeniem. Jasnym, spokojnym głosem zasugerowała, aby wyrsa wykonała kilka wybitnie nieprawdopodobnych, niezwykle wymagających fizycznie i z punktu widzenia biologii raczej bezużytecznych aktów, w których udział brały: jej matka, kilka sprzętów gospodarstwa domowego oraz zdechła ryba.

Tad zamrugał, odzyskując rozum, gdy wyrsa spuściła z niego wzrok. Nie miał pojęcia, że edukacja Klingi była aż tak liberalna!

Wyrsa raczej nie zrozumiała słów, ale ton był jasny. Cofnęła się, jakby zamierzała podjąć wyzwanie, skacząc przez rzekę - albo wskoczyć do rzeki i przebyć ją wplaw. - A Klinga wypuściła kolejny pocisk z procy.

Ten walnął przewodnika stada prosto w pysk, łamiąc mu ząb z mokrym chrupnięciem. Stworzenie wydało z siebie dziwaczny odgłos syczącego wycia, który Tad słyszał już wtedy, gdy jedna wpadła w paści. Obróciła się i skierowała ku innym, w beładzie odwodząc ich od brzegu. Sekundę później już ich nie było.

Klinga wetknęła procę w kieszeń i w zamyśleniu potarła potłuczone ramię.

- Nie wiem, czy to był dobry, czy zły pomysł. Już nie będziemy w stanie poszczuć ich na siebie. Ale przynajmniej wiedzą, że oprócz magii mamy coś, czym możemy zaatakować!

- A ty niewątpliwie zaimponowałaś przewodnikowi - stwierdził Tad, przechylając głowę.

Uśmiechnęła się blado.

- Tylko pokazałam, kto jest najwredniejszą suką w dolinie - odparła radośnie. - Czyżbyś nie zauważył, że przewodnik to samica?

- Eee, tego, właściwie nie. - Poczuł, jak czerwienią mu się nozdrza ze wstydu, że rzucony na niego urok nie pozwolił mu dostrzec rzeczy tak oczywistej. - Nie jest w moim typie.

Klinga wyszczerzyła zęby.

- Zaczynam się zastanawiać, czy fakt, że tu żeruje, ma mniej wspólnego z tym, że zabiliśmy jej szczeniaka, a więcej z jej zauroczeniem twoją osobą. Czy też twoim wspaniałym... wyposażeniem. - W jej oczach zamigotał złośliwy płomyk.

Czy o tym wie, czy nie, wraca do zdrowia. Zastanawiam się tylko, czy nie powinienem sam jej czegoś złamać, żeby mieć trochę spokoju.

Kaszlnął.

- Nie sędzę - odparł, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

- Nie? - Mimo to Klinga zmieniła temat; to nie było miejsce i czas, by z niego kpić, ale miał przeczucie, że gdy już wyjdą cało z tej historii, nie zapomni o tym incydencie ani swoich insynuacjach. - Wiesz - ciągnęła - gdybyśmy mieli szansę wyeliminowania jej, stado mogłoby się rozpaść. Albo spędziłyby co najmniej tyle czasu walcząc o przywództwo, co tropiąc nas.

Podrapał się w zamyśleniu po głowie. Miała rację.

- Musimy je widzieć, aby wybrać jedną wyrzę - rzekł. - A w pułapki wpadają najmniej doświadczone, nie na odwrót. Ale teraz rozumiem, dlaczego są takie natrętne i uparte.

- Aha. Dostaliśmy jedno z jej dzieci. - Klinga usiadła na podłodze jaskini i wpatrzyła się w krzaki na drugim brzegu rzeki. Poszedł w jej ślady i dojrzał lekkie poruszenie gałązki. Ponieważ nie było wiatru, skoncentrował się na tym miejscu i dojrzał ciemną lśniąca skórę, zanim stworzenie znów drgnęło.

- Interesujące. - Klinga obgryzała paznokiec, mierząc krzak wzrokiem spod zmrużonych powiek. - Nie sędzę, aby znów nam się zaprezentowały na otwartej przestrzeni. Szybko się uczą.

Tak szybko? Imponujące, ale przypomniał sobie, co Aubri mówił o inteligencji zbiorowej. Jeśli było ich więcej, niż tych kilka, znaczyło to, że razem stado posiadało inteligencję równą makaarowej, a to niema-

ło.

Niezależnie od tego, co twierdzi ojciec.

Krzewy znów się poruszyły i dojrzał czarne łuski. *Skrzyżowanie charta z wężem... Nie mogę sobie wyobrazić nic dziwniejszego. Ale Klinga powiedziałaaby pewnie, że mam ograniczoną wyobraźnię. Ciekawe, jak widzą tymi niezwykłymi oczami i czy widzą w nocy? Czy ta biała błona chroni gaiki oczne przed słońcem? Czy widzą magię? Albo ją czują?*

- Zastanawiam się, jak nas oceniają - powiedział głośno. Klinga rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Sądzę, że ja wydawałam im się niegroźna, dopóki nie dostały z procy - odparła. - Ale podejrzewam, że ty przypominasz chodzącą ucztę. W końcu masz naturę magiczną, co jest dla nich raczej oczywiste.

- Uważasz, że to mnie uważają za łup, nie ciebie? - wykrztusił. Przytaknęła.

- Pewnie za coś, co warto jakiś czas utrzymać przy życiu, aby żywić się twoją magią. Tyle pewnie już wykoncypowały.

O tym nie pomyślał.

I wcale nie poczuł się lepiej.

Bursztynowy Żuraw stał przy dowódcy i wykręcał wodę z warkocza. Czekał, aż facet powie coś oświecającego. Mgła kłębiła się wokół i zatapiała wszystko w bieli.

- Chciałbym wiedzieć, co tu się działo - wymamrotał Regin, gapiąc się na przemoczone kukły upchnięte na gałęzi. - Nie ma śladu z obozowiska; Srebrzyści chcieli je ukryć. Ale nie ma śladu, aby coś ich ścigało. A teraz znajdujemy to. - Ziemia pod drzewem była zryta, podobnie jak kora na pniu, ale nie zakrwawiona. Znaleźli jedno zastawione sidła, ale bez śladu łupu. Mogli przeoczyć to miejsce, myśląc, że to jakieś leśne zwierzę zaznaczało swe terytorium.

Gdyby na drzewie nie tkwiły kukły w kształcie gryfa i człowieka.

To niczego nie wyjaśnia.

- Mogli wpaść na jakiegoś dużego drapieżnika - zasugerował Żuraw. - Tylko dlatego, że nie widzimy śladu myśliwego, nie znaczy, że nie są śledzeni. Dlatego mogli starać się zacierać trop. Może to był podstawowy powód, dla którego opuścili obóz.

To był pierwszy ślad po dzieciach, na jaki się natknęli, idąc ku rzece. Bursztynowy Żuraw uznał go za dobry omen, gdyż świadczył, że para

wojowników tu dotarła i ich zespół szedł dobrą drogą. I podpowiadała, że byli na tyle zdrowi, aby podjąć wędrówkę.

- Może. Ale dlaczego kukły? - Regin obszedł pień, oglądając go uważnie ze wszystkich stron. - Większość leśnych drapiezców poluje, kierując się węchem, a nawet w tym deszczu trop stąd do miejsca noclegu powinien być na tyle świeży, aby nas poprowadzić. Zastanawiam się, jakie wyciągnąć z tego wnioski.

- Nie wiem, nie jestem myśliwym - przyznał Bursztynowy Żuraw i zamilkł.

W przeciwieństwie do Skana.

- Cokolwiek zryło to miejsce, jest zwierzęciem albo przynajmniej nie używa broni i narzędzi - rzekł. - Możliwe, że Klinga i Tad wkroczyli na jego terytorium i zrobili kukły, aby czymś je zająć, aż oni się spokojnie oddalą.

- Może. - Regin potrząsnął głową. - Cokolwiek to było, nie rozpoznaję śladów, ale to mnie nie dziwi. Niewiele rozpoznałem w tym ciemnym lesie, odkąd do niego wkroczyliśmy. Zaczynam się zastanawiać, jak może tu przeżyć cokolwiek bez skrzeli.

Wzruszył ramionami i ruszył w kierunku rzeki. Bursztynowy Żuraw podążył za nim, ale Skan został jeszcze chwilę, zanim dogonił resztę, nim zniknęli we mgle.

- Nie podoba mi się to - wymruczał z lękiem, zajmując miejsce u boku Żurawia. - Po prostu mi się nie podoba. Coś było nie w porządku, ale za diabła nie wiem co.

- Nie znam się na tyle na polowaniu, aby ci służyć pomocą - odparł przyjaciel. Powtarzał sobie, że dzieciom na pewno nic się nie stało. Niezależnie od tego, jak imponujące ślady zostawiło na pniu to stworzenie, dzieci uniknęły jego szczęk. - Wiem tylko, że to, co zostawiło ślady, musi być wielkości konia i gdyby mnie goniło coś tak dużego, nie spałbym na ziemi. Może umieścili kukły na drzewie i wspięli się na inne?

O ile, oczywiście, są w stanie wspinać się na drzewa. Ale jak umieściłby kukły na gałęzi?

- Iluzja! - powiedział nagle Skan, podnosząc głowę. - Tak! Nie ma iluzji ani jej śladów na tych kukłach. Tad nie jest potężnym magiem, ale na tyle dobrym, by nakładać iluzje, a gdybym ja robił kukłę, starałbym się ją jak najbardziej do siebie upodobnić! Dlaczego nie nałożył iluzji?

- Bo nie mógł - odparł bezsilnie Żuraw. - Jeśli energię magiczną wyssało z koszyka i innych przedmiotów, mogło równie dobrze wyssać ją z niego i być może jeszcze nie odzyskał jej na tyle, aby rzucać jakiegokolwiek zaklęcia.

- Och. - Skan poczuł się urażony, ale w końcu przyznał Żurawiowi rację. Ten się ucieszył i znalazł jeszcze jedno wyjaśnienie.

Tad nie może rzucić prostego zaklęcia, bo jest ciężko ranny.

Z drugiej strony kukły były tak przemoczone, że mogły tkwić na gałęzi od paru dni, co znaczyło, że dzieci, jak na dwoje rannych, poruszały się szybko. Co z kolei sugerowało, że nie były ranne zbyt ciężko.

Wolał nie myśleć, jak pozbawienie energii magicznej mogło wpłynąć na Tada w bardziej subtelny sposób. Czy przypominało ranę, z której sączy się krew? Czy zakłócało zdolność korzystania z magii? A jeśli Tad już nie był magiem? Gryfy były magiczne, aby czynić dobro, bo Urtho nie stworzyłby ich inaczej. I chociaż Mag Ciszy popełnił wiele błędów, gryfy uważano za jego arcydzieła. Magia gromadziła się w ich ciałach z każdym oddechem i uderzeniem skrzydeł. Stabilizowała funkcje życiowe, oczyszczała organy wewnętrzne, pomagała latać. Bursztynowy Żuraw nie wiedział, co by się stało, gdyby gryfa pozbawiono magii na dłużej; czy przypominałoby to zatrucie, podagrę, czy miałyby znacznie gorsze skutki, na przykład szaleństwo?

Grupa ratunkowa poruszała się w ciasnej gromadzie, aby nie zgubić się we mgle. *Przynajmniej idziemy dobrą ścieżką; dzieci na pewno tędy szły - przypomniawszy sobie Bursztynowy Żuraw. Prą naprzód, myślą, planują. Jeśli mają kłopoty, rzeka jest dla nich najlepszym miejscem. Jest tam jedzenie, które łatwo schwytać, może jaskinie. Robią, co należy, szczególnie jeśli muszą stawić czoło dużym drapieżcom.*

Może dlatego ratownicy nie natknęli się na duże zwierzęta. Próbowali przesłać wiadomości telesonem, aby dwie inne grupy też ruszyły ku rzece. Mag Filix sądził, że przesłał wszystko, ale ponieważ nie mógł polegać na lokalnych magicznych źródłach, nie był pewien szczegółów. Jednak czy dzieci ruszyłyby na północ, czy na południe, natknęły się na rzekę, więc ktoś powinien je znaleźć. Oni kierowali się na północ, głównie dlatego, że Ikała przeczesywał teren poniżej, również idąc w tym kierunku.

Ta przekłeta mgła. Bardziej mnie denerwuje niż deszcz! Jeśli kiedykolwiek wszyscy z tego wyjdziemy, przysięgam, przenigdy nie opuszczę miasta. Chyba żeby odwiedzić inne miasto. Moim skromnym zda-

niem, możecie sobie wziąć tę waszą szkołę przetrwania i wsadzić w tyłek. Nigdy nie zapomniał uciążliwej przeprawy do Białego Gryfa i aż za dobrze wiedział, jak będzie wyglądała ta misja. Sądził, że był przygotowany. Jeden problem: zapomniałem, że nie jestem już taki sprawny jak kiedyś. Judeth i Aubri nie zgłosili się do przeprawy przez las i teraz rozumiem dlaczego. Pewnie uważają mnie za głupca, zmuszającego się do dotrzymania kroku ratownikom, próbującego udawać młodzika. Może pozwolenie na tę wyprawę było zemstą Judeth za szantaż!

Ale Klinga nie była córką Judeth ani Tad synem Aubriego.

Mimo wszystko wolę już tu być. Przynajmniej wiem, że działałam. Zha-neel i Zimowa Łania muszą się czuć tak samo, inaczej nie należałyby na udział w wyprawie.

Mgła nie tylko działała mu na nerwy; miał wrażenie, że widzi kręcące się wokół nich cienie. Czuł na sobie spojrzenia i kątem oka widział skradające się kształty. Oczywiście, to była bzdura, wyobraźnia zaczynała pracować ale...

- Żuraw - szepnął ostrożnie Skan. - Jesteśmy śledzeni. Nie wiem przez co, ale coś tam jest. Mogę to wyczuć we mgle i widziałem kilka ruszających się cieni.

- Jesteś pewien? - zapytał Regin, który zasygnalizował postój i podszedł, słysząc szept Skana. - Bern uważa, że też dostrzegł ruch...

- Mnie też dolicz, bo widziałem duże cienie, poruszające się po bokach i za nami - powiedział Żuraw. - Czy to może być to, co zorało ziemię?

- Jeśli tak, nie będę go zachęcał do zaatakowania nas w tej mgle - odparł Regin. - Nie sądzę, aby zaatakowało, dopóki i jesteście pewni siebie.

- Większość wielkich drapieżników nie rzuca się na grupy - dodał Bern. - Lubią pojedynczy łup, nie stada.

Żuraw musiał mieć niepewną minę, bo Regin poklepał go po plecach, co prawdopodobnie miało być pocieszeniem, a Żuraw omal się nie zakrztusił.

- Jesteśmy zbyt liczni, by nas atakować - rzekł pewnie Regin. - I nie jesteśmy ranni. Nie obchodzi mnie, że jesteście śledzeni, dopóki to stworzenie się na nas nie rzuci, a nie zrobi tego. Jestem pewien.

Bursztynowy Żuraw odzyskał oddech i wzruszył ramionami. - Ty tu dowodzisz - odparł, zachowując dla siebie swoje wątpliwości.

Regin uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: “no właśnie”, ale mądrze nic nie powiedział i nakazał dalszy marsz.

Żuraw nadal czuł na sobie uporczywe spojrzenie i rozmyślał o stworzeniach wielkości konia i proporcjonalnych do wzrostu pazurach, takich, co rozorały ziemię na głębokość dłoni. Czy dla takiego zwierza siedmiu ludzi i gryf wyglądało aż tak groźnie? A jeśli było ich więcej? Sposób, w jaki zryto ziemię, sugerował, że było ich kilka.

- Nie spodoba ci się to - szepnął Skan; szept gryfa był tak subtelny i cichy jak normalny ludzki głos. Gryf rozejrzał się. - Żuraw, wydaje mi się, że jesteśmy otoczeni.

Kark Bursztynowego Żurawia zeszywniał, a on zadrżał. Właśnie przestał ufać pewności Regina.

W tejże chwili Regin zasygnalizował kolejny postój, a Bern szepnął mu coś do ucha.

Dowódca spojrzał na Skana.

- Bern mówi, że jesteśmy otoczeni. Jesteśmy?

- Tak sędzę - odparł Skan bezbarwnie. - I nie sędzę, aby te stworzenia były tylko ciekawskie. I nie sędzę, aby pozwoliły nam iść dalej bez walki.

Twarz Regina pociemniała, jakby Skan rzucił mu wyzwanie, ale z nim odpowiedział, spojrzał na otaczającą ich mgłę.

- Generał zawsze powtarza, że najlepszą obroną jest atak - warknął. - Ale nie ma sensu pakować strzał w coś, czego nie widzimy. Stracimy amunicję i nic nie zyskamy.

- Deszcz się zacznie, gdy tylko podniesie się mgła - rzekł Bern. - Nadal nie będziemy widzieć, co to jest, a z mokrej cięciwy się nie strzeli.

Regin spojrzał na Filixa.

- Czy możesz dowiedzieć się, co nas śledzi? Odstraszyć to? Nie chcę tracić czasu, który możemy przeznaczyć na szukanie Srebrnej Klingi i Tadritha.

Mag wzruszył ramionami.

- Może. Spróbuję. Najlepiej, jeśli spróbuję jednego unieruchomić, abyśmy mogli się mu przyjrzeć. Nie muszę widzieć zwierzęcia, aby je unieruchomić, tylko wiedzieć, gdzie jest.

Dowódca rozłożył ręce, udzielając zgody.

- Ty jesteś magiem. Spróbuj, zobaczymy, co się stanie.

Bursztynowy Żuraw otworzył usta, aby się sprzeciwić, ale zaraz je zamknął; w końcu co on wiedział? Nic o drapieżcach czy polowaniu.

Jeśli ich prześladowcy byli tylko ciekawscy, oszołomienie jednego nie zaszkodzi; jeśli zamierzali zjeść ratowników na obiad, nagle powalenie jednego z nich mogło ich odstraszyć. Przynajmniej tak mu się wydawało. A gdy łowcy odzyskają odwagę, ratownicy będą już daleko.

Skan otworzył dziób, a Żuraw pomyślał, że gryf się sprzeciwi, jednak było już za późno. Filix coś dojrzał, albo tak mu się zdawało, i wypuścił zakłęcie.

Ale nie takiego rezultatu się spodziewali.

Ciemny kształt we mgle zapłonął nagle - Bursztynowy Żuraw poczuł dziwne mdłości - a Skan i Filix zaczęli kłać jak szewcy.

- Co? - przeciął Regin, spoglądając na nich. - Co?

- Pochłonęło moje zakłęcie - zaczął Filix, ale Skan mu przerwał, powiewając telesonem, który zwisał mu z szyi.

- Zeżarło teleson! - ryknął. - Cholera! To coś straciło Klingę i Tada, a wy właśnie daliście mu to, czego chciało!

Skan był zadowolony, że zawiadomili inne grupy o znalezieniu śladów dzieci, zanim teleson stał się zwykłym kawałkiem złomu. Gdy rozbijali obóz, jasne było, że stworzenia nie tylko wchłonięty teleson, pozbawiając go energii magicznej, ale też wyssały energię ze wszystkich magicznych przedmiotów, jakie grupa posiadała.

Dlaczego czekały tak długo, stało się przedmiotem sporu. Może zbierały się na odwagę; może czekały, aż przyłączą się do nich inne. Może stworzenia nie pokazywały się, dopóki czymś ich nie sprowokowano.

- To nie była moja wina! - powtarzał Filix. - Skąd miałem wiedzieć?

Nie mógł wiedzieć, że przyczyną kłopotów były jakieś dziwaczne zwierzęta, ale skoro wiedział, że coś na tym terenie zjadało magię, Skanowi wydawało się, że rzucanie wokół zaklęciami było zdecydowanie złym pomysłem. Właśnie miał zamiar to powiedzieć, kiedy Filix użył pierwszego.

A teraz grupa poszukiwawcza musiała sobie radzić z jego efektami. Krótko mówiąc, stawiać namioty, używając wyciętych masztów i lin; rozpalać ogień hubką i krzesiwem, a poza tym nagle pojawiły się inne problemy, prawdopodobnie zagrażające życiu i zdrowiu.

Skoro dziwne i przypuszczalnie wrogie stwory, które ich śledziły, już nabrały apetytu, mogą zrobić sobie z nich posiłek.

Namioty chroniły przed deszczem, ale nie były już suche. I nie odstraszały robaków. Skan zastanawiał się, ile czasu zajmie Reginowi

domyślenie się, że wodoodporność i owadobójczość też były uwarunkowane magicznie. Na pewno niewiele, domyśli się tego po pierwszym posiłku złożonym z przemoczonego zapluskwionego chleba!

Dwa namioty miały wspólny płócienny przedsionek: brakowało mu podłogi i jednej ściany, ale chronił ogień. Usiedli w namiotach wokół ognia, odrzucając klapy. Regin zwołał naradę o zmroku. Deszcz walił w płótno, ale Regin zdołał go przekrzyczeć.

- Idzie nam dobrze - oznajmił, gdy wszyscy zgromadzili się w czteroosobowych namiotach; przynajmniej nie kapało im na głowy. - Nie mamy się czym martwić. Płótno chroni nas przed deszczem, ogień się pali, mamy też kompas, który, dzięki bogom, nie jest magiczny. Znaleźliśmy rzekę i tylko kwestią czasu jest, kiedy my lub inna grupa natknie się na zaginionych Srebrzystych. Jeśli odnajdą ich inni, spróbują nas powiadomić, zrozumieją, co się stało, gdy nie połączą się z naszym telesonem, i będą nas szukać. Jeśli my ich znajdziemy, ruszymy wzdłuż rzeki, aż wpadniemy na resztę i wrócimy do bazy. Nie ma problemu.

Skan się z tym nie zgadzał, ale to Regin dowodził, a podkopywanie autorytetu dowódcy, gdy inni go potrzebowali, było kiepską zagrywką.

To nie wojna. I teraz wiemy, że złodzieje magii to jakieś dziwne dzikie zwierzęta, a nie wrogie wojsko. Jeśli będziemy ostrożni, wyjdziemy cało i z dziećmi. Przynajmniej tak sobie powtarzał.

- Wyznaczam podwójną wartę dziś w nocy; czterech i czterech, podzielcie się, magowie czuwają po dwie zmiany. - Regin rozejrzył się w poszukiwaniu ochotników i znalazł ich, zanim Skan czy Żuraw podnieśli ręce.

Skan nie miał zamiaru się zgłaszać, ale Filix najwyraźniej chciał wynagrodzić błąd, który kosztował ich utratę magii, więc wyglądało to tak, jakby ubiegł gryfa. Skan zastanawiał się, dlaczego młodzieniec się zgłaszał; nie był wojownikiem, a rzucanie magią w coś, co się magią żywiło, nie przypadło gryfowi do gustu. *Nie rzucę ani jednego zaklęcia, dopóki się nie pozbędziemy zagrożenia* - postanowił. *Jeśli żywią się magią, magia je wzmacnia. Im są silniejsze, tym bardziej prawdopodobny jest ich atak.*

No cóż, Filix mógł przynajmniej użyć łuku, skoro natura nie wyposażała go jak gryfa.

Powinien sobie poradzić, o ile najpierw pomyśli. Chciał wziąć Filixa na stronę i ostrzec, ale wcześniejsze próby na wiele się nie zdały. Filix

uważał, że Skan przesadza. Jednym z największych problemów z młodymi magami, którzy pojawili się po kataklizmie, było to, iż uważali magię za środek na wszystko. Musieli się dopiero nauczyć, że magia była po prostu narzędziem, bez którego można się było obejść. Narzędziem wygodnym, ale cóż z tego? *Śnieżna Gwiazda* powinien ich zmuszać do spędzenia roku bez magii.

Regin skinął głową z satysfakcją.

- Dobrze. Ustawcie warty wokół obozu; nie ma sensu strzec dużego terenu. Jeśli coś wam wyjdzie na strzał, strzelajcie; może jeśli utrudnimy życie tym stworom, przestraszą się i dadzą nam spokój.

A może sprowokujesz ich atak! Skan przypomniał sobie, że to nie on dowodzi i trzymał dziób zamknięty na kłódkę. Zdecydował jednak, że będzie spał między Żurawiem a ścianą namiotu, i to na jedno oko.

Udało mu się odzyskać nawyki z czasów wojen, gdy nerwy działały mimo snu, i położył się. Według niego Regin traktował całą sprawę zbyt lekko i był zbyt pewien, że "oni" to tylko dziwne leśne zwierzęta. I był tak dumny, że zabrał ze sobą przedmioty, które mogły zastąpić wszystkie magiczne rzeczy, że Skan miał ochotę przyłożyć mu w łeb.

Nie o zapasy tu chodzi! - wzdychał, kładąc się tak, aby jak najlepiej chronić Żurawia w razie ataku. *Chodzi o to, że kręci się tutaj coś, co zżera magię i ma wrogie zamiary! Na co się zdadzą nasze zapasy, jeśli to coś zdecyduje, że podziwianie nas z daleka mu nie starcza?*

Deszcz ustał. Ogień zgasł i jedynym źródłem światła był żar. Gdy tylko hałasy w obozie umilkły, stworzenia pokazały, że nie przeraża ich ośmioosobowy oddział.

Skan obudził się, słysząc odgłos padającego ciała, po którym nastąpiły przekleństwa i świst cięciwy. Nie Filix jednak strzelał: mag leżał tuż obok Skana, rozpaczliwie łapiąc oddech.

Trójka nie pełniąca warty zerwała się, ale Skan już stał, gotowy do walki. Chwilę później Regin wciągnął do namiotu półprzytomnego maga.

- Co się stało? - zapytał ostro Skan, gdy dwóch wojowników wybiegło, zostawiając w namiocie gryfa, Żurawia i Regina z poszkodowanym magiem. Żuraw pochylił się nad młodzieńcem i zaczął go badać.

Dowódca potrząsnął głową.

- Nie wiem - wyznał, blady i zszokowany w świetle zapalanej przez Bursztynowego Żurawia lampy. - Zobaczył coś i chyba chciał uderzyć magią, szeptał coś o zasłonach, a potem po prostu padł. Strzeliłem do

czegoś, co się ruszało, ale raczej nie trafiłem.

- Został pozbawiony magii - powiedział płasko Bursztynowy Żuraw, patrząc na nich i trzymając dłoń na czole Filixa. - Widziałem to raz czy dwa na wojnie, gdy magowie się przemęczyli.

Pamiętam; z powodu rozkazów niekompetentnego dowódcy.

- Różnica tkwi w tym, że Filix się nie przemęczył, a wyczerpało go coś innego niż zaklęcia - ciągnął Żuraw. - Podejrzewam, że te stworzenia były w stanie użyć jego poprzedniego zaklęcia, aby przebić się przez tarczę, a potem wszystko z niego wyciągnęły, jak z telesonu. I pewnie jak z koszyka Tadritha i Srebrnej Klingi.

- Głupi skur... - Regin ugryzł się w język. - Wydobrzeje?

- Może. Prawdopodobnie. O ile nie da temu czemuś kolejnej szansy na osuszenie źródła magii. - Żuraw wyglądał na złego i Skan go rozumiał. - Zrobię dla niego, co w mojej mocy, ale powinieneś wiedzieć, że to niedużo. Sama Cinnabar wiele by tu nie poradziła. Potrzebuje odpoczynku, odpoczynku i jeszcze raz odpoczynku. Następne kilka dni będziemy go nosić. Najprawdopodobniej do jutra nie odzyska przytomności i kilka dni będzie cierpiał na najgorszą migrenę w życiu.

- No cóż, na tej warcie będzie o jednego mniej. - Regin znów potrząsnął głową. - Głupi... - Spojrzał na Skana, który wyprostował się z godnością.

- Ja mam na tyle rozumu, aby nie próbować magii - odparł na nieme oskarżenie. - Użyję metod bezpośrednich do obrony tego obozu, jeśli coś nas zaatakuje.

Ten idiota myślał, że jeśli postawi tarcze, będzie bezpieczny - parsknął Skan. Po cóż pamiętać, że tarcze są same w sobie magiczne? I ponieważ stawiasz je, wykorzystując własną moc, łączą się bezpośrednio z twoją energią magiczną. Pewnie uważał, że nie trzeba rzucać skomplikowanych zaklęć i uznał tarczę za remedium na wszystko...

Rezultat był natychmiastowy i łatwy do przewidzenia. Wciągnął Żurawia do namiotu, w którym próbowali spać.

- Zostajemy tu - oznajmił mu. - Zostaw Filixa z Reginem w drugim namiocie.

- Pod opieką tylko jednego człowieka? - zdziwił się Bursztynowy Żuraw. Skan potrząsnął głową.

- A czy to ważne? - odparł. - Nic dla niego nie zrobisz, a jeśli coś na nas zaszarżuje, będziemy mieli ważniejsze rzeczy na głowie niż obronę nieprzytomnego maga.

Tak brzmiały twarde, okrutne prawdy wojenne. To była wojna, nawet jeśli Regin jeszcze sobie tego nie uświadomił.

Żuraw o tym wiedział; wykrzywił się, ale nie protestował. Zdawał sobie sprawę, że dla nich dwóch najważniejsze było odnalezienie dzieci. A poza tym wiedział wszystko o ograniczaniu strat.

I całe szczęście, bo kilka chwil później nastąpił drugi atak.

Nie było ostrzeżenia. Nawet nie zdmuchnęli latarni ani nie położyli się spać. Deszcz musiał zagłuszyć zbliżające się odgłosy, ponieważ nic za ścianami namiotu nie wskazywało na to, że nadchodzi niebezpieczeństwo. Skan usłyszał tylko, że Bern najpierw krzyknął ostrzegawczo, potem zawył, a coś ciemnego rozdarło płótno namiotu, wyrzucając lampę; przez moment panowała ciemność, potem zapaliła się rozlana oliwa. Skan pchnął Żurawia na ziemię i stanął nad nim, uderzając na oślep.

Świat poza namiotem przestał dla niego istnieć, skoncentrował się na zawirowaniach powietrza, odgłosach, ruchu i tym, co widział w świetle płonącego oleju. Jego szpony kilkakrotnie natrafiły na coś przypominającego węzową łuskę, rozorały ją do mięsa i zacisnęły się, wyrrywając kawałki ciała. Przeciwnicy zasycieli tylko i wypadli przez dziurę w płótnie, jakby zaskoczyła ich wściekła obrona. Walka nie trwała długo, bo Skan się nie zmęczył, ba, nawet się porządnie nie rozgrzał, gdy napastnicy zniknęli, przemykając się bezgłośnie wśród deszczu.

Jeszcze chwilę stał nad Żurawiem; kestra'chern miał swoje powody, aby się nie ruszać. Kiedy wreszcie wykonał jakiś ruch, zdusił krańcem materaca płonąca oliwę i wyprostował lampę.

- Poszli sobie? - zapytał spokojnie spomiędzy Skanowych nóg.

- Tak sądzę - odparł gryf, potrząsając głową, aby powrócić do rzeczywistości. Dopiero wtedy usłyszał jęki rannych i Berna wołającego go po imieniu.

- Jesteśmy tutaj! - odpowiedział Żuraw, zapalając lampę od tłącego się rogu materaca. - Chyba nic nam nie jest.

- Innym się niestety nie udało - odparł ponuro zwiadowca, jęcząc i kaszląc. - Możesz wyjść i mi pomóc? Jeśli odwinę ten gałgan z nogi, wykrwawię się na śmierć.

Żuraw zaklął, złapał apteczkę i wypadł przez poszarpaną ścianę namiotu. Skan podążył wolno za im.

Kiedy zapalili latarnie, aby Żuraw mógł opatrzyć rany i zaczęli szukać reszty, odkryli, że Regin i Filix zostali zabici. Zginęli na miejscu.

Bursztynowy Żuraw wyciągnął rękę ku zwłokom i napotkał same strzępy. *Przynajmniej zginęli szybko.* Niewiele z nich zostało. Krew rozlała się wszędzie i trudno było powiedzieć, do kogo należały poszczególne członki.

Skan szybko wyszedł z namiotu, przypominając sobie o ofiarach Hadanelitha.

I Ma'ara...

Powiniem się uodpornić, ale może widziałem zbyt wiele śmierci, zbyt wiele cierpienia. Może nie jestem tak twardy, jak sądziłem, nawet po tylu latach. Myślenie o ograniczeniu strat to jedno, a tracenie ludzi w ten sposób to drugie. Złapano nas nie przygotowanych, mimo mych tak zwanych lekcji doświadczenia.

Bursztynowy Żuraw został w namiocie dłużej, a gdy wyszedł, zaskoczył Skana skupionym wyrazem twarzy. Kiedy dwóch ludzi szybko zawijało szczątki w pozostałości namiotu, odciągnął Skana na bok.

- Czy te stworzenia to zwierzęta, czy nie? - zapytał.

Skan zamrugał.

- Na pewno walczą jak zwierzęta - odparł ostrożnie. - Niezwykle przebiegłe drapieżniki. Nie mają broni, tylko pazury i zęby, i... i szybkość. Nie widziałem czegoś tak szybkiego, odkąd zdechł ostatni makaar. Agresywni drapieżcy; nic dziwnego, że widzieliśmy tu tylko małe zwierzęta. Musieli spustoszyć las przynajmniej ze zwierząt naziemnych. - Potrząsnął głową. - Powinniśmy się tego domyślić i przypuszczać, że zaatakują nas dla pożywienia. Muszą wariować z głodu; na królikach, wężach i robakach długo nie pociągną, nie przy takim wzroście.

Żuraw przytaknął, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

- W takim razie powiedz mi: dlaczego nie odciągnęły łupu, aby go zjeść? Dlaczego nie próbowały zabić pozostałych?

Skan otworzył dziób, by odpowiedzieć, i zamknął go z łoskotem.

- Może im nie smakujemy? - zasugerował nieśmiało.

- Może. Ale to jakoś nie powstrzymuje lwów przed ludożerstwem, gdy głodują. Shalaman nas tego nauczył, pamiętasz. - Żuraw przygryzł wargę. - Mam przecucie, że te stworzenia coś planują. I nie zamierzają pozwolić nam się wymknąć. Skan, one są znacznie gorsze, niż się nam wydaje.

- Według mnie są po prostu wygłodzonymi drapieżnikami - parsknął Skan. - Ale wiem, o co ci chodzi.

Nie miał jednak czasu, by o tym myśleć, bo Bern, który objął do-

wództwo, zarządził, że nie będzie już odpoczynku tej nocy.

Czas do świtu spędzili, siedząc w kręgu plecami do siebie, patrząc na las z bronią w dłoniach.

To była długa, zimna i przerażająca noc. Za każdym razem, gdy z liścia spadała kropla, ktoś podskakiwał. Za każdym razem, gdy cień zdawał się ruszać, byli gotowi walczyć na śmierć i życie. Skan nigdy nie przeżył bardziej przerażającej nocy, nawet w czasie wojny, i modlił się, aby nigdy więcej nie było mu to dane. Przełęcz Stelvi była letnim porankiem w porównaniu z nie kończącym się oczekiwaniem w zimnie i deszczu. Nie wiedział, jak Bursztynowy Żuraw to przetrzymał; wystarczyło, że miał świadomość, iż w razie potrzeby sam ujdzie z życiem, lecąc ku koronom drzew. Nawet podczas walki miał jakieś szansę. Ale Żuraw nie mógł uciec i nie był wojownikiem, a Skan wiedział, że na jego miejscu umarłby ze strachu.

Kiedy tylko pod drzewami zrobiło się jasno, Bern nakazał wymarsz ku rzece, którą słyszeli całą noc. Ku rzece grożącej wylaniem, ryczącej u ich stóp, na której drugim brzegu było tylko urwisko i skrawek ścieżki.

- Wy dwaj nie jesteście żołnierzami, więc przeprawcie się przez rzekę i przygotujcie przeprawę dla nas - rozkazał Bern Skanowi i Żurawowi. Skan popatrzył na wezbrane, grzmiące wody i zaczął poważnie myśleć o tym, żeby się zbuntować.

Ale Bursztynowy Żuraw wziął zwój liny ze szczątków obozu i kazał mu iść za sobą ku nadbrzeżnym skałom. Tam zadzierzgnął prowizoryczną uprząż, a Bern i reszta wpatrywali się nerwowo w las, dzierżąc łuki i noże. Niedługo podniesie się mgła i gdy napastnicy powrócą, oblężeni ratownicy nie dostrzegą ich, dopóki nie będzie za późno.

Żuraw, ekspert od lin i węzłów, ruszał się znacznie szybciej, niż Skan uznał za możliwe w tych okolicznościach. Jego palce tylko śmigły, wiążąc uprząż, z której nie można było się wyplątać, nie niszcząc połowy węzłów. Czterem rannym wojownikom musiało się jednak wydawać, że robił to wolno jak żółw. Upewnił się nawet, że uprząż pasowała na jego plecak - bezcenny plecak, w którym ukrył resztki apteczki, olej i lampkę.

- Pośpiesz się! - krzyknął Bern rozdrażnionym tonem. Żuraw go zignorował i obrócił się do Skana.

- Nie możesz mnie przenieść, ale możesz przeciągnąć mnie przez wodę - rzekł. - Z tych pasów się nie wyślizgnę.

Przywiązał koniec liny do drzewa na brzegu, nie mówiąc nic więcej, ale jego plan był dla Skana jasny. Żuraw mógł swobodnie pływać w uprzęży, ale mógł też zostać przeniesiony, co miał zrobić Skan, prze-fruwając nad rzeką. Gdy już dostaną się na drugi brzeg, kestra'chern przywiąże linę do głazu czy skały, a reszta zanurkuje i przeprawi się do niego.

O ile, oczywiście, na drugiej stronie nie było więcej tych stworzeń, czekających na nich.

Jeśli Żurawowi przeszło to przez myśl, nie wahał się; gdy tylko związał linę, skoczył do rzeki, zanim jeszcze Skan uchwycił koniec przytwierdzony do uprzęży. Wybity z równowagi, zmagął się przez moment z prądem, a potem wzbił się w powietrze.

Bursztynowy Żuraw zanurzył się raz, a potem złapał rytm.

- W lesie jest bardziej mokro, niż tutaj! - zawołał.

Skan był bardzo szczęśliwy, że Żuraw dobrze pływa i zaśmiał się nawet z jego dowcipu. Jego przyjaciel trzymał głowę nad wodą, więc jedynym zadaniem Skana było przeciągnięcie go na drugi brzeg.

Jedynym! To jak przeciąganie liny z tabunem perszeronów!

W kilka chwil stało się jasne, że zadanie było znacznie trudniejsze, niż się wydawało. Nie byli nawet jard od brzegu, a Skan już chciał zrezygnować.

Mozolnie uderzał skrzydłami, mięśnie pleców i klatki piersiowej paliły z bólu, gdy mierzył się z prądem i ciężarem Żurawia. W dole Bursztynowy Żuraw walczył z prądem, który chciał go znieść i od czasu do czasu przegrywał. Ale doskonalił umiejętności pływackie w oceanie u stóp Białego Gryfa, więc połączonymi siłami swymi i Skana zawsze zdołał wystawić głowę na powierzchnię i zaczerpnąć powietrza. Dzie sięć uderzeń serca później już byli spóźnieni.

- Szybciej! - ryknął Bern głosem wysokim ze strachu. - Nadchodzą!

Skan zignorował go, wkładając całą siłę w machanie skrzydłami. Żuraw nie za dobrze sobie radził; podstępny prąd ciągnął go w dół, a wynurzanie się zajmowało mu coraz więcej czasu.

Byli w połowie rzeki, gdy za nimi rozległy się odgłosy walki; urywane okrzyki i wrzaski poniosły się po rzece. Postarał się je też zignorować.

Świat zawężił się do twarzy przyjaciela w wodzie, liny w przednich szponach, bólu w udreżonym ciele i odległego brzegu.

Czuł bolesne klucie w płucach i potworny ból mięśni nóg, wywołany ciągnięciem Żurawia. Oczy zaszyły mu czerwoną mgłą, jak kilka razy w

przeszłości, gdy przecenił swe możliwości.

Brzeg był tylko o kilka metrów, ale on stracił już energię, wyczerpał się i był na skraju załamania.

Nie uda mu się. Mógł puścić linę i ratować się albo obaj utoną.

Nie! Nie podda się, gdy cel był tak blisko!

Dalej, gryfie. Jeśli on potrafi, ty też. Tworzycie zespół, pamiętasz? Ufa, że nie pozwolisz mu utonąć.

Pomyśl, co zrobiłaby ci Zimowa Łania, pomyśl, co zrobiłby Gesten!

Bursztynowy Żuraw był z tobą całe życie, gryfie, całe twe życie. Miał twoje wnętrzości na dłoniach i twoją krew we włosach, składając cię na powrót w całość. Nie zostawił cię, nie mógłby tego zrobić

Z jego wnętrza popłynęła siła i z wrzaskiem, który był jednocześnie okrzykiem wojennym i jękiem bólu, dotarł do brzegu.

Schwycił go pazurami, siadając z gracją zestrzelonej kaczki i lądując do połowy w wodzie. Warcząc, chwycił linę w dziób i wyciągnął ich obu, szpon po szponie, na bezpieczny brzeg.

Chciał tam leżeć i dyszeć, ale na drugim brzegu zostało czterech ludzi. Pozbierał się jakoś i stanął na drżących nogach, a Żuraw podniósł się na czworaki i obaj zwrócili się ku drugiej stronie rzeki.

Zobaczyli tylko porwane liście, koniec liny zwisający z drzewa, do którego Żuraw ją przywiązał, wykwitły czerwieni, które nie przypominały kwiatów - i pusty brzeg. Patrzyli, dysząc i opierając się o siebie, dopóki nie podniosła się mgła, pokrywając wszystko mleczną białością.

Zostali sami. Odkrycie drogi na drugi brzeg nie zajmie napastnikom dużo czasu, chyba że zrobili sobie przerwę - na posiłek.

Przez chwilę był pokonany, nieczuły, zmrożony szokiem. Ale przeżył zbyt wiele potyczek i stracił zbyt wielu towarzyszy broni, by ulec paraliżującemu bólowi.

Rozpaczać będziesz później, poszukajmy schronienia!

Żuraw spojrzał na niego zza zasłony włosów, zbitych w mokry kołtun; jego ubranie było podarte, ale w oczach miał nadzieję. Przez chwilę Skan się bał, że przyjaciel zwariował.

- Klinga... - zaczął mężczyzna ochryple, a potem zakaszłał, wyrzucając z płuc sporą ilość wody. Skan zwinął szpony w pięść i uderzał go po plecach, dopóki Żuraw nie przestał kaszleć i nakazał mu przestać.

- Klinga - zaczął znów głosem niewiele lepszym. Wzniósł oczy i pokazał na północ. - Jest tam. Czuję ją. Przysięgam, Skan!

Wspólnym wysiłkiem dźwignęli się na nogi i pokuśtykali na północ po śliskich kamieniach i mokrej glinie leżącej na brzegu. Na północ - gdzie musiały być ich dzieci.

Tad obejrzał ostatnią pułapkę, nie mając nadziei, że coś w nią wpadło. Pierwsza wyrsa, którą zabili, była też ostatnią; żadna z pułapek nie zadziałała ponownie. Wydawało się, że wyrsy znajdowały prawdziwą przyjemność w uruchamianiu pustych paści.

Jak na razie nie odważyły się spowodować ostatniej lawiny, którą on i Klinga mogli uruchomić z jaskini. Podejrzał, że była to tylko kwestia czasu. Z drugiej strony nie można było rozbroić pułapki, nie spuszczając jej sobie na głowę, więc mieli równe szansę.

Jak się spodziewał, sidła były puste. Zdecydował, że lina przyda się gdzie indziej i zabrał ją ze sobą. Jednak szkoda, że nic się nie złapało. Był kłębkiem nerwów i obawiał się, że wyrsy były w stanie wciąż pozabawiać go energii magicznej, ponieważ znajdowały się tak blisko. Nie odważył się postawić tarcz; tarcze też były magiczne i na pewno zostałyby pożarte.

Kiedy znaleźli jaskinię, sądził, że rzeka i wodospad skutecznie zagłuszą kroki zbliżających się stworzeń, ale ku swemu zaskoczeniu odkrył, że się mylił. W niewielkim stopniu przyzwyczał się do ciągłego ryku i był w stanie rozróżnić inne dźwięki.

Ale ostatnim odgłosem, jakiego się spodziewał, był hałas czyniony przez kogoś - kogoś dwunogiego - wspinającego się po skałach z szybkością niemal samobójczą. I dyszącego.

A już na pewno nie idącego wprost na Tada.

To nie były wyrsy, chyba że wyrsy nagle zaczęły nosić buty!

Ledwie miał czas na zarejestrowanie i rozpoznanie dźwięków, nim stanął oko w oko z ich źródłem. Nie słyszał drugiego, ponieważ ten leciał. Tadrith podniósł głowę i ujrzał wspaniałą, groźną sylwetkę Czarnego Gryfa.

- Tato! - wrzasnął z ulgą i zaskoczeniem. - Bursztynowy Żuraw!

- Nie ma czasu! - wydyszał Skandranon, a Bursztynowy Żuraw przemknął obok Tada. - Biegnij! Ścigają nas!

Nie musiał pytać, co ich ścigało. Skan wylądował ciężko i odwrócił się, by kryć Żurawia. Tad skoczył ku niemu. Jeśli wąskiej ścieżki broniły dwa gryfy, nie było mowy, aby jakakolwiek wyrsa nią przeszła! Ale spróbowały.

Mgła była gęsta jak zsiadłe mleko, a wyrsy zmieniły się w kłęb ostrych kłów i pazurów, starających się ich dosięgnąć. Jednak tylko dwie naraz mogły stawić czoło Skanowi i Tadowi, więc ich taktyka została poważnie osłabiona. Były szybkie, ale gryfy się wycofywały, krok po kroku, usuwając się z zasięgu szponów i kłów.

Krok po kroku. Ostrożnie, bo jeśli poślizgniesz się, skończysz w ich pazurach. Dzięki Urtho za cztery nogi. Dotarli do kamiennej barykady przy wejściu do jaskini, a wtedy do akcji wkroczyły posiłki.

- Padnij! - rozległ się znajomy rozkaz. On i ojciec padli, a nad ich głowami świsnęły kamienie i brzęczące jak złe osy sztylety. Oba trafiły w cel, jeden ze śmiertelnym skutkiem. Wyrsa na brzegu dostała w gardło, zagulgotała i wpadła do rzeki, gdzie porwał ją prąd. Druga miała szczęście: dostała w łapę, ale wydała z siebie syczące wycie i zniknęła we mgle. Skan i Tad wykorzystali przerwę i wpełzli do jaskini.

Tam wstali, gotowi na kolejne starcie, ale wyrsy najwidoczniej miały już dość.

Tad usiadł, oddychając ciężko, jego serce waliło; ojciec był bardziej zmęczony, więc padł jak długi, dysząc z otwartym dziobem.

- Zawsze wiedziałem, że te noże do rzucania kiedyś się przydadzą - stwierdził Bursztynowy Żuraw.

Nie przypominał Bursztynowego Żurawia, którego Tad znał całe życie. Jego długie włosy zmieniły się w splątany przemoczony kołtun; ubranie było poplamione, podarte, zabłocone i ubrudzone sadzą. Jego plecak wcale nie wyglądał lepiej. Talię Żurawia opinał pas, skrywający długi nóż, sakwę i dziwną pochwę, w której mieściły się maleńkie płaskie noże, takie jak te, które gwizdnęły Tadowi nad głową.

- Tak, ale... musiałeś... nauczyć się nimi... rzucać! - odparł Skan, dysząc. - Ty i te twoje... okazje!

- To była okazja! - zaprotestował Żuraw. - Tuzin za cenę jednego dużego noża, na który mnie namawiałeś!

- Ale wiedziałeś, jak się posługiwać... zwykłym nożem!

Klinga przyniosła ojcu i Skandranonowi bukłaki z wodą, a potem oceniła ich stan.

- Raczej nie zapytam, co się stało z resztą grupy - rzekła cicho. - Jestem pewna, że wiem.

Mała lampa oliwna rzucała ciepłe światło na Bursztynowego Żurawia

i jego pacjentkę. Klinga siedziała u stóp ojca, który badał jej ramię, a gryfy strzegły wylotu jaskini.

- Dobrze się spisałaś przy skrzydle Tada - mruknął Bursztynowy Żuraw. - Szkoda, że on się nie popisał przy twoim obojczyku.

To wyjaśniało, dlaczego ramię ciągle ją rwało.

- Nie będziesz musiał go ponownie łamać, prawda? - zapytała, próbując nie jęczeć. Poklepał ją pocieszająco po zdrowym ramieniu; zadziwiająco, ile mógł zdziałać taki zwykły gest.

- Nie, zwłaszcza, że nigdy go nie złożono. Jestem zdumiony, że zdołałaś tyle zdziałać. - Położył czubki palców na kości. - Możliwe, że na początku był tylko pęknięty, nie złamany, a gdzieś po drodze dokończyłaś dzieła. Nie ruszaj się przez chwilę, będzie bolało.

Próbowała się nie garbić, aby nie pogarszać sprawy. Poczowała, jak jego palce się napięły, usłyszała chrupnięcie i zobaczyła wszystkie gwiazdy.

Kiedy odzyskała wzrok, nadal siedziała wyprostowana, a ojciec trzymał dłonie na jej ramionach. Oparła się o skałę, która służyła mu za stołek, i słabo otarła łzy z oczu.

- Nie ruszaj się jeszcze - ostrzegł. - Dawno tego nie robiłem i wyszedłem z wprawy.

Posłuchała i poczuła, jak rozgrzewa się miejsce złamania. Ból zniknął, zmieniając się w lekkie mrowienie.

Zapomniałam, że posiada pewne zdolności. Za mato, aby nadal być uzdrowicielem, ale radził sobie w czasie wojen. Jego rodzina szkolila go przecież na uzdrowiciela, ale empatia zaczęła zawadzać. Na wojnie radził sobie bardzo dobrze nawet z gryfami.

Bursztynowy Żuraw puścił jej ramiona i westchnął.

- Przepraszam, serduszko, nie mogę zrobić tyle, ile bym chciał.

To i tak więcej, niż oczekiwała przed ich przybyciem!

- Świetnie sobie poradziłeś, tato, wierz mi. Mam nadzieję, że zachowałeś coś dla Tada - odparła. - Zwłaszcza tym bardziej, że podczas wojny specjalizowałeś się w leczeniu gryfów!

- Owszem - odparł, a Klinga obróciła się, by na niego spojrzeć. Odgarnął włosy z oczu i wykrzywił się. - Wznowię seans, jak tylko odzyskam siły. Ale nigdy nie zostałem porządnym uzdrowicielem, a przyspieszanie zrastania kości jest trudne i nigdy go nie opanowałem. Może gdybym w młodości otrzymał porządne wykształcenie...

- Wtedy byłbyś uzdrowicielem, Cinnabar związałaaby się z tobą, nie z Tamsinem, a mnie by tu nie było - przerwała. - Kocham cię takim, ja-

kim jesteś, tato. Nie zmieniałabym niczego.

I nagle zrozumiała, że naprawdę tak czuła, po raz pierwszy od dzieciństwa.

Wiedziała, że musiał się otworzyć, aby uzdrawiać; poczuł to i jego oczy napełniły się łzami.

Chciał to ode mnie usłyszeć tak bardzo, jak ja pragnęłam jego aprobaty! - pomyślała, zaskoczona. *Jak mogłam być tak ślepa, myśląc, że tylko dziecko mogło oczekiwać aprobaty od ojca... jaka głupia byłam. Ojciec też potrzebuje aprobaty swego dziecka.*

- Klingo... - zaczął. Nie pozwoliła mu dokończyć. Wyciągnęła do niego ramiona i objęli się, płacząc.

On puścił ją pierwszy; nieelegancko wytarł nos wierzchem ręki i uśmiechnął się słabo.

- Jesteśmy parą sentymentalnych idiotów... - zaczął.

- Nie, jesteście parą rozsądnych idiotów, o ile to nie sprzeczność sama w sobie - wtrącił Skan. - Jeśli chcecie znać moje zdanie, to za długo z tym zwlekaliście. A jeśli nie chcecie i tak wam powiem, bo mam rację, jak zwykle zresztą. Żuraw, do czego ona jest zdolna?

- Wzmocniłem i złożyłem kość - odparł Żuraw, patrząc na Klingę. - I usunąłem ból. Nie proponowałbym walki wręcz, ale na pewno możesz rzucać oszczepem, używać procy i wymachiwać mieczem. Żadnych tarcz, przykro mi bardzo; z tym twoje ramię sobie nie poradzi.

- Nie mamy tarcz, więc to nie ma znaczenia - odparła sucho. - Ani łuków; skoncentrowaliśmy się na zabraniu rzeczy, których mogliśmy używać.

- Cóż. Potrafię zrobić oszczep, o ile wiesz, jak się nim posługiwać - westchnął Żuraw. - To powiększy twój zasięg. Powinno się tu znaleźć trochę prostego drewna.

Wie, jak zrobić broń? Ukryła zaskoczenie i przytaknęła.

- Zgadzam się na jedno i drugie, a teraz Tad mnie zastąpi, żebyś mógł również na nim wypróbować swą wolę.

Prawie powiedziała "magię", ale ugryzła się w język. Skoro wyrsy nie pokazały się, gdy ojciec zaczął leczyć, nie żywiły się mocą uzdrawiającą. I całe szczęście. Prawdopodobnie była ona zbyt delikatna i miała zbyt mały zasięg, aby wyczuć ją z daleka.

Wstała, chwyciła oszczep dwiema rękami, zachwycając się brakiem bólu i uśmiechnęła się z przyjemnością, ważąc w dłoniach dobrą broń. Tad cofnął się ku tyłowi, a ona zajęła miejsce u boku Skana.

- Czym są te koszmary? - zapytał Skan. - Macie jakieś pojęcie?

- Tad sądzi, że to jakiś rodzaj wyrś, może zmienionych przez burze magiczne - odparła. - Są wielkości konia, czarne i pewnie już wiecie, że pożerają magię.

- Aż za dobrze - warknął Skan.

- Aby jednak nie miały przewagi, straciły trujące szpony i zęby jadowe. Nie sądzę, żeby spróbowały znów nas wprowadzić w trans, ale kiedy zaczną się wić, mogą cię zahipnotyzować, jeśli nie będziesz uważał.

- Wyrśy, na które polowałem, robiły to znacznie lepiej - stwierdził Skan, obserwując drżące krzaki na drugim brzegu. - Straciły dwie cechy i zyskały jedną. Mogło być gorzej. Jedno zadrapanie i chorowałeś przez tydzień. Mówię o tych wielkości psa. Te wielkości konia wyprawiłyby cię na tamten świat samym dotknięciem.

- To chyba dobra wiadomość - westchnęła. - Sądzę, że to stadko młodych, wodzone przez samicę, chyba ich matkę. Nie wiemy, ile ich jest, na pewno o dwa mniej niż na początku. Nie wiem, czy widziałeś, ale tato jedną zabił; Tad zabił jedną dwa dni temu, wykorzystując lawinę. Problemem jest to, że nie wejda dwa razy w tę samą pułapkę.

- Wyrśa wielkości konia - zamruczał Skan i potrząsnął głową. - Straszne. Wolałbym makaara. Zastanawiam się, jakie i jeszcze urocze niespodzianki zgotowały nam burze magiczne?

Wzruszyła ramionami.

- Teraz liczy się tylko ta. Jest jasne jak słońce, że te bydlaki się mnożą, i to szybko, więc jeśli się ich nie pozbedziemy, pewnego dnia zaczną szukać żarcia w pobliżu naszego domu. - Spojrzała na Skana. - A co się stało z waszą grupą, chociaż chyba się domyślam.

Skandranon opowiedział tak krótko, jak mógł. Nie znała zbyt dobrze tych Srebrzystych oprócz Berna, który uczył ją tropienia, ale uderzyło ją, że wszyscy zachowywali się głupio i niezwykle arogancko. Czy dlatego, że nie napotkali kłopotów bezpośrednio po wylądowaniu, założyli, że nic złego nie mogło ich spotkać?

- Między nami, słonko - powiedział Skan cicho. - Obawiam się, że Regin był idiotą. Podejrzewam, że założył, iż ponieważ jesteś żółtodziobem, prawdopodobnie rannym, a do tego kobietą, twoje kłopoty spowodowało coś, na co on ledwo zwróciłby uwagę. Na początku uważał, ale gdy nie pojawił się mag renegat ani uzbrojona po zęby armia, zaczął działać, jakby był na ćwiczeniach.

Postarała się nie myśleć źle o zmarłych.

- No cóż, nie jesteśmy zbyt doświadczeni i mógł założyć, że wpadliśmy w panikę - stwierdziła. - Jednak walnęłabym Filixa w łeb i związała w chwili, gdy znaleźliście wrak i dowiedzieliście się, że coś tutaj pochłania magię. Dlaczego przyciągać uwagę?

- Dobrze pytanie - odparł Skan. - Szkoda, że tak nie postąpiłem. - Ponury wyraz twarzy zastąpił słowa; w oczach odbijały się jego myśli. Czy też odezwała się jej empatia? *Gdybym tak zrobił, nadal by żyli. Powinienem wcześniej objąć dowództwo.*

Skupiła się na wylocie jaskini, ponieważ źle się czuła, gdy Czarny Gryf przyznawał się przed nią do słabości, nawet milcząco. Choć czuła się też dumna... Nie zrobiłby tego, gdyby nie uważał jej za dorosłą i równą sobie.

- Wszystko sprowadza się do jednego - rzekła ponuro. - Nikt nam nie pomoże, musimy radzić sobie sami. Nie możemy nikogo ostrzec, a to, co przytrafiło się wam, może przytrafić się reszcie, chyba, że są sprytniejsi od Regina.

- Och, to się samo przez się rozumie, najbliższa grupa jest dowodzona przez Ikałę - odparł Skan raczej złośliwie.

Zacisnęła dłonie na oszczepie, a jej serce przyspieszyło rytm. *Ikała - jeśli ktoś ma mnie uratować...*

Potrząsnęła głową: to nie był sentymentalny romans Haighlei.

- Nadal są w niebezpieczeństwie, a my nie możemy ich ostrzec - powtórzyła. - Pamiętaj, te bestie robią się sprytniejsze z każdym naszym posunięciem! Podejrzewam, że sprytu przybywa im za każdym razem, kiedy chłoną magię. Nie sądzę, aby pochodziły stąd, więc Ikała o ich nie wie. Naszą najlepszą szansą na przetrwanie byłoby wyeliminowanie wszystkich bestii, zanim inni na nie wpadną. Jeśli naprawdę robią się coraz wredniejsze po każdym posiłku, niedługo wszyscy będą mieli kłopoty. A z tego, co wiemy, jeśli rzeczywiście dzielą się inteligencją, jak twierdził Aubri, mogą też dzielić się siłą. Im ich mniej, tym są silniejsze.

Bała się, że Skan uznają za idiotkę, skoro myślała, że w czwórkę poradzą sobie z całym stadem wyrs, i to nie mając porządnej broni, ale on przytaknął.

- Słyszałeś, Żuraw? - zawołał.

- Każde słowo i zgadzam się - padła odpowiedź. - Samo myślenie, że nam się uda, graniczy z szaleństwem, ale przywykliśmy do angażowania się w szaleńczo ryzykowne przedsięwzięcia, prawda, ptaszydło?

- Jasne! - wyszczerzył się Skandranon.

Ale Żuraw jeszcze nie skończył.

- A co więcej, obawiam się, że to dziedziczne. Mam rację, Tad?

Odpowiedziało mu głębokie westchnienie.

- Obawiam się, że tak - mruknął zrezygnowany gryf. - Jaki ojciec, taki syn.

Skan mrugnął do Klingi.

- Po pierwsze, dysponujemy czterema wspaniałymi umysłami i czterema ciałami. Gdyby dodać wasze połamane kości i nasze obolałe stawy, otrzymalibyśmy pewnie tylko dwie sprawne osoby, ale nie szkodzi. Mogło być gorzej!

Klindze przemknęły przez głowę te gorsze scenariusze i przytaknęła. *Oczywiście, mogło być lepiej...*

- Skoro więc ci dwaj z tyłu zajmują się składaniem Tada do kupy, pozwól mi złączyć siły mego podstępного starego umysłu z siłami twego młodego i odpornego i może uda się nam wymyślić jakąś sprytną taktykę. - Uśmiechnął się do niej, a Klinga, ku swemu zaskoczeniu, odpowiedziała uśmiechem.

- Tak - powiedział Tad z jaskini. - To cała broń, jaką mamy.

- Klinga? - Jej ojciec był zaskoczony. - Wydawało mi się, że mówiłaś, że nie macie łuku.

- Mówiłam! - Zostawiła Skana i podeszła do ognia, gdzie ku swemu zdumieniu zobaczyła krótki łuk i kołczan pełen strzał. - A to skąd się wzięło?

- Niosłem go w plecaku - przyznał pokornie Tad. - Wiem, że zabroniłaś mi go brać, bo nie mogłaś go użyć, ale, nie wiem, myślałem, że może naciągniesz go stopami, a poza tym mogłaś go użyć do rozpalenia ognia.

- Ona nie może go użyć, ale ja i owszem - rzekł Bursztynowy Żuraw. Spojrzał na Skana i Tada. - Wy dwaj, ruszajcie się i zastawcie pułapki przed zachodem słońca; przygotujemy się na atak.

Zapowiadało się obleżenie; Klinga miała tylko nadzieję, że zastawiane pułapki zdziesiątkują wyrsy, aby mogli poradzić sobie z resztą. Jeśli stara wyrsa tak się piekliła po stracie jednego szczeniaka, co się stanie, gdy straci ich więcej?

Tad i Skan zamierzali założyć specjalne pojedyncze pułapki, i to teraz, gdy wyrsy nadal były daleko. Wiedzieli, że nie ma ich w pobliżu, ponieważ Klinga i ojciec użyli empatii, by je zlokalizować.

Przynętą i spustem był kawałek magii, utrzymujący pułapkę. Dlatego gryfy nad nimi pracowały: były silniejsze od Klingi i jej ojca. Kiedy wyrsy połkną magię wiążącą wszystko razem, zwałą się na nie paści, przesyją je zaostrome kawałki drewna, sidła owina im się wokół nóg, a kamienie na brzegu rzeki runą w dół, porywając wyrsy ze sobą. Aby pułapka była bardziej skuteczna, z góry ruszy kolejna lawina i zmiecie ze ścieżki wszystko, co się rusza.

Potrzebowali całego swego sprytu; kawałek magii musiał być tak mały, aby wyrsa wyczuła go dopiero, gdy na nim stanie. Inaczej wchłonęłyby go z oddali, uruchamiając pustą pułapkę.

W tym czasie Klinga z ojcem gromadzili broń, przygotowując się do oblężenia.

Musimy to zrobić teraz - powtarzała sobie. Wyrsy pozbawiają magii Tada i zrobią to samo ze Skanem. Im więcej jedzą, tym są silniejsze. Musimy je zmusić do zaatakowania, zanim się przygotowują i tak je rozwścieczyć, że będą działać instynktownie, nie myśląc. Jeśli poczekaemy, kolejna grupa wpadnie prosto na nie...

Kolejna grupa, czyli Ikała i Keenath - a myśl, że któremuś z nich mogło coś grozić, wzbudzała w niej dziką furję i wolę natychmiastowego działania.

Oszczepy; długie i krótkie, surowe, które robił Bursztynowy Żuraw, utwardzając ich końce w ogniu. To była jej broń, oszczepy i nóż, który był tylko kilka cali krótszy od miecza. Bursztynowy Żuraw wziął hak, nóż i sztyleciki. Miała też procę, której mogła użyć w każdej chwili.

Nie było tego wiele, ale wszystko przygotowane do użycia. Kiedy podzieliła broń na dwie części, dla niej i dla ojca, usiadła przy ogniu, aby pomóc mu z oszczepami. On je ostrzył, ona utwardzała w ogniu, aż skończył im się stosik drewna. Wzięła z ogniska jedną żagiew, a on je zgasił.

Ruszyła na tyły jaskini i rozpałała tam nowe potężne ognisko, które miało oszukać wyrsy, aby myślały, że obrońcy znajdowali się dalej, niż w rzeczywistości. Wokół zgromadziła najbardziej mokre drewno. Zanim się zajęło, musiało wyschnąć i sądziła, że dobrze obliczyła, ile czasu jej to zajmie.

Szkoda, że ta jaskinia jest stabilna - pomyślała z żalem. Miło byłoby wpędzić je do środka, a potem zwalić na nie sufit.

Chociaż właściwie to zamierzali uczynić.

Pomogła ojcu zawlec resztę drewna ku wejściu do jaskini i ułożyć je

wzdłuż barykady. Było go dużo więcej, niż pamiętała. Tad się napracował!

Lepiej, żeby to zadziało, inaczej za jednym zamachem pozbedziemy się wszystkich zapasów. Co nam zawsze powtarzała Judeth? Nigdy nie rzucaj we wroga mieczem? Mam nadzieję, że nie rzucamy.

Ale ostrożność nie zda im się na wiele.

Dziwne, że młodzi byli ostrożni, a starzy ryzykują wszystko.

Raz na jakiś czas ona lub ojciec przystawali, zamykali oczy i otwierali się na wyrsy, aby sprawdzić, gdzie przebywały. Teraz wypadło na Bursztynowego Żurawia, który skrócił poszukiwania, włożył do ust dwa palce i zagwizdał przeraźliwie, wzywając gryfy. Skan nadleciał, a za nim przygalopował Tad.

Światło dzienne zaczęło już blednąć, zmieniając się w noc, a oni zajęli pozycje. Klinga poprosiła Gwiazdzistooką, aby wszystko poszło zgodnie z planem...

Gwiazdzistooką pomaga tym, którzy sami sobie pomagają, a ci, którzy dobrze planują, nie potrzebują jej pomocy. Nie zapominaj o tym, Klingo. Jeśli nie dałaś z siebie wszystkiego, nie ma co liczyć, że Bogini ci pomoże.

Kucnęła za zasłoną z kamieni i krzaków, z dala od bezpiecznego schronienia, i czekała, dzierżąc jeden oszczep w prawej, trzy w lewej ręce i miała tylko nadzieję, że nie spudłuje. Nie musiała zadawać śmiertelnego ciosu; trafiona ofiara i tak wpadnie do rzeki. Nie mogły się ukryć, nawet w ciemności, bo nie było zupełnie ciemno. Skan zrobił szybki wypad na drugi brzeg i wrócił ze spróchniałym, świecącym pniem. Za każdym razem, kiedy zniknął kawałek próchna, miała rzucać.

Zaplanowali wszystko, teraz musiała czekać...

Nigdy nie byłam dobra w czekaniu!

Siedziała cicho, starając się nie podskakiwać z niecierpliwości, i nasłuchiwała.

Skan miał nad wszystkimi przewagę: wiedział, gdzie znajdowały się pułapki, ponieważ wyczuwał energię magiczną. I wiedział, kiedy zostaną uruchomione. W innych okolicznościach te kawałeczki magii, które z Tadem poświęcili, zniknęłyby zagłuszone przez szum energetyczny, ale skoro nic ich nie zakłócało, lśniły jak ognisko w mroku.

Spiął się, kiedy pierwszy zniknął.

To była pętla...

Żałował, że nie ma empatycznych zdolności Żurawia. Chciał wiedzieć, czy coś wpadło w pułapkę.

Postarali się zastawić różne sidła, chociaż może szczeniaki będą się poruszać powoli i tak łakomie rzucają się na magię, że nie skojarzą jej z pułapkami.

W następnej są strzałki, które powinny wykończyć kilka z nich, a reszta będzie ostrożniejsza.

Strzały, ukryte w krzakach, były tak daleko od spustu, że wyrzy na pewno nie wpadną na to, że same je uruchomiły.

Właśnie! W jego umyśle zapaliło się kolejne światełko.

Zostały jeszcze dwie.

Jedna pułapka z góry, jedna z przodu. Pierwsza zabita jedno stworzenie, druga kilka. Żadnego wzorca, żadnego namacalnego spustu.

Kolejna pułapka znów zabijała jedną sztukę i zastawiono ją na ziemi. Sidła. Poczul, jak napięły mu się mięśnie klatki piersiowej, gdy obserwował iszkerkę i czekał, aż szczeniaki nabiorą odwagi. Wiedział, że on i Tad byli nie do wykrycia; zużyli prawie całą energię magiczną, zastawiając pułapki. Nic nie odciągało zwierząt od przynęty.

Czas włócił się niemiłosiernie i Skan zaczął się zastanawiać, czy Tad nie przesadził. Czyżby zniechęcił szczeniaki? Czy strata kilku towarzyszy rozwścieczy je wystarczająco?

Klinga i Bursztynowy Żuraw znali odpowiedź, ale tylko wtedy, gdy uwolnili zdolności empatyczne.

Gdy już niemal się poddał i zaczął wstawać, prawie się demaskując, trzecia iszkerka zniknęła.

Szybko przykucnął z powrotem.

Wszyscy usłyszeli, a raczej poczuli, ostatnią pułapkę. Była to ta, która na początku miała spust w jaskini. Kiedy lawina runęła, nie tylko pociągnęła za sobą kilka wyrzy, ale, niestety, poszerzyła, półkę przed jaskinią. Jednak nic nie mogli na to poradzić...

Skały pod nim zadrżały, gdy wyrzy zwolniły ostatni spust i nie musiał być empatą, aby wiedzieć, że wpadły w szal. W przeciwieństwie do dotychczas wydawanych odgłosów, ich gniewne wrzaski świdrowały uszy i były słyszalne mimo wodospadu.

Więcej niż cztery. Jednak zbyt późno było na zmiany w planie. Rycząc, runął w dół, wprost na kark ostatniej wyrzy.

Rzuciła głową i wbiła mu zęby w ramię, tuż pod złączeniem skrzydła.

Stłumił jęk bólu, wbijając dziób w kark stworzenia.

Wyrsa nie puszczała, ale on też nie. Próbowwała go zrzucić, ale mocno wbił szpony w jej plecy i zad. Zdesperowana przetoczyła się po ziemi, zatapiając zęby aż po kość. Wzrok Skana znów się zaćmił, ale zagłębiał dziób, rozrywając ciało stwora. Zgiął głowę, tnąc swym zakrzywionym, potężnym dziobem skórę, mięśnie i kości.

Kręgosłup... musiał złamać kręgosłup.

Bursztynowy Żuraw stał na skalnej półce i szył z łuku do wyr, które miały pecha i weszły w zasięg jego strzał. Natarł strzały fosforyzującą pleśnią, więc gdy jedna utkwiała w celu, miał ułatwione zadanie. Gdy wyrzy się zbliżały, walczył z emocjami, ale teraz, gdy doszło do starcia, czuł dziwny spokój. Skoncentrował się na ciemnym kształcie, najeżonym świecącymi strzałami; świat ograniczył się do trafienia kolejnym pociskiem w cel. Prędzej czy później strzał okaże się śmiertelny.

I rzeczywiście, stworzenie zwinęło się na krawędzi rzeki, zawisło nad nią i wpadło do wody.

Wybrał kolejny cel i zaczął strzelać.

Tad był na tyle blisko ojca, aby zobaczyć, w jakie tarapaty wpadł Skan. Nie trzymał się planu - wypadł z kryjówki i wbił dziób w gardło wyrzy, przytrzymując ją szponami. Coś gorącego i smakującego zgnilizną zalało mu język, a wyrza padła pod ciężarem Skana.

Puścił, plując, aby pozbyć się smaku wyrzkiej krwi, a Skan wyswobodził się ze szczęk i pokuśtykał w bok. Tad chronił go, tnąc pazurami zbliżające się wyrzy.

A potem, w jednej chwili, ojciec stanął u jego boku,

- Dobra robota! - wrzasnął Skan. - Jestem twoim dłużnikiem!

- Zajmij się tą po lewej! - odwrzasnął Tad, przyjemnie połechtany i pełen nowej energii.

- Jeśli ty zajmiesz się tą po prawej! - rzucił Skan i spadł na nowy cel.

Tad zrobił to samo, jakby powtarzali ten manewr od lat.

Broń Klingi nie nadawała się do szybkiego strzelania i musiała wybierać cel uważniej niż ojciec. Miał więcej strzał; ona tylko kilka oszczepów, a nie wszystkie latały prosto.

Ale gdy już trafiały w cel, robiły dużo szkód. Widziała trzy wyrzy wpadające do rzeki i zraniła dwie dalsze, wystawiając je na cel gryfom.

Kiedy skończyły jej się krótkie oszczepy, zobaczyła i wyczuła to, na co wszyscy czekali. Suka zaganiała swe młode do jaskini, którą opuścili ludzie i gryfy, zapewne chcąc odwrócić sytuację, atakując z miejsca, które stanowiło ich bastion.

- Wchodzi! - krzyknęła Klinga. Chwyła dłuższy z dwóch oszczepów i skoczyła na ziemię. Chwilę później dołączyli do niej ojciec, Tad i Skan, stając w półokręgu, aby uniemożliwić wyransom ucieczkę.

Szczeniaki miały dość; ich czarne sylwetki rysowały się na tle ognia płonącego w jaskini. Trzy z nich zgromadziły się wokół matki; nie lubiły ognia, ale nie miały zamiaru stawić czoła ludziom i gryfom.

Suka jednak nie zamierzała rezygnować. Skakała po jaskini, nie wystawiając się na cel, i syczała na młode. Klinga miała wrażenie, że zamierzała je rozpedzić. Ona i Bursztynowy Żurawruszyli ku jaskini. Według ich teorii suka, widząc dwoje najsłabszych przeciwników, powinna zrobić dokładnie to, czego po niej oczekiwali.

- Próbuje zmusić je do ataku! - krzyknął Bursztynowy Żuraw. - Przygotować się!

Klinga oparła koniec oszczepu o ścianę, wbrew wszystkiemu licząc, że nie będzie musiała go używać...

- Teraz! - wrzasnął Żuraw, gdy szczeniaki ruszyły na barykadę.

Tad i Skan użyli resztek swej energii magicznej i małym, zwykłym zaklęciem zapalili nasączone olejem drewno.

Ponieważ w jaskini płonęło ognisko, w kominie był dobry ciąg. Płomienie skoczyły i połączyły się z ogniem z tyłu. Jaskinia stała się piekarnikiem, a wyrasy pieczenia.

Suka obróciła się i napała na barykadę naprzeciw Klingi. Jej trupio-białe oczy lśniły wściekle, a Klinga czuła jej olbrzymią nienawiść, nawet się nie używając empatii.

Bursztynowy Żuraw upuścił oszczep; pochylił się i schwycił za głowę. Kolana się pod nim ugięły i padł na ziemię.

Bez wahania Klinga podniosła oszczep, wymierzyła i rzuciła.

Wbił się w pierś wyrasy, która parła naprzód, wrzeszcząc. Skoczyła w powietrze, a ponieważ górowała teraz nad nimi, Klinga była pewna, że przebije się przez barykadę. Dziewczyna słyszała bicie własnego serca i wrzask wyrasy zagłuszający wszystko.

Wyrasa nie przesadziła barykady. Oszczep wystawał jej z piersi, wbity niemal do końca. Ruszyła chwiejnie w przód; jej łapy ugięły się i padła, wpychając oszczep jeszcze głębiej.

Klinga przysiadła i sięgnęła po nóż, ale nie mogła oderwać oczu od czarnej wyrsy czołgającej się w tył, prosto w płomienie.

- Wygraliśmy - powtórzył Tad po raz setny. Deszcz zmywał krew wyrś z kamieni, a on wbił szpony w kolejnego trupa i wrzucił go do rzeki. Klinga miała nadzieję, że ryby się nie otrują.

Kiedy płomienie zgasły, weszli do jaskini, aby zobaczyć, co zostało. Niewiele dało się rozpoznać, ale zabrali czaszki zwęglonych wyrś, aby je oczyścić. Rodziny zabitych przez nie ludzi miały prawo do czaszek, aby odprawić rytuał zemsty podczas ceremonii pogrzebowych. Oczyszczanie nie należało do przyjemności. Skały w jaskini były przyjemnie ciepłe i dwóch wyczerpanych ojców padło na podłogę i zasnęło.

W tym czasie ona i Tad wyszli na deszcz, aby posprzątać bałagan.

- Ta jest ostatnia, dzięki bogom - powiedziała Klinga, wlokąc bezgłowe ciało ku rzece. Tad i ona wrzucili je do wody i ruszyli do jaskini.

- Żuraw smaży dla ciebie ryby - powitał ich Skan, gdy przeleźli przez barykadę. Zhaneel to by się nie spodobało. Przy okazji, obie grupy rątkowe są na tyle blisko, aby myślmówić ze mną, więc nie będziemy już musieli jeść ryb.

Serce Klingi podskoczyło z radości, a jej gardło się zacisnęło, gdy uświadomiła sobie, jak blisko musieli być inni zeszłej nocy.

Mogli wejść w taką samą pułapkę, jak nasi ojcowie - pomyślała trzeźwo. Przez cały wieczór zastanawiała się, czy postąpili słusznie, stawiając wszystko na jedną kartę. Teraz wiedziała, że tak.

- Kiedy tu będą? - zapytał Tad, kiedy Klinga wzięła rybę, uśmiechając się w podzięcie.

- Pewnie jutro. Klinga, twoja matka jest przerażona. Tad, twoja matka i brat już by tu lecieli, gdyby nie padało. - Skan uśmiechnął się. - Przynależem, że postaramy się nie rozpuścić przed ich przybyciem.

- Dobre posunięcie - stwierdziła Klinga. - Powiedziałeś im coś więcej prócz tego, że jesteśmy bezpieczni?

Skan zamknął dziób i spuścił głowę.

- Przyznaję, powiedziałem im wszystko, kiedy byli na tyle daleko, aby wasze matki nie rozerwały nas żywcem za nadstawianie karku. - Kaszlnął. - Znam moją Zhaneel i podejrzewam, że Zimowa Łania zareaguje identycznie. Zanim do nas dotrą, zmęczą się na tyle, aby się cieszyć, że jesteśmy cali, i pewnie zapomną, że sami pokonaliśmy wszystkie wyrśy.

Bursztynowy Żuraw jęknął.

- Może Zhaneel, ale Zimowa Łania na pewno nie - rzekł. - Nigdy mi nie wybaczy, że zachowałem się jak kąpany w gorącej wodzie młodziak i stałem na kamiennej półce w nocy, strzelając do tych przeklętych potworów! A przy okazji dodam, że właściwie szło mi całkiem dobrze.

Klinga poklepała go po kolanie i uśmiechnęła się pełna miłości.

- Nie bój się, tato - powiedziała z uczuciem. - Obronię cię.

Po raz pierwszy od wielu dni, jeśli nie tygodni, Tad leżał na półce skalnej i wygrzewał się na słońcu. Deszcz w końcu osłabł i choć mgła pojawiła się jak zwykle, po niej wyrzało słońce. Pora deszczowa już przemijała.

Tad wrzasnął radośnie i zeskoczył z półki, by pogalopować na spotkanie bratu. Keeth wylądował na świeżej plaży przed jaskinią; chwilę później rzucił się bratu w ramiona, odstawiając gryfią wersję poklepywania po plecach, a obie matki zza zakrętu wyłoniły się.

Klinga też zeskoczyła z półki i pomknęła ku matce, a Bursztynowy Żuraw deptał jej po piętach. Tad uśmiechnął się do brata, kiedy Srebrzysta przytuliła się do matki, roniąc łzy. Wreszcie zachowywała się jak każdy normalny człowiek!

Po radosnym powitaniu, gdy Zimowa Łania otarła łzy, zza zakrętu wyszła druga grupa. Klinga urwała w pół zdania i skoczyła ku dowódcy.

Ikala wyglądał na zaskoczonego, ale niezmiernie uradowanego, kiedy Klinga rzuciła mu się na szyję i tylko ekspert mógł stwierdzić, kto kogo pierwszy pocałował.

Tad rzucił okiem na Bursztynowego Żurawia i Zimową Łanię: wyglądali na zaskoczonych, ale wkrótce zaskoczenie ustąpiło miejsca zadowoleniu.

Najprawdopodobniej. W końcu spełniło się ich życzenie!

- A to co? - wyjąkał Keeth. - W życiu się tak nie zachowywała!

Tad roześmiał się.

- To dość skomplikowane, ale chyba jestem w stanie to wyjaśnić. Żuraw uważają teraz za człowieka, a nie tylko i wyłącznie za swoje dziecko. A ona, no cóż, ona wie, kim jest; nie odbiciem Żurawia czy swej matki i nie musi już tak bardzo się starać, by się od nich odróżnić. Jest... jest wolna, wolna i może być sobą.

- A ty? - zapytał Keeth.

- Kiedy zobaczyłem ojca w akcji, nie mam nic przeciwko byciu synem Czarnego Gryfa. Walczył u mego boku i wie, że ma prawo być ze mnie naprawdę dumny. A gdy wieść się rozniesie, zobaczymy, jak sobie poradzi z byciem“ojcem dzielnego Srebrzystego”. Sprawiedliwości stało się zadość.

Keeth wyszczerzył zęby w uśmiechu i oparł się o brata.

- To da nam trochę spokoju i wolności.

Wolność - pomyślał Tad z zadowoleniem. *To jest najważniejsze.*



Mercedes Ritchie "Misty" Lackey (ur. 24 czerwca 1950 w Chicago) - amerykańska pisarka science fiction i fantasy.

W wieku ośmiu lat odkryła science fiction, czytając książki ojca (pierwszą był zbiór opowiadań *Agent of Vega* Jamesa H. Schmitza). Później bardzo często odwiedzała bibliotekę, a kieszonkowe wydawała na kolejne książki (wciąż ma większość z nich). Z kolei jej fascynacja fantasy zaczęła się od Świata Czarownic Andre Norton.

W 1972 ukończyła Uniwersytet Purdue. Pracowała jako kucharka, księgowa, ochroniarz w

domu towarowym, technik laboratoryjny, modelka oraz programista komputerowy. W związku z ostatnim zawodem przeniosła się z Indiany do Oklahomy w 1982.

W tym samym roku Lackey zaczęła również pisać, znudzona i rozczarowana dostępnymi wówczas książkami. Jak twierdzi, przyczynił się do tego R.A. Lafferty. A dzięki C. J. Cherryh i Marion Zimmer Bradley w 1985 Lackey zaczęła zarabiać na swoim pisaniu, a od 1993 jest to jej główne źródło utrzymania.

W 1992 poślubiła szesnaście lat młodszego od siebie Larry'ego Dixona.

Zanim wzięła się za prozę pisała teksty piosenek. Nazywa je "opowieściami w pigułce" - redukują fabułę do najmniejszych detali i zamykają określony, krytyczny moment w czasie. Ponadto muzyka bardów wzbogaca świat jej powieści.

Polski czytelnik miał okazję po raz pierwszy poznać Mercedes Lackey w 1993 dzięki wydawnictwu Rebis, które wypuściło na rynek napisaną przez nią do spółki z Andre Norton *Zgubę elfów*; jest to pierwszy tom tetralogii *Kroniki Półkrwi*. Później przyszedł czas na zapoznanie się z kilkoma pozycjami ze świata *Valdemaru* - najobszerniejszego cyklu tej autorki.

Cykl o Valdemarze
Trylogia „Wojen magów”

Czarny gryf (The Black Gryphon, 1993) z Larrym Dixonem

Biały gryf (The White Gryphon, 1994) z Larrym Dixonem

Srebrzysty gryf (The Silver Gryphon, 1996) z Larrym Dixonem

The Collegium Chronicles

Foundation (2008) Początek

Intrigues (2010) Intrygi

Changes (2011)

Redoubt (2012)

Bastion (2013)

Trylogia „Ostatniego maga heroldów”

Sługa magii (Magic's Pawn, 1989)

Obietnica magii (Magic's Promise, 1989)

Cena magii (Magic's Price, 1990)

„Przysięgi i honor”

Związane przysięgą (The Oathbound, 1988)

Krzywoprzysięzcy (Oathbreakers, 1989)

Oathblood (1989)

Trylogia „Heroldów Valdemaru – prequale”

Exile's Honor (2002)

Exile's Valor (2003)

Take a Thief (2001)

Trylogia „Heroldów Valdemaru”

Strzały królowej (Arrows of the Queen, 1987)

Lot strzały (Arrow's Flight, 1987)
Upadek strzały (Arrow's Fall, 1988)

„Opowieść Kerowyn”

Prawo miecza (By the Sword, 1991)

Trylogia „Magicznych wichrów”

Wiatr przeznaczenia (Winds of Fate, 1991)

Wiatr zmian (Winds of Change, 1992)

Wiatr furii (Winds of Fury, 1993)

Trylogia „Magicznych burz”

Zwiastun burzy (Storm Warning, 1994)

Burza (Storm Rising, 1995)

Przesilenie (Storm Breaking, 1996)

„Darian's Tale”

Lot sowy (Owlflight, 1997) z Larrym Dixonem

Oczy sowy (Owlsight 1998) z Larrym Dixonem

Rycerz sowy (Owlknight 1999) z Larrym Dixonem